

Lion Feuchtwanger
Lisy w winnicy

Od Autora

Podczas pracy nad tą moją dwunastą powieścią (Lisy w winnicy/1) ogarniało mnie często zniecierpliwienie i kłębem, że się wdałem w tak trudne przedsięwzięcie. Teraz, kiedy leżą przede mną wersje angielska i niemiecka, boleję prawie, że robota się skończyła, szczęśliwych bowiem godzin, które przy niej spędziłem, było o wiele więcej aniżeli godzin męki i irytacji.

Pierwszy projekt powstał w odległej przeszłości, chcąc być ścisłym, przed dwudziestu laty.

Początkowo pociągały mnie postać i losy Pierre de Beaumarchais.

Człowiek ten dostarczył Amerykanom broni, która umożliwiła im zwycięstwo pod Saratogą, i napisał Figara, komedię, która była introdukcją do rewolucji francuskiej. Wyczuwałem, że musiały tu istnieć liczne powiązania.

Musiała istnieć możliwość ukazania - biorąc tego człowieka jako punkt wyjścia - wpływu rewolucji amerykańskiej na dzieje świata, ukazania, że to wielkie wydarzenie nie ograniczyło się wyłącznie do kontynentu zachodniego, lecz w istocie poruszyło cały świat.

Sam Beaumarchais był postacią niezwykle ujmującą. Olśniewająco dowcipny, sypiący dokoła tysiącami częściowo owocnych, a częściowo jałowych pomysłów, niezwykle utalentowany, pełen ideałów, światowiec, żądny sławy i zarobków, wynoszony na powierzchnię dzięki nieprawdopodobnie szczęśliwym zrządeniom losu, a zawsze oszukiwany, łaknący przywilejów szlacheckich, a równocześnie walczący z płomiennym entuzjazmem w

obronie mieszczaństwa i uciśnionych, czczony i wyszydzany, dziś w więzieniu, jutro we własnym pałacu, uwielbiany na scenie, wzorowy mąż i ojciec rodziny, ustawicznie wplątany w setki miłostek, polityk, człowiek interesu i pisarz światowej rangi, przy tym wietrznik, lekkomyślny, mający złą opinię, gotów do największych ofiar dla dobra ludzkości i przyjaciół, a do każdego matactwa i oszustwa dla własnego dobra. Przede wszystkim jednak wielki człowiek, bez którego czynów nie można sobie wyobrazić historii rewolucji zarówno amerykańskiej, jak francuskiej.

Okazało się jednak wkrótce, że budując powieść, której osiłą był Beaumarchais, jedynie w niewielkiej części potrafiłem przedstawić to, co zamierzałem. Zamiarem moim było ukazanie wzajemnego wpływu postępowej Francji i amerykańskiej walki o niepodległość. Chciałem przedstawić rewolucję amerykańską w nowym świetle, tak mianowicie, jak się rysowała w głowach postępowych Europejczyków owej epoki, chciałem dać historię Ameryki w ramach historii świata. Nie wystarczyło tu ukazanie wysiłków Beaumarchais'go w celu dostarczenia powstańczej Ameryce broni i doprowadzenia do aliansu z Francją. Nie wystarczyło również podkreślenie, jak olbrzymią rolę odegrała w wojnie amerykańskiej broń, dostarczona przez Beaumarchais'go. Należało wprowadzić liczne postacie ówczesnej Francji oraz niektóre postacie świata amerykańskiego, trzeba było często zmieniać teren akcji, powieść musiała przerzucać się raz po raz z Paryża i Wersalu do Bostonu i Filadelfii. Ludzi, których dla osiągnięcia zamierzonego celu musiałem wprowadzić na scenę, łączyły wprawdzie liczne powiązania wewnętrzne, ale niewiele więzi zewnętrznych. Krótko mówiąc, nie udało mi się skonstruować przejrzystej i pełnej napięcia fabuły, która by obejmowała wszystko, co dać chciałem. Wymagałoby to nie

jednej powieści, lecz całego cyklu powieściowego. Zrezygnowałem więc z mego projektu.

Później, wypędzony z Niemiec, zamieszkałem we Francji. Zmieniłem swój stosunek do historii francuskiej i do Francuzów. Zajmowałem się zwłaszcza tymi, których z racji projektu książki o de Beaumarchais w swoim czasie studiowałem. Byli to ciekawi ludzie. Z chwilą kiedy się ich wprowadzało w orbitę rewolucji amerykańskiej, nabierali nowego oblicza, stawali się zupełnie inni aniżeli ich portrety figurujące w podręcznikach historii. Oto Ludwik XVI, tępy, pełen dobrych intencji, o wrodzonym poczuciu sprawiedliwości, człowiek, który byłby szczęśliwy, gdyby się urodził skromnym szlachcicem, a którego łaska boża i niełaskawy los uczynił absolutnym królem Francji. Wielkim nieszczęściem tego młodego grubasa jest to, że siedzi na miejscu, które mu się nie należy - na tronie. Umysł ma wprawdzie leniwy, ale dość dużo zdrowego rozsądku. On jeden pośród samych ślepców widzi i wie, że udzielając pomocy zbrojnej Ameryce kopie własny grób. Jest monarchą absolutnym, który zawsze musi robić to, czego nie chce, nie czynić tego, co by chciał. Ten Ludwik osobiście mnie pociągał, gdyż znam jego żyjący obecnie sobowtór, nieszczęsnego dziedzica bardzo, bardzo wielkiego przedsiębiorstwa. Nawiasem mówiąc, byłem zaprzyjaźniony z pewnym panem de Beaumarchais, który zmarł przed kilku laty, zanim, szczęśliwszy aniżeli historyczny Beaumarchais, dożył smutnego końca.

Tłoczył się wokół mnie ogromny tłum postaci, puste nazwiska stawały się żywymi ludźmi. Oto urocza, rozbawiona, w gruncie rzeczy łagodna, królewska i dziewczęca Maria Antonina, która ciągle myśli, że musi odgrywać rolę przeznaczenia i poruszać wszystkimi dokoła wedle swojej woli, wówczas gdy sama jest zawsze marionetką, bądź to w

rękach swoich faworytów, bądź w rękach Beniamina Franklina czy Beaumarchais'go. Oto ministrowie Ludwika, ponad miarę mądrzy i olśniewająco głupi, wytworni i żądni sensacji, wykształceni, dowcipni, wolnomyślni i pełni przesądów. Oto aktorzy Theatre Francais, w większości namiętni zwolennicy Ameryki, przede wszystkim przyjaciółka Beaumarchais'go, czarująca Desiree Mesnard, dziecko paryskiej ulicy, które wtargnęło do arystokracji i chciałoby wrócić do ludu, kobieta nowoczesna, trzeźwa i romantyczna. Oto panie i panowie dworu, barwni, lekkomyślni, do gruntu zakłamani, niezwykle wytworni, tak zblazowani, że umieją cieszyć się tylko jednym: podpiłowywaniem gałęzi, na której siedzą. Oto młodziutki, rozmarzony, próżny Lafayette, który pod wpływem generała Waszyngtona i amerykańskiej rzeczywistości z uganiającego się za sławą awanturnika staje się człowiekiem. Oto przede wszystkim sędziwy Wolter, genialny, olśniewającego rozumu, namiętnie nienawidzący przesądów i niesprawiedliwości, ale sam niewolnik przesądów, tak próżny, że skraca sobie życie, by raz jeszcze odetchnąć nową sławą; człowiek, który jak nikt inny przyczynił się do szerzenia idei rozumu - owej podstawy rewolucji amerykańskiej, indywidualność tak wielka, że pisarz, przeświadczony, że ją zrozumiał, nie potrafił się już oderwać od jej portretu. Teraz we Francji wszyscy ci ludzie stali się dla mnie bardziej żywi niż kiedyś, stopniowo przezwyciężyłem również trudności samej fabuły. Odkryłem, że jeżeli będę miał stale na oku istotny punkt ciężkości, czyli stosunek Francji do Ameryki, to powstaną między ludźmi powiązania zewnętrznie ciekawe i umożliwiające skonstruowanie wprawdzie skomplikowanej, ale jednak przejrzystej i zawsze interesującej fabuły. Oczywiście musiałem trzymać się na wodzy, musiałem z westchnieniem pominąć nieskończoną ilość epizodów, których kształtowanie

mnie pociągało, musiałem zrezygnować z kilkudziesięciu sympatycznych ludzi, których chciałem stworzyć i w połowie już stworzyłem - zanim przystąpiłem do właściwej pracy. W końcu udało mi się! Moi Francuzi stali się tak żywi, jak tego chciałem, a trudna do opanowania, na pozór zawikłana akcja jakoś się skoordynowała i nabrała napięcia.

Ciągle jednak pozostawała trudność zasadnicza. Na ogromnym fresku widniała wielka biała, pusta plama. Znajdowała się pośrodku, nie sposób jej było nie widzieć. Trudność ta miała oblicze i miała imię. Nazywała się Benjamin Franklin. Istnieją niezliczone biografie Franklina, każdy okres jego życia posiada obszerną literaturę. Są wśród nich znakomite, uwypuklające bardzo wyraźnie wszystkie poszczególne rysy tego człowieka. Wciąż jednak pozostaje niejasne, co właściwie nas w tym Benjaminie Franklinie tak pociąga. Jego życie nie było zbyt barwne. Większość nosicieli wielkich nazwisk osiemnastego wieku miała losy barwniejsze. Pomimo całej życzliwości dla ludzi wieje od Franklina pewien chłód. Choć na pozór jest szczery i otwarty, to, co jest w nim najwewnętrzniejsze, pozostaje zamknięte, nie daje dostępu żadnym bardziej dociekliwym spojrzeniom. Niezliczona ilość ludzi zajmowała się Franklinem; zdaje się jednak, że choć wielu go wielbiło, niewielu go kochało. Toteż, choć znajdował się w centrum najdramatyczniejszych wydarzeń, tylko nieliczni pisarze sportretowali go czy to w powieści, czy na scenie, i żaden z nich nie ukształtował go właściwie. Dla współziomków w Filadelfii Franklin pozostał na zawsze postacią nieco niepokojącą. Był dla nich obcy, był obywatelem świata. A w Paryżu pozostał mimo swej popularności najbardziej obcym z obcych, reprezentantem nowego, wymarzonego, ale na wskroś odmiennego świata. Pomimo całego kosmopolityzmu Amerykanów Franklin nie przestał być człowiekiem otoczonym atmosferą nowego,

wielkiego, prymitywnego kontynentu. Również późniejsze pokolenia natrafiały we Franklinie na tę jakąś obcość. Wiedziałem, że kto nie potrafił uchwycić Franklina, nie mógł ogarnąć Ameryki, która wtargnęła wówczas jak szeroki świeży powiew w duszną atmosferę Europy. Próbowałem licznych dróg, by dotrzeć do tego wielkiego człowieka. Nie udawało mi się, ale wkrótce poznałem, co było tego przyczyną. Jeżeli Amerykanie nie potrafili stworzyć jego postaci ani w literaturze, ani na scenie, to dlatego, że miał w sobie wiele cech, które w istocie zdolny był zrozumieć tylko Europejczyk. Kiedy się jednak patrzyło na doktora oczyma Europejczyka, to nawet dla późniejszych pokoleń, tak jak swego czasu dla paryżan, pozostawała zagadką jego amerykańskość. Mogłem wtedy patrzeć na Franklina jedynie oczyma Europejczyka, nie mogłem go zobaczyć całego, a przecież do powieści potrzebny mi był cały człowiek.

Po raz drugi więc zaniechałem powieści.

Tak się złożyło, że na skutek moich osobistych przeżyć dawny projekt odżył w mojej pamięci z wielką mocą. Mieszkałem we Francji, kiedy wtargnęli tam narodowi socjaliści. Jedną była tylko nadzieja oswobodzenia: Ameryka. Przyjaciele amerykańscy wyratowali mnie z obozu koncentracyjnego rządu Vichy i przewieźli do Ameryki. Tu doczekałem się chwili, gdy wszyscy wybitniejsi ludzie uznali, że kontynent może być oswobodzony od faszyzmu tylko przez Europę, którą się oswobodzi od Hitlera. Własne przeżycia dowiodły mi bardzo wyraźnie, że istnieje historyczna łączność obu kontynentów, a przede wszystkim Francji i Ameryki. Toteż z podwójnym zdziwieniem stwierdziłem, jak mało po zachodniej stronie oceanu wiedzą o udziale Francji w rewolucji amerykańskiej. Prawda, że można było wyczytać tu i ówdzie, iż rewolucja amerykańska nie byłaby się udała bez materialnej i ideowej pomocy Francji, a prezydent Roosevelt

wspomniał przy pewnej okazji o francuskiej lend-lease owych czasów, ale istotne rozmiary pomocy francuskiej i jej decydujące znaczenie nie dotarło do świadomości narodu amerykańskiego. Równie mało wiedziano w Europie, jak ogromny wpływ wywarł praktyczny przykład rewolucji amerykańskiej na tych, którzy przygotowywali rewolucję we Francji. Niewątpliwie byli historycy, którzy wiedzieli, że tylko wówczas można zrozumieć obie wielkie rewolucje osiemnastego stulecia, amerykańską i francuską, jeśli się dojrzy ich wzajemny związek. Świadomość ta, która właśnie dzisiaj, w okresie walki o zjednoczenie świata, mogłaby być tak niezmiernie pożyteczna, jest nadal własnością niewielu, nie stała się jeszcze dobrem powszechnym. Te przeżycia i rozważania zmusiły mnie po prostu do zajęcia się powieścią, która mnie interesowała od lat piętnastu. Uznałem, że moim obowiązkiem jest napisać teraz tę powieść. Obowiązkiem wobec Europy, która była moim domem, i wobec Ameryki, gdzie mieszkam obecnie.

W dalszym ciągu jednak brakowało mi kluczowej postaci: Franklina. Czułem, że tu, w Ameryce, łatwiej mi będzie uchwycić jego ciągle wymykający mi się obraz. Wgłębiłem się na nowo w jego dzieła, przewertowałem jego biografię. Pracowałem powoli, przede wszystkim na podstawie znakomitej biografii Van Dorensa i jej bogatych materiałów bibliograficznych. Szedłem śladami Franklina, studiowałem to, co pozostało z jego działalności, jego portrety, sprawozdania współczesnych, pierwsze wydania jego dzieł w rozmaitych językach. Walczyłem o wizję Franklina chciałem Franklina zobaczyć. I powoli, powoli, w amerykańskim powietrzu, w amerykańskiej rzeczywistości, przeżywając współczesną historię Ameryki, walki partii, Kongresu i rządu, walki między posiadającymi a nieposiadającymi, zobaczyłem Franklina oczyma Ameryki. Poznałem olbrzymie trudności,

które ten wielki człowiek miał do zwalczenia nie tylko w Europie, ale również w Ameryce. Nauczyłem się patrzeć na niego nie tylko pełnymi uwielbienia oczami paryżan osiemnastego wieku, ale również krytycznymi, niechętnymi oczami bliskich i najbliższych oraz nienawistnym wzrokiem kolegów, owych kolegów, których nie chciał się pozbyć, gdyż zmuszali go do baczenia na własne błędy i słabości.

Pamiętam dzień, kiedy po raz pierwszy ujrzałem przed sobą wyraźnie starego Franklina. Był to dzień, w którym otrzymałem pierwsze francuskie wydanie jego dzieł poprzedzone sztychem Martineta. Sztych przedstawia niezwykle brzydkiego, starego Franklina; widnieje pod nim utrzymany w przesadnym tonie wiersz pióra przyjaciela Franklina, a zarazem jego tłumacza Dubourga, stawiający doktora na równi z greckimi bogami. Po raz pierwszy spojrział na mnie swymi wielkimi, starymi oczyma prawdziwy Franklin - bardzo żywo, łagodnie i nieco ironicznie.

Tak czy inaczej to był Franklin, którego potrzebowałem. Mogłem go oglądać oczami Europejczyka, a dość długo żyłem w Ameryce, bym go mógł również zrozumieć z amerykańskiego punktu widzenia. Zdawało mi się teraz, że posiadam wewnętrzne dane do śmiałego, a nawet, jeżeli ktoś chce, zuchwałego przedsięwzięcia: przedstawienia brzemiennego w skutki związku między Ameryką i Europą, który znalazł swój wyraz w latach rewolucji.

Wiedziałem, że będzie to mozolna praca. Trudność jej polegała nie na żmudnym studiowaniu historii, lecz na usiłowaniu odtworzenia zawikłanych wypadków w ten sposób, by się stały przejrzyste i pasjonujące, a równocześnie wyjaśniały sens i znaczenie poszczególnych, pozornie pozbawionych sensu, epizodów.

Sądzę, że czytelnik, który w powieści historycznej szuka następujących po sobie, ciekawych, barwnych wydarzeń oraz

tego, by puste nazwiska nabrały ciała i krwi, nie dozna zawodu.

Zobaczy Ludwika XVI, którego bezradność i dobroduszość go wzruszą. Pozna Franklina, który wcale nie jest idealnym bohaterem, który robi i mówi niejedno, co nie zgadza się z pojęciem, jakie zwykliśmy sobie wytwarzać o wielkim człowieku; Franklina bardzo ludzkiego; i może właśnie dzięki tym ludzkim cechom dojrzy w nim w końcu człowieka większego niż ten, którego znał, zanim przeczytał tę książkę. Może zobaczy również w teatralnym i próżnym panu Beaumarchais człowieka wielkiego i godnego miłości.

Mam nadzieję, że nawet bardzo wymagającego czytelnika nie spotka rozczarowanie. Będzie on musiał zdobyć się na pewną cierpliwość, zanim z wielu wątków, z których utkana jest powieść, wyłowi jeden i dotrze do sedna książki. Może w pierwszej chwili jasność spojrzenia zamąci mu wielka ilość postaci, może będzie z początku przypuszczał, że bohaterem jest Beaumarchais, potem Franklin, potem para królewska, może nawet Wolter czy Lafayette. Ale jeśli będzie czytał książkę z uwagą i pewnym zaufaniem do autora, zorientuje się przy końcu, że żaden z nich nie jest bohaterem. Bohaterem książki jest postęp. Nie chodzi w niej o Franklina ani o de Beaumarchais, lecz o sens wypadków historycznych.

Chciałem ukazać zagmatwanie wydarzeń w Ameryce i Europie, przypadkowość tego, co było starannie zaplanowane i nieodzowność tego, co jest na pozór przypadkowe. Chciałem dowieść, że historia, chociaż czasem krętymi, okrężnymi drogami, zmierza do określonych celów. Chciałem również przenieść na czytelnika moją własną wiarę, moje na nauce oparte przeświadczenie, że bieg historii ma sens nawet jeżeli sens ten nie jest od razu widoczny. Chciałem pokazać, że postęp to coś więcej niż pusty frazes, że rozsądek kryje się

również w pozornie nierozsądnych wydarzeniach, jeżeli się je tylko właściwie wyjaśnia i szereguje.

Jest w tej książce dużo miłości i dużo nienawiści do Francji i Ameryki, dużo wielkiej miłości i dużo małej nienawiści, ale jest uczciwa wola obiektywnego poznania. Sądzę, że praca nad tą książką pomogła mi do lepszego zrozumienia wielu współczesnych wydarzeń. Kto ją przeczyta, tak jak bym pragnął, żeby była czytana, dla tego niejedno, co ludzie tej książki czynią lub mówią, nabierze pasjonującej aktualności.

Czy powiedziałem już, że praca nad tym dziełem przyniosła mi dużo irytacji i kłopotów, lecz dała mi również ogromną, niemal religijną radość? Wzmocniła moją wiarę w to, co przyrodnik nazywa „rozwojem”, duchowny „Opatrznością”, a szkoła historyczna, do której lgnę całym sercem, „postępem” albo „żywą historią”. Mam nadzieję, że nieco tego radosnego poznania zdołam przenieść na czytelnika./2

1/

4. Odszedłszy tedy Samson ułapał trzysta liszek, a nabrawszy pochodni przywiązał ogon do ogona i ułożył pochodnie jedne między dwoma ogonami w pośrodku.

5. Potem zapaliwszy ogniem pochodnie rozpuścił je między zboża filistyńskie, popalił tak stogi, jako zboża stojące i winnice z oliwnicami.

Księga Sędziów 15; 4, 5.

2/ Przekład artykułu Liona Feuchtwangera pt. Arbeit an einem Roman (Praca nad Powieścią) z „Neue Deutsche Literatur” nr 10,1954.

Część pierwsza Broń dla Ameryki

Rozdział pierwszy

Beaumarchais

Droga z Wersalu do Paryża wiodła przez uroczą, skapaną w zieleni okolicę. Przed południem padał deszcz, obecnie chmury się rozproszyły, ukazało się słońce. Pierre rozkoszował się wilgotną świeżością pięknego majowego dnia.

Jeszcze wczoraj, w drodze powrotnej z Londynu, był pełen wątpliwości, czy wskutek przesunięć w gabinecie cały jego tak starannie i troskliwie obmyślony i z takim trudem forsowany interes nie zawali się raz na zawsze. Nieraz już przeżywał takie niepowodzenia. Tym razem jednak sprawy jakoś się ułożyły. W długiej, swobodnej rozmowie z ministrem okazało się, że udało mu się skaptować Wersal dla swego projektu. Hrabia Vergennes zainteresował się przedstawionymi planami o wiele głębiej, niż można było przypuszczać na podstawie jego ostrożnego pisma. Koncesje, jakie mu dziś rząd uczynił, przewyższyły w znacznym stopniu nadzieje Beaumarchais'go. Wielki interes był właściwie ubity. Powóz dotarł do skrzyżowania, skąd szosa skręcała w kierunku Clamart. Pierre polecił stangretowi, by jechał wolniej. Rozparł się w swym powozie, na wargach pojawił się uśmiech. Rozmyślał nad tym, jak bardzo wiele osiągnął. Pierre Caron de Beaumarchais spędził ostatnio pewien czas w Londynie jako tajny agent rządu francuskiego. Interesy, które

wymagały jego talentu, obrotności i bystrego umysłu, były dość mętne, brudne i niezbyt wielkiej wagi. Pierre poświęcał im tylko drobną część swego czasu, w wolnych chwilach opracowując projekt bez porównania ważniejszy.

Odkąd między królem angielskim Jerzym III a jego amerykańskimi koloniami wybuchł ostry zatarg, Pierre Caron de Beaumarchais stanął z całym właściwym sobie temperamentem po stronie Amerykanów, którzy wznieśli powstanie. Podobnie jak wielu intelektualistów w Paryżu, a nawet w Londynie, powitał „ludzi z Bostonu”, „insurgentów”, jako tych, którzy walczą o urzeczywistnienie wielkich idei filozofów francuskich i angielskich. Ludzie ci wybrali zamiast życia okaleczonego przez konwenanse, przesady i despotyczną samowolę, życia, jakie panowało w Londynie i Paryżu - egzystencję zbliżoną do natury. Mężowie Nowego Świata pragnęli oprzeć swój ustrój państwowy na wolności, rozsądku, naturze. Król angielski chciał zmusić tych mężów ogniem i mieczem, by odstąpili od swych szlachetnych zamierzeń.

Pierre opowiadał się po stronie Amerykanów nie tylko sercem i ustami, ale wspierał również ich sprawę czynem. Lubiano go we wszystkich kołach londyńskiego towarzystwa, był zaprzyjaźniony z przywódcami konserwatystów i liberałów, miał okazję poznania licznych szczegółów konfliktu z koloniami. Zgromadził bogate materiały, uporządkował je, wyciągnął z nich wnioski. Przez nikogo nie upoważniony przesyłał Ludwikowi XVI i jego ministrom sprawozdania zwracające uwagę znajomością rzeczy, jasnością, dalekowzrocznością. Kiedy Pierre myślał teraz o tych swoich raportach i memoriałach, mógł sobie pochlebić, że będąc tylko tajnym agentem bez specjalnych zleceń, przejrzał od początku istotę konfliktu anglo-amerykańskiego lepiej aniżeli oficjalny

ambasador królewski. Dalszy bieg wydarzeń potwierdził jego przewidywania.

Wniosek końcowy, którym zamykał wszystkie raporty, skierowane do rządu w Wersalu, zawierał gwałtowny apel, by poprzez popieranie powstańców osłabiać Anglię. Konflikt Anglików z ich koloniami dawał jego zdaniem Francji jedyną w swoim rodzaju okazję do anulowania haniebnego pokoju (Mowa o traktacie paryskim z r. 1763, którym zakończyła się siedmioletnia angielsko-francuska wojna kolonialna (1756-1763); w wyniku jej Francja straciła swe amerykańskie kolonie: Kanadę i posiadłości nad Missisipi.), narzuconego jej przez Anglię przed dwunastu laty.

Pierre wiedział oczywiście, że rząd francuski nie może otwarcie opowiedzieć się za amerykańskimi rebeliantami. Oznaczałoby to wojnę z Anglią, do której ani flota, ani armia nie były dostatecznie przygotowane, nie mówiąc już o żalonym stanie finansów. Ale Pierre wiedział, że istnieje wyjście z tej trudnej sytuacji.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. Pisał swoje raporty, udzielał rad, zamierzając uczciwie dopomóc Amerykanom, udzielić im poparcia w walce o wolność i słuszną sprawę. Zdarza się jednak, że wysiłki płynące z pobudek idealistycznych przynoszą również zysk. Ci, którzy uważają za rzecz niegodną robienie interesów, wówczas gdy służy się jakiejś sprawie, to durnie. A Pierre durniem nie był. Węchem wytrawnego handlowca i przywykłego do intryg agenta politycznego wyczuł od razu, iż umiarkowane popieranie walki wolnościowej przyniesie również korzyść materialną.

Biorąc pod uwagę, że Francja nie może sobie jeszcze pozwolić na wywołanie konfliktu zbrojnego z Anglią, Pierre zaproponował, by rząd francuski na razie popierał Amerykanów potajemnie, bez narażania się na kompromitację. Niech kupcy prywatni dostarczają

powstańcom broń i amunicję pozornie na własny rachunek i własne ryzyko, w istocie zaś korzystając z subwencji i najszerszego poparcia rządu francuskiego.

Po długich korowodach, kiedy Pierre był już przekonany, że nigdy nie zdoła zjednać ministra spraw zagranicznych, hrabiego Vergennes, dla swoich planów, stało się wreszcie to, na co pierwotnie liczył. Dziś minister zobowiązał się do czegoś, dziś polecił mu zorganizować przedsięwzięcie w myśl propozycji złożonych przez Beaumarchais'go. Od dnia dzisiejszego Pierre, dostarczając powstańcom broni i materiału wojennego, mógł się uważać za tajnego pełnomocnika króla Francji.

Był z siebie zadowolony. Sposób, w jaki przeprowadził trudną rozmowę z ministrem, stanowił godne uwieńczenie jego przemysłnych przygotowań.

Potrzeby powstańców były duże; uzbrojenie oplakane, możliwości produkcyjne nielicznych fabryk mizerne. Domagali się pełnego ekwipunku dla trzydziestu tysięcy ludzi. Minister zapytał go, czy istotnie zdołałby razem ze swoimi wspólnikami zdobyć i przewieźć przez morze taką masę materiału.

- Ależ tak, tak - śmiało odpowiedział Pierre i zaraz dodał: - Oczywiście pod warunkiem, że arsenały królewskie dostarczą nam broń po przystępnych cenach i że w ogóle nie będziemy zbyt skrepowani pod względem finansowym.

Hrabia Vergennes oświadczył, że skomunikuje się z ministrem wojny. Potem przeszedł do punktu najdrażliwszego: zapytał, jak wysokiej subwencji spodziewa się Pierre od rządu.

Pierre postanowił uprzednio, że odważy się na tę imprezę tylko w tym wypadku, jeśli otrzyma od rządu subwencję w wysokości co najmniej miliona liwrów. Ale teraz, kiedy minister poważnie wyraził gotowość powierzenia mu tych olbrzymich dostaw, zdał sobie sprawę, że cały ten plan był

dotychczas tylko zabawką. Wraz z zachwytem nad olbrzymim i zaszczytnym zadaniem ogarnął go lęk, czy jego finanse i jego kredyt podołają olbrzymiemu przedsięwzięciu. Milion liwrów to śmiesznie mała suma, skoro trzeba zaspokoić potrzeby trzydziestu tysięcy ludzi. Jeżeli jednak zażąda więcej, za dużo, to cały plan może runąć.

Mózg jego pracował w szalonym pośpiechu. Wpatrując się z pozornym spokojem w uśmiechniętą twarz ministra, na której zastygł wyraz oczekiwania, zastanawiał się, jakiej ma żądać sumy.

- Myślę - powiedział wreszcie - że trzy miliony wystarczy.

Nastąpiła krótka pauza, podczas której obaj nie spuszczała z siebie oka.

„Teraz rozstrzyga się los Ameryki i mój własny” - myślał Pierre.

Możemy przyrzec panu dwa miliony - oświadczył wreszcie minister. - Jeden da panu rząd Francji, o drugi postaramy się u Hiszpanów.

Oszołomiony tym gigantycznym sukcesem wracał Beaumarchais w piękne majowe popołudnie do Paryża. Powóz, w którym jechał przez uroczą, tonącą w zieleni okolicę, był aż nadto zbyt kowny; na koźle obok stangreta w bogatej liberii siedziało małe Murzyniátko, pełniące funkcję lokajczyka, z tyłu tkwił z dumnym, bezmyślnym spojrzeniem lokaj, przybrany w jeszcze bogatszą liberię. Pierre w stroju skrojonym wedle ostatniej mody, z olbrzymim brylantem na palcu, również wyglądał nieco zbyt okazale.

Miał prawo czuć się zmęczony. Ostatnie dni były bardzo uciążliwe - likwidacja interesów w Londynie, męcząca podróż, rozmowa z ministrem. Ale Pierre należał do ludzi wytrzymałych. Choć miał lat czterdzieści cztery i był nieco skłonny do tycia, wyglądał młodo, najwyżej na jakie lat trzydzieści pięć. Mięsiata twarz jego miała wygląd świeży.

Czoło, nieco cofnięte, było gładkie, bez zmarszczek, ciemne oczy wyraziste i mądre, pod ostrym, kształtnym nosem uśmiechały się pełne, pięknie zarysowane usta. Lekko cofnięta broda, przedzielona dołeczkiem, oraz mały podbródek, wyłaniający się z kołnierza świetnego stroju, dodawały chytrej twarzy nieco dobroduszości.

Przybyli do Issy. Im bliżej było do Paryża, tym szybciej przelatywały przez głowę Carona różne myśli.

Firma, którą zamierzał założyć, musi być reprezentacyjna. Jego dom handlowy przy ulicy Vieille du Temple, mieszczący się w Hotel de Hollande, chylącej się ku upadkowi ruderze, został podczas jego pobytu w Londynie bardzo zaniedbany. Przebuduje go gruntownie i urządzi na nowo. Nagle wpadł na pomysł, jak nazwie nową firmę. Musi to być nazwa hiszpańska. Kochał Hiszpanię i Hiszpania zawsze przynosiła mu szczęście. Firma będzie się nazywać Rodrigue Hortalez. Uśmiechnął się. A więc od dziś jest seniorem Rodrigue Hortalez. Na czele firmy postawi oczywiście Pawła Theveneau. To prawda, że Paweł jest bardzo młody i słabego zdrowia, ale Pierre przekonał się już nieraz, że Paweł jest do niego przywiązany i że go szanuje. Poza tym Paweł był wtajemniczony w jego skomplikowane machinacje finansowe i kruczki, był doskonałą siłą, potrafił wprowadzić ład i porządek wtedy, kiedy nawet on sam przestawał się już orientować.

Dwa miliony liwrów to brzmi imponująco! Ale chodzi przecież o zaopatrzenie dla trzydziestu tysięcy ludzi i o statki, które mają przetransportować ten olbrzymi, ładunek do Ameryki. Na szczęście, prowadząc handel drzewem, Pierre wyrobił sobie doskonałe stosunki z wielkimi armatorami. Niezależnie od tego będzie musiał jak najszerzej wykorzystać swój kredyt. Na razie trzeba będzie włożyć w przedsiębiorstwo pięć do sześciu milionów. A kiedy i jak

płacić będą Amerykanie? Przez chwilę przebiegł go zimny dreszcz. Wdał się w bardzo ryzykowną grę. Ale szybko otrząsnął się z lęku. Bez względu na rezultat handel dziejami świata jest z pewnością o wiele bardziej pociągający niż handel drzewem.

Szkoda tylko, że wszystko to będzie się musiało odbywać w tajemnicy, Pierre chciałby wypowiedzieć, wykrzyczeć przed, całym światem, jakie to powierzono mu zadanie. Ale Vergennes zobowiązał go solennie do milczenia. Fikcja przedsiębiorstwa prywatnego, które przy pomocy własnego kapitału dokonuje zwykłych niewinnych transakcji, musi być za wszelką cenę utrzymana. I tak Anglicy będą robić tysiące trudności, zasypywać ministra spraw zagranicznych notami. Gdyby Pierre popełnił jakąś nieostrożność, w żadnym razie nie może liczyć na obronę Wersalu, przeciwnie, poświęcono by go z całą bezwzględnością; uprzejmy na ogół minister dał mu to do zrozumienia w nieuprzejmie suchym, rzeczowym tonie. A więc Pierre nie będzie mógł mówić o swej światowej misji z nikim poza paroma handlowcami oraz ludźmi zajmującymi w przedsiębiorstwie stanowiska kierownicze. Trzeba będzie pokazywać się ludziom jako monsieur de Beaumarchais, który ma wielu wrogów i z którego niejeden sobie pokpiwa. Nie będzie mu wolno rzucić na stół swych atutów, by pognać szyderców i adwersarzy.

Niemiała ta refleksja ulotniła się szybko, ustępując miejsca radosnemu poczuciu, iż przypadło mu w udziale zadanie wielkiej wagi. Nie było człowieka, który by nie wiedział, że bez francuskiej pomocy powstańcy amerykańscy byliby zgubieni. Ale on, tylko on, Pierre de Beaumarchais, zapałem swym, umiejętnością posługiwania się słowem, znajomością ludzi i giętkością sprawił, że słaby król Ludwik i jego pyszałkowaci ministrowie zgodzili się w zasadzie na udzielenie im pomocy. Teraz wyłącznie od jego zręczności

zależy, czy i w jakich rozmiarach obiecana pomoc dotrze do Amerykanów. Losy Nowego Świata za oceanem, postęp ludzkości zawisły od jego przebiegłości i sprytu. Jego żywa wyobraźnia malowała wspaniałe obrazy przyszłości. Widział w magazynach portów francuskich piętrzące się stopy muszkietów i mundurów. Widział, jak pękate statki firmy Hortalez i Spółka wypływają na morze z działami dla powstańców i jak wracają naładowane barwnikiem indygo i tytoniem. Rozkoszował się z góry powodzeniem swego planu. Tak, przedsięwzięcie, które rozpoczął, to zadanie na najwyższą miarę, zadanie, za jakim od dawna tęsknił, godne człowieka noszącego nazwisko Beaumarchais.

Sprostaj temu zadaniu! Dokonał czynów może nie tak wielkiej wagi, ale chyba jeszcze trudniejszych.

Przybliżając się z każdym obrotem kół do wrót rodzinnego miasta, do nowego podniecającego życia, widział oczyma wyobraźni mieniący się, barwny kalejdoskop minionych sukcesów i porażek.

Miał za sobą mnóstwo nieprawdopodobnych katastrof, ale jeszcze więcej szczęśliwie zakończonych ryzykownych awantur. Będąc synem zegarmistrza i terminując w tym fachu, dostał się na dwór królewski, gdzie polecono mu regulować zegary jego królewskiej mości, nieżyjącego już dziś Ludwika XV. Bystrość jego i miłe obejście zwróciły uwagę sędziwego króla. Spodobał się także leciwym córkom królewskim, więc zaangażowały go jako nadwornego nauczyciela gry na harfie. Zwrócił na niego uwagę szczwany lis, kuty na cztery nogi, finansista Duverny, wtajemniczył go w kruczki wielkich finansistów i przyjął jako swego współnika. Rzutki Pierre, wykorzystując swe zalety towarzyskie i zdolności do intryg, dbał o interesy firmy Duverny i o swoje własne, kupował tytuły i godności dworskie; po jakimś czasie osiągnął wspaniałe rezultaty, pozyskał przyjaźń wielu mężczyzn,

zaskarbił miłość wielu kobiet, ale także zdobył - wskutek nieumiejętności panowania nad swym ostrym językiem - niejednego wroga.

Potem napisał dwie pierwsze sztuki. Skreślił je niejako lewą ręką, na kolanie, w antraktach między miłosnym przygodami i transakcjami handlowymi. Ale w czasie pisania lewica zamieniła się w prawicę. Potem przyszły dwa małżeństwa, oba szczęśliwe. Obie kobiety były piękne i bogate, ale obie żyły krótko, nie pozostało po nich nic prócz lasu w Chinon, wielkiego handlu drzewem, w który włożył część ich pieniędzy, oraz powodzi plotek i kalumnii. Z kolei zmarł wielki finansista Duverny, którego Pierre czcił i uważał za swego nauczyciela, i życie Beaumarchais'go potoczyło się z jeszcze bardziej zawrotną szybkością. Wciągnięto go w jakieś brudne procesy, wskutek niesprawiedliwych wyroków sądowych utracił majątek, wtrącono go do więzienia, pozbawiono nie tylko urzędów i tytułów, za które drogo zapłacił, ale i zwykłych praw obywatelskich.

Krzywda ta jednak stała się dla niego błogosławieństwem, gdyż dała mu asumpt do napisania błyskotliwych, niezwykle dowcipnych pamfletów politycznych, które w większym jeszcze stopniu niż komedia o Figarze, cyruliku z Sewilli, przyczyniły się do jego światowej sławy.

Oprócz sławy przyniosły mu przyjaźń wielu wpływowych ludzi. Jeden z tych przyjaciół - kiedy Pierre, pozbawiony praw obywatelskich, miał zamkniętą drogę do urzędów państwowych - postarał się o umieszczenie go w tajnej służbie królewskiej. Pierre na nowo zaczął piąć się w górę, aż dotarł do szczytu, do powierzonej mu dzisiaj misji.

Tak, dzień dzisiejszy jest punktem zwrotnym, pozwala na ostateczne zerwanie z marami przeszłości rzucającymi cień na jego dotychczasowe życie. Teraz dopiero Beaumarchais

przekreśli krzyżując niesprawiedliwość owego procesu i wyroku.

Bezmyślny wyrok, wydany swego czasu przez najwyższy sąd paryski, jest bowiem wciąż jeszcze prawomocny. Pierre, jadący do Paryża zbyt kownym powozem, świetnie ubrany, obdarzony najwyższym zaufaniem jego królewskiej mości, powołany do najtrudniejszego zadania, jakie mogła powierzyć już nie tylko Francja, ale i historia świata, mocą owego sławetnego wyroku po dziś dzień odarty jest z praw obywatelskich, napiętnowany. Postanawia sobie teraz, że się to zmieni. Zmusi gabinet do wyrażenia zgody na rewizję procesu, do przywrócenia mu pełni praw. Jeżeli rząd nie zechce tego uczynić, niechaj rozejrzy się za kimś innym, kto potrafi załatwić ciemne, zagmatwane sprawy. Ale ci panowie nie znajdą innego. Tylko Beaumarchais może doprowadzić do końca interes, który sam wymyślił.

Teraz, wjeżdżając powozem do Paryża, bystrymi, błyszczącymi ze szczęścia oczyma przyglądał się ludziom i przedmiotom. Ilekroć wracał do Paryża, był dumny, że jest synem tego największego i najpiękniejszego miasta na świecie. Nigdy jednak nie rozpiełała go radość tak nieposkromiona jak dziś. I nigdy jeszcze żaden najbardziej niedostępny szczyt nie wydawał mu się tak olśniewający jak ten jego nowy cel.

Pierre Caron de Beaumarchais, wielki polityk, obrotny kupiec, utalentowany dramaturg, ma charakter szlachetny, co więcej - jest wspaniałomyślny i wielkoduszny; a jednak tkwi w nim kawał komedianta, nurtuje go tak nieposkromiona żądza odegrania pierwszych skrzypiec, że to aż graniczy ze śmiesznością. Szybki i pewny w sądach o ludziach i sprawach, nigdy nie przenika ich do głębi. Utalentowany pisarz i dobry kompan, umie porwać słuchaczy patosem retoryki, zmiażdżyć przeciwników śmiałym dowcipem. Jest bardzo rozumny, lecz

brak mu prawdziwej mądrości. Jest żądny użycia, ale potrafi dzielnie znosić nieszczęścia i konieczność wyrzeczeń. Głowę ma otwartą dla wielkich idei współczesności, nawet jeżeli są ze sobą sprzeczne. Jedni uważają go za człowieka sławnego, inni - za zniesławionego. Gdziekolwiek się pojawi, otaczają go zawiść, złość, zdrażnione ambicje. Pada często ofiarą broni zaprawionej jadem. Ale niezliczona ilość mężczyzn i kobiet, i to nie najpośledniejszych, jest mu przyjazna. Są i tacy, którzy go kochają i gotowi są poświęcić dla niego wszystko.

Przeżył wiele, jest po brzegi wypełniony przeszłością, ale nie ma w nim zblazowania. Dziś, mając lat czterdzieści cztery, jest równie ciekawy i niecierpliwy jak wtedy, kiedy jako szesnastolatek uciekł z warsztatu ojca, by wałęsać się po ulicach Paryża. Dziś, tak samo jak dawniej, rzuca się cały w każde przeżycie. Nie oszczędza. Jest rozrzutny w stosunku do swego czasu, pieniędzy, talentu i życia.

Powóz dotarł do zatłoczonych ulic śródmieścia. Pierre prostuje się jeszcze bardziej, przybiera pełną wdzięku pozę. Pół Paryża zna go, co dziesiąty przechodzień mu się kłania. Jest świadom, że mnóstwo osób spogląda w jego stronę i mówi: „To pan de Beaumarchais, wielki finansista, wielki pisarz, macza palce we wszystkich interesach państwowych”. A przy tym ci ludzie nie domyślają się nawet, jakie nowe olbrzymiej wagi zadanie zostało mu powierzone. Misja, którą zdobędzie świat. Szkoda, diablo szkoda, że nie może nic opowiedzieć swoim paryżanom.

Ach, i siostrom nie wolno nic powiedzieć, i ojcu. Są do niego, przywiązani i on do nich, ale są zbyt żywi, za dużo mają temperamentu, mogliby nie zachować tajemnicy.

Za chwilę zobaczy ich, za chwilę otoczą go, czuli, ciekawi, pełni troski, nadziei, miłości. Uśmiecha się szerzej, piękna, mądra, rumiana twarz promienieje, kiedy wjeżdża w barwną zgiełkliwą rue de Conde, przy której wznosi się jego dom.

Jedli kolację w nastroju radosnym. Wiadomość, że Pierre wrócił z Londynu, rozeszła się szybko. Oprócz domowników zjawili się krewni i serdeczni przyjaciele. O każdej porze drzwi były otwarte dla bliskich znajomych; Julia, siostra Carona, prowadziła dom na szeroką stopę.

Siedzieli więc w obszernej jadalni, w kandelabrach płonęło mnóstwo świec, lokaje wnosili i wynosili półmiski, piwnica i kuchnia domu przy rue de Conde były dobrze zaopatrzone.

Byli sami swoi, ale rodzina Caron stanowiła hałaśliwą, wesołą, ciekawą kompanię, a humor Beaumarchais'go, jeszcze lepszy niż zazwyczaj, zarażał wszystkich. Caronowie spoglądali z podziwem na swego Pierre'a, który obok królowej był najpopularniejszą postacią w kraju. Teraz powrócił z Londynu i zaraz uzyskał posłuchanie w Wersalu. Nie ulega wątpliwości, że pracuje nad czymś naprawdę wielkim, na skalę światową. Kiedy go jednak wypytywano, uśmiechał się tylko lub co najwyżej odpowiadał: „Tak, Julio, jeżeli chcesz kupić jeszcze jeden powóz albo potrzeba ci jeszcze więcej służby, możesz sobie teraz na to pozwolić”.

Z niczym więcej się nie zdradził. Za to opowiadał wiele o swym pobycie w Londynie. Klimat jest okropny, ale służy kobietom, gdyż cera ich staje się dzięki temu biała i delikatna; zwłaszcza rude, których się tam spotyka niemało, mają szczególny wdzięk. Nie zwracając uwagi na obecność swego piętnastoletniego siostrzeńca, rozwodził się nad szczegółami przeróżnych miłosnych przygód.

Julia nie odrywała oczu od warg brata. Była to żywa, miła pani w wieku lat czterdziestu. Miała taką samą rumianą twarz, taki sam kształtny, duży nos, takie same mądre, ciemne oczy jak Pierre. Kochała brata bałwochwalczo, a nie chcąc się z nim rozstawać odrzuciła liczne propozycje małżeńskie. Wtrącała się do wszystkich jego spraw. Często spierali się

gwałtownie, by się tego samego dnia nie mniej gwałtownie pogodzić, oboje lubili i sprzeczki, i godzenie się.

Tonton, młodsza siostra, jeszcze piękniejsza od Julii, siedziała obok męża, milczącego radcy sądu, de Mirona, i paplała bez przerwy. Skarżyła się, że chciała sobie dać uszyć suknię przez mademoiselle Bertin, krawcową królowej. Mademoiselle Bertin kazała jej jednak powiedzieć, że może przyjąć zamówienie tylko z terminem dwumiesięcznym, dodając, że najniższa cena za uszycie sukni dla damy, która nie bywa u dworu, wynosi dwa tysiące liwrów.

Tu doszedł nareszcie do głosu Filip Gudin, uczony, najwierniejszy powiernik Carona. Filip posługiwał się chętnie wyszukаныmi, skomplikowanymi zdaniami. Pokażnej tuszy, lubił dobrze i dużo zjeść. Teraz rozpiął nieco spodnie pod szerokim, długim surdudem, podciągnął w górę koronkowe mankiety, by mu nie przeszkadzały przy jedzeniu. Siedział rozparty na krześle, które wypełniał po brzegi, i rozwodził się szeroko nad standardem życiowym różnych klas. Cytując z pamięci dokładne cyfry, wywodził, co by można mieć za te dwa tysiące liwrów, których mademoiselle Bertin żąda za fason sukni. Wyliczał z pamięci z zadziwiającą precyzją, ile lat musiałby na przykład pracować drwał, by zarobić tę sumę, ilu drwali mogłoby z niej żyć przez rok. Obliczenie wykazało, że 7;9/16 drwała.

Pierre odpowiedział na to żartobliwie i pojednawczo:

- No tak, ale mademoiselle Bertin jest w swoim fachu jedyna. To zjawisko epokowe, artystka. Dlaczego więc nie ma brać takich cen? Tonton, każ sobie zrobić tę suknię na mój rachunek. - Rozpromieniona Tonton dziękowała entuzjastycznie.

Sekretarz Maigron informował, że w ciągu dnia zameldowało się u portiera przeszło sto osób, by złożyć swoje uszanowanie przybyłemu z podróży panu Beaumarchais.

- Tak - powiedział ojciec, stary Caron - miasto czuje, że nasz Pierre wrócił. - Miał głos wysoki, ale jeszcze dość młody i wszystkie zęby własne.

Pierre z uśmiechem nieco ironicznym, bardzo zadowolony, poklepał starego po ramieniu. Wieść o tym, że robi karierę, rozeszła się szybko, więc biegną, by się nie spóźnić. Ale nie chciał być niesprawiedliwy. Byliby przyszli, gdyby nawet nie osiągnął sukcesu; wielu go podziwiało, czy to w szczęściu, czy w nieszczęściu.

Był świadom tego podziwu i wiedział, że taki podziw obowiązuje. Ponieważ wszystko, co czynił, robione było w najpełniejszym świetle, najmniejsza plamka stawała się od razu widoczna. Nie mógł sobie pozwolić na słabość, musiał być stale w pogotowiu, by wciąż na nowo przekonywać wątpiących.

Taki na przykład młody Felicjan Lepine, syn jego najstarszej siostry Magdaleny. Po śmierci rodziców Felicjana Pierre wziął na siebie edukację chłopca, posyłał go do wytwornego College Montaigu. Zakład był surowy, zakres nauki szeroki; Felicjan, choć nie należał do głupców, był powolny i ociężały, z trudem dawał sobie radę z nauką. Jeszcze bardziej niezręczny okazał się w przyswojeniu sobie kunsztów dworskich, których uczono wychowanków, a mianowicie: fechtunku, konnej jazdy, tańca i wytwornych manier. Niektórzy arystokratyczni koledzy wytykali mu przy tej okazji niedwuznacznie, że jest synem mieszczanina, zegarmistrza Lepine; od czasu do czasu drażniono go złośliwie wujem Beaumarchais i jego brzydki pachnącymi aferami. Felicjan nie skarżył się ani słowem, ale cierpiał. Choć skończył już lat piętnaście, mało miał w sobie młodzieńczości; był bardziej ociężały i rozważny niż wszyscy Caronowie, poważniejszy, bardziej dorosły niż czterdziestoletni Pierre. Niewątpliwie czuł wdzięczność dla sławnego wuja za wyświadczone mu dobrodziejstwa, ale

trzymał się nieco z daleka. Caronowi, który w ogóle łatwo znajdował wspólny język z dziećmi, nie udało się zdobyć zaufania chłopca. Felicjan obserwował z uwagą wszystko, co robił Pierre, ale Pierre nie orientował się, czy w tej uwadze jest podziw, czy krytyka. I dziś czuł się nieswojo pod spojrzeniem wielkich poważnych, oczu chłopca.

Odwrócił wzrok i popatrzył w drugą stronę stołu, gdzie siedział Paweł Theveneau. Uśmiechnął się do Pawła, Paweł odpowiedział uśmiechem pełnym szczęścia. Po oziębłości, jaką stale okazywał mu Felicjan, przywiązanie Pawła było bardzo miłe. Caronowi pochlebiało, że zjednął sobie tego człowieka. Paweł należał z początku do wrogów Beaumarchais'go; poznali się w okresie zaciekłych kłótni na tle handlowym między nim a bratem Pawła. Wkrótce jednak Pierre dzięki właściwościom swego charakteru zdobył pełną podziwu przyjaźń Pawła.

Na zewnątrz Paweł nie przedstawiał się imponująco. Kiedy tak siedział przy stole, miał wygląd godny politowania. Surdut wisiał na nim jak na kołku; niezdarnie trzymał nóż i widelec w małych, chudych, dygocących rękach. Ramiona miał spadziste, ale twarz piękną i bardzo młodą, o wielkich, promiennych oczach. Piekielnie mądry, mógł być bardzo użyteczny. Szkoda, że choruje na gardło i choć ma dopiero lat dwadzieścia sześć, długo nie pociągnie.

Tymczasem rozmowa przeszła na temat niedawno wydanej książki o Indiach Zachodnich. Wszechwiedzący Filip Gudin wygłosił coś w rodzaju naukowego referatu na temat doniosłej roli, jaką wyspy odgrywają w gospodarce królestwa. Cytował z pamięci cyfry, ilości cukru, tytoniu, indygo, bawełny, kakao, pieprzu i kawy, przywożonych z Indyj Zachodnich. Były to cyfry imponujące.

- Moglibyśmy - zabrał głos Pierre - wyciągnąć z tych dominiów jeszcze większe korzyści, gdyby mnie usłuchano.

Kiedyś opracowałem projekt, który gwarantował nam monopol w handlu czarnymi niewolnikami. Gdyby Wersal, jak to proponowałem, zmonopolizował zachodnioindyjski handel niewolnikami, byłoby w kasach państwowych dosyć pieniędzy. Król mógłby przeprowadzić postępowe reformy Turgota, w kraju byłoby więcej wolności i sprawiedliwości. „I więcej pieniędzy dla Ameryki” - pomyślał, a głośno dodał:

- Kiedy wreszcie zostanie zawarty nowy traktat handlowy z Hiszpanią, może ktoś sięgnie po mój projekt.

Wszyscy mówili teraz o Hiszpanii. Miesiące, które Pierre spędził w Madrycie, były najlepszym okresem w jego gorącym, nieokiełznanym życiu. Wśród wielu momentów, które czyniły życie jego tak dramatycznym, może do najwspanialszych należał ten, gdy zmusił uwodziciela swej siostry Lisette, tchórzliwego, podstępного Clavigo, by uratował jej honor. Tak, Pierre uczynił ze swego życia w Madrycie przedziwnie skomplikowane, porywające widowisko dzięki mieszaninie namiętności, dowcipu, muzyki, pieniędzy, wielkiej polityki, poezji, teatru i pięknych, łatwych kobiet. Ponadto ów najlepszy syn i brat, jakim był niewątpliwie, znajdował w tym szaleństwie czas na pisanie obszernych listów do ojca i sióstr; były radosne, interesujące i tak obrazowe, że mogli brać udział we wszystkim, co przeżywał. Teraz, kiedy znowu wrócił po długiej, uwieńczonej sukcesem nieobecności, ojciec i siostry cytowali te młodzieńcze listy, wspominali szczegóły, śmiali się, byli szczęśliwi.

Julia poprosiła, by zaśpiewał dla Felicjana pieśni hiszpańskie, seguidille i sainety. Całe towarzystwo poparło jej naleganie. Felicjan ożywił się, to święto nie lada usłyszeć wuja śpiewającego. Przyniesiono gitarę.

Ale nim Pierre zdążył rozpocząć, zjawił się nowy gość, monsieur Lenormant d'Etioles.

Wszyscy podnieśli się, ruszyli w jego stronę, rozradowani, zaszczyceni. Monsieur Lenormant przywitał Julię z powolną, ceremonialną uprzejmością. Był ubrany starannie, kosztownie, ale nie rażąco, trochę w stylu starofrancuskim; nic sobie z tego nie robił, że strój podkreślał jeszcze jego wiek - lat sześćdziesiąt.

Przedstawiono go tym spośród gości, których jeszcze nie znał. Ze specjalną ciekawością przyglądała się Tonton potężnemu panu, o którym tyle słyszała i który był przyjacielem jej brata. Monsieur Lenormant odznaczał się okazałą tuszą. Małe, głęboko osadzone oczy patrzyły melancholijnie, od nosa do kątek pełnych ust ciągnęły się głębokie fałdy. Miał twarz sybaryty, który przeżył dużo rozczarowań i stał się podejrzliwy, ale nie myśli o wyrzeczeniu się rozkoszy doczesnych.

Pierre pisał do pana Lenormant jeszcze z Londynu, że w niezmiernie ważnych sprawach wróci do Paryża i będzie bardzo rad, jeżeli możliwie jak najprędzej go zobaczy. W skrytości ducha liczył na to, że Lenormant zjawi się jeszcze tego wieczora, ale sam przed sobą nie miał odwagi się do tego przyznać; Lenormant kazał niekiedy po kilka dni czekać na siebie samemu premierowi; to, że przyszedł już dzisiaj, było dla Beaumarchais'go najpiękniejszym ukoronowaniem tego szczęśliwego dnia.

Sześćdziesięcioletni Charles-Guillaume Lenormant d'Etioules pochodził ze starej szlachty, mógł piastować każdy urząd dworski, otrzymać każdy wielki tytuł. Ale zależało mu na tym, by w szerokich kołach mało o nim słyszano, i zadowalał się skromną godnością sekretarza króla; kiedy Pierre był jeszcze w posiadaniu praw obywatelskich, dokupił sobie do takiegoż tytułu inne, bardziej dźwięczne. Lenormant dzierżawił podatki dwóch prowincji i miał udziały w licznych przedsiębiorstwach. Uchodził za niezwykle mądrego i

przezornego, szczęście jego było przysłowiowe, lubił świat interesów. Ponieważ jako potomek starego szlacheckiego rodu nie mógł prowadzić przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych, posługiwał się ludźmi podstawionymi i bardzo chętnie korzystał z usług Carona.

Pierre poznał wpływowego pana w domu swej przyjaciółki Desiree Mesnard. Nie miał złudzeń, że Lenormant z początku tylko dlatego zabiegał o jego przyjaźń, ponieważ był zakochany w Desiree i obawiał się, żeby mu Pierre u niej nie szkodził. Stopniowo jednak obydwaj zaczęli sobie coraz bardziej przypadać do serca, powstała przyjaźń, zaczęli mówić do siebie: Charlot i Pierrot. Beaumarchais podziwiał w panu Lenormant genialnego człowieka interesu, szukał jego rady, Lenormant rad był z pojętnego ucznia. Pomagał mu w najcięższych okresach; kiedy Pierre po wielkim procesie stracił majątek i urzędy, Lenormant był tym, który dzięki stosunkom z premierem wystarał mu się o stanowisko tajnego agenta w Londynie.

Lenormant ze swej strony cenił zalety towarzyskie Beaumarchais'go, jego świeżość uczuć, dowcip, szybką orientację, twórczość literacką oraz głęboką znajomość teatru. Lenormant urządzał na swej scenie prywatnej w zamku Etioles widowiska o dużych ambicjach artystycznych, rada i współpraca Beaumarchais'go były mu nieodzowne.

Julia zaprowadziła Lenormanta do stołu; krzątała się dokoła niego, częstowała go łakociami, winem; wziął do ust kawałek smażonego w cukrze imbiru.

Rozmawiano w dalszym ciągu o Hiszpanii. Filip Gudín, przekonany, że wyświadcza panu de Beaumarchais przysługę, przypomniał mu daną Felicjanowi obietnicę zaśpiewania hiszpańskich pieśni.

Tymczasem z chwilą zjawienia się Lenormanta Hiszpania zapadła się dla Carona w nicość, gdyż myślał teraz wyłącznie

o Ameryce. Liczył na to, że Charlot zostanie udziałowcem firmy Hortalez. Potrzebował pięciu do sześciu milionów liwrów i był zdany na łaskę Charlota. Jeżeli pan Lenormant przystąpi do interesu, inni przyjdą sami. Poza tym Pierre był bardzo ciekaw, co Charlot powie na tę wielką imprezę, płonał z niecierpliwości, by mu wszystko opowiedzieć. Z natury popędliwy, chciał to zrobić możliwie szybko, teraz, zaraz.

Uprzejmie, ale stanowczo obiecał towarzystwu, że kiedy indziej zaśpiewa hiszpańskie pieśni, i poprosiwszy Julię o pozwolenie wstania od stołu, przeszedł z Lenormantem, p Pawłem Theveneau i sekretarzem Maignon do swego gabinetu. W gabinecie zapalono świece, z ciemności wyłonił się obszerny, z wielkim przepychem urządzone pokój. W kątach stały popiersia Arystofanesa, Moliera, Woltera i pana domu. Ściany były pozawieszane obrazami i różnymi ozdobami, tylko na samym środku jednej z nich widniało duże, puste miejsce. Było przeznaczone na portret zmarłego pana Duverny, doskonałe płótno pędzla najbardziej wówczas cenionego portrecisty Duplessis. Duverny zapisał je Caronowi, ale w owym hańbiącym procesie testament został zakwestionowany i portret przyznano innym spadkobiercom. Pierre uparł się, że go odzyska, a puste miejsce na ścianie bogato urządzonego pokoju miało o tym stale przypominać.

Na prośbę Beaumarchais'go Charlot usiadł przy biurku. Był to potężny, bardzo kunsztowny mebel. Wykonał go mistrz Pluvinet z szlachetnych odmian drzewa sprowadzonych z oceanu, inkrustacje robił Dupin: jeśli nie było to najpiękniejsze biurko w królestwie, to z pewnością należało do najdroższych.

Byli więc we czterech. Charlot siedział przy biurku z na pół przysłoniętymi powiekami. Sekretarz Maignon wziął do ręki papier i jeden z nowomodnych przyborów do pisania - ołówek, którego nie znosił Lenormant uważając go za

plebejski. Maigron był od lat zaufanym sekretarzem Beaumarchais'go. Niewątpliwie czekał z zainteresowaniem, co Pierre zakomunikuje. Ale należał do milczków, rzadko wypowiadał swoje zdanie czy sąd; i teraz twarz jego nie zdradzała napięcia. Za to Paweł Theveneau nie ukrywał podniecenia; siedział na skraju krzesła, wpatrzony w przyjaciela rozgorączkowanymi oczyma.

Pierre stał, od czasu do czasu wielkimi krokami przemierzał pokój, opowiadał. Płynnie, błyskotliwie, pamiętając o efektach i świadomie je wyzyskując, mówił o swym memoriale do króla i ministrów, o rozmowie z ministrem Vergennes. Wyjaśniał, że wprawdzie zażądał trzech milionów liwrów, ale wyliczył sobie, iż w najgorszym razie wystarczy subwencja w wysokości miliona. Zakończył skromnym stwierdzeniem, jakby od niechcenia, że rząd w wiążącej formie zapewnił mu dwa miliony.

Nawet chłodny zazwyczaj sekretarz Maigron zdumiał się, kiedy Pierre wymienił tę cyfrę. Paweł Theveneau nie ukrywał bezgranicznego entuzjazmu; w młodej, zaczerwienionej twarzy gruzlika jaśniały wielkie, piękne oczy, nie mógł usiedzieć w miejscu, podszedł do Carona, ujął go za rękę i powiedział wzruszony:

- Nareszcie ktoś zastępuje słowa czynami. Nareszcie ktoś wziął się energicznie do rzeczy. Podziwiam pana, Pierre.

Pierre wiedział, że Paweł Theveneau był pomimo młodego wieku trzeźwym handlowcem, toteż ucieszył się, że jego raport tak go poruszył. Najważniejsze było jednak, jak słowa jego podziałają na pana Lenormant.

Ten milczał. Okrągła, melancholijna twarz była nieruchoma. Zamglone oczy nic nie zdradzały. Pierre nie umiał już dłużej panować nad sobą i zapytał wprost:

- Co pan o tym myśli, Charlot?

Wszyscy spojrzeli na pana Lenormant. Ten rzeczowo, z namysłem zapytał cichym głosem:

- A kto zapłaci, jeżeli Amerykanie zostaną pobici?

- Nie zostaną pobici - odpowiedział mocno Pierre - dowiodłem tego niezbitymi argumentami w moich raportach do króla.

Pan Lenormant nie dał się tak łatwo przekonać.

- Jedno wydaje się pewne - powiedział - powstańcy nie mają pieniędzy.

- Ale mają towary - odparł żarliwie Pierre. - Indygo, tytoń, bawełnę.

- A kto panu powiedział, że właśnie panu przyślą te towary?

- Walczą o wolność - odparł Pierre z zapałem - są przejęci ideałami Monteskiusza i Rousseau; tacy ludzie płacą swoje długi.

Charlot nic nie odpowiedział. Spojrzał tylko na Carona i jego wykrzywione wargi skrzywiły się jeszcze bardziej. Tamci dwaj zapewne nie zwrócili na to uwagi, ale Pierre znał ten uśmiech Charlota od dawna i bał się go. Uśmiech ten promieniował od wewnątrz; tak mógł uśmiechać się tylko człowiek, którego uczucia i przekonania ukształtowały się pod wpływem życiowych doświadczeń. Wobec tego uśmiechu więdła wiara, zanikała pewność siebie. Pierre liczył na to, że tym razem uśmiech się nie pojawi. Ponieważ stało się inaczej, pojął wyraźnie, na jak ogromne niebezpieczeństwo naraził się swym przedsięwzięciem.

Na chwilę niezwykle ostro i jasno uświadomił sobie całe ryzyko swego amerykańskiego interesu. Ale już po upływie minuty pomyślał: „A jednak! Było nie było! Zaryzykuję!”

Ledwie dostrzegalny uśmiech znikł już z twarzy pana Lenormant. Ale pan Lenormant milczał jeszcze.

- Z drugiej strony - powiedział w końcu. - dwa miliony subwencji rządowej to niezła sumka.

- Tak, dwa miliony subwencji to nie bagatela - wmieszał się Paweł Theveneau, pełen złośliwego niemal triumfu. Młody człowiek trzymał się zwykle w obecności generalnego dzierżawcy skromnie na uboczu, ale dziś porwał go rozmach przedsięwzięcia. - Dwa miliony subwencji to nie bagatela - powtórzył i podniecony zaczął przemierzać gabinet niespokojnym krokiem.

Kiedy tak biegał po pokoju, bardzo chudy, w wiszącym luźno surducie, ukazując pod obcisłymi pończochami chude łydki, robił wrażenie groteskowe. Jednak zarówno Pierre, jak Charlot patrzyli życzliwie na radośnie podnieconego młodzieńca; nawet sekretarz Maigron nie brał mu za złe jego wybuchu.

Paweł Theveneau od najmłodszych lat szukał człowieka, którego mógłby czcić, sprawy, w którą mógłby wierzyć. Później spotkał Beaumarchais'go. Z entuzjazmem przyjmował szybkie, genialne pomysły starszego od siebie wiekiem człowieka, słuchał z przejęciem, kiedy tamten wyczarowywał wielkie projekty, plany zakrojone na światową skalę; był przekonany, że los wybrał Beaumarchais'go do odegrania historycznej roli, brakowało mu tylko okazji. Teraz znalazł okazję: Ameryka!

- Miałem nadzieję, Charlot - zwrócił się Pierre na nowo bardzo uprzejmie do pana Lenormant - że nie uchyli się pan od udziału w tym przedsięwzięciu.

- Nie ma rzeczy wykluczonych - odparł pan Lenormant, melancholijnie spoglądając głęboko osadzonymi oczyma - i bardzo to uprzejmie z pańskiej strony, drogi Pierrot, że mnie pierwszego wtajemniczył pan w tę doniosłą sprawę. Niechże mi pan zrobi tę przyjemność i zje jutro ze mną kolację. Zobaczymy, jaki będzie mój pogląd po przespanej nocy.

Pierre znał Charlota i jego nieufność. Mimo to był zawiedziony, że trzeba będzie jeszcze czekać całą noc i cały dzień.

Zrobiło się późno, Charlot pożegnał się. Schodził ze schodów poprzedzony przez służącego, który niósł świecznik. Pierre odprowadził go aż przed dom.

Gdy wrócił, u góry schodów czekała na niego Julia. Otoczyła rękami jego szyję śmiejąc się i płacząc równocześnie.

- Podśluchiwałaś? - zapytał.

- Oczywiście - odpowiedziała.

Obok wielkiego gabinetu pana de Beaumarchais mieścił się mały, intymny gabinetek; przyjmował tam czasami panie, przychodzące w interesach. Stamtąd to Julia zwykła podśluchiwać rozmowy, które prowadził.

- To nikczemność, że o swoich sukcesach opowiadasz twojemu Charlot, a nie mnie - powiedziała czule. - Gniewam się na ciebie, choć taka jestem szczęśliwa. - To mówiąc objęła go znowu.

- Uspokój się - powiedział nie mniej czule i zaprowadził ją do małego gabinetu.

Nie było tam nic prócz dwóch krzeseł, otomany i skrzyni. W skrzyni tej przechowywał Pierre swoje najcenniejsze pamiątki. Mieścił się tam plan wynalazku, który zrobił za młodu i który teraz przemysł zegarmistrzowski zastosował daleko poza granicami Francji. Znajdowały się tam rękopisy broszur opublikowanych w związku z jego wielkim procesem, które mu przyniosły światową sławę. Obok pierwopisu Cyrulika sewilskiego leżały pokwitowania sum, które wpłacił za nadanie mu tytułu szlacheckiego i godności dworskich, oraz najpiękniejsze spośród listów miłosnych, jakie otrzymał. Wkrótce nadejdzie chwila, kiedy do tych dokumentów dołączy nowy, o światowym znaczeniu.

W obliczu tej skrzyni zaczął więc teraz opowiadać swej siostrze całą sprawę. Poprzednio zamierzał nic jej nie mówić; powinien był zabezpieczyć się przed jej podsłuchem, zanim rozpoczął rozmowę z Charlotem; opowiadanie jej dalszych

szczegółów nie miało sensu. Ale wobec rezerwy Charlota musiał poprzestać na suchej i rzeczowej relacji, teraz więc nie mógł już dłużej utrzymać się w ryzach. Płomiennie fantazjował przed siostrą, jakie to wszystko będzie wspaniałe. Patrzyli na siebie błyszczącymi oczyma, coraz wyżej wznosili gmach swoich marzeń. Potem zaklął ją na wszystkie świętości, by nic nikomu nie mówiła, nawet ojcu; człowiek na starość robi się gadatliwy, a chodzi przecież o to, by sprawa pozostała w tajemnicy.

Powiedzieli sobie dobranoc, ucałowali się.

Emil, kamerdyner Carona, czuwał jeszcze, by położyć pana do łóżka. Prędko i zręcznie zdejmując z niego skomplikowany strój, zapytał z pełną szacunku poufałością:

- Monsieur miał dziś dobry dzień?

- Bardzo dobry - odrzekł Pierre. - Życzę dużo takich dni wszystkim dobrym Francuzom.

Emil odsunął ciężkie portiery, za którymi stało na podniesieniu wspaniałe łóże. Pierre kazał sobie podać jeszcze kandyzowany owoc, umaczał wargi w przygotowanym na noc napoju, wreszcie położył się. Emil okrył go, zaciągnął portiery, tylko matowe światło małej lampki nocnej przesączało się do alkowy. Pierre ziewnął głośno i z zadowoleniem, odwrócił się na bok, podkulił nogi, zamknął oczy.

Zanim jednak zasnął, padł znów na niego jaśniejszy promień światła, ktoś odsunął portierę.

- Czego chcesz jeszcze, Emilu? - zapytał nie otwierając oczu.

Nie był to Emil, lecz ojciec Caron. Usiadł na szerokim, wielkim łóżu; w szlafroku, pantoflach i szlafmicy wyglądał jak niedołączny starzec.

- Powiedz mi, mój synu - zaczął - co się właściwie dzieje? Rozumiem, że nie chciałeś mówić przy siostrach. Kobiety są gadatliwe. Ale teraz jesteśmy sami.

Pierre mrużył oczy. Spod szlafroka wyglądały owłosione i chude nogi starca, ale oczy, które z czułością i zaciekawieniem patrzyły na syna, były żywe i młodsze. Stosunek Carona do ojca był dość złożony. Stary Caron pochodził z rodziny hugonockiej. Jako protestanta, wcielono go przemocą do wojska; wyrzekł się później swojej wiary, został nadwornym zegarmistrzem i bardzo gorliwym katolikiem. Między ojcem i synem dochodziło do starć z powodu życia, jakie prowadził Pierre. Pierre uciekł ojcu z warsztatu, jednakże po kilku nieudanych próbach wrócił do domowych pieleszy. Ojciec zmusił go wówczas do podpisania obszernej umowy, ustalającej dokładnie prawa i obowiązki syna, i wówczas dopiero mu przebaczył. Przy tej okazji, jak również przy szeregu innych, stary przepowiadał synowi, że źle skończy. Jednak Pierre źle nie skończył, przeciwnie, zaszedł tak daleko, że mógł sobie kupić szlachectwo i pięknie brzmiące urzędy. Jeśli chciał być naprawdę szlachcicem, musiał zażądać od starego, by rzucił swe mieszczańskie rzemiosło.

Stary bronił się z pasją, gdyż kochał swój zawód. Pierre przypomniał mu, że nie wyszedł źle na wyrzeczeniu się protestantyzmu. Wreszcie stary podporządkował się, ale nadal nosił się dumnie.

Pierre kochał ojca. Uważał, że umiejętność pisania sztuk scenicznych i dokonywania machinacyj handlowych, w których setki kółek zazębiają się precyzyjnie o siebie, zawdzięcza naukom i doświadczeniom z okresu praktyki zegarmistrzowskiej, i nie zapominał tego staremu. Wziął go do swego domu i wyznaczył mu rentę. Stary przyjął ją naprzód, później odrzucił, wreszcie znowu przyjął. Wprowadził się do domu syna, potem się wyprowadził, wreszcie wrócił. Kiedy Pierre po przegranym procesie utracił

tytuły i godności, stary szydził z niego: czy warto było rzucać dobre, uczciwe rzemiosło?

W ostatnich latach stosunki ich ułożyły się jak najlepiej, śmiali się z siebie samych i z głupoty świata. Choć nieraz jeszcze wzajemnie sobie dokuczali i mówili złośliwości, dobrze wiedzieli, że się kochają i są sobie bliscy. Od czasu do czasu Pierre wyciągał ojca na spacer po wersalskim parku i przedstawiał mu tam któregoś ze swych arystokratycznych przyjaciół: „Mój dobry, stary ojciec” - mówił czule, a stary, wyprostowany, w swym mieszczańskim surducie, kłaniał się grzecznie, ale nie za głęboko.

Teraz więc siedział stary Caron na łóżku ubóstwianego syna, któremu przepowiedział, że do niczego nie dojdzie, i pełen błogiej ciekawości czekał na to, by się dowiedzieć, o jaki to olbrzymi krok posunął się znowu naprzód.

Poinformowanie przyjaciela Charlota o swym sukcesie było dla Beaumarchais'go przeżyciem, rozmowa na ten temat z Julią uszczęśliwiła go. Z najwyższą błogością opowiadał ojcu o tym, co osiągnął.

Stary zerwał się na równe nogi. W rozwianym szlafroku, podniecony, kręcił się po pokoju, gestykulował, mówił do siebie, podbiegał do łóżka, głaskał syna. Pierre zapomniał o zmęczeniu, podniósł się. Nie czuł przed ojcem lęku, mówił z nim z jeszcze większą emfazą niż z siostrą. Wpatrzony w światło lampki nocnej, z głupią, niemal rozanieloną twarzą, kreślił przed starym swe wizje. Jak flota firmy Hortalez, własność jego, małego Pierrot, monsieur Pierre-Augustin de Beaumarchais, wyruszy na morze, wioząc moc armat, strzelb i prochu, jak broń ta, broń jego, Pierre'a, zmiażdży tyranie angielską, rozprzestrzeni wolność po świecie. Nie mówiąc o olbrzymich bogactwach, o zapasach indyga, perkalów i tytoniu, które ta flota przywiezie w powrotnej drodze rodzinie Caron de Beaumarchais.

Ojciec Caron był człowiekiem wykształconym, dużo czytał, był dobrym Francuzem. Olbrzymi udział Francji w poznawaniu i kolonizowaniu Nowego Świata napełniał go dumą, był rozgoryczony na Anglików, którzy kraj jego pozbawili należnego mu udziału i poczciwych chrześcijan - Francuzów, zmusili do kroków tak obrzydliwych jak sprzymierzenie się z czerwonoskórymi w celu skalpowania białych. Teraz więc syn jego pomagał narodowi rozsądku, dzielnym ludziom z Bostonu, zbliżonym do natury kwakrom, by gruntownie mogli rozprawić się z Anglikami.

W skrytości ducha ojciec Caron był głęboko przekonany, że jego odstępstwo od hugonockiej wiary to grzech, za który Bóg karać będzie jego dzieci i potomków. Ilekroć spotykało go jakieś niepowodzenie życiowe, rodziło się w nim poczucie winy, że zdradził wiarę. Teraz okazało się, że Bóg ma zrozumienie dla biednego hugonoty przemocą wcielonego do służby wojskowej. Bóg pochwalał to, że ktoś wolał być przyzwoitym, bogobojnym zegarmistrzem niż hugonockim dragonem. Bóg rozumiał i przebaczał. Gdyby tak nie było, nie powierzyłby jego synowi tej historycznej, światowej misji.

Po raz pierwszy całkowicie wyzwolony od poczucia winy Andre Charles Caron pogłaskał rękę syna.

- Ameryka - powiedział w zamyśleniu. - Mój Pierre oswobodzi Amerykę.

Znaczną część pracy Pierre zwykł wykonywać rano, bezpośrednio po wstaniu, kiedy robił toaletę. Ta wielkoświatowa moda odpowiadała jego upodobaniom. Pochlebiało mu, że ludzie zbierają się w jego domu, otaczają go; w trakcie ubierania się przyjmował prośby, skargi, oferty. Gromadził się u niego barwny tłum, którym rządziła ambicja, nędza, żądza zarobku, służalstwo, czelność i chęć odgrywania jakiejś roli.

Tym razem, wobec pogłosek, że Pierre ma zamiar stworzyć gigantyczne przedsiębiorstwo, zjawiało się jeszcze więcej osób niż zazwyczaj; nawet korytarze były zapchane.

Pierre zawsze lubił wyświadczać dobrodziejstwa i łaski. Obecnie mógł to robić na szeroką skalę. Firma Hortalez potrzebowała agentów we wszystkich miastach portowych, szukała pisarzy, buchalterów, chłopców na posyłki, wygalonowanych lokai. Dzięki niemu mógł spadać z nieba deszcz manny.

Siedział przy toalecie, a koło niego krzatali się Emil i fryzjer. Kłaniał się, rzucał dowcipne, przyjazne słowa, był bardzo łaskawy i jeżeli nie spełniał prośby od razu, to przynajmniej obiecywał, robił nadzieje.

Wśród obecnych znajdował się kapitan floty Adelon. Gdyby Pierre chciał wyprowadzić jakiś okręt przez Ocean Atlantycki, niechaj zechce łaskawie pamiętać, że kapitan odbył tę podróż sto dwadzieścia razy. Kapitan był zaopatrzony w jak najlepsze rekomendacje. Pierre kazał panu Maigron zanotować jego nazwisko.

Była tu również madame Chaix. Przed laty, ściślej mówiąc, przed dwudziestu laty, Pierre miał z nią miłosną przygodę. Teraz, na widok apetycznej jeszcze kobietki, przypomniał sobie, że była żoną właściciela warsztatu stolarskiego. Pierre nie wątpił, że w związku z nowym domem handlowym, który mieścić się będzie w Hotel de Hollande, warsztat ten zdoła niejednym jeszcze się popisać, więc monsieur Maigron również zanotował sobie adres. Pierre rozkoszował się otaczającym go gwarem, poczuciem, że jest szanowany, że ma władzę. Zjawili się wszyscy, przyjaciele i wrogowie. W ciągu tej pierwszej nocy rozeszła się z pewnością po całym wielkim mieście wieść, że monsieur de Beaumarchais znowu wypłynął. Ludzie, którzy dotychczas rzadko znajdowali do niego drogę, odkrywali nagle, że są z nim zaprzyjaźnieni lub spokrewnieni.

Zjawił się syn kuzyna drugiej żony jego ojca, przybył bratanek męża jego siostry Tonton.

Stawili się tacy, którzy węszyli interes, i tacy, którzy nie chcieli z wpływowego pisarza robić sobie wroga; byli wśród nich wielcy panowie. Więc baron de Trois-Tours, który włożył pieniądze w najpoważniejszą stocznię północy, jaką była stocznia Pelletier, więc monsieur Gachet z towarzystwa okrętowego Testard i Gachet w Bordeaux. Serce Carona rosło, kiedy zjawił się nawet kawaler de Clonard, syndyk wszechpotężnej Kompanii Indyjskiej.

Przybył również pan Clairval, reprezentant Theatre des Italiens. Między panem de Beaumarchais a wielkim aktorem istniała dawna, zaciekła wrogość. Pierre przeczytał swego Cyrulika sewilskiego naprzód zespołowi Theatre des Italiens. Byli zachwyceni, ale do wystawienia sztuki nie doszło. Pan Clairval, który miał grać rolę cyrulika, był kiedyś sam balwierzem i nie chciał, by przy tej okazji wspomniano jego przeszłość. Później Cyrulik zdobył niebywały sukces na scenie konkurencyjnej w Theatre Francais. Pan Clairval nie przypominał już sobie, że swego czasu odrzucił rolę, i za nic w świecie nie omieszkałby powitać kochanego przyjaciela zaraz po jego powrocie.

Był tu również dziennikarz Metra, który kilkakrotnie wyjątkowo złośliwie atakował Carona.

- Za jak wysoką cenę sprzedaje się pan teraz, mój drogi? - zapytał uprzejmie Pierre.

- Taki kolega jak pan - odpowiedział dziennikarz - ma zawsze największy rabat. Ale Pierre już nie słuchał. Z uczuciem triumfu dostrzegł za dziennikarzem godną, wyrazistą głowę pana Regnier. Pan Regnier, cieszący się poważaniem sędziego najwyższego sądu, nie bał się złożyć uszanowania człowiekowi napiętnowanemu, na którym ciążyło odium.

Powódź petentów. Pierre nie pominął ani jednego. Umiał zjednywać sobie ludzi. Nawet kiedy zamieniał z kimś zaledwie kilka słów, wypowiadał je tak, że ten, z którym rozmawiał, odchodził z uczuciem, iż Pierre specjalnie go wyróżnił.

Pierre czuł się w tym wirze szczęśliwy, audiencja poranna trwałaby z pewnością długo. Ale nagle zameldowano mu, że w gabinecie czeka na niego dama, mademoiselle Mesnard.

To było podobne do Desiree. Wpadła do niego bez ceremonii, nie oglądając się na żadne formy. I nic sobie nie robiła z tego, że dobroduszna na ogół Julia przy każdej sposobności okazywała jej swą niechęć.

Julia widziała w Desiree Mesnard źródło wszystkich nieszczęść, jakie spadły na brata. Z powodu Desiree doszło kiedyś między Caronem a zazdrosnym księciem de Chaulnes do bójki; książe doprowadził do tego, że Pierre powędrował niewinnie do więzienia. Zdarzyło się to w rozstrzygających dniach jego wielkiego procesu, nie mógł więc należycie bronić swojej sprawy. Zdaniem Julii wyłącznie Desiree była winna, że Pierre przegrał proces, co pociągnęło za sobą dla niego tyle nieszczęść. Julia nie mogła pojąć, jak po tym wszystkim Pierre mógł tolerować, że portret Desiree wisi na jednej ze ścian jego domu. Mówiła od czasu do czasu, że nie może patrzeć na twarz tej damy, i raz po raz nalegała, by Pierre usunął ten przepiękny portret pędzla Quentina de Latour. Pierre uśmiechał się tylko. Przecież to wspaniały portret, a Desiree jest wspaniałą dziewczyną. Trzymał się mocno zarówno przyjaźni z Desiree, jak i obrazu.

Pożegnał swoich porannych gości i udał się do gabinetu. Siedziała tam Desiree. Nie na żadnym z uroczyстых, niewygodnych krzesel; po prostu odsunawszy akta i różne ozdobne drobiazgi, ulokowała się na potężnym biurku.

Rozsiadła się wygodnie, rudawa, niewysoka, bardzo szczupła, zuchwała. Na widok Carona wybuchnęła śmiechem.

- Czy to dobry pomysł, żem przyszła? - zapytała.

Spojrzał radośnie na jej ładną, łobuzerską twarz, na lekko zadarty nos.

- Jakże to miło zobaczyć rozsądnego człowieka, który niczego nie żąda - powiedział i ucałował jej rękę i szyję.

- No, stary łobuzie - powiedziała - opowiadają, że smażyysz coś wielkiego. Już widzę, że znowu będę musiała wyciągać cię z więzienia Fort l'Eveque.

Pierre i Desiree znali się od dawna. Byli oboje dziećmi paryskiej ulicy, kochali Paryż, namiętnie kochali teatr. By znaleźć się na górze, musieli przejść przez wiele doświadczeń, mieli głowę na karku, kochali życie takim, jakim było, nic nie udawali przed sobą. Desiree stała się głośną aktorką, w domu jej bywali znani pisarze oraz ludzie mający wpływy u dworu i w świecie handlowym. Trzymała się możnych, bo to przynosiło korzyści, ale nie olśniewały jej wielkie nazwiska ze świata arystokracji czy finansów. Dobrze wiedziała, jak małym nakładem mądrości Francja była rządzona, toteż patrzyła na wielkich panów z wyżyn swego zdrowego rozsądku. Podobnie zapatrywał się na te sprawy Pierre. Obojgu udało się wcisnąć w krąg uprzywilejowanych, oboje mieli dla tych uprzywilejowanych pogardę zmieszaną z odrobiną zawiści. Pierwsze czasy ich burzliwej namiętności dawno minęły, przetrwała szczerą przyjaźń. Zdarzało się, że choć oboje byli w Paryżu, nie widywali się tygodniami, miesiącami, wiedzieli jednak, że mogą na siebie liczyć.

Desiree zeskoczyła z biurka. Otworzyła drzwi do małego gabinetu, by zobaczyć, czy Julia nie podsłuchuje. Na twarzy jej pojawił się szelmowski wyraz.

- Powietrze czyste - powiedziała - jazda, gadaj!

Pierre opowiadał jej w sposób rzeczowy o amerykańskim przedsięwzięciu, patetyczne słowa byłyby w stosunku do niej śmieszne. Desiree słuchała uważnie. Jak cały postępowy Paryż śmiało opowiadała się po stronie Amerykanów i za wielką próbą stworzenia państwa, opartego na zasadach wolności, rozsądku i prawach natury.

- Bałam się już - oświadczyła - żeś znowu coś wymyślił w rodzaju monopolu na handel niewolnikami lub podsuniecie królowi hiszpańskiemu metresy, która by była twoim szpiegiem. Ameryka - zakończyła ciepło - to dobra sprawa.

- A w dodatku jak miło - dorzucił chytrze - że tym razem entuzjazm dla dobrej sprawy się opłaci. To olbrzymi interes, Desiree, zobaczysz. Kompania Indyjska będzie w porównaniu z moją firmą Hortalez małą płotką.

- Mam wrażenie, że nie po raz pierwszy słyszę coś podobnego - odpowiedziała Desiree.

- Ale dziś - zapewniał Pierre - nie są to tylko słowa. Tak jest naprawdę.

- Towarzyszą panu moje najlepsze życzenia, monsieur de Beaumarchais - szydziła Desiree - ale niejednokrotnie już byłam świadkiem, że ty miałeś pomysł, a inni ciągnęli z niego zyski, zbierali śmietankę.

- Teraz ja ją będę zbierał - upierał się Pierre. - Tym razem nie wpadnę. Ani mi to w głowie. Tak wspaniałych perspektyw nie miałem jeszcze nigdy.

- W każdym razie pocieszające jest to - serdecznie powiedziała Desiree - że tym razem chodzi o tak niewątpliwie dobrą sprawę.

Pierre wiedział sam, że sprawa jest dobra, ale pragnął usłyszeć jakieś pocieszające słowo na temat czysto handlowych perspektyw. Już wczoraj, przed rozmową z Lenormantem, zastanawiał się, czy nie należałoby przedtem wtajemniczyć we wszystko Desiree. Charlot był w niej zakochany, a Pierre

zawsze chętnie posługiwał się dla swoich celów kobietami. Mimo to wahał się w tym wypadku. Przyjaźń Charlota i Desiree była skomplikowana; wysuwając Desiree mógłby swoim interesom pomóc, ale mógł im również zaszkodzić. Ponieważ jednak sama przyszła do niego i tyle jej już opowiedział, nie namyślając się dłużej wtajemniczył ją w swoje nadzieje w związku z osobą Lenormanta.

Na dźwięk tego nazwiska Desiree skrzywiła się, między brwiami jej zarysowała się zmarszczka, spojrzała zezem.

Przyjaźń z Lenormantem była w jasnym, przejrzystym życiu Desiree czymś mętłym i nie wyjaśnionym. Chłodny ten, a zarazem namiętny pan, melancholijny sybaryta, który pogardzał romantycznością, a zarazem tęsknił za nią, różnił się od wszystkich ludzi, jakich znała. I dla niej znajdował czasami złośliwe, ironiczne słowa, ale widziała, jak głęboko jest nią zajęty i jak stara się tę swoją dla niej skłonność pokonać. Charlot przyciągał ją i odpychał, cenił go, a równocześnie pogardzała nim. Mogła z całą bezwzględnością wykorzystywać słabość, jaką miał dla niej. Postępowałyby tak z każdym innym, jego traktowała inaczej. Nie orientowała się dokładnie, czego chce, jakie ma wobec niego zamiary. Nigdy się nie przeceniała, nigdy nie była skąpa, kiedy chodziło o własne ciało lub miłość; było to zresztą konieczne, aby dojść do czegoś w Paryżu. Od czasu do czasu spała więc z Charlotem. Traktowała go jednak gorzej niż innych mężczyzn. Dawała mu do zrozumienia, że go nie kocha, kiedy żądał od niej czegoś więcej; gdy napomykał, by zrezygnowała z niezależności i została jego oficjalną kochanką, wzruszała ramionami, stroiła miny, nie raczyła odpowiedzieć.

Pociągało ją to, że był skomplikowany. Przyglądała się z satysfakcją, jak nagle ten mizantrop wpadał w nastrój czuły, sentymentalny. Zdawała sobie dokładnie sprawę, jaki obrót

przybierze ta przyjaźń. Z Charlotem wszystko było możliwe: mógł ją zabić albo się z nią ożenić.

Charlot pozostawał w przyjacielskich stosunkach z de Beaumarchais. Desiree była jednak pewna, że choć nie chciał tego dać poznać po sobie, był o Carona zazdrosny; zawsze obawiała się w skrytości ducha, że Charlot wymierzy mu kiedyś straszliwy cios. W każdym razie nie było wskazane, by Pierre wiązał się w tym gigantycznym przedsięwzięciu z człowiekiem tak nieobliczalnym. Jeżeli razem podejmą się tych olbrzymich dostaw, Charlot będzie trzymał w rękę słabszego Pierrota. Sama myśl o tym sprawiała jej przykrość. Pomimo wszystkich swoich intryg Pierre był beztroskim, wesołym chłopcem, nie umiał nigdy długo zachować niechęci, nikomu nie szkodził, szukał i pragnął w życiu tylko radości, nie znał złowrogiego rozgoryczenia, jakie czasami rodziło się w sercu Charlota,

- Gdybym była na twoim miejscu, dobrze bym się jeszcze namyśliła - powiedziała - zanim przyjąłabym Charlota do interesu.

- Jest moim przyjacielem - powiedział Pierre.

- Właśnie dlatego - odparła zagadkowo Desiree. - Jest taki wielki - ciągnęła dalej. - Połyka wszystko, co mu wpadnie w paszczę.

- Nie bój się, moja mała - odpowiedział Pierre, z beztroskim uśmiechem. - Kto tego Jonasza połknie, będzie go musiał prędko wypluć.

Po kolacji Lenormant jeszcze przez chwilę pozostawiał Carona jakby w zawieszeniu, zanim wreszcie zaczął mówić o interesie.

Monsieur Lenormant lubił Carona na swój sposób. Widział wprawdzie, że jest próżny i powierzchowny, ale cenił jego zręczność i celny dowcip; pogardzając nim nieco za jego

pustotę, zazdrościł mu lekkości, szczęścia do kobiet i tego, że praca przychodziła mu bez wielkiego wysiłku. Mimo wysokiego urodzenia i bogactwa Charles-Guillaume de Lenormant miał życie ciężkie. Swego czasu, trzydzieści siedem lat temu, poślubił prześliczną, uroczą, pełną wdzięku, ale pozbawioną pieniędzy i stosunków niejaką Jeanne-Antoinette Poisson. Ociężały z natury, długo się wahał, zanim się zdecydował na to małżeństwo; w pierwszych latach po ślubie rad był ze swej decyzji i coraz namiętniej rozkochiwał się w Jeanne. Potem Jeanne opuściła go niespodziewanie, by w roli oficjalnej kochanki króla rządzić Francją jako markiza de Pompadour. Był to dla Lenormanta cios. Miał wrażenie, że go nie przeżyje. Później Jeanne zaproponowała mu stanowisko ambasadora, zaproponowała nawet, że do niego powróci, ale był zbyt dumny i z godnością odrzucił i stanowisko, i ją samą.

Od dawna już to przebolewał, przestał cierpieć, ale zmieniony był, melancholijny, sarkastyczny, żądny użycia, na swój sposób skłonny do awanturnicznych przygód. Ongiś zajmował się solidnie poważnymi interesami, związanymi z dzierżawą podatków, teraz z coraz zacieklejszą radością rzucał się w wir coraz to nowych, skomplikowanych przedsięwzięć handlowych, kierował nimi z najwyższą zręcznością i wyjątkowym szczęściem; zachowując smętną, pogardliwą minę, zgromadził olbrzymi majątek. Pomimo całego rozgoryczenia gonił wciąż za nowymi uciechami. Chociaż nad głównym portalem jego zamku Etioles widniały pięknie wyryte słowa: „Vanitas, vanitatum vanitas, omnia vanitas”, („Marność nad marnościami i wszystko marność” (łac.)), właściciela zamku stale otaczał rój pięknych kobiet, wydawane przezeń zabawy słynęły z przepychu i dobrego smaku. Z żądzą przesyconą zmęczeniem zdobywał coraz więcej bogactw, coraz większe znaczenie, przepych, wpływy

w polityce i teatrze, kobiety; otaczał się coraz gęstsza siecią intryg.

W Desiree Mesnard zakochał się pośrednio - przez jej wizerunek. Nie był to portret, który wisiał u Carona, lecz pastel pędzla Perronneau, dobra podobizna ładnej, wesołej naturalnej dziewczyny. Kiedy Lenormant poznał prawdziwą Desiree, był zdumiony, jak daleko portret pozostał w tyle za oryginałem. Otoczony sztuką i sztucznością, tęsknił nieraz za siłą i prostotą; na jego prywatnej scenie grywano często z jego inicjatywy krotchwile przepojone soczystą ludowością. Teraz, kiedy odkrył, jakim trzeźwym, zdrowym rozsądkiem odznaczała się urocza, subtelna Desiree, jak mało troszczyła się o ludzkie plotki i gadaninę, ile miała zuchwałego, rzetelnego dowcipu, był tym wszystkim po prostu zachwycony. Odnajdywał w niej pewne cechy, które lubił w zmarłej Jeanne. Jeanne była w podobny sposób wesoła i rozsądna, miała w sobie tę samą mieszaninę trzeźwości i romantyzmu, ten sam dar niezapominania, mimo brudu życia, o jego radosnym blasku.

Kiedy dwudziestoletnia Desiree weszła w jego życie, Lenormant liczył lat pięćdziesiąt siedem. Stwierdził z zadowoleniem, że młodą aktorkę pociągała jego oryginalność, melancholia połączona z żądzą użycia, dobry smak, zrozumienie teatru, gorzka, zaprawiona dowcipem filozofia; nie robił sobie złudzeń, że bez bogactwa i wielkiego nazwiska nie utrzymałby się chyba w kręgu licznych młodszych od niego, zabawniejszych przyjaciół Desiree. Może uda mu się związać ją ze sobą, ale jeżeli zjawi się kto nowy, potężniejszy, Desiree porzuci go zupełnie tak samo, jak porzuciła go swego czasu Jeanne dla władcy panującego w Wersalu.

Uważał jednak za wielkie szczęście, że ta młoda kobieta weszła w jego życie i że teraz, kiedy pożądliwość jego stała się mniej gwałtowna, raz jeszcze był zakochany niczym

młodzieniec. Cierpiał oczywiście, widząc, z jaką beztroską Desiree oddaje się temu lub owemu, ale po nauczce, która mu dało życie, nie chciał po raz drugi przez pychę i ambicja ryzykować swego szczęścia i nawet nie próbował ograniczać jej niezależności.

Wiedział, że jedynym jego poważnym rywalem jest Pierre. Przejrzał dokładnie stosunki, które ich łączyły, uważał ich przyjaźń, opartą na pokrewieństwie dusz, za niebezpieczniejszą od jakiegoś romantycznego uniesienia, zazdrościł Caronowi gorąco, że Desiree tak łąnie do niego. Irytowało go, że kiedy on nie umiał dać sobie rady ani z ludźmi, ani ze sprawami, temu Caronowi wszystko samo szło w ręce, ludzie i sprawy, i że strząsał z siebie, jak pies krople wody, to, co mu było niemiłe. Choć lubił Beaumarchais'go, życzył mu, by i on poczuł kiedyś, czym są niewdzięczność, zdrada, cierpienie.

A więc teraz Pierre zjawił się z tymi dostawami dla Ameryki. Lenormant był olśniony jego pomysłem, by zaopatrywać powstańców formalnie jako prywatny dostawca, faktycznie zaś jako agent francuskiego rządu. Jeżeli się jednak chce zrobić z przedsięwzięcia coś więcej niż teatralną intrygę, jeżeli się pragnie uzbroić insurgentów tak, by mogli stawić czoło regularnym wojskom angielskim, potrzebne są większe sumy niż te śmieszne trzy, cztery miliony, o których mówił Pierre. Człowiek, który chce przeprowadzić taki interes, musi rozporządzać nieograniczonym kredytem, musi móc czekać na zapłatę, mieć długi, bardzo długi oddech.

Lenormant miał dostatecznie silną rękę, by łuk ten napiąć, sute zarobki były niemałą pokusą. Czy jednak Pierre jest człowiekiem odpowiednim, by razem z nim rzucić się w to olbrzymie przedsięwzięcie? Czy nie będzie chciał prowadzić interesów w sposób zbyt fantastyczny i zbyt zabarwiony romantyzmem? Zapewne, szanse były zawrotne, ale

Lenormant miał dość wysokiej gry w życiu, a grube zyski nie wykluczały obawy, że może dojść do starć między nim a Caronem. Lenormant wyobrażał sobie, jak się Pierre puszy i nadyma przed Desiree. „A więc teraz uzbijam Amerykanów, teraz tworzę historię”. Nie, Lenormant nie wzniesie dla Beaumarchais'go piedestału z milionów, które były na to potrzebne.

W ciszy swego gabinetu zaczął tłumaczyć mu ochryłym głosem, że interes daje wprawdzie szansę wielkich zysków, ale ryzyko jest olbrzymie. Nie tylko trzeba liczyć się z tym, że Anglicy mogą zagarnąć co drugi okręt, również widoki otrzymania zapłaty są niepewne. Lenormant szczerze podziwiał pęd powstańców do wolności, ale ten entuzjazm nie jest dostateczną gwarancją ich możliwości płatniczych. W najlepszym razie trzeba będzie czekać latami na pieniądze. Po pobieżnym zapoznaniu się ze sprawą Lenormant przypuszcza, że dla przetrzymania potrzebny byłby kapitał zakładowy wysokości około dziesięciu milionów. Wymieniwszy tę wysoką sumę spojrział z zatroskaną miną na Beaumarchais'go. Zmieszany Pierre odpowiedział bez zwykłej energii:

- Myślałem, że wyjątkowe widoki zysku, które pan jeszcze lepiej potrafi ocenić aniżeli ja, zachęcą pana do przystąpienia do firmy Hortalez.

- Próbowałem właśnie, mój drogi - odpowiedział z udaną, przyjazną cierpliwością Lenormant - wyjaśnić panu, że ryzyko interesu jest jeszcze wyższe niż jego szanse. Stoję na progu starości, moja pasja do wielkich, niebezpiecznych interesów gaśnie.

- Czyż niedawno nie prolongował pan dzierżawy podatków w swoich dwóch prowincjach? - zapytał Pierre.

- Gdzież tu jakieś ryzyko - odrzekł z prowokującym spokojem Lenormant - dla człowieka, który umie czekać? Król ma siepaczy, a w ostateczności żołnierzy, by zmusić opieszających

płatników. Czy firma Hortalez może wysłać żołnierzy przeciw powstańcom ociągającym się z zapłatą?

- Myślałem - powiedział nie bez goryczy Pierre - że mój przyjaciel Charlot z radością przystąpi do tego wielkiego przedsięwzięcia. Myślałem, że mój przyjaciel Charlot pierwszy dopomoże mnie i Amerykanom.

- Nie tak gwałtownie, mój Pierrot - odparł uprzejmie Lenormant. - Skąd pan wie, że panu nie pomogę?

Sposób, w jaki Charlot z nim igrał, oburzał go, ale Pierre nie zapominał, że Charlot ma szeroki gest i jest jego przyjacielem.

- Pieniądze są mi potrzebne tylko na pierwszy okres - powiedział niepewnie - jeżeli ich w ogóle będę potrzebował.

Tego właśnie chciał Lenormant. Był gotów udzielić Caronowi pożyczki. Znając go wiedział, że Beaumarchais wkrótce znajdzie się w kleszczach i będzie prosić o prolongatę terminu zapłaty. Charlot wygra na tym w każdym wypadku, bo gdyby nawet miał stracić całą sumę lub część jej, rozmowa, w czasie której Pierre będzie błagał i wił się przed nim, wyrówna mu stratę.

- Widzi pan - powiedział - w ten sposób łatwo dojdziemy do porozumienia. - Pieniądze, zwłaszcza na krótki termin, może pan ode mnie dostać. Ile pan sobie życzy?

- Myślę - odparł Pierre ciągle jeszcze niepewnie - że wystarczyłby jakiś milion.

- Suma ta jest do pańskiej dyspozycji - oświadczył bez wahania Lenormant.

Pierre odetchnął, a równocześnie był zaskoczony. Postawienie do jego dyspozycji tej olbrzymiej sumy było wielką przysługą, ale czy Charlot rzeczywiście uważa ryzyko za tak ogromne, że nie chce włożyć do interesu pieniędzy i skorzystać z jedynej w swoim rodzaju okazji?

- Dziękuję panu, Charlot - powiedział - dziękuję serdecznie. W głosie jego czuć było niezwykle u niego zmieszanie.

- Wielka to dla mnie radość, że mogę panu pomóc, mój przyjacielu - bronił się uprzejmie Lenormant. - Pójdę panu bardzo na rękę we wszystkim, co dotyczy stopy procentowej. - Zrobił krótką pauzę, spojrzał przyjaźnie na Carona. - Ale - dodał grożąc mu figlarnie palcem - niech pan dobrze trzyma te pieniądze, Pierrot. - Potem rzucił jeszcze, jakby mimochodem: - Pożyczam na krótki termin i domagam się zwrotu. Niech pan o tym pamięta, mój drogi. Jestem znany z tego, że domagam się zwrotu.

Były to żarty, które Charlot lubił, żarty nad wyraz nieprzyjemne, ale Pierre otrząsnął się z niemiłego uczucia, zanim jeszcze zdążyło nim zawładnąć. Najważniejsze, że ma zgodę Charlota. Czyż nie był zdecydowany na przeprowadzenie tego interesu, nawet gdyby otrzymał tylko milion? Teraz dostawał dwa miliony od rządu i milion od Charlota.

- Jeszcze raz pięknie dziękuję, Charlot - powiedział równie lekko i przyjaźnie jak Lenormant. - Dziękuję pięknie w imieniu Ameryki, Francji i swoim własnym.

Minęła noc i dzień, i jeszcze jedna noc, a Pierre nie odwiedził dotąd swej przyjaciółki Teresy. Wczoraj rano pocieszył ją bilecikiem, że się zjawi wieczorem, a wieczorem zawiadomił, że przyjdzie dziś rano. Tak dużo było dokoła niego ludzi; nie miał czasu na to, czego pragnął.

Z Teresą można było przynajmniej rozmawiać. Rozumiała, jak ciężko mu przychodziło dzielić czas między wyzwalanie Ameryki i miłość do kobiety, którą chciałby poślubić.

Od pierwszego spotkania wiedział, że ta kobieta jest dla niego stworzona: raz po raz w ciągu ich długoletniego związku igrał z decyzją ożenienia się z nią zaraz, dziś, jutro. Ale na drodze stała Julia. Była od samego początku zazdrosna o Teresę; kiedy Pierre dał siostrze raz do zrozumienia, że chciałby wprowadzić Teresę pod swój dach, doszło między

rodzeństwem do gwałtownej sprzeczki; Julia zagroziła, że opuści dom. Oczywiście później oświadczyła z nagłą skruchą, że Teresa jest urocza, młoda i pod każdym względem lepsza od niej; rozumie się, że stosunki z nią jakoś by się ułożyły. Ale Pierre wiedział doskonale, że gdyby wprowadził Teresę do swego domu, nieposkromiona Julia po krótkim czasie odeszłaby w gniewie, a obejść się bez niej nie potrafił. Nie tylko idealnie prowadziła wielki dom, potrzebna mu była, by się przed nią puszyć, potrzebny mu był jej stały, głośny, entuzjastyczny podziw. Teresa, nawet jeżeli się z nią formalnie nie zwiąże, nie opuści go nigdy. Był tego pewien. Poszedł do niej pieszo, mieszkała niedaleko. Z uśmiechem myślał o tym, jak często i chętnie przemierzał tę krótką drogę. Interesy jego oplatały całą kulę ziemską, nieraz w sprawach handlowych przecinał rozległe połacie globu. Prawdziwe, istotne jego życie rozgrywało się jednak w obrębie małego trójkąta między jego domem, biurem i domem Teresy. Ten nieokiełznany poszukiwacz przygód był domatorem; po dzikich dniach i dzikich nocach potrzebna mu była mieszczańska, błoga godzina w kręgu rodziny, składającej się z ojca, sióstr, siostrzeńców, siostrzenic, wujów, szwagrów i szwagierek.

Zadzwoił do mieszkania Teresy. Otworzyła służąca, po chwili stał już w drzwiach pokoju Teresy; jak się w skrytości ducha spodziewał, była w negliżu. Żadna, najmniejsza nawet chmura wyrzutu, że tak długo zwlekał, nie pojawiła się na jej twarzy. Podbiegł do niej, wziął w obie ręce jej głowę odchylając ją nieco w tył. Była wysoka, niemal tego samego wzrostu co on. Spojrzał głęboko w jej żywe oczy. Potem powoli ucałował jej czoło, dotknął wargami wysokich, śmiało zakreślonych brwi. Zamknęła pod tymi pocałunkami ciężkie powieki. Ucałował z kolei jej pełne usta, przesunął rękami po zaokrąglonym podbródku, szyi i piersiach.

Teresa zamknięszy oczy spoczywała błogo w objęciach, do których tak długo tęskniła.

Od pierwszej chwili zetknięcia się z Caronem poczuła, że w tym człowieku jest cały sens jej życia. Kiedy przed trzema laty jako zaledwie siedemnastoletnia dziewczyna czytała jego ulotki, ów mocny, błyskotliwy atak na niesprawiedliwość poruszył ją do głębi. Że też ktoś potrafi być tak odważny, a równocześnie tak lekki w obejściu, wytworny, uskrzydłony! To burzyło krew, porywało. Zazwyczaj rozsądna, powściągliwa, poszła pod jakimś pretekstem do tego obcego człowieka. Był taki jak jego dźwięczne tyrady, mówił zuchwale i mądrze, wtrącając swym ujmującym głosem pochlebne dla niej słowa. Zrozumiała, że tego człowieka kochać będzie zawsze.

Miała spokojny, zrównoważony sąd. W ciągu tych lat wykryła, że kochanek jej bywa czasem pusty, nadęty, lekkomyślny, ale cechy, które w nim kochała, przeważały, pozwalały znosić tamto. Prawda, że w broszurach polemicznych występował we własnej sprawie, ale było to również sprawą tych wszystkich, których krzywdził ów system rządzenia. Kpiąc sobie z szlachetnie urodzonych, walczył o swoją sprawę. Obrazili go, próbowali robić wszystko, by nie wypłynął na powierzchnię. Ale do tej walki pchało go również coś innego, ważniejszego: gorąca chęć zwalczania wszelkich przesądów, wyrosła z głębokiej świadomości. Poza żądzą błyszczenia i kabotyństwem kryło się zrozumienie dla tego, co wielkie; kiedy widział niesprawiedliwość lub nadużycia, wdawał się w spór bez namysłu, nie oglądając się na to, czy to jego sprawa, czy cudza. Takim widziała go Teresa i takim go kochała.

Teraz, po długiej nieobecności, miał jej dużo do opowiedzenia. Trzymał ją na kolanach, głaskał. Opowiadał to już kilkakrotnie, Charlotowi, siostrze, ojcu. Sprawa była ta

sama, a jednak za każdym razem mówił o niej inaczej. W obecności Teresy przeżycia jego i projekty na nowo nabierały barwy. Tłumaczył jej polityczne znaczenie przedsięwzięcia. Powstańcy mają wszystko: dostateczną ilość ludzi, wielkie obszary, poczucie, że bronią dobrej sprawy, entuzjazm, moralne poparcie całego świata. Brakuje im jedynie broni.

- Tę broń dostarczymy im teraz - zakończył.

Szare oczy Teresy błyszczały. Od początku była po stronie insurgentów. Musiał ją wtajemniczać w coraz to nowe szczegóły dotyczące perspektyw Amerykanów, cieszyło go, że ona podziela jego zainteresowania, nie myśli o materialnej stronie sprawy. Kobieta, z którą jest złączony, powinna w nim widzieć pisarza, bojownika o wolność, o zwycięstwo rozsądku. Ogrzewał się w promieniach jej entuzjazmu, dalekiego od niemądrej często przesady Julii. Teresa nawet w entuzjazmie nie zatracala nigdy poczucia rzeczywistości. Była jego wspaniałym uzupełnieniem: kiedy się zagalopował, umiała go osadzić. Umilkł. Zastanawiał się raz jeszcze w skrytości ducha, czyby nie przyśpieszyć daty ślubu. Teresa widziała, co się z nim dzieje. Nie należało do rzeczy przyjemnych być tylko przyjaciółką Beaumarchais'go, a nie jego żoną. Bardzo pragnęłaby zalegalizować ten związek. Ale znając go obawiała się, że z trudem przeboleałby wtedy stratę Julii, że to mogłoby wpłynąć na osłabienie jego uczucia. Nic sobie nie robiła z plotek i gadaniny, była samodzielna, miała trochę pieniędzy. Nie nalegała. I teraz czekała w milczeniu.

Tymczasem Pierre wyobraził sobie znowu, jaką minę zrobiłaby Julia, gdyby jej zakomunikował: „Za tydzień żenię się z Teresą”. Nie była to wizja przyjemna, i tak zbyt często daje się porywać nastrojom chwili. Ociągał się tak długo, może jeszcze spokojnie poczekać trochę.

- Teraz, kiedy spotkało mnie takie szczęście - powiedział - i rzucam się w wir tego nowego, wielkiego przedsięwzięcia,

musisz zgodzić się, bym i tobie sprawił radość. Czy pozwolisz, że ci podaruję mój domek w Meudon z zapuszczonym ogrodem, domek, który tak lubisz? Oczywiście każę go gruntownie odrestaurować. Moglibyśmy tam spędzać od czasu do czasu dzień, dwa na łonie natury.

Następne tygodnie wypełniła gorączkowa działalność. Pierre spotykał się z armatorami, dostawcami, wszelkiego rodzaju finansistami, konferował z panami z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Marynarki, Arsenалу. Chodziło o dostarczenie armat, karabinów, amunicji, mundurów, bielizny, butów, koców i namiotów. Chodziło o statki, które by przewoziły przez ocean całe to uzbrojenie i wyposażenie dla trzydziestu tysięcy ludzi. Pierre oświadczył panom z Wersalu, że większą część transportów wyprawi jesienią, a w każdym razie na pewno przed końcem roku.

Pierre rzucił się w wir tych interesów z jeszcze dzikszą pasją niż kiedykolwiek; pragnął bowiem zagłuszyć troskę, która w nim coraz bardziej narastała. Chcąc wywiązać się z dostaw na czas, musi z miejsca dokonać wielkich wypłat. Własne środki wraz z kredytem, postawionym do jego dyspozycji przez Lenormanta, szybko się wyczerpały, a milion liwrów przyrzeczony przez hrabiego Vergennes nie wpływał. Kiedy Pierre napomykał w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, jak bardzo potrzebuje pieniędzy, dawano mu do zrozumienia, że suma ta musi być wzięta z tajnych funduszków i tylko trudności w księgowaniu i kłopotliwe formalności biurokratyczne są przyczyną zwłoki. Brzmiało to prawdopodobnie. Rząd ze względu na delikatność sprawy nie mógł dawać żadnych zobowiązań na piśmie, toteż Pierre nic nie miał w ręku i obawiał się, że wystrychnięto by go na dudka i wytrzeszczono by ze zdziwienia oczy, gdyby przypomniał dane mu obietnice. Poza tym dostawcy i armatorzy wiedząc doskonale, jak bardzo był od nich zależny, podwyższyli ceny. Gdyby Pierre otrzymał

przynajmniej te zapasy amunicji z arsenałów królewskich, o których mówiono mu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, wtedy pozbyłby się częściowo trosk i pokazałby dostawcom, że da sobie radę i bez ich pomocy. Arsenau mógłby mu pomóc z łatwością. Monsieur de Saint-Germain, który przed rokiem objął tekę ministra wojny, zaczął wprowadzać zmiany w uzbrojeniu, wskutek czego liczne modele armat i broni palnej stały się bezużyteczne. Chodziło o to, by Pierre potrafił jakoś zainteresować ministra wojny swoimi planami; jeżeli mu się to uda, będzie można nabyć starą broń za bezcen. Powodzenie zależało od energicznej interwencji ministra spraw zagranicznych u kolegi z Arsenau. Ale w Ministerstwie Spraw Zagranicznych nie chciano zrozumieć, że pośpiech jest wskazany. Vergennes ciągle odkładał poufną rozmowę z Ministerstwem Wojny.

Wreszcie zawiadomiono go, że pan de Saint-Germain jest poinformowany i oczekuje jego wizyty. Pierre stawił się już następnego dnia w Arsenale, w którym rezydował minister wojny.

Przy wjeździe do Arsenau Pierre musiał wysiąść z powozu i udać się pieszo do biura ministra. Arsenau był zamkniętym w sobie miasteczkiem. Mieściły się tu fabryki wszelkiego rodzaju broni, magazyn amunicji, pomieszczona biurowe i koszary. Pierre lubił Arsenau. Był jednocześnie romantykiem i kupcem, broń pobudzała go zarówno do bohaterskich uczuć, jak i do kupieckich kalkulacji.

Dziś wyjątkowo nie interesowały Carona otaczające go przedmioty. Był przejęty myślą o czekającej go rozmowie. Nie widział ministra prawie od roku. Siedemdziesięcioletni pan de Saint-Germain zrobił na nim wówczas wrażenie wyjątkowo młodzięczego, rześkiego człowieka. Gdy wprowadzono teraz do niego Carona, był zaskoczony, jak bardzo minister postarzał się w ciągu krótkiego okresu

urzędowania. Krępy pan w skromnym mundurze trzymał się wprawdzie prosto jak dawniej, ale widać było, że przychodzi mu to z trudem; ziemista twarz poryta była zmarszczkami.

Minister miał powody do zmartwień. Paryż szalał z radości, kiedy w roku ubiegłym młody król powołał surowego, uczciwego, postępowego generała, który cieszył się opinią dzielnego żołnierza i dobrego organizatora, do przeprowadzenia reform w wojsku. Pan de Saint-Germain przystąpił do dzieła z wielką energią. Podniósł zarówno stan liczebny armii, jak i stan uzbrojenia, zmniejszając przy tym wydatki swego resortu. Aby to osiągnąć, musiał skasować wiele intratnych posad zastrzeżonych dla dworu i dopuścić do naczelnych stanowisk oficerów niskiego urodzenia. Zrobił sobie przez to wielu wrogów u dworu, wskutek czego zapanowała opinia, że pełen dobrej woli, ale słaby król nie utrzyma na stałe swego ministra. Pierre rozumiał dobrze, dlaczego stary generał ma twarz tak zasepioną.

Liczył się z tym, że Saint-Germain po doświadczeniach, jakich musiał nabrać, i za jego projektem wietrzyć będzie intrygi, że odniesie się do niego z nieufnością. Na początek nie mówił więc o armatach i broni, którą chciał od niego uzyskać, lecz usiłował wzbudzić do siebie zaufanie. Wiedział, jak namiętnie Saint-Germain obstawał przy swoich rewolucyjnych teoriach wojskowych; chciał je wszędzie przeprowadzać, wszędzie robił eksperymenty. Pierre podbił jeszcze staremu bębenka. Insurgentom, oświadczył, potrzeba przede wszystkim pouczenia, organizacji, wychowania. Pierre, który na razie jest niejako jedynym przedstawicielem Amerykanów we Francji, prosi ministra w imieniu tego kraju, który pragnie żyć według praw i rozsądku, o radę. Reformatorskie zasady pana de Saint-Germain nigdzie nie znajdą podatniejszego gruntu niż w Ameryce. Tam nie trzeba walczyć z zakorzenionymi przesądami. Tam można

organizować armię ściśle według dziesięciu zasad, które minister sprecyzował w swoim Podręczniku sztuki wojennej. Saint-Germain słuchał z przejęciem. Wydaje się, że ten pan de Beaumarchais nie jest, jak mu przedstawiono, pozbawionym skrupułów aferzystą. Minister wdał się z nim w dyskusję. Pierre nie omieszkał dobrze i rzeczowo się poinformować i dowiódł, że zna się na rzeczy. Słuchał cierpliwie i ze zrozumieniem szczegółowych, obszernych wyjaśnień ministra, dotyczących jego reform. Zrobiło to staremu prawdziwą satysfakcję.

Potem dopiero zaczął mówić o interesie, o uzbrojeniu insurgentów. Nie chodzi tu, wywodził, o uzbrojenie regularnych oddziałów, lecz o wyekwipowanie milicji. Milicja ta potrzebuje nieskomplikowanej broni, którą można by się posługiwać bez długich ćwiczeń. Nowa broń, którą minister projektuje dla armii francuskiej, nie na wiele przyda się Amerykanom, gdyż skuteczne posługiwanie się nią wymaga długiej nauki. Pierre zrobił przy tym zatroskaną minę.

De Saint-Germain ożywił się i wysunął jako własny pomysł to, co mu zasugerował Pierre. Właśnie dzięki tym okolicznościom minister może oddać nieocenione usługi zarówno panu Beaumarchais, jak insurgentom. Wskutek przestawienia gospodarki zbrojeniowej wielka ilość modeli armat i karabinów stała się dla armii królewskiej bezużyteczna. Dla milicji natomiast, jak to pan Beaumarchais słusznie zauważył, byłyby te stare modele po prostu idealnym uzbrojeniem, minister z przyjemnością postawi do jego dyspozycji te wybrakowane zapasy, które przydadzą się insurgentom. Co do szczegółów niechaj pan Beaumarchais porozumie się z pierwszym sekretarzem ministra, księciem Montbarey.

Pierre odetchnął. Miał zawsze pewną niechęć do interesów z naiwnymi, uczciwymi ludźmi w rodzaju ministra byli tacy

nieobliczalni. Z księciem Montbarey o wiele łatwiej mu będzie sobie poradzić. Bowiem książę był zaciekłym graczem: zawsze w długach, nie wahał się przed wykorzystywaniem swego urzędu dla regulowania własnych finansów. Posługiwał się w tym celu przyjaciółką, śpiewaczką operową de Violaine. Ilekroć zwalniało się w wojsku wyższe stanowisko, mademoiselle de Violaine przedstawiała listę kandydatów, którzy byli gotowi zapłacić za tę posadę. W większości wypadków udawało się księciu narzucić tych kandydatów prostodusznemu de Saint-Germain.

Wprawdzie Pierre zdołał wyjednać sobie u ministra zapasy broni, ale książę Montbarey mógł przy braku dobrej woli wyznaczyć bardzo wysokie ceny, komplikować i przedłużać w nieskończoność transakcje z domem handlowym Hortalez. Jeden tylko był na to sposób: dać księciu prowizję w eleganckiej formie. Pierre nie należał w takich sprawach do skąpców.

Firma Hortalez, tłumaczył panu de Montbarey, ma wielki kłopot z doborem broni, którą trzeba wysłać insurgentom. Zamówienie amerykańskie posiada charakter zbyt ogólnikowy, zanim zdążą przysłać rzeczoznawców, upłynie za wiele czasu. I Pierre, i pozostali panowie z firmy Hortalez są ludźmi interesu i namiętymi stronnikami insurgentów, ale nie są wojskowymi rzeczoznawcami. Dlatego Pierre byłby księciu bardzo zobowiązany, gdyby zechciał mu zaproponować fachowego doradcę. Oczywiście firma Hortalez nie wymaga usług tego rodzaju za darmo, założona przecież została na podstawach handlowych.

Z uśmiechem przyglądał się książę chytrymi, bystrymi oczyma uśmiechającemu się Caronowi, wymienił kilka nazwisk, wreszcie uderzając się dłonią w czoło zawołał:

„Mam dla pana człowieka!" Jak tego Pierre oczekiwał, był to ktoś z otoczenia przyjaciółki księcia, mademoiselle de Violaine.

Pierre serdecznie podziękował księciu za uprzejmą radę, przyrzekając, że się do niej zastosuje. Potem w najlepszej zgodzie rozstał się z ministrem i jego pierwszym sekretarzem i bardzo podniesiony na duchu opuścił Arsenał.

Od czasu wybuchu konfliktu między Koroną Angielską a jej amerykańskimi koloniami wypłynęli w Paryżu ludzie mający nadzieję, że jako stronnicy Amerykanów odegrają jakąś rolę. Na wieść o pertraktacjach toczonych przez pana de Beaumarchais ogarnęła ich zazdrość i zaczęli mącić wodę.

Pierwszy wziął się do tego niejaki doktor Barbeu Dubourg. Był lekarzem, politykiem, handlowcem, pisarzem, filantropem i tłumaczem dzieł doktora Beniamina Franklina, który w Europie pośród przedstawicieli insurgentów cieszył się najwyższym autorytetem. Doktor Dubourg przechwalał się, że po tej stronie oceanu pierwszy opowiedział się za sprawą Amerykanów. Dowiedziawszy się o pertraktacjach toczonych przez pana de Beaumarchais, odwiedził Carona.

Rozpromieniony, zażywny, bardzo mieszczański, zakomunikował na wstępie, że słyszał, iż Pierre również interesuje się sprawą insurgentów. Jest mu z pewnością wiadomo, że on, doktor Dubourg, ma zaszczyt zaliczania się do przyjaciół wielkiego Beniamina Franklina. Zjawił się więc, by się dowiedzieć, czy pan de Beaumarchais nie ma jakichś konkretnych propozycji, które doktor Dubourg mógłby przekazać Franklinowi i Amerykanom.

Ociężały pan o mięsistej twarzy, dobrodusznym spojrzeniu małych oczu, wydatnych ustach, ubrany w strój mieszczański, bawiący się laską, sapiący, mlaskający, z miejsca wzbudził w de Beaumarchais odrazę. Carona drażniła jego fałszywa skromność pełna zachwyty dla swojej własnej osoby, jego

nadęta, dostojna wielomówność, naiwne maniery spiskowca. Powtarzał sobie wprawdzie, że człowiek ten bywa we wszystkich salonach, że ma wpływy i że należałoby utrzymać z nim kontakt, ale miał zwyczaj kierowania się sympatiami i antypatiami. Wbrew więc wskazaniom rozsądku odpowiedział z wyniosłą uprzejmością, że dziękuje panu Dubourg za przyjazne zamiary, ale sam ma pośredników, przez których jego rady szybką, pewną drogą docierają do Filadelfii.

Doktor Dubourg, nieco zbity z tropu, powtórzył w wymownych słowach swą ofertę, Pierre odrzucił ją powtórnie. Rozstali się chłodno.

Doktor Dubourg był człowiekiem dobrodusznym, ale musiał przyznać, że chyba nie zdarzyło mu się, by go ktoś tak odprawił z kwitkiem jak ten pan de Beaumarchais. Usiadł więc i napisał list do hrabiego Vergennes - listy były jego pasją. Pomysłowość pana de Beaumarchais, pisał, jego rzetelność i zapał do wszystkiego, co dobre i wielkie, nie ulegają wątpliwości. Mimo to nikt chyba mniej się nie nadaje do pertraktacji handlowych aniżeli on właśnie. Monsieur de Beaumarchais lubi przepych, opowiadają także, że utrzymuje kobiety. Krótko mówiąc, uchodzi za utracjusza i żaden poważny kupiec we Francji nie chce z nim mieć do czynienia. Hrabia Vergennes powinien raz jeszcze zastanowić się, zanim zrealizuje swój zamiar oddania interesu amerykańskiego w ręce pana de Beaumarchais.

Minister przeczytał list. To, co pisał doktor Dubourg, nie było dlań niczym nowym. Tylko że doktor Dubourg dawał rady niemożliwe do urzeczywistnienia, podczas gdy temu Beaumarchais wiele się już udało. Vergennes przeczytał list po raz drugi, uśmiechnął się, przesłał kopię firmie Hortalez i zaproponował panu de Beaumarchais, by sam na pismo odpowiedział. Pierre posłuchał rady.

„Wielce Szanowny Panie Doktorze - pisał - co to ma wspólnego ze sprawami amerykańskimi, że uchodzę za utracjusza i za człowieka mającego na utrzymaniu kobiety? Nawiasem mówiąc, robię to od lat dwudziestu. Dawniej utrzymywałem pięć kobiet, cztery siostry i jedną siostrzenicę. Teraz z tych utrzymywanych przeze mnie kobiet dwie niewiasty umarły, utrzymuję więc tylko trzy, dwie siostry i siostrzenicę, co oczywiście dla człowieka, który nie piastuje żadnej godności i nie posiada tytułu, jest rozrzutnością. Co by Pan jednak powiedział, gdyby doszło do Pańskich uszu, że jestem powodem jeszcze gorszego skandalu, gdyż mianowicie utrzymuję mężczyzn, młodego, dobrze się prezentującego siostrzeńca oraz ojca, który tego niżej podpisanego rozpustnika wydał na świat. Jeszcze gorzej wygląda sprawa zbytku, którym się otaczam. Najkosztowniejsze sukno jest dla mnie za mało eleganckie, czasami, kiedy jest bardzo gorąco, posuwam rozrzutność tak daleko, że wkładam ubranie z czystego jedwabiu. Ale niech Pan, na miłość boską, nie mówi o tym hrabiemu Vergennes, mógłbym stracić dobrą opinię, jaką ma o mnie”.

Od dnia, w którym przekazując mu list Dubourga, minister dowiedział, że darzy go zaufaniem, papiery pana Beaumarchais zaczęły iść w górę.

Nie mógł nawet marzyć o umowie korzystniejszej od tej, jaką zawarło z nim Ministerstwo Wojny. Arsenał dostarczył mu 200 armat, licząc tylko wartość metalu, po 40 sous od funta; za żelazo lane liczono firmie Hortalez po 90 franków za tysiąc funtów. Również cena karabinów była bardzo niska. Mimo wysokiej gratyfikacji dla księcia Montbarey żaden dostawca broni we Francji nie nabył nigdy towaru po cenie tak niskiej.

A potem wreszcie przyszedł i pieniądź, na które Pierre tak czekał, milion wyasygnowany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych w złocie i wekslach.

Pierre wysypał złoto z worków na swoje olbrzymie biurko; było teraz jakby zasiane monetami. Owe monety ze złota ukazywały rysy wielu książąt, twarze różnych Ludwików, Czternastego, Piętnastego, Szesnastego, oblicza Marii Teresy Austriackiej, Fryderyka Pruskiego, Karola, władcy Hiszpanii. Pierre rozkoszował się blaskiem, a także ilością monet, widokiem weksli podpisanych przez hrabiego Vergennes i jego pierwszego sekretarza, Konrada Aleksandra de Gerard. Na twarzy jego pojawił się szeroki uśmiech.

Jeżeli chodzi o partnerów po tamtej stronie oceanu, dla których pracowała firma Hortalez, nie wiedzieli oni wcale o istnieniu tej firmy i jej działalności. Pierre gospodarował dotychczas nieco na chybił trafił. W Londynie przedstawił mu się jako reprezentant kolonij niejaki mister Artur Lee Artur (Lee (1740-1792) - dyplomata amerykański, przedstawiciel Kongresu w różnych krajach Europy.), niestary jegomość pełen entuzjazmu dla swego kraju i własnej osoby. Doszło do uszu mister Lee, że to nie oficjalny ambasador, lecz monsieur de Beaumarchais jest prawdziwym reprezentantem Wersalu. Pierre nie zrobił nic, by go z tego mniemania wyprowadzić. Mister Lee bardzo skakał koło niego, Pierre przyrzekł mu w tajemniczych słowach pełną pomoc Francji, oświadczając, że będzie się starał doprowadzić do spotkania między nim a hrabią Vergennes. Kiedy jednak po powrocie do Paryża napomknął o nim ministrowi, ostrożny dyplomata nie chciał o niczym słyszeć i odmówił przyjęcia człowieka, który w Londynie uchodził za zwolennika powstańców. Drażliwy mister Lee pewien, że Pierre zabrał się do rzeczy bez potrzebnej gorliwości, poczuł się dotknięty. Odwołał swą paryską wizytę i nie chciał dalej pertraktować z firmą Hortalez.

Tymczasem Kongres w Filadelfii powziął uchwałę mianowania we Francji specjalnego pełnomocnika i wkrótce agent ten pojawił się w Paryżu. Był to niejaki Silas Deane.

Zanim Pierre zdążył go odszukać, mister Deane znalazł drogę do Hotel de Hollande. Był to typowy mieszczuch, nieco swoiście ubrany; na grubym brzuchu nosił atłasową kamizelkę wyszywaną w kwiaty. Okazało się z miejsca, że jest człowiekiem interesu, z którym można rozmawiać rzeczowo i trzeźwo. Mówił tylko po angielsku, nie miał pojęcia o paryskich stosunkach, był bardzo wdzięczny za usługi proponowane przez firmę Hortalez. Już po kilku dniach ze wszystkimi swymi bólami i kłopotami szedł do uprzejmego pana Beaumarchais.

Doktor Dubourg próbował wśliznąć się jakoś pomiędzy nich. Ale w Wersalu oświadczono mister Deane'owi niedwuznacznie, że mężem zaufania rządu francuskiego jest monsieur Beaumarchais. Amerykaninowi odpowiadało to, Pierre podobał mu się bardziej niż doktor Dubourg.

Monsieur de Beaumarchais i agent Amerykanów porozumieli się bez trudu, w krótkim czasie został zawarty formalny układ. Firma Hortalez, reprezentowana przez pana de Beaumarchais, zobowiązywała się dostarczyć Kongresowi Zjednoczonych Kolonii, reprezentowanemu przez mister Silasa Deane, pełne uzbrojenie dla trzydziestu tysięcy ludzi; w umowie były wymienione pozycje, które firma obiecywała dostarczyć jako minimum. Kongres Zjednoczonych Kolonii ze swej strony zobowiązywał się płacić za każdą dostawę najpóźniej po upływie ośmiu miesięcy od chwili jej dokonania, i to co najmniej czterdzieści pięć procent wekslami, resztę towarami. Kiedy Pierre dostał do rąk umowę podpisaną i opatrzoną w pieczęcie, poczuł, jak mu z radości wali serce. Z miejsca pojechał do pana Lenormant. I cóż teraz powie Charlot? Biegał po pokoju, pełen triumfu. Czegóż to w tym krótkim

czasie nie osiągnął! Rząd francuski wpłacił obiecany milion, rząd hiszpański zapewnił w wiążącej formie, że wyasygnuje taką samą sumę. Arsenał królewski dostarczył większą część potrzebnej broni po najniższych cenach, a w dodatku ta wspaniała umowa z pełnomocnikiem Kongresu! Czyżby Charlot ciągle jeszcze uważał interes za ryzykowny?

Charlot patrzył zamglonym wzrokiem na przyjaciela, który biegał po pokoju i z dumą opowiadał o swych sukcesach. Potem powoli, dokładnie odczytał dokument.

- W ciągu najwyżej ośmiu miesięcy pięćdziesiąt pięć procent w towarach, czterdzieści pięć weksłami. Bardzo dobra umowa

- powiedział. - Kimże jest ten mister Deane?

- Reprezentantem Kongresu - odparł Pierre, nieco urażony.

- Wiem - oświadczył słodko i uprzejmie Lenormant - przecież wyraźnie to zaznaczył. Ale czym jest Kongres? Kto czy też co stoi za Kongresem? - To mówiąc spojrział melancholijnie na Carona.

- Stoi za nim - odrzekł Pierre płomiennie - pracowity trzymilionowy naród, stoi kraj o nieprzebranych, nie wyzyskanych skarbach.

- Wiem - odparł Lenormant. - Ale do kogo należą te skarby? Mogą to być równie dobrze podpisy rebeliantów jak podpisy lojalistów. - Przyglądał się badawczo podpisowi. „Mr. Silas Deane” - wzruszył ramionami.

- Ale, Charlot - odpowiedział Pierre - można zakwestionować każdy podpis. Niech pan będzie pewien, że za tym układem stoi zdecydowana wola dotrzymania go. Układ ten będzie wykonany przez obu partnerów. Przyzna pan chyba, że firma Hortalez stoi dziś na mocniejszych nogach niż wtedy, kiedyśmy po raz pierwszy rozpatrywali jej szansę. Wspaniałomyślnie, z uwzględnieniem rozsądnej stopy procentowej postawił mi pan wtedy do dyspozycji kapitał. Uważam, że byłoby z mojej strony nieładnie, gdybym teraz,

kiedy szansę tak niesłychanie wzrosły, nie poprosił pana raz jeszcze: „Niech pan przystąpi do interesu”.

To ostatnie zdanie Pierre wypowiedział bardzo ciepło.

Lenormant pochylił okrągłą głowę o wyniosłym czole. Umowa nie była zła. Była nawet bardzo dobra, pod warunkiem, że stanie za nią człowiek mocny, który w razie konieczności, drogą okreśną, poprzez rząd francuski, potrafi wyrzucić presję na Amerykanach. Gdyby Charlot przystąpił do interesu, mógłby z niego dużo wyciągnąć i to jemu przypadłaby lwią część zysku. Ale inspiratorem wielkiej sprawy pozostanie mały Pierrot, do niego należeć będzie na zawsze i pomysł, i sława.

- Mój drogi Pierrot - powiedział wolno, stanowczo - przyznaję, że sprawy rozwinęły się pomyślnie, i wyjątkowo to uprzejmie z pańskiej strony, że w tych warunkach proponuje mi pan zmianę układu naszych stosunków handlowych. Ale jestem pedantem i nie ma na to rady. Chętnie trzymam się umów, nawet jeżeli w pewnych wypadkach okazuje się to szkodliwe. Wolę więc - zakończył przyjaźnie - pozostać przy naszej umowie oraz przewidzianych w niej procentach i gwarancjach.

Pierre poczuł się boleśnie dotknięty. Był przekonany, że Charlot z zapałem przyjmie jego propozycję. Przypuszczał, że mając w kieszeni umowę z Amerykanami, znajdzie współnika, jakiego tylko zechce; to, że jeszcze raz przyszedł do Charlota, świadczyło o jego wielkoduszności. Nie mógł zrozumieć stanowiska Charlota. Czyżby się pomylił, czyżby mimo wszystko nie docenił ryzyka? Charlot miał dobrego nosa?

Pełen troski i niezadowolenia wrócił do Hotel de Hollande.

Kiedy jednak wszedł do gmachu i przemierzył piękne apartamenty, zły humor ulotnił się. Zuchwalstwa, które doktor Dubourg wypowiedział w owym liście do hrabiego Vergennes, stały się dla Beaumarchais'go podniętą, by Hotel

de Hollande wyposażyć szczególnie bogato i pięknie. I dziś, jak to już często bywało, napawał się tym przepychem. Miał rację, że zrobił wszystko, by gmach ten był dowodem jego wiary w dobro sprawy i w dobry interes.

Raz jeszcze przeczytał umowę z Kongresem, potrząsnął głową, uśmiechnął się. Głupstwo! Zastrzeżenia Charlota powstały w przystępie dziwactwa i melancholii.

Wezwał Maigrona i z miną rozpromienioną, jakby mu skrzydła wyrosły, zaczął dyktować list do Kongresu Stanów Zjednoczonych.

- Wielce Szanowni Panowie - dyktował - niezwykle szacunek dla dzielnego narodu, który pod kierownictwem Panów tak wspaniale broni swej wolności, skłonił mnie do współuczestnictwa w Waszym szlachetnym przedsięwzięciu. Założyłem wielki dom handlowy, by zaopatrzyć Panów we wszystko, co będzie Wam potrzebne w tej wojnie, prowadzonej przez Was w obronie słusznej sprawy. Dokonałem formalnych transakcji z paryskim pełnomocnikiem Panów i jeszcze w tym roku odejdą dla Panów następujące transporty:

Dyktując chodził po pokoju, a sekretarz Maigron pisał wchodzącym dopiero w życie ołówkiem. Teraz Pierre zatrzymał się i wolno, żeby sekretarz mógł nadażyć, zaczął odczytywać z listy:

216 armat

290 000 racyj prochu

30 000 karabinów

200 luf armatnich

27 moździerzy

13 000 granatów

8 statków transportowych.

Poza tym: całkowite wyposażenie trzydziestu tysięcy żołnierzy, składające się z

30 000 koców
30 000 par butów
30 000 par klamer do butów i podwiązek
60 000 par wełnianych pończoch
30 000 chustek do nosa
120 000 guzików
a dalej
95 000 łokci sukna na bluzy żołnierskie
42 000 łokci podszewki
180 000 łokci płótna na koszule żołnierskie
15 000 funtów nici
1 000 funtów jedwabiu
100 000 mocnych igieł.

Była to nie kończąca się lista, Pierre rozkoszował się nią. Potem odłożył arkusz i powiedział:

- I cóż pan na to, Maigron? Nigdy nie przypuszczałem, że potrafiemy do tego doprowadzić. Potem dyktował dalej:
- Reprezentanci Wielce Szanownych Panów znajdą we mnie najpewniejszego przyjaciela, w domu moim - własne ognisko, w skrzyniach moich - pieniądze. Będę popierać każdy rodzaj Ich działalności, jawnej czy tajnej. W miarę możliwości pousuwam z gabinetów Europy wszystkie przeszkody, które mogłyby stać Panom na drodze. W każdym francuskim i hiszpańskim mieście portowym utrzymywać będę agenta, który po przybyciu Waszych statków stawi się u kapitana ofiarując wszelką pomoc. Król Francji i jego ministrowie będą zmuszeni oficjalnie wystąpić przeciwko tego rodzaju naruszaniu istniejących traktatów handlowych z zagranicą. Bądźcie jednak, Panowie, pewni, że mój niezmordowany zapał usunie z drogi wszystkie przeszkody. Będę czuwał nad tym, by zakazy były obchodzone lub anulowane. Umożliwię wszystkie operacje potrzebne dla naszych wspólnych interesów.

Uważajcie więc, Wielce Szanowni Panowie, dom mój za centrum całej Waszej pożytecznej działalności w Europie, a mnie za płomiennego stronnika Waszej sprawy, za człowieka, któremu leży na sercu Wasz sukces, człowieka przepelnionego do głębi szacunkiem i czcią dla Was.

Z tą czcią mam zaszczyt kreślić się jako Wam oddany Rodrigue Hortalez

- No i cóż, Maigron? - zapytał - czy ten list nie jest nadzwyczajny?

- Jestem pewien - odpowiedział sucho sekretarz - że panowie w Filadelfii nigdy jeszcze takiego listu handlowego nie dostali.

Po odejściu Maigrona Pierre odczytał raz jeszcze umowę z Silasem Deane, reprezentantem Kongresu Stanów Zjednoczonych. Potem, zadowolony, włożył pismo do skrzyni, obok szkicu swego wynalazku, pierwopisu Cyrulika i listów miłosnych.

Entuzjazm jego mąciły jednak raz po raz wątpliwości Lenormanta i Pierre odczuwał palącą potrzebę pomówienia na ten temat z jakimś rozsądnym człowiekiem. Paweł Theveneau nie nadawał się do tego, nie był tak samo jak Pierre bezstronny. Pierre poszedł więc do Desiree.

- Przychodzisz jak na zawołanie - przywitała go. – Za dwa dni rozpoczynają się próby.

Theatre Francais postanowił wystąpić z nową inscenizacją Grzegorza Dyndały, komedii o bogatym bałwanie, który poślubia ubogą Angelikę dla jej szlachectwa; Angelika zdradza go na wszystkie strony, Grzegorz wykrywa to, przyłapuje ją na gorącym uczynku, ma niewątpliwe dowody, ale jest bezradny. Angelika góruje nad nim o całe niebo, wmawia w niego, że się omylił, i sprzymierzywszy się ze swymi arystokratycznymi rodzicami, zmusza go, by na kolanach błagał o przebaczenie za to wszystko, co od niej

wycierpiał. Desiree ma grać Angelikę; jeśli wziąć pod uwagę jej przyjaźń z Charlotem, sprawa będzie dość pikantna. Kiedy Pierre usłyszał, że to rzecz postanowiona, uśmiechnął się; cieszył się z góry, jaki wyraz twarzy zrobi Charlot. „Sam tego chciałeś, Grzegorzu!”

Kiedy zaproponowano rolę Desiree, myślała z początku więcej o Charlocie niż o Grzegorzu Dyndale. Od chwili jednak gdy się zdecydowała zagrać Angelikę, interesowała ją wyłącznie rola. Desiree była opętana swą sztuką. Jako rasowa aktorka, czuła się już bardziej Angelika niż sobą. W Theatre Francais istniała na temat inscenizacji molierowskich uświęcona tradycja; Desiree myślała o tym, do jakiego stopnia można by ją zmodyfikować. Przez wszystkie te dni namyślała się, dyskutowała, postanawiała coś, zmieniała decyzję, znowu postanawiała.

Teraz zjawił się Pierre, jeden z niewielu ludzi, którzy się znali na teatrze. Z miejsca zawładnęła nim, zasypywała go pytaniami, które się w niej zrodziły, odegrała przed nim kilka scen. Jako człowiek teatru dał się porwać, po chwili zapomniał, po co przyszedł. Dyskutowali o gestach, akcentach, gorączkowali się, kłócili, godzili, spalali się w twórczej pracy.

Po trzech godzinach - miał zamiar być u niej godzinę - oświadczyła zadyszana:

- No tak, teraz zrobimy przerwę.

Zadowolony, odpowiedział z westchnieniem:

- Dobrze, Desiree, zostanę u ciebie na kolacji, a potem możemy w imię boże próbować dalej.

Byli podnieceni wspólną pracą. Kolacja minęła w radosnym nastroju. Gawędzili o Theatre Francais, o tym, co w jego tradycjach jest dobre, a co złe, o aktorach i możliwościach reform. Pierre lubił Grzegorza Dyndalę, bardziej niż ktokolwiek rozumiał jego soczysty, okrutny humor, komedia

obchodziła ich oboje, jego i Desiree, nie mniej niż Charlota. W fachowych słowach ukazywał Desiree technikę Moliera, dzięki której osiągał to, czego chciał, mówił o tym, co dziś z tej techniki wolno stosować, a czego nie wolno. Desiree słuchała podniecona. Kiedy Pierre mówił o teatrze, był jeszcze mądrzejszy, błyskotliwszy niż wtedy, gdy się gorączkował dla sprawy wolności.

Z wolna jednak myśli jego wróciły do amerykańskiego przedsięwzięcia. Zręcznie zmienił temat, zaczął opowiadać i wreszcie, wśród rozmowy o dwóch markach win, odczytał Desiree swój list do Kongresu. Odegrał go właściwie, porwany triumfem cyfr i rozmachem zdań. Wdzięczna, lojalna Desiree odpłaciła za jego przejęcie się Angeliką niekłamanym zainteresowaniem dla jego spraw handlowych.

Podczas czytania jednak twarz jej coraz bardziej się wydłużała.

- Czy znasz ludzi - zapytała - z których się składa ten amerykański Kongres?

- Nie, nie znam - odparł, lekko zirytowany. - Znam nazwiska, oto wszystko. Wiem tylko coś niecoś o ich Franklinie, Waszyngtonie i Tomaszu Paine (Thomas Paine (1737-1809) - amerykański polityk, pisarz i reformator religijny, autor pamfletu Common Sense (Zdrowy rozsądek, 1776).)

W Londynie znam niejakiego Artura Lee; niemiły to człowiek, ale pełen entuzjazmu i z pewnością uczciwy. A za tego Silasa Deane, którego mi przysłali, włożyłbym rękę w ogień.

Desiree siedziała zamyślona, twarz jej wyrażała mądrość i rozwagę.

- A więc nie znasz ludzi, do których ten list napisałeś?

- Nie, nie znam - odpowiedział z rozdrażnieniem. - Ale wiem, że należąc do Kongresu, stawiają na kartę swój majątek i nawet coś więcej. To mi wystarczy.

Desiree zastanowiła się głęboko.

- Staram się wyobrazić sobie - powiedziała - co to są za ludzie ci członkowie twego Kongresu. Muszą to być starsi panowie, którzy zdobyli pewne stanowiska i zaufanie swych współziomków, handlowcy, adwokaci lub coś w tym rodzaju.

- No i? - zapytał Pierre tonem wyzywającym. – Czyż ludzie interesu nie mogą być idealistami?

- Bardzo to prawdopodobne - przyznała Desiree;- Ale jedno jest pewne: ludzie interesu będą twoim listem zdziwieni.

- Nie sposób pisać o broni koniecznej do walki o wolność jak o śledziach - odpowiedział szorstko Pierre.

- Pisałeś dla paryżan - mówiła dalej Desiree - dla czytelników twoich ulotek. Obawiam się, że dzielni mężowie z Filadelfii nie będą cię uważali za poważnego człowieka interesu.

- A za kogóż mają mnie uważać z moimi mundurami i armatami? - wybuchnął.

- Może na przykład za kogoś, kto odgrywa rolę człowieka interesu po to, by wysłać im to, co dostarczy mu za darmo rząd francuski?

- Uważasz, że nie będą płacili? - zapytał Pierre cichym głosem, wyraźnie zmieszany. Myślał o Charlocie, o uwadze swego sekretarza Maigrona. Może naprawdę zamiast listu płynącego z serca lepiej było skierować do mężów w Filadelfii suche pismo. Może naprawdę byli to ludzie nieskorzy do płacenia i list jego umocni ich w przeświadczeniu, że to, co nadejdzie przez ocean, jest podarunkiem króla Francji?

Z miejsca jednak odrzucił tę myśl.

- Co tam - powiedział - mam kontrakt z mister Deane'em, który jest człowiekiem zupełnie pewnym. Nie wątpię ani na chwilę, że Kongres zapłaci. Przecież to reprezentanci narodu o wielkich cnotach.

- Miejmy nadzieję - powiedziała oschle Desiree. Zajęli się znowu Grzegorzem Dyndałą. Ale Pierre nie mógł się tak skupić jak przedtem i wkrótce się pożegnał.

Umowa z rządem przynosiła na razie straty materialne, ale Pierre chciał ją wykorzystać przynajmniej o tyle, by pozbyć się ciężącego na nim z wyroku sądu piętna, które nie pozwalało pełnić żadnej honorowej funkcji. Ta dwuznaczna sytuacja trwała już trzy lata. Cieszący się największym powodzeniem pisarz sceniczny Francji, sławny w całej Europie z powodu swych ulotek, rozpieszczony przez kobiety, popularny zarówno w wielkoświatowych salonach, jak w knajpach i kawiarniach paryskich, był przez cały ten czas „napiętnowany” orzeczeniem sądu.

W ciągu tych trzech lat reagował z obojętnością i drwiną, kiedy ktoś zwracał uwagę na tę jego dwuznaczną sytuację. Ale obojętność była udana. Miał już dosyć roli nadwornego błazna, którego się oklaskuje i którym się równocześnie pogardza.

Wielokrotnie dawał hrabiemu Vergennes do zrozumienia, że tak trudne przedsięwzięcie wymaga oddania mu się bez reszty, a tymczasem hańbiący wyrok i uciążliwe wysiłki w celu doprowadzenia do rewizji procesu nie pozwalają mu rozwinać pełni sił. Minister nie chciał zrozumieć aluzyj. Ale teraz Pierre wiedząc, że będzie musiał czekać tak długo na brzęczącą zapłatę za swoje wysiłki, nie mógł po prostu znieść myśli, że w dodatku odwlekana jest sprawa jego rehabilitacji. Poszedł do ministra z postanowieniem, że nie opuści gabinetu, dopóki nie otrzyma zapewnienia, że postępowanie będzie wznowione. Śmiało i z zapalem oświadczył, że skoro rząd arcychrześcijańskiego monarchy powierzył mu misję tak ważną i zaszczytną, rząd ten musi również zmyć z niego plamę, którą nosi z winy stronniczego sądu. Rząd winien to uczynić przez szacunek dla samego siebie.

Hrabia Vergennes patrzył na Beaumarchais'go przychylnym, zamyślonym wzrokiem. Minister był patriotą, filozofem,

człowiekiem oddanym sprawie postępu. Od dawna był zdecydowany udzielić pomocy insurgentom, w obawie, że w sytuacji beznadziejnej mogą się pogodzić z krajem macierzystym i Francja straci raz na zawsze okazję odpłacenia Anglii za hańbę roku 1763. Z drugiej jednak strony minister wiedział lepiej jeszcze od Carona, że wiele czasu upłynie, zanim można zaryzykować wojnę. Propozycja Beaumarchais'go dotycząca tajnej pomocy bardzo mu więc odpowiadała; utalentowany, pomysłowy Pierre wydawał mu się stworzony do tego interesu. Hrabia Vergennes czuł więc do Carona sympatię i pewną wdzięczność.

Przejrzał jednak również jego słabostki. Był człowiekiem cichym, skłonny do ironii i do ostrożnego wyrażania swoich myśli; głośny, komediancki, pyszałkowaty sposób bycia Beaumarchais'go był mu niemiły. Nie brał tego poważnie, że Pierre był „napiętnowany”. Było w tym coś raczej śmiesznego niż tragicznego, robiło to raczej wrażenie plamy na ubraniu przesadnie eleganckiego pana.

Poza tym hrabia Vergennes należał do ludzi powolnych, nie lubił się spieszyć. Odpowiedział więc i teraz:

- Dlaczego zawsze tak gwałtownie, drogi panie? Mówiłem już, że gotów jestem panu pomóc. Ale czy musi to być teraz? Zaraz?

- Tak, tak, tak - zawołał Pierre - zaraz! Obawiam się - ciągnął złośliwie, zuchwale, a równocześnie uprzejmie - obawiam się, że dopóki nie zostanie ze mnie zdjęte to odium, nie będę mógł pracować tak, jak się tego po mnie spodziewają. Obawiam się, że dopóki będę „napiętnowany”, amerykanie otrzymywać będą mniej armat i amunicji.

Hrabia Vergennes nie należał do ludzi, których można by zastraszyć taką niezręczną groźbą. Ale zdeterminowany, ponury wyraz twarzy słuchacza nie uszedł jego uwagi. Po raz pierwszy minister nie widział w tym człowieku nic

śmiesznego, uświadomił sobie, jak głęboko dotknęła Carona niesprawiedliwa decyzja, ile trzeba było hartu, by w ciągu długich lat kawałami i dowcipami zbywać wyrządzoną krzywdę.

Vergennes bawił się obsadką pióra, wyraz jego oczu stawał się coraz poważniejszy.

- Czy nie uważa pan, monsieur de Beaumarchais, że gdyby właśnie teraz rząd kazał wznowić postępowanie w pańskiej sprawie, mogłoby to zwrócić uwagę Anglików? A przecież pod żadnym pozorem nie chcemy wywołać skandalu.

Pierre odpowiedział nieco szorstko:

- Jestem z natury człowiekiem rzucającym się w oczy. Każdy, kto ma talent, rzuca się w oczy, zapewne dlatego, że liczba tych ludzi nie jest zbyt wielka.

- Dziękuję za pouczenie - odpowiedział ze spokojem Vergennes.

Na to Pierre bardzo uprzejmie:

- Niech mi pan hrabia wybaczy, jeżeli straciłem panowanie nad sobą. Ale ta sprawa porusza mnie głębiej, niż pan przypuszcza. Zresztą - ciągnął dalej ze zrezygnowanym, beztroskim uśmiechem - przecież na załatwienie formalności i wszczęcie procesu i tak trzeba jeżeli nie lat, to miesięcy.

Minister uśmiechnął się.

- Może pan ma rację - powiedział. - Dobrze, pomówię z kolegą kierującym resortem sprawiedliwości. Niech Amerykanie dostaną swoje armaty i karabiny.

Pierre podziękował wylewnie, ale tym razem chciał mieć całkowitą pewność.

- Pan hrabia - odpowiedział - ma tyle spraw na głowie, że nie chciałbym go zbyt obciążać moimi. Rząd zatrudniał mnie dotychczas w niejednym charakterze. To dodało mi odwagi do objęcia na krótki czas funkcji sekretarza pana hrabiego.

Pozwoliłem sobie przygotować pismo pańskie do generalnego prokuratora.

Po tych słowach, uśmiechając się zuchwale, a zarazem uprzejmie, podał hrabiemu pismo następującej treści:

„Pilne interesy króla wymagają, by pan de Beaumarchais przedsięwziął w najbliższym czasie liczne dalsze podróże. Ma on jednak co do tego zastrzeżenia, zanim nie zostanie zdecydowana sprawa rewizji jego procesu. Gdyby więc Pan, Panie Prokuratorze Generalny, zechciał poczynić kroki w tym kierunku, zobowiązałby Pan bardzo swego oddanego Mu...”

- Wystarczy tylko podpisać, panie hrabio – powiedział Pierre z szelmowską miną.

Minister zastanawiał się przez chwilę, czy zuchwalcowi nie dać po nosie, postanowił wreszcie nie robić tego, roześmiał się.

- Jest pan jeszcze bezczelniejszy niż ludzie w pańskich komediach - powiedział i położył swój podpis.

- Wiedziałem, że znajdę u pana zrozumienie dla mojej sytuacji - oświadczył Pierre pełen szczerzej wdzięczności i wziął pismo, by je zaraz dostarczyć, gdzie należy.

Cieszył się, że będzie mógł opowiedzieć przyjaciołom o nowym sukcesie. Jeszcze szczęśliwsza od niego będzie Teresa, która brała tak namiętny udział w walce o jego rehabilitację. Dobrze się składa, że właśnie otrzymał od niej bilecik, by jak najprędzej przyjechał do Meudon.

Powściągliwa Teresa rzadko przysyłała mu takie zaproszenia, czyniła to zwykle wtedy, kiedy chciała z nim pomówić. Teraz oczywiście będzie inaczej. Nie mieszkała już tak blisko, przeprowadziła się do domu w Meudon, który jej podarował. Dom ten wyglądał zresztą nie tak, jak Pierre sobie wyobrażał. Pozostawił Teresie całkowitą swobodę w przebudowaniu go i urządzeniu. Zdziwiło go, że wszystko było tu nacechowane jak najdalej idącą prostotą. Kiedy po raz pierwszy zobaczył

wszystkie przeprowadzone przez nią zmiany, z wielkim wysiłkiem zdołał ukryć niezadowolenie. Pomyślał sobie, że nieprowadzenie z Teresą wspólnego domu ma również swoje dobre strony.

Dziś, kiedy był cały przepelniony wielką nowiną, zaproszenie jej przychodziło wyjątkowo w porę. Z miejsca wybrał się w drogę, zadowolony, niecierpliwy; miał wrażenie, że powóz posuwa się zbyt wolno. Kiedy zobaczył z daleka dom, wydało mu się, że nie wygląda tak źle. Czyż skromne urządzenia wewnątrz nie były teraz w modzie? Teresa, kierując się dobrym smakiem, stworzyła sobie właściwe ramy.

Gdy wyszła na jego spotkanie, zauważył od razu, że jest inna niż zwykle; wydawała się wprawdzie zadowolona, ale zarazem jakaś zmieszana.

Ledwie wszedł pod dach, powiedziała:

- Muszę ci coś powiedzieć, Pierre. - Spokojna zazwyczaj i opanowana, nie znajdowała właściwych słów, uśmiechała się, nie kończyła zdań, była zakłopotana i szczęśliwa.

Pierre nie od razu się połapał. Kiedy to nastąpiło, ogarnęła go szalona radość. Dziecko, będzie miał z Teresą dziecko! Pierwsze jego małżeństwo było bezdzietne, dzieci z drugiego małżeństwa poumierały. Prawdopodobnie w Hiszpanii podrasta jakiś jego potomek, ale matka rozeszła się z nim w gniewie - nigdy nie mógł się dowiedzieć czegoś bliższego. Dziecko z Teresą to rzecz wspaniała!

Ta radosna nowina przyszła prawie tego samego dnia, w którym udało mu się pchnąć naprzód sprawę apelacji.

Mój Boże, Teresa nie wie jeszcze o sukcesie! Opowiadał, zapalał się, Teresa dała się porwać jego entuzjazmowi. Brała udział w jego długiej walce, a teraz Pierre zwyciężył dzięki swojej giętkości, energii i cierpliwości. Ogarnął ją ten sam podniosły nastrój co wtedy, kiedy po raz pierwszy czytała jego ulotki, była szczęśliwa, że marzenia się spełniły. Lekki

rumieniec pokazał się na jej dużej, pięknej twarzy, wargi się rozchyliły, uśmiechała się błogo.

- Dobry dziś dzień, Pierre - powiedziała. Wymówiła te słowa bardzo cicho, ale głos jej miał brzmienie jeszcze pełniejsze, jeszcze głębsze niż zwykle.

Teraz dopiero, kiedy ktoś mógł dzielić z nim bez zastrzeżeń jego dumną radość, Pierre miał poczucie całkowitego szczęścia. Tak, Teresa rozumiała go lepiej niż jakakolwiek inna kobieta, była jego przeznaczeniem. Należeli do siebie teraz bardziej niż kiedykolwiek.

- Tak - nawiązał do jej słów - to naprawdę wielki dzień. - A potem zawołał z zapałem: - Teraz pobierzemy się, teraz nie zniosę już żadnych wykrętów.

Nie zdążył jeszcze wypowiedzieć zdania do końca, a już dom przestał mu się podobać.

- Pobierzemy się, jak tylko zostanę zrehabilitowany.

Wielkie jej szare oczy pod wysokimi brwiami stały się odrobinę ciemniejsze.

- Jeśli chcesz, Pierre - powiedziała cicho i nie tak pewnie jak zwykle. - A jak to długo może potrwać, aż będziesz zrehabilitowany?

- Dwa, najwyżej trzy miesiące - odpowiedział.

Możliwość taka istniała. Ale przy samowoli sądów mogło to się ciągnąć znacznie dłużej. Był trochę niezadowolony z siebie, że w ten sposób odroczył datę ślubu. Ale stało się i dobrze, że tak to przyjęła. Nie mówili o tym więcej, za to zaczął jej z radosnym zapałem proponować imiona dla dziecka. Zgodzili się, że jeżeli będzie chłopiec, nazwą go Aleksandrem, jeżeli dziewczynka, dostanie imię Eugenia.

- W każdym razie - oświadczył z emfazą - pierwszy z moich statków przeznaczonych dla Ameryki nosić będzie nazwę „Aleksander”, drugi „Eugenia”.

Na zamku Etioles, który był własnością pana Lenormant, obchodzono sześćdziesiątą pierwszą rocznicę jego urodzin. Zabawy urządzone przez pana Lenormant cieszyły się rozgłosem. Wszyscy chętnie tam bywali.

Piękny angielski park otaczający zamek nadawał się do wielkich zebrań towarzyskich. Pogoda była olśniewająca, wiał lekki wiatr, nie było za gorąco. Panie miały przeważnie na sobie barwne suknie, wielkie, jasne kapelusze. Dookoła ustawione były namioty, na trawnikach rozpostarto obrusy. Towarzystwo biwakowało, jadło, piło, bawiło się. Dla tych, którzy od ciuciubabki i krokiet woleli gry bardziej podniecające, ustawione były stoły do kart zarówno na murawie, jak i w pokojach zamku. W przewidywaniu południowego skwaru przygotowano wygodne legowiska w cieniu drzew, na tarasach, a nawet pod dachem.

Teraz, kiedy zrobiło się chłodniej, cały wielki park był pełen ludzi. Szeptano o tym, że na zabawę zjawiono się wiele pań i panów należących do dworskiej świty. Przybył książę d'Ayen, przybyli hrabia i hrabina de Noailles, młody książę de la Rochefoucauld, zjawiała się madame de Maurepas, małżonka premiera. Wielkie zainteresowanie wywołała obecność Desiree Mesnard. Próby Grzegorza nie zostawiały jej wiele czasu, ale pan Lenormant, może właśnie z powodu roli Angeliki, prosił niezwykle usilnie, by przyszła. Zjawiała się więc promienna, zgrabna, ruda, bardzo pewna siebie; otoczona licznymi wielbicielami, chodziła po murawie z miną odrobinę zuchwałą.

Madame de Maurepas, jak zwykle, nie odstępowała swej najbliższej przyjaciółki, księżny Montbarey. Siedziały na tarasie, popijały mrożoną lemoniadę, robiły złośliwe uwagi na temat różnych gości. Wskazując oczyma Desiree, pani de Maurepas bąknęła:

- Jakaż ta liszka chuda. A przecież żywi się tak tłustymi liśćmi.

Na zabawie było dużo młodzieży, prawie jeszcze dzieci. Pan Lenormant lubił otaczać się młodymi. Księżna Montbarey przyprowadziła swoją córkę, czternastoletnią Weronikę, dziewczynkę nad wiek poważną.

- Niedobre to czasy dla dzieci - skarżyła się pani de Montbarey. - Nas przygotowywano do życia, pobyt w klasztorze budził w nas chęć do życia. A teraz? Proszę spojrzeć na moją Weronikę, najdroższa. Jaką z niej zrobiono śledziennicę. Odkąd zabrano nam religię, dzieci nasze stają się nudne i moralne. A cóż to za młodzieniec, z którym spaceruje? Wygląda również na śledziennika.

Młodzieńcem, który dotrzymywał towarzystwa Weronice, był Felicjan Lepine, siostrzeniec pana de Beaumarchais. Młody człowiek o kanciastej, surowej twarzy i wielkich, zamyślonych oczach, ubrany w długi tabaczkowy surdut, przedzierał się niezgrabnie przez pstry, ożywiony tłum. Głowa towarzyszącej mu dziewczyny robiła w zestawieniu z chudymi, obnażonymi ramionami wrażenie zbyt wielkiej, stan w bardzo szerokiej, wyszywanej w kwiaty białej spódnicy był wzruszająco wąski. Ponad wiek wyrosnięci i poważni, wędrowali wśród głośnej, radosnej rzeszy, jak gdyby byli sami. Przy prezentacji Weronika przyjrzała się Felicjanowi badawczo, ale i przyjaźnie. Felicjan, który wskutek dokuczliwych żartów kolegów rzadko czuł się swobodny i nieskrępowany, nabrał do niej od razu zaufania. Nieśmiało, w niezgrabnych zdaniach, próbował poinformować ją o swych wewnętrznych przeżyciach. Uderzył w ton odpowiadający Weronice. Patrząc na niego wielkimi, łagodnymi oczyma, wyznała mu, że i ona wśród koleżanek czuje się często samotnie i obco.

Usiedli przy wejściu do sztucznej grotty. Ulokowali się niezbyt wygodnie na głazach. Przy szmerze fontanny Felicjan wyznał dziewczynie z dumą i zakłopotaniem, że od czasu do czasu czyta zakazane książki. Przeczytał nawet dwie książki zelżonego, prześladowanego przez władze filozofa, Jana Jakuba Rousseau. Po przeczytaniu ich, wtajemniczał Weronikę, stał się innym człowiekiem. Życie ludzi, którzy go otaczają, wydaje mu się odtąd sztuczne, płóche, skomplikowane i grzeszne. Obracamy się pośród ciasnych przesądów, odlegli od stanu natury, do którego przeznaczyła nas Najwyższa Istota. O wiele lepsze od naszego jest życie prawdziwych dzieci natury, tak zwanych dzikich. Czy i ona nie jest tego samego zdania, zapytał Weronikę i zakłopotanym, pospiesznym ruchem melancholijnie podciągnął w górę zbyt długie rękawy surduta.

Weronika odpowiedziała, że już słyszała o Rousseau, ale Felicjan pierwszy dał jej jasny obraz jego idei. Idee te są bardzo bliskie jej sercu. Ona też nie lubi takich zabaw, jak ta, tęskni za samotnością i naturą.

Potem Felicjan opowiadał o wuju, panu de Beaumarchais. Tkwi on głęboko w świecie cywilizacji, ale ma zrozumienie i dla innych spraw, dla wszystkich wielkich ideałów. Dodał tajemniczo, że monsieur de Beaumarchais bierze prawdopodobnie pewien udział w tworzeniu owego państwa wolności, rozsądku i natury, które się obecnie buduje w Nowym Świecie. Mimo to Felicjan lęka się mówić z panem de Beaumarchais o tym, co go najgłębiej porusza. Weronika, zakończył niezgrabnie z rozpromienionym wyrazem twarzy, jest jedyną osobą, z którą może o tym mówić.

Podszedł do nich Paweł Theveneau. Miał wypieki, był podniecony. Jako chory, którego dni są policzone, tęsknił zawsze za ludźmi, za przyjaźnią, miłością, sensacją; obecność wielu pięknych, młodych, odświętnie ubranych kobiet

dodawala mu zycia. Surowa, nieco wyniosla prostota Weroniki bardzo mu sie podobala. Przywital sie z obojgiem, przysiadl sie do nich, probowal nawiadzac rozmowe. Ale byli milczacy, zrozumial, ze przeszkadza, oddalil sie ze smutna mina.

Gniewala go wlasna niezrecznosc. Pozwolil temu zoltdziobowi wystrychnac sie na dudka! Jakze inaczej zachowalby sie na jego miejscu pan de Beaumarchais! Uprzejmie i bez wysilku odsunalby na bok Felicjana i sprawil, ze mloda dziewczyna patrzalaby tylko na niego. Od lat podziwial Carona, przede wszystkim za lekosc, z jaka zdobywal przyjaciol i kobiety.

Pawel nie mogl sie skarzyc na brak szczescia w miosci. Ale kiedy ta, o ktorej wzglady sie ubiegal, nie zwracala nań uwagi, stawal sie od razu nieśmiały, ogarnialo go glębokie przygnębienie. Moze lek ten plynal ze swiadomosci, ze wyglada zalosnie. Ale przeciez wiedzial, ze ma twarz dostatecznie namiętna, mądra i pociągajaca, by kobieta mogla zapomniec o jego mizernym ciele.

Zobaczył na ławce wysmukla, samotna postać. Miała żywe oczy, ocienione dlugimi rzęsami, wysokie, śmiało zarysowane brwi, pełną, wyrazistą brode; piersi i ramiona odcinały sie bladobrazowym refleksiem od kosztownej, niezwykle skromnej sukni koloru malwy. Pawel spotykal sie czesto z Teresą, ale taką nie widzial jej nigdy; mial wrazenie, ze patrzy na nią po raz pierwszy.

Uwazal Beaumarchais'go za dziecko szczescia. Zycie jego bylo nieprzerwanym potokiem wydarzeń, zapierajacych oddech w piersiach, potok ten stawal sie coraz szerszy, coraz bardziej spieniony. Tymczasem dni Pawla sa policzone, a poza tym coz on mial z zycia? Pierre zapewne nie uświadamial sobie nawet, jaki byl szczęśliwy. Bral z zycia wszystko, co mogl, jakby sie to rozumialo samo przez sie.

Teresa uśmiechnęła się do Pawła. Młodzięczy, pełen zapału, wyraźnie zakochany, podobał jej się. Wiedziała, że jest chory, współczuła mu. Pierre opowiadał obrazowo o talentach Pawła, Teresa czuła, jak Paweł jest mu oddany.

Odsunęła się nieco, poprosiła, żeby usiadł obok niej. Rozmawiali o wielkim przedsięwzięciu Carona, wtajemniczył ją w zakres nowych interesów, w ich pokusy i niebezpieczeństwa. Teresę niezbyt interesowały szczegóły handlowe, ale wzruszyło ją, że Pierre mówił jej tylko o politycznym znaczeniu przedsięwzięcia, natomiast przemilczał ryzyko osobiste.

Dziwiła się, że go jeszcze nie ma. Paweł był również zdziwiony. Wszyscy odczuwali jego brak. Pierre był duszą słynnych zabaw urządzanych przez pana Lenormant.

Przybył wreszcie. Uściskał Charlota, przeprosił za spóźnienie. Już na odjezdnym zjawił się kurier z za oceanu z pocztą, nie mógł się oprzeć pokusie przeczytania jej od razu. No i opłacało się, powiedział rozpromieniony, z tajemniczą miną. Nadeszła niezwykle ważna wiadomość z Ameryki, pan Lenormant pozwoli chyba, żeby Pierre zakomunikował ją jego gościom.

Stanął na małym wzniesieniu pod starym klonem, grupa ciekawych zebrała się dokoła. Otoczony strojnymi paryżankami i paryżanami, którzy wyteżyli słuch, zaczął mówić:

- Panie i panowie! Właśnie nadszedł dokument, jednogłośnie przyjęty i ogłoszony przez Kongres Zjednoczonych Kolonii, a raczej Kongres Stanów Zjednoczonych. Mam w ręku tekst tej deklaracji w języku angielskim, niechaj mi państwo pozwolą go przetłumaczyć. Przekład będzie oczywiście pobieżny i nie potrafi oddać rozmachu tekstu oryginalnego. który jest równocześnie spokojny i uskrzydłony. Po czym odczytał dokument następującej treści:

- „Kiedy bieg wypadków zmusza jakiś naród do zerwania więzów politycznych łączących go z innym narodem po to, by wśród możliwych tej ziemi zająć wybitne i godne siebie miejsce, do czego uprawniają go prawa natury, szacunek należny ludzkości wymaga, by naród ten podał przyczyny, które go do takiego zerwania zmusiły.

Uważamy, że następujące prawdy nie potrzebują dalszego dowodzenia, że wszyscy ludzie są jednakowo stworzeni, że Stwórca wyposażył ich w pewne niewzruszone prawa, a więc w życie, wolność i dążenie do szczęścia.

Uważamy, iż ludzie po to tworzą rządy, by prawa te były im zagwarantowane; prawa i pełnomocnictwa tych rządów zależne są od zgody rządzonych. Znaczy to, że jeżeli jakikolwiek system rządzenia narusza lub niszczy te prawa, lud upoważniony jest do zmiany systemu rządzenia albo do zniesienia go i do stworzenia nowego rządu opierającego się o takie zasady, których formy i treść mają na celu obronę bezpieczeństwa i szczęścia narodu”.

Podczas czytania Pierre entuzjasmował się na nowo poszczególnymi zwrotami. Nie chodziło mu o to, by dokument przetłumaczyć jak najwierniej, lecz o to, by wywołać jak największy efekt. To mu się udało, sam porwany, porwał również słuchaczy.

Stał na wzniesieniu pod gęstą koroną starego klonu, otoczony licznym gronem, które nie spuszczało z niego wzroku. Zbliżył się białe nakrapiany czarny dog pana Lenormant; Pierre trzymając w jednej ręce rękopis, drugą głaskał psa. Stał wyprostowany, rozpromieniony, z łaszącym się psem u boku. Chwilami chrypl z podniecenia; nie starał się mówić pięknie, nie bał się urywać zdania, kiedy tłumaczenie nie od razu się udawało, rozpoczynać go od nowa. Dzięki temu właśnie to, co mówił, brzmiało bezpośrednio i szczerze.

- „Ostrożność i rozsądek – czytał - wymagają, by rządy, które utrzymywały się w ciągu długiego czasu, nie były zmieniane z błahych, przejściowych przyczyn. Doświadczenie uczy, że ludzie skłonni są raczej do znoszenia zła niż do naprawiania go drogą zmiany form, które ich krepują. Jeżeli jednak gwałt i samowola dążą nieprzerwanie do tego samego celu, a mianowicie do narzucenia narodowi absolutnego despotyzmu, naród ma prawo i obowiązek obalić taki rząd i stworzyć nowe gwarancje dla swego przyszłego bezpieczeństwa. Kolonie znosiły dotąd taki stan rzeczy biernie i cierpliwie. Teraz jednak konieczność zmusza je do zmiany dotychczasowego systemu rządu”.

To, co Pierre odczytał, nie było dla słuchaczy nowe. Znali te idee z książek Monteskiusza, Helvetiusa, Woltera i Rousseau. Tylko że dotychczas były one wyłącznie grą dowcipu i rozumu, a teraz stawały się nagle czynem, polityczną rzeczywistością; nie przemawiały z kart książek, nie wychodziły z ust filozofów. Ci, którzy je głosili, należeli do ludzi chcących budować nowe państwo.

Zapadła głęboka cisza. Nawet lokaje, przyzwyczajeni i wdrożeni do ustawicznego podawania, przestali się krzątać; stali na skraju murawy, trzymając w rękach półmiski, sztywni, z wyciągniętymi szyjami, zamienieni w słuch. W ludnym parku panowała taka cisza, że słycać było głosy ptaków i lekki powiew wiatru. Wszyscy patrzyli w napięciu na Beaumarchais'go; większość słuchaczy była pełna podziwu, tylko niektórzy dąsali się, jak gdyby on sam był inicjatorem tej deklaracji. Wielu z obecnych wiedziało, że Beaumarchais prowadzi interesy z insurgentami, i słuchało z uśmiechem o transakcjach zbyt obrotnego aferzysty. Teraz nikt się nie uśmiechał. Teraz wszyscy czuli, wiedzieli, że ten Pierre Caron de Beaumarchais otrzymał zlecenie na światową skalę, że

reprezentuje udział Francji w tym potężnym dziele, które się rozpoczęło po tamtej stronie oceanu.

Pierre czytał dalej:

- „Historia obecnego króla Wielkiej Brytanii to dzieje powtarzającego się raz po raz gwałtu i samowoli, kronika czynów, których niedwuznacznym celem jest narzucenie naszym Stanom absolutnej tyranii. Aby to udowodnić, przedkładamy nieuprzedzonemu światu następujące fakty: król odmówił swej zgody na ustawy, które były wielce korzystne i wielce potrzebne dla powszechnego dobra, za pośrednictwem gubernatorów odłożył aż do uzyskania jego zgody pilne zarządzenia, całkowicie zaniedbał swój obowiązek zajmowania się przedłożonymi mu projektami ustaw. Powołał ciała ustawodawczo wyznaczając im pomieszczenia, w których nigdy przedtem nie obradowały, nie nadające się do tego, niewygodne, bardzo odległe od siedziby władz publicznych, tylko w tym celu, by owe ciała ustawodawcze szykanować i przeszkadzać im w pracy”.

Paweł Theveneau patrzył na swego pana i przyjaciela ciemnymi, lśniąco-ciemnymi oczyma. Stał w nieładnej pozycji z żałośnie zwieszonymi ramionami, wysuwał naprzód piękną głowę, chłonąc odczytane przez Beaumarchais'go oskarżenie, z jakim Kongres Stanów Zjednoczonych występował przeciw królowi Anglii. Paweł zapomniał o kobietach dokoła, o swojej chorobie. Wszystko to, co tu głośzono, grało w nim i śpiewało; usunięcie niegodnego króla, wolność, Ameryka, wielka wojna, broń dla Ameryki, wielkie posłannictwo. Przyjaciel jego był wybrany, on sam, Paweł, powołany.

Hrabina Maurepas, żona prezesa Rady Ministrów, również słuchała teraz w milczeniu i z wielkim przejęciem. Gdy Pierre zaczął mówić, opowiadała właśnie przyjaciółce, pani Montbarey, jakiś dowcip. Lecz naraz stało się coś, co jej jeszcze nigdy w życiu nie spotkało. Młody książę de la

Rochefoucauld rzucił jej ostro półgłosem: „Proszę, niechaj pani nie przeszkadza, madame”. Raczej zdziwiona niż dotknięta, przerwała rozpoczęte zdanie. Ktoś postarał się dla Teresy o pled i rozłożył go na małym wzgórkuporośniętym trawą. Siedziała wpatrzona w przyjaciela i kochanka. Zatopiona w myślach, słuchała słów płynących z jego ust, upajała się nimi, patrzyła na jego twarz, opromienioną szlachetnym zapałem; kochała go bardzo. Przemilczał przed nią niebezpieczeństwa natury finansowej związane z przedsięwzięciem. Sprawa, o którą walczył, była szlachetną sprawą obywatelskiej wolności. To, co tu głosił i jak głosił, było podobne do owych słów, które ją niegdyś porwały, do owych zdań z ulotek w okresie hańbiącego procesu, kiedy walczył nie tylko o siebie, ale o prawo i sprawiedliwość dla wszystkich, kiedy bronił sprawy mieszczaństwa całego świata przeciw arystokracji i uprzywilejowanym.

Pierre czytał:

- „Król angielski kilkakrotnie rozwiązał Izby Reprezentantów za to, że mocno i mężnie przeciwstawiały się jego atakom na prawa ludu, stworzył masę nowych urzędów, powysyłał całe zastępy urzędników, by nas szykanować i zrujnować nasz dobytek. Bez pozwolenia Izb trzymał w pokojowych czasach stałe wojsko”.

Słów tych słuchał Preville, aktor Theatre Francais; jego wyrazista twarz znieruchomiała, robiła wrażenie maski. Treść proklamacji poruszyła go, ale był zły na tego Carona de Beaumarchais, który zawsze okradał człowieka z najlepszej części dobrze zasłużonego efektu. Nie tylko przypisywano temu Beaumarchais lwią część sukcesu Cyrulika sewilskiego, którego przecież tylko napisał, podczas gdy oni, aktorzy, a przede wszystkim on, Figaro-Preville, wywalczyli sztuce zwycięstwo, ale i teraz sprzęta sprzed nosa rzecz tak stosunkowo drobną jak sukces na dzisiejszej zabawie.

Tygodniami przygotowywało się tę małą farsę, która ma być grana po kolacji, lata całe uczył się człowiek retoryki i dykcji i oto zjawia się dyletant, staje pod drzewem, bez żadnego przygotowania, połykając słowa odczytuje coś ze skrawka papieru, sprząta najlepsze kąski.

Rozpromieniony, wniebowzięty patrzył na syna ojciec Caron. Stał wyprostowany, dumny ze swego mieszczańskiego stroju. Duchowny, którego kazania wysłuchał, kiedy po raz ostatni był na hugonockim nabożeństwie, wydawał mu się dotąd najwyższym symbolem wielkiego sprawiedliwego, karzącego gniewu. Teraz ktoś wzniósł jeszcze potężniejszy pomnik oburzenia. Wspomnienie o duchownym zaćmił obraz syna, który stał tam pod drzewem, oskarżał tyrana Anglii, dzwonił w dzwon wolności. Pierre czytał dalej o niecnym czynach króla Anglii:

- „Poddał nas jurysdykcji obcej naszej konstytucji, nie uznanej przez nasze ustawy. Zakwaterował pośród nas masy uzbrojonego wojska. Odciał nas od handlu z pozostałym światem. Bez naszej zgody obłożył nas podatkami. Ściągnął naszych ludzi przez morze, do Anglii, by nam wytoczyć proces o rzekome przestępstwa. Rozwiązał nasze Izby Ustawodawcze uzurpując sobie siłę i prawo wydawania dla nas ustaw wedle swego widzimisię. Przeciwwstawił się własnemu rządowi stawiając nas poza ochroną jego prawa i prowadząc przeciw nam wojnę”.

Pomiędzy tymi, którzy podczas odczytywania amerykańskiego orędzia o wolności patrzyli z napiętą uwagą na Beaumarchais'go, znajdował się również zażywny pan, ubrany po mieszczańsku, ale nieco staromodnie, w ogromnej atłasowej kamizeli w kwiatki na okrągłym brzuchu. Był to mister Silas Deane, reprezentant Zjednoczonych Kolonii Amerykańskich. Patrzył uważnie na usta mówcy.

Czuł podniecenie tłumu, orientował się, że chodzi o Amerykę, ale, nie znając francuskiego, nie rozumiał ani słowa. Wśród setek ludzi był jedynym, który nie wiedział, że od tej chwili nie jest już reprezentantem Zjednoczonych Kolonii, lecz reprezentantem Stanów Zjednoczonych. W dużej odległości od niego, z tyłu, wśród tłumu stał doktor Dubourg. Umyślnie nie wysunął się naprzód. Cóż ten Pierre Caron, lekkoduch i pyszałek, może mieć ważnego do powiedzenia? Kiedy się później okazało, że miał do powiedzenia coś niesłychanie ważnego, doktora ogarnęła na chwilę złość, że to nie on przyniósł orędzie temu wytwornemu towarzystwu, lecz monsieur Caron. Oczywiście, ten sobie mógł pozwolić na specjalnego kuriera z Hawru, podczas gdy on, doktor Dubourg, otrzyma tę wiadomość chyba dopiero jutro rano. Ale już w następnej chwili doktor Dubourg pozbył się wrogich uczuć w stosunku do Carona; myślał wyłącznie o treści orędzia, dał się porwać szlachetnym słowom, w duchu widział swego wielkiego przyjaciela doktora Beniamina Franklina. A więc teraz odważył się, teraz dopiął swego! Doktor Dubourg przekładał sobie szeptem patetyczne, pełne polotu słowa Beaumarchais'go na umiarkowany, spokojny język swego czcigodnego przyjaciela.

Pierre czytał:

- „Król angielski grasuje na naszych morzach, wtargnął na nasze brzegi, puścił z dymem nasze miasta, wielu spośród nas pozbawił życia. Teraz przeprawia przez morze liczne zastępy obcych żołdaków, aby dopełnić dzieła śmierci, grabieży i tyranii; rozpoczęły się okrucieństwa i bezceństwa, jakich chyba nie było nawet w barbarzyńskich czasach. Król zmobilizował przeciw nam Indian, bezlitosnych dzikusów, dla których wojna to mordowanie bez oglądania się na wiek i płeć. W okresie ucisku prosiliśmy w najpokorniejszej formie o cofnięcie samowolnych kroków i zarządzeń. Odpowiedzią

były nowo szykany. Panujący, tak napiętnowany wszystkimi cechami tyrana, nie nadaje się na władcę wolnego narodu. Zmuszeni więc koniecznością, godzimy się z rozłamem, który między nami nastąpił, i uważamy naszych brytyjskich braci podobnie jak resztę ludzkości za wrogów podczas wojny, za przyjaciół w czasie pokoju".

Desiree siedziała na taborecie, pochylona naprzód; oparła policzek o rękę, jej piękna, ożywiona zwykle twarz znieruchomiała w zamyśleniu, brwi miała ściągnięte. Słuchała odczytywanego tekstu niby jakiejś podniecającej sztuki nowego typu. Jest rzeczą znamioną, że te słowa, przepojone wielkim dostojeństwem, które niewątpliwie będzie się jeszcze często słyszało, doszły do niej po raz pierwszy z ust jej lekkomyślnego, wytwornego, dowcipnego Beaumarchais. Widziała, że Pierre nie stosuje żadnych kruczków, nie pozuje, że jest po brzegi wypełniony tym, co czyta. Niewątpliwie zapomniał, że ten wielki manifest ma również coś wspólnego z jego interesem. Spojrzała w stronę Charlota. Miał wyraz twarzy zasepiony, pusty, jak się to zdarza u ludzi, którzy słuchają muzyki. Nic nie można było z tej twarzy odczytać, bardzo możliwe, że ten człowiek myślał w skrytości ducha o związkach zachodzących między proklamacją praw człowieka a interesem własnym i Carona.

Całkowicie oszołomiona, wniebowzięta była para dzieci - Felicjan i Weronika. Od dawna przeczuwali, że musi istnieć na świecie czystość, wolność, prawda, ideały; były to jednak tylko przeczucia. Teraz przeczucie stało się świadomością, pewnością. Teraz miały się ucieleśnić wolność, prawda, ideały. Upajały ich słowa proklamacji. Bezwiednie trzymali się za ręce, nie spuszczaali oczu z człowieka, z którego ust płynęły natchnione słowa.

Pierre, triumfujący, wyprostowany, odczytywał przed skupionym tłumem końcowe zdania deklaracji:

- „My, reprezentanci Stanów Zjednoczonych Ameryki, zebrani na powszechnym Kongresie, świadcząc się najwyższym Sędzią świata, że zamiary nasze są uczciwe, jako pełnomocnicy uczciwych mieszkańców tych kolonii, niniejszym obwieszczamy uroczyście w ich imieniu: te Zjednoczone Kolonie są i mają pozostać w obliczu prawa wolnymi, niezawisłymi Stanami. Są zwolnione od przynależności do Korony Brytyjskiej. Wszelkie związki polityczne między nimi i państwem angielskim przestają istnieć.

Dla wprowadzenia w życie tej deklaracji, w mocnej wierze w Opatrzność boską, gotowi jesteśmy oddać życie nasze i mienie w obronie naszego honoru”.

Na minutę zapanowała cisza. Potem zerwała się burza oklasków. Strojne, świąteczne, ceremonialne towarzystwo Paryża i Wersalu zaczęło tłoczyć się wokół Carona. Panie i panowie obejmowali go i mówili coś chaotycznie. Wybuchł szalony entuzjizm, jak gdyby nie chodziło o wydarzenia, które się rozegrały przed tygodniami, w odległości wielu tysięcy mil; miało się wrażenie, że deklaracja dotyczy tych ludzi bezpośrednio, że sami ją wydali, a opracował ją w ich imieniu stojący pośrodku Beaumarchais.

Niektórzy poczuli wkrótce, że entuzjizm taki niezupełnie jest na miejscu i nie powinien trwać zbyt długo. Madame de Maurepas na przykład rzuciła swej przyjaciółce następującą uwagę: „Czy jest człowiek, który by prześcignął naszego Toutou w podlewaniu własnych interesów takim sosem entuzjizmu?” Madame de Maurepas zwykła była nazywać Carona „Toutou”.

Gospodarz, solenizant, monsieur Lenormant, nie podzielał również ogólnego entuzjizmu. Wprawdzie, kiedy Pierre zakończył czytanie, twarz jego straciła wyraz posępnego skupienia, wprawdzie zapytany, czy nie uważa deklaracji

insurgentów za godną podziwu, kiwał uprzejmie wielką głową, ale w głębi ducha nie zgadzał się z jej tonem. Był człowiekiem postępowym, sympatyzował ze sprawą insurgentów, życzył Anglikom wszelkich klęsk. Był jednak zdecydowanym stronnikiem absolutnej monarchii francuskiej, uważał oświecony despotyzm za najlepszą formę rządzenia, obawiał się, by wyraźne zwycięstwo powstańców również i we Francji nie posiało ducha rebelii i anarchii. Zapewne to, co zaszło w Filadelfii, jest godne uznania, ale pan Lenormant nie lubił patosu, uważał, że można się w duchu czymś przejmować, ale na zewnątrz należy na bezprawia świata reagować ironią. Dzielni ludzie Zachodu mają niezawodnie swoje zalety, ale są pozbawieni smaku; to nie ulega wątpliwości. Pierre mógł zrobić coś rozsądniejszego niż odczytywać deklarację z takim nakładem górnolotnej retoryki. Pan Lenormant nie był zachwycony, że w rocznicę jego urodzin zabrzmiał wskutek tej patetycznej sceny fałszywy ton. Podszedł do Carona, który stał otoczony uczestnikami zabawy. Miłe, wielkie psisko nie opuściło go, łasiło się do niego. Pierre głaskał swego ulubieńca po głowie. Umiał obchodzić się z psami, kochał je; na obroży jego suki Caprice wyryty był następujący napis: „Nazywam się Caprice, Pierre de Beaumarchais należy do mnie, mieszkamy na ulicy de Conde”. Pan Lenormant podszedł więc z owym ledwie dostrzegalnym uśmiechem i oświadczył:

- Odczytał nam pan potężną deklarację, mój przyjacielu. A więc insurgenci naprawdę postawili teraz wszystko na jedną kartę: życie swoje i mienie. Trzeba na to odwagi i dzielności. Uścisnął jego rękę - nie wiadomo, czy mu winszował, czy też w ten sposób wyrażał współczucie - i oddalił się. Obecni przy tym uśmiechali się uprzejmie i bezmyślnie. Pierre był stropiony, lecz szybko opanował lekką irytację. Rozumiał

Charlota: przecież to dziś jego święto, więc rozdrażniło go, że Pierre odsunął go w cień. Postanowił sprawę załagodzić.

Okazja ku temu nadarzyła się, kiedy po sutej kolacji i ogniach sztucznych goście przeszli do wielkiej sali teatralnej, gdzie miano odegrać komedię.

Mimo swych wyszukanych manier monsieur Lenormant lubił, by na jego scenie prywatnej grywano nie tylko bardzo pretensjonalne tragedie współczesne, ale krotchwile, tak zwane „parady”, zaprawione najjaskrawszym naturalizmem. W krotchwilach tych mówiło się bez żadnych obłonek o sprawach trawienia i płci, prześcigano się w ordynarności, dochodzono do szczytu tego, co się określa jako arystofanesowską naturalność. Panom i paniom dworu wersalskiego oraz paryskich salonów, przesyconych wyrafinowaniem i bezdusznym ceremoniałem dnia codziennego, ta wulgarna strawa dawała dużo przyjemności. „Trzeba umieć - powiedział kiedyś prezes Rady Ministrów, Maurepas - być raz bogiem, drugi raz świntuchem. Ale zawsze trzeba postępować z wdziękiem”. Pierre pisał takie drobiazgi od ręki, był, kiedy tego chciał, mistrzem wulgarności. Na dzisiejszy wieczór przygotował trzy krotchwile - najwięcej obiecywał sobie po ostatniej. Tematem jej była wojna między dwiema straganiarkami, paniami Serafiną i Heloizą, handlującymi rybami; domagają się one odszkodowania za towar, który się zmarnował, bo ktoś przewrócił wózek z beczką. Baby kłóca się ze sobą, z przechodniami, z policjantami, z sędzią. Rozporządzają niewyczerpanym zapasem soczystych, niedwuznacznych, mocnych zwrotów i nie skąpią ich. Całość kończyła się tańcem i hymnem na cześć pana Lenormant, który nie tylko wysłuchał obu straganiarek, ale przyznał im odszkodowanie. Rolę pani Serafiny powierzono panu Preville, który w Theatre Francais grał rolę Figara, panią Heloizą miał być pan Monvel, który w tym

samym przedstawieniu Theatre Francais grał rolę Basilia. Pierre podpił sobie trochę, był w podniosłym nastroju z powodu sukcesu wielkiej deklaracji, więc jako amator paradoksów wpadł na nowy pomysł: zdecydował, że sam zagra panią Heloizę. Był to nie tylko wspaniały kawał; Pierre czynił w ten sposób zaszczyt Charlotowi i liczył na to, że tą drogą złagodzi jego niezadowolenie.

Ani Preville, ani Monvel nie byli zbyt tym pomysłem zachwyceni. Wiedzieli jednak, że nie poradzą sobie z wszechmocnym autorem Cyrulika. Z kwaśnymi minami poddali się więc, a Pierre włożył suknię i saboty pani Heloizy. W wielkim pośpiechu wypchał sobie potężny biust, po czym fryzjer uszmiłkował go błyskawicznie. Rozległo się tradycyjne uderzenie laski i widowisko się rozpoczęło.

Pierre zdawał sobie sprawę, że jeżeli nie chce, by obydwaj panowie z Theatre Francais zachowali doń dożgonną urazę, zaimprovizowane widowisko musi być lepsze od planowanego. Wziął się więc w ryzyko. Wkrótce aktor Preville zorientował się, że ma w osobie Beaumarchais'go partnera co najmniej równego panu Monvel. Po kilku zdaniach obaj chwycili tempo i wzmagali je coraz bardziej. Kłócąc się, narzekając i wymyślając sobie w soczystej gwarze, Serafina i Heloiza przechodziły przez wszystkie etapy swej udręki.

Słuchacze, poznawszy swych ulubieńców, pana de Beaumarchais i Preville'a, zachwyceni niespodzianką i maskaradą, śmiali się coraz głośniej. Panie o cienkich taliach, z wypiekami na uszmiłkowanych twarzach, skręcały się ze śmiechu, dusiły się nieomal, wydawały entuzjastyczne okrzyki. Monsieur Lenormant promieniał. Objął Carona, zapomniał, że Beaumarchais sprawił mu niedawno przykrość. Przerażające było działanie krotochwili na Felicjana i Weronikę. Patrzyli z trwogą na człowieka, który męczył się na scenie, sypał ordynarnymi wyrazami, tańczył jak szaleniec,

wrzeszczał jak kłown. Czy to ten sam człowiek, który przed kilkoma godzinami potrafił ich porwać? Żałowali, że nie odeszli, że na to patrzyli. Wstyd im było za niego i za siebie. Czy naprawdę istota ludzka tak jest stworzona, że zawsze z obłoków spada w błoto?

Pierre, otoczony, podziwiany, zobaczył w oddali młodą parę. Ujrawszy wyraz ich twarzy, instynktownie zorientował się, co czują, i na chwilę wstrząsnął nim dreszczyk niezadowolenia. Ogarnął go gniew. Kiedy był w wieku Felicjana, zadawał się już z dziewczętami: ten chłopak, choć ma lat piętnaście, jest jeszcze ciągle małym dzieckiem, a równocześnie nadętym moralistą. Z uśmiechem na ustach, nie przerywając konwersacji, Pierre myślał sobie:

„Jakież cnotliwe i stetryczone pokolenie dorasta. Nie ma tolerancji, nie ma zrozumienia dla tego, co ludzkie”.

Otyły, dostojny i żarliwy mister Silas Deane rozwijał więc ożywioną działalność i reprezentował Stany Zjednoczone. Pierre wciągnął go sprytnie w krąg swoich interesów, mister Deane pertraktował z armatorami i różnymi dostawcami. Zdawało mu się, że jest bardzo pomocny.

Pierre zaznajomił go z kilkoma wielkimi panami, którzy sprzyjali sprawie amerykańskiej, między innymi z księciem de Broglie, marszałkiem Francji, reprezentantem prastarego rodu i spadkobiercą olbrzymiej fortuny. Pięćdziesięcioośmioletni marszałek polny, któremu czyny wojenne zdobyły światową sławę, zrobił na kupcu z Connecticut potężne wrażenie. Książę de Broglie był gotów, na wypadek, gdyby go Amerykanie o to prosili, udać się do nich i jako „namiestnik” objąć kierownictwo nad wojskiem i rządem. Wysłał do Ameryki niejakiego pułkownika de Kalb, który uratował mu życie w bitwie pod Rosbach i był jego totumfackim, a który miał nawiązać kontakt z insurgentami. Ten pan de Kalb, dobry

fachowiec wojskowy i rozsądny człowiek, przywiózł z za oceanu dużo godnego uwagi materiału, musiał jednak zakomunikować, że na razie Amerykanie ociągają się z przyjęciem oferty marszałka. Nie zmniejszyło to zapału pana de Broglie dla sprawy insurgentów.

Silas Deane otrzymał polecenie zwerbowania dla armii amerykańskiej kilku zdolnych oficerów, przede wszystkim saperów i artylerzystów. Opowiedział o tym marszałkowi i przyjaciel jego, pułkownik de Kalb, wyraził chęć zaciągnięcia się; monsieur de Kalb nie był z pochodzenia arystokratą, nawet jego „de” było wątpliwe, dalszy więc jego awans w armii francuskiej nie wchodził w rachubę, a nawet nominacja na pułkownika doszła do skutku nie bez trudności, jedynie za wstawiennictwem marszałka. Mister Silas Deane był dumny i zadowolony, że na polecenie Kongresu może zaangażować do armii amerykańskiej w randze generała-majora tak zasłużonego wojaka. Generał przedstawił Silasowi Deane innych panów, przeważnie niższych rangą oficerów, którzy byli gotowi wstąpić do armii amerykańskiej. Silas Deane, uszczęśliwiony tym entuzjazmem i gotowością, zaangażował wszystkich; każdy z nich otrzymał rangę o stopień wyższą od tej, którą miał w armii francuskiej.

Kiedy jednak wypadło delegatowi amerykańskiemu wypłacić zaliczkę na pobory oraz załatwić sprawę przejazdu i ekwipunku zwerbowanych oficerów, wyłoniły się trudności. Mister Deane otrzymał od Kongresu niewielką sumę; oświadczone mu, że dostanie więcej, kiedy kapitanowie amerykańscy spieniężą w portach francuskich tytoń, który wiozą na statkach. Ale tytoń nie nadchodził, środki mister Deane'a były na wyczerpaniu, nie mógł zapłacić sum należnych armatorom, dostawcom i oficerom. Wysyłał do Kongresu list za listem, domagał się pieniędzy i towarów w

zamian za dostawy pana de Beaumarchais, żądał pieniędzy dla siebie. Kongres dawał wymijające odpowiedzi.

Silas Deane był patriotą oddanym sprawie wolności.

Chcąc sprawie tej służyć, rzucił kwitnący interes w Connecticut i dumny był, że jest reprezentantem Stanów Zjednoczonych. Miał zrozumienie dla wielu rzeczy, znał świat. Wiedział, że Kongres musi zdobywać pieniądze dla potrzeb bardziej bezpośrednich i naglących, że pieniędzy tych nie było, że wojna miała przebieg niepomyślny. Choć stan ten sprawiał mu kłopoty, rozumiał, że za oceanem odsuwano na bok prośby i nalegania siedzącego w dalekim Paryżu pełnomocnika.

Mister Deane nie wiedział, że odmowne stanowisko Kongresu było dziełem owego Artura Lee, którego Pierre poznał w Londynie. Dotknięty tym, że monsieur de Beaumarchais nie załatwił pozytywnie sprawy przyrzeczonej mu audiencji w Wersalu, mister Lee był jeszcze bardziej wściekły, że Kongres nie jego mianował swym pełnomocnikiem w Paryżu. Z natury nieufny, uważał firmę Hortalez, po tym, co mówił Beaumarchais w Londynie, za fikcję, za fasadę. Zdania tego mister Lee nie ukrywał przed wpływowymi osobistościami w Filadelfii i przed Kongresem. Dostawy firmy Hortalez, pisał, to w gruncie rzeczy podarunek króla Francji dla powstańców; jeżeli Beaumarchais i Deane przedstawiają sprawę inaczej, czynią to dlatego, że chcą osiągnąć niedozwolone zyski. Kongres odczytywał te listy, ale nie posiadał pieniędzy, a zresztą uważał, że ma prawo wierzyć raportom swego przedstawiciela w Londynie, Artura Lee, i być głuchym na coraz gwałtowniejsze nalegania swego przedstawiciela w Paryżu, Silasa Deane.

Kiedy ten wyczerpał wreszcie wszystkie środki i nie mógł już nawet opłacać pokoju w Hotel d'Hambourg, nie pozostało mu nic innego, jak zwrócić się do uprzejmego pana de

Beaumarchais. Zakłopotany, w kwiecistej kamizelce, oblewając się potem, opowiedział o swoich trudnościach. Pierre był niemile zdziwiony. Jeżeli panowie z Filadelfii nawet swemu reprezentantowi nie mogą dać do dyspozycji kilkuset dolarów, których mu potrzeba na życie, to co będzie, kiedy wypadnie zapłacić miliony należne firmie Hortalez? Pierre widział oczyma wyobraźni nieznaczny uśmiech Charlota, słyszał jego uprzejme słowa: „A więc powstańcy postawili na kartę wszystko - życie i mienie”. Oczywiście nie dał poznać po sobie, jakie troski go trapią. Przeciwnie, oświadczył wspaniałomyślnie i z uśmiechem, że firma Hortalez chętnie wypłaci mister Deane'owi żadaną sumę.

Mister Deane promieniał. Jakie to szczęście, że w Paryżu jest taki człowiek jak pan Beaumarchais, który spod ziemi wydobywa uzbrojenie dla Amerykanów, mówi po angielsku i czeka cierpliwie na zapłatę za towary dostarczone Kongresowi. I w dodatku, kiedy się jest osobiście w kłopotach, daje jeszcze pieniądze.

Mister Deane był uratowany na dwa, trzy tygodnie. Ale co dalej?

Najbliższa poczta przyniosła pocieszenie. Wprawdzie Kongres nie przysłał pieniędzy, ale przysłał za to wiadomość, że mianowany został jeszcze jeden przedstawiciel w Paryżu, doktor Benjamin Franklin. Jeżeli ten sławny człowiek bierze sprawę w swoje ręce, Silas Deane nie ma już powodu do obaw. Upłyną oczywiście miesiące, zanim doktor Franklin zjawi się w Paryżu, ale pocieszająca była świadomość, że okres biedy nie będzie trwał bez końca.

Pomimo żywiołowego temperamentu, próżności i skłonności do kabotyństwa Pierre był niezmqordowanym pracownikiem i świetnym organizatorem. Składy firmy Hortalez napełniły się bronią, mundurami i różnego rodzaju towarami, w stocznjach Hawru, Cherbourga, Brestu, Nantes, Bordeaux i Marsylii

budowano statki dla przewozu tych towarów, werbowano kapitanów i marynarzy.

Firma Hortalez utrzymywała agentów we wszystkich większych francuskich miastach portowych. Porty północne obsługiwali panowie Emmery, Vaillant i d'Ostalis, porty południowe panowie Chassefierre i Peyroux. Jedni z nich byli obrotni i zdyscyplinowani, drudzy cwani i niepewni. Znalezienie odpowiednich ludzi stało się sprawą palącą. Działalność firmy Hortalez w francuskich miastach portowych pilnie śledził tajny wywiad angielski, sekretarz stanu Gerard raz po raz zwracał się do Beaumarchais'go z prośbą, by wszystko robiono w jak największej tajemnicy. Zwłaszcza w portach północnych roiło się od szpiegów. Pierre wysłał więc na północ Pawła Theveneau, a sam w towarzystwie przyjaciela Filipa Gudin udał się incognito, jako pan Durand, w „podróż naukowo-rozrywkową” na południe.

Pierre podróżował chętnie. Miał oczy i serce otwarte na wszystko, co obce, cieszył się nowymi miastami, nowymi ludźmi. Miły, roztropny, żądny użycia i rozrywek Gudin był wymarzoną towarzyszem. Oddany przyjacielowi duszą i ciałem, nie zrażony tym, że Pierre wykluczył go całkowicie z kręgu swych zawikłanych i nieraz ciemnych interesów, wierny Filip był zawsze pod ręką, gdy go Pierre chciał mieć przy sobie, i trzymał się z daleka, gdy mógł przeszkadzać. Filip Gudin był również dobrym współbiedniakiem, lubił i umiał jeść i pić, zastrzając przez to łakomstwo i smakoszostwo przyjaciela, miał humor, sekundował mu w każdym żarcie czy figlu. Poza tym rozporządzał olbrzymią, żywą wiedzą, którą na życzenie Beaumarchais'go chętnie oddawał na jego usługi.

Włączyli się więc we dwójkę po południowych prowincjach Francji. Była późna jesień, bogata w dojrzałe płody. Mieszkali w dobrych zajazdach, rozkoszowali się okolicą, winem i kobietami.

Ponadto z rozkoszą wciągali w nozdrza zapach historii, Filip Gudin był entuzjastycznym badaczem starożytności. Znał się na starej architekturze, ruiny zmieniały się w jego oczach w to, czym były niegdyś, i zaludniały się dawnymi mieszkańcami.

Pierre lubił takie wędrówki w przeszłość i chętnie zaprawiał opowiadania przyjaciela dowcipem i fantazją. Filip wciąż powtarzał swoje: „Jaka szkoda, żeś nie studiował! Jakież byłby z ciebie wspaniały naukowiec! Jakiego geniusza straciła w twojej osobie klasyczna tragedia francuska!” „Ach, daj mi spokój - odpowiadał lekkomyślnie Pierre - jestem zadowolony, że jest tak, jak jest”.

Pierre uważał, że ma w sobie zadatki na tragicznego poetę na miarę Corneille'a i Racine'a: w innych okolicznościach stałby się nim chyba, a tak osiągnie w najlepszym wypadku sławę Moliera. Mimo to był w gruncie rzeczy wdzięczny losowi, że przeznaczył mu rolę człowieka wielkich interesów. Umacniał się w przekonaniu, że przywileje urodzenia i talentu zaczynają blednąć przed nowym przywilejem pieniądza. On, Pierre de Beaumarchais, posiadał teraz te wszystkie trzy przywileje: talent miał wrodzony, pieniądze i szlachectwo zdobył.

Od czasu do czasu musiał z racji interesów rozstawać się na kilka dni z Filipem Gudin. Filip zatapiał się wtedy w studiach, pisał, czytał, robił notatki, w których mówił o tym, jak podobny do cienia, błądzącego wśród grobów i ruin, przyzywa umarłych ku pouczeniu przyszłych pokoleń, podczas gdy jego wielki przyjaciel, pełen troski o dobro bliźnich, odwiedza armatorów, wprawia w ruch tysiące rąk, kieruje twórczo i sprawnie tysiącem głów. Porównywał Carona z wikingiem, królem mórz, który wyruszył na wyprawę, by dla swego plemienia zdobyć nowe kraje.

Czasami, kiedy w większej kompanii Pierre humorem swym oraz inteligencją porywał nie znanych bliżej

współbiesiadników, Filip nie umiał poskromić swego entuzjazmu, dawał do zrozumienia, że monsieur Durand to właściwie głośny, sławny monsieur de Beaumarchais. Kiedy potem zwracano się do Carona z pytaniami, przeczył temu tak gwałtownie i w taki sposób, że każdy musiał się zorientować, kim jest naprawdę.

W pięknym mieście Bordeaux Pierre wpakował się w kabałę, która go z początku bawiła, lecz później stała się przyczyną niemałej irytacji. W Bordeaux, w stoczni panów Testard i Gachet, przebudowywano dla Beaumarchais'go gruntownie wielki, stary okręt. Pierre bywał często w biurze firmy Testard i Gachet, ale tylko pan Gachet wiedział, kim jest naprawdę. W owym czasie zbudowano w Bordeaux nowy, obszerny gmach teatralny. Na pierwszy ogień musiał pójść Cyrulik sewilski - próby już się odbywały. Pierre przechodził kilka razy dziennie koło teatru, pokusa była wielka, miał ochotę pójść na scenę, powiedzieć aktorom, którzy tam kształtowali na swój sposób jego ludzi i zdania: „To ja jestem Beaumarchais”. Ale oparł się pokusie i energicznie zażądał od poczciwego gaduły Filipa, by strzegł jego incognita. Filip skinął gorliwie głową i oświadczył z miną spiskowca: „Zdaj się na mnie!”

Kiedy jednak wieczorem, w knajpie, ktoś przy sąsiednim stole oświadczył, że twarz tego pana wydaje mu się znajoma, Gudin nie mógł się powstrzymać od szerokiego, wiele mówiącego uśmiechu. Następnego dnia było powszechnie wiadomo, że słynny pan de Beaumarchais bawi w mieście, by oswobodzić Amerykę i być na przedstawieniu swej sztuki. Nazajutrz zjawiała się u pana Durand deputacja aktorów z prośbą, by był obecny na próbach Cyrulika i udzielił im wskazówek. Monsieur Durand zapytał z uprzejmym uśmiechem, w jaki to sposób szaraczek monsieur Durand może udzielać rad doświadczonym, znanym aktorom. Aktorzy odpowiedzieli uśmiechami oraz oświadczeniem, że jeżeli panu Durand na

tym zależy, by pozostać panem Durand, zastosują się niewątpliwie do jego życzenia; mimo to mógłby przecież brać udział w próbach. Monsieur Durand spełnił prośbę, dawał pożyteczne wskazówki, do których się z szacunkiem stosowano. Premiera przyniosła olbrzymi sukces, aktorzy wskazywali na siedzącego w łoży pana Durand, któremu publiczność zgotowała owację. Pierre uśmiechnięty, udając ruchem ręki, że się przeciw tym owacjom broni, zawołał:

- Ależ, moi drodzy, jestem przecież Durand!

Zadowolony ze swych przeżyć wrócił do Paryża. Zaraz jednak po powrocie dano mu odczuć, że trunk, którym się delectował, pozostawił na dnie kielicha gorzki osad. Kiedy mianowicie zameldował się u hrabiego Vergennes, zamiast ministra przyjął go pan de Gerard. Pierre niechętnie pertraktował z panem de Gerard. Zachowywał się on wprawdzie poprawnie, ale nie miał w sobie nic z filozoficzno-kpiącej serdeczności hrabiego Vergennes. Dziś Gerard był wyjątkowo chłodny.

- Wiadomo panu chyba - zaczął od razu po przywitaniu - że lord Stormont był kilkakrotnie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, by na podstawie dokumentów wskazać na podejrzaną, a raczej już niepodejrzaną działalność firmy Hortalez. Od samego początku zwracaliśmy panu uwagę, że będziemy mieli z pańskiego powodu trudności z Anglią, i prosiliśmy, by się pan wystrzegał wszelkich nieostrożnych kroków. Tymczasem w Bordeaux, gdzie dokonywane są podejrzone roboty przy dwóch większych statkach, niejaki pan Durand był obecny na przedstawieniu Cyrulika sewilskiego i wszyscy wiedzieli, kim jest ten pan Durand. Co pan sobie właściwie wyobraża, robiąc podobne kawały? Czy nie pomyślał pan o tym, że piwo, które pan nawarzył, będzie musiał wypić rząd króla?

Pierre, gryząc wargi ze złości, odpowiedział, że jeżeli Anglicy zwrócili uwagę na firmę Hortalez, stało się to z powodu nieodpowiedzialnej gadaniny nieodpowiedzialnych osób. Jedną z tych osób jest solidny, pełen najlepszej woli, ale gadatliwy i przeświadczony o swej ważności pan Barbeu Dubourg.

Sekretarz stanu odparował ostro tę wymówkę.

- Niechże nas pan nie uważa za głupszych, niż jesteśmy - powiedział. - Wiemy wszystko zarówno o panu, jak i o panu doktorze Dubourg, ale mamy już dosyć tych pańskich nieostrożności. Musi się pan zdecydować, czy na przyszłość będzie się pan uważał za pełnomocnika tego ministerstwa, czy też za osobę prywatną, która może sobie pozwolić na każdy kaprys.

Pierre oddalił się pełen bezsilnej złości.

Przeciwności spotykały go nie tylko w Paryżu, ale i na północy. Wedle raportu Pawła stały tam trzy statki całkowicie gotowe do drogi, ale Anglicy starali się na wszelkie sposoby nie dopuścić; by wypłynęły z portów; co dzień składali w Ministerstwie Marynarki protesty, władze francuskie musiały udawać, że prowadzą surowe dochodzenia. W takich okolicznościach Paweł nie miał odwagi polegać tylko na panach Emmery i Vaillant i postanowił pozostać na północy do chwili, aż statki wypłyną.

Pierre najchętniej sam by tam pojechał. Był pewien, że starczyłoby mu pomysłowości i przytomności umysłu, by na miejscu uporać się z intrygami Anglików i we właściwym momencie z formalnym pozwoleniem władz portowych lub bez niego dać rozkaz odjazdu. Palił się również, by zobaczyć, jak wypływają na morze jego pierwsze statki. Ale przypomniał mu się pan Gerard; nie, to niemożliwe, nie może pojechać do Brestu.

Diablo to przyzwocie ze strony Pawła, że tak długo zostaje na północy. Pierre wiedział doskonale, jak Paweł kocha swój Paryż; namiętność Pawła do cudownego miasta potęgowała jeszcze świadomość, że lata jego są policzone; chciał użyć życia aż do przesytu. Poza tym zbliżała się zima i pobyt nad Atlantykiem nie mógł dobrze wpłynąć na stan jego zdrowia.

Pierre opowiedział Teresie o trzech statkach naładowanych towarami, które w Breście i Hawrze czekają na odjazd. Jeden nazywał się „Aleksander”, drugi „Eugenia”, trzeci „Wiktor”. Człowiek przesądny mógłby medytować nad tym, jakie to będzie miało znaczenie, który z nich pierwszy wypłynie. Teresa zapytała, czy długi pobyt nad Morzem Północnym nie zaszkodzi Pawłowi.

- Sam się o niego lękam - odpowiedział Pierre - i napisałem mu o tym. Ale chce tam koniecznie zostać, powiada, że to już nie potrwa długo.

Istotnie w tydzień później Paweł przy słał wiadomość, że wróci w najbliższych dniach. „Wiktor” wypłynęła na morze, jeżeli nie zajdą nieprzewidziane przeszkody, to w chwili kiedy Pierre czytać będzie ten list, „Aleksander” i „Eugenia” powinny również wypłynąć.

Pierre siedział nad listem przy swoim wielkim biurku i uśmiechał się. Wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w puste miejsce na ścianie, przeznaczone na portret Duvernoy'ego, skradziony mu w owym procesie. Ale nie widział pustego miejsca. Widział okręty, własne okręty, które wiozły przez morza do Ameryki jego broń, przeznaczoną do walki o wolność i zbudowanie lepszego świata.

Rozdział drugi

Franklin

Na pokładzie stał stary człowiek, szczelnie opatulony futrem. Grudzień był tego roku bardzo mroźny. Wielką, masywną głowę starego człowieka okrywała futrzana czapka. Spod czapki opadały na kołnierz futra długie kosmyki siwych włosów.

Wiał bardzo ostry wicher, nawet tutaj, w spokojnej zatoce Quiberon statek kołysał się gwałtownie, jak w tańcu. Podróżny, spoglądając na ląd przez okulary w metalowej oprawie, uczepił się oburącz poręczy.

Nie była to długa podróż - przejazd do Europy trwał zaledwie pięć tygodni, ale nie należał do przyjemnych. To nic, że przez cały czas szalała wichura, stary Benjamin Franklin nie cierpiał nigdy na morską chorobę; zaraz jednak na początku podróży poczuł się wskutek długiej serii posiedzeń Kongresu i braku ruchu zmęczony i wyczerpany, a niezdrowe jedzenie na statku zrobiło również swoje. Świeży drób był dla jego zębów za twardy, musiał więc żywić się peklowanym mięsem i sucharami okrętowymi, przez co nabawił się czegoś w rodzaju lekkiego szkorbutu; dręczyły go strupy na łysiejącej głowie, wysypka na całym ciele.

Najgorsze było jednak chyba stałe poczucie niebezpieczeństwa. Wprawdzie w obecności wnuków, siedemnastoletniego Williama i sześciolatniego Beniamina, zachowywał się z właściwą mu obojętnością, wprawdzie dzień w dzień mierzył temperaturę powietrza i wody, prowadził dalej swe studia nad Golfstromem, pracował metodycznie z obydwojema wnukami nad doskonaleniem swojej i ich francuszczyzny, ale za tym sztucznym spokojem czaiła się ciągle niemiła myśl: „Miejmy nadzieję, że nie zaskoczy nas

żaden angielski okręt wojenny". Gdyby się tak stało, życie jego zawisłoby na włosku.

Na szczęście wszystko poszło dobrze, nawet bardzo dobrze. Statek „Reprisal” zagarnął nawet dwa małe statki nieprzyjacielskie, jeden z ładunkiem drzewa i wina, drugi z siemieniem lnianym i spirytusem. Teraz rysowały się kontury wybrzeża, niebezpieczeństwo minęło.

Stał na pokładzie, czując słabość w nogach, zwłaszcza w kolanach. Przed nim rozpościerała się Francja, kraj, który chciał pozyskać dla Ameryki i swojej sprawy. Podszedł kapitan Lambert Wickes, hałaśliwy, pogodny człowiek.

- Jakże się doktor dziś miewa? - wrzeszczał przez wichurę.

- Dziękuję - odpowiedział Franklin. - Dobrze, jak zawsze.

- Obawiam się - wołał kapitan - że i dziś nie uda nam się wylądować.

Mieli zamiar skierować się łozyskiem Loary do Nantes. Franklin patrzył na rozpościerające się przed nim wybrzeże.

- Jak się ta miejscowość nazywa? - zapytał.

- Aurary - odparł kapitan.

- W takim razie wsiądę tutaj, o ile to możliwe - zdecydował Franklin.

- Oczywiście, że możliwe - odrzekł kapitan Wickes. - Zajmę się przygotowaniem. Przy tym wietrze wszystko razem potrwa kilka godzin.

To powiedziawszy oddalił się.

Franklin pozostał na pokładzie. Dobrze mu zrobił widok spienionego morza, powiew wicheru. A więc za kilka godzin znajdzie się na lądzie, na tej ziemi, na której spędzi najbliższe lata, prawdopodobnie ostatnie; jest już stary, za kilka tygodni kończy lat siedemdziesiąt jeden.

Nie, nie jest jeszcze stary. To, że brał teraz udział w nowym przedsięwzięciu, całkowicie niepewnym przedsięwzięciu, wymagającym napięcia wszystkich sił, przywracało mu

młodość. Był mężem stanu i cieszącym się światową sławą badaczem, ale w gruncie rzeczy nie posunął się dalej niż wtedy, kiedy mając lat siedemnaście rzucił naukę i uciekł do Londynu, bez środków, zdany tylko na siebie i na odrobinę wiedzy, którą zdążył zdobyć. Dziś wstępując na francuską ziemię był w podobnej sytuacji jak wtedy, kiedy uciekł do Anglii. Żona mu umarła, jedyny syn przeszedł na stronę angielską, do obozu przeciwników, i w Stanach Zjednoczonych został słusznie napiętnowany jako zdrajca. Stary postawił całą swą płynną gotówkę do dyspozycji Kongresu w formie pożyczki; nie była to dobra lokata kapitału na ten krótki okres, który mu pozostawał do życia. Najlepsze, co miał, i jedyne było stojące przed nim zadanie, trudne, skomplikowane, niemal nie do rozwiązania, błogosławione zadanie zdobycia Francji dla amerykańskiej sprawy.

Przed chwilą, kiedy rozważał z kapitanem Wickes, czy tu wylądować, twarz jego pod futrzaną czapką była twarzą chytrego, starego człowieka; oczy patrzyły ostro, nawet nieufnie przez okulary w metalowej oprawie, szerokie usta rozszerzały się jeszcze bardziej w cichym, przebiegłym uśmiechu. Teraz, kiedy Franklin zdjął okulary i futrzaną czapkę, oblicze jego, chłostane wiatrem, choć prawie nie zmienione, było obliczem innego człowieka. Duże, mądre oczy miały świeżość i młodzieńczą żywość, w wysokim, szerokim czole, z którego wiatr odrzucał rzadkie włosy, było coś władcze, cała zaczerwieniona twarz, poorana głębokimi zmarszczkami od czoła do nosa, wraz z potężnym podbródkiem robiła wrażenie mocne, zdecydowane i bojowe.

Widział krainę swej przyszłości; czuł niemal fizycznie potężne zadanie, stojące teraz przed nim w najbliższym czasie, szedł mu naprzeciw z gotowością, więcej nawet, pożądliwie.

Obydwaj chłopcy: siedemnastoletni William Temple Franklin i sześćioletni Benjamin Franklin Bache, weszli teraz na

pokład. Roześmiani, trzymając się za ręce, rzucając przez kołyszący się statek to w tę, to w ową stronę, zbliżali się do niego. Miło było patrzeć na obu wnuków. Mały Benjamin Bache, syn córki Franklina, był żywym, jasnowłosym dzieckiem o delikatnej twarzyczce. A czyż drugi, siedemnastoletni William, nie wyglądał zachwycająco? Nozdrza jego pięknego, śmiało zarysowanego nosa zdawały się chłonać wiatr morski. Jakie miał miłe, wesole, radosne usta nad ciężkim nieco podbródkiem. Ten ciężki podbródek odziedziczył po dziadku. Poza tym miał niestety sporo cech charakteru swego ojca, uroda i miłe obejście nie były w stanie ich zatrzeć.

Obydwaj chłopcy byli bardzo podnieceni. Dowiedziawszy się od marynarzy, że nie ma nadziei na szybkie przybycie do Nantes, wypytywali ich z ciekawością, czy może tutaj wreszcie wylądują. Ucieszyli się bardzo, kiedy doktor powiedział: tak, i polecił im zaraz przystąpić do pakowania.

- Kazałeś mi przygotować kąpiel, Williamie? – zapytał Franklin.

Zmieszany chłopak odpowiedział, że zapomniał. Zapominał łatwo, ale miał za to wiele miłych właściwości. I teraz tak gorąco okazywał skruchę, że dziadek od razu zapomniał o gniewie.

Kąpiel na kołyszącym się statku nie była rzeczą łatwą. Doktor zrezygnował z zabrania wielkiej ilości bagażu, ale nie zrezygnował z wanny, którą dla swego specjalnego użytku starannie skonstruował; czuł potrzebę długiej, gorącej kąpieli. Wanna była zrobiona z mocnego, szlachetnego drzewa, miała wysokie oparcie w formie muszli, dzięki czemu można było w niej wygodnie siedzieć. Można ją było również zamykać przykrywą tak, że wystawały tylko plecy, szyja i głowa. Dzięki temu woda nie wylewała się, a ludzie, z którymi stary

miał ochotę rozmawiać podczas długiej kąpieli, mogli siedzieć na wannie.

Dziś kąpiący się nie miał innego towarzystwa oprócz własnych myśli; chłopcy zajęci byli pakowaniem. Siedział w wannie, zmęczone ciało rozkoszowało się ciepłą wodą. Zdrapując ostrożnie strupy puścił wodze myślom.

Nie, William nie jest chłopcem zbyt sumiennym; gdy mu wpadnie do głowy coś innego, przyjemniejszego, zapomina o poleceniach. Nie można tego zarzucić jego ojcu, temu zdrajcy. Pomimo całej żądzy użycia nie zapomina nigdy o karierze. William dobrze się prezentuje, nie ma nic z ociężałości, powolności właściwej staremu Benjaminowi. Jest o wiele wytworniejszy, ma coś, co ujmuje ludzi. Młody William opierał się rozstaniu z ojcem, nie chciał jechać z dziadkiem do Francji. Stary postawił na swoim. Chłopak musi pojechać do Paryża. Niech wyrośnie w zdrowej atmosferze, z dala od nieudanego ojca, który dał się zwabić pokusom i pieniądzom rządu londyńskiego i słusznie siedzi teraz w więzieniu w Litchfield. Ale trzeba bardzo uważać na małego Williama. Nie ma w nim tej paskudnej, bezwzględnej chciwości ojca, ale jest bezmyślna żądza życia. Wie doskonale, że mu się wiele wybaczy, prawie wszystko, bo taki z niego ładny chłopak. Tak, my, Franklinowie, kochamy życie. Ja nie splodziłem starszego Williama w małżeńskim łóżu, ten również nie splodził w małżeńskim łóżu swego Williama i nie wygląda na to, że mały William będzie płodził we Francji tylko legalne potomstwo. Odziedziczyli po mnie żądzę życia. Wiele moich właściwości przeszło na syna i wnuka; dziwne to, że choć tak jesteśmy podobni wszyscy trzej, jesteśmy jednak tak różni. Wystarczy drobnostka, by człowiek był z gruntu inny.

Doktor zadzwonił, kazał sobie dolać gorącej wody. Również i rodzice małego Beniamina nie należą do ludzi wybitnych. Matka, Sally, to miła, poczciwa kobieta, doktor bardzo ją lubi,

Sally ma zdrowy rozsądek, ale nic więcej. A mąż jej, Ryszard Bache, to porządny człowiek, i tyle. Oczywiście rodzice nie byli zadowoleni, że się im odbiera małego Beniamina. Ale nie ulega kwestii, że we Francji, pod okiem dziadka, otrzyma staranniejsze wychowanie niż w Filadelfii pod kierunkiem państwa Bache. Poza tym dał swemu zięciowi odszkodowanie, zrobił go swoim zastępcą w Ministerstwie Poczty. Tam wiele popsuć nie można, tam zacny Ryszard jest na właściwym miejscu. Oczywiście, starzy wrogowie Franklina podniosą gwałt z powodu każdego kroku, który Ryszard zrobi albo nie zrobi. Niech sobie podnoszą. Bóg świadkiem, że wiele poświęcił dla Ameryki i amerykańskiej sprawy; zasłużył sobie na to, by odrobinę pomóc teraz rodzinie.

Jest w Filadelfii wielu takich, którzy są radzi, kiedy mogą na niego warczeć. Gdy wystąpił z projektem, by wysłano go do Francji jako pełnomocnika, zaczęły się pojawiać coraz to nowe, podszyte nieufnością zastrzeżenia. Stara, głęboka wrogość, datująca się od wojny francusko-indiańskiej, jest jeszcze żywa. Wielu wciąż jeszcze uważa Francuzów za odwiecznych wrogów, za pogan, za niewolników absolutnej monarchii i lekkoduchów, którym nie można ufać. Wiele trudu kosztowało przekonanie kolegów z Filadelfii, że tak nie jest. Zrozumieli wreszcie, że Francja to odpowiedni sprzymierzeniec w wojnie z królem angielskim i że bez jej pomocy nie można zwyciężyć. Wysyłając go za ocean, nie rokowali mu jednak sukcesu. Doprowadzenie do przymierza z Francją to sprawa niemal beznadziejna. Ale Franklinowi udawało się już nieraz doprowadzić do pomyślnego końca beznadziejne sprawy. Człowiek w wannie przeciągnął się, zagryzł wargi, aż stały się jeszcze węższe. I tym razem się uda.

Nie dali mu pieniędzy. Kongres nie ma gotówki, trudno będzie prowadzić dom na stopie odpowiadającej dyplomatycznej

misji. Za sumę trzech tysięcy dolarów ma urządzić i utrzymywać przedstawicielstwo Stanów Zjednoczonych. Na statku „Reprisal” jest jeszcze ładunek indyga, który ma prawo sprzedać. Nie można powiedzieć, by przedstawiciel Nowego Świata był obficie wyposażony. Trzeba będzie żyć z dnia na dzień.

Franklin ceni pieniądze, wie, co znaczą. Nie jest także lękliwy w doborze środków, kiedy chodzi o napełnienie trzosa. Ale zna granice. Oto na przykład Anglicy proponowali mu pieniądze, urzędy i wysokie godności, gdyby wystąpił w obronie porozumienia.

Człowiek w wannie zasepił się. Są w Filadelfii ludzie, którzy bardzo poważnie zastanowiliby się nad taką propozycją. Na przykład jego syn William wziął ją bardzo poważnie pod uwagę. Ale Franklin zna granice i prędzej zarzuciłby sobie stryczek na starą szyję, niż choć jednym słowem opowiedział się za takim „porozumieniem”.

Tamci w Filadelfii nie będą mu zbytnio wdzięczni za trudy związane z paryską misją. Nigdzie na świecie nie patrzą tak krytycznym okiem na starego Franklina jak w Filadelfii. Nie tylko nienawidzi go wielu torysów, lojalistów i jak się tam oni jeszcze nazywają, ale ma przeciwników także wśród republikanów; a nawet w Kongresie nie znoszą go „arystokraci”, toteż decyzja wysłania do Paryża właśnie jego powzięta została po długich korowodach.

Człowiek w wannie uśmiecha się mądrym, smutnym, łagodnym, a równocześnie gorzkim uśmiechem. Są i tacy, którzy uważają, że będzie dla Paryża za mało reprezentacyjny. Chociaż poza generałem Waszyngtonem jest jedynym Amerykaninem o światowej sławie, jest jednak i będzie zawsze synem mydlarza; fakt pozostaje faktem, że przez jakiś czas nie miał pieniędzy; poza tym jest doktorem tylko honoris causa i nigdy systematycznie nie studiował.

Tak, niewiele otrzyma z Filadelfii wyrazów uznania i dobrych rad, za to będą gwałtownie nalegać, by więcej wycisnął z rządu francuskiego, i robić mu wyrzuty, jeżeli nie wycisnie więcej. Nie będzie się o to gniewał.

Stał się starszy, mądrzejszy, zna ludzi.

W Londynie zarzucają mu, że urażony w miłości własnej, obalił porozumienie kolonii z królem tylko dlatego, żeby się zemścić za haniebne zajścia, jakie się rozegrały na tajnej radzie koronnej.

Ilekcioć myślał o tych zajściach, krew uderzała mu do głowy. Zgoda, nie było to w porządku, że jako królewski urzędnik opublikował owe listy gubernatora królewskiego, które jak na dłoni ukazywały agresywność i złą wolę rządu. Ale sytuacja przedstawiała się w ten sposób, że opublikowanie listów było środkiem dozwolonym i nie ulega wątpliwości, że każdy z biorących w owym posiedzeniu udział byłby je na jego miejscu również opublikował. Mimo to, korzystając, że można mu dowieść pewnego wykroczenia natury formalnej, potraktowano go jak ostatniego szuję. Przez całą godzinę musiał słuchać straszliwych wymyślań adwokata koronnego. Pierwszy minister i lordowie uśmiechali się, kiwali głowami, patrzyli na niego jak na potwora podstępny i nikczemności. Miał na sobie swoje odświętne, ciężkie, granatowe welwetowe ubranie, siedział tuż przy kominku i pocił się okropnie. Ale nie dał poznać po sobie, jaki w nim szaleje wulkan. Żaden muskuł nie drgnął mu w twarzy, nie powiedział ani słowa, uważając, że milczenie będzie najrozsądniejszą odpowiedzią na kłamstwa i głupie, czelne wymysły adwokata koronnego, otoczonego wrogimi lordami. Jak ten człowiek piorunował, jak walił pięścią w stół. Było to wstrętne, najgorsze ze wszystkiego, co Franklina w życiu spotkało. Miał wtedy lat sześćdziesiąt osiem, był uczonym o światowej sławie, mężem

zaufania swego kraju i musiał znieść, że mu wymyślano jak sztabakowi, który wykradł ojcu pieniądze z szuflady.

„Gniew to chwilowy obłęd”, pisał często. Powtarzał to sobie również wtedy, zachowując na zewnątrz spokój. Ale wewnątrz wszystko w nim wrzało z gniewu. Jedno jest pewne: kiedy siedział wówczas nieruchomo przy kominku, oblewając się potem i słuchając obelg rzucanych przez adwokata koronnego, zaszła w nim głęboka zmiana. Uświadomił sobie mianowicie, że z lordami króla Anglii porozumienie było i będzie niemożliwe. Przez lat siedemnaście bywał gościem w domach tych wielkich panów, zjawiał się u nich często, rozmawiali z nim uprzejmie, cenili jego wiedzę, badawczy umysł i filozofię; a dziś siedzieli i słuchali z uśmiechem, jak ten krzykacz koronny znieważał go niczym ulicznik. Teraz wyszło szydło z worka, teraz okazało się, jacy są radzi, że mogą z niego szydzić. Szydzili z niego, bo nie był im równy, nie należał do szlachty, był zwyczajnym mieszczuchem średniego stanu, synem mydlarza, miał odwagę otwierać gębę w obronie szarych, małych ludzi.

Głęboko zapadła mu w duszę owa chwila. Jeżeli nawet gniew się ulotnił, nie ulotniła się świadomość.

Nie ulotniła się również złość na to, co nastąpiło po owej rozprawie, złość wywołana zachowaniem się jego syna Williama. Poinformował wtedy Williama rzeczowo i radził mu, by złożył swój urząd państwowy. „Wiesz, jak mnie potraktowano, pisał do niego, twoją rzeczą jest zastanowić się nad tym i wyciągnąć wnioski”. Chłopiec zastanowił się i wyciągnął wnioski. Oświadczył swym przyjaciołom w Anglii, że bynajmniej nie podziela politycznych poglądów ojca. Może teraz rozmyślać sobie nad tym w więzieniu w Litchfield.

Woda w wannie zaczyna stygnąć. Czy zadzwonić i po raz drugi kazać dolać gorącej wody? Nie warto. Musi się

przygotować do zejścia na ląd. Zostanie w wannie jeszcze dwie minuty.

Nie ma sensu złościć się. Trzeba brać życie takim, jakie jest; a jest ono głupie, wspaniałe, mądre, złe, zwariowane i bardzo, ale to bardzo przyjemne. Trzeba brać słabości ludzkie jako coś wrodzonego, trzeba je wkalkulować do rachunku i wyciągnąć z nich korzyści dla dobrej sprawy.

Tak postępował, tak będzie postępować dalej. Nie załamał się nigdy, nawet w najgorszych sytuacjach. Wierzy w swój kraj, w rozsądek i postęp. Wie, co posiada, a czego mu brakuje, wierzy, że i dziś może się jeszcze przyczynić do tego postępu. Jest stary, mimo swego krzepkiego wyglądu trochę się chwieje na nogach, dokucza mu podagra i uciążliwa wysypka, ma syna, który jest marnym człowiekiem, reakcyjnym oportunistą. Mimo to czuje się jednak jeszcze na siłach, by zdobyć przychylność Francji dla swojej Ameryki.

Powoli, ostrożnie wylazł stary z wanny, pojękując, ale nie bez błógiego uczucia. Ociekający wodą, tęgi, pochylony naprzód, siedział teraz nad misą napełnioną żarzącym się węglem i osłoniętą drucianą siatką i wycierał się ostrożnie; na potężnej czaszce widniały kępki wilgotnych włosów.

Później, zupełnie nagi, podszedł do szuflady, w której przechowywał swoje najważniejsze dokumenty: listy uwierzytelniające, instrukcje Kongresu i inne tajne papiery. Wyciągnął dokument: „Projekty pokoju między Anglią i Stanami Zjednoczonymi, które wielce czcigodny pan Benjamin Franklin upoważniony jest przedłożyć rządowi Jego Królewskiej Mości Króla Anglii”. Dalej podane były warunki tego pokoju. Franklin kazał sobie wydać taki dokument na wypadek, gdyby Anglicy schwytali go na okręcie. W razie czego chciał mieć przy sobie papier, który by stwierdzał jego wzniosłą funkcję wysłannika pokoju i może uratował go od stryczka. Teraz, gdy podpłynął do francuskiego wybrzeża,

dokument był mu już niepotrzebny; przeciwnie, mógłby we Francji zaszkodzić. Pociął go więc na drobne kawałki, wrzucił je do miski z węglem i patrzył, jak się palą.

Mała łódź wioząca Beniamina Franklina, Williama Temple Franklina i Beniamina Franklina Bache kołysała się jak w tańcu na spienionych szarzielonych falach i z trudem dotarła do brzegu. Podróżnych przyjęli zdumieni, nieufni chłopcy bretońscy. Postarano się po długich korowodach o nędzny pojazd. Stare szkapy ruszyły mizernym truchtem, statek „Reprisal” oddał salwę pożegnalną, Franklin rozpoczął podróż po kraju, w którym miał spełnić powierzone mu zadanie, po kraju, w którym pokładał tak wielkie nadzieje.

W Nantes zamieszkał w domu agenta Gruet, który pozostawał w stosunkach handlowych z Kongresem. Franklin był wyczerpany i chętnie by parę dni odpoczął. Ale nie dawano mu spokoju. Kongres nie opublikował wprawdzie nazwiska swego reprezentanta we Francji, a Franklin nic nie mówił o swej misji politycznej, ale był uczonym o światowej sławie i przypisywano mu oderwanie kraju od Korony. Zjawiło się wiele osób, by złożyć mu czołobitność.

Zasypywano go pytaniami, z których przekonał się, jak przepastnie głęboka była niewiedza o jego kraju. Słuchał z uprzejmym, spokojnym wyrazem twarzy, odpowiadał krótko, tłumacząc swoją lakoniczność kiepską francuszczyzną.

Gospodarz jego, kupiec Gruet, był gadatliwy i czuł się w obowiązku informować swego gościa o sytuacji we Francji. Przybysz dowiedział się ze zdumieniem, że wbrew swoim przypuszczeniom spraw amerykańskich nie załatwiał jego przyjaciel i tłumacz Dubourg, lecz niejaki Rodrigue Hortalez, alias Caron de Beaumarchais.

Franklin słyszał oczywiście o Caronie. Miał również w ręku protestacyjne ulotki, które ten człowiek ogłosił w okresie

procesu. Owe pamflety były według niego zbyt błyskotliwe, zbyt niedbałe, zbyt powierzchowne, zbyt retoryczne, brakowało im rzetelnej mądrości. Franklin sądził, że pan de Beaumarchais to poszukujący sensacji dziennikarz; nie było mu miło, że tego właśnie człowieka uważano we Francji za najpoważniejszego i najbardziej czynnego orędownika sprawy amerykańskiej.

Kupcy bogatego miasta Nantes nie chcieli za żadną cenę zrezygnować z wydania wielkiego balu na cześć Franklina. Doktor zabrał ze sobą strój paradny, kosztowne granatowe welwetowe ubranie, które miał na sobie podczas owego hańbiącego posiedzenia w Londynie. Ale ubranie leżało starannie zapakowane w jednej z waliz, kilkakrotnie związanych sznurem, i Franklin nie miał właściwie zamiaru wyjmować go stamtąd przed przybyciem do Paryża. Postanowił więc włożyć skromny mieszczański brązowy surdut.

Brązowy surdut wydał się mieszkańcom miasta Nantes odpowiednim strojem dla skromnego mędrca, który przybywa ze zbliżonego do natury Zachodu. Franklin odniósł wielki sukces. Jego miłe maniery, powolne ruchy odbijały jaskrawo od zwawego, sceptycznego, błyskotliwego wytwornego sposobu bycia, przyjętego na wzór salonów paryskich przez towarzystwo prowincjonalne. Zwłaszcza kobiety były zachwycone starofrancuską, uroczystą galanterią sławnego człowieka. Całe miasto mówiło tylko o nim. Gdzie się pokazał, oddawano mu hołdy, futrzana czapka i okulary w metalowej oprawie stały się symbolem.

Wśród wielu odwiedzających doktora w Nantes był młody człowiek, bardzo szczupły, o wyglądzie chłopięcym, spadzistych ramionach, wielkich ciemnych, niezwykle lśniących oczach i pięknej, pełnej twarzy - niejaki Paweł Theveneau.

Paweł pozostał na wybrzeżu, by przywitać Franklina zaraz po jego przybyciu. Stał teraz i patrzył na niego promiennym wzrokiem, najwyraźniej przejęty tym, że znalazł się w pobliżu czcigodnego męża. Franklin, rozbrojony jego naiwnym entuzjazmem, uśmiechał się dość przyjaźnie. Kiedy młody człowiek oświadczył, że jest tu po to, i by jako przedstawiciel firmy Hortalez i jej szefa, pana de Beaumarchais, powitać Franklina, uśmiech i uprzejmość znikły; Paweł zbity z tropu zauważył, że nie ma już przed sobą twarzy dobrotliwego mędrca. Starzec patrzył na niego wielkimi, surowymi oczyma, brwi jakby uniosły się jeszcze wyżej, szerokie usta były zamknięte, zmarszczki na wysokim czole stały się głębsze; głowa osadzona na szerokich barach wyglądała potężnie i groźnie.

- A więc powiada pan, że transporty tego pana de Beaumarchais już są na morzu? - zapytał Franklin. Cichy głos brzmiał uprzejmie, z trudnością można było w nim wyczuć niechęć i nieufność.

Paweł mówił dotychczas nie bez trudu po angielsku, teraz przeszedł na francuski. Czując się w defensywie, sławił z podwójnym ciepłem działalność swego przyjaciela Beaumarchais, dla którego miał szczerzy podziw. Trzy statki „Wiktoria”, „Aleksander” i „Eugenia”, oświadczył, są na morzu i wiozą do Ameryki czterdzieści osiem armat, sześć tysięcy dwieście karabinów, dwa tysiące pięćset granatów, poza tym wielką ilość umundurowania. Ponadto w składach pana de Beaumarchais czeka na przewiezienie broń i mundury dla trzydziestu tysięcy ludzi; Paweł wymieniał z pamięci poszczególne pozycje.

Franklin słuchał z nieruchomą twarzą. To, o czym informował ten młodzieniec, było przysługą o poważnym znaczeniu dla Kongresu i wojska. Ale Franklin nie mógł pozbyć się niechęci, jaką w nim wzbudziło nazwisko pana Beaumarchais, i

niezadowolenie, że postawiono poza nawiasem jego dzielnego, dostojnego przyjaciela Dubourga.

- Mogę chyba przyjąć za rzecz pewną - powiedział - że rząd francuski popiera w miarę sił pana de Beaumarchais.

- Tak i nie, panie doktorze - odpowiedział Paweł. - Oczywiście Wersal był zainteresowany w tym, by dostarczano Ameryce materiały wojenne, ale równocześnie wysiłki szły w tym kierunku, by nie dać posłowi angielskiemu powodu do niezadowolenia. Pozwoli pan, panie doktorze, że opowiem, jak się rzeczy mają naprawdę - ciągnął dalej. - Otóż tę broń dla pańskiego kraju zgromadził z własnego popędu, z ogromnymi trudnościami, wkładając cały swój talent i biorąc na siebie wielkie ryzyko, mój przyjaciel pan de Beaumarchais. Franklin patrzył spokojnymi, szeroko otwartymi oczyma na swego podnieconego rozmówcę.

- Bardzo to pocieszające - powiedział ze spokojem - że broń dla naszych żołnierzy jest w drodze. Potrzebujemy jej bardzo. Jest nas niewielu, na dłuższą metę trudno nam będzie samym walczyć o sprawę ludzkości. Dziękuję panu za informacje - zakończył.

I on mówił teraz po francusku, wolno, topornie, jakby rąbał drzewo.

Paweł zorientował się, że posłuchanie skończone. Był przygnębiony. Gorąco oczekiwał tego spotkania, a teraz Franklin potraktował go jak pierwszego lepszego dostawcę. Nie mieściło mu się w głowie, że człowiek ten, który w obronie swojej sprawy oddał urząd, majątek i życie, może być tak zimny, tak sceptycznie wyniosły; starał się jednak nie formułować przedwczesnego sądu. Wycofał się więc skromnie, postanawiając szukać następnego spotkania z Franklinem.

Okazja nadarzyła się wkrótce - w trzy dni potem pan Gruet wydał na cześć Franklina kolację w szczupłym gronie przyjaciół.

Paweł zobaczył tym razem z radosnym zdziwieniem zupełnie innego Franklina. Przy owym pierwszym spotkaniu był zaskoczony jego odpychającą sztywnością; teraz zrozumiał, dlaczego cały świat jest nim oczarowany. Sam poddał się chętnie jego pełnemu powagi urokowi. Niewinne kawały i nieco naiwne anegdotki, którymi Franklin sypał jak z rękawa, wszystko, co mówił, nawet jeżeli dotyczyło to spraw błahych, było w swoisty sposób przepojone jego indywidualnością.

Owego wieczoru mówiło się dużo o sprawach związanych z religią. Wolnomyślne poglądy paryskiego towarzystwa znalazły echo wśród zebranych przy stole biesiadnym w Nantes. Podrwiwano z przesądów okolicznych chłopów, robiono złośliwe uwagi na temat pokrewieństwa tych przesądów z tym, co głosi Kościół katolicki, opowiadano frywolne anegdoty o duchownych.

Franklin słuchał uprzejmie, lecz z rezerwą. Liczono, że się również wypowie, ale milczał. Wreszcie ktoś zapytał go wprost, co myśli o duchownych.

- Nie chciałbym uogólniać - odpowiedział, wolno cedząc francuskie słowa. - Są wśród duchownych ludzie poważni, którzy starają się, by ich wiara pozostawała w zgodzie z nauką. Są i tacy, którym rzucanie gromów na naukę sprawia przyjemność!

Opowiadał o doświadczeniach, jakie poczynił przy instalacji swego piorunochronu. Oto na przykład jeden z duchownych oświadczył, że jest to wyzwanie rzucone Bogu; próba zaś kontrolowania artylerii niebios jest przedsięwzięciem, do którego żaden śmiertelnik nie dorósł. Inny duchowny głosił, że piorun to jeden ze środków karania ludzkości ze jej zbrodnie i przestrzegania przed popełnieniem dalszych

występków; próba przeszkodzenia pełnemu działaniu pioruna oznacza tedy ingerencję w sprawy boskie i jest grzechem.

Jednak wolnomyślicielom było tego za mało. Chcieli wydobyć od Franklina niedwuznaczne wyznanie, które można by wykorzystać.

- Mówiono nam - powiedział jeden z nich - że w traktacie *Wolność i przymus, rozkosz i męka* wyraził pan wątpliwości co do tego, czy dusza żyje po śmierci, oraz zakwestionował pan teologiczną różnicę między człowiekiem i zwierzęciem.

- Naprawdę? - odparł uprzejmie Franklin. - Tak, tak, w młodości napisałem niejedno, czego pisać nie należało, jestem rad, że te traktaciki nie zdobyły ani powodzenia, ani poczytności.

Po tych słowach wychylił kielich burgunda, stwierdzając jako znawca, że wino jest doskonałe.

Paweł przypuszczał, że natręci wreszcie się zorientują, iż doktor nie chce mówić o tych ściśle osobistych sprawach. Ale wolnomyśliciele nie dawali się odstraszyć, a jeden z nich zapytał śmiało, bez ogródek:

- Czy pouczyłby nas pan, panie doktorze - co pan teraz myśli o tych kwestiach?

Stary spojrzał na mówiącego ze spokojem. Nastąpiła tak długa chwila milczenia, że wywołała pewne zmieszanie. Wreszcie Franklin otworzył usta i powiedział:

- Nie ulega wątpliwości, że nie myślę tak jak wtedy, przeciwnie, od czasu do czasu zadaję sobie pytanie, w jakim właściwie celu miałyby się przeczyć możliwości istnienia Istoty Najwyższej i nieśmiertelności duszy?

Wolnomyśliciel zagryzł wargi.

- Mimo to - nie dawał za wygraną - należy pan do nas. Nigdy, żadnym oświadczeniem, które mogłoby być fałszywie tłumaczone, nie przyczynił się pan do tego, by zwiększyć ilość przesądów na ziemi.

- Obawiam się, monsieur - odpowiedział Franklin z uśmiechem - że będę musiał sprawić panu zawód. Zawsze mianowicie starałem się o to, by nie mieć radości innych, jeżeli chodzi o uczucia religijne, nawet jeśli ich poglądy były dla mnie trudne do zniesienia lub wydawały się absurdalne. Poszedłem w tym kierunku dosyć daleko. Trzeba panu wiedzieć, że mamy w mojej Filadelfii sekty wszelkiego rodzaju, a więc i takie, które się z sobą ostro ścierają. Wszystkim bez różnicy okazywałem przychyłność, każda sekta otrzymywała pomoc finansową na budowę lub odnowienie swego kościoła. Gdybym dziś umarł, byłbym w zgodzie ze wszystkimi. Uważam bowiem, mój panie, że skoro się już jest tolerancyjnym, nie należy okazywać braku tolerancji dla wierzących. - Powiedział to tak uprzejmie i łagodnie, że nawet wolnomyśliciele przyjęli jego słowa ze spokojem. Jednakże chcieli mieć ostatnie słowo.

- Czy mógłby nam pan powiedzieć - zapytał jeden z nich - dlaczego nigdy nie przyznał się pan oficjalnie do wiary w Najwyższą Istotę?

Franklin, uśmiechając się lekko, odrzekł:

- Nie mogę sobie wyobrazić, by Istota Najwyższa przywiązywała wagę do takiego wyznania. W każdym razie nigdy nie zauważyłem, by czyniła różnicę między wierzącymi i niewierzącymi, piętnując na przykład niewierzących w jakiś szczególny sposób.

Paweł wmieszał się do rozmowy zapytując z uszanowaniem:

- Może zechciałby pan nam, panie doktorze, powiedzieć choć słówko, czy i jak dalece pańska wiara w Boga wpływa na pańską działalność praktyczną?

- Myślę - odpowiedział Franklin - że najlepiej czcimy Najwyższą Istotę zachowując przyzwoity stosunek do innych istot przez nią stworzonych. O taką przyzwoitość starałem się całe życie.

Wolnomyśliciel, który ciągle jeszcze nie chciał się uznać za pobitego, nalegał dalej:

- Ale kwestionuje pan chyba boskość Jezusa Nazareńskiego? A może i tego nie? - pytał prowokującym tonem, widząc zamyśloną twarz Franklina.

- Nie badałem tej kwestii - odpowiedział doktor - i uważam za zbędne łamać sobie teraz nad tym głowę. Widzi pan, młodzieńcze, jestem stary i zapewne w niedługim czasie będę miał okazję bez wielkiego trudu dowiedzieć się prawdy.

Tak to, drogą okrężną, na pół ironicznie, nieudolną francuszczyzną odpowiadał Franklin przemądrzałym wolnomyślicielom. Paweł był rad. To, co oświadczał stary, mówiło wszystko i nie mówiło nic. Paweł podziwiał mądrość i przebiegłość, z jakimi Franklin kwitował natrętów.

Następnego dnia Franklin wyjechał do Paryża. Paweł miał szaloną ochotę pojechać z nim razem. Był równocześnie nieśmiały i bezczelny, a kiedy sobie coś wbił w głowę, potrafił być bardzo natarczywy. Każdemu innemu byłby zaproponował swoje towarzystwo, ale lękał się wystąpić z taką propozycją wobec Franklina. Stawił się jednak, chcąc być świadkiem jego odjazdu.

Na dole stał już zaprzęgnięty duży, brzuchaty dylizans podróżny pana Gruet, robiono ostatnie przygotowania do drogi. Franklin był jeszcze z kilkoma osobami w pokoju na górze. Przyniesiono mu futro, futrzaną czapkę, potężne rękawice, laskę z drzewa jabłoni.

Doktor wkładając futro rozmawiał z Pawłem, swoim zwyczajem życzliwie i spokojnie.

- Dziękuję panu, mój przyjacielu - powiedział - za cenne informacje, których mi pan udzielił.

Paweł, dumny z tego, że stary nazwał go swym przyjacielem, oblał się pąsem. Franklin był już gotów. Stał opatulony w szerokie futro, spod czapki widać było potężną głowę o

wysuniętej ciężkiej dolnej szczęce i gęstych brwiach. Przy potężnym starcu Paweł robił wrażenie chudego, drobnego cherlaka.

- Mam w Paryżu twardy orzech do zgryzienia - powiedział Franklin sapiąc w swym futrze i lekko postępując, przy czym tak zniżył głos, że tylko Paweł mógł go usłyszeć.

Stali teraz przy oknie; na zaśnieżonym podwórzu muskularni tragarze ładowali jeszcze rzeczy na dylizans. Były to skrzynie okute żelazem zawierające najważniejsze akta i książki Franklina. Któryś z tragarzy mocował się z jedną ze skrzyń, drugi mu pomagał, ale nie mogli jej podnieść w górę. Była za ciężka.

Podszedł trzeci.

- Daj spokój, nie trzeba - powiedział pierwszy. - Już w porządku, ca ira –i z hukiem umieścił skrzynię w dylizansie.

- Ca ira, mon ami, ca ira - powiedział miłym, spokojnym głosem Franklin do Pawła i dokoła jego szerokich ust pojawił się uśmiezek. Potem opierając się o Pawła wsiadł nie bez trudu do dylizansu, gdzie czekali na niego wnukowie.

Na ostatni postój zatrzymali się w Wersalu. Można było dojechać do Paryża, ale Franklin czuł się zbyt zmęczony. Wziął pokój w gospodzie „De la Belle Image”.

Przed kolacją zjawił się wysoki, tęgi, postawny Silas Deane w kwiecistej atłasowej kamizelce opiętej na grubym brzuchu. Był radośnie podniecony, twarz miał rozpromienioną, nie chciał wypuścić ręki Franklina ze swej dłoni. Zasypał go potokiem bezładnych, chaotycznych słów. Skomplikowane pertraktacje z hrabią Vergennes, służba szpiegowska i ciągłe skargi posła angielskiego, statki, które ciągle zatrzymywano, oficerowie, których zwerbował, ale nie mógł opłacić i przetransportować przez ocean, Kongres wysyłający zamiast pieniędzy niezadowalające odpowiedzi... Jaka to ulga, że Franklin przybył nareszcie, by zdjąć z niego ciężkie brzemie

odpowiedzialności. Gadatliwy pan wysypał przed milczącym Franklinem swoje troski. Później chichocząc opowiedział, że kiedy rozeszła się wieść o rychłym przyjeździe Franklina, poseł angielski domagał się od hrabiego Vergennes, by mu wzbroniono pobytu w Paryżu, Vergennes przyrzekł, że to zrobi, ale za radą przemyślnego pana de Beaumarchais, kuriera ze zleceniem, by Franklin nie przyjeżdżał, wysłano do Hawru, gdzie zlecenie to nie mogło do niego dotrzeć. Teraz, kiedy już jest tutaj, nie zostanie oczywiście wydalony. Tak, gdybyśmy nie mieli naszego pana de Beaumarchais!...

Kiedy mister Deane wtajemniczał tak w różne sprawy wielkiego swego kolegę, zjawilo się pięknie ubrane Murzyniátko z listem do Franklina. Monsieur Caron de Beaumarchais w kwiecistych słowach zawiadamiał wielkiego człowieka, że byłby szczęśliwy, gdyby jeszcze dziś mógł mu złożyć uszanowanie. Franklin spojrział z niechęcią na zapisany pięknym pismem, pachnący perfumami bilecik. Po chwili odpowiedział uprzejmie, że z powodu zmęczenia nie będzie mógł przyjąć dziś pana de Beaumarchais.

Podróż i paplanina mister Deane'a istotnie go wyczerpały i Franklin rad był, kiedy ten się oddalił. Zaraz jednak nadszedł inny gość, którego nie chciał odprawić, doktor Barbeu Dubourg.

Doktor Dubourg objął Franklina, poklepał go po ramieniu; dwaj starzy, ociężali panowie niemal wypełniali mały pokój w gospodzie „De la Belle Image”. Doktor Dubourg zapewniał raz po raz, że Franklin wygląda młodo i czerstwo. Franklin mówił to samo o doktorze Dubourg. W głębi duszy byli zasmuceni, że się tak postarzeli. Franklin pomyślał melancholijnie: „Znowu kłamię jak najęty”.

Dubourg, pełen tkliwości, opowiadał wesoło i chaotycznie. Mówił o wspólnych przyjaciółach, o Akademii, o nowych dziełach na temat zasad fizjokratów, o dymisji ministra

Turgot, o swoich tłumaczeniach dzieł Franklina, o smutnym stanie finansów państwowych, o nowym ministrze finansów Neckerze, o hrabi Vergennes, o intrygach na dworze. Mówił po angielsku nie najgorzej, ale w podnieceniu raz po raz przechodził na francuszczyznę.

Powtarzał w kółko, co to za szczęście, że mają tu nareszcie Franklina. Zapewne, Silas Deane to człowiek oddany, patriota, ale nie dorósł do reprezentowania rewolucyjnej Ameryki. Nic więc dziwnego, że goniący za sensacją komediopisarz pan de Beaumarchais może na dworze i w mieście odgrywać rolę adwokata Ameryki, jak gdyby cała europejska działalność trzynastu stanów zbiegała się do jego domu.

Franklin, sam z niechęcią słuchając, kiedy przed chwilą Silas Deane opowiadał mu z zachwytem o interesach pana de Beaumarchais, rozumiał doskonale gniew swego przyjaciela Dubourga, który czuł się odsunięty. Przypomniał mu się równocześnie entuzjazm, z jakim młody Paweł Theveneau wynosił pod niebiosa swego szefa.

- Opowiadano mi - powiedział - że ten pan Beaumarchais wysłał już drogą morską poważne transporty, około sześciu tysięcy karabinów; dokładnych cyfr nie zapamiętałem.

- To prawda - potwierdził Dubourg - ale niewielka to sztuka, kiedy się ma za sobą Arsenał królewski i tajny fundusz Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- Czy wszystkie pieniądze pochodzą od rządu królewskiego? - zapytał Franklin.

- Oczywiście inni dali też coś niecoś - odparł szorstko doktor Dubourg. - Zresztą wszystko jedno, skąd je ma, źle się stało, że Paryż właśnie tego człowieka uważa za reprezentanta Ameryki. Jest taki niepoważny, taki absolutnie niepoważny - powtórzył po francusku. - Ale teraz wszystko się skończy. Z chwilą zjawienia się doktora Franklina, Beaumarchais przestał

odgrywać jakąkolwiek rolę. - To powiedziawszy poklepał Franklina czule po ramieniu.

Później, przy kolacji, rozmawiali o literaturze i interesach. Wydawca pan Roualt chciał wydać w tłumaczeniu Dubourga, w wielkiej ilości egzemplarzy, popularną broszurkę Franklina Droga do majątku/1. Dubourg ma wrażenie, że przekład wyjątkowo mu się udał; bezpretensjonalny ton utworu jest mu bliski. Pałaszowali obydwaj z wielkim apetytem; podczas przerw doktor Dubourg odczytywał Franklinowi jego opowieści z kalendarza i sentencje w przekładzie francuskim.

1/ W r. 1732 rozpoczął Franklin pod pseudonimem Richard Saunders wydawanie almanachu pt.: Poor Richard's Almanach (Almanach poczciwego Ryszarda). Zawierał on liczne zwięzłe maksymy, zachęcające do pracy i wstrzeźliwości; wychodził przez kilka lat. W ostatnim almanachu zebrane są wszystkie maksymy w przedmowie do czytelników pt.: Droga do majątku (przekład tytułu z wyd.: Życie i pisma B. Franklina, przełożone z języka angielskiego, 1.1, W-wa 1827). W innych polskich wydaniach tytuł ten brzmi: Nauki poczciwego Ryszarda, czyli Droga do Pomyślności oraz: Droga do majątku, czyli Mądrość poczciwego Ryszarda (w wyd.: Wybór pism moralnych B. Franklina, W-wa 1845).

Następnego dnia Franklin pojechał do Paryża w towarzystwie panów Deane'a i Dubourga. Stał tam w Hotel d'Hambourg, w którym mieszkał dotychczas mister Deane. Było tam bardzo ciasno, William, który miał rozpakować i uporządkować akta, nie mógł sobie w tej ciasnocie poradzić. Powstał okropny nieład, chłopiec przyglądał mu się z pięknym, bezradnym uśmiechem.

Pogłoska o przybyciu Franklina dotarła z Nantes do Paryża, zanim doktor zjawił się w stolicy. Na wieść, że jest już w Paryżu, przybyli liczni jego wielbiciele, by mu złożyć

uszanowanie. Jednym z pierwszych był Pierre de Beaumarchais. Franklin nie przyjął go samego, lecz razem z dwoma innymi panami. Był bardzo uprzejmy, mówił z uznaniem o tym, co Beaumarchais zrobił dla Ameryki, unikał jednak nuty osobistej i puścił mimo uszu słowa Carona, że ma nadzieję, iż wkrótce znajdzie się okazja do obszerniejszej rozmowy.

Pierre był niemile zaskoczony. Ale z wrodzoną sobie lekkomyślnością prędko się pocieszył. Czyż Paweł nie opowiadał mu, że i jego Franklin potraktował z początku bardzo chłodno, a potem zmienił swe zachowanie? Pierre nie wątpił, że wkrótce zjedna sobie Amerykanina.

Tymczasem Franklin przyjmował innych gości. Było ich całe mnóstwo. Składano przed nim ukłony, potrząsano jego rękę, obejmowano go, zasypywano gradem szybkich zdań. Siedział z uprzejmą miną, rozłożysty, czcigodny, rzadkie, siwe włosy opadały mu na ramiona, od czasu do czasu na szerokich ustach pojawiał się uśmiech. Słuchał, sam mówił niewiele.

Przed drzwiami Hotel d'Hambourg czekał wielki tłum, by na własne oczy zobaczyć filozofa, reprezentanta Ameryki i wolności. Ukazał się w takiej postaci, jak go opisywano, w okularach w metalowej oprawie i słynnej już futrzanej czapce. Zapanował entuzjazm. Franklin miał właściwie zamiar pojechać czekającym na niego powozem. Odstąpił jednak od tego zamiaru, mimo obludzonej ulicy i zimna wracał do domu pieszo, wspierany przez pięknego młodego Williama. Wszędzie witano go z czcią i wzruszeniem. Uśmiechał się pogodnie i chytrze. Jeżeli może przysłużyć się tak tanim kosztem swemu krajowi, chętnie robi Francuzom tę przyjemność i będzie nosił futrzaną czapkę aż do maja.

W ciągu następnych dni gazety, salony i kawiarnie rozbrzmiewały nazwiskiem Franklina. Lord Stormont był oburzony, dawał temu wyraz u hrabiego Vergennes.

Generalny prefekt policji myślał o tym, by za publiczne wymienianie nazwiska Franklina wyznaczyć karę, jednak hrabia Vergennes obawiał się, że władze narażą się na śmieszność, i zarządzenie się nie ukazało.

Entuzjazm rósł. Cóż to za człowiek ten wynalazca piorunochronu, pierwszy bojownik o niepodległość Ameryki, autor wspaniałych dzieł z dziedziny filozofii i fizyki! Czy jest ktoś jeszcze, kto by tak wybitne osiągnięcia łączył z taką skromnością? Tak patriarchalnie, w futrze i w okularach, mógł wyglądać tylko prawdziwy mędrzec, filozof, głoszący powrót do natury, poczciwy Ryszard, który najszlachetniejszą wiedzę starożytną łączył z nowoczesną. Z właściwą im szybkością roznieśli paryżanie sławę swego „Franquelina”. Monsieur Leonard, fryzjer królowej, pierwszy w swym fachu na całym świecie, wynalazł nową fryzurę dla pań, wysoką, nastroszoną, naśladowującą futrzaną czapkę Franklina, i nazwał ją Coiffure a la Franquelin. Nad kominkami salonów paryskich widniały podobizny Franklina, zdobiły ściany kawiarni, tabakierki i chustki do nosa. Sprzedawano je na rogach wszystkich ulic, malarze uliczni mieli pełne ręce roboty.

Doktor Dubourg przyniósł przyjacielowi taki portret namalowany na ulicy. Obydwaj przyglądali mu się z uśmiechem. Franklin był przedstawiony w futrzanej czapce, okularach, z laską, zrobioną z drzewa jabłoni, mieszczuch w każdym calu: poczciwy Ryszard. Portret otoczony był łacińskim dwuwierszem następującej treści: „Wydarł niebu piorun, a berło tyranom”. Wiersz ten, utrzymany w antycznej formie, zdobił wiele portretów Franklina. Autorem jego był baron Turgot, były minister skarbu, jeden z przywódców fizjokratów, przyjaciel Franklina.

- To dobra strofa - powiedział Franklin, wciąż jeszcze przyglądając się podobiznie.

- Tak - odrzekł Dubourg - kto jak kto, ale Turgot należy z pewnością do pańskich przyjaciół i wielbicieli.

- Wielkie to nieszczęście, że go obalono - odrzekł Franklin. - Od początku obawiałem się, że nie będzie dostatecznie giętki dla Wersalu. Mężowi stanu nie wolno tracił cierpliwości, musi się godzić z koniecznością chodzenia okrężnymi drogami.

- Jeżeli chodzi o sprawę Ameryki - odpowiedział Dubourg - Turgot okazał dostateczną cierpliwość. Dopóki by ministrem skarbu, nie dał dla Ameryki ani centyma. Namawiałem go na to jak duchowny konającego. Ale miał zawsze jedną i tę samą odpowiedź: „Sprawa Ameryki to sprawa postępu, zwycięży więc i bez naszych pieniędzy. A nam są one potrzebne dla naszych reform”.

- Czy ze swego stanowiska nie miał racji? – zapytał Franklin.

Doktor Dubourg spojrział na niego z wyrzutem.

Rzeczowość Franklina wywoływała stale zdumienie jego przyjaciela. Wprawdzie doktor Dubourg, tak samo jak wielu intelektualistów paryskich sympatyzujących z Ameryką, rozumiał, dlaczego dwór odnosił się chłodno do ich demokratycznego zapału, ale czy Wersal nie powinien również zdawać sobie sprawy z olbrzymich szans, jakie dawała wojna amerykańska, z możliwości odpłacenia Anglikom za klęskę i traktat pokojowy z roku 1763? Intelektualiści piorunowali na taktykę zwlekania, stosowaną przez bezdusznych ministrów francuskich. Niechże, u diabła, uznają wreszcie Stany Zjednoczone i zawrą z nimi traktat handlowy!

Jeżeli chodzi o Franklina, to uważał on postawę rządu francuskiego za zupełnie zrozumiałą, co więcej, za jedynie możliwą. Stan finansów francuskich był zatrważający; wojna, nawet zwycięska, musiałaby doprowadzić do katastrofy. Oto były powody, dla których nawet tak płomienny zwolennik ideałów amerykańskich, jak Turgot, bronił się rękami i

nogami, by przez popieranie Ameryki nie sprowokować wojny z Anglią. Poza tym Francja mogła prowadzić wojnę jedynie w porozumieniu ze swoimi aliantami, Hiszpanią i Austrią. Zwycięstwo republikańskiej Ameryki nie leżało w interesie absolutystycznej Austrii. Hiszpania obawiała się, by na wypadek takiego zwycięstwa powstanie nie ogarnęło również jej własnych kolonii.

Franklin miał zdrowy pogląd na sytuację, nie podzielał pełnej oburzenia niecierpliwości Dubourga i jemu podobnych, pogodził się z tym, by czekać i nie przyczyniać ministrom kłopotu zbędnymi demonstracjami.

Rząd francuski musiał być ostrożny, ale ludowi nie narzucono żadnych ograniczeń. Nikt nie przeszkadzał Franklinowi zabiegać u paryżan o poparcie swej sprawy. A zdobywać opinię publiczną nauczył się już dawno jako drukarz, wydawca, pisarz i mąż stanu. Był powołany na inżyniera dusz, po to przyszedł na świat. Dwór nie mógł go uznać za posła Ameryki, ale uznał go francuski lud. Było to zawsze coś i bawiło go.

Niestety Franklin nie był jedynym przedstawicielem Stanów Zjednoczonych w Paryżu. Mianując go, Kongres wyposażył w te same prawa i obowiązki Silasa Deane i Artura Lee, owego skwaszonego intryganta w Londynie.

Franklin potrafił jakoś porozumieć się z Silasem Deane. Zapewne, ten dobroduszny patriota był dla wielkiej polityki figurą zbyt drugoplanową, widział w rewolucji amerykańskiej jedynie szeroko rozgałęzione przedsiębiorstwo handlowe. Ale był chociaż przydatny w sprawach kupieckich. Poprzestawał na tym, co rozumiał, i pełen szacunku dla Franklina uznawał jego przewagę.

Inaczej wyglądała sprawa z Arturem Lee. Przybył on do Paryża z intencją szukania dziury w całym i sabotowania

wszystkiego, co Franklin robił i mówił. Nie pomagał, przeszkadzał tylko.

Artur Lee pochodził z szanowanej rodziny ze stanu Wirginia. Był czymś w rodzaju cudownego dziecka. Nie mając ukończonych lat dwudziestu ogłosił drukiem kilka efektownych broszur politycznych. Cała rodzina Artura Lee była postępową, radykalną, brat Artura, Ryszard Henryk Lee, był tym, który wystąpił w Kongresie z wnioskiem uznania kolonij za niepodległe; sam Artur Lee, choć miał zaledwie lat trzydzieści siedem, od dawna działał w Europie jako rzecznik Ameryki.

Wysłanie go przez Kongres do Paryża było dla niego zasłużoną nagrodą. Ku swemu rozczarowaniu jednak i rozgoryczeniu szybko się zorientował, że ginie tu w cieniu doktora Franklina.

Nie pierwszy to raz droga jego krzyżowała się z drogą Beniamina Franklina. Już w Londynie działali wspólnie, a raczej obok siebie jako agenci kolonii Massachusetts. Już wtedy sprzęgnięcie ze starym, rozważnym, spokojnym doktorem honoris causa - zawsze go tak nazywał - wydało się trudne do zniesienia młodemu fanatycznemu Arturowi Lee, który lubił jaskrawe słowa i gesty; czekał z utęsknieniem, żeby mu stary wreszcie ustąpił miejsca. Tymczasem teraz, w Paryżu, w latach, w których rozstrzygał się los jego ojczyzny, czuł się znowu osaczony: flegmatyczny, pod niebiosą wynoszony staruch był mu wszędzie zawadą.

Chudy, z ponurym wejrzeniem, snuł się Artur Lee po pokojach Hotel d'Hambourg, pełen nieufności, skory do kłótni, dawał rady, wyrażał nieukontentowanie. Nie zapomniał o przykrości, jakiej doznał od pana Beaumarchais, uważał go za oszusta i z właściwą mu podejrzliwością. Wyszukiwał - jak mu się zdawało - coraz nowe dowody, mające świadczyć o

tym, że sprzeniewierza on pieniądze przeznaczone przez Wersal dla Ameryki.

Przestrzegał Silasa Deane przed Caronem; a kiedy ten stanął w jego obronie, podejrzenie Artura Lee w stosunku do Deane'a zmieniło się w pewność. Przestrzegał Franklina przed Caronem i Deane'em; kiedy zaś Franklin oświadczył, że jeszcze sobie nie wyrobił sądu o panu Beaumarchais, Lee nabrał pewności, że doktor honoris causa jest również w spółce z de Beaumarchais i Deane'em.

Gniew Artura Lee na Franklina stawał się coraz głębszy. Cóż jest w tym Franklinie nadzwyczajnego? Zrobił parę wynalazków, może pożytecznych, Artur Lee nie miał o tym własnego zdania. Rozumiał tylko, że stary prowadzi wybitnie gnuśną i chwiejną politykę. Czegóż zresztą innego można się spodziewać po człowieku, który przez całe życie był niepewny, a w dodatku miał syna torysa? Ten Benjamin Franklin był obłudnikiem. Jakież to tani pomysł nosić stale brązowy surdut i futrzaną czapkę, zgrywać się bezwstydnie i bezczelnie przed naiwnymi Francuzami na filozofa, który się byle czym zadowala. Artur Lee widział przy tym na własne oczy, jak chytry starzec w salonach wielkich panów w Londynie i w Filadelfii nosił się nie mniej elegancko niż oni; również tryb życia, jaki tu prowadził, obfita kuchnia, stare wina, młode kobiety, kareta i służba, nie przypominały w niczym Diogenesa.

Tak oto obydwaj koledzy Franklina byli dlań raczej przeszkodą niż pomocą.

Wyszło to jaskrawo na światło dzienne podczas audiencji trzech emisariuszy Stanów Zjednoczonych u hrabiego Vergennes.

Franklin miał wątpliwości, czy zostaną przyjęci w Wersalu. Było więc dla niego wielką ulgą, kiedy uprzejmy sekretarz Ministerstwa Spraw Zagranicznych zjawił się w Hotel

d'Hambourg z wiadomością, że powitanie u siebie trzech przedstawicieli Ameryki będzie dla hrabiego Vergennes zaszczytem. Jednakże, dodał od razu sekretarz, hrabia Vergennes nie wie nic o tym i wiedzieć nie chce, że panowie ci przybywają z polecenia Kongresu; przyjmie ich jako osoby prywatne.

Artur Lee pienieł się. Przecież to niesłychana obelga i trzeba oczywiście zrezygnować z odwiedzenia ministra. Z wielkim trudem udało się pozostałym dwóm wpłynąć na zmianę jego stanowiska. Franklin wiedział dobrze, że hrabia Vergennes z największym wysiłkiem przeforsował u opornego króla udzielenie tajnej pomocy Ameryce, i uważał fakt przyjęcia trzech komisarzy za dowód odwagi i przychylności ministra.

Patrzył na ministra wielkimi, pogodnymi oczyma. Hrabia Vergennes był taki, jakim go sobie wyobrażał: miły, uprzejmy, zręczny, chwilami lekko ironiczny, zawsze czujny. Franklin umiał ocenić te właściwości.

Hrabia Vergennes, nie szczędząc słów i jak się zdawało, szczerze, dał wyraz swej radości, że ma okazję zetknięcia się z wielkim filozofem, którego dzieło jest mu dobrze znane. Nie były to czcze komplementy. Hrabia Vergennes czytał pisma Franklina nie czekając na przekłady doktora Dubourg; znał język angielski.

Minister, choć tak dobrze wychowany, zwracał się przeważnie do Franklina. Silas Deane uważał to za zrozumiałe, siedział milczący, ciesząc się ze sposobu, w jaki traktowano jego wielkiego kolegę. Za to Artur Lee był wściekły, że dla hrabiego Vergennes jak gdyby nie istniał. Próbował wtrącić od czasu do czasu do rozmowy jakieś dowcipne zdanie, minister słuchał uprzejmie, po czym zwracał się znowu do Franklina.

Vergennes postawił pytanie w sprawie pewnych uprawnień Kongresu. Zanim jeszcze Franklin zdążył odpowiedzieć, dodał jednak, że oczywiście zapytuje o to jako osoba prywatna,

interesująca się filozofią państwa. Jako minister arcychrześcijańskiego monarchy nie może przyjąć do wiadomości istnienia trzynastu zjednoczonych stanów; egzystują dla niego, jak i przedtem, tylko jako kolonie króla angielskiego, znajdujące się w pożałowania godnym konflikcie ze swoim suwerenem.

- Jednakże, choć minister Vergennes ubolewa głęboko nad postawą, jaką zajęły kolonie - ciągnął dalej - pan de Vergennes rozumie w całej pełni stanowisko Kongresu. Pan de Vergennes od samego początku uważał pokojowe rozwiązanie konfliktu za niemożliwe. Znam rząd angielski, znam jego bezwzględny egoizm. Gniew mnie ogarnia, kiedy myślę o haniebnym pokoju, który nam Anglicy narzucili w roku sześćdziesiątym trzecim. Kiedy mowa o Dunkierce i o sprawującym kontrolę angielskim komisarzu, który siedzi tam jakby na urągowisko, każdy Francuz zaciska pięści.

Gwałtowna treść tych słów kontrastowała z zachowaniem ministra; mówił cicho, jakby prowadził lekką konwersację, bawiąc się piórem.

Słuchając hrabiego Vergennes Franklin myślał o tym, że gdyby nie zwycięstwa amerykańskie, Anglia nie mogłaby postawić tak twardych warunków pokoju i wysłać do Dunkierki komisarza pełniącego funkcje kontrolne. W owej wojnie Franklin sam dostarczał broni przeciw Francji, podczas owej wojny generał Waszyngton, który jest teraz w Paryżu tak czczony, zdobył sobie praktyczną wiedzę i sławę.

W dalszym przebiegu rozmowy minister oświadczył, że jeśli może sobie pozwolić na dawanie rad, zaleciłby zrezygnowanie na razie z manifestacji na większą skalę. W Paryżu i tak dużo ludzi opowiada się w płomiennych słowach za Ameryką. Wedle jego przeświadczenia sama obecność takiego człowieka jak Franklin działać będzie mocniej od najmocniejszych słów.

Artur Lee szalał w duszy. „Na co sobie ta opasła, bezczelna żaba pozwala - myślał - zamiast zaproponować nam uznanie i alians, do czego mamy prawo, karmi nas nikczemnymi radami: Mamy siedzieć cicho w kącie. To by mu odpowiadało”.

Tymczasem Franklin, ku gniewnemu zdumieniu Artura Lee, siedział spokojnie i grzecznie i oświadczył po francusku, cedząc słowo za słowem:

- Nie ma nikogo, kto by lepiej orientował się w sytuacji tego kraju aniżeli pan, panie hrabio. Dzięki temu rady pańskie mają wartość podwójną.

Vergennes uśmiechnął się.

- Myślę - powiedział - że nie będzie to dla pana niemiłe, jeżeli z naszego spotkania wyniknie coś więcej niż same rady. Może po zakończeniu naszej rozmowy zechce pan pomówić jeszcze z panem de Gerard.

Pożegnano się. Vergennes zapewnił Franklina, że bardzo mu zależy na częstszych z nim spotkaniach. Proponowałby jednak, by odbywały się nie w Wersalu, lecz w Paryżu i prywatnie. Jeżeli rząd wbrew życzeniom lorda Stormont nie sprzeciwia się obecności Franklina w Paryżu, to dlatego, że jak zakomunikowano ministrowi, doktor Franklin przebywa tam po to, by jako członek Akademii wymieniać myśli ze swymi kolegami oraz umożliwić wnukom korzystanie z dobrodziejstw wychowania francuskiego.

Artur Lee z napięciem skierował swój ponury, błyszczący wzrok na Franklina. Czy staruch przełknie tę nikczemną obelgę, nie zrewanżuje się? Czy aż tak daleko pójdzie w swym wstrętnym oportunizmie?

Podniecony patrzył w potężną twarz Franklina. Nie widać było w niej oburzenia. Przeciwnie, wesołość.

- Rozumiem pana w zupełności, panie hrabio - powiedział starzec. - Milej się gwarzy przy kominku w zacisznym pokoju niż w oficjalnym biurze.

Tu już Artur Lee nie umiał się pohamować.

- Uważam za rzecz godną ubolewania - powiedział swym świdrującym, roztrzęsionym głosem - że reprezentanci trzynastu stanów zjednoczonych Ameryki będą mieli prawo odwiedzać ministra spraw zagranicznych tylko przez kuchenne drzwi.

- Ależ monsieur, monsieur... - powiedział hrabia Vergennes szukając nazwiska młodego człowieka, które mu wypadło z pamięci.

Franklin wmieszał się oświadczając pojednawczo:

- Monsieur Lee, mój szanowny młodszy kolega, niezupełnie widać dokładnie zrozumiał pana francuszczyznę, panie hrabio. Bo przecież wie równie dobrze jak ja, że w poważnej rozmowie chodzi o treść, a nie o krzesła, na których siedzą jej uczestnicy.

Pożegnawszy się, Amerykanie udali się do pokoju pana de Gerard. Rozmawiano tam o cyfrach i faktach. Okazało się, że sekretarz stanu otrzymał polecenie postawienia na razie do dyspozycji panów emisariuszy pożyczki w wysokości dwóch milionów, bezprocentowej i bezterminowej.

- Wspaniale! - oświadczył Silas Deane.

- Nędzny napiwek - powiedział Artur Lee.

Benjamin Franklin nie powiedział nic.

Zarówno miłe, jak i gorzkie doświadczenia nauczyły Franklina od dziecka, jak bardzo postępowanie jednostek i zbiorowości zależne jest od czynników natury ekonomicznej. „Trudno jest pozostać przyzwoitym człowiekiem - mawiał - temu, kto nie ma pieniędzy; pusty worek opada”. Uświadomił sobie jasno, że ostatecznie przyczyny rewolucji amerykańskiej

były przyczynami natury ekonomicznej. Dla niego samego, który żył w jakim takim dobrobycie, sprawy ekonomiczne były zawsze środkiem, nigdy nie stanowiły celu. Przez większą płynność stanu posiadania dawało się mieszczaństwu możliwość szybszego bogacenia się oraz skuteczny oręż dla odebrania szlachcie feudalnej przywilejów, które stały na przeszkodzie rozwojowi ludzkości. Sprawy ekonomiczne interesowały go jedynie jako broń, poza tym odsuwał je na peryferie swego myślenia i swej polityki.

Niestety w owych dniach pobytu w Paryżu większą część czasu pochłaniały właśnie sprawy ekonomiczne. Trzej pełnomocnicy wiedzieli, że nie mogą liczyć na to, by Kongres dostarczał im pieniędzy. A musieli utrzymywać reprezentacyjne poselstwo, przesyłać transporty do Ameryki; pieniądze na to wszystko trzeba było zdobywać we Francji. Były dwie drogi. Albo żebrać stale u rządu francuskiego, albo wystawiać listy korsarskie armatorom, którzy by chcieli za udział w zysku ryzykować uprawianie korsarstwa pod amerykańską flagą.

Spienieżanie zagarniętych statków i towarów nie należało do rzeczy łatwych. Taki na przykład kapitan Lambert Wickes, hałaśliwy wilk morski Beniamina Franklina, zrabował dalsze dwa okręty i dumny z łupu chciał je publicznie sprzedać. Wdały się w to jednak władze francuskie, gdyż Francja zagwarantowała Anglikom w uroczystych traktatach, że nie pozwoli żadnemu obcemu statkowi, żeglującemu pod flagą wrogiej Anglii potencji, wpływać do swoich portów, nie mówiąc już o sprzedawaniu tam łupów. Wilk morski nie rozumiał, czego od niego chcą. Dokonał bohaterских czynów, a tutaj, zamiast go honorować, ci napuszeni Francuzi żądają, by wlaź do mysiej dziury i sprzedawał swoje łupy potajemnie jak złodziej. Wymyślał na czym świat stoi. Pojechał do Paryża, napełnił ciasne pokoiki w Hotel d'Hambourg

soczystymi zwrotami marynarskimi, przekleństwami i skargami.

Franklin uspokajał oburzonego kapitana. Tłumaczył mu, że przecież rząd francuski ma traktaty z Anglią i byłoby naruszeniem neutralności, gdyby pozwolił Wickesowi napadać ze swych portów na spokojne angielskie okręty. Wilk morski nie chciał słuchać tej biurokratycznej paplaniny. Żądał od Franklina, żeby zmył głowę panom z Wersalu.

Franklin wniósł do władz francuskich łagodne zażalenie; w zasadzie wydawało mu się absurdem narażać się z powodu takich bagatelek na gniew Wersalu. Lecz koledzy jego zaprotestowali. Wilk morski ryczał również i żalił się przed nimi. Chcieli, by Franklin mocniej zaatakował ministra. Artur Lee zapytał szyderczo, czym jest przyjaźń hrabiego Vergennes, jeżeli minister nie może znaleźć środków, by ochronić bohaterskiego kapitana przed napaściami Anglii.

Nawet przyjaciel i entuzjasta Franklina, Dubourg, nie zgadzał się z jego stanowiskiem. Przeciwnie, coś go ciągnęło do wzięcia samemu udziału w korsarskich wyprawach. Pieniądze i okręty dla tych celów łatwo było zdobyć; nawet ostrożny Lenormant był skłonny zainwestować kapitał w tak ryzykownym interesie. Kiedy Franklin zaczął sobie łagodnie żartować z tej pirackiej romantyki przyjaciela, Dubourg poczuł się dotknięty. Jak można pogardzać tak wspaniałym środkiem zdobycia pieniędzy dla sprawy amerykańskiej wolności?

Również oficerowie, zwerbowani do armii amerykańskiej przez Silasa Deane, sprawiali Franklinowi niemało kłopotu. Rząd wersalski zabronił im wyjazdu, gdyż byłoby to naruszeniem neutralności. Franklin, który się obawiał, iż zalew armii amerykańskiej przez wyższych oficerów francuskich wywoła wśród wojskowych amerykańskich niezadowolenie, chętnie byłby skorzystał ze sposobności

zerwania tych umów. Natomiast Silas Deane był dumny, że zdobył dla Ameryki jegomościów o wielkich nazwiskach i tytułach; nie dawał Franklinowi spokoju, by starał się za wszelką cenę uzyskać dla nich pozwolenie wyjazdu.

Tego rodzaju kłopoty wypełniały całkowicie dnie Franklina. Był przy tym przekonany, że cała ta działalność raczej szkodzi, niż pomaga sprawie. Niewątpliwie przychylnie usposobiony Vergennes sam wiedział, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, by u swych ministerialnych kolegów i u króla wymóc uznanie Stanów Zjednoczonych i alians. Nie wolno ciągle na niego napierać. Przyjaźń amerykańsko-francuska była delikatną rośliną, nie znoszącą dotknięcia rąk zbyt gorliwych i niezgrabnych.

Różne objawy wskazywały na to, że Franklin, jak mu to przepowiedział Vergennes, działać będzie przez samą swą obecność. Książę de Choiseul, premier starego króla, który przy młodym popadł w niełaskę, szukał z Franklinem kontaktu, pytał, kiedy może go odwiedzić, zaprosił go do swego domu. Nawet książę Ludwik Filip de Chartres, kuzyn króla, żywiący do dworu odwieczną rodzinną nienawiść, starał się wciągnąć Franklina do swego kręgu, do którego należała jego piękna, utalentowana przyjaciółka, powieściopisarka madame de Genlis. Doktor był uprzejmy, ale zachowywał rezerwę; uważał, że zadawanie się z opozycją byłoby krokiem fałszywym. Za to Artur Lee chciał zademonstrować królowi i rządowi, że komisarze są potęgą; uważał więc za wskazane, sprzymierzywszy się z opozycją, pokazać pięść królowi i ministrom. Franklin był w nie lada opałach: dla uniknięcia niezręczności trzeba było chytrze i delikatnie manewrować.

Również i ramy, w których rozgrywała się jego niezbyt krzepiąca działalność, nie należały do przyjemnych. Pokoje zajmowane przez delegację amerykańską były bardzo ciasne; jeżeli w archiwum młodego Williama stale panował nieład,

mógł on, częściowo słusznie, powoływać się na tę ciasnotę. Franklin uważał od samego początku, że Hotel d'Hambourg nie jest dla niego odpowiednim locum.

W miarę jak upływały tygodnie, wzrastało w nim przekonanie, że zrobiłby lepiej, gdyby zamiast w Paryżu rezydował gdzieś w okolicy. I tam odnalazłby go niejeden natrętny petent, ale jednak nie każdy.

Kiedy Franklin opowiedział Dubourgowi o swych kłopotach i troskach, ten znalazł od razu rozwiązanie. Przyjaciel jego, Ray de Chaumont, gorliwy zwolennik amerykańskiej sprawy, miał posiadłość wiejską, pałac w pobliżu Paryża, w Passy, zwany Hotel Valentinois. Pan de Chaumont, jak informował Dubourg, czuje się w olbrzymiej rezydencji samotny i zagubiony. Jedno skrzydło domu, otoczone przepięknym ogrodem, jest właściwie oddzielone od głównego budynku. Pan Chaumont byłby szczęśliwy, gdyby Franklin zechciał się tam osiedlić.

Franklin pojechał do Passy. Pawilon, o który chodziło, okazał się obszernym, solidnie zbudowanym, dobrze urządzonej dworem wiejskim, tak otoczonym ogrodem, że miało się wrażenie, iż się w tym ogrodzie mieszka. Franklinowi podobało się tu od pierwszej chwili. Był to klasyczny ogród strzyżony, który przechodził dalej w park angielski. Tarasy prowadziły nad rzekę, zewsząd otwierały się widoki na piękny, rozległy Paryż, położony na drugim brzegu. Aleja wjazdowa oraz cieniste ścieżki prowadziły do bramy domu leżącego w ogrodzie; ale otyły i dręczony przez podagrę Franklin postanowił sobie wchodzić na stopnie tarasu, aby przezwyciężyć swą skłonność do wygodnictwa.

Im dłużej oglądał dom i ogród, tym bardziej był w nich zakochany, O tym właśnie marzył. Mieszkać w mieście - Passy leżało tuż pod Paryżem - a równocześnie na wsi. Miał tu miejsce na swoje książki i różne rupiecie, które kochał, mógł

urządzić warsztat i dłużyć sobie w nim do woli. Mógł tu zamknąć się przed Silasem Deane, Arturem Lee i innymi natrętami.

Trochę nieśmiało zapytał pana de Chaumont o wysokość czynszu. Ten odpowiedział, że będzie sobie poczytywał za zaszczyt bez zapłaty pozostawić do dyspozycji wielkiego człowieka dom, który i tak jest mu niepotrzebny.

Franklin wahał się przez chwilę. Pan Chaumont brał udział w dostawach dla Ameryki i liczył z pewnością na rewanż w zamian za swą gościnę. Ale potem, siedząc w małej wieżyczce z widokiem na uroczą, cichą okolicę, myśląc o hałasie i ciasnocie w Hotel d'Hambourg, postanowił przyjąć zaproszenie. Niech sobie Artur Lee raportuje swoim amerykańskim przyjaciołom, co mu się podoba.

Nazajutrz, po obudzeniu się, Franklin przypomniał sobie, że to jego urodziny. W Filadelfii było tego dnia dużo szumu w rodzinie, na stole zjawiały się ciasta i różne podarunki, następował wielki obiad rodzinny, wnukowie deklamowali wiersze. Doktor Franklin był ciekaw, czy też William będzie pamiętał o jego urodzinach.

Leżał w szerokim łóżu, zasłonięty firankami alkowy; mimo styczniowego mrozu okno było nieco uchylone, przywiązywał wielką wagę do świeżego powietrza. Wysunął z łóżka jedną nogę, uważając, że zimno dobrze mu robi.

Siedemdziesiąt jeden lat. Warto by już było zacząć trochę uważać na siebie. Powinien więcej chodzić, nie zgadzać się na tak częste dolewanie mu wina. Życie tu we Francji jest pełne pokus. Mimo przekroczonej siedemdziesiątki wyraźnie podoba się kobietom. Może się jeszcze kiedyś ożeni; Franklinowie to nie ułomki.

William nie pamiętał prawdopodobnie o jego urodzinach. Chłopak myśli o przyjemnościach, nie ma czasu na nic innego.

Jest miły, dobroduszny, ma otwartą głowę. Może jednak obudzi się w nim jakiś talent.

Doktor nie mógł wytrzymać dłużej w łóżku. Podniósł się z pewnym trudem, lekko postępując. Wstawał zwykle wcześniej od innych, przed śniadaniem godzinę czytał albo pracował.

Poszedł w szlafroku do pokoju, w którym stały książki. Pokój był nagrany, ale pełen dymu - nie umieli tu palić. Franklin zaczął się krzątać przy kominku. Potem zrzucił z siebie szlafrok i usiadł, jak to lubił czynić rankiem, zupełnie nagi.

Książki stały w ciasnym pokoju stłoczone, w dwóch rzędach, trudno było coś znaleźć. W Passy będzie inaczej.

Upłynie jeszcze sześć, siedem tygodni, zanim nastąpi przeprowadzka; wcześniej dom nie będzie zdatny do użytku. Franklin ma jeszcze przed sobą męczącą zimę w Paryżu. Przysunął krzesło do półki, z której miał wziąć parę książek. Było to krzesło szerokie, wygodne, zrobione specjalnie dla doktora, przywiózł je ze sobą z Filadelfii; siedzenie można było przewracać w ten sposób, że dawało się używać jako rodzaj drabinki. Powyciągał książki, ułożył je dokoła siebie, zaczął wertować. Nie będzie się dziś spieszył. Może z tego powodu zjawi się ze swoimi kolegami u pana Gerard o kwadrans później, ale chyba w dniu urodzin wolno mu sobie na to pozwolić.

O ósmej, jak zwykle, podano śniadanie. William powitał go głośno i radośnie, żartując sobie, że dziś wyjątkowo nie on się spóźnił, lecz dziadek. Franklin przyznawał się w skrytości ducha do tego, że zapewne przez swe opóźnienie chciał przypomnieć chłopcu o dniu swych urodzin; martwiło go, że William mimo to o tym nie pamiętał.

Dla złagodzenia żalu kazał sobie podać placki z mąki hreczanej, które jadł tylko w niedzielę: mąkę na nie przywiózł ze sobą z Ameryki. Jadł wolno, z zadowoleniem, widział w duchu Filadelfię, kościół Chrystusa, Akademię, rynek i ratusz,

kościół niemiecki, siedzibę rządu, dach cechu cieśli, wielką stocznię i różne ulice.

Po śniadaniu zabrał się do roboty. Dyktował. Dyktując chodził po pokoju, przestrzegał tego, by robić dziennie co najmniej trzy mile, jeżeli nie na świeżym powietrzu, to przynajmniej w pokoju.

Pocztą, którą mu doręczono, była pokaźna, różnorodna, mało na ogół pocieszająca. Kawaler de Neuville prosił o parę luidorów, które miały go uratować od śmierci głodowej. Doktor Ingenhousz, lekarz przyboczny Marii Teresy, prosił swego przyjaciela Franklina o informacje dotyczące pewnych eksperymentów naukowych. Jakaś madame Herissant zwracała się z prośbą, by ustalił, gdzie jest jej syn; ma podstawy do przypuszczania, że w Ameryce. Mister Artur Lee oświadczał kaligraficznie i rozwlekle, że skoro Franklin nie reaguje na jego ustne protesty, załącza notatkę do akt, mówiącą o tym, jak to panowie z Ministerstwa Spraw Zagranicznych stale go ignorują i obrażają; jeżeli Franklin nie wda się w to wreszcie, Artur Lee zastrzega sobie przedsięwzięcie kroków na własną rękę. Nieczytelny dopisek dowodził gniewnie, jak fałszywe i nienaukowe są pewne teorie Franklina na temat piorunu. Niejaki mister Russel z Bostonu, który z jakichś skomplikowanych powodów nie mógł się wydostać z Marsylii, prosił wielkiego rodaka o radę i pomoc. Ksiądz Lecombe przegrał pieniądze w karty i zaklinał Franklina, by mu pomógł, obiecując, że w zamian za to będzie się modlił o zwycięstwo Ameryki. Czternastu marynarzy statku „Reprisal” skarżyło się na niemożliwe traktowanie przez wilka morskiego Wickesa; klnie on niegramatycznym, ale za to soczystym językiem na niesubordynację tych czternastu marynarzy. Niejaki pan Filip Gueffier komunikował, że zakończył epos przeciw Anglikom, który

zrobił na jego przyjaciółach mocne wrażenie; prosił o wsparcie materialne, by móc utwór opublikować.

Takimi więc listami musiał się Franklin zajmować w dniu swoich urodzin. Spotkała go jednak miła niespodzianka w postaci poczty z Anglii. Przyjaciele z wyspy znaleźli mimo przeszkód ze strony tajnego wywiadu angielskiego sposób, by do niego dotrzeć z korespondencją.

Nadszedł więc list od Georgiany Shipley, córki biskupa Jonatana Shipley, przyjaciela Franklina. Georgiana mogła mieć teraz osiemnaście, może dziewiętnaście lat. Ojciec jej, pisała, sądzi, iż z uwagi na wojnę kontaktowanie się z jej Sokratesem jest wielką nieostrożnością, ale nie mogła pominąć jego urodzin i nie powiedzieć mu, jak serdecznie go wspomina. Wypadki w żadnym stopniu nie zmieniły uczuć ani jej samej, ani jej rodziny. „Nie mogę - brzmiały ostatnie słowa listu - opanować uczucia zazdrości w stosunku do pańskiego wnuka, który może dawać Panu dowody troski i przywiązania". Franklin przeczytał kilkakrotnie ten list, pisany wielkimi, dzieciennymi literami.

Poza listem nadeszły raporty londyńskich zaufanych. Informowali, że rząd angielski jest bardzo zaniepokojony przybyciem Franklina do Paryża. Król wydał stanowczy rozkaz pilnego śledzenia każdego kroku, jaki „podstępny człowiek z Filadelfii" robi w Paryżu. Lord Rockingham (Charles Rockingham (1730-1782) - polityk angielski, dwukrotny premier), który od początku potępia politykę rządu angielskiego w stosunku do kolonij, oświadcza głośno każdemu, że działalność Franklina w Paryżu zwiększa szanse Amerykanów. Piszący raport słyszał na własne uszy takie mniej więcej słowa lorda, wypowiedziane w większym towarzystwie: „Gorszące zajścia, które się swego czasu rozegrały w radzie koronnej, nie powstrzymały Franklina od przeprawienia się przez ocean. Naraził się na

niebezpieczeństwo, że go schwytają i po raz drugi zawloką przed podobny trybunał. Jeżeli panowie, którzy uczestniczyli w owej odrażającej scenie sądowej, widzą teraz oczami wyobraźni Franklina w Wersalu, to czują się zapewne tak jak Makbet, kiedy ujrzał ducha Banka". Dwaj panowie spośród tych, o których lord Rockingham tak się wyraził, znajdowali się w tym towarzystwie. Milczeli.

Franklin był jeszcze pochłonięty lekturą listów, kiedy weszli Silas Deane i Artur Lee, by razem z nim udać się na konferencję do pana de Gerard. Artur Lee zrzędnym tonem naglił do pośpiechu.

- Proszę wybaczyć - powiedział uprzejmie doktor. - Miałem robotę. Musiałem odłożyć do akt pańskie uwagi. - Podniósł się. - Ale teraz jestem gotów, konie też gotowe.

Artur Lee patrzył na niego z niemiłym zdziwieniem; Franklin miał na sobie zwykły brązowy surdut i niczym nie zdradzał chęci zmienienia go na inny.

- Uważa pan, że powinienem się przebrać? – zapytał z nieznacznym uśmieszkiem.

- Szczerze mówiąc, tak - odpowiedział Artur Lee. – Ale - dodał z goryczą - o ile pana znam, nie zrobi pan tego.

– Zgadł pan - odpowiedział Franklin, po czym wyszli z hotelu.

Monsieur de Beaumarchais miał pecha: na próżno zapytywał u Franklina co drugi dzień, kiedy będzie miał sposobność pomówić z czcigodnym mężem o amerykańskich sprawach. Silas Deane zapewniał niejednokrotnie, że nie będzie można i w przyszłości zrezygnować z pomocy pana de Beaumarchais, który sprawie amerykańskiej oddał większe usługi niż ktokolwiek inny, i dał wyraz swemu zdumieniu, że Franklin tak to spotkanie odwleka. Miał niestety rację. Franklin musiał poskromić niechęć do tego pana, nie mógł dłużej zwlekać z

udzieleniem mu audiencji. Zawiadomił więc Carona, że oczekuje go nazajutrz o godzinie pół do dwunastej.

Wczesnym rankiem dnia następnego siedział Franklin w swym gabinecie, jak to często bywało, nagi, czytał, pisał. Książki i papiery nie sprawiały mu radości. Podagra dokuczała mu owego ranka bardziej niż kiedykolwiek, poza tym miał wrażenie, że wysypka mocniej go swędzi. Z ponurą miną postanowił nie przystrajać się godnie na cześć tego pana, lecz przyjąć go po prostu w szlafroku.

Natomiast Pierre był przez cały ranek pełen oczekiwania na mającą się odbyć rozmowę, przejęty nadzieją i troską. Nie ma po tej stronie oceanu nikogo, kto by sprawie amerykańskiej oddał tak wielkie usługi jak on. Trzy statki firmy Hortalez były na morzu, prawdopodobnie ładunek ich znajdował się już w amerykańskich rękach. Dalsze olbrzymie zapasy piętrzyły się w składach. Budowano nowe statki, flota stworzona i nabyta przez firmę Hortalez dla dostaw amerykańskich ustępować będzie wkrótce tylko eskadrze królewskiej i Kompanii Indyjskiej. Dla Carona było zagadką, dlaczego doktor Franklin nie tylko nie szuka z nim zbliżenia, lecz nawet wyraźnie go unika. Nie zdawał sobie sprawy, że winę mógł ponosić on sam, jego zachowanie, działalność i utwory. Prawdopodobnie przybyszowi temu przedstawiono jego działalność w fałszywym świetle albo przekręcono jego słowa. Był najzupełniej pewien, że byle znalazł okazję do zetknięcia się z Amerykaninem oko w oko, rozwieje z miejsca jego obawy.

Zajechał przed Hotel d'Hambourg w swej karocy z wielką paradą, ubrany nadzwyczaj starannie. Był zdumiony prostymi ramami, w których żył Amerykanin, oraz niechlujstwem urządzenia, które przypominało otoczenie kilku jego przyjaciół ze świata literackiego. Najbardziej zdumiał go szlafrok Franklina; nie wiedział, czy ma ten niedbały strój

uważać za oznakę braku szacunku, czy też za dowód poufałości.

Siedzieli więc naprzeciw siebie. Ociężały Franklin, z pomarszczoną starczą twarzą, potężnym podbródkiem, wielkimi, zimnymi, badawczymi oczyma, robił mimo niedbałego stroju wrażenie człowieka mającego przewagę, ba, mogącego rozkazywać, Pierre natomiast ze swoją wymyślną elegancją i pewnymi siebie, swobodnymi, a jednak sztucznymi manierami miał w sobie coś z petenta. Franklin, może chcąc umniejszyć wagę spotkania, zlecił swemu wnukowi, młodemu Williamowi, by wziął udział w tej rozmowie. Lustrował on przenikliwie wspaniały strój gościa, odpowiadający wszystkim przepisom ostatniej mody, wbijał sobie w pamięć każdy szczegół; te pełne respektu oględziny były dla Carona pewnym odszkodowaniem za chłód starego.

Pierre zaczął pięknie brzmiącą, dźwięczną francuszczyzną wielbić zasługi Franklina. Robiąc mnóstwo porównań, sławił siłę i przebiegłość, z jaką wielki Franklin pozbawił podpory tron angielskiego tyrana. Doktor słuchał z nieruchomą twarzą, Pierre miał wątpliwości, czy rozumie jego wyszukaną francuszczyznę. Po chwili jednak Franklin odpowiedział wolno - brakowało mu słów:

- Kiedy się rozpatruje wydarzenia o tak wielkiej doniosłości historycznej, jak walka Stanów Zjednoczonych Ameryki o niepodległość, nie należy przeceniać zasług jednostki.

Pierre rozważał przez króciutką chwilę, czy wygłoszona przed chwilą sentencja nie jest aluzją do jego działalności, czy stary nie chciał mu dać do zrozumienia, że Beaumarchais przecenia wagę swojej osoby. Ale zaraz myśl tę odrzucił i odpowiedział czołobitnie, że tego rodzaju filozoficzna postawa znakomicie harmonizuje z obrazem wybitnego uczonego.

Konwersacja toczyła się po francusku. Francuszczyzna Franklina, uciążliwa dlań, najeżona błędami, odcinała się jaskrawo od szybkiego, uskrzydłonego wysławiania się Carona; mimo to skąpe słowa starego miały większą wagę i znaczenie niż piękne, oryginalne zdania młodszego rozmówcy.

Przed rozpoczęciem rozmowy doktor ułożył sobie, co powie temu panu. Dobrą chwilę będzie musiał jeszcze poczekać, nim za swoje dostawy otrzyma coś w rodzaju zapłaty. Doktor Franklin znał swego Artura Lee i swój Kongres. Był więc skłonny powiedzieć temu panu parę pięknych słów; nic to nie kosztowało, a widać było, jak tamten jest ich spragniony. Ale dziwna niechęć, którą odczuł, kiedy po raz pierwszy usłyszał to nazwisko, wzrosła jeszcze z chwilą, gdy Beaumarchais usiadł przed nim, ubrany z przesadną elegancją, mocno pachnący perfumami, przeświadczony o swoim wielkim znaczeniu. Doktor nie mógł przewyciężyć antypatii i zadowolił się suchym oświadczeniem:

- Bardzo to pocieszające, łaskawy panie, że i po tej stronie oceanu tylu dzielnych ludzi ujmuje się za naszą sprawą. Prawdziwa to dla mnie przyjemność poznać jednego z nich. Zabolało Carona, że stary uważał go za jednego z wielu. Odpowiedział ze szczyptą złośliwości:

- Moje wysiłki dostarczania armii amerykańskiej umundurowania i broni, bez czego przecież nie można wojować, były dla mnie zajęciem wyjątkowo zaszczytnym. W obliczu wielkiej sprawy, niebezpieczeństwa, jakie pociągała za sobą moja działalność, wydawały mi się jak mgła wobec słońca.

- Niebezpieczeństwa? - zapytał Franklin nie będąc pewnym, czy dobrze zrozumiał francuskie słowo, - Ma pan na myśli ryzyko? - powiedział z nieco większym ożywieniem niż dotychczas.

- Może pan to również nazwać ryzykiem - odrzekł uprzejmie Pierre, mówił teraz po angielsku. - Nie jestem w stanie ocenić dokładnie subtelności tego słowa. Sądzę jednak, że większość pańskich i moich rodaków byłaby skłonna nazwać niebezpieczeństwem fakt, że się ma przed sobą przeciwnika, o którym wiadomo, że jest awanturniczy, mściwy i bezwzględny.

- Pojedynek, panie de Beaumarchais? - zapytał podniecony William. - Pan się w naszej sprawie pojedynekował?

- I to kilkakrotnie - odpowiedział Pierre. — Po raz ostatni z markizem, de Saint-Brisson, przemądrzałym urwipołciem, który zachował się arogancko, kiedy wygrywałem wolność amerykańską jako atut przeciwko pysze naszej wysoko urodzonej szlachty.

Doktora gniewało, że ten mieszczanin i pisarz Pierre Caron w tak niemądry sposób naśladuje złe obyczaje arystokracji.

- I przekonał pan swego markiza de Saint-Brisson? - zapytał jowialnie. - Przekonał go pan swoim floretem o słuszności naszych zasad? Wierzy teraz w naszą sprawę?

- Ponieważ Pierre, nieco zaskoczony, milczał, Franklin ciągnął dalej; - Kiedy się jest w moim wieku, łaskawy panie, nie wierzy się już w pożyteczność pojedynków. Po czym zaczął z lubością opowiadać jedną ze swoich ulubionych historyjek:

- Siedzi sobie raz w kawiarni pewien jegomość i żąda od drugiego, siedzącego przy sąsiednim stole, by się przesiadł dalej. „Dlaczegoż to, mój panie?” - „Bo pan śmierdzi”. - „To obelga, mój panie, musi mi pan dać satysfakcję ze szpadą w rękę”. - „Jeżeli panu na tym zależy, gotów jestem dać panu żadaną satysfakcję. Ale nie widzę, co by pan na tym wygrał. Bo jeżeli pan mnie zabije, ja będę śmierdział, jeżeli zaś ja zabiję pana, będzie pan, o ile to możliwe, śmierdział jeszcze mocniej aniżeli teraz”.

Pierre uważał za afront, że stary chciał go tą domoroślą niesmaczną historyjką przywołać do porządku. We Francji, oświadczył z przekąsem, trzeba prowadzić walkę z zadzierającym nosa stanem szlacheckim inaczej niż w Filadelfii. Potem przeskoczył nagle na inny temat, zaczął mówić o tym, jak niezwykle trudno jest zdobywać broń dla Ameryki i transportować ją. Mówił otwarcie o olbrzymim ryzyku, które ten interes stwarza dla biorących w nim udział, skarżył się na lakoniczność Kongresu, który albo w ogóle nie odpowiada na listy, albo zarówno Silasa Deane, jak i jego zbywa zdawkowymi odpowiedziami.

Franklin wtrącił, że przecież umowy z panem Beaumarchais zostały zawarte przed jego przybyciem. Wydaje mu się, że Wersalowi byłoby niemiłe, gdyby dużo mówiono i korespondowano na temat tych umów. Franklin uważa, że byłoby dobrze, aby pan Beaumarchais w dalszym ciągu załatwiał sprawy z mister Deane'em, doskonałym kupcem i zasłużonym patriotą. Na tym zakończywszy, przez chwilę milczał znacząco i patrzył na Carona uprzejmie, lecz całkowicie obojętnie.

Pierre zorientował się. Franklin sądzi niewątpliwie, że ze względu na osobę hrabiego Vergennes wskazana jest jak najdalej idąca ostrożność: tymi względami, nie zaś niechęcią do jego osoby tłumaczy się rezerwa starego. Było to pocieszające. Pierre nie mówił już więcej o interesie, lecz jak przedtem, prowadził konwersację na temat wolności. Jeżeli nawet, mówił, formy walki są różne w Ameryce i we Francji, w gruncie rzeczy walczy się o to samo.

- Choć działalność moja obejmowała tyle dziedzin, doktorze - powiedział - sądzę, że wszędzie byłem żołnierzem walczącym o wolność. Mam nadzieję, że kiedyś nawet rzeczy pozornie odległe, powiedzmy, na przykład moja komedia Cyrulik sewilski, uznane zostaną za zwycięskie bitwy w tej walce.

Franklin spoglądał na gadatliwego pana ciągle tym samym, badawczym wzrokiem.

- Niestety, nie znam pańskiej komedii - odpowiedział.

Pierre wzdrygnął się, oszołomiony. Nigdy nie zdarzyło mu się jeszcze spotkać człowieka, który by nie znał tej komedii, tego najlepszego chyba utworu komediowego epoki. Z wymuszonym uśmiechem oświadczył, że będzie miał zaszczyt złożyć do dyspozycji Franklina bilety na najbliższe przedstawienie sztuki w Theatre Francais. Bez jego pomocy trudno byłoby je dostać, ludzie ustawiają się przy kasie już w nocy. Franklin podziękował uprzejmie, dając wyraz obawie, że w miesiącach zimowych stan zdrowia nie pozwoli mu wychodzić wieczorami, chyba w wyjątkowych wypadkach. Natomiast młody William oświadczył żarliwie, że byłby niezwykle panu Beaumarchais zobowiązany, gdyby mu się postarał o bilet

Mówiono jeszcze chwilę o sprawach obojętnych. Potem doktor wstał, wyraźnie kładąc kres audiencji, i oświadczył formalnie, że Ameryka umie ocenić usługi francuskich przyjaciół wolności. Ale brzmiało to lodowato i Beaumarchais, choć tego po sobie nie pokazywał, nie mógł być zadowolony ze swej wizyty.

Franklin żałował potem, że go tak zmroził. Zapewne, człowiek ten był niesympatyczny, ale potrzebowało się go, i kwita. Powinien był zapanować nad sobą i na komplementy odpowiedzieć komplementami.

Kiedy już postąpił fałszywie, chciał przynajmniej wyciągnąć ze swego błędu jakąś korzyść. Przyznał się swemu wnukowi Williamowi z całą szczerością, że powinien był zrezygnować z satysfakcji okazania panu Beaumarchais, co o nim myśli. Trzeba być w każdej sytuacji uprzejmym, rozsądna uprzejmość opłaca się. Przy tej okazji opowiedział mu historię o bronie.

- Wysłano tedy dwóch parobków, by przetransportowali ciężką bronię. Jeden z nich chcąc się jakoś wymigać od niemiłego ciężaru, a był to spryciarz nad spryciarzami, powiedział: „Co sobie właściwie myślał nasz pan posyłając tylko nas dwóch do przywleczenia tej brony. Przecież dwóch ludzi to stanowczo za mało”. - „Bzdury - odrzekł drugi, bardzo dumny ze swej siły. - Dwóch ludzi? Potrafię udźwignąć ją sam. Pomóż mi tylko podnieść, a zobaczysz”. A spryciarz, kiedy już tamten miał ciężar na swych barkach, ciągnął dalej: „Tam do licha, jaki z ciebie siłacz, istny Samson. Nie ma w Ameryce drugiego takiego. No, ale teraz dosyć. Pozwól, niech i ja poniosę”. Pochwała tak pochlebiła tamtemu, że jakoś nie odczuwał ciężaru. „Nic z tego, mój drogi, zaniosę ją sam do domu”. Tak też uczynił.

Mam nadzieję - zakończył Franklin - że pan de Beaumarchais będzie włókł dla nas dalej tę bronię. Jeżeli tak postąpi, nie będzie to moją zasługą. Powinienem był kłamać - powiedział skruszonym głosem. - Powinienem być powiedzieć temu panu, że bez jego dostaw i jego pięknych perswazji już dawno musielibyśmy złożyć broń. Trzeba mi było być uprzejmym. Bądź mądrzejszy, mój chłopcze, nie bierz przykładu ze swego dziadka.

Dnie zimowe Franklina były wypełnione uciążliwymi interesami. Silas Deane przysłał mu dostawców i armatorów, którzy ofiarowali swe usługi, nalegał, by Franklin utrzymywał ścisły kontakt z panem Beaumarchais. Dubourg również przysyłał dostawców i armatorów, oferujących swe usługi, nalegając, by się usamodzielnic od Beaumarchais'go. Obydwaj przysyłałi ludzi, którzy domagali się listów polecających do Ameryki. Artur Lee kręcił nosem na każde słowo, które Franklin mówił lub pisał. Franklin wysłuchiwał doktora Dubourg, Silasa Deane i Artura Lee, dawał uprzejme, nie wiążące odpowiedzi i pozostawiał sprawy ich biegowi.

Hrabia Vergennes radził mu, by obracając się między ludźmi miał na względzie cele naukowe, nie zaś polityczne. Franklin czynił to chętnie. Odwiedzał liczne biblioteki, Królewską, Sainte-Genevieve, bibliotekę Mazarin; wszędzie przyjmowano go z najwyższą czcią.

Później pokazywał się w Akademii. Był członkiem tej ekskluzywnej instytucji, której członkostwo wszyscy uczeni świata uważali za najwyższy zaszczyt. Do Akademii należało tylko siedmiu cudzoziemców, Franklin był jedynym Amerykaninem. Odwiedził już Akademię w czasie poprzedniego pobytu w Paryżu. Tym razem, kiedy filozofię swą wcielił w czyn, wizyta jego wywołała jeszcze większe poruszenie. Wprowadzili go doktorzy Leroy i Le Veillard. Spośród czterdziestu członków Akademii było obecnych trzydziestu, wszyscy prosili, by ich przedstawiono, i wyrażali mu słowa uznania i czci.

Zebrani przeszli z kolei do porządku dziennego. Na początek d'Alembert wygłosił prelekcję o rozwoju moralności, z szacunkiem wymieniając kilkakrotnie nazwisko Franklina. Franklin nie opanował w dostatecznej mierze języka francuskiego, a więc tylko z wielkim trudem udawało mu się nadać za szczegółami prelekcji. W każdym razie nie było tak źle jak podczas ostatniego pobytu w Paryżu. Wtedy zrezygnował w ogóle ze zrozumienia tego rodzaju prelekcji, ślepo szedł wzorem innych, śmiał się, kiedy się śmiali, klaskał, kiedy klaskali, no i zdarzyło się raz, że kiedy prelegent sławił go, klaskał równie mocno i z takim samym przekonaniem jak pozostali. Zresztą prelekcje nie bardzo go interesowały. Sedaine/1 mówił o Fenelonie, Laharpe/2 recytował fragmenty z eposu Pharsliha, Marmontel/3 opowiadał o wędrownikach Celtów. Franklin słuchał wszystkich z dostojną uwagą, choć oczy mu się kleiły i niejednokrotnie czuł gwałtowną chęć podrapania się. Wysilek opłacił się o

tyle, że każdy z prelegentów usiłował powiedzieć coś w prelekcji zarówno o osobowości, jak i o dziele Franklina. Potem, przy końcu posiedzenia, wiceprzewodniczący Turgot, wybitny znawca ekonomii społecznej, postawił wniosek, by w protokole zanotowano udział Franklina w posiedzeniu; wniosek został przyjęty.

Wszystkie te zabiegi Franklina, rzadko kiedy przyjemne lub pomyślne, ciągnęły się przez całą wilgotną, chłodną zimę paryską; ciasnota i nieprzytulność Hotel d'Hambourg przyczyniały się do tego, że Franklin zniechęcił się do swojej działalności. Czuł się wyczerpany, tęsknił za tym, by się przenieść do Passy, nazywał je już „swoim” Passy. Ale instalacja i urządzenia Hotel Valentinois posuwały się żółtym krokiem.

Za to pocieszające wiadomości nadchodziły zza oceanu, j Generał Waszyngton podjął ofensywę, przekroczył Deławare i odniósł pod Trenton/4 niespodziewane zwycięstwo nad wielkimi nieprzyjacielskimi siłami. W kilkanaście dni później pobił pod Princeton/5 generała angielskiego Mawhooda i zmusił go do wycofania się do Nowego Jorku.

Franklin, obdarzony talentem propagandy, umiał wyciągnąć z pomyślnych wiadomości maksymalne korzyści. We wszystkich gazetach pojawiły się inspirowane przez niego artykuły, sławiące zwycięstwo, łączące z nim ambitne przepowiednie.

1/Michel Jean Sedaine (1719-1797) - poeta i dramaturg francuski.

2/Jean Francois Laharpe (1739-1803) - francuski poeta i krytyk literacki, autor tragedii, przekładów i Kursu literatury.

3/Jean Francois M a r m o n t e l (1723-1799) - pisarz francuski, autor licznych tragedii i powieści.

4/Bitwa pod Trenton - 16.12.1776.

5/Bitwa pod Princeton - 2.1.1777.

Wszędzie panował entuzjazm, doktor poczuł wkrótce dobre skutki tego, co się stało. Artur Lee, któremu Franklin w Paryżu zawadzał na każdym kroku, uważał, że po zwycięstwie nadeszła pora udania się do Hiszpanii, by tam, niezależnie od innych, działać dla sprawy Stanów Zjednoczonych. Franklin zrobił wszystko, by kolega jego jak najprędzej otrzymał paszport i listy polecające; potem mocno uściskał dłoń Artura Lee, życzył mu szczęśliwej podróży oraz długiego uwieńczonego sukcesem pobytu i z uczuciem ulgi odprowadził wzrokiem odjeżdżający powóz.

Również pozycja Franklina wobec premiera hrabiego Maurepas uległa pocieszającej zmianie dzięki wiadomości o zwycięstwie. Pani de Maurepas nie zapomniała Franklinowi, że kiedy był przed dziesięcioma laty w Paryżu, złożył im obojgu wizytę. Maurepas nie był wówczas jeszcze wszechpotężnym mężem stanu, mieszkał na swym zamku Pontchartrin, zesłany tam na łagodną banicję przez starego króla za złośliwy epigramat przeciw pani Pompadour; nie zważając na to Franklin, którego łączyły liberalne ideały ze znajdującym się w niełasce, odwiedził go w tym okresie.

Maurepas nie krył się ze swym uwielbieniem dla Franklina. Ale polityka, którą w sprawie amerykańskiej prowadził, była i pozostała niezdecydowana.

Miało to swoje podstawy. Ostateczną przyczyną jego nominacji było nieporozumienie. Ojciec Ludwika XVI, wielki bigot, kiedy był delfinem, widział w wolnomyślnym premierze Choiseul swego wroga, toteż młody Ludwik zaraz po dojściu do władzy zastąpił go jego najzacieklejszym przeciwnikiem, hrabią Maurepas. Ludwik był równie pobożny jak jego ojciec; wierzył święcie w powiązanie królestwa z

Bogiem i Kościołem. A tymczasem stary Maurepas był w głębi duszy równie wolnomyślny jak Choiseul, tolerancyjny w sprawach religijnych, przystępny dla liberalnych ideałów.

Maurepas miał lat siedemdziesiąt sześć, wiek czynił go coraz bardziej cynicznym. Miał teraz jedną tylko ambicję: umrzeć na swym urzędzie. Liczył się więc bardzo z pobożnymi nastrojami swego młodego monarchy, a równocześnie starał się podtrzymywać opinię, że jest człowiekiem postępowym, toteż ilekroć zdarzała się po temu sposobność, starał się zjednać sobie opinię postępowych salonów paryskich. W kwestii amerykańskiej łączenie obu tych stanowisk było bardzo trudne, gdyż opinie paryżan i króla były przeciwstawne.

Jeśli chodzi o własny pogląd premiera na sprawę amerykańską, to był on chwiejny. Gdyby był osobą prywatną, chętnie opowiedziałby się z nie pozbawioną ironii przychylnością za sprawą insurgentów. Zbudowanie wspólnoty na zasadach rozsądku i religii naturalnej było próbą pociągającą, zwłaszcza jeżeli eksperyment dokonany został za oceanem, tak że naśladownictwa jego tutaj można się było obawiać dopiero w wiele lat po śmierci premiera. Stanowisko hrabiego Maurepas jako męża stanu nie było tak proste. Należało oczywiście popierać każdą akcję, która osłabiała Anglię, jednak dla monarchii francuskiej żadne zwycięstwo rebeliantów nie mogło być pożądane. Wersal nie był jeszcze gotów z własnymi zbrojeniami. Celem Wersalu musiało być podsycanie konfliktu między Ameryką i Anglią dopóty, dopóki nie będzie się czuł dostatecznie mocny, by wznowić dawny spór z Anglią. W wojnie z Anglią był więc Wersal stronnikiem kolonii amerykańskich przeciw Anglii, ale nie był stronnikiem rebeliantów. W tym sensie stary minister instruował młodego króla. Doradzał pomoc rebeliantom, ale jedynie w bardzo wąskich granicach. Okazywał pełne

zrozumienie do głębokiej niechęci, jaką żywił Ludwik w stosunku do insurgentów, i dla obaw króla, że zwycięstwo rebelii i Zachodzie mogłoby podsycić buntowniczego ducha w jej własnym kraju.

A więc wobec buntowników Maurepas pozostawał ściśle neutralny. Aż tu pewnego poranka, nieco niespodzianie, pani de Maurepas zaproponowała urządzenie przyjęcia dla Franklina. Maurepas zastanawiał się przez krótką chwilę. Przyjęcie w domu premiera emisariusza amerykańskiego, nie uznawanego oficjalnie przez Wersal, był to krok odważny. Ale przecież doktor Franklin mieszka w Paryżu, jako osoba prywatna, jest naukowcem o światowej sławie i dobrym starym znajomym, a poza tym Maurepas chce mu się zrewanżować za jego uprzejmość. Ponieważ jako premier z wyższych względów politycznych nie może przyjąć Amerykanina, należy przypuszczać, że opinia publiczna oceni wysoko jego decyzję jako osoby prywatnej, jeśli naprawi to uchybienie zwłaszcza teraz, po militarnych sukcesach insurgentów.

W gruncie rzeczy więc projekt madame de Maurepas był ministrowi bardzo na rękę. Siedzieli oboje przy śniadaniu w jednym z niewielkich, ale bardzo komfortowych pokoi pałacu wersalskiego, sąsiadujących z komnatami młodego króla, który chciał mieć zawsze mentora w pobliżu. Minister, przestrzegający skrupulatnie form, otrzymał od małżonki zgodę zjawiania się w szlafroku; wychudzony siedemdziesięciosześcioletni starzec kazał się w ów chłodny dzień zimowy poowijać w różne pledy. Żywymi, bystrymi oczyma spoglądał spoza swoich szali na hrabinę; była o dobre dwadzieścia pięć lat młodsza od niego, pięknie zbudowana; na owalnej twarzy lśniły czarne, niespokojne oczy, wyglądała jeszcze dość ponętnie.

- Przyjęcie dla naszego Franklina - powiedział opukując łyżką jajko. - Dobry pomysł, wymagający rozwagi, ale dobry. Jak wyobrażasz sobie szczegóły?

- Wyobrażam sobie, że zaproszenia wyszłyby ode mnie, de la part de madame de Maurepas (od pani de Maurepas). Doktor Franklin jest moim starym przyjacielem; małe przyjęcie to minimum tego, co mogę dla niego zrobić. Oczywiście zaprosiłabym moich gości na ulicę de Grenelle.

Przy ulicy de Grenelle mieściła się siedziba paryska małżonków Maurepas; był to stary, rzadko używany pałac Phelypeau.

- Dobry pomysł - powtórzył minister. - Tylko że ten obrzydliwy pałac Phelypeau nie bardzo się nadaje na takie przyjęcia, bo jest źle opalany. Ale ostatecznie Franklin reprezentuje prymitywny naród i nie nabawi się chyba reumatyzmu. Miejmy nadzieję - powiedział z westchnieniem - że nie nabawią się go i inni.

- Jeżeli cię dobrze rozumiem, Janie Fryderyku, zjawisz się więc także? - zapytała.

Maurepas odłożył ostrożnie łyżeczkę na spodek i pocałował ją w rękę.

- Będzie mi niezmiernie miło, madame, przywitać naszego przyjaciela Franklina.

Postanowili więc urządzić przyjęcie dla Franklina. Madame de Maurepas sporządziła z wielką starannością listę tych, którzy mieli być zaproszeni; obejmowała ona tych wszystkich przedstawicieli arystokracji, którzy uchodzili za liberałów. Pomysł hrabiny, by wśród przedstawicieli najdumniejszych rodów arystokratycznych zjawił się reprezentant republikańskiej wolności, przybrany w brązowy surdut, uważano w salonach Wersalu i Paryża za bardzo pikantny.

Doktor od samego początku przejrzał cel tej imprezy; wiedział, że mają go pokazać jak niedźwiedzia, którego

nauczono tańczyć. Wiedział jednak również, że nie dzieje się to w zamiarach nieprzyjaznych. Paryż był jeszcze pod wrażeniem zwycięstw pod Trenton i Princeton, należało kuć żelazo, póki gorące. Wolałby pojawić się w modnym stroju, jak każdy inny, ale byłoby nieuprzejmie sprawić zawód towarzystwu, które go oczekiwało przybranego w brązowy kwakerski surdut.

Madame de Maurepas zgromadziła na jego cześć nie byle jakich gości. Nigdy doktor w czasie swych poprzednich pobytów we Francji nie widział wokół siebie tylu ludzi o wielkich, sławnych nazwiskach. Był tu książę de la Rochefoucauld, który od razu opowiedział się gorąco za sprawą Amerykanów. Były hrabina Polignac i księżna Rohan, należące do dworu królewskiego, a wraz z nimi zjawił się markiz de Vaudreuil. Sama Maria Antonina zachowywała wobec rebeliantów amerykańskich jak najdalej idącą rezerwę, ale niektóre panie i niektórzy panowie z kręgu jej bliskich przyjaciół nie chcieli zrezygnować z modnego w owym czasie zachwyty dla sprawy insurgentów. Zjawili się liczni członkowie rodziny Noailles; jedna z panien Noailles była żoną markiza de Lafayette, młodzieńca, który pertraktował z Silasem Deane w sprawie wstąpienia do armii amerykańskiej. Przyszedł również marszałek polny de Broglie, który nie czuł do Franklina żalu, że Amerykanie ciągle jeszcze ociągali się z nadaniem mu godności.

Ledwie Franklin zjawił się w towarzystwie swego wnuka Willima Templa, zasypano go gratulacjami z powodu zwycięstw generała Waszyngtona. Dziękował z godnością, oświadczając, że entuzjazm, z jakim przyjęto w Paryżu wiadomość o zwycięstwach amerykańskich, będzie dla Kongresu i wojska cenną podniętą.

Towarzystwo, które swego czasu zebrało się wokół Franklina w mieście Nantes, było solidne i mieszczańskie, tu, w salonie

hrabiny Maurepas, zgromadziła się wysoka, przerafinowana arystokracja. W Nantes fryzury były pięć do siedmiu razy wyższe aniżeli głowy tych, które je nosiły; tutaj, jak to stwierdził interesujący się tymi sprawami William, były wyższe zaledwie półtora raza. Ale ich nosicielki tworzyły dokoła Franklina taki sam zaciekawiony, rozentuzjasmowany krąg jak w Nantes, stawiały pytania, wymagające dużej cierpliwości w odpowiedzi; arystokratki w pałacu Phelypeau były zupełnie tak samo porwane starofrancuską, pełną powagi uprzejmością doktora jak owe prowincjonalne damy. „Czy nasz filozof z Dzikiego Zachodu - mówiły - nie jest zachwycający? Wystarczy na niego popatrzeć, by zrozumieć i dokładnie odczuć samotność olbrzymich lasów”.

Jakiś starszy pan zwrócił się do Franklina. Był bardzo starannie, trochę staromodnie ubrany, miał mięsistą twarz i pełne zmysłowe usta, których wykrzywione kąciki zdradzały jednak nieufność; zatopił senny wzrok w ciemnych oczach Franklina. Monsieur Lenormant był mu już dawniej przedstawiony, doktor zorientował się od razu, że trzeba traktować tego pana z ostrożnością.

Pan Lenormant rzadko opuszczał przyjęcia wydawane w Hotel Phelypeau. Należał do kręgu zażyłych przyjaciół. Myliłby się ten, kto by przypuszczał, że premiera łączyły z nim jakieś interesy; hrabia Maurepas nie troszczył się o sprawy pieniężne, nie używał swego urzędu dla przysporzenia sobie korzyści materialnych; cały Paryż dziwił się, że będąc na ogół człowiekiem tak inteligentnym, był pod tym względem taki głupi. Maurepas lubił po prostu Charlota. Podzielał wiele jego upodobań, jego smak, żądzę użycia, był tak samo jak Charlot zwolennikiem zarówno przerafinowanego, jak i bardzo rubaszego teatru.

Charlota ogarnęło zdziwienie, kiedy usłyszał, że zaproszono amerykańskiego rebelianta do pałacu Phelypeau. To prawda,

że sympatyzowanie z insurgentami było bardzo modne i warto było potrudzić się, by zobaczyć człowieka, który wzniecił pożar na Zachodzie. Ale Jan Fryderyk nie był osobą prywatną, nawet w pałacu Phelypeau pozostawał pierwszym ministrem arcychrześcijańskiego monarchy i jako taki powinien był zrezygnować z tego, by przez czysty snobizm się podejrzany wiatr z Zachodu. Oczywiście, Jan Fryderyk jest człowiekiem starym i zapewne liczy na to, że burzę zbierać będą dopiero jego następcy.

Na wszelki wypadek postanowił pan Lenormant skorzystać z okazji i zapoznać się nieco bliżej z pełnomocnikiem Ameryki. Zapytał z niewinną miną, jak teraz, po zwycięstwach, człowiek tak miarodajny jak doktor Franklin wyobraża sobie militarną sytuację insurgentów. Oczekiwał, że Franklin zrobi to, co na dziesięciu dyplomatów uczyniłoby dziewięciu: okaże agresywną pewność siebie. Ale Franklin spojrzał na swego rozmówcę i oświadczył mgliście, że skutki tych bitew nie dadzą się stąd ocenić. Ponieważ jednak jego czcigodny przyjaciel Waszyngton ma wyjątkowe talenty wojskowe, nie należy niepokoić się o ostateczny rezultat wojny.

Charlot przyznał w skrytości ducha, że rezerwa tego rodzaju jest bardzo mądra. Buntownicy wysłali właściwego człowieka, szcwanego lisa udającego trusie, który chciałby i potrafi wpakować w kabałę i dwór, i towarzystwo paryskie. Tylko ten przedstawiciel rebeliantów ubrany jest trochę po kłownowsku. On osobiście, Charlot, nawet za cenę francuskiej korony nie zaprezentowałby się tak jak ten bezwstydnym staruch: okulary w metalowej oprawie, rzadka, łysiejąca czupryna nie przykryta żadną peruką. Trudno jednak zaprzeczyć, by to komedianstwo nie robiło wrażenia. Ten uczony szarlatan zdawał się nic sobie z tego nie robić, że się tak prostytuuje. Ma szczęśliwe, godne zazdrości usposobienie. Człowiek interesu musi być z takim staruchem ostrożny.

Nadszedł wreszcie Maurepas, który się spóźnił umyślnie, chcąc w ten sposób okazać, że przyjęcia tego nie traktuje zbyt serio. Objął Franklina; chudy, niewysoki, starannie ubrany, wypielęgnowany Francuz i ogromny, tęgi Amerykanin pokleпали się po ramieniu. Potem Maurepas zaczął wszystkim opowiadać, jak to miło nie mieć obowiązków gospodarza i być gościem swojej żony. Słuchając hymnów pochwalnych na cześć Franklina mówił mężczyznom: „Tak, to Seneka i Brutus w jednej osobie, miejmy nadzieję, że będzie miał więcej szczęścia niż ci dwaj politycy”. Paniom zaś szeptał: „I ja kocham naszego Franklina, ale doprawdy, droga markizo, zacznę być zazdrosny, jeżeli w dalszym ciągu będzie się nim pani tak entuzjasmować”.

Po jakimś czasie oświadczył, że chciałby swego przyjaciela mieć na krótką chwilę dla siebie. Wraz z towarzyszącym mu sekretarzem, panem Salle, zaprowadził doktora do swoich apartamentów prywatnych.

Minister uważał za swą właściwą siedzibę apartamenty, które stały do jego dyspozycji w zamku wersalskim; w starym pełnym zakamarków pałacu miejskim, zaniedbanym przez czas jego długotrwałego wygnania, urządził z upodobaniem tylko te pokoje, w których sam mieszkał i sypiał.

- Muszę panu pokazać - powiedział - pokój, który w tym domu najbardziej lubię. - Po czym zaprowadził Franklina do niewielkiego gabinetu. Stały tam wytworne meble, ściany były zawieszane ciężkimi kotarami z jedwabiu. - Proszę, niech się pan rozgości - zwrócił się do Franklina i z uśmiechem odsunął kotary.

Na ścianach wisiały subtelne obrazy współczesnych artystów, przedstawiające nagie albo prawie nagie kobiety. Była wśród nich Wenus, która tylko co wyszła z fal, z podniesionymi ramionami i nieco podanym naprzód łonem, były dwie podobizny jednej z przyjaciółek starego króla miss O'Murphy;

leżała na posłaniu naga, ukazując delikatny łuk swej tylnej części ciała.

- Kiedyśmy, młody król i ja - opowiadał hrabia Maurepas swemu gościowi - oglądali po raz pierwszy zamknięte dotychczas apartamenciki starego króla, natrafiliśmy na te obrazy. Młody król nie należy do zagorzałych miłośników sztuk pięknych, rysunki i malowidła, które go najbardziej interesują, są to mapy. Obawiał się, że sąsiedztwo tych płócien przeszkadzałoby mu w pracy. Prosił mnie, bym je kazał zabrać. Dlatego aż do odwołania wiszą tutaj jako rodzaj zastawy, dostęp mają do nich tylko ci spośród moich przyjaciół, którzy są znawcami. - Oczy starego konesera spoczęły z czułością na cennych płótnach.

Stary Franklin był naukowcem, nie miał zbyt wielkiego zrozumienia dla sztuki. Wiedza o dźwięku bardziej go interesowała niż spór, kto jest lepszym muzykiem, Gluck czy Piccini; nauka Newtona o barwach wydawała mu się ważniejsza od malarskich kanonów Tycjana czy Rembrandta. Odczuwał radość na widok zdrowych, dorodnych, nieco rubasznych kobiet i brała go nieraz chętka wyczałować je, ale nie miał zrozumienia dla subtelnego zepsucia i przerafinowanej zmysłowości. Widząc jednak, z jaką dumą i czułością Maurepas ogląda obrazy, powiedział uprzejmym tonem:

- Nadzwyczajne. Co za światło, jakie soczyste kolory! Zaszczyc to dla mnie, że uznał mnie pan za godnego oglądania pańskich skarbów.

Minister stwierdził z ubolewaniem, jak mało zrozumienia dla sztuki ma ten człowiek z Filadelfii, ale ukrył swoje rozczarowanie.

Jowialnie przeszedł do sprawy, którą chciał omówić z Franklinem.

- Bardzo nie lubię - zaczął - występować w charakterze urzędowym, zwłaszcza tutaj, gdzie wszystko, co urzędowe, ode mnie odpada. Tu jestem tylko człowiekiem. Po czym bardziej poufałym tonem mówił dalej:

- Drogi doktorze, czy mogę zapytać pana jako osobę prywatną, jak się układają pańskie stosunki z moim przyjacielem i kolegą hrabią Vergennes?

- Znakomicie - odpowiedział Franklin bez wahania. - Hrabia Vergennes jest wobec mnie zupełnie szczery, co umiem ocenić.

- Wielka to dla mnie radość - odrzekł Maurepas - że spotykamy się u pana ze zrozumieniem. Ja i Vergennes jesteśmy zgodni co do wytycznych naszej polityki amerykańskiej.

Franklin oglądał obojętnym, dalekim wzrokiem nieprzystojne obrazy, łono Wenery, delikatne biodra miss O'Murphy. Niewątpliwie Maurepas pokazał mu te malowidła tylko po to, by wszcząć poufną rozmowę polityczną. Franklin nie może poprzestać na pustej uprzejmości, musi atakować.

- Szczerze mówiąc - powiedział ze skargą w głosie - niełatwo mi przychodzi to bezczynne czekanie, na które mnie skazał Wersal. Ciężko jest znosić bierność reprezentantowi narodu, który rozdrażniony do ostateczności prowadzi walkę o swe istnienie. Muszę liczyć się z tym, że ta rezerwa będzie w mojej ojczyźnie nieprzychylnie komentowana, niezależnie od tego, że moi koledzy pod żadnym pozorem nie godzą się z taką polityką.

Maurepas uśmiechnął się.

- Tak, tak - powiedział - my, starzy, mamy niemało kłopotu z młodymi. Trzeba dziesiątków lat na to, by się człowiek nauczył, że w polityce należy się kierować rozumem, a nie sercem.

Po tych słowach westchnął i zasłonił obrazy ciężką jedwabną kotarą.

Franklin był rad, że nie ogląda już irytujących, zagmatwanych malowideł, które w dodatku wydawały mu się nie w porządku pod względem anatomii. Milczał, czekał, co powie dalej Maurepas. Premier zapytał po krótkiej pauzie:

- Uważa pan, że nasze dwa miliony nie są dostateczną zapłatą za ofiary, które pan ponosi?

Franklin istotnie był tego zdania, odpowiedział więc:

- Jest tak, jak mówiłem. Polityka ociągania się stosowana przez rząd czyni naszą sytuację na tutejszym terenie nieco śmieszną.

- Człowiek pokroju doktora Franklina - odparł grzecznie Maurepas - nie może być śmieszny. Nigdy jeszcze Paryż nie skłaniał tak głowy przed obcym uczonym jak przed panem.

- Jesteśmy wdzięczni - odpowiedział Franklin - za miłość i entuzjazm, z jakim nasza sprawa przyjmowana jest przez mieszkańców Paryża. Spodziewaliśmy się jednak, że niewątpliwa wspólnota naszych interesów zacieśni stosunek między Wersalem a reprezentantami trzynastu stanów.

Na suchych wargach premiera pojawił się blady uśmiech. Człowiek z Zachodu był znany z braku ogłady, ale kiedy chciał, potrafił też być inny i nie uchodziło, by obniżał poziom rozmowy z premierem przez takie płaskie, pospolite powiedzenia. Przymrużywszy oczy hrabia obserwował swego Amerykanina. Ten siedział rozparty, pełen prostoty, podszytej chłopskim sprytem i wyrachowaniem; był orędownikiem sprawy może i pożytecznej dla świata, ale z pewnością niebezpiecznej dla francuskiej monarchii. Maurepas musi pokazać temu mieszcuchowi, że przejrzał zarówno jego, jak i jego politykę.

- Starzeję się - powiedział - i uważam, że już czas, bym oddał moje doświadczenia na usługi świata. Piszę pamiętniki, to

znaczy - tu przerwał wskazując na swego sekretarza - pisze je mój poczciwy, zaufany i milczący Salle. Wysilek jego idzie w tym kierunku, by wyrazić mój prawdziwy sąd. Nie mam tajemnic przed moim starym przyjacielem Franklinem. Niech pan odczyta, mój drogi Salle, co w naszych pamiętnikach piszemy o stosunku Wersalu do kolonij, które wzniciły powstanie.

Franklin słyszał już o tych pamiętnikach. Siedemdziesięciosześcioletni Maurepas nie krył się z zamiarem pozostawienia nie uszmkowanych wspomnień, które zostaną ogłoszone zaraz po jego śmierci. Kiedy chciał zastraszyć przyjaciela lub wroga, mówił z szelmowską miną: „Mój drogi, mógłby się pan stać w moich pamiętnikach nie najmiłszą postacią”, po czym z przyjemnością obserwował wymuszony uśmiech na twarzy rozmówcy.

Franklin zastanawiał się od samego początku, po co premier zabrał swego sekretarza. Teraz przez okulary w metalowej oprawie patrzył na tego człowieka, który siedział dotychczas szary, milczący, jakby go nie było. Obydwaj, minister, który skazywał drugiego na rolę swego cienia, i ten drugi, który na to pozwalał, byli pouczającym przykładem, co z ludzi robi despotyzm. Monsieur Salle otworzył usta, głos jego, jak przewidywał Franklin, był przygaszony i głuchy.

„Jesteśmy starzy - zaczął Salle głosem kancelisty, odczytującego akta - i niejednośmy widzieli. Widzieliśmy ludzi kręcących się i zwijających chorągiewkę z tak bezwstydną szybkością, że nie uwierzylibyśmy w taką zmianę i takie odchylenia, gdyby nie to, żeśmy je sami przeżywali i czasami ich dokonywali. Na przykład koloniści angielscy w Ameryce prowadzili tak niedawno przeciwko nam krwawą wojnę. Wdarli się jak barbarzyńcy na nasze terytoria, któreśmy zaludnili i ucywilizowali. A kiedy Anglia była zmuszona pozostawić w części Kanady francuski styl życia, ci

koloniści angielsko-amerykańscy obsypywali ustrój francuski, francuskie obyczaje, Kościół katolicki najpotworniejszymi zniewagami. A teraz ci sami anglo-amerykańscy koloniści przychodzą do nas i jakby nigdy nic zapytują: «Czyż nie jesteśmy przyjaciółmi? Czy nie mamy wspólnych interesów?»

Beniamin Franklin otworzył w uśmiechu szerokie usta i powtórzył:

- Czyż nie jesteśmy przyjaciółmi? Czy nie mamy wspólnych interesów? - Na słowach „jesteśmy” i „mamy” położył nieco mocniejszy akcent. Potem ciągnął uprzejmie dalej: - Ale nie mogę przyjąć bez zastrzeżeń pochwały, żeśmy pierwsi sobie to uświadomili. Jeżeli się nie mylę, to zanim jeszcze doszliśmy do porozumienia w Paryżu, przybył do nas stamtąd ktoś wysłany przez hrabiego Vergennes, niejaki pan Achard de Bonvouloir, i oświadczył nam, że możemy liczyć na pełne poparcie ze strony Francji, jeżeli odrzekniemy się od Anglii.

- Czy ten pański monsieur de Bonvouloir miał coś na piśmie?
- zapytał minister.

Ponieważ Franklin milczał, ciągnął dalej uprzejmie pouczającym tonem:

- No więc. W takim razie nie istnieje, zjawia się na powierzchni tylko wtedy, kiedy może nam być potrzebny. Czy może nam być potrzebny? - zapytał sekretarza.

- Państwo francuskie - odpowiedział pan Salle bezbarwnym głosem - i kolonie angielskie Ameryki są wspólnie zainteresowane w dwóch rzeczach: osłabiać Anglię i prowadzić z sobą handel. Poza tymi sprawami widzimy jedynie przeciwieństwa. Francuska monarchia absolutystyczna nie jest zainteresowana w tym, by swym poddanym dawać widowisko zwycięskiego oburzenia.

Teraz Franklin wiedział, w jakim celu stary dyplomata pragnął z nim pomówić sam na sam. Chciał w wykrętny sposób dać

mu do zrozumienia, że jeśli on i hrabia Vergennes udzielają mu poparcia, to czynią to tylko przez osobistą sympatię, że doktor Franklin należy do ludzi, którzy nic nie mają do zaofiarowania, ale za to bardzo wiele wymagają. Ale sprawa nie była taka prosta. Jeżeli Francja dopuści, by Ameryka uległa Anglii, to wspólna napaść anglo-amerykańska na zachodnioindyjskie posiadłości Francji, na bogate wyspy z trzciną cukrową, jest tylko kwestią czasu. Nie był to argument zbyt mocny, ale przy odpowiednim naświetleniu można go było przyjąć.

Maurepas uważał, że już dość wyraźnie dał do zrozumienia Franklinowi, iż nie pozwoli zrobić z siebie durnia. Zanim jeszcze tamten zdążył się odezwać, oświadczył:

- Czas już najwyższy zwrócić pana gościom hrabiny.

Po czym udali się do salonu. Tam ogólna uwaga skierowała się podczas nieobecności Franklina na przystojnego młodzieńca, jego wnuka. Pomiarkował szybko, że w obecności dziadka najlepiej będzie grać rolę czułego wnuka, opiekującego się dziadkiem z pełną szacunku troskliwością. Skoro tylko stary schodził z drogi, William stawał się aktywny. Ubrany był starannie, według wymagań mody, nauczył się prawić paniom komplementy, doświadczenie przekonało go, że jego zła francuszczyzna dodaje tym komplementom pikanterii. Czuł się teraz jak ryba w wodzie.

W tym czasie zjawił się jeszcze ktoś, kto obudził zainteresowanie gości pani de Maurepas: pan de Beaumarchais. Fakt, że człowiek, który kupił sobie szlachectwo i cieszy się taką wątpliwą opinią, znalazł się w tym wybranym gronie, był zdumiewający. Ale hrabina wzięła pod uwagę, że nazwisko jej Toutou jest związane ze sprawą amerykańską i że dotknęłaby go głęboko, gdyby go dziś nie zaprosiła.

Zaproszenie podniosło Beaumarchais'go na duchu. Mimo to wahał się, czy pójść. Czy nie postąpi fałszywie, jeżeli mimo uprzejmego ignorowania jego osoby przez Franklina, wywoła teraz wrażenie, że staremu nadskakuje? Niezależnie od tego ciężko mu było zwolnić się na ten wieczór. Był nie tylko zavalony interesami, ale musiał poświęcić trochę czasu swoim bliskim. O wiele za mało troszczył się o Teresę, która przecież miała zostać matką jego dziecka. Również stan starego ojca budził w nim troskę; ojciec Caron dzięki ogromnym staraniom był pozornie ciągle jeszcze rześki i żwawy, ale niewątpliwie coraz bardziej podupadał na zdrowiu. Mimo to Pierre zdecydował się wreszcie pójść. Przełamanie oporu Franklina podniecało go właśnie dlatego, że było takie trudne. Uważał się za mistrza w sztuce zdobywania ludzi, byłoby śmieszne, gdyby tak prędko zrezygnował z pozyskania sobie Franklina.

Pierre zjawił się nie sam. Towarzyszył mu siostrzeniec, Felicjan Lepine. Chłopiec był na ogół powściągliwy; kiedy jednak usłyszał, że na przyjęciu będzie obecny Franklin, przewyciężył nieśmiałość i poprosił stryja, by się wystarał dla niego o zaproszenie na ten wieczór. Czuł nieodpartą chęć zobaczenia z bliska podziwianego męża.

Może spodziewał się również, że na przyjęciu zjawi się księżna Montbarey z córką Weroniką. Rachuby okazały się słuszne. Ponieważ Franklin był na razie niewidzialny, Felicjan zbliżył się nieśmiało do dziewczyny. Weronika powitała go z powagą. Resztę wieczoru spędzili razem.

Oboje czekali na Franklina i to właśnie sprawiało im radość.

Pierre czekał również. Był pełen otuchy, w dobrej formie, mówił głośno, słysząc go było w szerokim promieniu. Opowiadał o zwycięstwach pod Trenton i Princeton, popisując się fachową znajomością sytuacji militarnej.

Mówił ciepło.

Wśród tych, którzy mu się przysłuchiwali, był Charlot. Ów tajny zakład, kto z nich dwóch będzie miał w sprawie amerykańskiej rację, owa cicha, podziemna rywalizacja zaostrzyła się i zabarwiała w specjalny sposób ich handlowe i czysto ludzkie stosunki. Militarne zwycięstwa Amerykanów podniosły handlowe szanse Beaumarchais'go, to zaś, że Charlot znajdował się teraz wśród jego słuchaczy, dodawało jego słowom jeszcze więcej dowcipu i blasku. Charlot słuchał przez chwilę z uprzejmym skupieniem, jak to było jego zwyczajem, ale niewątpliwie zauważył, że słowa Carona mają ton lekko wyzywający.

- Pańska ufność, drogi mój Pierrot, jest krzepiąca - odezwał się wreszcie - miałem niedawno okazję rozmawiać z doktorem Franklinem. Nie jest on aż tak optymistycznie usposobiony.

Dookoła warg Charlota pojawił się ów fatalny uśmiech. Carona przejął dreszczyk. Ale trwało to niedługo, po chwili zaczął mówić z jeszcze mocniejszym przekonaniem i otoczenie słuchało go chętnie. Weronika i Felicjan znowu ulegli czarowi, który od niego promieniował. Wiedzieli, że temu człowiekowi niepotrzebne było przybycie Franklina oraz moda, by stać się orędownikiem Ameryki. Z żarliwością łowili jego słowa i zaczęli wątpić, czy owego wieczora w Etioles nie zrobili mu krzywdy.

Tymczasem Franklin i Maurepas wrócili do salonu. Doktor nie liczył się z tym, że zobaczy tu pana de Beaumarchais; jego przyjaciel Dubourg na przykład z trudnością uzyskałby wstęp do tego ekskluzywnego towarzystwa. Ale zapanował nad sobą i przywitał się z Caronem wyjątkowo serdecznie. Pierre był zdumiony i ucieszył się, że kapryśny staruch wyraźnie żałuje teraz swego niepojętego zachowania. Złożył mu życzenia z powodu zwycięstw pod Trenton i Princeton z taką werwą i zapałem, jak gdyby Franklin odniósł je osobiście. Rozpoczęła się rozmowa, grono gości otoczyło ich, Pierre uważał za

zadośćuczynienie, że wraz z Franklinem koncentruje na sobie ogólne zainteresowanie.

Na nowo więc, chcąc dowieść Charlotowi, kim jest, zaczął rozwodzić się nad szansami militarnymi Amerykanów. Studiował tę sprawę, referował ją szczegółowo w licznych memoriałach do króla i ministrów. Amerykanie, wywodził, są nie do pokonania wskutek ogromu zajmowanej przez nich przestrzeni. Wyszkolone wojska angielskie mogą zawładnąć miastami, ale oddziały Waszyngtona mają zawsze możliwość cofnięcia się w głąb nieskończonego wielkiego zaplecza, w niedostępne lasy dziewicze, skąd przez stałe wypady mogą prowadzić wojnę podjazdową przeciw generałom angielskim. Swoim zwyczajem Franklin słuchał uprzejmie i uważnie. Postanowił zdobyć się w stosunku do tego pana na cierpliwość i wyrozumiałość w uznaniu jego dowcipu, talentów retorycznych, lekkości i zręczności w przerzucaniu się z tematu na temat. Również to, co Beaumarchais mówił, nie było pozbawione pewnej słuszności. Słowa jego zabarwiała romantyka, z jaką w tym kraju patrzono na sprawy amerykańskie, ale trudno było zaprzeczyć, że istotnie może zajść konieczność odwrotu w stronę bezludnego zaplecza. A jednak, choć doktor uświadamiał sobie to wszystko, ton, którym ten wystrojony, pięknie pachnący pan mówił wyszukaną, lotną francuszczyzną o tych smutnych, uciążliwych sprawach, był trudny do zniesienia; mimo iż Franklin przyrzekł sobie zachować cierpliwość, dawne rozdrażnienie wróciło.

- Byłoby smutne, łaskawy panie - powiedział - gdyby zmuszono nas do tej metody prowadzenia wojny, bo to metoda kosztowna. Większa część naszej ludności mieszka w miastach, takich jak Boston, Baltimore, Filadelfia, Nowy Jork, największe po Londynie z miast mówiących po angielsku.

Niech pan sobie wyobrazi konieczność zamiany pobytu w Paryżu na życie w lasach.

Pierre odczuł zawód i gorycz. To, co mówił, płynęło z głębi serca i dawało się usprawiedliwić rozumem. A teraz ten Franklin zawstydził go przed Charlotem. Nie patrzył na Charlota, z trudem ukrywał niezadowolenie.

Po chwili Franklin spojrział na niego z przyjaznym uśmiechem i powiedział:

- Poza tym ma pan rację. Anglia dysponuje trzy razy większą ilością ludzi aniżeli my, wyćwiczonym wojskiem lądowym, wielką flotą, licznymi żołdakami najemnymi. ale nie ma szans ani pod względem politycznym, ani wojskowym. Anglia będzie musiała uznać naszą niepodległość, będzie zmuszona pogodzić się z tym, że z tego konfliktu wyjdziemy mocniejsi, niż kiedyśmy go wszczynali.

I opowiedział jedną ze swych historyjek:

- Ujrzał raz orzeł królika, opuścił się, schwycił go i uniósł w powietrze. Ale królik okazał się kotem i wpił się pazurami w pierś orła. Orzeł otworzył szpony z zamiarem wypuszczenia kota. Ale kot uważał skok za zbyt niebezpieczny i wpił się w pierś orła jeszcze mocniej mówiąc: „Jeżeli chcesz się mnie pozbyć, mój orle, musisz mnie łaskawie tam posadzić, skąd mnie porwałeś”.

Dla ludzi wychowanych na bajkach i opowiadaniach La Fontaine'a była to bajeczka dosyć prymitywna. Ale trafiła do nich, uśmiechali się w zamyśleniu. Czuli, że za skromnymi słowami „opowieści dziadunia” kryje się głębokie przekonanie i że stary, gdyby tylko chciał, potrafiłby wypowiedzieć swe zdanie w sposób bardziej stosowny i dowcipny.

Właściwie Pierre powinien był się cieszyć, że Franklin jednak przyznał mu rację. Uśmiechnął się też mile, nawet klasnął lekko w rękę. W dalszym ciągu zasypywał swego sąsiada

dowcipami, ale w pewnej chwili ogarnęło go uczucie bezsilności. Przygniatała go świadomość, że ten człowiek jest o tyle większy od niego i że on, Pierre, maleje przy nim.

Przez moment wydawało mu się, że przeżywa upadek, załamanie się, jakiego nie doznał nigdy dotąd. W ciągu całego swego życia był przeświadczony, że nie chodzi o to, aby być, lecz o to, by się wydawało, że się istnieje. *Pas etre, paraitre*. Na tym przeświadczeniu oparł swą wewnętrzną i zewnętrzną egzystencję. Nie te myśli się liczą, które są w człowieku, lecz te, które człowiek ujawnia. Nie te pieniądze się liczą, które się ma, lecz te, które się w oczach innych przepuszcza. Nie te ideały mają znaczenie, które się nosi w piersi, lecz te, do których człowiek przyznaje się przed światem. Takie było credo życiowe Beaumarchais'go. A tu siedzi przed nim człowiek, który się nie wysila, nie jest błyskotliwy, mało mówi, a to, co mówi, jest prymitywne pod względem treści i w dodatku wypowiedane drewnianą francuszczyzną. Mimo to człowiek ten działał przez swój prosty, skromny, uprzejmy, dostojny sposób bycia bardziej aniżeli on sam przez strzeliste fajerwerki dowcipu. Po co właściwie grał przez całe życie swoją męczącą rolę, rolę człowieka, który nawet w najwstrętniejszych sytuacjach uśmiecha się z poczuciem wyższości i wszystkie niebezpieczeństwa zdobywa dowcipem?

Ogarnęła go rozpacz; trwało to jednak tylko chwilę i nie znalazło wyrazu w słowach. Twarz Beaumarchais'go, mimo nagłego poczucia wewnętrznej pustki, pozostała nie zmieniona, uprzejmie uśmiechnięta. Choć udawał, że słucha z uwagą, może nie słyszał wszystkiego, co do niego mówił młody de Buysson, ale istotę rzeczy rozumiał: polegała ona na tym, że młody oficer należał do grupy arystokratów, którzy pragnęli dostać się do Ameryki, by brać czynny udział w walce o wolność. Pierre odpędził całkowicie nad wyraz

przykre uczucia, jakie wywołała w nim obecność Franklina, udawał, że jest całym sercem z młodym oficerem, gratulował mu wylewnie i oświadczył z zapałem, że z radością będzie mu pomocny w dostaniu się na okręt i przeprawie przez ocean.

Franklin siedział spokojnie; uśmiechnięty młody William opierał się o jego fotel w postawie pełnej wdzięku.

Pierre, kawaler de Buysson oraz liczni goście stali lub siedzieli dokoła. Kawaler de Buysson mówił tak głośno, że Franklin musiał go słyszeć, zapewne słowa jego były przeznaczone bardziej dla Franklina niż dla Beaumarchais'go.

- I ja - odezwał się teraz doktor - uważam pańskie zamierzenie, kawalerze, za godne pochwały. Mimo to proszę, by pan przed powzięciem ostatecznej decyzji wziął pod uwagę zdanie starego człowieka, który zna stosunki po tamtej stronie oceanu. Pan de Beaumarchais miał rację, kiedy mówił, że wojna ta prowadzona jest inaczej niż wojny w Europie. Opowiadano mi, że przed jedną z bitew ostatniej kampanii wasz dowódca zwrócił się do komendanta angielskiego ze słowami: „Monsieur, pozostawiam panu pierwszy strzał”. O tego rodzaju uprzejmościach nie może być mowy w naszej wojnie. Nasza wojna nie składa się z szeregu olśniewających, barwnych, bohaterskich bitew, lecz jest i chyba pozostanie nieskończonym szeregiem tarapatów nie mających w sobie cienia bohaterstwa oraz drobnych, wstrętnych zabójczych trudności i przykrości. Niech pan się nad tym zastanowi, zanim się pan przeprawi za ocean. Sprawa, w którą się pan chce wdać, jest twarda, gorzka, sucha i przewlekła.

Dookoła panowała głucha cisza. Franklin mówił spokojnie i cicho jak zawsze, ale słowa jego miały taką wymowę, że olśniewająca sala jak gdyby zapadła się wraz ze swymi strojnymi gośćmi; zamiast niej widziało się pustkę, brud, głód, choroby, śmierć bez chwały. Stary zrozumiał, że się

zagalopował. Potrząsnął potężną głową, rzadkie włosy opadły jeszcze niżej na kołnierz surduta, podniósł odrobinę głos.

- Mimo to sprawa posuwa się naprzód - powiedział. - Tak, tak. Ca ira.

Felicjan i Weronika, najmłodszy w całym towarzystwie, siedzieli, patrzyli, słuchali. Widzieli niejednego portret Franklina, znali powiedzenie: „Wydarł niebu piorun, a berło tyranom”. Był taki sam jak na portretach, a równocześnie zupełnie inny. Obecność jego zarazem podnosiła na duchu i przygniatała. Czuli strach tamujący oddech w piersiach, kiedy mówił o żalosnej i niebezpiecznej jednostajności wojny i o nędznej śmierci, która niejednego spotkała. Ale odetchnęli z ulgą, kiedy się otrząsnął z melancholii. Pochłonęli wszystko, co można było przeczytać o Ameryce, zetknęli się ze wszystkimi, którzy mogli coś o niej opowiedzieć. Ale teraz po raz pierwszy Ameryka stała się dla nich rzeczywistością. Po raz pierwszy poczuli, że ten nowy, wolny świat istnieje, że podnosi głowę. Wszystkie stare moce walczyły przeciw niemu, ale nie zdołają go już pokonać. W młode ich dusze spłynęła ta sama spokojna ufność, która malowała się na szerokiej twarzy starca.

Rozdział trzeci

Ludwik i Toinette

Pogodnie, wesoło, uroczyście szedł orszak przez lustrzaną galerię. Na przedzie kroczyli oficerowie gwardii, potem Ludwik i Toinette, potem panowie i damy dworu; barwny korowód posuwał się między rzędami postaci zgiętych w głębokim ukłonie; blask i przepych odbijał się w lustrach stokrotnie. Uczestniczenie w orszaku nie należało do rzeczy prostych, posadzka była śliska, należało stąpać ostrożnie, a nóg podnosić nie było wolno; poza tym panom przeszkadzały szpady, paniom niebywale szerokie spódnice. Ale tym, którzy tworzyli orszak, przychodziło to bez trudu; mieli wprawę. Wszystko odbywało się lekko, uroczyście, po królewsku; tylko król, gruby, niezgrabny, szedł kołyszając się z boku na bok, wcale nie majestatycznie. Przebył on tę drogę niezliczoną ilość razy idąc na mszę i wracając ze mszy, ale ciągle jeszcze sprawiała mu ona wyraźne trudności. Na jego tłustej, chłopięcej twarzy widniał uśmiech zakłopotania, niezgrabnie stawiał ciężkie nogi. Dworzan tworzących szpaler zdjął lęk, że król gotów jest lada chwila upaść, pociągając za sobą innych. Tym zwinniej i bardziej uroczo rysowała się u jego boku Toinette. Niektórzy spośród widzów wyrażali się nieraz szyderczo o tym dumnym, grzesznym stworzeniu, o cudzoziemce, która przybyła ze swojego Wiednia wcale nie z korzyścią dla miłej Francji. Ale teraz w obliczu Toinette, na widok tej dziewczęcej, smukłej, wysokiej, promieniejącej młodością, a zarazem niezmiernie wytwornej kobiety szyderstwo i złośliwość zamilkły i ludzie tylko patrzyli. Z koronek sukni wyłaniała się olśniewająco biała szyja. Szlachetna linia pleców, ramion i piersi, cała strzelista postać miała w sobie coś zwiewnego. Na podłużnej owalnej twarzy lśniły pod ciemnoblond brwiami szafirowe oczy, bardzo

wysokie czoło wieńczyły na kształt wieży wspaniałe popielate włosy; lekko orli nos oraz pełna, nieco zwisająca dolna warga nie psuły jej urody, przeciwnie, twarz dzięki temu nie była nudna w swej idealnej harmonii. Wysmukła, zwinna, dziecinnie uprzejma, a równocześnie bardzo wyniosła, nieodrodna córka Marii Teresy, siostra cesarza Józefa, żona króla Francji, Toinette płynęła naprzód z przedziwną lekkością.

Uroczą, rozpromienioną młodą królową z uśmiechem pochylała głowę to w tę, to w tamtą stronę, spoglądając z wysoka na rój dworaków.

Ale myśli kłębiące się za pogodnym czołem nie były przyjemne. Toinette mało spała dzisiejszej nocy. Była na przyjęciu u księżnej Rohan, grała długo i dużo przegrała. Hrabia Mercy i ksiądz Vermond, doradcy, których jej matka wsadziła na kark, zapewne dowiedzieli się już o tym. Będą jej robić wyrzuty, prawdopodobnie złożą raport w Wiedniu. Poza tym kiepsko będzie po tej stracie z jej kasą, znowu będzie musiała zwrócić się o pieniądze do Ludwika.

U księżnej Rohan było dużo osób, za dużo; hrabia Mercy i ksiądz Vermond mieli rację, że w towarzystwie tym bywają ludzie, którzy do niego należeć nie powinni. Wśród tych, z którymi się tam siedziało przy stole i grało, było dużo hołoty, to prawda. Ci dwaj panowie markizi de Dreneux i de la Vaupolier, co na zmianę trzymali bank, chyba przybrali sobie tylko swoje tytuły, a ten mister Smith z Manchesteru to dorobkiewicz, który zrobił majątek w Indiach, figura bardzo podejrzana; twierdzenie księcia de Fronsac, że panowie chwilami pomagają swemu szczęściu przy pomocy zręczności, nie jest chyba tak zupełnie bezpodstawne.

Powinna była przestać grać o północy. Nawet chciała tak zrobić i już się podniosła z miejsca. Ale później uległa naleganiom swego szwagra, księcia Karola, i zasiadła znowu

do stołu, by się odegrać. I wtedy to, dopiero po północy, zgrała się gruntownie. Ale było to emocjonujące; szczerze mówiąc wspaniałe i jeżeli rzeczą najpiękniejszą na świecie jest bardzo wysoka wygrana, to zaraz po niej idzie bardzo wysoka przegrana. Nie można jednak robić tego dalej, byłoby to nierozsądne; ma już lat dwadzieścia jeden, musi trzymać się w cuglach. Postanowiła więc sobie stanowczo nie grać dzisiejszego wieczoru. Pokaże się tylko w kole przyjaciół, śmialiby się z niej, gdyby nie przyszła. Ale żeby szwagier Karol nie wiem jak ją namawiał do wzięcia rewanżu, żeby z niej nie wiem jak pokpiwał, pozostanie niewzruszona i żadna siła na świecie nie zaprowadzi jej do stołu gry.

Po dojściu do komnat królowej orszak rozwiązał się. Toinette pozwoliła się rozebrać. Później, kiedy została sama, westchnąwszy głęboko, przeciągnęła się i głośno ziewnęła.

Miała teraz przed sobą trzy godziny, zanim się przebierze do kolacji. Czas ten miała poświęcić na konferencję z architektem Mique, z którym chciała gruntownie omówić sprawę nowych ogrodów w Trianon. Poza tym zapowiedział się ksiądz Vermond, nie ulega wątpliwości, że przychodzi z polecenia matki wygłosić jej paternoster. W najgorszym razie miałyby jeszcze godzinę, żeby odpocząć. Nie, nie przyjmie ani architekta, ani księdza. Będzie przez te trzy godziny spała, by na wieczór świeżo wyglądać i mieć siły do oparcia się pokusie gry.

Siedziała więc w swej obszernej, uroczywej sypialni, gdzie za ciężkimi, kosztownymi kotarami stało potężne łoże. Siedziała w negliżu, tryskająca zdrowiem, z lekkim sercem i z lekką, bardzo piękną głową, pełna radości życia, ale w tej chwili niezwykle zmęczona. Patrzyła na potężne łoże królewskie ze wstrętem. Myślała o ceremoniach, które się rozgrywały dokoła tego łoża rano i wieczorem, kiedy wstawała i kładła się spać, myślała o damach dworu, które w myśl przepisów surowej

etykiety podawały jej koszulę, pończochy i miednicę; dla każdej musiała mieć uprzejmy uśmiech i uprzejme słowo, setki oczu śledziły wszystkie jej poruszenia.

Z łobuzerskim uśmiechem, w pantoflach, na palcach opuściła Toinette uroczystą sypialnię. Przebiegła przez jeden z ciemnych korytarzy, później przez drugi, orientowała się dobrze w labiryncie olbrzymiego gmachu. Wbiegła do jednego z wielu bocznych alkierzyków, był to pokój nigdy nie używany, przeznaczony tylko na to, by na wypadek, gdyby Toinette zaszła kiedyś w ciążę, mogła tu nocować jedna z jej dam dworu. Niewiele osób wiedziało o istnieniu tego pokoju, nikomu nie przyjdzie do głowy pomyśleć, że jest tam Toinette. Zatrzasnęła za sobą drzwi, zaryglowała je. Zrzuciła negliż, zupełnie naga położyła się do wąskiego skromnego łóżka. Przeciągnęła się, ziewnęła potężnie, przewróciła się na drugi bok, podkuliła nogi. Zapadła w głęboki, wspaniały sen bez widziadeł. Tymczasem w przedpokoju królewskiej sypialni czekali architekt i ksiądz.

Gdy Toinette znalazła się w apartamentach księżny Rohan, przywitało ją, jak zawsze, ujadanie małych piesków i wrzask papugi. Księżna nie rozstawała się nigdy ze swymi psami Cherie, Aimee i Joujou, nie przeszkadzało jej skrzeczenie papugi. „Les amants arrivent, kochankowie przybywają”, wołała papuga. To wszystko, czego się nauczyła. Była bardzo stara, opowiadano, że pochodzi jeszcze z czasów regencji; podobno wychowała się w pewnym domu schadzek odwiedzanym przez najwyższą arystokrację - to tłumaczyło jej skrzeczenie o parach miłosnych.

Było późno, zebrali się wszyscy goście, partia faraona już się przy stole rozpoczęła. Nie przerywano jej: w kręgu przyjaciół, w Klaniku Liliowego Bzu, nie trzymano się w myśl życzenia Toinette żadnego ceremoniału.

Toinette powitały księżna Rohan i Gabriela Polignac, jej najbliższa przyjaciółka. Gabriela powiedziała tylko swym łagodnym, ciepłym, leniwym głosem: - A więc jesteś, Toinette. - Za to księżna Rohan zaczęła jej robić wyrzuty, że nie przyszła wcześniej, przez co wiele straciła. Wyblakłe jej oczy miały wyraz jeszcze bardziej histeryczny niż zazwyczaj, ze skargą w głosie, ale równocześnie i z triumfem, opowiadała, że znowu zobaczyła jedną ze swoich wizji. Zaanonsowany przez żaloszny skowyt i szczekanie pieska Aimee, odwiedził ją jeden z jej wielkich zmarłych. Tym razem był to kardynał Richelieu i księżna z nim rozmawiała. Wszyscy zauważyli obecność wielkiego kardynała, dla mniej spostrzegawczych widowym znakiem było zachowanie jej trzech psów; dygotały ze strachu przed zmarłym, uciekały skulone, z podwiniętymi ogonami. Również papuga zamilkła nastroszywszy pióra. Księżna zwróciła się o potwierdzenie do swoich gości.

- Moi panowie - zapytała - czy nie mieliście wrażenia, że kardynał stoi między nami jak żywy?

- Było to coś miłego, a równocześnie strasznego - zawołał od stołu gry potężnym głosem hrabia Juliusz Polignac, mąż Gabrieli. Zawtórował mu markiz do Vaudreuil oświadczając:

- Nie ulega wątpliwości, że księżna mówiła z kardynałem. Ale - ciągnął dalej, maskując ironię dobrze udanym namysłem - zmarły kardynał nie był tak imponujący jak żywy.

Toinette, jak i cały Klanik Liliowego Bzu, nauczyła się odnosić z pobłażliwym uśmiechem do właściwości charakteru księżny Rohan, jej menażerii i jej wizyj. Mimo to wizje te w dziwny jakiś sposób pociągały wolnomyślicieli. Zajmowali się nimi, dyskutowali na temat wypowiedzi zmarłych, w ich kpinkach tkwiło ziarno wiary.

Księżna Rohan miała ładną, nieco wychudzoną twarz o wielkich, rozbieganych oczach; w słowach jej i w ruchach

było coś palącego, fanatycznego. Mąż, którego namiętnie kochała, zaniedbywał ją bez skrupułów, więc uciekała do zmarłych. Była bogata, zawsze otoczona swymi psami i kotami, wydawała wielkie przyjęcia. Potrafiła mówić zdumiewająco rozsądnie, trwonila pieniądze i czas dla swoich przyjaciół; złośliwe towarzystwo w Wersalu i Paryżu przyjmowało jej dziwactwa z dobrotliwą ironią.

Księżę Karol powitał Toinette.

- Jak to dobrze, szwagierko - powiedział - żeś usłuchała mojej rady. Więc do dzieła, weźmy rewanz!

Księżę Karol, najmłodszy brat króla, nie miał jeszcze lat dwudziestu. Podczas gdy Ludwik i księżę Ksawery, dwaj starsi bracia, odznaczali się nadmierną tuszą, Karol był smukły i zgrabny. Istny łobuz, miał wesołe usposobienie, przepadał za kawałami i figlami, był mile widzianym uczestnikiem i aranżerem licznych rozrywek Toinette.

Toinette spojrzała z ukosa w stronę karcianego stołu; dochodził stamtąd brzęk monet, słysząc było uderzanie kartami o stół.

- Nie - powiedziała - dzisiaj grać nie będę. Przyszłam tylko po to, by was wszystkich zobaczyć. Mam za sobą męczący dzień, mszę, przyjmowanie posłów. Mimo to przyszłam. - To mówiąc rozejrzała się dookoła z promienną miną.

Na dłuższą jednak metę nie mogła znieść pociągającego obrazu stolika do gry. Ujęła więc swoją przyjaciółkę Gabriellę pod ramię i zaprowadziła ją do sąsiedniego małego gabinetu.

Markiz de Vaudreuil, postać najbardziej okazała w Klaniku Liliowego Bzu, siedział w pewnej odległości od innych na kanapie z Dianą Polignac, siostrą księcia Juliusza, szwagierką Gabrieli. Przez chwilę myślał o tym, by obu damom, które objawszy się przechodziły przez obszerny salon, rzucić jakiś miły, ironiczny dowcip, ale uznał, że byłoby to niesmaczne. Więc dał sobie z tym spokój i zadowolił się pożądanym,

lekko ironicznym spojrzeniem, rzuconym w kierunku obu dam. Znowu, jak to często bywało, gawędząc z Dianą Polignac, porównywał jako znawca Toinette i Gabrielę. Toinette była młoda, żywa, pogodna, twarz jej odzwierciedlała dziecinnie i beztrosko każde drgnienie duszy, Vaudreuil, choć był pod jej urokiem, nie bez gniewu stwierdzał raz jeszcze, jak niezwykle wyniosły wyraz nadawały tej dziecinnej twarzyczce cechy właściwe Habsburgom - nieco obwisła dolna warga i śmiało zarysowany nos. Gabriela miała równie wysokie czoło jak Toinette, ale błękit jej szeroko rozstawionych pod czarnymi brwiami oczu był głębszy, nosek uroczo zadarty; twarz dwudziestoosmioletniej Gabrieli, o nieco sennych oczach, lśniła niepokalaną bielą na tle kruczonych włosów. Bardzo liczni wielbiciele Gabrieli mówili z podziwem o „boskiej czystości” tego oblicza. Vaudreuil uśmiechał się myśląc o tym, co się kryje naprawdę za tą anielską miną.

Toinette usiadła z Gabrielą w małym gabinecie. Kotara dzieląca gabinet od salonu była odsunięta, wskutek tego widać było z zewnątrz, co się działo w gabinecie. Toinette panowała więc dalej nad wyrazem twarzy, uśmiechając się uprzejmie, ale z uśmiechniętych warg płynęły nieopanowane słowa skargi. Więc dobrze, jeżeli tego od niej wymagają, ma dosyć rozsądku, by się powstrzymać od gry. Ale czy to nie haniebne, żeby królowa tak dalece nie była panią swojej woli? Na każdym kroku przeszkadza jej ta głupia etykieta, nawet w niewielu swobodnych godzinach nie wolno jej robić tego, co jej sprawia przyjemność, a za cały ten przymus, za wszystkie wyrzeczenia spotykają ją tylko wyrzuty. Pierwszej lepszej sprzedawczynie ryb w halach lepiej się dzieje niż królowej Francji.

Gabriela Polignac głaskała czule piękne ramię i długą, delikatną, bardzo białą rękę Toinette.

- Zamieniłabyś się ze sprzedawczynią ryb? – zapytała leniwym, niskim głosem.

Toinette roześmiała się jak dziecko.

- Co ty masz za pomysły, Gabrielo - powiedziała.

Przez odsuniętą kotarę widać było markiza Vaudreuil. Ciągłe jeszcze gawędził z Dianą Polignac. Szwagierka Gabrieli miała długą, ciemną twarz o spiczastym nosie, była raczej brzydka, jednak najmądrzejsza nie tylko w rodzinie Polignaców, ale i w całym Klaniku Liliowego Bzu.

- Właściwie dlaczego tyle jej poświęca czasu? - zapytała Toinette.

Gabriela nie odpowiedziała, obrzuciła tylko leniwym spojrzeniem swych wielkich oczu markiza i Dianę. Toinette, jak zresztą wszyscy, wiedziała, że Vaudreuil jest kochankiem Gabrieli, ale obie kobiety prawie nigdy o tym nie mówiły.

Dziś Toinette niespodziewanie zapytała:

- Czy nigdy nie jesteś zazdrosna, Gabrielo?

Gabriela w dalszym ciągu nie odrywając oczu od markiza i Diany pogłaskała mocniej ramię Toinette.

- Nie zależy mi na nikim poza tobą, Toinette - powiedziała.

- Ale naprawdę dlaczego on rozmawia tylko z Dianą? - zapytała Toinette po raz drugi.

Po krótkiej chwili milczenia Gabriela odpowiedziała:

- Sądzę, że ma kłopoty. Wobec nas nic nie daje po sobie poznać, bo jest za dumny. A z Dianą może o tym mówić, bo nie jest ładna.

Toinette wiedziała, do jakich to trosk Gabriela robi aluzje. Francois Vaudreuil był bogaty, ale pieniądze przeciekały mu przez palce. Diana Polignac podsunęła Toinette myśl wskrzeszenia starego urzędu dworskiego „intendenta widowisk i zabaw królowej”. Toinette potrzebny był taki intendent, markiz de Vaudreuil nadawał się na to stanowisko

jak nikt inny, a przy tym do urzędu była przywiązana wysoka pensja.

Toinette zamyśliła się. Taka posada dla markiza Vaudreuil obciążałaby jej listę cywilną nowymi sześćdziesięcioma tysiącami liwrów. Ludwik i minister skarbu będą robić kwaśne miny; również jej austriaccy doradcy, ambasador Mercy i książdz Vermond, wystąpią z nowymi wyrzutami, jak bardzo kosztowna jest jej przyjaźń z Gabriellą. Najdziwniejsze było w tym wszystkim to, że Gabriella nigdy nie żądała niczego dla siebie, bo nie miała potrzeb. Kiedy ją Toinette odkryła i od razu dała się porwać niebiańskiej słodyczy jej łagodnej twarzyczki, Gabriella była biedna. Tak biedna, że większość roku musiała spędzać na głębokiej prowincji, w swej smutnej, nędznej posiadłości wiejskiej, i mogła przyjeżdżać do Wersalu tylko na dwa, trzy tygodnie, by się pokazać u dworu. Gabriella nic sobie z tej swojej biedy nie robiła, Toinette musiała używać podstępów i wysiłków, by ją skłonić do przyjęcia pieniędzy, które umożliwiały jej wraz z rodziną mieszkanie w Wersalu. Rodzina książąt Polignac była liczna i wygłodzona, toteż Gabriella nie wymagająca nic dla siebie samej, nie mogła się oprzeć gwałtownym naleganiom męża i jego siostry, by opowiedzieć przyjaciółce o kłopotach rodziny. Poszła więc wreszcie do Toinette z lekkimi wypiekami na delikatnej twarzy, z sennymi oczyma, jeszcze szerzej otwartymi i jeszcze bardziej dziewczęcymi niż zazwyczaj, i dała królowej do zrozumienia, że jej najbliżsi znowu znaleźli się w opałach. Sama myśl o tym, że gdzieś dokoła ukochanej Gabrielli mogą istnieć finansowe kłopoty, była dla Toinette nie do zniesienia; pocieszenie przyjaciółki, przyście jej bliskim z pomocą podniecało ją i sprawiało ogromną przyjemność. Mercy wyliczył niedawno, że renta roczna wypłacana na jej polecenie rodzinie książąt Polignac przekraczała sumę pół miliona liwrów. To zakrawało już na lekkomyślność i rozrzutność.

Czy mogła jednak tolerować, by głupie cyfry mąciły jedyne szczęście jej życia, przyjaźń z Gabriellą?

- Masz rację - powiedziała - trzeba coś zrobić dla naszego przyjaciela Francois. Jeżeli jednak poproszę, by przyjął stanowisko mego intendenta, odmówi. Jest taki niemożliwie dumny.

- Gdyby ktokolwiek inny wystąpił z podobną propozycją - odpowiedziała Gabriela - odrzuciłby ją z szyderstwem. Tylko ty możesz z nim o tym mówić, Toinette.

Tymczasem Vaudreuil pożegnał Dianę i szedł teraz przez salon w kierunku gabinetu. Nikt inny nie miałby odwagi przeszkadzać królowej w poufnej rozmowie z przyjaciółką; Vaudreuil wszakże zbliżył się do obu dam, jakby nic było w tym nic nadzwyczajnego. Przysiadł się do nich. Wyraził Toinette podziw, że tak długo i stanowczo wyrzeka się gry.

Francois Vaudreuil był tym, który w gruncie rzeczy opanował Klanik Liliowego Bzu. W salonach Wersalu i Paryża za duszę jego uchodził młody książę Karol, ale księciem kierował Vaudreuil. Robił to mądrze, tak by ani książę, ani nikt inny tego nie odczuwał, pozostawał w cieniu. A jednak, czy chciał, czy nie chciał, zwracał uwagę. Pełna, wyrazista twarz trzydziestoletniego Francois o wypukłych, zuchwałych ustach; ciemnych, nieco ponurych oczach pod gęstymi kruczymi brwiami i śmiało zarysowanym pięknym czole, była zdecydowanie męska. Vaudreuil interesował się sztuką; przyjaźnił się prawie ze wszystkimi wybitniejszymi paryskimi pisarzami; w przedstawieniach amatorskich urządzanych przez arystokrację należał do najlepszych i najbardziej poszukiwanych wykonawców. Niezliczone plotki i pogłoski krążyły wokół jego nazwiska. Nie tylko w Paryżu, ale i na głębokiej prowincji opowiadano, że na fantazję kobiet działają najsilniej: aktor Lekain, pisarz Beaumarchais i markiz de Vaudreuil.

- Ma pan rację, markizie - powiedziała Toinette - to dziwne, że nie gram. Rozrywki nasze są tak monotonne, że człowiekowi nic poza grą nie pozostaje. Moje przyjęcia i imprezy wydają mi się jeszcze bardziej dyletanckie od tych, które jako dziecko oglądałam w Schönbrunnie. Moje poczciwe panie Campan i Lamballe nie mają pomysłów. Właśnie o tym z Gabriellą mówiłam. Chciałabym znowu wprowadzić urząd intendenta - zakończyła śmiało.

Vaudreuil siedział obok w eleganckiej, niedbałej pozie; ściągnął tylko nieco bujne brwi. Spojrzał na obie damy, twarz jego nabrała nagle brutalnego wyrazu. Ciemne oczy lśniły przerażająco ponurym blaskiem, gęste brwi ściągnęły się groźnie; markiz wybuchął od czasu do czasu nagłym gniewem, bano się go wtedy.

Gabriela podniosła się z pośpiechem.

- Mam wrażenie, że powinnam wrócić do reszty towarzystwa - i oddaliła się.

- Naprawdę, Francois - powiedziała Toinette, kiedy zostali sami - potrzebny mi jest intendent - to pan chyba przyzna. A poza panem nie ma nikogo.

Jeśliby kto zajrzał z wielkiej sali do małego gabinetu, zobaczyłby markiza siedzącego w nienagannej pozie i prowadzącego z królową wytworną, pełną szacunku konwersację. Tylko Toinette widziała wściekłość kryjącą się poza jego uśmiechem. Znała swego Francois. Stosunki ich były skomplikowane i podniecające. Ludwik był mężczyzną tylko z pozoru; niedomoga fizyczna nie pozwalała mu na spełnianie obowiązków małżeńskich. Przeszkodę tę mogła usunąć bardzo prosta operacja, rodzaj obrzezania, ale ociężyły Ludwik, ulegający różnym zahamowaniom, nie chciał się jej poddać. Był od lat sześciu mężem Toinette. Cesarzowa Maria Teresa i stary król Ludwik położyli delfina do łóżka małżeńskiego przy udziale całej Europy z zachowaniem

uroczystego ceremoniału, ale na tym się skończyło i nic dalej w ciągu tych sześciu lat nie zaszło. Naród francuski przepojony wiernopoddańczą czcią dla królewskiego pomazańca, zwał na Toinette winę za to, że kraj nie ma następcy tronu. Sprzedawczynie ryb w halach śpiewały rubaszne, sprośne, pełne szyderstw kuplety, literaci puszczali w obieg wytworne, gorszące epigramaty. Ale dwór, a zwłaszcza Klanik Liliowego Bzu, wiedział, jak sprawy wyglądają naprawdę. Galanteria panów stawała się coraz bardziej natarczywa i znacząca, rozpieszczony przez kobiety Vaudreuil wytknął sobie ambitny cel zostania kochankiem królowej Francji, córki Cezarów. Nierozbudzona Toinette przyjmowała chętnie hołdy mężczyzn, flirtowała z zapałem, śmiała, zdradzające znawcę dusery markiza budziły w niej zaciekawienie dla człowieka, który w sposób tak dla niego pochlebny różnił się od Ludwika. Nie broniła mu, gdy głaskał jej rękę, tolerowała pieścizny, w których był nie lada mistrzem. Pozwalała mu na wiele. Ale odmawiała mu tego, do czego dążył. Na jego czasami delikatne, to znów gwałtowne prośby i żądania miała zawsze jedną i tę samą odpowiedź: postanowiła nieodwołalnie urodzić królowi Francji prawego delfina, nie narazi się na niebezpieczeństwo, by mieć dziecko z innym.

Spośród przyjaciół markiza ani jeden nie odrzuciłby propozycji zostania intendentem królowej. Dla niego był to cios. Spoglądał na Toinette pięknymi, ponurymi, niebezpiecznymi oczyma. Widziała, ile wysiłku kosztuje go utrzymanie na wargach uprzejmego uśmiechu, mimo woli przypomniało jej się, jak kiedyś, gdy był w złym humorze, w obecności wielu osób pocałował ją w rękę, ujmując tak gwałtownie jej przegub, że przez kilka dni pozostał siny ślad.

- Chce mnie pani zbyć rentą - zapytał tłumiąc głęboki, dźwięczny głos. - Jałmużną? To ta pani przeklęta habsburska

pycha! Ale tym się pani nie okupi. Nie chcę pani intendentury, Toinette, chcę czegoś zupełnie innego.

Brzmiało to gorzko, ironicznie, groźnie, prowokująco.

- Niechże pan będzie rozsądny, Francois - prosiła. – Co pan wygra na tym, jeżeli pewnego pięknego dnia pańscy głupi wierzycciele zmuszą pana do ogłoszenia bankructwa. Jedynie to, że nie będzie pan od tej chwili przyjmowany w Wersalu i nie będę mogła pana widywać.

- Właśnie wtedy odwiedzi mnie pani w Gennevilliers - odpowiedział Vaudreuil - przecież jakąś budę mi chyba zostawią.

- To po prostu szaleństwo - gorączkowała się Toinette. - Oświadczam panu, że jestem zdecydowana mianować intendenta. Jeżeli pan nie przyjmie tego urzędu, obejmie go Besenval albo d'Adhemar, czy ja wiem zresztą kto. A wszyscy oni to partacze.

- Niech pani posłucha, Toinette - odrzekł Vaudreuil. - Chętnie zaaranżuję dla pani od czasu do czasu jakieś widowisko albo zabawę, ale niech pani da mi spokój z urzędem.

- Jest pan niesłuchanie zarozumiały - powiedziała Toinette. - Markiz de Vaudreuil nie pozwala, by mu królowa Francji cokolwiek darowała, ale królowa ma pozwolić, by jej coś darowano. Proszę pana gorąco - powiedziała i nie licząc się z siedzącymi w sali, przysunęła się doń nieco - niech pan przyjmie ten urząd, proszę mnie nie zostawiać na lodzie.

Vaudreuil traktował sprawy pieniężne z ogromną bez troską. Pieniądze przychodziły skądś zawsze, bez nich Francois Vaudreuil nie byłby po prostu sobą. Naprawdę zupełnie mu nie zależało na urzędzie, który mu Toinette chciała narzucić. Ale kiedy tak do niego mówiła, była niezwykle urocza i bardzo jej pożądał.

- Dobrze, Toinette - powiedział. - Namyszę się. Może zostanę intendentem pani widowisk i zabaw. Ale jedno mówię pani z

góry: jeżeli obejmę ten urząd, muszę mieć najpełniejszą swobodę działania. Na wypadek, gdybym wysuwał jednego z moich literatów, Chamforta, Marmontela czy Beaumarchais'go, niech mi pani nie powie: „Nie mogę tym raczyć Ludwika”. Uprzedzam z góry: jeżeli zostanę pani intendentem, widowiska pani i zabawy będą wyglądały inaczej niż obecnie. Dopiero będzie gderał ten pani grubas!

- Nie mogę panu pozwolić - powiedziała Toinette - na nazywanie króla „grubasem”. - Uśmiechnęła się jednak na te słowa.

Dała mu się zaprowadzić na wielką salę. „Les amants arrivent” - zaskrzeczała papuga. Ale nikt nie zwracał na nią uwagi, towarzystwo już się przyzwyczyło do jej zapowiedzi.

Książę Karol zawołał od stołu:

- No, szwagierko, chyba dałaś już dostateczny dowód swej wytrwałości. Nie bądź tak przerażająco cnotliwa. - Ponieważ wahała się, nalegał dalej: - I tak muszę się udać do Ludwika Surowego z prośbą o pieniądze. Jeżeli będziesz miała pecha, poproszę, żeby dał i tobie.

Od stołu dochodził miły, cichy brzęk złota wraz z przytłumionymi okrzykami grających. Toinette podeszła wolnym krokiem, książę Karol i Juliusz Polignac zerwali się, by jej zrobić miejsce. Wahała się jeszcze, widać było po jej twarzy, że z sobą walczy.

- Proszę zająć moje miejsce, madame - zwrócił się do niej hrabia Juliusz - przyniosło mi szczęście.

- Stawiam teraz za ciebie - zawołał książę Karol. - Na początek dwadzieścia luidorów.

- Dajże mi spokój ze swoimi żartami - odpowiedziała Toinette, ale podeszła do stołu jeszcze bliżej i czekała z napięciem, jaki będzie rezultat. Karol wygrał sto luidorów.

- To twoje pieniądze, szwagierko - powiedział lekkim tonem.

- Nie, nie! - zawołała Toinette. Po chwili dodała z pewnym wahaniem: - Ale może mi pożyczysz pięćdziesiąt ludiorów. Nie wzięłam ze sobą ani grosza, by nie ulec pokusie. - To powiedziawszy usiadła i zaczęła grać.

Po chwili księżna Rohan nagle zawołała:

- Psy, popatrzcie państwo na psy, zwłaszcza na Bijou.- Właściwie w zachowaniu się psów nie było nic godnego uwagi, warczały nieco, ale to zdarzało się często. Natomiast księżna Rohan miała błędny wzrok, całą twarz wykrzywioną.

- Czy państwo nie widzą? - zapytała zdławionym, śmiertelnie przerażonym głosem.

- Dziesiątka pik - powiedziała Toinette.

- Ależ przestańcie grać! - zawołała Diana, a Gabriela zapytała uprzejmie półgłosem:

- Któż to teraz taki.

- Czy nie widzicie jej? - wrzeszczała księżna. - Nie widzicie, że to Adrianna?

Adrianna była wielką aktorką niedawno minionej epoki, największą w swoim czasie. Choć łagodna i spokojna, miała szalone przygody, wreszcie jakaś jej rywalka, dama z arystokracji, zgładziła ją podstępnie, a arcybiskup Paryża nie chciał dać pozwolenia na przyzwoity pogrzeb. W związku z tą sprawą pojawiło się wiele pism polemicznych, jedno, pióra Woltera, zdobyło rozgłos i poruszyło całą Francję i Europę.

Słowa księżnej niewątpliwie dotyczyły tej Adrianny i choć większość obecnych była skłonna do drwin i daleka od wiary w Boga, zdawało się im, że zmarła Adrianna jest obecna, i czuli lekki dreszcz.

Książę de Fronsac zapytał szeptem:

- Cóż ta zmarła mówi?

A jakaś pani, nieco tchórzem podszyta, rzuciła pytanie:

- Czy bardzo jest na nas rozgoryczona?

- Nie jest rozgoryczona - odparła księżna Rohan - bo nie jest mściwa. Jest tylko smutna.

- Ale co mówi? - nalegała Gabriela.

- Martwi się o nas - powiedziała księżna. - Powiada, że się to źle zaczęło i niedobrze skończy.

Nastąpiła krótka chwila milczenia. Potem odezwał się książę Karol:

- Panie i panowie, mam wrażenie, że możemy grać dalej.

- Dziesiątka pik - powiedziała Toinette i zasiadła na nowo do gry.

Następnego dnia przy lever (Lever - tu: ceremonia wstawania z łóżka króla, królowej lub jakiejś innej dostojnej osoby) Toinette odprawiła damy dworu jeszcze prędzej niż zwykle. Oddaliły się złożywszy czołobitne ukłony, z kwaśnymi minami, szepcząc coś pod nosem oburzone. Czterdzieści dwie damy pomagały Toinette przy wstawaniu, pozostałych sto jedenaście asystowało przy ubieraniu. Wszystkim tym damom, mimo że reprezentowały kwiat arystokracji, Toinette poświęciła dokładnie dziewiętnaście minut. Dla krawcowej - nikt nie wątpił, że nastąpi teraz konferencja z nią - dla krawcowej znajdzie z pewnością dwie do trzech godzin. W dodatku Rose Bertin nie miała nawet prawa wstępu do królewskich komnat i trzeba było dobrze kręcić i naginać przepisy etykiety, by wyjednać dla niej wejście do „bocznego alkierza”.

Kiedy damy myślały o tym „bocznym alkierzu”, rozgoryczenie ich rosło. Kto wie, ile takich „alkierzy” stworzyła sobie Toinette w olbrzymim, trudnym do ogarnięcia labiryncie zamku wersalskiego, kto wie, co się tam rozgrywa. Opowiadano sobie o pewnej przygodzie pułkownika gwardii szwajcarskiej, starego, dzielnego Besenvala, który przecież sam należał do Klaniku Liliowego Bzu i nie był cnotliwym

Józefem. Chodziło o to, by nie dopuścić do pojedynku między dwoma ognistymi młodzieńcami należącymi do Klaniku Liliowego Bzu, i Toinette poprosiła do siebie pułkownika. Poprowadzono go przez korytarz i jakieś schody, później przez drugi korytarz i znowu jakieś schody; nie było chyba w żadnym gmachu paryskim pokoju tak odległego i zacisznego jak ten, w którym go Toinette wreszcie przyjęła,

Istotnie Toinette opuściła komnaty zaraz po lever; odetchnąwszy z ulgą udała się do jednego z tych „alkierzy”, i siedziała tam teraz z Gabrielą i krawcową Bertin. Była w promiennym humorze. Nocy wczorajszej wygrała. Kiedy przegrywała, uważała to za złośliwość losu, kiedy wygrywała - za własną zasługę. Była więc dziś świeższa i pogodniejsza niż zazwyczaj. Z zadowoleniem stwierdziła w lustrze, że krótki sen nie wpłynął źle na jej wygląd; była dla Róży Bertin bardzo łaskawa.

Siedziały więc obok siebie obie damy, a Bertin prezentowała przed nimi swe skarby. Powódź koronek, kapeluszy, wstążek, piór, rękawiczek, wachlarzy, materiałów, błyskotek przeróżnego rodzaju zalewała mały pokój i odbijała się dziesięciokrotnie w licznych lustrach. Toinette i Gabriela, podniecone i radosne, grzebały się w tych cennych fatalaskach. Mała, korpulentna Bertin, której okrągła, o zadartym nosie twarz wiejskiej dziewczyny zabawnie kontrastowała z wyrafinowanym smakiem światowej damy, dawała fachowe rady. Spędziły tak dwie miłe godziny.

Tymczasem w przedpokoju czekali ksiądz Vermond i architekt Mique. Właściwie Toinette powinna była najpierw przyjąć księdza. Ale sprawa, o której miała mówić z architektem, leżała jej na sercu, poza tym nie chciała sobie psuć humoru niezbyt z pewnością pokrzepiającą rozmową z wysłannikiem matki.

Gdy wszedł architekt Mique, Toinette od razu zagłębiła się w planach i szkicach.

Włożyła całe serce w przebudowę pałacu Petit Trianon i jego ogrodów. Od chwili kiedy jako piętnastolatka ujrzała ową piękną budowlę o surowych liniach, postanowiła, że ten mały, biały, kosztowny pałac będzie do niej należeć. Wszędzie indziej była zmuszona poddawać się etykietce; w tym domu wszystko będzie musiało stosować się do niej. Tu, w Trianon, nie będzie królową Francji, lecz Toinette, młodą kobietą pragnącą żyć wedle własnej woli.

Toteż gdy tylko Ludwik został królem, zażądała, by jej darował ten pałac, po czym zaczęła go przebudowywać i urządzać wedle swego gustu. Całą istotą skłaniała się do nowego kierunku, który odrzucał pompatyczność poprzedniej generacji, dając pierwszeństwo skromnym liniom na wzór antyku. Była to prostota wytworna, wyrafinowana; nadawanie solidnego charakteru rzeczom lekkim i pozornie kruchym pochłaniało dużo pieniędzy. Ale Toinette bardzo zależało na tym, by przebudować Trianon wedle tych wytycznych, architekci, malarze, ogrodnicy-planiści zorientowali się od razu, że mają do czynienia z kobietą, która wie dokładnie, czego chce. Toinette miała pomysły, musiała wszystko sama zobaczyć, nie godziła się na żadne zmiany w swoich projektach, przekonywała artystów; większość jej sugestyj była słuszna.

Sam pałac był już skończony, chodziło teraz o ogrody.

Toinette czuła wstręt do sztywnego przepychu parków jakby wykreślonych cyrklem, które otaczały zamek w Wersalu. Pragnęła natury, chciała mieć jak najbardziej typowy ogród angielski. Na niewielkiej przestrzeni miało być w nim wszystko, co należało do „natury”, rzeka, wyspy, mosty, drzewa, kwiaty, doliny i pagórki, no i oczywiście wioska z

żywymi wieśniakami i z żywymi zwierzętami, z młynem, oborą oraz z rynkiem, gdzie odbywałyby się wiejskie zabawy. Toinette zagłębiła się teraz w szczegółach planu. - Szkoda - przerwała nagle milczenie - że nie ma jeszcze modelu, który mi pan przyrzekał.

Monsieur Mique zaczął się tłumaczyć, że to nie jego wina; po prostu kredyt na model nie został jeszcze zatwierdzony. Wszystkie prace przygotowawcze byłyby już o wiele dalej posunięte, gdyby nie coraz to nowe trudności z zatwierdzaniem kredytów.

Toinette, oburzona, posłała z miejsca po pana d'Angivillers, intendenta gmachów królewskich. Czekając na niego, uprzejmie i z zainteresowaniem rozmawiała dalej z architektem. Kiedy intendent się zjawił, od razu stała się rozgniewaną władczynią. Byłaby mu bardzo zobowiązana, oświadczyła ze zjadliwą uprzejmością, gdyby ją zechciał pouczyć, dlaczego właściwie rozkazy jej nie są spełniane. Pod wpływem tych gorzkich słów intendent pobladł.

- Kilkakrotnie pozwalałem sobie - odpowiedział uniżenie - zwrócić uwagę madame, że budżet mój jest przekroczony. Mam surowe polecenia wypłacać dalsze kwoty tylko za wyraźną zgodą pana ministra finansów. Pan Necker zgody tej dotychczas nie wyraził.

- Czy decyduje tu pan Necker - zapytała Toinette - czy też może i król? Niech się pan postara o żądane sumy - oświadczyła półgłosem, tonem wykluczającym sprzeciw.

Pan d'Angivillers skłonił się i odszedł.

- Widzi pan - powiedziała Toinette śmiejąc się wesoło - że to zupełnie proste. Trzeba tylko mówić wyraźnie i po francusku. Nie można już dłużej odkładać, musi poddać się rozmowie z księdzem Vermond. Z żalem pożegnała architekta i kazała poprosić do siebie księdza.

Vermond był rozgoryczony, że Toinette nie przyjęła go wczoraj, a dziś kazała mu czekać tak długo. Choć robił wielkie wysiłki, niezbyt dobrze ukrywał swą irytację.

Abbe Vermond pochodził z ubogiej rodziny, polecenie go przez władze przełożone cesarzowej Marii Teresie na wychowawcę jej córki spadło na niego jak nieoczekiwany dar nieba. W Wiedniu Vermond umiał zdobyć sobie nie tylko szacunek starej cesarzowej, ale i nieco odporne zaufanie swej młodej pupilki. Pozostał doradcą Toinette i w Wersalu. Matka jej przykładła wagę do tego, by nie robiła żadnych istotnych posunięć bez naradzenia się z nim.

Obowiązki jego nie były łatwe. Toinette zwykła zbywać jego ostrożne ostrzeżenia żarcikami. „Kiedyś - mówiła - przyjdzie i na to czas, bym nabrała rozumu, ale tymczasem niechaj mi ksiądz pozwoli się jeszcze pobawić”. Musiał więc poprzestawać na poprawianiu błędów jej francuszczyzny i donoszeniu cesarzowej w Wiedniu o wszystkim, co ten przemiły, ale niestety tak lekkomyślny dzieciak wyrabia...

A jednak urząd dawał księdzu niejedną satysfakcję. Skromnie i zręcznie potrafił Vermond przyczynić się do rozszerzenia plotki, że właściwą regentką Francji jest Toinette, a regentem Toinette on, Vermond. Wielu wierzyło w to, dokoła księdza utworzył się mały dwór. Delektował się tym, że przy lever jego, syna kupca Vermond Sens, asystowali różni dostojnicy składając u jego nóg różne prośby.

Pozycja księdza Vermond miała jednak i swoje słabe strony. Na ogół łatwy w obejściu młodociany król Ludwik nie znosił go od pierwszej chwili. Abbe Vermond został wiedeńskiemu dworowi polecony przez premiera Choiseula, należał do partii tego polityka. Ludwik, nie mówiąc o tym, nie mógł się pozbyć podejrzeń, że ludzie Choiseula zgładzili jego ojca, delfina.

Umarł on wśród dziwnych okoliczności. Opowiadano, że został otruty. Ludwik uważał za bardzo możliwe, że w spisku

brał udział ksiądz Vermond. Tak czy inaczej, zaraz po dojściu do władzy odprawił Choiseula i zastąpił go przez hrabiego Maurepas, przy każdej sposobności okazując księdzu swą niechęć. Nigdy nie odzywał się do niego i gdyby ksiądz nie miał mocnej podpory w Marii Teresie, Ludwik byłby go już dawno odprawił. Abbe, bardzo brzydki, o olbrzymich ustach i potwornych, pożółkłych zębach, miał dziś przy sobie tekę z aktami. Toinette patrzyła na ową tekę z niechęcią; to, co stamtąd wychodziło, było zwykle niezbyt miłe. Na razie Vermond nie otwierał teki i prowadził dworną konwersację. Pochylił się nad planami Trianon, które jeszcze leżały na stole, objawiał zainteresowanie, chwalił pomysłowość i smak Toinette.

Wiedziała jednak, że był mściwy, zawsze skwaszony, że jej z pewnością nie wybaczy tego długiego czekania. Po chwili zapytał też z troską w głosie, czy ta przebudowa nie będzie bardzo kosztowna. Kiedy Toinette odpowiedziała lekkomyślnym, wyniosłym wzruszeniem ramion, zwrócił jej uwagę na liczne nieprzychylne plotki, kursujące po Paryżu na temat jej rozrzutności. Odpowiedziała z miną niewiniątka:

- Mój drogi ojczy, gdzie jest ten, dokoła którego nie krążą plotki? - Roześmiała mu się w nos, może myślała o owych pogłoskach na temat otrucia nieboszczyka jej teścia.

Abbe Vermond czuł się jednak dziś silny, miał bowiem w tece pismo, które słowom jego nadawało większą moc. Odważył się więc posunąć o krok dalej. Gdyby była tylko królową Francji, perorował, miałyby oczywiście prawo lekceważyć tę gadaninę. Ale Bóg nałożył na nią ciężki błogosławiony obowiązek: była łącznikiem między dwoma wielkimi katolickimi dynastiami świata, między Habsburgami i Burbonami. Musi więc przy najniewinniejszych postępkach myśleć o tym, jak mogłyby się one odbić na polityce najjaśniejszej pani, jej matki. Paryż mówi z coraz większą

wrogością o „ cudzoziemce”, rośnie stos pamfletów przeciw „Austriaczce”.

Toinette, uroczo udając przerażenie, wtrąciła, że naprawdę nigdy nie pomyślała, iż przesadzenie kilku drzew w Trianon mogłoby oburzyć Paryż i zaszkodzić polityce Habsburgów. Czy więc ksiądz radzi jej raz na zawsze zrezygnować z Małego Trianon?

Vermond odpowiedziałby jej najchętniej surowym tonem, ale zabrakło mu odwagi. Już dwukrotnie przy podobnych okazjach groził ustąpieniem. Za drugim razem o mały włos nie przyjęto jego prośby, musiał mocno kręcić, by jakoś to odrobić. Było mu ciężko, Bóg doświadczał go surowo. Ten przeklęty młody król nie umiał ocenić jego zasług i szukał tylko pretekstu, by go przepędzić. A ta miła, młoda królowa, którą by tak chętnie skierował na właściwą drogę, niestety, dotknięta jest grzechem lekkomyślności i zepsuta przez przebywanie w towarzystwie szyderców. Kiedy chodzi o zabawę, potrafi być uparta. Tym razem się uparła, nie pozostaje mu zatem nic innego jak zrejterować. Ze złośliwych, ogromnych ust, uzbrojonych w potężne kły, popłynęły więc słowa uspokajające. Oświadczył, że chciał jej tylko dać kilka ogólnych rad, zgodnych z zaleceniami matki; w zasadzie życzy jej serdecznie, by pałacyk był tak piękny, jak go sobie wymarzyła.

Potem jednak, nie bez satysfakcji, że może jej sprawić drobną przykrość, wyciągnął z teki, będącej postrachem Toinette, swoje pismo.

- Mam zaszczyt - oświadczył bardzo etykietalnie - wręczyć najjaśniejszej pani list jej matki - i podał Toinette zapieczętowaną kopertę.

Toinette bała się tych listów. Wiedziała, że matka otoczyła ją siecią szpiegów, którzy o wszystkim, co robi, donoszą natychmiast cesarzowej. Wiedziano w Wiedniu o jej

eskapadach, toaletach, fryzurach, balach, flirtach, przegranych sumach, o wszystkich jej rozrywkach. Spadał na nią za to stały deszcz przyjaznych, ale surowych rad i wyrzutów.

Toinette żywiła wielki respekt dla matki, spośród wszystkich żyjących Maria Teresa była nie tylko osobą pierwszą co do rangi, ale i najwybitniejszą. To, co do niej pisała, było mądre i słuszne, płynęło z serca. Toinette bała się matki, szanowała ją i kochała. Nieraz czuła się w Wersalu opuszczona, sprzedana i zdradzona; dręczyły ją obcość i etykieta. Była przeświadczona, że matka jest jedynym człowiekiem, któremu może ufać w zupełności. Wzięła więc list pełna sprzecznych uczuć. Część pierwsza pisana była ręką sekretarza, druga ręką matki. List zawiera niezawodnie coś ważnego.

Zaczęła czytać. Naprzód powoli, potem nie mogła się opanować i przebiegła wzrokiem zakończenie listu. Była zaskoczona. Dokładnie przeczytała jeszcze raz cały list. Potem upuściła arkusz. Na zakłopotanej twarzy zjawił się wyraz zamyślenia.

Treść listu napełniała ją zarazem i przerażeniem, i radością. Przybędzie jej brat, cesarz rzymski, Józef, wielce utalentowany władca, wolnomyśliciel, na razie pełniący funkcje regenta przy Marii Teresie. Cała Europa czeka z lękiem i nadzieją na objęcie przez niego władzy. Józef, o którego olśniewającej powierzchowności i wartościach duchowych opowiadała z entuzjazmem swoim przyjaciółom nieskończoną ilość razy, Józef, wieczny mentor, który, kiedy jeszcze była dzieckiem, krzyczał na nią i dworował sobie z jej głupoty, a który teraz co kilka miesięcy pisze do niej niecierpliwie, pełne wyrzutów, sarkastyczne listy. Józef, w domu pieszczotliwie nazywany Seppi, na którego Toinette spogląda z miłością, respektem, poczuciem winy i gniewem.

W każdym razie zjawienie się olśniewającego brata wzmocni jej pozycję w Wersalu. Po jego wizycie Paryż będzie więcej

mówił o wykształconym wolnomyślicielu, mieszczańsko-skromnym Józefie, niż o żadnej zabaw, rozrzutnej Toinette. Z drugiej strony będzie musiała z nim odbyć kłopotliwe rozmowy. W listach swoich traktuje ją jak małą dziewczynkę, która nie odrobiła lekcji; ma przy tym często rację, jest nieprzyjemnie rozsądny, ma tylko jej dobro na względzie. Jest wspaniały i nieznośny, Toinette wie z góry, że jego ostry, szyderczy sposób bycia będzie ją strasznie drażnił.

Patrzyła z góry na księdza, który ją obserwował z przyjaznym uśmiechem.

- Ksiądz zna treść tego listu? - zapytała.

- Tak, madame - odpowiedział.

- Ale król zna ją również? - pytała dalej.

- Sądzę, że jeszcze nie - odpowiedział ksiądz. - Przypuszczam, że chyba zawiadomi się go później. Dostojny brat pani, madame, przybywa incognito. Nie mam wrażenia, żeby przyjeżdżał w misji oficjalnej. - Ksiądz uśmiechał się teraz jeszcze słodziej.

Toinette oblała się gorącym rumieńcem. Jeżeli Józef nie przybywa w misji oficjalnej, to czegoż mógłby tu chcieć w Wersalu? Chyba jednego tylko, chyba tego, co jej najbliższej dotyczyło. Z pewnością tak jest. Józef będzie namawiał Ludwika, by się wreszcie poddał tej małej operacji, która mu umożliwi spełnianie obowiązków małżeńskich w interesie Habsburgów i Burbonów. Nie jest to misja oficjalna, lecz prywatna, najważniejsza, najświętsza, jaka istnieje.

Józef zwykł przeprowadzać, co sobie umyślił. Nawet u matki, najmocniejszego człowieka na świecie, niejedno wywojował. Józef z pewnością skłoni chwiejnego Ludwika do usunięcia przeszkody. A potem? Potem Toinette urodzi potomka, którego kraj od niej żąda. Wtedy spełni wszystko, czego słusznie mogą od niej wymagać Habsburgowie, Burbonowie i

Bóg. Wtedy będzie naprawdę królową, wtedy odzyska wolność i będzie mogła żyć, jak zechce.

Spłynęła na nią powódź różnego rodzaju wizji. Podniosła się z miejsca i powiedziała z miną wielkiej damy:

- Dziękuję księdzu. Monsieur l'abbe zrozumie z pewnością, że po otrzymaniu tej wiadomości chcę pozostać sama.

Abbe Vermond skłonił się z szacunkiem i wyszedł, lekko się uśmiechając.

Ludwik siedział przy małym stole we wnęce swej biblioteki. Ta wnęka była jego ulubionym miejscem w olbrzymim gmachu. Siadywał tu i mrużąc oczy spoglądał okiem krótkowidza na dziedzińce i wjazdowe aleje, starając się odgadnąć, kto przybywa, a kto odjeżdża.

Dziś myśli jego były dalekie od podobnej zabawy. Siedział przy małym stole, podparłszy oburącz swą tłustą twarz, głęboko zamyślony. Miał na sobie zielony strój, wybierał się bowiem na polowanie. Polował chętnie, jazda konna i myślistwo należały do niewielu zajęć, które mu sprawiały radość. Również lekarze doradzali mu możliwie często polowania, gdyż o ile nie będzie używał ruchu, otyłość może wpłynąć ujemnie na jego zdrowie. Właśnie dziś czuł potrzebę ruchu. Zjadł za wiele, co mu się zresztą często zdarzało; kiedy był zamyślony, pakował w siebie bez miary.

Mimo to zrezygnował z polowania. Pan Salle, sekretarz premiera, prosił dla niego o natychmiastową audiencję. Jeżeli stary Maurepas, jego mentor, mimo silnego przeziębienia chce z nim mówić, chodzi z pewnością o coś ważnego i Ludwik musi zrezygnować ze swej ulubionej rozrywki i wysłuchać go. Nie ulega wątpliwości, że Maurepas będzie domagał się czegoś niemiłego. To, czego ludzie chcą od niego, jest zawsze niemiłe. Prawie zawsze instynkt jego buntuje się przeciw decyzjom, których od niego wymagają. Ale to takie uciążliwe

wiecznie się bronić, wiecznie mówić nie. A tamci stale mają argumenty pod ręką. Są to argumenty fałszywe, odpieranie ich jednak wymaga wysiłku. Więc daje się w końcu pokonać i podpisuje.

Młody, ociężały, niezgrabny władca wstał i zaczął krążyć po obszernej bibliotece. Ludwik czytał chętnie, zwłaszcza książki z dziedziny geografii, historii i polityki. Kazał przebudować bibliotekę i pozapychał ją przedmiotami, które lubił. Pełno tu było globusów, map, zegarów i różnego rodzaju dzieł sztuki. Przede wszystkim porcelany; w Sevres, swej fabryce porcelany, kazał sporządzić dla siebie figurki wielkich nieżyjących poetów, La Fontaine'a, Boileau, Racine'a, La Bruyere'a. Poza tym ozdobił swą bibliotekę różnego rodzaju przedmiotami z brązu i kutego żelaza. Znał się na tym; sam wyrabiał przedmioty z metalu; na poddaszu zamkowym urządził sobie warsztat. Zatrzymał się przed kominkiem. Pogłaskał artystycznie wykonaną kratę. Tłuste, niezgrabne ręce dotykały żelaza ze zdumiewającą delikatnością. Wzrok pozbawiony wyrazu błędził po kominku. O ileż chętniej zająłby się książkami zamiast poświęcać czas sprawom narzuconym mu przez mentora. Jakim męczącym, nieprzyjemnym, nie mającym nigdy końca zadaniem jest rządzenie. Dlaczego na przykład nie urodził się zwykłym szlachcicem, osiadłym na wsi. Jakby to było pięknie, gdyby mógł, ilekroć by mu się podobało, chodzić na polowania, pisać, czytać, trochę tłumaczyć z angielskiego, zajmować się geografiami i historią, wertować gazety, zwłaszcza te zabronione, angielskie. Zamiast tego musi rządzić, decydować, bronić się przeciw chciwcom i pyszałkom, musi postępować wbrew temu, co mu dyktuje wewnętrzny głos oraz instynkt; w jego pojęciu głębsza mądrość ustawicznie ulega nakazom płytkiego rozsądku.

Rozmyślania przerwało wejście księcia Karola. Stosunek Ludwika do najmłodszego brata był dość złożony. Po śmierci ojca dobroduszny Ludwik poczuł się głową rodziny, która ma obowiązek pomagać braciom, ale obydwaj utrudniali mu to zadanie. Od wczesnej młodości pokpiwali sobie z niezdary Ludwika, księżę Ksawery skrycie, księżę Karol, pozbawiony cienia respektu, otwarcie, przy ludziach.

- Czekam na hrabiego Maurepas - oświadczył Ludwik, kiedy wszedł Karol. - Nie mam wiele czasu. Proszę się streszczać. Czym mogę służyć?

- Pieniędźmi - odparł Karol.

W ciągu trzech lat panowania Ludwika księżę Karol wymusił na nim poza apanażami zamek z rozległymi przynoszącymi duże dochody dobrami ziemskimi, poza tym Ludwik już kilkakrotnie płacił jego niemałe długi, po raz ostatni zaledwie przed kilkoma miesiącami. Doszło do burzliwej wymiany zdań, Karol radził Ludwikowi, by zamiast tytułu Roi de France et de Navarre używał Roi de France et l'Avare(skąpiec). Ludwik zapłacił wreszcie żadaną sumę, ale Karol musiał mu przyrzec, że na przyszłość będzie oszczędniejszy.

Ludwik patrzył na brata ponurym, nieszczęśliwym wzrokiem.

- Przyrzekłeś mi przecież - nie dokończył zdania, głos jego był pełen troski, współczucia i gniewu.

- W takim razie skłamałem - odpowiedział Karol z prostotą - jest to sprawa między mną a Panem Bogiem. Daj mi już te pieniądze. Cóż ci pozostaje innego? Nie zacinaj się. Przestań odgrywać Ludwika Surowego, nie do twarzy ci z tym.

Mając lat trzynaście Ludwik oświadczył kiedyś, że ambicją jego będzie przejść do historii jako Ludwik Surowy; Karol z satysfakcją przypomniał mu jego słowa.

Ludwik nasrożył się.

- Nie dam pieniędzy - oświadczył ostro. - Stworzę dla ciebie radę opiekuńczą, do której wejdą moi ministrowie.

- Świetny pomysł - szydził Karol. - Cały Paryż będzie wtedy pytać, kiedy zamianujesz radę opiekuńczą dla Toinette.

Ludwik był przekonany, że to Karol wciąga Toinette w figle, rozrywki i lekkomyślne długi. Nigdy, do końca życia, nie zapomni zuchwałych słów rzuconych ubiegłego roku przez Karola. Z okazji przewlekającej się budowy Trianon Karol założył się z Toinette o sto tysięcy liwrów, że w ciągu siedmiu tygodni zrówna z ziemią swój pałacyk Bagatelle, odbuduje go i urządzi całkowicie od nowa. Pałacyk został w ustalonym terminie zburzony i na nowo odbudowany. Dziewięciuset robotników pracowało przy tym dzień i noc, aż zabrakło materiałów budowlanych; wtedy Karol polecił swemu pułkowi gwardii szwajcarskie zatrzymywać na drogach prowadzących do Paryża wszystkie wozy z materiałami budowlanymi i kierować je do Bagatelle. Cały kraj był tym do głębi oburzony. Książę Karol przechwalał się, że zarobił sto tysięcy liwrów, o które nie prosił Ludwika; Ludwik musiał zapłacić tę sumę za Toinette. Teraz siedział przed nim ten sam Karol i żądał, by Ludwik płacił znowu za jego bezmyślne hulanki, i w dodatku kpił w najlepsze ze starszego brata.

- Zabraniam ci nazywać królową Toinette.

- Pięknie - zgodził się Karol z czelnym uśmiechem. - A więc cały Paryż będzie pytał, kiedy zamianujesz radę opiekuńczą dla królowej albo dla Austriaczki - dodał złośliwie.

Ludwik miał już dosyć tej bezmyślnej kłótni.

- Ileż ci potrzeba? - zapytał.

- Pięćset osiemdziesiąt siedem tysięcy i jeszcze parę setek - odpowiedział Karol - zadowolę się jednak pięciuset tysiącami.

Ludwik siedział smętny i ospały.

- Przyślę ci Laborde'a - de Laborde był jego intendentem - by się porozumiał z twoimi wierzycielami.

- Taki małosłowny jest ten twój brak zaufania - powiedział Karol.

- Kiedy mi złożysz raport - zakończył Ludwik - zastanowię się z Neckerem, co z tym zrobić.

- Ale jeśli można prosić, nie zastanawiaj się za długo - dorzucił Karol.

Obydwaj wiedzieli, że Ludwik tę sumę zatwierdzi.

Po odejściu Karola Ludwik wzdychał, sapał, miał wrażenie, że się dusi. Odpiął kubrak i kilka guzików od spodni, chcąc sobie jakoś ulżyć. Zawsze wyglądał nieporządnie, często bywał brudny, kamerdyner i fryzjer mieli z nim kłopot nie lada.

Był to feralny, nieszczęśliwy dzień. A teraz czeka go jeszcze Maurepas. Zapewne będzie znowu mowa o Ameryce. Nie dają mu spokoju z tymi przekłętymi buntownikami. Nie trzeba było wpuszczać do Paryża doktora Franklina. Dostyc już w stolicy wolnomyślicieli i ateuszy, nie trzeba ich sprowadzać zza oceanu. I Ludwik ma jeszcze dawać rebeliantom pieniądze. To niesłuszne, z pewnością niesłuszne. A kiedy to mówi swoim panom, zasypują go argumentami, stosami argumentów. Z westchnieniem wciągał powietrze szerokimi nozdrzami zakrzywionego nosa, po czym wypuszczał je z głośnym świstem. Wszyscy chcą od niego pieniędzy: Karol, Toinette, Amerykanie. Młody tłuszcioch sterczał za olbrzymim biurkiem i wyczekiwał z niepokojem wizyty premiera.

Nareszcie zjawił się Maurepas. Ludwik wyszedł mu na spotkanie, z uprzejmą miną posuwał się zdumiewająco szybko kołyszącym się krokiem. Mimo przeziębienia stary pan ubrał się starannie. Hrabina zaklinała go, by na siebie uważał, proponowała, by poprosił Ludwika do siebie lub przynajmniej tę krótką drogę do króla przebył w szlafroku. Ale premier nie chciał ani na jotę odstąpić od ceremoniału. Gdy chodziło o konferencje urzędowe, kładł nacisk na to, by zjawiać się u

monarchy w jego apartamentach w stroju urzędowym, jak tego wymagała etykieta.

Zasiedli przy wielkim biurku, na którym wśród papierów i przyborów do pisania stały porcelanowe figurki poetów. Ludwik ubrany niedbale, zgarbiony, wskutek otyłości wyglądający bardzo staro jak na swoje dwadzieścia dwa lata, Maurepas wystrojony, chudy, zbyt młodzieńczy na swoje siedemdziesiąt sześć lat, usiłujący trzymać się prosto. Miał przed sobą tekę. Ludwik zezował ku niej swymi szeroko rozstawionymi ciemnymi oczami krótkowidza.

Maurepas zaczął od tego, że otrzymał list od swego austriackiego kolegi. Kaunitz precyzował w nim jasno punkt widzenia Habsburgów na różne sprawy bieżące. Gdyby list zawierał tylko to, Maurepas nie byłby króla trudził. Stary poprawił się na krześle i uśmiechnął się do Ludwika, jak gdyby mu oznajmił radosną niespodziankę.

- Przynoszę ważną wiadomość. Dostojny szwagier waszej królewskiej mości, sire - oświadczył - cesarz rzymski jest w drodze do Wersalu.

Rozbiegane oczy Ludwika zatrzymały się; zaskoczony, otworzył nieco usta. Miał teraz niemądry wyraz twarzy, myśli płynęły wolno, lecz logicznie. Wiedział przecież, że Maurepas powie mu coś nieprzyjemnego. Jeżeli Józef przyjedzie, trzeba będzie omówić z nim mnóstwo rzeczy, przede wszystkim tę obrzydliwą sprawę bawarskiego dziedzictwa. Książę elektor bawarski był w sędziwym wieku, sprawa stanie się wkrótce aktualna. Choć Maria Teres oświadczyła, że nie wysuwa żadnych pretensji, tym niebezpieczniejsze były w tej sprawie wypowiedzi Józefa. Otoczenie Ludwika od miesięcy już domagało się, by dał Józefowi wyraźnie do zrozumienia, że Austria nie może w tej sprawie liczyć na poparcie Francji. Kiedy Józef zjawi się teraz, Ludwik będzie zmuszony powiedzieć mu to bez ogródek. Maurepas i Vergennes zechcą,

by poszedł jeszcze dalej i przywołał go do porządku za nieostrożne enuncjacje. O tyle młodszy, ciężko się wysławiający, ma swemu starszemu szwagrowi, słynącemu z lekkiego, błyskotliwego sarkazmu, powiedzieć prosto w oczy ostre, energiczne słowa. Ciężkie, zaokrąglone ramiona Ludwika opadły jeszcze niżej.

Maurepas przyglądał mu się bez przerwy z uprzejmą, wyczekującą miną, jak gdyby mu zakomunikował Bóg wie jak miłą wiadomość. Tłuste policzki Ludwika drgały, ręce skubały nerwowo rękawy, zapiął kubrak, ale trwał w milczeniu, dokoła panowała cisza, słycać było tylko tykanie zegarów. Maurepas zgadywał, co się dzieje w duszy Ludwika. Chrząknął, wyciągnął chustkę, wytarł nos, katar bardzo mu dokuczał.

- Sądzę, sire - powiedział wreszcie - że ta wizyta będzie niezwykle miła, bo nie obciążona dyskusjami politycznymi. Cesarz odwiedza nas incognito, jako księżę Falkenstein, i wyprosił sobie jakikolwiek ceremoniał. Jest to więc wyłącznie sprawa rodzinna. Przypuszczam, że cesarz rzymski jedzie tym razem z pozwoleniem i błogosławieństwem swej dostojnej matki. Szwagier Józef chce odwiedzić szwagra Ludwika i uścisnąć siostrę Toinette.

Ludwik odwrócił wzrok od hrabiego Maurepas. Machinalnie poglądził porcelanowe figurki stojące na biurku. Potem, oparłszy głowę na rękach, pogrążył się w myślach. Rozumując powoli, lecz logicznie, pojął przyczynę, dla której szwagier zjawia się incognito. Ale nie chciał o niej wiedzieć, wykręcał się od uświadomienia jej sobie. Wreszcie zapytał z wysiłkiem:

- Dlaczego Józef przybywa? Czego chce?

Ponieważ minister uśmiechnął się tylko, Ludwik zawołał raptem niespodziewanie głośno:

Czego on chce?

Maurepas nie przestraszył się tego nagłego wybuchu. Znał Ludwika i mógł sobie wyobrazić, co się z nim dzieje.

Nieśmiały, pełen urazów młodzieniec nie mówił z nikim poza nim i lekarzem o przeszkodach w spełnianiu małżeńskich obowiązków. Zwlekał z operacją nie z braku odwagi; była to mieszanina nabożnych albo, jak to określał wolnomyślny Maurepas, przesądnych uprzedzeń i dziecinnej wstydlivosti. I o tym właśnie miał teraz mówić z chwytającym byka za rogi racjonalistą Józefem. Stary cynik odczuwał niemal coś w rodzaju litości dla swego ucznia. W delikatnych, uprzejmych słowach wyjaśniał Ludwikowi, że Józef najprawdopodobniej wybrał się w tę podróż, by skłonić szwagra do poddania się owej drobnej operacji, o której mówił doktor Lassone; zapewne Maria Teresa oczekuje po takiej operacji błogosławionych skutków dla Francji i Austrii.

- Czy wszyscy o tym wiedzą? - zapytał Ludwik przybity. Tkwił w fotelu nieszczęśliwy, jak obraz smutku i rozpacz. Przelewały się w nim obrazy i uczucia, które przez cały czas budziła w nim jego fizyczna niedomoga.

Ożeniono go, kiedy miał lat piętnaście: uczynił to jego dziadek, Ludwik XV, chcąc przez to małżeństwo doprowadzić do sojuszu, względnie do „paktu rodzinnego” między Francją a Austrią. Stało się to za radą ministrów, którzy byli wrogami jego ojca, delfina. Ludwik czcił i poważał swego wcześniej zmarłego ojca. Fakt, że do małżeństwa doprowadzili ludzie, którzy ojca jego nienawidzili i prawdopodobnie pozbawili życia, z góry napełnił go pełną goryczy podejrzliwością do wszystkiego, co miało związek z tym małżeństwem. Był głęboko wierzący, przeświadczony o istnieniu Opatrzności boskiej, trapiiony lękiem, że małżeństwo skojarzone przez przeciwników jego ojca mogło się niebu nie podobać. Może właśnie dlatego Bóg stworzył go z tego rodzaju defektem. Jeżeli tak było, to czy Ludwik miał prawo temu przeciwdziałać? Jeżeli zgodzi się na operację, czy nie będzie to próba popsucia boskiego dzieła?

Ale małżeństwo było zawarte i nie chodziło tylko o niego. Jeżeli cofał się przed nożem lekarza, czy nie krzywdził przez to Toinette? Czuł się wobec niej bardzo onieśmielony. Wyrwano ją z jej ojczystego kraju, przybyła z daleka, by zostać jego żoną, by urodzić delfina z krwi habsburskiej i burbońskiej. Nie mógł jej ofiarować tego, co się jej należało; jeżeli Józef upomina się teraz gniewnie o prawa swej siostry, ma zupełną rację i Ludwik nie potrafi mu na to odpowiedzieć. Ale z drugiej strony musiał w tym być przecież jakiś sens, jeżeli Bóg, który go obdarzył łaską i uczynił swoim pomazańcem, dał mu takie właśnie ciało. Był to konflikt obowiązków, a ponieważ Ludwik niełatwo się decydował, pozostawiał sprawy naturalnemu biegowi. Lepiej trwać przy tym, co jest, niż zmieniać, lepiej nie robić nic niż cokolwiek przedsięwziąć.

Ponury i ospały siedział trapiiony takimi uczuciami i rozważaniami przy potężnym biurku, szarpał machinalnie rękawy, milczał. Wreszcie Maurepas zapytał, czy wolno mu zrobić pokorną propozycję.

Ludwik odpowiedział:

- Proszę, mój drogi mentorze, niech pan mówi.
- Może jest sposób - oświadczył Maurepas - by tę podróż Józefa wykorzystać dla podniesienia prestiżu Wersalu.

Ludwik spojrzał z zaciekawieniem, więc Maurepas ciągnął dalej z chytrym uśmiechem, że byłoby dobrze, gdyby Ludwik przed przybyciem hrabiego Falkensteina porozumiał się z doktorem Lassone i poddał się operacji. Wtedy cesarzowi rzymskiemu nie pozostałoby nic innego, jak powinszować, wrócić do Wiednia i zawiadomić panią matkę, że fatyga była zbyteczna.

Ludwik przyznawał, że rada jest doskonała, ale królowi, oświadczył rumieniąc się, nie zawsze wolno iść za głosem

roзумu; musi on liczyć się z pewnymi głębszymi wewnętrznymi nakazami.

Minister wiedział, że nie jest to czcza gadanina, lecz głębokie przekonanie Ludwika. Ludwik wierzył w swoje posłannictwo, dane mu od Boga, uważał te wewnętrzne reakcje za wskazania nieba, którym nie wolno się przeciwstawiać. Kiedy Ludwik chciał, można było rozsądną radą wiele osiągnąć, kiedy jednak powoływał się na swoje boskie posłannictwo, nie należało dalej nalegać, zwłaszcza że Maurepas dał niedawno młodemu monarsze okazję do melancholijnego stwierdzenia, że jego premier jest w sprawach wiary niezbyt skrupulatny. Uważał więc, że będzie rozsądniej, jeśli dziś na tym poprzestanie.

Poza tym czuł się wyczerpany. Myślał o radzie hrabiny, by nie nadweręzał sił. Najchętniej wróciłby do domu. Niestety było to niemożliwe. Należało bowiem załatwić jeszcze jedną sprawę. Po otrzymaniu wiadomości o projektowanej podróży Józefa Maurepas zaczął się zastanawiać, jakie skutki ta wizyta mogłaby mieć dla niego osobiście. Toinette nie lubiła go. Mercy i Vermond wytykali mu raz po raz, że nie jest zwolennikiem zbyt ścisłego związku z Austrią. Klanik Liliowego Bzu myślał o obaleniu go. Gdyby teraz Józef cel swój osiągnął, gdyby po dokonanej operacji nastąpiło między Ludwikiem i Toinette zbliżenie, gdyby w dodatku przyszło na świat dziecko, wzrosłoby szansę Mercy'ego i Vermonda, on zaś byłby zagrożony. Wprawdzie Ludwik starał się strzec swej polityki przed pięknymi, białymi rękami Toinette, ale był bezwolny, a Maurepas, zdecydowany umrzeć na stanowisku premiera, nie chciał w żadnym wypadku ryzykować. Postanowił więc sobie podczas tej samej audiencji, na której zapowie wizytę Józefa, dokonać ataku na Toinette.

Opanował zatem uczucie słabości, otarł twarz kosztowną chusteczką, zakaszłał, chrząknął, wyprostował się. W porównaniu z tkwiącym naprzeciw niego ospałym

Ludwikiem, który w swym wyglądzie miał coś z chłopca, prezentował się rzeźko i elegancko.

Kiedy już ma zaszczyt mówić z królem, zaczął, chciałby sobie pozwolić na poruszenie jeszcze jednej sprawy. Pan d'Angivillers przedłożył ministrowi finansów nowe żądania w sprawie przebudowy Trianon. W porozumieniu z królową Ludwik wydał urzędowi dworskim polecenie, by w żadnym wypadku nie przekraczały raz ustalonego budżetu. Pan Necker nie chciałby wobec tego zatwierdzać tej sumy bez wyraźnego rozkazu króla.

Ludwik parsknął niezadowolony. Sam był oszczędny. Wiedział, że rozrzutność Toinette jest w Paryżu źle widziana, a jednak prawie co tydzień musiał zlecać uprzejmemu gładkiemu Neckerowi, którego nie cierpiał, by wbrew planowi przelewał dodatkowe sumy na wydatki królowej. Z drugiej strony rozumiał, że rzucanie przez Toinette pieniędzmi jest do pewnego stopnia usprawiedliwione. Pojmował, że jej dzika pogoń za rozrywkami była kompensatą za rozkosze i prawa małżeńskiego łoża, których jej niestety nie dawał. Czując się winnym, traktował ją z najwyższą pobłażliwością; oszczędzając sam każdego niemal franka, był prawie rad, jeśli mógł dać Toinette odszkodowanie pieniężne w zamian za coś, czego jej musiał odmawiać.

- Ileż to tym razem wynosi? - zapytał.

- Trzysta tysięcy liwrów - odpowiedział Maurepas.

- Trzysta tysięcy liwrów - bąknął Ludwik pod nosem. Wziął pióro, na jednej z licznych leżących na biurku kartek papieru wypisał starannie 300 000, a potem zaczął stawiać dla zabawy następujące cyfry: 60 000 x 5, 50 000 x 6, 25 000 x 12. Myślał o bezczelnych uwagach na temat Toinette, które przed chwilą wypowiedział Karol, zadawał sobie pytanie, czy Karol wie już o nowym żądaniu Toinette. Wiedział zapewne i ta poufałość między bratem i Toinette drażniła go.

- Trzysta tysięcy liwrów - powtórzył. - Jeszcze trzysta tysięcy liwrów na Trianon. To skandal i znowu będzie dużo gadaniny. Maurepas, rad ze skutku, jaki wywołały jego słowa, wbijał klin dalej. Jeżeli może sobie pozwolić na pewną radę, ciągnął jak i przedtem półgłosem i z respektem, to jego zdaniem Ludwik powinien zatwierdzić tę sumę, ale równocześnie winien prosić królową, by się w swoich wydatkach nieco ograniczała.

- Trzysta tysięcy liwrów - powtórzył Ludwik - dwadzieścia pięć tysięcy razy dwanaście.

- Jeżeli sire chce znać dokładną cyfrę, to trzysta siedemnaście tysięcy sześćset trzydzieści cztery liwry - oświadczył Maurepas. - Suma nie jest sama przez się zbyt wysoka, ale stopa życiowa, zwłaszcza na wsi, spada i trudno się dziwić, że ludzie porównują wydatki Klaniku Liliowego Bzu z wydatkami, na które ich samych nie stać. Czelnicy literaci nazywają wszystko, co królowa robi, nawet jeżeli są to sprawy najściślej prywatne, polityką austriacką. Próbuje się właśnie nie dopuścić do rozprzestrzeniania paszkwilu, którego autor twierdzi, że olbrzymie wydatki królowej nie pozwalają rządowi na odpowiednią pomoc dla Ameryki. Jest faktem, że mimo różnych sztuk Neckera sytuacja finansowa pozostaje napięta. Mój kolega Vergennes ma wątpliwości, sire, czy może prosić waszą królewską mość o zgodę na dalsze dwa miliony, o które zabiegają Amerykanie.

Ludwik był zadowolony, że Maurepas skierował rozmowę na inny temat, mógł teraz wyładować swoją wściekłość.

- Ci wasi Amerykanie! - wrzasnął trzęsąc podbródkiem. - Ciągłe ci wasi Amerykanie, ci buntownicy! I kto ma opłacać ich rebelię? Ja?

Premier już wielokrotnie omawiał z Ludwikiem kwestię amerykańską. Czuł się u kresu sił, nie chciał się wdawać w zbędną dyskusję. Poprzestał więc na zreasumowaniu

wytycznych polityki amerykańskiej, do których przyjęcia udało mi się swego czasu skłonić Ludwika.

- Mam nadzieję, sire - powiedział nieco ostrzej niż zazwyczaj - że dobrze zrozumiałem pogląd waszej królewskiej mości na sprawę amerykańską. Jego królewska mość i jego doradcy zgodzili się co do tego, że możliwie długie podtrzymywanie konfliktu Anglii z jej amerykańskimi koloniami leży w naszym interesie, gdyż osłabia rebeliantów, ale przede wszystkim osłabia Anglię. Jego królewska mość zlecił więc swym ministrom prowadzenie odpowiedniej polityki. Sire dał swoim Izbom instrukcje udzielania skromnej pomocy rebeliantom aż do czasu, kiedy sami będziemy w stanie przystąpić do rozstrzygnięcia starego sporu z Anglią.

Ludwik musiał przyznać, że tak było istotnie. Maurepas tak długo dręczył go swymi argumentami, że się wreszcie zgodził. Lecz w głębi duszy wiedział, że to wszystko sofistyka, że jego królewska niechęć w stosunku do buntowników była słuszna, że pomaganie Amerykanom źle się skończy. Ale co miał począć? Siedział nadąsany, opuściwszy powieki, tak że oczy niemal znikły w pokładach tłuszczu.

- Ileż znowu chcecie dla tych waszych Amerykanów? - zapytał z niechęcią.

- Vergennes proponuje dwa miliony - powtórzył cierpliwie Maurepas. - Chciałby je wypłacić z tajnego funduszu.

- Milion - powiedział Ludwik ze złością. - Milion, a nie dwa. Nie dam rebeliantom więcej niż milion. Byłoby to wbrew memu sumieniu.

- Dobrze, niech będzie milion - zakończył pojednawczo Maurepas.

- I niech je wypłaci w trzech ratach - rozkazał Ludwik kłótliwym tonem. - Ten wasz doktor Franklin jest taki natarczywy, nigdy nie ma dosyć, ciągle się upomina.

- Wedle rozkazu, sire - odpowiedział minister. I odkładając swoje papiery, dodał: - Czy wolno mi się teraz oddalić? Ale wasza królewska mość pomówi z królową w sprawie ograniczenia dalszych jej wydatków?

- Tak - wykrztusił Ludwik.

Widział, ile kosztowało hrabiego Maurepas utrzymanie się na nogach.

- Powinienem panu podziękować, mój mentorze - powiedział skruszonym głosem - ale naprawdę rzucacie mi kłody pod nogi.

- Wiem, wiem - pocieszał go stary. - Teraz jednak mamy to za sobą, sire, i życzę miłego polowania.

Pożegnał się starając się o młodzieńczość ruchów przy pełnym zachowaniu ceremoniału. Dopiero w przedpokoju opadł niemal zupełnie z sił. Sekretarz Salle i kamerdyner zawlekli go do jego apartamentów. Nadbiegła madame de Maurepas, zaczęła kaszłacemu, chrząkającemu, pojękującemu małżonkowi robić łagodne, pełne troski wyrzuty. Zaprowadzono go do łóżka, obłożono gorącymi flaszkami, napojono bulionem.

Ludwika również wyczerpała ta rozmowa. Uciecha z powodu czekającego go polowania jakoś go odleciała. Znowu tkwił w wykuszu swego okna. Choć patrzył na aleje wjazdowe zamku, nie widział, kto przybywa, a kto odjeżdża. „Trzysta tysięcy dla Austriaczki - rozważał - milion dla rebeliantów, pięćset tysięcy dla tego łobuza”. Z melancholią myślał o ciężkim losie, jaki mu przypadł w udziale.

Następnego ranka, zaraz po obudzeniu się, przemknęła mu przez głowę myśl, że go oczekuje dziś coś wyjątkowo ciężkiego i niemiłego. Po mozolnym wysiłku uświadomił sobie, że chodzi o rozmowę z Toinette, o te zastrzeżenia, które przyrzekł uczynić.

Pozostał jeszcze chwilę w łóżku, zatopiony w rozmyślaniach. Potem pociągnął za sznur przytwierdzony stale do ramienia lokaja tak, by go można w każdej chwili przywołać. Lokaj zjawił się błyskawicznie. Ludwik wygramolił się z łóżka, w którym spał, i z trudem poszedł do paradnego łoża, w którym miał się obudzić do ceremonii lever. W obecności stu arystokratów najwyższych rodów dał się ubrać, zamieniając z nimi automatycznie nic nie mówiące słowa. Potem zjadł obfite śniadanie, pochłonięty całkowicie mającą nastąpić rozmową. Na godziny przedpołudniowe było przewidziane przyjęcie ministra wojny Saint-Germaina. Ludwik lubił go, był przekonany, że Saint-Germain dobrze się zasłużył swoimi reformami. Ale w ostatnich czasach zaklinano go ze wszystkich stron, by usunął ministra. Ludwik ciągle jeszcze odczuwał wyrzuty sumienia, kiedy myślał o tym, jak to kiedyś ulegając naleganiom Toinette i Klaniku Liliowego Bzu oddalił swego wspaniałego ministra finansów Turgota, i był zdecydowany utrzymać Saint-Germaina. Nie był jednak pewien, czy mu się to uda. W każdym razie rozmowa z Saint-Germainem nie będzie krzepiąca. Stary wystąpi z całą masą skarg i żalów, będzie na niego patrzeć jak pies swymi wiernymi oczami i czekać, by Ludwik przyrzekł mu pomoc przeciw wrogom. Nie, to było dziś niemożliwe. Nie chciał zjawić się na rozmowę z Toinette wyczerpany. Nie przyjmie Saint-Germaina. Ale jako odszkodowanie odwiedzi go wreszcie w Hotel des Invalides i obejrzy sobie pałac. Minister marzy o tym od dawna: jest dumny z tego, jakiej dokonał przebudowy i jaki wprowadził porządek. Tak, Ludwik obejrzy sobie Hotel des Invalides, poprosi Toinette, by mu towarzyszyła.

Zadowolony z tej decyzji, postanowił zdobyty w ten sposób wolny czas spędzić w bibliotece. Lubiał zapychać swą

nadzwyczajną pamięć faktami i szczegółami; ślęczenie nad książką przynosiło mu błogi spokój.

Przywitali go obydwaj bibliotekarze, panowie de Campan i de Sept-Chenes; byli to ludzie cisi, niepozorni, zawsze na miejscu, kiedy się ich potrzebowało, nieobecni, kiedy przeszkadzali.

Ludwik kazał sobie dać naprzód najnowsze pisma. Kilka z nich przyniosło anegdotę o historyku angielskim Edwardzie Gibbon, która Ludwika bardzo zainteresowała. Ten pan Gibbon ogłosił przed rokiem pierwszą część swego obszernego dzieła historycznego Zmierzch cesarstwa rzymskiego. Ludwik czytał to dzieło z zadowoleniem i zabrał się do tłumaczenia na język francuski. Mister Gibbon przebywał obecnie w Paryżu i jak donosiły gazety francuskie, znalazł się o tej samej godzinie co Benjamin Franklin w popularnej knajpce „Pod Katarzynką”. Franklin kazał zapytać, czy Gibbon nie przysiadłby się do jego stołu. Wedle relacji gazet Gibbon miał odpowiedzieć, że nie chce siedzieć przy jednym stole z człowiekiem, który powstał przeciw swemu królowi. Na to Franklin kazał powiedzieć Gibbonowi, że gdyby miał zamiar napisać nowe dzieło o rozkładzie i upadku wielkiego imperium, mógłby mu służyć wyczerpującym materiałem. Ludwik uważał tę odpowiedź pana Franklina za mało dowcipną; śmieszne było przypuszczać, że Anglia załamała się wskutek buntu swych kolonii.

Niezadowolony odłożył dzienniki na bok.

- Czy nadeszły pisma angielskie? - zapytał; zwykł był przeglądać zabronione gazety londyńskie. Sept-Chenes przyniósł je z pośpiechem.

- A pan do nich nie zaglądał, Sept-Chenes? - zapytał Ludwik z szelmowskim uśmiechem i śmiejąc się głośno, pogroził bibliotekarzowi palcem; śmiał się ordynarnie, hałaśliwie, wedle określenia Klaniku Liliowego Bzu, jak stangret. Pan de

Sept-Chenes słuchał z uprzejmą miną dowcipu, który Ludwik powtarzał już nieraz.

Ludwik zagłębił się w pismach angielskich. Pełno w nich było wiadomości o konflikcie z amerykańskimi koloniami, o doktorze Franklinie. Gazety dziwiły się, że przywódca rebeliantów znalazł schronienie w Paryżu. Ludwik westchnął - miały rację. Przeczytał z przyjemnością złośliwe docinki, skierowane przez kilku dziennikarzy przeciw staremu buntownikowi. Nazywali go „siedemdziesięcioletnim kameleonem”, „żądnym zysku utopistą”, „szarlatanem”! Ludwik uderzał się po udach, zawołał obu bibliotekarzy, pokazał im złośliwe notatki, odczytywał je na głos po angielsku. Słowo „kameleon” wymawiał niezupełnie prawidłowo; pan de Sept-Chenes poprawił go z respektem, Ludwik, chętny do nauki, powtórzył kilkakrotnie to słowo już w brzmieniu właściwym.

Kazał sobie przynieść stos książek, lubił grzebać się w kilku równocześnie. Piętrzyły się teraz dokoła niego i angielskie dzieła historyczne, wśród których była broszura Horacego Walpole'a/1 Czy opisy życia i rządów Ryszarda III są historycznie pewne, sprawozdania Jamesa Andersena/2 z procesu Marii Stuart, grube tomy Historii Anglii Dawida Hume'a/3.

1/Horatio Walpole (1717-1797) - pisarz angielski.

2/James Andersen (1726-1796) - filozof i pisarz szkocki.

3/Dawid Hume (1711-1776) - angielski filozof, historyk i ekonomista.

Obu bibliotekarzy uderzyło, że Ludwik, choć stale kazał sobie przynosić wszystkie sześć tomów, zawsze czytał tylko jeden. Było widoczne, że król nie chciał się z tym zdradzić. Tom, którym się tak interesował, zawierał historię Karola I.

Ludwik interesował się dziełem Hume'a od roku. Ściśle mówiąc, od udzielenia dymisji w maju roku ubiegłego

ministrowi finansów Turgotowi. Zainteresowanie Ludwika pozostawało w związku z listem, który tenże Turgot napisał do niego bezpośrednio przed zwolnieniem go ze stanowiska. Zuchwalec ostrzegał króla, że jest otoczony obłudnymi doradcami, że mając lat dwadzieścia dwa nie może mieć ani doświadczenia, ani znajomości ludzi, że grozi mu niebezpieczeństwo, że stoi nad przepaścią. „Proszę nie zapominać, Sire, pisał Turgot, że Karol I złożył głowę na szafocie wskutek własnej słabości. Wasza Królewska Mość, Sire, uważana jest za człowieka słabego”. Ludwik nie pokazał tego listu nikomu, zapieczętował go i zamknął do skrzyni, w której przechowywał najtajniejsze dokumenty. Ale jeszcze tego samego dnia kazał wyciągnąć dzieło Hume'a i odtąd odczytywał z coraz nowym i bardziej gniewnym zdumieniem, jak to wtedy angielscy przestępcy powstali przeciw swemu królowi, jak mu wytoczyli proces, jak mu ścięli głowę. Ludwik cieszył się, że wielki uczony Hume w tak spokojnych, mądrych, a jednak uprzejmych słowach czci pamięć męczennika Karola. I dziś, jak zwykle, zagłębił się gorliwie w szczegóły, robił na marginesach coraz nowe uwagi, stawiał znaki zapytania i wykrzykniki.

Nie, nie! Żeby nie wiem jak ważne powody przytaczali mu Vergennes i Maurepas, nie jest słuszne, że król Francji wspiera siedemdziesięcioletniego kameleona i jego buntowników, i nie może się to dobrze skończyć.

Ludwik zamknął książki, przeciągnął się i porozpinał. Czuł się znowu przejezdny. To okropne, że już od dwóch dni nie może pójść na polowanie. Potrzeba mu koniecznie trochę ruchu. Do rozmowy z Toinette ma jeszcze kwadrans. Wszedł na poddasze, do swego warsztatu ślusarskiego.

Dobrze się złożyło, że zastał tam nie tylko żwawego, krępego Franciszka Gamain, ale i pana Laudry, który w Wersalu sprawował kontrolę nad skomplikowanymi robotami

ślusarskimi. Ludwik, niezadowolony z zamków swej skrzyni z tajnymi dokumentami, pracował razem z Gamainem nad nowym zamkiem; niestety rezultat był niezupełnie taki, jak się spodziewał, Gamain był za mało pomysłowy. Za to utalentowany mistrz Laudry wykrył z miejsca, czego tu brakuje. Ludwik był zachwycony; wzięli się we trójkę do roboty, no i udało się: zamek był gotów!

Ale pochłonęło to o wiele więcej czasu niż kwadrans, było już prawie za późno. Ludwik wpakował pośpiesznie ogromny zamek do kieszeni surduta, otarł nieco zatłuszczone ręce i udał się do Toinette.

Szedł przez sale i krużganki wlokącym się, chwiejnym krokiem; ciężki zamek, wsunięty w kieszeń surduta, uderzał go po siedzeniu. Korytarze były pełne lokai, straży, świty i lśniących mundurów. Wszyscy składali Ludwikowi głębokie ukłony. Z niektórych twarzy można było odczytać pogardę, jaką nosili w sercu dla tego niekrólewskiego króla. Ludwik wiedział, że panowie ci przechodząc przez salę tronową składają przed pustym tronem przepisany głęboki ukłon z większym przekonaniem, niż kłaniają się teraz żywemu królowi, i znowu pomyślał ze smutkiem, dlaczego Opatrzność boska obdarzyła go tak niegodną postacią do pełnienia świętego posłannictwa.

Żeglował więc po parkiecie krużganków i sal, przebrnął przez pokój z okrągłym oknem, zwanym „oeil de boeuf” (wole oko), dotarł do skrzydła królowej. Tutaj niespodziewanie, zza olbrzymiego malowidła przedstawiającego Jowisza, Sprawiedliwość i Pokój, wyskoczył ośmioletni może chłopak. Był starannie ubrany, szybkie, łobuzerskie ruchy kontrastowały z bogatym, dostojnym strojem. Ludwik wiedział, że ten malec to Pierre, syn młodszego ogrodnika Macharda, którego Toinette niedawno, idąc za chwilowym kaprysem, adoptowała. Ujrawszy króla malec zatrzymał się

w biegu, stanął pod ścianą robiąc miejsce dla monarchy, przy czym skłonił się głęboko, jak go nauczono. Ludwik minął go uśmiechając się przyjaźnie; zamek walił go w dalszym ciągu po udach i siedzeniu.

Nagle usłyszał za swoimi plecami wybuch śmiechu - mały Pierre nie mógł się już dłużej powstrzymać.

Ludwik był dobrodusznym człowiekiem, nie różnił się zachowaniem od innych, ale był także prawnikiem Ludwika XIV, wnukiem Ludwika XV, króla Francji i Nawarry. Myślał o tym, jak zwykły był kroczyć dziadek nieboszczyk - iście po królewsku, tak że na ten widok milkły szepty na temat jego rozwiązań. Myślał również o tym, że Toinette, mimo że uprawia gry hazardowe, mimo zabaw, balów maskowych, mimo Klaniku Liliowego Bzu, promieniuje jakąś królewskością, przepędzającą szyderstwo z najzuchwalszych warg. Nagle ogarnęła go wściekła furia. Odwrócił się, chwycił chłopca w swe olbrzymie łapy, wrzasnął: „Straż!” Nadbiegli lokaje, zjawiała się gwardia szwajcarska. W obliczu Jowisza, Sprawiedliwości i Pokoju Ludwik przekazał im małego z poleceniem, by go zatrzymali do dalszych rozkazów. Potem spokojniejszy i bardziej stanowczy, poszedł do Toinette.

Kiedy po dwu godzinach opuścił Toinette. wyglądał jak ktoś, kto się pozbył wielkiego ciężaru. Z wyrazem zadowolenia na tłustej twarzy wrócił do swoich apartamentów.

Tam zajął się przede wszystkim przykręceniem do skrzyni z dokumentami nowego zamku. Była to żmudna robota, należało odjąć stary zamek, przyśrubować nowy. Wreszcie wszystko było gotowe. Ludwik otwierał i zamykał piękną skrzynię ocierając pot z czoła. Był zadowolony z dokonanego dzieła.

Otworzył zamek na nowo, podniósł wieko skrzyni. Obrzucił czułym spojrzeniem przedmioty, które tam przechowywał, przeważnie rzeczy bardzo osobiste, pamiątki, listy, różnego

rodzaju pamiątki. Teraz wszystko było nareszcie bezpieczne. Grzebał się w skrzyni z nieco głupawym uśmiechem, z pasją zbieracza. Natrafił na zapieczętowany list ministra Turgot. Machinalnie wpakował go między inne papiery, wpychał coraz głębiej, aż list znalazł się na samym dnie skrzyni. Dokonawszy tego grzebał dalej.

Oto mała książeczka. Sam ją napisał mając lat trzynaście i sam wydrukował; jedno i drugie, zarówno pisanie, jak praca ręczna, sprawiały mu przyjemność od dzieciństwa. Tytuł książeczki brzmiał: O monarchii umiarkowanej. Maksymy moralne i polityczne, oparte na Telemaku, zestawione przez Ludwika Augusta, delfina. Zamyślony przerzucał kartki książeczki; nigdy sobie nic nie ułatwiał. Czytał:

„Władca jest także tylko człowiekiem. Jako taki ma wraz ze swymi bliźnimi wspólne chrześcijańskie obowiązki. Ponieważ jednak ręka Stwórcy wywyższyła go ponad wszystkich ludzi, ma obowiązek stanowić przykład cnoty i religijności, wzór skromności i żarliwości”.

Patrzył bezmyślnie na to, co kiedyś napisał. Przypomniał sobie, jak wtedy, jako trzynastolatek, pobiegł do dziadka i pokazał mu książeczkę. Nastąpiło rozczarowanie. Stary Ludwik XV poświęcił przerzuceniu książki minutę, może dwie - prawdopodobnie wrócił właśnie od pani Dubarry. Potem dobrotliwie poklepał pilnego wnuczka po policzku i powiedział: „Pięknie, doskonale, monsieur le Dauphin, pięknie, doskonale! Ale zbytek gorliwości jest szkodliwy. Rzuć pan to w ogień”.

Potrząsając ociężałą głową nad swoją ówczesną naiwnością, zadowolony ze swego nieposłuszeństwa, Ludwik odłożył książeczkę i zaczął grzebać dalej. Wyłowił list teściowej, Marii Teresy. Napisała go siedem lat temu, kiedy wyprawiała Toinette do Wersalu. Ludwik odczytywał go z poważną miną, powoli, mrużąc oczy krótkowidza.

Brzmiał następująco:

„Drogi Delfinie, małżonka Pańska pożegnała się ze mną przed chwilą. Była moją radością, mam nadzieję, że stanie się Pańskim szczęściem. Wychowałam ją w tym celu, gdyż od dawna byłam świadoma, że będzie dzieliła los Pana. Wychowałam ją w miłości dla jej obowiązków wobec Pana, hodowałam w niej czułą skłonność i umiejętność znajdowania środków, by się Panu podobać. Jestem pewna, że córka moja będzie Pana kochała, gdyż znam ją. Niech Pan będzie zdrow, mój drogi Delfinie, niech Pan będzie szczęśliwy, niech Pan i ją uczyni szczęśliwą. Tonę we łzach.

Kochająca matka Maria Teresa”.

Ludwik trzymał list w ręku. Nie wiedział wówczas, co ma odpowiedzieć, nie było to dla piętnastoletniego chłopca proste. Wreszcie wymęczył przy pomocy swego ochmistrza nic nie znaczącą odpowiedź po niemiecku, z błędami, by brzmiało prawdziwiej. List cesarzowej również nie odznaczał się nienaganną francuszczyzną. Ludwik obliczył: krótka epistoła zawierała cztery wykroczenia przeciw gramatyce, dziewięć przeciw ortografii.

„Niech Pan będzie szczęśliwy, niech Pan ją uczyni szczęśliwą”. W Wiedniu łatwo to dostojnej mamie powiedzieć. A więc teraz posyła mu Józefa. „Niech ją Pan uczyni szczęśliwą”.

Piękny list, ani słowa. Cesarzowa ma nie tylko wielki rozum, ale i serce. „Córka moja będzie Pana kochała, jestem tego pewna, bo ją znam”.

Toinette była bardzo miła podczas rozmowy. Choć oboje nie wspomnieli ani słowem o celu, jaki mogłaby mieć wizyta Józefa, rozmowa była inna niż zazwyczaj, miała ciepły ton, jak nigdy dotychczas.

Plany Trianon, które Toinette kazała sporządzić, są, nawiasem mówiąc, naprawdę wspaniałe. Ma smak, pomysły. Jest piękna.

To, że się jemu podoba, nie ma znaczenia, bo Ludwik nie zna się na kobiecej piękności. Ale ten Walpole, autor doskonałej książki o Ryszardzie III, który przecież jako dobry pisarz na czymś znać się musi, nazwał ją najpiękniejszą kobietą w Europie. Żeby tylko nie była taka dowcipna i skora do śmiechu. Ludwik czuje zawsze trochę lęku przed jej uśmiechem.

Nie, trzysta tysięcy liwrów na Trianon to nie są wyrzucone pieniądze. Właściwie dokładnie trzysta siedemnaście tysięcy sześćset trzydzieści cztery liwry, na pamięć Ludwika można się zdać. Z ciężkim sercem zaokrąglił jej tę kwotę do czterechset tysięcy. Ale rozpoczęte roboty muszą być dalej prowadzone z jakimś sensem, co do tego Toinette ma rację, zatrzymanie się w połowie drogi byłoby marnotrawstwem. Za to przyrzekła, że w roku przyszłym z pewnością nie przekroczy budżetu na Trianon. Będzie mógł powołać się przynajmniej na to, dając Neckerowi polecenie wypłaty.

W sprawie Saint-Germaina mniej mu się powiodło. Toinette oparła się stanowczo propozycji zwiedzenia Hotel des Invalides. Nie dość na tym; znowu nalegała, by wreszcie przepędził starego. Nie znosi go. Ludwik przyrzekł na razie, że sam również nie zwiedzi Hotel des Invalides.

Poza tym Toinette zachowywała się naprawdę rozsądnie, była przystępna. Postanowiła mocno, że nie przekroczy budżetu. Ale co do jednego nic sobie nie dała powiedzieć. Chce mieć własnego intendenta dla swoich widowisk i zabaw. Ponieważ zgodził się na to, by Trianon było wyłącznie jej sprawą, nie można jej odmówić braku konsekwencji, jeżeli chce tam mieć własnego intendenta. Choć wydanie odnośnego polecenia ministrowi finansów nie będzie należało do przyjemnych, musiał w tym wypadku pójść Toinette na rękę.

„Wychowałam ją w miłości dla jej obowiązków wobec Pana. Bądź zdrów, mój drogi Delfinie, niech Pan będzie szczęśliwy,

niech Pan i ją uczyni szczęśliwą". Ciężką ręką gładzi zapisany arkusz z wyjątkową czułością, składa go i znowu umieszcza w skrzyni.

Wyciągnął pamiętnik, usiadł nad nim. Myśli, co z przeżyć dnia dzisiejszego jest godne zanotowania. Píše:

„Przyjęcie ministra wojny odwołane z powodu uciążliwej rozmowy o charakterze osobistym. Przebieg rozmowy z Toinette łagodny. Umocowałem tajny zamek. Jest doskonały. Nie pojechałem na polowanie". Odłożył pamiętnik do skrzyni, zamknął skrzynię na zamek, stoi przed nią z szerokim uśmiechem.

Nagle uśmiech zamiera, Ludwik coś sobie przypomniał.

Zadzwoił gwałtownie, każe wezwać pełniącego służbę oficera gwardii. „Wzięto pod straż - oświadcza - chłopca, niejakiego Pierre Machard, pupila królowej. Należy go natychmiast zwolnić i dać mu za dwa franki słodyczy. Nie, za pięć franków".

Rozdział czwarty

Józef

W kilka tygodni później cesarz Józef był już w drodze do Paryża.

Józef, zwany Drugim, był cesarzem rzymskim narodu niemieckiego tylko z tytułu. Matka jego podniosła go do godności współregenta, ale naprawdę stara cesarzowa, pełna życia i bardzo zdecydowana w swych sądach, rządziła sama. Sądy te były często wedle mniemania jej syna i współregenta przesadami. Maria Teresa, pełna głębokiej pobożności, czuła się dobrze tylko na łonie Kościoła. Józef miał zrozumienie dla wszystkich prądów epoki, był pełen nieufności w stosunku do Kościoła - który hodował i osłaniał ciemne zabobony - interesował się gorąco przewartościowywaniem wartości, którym się zajmowało oświeczone stulecie.

Niełatwy był los młodego cesarza, który wcale nie był taki młody, bo liczył sobie lat trzydzieści sześć. Paliło go pragnienie, by swe poglądy wcielić w życie i zmienić oblicze świata. Obwieszczał to światu, świat, a przede wszystkim młodzież słuchała go, był radością i nadzieją młodzieży całego cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego. Ale rozporządzał jedynie władzą tytularną. Jako współregent mógł tylko mówić; działanie, rządzenie musiał pozostawić matce. Wskutek tego gorzkniał w miarę upływu lat.

Ponieważ na razie nie mógł świata zmienić, chciał wykorzystać przymusową bezczynność przez gruntowne poznawanie go. Podróżował więcej od innych książąt, najchętniej incognito, przeświadczony, że w ten sposób można stworzyć sobie wierniejszy obraz kraju i ludzi. Przykładał dużą wagę do tego, by go nie traktowano jak panującego, mieszkał w skromnych hotelach, woził ze sobą żołnierskie łóżko, którego używał w czasie wypraw wojennych. Ale był

próżny i chciał, by o tych jego wysiłkach w celu poznania prawdziwych stosunków ogół wiedział. Uśmiechał się dobrotliwie, kiedy w podróżującym hrabim Falkensteinie poznawano cesarza, był zadowolony, kiedy gazety informowały o tych podróżach.

Zachowanie incognita cesarza w czasie jego podróży do Paryża i podczas jego pobytu nad Sekwaną wymagało kłopotliwych przygotowań. Książętom, przez których kraje miał przejeżdżać Falkenstein, zwrócono uwagę, że gość wyprasza sobie wszelki ceremoniał i pragnie, by go traktowano jak zwyczajnego turystę. Sama myśl o tym była dla niektórych książąt nie do zniesienia. Na przykład książę wirtemberski nie mógł pogodzić się z tym, żeby cesarz rzymski spał w byle jakim hotelu. Jego policja pozdejmowała szyldy ze wszystkich zajazdów, mieszkańcom miasta Stuttgart rozkazano udawać, że nie wiedzą, gdzie się znajdują zajazdy; nie pozostawało więc hrabiemu Falkenstein nic innego, jak szukać noclegu w pałacu księcia.

Za to do Paryża mógł cesarz wjechać zwyczajną dorożką. Zajechał do skromnego hotelu „de Treville” i kazał tam wstawić swoje polowe łóżko. Monsieur Grandjean, właściciel hotelu, nie traktował go bardziej uniżenie niż innych turystów. Podczas pierwszego dłuższego spaceru Józefa po mieście monsieur Grandjean pokazywał za wysoką opłatą łóżko polowe cesarza rzymskiego, który prowadził życie równie proste jak jego żołnierze.

Następnego dnia Józef pojechał do Wersalu. Toinette jak należało, oczekiwała go w otoczeniu swej dworskiej świty. Ale nie mogła opanować zniecierpliwienia i ciągle podbiegała do okna. Kiedy wszedł na schody, wybiegła na jego spotkanie i w obliczu gwardii prezentującej broń objęła go i ucałowała. Rodzeństwo było do siebie podobne. Józef miał zupełnie tak samo jak Toinette szczerą, wyrazistą twarz, wysokie czoło,

żywe niebieskie oczy, małe usta z nieco obwisłą dolną wargą, lekko orli nos. Był szczupły i wysoki, ruchy miał piękne i opanowane. Jednakże Toinette, przyjrząwszy mu się bliżej, była rozczarowana. Pamiętała go takim, jakim go przed siedmiu laty widziała w Schönbrunnie; był wówczas dla niej starszym bratem, którego powaga i uczoność budziły w niej strach, wiedza zaś i błyskotliwość podziw; setki razy entuzjasmowała się nim w Wersalu przed swoimi przyjaciółmi, opowiadając, jak samym swym widokiem porywa świat. I oto zjawił się niepokąźny, skromnie ubrany pan, trochę zaniedbany, starzejący się, z początkami łysiny.

Mimo to pierwsze spotkanie rodzeństwa minęło w miłym nastroju. Józef postanowił sobie nie płoszyć od razu Toinette wymówkami. Zrezygnował z niejednej pedagogicznej uwagi, którą by chętnie wypowiedział; zamiast tego chwalił Toinette za jej piękny wygląd, opowiadał o reszcie rodzeństwa, a przede wszystkim o matce. Rozmawiali po francusku, ale raz po raz przechodzili na niemiecki. Toinette brakowało często właściwego niemieckiego słowa. Józef musiał jej pomagać. Uśmiechając się, bez wyrzutów, stwierdził, że siostra nie mówi teraz dobrze ani po niemiecku, ani po francusku. Jeżeli o niego chodzi, to był dumny, że mówił biegle po niemiecku, francusku i włosku, dzięki czemu mógł z przedstawicielami większości narodów, którymi rządził, rozmawiać w ich ojczystym języku.

Trzymał dłonią rękę Toinette.

- No, Toni - powiedział - czy to nie miło być znowu razem?

Ją zaś ogarnęło wzruszenie pod wpływem dźwięku jego głosu i łagodnego blasku oczu.

Również wobec swego szwagra Ludwika Józef poskromił w sobie pęd do wygłaszania peror i pouczeń. Wszystko wypadło lepiej, niż obaj oczekiwali. Ludwik starał się opanować nieśmiałość, pokazał szwagrowi swoje książki i kilka robót

kowalskich, które sam wykonał, próbował mówić trochę po niemiecku, śmiał się dobrodusznie z własnych błędów i wielokrotnie poprawiał francuszczyznę szwagra. Ten, trochę urażony, upierał się, że wymowa jego jest właściwa. Pedantyczny Ludwik nie ustępował, powoływał się na autorytet swego bibliotekarza de Sept-Chenes, chciał nawet zwrócić się po opinię do Akademii. Józef nie mógł nie ocenić filologicznych zainteresowań szwagra i oraz jego zdrowego, trzeźwego rozsądku. Ambasador Mercy wielokrotnie dawał do zrozumienia z respektem, ale niedwuznacznie, że arcychrześcijański monarcha jest nieco ograniczony.

Tydzień następny zużył Józef na obejrzenie Wersalu i Paryża. W gruncie rzeczy wszystko, co francuskie, było mu niemiłe; ale jako człowiek sumienny nie chciał potępiać Francji, zanim nie pozna jej gruntownie. Biegał i jeździł więc po Paryżu, interesując się rzeczami największymi i najmniejszymi. „Niech się pan nie gubi w drobiazgach” - radził mu stary król pruski Fryderyk, jego wróg, którego podziwiał; słowa te wryły się głęboko w pamięć Józefa, pamiętał ich sens oraz ostry, rozkazujący ton, w jakim były wypowiedziane, ale przeciwstawiała się im jego ruchliwa natura. Właśnie drobne sprawy go pociągały. Cesarski turysta wpychał swój habsburski nos we wszystkie kąty Paryża. Zwiedzał szpitale, kosztował zupki dla biedaków, chodził na rozprawy sądowe, oglądał różnego rodzaju fabryki, wdawał się w rozmowy z licznymi domokrażcami, notował zwroty wypowiedziane w błyskawicznie szybkiej gwarze przez sprzedawczynie ryb, odwiedzał rzemieślników w warsztatach, kazał sobie tłumaczyć tajemnice ich kunsztu. Wszystko to robił incognito i wszędzie go poznawano. Gazety przynosiły entuzjastyczne artykuły o dyskretnych studiach hrabiego Falkensteina, jego demokratyczny sposób bycia budził sensację; stał się bardzo modny, wielu Francuzów wieszało obok wizerunków mądrego

obywatela Franklina podobiznę uprzejmego, ludzkiego cesarza Józefa.

Przed wszystkim zależało Józefowi na spotkaniach z wielkimi umysłami francuskimi. Wobec uczonych, pisarzy i filozofów zachowywał się jak kolega, intelektualista, ubolewał, że jego obowiązki władcy tak mało pozostawiają mu czasu na działalność naukową. Odwiedzał biblioteki, wziął również udział w jednym z posiedzeń Akademii i wdał się w długą rozmowę z jej wiceprezesem, obalonym ministrem Turgot. Spotkał się kilkakrotnie z członkami Akademii, panami Condorcet i Leroy. Grubas, minister Gibbon, wielki historyk, który nie chciał jeść przy jednym stole z rebeliantem Franklinem, raz po raz nazywał hrabiego Falkensteina jego cesarską mością, choć ten prosił go, by mówił mu monsieur. Ze specjalnym zapalem odwiedzał Józef salony intelektualistek. Pokazał się nawet w salonie pani Necker, choć minister finansów Necker był kacerzem, z pochodzenia zaś mieszczaninem i Szwajcarem. W Klaniku Liliowego Bzu z szyderyczym grymasem słuchano opowiadań o tych wizytach cesarza w „domku szwajcarskim”.

Bardzo szczegółowo obejrzał Józef olbrzymi zamek wersalski oraz instytucje dworskie. Myszkował po korytarzach i zakamarkach ogromnego labiryntu; nic nie uszło jego uwagi, ani „alkierze” Toinette, ani kuźnia Ludwika. Wysiadywał w przedpokojach ministrów, premiera Maurepas i hrabiego Vergennes, bez meldowania się, jako zwykły petent. Brał udział jako widz w oficjalnej procesji Ludwika na mszę i w jego publicznych ucztach.

Ukryty w tłumie dworaków, bywał także przy wstawaniu i kładzeniu się spać Ludwika; Ludwik nie wiedział nic o obecności szwagra. Kręcąc głową patrzył cesarz rzymski, jak Ludwik w obecności bardzo wielu ludzi każe sobie bezwstydnie zdejmować lub wkładać koszulę i spodnie, jak się

ten grubas przy tej długiej uroczystości nudzi, jak go stojący po obu stronach króla reprezentanci wysokich rodów na zmianę obsługują.

Józef był kiedyś świadkiem, jak Ludwik przed położeniem się spać kilka razy przeszedł chwiejnym krokiem w opadających spodniach przed kręgiem dworaków, jak się zatrzymał przed młodym hrabią Gramont, należącym do dworskiej świty, jak podszedł do niego tak blisko, że Gramont cofnął się pod samą ścianę, jak zbliżywszy się do niego jeszcze bardziej przyparł do muru smukłego dworaka swym grubym brzuchem, jak później wybuchnął salwą śmiechu i odwrócił się od przerażonego młodzieńca.

Co wieczór musiał Ludwik co najmniej przez dwadzieścia minut demonstrować ceremonię rozbierania się. Kiedy wreszcie uważał, że dosyć już tego, dawał paziom znak, zdejmowali mu wówczas buty i rzucali je z hukiem na podłogę. Weszło to w zwyczaj, otaczająca króla szlachta wiedziała, że ma prawo teraz odejść i Ludwik może się wreszcie położyć do łóżka. Józef mówił sobie z dumą, jak postępowe były jego skromne dworskie obyczaje w porównaniu z tym barbarzyńskim ceremoniałem.

Józef starał się ocenić sprawiedliwie wszystko, co było dobre w Wersalu i w Paryżu. Widział ogrom zamku i ogrodów wersalskich, nie uszły jego uwagi imponujące gmachy Paryża, jego piękne mosty i place. Ale jeszcze bystrzejszym spojrzeniem obrzucał pajęczyny w zakamarkach pełnych przepychu komnat wersalskich, połamane ramy niektórych obrazów, podniszczone meble, których nikt nie naprawiał. Widział również handlarzy, którzy na potężnych, wspaniałych krużgankach i schodach zachwalali z dzikim hałasem swe towary, najostrzej rzucał mu się w oczy brud, zgiełk i nieład panujący w Paryżu. Nieporządek i niechlujstwo miasta robiły na nim większe wrażenie niż jego blask i wspaniałość. Z

zadowoleniem potępiał to, co widział, cieszył się, że sąd, który wyrobił sobie o Paryżu na podstawie relacyj, potwierdzał się przy osobistym zetknięciu.

Zapytywany, jak mu się podobają Paryż i Wersal, usiłował dawać dyplomatyczne odpowiedzi, wypowiadał słowa uprzejmego uznania. Chwilami nie potrafił jednak ukrócić wrodzonej skłonności do sarkazmu i dawał upust uszczypliwym, przemądrzałym uwagom. Ganił przestarzałe urządzenia w wojsku, braki paryskiej komunikacji, zbutwiałość ukrytą za pięknie malowaną fasadą. Powiedzenia takie, padające z jego ust przy różnych okazjach, puszczano gorliwie w obieg.

Każdy jego krok był kontrolowany zarówno przez agentów policji paryskiej, jak i przez szpiegów ambasadora austriackiego Mercy i księdza Vermond. Maria Teresa w Schönbrunnie i Ludwik w Wersalu otrzymywali stale krótkie raporty, mówiące o niez mordowanych wysiłkach hrabiego Falkensteina w celu powiększenia swej wiedzy o świecie i ludziach i przekazania jej innym.

Józef miał skłonności literackie; lubił formułować swe wrażenia w pięknie stylizowanych zdaniach. Zgadzał się najzupełniej z bratem swoim Leopoldem, panującym księciem Toskanii. „Wszystko w tym mieście - pisał do niego - obliczone jest na efekt; gmachy są wspaniałe i robią wielkie wrażenie, ale nie należy im się przyglądać bliżej. Cała ta wielkość jest sztuczna. W tym Babilonie nie znają ani praw natury, ani rozsądnego porządku społecznego. Zamiast tego powleka się wszystko pokostem uprzejmości i ceremoniałem”. List rozrósł się bardzo; Józef dzielił się szczerze z bratem tym wszystkim, co w rozmowach z francuskimi znajomymi musiał przemilczać.

Wręczył list ambasadorowi Mercy, by ten wysłał go przez specjalnego kuriera do Ferrary, gdzie rezydował Leopold.

Pismo wpadło w ręce tajnej policji francuskiej; pan Lenoir, generalny prefekt policji paryskiej, przed wysłaniem do Ferrary sporządził z listu kopię i treść jego podał do wiadomości króla.

Ludwik siedział długo nad kopią i rozmyślał nad ostrymi, niesprawiedliwie przesadnymi sądami szwagra. Oto skutki tego, że Józef obcuje z zuchwałymi, bezbożnymi filozofami; rozmawiał nawet długo z Turgotem, którego śmiałość graniczy z buntowniczością. Jeżeli Józef patrzył z pełną litości pogardą na niewolnicze ceremonie dokonywane wokół tłuściocha szwagra, to ten z głębi serca ubolewał nad cesarzem rzymskim, który przeszedłszy do obozu szyderców przestał myśleć o zbawieniu swej duszy.

Cesarz Józef był namiętym naprawiaczem. Wierzył, że urodził się po to, by uporządkować wszystko, co było nie w porządku, zarówno świat jako całość, jak tryb życia swej siostry, jak zdolność rozrodczą swego szwagra. Już przed laty, kiedy ambasador Mercy zaczął składać raporty o nieco lekkomyślnym trybie życia Toinette, Józef oświadczył:

„Pojadę tam kiedyś i zrobię porządek”. Kiedy później wierny i sumienny ambasador doniósł o fizycznym defekcie młodego króla, Józef oświadczył z miejsca: „Pojadę tam, zrobię porządek, niech się mama zda na mnie”.

Ponieważ mówił z taką pewnością siebie, musiał za wszelką cenę zdobyć sukces. Nie wolno było nic zostawić przypadkowi. Przede wszystkim, zanim przystąpi do wielkiej rozmowy w cztery oczy na temat operacji, musi dokładnie zorientować się w charakterze Ludwika. Dotychczas nie bardzo mu się to udawało. Szwagier czasem robił niespodziewanie bystre uwagi, a czasem okazywał tępotę graniczącą z kretynizmem. By wypróbować jego siłę oporu, Józef wciągnął go raz w obszerną rozmowę na tematy polityczne.

Z początku wszystko miało przebieg harmonijny. Józef precyzował swoje poglądy na konflikt angielsko-amerykański. Bardzo zdecydowanym tonem oświadczył, że uważa za wielki błąd okazywanie Ameryce najłżejszej choćby sympatii. Ludwik mówił sobie, że szwagier ma po temu słuszne powody. Habsburgom potrzebna była Anglia do sojuszu przeciw rosnącej potędze Rosji, więc żaden Habsburg nie mógł w żadnym wypadku narażać się na niechęć Anglii. Niezależnie jednak od motywów szwagra Ludwik całkowicie podzielał jego zdanie.

Józef dowodził w patetycznych słowach, że prawdziwa wolność możliwa jest jedynie w monarchii oświeconej, i szydził ostro z tych, „co czynią sport z wolności” w Filadelfii, twierdził, że działalność ich prowadzi tylko do anarchii. Ludwik słuchał z zadowoleniem, od czasu do czasu kiwał ciężką głową, mruzczał potakująco i notował w pamięci dobrze sformułowane zwroty Józefa, żeby je przy okazji wygrać podczas dyskusji z panami Maurepas i Vergennes.

Józef zaczął jednak mówić z kolei o dziedzictwie bawarskim. Rozwodził się szeroko i z zapałem o możliwościach, otwierających się przed Habsburgami na wypadek spodziewanej śmierci elektora bawarskiego. Czy nie jest świętym obowiązkiem Habsburgów skorzystać z okazji i przejmując ten ważny ze względów strategicznych obszar zabezpieczyć się przed narastającą groźbą ze strony Prus? Ludwika ogarnęła głucha niechęć. Czy słuszne pretensje Zweibrücken (Miasto w Palatynacie Reńskim, stolica księstwa tej samej nazwy. Należało wówczas do Bawarii. (Franc. Deux Ponts.)) nic dla szwagra nie znaczą? Czy ten władca, tak bardzo moralny, oświecony, tak głęboki filozof, chce po prostu wyrzucić wszelką moralność na śmietnik? Maurepas i Vergennes mają rację: Habsburgowie noszą się z planami wojennymi, żaden pakt rodzinny nie może skłonić Francji, by

się dała w to wciągnąć. Nagle szwagier, który tak chętnie mówił o rozsądku i moralności, zdemaskował się jako romantyk, awanturnik, pozbawiony sumienia zaborca, który chciałby zdobyć dla Habsburgów panowanie nad światem. Nic z tego! Tu Ludwik, monarcha arcychrześcijański, nie będzie mu dotrzymywał kroku. Nie po to Bóg osadził go na tronie.

Spocony, z wzrastającym osłupieniem, słuchał zuchwałych, bezbożnych słów. Czy powinien odpowiedzieć? Jakże może, jako młodszy, niedoświadczony, prawić kazania o moralności dostojnemu cesarzowi rzymskiemu? Józef skwitowałby go z pewnością nieskończoną ilością argumentów. Nie, Ludwik musi postępować tak, jak sobie ułożył, musi wykręcać się, nie dopuścić do dyskusji.

Milczał i słuchał. Wyciągnął kartkę papieru, zaczął na niej coś kreślić. Potem, kiedy Józef skończył, podał mu kartkę ze swoimi gryzmołami i powiedział:

- Sire, tu jest wasza granica, a tu granica bawarska. Czy dobrze zapamiętałem?

Józef nie wiedział, czy ma tego opasłego młodziana, uśmiechającego się naiwnie i dumnie, uważać za matoła, czy też za złośliwego kawalarza. Przyjrzał się kartce, położył ją z powrotem na stole i powiedział spokojnie:

- Jak to właściwie jest, sire? Czy podzielasz nasze stanowisko? Czy przy dochodzeniu naszych pretensyj możemy liczyć na twoje poparcie?

- Spróbuję - odpowiedział Ludwik w zamyśleniu - wymienić z pamięci wszystkie miasta liczące ponad dwa tysiące ludności, które podlegają elektorowi bawarskiemu. - To powiedziawszy zaczął je wyliczać.

Józef zrezygnował z dalszej poważnej rozmowy z tym człowiekiem, przeszedł na tematy obojętne, pożegnał się wkrótce.

W myśl swojej metody przeanalizował szczegółowo, jakie rezultaty dała mu ta rozmowa. Napełniało go otuchą, że szwagier umiał tylko wykręcać się, nie potrafił jednak powiedzieć nie. Ale dużo jeszcze trzeba będzie zręczności i energii, żeby pokonać ten rozlazły, głuchy, zaciekły opór.

Napisał do Marii Teresy:

„Twój zięć Ludwik, najdroższa moja Matko, jest źle wychowany i ma wygląd jak najbardziej niepozorny. Ale to człowiek przyzwoity. Poza tym dzięki zdumiewającej pamięci nagromadził moc wiadomości. Potrafi na przykład wymienić w alfabetycznym porządku wszystkie miściny bawarskie, których ludność przekracza dwa tysiące. Inna sprawa, że nie wiem, jakie pośrednie czy bezpośrednie korzyści mogą przynieść władcy takie wiadomości. W dodatku nasz Ludwik cierpi na fatalną niezdolność powzięcia decyzji. Jest słaby wobec tych, którzy go potrafią zastraszyć. Sądzę, najdroższa Matko, że cel mojej podróży zostanie osiągnięty”.

I ten list dostał się do rąk prefekta policji paryskiej. Monsieur Lenoir nie powiadomił o nim króla; wolał przekazać kopię prezesowi Rady Ministrów.

Stary Maurepas przeczytał, pokiwał głową. Potem pokazał list swemu sekretarzowi Salle i zapyta

- Cóż pan o tym myśli, drogi Salle?

Sekretarz odpowiedział swoim bezbarwnym głosem:

- Jak na rzymskiego cesarza, nie jest ten cesarz złym znawcą ludzi.

Maurepas postanowił na razie list zachować i wykorzystać go dopiero w wyjątkowych okolicznościach.

Doktor Benjamin Franklin, przebywający w Passy, w swoim cichym domu z ogrodem, słyszał wiele o charakterze i postępkach wolnomyślnego cesarza rzymskiego. Ci z jego przyjaciół, którzy się z nim zetknęli - a było ich niemało -

chwalili proste obejście monarchy, jego bystry, rzeczowy, a przy tym uprzejmy sposób bycia.

Różnym członkom Akademii i poetom pochlebiało, że mówił z nimi jak z równymi sobie, uważali za radosny symptomat, że nawet cesarz oświadcza się po stronie intelektualistów i wolnomyślicieli.

Franklin byłby bardzo zadowolony, gdyby miał również sposobność zetknięcia się z Józefem. Liczył na to, że przekona Józefa, iż kwestia amerykańska jest w gruncie rzeczy sprawą wyłącznie anglosaską i że myśl o nakłanianiu narodów Europy do rebelii jest trzynastu stanom jak najdalsza. Czuł się na siłach rozproszyć obawy Marii Teresy i jej syna, że przykład Ameryki mógłby stać się bodźcem do buntu i dla narodów Europy.

Toteż był bardzo zadowolony, gdy jeden z jego przyjaciół, członek Akademii Condorcet, zawiadomił go, że mówił z Józefem o Franklinie i że cesarz byłby rad poznać doktora.

Książdz Niccoli, reprezentant Wielkiego Księstwa Toskanii, którym rządził brat Józefa, Leopold, zajął się zaaranżowaniem nieoficjalnego spotkania. Kazał zapytać hrabiego Falkensteina i doktora Franklina, czy nie mieliby ochoty przyjść do niego na filiżankę czekolady. Za pośrednictwem Condorceta dał znać obu panom, kogo u niego spotkają.

Otrzymawszy zaproszenie Józef miał przez krótką chwilę uczucie, że może byłoby lepiej, gdyby nie był wyraził chęci spotkania się z Franklinem. Zanim opuścił Wiedeń, matka prosiła go, żeby, skoro już jedzie do tego zepsutego Paryża, przynajmniej unikał spotkania z „dzikimi ludźmi”. Józef nie przypominał już sobie, kogo matka wymieniła jako „dzikich ludzi”. Byli wśród nich z pewnością Wolter i Rousseau, ale nie miał pewności, czy Maria Teresa zaliczyła do nich również Franklina. Mniejsza zresztą o to, przecież ostatecznie cesarz rzymski nie może dopuścić do tego, by mu pani matka

dyktowała, z kim wolno mu rozmawiać, a z kim nie. Benjamin Franklin jest rebeliantem, to prawda, ale jest równocześnie czołowym naukowcem epoki, filozofem wysokiej klasy, rozmowy z nim uchodziły za wyjątkowo interesujące. Cóż więc w tym złego, że Józef skorzysta z okazji, by z takim człowiekiem podyskutować. Cieszył się z góry, że w uprzejmej, rzeczowej formie będzie mógł dowieść przywódcy rebeliantów, iż masy z natury swej nie są w stanie zrozumieć, co jest dla nich najlepsze, wskutek czego najdoskonalszą formą rządu jest oświecony despotyzm.

Józef miał już wielokrotne spotkania, wywołujące zdumienie świata, na przykład spotkanie z wielkim wrogiem domu Habsburgów, Fryderykiem pruskim. Fakt, że cesarz rzymski ma ochotę stanąć oko w oko z przywódcą rebeliantów amerykańskich, uważał za krok jeszcze śmielszy i bardziej oryginalny niż wszystkie swoje dotychczasowe spotkania; dumny ze swych demokratycznych poglądów, opowiadał o swoim zamiarze całemu światu.

Nadszedł ustalony dzień. O godzinie dziewiątej rano, jak było ułożone, Franklin zjawił się wraz ze swym wnukiem, Williamem Temple, u księdza Niccoli. W kilka minut później przybył Condorcet. Rozmawiano popijając czekoladę. Franklin wypił dwie filiżanki, zjadł kilka doskonałych słodkich bułeczek, które ksiądz kazał podać. Czekali rozmawiając. Wybiła godzina dziesiąta. Wybiła jedenasta. Ksiądz kazał podać portwein, Franklin napił się również i tego doskonałego wina. Nikt nie wiedział, co przeszkodziło Józefowi zjawić się o ustalonej porze: Franklin postanowił poczekać jeszcze godzinę. Nadeszło południe, nie wypadało czekać dłużej. Pożegnali się, Franklin wrócił do Passy.

Młody William był wściekły, wymyślał przez całą niemal drogę na katolików i arystokratów. Bardzo się na to spotkanie cieszył. Jakże chętnie opowiadałby swym przyjaciółkom

mimoходом: „Niedawno cesarz Józef powiedział mi...” Sam Franklin potraktował niedoszące spotkanie ze spokojem filozofa. Z pewnością nie byłoby źle dla sprawy Ameryki, gdyby mógł pomówić z Józefem. No, cóż, trzeba będzie poczekać na następną okazję.

Tymczasem zaszły następujące okoliczności: hrabia Mercy otrzymał od Marii Teresy, która starego dyplomata uważała za jednego z najlepszych swoich przyjaciół, poufne pismo, pełne obaw w związku z podróżą do Babilonu nad Sekwaną jej niesfornego syna Józefa. Zapobiegliwa cesarzowa dołączyła do listu spis osobistości podejrzanych, demokratów, filozofów, „cyganów” i łotrzyków, których pod żadnym pozorem nie wolno do Józefa dopuścić. W spisie tym figurowali Wolter i Franklin.

Stary Mercy bardzo się więc przeląkł, kiedy dotarła do niego wiadomość o lekkomyślnym projekcie młodego monarchy spotkania się z rebeliantem. Napisał z miejsca do Marii Teresy, radząc jej, by sama skłoniła syna do odstąpienia od zamiaru. Specjalny kurier popędził do Wiednia, drugi wrócił co tchu; owego ranka, kiedy miało nastąpić spotkanie z Franklinem, Józef otrzymał list od matki. Pisała po niemiecku, własnoręcznie, list był miły, wzruszający. Okazywała zrozumienie dla jego ciekawości poznawania złoczyńców w rodzaju tego bezbożnika Woltera i buntownika Franklina, ale prosiła, by myślał o swojej odpowiedzialności wobec historii. Kilka słów niezbyt długiego listu było zamazanych łzami.

Józef błędził po dziecięco niezdarnych, stawianych z wysiłkiem literach listu. Z zasady nigdy nie pozwalał sobie przechodzić do porządku nad szczegółami, nad stylem poszczególnych listów, nad ich stroną gramatyczną i ortografią. Ale tym razem myśli jego i uczucia były pochłonięte treścią, słowami brzmiącymi po niemiecku,

surowo, po macierzyńsku, przepojonymi poczuciem obowiązku.

Cesarz rzymski buntował się przeciw wiecznemu roztaczaniu nad nim opieki. Zdecydował się na spotkanie z tym doktorem Franklinem, wiedząc dobrze dlaczego. Czyż regent nie miał obowiązku poznawania ludzi najbardziej różnych, badania wypowiedzianych przez nich poglądów? Wątpliwości matki były nieuzasadnione. Czyż solidaryzował się ze stanowiskiem ludzi, z którymi się spotykał? Poza tym, niezależnie od argumentów i kontrargumentów, cały świat wiedział, że się chciał spotkać z Franklinem, czyż nie byłoby więc nie po księżęcemu i nie zaszkodziłoby jego powadze, gdyby tę swoją decyzję zmienił?

Raz jeszcze przeczytał list. Zostawił w Wiedniu moc nie załatwionych zagadnień. Były wśród nich takie, jak wlokąca się w nieskończoność sprawa czeskich protestantów, jak reforma szkolnictwa, bawarskie dziedzictwo, zagadnienie rosyjsko-tureckie. Jeśli chce choć w jednej z tych spraw osiągnąć u matki koncesję, musi się strzec, by jej nie urazić. Co było ważniejsze, austriacka reforma szkolna czy jego spotkanie ze starym doktorem? Westchnął. Na skutek tego listu Marii Teresy prywatna chęć hrabiego Falkensteina poznania Franklina nabrała charakteru zagadnienia stanu.

Z ponurą miną zasięgnął rady hrabiego Mercy. Zakomunikował mu z ubolewaniem, że stara cesarzowa obawia się, by jego rozmowa z Franklinem nie była fałszywie komentowana. Zdecydował się więc poświęcić swą prywatną ciekawość politycznym skrupułom matki. Z drugiej strony nie chciałby w stosunku do doktora Franklina wydać się nieuprzejmym. Czy Mercy mógłby coś tu poradzić? Mercy odetchnął z ulgą i znalazł radę. Nikt nie może wziąć za złe, że wskutek przeszkody, którą łatwo wymyślić, Józef nie mógł zjawić się punktualnie na śniadanie u księdza Niccoli. Niech

więc nie odwołuje spotkania i da księdzu Niccoli trochę poczekać. Dwie, trzy, cztery godziny. Niezawodni agenci Mercy'ego uprzedzą Józefa, kiedy będzie mógł złożyć księdzu Niccoli wizytę nie urażając starej cesarzowej.

Gdy wreszcie Józef zjawił się u księdza Niccoli dwadzieścia minut po dwunastej, nie zastał już ku swemu wielkiemu ubolewaniu doktora Franklina.

Księżna Rohan rozesłała zaproszenia na jeden ze swych modnych wówczas podwieczorków angielskich. Mieli się zjawić najwybitniejsi członkowie Klaniku Liliowego Bzu, Józef również obiecał wziąć udział w przyjęciu.

Już kilkakrotnie Józef wyraził się wobec Toinette bardzo nieprzychylnie o jej przyjaciółach. „Ładną menażerię zgromadziłaś dokoła siebie” - powiedział przy okazji, nazywając nonszalancję Gabrieli niechlujstwem, a „wszystkich tych panów” dwuznacznymi, podejrzanymi figurami, wietrznikami, skłonnyimi do szalbierstwa. Nawet kilku paniom nie oszczędził wypowiedzianych w oczy złośliwych, uszczypliwych uwag.

By zapobiec tego rodzaju nietaktom brata lub przynajmniej je złagodzić, Toinette udała się do księżnej Rohan bardzo wcześnie. Kiedy się tam zjawiła, zastała tylko markiza de Vaudreuil i Dianę Polignac.

W ostatnich tygodniach kilkakrotnie doszło między markizem i Toinette do ostrej wymiany zdań. Pobyt Józefa w Paryżu drażnił i denerwował spokojnego na ogół Francois. Uważał Francję nie tylko za najpotężniejszy, ale i za najbardziej cywilizowany kraj na świecie, drażniła go postawa tego Habsburga, który wprawdzie to i owo łaskawie przyznawał, ale wyraźnie dawał do zrozumienia, że potępia kraj, miasto i dwór uważając, że są puste i zmurszałe. Francois był zdania, że rodzeństwo ma wspólne cechy. Józef odznaczał się tą samą naiwną wyniosłością, która często tak irytowała Francois u

Toinette. Choć Toinette nigdy z nim o tym nie mówiła, wiedział, co było powodem i źródłem jej dumy. Wyrosła w przeświadczeniu o posłannictwie bożym, król był dla niej ucieleśnieniem kraju, swoją pobłażliwą pogardę w stosunku do głupawego impotentu Ludwika przenosiła na cały kraj. Jako wnuczka cesarzy rzymskich patrzyła z góry na Francję, której była królową. Ta wrodzona bezgraniczna pycha, którą odnalazł również u Józefa, raziła markiza, choć sam był rozpieszczonym, nieumiarkowanym dworakiem; bardziej niż kiedykolwiek myślał teraz z gniewem i rozkoszą, jak ściągnie Toinette do swego łóżka i upokorzy ją.

Jeszcze większy chaos nastąpił w uczuciach Francois, kiedy się dowiedział, jaki cel ma wizyta Józefa. Był rozgoryczony, że król Francji potrzebuje pomocy Habsburga, by pozbawić swą żonę dziewictwa.

Toteż ilekroć Francois znalazł się sam na sam z Toinette, dręczył ją jak nikt dotychczas. Oboje myśleli tylko o tym, by sobie sprawić ból.

Dziś, czekając na przybycie Józefa, Francois był pełen ceremonialnej uprzejmości, która gniewała Toinette bardziej niż szyderstwo.

- Co się panu stało, Vaudreuil? - zapytała. - Dlaczego zachowuje się pan jak poseł przy pierwszym posłuchaniu?

- Wziąłem sobie do serca - odpowiedział Vaudreuil - naganę hrabiego Falkensteina. Majestat rzymski zarzuca nam, że uprzejmość nasza jest pokostem, pod którym kryją się jedynie brutalność i niechlujstwo. Staram się wzmocnić ten pokost.

Tymczasem zebrała się większość zaproszonych.

- Miejmy nadzieję - powiedział Vaudreuil - że hrabia Falkenstein nie każe nam czekać tak długo jak księdzu Niccoli.

- A dlaczegoż by hrabia Falkenstein miał nam kazać czekać? - odparła Diana Polignac.

Toinette nastawiła uszu. Kiedy jej powiedziano, że planowane spotkanie brata z buntownikiem Franklinem jednak nie doszło do skutku, nic sobie wówczas nie pomyślała. Teraz po uśmiechach przyjaciół poznała, że spóźnienie Józefa tłumaczono jako zamierzone, a jego postawę oceniono jako tchórzostwo. Teraz także stwierdziła z pewnym zdziwieniem, że Gabriela i Diana noszą w swych wysokich fryzurach statuetki Franklina.

Towarzystwo dworskie, licząc się z negatywną neutralnością Toinette i Ludwika w stosunku do przywódcy republikanów, wbrew modzie okazało wobec Franklina rezerwę; tylko obie panie Polignac uzurpowały sobie prawo opowiadania się za każdym poglądem politycznym, który im się podobał; zwłaszcza Gabriela podkreślała stale z ospałą nonszalancją swoją niezależność. Nie byłoby więc nic dziwnego, że panie Polignac afiszują się ze swymi sympatiami dla Franklina, gdy wedle panującego zwyczaju noszą w fryzurach różne emblematy nawiązujące do aktualnych wydarzeń. Ale to, że obie panie właśnie dziś wpięły swego Franklina we włosy i że ponadto Francois zrobił tę aluzję, napełniło Toinette niepokojem. Nie zdziwiłaby się, gdyby panowie i panie należące do Klaniku Liliowego Bzu szukali okazji, by Józefowi odpłacić za teutońskie, ostre wystąpienia, którymi ich prześladował. Obawiała się, że brat przez tę historię z Amerykaninem osłabił swą pozycję, była bardzo ciekawa, jakie też jej przyjaciele mają zamiary.

Hrabia Juliusz, który nie odznaczał się zbyt zbytnią zręcznością, nie został, zdaje się, wciągnięty do ich spisku.

- Czy madame nie uważa - zwrócił się nieco głupkowato do Toinette - że właściwie nie należałoby być tak liberalnym jak moje panie. - I wskazując na statuetki Franklina ciągnął dalej:
- Swoim entuzjazmem osiągniecie jeszcze to, że wasz Franklin podpali pałac wersalski.

Juliusz poprzestawał zazwyczaj na siedzeniu przy stole gry i ukazywaniu damom swej pięknej, bezmyślnej i brutalnej twarzy; jego wypowiedzi politycznych nie brano na serio.

- Nasz poczciwy Juliusz - oto wszystko, co odpowiedziała Diana, i na jej brzydkiej, mądrej twarzy pojawił się szeroki, współczujący uśmiech.

Gabriela dorzuciła leniwie:

- Niewiele wiem o Ameryce, ale uważam, że doktor Franklin jest zachwycający. Spotkałam go dwa razy, raz u pani de Maurepas, drugi raz u pani de Genlis. Był czarujący. Kiedy mówi komplementy, człowiek czuje, że jest kimś. Sprawa Ameryki nie może być tak całkiem niemoralna.

Toinette była coraz bardziej skonfundowana. Nie znalazła dotąd czasu, by zastanowić się nad konfliktem amerykańskim. Mercy i Vermond prosili ją, by unikała wypowiedzi, które mogłyby świadczyć o jej sympatii dla rebeliantów, zastosowanie się do tego przyszło Toinette bez trudu. A może należało jednak zająć się tym Amerykaninem? Czy był tak bardzo modny? Zdziwiona i nieco zatroskana stwierdziła, z jakim ciepłem przyjaciele jej brali jego stronę.

Myśli te przerwało skrzeczenie papugi: „Les amants arrivent”. Równocześnie lokaj zaanonsował: „Hrabia Falkenstein” — i zjawiał się Józef.

Podano herbatę w cienkich nowomodnych filiżankach, potoczyła się rozmowa na temat tego mało dotychczas używanego napoju. Mówiono o tym, że Anglicy są ogromnymi amatorami herbaty, rozmawiano o cłach i monopolach, dawano wyraz zdumieniu, że wodnisty, niewinny napój wywołał swego czasu bunt kolonii amerykańskich.

Księżę Karol udając, że nie wie o niczym, zapytał Józefa, jakie wrażenie zrobił na nim głośny apostoł wolności, w swoim futrze i okularach. Józef odpowiedział z udanym

humorem, że ten impetyczny starzec nie zdobył się na cierpliwość, by na niego czekać. Dokoła zapanowało zdziwienie; doktor był znany z łagodności i spokoju.

- Czy sire nie spróbuje raz jeszcze się z nim spotkać? - zapytała niewinnie Gabriela Polignac.

- Po pierwsze, proszę mnie nie nazywać sire, madame, a po drugie, wcale tego nie chcę - odpowiedział i dodał z sarkastycznym uśmiechem: - Ostatecznie mister Franklin nie może żądać, żebym za nim biegał.

Ton tych słów wskazywał, że Józef uważa sprawę za wyczerpaną.

Ale łagodna Gabriela nie ustępowała.

- Zdaje się, hrabio Falkenstein - powiedziała - że pan nie podziela naszego uwielbienia dla tego mądrego starego pana.

- Spodziewała się pani czegoś innego? - zapytał sucho Józef. - Ostatecznie jestem z zawodu rojalistą.

- Czy pan, hrabio Falkenstein, naprawdę uważa za dowód braku cierpliwości - wtrącił bardzo uprzejmie markiz de Vaudreuil - że doktor Franklin oddalił się po upływie pewnego czasu? Dbą o swoją godność. Jest przedstawicielem kraju, który wprowadzi piętkuje nasze wymyślne ceremonie, ale mimo to strzeże swojej godności.

Józef uniósł brwi i spojrzał na markiza. Czyżby ten człowiek chciał go pouczać? Vaudreuil odpowiedział spojrzeniem pełnym spokoju i sztucznej bez troski.

- Wiem o tym - powiedział Józef ostro, zaczepnie, autorytatywnie - że paryżanie niezwykle rozpieszczają doktora Franklina. Niezależnie od tego, czy posiada on poczucie godności, czy nie, ideały, które reprezentuje, są nierozsądne i niegodne. Dlatego wyrażam ubolewanie - skierował surowe, bakalarskie spojrzenie swych niebieskich oczu na fryzury pań Polignac - że bezkrytyczny entuzjizm dla tego człowieka dotarł do otoczenia królowej. Pomimo całego mego

liberalizmu nie wpuściłbym do Wiednia tego Beniamina Franklina, a już z pewnością nie tolerowałbym tego, by dwór mój piał na jego cześć hymny pochwalne.

Nie po raz pierwszy atakował Józef brutalnie Klanik Liliowego Bzu, ale nigdy jeszcze nie zrobił tego tak ostro jak dzisiaj. Zapadła niemiła cisza. Przerwała ją księżna Rohan:

- Kiedy ten Franklin tu wypłynął, usiłowałam nawiązać rozmowę z Oliverem Cromwellem. Ale Cromwell się nie zjawiał.

Nikt nie zwracał na nią uwagi. Toinette, niemile zdziwiona gwałtownością Józefa, zarumieniła się lekko, na twarzy Gabrieli pojawił się szyderczy, lekceważący uśmieszek. Diana głaskała jednego z piesków księżny Rohan, ksiązę Karol głowił się na próżno nad jakimś zuchwałym dowcipem. Wszyscy czekali z napięciem, czy Vaudreuil przyjmie w milczeniu mocne słowa rzymskiego cesarza, czy też będzie miał czelność odpowiedzieć.

Miał tę czelność. Dogadzało mu, że Habsburg mówił z nim z góry i podrażnionym tonem, chciał tego. Z jego śmiałej męskiej twarzy biła pewność siebie - da nauczkę zarozumiałemu Austriakowi!

- Widzi pan, hrabio Falkenstein - zaczął - pan prowadzi u siebie w Wiedniu proste życie. Pana troski są zrozumiałe i łatwe do ogarnięcia. Tymczasem my tu, w Wersalu, takeśmy się przez długotrwałą, coraz bardziej wyrafinowaną cywilizację wynaturzyli, że tęsknimy za wszystkim, co jest naturalne. W tym starym, czcigodnym Beniaminie Franklinie widzimy wcielenie owych zasad zbliżenia do natury, które przyświecają naszym filozofom. Słyszał pan zapewne również o naszym Rousseau. Fakt, że ten stary, skromny człowiek jednoczy w sobie to, co jest związane z naturą, porusza nas i wzrusza, więc bijemy brawo.

Zatrzymał się na chwilę, oczekując odpowiedzi. Ale Józef nic nie odpowiedział. Toinette, zbita z tropu, zaczęła pleść trzy po trzy.

- Natura! - zawołała ze sztucznym ożywieniem. - W moim Trianon pozostawię wam tyle tej natury, że odejdzie wam ochota na waszego Franklina. - Roześmiała się.

Ale nikt się nie uśmiechał. Wszyscy, jak przedtem, patrzyli na Józefa i markiza. A ponieważ Józef ciągle jeszcze milczał, Vaudreuil ciągnął dalej:

- Może ma pan rację, hrabio Falkenstein. Może to godzi w nasze interesy i w interesy króla, jeżeli okazujemy tak bezgraniczne zrozumienie dla Franklina i staramy się z całych sił pomagać zarówno jemu, jak jego rebeliantom. Ale może mimo to tkwi w tej naszej postawie głębsza mądrość, niż gdybyśmy wymyślali i walili pięścią w stół. Ponieważ nie możemy nic poradzić przeciw duchowi czasu, pomagamy mu! Odpiłowujemy gałąź, na której siedzimy, bo wiemy, że przeznaczone jej jest odpaść.

Markiz de Vaudreuil nie wypowiedział tych słów tonem, jakiego by użył przed rzymskim majestatem; rzucił je Józefowi w twarz lekko, z czarującym zuchwalstwem. Mężczyźni i kobiety z Klaniku Liliowego Bzu cieszyli się, że się temu markizowi udało wyrazić w pięknej formie to, co wszyscy czuli. Równocześnie jednak aż im dech zaparło, nie spodziewali się po nim takiej arogancji. Co odpowie Józef? Co mógł odpowiedzieć?

Józefem miotła bezsilna wściekłość. On, cesarz rzymski, jego apostolska mość, propagował szlachetną skromność i realizował liberalne ideały; wielu sławiło to, co mówił i czynił, podkreślając, że to najśmielszy krok, jaki ludzkość pamiętała. I oto staje tu przed nim mizerny dworak, nędzna kreatura jego bezmyślnej siostry, poucza go jak sztubaka i peroruje dumnie, dlaczego on, mały, lekkomyślny, żądny

uciech Francuzik, opowiada się za Franklinem i w poszukiwaniu prawdy podpiłowuje gałąź, na której siedzi. A reszta gapi się, słucha i obnosi zuchwale swego Franklina nie tylko na językach, ale i na fryzurach; on zaś, cesarz rzymski, który nie miał odwagi spojrzeć buntownikowi w oczy, stoi przed nimi z żalosną miną. Ale zasłużył na to. Trzeba było pójść do księdza Niccoli. Nie należało wykręcać się, nie wolno było stchórzyć. W rozmowie historycznej wagi powinien był jako oświecony monarcha zetrzeć się z anarchista z Dzikiego Zachodu i pokazać mu, po czyjej stronie leży prawdziwa cnota i poczucie odpowiedzialności.

Nie mógł jednak stać tak dłużej i milczeć. Stłumił gniew, opanował się.

- Jest to sposób myślenia, panie markizie – powiedział sucho - którego bym nie zniósł na swoim dworze.

- Nigdy w to nie wątpiłem, sire - odrzekł Vaudreuil uśmiechając się przyjaźnie. Uprzejmość jego była tak wielka, że Józef stracił panowanie nad sobą.

- Jeżeli, mój panie - powiedział ostro - słowami tymi chciał pan przeciwstawić swój „prawdziwy” liberalizm mojemu „fałszywemu”, to nigdy mnie pan nie rozumiał. Liberalizm nie znaczy być miękkim, dać się kierować losowi. Liberalizm, to znaczy być czynnym, działać. Nie bunt i anarchia są celami, które przyświecają prawdziwie wolnemu duchowi, lecz porządek i autorytet oparty o rozsądek.

- Krótko mówiąc, oświecony despotyzm - uzupełniła z komicznym lakonizmem Diana.

- Tak, madame, oświecony despotyzm - odpowiedział ostro cesarz.

Tymczasem Vaudreuil, nie porzucając tonu ujmującej kurtuazji, ciągnął dalej:

- Pan nie wie o tym, sire, że razem ze swoim oświeconym despotyzmem podpiłowuje pan gałąź, o której mówiłem, tak

samo jak my. I pan rezygnuje z praw, robi ustępstwa duchowi czasu. Tylko czyni pan to z ponurą powagą, podczas gdy my nieszczęście obracamy w żart.

Józef wybuchnął gniewem:

- Jesteście cyniczni, niepoważni. Nie macie zrozumienia dla godności i poczucia obowiązku.

Ponieważ podniósł głos, psy zaniepokoiły się i zaczęły ujadać, papuga zaskrzeczała.

Józef, przekrzykując ją, zakończył:

- Gorszy z pana rebeliant, mój panie, niż Franklin.

Toinette była przekonana, że panujący, osadzeni na tronach przez Boga, są dla świata błogosławieństwem. Unoszenie się nad Franklinem można było ostatecznie traktować jako kaprys, jako coś w rodzaju obcowania z duchami księżny Rohan, coś, co może jutro obrócić się w odwrotnym kierunku; ale to, co tu mówił przed chwilą Francois, jest czystym nonsensem, po prostu obłędem. Prędzej zginie świat, niż przestanie istnieć monarchia. Mimo to odczuwała wielką satysfakcję, że ktoś miał odwagę przeciwstawić się jej wielkiemu, wszechwiedzącemu bratu, i z niemal zmysłową rozkoszą patrzyła i delektowała się, jak Józef, choć miał z pewnością rację, walczył daremnie z elegancją i odwagą jej Francois.

Wreszcie Józef, wieczny mentor, stał się tym, którego pouczano.

Ale chyba dosyć już tego dobrego; zastanawiała się, czy nie powinna zainterweniować, powiedzieć coś lekkiego, pojednawczego.

Zanim jednak zdążyła to uczynić, odezwała się księżna Rohan:

- No, ale teraz przestańcie, moi panowie. Nie jesteśmy w klubie dyskusyjnym pani Necker. Tu pije się herbatę i prowadzi rozsądne rozmowy.

Wśród śmiechów zrezygnowano z dalszej debaty.

Toinette zaprosiła Józefa na przyjęcie w ścisłym kółku rodzinnym; obecni mieli być tylko obydwaj bracia Ludwika ze swoimi żonami.

Było to towarzystwo bardzo młodociane. Ludwik miał lat dwadzieścia trzy, brat jego Ksawery, hrabia Prowansji, dwadzieścia dwa, drugi brat, Karol, hrabia d'Artois, dwadzieścia. Dwudziestojednoletnia Toinette była najstarszą z kobiet. Józef liczący lat trzydzieści sześć wydawał się sobie w tym kole starcem.

Ludwik, który miał silnie rozwinięte poczucie obowiązku, przywiązywał wagę do tego, by w rodzinie zachowywać najściślejszą jedność. Przydzielił braciom najpiękniejsze apartamenty w Wersalu, spędzał z nimi znaczną część swego czasu. Ale między braćmi panowała przedziwna dysharmonia. Stosunki Ludwika z Ksawerym były równie nieszczerze jak jego stosunki z Karolem. Ksawery co prawda nie trwonił tak wielkich sum jak Karol, dawał również mniej powodu do irytacji. Ale już jako młodemu chłopcu ciężko mu było pogodzić się z myślą, że ten głuptyś Ludwik jest przeznaczony na króla, a nie on sam, który z łatwością przyswajał wiedzę oraz umiał zachowywać się godnie i po książęcemu. Okazało się później, ku jego ponuremu zadowoleniu, że Ludwik nie jest w stanie płodzić dzieci. Z chwilą jego wstąpienia na tron Ksawery otrzymał prawa pretendenta i tytuł „Monsieur”; odtąd okazywano mu wszystkie honory należne następcy tronu. Ale trzeba było czekać, prawdopodobnie długo, więc zabijał czas pisaniem złośliwych epigramatów przeciw Ludwikowi. Ludwik wiedział o wszystkim, co nie przeszkadzało mu jednak w utrzymywaniu z Ksawerym stosunków braterskich. Nie dość na tym, bronił Ksawerego na zewnątrz całym swoim królewskim autorytetem. Pewnego razu, kiedy znalazły się w obiegu wyjątkowo złośliwe wiersze,

skierowane przeciw „dziewiczej królowej”, prefekt policji Lenoir przyniósł nieodparte dowody, że autorem ich jest książę Ksawery. Ale Ludwik odpowiedział sucho: „Pan się myli, mój panie”. Oczywiście między sobą bracia mówili sobie często rzeczy, które brzmiały żartobliwie, ale były pełne najzjadliwszej złośliwości; chwilami sami nie zdawali sobie sprawy, czy się kłóca, czy też rozmawiają po przyjacielsku. Raz, podczas amatorskiego przedstawienia, w którym książę Ksawery grał Świątoszka, Ludwik oświadczył mu z naciskiem: „Doskonale, mój Ksawery, jesteś do tej roli bardziej stworzony niż do jakiegokolwiek innej”.

Książę Karol, mniej podstępny od Ksawerego, szydził z Ludwika prosto w oczy. Jako ojciec dwojga dzieci traktował brata-impotentą z jawną pogardą. Stosunek jego do Toinette był wyłącznie przyjaźnie koleżeński, ale na złość Ludwikowi robił wszystko, by cały Paryż był przekonany, że zastępuje niezdarnego brata w łóżku pięknej szwagierki.

Teraz, po przybyciu Józefa, stosunki między braćmi zaostrzyły się znacznie. Karol robił cyniczne dowcipy, Ksawery pisał i pisał jadownicze wiersze.

Tęgo rodzaju więzy łączyły trzech braci siedzących razem z Józefem przy rodzinnym stole.

Rozmowa toczyła się na temat wędrówek Józefa po Paryżu.

- Czy wiadomo panu - zapytał Józef szwagra - że posiada pan najpiękniejszy gmach w Europie?

- A mianowicie? - spytał Ludwik.

- Pałac Inwalidów.

- Tak - potwierdził Ludwik uprzejmie - wedle ogólnej opinii jest to piękny gmach.

- Co? - wykrzyknął Józef z przerażeniem. - Nigdy go pan nie oglądał?

- Czy nie proponowałem ci niedawno, Toinette - powiedział Ludwik dobrotliwie - żebyśmy zrobili Saint-Germainowi tę przyjemność i obejrzeliby Pałac Inwalidów? Jest z niego dumny. Toinette była zła. Znowu miała być winna temu, że coś zostało zaniedbane. Ciągłe ten Saint-Germain! Przyjaciele jej nalegali już od dawna, żeby wreszcie posłano tego starego durnia na zieloną trawkę. Dokuczył niejednemu z nich. Przypomniała sobie, ile było zabawy z obaleniem ministra Turgot. Nie, nie ścierpi tego dłużej, by jej ciągle stawiano przed oczyma tego Saint-Germaina. Zajadając comber barani powzięła niezłomne postanowienie przepędzenia ministra. Józef opowiadał teraz o swoich odkrywczych wędrówkach po Paryżu i Wersalu. Nie był leniwy, zwiedził zamek od piwnicy do strychu.

- Masz potężną skrzynię, Toni - powiedział do Toinette po niemiecku.

- Tak - odparła Toinette - i bardzo nieprzytulną.

- Co to znaczy „skrzynia”? - zapytał Ludwik.

- Skrzynia - odrzekł Józef - to znaczy Wersal. Ale co to ja chciałem powiedzieć... Aha, masz w swoim Wersalu, kochany szwagrze, mnóstwo cudownych rzeczy, na które się zbyt mało zwraca uwagi. Na strychu, w magazynach, znalazłem wspaniałe obrazy; pokryte kurzem, podpierają ściany. Powinien to ktoś obejrzeć i uporządkować.

- Tak - odpowiedział Ludwik bez większego zainteresowania - od czasów Ludwika Wielkiego wiele się tu nagromadziło. Nawiasem mówiąc, dużo rzeczy niemoralnych. Poleciałem już kiedyś hrabiemu Maurepas, żeby to pozabierał.

Książę Karol oświadczył zuchwale:

- Nasz Ludwik nie miał nigdy wielkiego zrozumienia dla obrazów. - I zwracając się w dalszym ciągu do obu braci, dodał: - Pamiętajcie, jak będąc dziećmi, mieliśmy opisać obraz przedstawiający staw i łabędzie? Ludwik świetnie go opisał,

niestety, nie zauważył tylko, że był to staw, obok którego przechodziliśmy co drugi dzień.

Ludwik roześmiał się dobrodusznie: - No, trochę było inaczej.
- Powiedziawszy to, jadł spokojnie dalej. Pochłaniał ogromne ilości, smakowało mu, nabierał po kilka razy. Inni już skończyli, lokaje czekali na zabranie talerzy. Wszyscy patrzyli, jak Ludwik, zadowolony, pochłonięty jedzeniem, nie dbając o dobre maniery, sam pałaszuje dalej.

- Ludwiku! - przywołała go wreszcie do porządku Toinette.

- O co ci chodzi, kochanie? - odpowiedział, rozejrzał się dokoła, pozwolił zabrać swój talerz i otarłszy ręce oparł się o poręcz krzesła.

- Czy pamiętacie - zapytał tonem, w którym brzmiały i gniew, i zadowolenie - jak kiedyś podczas lekcji geografii księżę de Vauguyon, który nam ten przedmiot wykładał, upadł na podłogę? Przerabialiśmy właśnie rzeki Półwyspu Iberyjskiego. Tylko ja mogłem je wyliczyć, bo wy dwaj nie chcieliście się uczyć. Potem zostaliśmy wszyscy ukarani za to, że księżę upadł. Podstawiłeś mu nogę, Karolu - zakończył.

- Skądże znowu! - odpowiedział Karol z łobuzerskim uśmiechem. - Po prostu stary bałwan pośliznął się.

- Podstawiłeś mu nogę - powtórzył Ludwik - aleśmy nie poszli na skargę.

Nagle obudziły się w Ludwiku setki wspomnień z lat dzieciennych. Był wtedy jeszcze bardziej niemrawy niż dzisiaj. Często wiedział bardzo dobrze, co ma robić i mówić, ale był zanadto nieśmiały, by wydobyć z siebie choć słówko. Tymczasem Ksawery i Karol, którzy się gorzej uczyli, byli bystrzejsi i żywsi, uchodzili za zdolnych, wówczas gdy on miał opinię niezdolnego. Wszyscy z Ksawerym i Karolem na czele wyśmiewali się z niego. Kiedyś - nosił jeszcze wtedy tytuł księcia Berry - byli we trzech u ciotki Adelajdy. Ciotka powiedziała mu w pewnej chwili: „Nie stójże jak kołek, ruszaj

się, powiedz coś, Berry! Pohałasuj!" Mówiła to tonem tak współczującym i pogardliwym, że Ludwik nigdy go nie zapomni. A potem, kiedy ojciec umarł tą nagłą, okrutną, tajemniczą śmiercią, nastąpiła raptowna zmiana. Kiedy szedł przez korytarze, warty prezentowały broń i wołały: „Niech żyje delfin!" A on głupio się oglądał, jak gdyby wołanie to odnosiło się do kogo innego, choć wiedział dobrze, że się jemu należało.

Słodkie, a zarazem gorzkie uczucie, że umarł ukochany ojciec, którego się bał, i że jest teraz władcą powołanym przez siłę wyższą, omal nie rozerwało mu serca. Od czasu kiedy objął władzę, obydwaj bracia, i ten gruby, i ten chudy, nienawidzili go jeszcze bardziej. Ksawery poprzestawał na potajemnym układaniu wierszy, ale ten czelny, lubieżny, rozrzutny Karol, który się zjawiał co dwa tygodnie, by z niego wyduszać pieniądze, chodził i opowiadał każdemu, że robi z niego rogacza.

- Powtarzam raz jeszcze, Karolu - upierał się ze złą, i niemal groźną miną - żeś wtedy temu księciu Vauguyon podstawił nogę.

- Dajże już raz spokój - wmieszał się Ksawery, a Karol dodał:

- Przestańże z tymi głupstwami.

- Mówię tylko, jak było - obstawał Ludwik przy swoim.

- Może chcesz zaprzeczyć? - Zerwał się niespodziewanie i chwycił Karola za rękę. Karol bronił się ze śmiechem, lecz i ze złością. Ale niezgrabne ręce Ludwika były mocne.

Karol nie mógł się z nich wyrwać.

- Zostawże go w spokoju - zażądał Ksawery stanowczym głosem.

Ludwik ścisnął rękę brata jeszcze mocniej.

- Panowie, panowie! - mitygował Józef, a żony obu książąt mruzczały coś pod nosem. Ludwik puścił wreszcie rękę brata.

- Ale mam siłę! - powiedział raczej do siebie niż do otoczenia, uśmiechając się głupawo i z zakłopotaniem. Potem usiadł i pałaszował dalej.

Aby pokazać paryżanom, że nie z powodu jakichś przesądów zrezygnował ze spotkania z Franklinem, Józef szukał kontaktu właśnie z takimi osobistościami, które nie były mile widziane na dworze wersalskim. Spędzał długie godziny z będącym w niełasce zwolnionym ministrem finansów Turgotem, pokazywał się jeszcze częściej w salonie pani Necker, w jej „szwajcarskim domku”. Nie koniec na tym. Pojechał do Luviciennes, by odwiedzić kobietę znienawidzoną przez Toinette, hrabinę Dubarry, tę „nierządnicę”, tego „wyrzutka społeczeństwa”. Za życia starego króla hrabina Dubarry, dotarłszy przez Józefa do Marii Teresy, zmusiła Toinette, by odezwała się do niej. Toinette nigdy jej tego nie darowała - i zaledwie Ludwik objął władzę, sprawiła, że ta olśniewająco piękna dwudziestośmioletnia kobieta skazana została na banicję i samotność w Luviciennes. Tam to udał się teraz Józef. Prosił, by kochanka starego króla pokazała mu słynny park, piękne aleje i oranżerie, poprowadził ją do stołu i wróciwszy do Paryża rozplątywał się przed każdym w pochwałach nad wdziękiem i świeżością prześladowanej przez jego siostrę faworyty.

Józef odwiedzał jeszcze inne osobistości niepopularne w Wersalu, o których trybie życia krążyły w Paryżu różne plotki, między innymi pisarkę, panią de Genlis. Była damą dworu księżny de Chartres, kochanką księcia de Chartres, wychowawczynią i matką dzieci tej pary oraz autorką postępowych książek dla młodzieży.

W salonie pani de Genlis nie obowiązywała zbyt sztywna etykieta. Trzy razy na tydzień bez specjalnych zaproszeń zbierali się przyjaciele. Idąc za przykładem innych, Józef

zjawił się bez meldowania i spotkał tam pisarza Carona de Beaumarchais.

Pierre często zwykł był dworować sobie z Józefa. Cesarz rzymski, mawiał, ma łatwą sytuację. Gra tylko rolę cugli dla monarchii, ale cugle te trzyma w garści stara cesarzowa. Rządzi ona despotycznie, a młody pan komponuje do tego liberalną muzykę.

Trudno oczekiwać, aby stosunek Beaumarchais'go do Habsburgów był całkowicie bezstronny. Przed laty, kiedy Toinette była jeszcze żoną delfina, pospieszył do Wiednia, by przedstawić Marii Teresie pamflet, skierowany przeciw jej córce. Na dworze wiedeńskim opowiadał z wielkim ogniem, po ilu to największych wysiłkach i niebezpiecznych przygodach udało mu się wydrzeć haniebny pamflet z rąk jego autora. Odczytał go cesarzowej oświadczając, że zmusi oszczercę do milczenia, ale oczywiście ten łotr domaga się pieniędzy. Tu wmieszała się nieprzychylna policja wiedeńska. Wedle jej informacji niebezpieczne przygody były fikcją, rany odniesione w walce o rękopis zadał sobie brzytwą sam Caron, a jeżeli z takim wyrazem wyrecytował ten pamflet, nic w tym dziwnego, sam go bowiem napisał. Cesarzowa kazała osadzić Beaumarchais'go w więzieniu. Potem jednak rozmyśliła się doszedłszy do przekonania, że lepiej będzie postąpić łagodnie. Dała mu do dyspozycji pokaźną sumę i przesłała kosztowny pierścień. Nosił go zaznaczając od czasu do czasu z nonszalancją: „To pamiątka od Marii Teresy”.

Mimo to, ilekroć była mowa o Habsburgach, za każdym razem odczuwał i wspominał przykrość, którą mu zrobiono wtedy w Wiedniu. Los sprawił, że nigdy dotychczas nie zetknął się z cesarzem Józefem, ale często wyobrażał sobie, jak kiedyś upokorzy swymi błyskotliwymi zdaniami afektowanego Habsburga.

Józef jak przez mgłę przypomniał sobie, co pan de Beaumarchais zrobił w Wiedniu, i wahał się, czy powinien z tym panem rozmawiać. Czytał jednak jego ulotki, widział w Theatre Francais komedię Cyrulik sewilski i mimo niechęci do autora miał dla tych utworów uznanie. Poza tym słyszał, że pan de Beaumarchais należał we Francji do głównych orędowników insurgentów amerykańskich, i nie chciał po raz drugi narazić się na podejrzenie, że nie ma odwagi wdawać się z tymi ludźmi w rozmowy.

Powiedział panu de Beaumarchais kilka uprzejmych słów na temat Cyrulika. To ośmieliło jeszcze bardziej śmiałego na ogół i zarozumiałego Pierre'a. W obliczu tej koronowanej głowy obudziła się w nim cała mieszczańska pycha, mówił z Józefem jak równy z równym, jak intelektualista, którego twórczość już jest uznawana, z intelektualistą, który ma dopiero przejść przez próbę ogniową. Z układną czelnością wspominał o przysłudze, którą łaskawy los pozwolił mu oddać sędziwej cesarzowej. Rozwodził się szczegółowo nad owym pamfletem, cytował z pamięci niektóre ustępy, stwierdzając rzeczowo, że pod względem formy autor wykazał sporo dowcipu.

Józef słuchał ze spokojem. Od czasu nieudanego spotkania z Franklinem oraz od rozmowy z markizem Vaudreuil stał się ostrożny. Z obiektywizmem, na który go czasami było stać, przyznawał w głębi ducha, że w pamflecie cytowanym przez tego pana de Beaumarchais tkwi ziarnko prawdy; sam zauważył pewne właściwości siostry, z których paszkwil szydził.

Pierre zachęcony powściągliwością Józefa, delektując się sytuacją, posunął się jeszcze dalej. Dowodził, że jego ukochani paryżanie mają jedną wielką słabość: dla dowcipu potrafią bez dostatecznych dowodów mówić o człowieku jak najgorzej. On sam ma pod tym względem przykre

doświadczenie. A dama, która jak królowa skupia na sobie zainteresowania całego świata, staje się nieuchronnie celem złośliwych żartów. Żarty te bywają różne - ordynarne i głupie, subtelne i przez to bardziej jeszcze podstępne. Najniewinniejszy staje się jadowitym argumentem. Weźmy na przykład ową bardzo wysoką fryzurę, którą królowa, dyktatorka mody, wprowadziła w całej Europie i co jest dla niego zaszczytem, nazwała wedle określenia, którego użył w jednej ze swych ulotek, fryzurą Ques-a-co (co to?). Fryzura ta, jak twierdzili oszczercy, harmonizuje znakomicie z wysokim czołem i podłużną twarzą królowej, ale szpeci okrągłe, bardziej klasyczne oblicza dam paryskich. Tylko z zazdrości, tylko z antypatii do wszystkiego, co francuskie, tylko po to, by oszpeci paryżanki, wprowadziła Austriaczka tę fryzurę. Pierre głośno wyrażał ubolewanie, że świat ma tak szaleńczą skłonność do plotek i obmowy.

Józefa irytowała czelność tego człowieka. Powinien był unikać tej rozmowy - popełnił ostatnio dużo błędów. Naprzód postąpił wprost przeciwnie, niż należało, z Franklinem, teraz znowu z tym panem Beaumarchais. Miał w sprawie amerykańskiej nieszczęśliwą rękę. Czuł się bezradny, wepchnięty przez jakąś niewidzialną siłę na niebezpieczną drogę. Miał najlepszą wolę, by robić to, co słuszne, pożyteczne i wielkie, czuł się do tego powołany, a nie mógł sobie poradzić z tym, co było najbliższe, najprostsze.

Nagle wypowiedział bardzo skromnie, co czuł w stosunku do Beaumarchais'go.

- Widzi pan - oświadczył - łatwo mieć sumienie, kiedy trzeba tylko o nim mówić albo pisać. Kto jednak musi działać, kto chce jednym robić dobrze, ten staje wobec konieczności robienia innym źle.

Nie brzmiało to jak zwrot retoryczny, słowa te zdawały się płynąć z głębokiego przekonania, Pierre poczuł to i nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

W jakiś tydzień później Józef czuł się dostatecznie przygotowany do odbycia z Ludwikiem rozmowy i zmuszenia go do zgody na operację.

Siedzieli obaj w bibliotece Ludwika, otoczeni książkami, globusami, porcelanowymi popiersiami poetów. Hrabia Falkenstein, ubrany po mieszczańsku i schludnie, trzymał się bardzo sztywno; w przeciwieństwie do niego Ludwik, przygnębiony, był, jak mu się często zdarzało, brudnawy, zaniedbany; przed chwilą dłubał jeszcze z Gamainem przy warsztacie ślusarskim, Józef zaskoczył go i wciągnął wbrew jego woli w tę rozmowę.

Józef, kiedy chciał i uważał za wskazane, potrafił być bardzo serdeczny. Dziś uważał, że jest to wskazane. Mówi jak starszy brat. Zasięgnął dokładnych informacji u specjalisty wiedeńskiego doktora Ingenhousza oraz u doktor Lassone, przybocznego lekarza Toinette. Tłumaczył Ludwikowi z naukową dokładnością, że operacja nie grozi żadnym niebezpieczeństwem i musi dać rezultat pomyślny.

Ludwik chętnie słuchał ludzi rozumiejących się na rzeczy; imponowała mu erudycja Józefa. Od chwili kiedy się dowiedział, że Józef zamierza przybyć do Wersalu, orientował się dokładnie, że nie będzie mógł wykręcać się w dalszym ciągu i będzie musiał ulec jego naleganiom. Ale całą swą istotą przeciwstawiał się zabiegowi. Chciał, by sprawy pozostały tak, jak były, *quieta non movere*, nie ruszać tego, co spoczywa, było jego zasadniczą dewizą. Siedział ociężały, ponury, pełen głębokiej niechęci, zamknięty w sobie. Nie patrzył na tamtego, wiercił się bezradnie, szarpał rękawy.

Kiedy Józef skończył, Ludwik milczał przez długą chwilę. Józef pozostawił mu czas do namysłu. Wreszcie Ludwik zaczął mówić przytaczając stare argumenty, które już wysuwał wobec premiera. Choć miał do niego zaufanie, czuł się przy rozważaniu tej tak dyskretnej i drażliwej sprawy onieśmielony i nieswój. Ale Józef był również panującym z bożej łaski, rozumiał zapewne te delikatne i pobożne zastrzeżenia, Ludwik mógł więc z nim o tym mówić. Powoli odzyskiwał swobodę słowa i to, co mówił, stało się zamiast wybiegu wyjawieniem największych jego tajemnic.

Ciało króla jest święte. Skoro Bóg stworzył Ludwika takim, jakim jest, z tym zahamowaniem, musiał mieć w tym jakiś cel. Czy nie zgrzeszy więc, jeżeli wbrew woli Boga spróbuje sięgnąć po nóż? Może Bóg przeznaczył go do celibatu, może żąda od niego wstrzemięźliwości, jak od swoich księży. Józef czuł dobrze, że Ludwik mówi szczerze i od serca. Trudno było obalić argumenty płynące z takiej głębi. Ale był na to przygotowany. Chytry Mercy wybadał premiera Maurepas i w ten sposób, okreśną drogą, poprzez ambasadora, Józef dowiedział się o wątpliwościach Ludwika. Był uzbrojony do rozproszenia tych wątpliwości.

Trzeźwy wolnomyśliciel, Józef czuł odrazę do tego rodzaju teologicznych łamigłówek, jakie mu Ludwik zaprezentował. Cesarz nienawidził wszystkiego, co trąciło klechę, gdyby ktoś inny wystąpił z takimi skrupułami, podszytymi zabobnem, jak przed chwilą szwagier, spotkałby się z jego strony z najostrzejszym szyderstwem. Ale Józef postanowił działać dyplomatycznie. Ksiądz Vermond udzielił mu rad z dziedziny teologii, zaczął więc zbijać niedorzeczne, jezuickie wątpliwości szwagra równie niemądrymi jezuickimi kontrargumentami. Przed chwilą objawił zdumiewającą wiedzę w dziedzinie medycyny; teraz okazał się nie mniej uczony w sprawach boskich.

Obrzezania, tłumaczył Ludwikowi, nie można, jak go poinformowano, w każdym wypadku uważać za akt sprzeciwiający się woli boskiej. Nie tylko Bóg nakazał je swemu wybranemu narodowi, ale nawet i Syn Boski był obrzezany. Czytamy o tym w Ewangelii św. Łukasza, rozdział 2, wiersz 21; napletek jego przechowywany jest po dziś dzień w jednym z włoskich klasztorów. Jeżeli chodzi o niego, dodał ponuro Józef, to oczywiście uważa tę relikwię za falsyfikat, za oszukaństwo klechów; przyjdzie czas, kiedy zabroni jej wystawiania. Złagodniał jednak po chwili i dodał przyjaznym tonem:

- Ludwiku, zgódź się, proszę, na operację. Tylko tą drogą będzie pan w stanie zastosować się do biblijnego nakazu: „Rośnijcie i rozmnażajcie się”. Tak - ciągnął filuternie - gdybyś zgodził się na operację dla zmysłowej żądz, gdybyś chciał iść śladami swego świętej pamięci dziadka, może wątpliwości twoje byłyby uzasadnione. Ale tak, jak sprawy wyglądają, sire, jako człowiek umiarkowany, spokojny, niepodobny do młodego ogiera, możesz z całą pewnością liczyć na to, że i po operacji potrafisz oprzeć się zwycięsko przyływowom żądz. - Uśmiechał się przy tych słowach.

Ludwik nie uśmiechał się. Oczyma wyobraźni widział siebie zjawiającego się po operacji u Toinette. Jak ma jej to powiedzieć? Jak w ogóle ma się zachować? Na samą myśl o tym ogarniało go uczucie paralizującego lęku. Siedział, sapał i milczał.

Józef wstał, więc Ludwik musiał podnieść się również. Rozproszywszy teologiczne wątpliwości szwagra, Józef przystąpił do argumentu głównego, którym była polityczna strona sprawy. Wiedział, że tym razem polityka jego znajdzie oddźwięk w sercu króla, zauważył bowiem, jak złożone uczucia żywił Ludwik do swych braci. Ujął więc szwagra pod ramię i chodząc z nim po bibliotece, a raczej wlokąc go obok

siebie, zaczął mówić o skutkach, jakie pociągnęłyby za sobą bezpotomna śmierć Ludwika. Korona przypadłaby wtedy księciu Ksaweremu. Józef nie chce ukrywać, że ten książę nie bardzo mu się spodobał, ma wrażenie, że i Ludwik niezbyt chętnie widziałby go na tronie. Józef jest przekonany, że na pakcie rodzinnym, na związkach politycznych i personalnych między władcami Francji, Austrii i Hiszpanii opiera się nie tylko dobro tych krajów, lecz pomyślność całego świata. Może Ludwik nie ocenia aliansu tak entuzjastycznie jak on, ale nie można wyobrazić sobie bez tego polityki tych trzech krajów. Gdyby Ksawery zasiadł na tronie, pakt rodzinny rozsypałby się i alians trzech wielkich katolickich mocarstw byłby zagrożony; skutków niepodobna przewidzieć. Dla bezpieczeństwa świata Ludwik musi zaufać doktorowi Lassone i zdecydować się na drobne cięcie.

- Trzeba się przewyciężyć - powiedział ciepło Józef wyciągając do niego rękę. - Pozwól mi zakomunikować mojej, a raczej naszej matce, że Toinette znalazła wreszcie szczęście, którego mieliśmy prawo dla niej oczekiwać.

Ludwik wezwany w ten sposób do spełnienia swej powinności nie umiał już znaleźć wybiegu.

- Dobrze - powiedział martwym głosem i niezgrabną, brudną ręką uścisnął mocno wąską dłoń Józefa.

- Mam więc - sprecyzował Józef rezultat rozmowy - pańską stanowczą, niedwuznaczną obietnicę poddania się operacji w ciągu najbliższych czternastu dni.

- Tak, monsieur - powiedział Ludwik słabym głosem i cofnął rękę. - Ale - dodał - co nagle, to po diable. Zrobię to, powiedzmy, w ciągu sześciu tygodni.

Józef był człowiekiem o dobrych, uczciwych zamiarach, chciał wyświadczać dobrodziejstwa bliskim i być dla swoich ludów wzorowym władcą. Ale przekonywał się coraz bardziej, że większość tych, których pragnął uszczęśliwić, była tępa i

niechętna, przypominała pacjentów, którzy wytrącają lekarzowi lekarstwo z ręki. Nic dziwnego, że z biegiem czasu stawał się uparty i coraz bardziej zgorzkniały. Doszedł wreszcie do tego, że najlepiej czuł się w roli szorstkiego, niecierpliwego mentora.

Ciążyło mu, że wobec Ludwika musiał tak długo udawać dobrotliwego, wyrozumiałego starszego brata. Ulży sobie teraz wobec Toinette. Natrze jej dobrze uszu za to, że właściwie wcale nie zasłużyła, by tyle wysiłku poświęcał jej osobie.

A więc przed poinformowaniem siostry o radosnym wyniku rozmowy z Ludwikiem w zgryźliwych słowach wypominał jej to wszystko, co mu się w jej trybie życia nie podobało. A raziło go niejedno. Bezwstydy zwyczaj biegania na bale publiczne w masce i wdawania się z zupełnie obcymi ludźmi w nieprzystojne, często frywolne rozmowy. Toalety, wywołujące kpiny i krytykę całej Europy. Rozrzutność, która doprowadzała ministrów do rozpaczki. Szaleńcza żyłka do hazardu, wywołująca zgorzienie w całej Francji.

- Boję się - powiedział - tej godziny, w której będę musiał zdać ze wszystkiego sprawę naszej matce.

Toinette знаła brutalny sposób bycia Józefa, ale nie liczyła się z tym, że zaatakuje ją aż tak gwałtownie. Napełniło ją to oburzeniem.

- Jesteś teraz w swoim żywiole, co? - powiedziała; jej piękna twarz miała wyraz jeszcze bardziej gniewny i dumny niż jego.

- Aleś mi dał nauczkę! Stoisz teraz przede mną zupełnie jak wielki, sławny monarcha, który wymyśla małej siostrzyczce, bo mu przez swoją lekkomyślność narobiła wstydu. Ale może sam nie jesteś tak bez zarzutu, jak sobie wyobrażasz. Niejedno doszło do moich uszu. Wyśmiewasz się z naszych instytucyj. Robisz dowcipy na temat naszej armii i floty. Czy sądzisz, że to zwiększa we Francji popularność Habsburgów? Czy

sądziysz, że nasza matka będzie rada, kiedy się dowie o tych niedopuszczalnych obelgach, do których pcha cię nieposkromiona żądza ganienia wszystkiego? Ja prowokuję szyderstwa i krytykę? A ty? Kto to ostatnio dał smutny przykład chwiejności i niezdecydowania, ty czy ja? - Ponieważ Józef spojrział na nią ze zdumieniem, zakończyła triumfalnie: - Kto naprzód trąbił na cały świat, że chce zobaczyć Amerykanina, a potem stchórzył i grzecznie został w domu?

Nikt, nawet sam Józef nie mógłby powiedzieć, co było większe - jego zdumienie czy jego wściekłość. Przyjechał i wymusił od tego niedołęgi Ludwika przyrzeczenie, że się z nią położy do łóżka i nareszcie zrobi jej delfina, tak potrzebnego i Austrii, i jej samej. I przez wdzięczność za to Toinette stawia się i buntuje. Przeciwno niemu, cesarzowi apostołskiemu, starszemu bratu! Kto jest winien, że zaszło coś tak niesłychanego? Jej otoczenie, przyjaciele, przede wszystkim ten bezczelny utrzymanek Vaudreuil. Jeszcze większą goryczą napępiała go myśl, że Toinette miała rację i że w pewnym sensie miał ją również ten Vaudreuil. Temu panu łatwo było mówić. Mógł sobie pozwolić na roztaczanie dookoła amerykańskiego insurgenta dymu kadzideł i na to, by jego dziewczki pakowały do fryzur swoje bożyszczce. Pies z kulawą nogą się o to nie troszczył. Ale gdyby on, cesarz rzymski, poklepał buntownika po ramieniu, świat by się zmienił. Był obarczony odpowiedzialnością. Nie wolno mu dla celu bardzo odległego zapominać o celach najbliższych, o reformie szkolnej, o czeskich protestantach.

- Jesteś gęś - rzucił krótko i pogardliwie. - Mówisz o rzeczach, o których nie masz pojęcia. Po prostu powtarzasz to, co mówią twoi śliczni przyjaciele, w których przywiązanie tak ślepo uwierzyłaś. Czy ty nie masz oczu? Czy nie widzisz, jaką cyniczną, nieodpowiedzialną bandą jest ten twój Klanik

Liliowego Bzu? Czy nie widzisz, że chcą cię tylko wykorzystać? Że jesteś tylko kością dla tych psów? Kością otoczoną porządną porcją mięsa i tłuszczu - dodał szyderczo. A potem zaczął jej dokładnie wyliczać wszystkie dobrodziejstwa, jakimi obsypała rodzinę Polignac, ich przyjaciół i krewnych. Lista nie miała końca. Dla hrabiego Juliusza Polignac stanowisko pierwszego marszałka dworu królowej, poza tym Ministerstwo Poczty i Zarząd Ceł, przepisane na niego dóbr Fenestranges przynoszących sześćdziesiąt tysięcy liwrów rocznie, wreszcie przekazanie czterystu tysięcy liwrów na pokrycie najbardziej palących długów. Dla ojca hrabiego Juliusza stanowisko posła w Szwajcarii. Dla księcia de Guiche, kuzyna książąt Polignac, dowództwo gwardii przybocznej. Dla drugiego kuzyna urząd marszałka dworu przy księciu Karolu. Dla trzeciego - urząd pierwszego jałmużnika przy jej własnym dworze. Ponad pół miliona wynosiła renta roczna pobierana przez rodzinę Polignac z kas królewskich jedynie za dotrzymanie towarzystwa Toinette. Nie koniec na tym, Toinette wymusiła jeszcze na Ludwiku dalszą rentę roczną, dalszych sześćdziesiąt tysięcy liwrów dla tego wystrojonego mydłka, który ją nauczył tej głupiej gadaniny na temat Franklina, dla tego jej markiza Vaudreuil.

Kiedy Józef wymienił nazwisko markiza, Toinette zerwała się jak oparzona.

- Teraz wyszło na jaw - zawołała - dlaczego mi tak brutalnie wymyślasz. Nie możesz mu zapomnieć, żeś się w jego obecności tak tchórzliwie zachował. Gdybyś się umiał zdobyć się na odwagę, byłbyś jednak poszedł do tego Amerykanina. Wtedy nie stałbyś tutaj i nie obrzucałbyś oszczerstwami ludzi, którzy są z pewnością przyzwoitsi od wszystkich pochlebców i służalców, skupiających się wokół ciebie. Francois Vaudreuil to najmądrzejszy, najdowcipniejszy człowiek w Paryżu.

Literaci i filozofowie, z którymi rozmawiałeś, biją się o to, by z nim obcować. Jestem dumna, że mogę zaliczyć go do swoich przyjaciół. Kiedy zostanie moim intendentem, będę miała teatr, którego się nie powstydzę. Ale nie zdecydował się jeszcze, dał, niestety, odpowiedź wymijającą. Nie dba o pieniądze, które mi Ludwik postawił dla niego do dyspozycji. Przez cały czas wmawiasz we mnie, że powinnam dbać o literaturę i sztuki piękne. A kiedy to robię, odwracasz kota ogonem, zasypujesz mnie niskimi podejrzeniami. Fe! Jesteś bardzo różny od tego Józefa, którego zachowałam w pamięci. Józef był zdumiony tym wybuchem. Najgorsze było to, że Toinette prawdopodobnie wierzyła w to, co mówi.

- Nie przeczę - przyznał - że pan Vaudreuil ma nieprzeciętne zdolności. Ale zdolności te są pozorne. W gruncie rzeczy jest on człowiekiem pustym, pozbawionym zasad rozpustnikiem. Zakładasz się tak chętnie. Załóżmy się, że w końcu zniży się do przyjęcia tych sześćdziesięciu tysięcy liwrów. Ale jesteś zaślepiona i nie można ci pomóc. Rozmowa z tobą to przelewanie z pustego w próżne. Ten Vaudreuil nie jest przecież sam. Całe twoje otoczenie to hołota Salon twojej przyjaciółki nie jest niczym innym jak jaskinią gry lub burdelem. Mama i ja nigdy nie uważaliśmy ci za nazbyt mądrą. Ale to przynajmniej powinnaś była chyba zrozumieć, że arcyksiężniczka austriacka, królowa Francji, która wygrała wielki los, nie może się zachowywać jak wiedeńska praczka.

- Wielki los - powiedziała Toinette z ironią. - Wielki los - powtórzyła z goryczą. I nagle runęła jej cała duma, popłynęły długo wstrzymywane łzy.

- Po coście mnie tutaj przysłali? - żaliła się. - Kim ja tu jestem? Co mam tu do roboty? Wszyscy mnie nienawidzą, wszystko, co robię, jest źle. Dlaczego daliście mi tego człowieka za męża? Człowieka z drzewa - powiedziała ze złością i pogardą. - Tak się cieszyłam na twój przyjazd.

Myślałam, że nareszcie zjawi się ktoś, z kim będę mogła mówić. Myślałam, że mi pomożesz. A teraz jesteś tu i depcesz po mnie.

Józef kochał siostrę na swój sposób. Rozumiał jej postępowanie i to, dlaczego tak żyje. Przybyła tu jako piętnastoletnia dziewczyna, otoczona pochlebcami i wrogami, rozpieszczona, śledzona z niechęcią, bezgranicznie zawiedziona defektem Ludwika. Było rzeczą zrozumiałą, że szukała zadośćuczynienia i namiastki, że się rzuciła w wir bezmyślnych rozrywek.

Ujął jej rękę.

- Toni - powiedział z niezwykłą serdecznością - przyjechałem nie po to, żeby ci wymyślać, lecz po to, żeby ci pomóc. Mam wrażenie, że ci pomogłem.

Podniosła ku niemu oczy, lekki rumieniec pojawił się na jej podłużnej, ładnej, bladej twarzy.

- Rozmawiałeś z Ludwikiem? - zapytała.

- Tak - odpowiedział. - Wszystko będzie dobrze, możesz być pewna. Najdalej w ciągu sześciu tygodni - dodał z uśmiechem. Toinette zaczerwieniła się jeszcze mocniej, oczy jej pociemniały, usta miała na wpół otwarte, oddychała ciężko. Przepływały przez nią różnorodne uczucia. A więc Ludwik przyjdzie teraz, położy się do jej łóżka, ciało przy ciele. Przypomniała sobie, jak kiedyś przy ceremonii wstawania siedziała na pół naga czekając na koszulę; tak się złożyło, że coraz to inna dama wyższego urodzenia wchodziła do jej sypialni, w myśl ceremoniału koszula musiała wędrować z rąk niższych do wyższych. Toinette czekała zatem dygocąc z zimna i ze wstydu, aż wreszcie włożono jej tę koszulę. Podobne uczucie ogarnęło ją teraz na myśl, że Ludwik wejdzie do jej łóżka. Było jej wstyd. Mimo to czuła się dumna. Musi przez to przejść, skoro przeznaczenie powołało ją na królową Francji. Bardziej jeszcze niż wstyd i dumę

odczuwała podniecenie, ciekawość i chęć wybuchnięcia dziewczęcym śmiechem. W ciągu ułamka sekundy stanęli przed oczyma jej wyobraźni, zamiast Ludwika, liczni inni mężczyźni, panowie z Klaniku Liliowego Bzu, obcy, którzy rozmawiali z nią na balach, brali ją pod ramię, zbliżali do niej swe twarze. Wyobrażała sobie tych mężczyzn, Gabriełę, później znowu Ludwika, wchodzącego do jej łóżka. Poczowała zawrót głowy. Nagle ponad cały ten natłok chaotycznych wrażeń wystrzeliła ogromna, pełna oczekiwania radość. Kiedy to minie, kiedy będzie miała dziecko, zamilknie bezczelna gadanina dokoła niej, skończą się złośliwe plotki, sprzedawczynie ryb zamkną swe zuchwałe gęby, pisarze skończą z paszkwilami, stanie się naprawdę królową. Być królową, móc robić, co się chce, być królową i używać życia. Teraz życie, prawdziwe życie, jest blisko niej, uchwytne. Będzie młodą i piękną, będzie królową i kobietą kochaną przez niezliczoną ilość mężczyzn, mogącą wybrać sobie tego, którego kocha. Podeszła z wolna do Józefa wzruszona, z poważną twarzą.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego od razu? – zapytała zarzucając mu ręce na szyję. - Dlaczego obrzuciliśmy się takimi niedobrymi słowami? - Objęła go, ucałowała. - Sepp - powiedziała, nazywała go tak będąc dzieckiem. - Sepp - powtórzyła i uszczęśliwiona dodała: - Choćby nawet wszystko zawiodło, to przecież zawsze jeszcze mam ciebie.

Józef poklepał ją po karku i na pół żartem, na pół powiedział:

- Tak, Toni, teraz wszystko zależy od ciebie.

- Teraz - odpowiedziała - o ile cię to bawi, możesz jeszcze trochę nawymyślać.

Było mu niemal przykro, że musi zmać szczęście siostry i pomówić z nią jeszcze serio. Ale musiał wykorzystać nastrój Toinette, by wbić jej w głowę zadanie, do którego była przeznaczona. Ludwik był słaby, podatny na wpływy, ale

przebiegły. Wprawdzie nigdy nie mówił nie, ale wykręcał się, stawiał miękki, lecz zaciekły opór, którego przewyciężenie pochłaniało dużo wysiłku i energii. Józef nie zdążył wyłudzić od niego politycznych koncesyj potrzebnych Habsburgom. Musi to teraz załatwić Toinette. W przyszłości będzie miała dużo podobnych spraw, będzie musiała poświęcić im poważną część życia. Ale ostatecznie przysłano ją tu w tym celu. Jeżeli Józef stracił miesiąc, by temu opasłemu młokosowi umożliwić spłodzenie następcy, to Toinette musi łaskawie zrezygnować z paru swoich niemądrych rozrywek i znaleźć czas na dostosowanie polityki swego Ludwika do polityki Habsburgów.

Wyprostował się jak struna, co zwykł był czynić, kiedy zamierzał wygłosić dłuższy wykład.

- Posłuchaj, Toinette - mówił znowu po francusku - muszę z tobą omówić jeszcze coś bardzo poważnego. Teraz, kiedy masz zostać naprawdę królową Francji, ciąży na tobie jeszcze większa, olbrzymia odpowiedzialność. Jesteś gwarancją i węzłem sojuszu między Habsburgami i Burbonami, na funkcjonowaniu tego sojuszu opiera się pomyślność Europy. Króla otaczają doradcy nieprzychylni Austrii. Zadaniem twoim, madame, jest unieszkodliwianie tych wpływów.

Toinette, niemal urażona, odpowiedziała:

- Nie trzeba mi tego długo tłumaczyć. Czy nie robiłam tego dotychczas?

- Przyznaję - odpowiedział Józef mentorskim, lecz uprzejmym tonem - że w miarę swych możliwości stosowałam się do rad, udzielanych ci w naszym imieniu przez ambasadora Mercy i księdza Vermond. Ale to nie wystarczy. Musisz sama nasłuchiwać, co w trawie piszczy, starać się zrozumieć, o co gra idzie. Musisz czytać, konferować z poważnymi ludźmi, nawet jeżeli nie prezentują się tak dobrze jak twoi przyjaciele. Musisz starać się rozumieć sens rad, których ci udzielamy za

pośrednictwem Mercy'ego i księdza. Może król i jego ministrowie będą czasami mówili, że to, czego żąda Wiedeń, leży wprawdzie w naszym interesie, ale nie leży w interesie Francji. W niektórych wypadkach będzie to nawet słuszne, ale pod żadnym pozorem nie wolno ci tego przyznać, musisz mieć w pogotowiu argumenty obalające stanowisko Ludwika i jego panów. Musisz stale uświadamiać sobie, że pomyślność świata zależy przede wszystkim od Habsburgów, a później dopiero od Burbonów.

- Ależ oczywiście - odpowiedziała Toinette. Miała minę grzecznej, uważnej uczennicy, ale słuchała tylko jednym uchem, gdyż ciągle jeszcze żyły w niej dziwne, wstrętne, kuszące twory wyobraźni.

- Chciałbym doprowadzić do tego, Toinette – ciągnął Józef dalej - byś moich słów nie słuchała machinalnie, lecz gorliwie i z wewnętrznym przekonaniem.

- Ależ ja tak właśnie cię słucham - zapewniła Toinette. - Jestem bardziej habsburska od ciebie. Spójrz, proszę, na moją wargę i mój nos.

- Dajże spokój tym dziecinnyim żartom – odpowiedział Józef niecierpliwym tonem. I wygłosił odczyt, który sobie przygotował. Próbował ukazać jej trudności problemu rosyjsko-tureckiego oraz szansę, jakie otworzyły się przed Austrią w związku ze śmiercią elektora bawarskiego. Toinette słuchała grzecznie. Ale Józef widział, że to, co mówi, było jej w duszy obojętne. Spróbował potrząsnąć nią mocniej. Czy polityka nie była grą głębszą, bardziej podniecającą niż faraon przy stole księżny Rohan? Czy nie chce skorzystać z okazji i wciągnąć się w tę grę?

- Ależ tak! - zawołała. - Przecież zawsze pilnuję, by wszystkie ważne stanowiska dostawały się w ręce moich przyjaciół.

Józef spojrzał na nią. Mówiła poważnie. Sprawa była beznadziejna, więc zrezygnował z dalszego ciągu.

Ale Toinette nie pozwoliła mu odejść. Opowiadał jej tyle o tym, co jego dotyczyło, o Bawarii i o Rosji, teraz ona chciała z nim pomówić o swoich sprawach, pomówić o Trianon. Był jedynym człowiekiem, z którym mogła być szczerą od serca. Zaprowadziła go przed gotowy model, prezentował się wyjątkowo pięknie. Bez jej zgody nie wolno tam było posadzić ani jednego krzaczka, wbić ani jednego gwoździa. Józef zobaczył, że Toinette wie dokładnie, czego chce, że wszystko jest harmonijne i w dobrym guście. Nie bez westchnienia stwierdzał, ile talentu i entuzjazmu umiała poświęcić jakiejś sprawie. Szkoda, że nie leżały jej na sercu ani Austria, ani Francja, że pochłonięta była wyłącznie swoim Trianon.

Tymczasem ona myślała z entuzjazmem, że tu, w Trianon, będzie jej prawdziwe królestwo, w którym zamierzała rządzić bez przymusu i ceremoniału. W Trianon będzie sama nadawała ton. Służba nie będzie nosiła królewskiej liberii, przybierze się ją w kolory Toinette: czerwień i srebro. Na zaproszeniach widnieć będą słowa: „W imieniu królowej”, na przedstawienia w Trianon będą mogli przychodzić tylko ci, których ona lubi.

Snując swoje plany wyglądała bardzo powabnie, jak dziecko i kobieta zarazem. Podobała się Józefowi, podobało mu się Trianon. Ale myślał także o trudnościach, które w związku z Trianon powstaną. Ci, którzy tam nie będą mieli dostępu, będą szaleć z wściekłości, Toinette stworzy sobie nowych wrogów. Również biedny Ludwik i jego pan Necker będą musieli długo łamać sobie głowę, skąd wziąć pieniądze na opłacenie tej kosztownej i pozornie prostej zabawki Toinette.

Wieczorem tego dnia Józef pisał do swego brata w Ferrarze: „Siostra nasza Toni jest niezwykle piękna i pełna wdzięku, ale nie myśli o niczym innym, jak tylko o swoich przyjemnościach. Zaraziła się szalem rozrzutności tego

zepsutego dworu. Nie ma w niej śladu miłości dla biednego Ludwika, cienia pojęcia o obowiązkach małżonki i w dodatku królowej. Przyjaciele jej, banda bezmyślnych, chciwych na tytuły i pieniądze kompanów i ładacznic, zaprzątniętych myślami o strojach, dopomaga jej w obłąkanej pogoni za rozrywkami. Zrobiłem wszystko, by coś wpakować do tej pięknej, pustej głowy, obawiam się jednak, że mi się to nie udało. Jeżeli tak dalej pójdzie, przewiduję dla naszej siostry okrutne przebudzenie".

W dwa dni później Józef odjechał. Ludwik żegnał go z uczuciem wielkiej ulgi, Toinette ze smutkiem, ale i nie bez zadowolenia. Ostatni wieczór spędził w Wersalu w towarzystwie Ludwika i Toinette.

Siedzieli przy stole. Ludwik, bardzo zakłopotany, jadł dużo. By stworzyć jakiś nastrój, próbował mówić po niemiecku i śmiał się na całe gardło ze swych błędów.

Zaraz po kolacji Ludwik zaczął się żegnać. Jąkając się i rumieniąc dziękował szwagrowi za jego rady.

Józef odpowiedział beztrosko:

- Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Pozostał jeszcze chwilę sam na sam z Toinette. Rodzeństwo, któremu na ogół słowa łatwo płynęły z ust, było milczące. W tej ostatniej godzinie, spędzonej razem, rozmawiali wyłącznie po niemiecku. Pokój Toinette, kosztownie skromny, robił w łagodnym blasku świec pogodne i miłe wrażenie; mimo to Józef i Toinette byli przygnębieni.

Józef głaskał rękę siostry. Nadspodziewanie miękko, i w przeciwieństwie do swego zwykłego optymizmu powiedział:

- Niełatwy jest nasz los. Twój także. Ale jakoś sobie poradzimy.

Objął ją mocno, serdecznie, ucałował w czoło i policzki.

Płakała. Potem, wykrzyknawszy po łobuzersku: „Serwus, Toni!”, oderwał się od siostry. Była głęboko nieszczęśliwa, że znowu pozostała zupełnie sama.

W tej godzinie rozłąki Józef nie wygłosił żadnej maksymy, nie popisał się żadnym zjadliwym dowcipem, stłumił swoje skłonności mentorskie. Za to ambasador Mercy otrzymał polecenie, by w imieniu cesarza rzymskiego wręczył Toinette zeszyt. Na okładce widniały słowa wypisane ręką Józefa: „Vademecum dla mojej siostry, księżny lotaryńskiej, arcyksiężniczki austriackiej, królowej Francji”.

Zeszyt zawierał przestrogi i wskazania. Rozpocząła je rada, by Toinette możliwie najczęściej zaglądała do zeszytu.

Toinette była wzruszona, że Józef tak się dla niej natrudził. Przypomniała sobie, jak bliscy byli sobie wczoraj, i od razu przystąpiła do czytania. Ale zeszyt był bardzo gruby. Przerzuciła pierwsze kartki, później ostatnie, starała się czytać pilnie i uważnie. Mimo woli przychodziły jej jednak na myśl nowe szale i kapelusze, o których mówiła z nią pani Bertin. Przypomniały się jej również nadchodzące wyścigi; tym razem na pewno nie postawi na tego samego konia co księżę Karol. Myślała poza tym o wielkiej uroczystej mszy, w której będzie musiała jutro uczestniczyć. Myślała także o tym, że kiedy Ludwik podda się wreszcie operacji, będzie mogła śmiało spojrzeć w oczy wytwornemu i czelnemu markizowi.

Wzrok jej nadal błądził po liniijkach vademecum. Ale już nie rozumiała ich sensu. Spojrzała, ile ma jeszcze do przeczytania. Trzydzieści dwie długie strony. Ziewnęła lekko. Przeczytała jeszcze stronę. Potem zamknęła zeszyt i włożyła go do szuflady.

Część druga

Sojusz

Rozdział pierwszy

Długie oczekiwanie

Franklin siedział leniwie rozparty w ogrodzie swego domu w Passy na ławce pod wielkim bukiem. Była wczesna wiosna, młode liście przepuszczały jeszcze dużo światła, Franklin rozkoszował się słońcem, które rzucało jasne plamy na jego skąpo owłosioną czaszkę i starcze ręce.

Radował się, że dom i park tak pięknie harmonizowały z okolicą. Cały duży, obszerny, przytulny pałac Valentinois, a przede wszystkim pawilon, w którym mieszkał, był skąpany w zieleni; mówiono, że Franklin mieszka w ogrodzie, nazywano go starcem w ogrodzie, *le vieux dans le jardin*.

Franklin siedział pochylony naprzód. Zdjął okulary w metalowej oprawie, drapał się w łysą czaszkę; z wysypką było jakoś lepiej. W ogóle lepiej było z jego zdrowiem, od czasu kiedy po męczących dniach paryskich pozwolił sobie na odpoczynek, może nawet zbyt gruntowny. Ustalił dokładnie z nowym kamerdynerem, Jakubem Finckiem, co ma być podawane do stołu. Posiłki były obfite i nie najbardziej wskazane dla jego zdrowia, jak również dla jego kasy. Ale te jedenaście tysięcy kilkaset liwrów, które otrzymał od Kongresu, i tak na nic właściwie nie starczały.

Doktor siedział z zadowolonym wyrazem twarzy. Poprzez park, który ciągnął się tarasami ku Sekwanie, patrzył z lubością na rzekę i na srebrnoszary Paryż po drugiej stronie Sekwany. Postanowił sobie przynajmniej dwa razy dziennie

wchodzić i schodzić po stopniach tarasu. Wczoraj i przedwczoraj nie uczynił tego. Nie powinien tak się rozleniwiać. Przeszedł pan de Chaumont. Złożył uprzejmy ukłon, zwolnił kroku w oczekiwaniu, że Franklin do niego zagada. Monsieur Chaumont dawał przy każdej okazji wyraz swej radości, że Franklin jest jego gościem, był niezwykle uczynny, Franklin miał wobec niego długi wdzięczności. Ale nie chciało mu się teraz przerywać miłej chwili samotnych rozmyślań, odpowiedział na ukłon pana de Chaumont bez słowa i pozwolił mu odejść.

Jaki wspaniały, błogi spokój! Tylko nieliczni mieli odwagę zakłócić tę ciszę; najgorszy spośród mącicieli, Artur Lee, przebywał jeszcze w Hiszpanii.

Niestety i drugi z jego kolegów, Silas Deane, nie chciał zrozumieć, że sojusz da się osiągnąć jedynie drogą okrężną, a nie szturmem, i że żarliwa działalność bardziej tu szkodzi, niż pomaga. Jeżeli chodzi o Franklina, to nastawił się on na długie czekanie. Urządził sobie w ogrodzie prasę drukarską, prymitywną, ale przydatną. Składanie starymi, dużymi rękami broszur i innych drobiazgów bardzo go bawiło. William pomagał okazując zręczność; Franklinowie, nie wyłączając małego Beniamina Bache, znali się na drukarstwie.

Dobrze się udało z tym Passy. Ludzie dookoła „ogrodu” byli przyjemni w obcowaniu. Z doktorem Leroy, członkiem Akademii, i z doktorem Cabanis miał wiele wspólnych zainteresowań, księża Morellet i de la Roche posiadali wykształcenie i dowcip, a kiedy się szło na mały spacer z burmistrzem Passy, panem Dussault, można się było dowiedzieć od niego mnóstwa ciekawostek.

Właściwie powinien dbać o ruch, przynajmniej raz dziennie wchodzić na taras i schodzić z niego. Ale pod bukiem siedzi się człowiekowi tak ciepło i miło, a któż zaręczy, czy jutro również będzie takie piękne słońce. Aby jakoś nadrobić czas

stracony, postanowił niezłomnie, że pierwszego dnia, kiedy woda nie będzie zanadto zimna, popływa w Sekwanie; był świetnym pływakiem, uśmiechał się na myśl o tym, jak to paniom Helvetius i Brillon opowie, że przepłynął Sekwanę.

Kiedy przed chwilą robił w duchu przegląd miłego sąsiedztwa i myślał o księżach i doktorze Cabanis, był trochę nieszczerzy wobec siebie: nie wspomniał o madame Helvetius, w której domu panowie ci mieszkali. Prawdopodobnie nie czułby się w swoim ogrodzie tak dobrze, gdyby w bezpośredniej bliskości nie mieszkały panie Helvetius i Brillon. Zawsze umiał rozkoszować się obcowaniem z kobietami, ale cały ich urok zrozumiał dopiero teraz, na początku ósmego krzyżyka. Minęło dużo czasu, zanim zmądrzał, a kiedy to nastąpiło, nie umiał sobie wyobrazić wielkiego człowieka bez bujnego erotycznego życia.

Nie, nie był jeszcze skostniały. Radował się barwnością życia, wiedzą, kobietami, powodzeniem, naturą, pływaniem, swobodą, cnotą, różnorodnością ludzi, ich zaletami i słabościami, samotnością i towarzystwem.

Na ścieżce ukazał się młody William, któremu Franklin polecił przyjść po siebie o tej porze, czekała ich bowiem jeszcze praca. Na tle jasnych drzew chłopak wyglądał ładnie, świeżo i rześko.

Poszli do domu. Wzięli się do roboty. Poczta, jak zwykle, przyniosła niejedną przykrą wiadomość.

Najważniejszy był list pana de Vergennes. Dotyczył oczywiście afery kapitana Conyngham. Kapitan Conyngham, podobnie jak Lambert Wickes, należał do „wilków morskich”, ale miał szerszy rozmach. Bez wielkich ceregieli zawładnął statkiem pocztowym z Harwich wraz z całym jego ładunkiem. Śmiały, zdaniem Anglików, czelny ten figiel doprowadził rząd angielski do dzikiej furii. Król Jerzy zajął się sprawą osobiście, Vergennes musiał się zobowiązać do wyrównania

Anglii strat i ukarania winnego: Conyngham został aresztowany, ale po niedługim czasie za wstawiennictwem Franklina zwolniony. Teraz dzielny kapitan był dowódcą nowego statku, uzbrojonego w czternaście dział ciężkich i dwadzieścia dwa lżejsze. Mimo uroczystych zapewnień, że chodzi tu tylko o rejs handlowy, władze francuskie nie chciały pozwolić, by wypłynął na pełne morze. Franklin znowu zainterweniował w Wersalu.

Leżała teraz przed nim odpowiedź w formie listu pana de Vergennes do delegata amerykańskiego, gniewna i pełna poważnych wyrzutów. Minister raz jeszcze wymienił wszystkie amerykańskie okręty korsarskie, które ze swym łupem przybijały do brzegów Francji, wywołując przez to konflikty między rządem Wersalu i Londynem. Król, minister podkreślał to raz jeszcze, jest zdecydowany trzymać się wiernie i ściśle zobowiązań, nałożonych na niego przez traktaty z Anglią.

.Jesteście Panowie zbyt wielkimi mężami stanu - pisał Vergennes - i zbyt mądrymi ludźmi, by nie zrozumieć, że zachowanie Waszych kapitanów naraża na szwank godność mego Króla i że tolerowanie takiego zachowania byłoby równoznaczne ze złamaniem neutralności. Wolno mi chyba oczekiwać, moi Panowie, że pierwsi potępicie postępowanie Waszych kapitanów. Jest ono sprzeczne z obowiązkami przyzwoitości i wdzięczności dla kraju, który Waszym statkom udziela gościny. Wasz kapitan Conyngham może otrzymać pozwolenie na wypłynięcie z naszych portów jedynie pod warunkiem, że najkrótszą drogą wróci do Ameryki i przez wrogie działania przeciw statkom angielskim nie narazi się na konieczność szukania przytułku w naszych portach. Muszę Panów prosić o wiążące gwarancje w tym względzie. Zwracam uwagę panów, że list ten piszę na wyraźne zlecenie Króla i polecam Panom, by niezwłocznie

zawiadomili o tym stanowisku rządu jego Królewskiej Mości nie tylko kapitana Conyngham, ale wszystkich marynarzy, by któryś z innych Waszych statków nie sprawił nam podobnych kłopotów".

Franklin westchnął; gdyby był na miejscu pana Vergennes, zapewne napisałby coś podobnego. Zabrał się zaraz do odpowiedzi. W pięknych, poważnych zwrotach wyrażał ubolewanie z powodu tego, co zaszło, i zapewniał, że poza udzieleniem kapitanowi Conyngham żądanej instrukcji napisze również do Filadelfii; nie ulega wątpliwości, że i Kongres wyda odpowiednie polecenie.

Franklin wiedział, że kapitan i ludzie stojący za nim, William Hodge, bankierzy Grand, Morel i syn, nic sobie nie będą robili z tych jego instrukcji. Kapitan Conyngham będzie w dalszym ciągu uprawiał korsarstwo, bankierzy będą z uśmiechem zgarniali zyski, Anglicy będą wciąż protestować, Filadelfia będzie się uśmiechać, a całe piwo będzie musiał wypić on, Franklin.

Polecił Williamowi, by nie wysyłał jeszcze listu. Było to pismo wielkiej wagi; chciał je pokazać Silasowi Deane i ostrzec go poważnie, choć był przekonany, że to nic nie pomoże.

Grzebał się w pozostałej poczcie. Znowu całe stosy próśb o listy polecające do Filadelfii. Entuzjazm dla sprawy wolności mógł tu być oczywiście jednym z motywów, ale byli również wśród petentów awanturnicy i nicponie. Niektórzy powoływali się na ludzi, o których Franklin nigdy nie słyszał. Kilku z nich odpowiedział indywidualnie. Po jakimś czasie miał tego dosyć.

- Podyktuję ci teraz - powiedział Williamowi - tekst, którym na przyszłość posługiwać się będziemy w każdym podobnym wypadku.

I podyktował: „Oddawca niniejszego listu udaje się do Ameryki i prosił mnie o pismo polecające. Znam tylko jego nazwisko. Jeżeli więc Panowie chcecie poznać osobę i zasługi oddawcy listu, musicie zwrócić się do Niego bezpośrednio, ponieważ jest w tej sprawie lepiej poinformowany ode mnie. Na wszelki wypadek proszę o traktowanie Go z życzliwością, do której prawo przysługuje każdemu cudzoziemcowi, o ile nie ma nic złego na sumieniu. Proszę o okazanie Mu pomocy i względów, jeśli przy bliższej znajomości okaże się tego godnym”.

Po ułożeniu tego tekstu Franklin uznał, że na dziś ma już dosyć tych uciążliwych spraw; ponadto zapowiedział się Silas Deane.

Odesłał młodego Williama i zabrał się do przyjemniejszego zajęcia: do porządkowania pewnych papierów, które przywiózł z Ameryki. Były to rękopisy, projekty, wszelakiego rodzaju notatki, listy do polityków, naukowców, przyjaciół i przyjaciółek, na które wobec nagłego wyjazdu z Filadelfii nie miał czasu odpowiedzieć. Do papierów tych, noszących częściowo charakter bardzo poufny, nie dopuszczał nikogo, nawet Williama.

Ile się tego zebrało i z jak różnych dziedzin! Oto trzyma teraz w ręku swój własny list, którego nie wysłał. Przypomniawszy sobie dokładnie godzinę, w której go pisał, było to w chwili, gdy się dowiedział o zajściach pod Bunker Hill/1. Musiał wtedy wypowiedzieć to, co miał na sercu, swemu przyjacielowi wydawcy, Williamowi Strahanowi.

1/ Zajścia pod Bunker Hill - pierwsza bitwa wygrana przez milicję Kongresu pod dowództwem gen. Waszyngtona w dniu 17.6.1775. Bitwa ta zapoczątkowała wojnę o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Doktor wodził oczyma po szybko stawianych, ale czytelnych literach.

List brzmiał następująco:

„Panie Strahan. Jest Pan członkiem Parlamentu, należy Pan do większości, która kraj mój skazała na zagładę. Zaczął Pan palić nasze miasta i mordować naszych obywateli. Niech Pan spojrzy na swoje ręce - są splamione krwią Pańskich krewnych. Byliśmy przez długi czas przyjaciółmi. Teraz Pan jest moim, a ja Pańskim wrogiem.

B. Franklin"

Podczas odczytywania tego listu w oczach starca pojawił się odblask gniewu, który go przepęśniał, kiedy pisał te słowa. Silniejsza jednak od goryczy była spokojna refleksja. Obserwował teraz, z jak sztucznych zakrętasów składał się jego podpis. Przypomnił sobie, że napisał najpierw: „ręce Pańskie są splamione krwią krewnych", a potem dopiero zmienił zakończenie na: „krwią Pańskich krewnych". Nie ulegało wątpliwości, że była to zmiana na lepsze. Tak, to był świetny list, oddawał całkowicie jego zimny gniew i pogardę dla człowieka, który nie potrafił przewidzieć skutków swoich czynów.

Ale Franklin umiał je przewidzieć. Był zadowolony, że wtedy nie wysłał tego listu. William Strahan należał do jego najlepszych przyjaciół, utrzymywał z nim kontakt nawet teraz, mimo wojny. Rzecz to pożyteczna mieć w Londynie przyjaciół. To dobrze, że wtedy w Filadelfii nie uniósł się gniewem i radością, że list tak mu się udał, i nie wysłał go. List leżał teraz bezpiecznie w Passy. Z uśmiechem na twarzy Franklin włożył go pieczołowicie do teczki z napisem: „Osobiste".

Odłożył listy, na które należało odpowiedzieć, odsunął te, które uznał za załatwione. Dalsze segregowanie przerwał pojawienie się Silasa Deane.

Tęgi, rostry, pogodny pan Deane stał się w ostatnich czasach nieco mniej pogodny; martwiła go dziwna postawa Kongresu, który przechodził do porządku nad żądaniami natury finansowej, wysuwanymi zarówno przez niego, jak i przez pana Beaumarchais. Na pełnej twarzy pojawiły się drobne zmarszczki, ałtasowa kamizelka w kwiaty nie opinała mu już tak ciasno brzucha. Ale był jak zawsze ożywiony i przedsiębiorczy; zaraz na wstępie zaczął opowiadać z entuzjazmem, jak cały Paryż raduje się bohaterskimi czynami kapitana Conyngham, jak nadzwyczajnie pomógł sprawie amerykańskiej napad na angielski statek pocztowy.

Zamiast odpowiedzi Franklin podał mu list hrabiego Vergennes; Silas odczytywał go powoli - język francuski ciągle jeszcze sprawiał mu trudności. Gdy zrozumiał, o co chodzi, nie chciał wziąć listu na serio. Tego rodzaju upomnienia, oświadczył, są formalnościami dyplomatycznymi; nie ulega wątpliwości, że Vergennes jest równie rad ze zdobycia angielskiego statku pocztowego jak on sam. Franklin wzruszył ramionami. Pokazał Silasowi Deane swój projekt odpowiedzi. Deane wolałby, aby odpowiedź pod adresem ministra była utrzymana w mniej poważnym tonie. Jednak jako człowiek dobroduszny i pełen szacunku dla doktora, udał, że jest zadowolony, i oświadczył, że kapitan niewątpliwie otrzyma pozwolenie na wyjazd.

Franklin odpowiedział, że jest również o tym przekonany, obawia się jednak, że Conyngham sprawi emisariuszom amerykańskim jeszcze niejedną przykrość. To możliwe, odpowiedział Silas Deane, jednak duma z powodu bohaterskich czynów kapitana i rozgłos ich w Europie są hojnym zadośćuczynieniem za tego rodzaju nieprzyjemności. Angielskie stawki asekuracyjne rosną z dnia na dzień, kupcy angielscy uważają za ryzykowne posługiwanie się w eksporcie statkami angielskimi.

Cierpliwy Franklin próbował raz jeszcze wytłumaczyć Silasowi Deane, że małe zyski nie równoważą wielkich strat natury politycznej, które pociąga za sobą nieposkromione korsarstwo. Nie chodzi o zdobycie dwudziestu czy trzydziestu tysięcy liwrów, lecz o traktat handlowy i sojusz z Wersalem. Ale Deane, niemal obrażony, odpowiedział, że sumy dwudziestu, trzydziestu tysięcy liwrów, o ile wpływałyby co tydzień lub choćby co dwa tygodnie, nie byłyby do pogardzenia wobec finansowych kłopotów Kongresu.

- Drogi, czcigodny doktorze - prosił z kupiecką natarczywością - proszę pomyśleć, jak olbrzymie są potrzeby Kongresu. Proszę pomyśleć o liście, którą ci panowie przesłali nam trzy tygodnie temu.

Franklin myślał o tej liście niechętnie. Była nieskończenie długa. Naród rolniczy odczuwał gwałtowny głód wyrobów przemysłowych. Kongres chciał sprowadzić z Francji nie tylko armaty, broń palną i mundury, ale i nożyce do strzyżenia wełny, zamki, przybory szewskie, igły krawieckie, wszelkiego rodzaju medykamenty, opium, aloes i lewatywy, zgrzebła dla koni i płótno na namioty, nuty i bębny. Wszystkiego tego żądano w ogromnych ilościach. Fakt ten utwierdzał doktora w przekonaniu, że drobnymi środkami nic się nie da osiągnąć. Wobec tak gwałtownych braków należało iść na całego: na uznanie niepodległości Stanów, na traktat handlowy i sojusz. Usiłował to z wielkim nakładem logiki wytłumaczyć koledze. Ale spryciarz Deane odpowiedział uprzejmie:

- Czcigodny doktorze, proszę mi pozwolić pobić Franklina Franklinem. Czy w swoim Pocziwym Ryszardzie nie pouczał pan: „Jajo dzisiaj jest lepsze od kury jutro”?

Franklin dał za wygraną. Mówił teraz o zbytecznych kłopotach, którymi go Silas Deane obarcza. Ci panowie powołujący się na Deane'a, którzy żądają w Filadelfii posad i stanowisk! Gdyby się tych ludzi wysłało do Ameryki, Kongres

nie wiedziałby, co z nimi robić, a oni sami przeżyliby moc rozczarowań.

Silas Deane przyglądał się z namysłem swojej pięknej kamizelce. Nie podzielał poglądu swego wielkiego przyjaciela i kolegi. Uważa za błąd, oświadczył skromnie, lecz stanowczo, że się odsuwa oficerów francuskich, którzy, pełni zapału dla sprawy wolności, gotowi są zrezygnować ze stanowisk w swoim kraju i w swoim wojsku. Taki czynny współdziałanie roznieca przecież na całym świecie entuzjazm dla Ameryki.

- Czyż wyjazd Lafayette'a - zakończył - nie był olbrzymim krokiem naprzód?

Sprawa z tym Lafayette'em wyglądała mniej więcej tak: młody markiz Józef Paweł Gilbert de Lafayette, otrzymawszy od Silasa Deane dyplom oficerski, opowiadał wszędzie o swym zamiarze wstąpienia do armii Waszyngtona. Od chwili wybuchu konfliktu amerykańskiego Anglicy trzymali się zasady, że wszelka działalność oficerów francuskich na korzyść rebeliantów równa się złamaniu neutralności przez rząd wersalski; Londyn zwrócił więc hrabiemu Vergennes uwagę na zamiary pana de Lafayette i nalegał, by minister zastosował odpowiednie środki. Również mający niemałe wpływy teść młodego markiza, książę d'Ayen, mimo swej sympatii dla Amerykanów, potępiał ostro awanturniczy projekt. Razem z hrabią Vergennes doprowadził do tego, że gabinet wyraźnie zabronił wyjazdu młodemu markizowi. Trudności wzmogły jeszcze zapał Lafayette'a, który głośno i uparcie oświadczał, że zamiar swój przeprowadzi. Wskutek wszystkich tych okoliczności wstąpienie Lafayette'a do armii Waszyngtona stało się dla Franklina i jego kolegów sprawą prestiżową; w salonach Paryża i Wersalu oczekiwano z napięciem, czy młodemu człowiekowi uda się osiągnąć swój cel. Udało się. Przy pomocy Beaumarchais'go Lafayette

zdobył własnym kosztem okręt i potajemnie wypłynął z pewnego hiszpańskiego portu.

Paryżanie przyjęli jego wyprawę z entuzjazmem, Silas Deane miał rację, kiedy mówił, że przedsięwzięcie Lafayette'a okazało się korzystne. Franklin również cieszył się z tego. Niestety radość ta została zamacona. Nie tylko miał wiele kłopotu z ugłaskaniem księcia d'Ayen, który twierdził z gniewem, że emisariusze amerykańscy pomagali jego lekkomyślnemu zięciowi przy realizacji jego zamiaru. Okazało się ponadto, że markiz zabrał ze sobą całe mnóstwo francuskich oficerów, zwerbowanych przez Silasa Deane. Franklin myślał z troską o tym, jakie miny będą mieli wojskowi amerykańscy, kiedy ci przeważnie młodzi i zarozumiali panowie obejmą nad nimi komendę. Nie rozwodził się jednak długo nad ciemnymi stronami afery Lafayette'a, poprzestając tylko na prośbie, by pan kolega nie wystawiał już dalszych dyplomów oficerskich. Silas Deane, ciągle jeszcze nieco zdziwiony i skwaszony, przyrzekł mu to solennie.

Miał teraz za to prośbę do Franklina. Ilekroć trzeba coś przeprowadzić, zaczął, czy chodzi o dostarczenie tego mnóstwa rzeczy, których domaga się Kongres, czy o wyjazd Lafayette'a, zawsze, zarówno w sprawach wielkich, jak i drobnych, jest się zdanym na pomoc pomysłowego pana de Beaumarchais. Jest on dotychczas jedynym człowiekiem, który przetransportował do Ameryki pokaźne ilości broni, bez jego pomocy Lafayette nigdy by się z Francji nie wydostał. Ale Silas Deane ma wrażenie, że Franklin nie traktuje tego tak bezgranicznie użytecznego człowieka z tą pełnią uprzejmości, na jaką Beaumarchais zasługuje. Monsieur de Beaumarchais głęboko szanuje Franklina i boli go to, że tak rzadko miewa sposobność zdawać mu sprawę ze swej działalności.

Franklin przyznawał w duchu, że Silas Deane ma rację. Czy sam nie mówił do swego wnuka Williama, że nie traktuje tego monsieur Carona dość serdecznie i uprzejmie? Czy nie opowiadał wnukowi owej historyjki o bronie?

Choćby ten człowiek był nie wiem jak niemiły, powinien go częściej widywać.

- Zanim się tu całkowicie nie urządzę - powiedział - przyjmuję tylko najbliższych przyjaciół: pana i kilku innych. Ale później z prawdziwą przyjemnością pomówię z tym obrotnym panem de Beaumarchais. Nie ulega wątpliwości, że ma pomysły, jest kupcem, jest, jak to oni tutaj nazywają, un debrouillard (człowiek, który umie się wywikłać z każdej trudności) i spryciarzem kutym na cztery nogi.

Zamyślił się chwilę.

- W pierwszych dniach lipca - powiedział wreszcie - mija rok, jak Kongres postanowił proklamować Deklarację Niepodległości. Chyba zaprosimy naszych przyjaciół na małą uroczystość, na której nie zabraknie i pańskiego spryciarza.

Silas Deane uważał, że lipiec to termin trochę za daleki; ale rad był i z tego, podziękował więc doktorowi bardzo serdecznie i oddalił się.

Tego samego dnia zjawił się ku radości Franklina doktor Dubourg. Franklin ostatnio bardzo polubił tego dostojnego, gadatliwego, wykształconego, uprzejmego pana, przeświadczonego o swej ważności. Korzystał z jego pomocy przy wygładzaniu swych francuskich listów i drobniejszych pism, wysłuchiwał tysiąca wielkich i małych, czasami bardzo interesujących, plotek, posługiwał się nim w różnych sprawach. Nie zapominał również, że doktor Dubourg był tym, który zwrócił jego uwagę na Passy i na ogród. Zrównoważonemu Amerykaninowi sprawiało również zawsze uciechę patrzeć, jak ożywiony Francuz łatwo się gorączkuje,

jak nie zna granic w dyskusji i jak jest zdumiony, kiedy mu się to bierze za złe.

Doktor Dubourg opowiadał z dumą, że wydawca Rouault za dwa tygodnie wypuści na rynek czwarte wydanie Poczciwego Ryszarda Franklina. Dubourg odbył w tych dniach na temat swego tłumaczenia długą rozmowę z baronem Grimmem (Frederic Melchior Grimm (1723-1807) - literat i krytyk francuski) z „Encyklopedii”: rozmowa była - Dubourg musi to przyznać - bardzo burzliwa. Świeżo upieczony pan baron zarzucał, że w książce raz po raz powtarzają się słowa: „Biedny Ryszard powiada”. Tymczasem zwrot ten powtarza się na osiemnastu stronach tylko osiemdziesiąt cztery razy. Dubourg dał więc zuchwałemu krytykowi do zrozumienia, że nie jest zadaniem tłumacza psuć to, co napisał autor. Dzieło o takim znaczeniu jak utwór Franklina musi być tłumaczone z pokorą, czcią i wiernością. Są to jednakże cechy, od których baron Grimm jest chyba bardzo daleki.

Franklin zastanawiał się. Po głębszej rozwadze powiedział wreszcie, że musi baronowi przyznać rację. Prawdopodobnie zwrot „biedny Ryszard powiada”, powtarzany tak często, działa w potoczystej, dowcipnej francuszczyźnie bardziej nużąco niż w języku angielskim.

Doktor Dubourg spojrział na przyjaciela ze zdumieniem.

- Chyba nie wystrychnie mnie pan na dudka - obruszył się, - Chyba nie zechce pan twierdzić, że ten świeżo upieczony baron ma naprawdę rację?

- Może - zastanawiał się dalej Franklin - należałoby spróbować skreślić w kilku miejscach słowa „biedny Ryszard powiada”.

Dubourg uśmiechnął się szeroko i powiedział z zadowoleniem:

- A więc mam pańską zgodę, drogi przyjacielu. Aby nie dać baronowi pretekstu do twierdzenia w druku, że zawsze ma

rację, skreśliłem ten zwrot w nowym wydaniu w dwudziestu sześciu miejscach, powtarza się tylko pięćdziesiąt osiem razy. Nie należę do tych skostniałych uparciuchów, którzy nie są zdolni ustąpić w czymkolwiek. W ogóle poddałem nowe wydanie gruntownym przeróbkom, mam nadzieję, na lepsze.

Wziął rękopis i odczytał Franklinowi poprawki. Franklin nie uważał, by różnice były wielkie, nawet ich nie zauważył. Dubourg za to, sapiąc i mlaskając, trudił się w pocie czoła, by go przekonać, ile dzieło zyskało na wygładzeniu. I Franklin, chcąc utrudzonemu przyjacielowi dogodzić, wreszcie przyznał mu słusność.

Potem zaczął rozwodzić się nad trudnościami i niebezpieczeństwami, na które nieraz napotykali zapaleni tłumacze. Opowiadał, ile potu i krwi pochłonęło wspaniałe tłumaczenie Biblii na język angielski. Mówił o tłumaczu Williamie Tyndale, który znalazł liczne piękne ludowe ujęcia, na przykład piękną wersję psalmu dwudziestego trzeciego; musiał jednak zginać na stosie, gdyż chciał zastąpić autorytet nie zawsze logiczny zwykłym logicznym rozumem.

- Tak - zakończył w zamyśleniu - zawód tłumacza bywa czasami niebezpieczny.

Dubourg spojrział na niego niepewnie i zmienił temat rozmowy. Prawdopodobnie pod wpływem słowa „niebezpieczny” mówił teraz o kapitanie Conyngham i jego bohaterskich czynach. Witał z jeszcze większą, bardziej młodzieńczą radością sztuczki i kawały korsarza anizeli Silas Deane. Z naiwną miną spiskowca opowiadał o chytrych manewrach dokonywanych przez kapitanów-korsarzy, którzy na oczach władz angielskich i podjudzanych przez nie władz francuskich zdobywali i spieniężali łupy. Tak więc statki korsarskie, mimo że otrzymały rozkaz opuszczenia w ciągu dwudziestu czterech godzin portu francuskiego, dokąd się schroniły, nie mogły pomimo najlepszej woli wypłynąć, gdyż

wedle opinii rzeczoznawców jakaś dziura nie dawała się naprawić. Na dany znak więc kupcy francuscy wypływali na morze i przejmowali towary od piratów. Tak to w ciągu nocy zmieniły barwy i nazwy statki: „Claredon” i „Hanower Planter”, prezentując się nagle jako „Hancock” i „Boston”. Pomimo całej surowości, jaką rząd wersalski okazywał na zewnątrz, można było liczyć na jego pomoc udzielaną z przymkniętymi oczyma. Vergennes - Dubourg wie o tym z miarodajnego źródła - kiedy Stormont dowiedział mu, że Amerykanie i Francuzi wspólnie spieniężali łupy, podniósł tylko ku niebu oczy i potrząsając głową biadał nad chciwością prywatnych przedsiębiorców.

Doktor zakomunikował teraz swemu wielkiemu przyjacielowi, że ma do niego prośbę. Kapitan James Little zawiązał wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności do portu hiszpańskiego w przekonaniu, że jest to port francuski, i został przez władze hiszpańskie internowany. Sprawa ta blisko obchodzi Dubourga, gdyż włożył w przedsięwzięcie kapitana Little trochę pieniędzy. Czy Franklin nie mógłby interweniować w Madrycie?

Franklin spojrzał na Dubourga, który z miną lekko zakłopotaną bawił się laską. W Madrycie, odpowiedział Franklin, bawi teraz Artur Lee; interwencja Franklina mogłaby więc doprowadzić do niemiłych komplikacyj.

O ile jednak Franklinowi wiadomo, jest w Paryżu pewien człowiek, który trzyma w ręku wiele nici prowadzących do Madrytu, nasz spryciarz, nasz debrouillard, nasz Beaumarchais.

Dubourg parsknął gniewnie. Chętnie pomógłby kapitanowi Little, ale czy będzie mógł upokorzyć się tak dalece - nie dokończył zdania.

Z ożywieniem i zapałem opowiadał teraz, że słyszał wczoraj w Ministerstwie Marynarki o zamiarze wycofania z obiegu

pięknego, wielkiego statku „L'Orfraye” - „Orła Morskiego”, długości pięćdziesięciu metrów, zaopatrzonego w dwadzieścia dwie armaty. Ma zamiar stworzyć konsorcjum dla nabycia tego statku i przerobienia go, by był zdatny do celów korsarskich. Przedsięwzięcie wymaga wysokich inwestycji; może Franklin zechciałby zainteresować tym swego gospodarza, pana de Chaumont. Dubourg mógłby wprowadzić sam z nim pomówić, ale jeżeli inicjatywa wyjdzie od Franklina, jeżeli geniusz wolności we własnej osobie uskrzydli to przedsięwzięcie, wówczas nabierze ono zupełnie innego wiatru w żagle.

O navis referent in marę te novi Fluctus..

zacytował Horacego po łacinie.

Więc cię, nawo, znów pędzą na fale wyroki? (łac.)

Q. Horatius F.. Oda I (XIV), przełożył J. Czubek

Franklin westchnął nad chęcią przygód, którą zdradzał jego przyjaciel. Jeżeli dobrze pamięta Horacego, odpowiedział, w odzie do statku poeta mówi szeroko o troskach towarzyszących morskim wyprawom. I nie byłoby dowodem wdzięczności, gdyby Franklin, zrabowawszy usłużnemu panu de Chaumont piękny dom, chciał go jeszcze ubrać w wyranżerowany statek wojenny.

Dubourg był trochę rozżalony. Mimo to nie robił długich ceregieli, kiedy Franklin poprosił go na kolację. Kamerdyner, monsieur Finck, przygotował, jak zwykle, obfity posiłek, Franklin jadł z lubością. Ku swemu ubolewaniu stwierdził, że doktor Dubourg nie pałaszuje tak namiętnie jak niegdyś. Znowu przekonał się, że przyjaciel szybko się starzeje. Stwierdził nie bez odrobiny lęku, że biedny, drogi Dubourg ma „hipokratesowe oblicze”¹, długo nie pociągnie.

1/Hipokratesowe oblicze (facies Hippocratica) (łac.) - wyraz twarzy ludzi umierających na zapalenie otrzewnej

(peritonitis): zaostrenie i wydłużenie rysów twarzy, szczególnie nosa, nazwa pochodzi od słynnego lekarza greckiego Hipokratesa (ok. 466-377 p.n-e.).

Jeżeli chodzi o samego Franklina, to miał on zamiar pożyczyć jeszcze długo. Ale wiedział, że koniec może przyjść nie dziś, to jutro, i często myślał o śmierci. Nie był sentymentalny. Widział śmierć wielu ludzi, zarówno przyjaciół, jak wrogów. Ponieważ był pisarzem z krwi i kości, więc czując pęd do ujmowania w słowach tego, co myśli o swych przyjaciółach i wrogach, napisał liczne epitafia. Stopniowo weszło mu w krew układanie napisów na groby przyjaciół, wrogów, umarłych, żywych, na swój własny. Pałaszując teraz, aż mu się uszy trzęsły, szukał odpowiednich słów, które by mogły ozdobić nagrobek jego czcigodnego przyjaciela Dubourga.

Ten zaś, przerywając te myśli, powiedział rzeczowym, zatroskanym tonem:

- Trzyma się pan wspaniale, czcigodny przyjacielu, ale mimo to przyglądam się nie bez trwogi, jak dużo pan je. Czy człowiekowi w naszym wieku nie przystoi ostrożny umiar? Pommard, dolewany nam przez pańskiego Fincka, jest istotnie doskonały. A choć wiem, że to po prostu zbrodnia, radzę rozcieńczać go wodą.

Franklin pomyślał: „Jakie to dziwne, ten lekarz nie zdaje sobie wcale sprawy, że ma facies Hippocratica”.

Kiedy Dubourg chwycił za karafkę z wodą, zasłonił ręką kieliszek i powiedział głośno:

- Mój stary, nie cytuję pan Biblii tak dokładnie jak swoich klasyków. Apostoł Paweł nie radził, by dolewać wody do wina, lecz wino do wody.

Następnego dnia, był to wtorek, pojechał Franklin w towarzystwie swego wnuka Williama do Auteuil, by jak każdego wtorku spędzić wieczór u pani Helvetius. Auteuil

było odległe o przeszło dwie mile i Franklin miał zamiar odbyć niedaleką drogę pieszo. Kiedy jednak zajechali do pięknej posiadłości pani Helvetius, był rad, że się ostatecznie zdecydował na jazdę powozem; przyjemnie ukazać się wypoczętym, nie zziąjanym i nie oblanym potem.

Park wyglądał barwnie i wesoło. Dom, jak zawsze, był pełen zgiełku; psy, koty, kanarki, dwie ruchliwe córki pani Helvetius, obaj księża, którzy tak samo jak lekarz, doktor Cabanis, mieszkali w jej domu - wszystko to wzmagało jeszcze głośną wesołość. Zjawiało się również, jak do każdego posiłku w domu madame Helvetius, parę bliskich osób; pani Helvetius miała licznych przyjaciół wśród mężów stanu, literatów i artystów.

Madame Helvetius przywitała Franklina równie hałaśliwie jak wtedy, kiedy po raz pierwszy przekroczył progi jej domu. Chciał tę postępową damę, mającą duże wpływy, jak najmocniej związać ze sprawą swego kraju i dał się do niej chętnie wprowadzić byłemu ministrowi finansów Turgot. Kiedy wszedł, rozpromieniła się i radośnie wyciągnęła do niego piękne, pełne ramię.

- Proszę mnie pocałować w rękę - zawołała - pocałunek nie powinien być zbyt krótki.

Bardzo prędko zawiązała się między nimi zażyła przyjaźń.

I dzisiaj musiał usiąść blisko niej, w granicach, na jakie pozwalała jej szeroka spódnica. Zapytała życzliwie i surowo, czy może znowu nie dotrzymał obietnicy i przyjechał powozem, zamiast przyjść pieszo. Przyznając, że i tym razem był pobłażliwy wobec siebie samego, patrzył na nią z zadowoleniem.

Siedziała w swym fotelu, tęga, okazała. Mimo przekroczonej pięćdziesiątki była biała i różowa, beztriosko uszmkowana: włosy miała ufarbowane niestarannie na kolor jasnoblond. Wiedział, że zdaniem niektórych kobiet wyglądała jak ruiny

Palmiry. Sam był skłonny widzieć jeszcze dokoła niej dawny, budzący podziw blask; jej serdeczność, impulsywność i bystry umysł podobały mu się, jak wielu zresztą mężczyznom. Uważał za naturalne, że i dziś jeszcze, zbliżając się do sześćdziesiątki, pani Helvetius zachowuje się jak urzekająco piękna rozpieszczona dama.

W ciągu tej ożywionej paplaniny na obojętne tematy patrzył na nich ze swego portretu Klaudiusz Adrian Helvetius (filozof francuski), zmarły przed sześciu laty. Franklin poznał go w czasie poprzedniej bytności w Paryżu i nauczył się cenić wysoko.

Olśniewająco piękna Maria Felicja przeżyła ze swym bardzo bogatym mężem, który cieszył się jako filozof nie mniejszym uznaniem niż jako dzierżawca podatków, przeszło trzydzieści bujnych, pogodnych, szczęśliwych lat. Teraz podobizny zmarłego były porozwieszane po całym domu, a model jego grobowca - bolejąca postać z urną - stał na kominku. Ukochany Klaudiusz Adrian zaklinał panią Helvetius na śmiertelnym łożu, by dalej używała życia w miarę sił fizycznych i duchowych, hałaśliwa więc wesołość matki i córek pośród portretów zmarłego i modelu jego grobowca pozostawała w zgodzie z jego ostatnim życzeniem.

Po kolacji doktor Cabanis i ksiądz Morellet, których grze przyglądał się ksiądz de la Roche, rozpoczęli partię szachów, William flirtował z pannami, a Franklin usiadł na osobności obok pani Helvetius.

Zapytała z prostotą:

- Czy widział pan ostatnio panią Brillon?

Pani Brillon, mieszkająca w sąsiedztwie, była piękna, wiotka i młoda; mężem jej był leciwy radca Ministerstwa Finansów.

- Oczywiście - odparł bez wahania Franklin i dodał dobierając nie bez trudu francuskie wyrazy: - Prosiłem panią Brillon, by

mi wolno było jak najczęściej przebywać w jej towarzystwie. Wyraziła gotowość poprawienia mojej francuszczyzny.

- Pańska francuszczyzna, mój przyjacielu - odpowiedziała autorytatywnie pani Helvetius - jest najzupełniej wystarczająca, a metody wychowawcze pańskiej nowej nauczycielki francuskiego wcale mi się nie podobają. Opowiadano mi, że w oczach wszystkich usiadła panu na kolanach.

- I cóż w tym złego? - zapytał naiwnie Franklin. - Czy informatorzy pani nie opowiedzieli również, że madame Brillon, która była bardzo przywiązana do swego ojca, zaadoptowała mnie na miejsce zmarłego?

- Oj, stary łobuzie - powiedziała pani Helvetius. - Przyznaję - ciągnęła - że pani Brillon jest ładna. Czy nie uważa pan jednak, że jest za chuda?

- Stwórca - odpowiedział Franklin - dał pięknu różne formy. Byłoby moim zdaniem niewdzięcznością, gdybym się zanadto specjalizował.

- Nie znoszę kobiet - oświadczyła pani Helvetius krótko i wężłowato. - Plotkują tak ordynarnie. Są takie, które opowiadają, że jestem pyskata i mam maniery praczki.

- Jeżeli praczki paryskie - odpowiedział Franklin - mają pani maniery, to są to maniery królewskie.

Przysunęła się do niego i zapytała:

- Niech mi pan powie z ręką na sercu: list do księdza Morellet napisał pan tylko po to, by mnie zawiadomił o jego treści, prawda?

Sprawa wyglądała tak, że ksiądz odwołał wyznaczone spotkanie z polecenia pani Helvetius, i Franklin opowiadał w obszernym liście, jak bardzo nad tym ubolewa i dlaczego. „Jeżeli nas wszystkich - pisał - mężów stanu, filozofów, poetów, naukowców, przyciąga Notre Dame d'Auteuil - przyjaciele nazywali tak panią Helvetius - jak bursztyn żdźbła

trawy, to dlatego, że w jej miłym towarzystwie znajdujemy przyjazną życzliwość, uczynność i radosny nastrój, którego nam brak, kiedy jej nie ma".

- Ksiądz pokazał pani ten list? - zapytał Franklin udając zakłopotanie.

- Ależ oczywiście - odparła śmiejąc się głośno i ciągnęła dalej:

- Życzę panu tylko, mój chytry staruszk, by próbując przekupić ministrów miał pan u nich tyle szczęścia co u mnie.

Podobne konwersacje prowadzili stale. Pani Helvetius, ekspansywna, hałaśliwa, obejmowała go chwilami i całowała; on był powściągliwy, oszczędny w ruchach, majestatycznie rycerski. Zarówno w jej głośnych, jak w jego dyskretnych komplementach była odrobina ironicznej przesady, ale oboje nie mieli wątpliwości, że pod ich głowami kryje się prawdziwa sympatia. Franklina pociągały jej pewna siebie, światowa mądrość, jej olbrzymi apetyt na ludzi i rzeczy, jej młodzieńcza pełnia życia, jej beztroska naturalność, nawet wulgarny, a zarazem królewski gest, z jakim przechodziła do porządku nad zasadami gramatyki i ortografii. Ona zaś, nie umiejąca wyobrazić sobie życia bez mężczyzn i bez hołdów, znajdowała pokrzepienie w poczuciu, że ten wielki człowiek, którego wyższość przyznawali nawet nieboszczyk Helvetius i jej przyjaciel Turgot, tak wyraźnie ją podziwia i traktuje co najmniej tak samo jak młodą, szczupłą panią Brillon. Kiedy raz, przed dwoma tygodniami, odrzucił etykietalność i swym dźwięcznym, schlebającym głosem zamiast „madame” powiedział do niej „Mario Felicjo”, była do głębi wzruszona.

Tymczasem zjawili się Dubourg i Turgot. Jakub Robert Turgot, baron de l'Aulne, wysoki pan pod sześćdziesiątkę, wyglądał ponad swój wiek staro. Piękna twarz, o mocno zarysowanych wargach i prostym nosie, była poorana zmarszczkami, które szły aż do kątów ust. Turgot i pani Helvetius przyjaźnili się od młodych lat. Chciał się z nią

zenić, kiedy była jeszcze panną de Ligniville, ale oboje byli biedni jak myszy kościelne, więc idąc za głosem rozsądku Maria Felicja odrzuciła jego rękę. Kiedy później wyszła za mąż za bogatego, utalentowanego, cieszącego się szacunkiem, zawsze zadowolonego Helvetiusa, Turgot potępił to gwałtownie, ale pozostał jej przyjacielem i w ciągu lat trzydziestu widywał ją prawie codziennie. Po śmierci Helvetiusa byli oboje bogaci, swobodni i otoczeni szacunkiem. Turgot powtórzył swoją propozycję małżeńską - znowu bez powodzenia. Ale i ta druga odmowa nie powstrzymała go od częstego widywania jej.

Z gruntu uczciwy, namiętny wielbiciel rozsądku, Turgot cieszył się w szerokich kołach sympatią i poważaniem. Również doktor Dubourg był do niego szczerze przywiązany i wysoko go cenił, choć nie umiał się powstrzymać od niewczesnych, dobrodusznie niemrawych uwag, że w czasie swego urzędowania Turgot powinien był to i tamto zrobić, a tego i tamtego unikać. Dubourg i dziś wystąpił z powtarzanym od dawna wyrzutem, że Turgot powinien był wtedy wyasygnować na insurgentów trzy do pięciu milionów. Turgot, panując z początku nad sobą, tłumaczył mu po raz dziesiąty, a może dwunasty, że zaszkodziłoby to jego reformom; gdyby wydał choć centyma na coś innego, przeciwnicy mieliby podstawę do uzasadnionych ataków. Dubourg nie zadowolili się tą odpowiedzią, kłuił dalej, drażliwy Turgot replikował gwałtownie. Daremnie pani Helvetius usiłowała ich pogodzić. Turgot oświadczył wreszcie, że jego działalność urzędową należy rozpatrywać jako całość, czego Dubourg niestety nie chce zrozumieć. Dubourg, ciągnął dalej Turgot, rozgoryczony jego uporem, gubi się w szczegółach zapominając o całości. Taka metoda jest może wskazana w filologii, ale nic nie jest warta w dziedzinie nauki o państwie. Na to Dubourg przytoczył słowa pewnego filozofa

rzymskiego, że suma składa się z samych dodajników, to znaczy z poszczególnych pozycji. Mówił głośno, rozgorączkowany, Turgot nie posługiwał się również szeptem, psy ujadły. Nastrój panował wojowniczy.

Wreszcie Turgot zwrócił się do Franklina, by przyznał, że nie tylko rozumiał jego sposób postępowania, ale go również pochwalał.

- Pochwalał - odrzekł Franklin - to trochę za wiele, ale muszę przyznać, że mam zrozumienie dla pańskiego zachowania.

Po chwili - czekał tylko na tę sposobność - oświadczył, że już od dawna chciał zwrócić uwagę swych czcigodnych, spierających się ze sobą przyjaciół na pewną zbyt mało znaną opowieść z Biblii. Powiedziawszy to zwrócił się z następującymi słowami do księdza de la Roche:

- Może kochany ksiądz zechce opowiedzieć obu panom przypowieść o tolerancji z pierwszych ksiąg Mojżeszowych.

Po chwili namysłu ksiądz oświadczył, że nie wie, którą przypowieść Franklin ma na myśli; nie orientował się, o co właściwie Franklinowi chodzi. Doktor pokręcił głową i dał wyraz zdumieniu, że przypowieść ta jest tak mało znana; najmądrzejsza to spośród różnych mądrych przypowieści, które zawarte są w Biblii obok wielu pustych i zawikłanych. Znając niecierpliwość obu swoich przyjaciół i przewidując, że stara sprzeczka wybuchnie na nowo, przyniósł ze sobą Biblię. Niechaj zebrani pozwolą mu przeczytać odnośny rozdział. Wyciągnął z kieszeni surduta małą Biblię.

- Jest to rozdział trzydziesty pierwszy z pierwszych ksiąg Mojżeszowych - zapowiedział.

Potem zaczął czytać, jak to z pustyni przychodzi do Abrahama obcy człowiek zgięty wpół ze starości, opierając się na lasce.

- Abraham, który siedział przed namiotem, wstał i powiedział do niego: „Wejdz, proszę cię, umyj nogi i przenocuj tutaj. Wczesnym rankiem wstaniesz i pójdziesz sobie”. A obcy

człowiek rzekł: „Nie, chcę się modlić do mego Boga pod tym drzewem”. Ale Abraham upierał się i nalegał, człowiek zgodził się, weszli do namiotu, Abraham upiekł chleb i zjedli go. Zobaczywszy, że przybysz nie dziękuje Bogu i nie błogosławi go, Abraham rzekł do niego: „Dlaczego nie czcisz wszechpotężnego Boga, który stworzył niebo i ziemię?” Człowiek odpowiedział: „Nie chcę czcić twego Boga ani wzywać jego imienia, sam stworzyłem dla siebie Boga, który zawsze przebywa w moim domu i zaopatruje mnie we wszystko, co mi jest konieczne”. Abraham zapłonął gniewem przeciw obcemu, wstał, rzucił się na niego, uderzył go i wypędził na pustynię. Wtedy Bóg objawił się Abrahamowi i rzekł: „Abrahamie, gdzie jest twój gość?” Abraham odpowiedział: „O, Panie, nie chciałem Cię czcić ani wzywać Twego imienia, przepędziłem go więc sprzed mego oblicza na pustynię”. Na to Bóg: „Znosiłem go przez dziewięćdziesiąt cztery lata, karmiłem i odziewałem, choć serce miał dla mnie zamknięte, a ty, sam grzeszny, nie mogłeś z nim wytrzymać jednej nocy?”

Franklin zamknął książkę.

- Niezła przypowieść - powiedział doktor Cabanis.

- To dziwne - rzekł pogrążony w myślach ksiądz Morellet - ale nie mogę sobie tego rozdziału przypomnieć, tak samo jak ksiądz de la Roche.

Franklin dał im swoją Biblię, obaj księża pochyliли się nad nią. Widniało tam jasno i wyraźnie staroświeckimi literami: Genesis, rozdział trzydziesty pierwszy.

- Proszę powiedzieć uczciwie - zapytała Franklina pani Helvetius, kiedy znaleźli się sami - kto napisał ten rozdział. Pan Bóg czy pan?

- My obaj - odparł Franklin.

Tegoż wieczoru Turgot dogadał, się z doktorem Dubourg, dla którego Franklin miał dużo przyjaźni. Oczywiście byłoby dla

sprawy amerykańskiej niezwykle korzystne, gdyby Turgot wyasygnował swego czasu pieniądze, ale Franklin szanował go właśnie dlatego, że nigdy nie szedł na kompromisy. Oczywiście nie można takiej metody stosować w praktyce, ale była to propaganda jasnych niezmiennych ideałów na użytek potomności.

Literat Franklin zastanawiał się, jakby to, co myślał o ministrze Turgot, wyrazić jakimś jednym zdaniem. Flirtując z panią Helvetius, znalazł sformułowanie:

Turgot nie nadawał się na męża stanu w wieku osiemnastym, ale byłby znakomitą postacią w wieku dziewiętnastym.

Wbrew zwyczajowi Pierre siedział przy swym przepięknym biurku zatopiony w myślach. Nie należał do ludzi, których zżera troska o dzień następny; żył dniem dzisiejszym i wiecznością, a nie dniem jutrzejszym. Nie ukrywał jednak przed sobą, że najbliższa przyszłość przyniesie poważne kłopoty. Kiedy zażądał dziś od swego sekretarza Maigrona parszywych ośmiu tysięcy liwrów z kasy firmy Hortalez, ten wygrzebał je z trudem. Przy wręczaniu pieniędzy twarz Maigrona wydała mu się jeszcze bardziej szara niż zazwyczaj. Jakże ma wyglądać najbliższa przyszłość? Za trzy dni płatny jest Wechsel firmy Testard i Gachet, siedemnastego trzeba zwrócić pierwsze ćwierć miliona panu Lenormant, jeżeli ma być podpisana umowa w sprawie statku wojennego „L'Orfraye”, trzeba od razu upłynnić co najmniej sto tysięcy liwrów. Można ten statek kupić za bezcen. Czy ma z niego zrezygnować tylko dlatego, że na razie jest goły?

Przecież nie jest durniem. Od pierwszej chwili, kiedy tylko doszło do jego uszu, że „L'Orfraye” jest do nabycia, był zdecydowany kupić go. Trójpokładowiec pięćdziesiąt metrów długi, uzbrojony w pięćdziesiąt dwie armaty: W dodatku ta wspaniała rufa. Serce mu rośnie, kiedy pomyśli, jak ten

królewski ptak o zakrzywionym dziobie będzie leciał na czele jego transportu.

Musi jednak mieć w najbliższych dniach pieniądze, musi zdobyć na jutro przynajmniej sto tysięcy liwrów, inaczej statek ucieknie mu sprzed nosa. Konkurenci ubiegają się o niego gwałtownie, tak go poinformował jego mąż zaufania w Ministerstwie Marynarki. Konkurentem jest Dubourg. Ale ten uczony osioł, nadęty jak purchawka, pozbawiony wszelkich atutów poza tym, że wielki Franklin jest jego przyjacielem, poparzy sobie palce.

Pierre wie dokładnie, jak wszystko zaaranżować, by złapać „Orła Morskiego”, wie, komu trzeba posmarować łapę. To śmieszne, żeby szef firmy Hortalez musiał łamać sobie głowę, skąd wziąć pieniądze, tych nędznych sto czy dwieście tysięcy liwrów. Ale kto mógł przewidzieć, że amerykańscy szermierze wolności okażą się tak kiepskimi płatnikami? Tylko wieczny pesymista Charlot bełkotał coś na ten temat. To zawstydzające i groteskowe, że ma na razie rację.

Równocześnie Amerykanie powitali z entuzjazmem i z wielkimi honorami wpłynięcie do portu New Hampshire trzech jego statków. Ale statki te nie przywiozły z powrotem ani pieniędzy, ani weksli, tylko kilka pak tytoniu, które nie pokrywały nawet ośmiu procent rachunków firmy Hortalez. Ładunek, który przywiózł drugi transport, pokrywał zaledwie cztery procent rachunku. Silas Deane pełen najlepszych chęci wił się, wiercił i tłumaczył z zakłopotaniem, że winę za opieszałość Kongresu ponosi jedynie Artur Lee, który w swych złośliwych oszczerczych raportach utrzymuje, iż dostawy należy traktować jako zamaskowane podarunki rządu francuskiego. „Ach, ci Amerykanie” - mruknął Pierre i zmierzwił łeb swej suki Caprice.

Biadając tak, miał na myśli jednego tylko Amerykanina - nie był nim Artur Lee. Interwencje nie pozostałyby z pewnością

bez skutku, gdyby inny zadał sobie trud i otworzył gębę. Ale ten ktoś inny nie chciał zadać sobie trudu, trwał w swojej niepojętej, dręczącej obojętności. Ten ktoś inny oświadczał, że umowy sięgają okresu, w którym go nie było, że zawierał je Silas Deane i do niego należy się zwracać. Tymczasem Silas Deane był pomimo całej swojej dobrej woli bezsilny, jeżeli nie popierał go tamten.

Choć Pierre na ogół szczerze omawiał z najbliższymi swoje sprawy, o swych niezadowolających stosunkach z Franklinem nie rozmawiał z nikim, nawet z Pawłem. Teraz jednak, przed zakupieniem „L'Orfraye”, będzie chyba musiał omówić z Pawłem otwarcie cały stan interesów i wtedy nie da się pominąć milczeniem tej historii z Franklinem.

Kiedy Pierre podzielił się z Pawłem zamiarem nabycia „L'Orfraye”, ten powiedział:

- To wysoka gra.

- Czy mam pozostawić statek innym? - zapytał Pierre - Chaumontowi, Dubourgowi i ich towarzyszom?

Paweł zrozumiał w lot. Chodziło o coś więcej niż o statek. Na razie firma Hortalez była nieodzowna, na razie tylko Pierre dysponował dostateczną ilością statków i amunicji, by uchronić Amerykanów od kapitulacji. Jeżeli jednak ci, którzy stale otaczają Franklina, będą w stanie wysyłać do Ameryki dostateczne ilości statków i broni, to wystrychną go na dudka i zrobią z firmy Hortalez szyld, za którym nie będzie się nic kryło.

- Maignon spisuje się świetnie - powiedział Paweł. - Nikt inny nie osiągnąłby tego, by każdy weksel był wykupiony w terminie. Zapytuję jednak, jak potrafi wykupić weksel Testarda i Gacheta i wypłacić panu Lenormant ćwierć miliona.

- Możemy się zdać na Silasa Deane – odpowiedział Pierre.

- Tak, na Silasa Deane - zakończył Paweł rozmowę. Pierre wiedział, że przyjaciel jest zorientowany.

Od czasu rozstania się z Franklinem w Nantes Paweł widział go dwukrotnie na wielkich przyjęciach. Na ogół bynajmniej tchórzem nie podszyty, nie miał odwagi zbliżyć się do niego; dziwny i obraźliwy sposób, w jaki doktor traktował jego przyjaciela i szefa, bolał go i onieśmiał. To, że na ogół tak skory do zwierzeń przyjaciel ukrywa swoją gorycz, było dla niego dowodem, jak głęboko dotykał go chłód Franklina. Teraz kiedy Pierre nawet w dzisiejszej rozmowie krążył niejasno dokoła zasadniczej przyczyny wszystkich przeciwności, Paweł postanowił pójść do Franklina i bez ogródek, nie mówiąc o tym z Caronem, zapytać doktora, dlaczego nie chce z nim pracować.

Pierre czekał na to, by Paweł zaczął mówić o uporze Franklina. Było mu przykro, że tego nie zrobił. Wreszcie niecierpliwie, niemal gniewnie zaczął sam:

- Przecież kiedyś wpłyną pieniądze amerykańskie.

- Ale chyba nie przed terminem ostatniej raty płatności za „L'Orfraye” - odrzekł Paweł.

- Raczy pan dziś, mój przyjacielu, widzieć wszystko w wyjątkowo czarnych kolorach.

- Na pańskim miejscu - upierał się Paweł - nie wstawiałbym do kalkulacji dotyczących nabycia „L'Orfraye” żadnych amerykańskich wpłat.

- Nie mogę sobie wyobrazić - powiedział ponuro Pierre - żeby następnych pięć transportów również nie przywiozło pieniędzy.

- Nadzieja to zły doradca - rzekł Paweł.

- Jest pan na swoje lata bardzo mądry - odparł Pierre. - Powiedzonko pańskie mogłoby w tłumaczeniu doktora Dubourg znaleźć się w almanachu mądrości naszego przyjaciela z Passy.

- Będzie pan mógł nabyć „L'Orfraye” - powiedział Paweł krótko i węzłowato - jeśli pan Lenormant otworzy panu nowy kredyt albo przynajmniej sprolonguje stary.

W gruncie rzeczy Pierre wiedział od pierwszej chwili, że chcąc kupić „L'Orfraye” będzie musiał prosić Lenormanta o przesunięcie terminu płatności, ale nie chciał sobie tego uświadomić. Teraz, kiedy Paweł ujął ten niemiły fakt w krótkie i jasne słowa, Pierre przypomniał sobie przestrożę Desiree.

Widząc, jak dręcząca jest dla przyjaciela myśl o panu Lenormant, Paweł zapytał:

- Czy mam z nim pomówić?

Carona kuśilo, by przyjąć tę propozycję. Odpowiedział jednak:

. - Nie, nie, mój przyjacielu, sam pomówię z Charlotem.

Kiedy zapowiedział mu swoją wizytę, Lenormant zaprosił go na przyjęcie, które miało się odbyć nazajutrz. Wzięło w nim udział niewielkie, wybrane grono wielkich panów i pań, jedynie Pierre nie należał do rodowej szlachty. Był w doskonałym nastroju, miał coraz to nowe, wesołe pomysły. Patrzono na niego i słuchano go; w pewnej chwili doleciały go wyraźnie słowa księcia de Montmorency, wypowiedziane do gospodarza: „Tego de Beaumarchais mógłbym słuchać do jutra rana”. Miało się wrażenie, że pan Lenormant jest ze swego przyjęcia bardzo zadowolony.

Kiedy się podniósł od stołu, Pierre zatrzymał go.

- Chwileczkę, mój stary - powiedział lekkim tonem, trzymając jeszcze w ręku kieliszek koniaku. - Zdaje się, że wkrótce płatny jest jeden z naszych weksli z tej pożyczki amerykańskiej. Przypuszczam, że sprolongowanie go o kilka miesięcy nie sprawi panu trudności.

Pan Lenormant patrzył przyjaźnie na Beaumarchais'go swymi zamglonymi oczyma. Oczekiwał tej prośby od dawna;

prawdopodobnie dlatego tylko udzielił mu pożyczki, że obiecywał sobie rozmowę tego rodzaju. Interes z Amerykanami okazał się przedsięwzięciem, na które może się odważyć tylko człowiek o długim oddechu, a oddech posiadał on, Charlot, a nie Pierre. Stoi teraz przed nim Pierrot, człowiek bardzo utalentowany, miły, ale należący do tych, którym nie było dane cierpieć, a więc również doznać prawdziwych przeżyć. Wszystko przychodziło mu zawsze łatwo, podporządkowywało mu się, uważał za zrozumiałe, że ludzie współzawodniczą ze sobą w wyświadczeniu mu uprzejmości. Na przykład Desiree. Charlot zabiegał o nią, cierpiał z jej powodu, lecz potrafił osiągnąć tylko tyle, że z nim spała; należała jednak do tamtego, do jego przyjaciela Carona, kochała go, a on sobie nawet z tego nie zdawał sprawy. Stoi teraz przed nim i żąda, by jeszcze na jakiś czas pożyczył mu te ćwierć miliona, zapewne na wieczne nieoddanie. Bagatelizuje całą sprawę i nie wątpi ani na chwilę, że Charlot wyświadczy mu tę przysługę.

Charlot nie zazdrościł Caronowi, że tak łatwo daje sobie radę z życiem i ludźmi, uważał jednak, że może mu tylko wyjść na dobre, jeżeli raz usunie mu się trochę grunt spod nóg.

Przez cały ten czas Charlot nie wiedział, czy kiedy już do tego dojdzie, spełni prośbę Beaumarchais'go, nie wiedział tego nawet wtedy, kiedy Pierre wystąpił z prośbą. Teraz w ciągu trzech sekund, patrząc na tę ładną młodzieńczę, zadowoloną z siebie twarz, powziął decyzję. Wargi jego wykrzywił złowieszczy uśmiezek, który tak zawsze wyprowadzał z równowagi Beaumarchais'go. Spokojnie, cichym, lepkiem głosem odpowiedział:

- Usłyszałem dziś od pana moc doskonałych dowcipów, Pierrot, ale ten jest najlepszy. - To powiedziawszy pochylił lekko głowę i udał się do swych gości.

Pierre został sam w urządzonej z przepychem i smakiem jadalni. Otaczał go zapach dopalających się świec i resztek wina, lokaje zaczęli sprzątać ze stołu. Wyciągnął machinalnie z wazki cukierek, nadgryzł go. Był pewien, że Charlot zgodzi się na prolongatę. Nie pojmował, co mu się stało, dlaczego tak wobec niego postąpił. Jemu samemu obca była wszelka radość z cudzego nieszczęścia. Oczywiście Charlot należał do wielkich panów, którzy miewają napady zuchwałej, szaleńczej pychy. A może był i zazdrosny.

Lokaje sprzątając ze stołu, przyglądali się ze zdumieniem wspaniałemu panu, który stał w jadalni, widocznie czymś poruszony i zatopiony w myślach, ssąc cukierek. Ale nie wyśmiewali się z niego. Caron de Beaumarchais, autor Cyrulika, był przez szarych ludzi lubiany. Nie brali mu za złe jego zbytku, byli mu wdzięczni, że stanął po ich stronie przeciw uprzywilejowanym. Zwłaszcza lokaje, kelnerzy i cyrulicy widzieli w autorze Figara swego poetę i anioła opiekuńczego.

Opamiętał się, pojechał do domu. Siedział w powozie wyprostowany, wytworny, odpowiadał na ukłony. Ale duchem był nieobecny. Charlot chce go pozbawić oddechu.

Charlot chce pokazać Desiree i światu, że Beaumarchais to pyskacz, zawodzący pokładane w nim nadzieje. Dowiedzie mu, że się pomylił. Właśnie teraz kupi ten okręt i rzuci Chariotowi pod nogi owe parszywe ćwierć miliona.

Pokaże, co potrafi, tym wszystkim przeklętym, pyszałkowatym arystokratom. Także i hrabiemu Vergennes, który też jest ulepiony z tej samej gliny. Odkąd Franklin przebywa we Francji, traktuje go lekceważąco. Widocznie hrabia sądzi, że może go teraz odrzucić jak zniszczoną rękawiczkę. Ale myli się. Nie był ani trochę zniszczony. Czy ci panowie naprawdę uważają, że ta pusta głowa Chaumont i ten stary osioł Dubourg potrafią załatwiać ich interesy?

Przecież Dubourg przyleciał do niego w sprawie tego półgłówka, kapitana Little, który wylądował w Hiszpanii, bo nie umiał odróżnić brzegu hiszpańskiego od francuskiego. Jeżeli nawet jemu nie byli w stanie pomóc, to jakże chcą zdobyć okręty i broń dla Ameryki? I Vergennes ufa takim ludziom! Naprzód wciągnął go w to niebezpieczne przedsięwzięcie, a teraz zostawił go na lodzie z powodu jakiegoś Chaumonta i jakiegoś Dubourga. Zdaje mu się, że może po nim deptać, bo Pierre nie jest arystokratą ani przyjacielem wielkiego Franklina. Ale przeliczy się pan hrabia Vergennes!

Zły, z powziętą decyzją, udał się Pierre do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Nie poszedł do paryskiej siedziby ministerstwa przy Quai des Theatins, lecz zajechawszy do Wersalu z wielką pompą, w otoczeniu lokat w liberii i swego Murzyniątka, zażądał rozmowy z hrabią Vergennes. Przyjął go jednak tylko pan de Gerard i oświadczył uprzejmie, że minister jest bardzo zajęty; może Pierre powie jemu to, co chciał powiedzieć ministrowi. Nie, odpowiedział z naciskiem Pierre, to niemożliwe. To nie tylko dla niego jest kwestią życia lub śmierci - tu chodzi o bardzo ważne sprawy Korony. Po pewnych ceregielach wpuszczono go.

Jeżeli Pierre sądzi, że minister ma w stosunku do niego wyrzuty sumienia, to się myli. Hrabia Vergennes był pogodnym sceptykiem. Wierzył, że pan Caron, występując w imieniu Ameryki, dba o dobro sprawy, ale nie wątpił też, że głównie chodzi mu o własny zysk. Działalność pana Caron była dla rządu pożądana, więc dał mu niemałą subwencję. Ale pewne ryzyko, tak to było pomyślane od początku, musiał pan Caron wziąć na siebie; jako rekompensatę miał szansę olbrzymich zysków. Jeżeli Amerykanie zalegają z płatnościami, to pan Caron musi na własną rękę szukać wyjścia z tych chwilowych kłopotów.

Hrabia Vergennes uznawał zasługi pana Carona, lubił tego dowcipnego, utalentowanego człowieka, ale widział też jego niemiłe cechy; jego nadymanie się i pyskowanie przyczyniło rządowi niemało kłopotów. Szczęście, że teraz Franklin objął kierownictwo amerykańskich spraw. Pan Caron to lekkoduch, którego się chętnie widzi, natomiast doktor Franklin to mąż stanu i uczony największej miary, pełen rozwagi i spokoju.

Kiedy więc stanął przed nim Pierre, Vergennes spojrzał na niego mądrymi, okrągłymi oczami, czekając uprzejmie, co powie. Pierre nie chciał zaczynać od spraw finansowych, toteż zaczął od walki o swą rehabilitację. Znane niedbalstwo biurokracji, narzekał, odsuwa w nieskończoność wznowienie postępowania; byłby ministrowi bardzo zobowiązany, gdyby jakimś słówkiem pobudził biurokratyczną szkapę do galopu.

Vergennes odpowiedział, że pismem swym do generalnego prokuratora chyba wystarczająco pomógł sprawie pana Beaumarchais, ale skoro tylko zobaczy kolegę z resortu sprawiedliwości, przypomni mu o tym liście.

Pierre wyczuł w słowach ministra ów cień niezadowolenia, jakiego doznawał sam, odprawiając natrętnych petentów.

Z tym większą zawziętością postanowił strącić hrabiego Vergennes z jego wysokiego piedestału. Jeżeli hrabia pozwolił sobie wobec niego na ten gest, to niechże przynajmniej za to zapłaci. Pierre wyciągnie pieniądze od tego pana, który siedzi przed nim dumny i zamknięty w sobie.

Mówił o swoich trudnościach finansowych, o niepojętej opieszałości Kongresu, który nie odpowiada na listy i nie płaci rachunków. Opisał w sposób dramatyczny, jak w bardzo krótkim czasie udało mu się z niewiarygodnym wysiłkiem zdobyć wielkie ilości sprzętu wojennego, jak wśród niebezpieczeństw, które są ministrowi znane, sprzęt ten wysłany został przez ocean i dotarł do rąk powstańców. Ale Kongres poza suchym potwierdzeniem odbioru nie odezwał

się ani słowem. Pierre stoi teraz przed najgorszą ostatecznością. W dostawy, których żądało od niego państwo, zainwestował majątek, honor i talent, a teraz został pozbawiony owoców swych najszlachetniejszych, wprost nadludzkich wysiłków.

Minister bawił się obsadką pióra i patrzył na Beaumarchais'go z biernym ubolewaniem.

- Dlaczego nie zwraca się pan wprost do Amerykanów? - zapytał wreszcie. - Przecież mają tu teraz swoich przedstawicieli.

I ten sposób pozbywania się petentów przy pomocy mdłych rad nie był Caronowi obcy, sam stosował od czasu do czasu podobną metodę. Nigdy jednak nie postępował tak z człowiekiem, wobec którego miał takie zobowiązania, jak Vergennes wobec niego. Czy podobne rady nie były czystym szyderstwem? Franklin powiada: „Niech się pan trzyma Deane'a". Deane zaś mówi: „Niech pan idzie do Franklina". A teraz ten Vergennes radzi mu: „Niech pan idzie do Amerykanów".

Minister ciągle jeszcze bawił się piórem. Te niewinne ruchy oburzyły Beaumarchais'go bardziej jeszcze niż jego słowa. Przez cały czas ociągał się przed użyciem najskuteczniejszej broni; nie była to broń szlachetna. Ale ci arystokraci zmuszają go do tego przez swą nikczemność. A jeżeli nawet nie jest to broń szlachetna, to cóż z tego? Przecież nie był arystokratą!

Oświadczył więc, że w interesie ojczyzny włożył w firmę Hortalez nie tylko własne pieniądze; by zrealizować olbrzymie dostawy, musiał wziąć na siebie olbrzymie zobowiązania. Część tych zobowiązań jest teraz płatna. Pierre nie wie, jak sobie poradzić, stoi u progu ruiny, grozi mu bankructwo i skandal, trudno mu będzie znaleźć usprawiedliwienie bez popełnienia sensacyjnych niedyskrecji.

Minister podniósł głowę, na chwilę w okrągłych jego oczach pojawiły się złe błyski. Ale już po upływie kilku sekund wzrok nabrał dawnego martwego wyrazu i minister w dalszym ciągu bawiąc się piórem oświadczył:

- Uratuje się pana od ostateczności.

Było to powiedziane tonem, jakiego Pierre nigdy przedtem nie słyszał i jakiego hrabia Vergennes z pewnością nigdy wobec niego nie używał. Była w tym tonie nienaganna, ale lekceważąca uprzejmość, coś w rodzaju obrzydzenia, niewypowiedziana pycha, zakreślająca ostrą granicę między mówiącym a tym, do którego jego słowa były skierowane. Miało się wrażenie, jakby minister chciał powiedzieć: „Proszę mnie nie dotykać”.

- Uratuje się pana od ostateczności - powtórzył tym samym pogardliwym tonem. - Ile pan żąda?

Pierre czuł się tak, jak gdyby minister starannie wypielęgnowaną ręką uderzył go w twarz. Przełknął ślinę. Przyszedł, by zażądać trzysta pięćdziesiąt tysięcy liwrów - sto pięćdziesiąt dla Lenormanta, sto pięćdziesiąt na zakup statku - był przygotowany na to, że minister zredukuje tę sumę.

- Pięćset tysięcy liwrów - powiedział, przeświadczony, że teraz rozpocznie się między nim a hrabią Vergennes ostry spór.

Nic podobnego nie nastąpiło. Przeciwnie, minister oświadczył ciągle tym samym, nieopisanie wyniosłym tonem, wznoszącym nieprzebyty mur:

- Dobrze. - Nie powiedział nawet: „Dobrze, monsieur”, lecz krótko, uprzejmie, z niesmakiem: - Dobrze. - A po krótkiej chwili dodał: - Nic więcej?

Nie, nie miał już nic więcej do powiedzenia.

- Dziękuję, panie hrabio - powiedział Pierre. Miało to brzmieć obojętnie, rzeczowo, ale Pierre nie potrafił zapobiec temu, że była w tych jego słowach jakaś pokora i pewne uczucie ulgi.

Pomyślał sobie przy tym coś niesłychanie plugawego: Jakże nienawidził tego ministra i jak mu zazdrościł jego tonu.

Wyszedł. Jechał z powrotem ze swoimi lokajami w liberii, ze swoim Murzyniątkiem i zgodą na wypłacenie pół miliona, pełen bezgranicznej furii.

Osiągnął, czego chciał. Więcej nawet. Prawdopodobnie zostanie również przyspieszone wznowienie procesu. Na pewno będzie mógł zaspokoić żądania Lenormanta i pozostaną mu jeszcze środki na kupno okrętu „L'Orfraye”. Ale nie cieszyło go to wszystko.

- Jesteśmy w bardzo złym humorze, moja przyjaciółko - powiedział do swej suki Caprice.

Słowo francuskie „bagatele” posiadało i posiada różne znaczenia. Oznacza ono: drobiazg, drobnostkę, oznacza również - sprawę poboczną. Błazeńskie krotchwile, którymi kuglarze rozpoczynają swe występy, to „bagatelles de la porte”, „ce sont les bagatelles de la porte”- co znaczy: to jeszcze nic, usłyszycie coś o wiele lepszego. Słowo „bagatelle” oznacza dalej: ulubionego „konika”, przedmiot, który się lubi, czasem przygodę miłosną, flirt. „Ne songer qu'a la bagatelle” znaczy myśleć tylko o miłostkach.

Doktor Franklin używał z lubością dwóch francuskich zwrotów. Jeden brzmiał: „Ca ira”, drugi „Vive la bagatelle!”

Latem w tymże roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym siódmym Franklin siedział w Passy; ponieważ nie mógł robić nic innego, jak tylko czekać, zabijał czas bagatelkami. Były to bagatelki sensowne, jedne zacieśniały i stosunki z przyjaciółmi, inne służyły jego wielkiej sprawie.

Od czasu zwycięstw pod Trenton i Princeton niewiele się słyszało o sytuacji militarnej. Franklin miał podstawy do przypuszczenia, że nie jest najlepsza. Anglicy wysłali do Ameryki nowe wielkie transporty wojsk; byli wśród nich

Niemcy, których księżę heski sprzedał jako żołnierzy najemnych. Ten stan rzeczy pobudził Franklina do pewnej „bagatelki”.

Wczesnym rankiem siedział nagi przy biurku, otoczony książkami, i pisał. Opracowywał tekst listu w języku francuskim, listu fikcyjnego nadawcy do fikcyjnego adresata.

Rzucił okiem na to, co napisał dotychczas. „Hrabia von Schaumberg do barona Hohendorfa, komendanta wojsk heskich w Ameryce. Rzym, 18 luty 1777”. Tak, to było dobre, hrabia Schaumberg to dobre nazwisko dla jednego z tych małych księząt niemieckich. Również i data wybrana została wiarygodnie. Wiadomość o klęsce pod Trenton nie mogła dotrzeć do owego hrabiego von Schaumberg przed połową lutego i było również wiarygodne, że pan, który handluje poddanymi, sumy zarobione na ich skórze przepuszcza nie w mroźnych zimach Niemczech, lecz w uroczych Włoszech.

Franklin czytał dalej: „Drogi mój Baronie, po powrocie z Neapolu otrzymałem tu, w Rzymie, Pański list z 27 grudnia roku ubiegłego. Z największą satysfakcją dowiedziałem się, jaką odwagę okazały nasze wojska pod Trenton; nie może Pan sobie wyobrazić, jak byłem ucieszony dowiedziawszy się w dodatku, że z tysiąca dziewięciuset pięćdziesięciu żołnierzy heskich, biorących udział w tej bitwie, uratowało się tylko trzystu czterdziestu pięciu. A więc zabito tysiąc sześciuset pięciu ludzi. Proszę Pana usilnie o wysłanie na ręce mego posła w Londynie dokładnej liczby poległych. Jest to konieczne, gdyż raport oficjalny przesłany ministerstwu angielskiemu podaje tylko tysiąc czterystu dwudziestu pięciu. Dawałoby to nie czterysta osiemdziesiąt trzy tysiące sto pięćdziesiąt guldenów, lecz sześćset pięćdziesiąt cztery tysiące pięćset. Rozumie Pan z pewnością, Panie Baronie, jak bardzo ta pomyłka obniża moje dochody; nie wątpię, że zechce Pan

donieść premierowi angielskiemu, iż jego lista jest w przeciwieństwie do naszej fałszywa".

Na ustach Franklina, które się podczas czytania coraz bardziej rozszerzały, pojawił się uśmiech zarazem zadowolenia i złośliwości.

Potem pisał dalej: „Rząd angielski zwraca uwagę, że około stu ludzi odniosło jedynie rany, nie można ich więc ani umieścić na liście, ani uwzględnić przy wypłacie. Liczę jednak, że zastosował się Pan do instrukcji, jakich udzieliłem Panu przed Pańskim wyjazdem z Kassel, i nie będzie Pan, ulegając humanitarnym mrzonkom, utrzymywał przy życiu owych nieszczęśliwców, których dni mogą być przedłużone jedynie za cenę utraty nogi lub ręki. Skazałoby ich to tylko na smętną wegetację i jestem przekonany, że ludzie ci wolą umrzeć aniżeli być w stanie czyniącym ich niezdolnymi do służby w moich szeregach. Nie znaczy to, drogi mój Baronie, że ma ich Pan wysłać na tamten świat - musimy być humanitarni. Ale może Pan z naciskiem dać lekarzowi do zrozumienia, że żołnierz kaleka to wstyd i hańba dla całego żołnierskiego stanu i że jeżeli wojak nie jest już zdolny do walki, to najlepsze wyjście jest pozwolić mu umrzeć.

Posyłam Panu nowych rekrutów. Niech Pan ich zbytnio nie oszczędza. Proszę pamiętać, że najwyższym dobrem na ziemi jest sława. Sława to prawdziwe bogactwo i nic bardziej nie zbezczeszcza żołnierza jak żądza złota. Żołnierz winien mieć na oku wyłącznie honor i sławę, a sławę tę może zdobyć jedynie pośród niebezpieczeństw. Bitwa wygrana bez wielkiego upływu krwi jest sukcesem niesławnym, podczas gdy nawet zwyciężeni okrywają się sławą, jeżeli giną z bronią w rękę. Proszę przypomnieć sobie trzystu Lacedemończyków, którzy bronili Termopil. Byłbym dumny, gdyby mi wolno było powiedzieć to samo o moich heskich żołnierzach".

Stary pisał dalej w tym samym duchu. Pisał szybko, zdanie pędziło za zdaniem, konsekwentne, jadowite. Pisał po francusku; kiedy nie znajdował właściwego słowa francuskiego, stawiał na jego miejsce angielskie. Stwierdziwszy, że to, co napisał, było dobre, uśmiechnął się złośliwie, a zarazem radośnie. Sumienny również w drobiazgach, przepisał jeszcze całość, tym razem dobierając bardziej starannie francuskie zwroty. Potem schował rękopis i poszedł się kąpać. Leżał długo w gorącej wodzie, kazał sobie dwa razy dolać wrzątku, drapał się i był zadowolony.

Po południu zjawił się ksiądz Morellet. Franklin, zobowiązawszy go do dyskrecji, pokazał mu list księcia heskiego, prosząc, by nieco wygładził jego francuszczyznę. Zabrali się do roboty, przyjemnie było patrzeć, z jakim zrozumieniem ksiądz potraktował całą tę historię. Franklin był z ostatecznej redakcji listu bardzo zadowolony. Własnoręcznie, bez pomocy wnuków, potajemnie złożył pismo i wydrukował je w nielicznych egzemplarzach na małej prasie, którą sobie zainstalował w ogrodzie.

Czytając „list hrabiego Schaumberga” w druku, Franklin miał wrażenie, że paszkwil wypadł zbyt jadowicie. List był pomyślany tak, by przeciętny czytelnik zastanawiał się przez chwilę, czy pismo jest autentyczne, czy nie. Franklin obawiał się teraz, że dla osiągnięcia tego celu ton listu jest zbyt zjadliwy.

Kiedy wieczorem zjawił się doktor Dubourg, postanowił z nim o tym pomówić. Dał mu odbitki, sam wziął jedną do ręki, wciągał z lubością zapach papieru i farby drukarskiej i, raz jeszcze przerzucając tekst pisemka, obserwował minę doktora. Doktor Dubourg czytał powoli, starannie, widać było, jak bardzo usiłuje zrozumieć, o co tu chodzi.

- No i cóż? - zapytał Franklin, kiedy Dubourg skończył czytać.
- Co pan na to?

Stary Dubourg potrząsnął kilkakrotnie swą wielką głową.

- Wiedziałem - odparł - każdy wie, że książęta niemieccy to kanalie, ale nie przypuszczałem, żeby aż do tego stopnia.

Słyszając to Franklin cieszył się, że tak mu się udało. Ale było mu żal przyjaciela. Dawniej nie dałby się tak prędko i łatwo wziąć na podobny kawał. Biedny Dubourg postarzał się, bardzo się postarzał.

Dubourg przyniósł coś Franklinowi: małe, pięknie oprawne, nowe wydanie bajek La Fontaine'a, którego Franklin często sławił w jego obecności. Franklin szczerze ucieszył się podarunkiem; chwalił ładny druk oraz pełną wdzięku mądrość życiową autora.

Dubourg wyraził zdanie, że Franklin, mający wiele wspólnego z La Fontaine'em, niestety, nie będzie mógł ocenić całego wdzięku autora. Subtelności pewnych niuansów słownych muszą ująć uwagi cudzoziemca, nawet o tak rozwiniętym poczuciu języka jak Franklin.

- Co za elastyczność - entuzjasmował się - jaka elegancja! - I zaczął czytać. Odczytał jedną z bajek zachwycając się dowcipem, wdziękiem i lekkością wiersza. Odczytał drugą. Doszedł do dziewiątej z księgi siódmej, do bajki o dyliżansie i musze. Sapiąc, wybijając takt wierszy mięsistą ręką, grubas czytał z entuzjazmem.

Bajka opowiada o tym, jak to sześć mocnych koni z wysiłkiem wciąga po stromej, rozgrzanej słońcem drodze dyliżans. Pasażerowie wysiedli, kto może, pomaga przy pchaniu wozu. Nad końmi unosi się mucha, brzęczy dokoła nich, ucięła jednego, drugiego, usiadła na dyszlu, potem na nosie stangreta, wyobraża sobie, że to ona pcha pojazd naprzód. Skarży się, że oprócz niej nikt koniom nie pomaga, że obarczono ją całą robotą. Lata to tu, to tam z ważną miną, wszędzie jej pełno, a kiedy dyliżans znalazł się wreszcie na

górze, woła rozpromieniona: „Teraz, drogie moje konie, wypocznijmy sobie!” - zrobiła wszystko, co do niej należało.

Doktor Dubourg czytał bajeczkę z przejęciem i lubością, uśmiech na twarzy Franklina stawał się coraz szerszy. Dubourg opuścił rękę, w której trzymał książkę, i z pamięci wyrecytował morał doczepiony do bajki przez La Fontaine'a:

Ainsi certaines gens, faisant Ics empresses,

S'introduisent dans les affaires.

Ils font partout les neccsaires

Et, partout importuns, devroient etre chasses.'

Tak wszędobylscy (dość ich na tym świecie)

Swój nos wścibiają, chociaż nieproszeni, do cudzych spraw i kieszeni,

Naprzykrzają sit; jako muchy natrętne,

Póki ich za dziesiątą nie wygnasz granicę.

Przełożył Władysław Noskowski

Choć Dubourg, mający słaby zmysł obserwacyjny, pochłonięty był swoją bajką, zauważył jednak, że Franklin jest zachwycony nie tylko treścią bajki i jego recytacją. Musiało być poza samą bajką coś, co go tak rozweselało. Po długiej chwili oświeciła go myśl, której dał głośny wyraz.

- Że też nie przyszło mi to jeszcze do głowy! Ależ tak. La Fontaine przeczuł naszego pyszałka, naszego pana Carona. - Obaj panowie nie posiadali się z radości.

Następnego dnia zjawił się niespodziewanie gość, Paweł Theyeneau.

Zazwyczaj Franklin nie przyjmował od razu nie zameldowanych przybyszów. Pawła Theveneau przyjął natychmiast. Lubił tego przyzwoitego, gotowego do usług młodzieńca, pełnego entuzjazmu dla sprawy Ameryki, ponadto był rad, że brak uprzejmości w stosunku do pana Carona będzie mógł choć częściowo okupić uprzejmością wobec urzędnika firmy Hortalez.

Miał wrażenie, że młodzieniec wychudł jeszcze bardziej od czasu, kiedy go widział po raz ostatni; ubranie wisiało na nim jeszcze żałośniej, oczy błyszczały jeszcze mocniej, twarz pokrywały chorobliwe rumieńce. Paweł był wyraźnie poruszony widokiem Franklina i trudno mu było mówić.

Znowu tak samo jak dawniej, doktor był mile zaskoczony jasnymi, zdrowymi sądami Pawła. Ten monsieur Theveneau rozumiał o wiele lepiej aniżeli panowie Artur Lee i Silas Deane, że Stany Zjednoczone nie mogą osiągnąć ostatecznego zwycięstwa bez pełnego poparcia Wersalu i armii francuskiej. Młodzieniec ten, w zasadzie zajęty tylko dostawami, rozumiał jasno, że wielki cel polityczny, wolność, może być zabezpieczony nie przez dostawy poszczególnych firm, lecz przez sojusz z Francją.

Doktor Franklin chętnie obcował z tym dzielnym młodzieńcem, który bronił sprawy Ameryki mądrze i całą duszą i miał jeszcze mniejsze widoki niż Franklin na to, by ujrzeć realizację wielkiej nadziei.

Pomimo całej jowialnej uprzejmości Franklin nie ujawniał nigdy swych najgłębszych myśli i uczuć. Nie wątpił w pomyślny wynik wielkiej wagi, ale martwiło go to, że zwycięstwo może być osiągnięte dopiero po długich latach i za cenę wielu istnień ludzkich. Światu okazywał wiarę i otuchę, świat widział tylko mądrego, pewnego swej sprawy starszego pana, któremu się dobrze powodzi. Nie widział troski i goryczy, ukrytej za tym pogodnym spokojem. Franklin nie mówił prawie nigdy o druzgoczącej rozpaczycie wiecznego czekania.

Przemawiał do tego młodego żołnierza wolności, który już długo nie pożyje, jak starszy brat omawiający z młodszym wspólne kłopoty. Mówił o przewadze wojskowej armii angielskiej, o politycznym rozdarciu Stanów Zjednoczonych, o licznych Amerykanach, którzy z chciwości, a także z

głupoty byli po stronie Anglików, o tym, że Kongres nie ma pieniędzy. Mówił o długiej, twardej drodze czekającej bojowników o wolność. Mówił ze wstrętem o wojnie, opisywał zrezygnowanym tonem, jakich wysiłków użył, aby jej uniknąć. Mówił wreszcie z goryczą o ślepym uporze mężów stanu w Londynie, którzy przyczyniali się do tego, by przelew krwi przeciągał się w nieskończoność.

Paweł chłonał chciwie słowa Franklina. Był wstrząśnięty tym, że wielki człowiek rozmawia z nim tak bez ogródek.

Ale jak mógł po takich wyznaniach skierować rozmowę na sprawy pieniężne firmy Hortalez? Czy nie były bagatelą w porównaniu z ważkimi sprawami, które ten czcigodny starzec musiał dźwigać na swych barkach? Czy obciążanie go własnymi troskami nie byłoby za daleko idącym zuchwalstwem? Jako wiemy przyjaciel Beaumarchais'go, postanowił pomówić o jego troskach. Ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło.

Miotany takimi myślami, słuchał tylko jednym uchem, co Franklin mówił dalej. Ale po chwili opanował się, odpędził z myśli troski osobiste i słuchał ze wzmożoną uwagą. Doszło do jego uszu:

- Jakże inaczej wyglądają sprawy po tej i po tamtej stronie oceanu.

Słowa te zapadły mu głęboko w duszę. I nagle zrodziło się postanowienie: sam pojedzie do Ameryki.

Tak, inaczej trudności firmy Hortalez nie dadzą się usunąć. Franklin, nie pytany, dał mu radę i wskazówkę. Paweł musi tam, na miejscu w Filadelfii, obalić bezmyślne zarzuty Artura Lee. Ludzie w Ameryce patrzą na to innymi oczyma. Musi zjawić się ktoś obeznany ze sprawą, oddany Caronowi, by ich pouczyć, jak rzeczy wyglądają naprawdę. To zadanie stanęło przed Pawłem. Czyż może zrobić lepszy użytek z dni, które mu jeszcze pozostały, aniżeli przekonać się na własne oczy, co

się tam dzieje za oceanem, wziąć udział w ostrych walkach, wśród których kładzione są podwaliny pod nowy świat, nowy, rozsądny porządek?

Szybki w decyzji, odpowiedział, że ma nadzieję, iż wkrótce sam weźmie udział w tych wielkich i trudnych sprawach, o których mówił Franklin. Pojedzie w interesach firmy Hortalez do Ameryki. Nie mówił o tej podróży jak o jakimś mglistym projekcie, przeciwnie, oświadczył krótko, że będzie towarzyszył następnemu transportowi firmy Hortalez.

Franklin spoglądał swymi wielkimi oczyma na wąłego młodzieńca. Czy podoła trudom podróży, czy dorósł do przeprowadzenia ciężkiego zadania w kraju, który, jak o tym Franklin dobrze wiedział, był w gruncie rzeczy wrogo do Francji usposobiony? Młodzik działał bez zastanowienia, nie przetrzyma podróży. Franklin zaczął w ostrożny sposób odradzać mu tę wyprawę. Paweł pomiarkował, że starym powoduje troska o niego, ale zawziął się. Trwał przy swojej decyzji. Czyż mógł wykorzystać piękniej i szlachetniej czas, który mu jeszcze pozostawał do życia, aniżeli w obronie wolności i przyjaciela! Nie chciał umrzeć nie zobaczywszy, w imię czego spalał się przez całe życie. Odpowiedział skromnie, ale stanowczo, że obstaje przy swoim planie i pojedzie.

Franklin zmienił temat. Wpadł mu do głowy pewien pomysł.

- Niech pan to przeczyta - powiedział i podał Pawłowi mały druczek, „list hrabiego Schaumberga”.

Paweł czytał, Franklin obserwował go tak samo jak wczoraj Dubourga.

Począwszy od drugiego zdania na ustach Pawła pojawił się zły, gniewny, triumfujący uśmiech. „Tak - myślał Franklin - musiałem wyglądać przy pisaniu listu”.

- To wspaniale! - zawołał Paweł skończywszy czytanie. - Wspaniale uchwycił pan tych ludzi, doktorze!

- Kto panu powiedział, że to ja napisałem? - zapytał Franklin z uśmiechem.
- Nikt inny tak pisać nie potrafi - gorączkował się Paweł. - Tylko ktoś, kto kocha swój kraj, kto tych ludzi nienawidzi i pogardza nimi tak jak pan, może tak pisać.
- Cieszy mnie, że moja bagatelka spodobała się panu - powiedział Franklin - dobrze się przy niej ubawiłem.
- Bagatela, zabawa! - oburzył się Paweł. - Ten list - zawołał z oburzeniem — unieszkodliwia więcej żołdaków księcia heskiego niż bitwa pod Trenton. Ten list sprawi, że nowi już się za ocean wysłać nie dadzą.
- Niestety, przecenia pan wpływ literatury - powiedział Franklin.

Nie wtajemniczony obserwator uważałby z pewnością, że ceremonia lever pana de Beaumarchais jest równie wspaniała i pełen przepychu jak w czasach, kiedy tworzył on firmę Hortalez. Ta sama liczba przyjaciół i petentów odczuwała potrzebę powiedzenia panu Beaumarchais już wczesnym rankiem, jak bardzo go kocha i szanuje. Aktorzy i śpiewacy dawali próbki swego talentu i prosili o protekcję, kupcy oferowali wyszukane towary. Sekretarz Maigran, który o tej godzinie miał szefowi złożyć raport o stanie interesów, zaledwie od czasu do czasu mógł wtrącić parę zdań, tak mu ciągle przerywano. Sam Pierre jednak wiedział, że mimo natłoku jego lever nie ma już tego imponującego blasku jak kilka tygodni temu. Brakowało barona de Trois-Tours, pana Regnier z Sądu Najwyższego i kawalera Clonard z Kompanii Indyjskiej. Znowu dawano mu do zrozumienia, że jest „napiętnowany”.

Pierre wiedział oczywiście, że pozostaje to w związku z sytuacją finansową firmy Hortalez, przechodził jednak nad tym do porządku z dumną miną. Ale kamerdyner Emil, który

kochał swego pana i czytał z jego twarzy i ruchów lepiej niż ktokolwiek, zauważył, że skryty gniew zżera monsieur; obsługiwał go więc jeszcze pieczołowiciej, z jeszcze subtelniejszym wyczuciem każdego życzenia.

Z obraźliwą punktualnością nadeszły pieniądze obiecane przez tego dumnego psa, ministra Vergennes. Pierre nie czuł się tak wniebowzięty jak po otrzymaniu pierwszego przekazu, ale miał przynajmniej tę satysfakcję, że dzięki sprytowi znowu dopiął swego.

Natychmiast, choć dopiero za dwa dni powinien był to zrobić, odesłał Charlotowi jego parszywe ćwierć miliona.

— Czy nasz Charlot był zdziwiony? - zapytał mściwie i triumfująco, kiedy Maigron przyniósł mu pokwitowanie.

- Jeżeli nawet, to nie okazał tego - odrzekł sucho sekretarz.

Potem Pierre udał się do różnych urzędów, napełnił różne puste ręce, zdobył pewność, że na czele jego transportów popłynie dumny „Orzeł Morski”, a nie statek jakiegoś Chaumonta czy Dubourga.

Dokonawszy tego odetchnął. Był pijany wściekłością na wielkich panów, którzy znowu, kiedy szczęście odwróciło się od niego na chwilę, potraktowali go tak lekceważąco. Ach, ten Charlot, ten Vergennes, ci różni panowie Trois-Tours, Regnier i Clonard!

W okresie swego wieku męskiego Beaumarchais był bardziej pełen życia niż kiedykolwiek, wchłaniał w siebie wszystko, co spotykał na drodze; entuzjazmował się swą siłą i swym szczęściem. Uczucia okazywane mu przez ludzi dokoła, ich podziw, miłość, przyjaźń, zazdrość, gniew i nienawiść, dziki chaos panujący w jego interesach, wielkość sprawy, której służył, wysokość zysku, który się jednak na końcu zarysował, cały ten wir przyprawiał go o ciągły stan lekkiego upojenia.

Miał lat czterdzieści pięć, nie był już Figarem z Cyrulika. Wprawdzie tak samo jak i dawniej przepadał za pieniędzmi i

intrygą, ale kryło się za tym mocniejsze niż dawniej przeświadczenie o własnej wartości. Nie był już tylko pajacem, a kiedy po nim deptano, kiedy mu kazano tańczyć, jak mu kto zagrał, potrafił wprawdzie śmiać się z losu, z siebie samego i z groteskowości sytuacji, ale z jeszcze większą zaciętością śmiał się teraz z głupiej, zbrodniczej pychy tych, którzy go deptali.

Pozbywszy się teraz przerażających trosk o jutro, czuł potrzebę wyrażenia tego, co go przepelniało. Panowie Lenormant i Vergennes przekonani, że się w sprawie amerykańskiej zasypał, nie tylko mu nie pomogli, ale go w dodatku wyśmiali. Dobrze, moi panowie, może w sprawie amerykańskiej dałem się naprawdę wyprowadzić w pole. Lecz jeśli jest w tym powód do wesołości, to wasze zachowanie jeszcze bardziej na śmiech zasługuje. Jeżeli więc odważą się patrzeć na mnie złośliwie i z wysoka, to pokażę im, że potrafię śmiać się z nich jeszcze zjadliwiej i jeszcze wyniosłej.

Już dawno snuł mu się po głowie plan komedii, która by była dalszym ciągiem Cyrulika. Teraz projekt nabierał kształtu, Pierre biegał dokoła potężnego biurka po swoim urządzonym z przepychem, ogromnym gabinecie, suka Caprice śledziła jego ruchy wilgotnymi oczyma. Mówił do siebie, gwizdał, nucił, stawał przed pustym miejscem na ścianie, tam gdzie brakowało portretu. Widział przed sobą Figara. Dojrzał, nabrał doświadczenia, świetność jego talentu stała się głębsza, dowcip miał w sobie więcej goryczy. Trzeba utrwalić tego nowego, starego Figara. Pierre usiadł, zaczął pisać; bohater stał mu przed oczyma jak żywy.

Napisał wielką mowę Figara do panów, w których służbie pozostaje, którym rajfurzy i załatwia setki dwuznacznych interesów, choć ich przerasta o głowę. Opisał historię Figara, całe swoje własne zawrotne, chytne, wspaniałe, przeklęte, błogosławione życie, całe swoje dzikie nieopanowanie, swoje

żałosne i śmieszne walki ze sprawiedliwością i cenzurą. Wszystko to było wyrażone wesołymi, błyskotliwymi, tanecznymi, nieco jadowitymi zdaniami:

...Dowiaduję się, iż ustanowiono w Madrycie system wolności w sprzedaży produktów, rozciągający się nawet na płody pióra, i że byłem nie wspomniał w moich pismach o zwierzchności ani o religii, ani o moralności, ani o ludziach piastujących urzędy, ani o uprzywilejowanych stanach, ani o operze, ani o innych widowiskach, ani o nikim, kto z czymkolwiek ma coś do czynienia, wolno mi wszystko drukować swobodnie, pod pieczęcią dwu czy trzech cenzorów.

...Ktoś zakrzętnął się dla mnie o posadę, ale na nieszczęście miałem kwalifikacje: trzeba było rachmistrza - tancmistrz ją otrzymał.

...Panie hrabio! Dlatego że jesteś wielkim panem, uważasz się za wielkiego geniusza! Szlachectwo, majątek, stanowisko, urzędy - wszystko to czyni tak pysznym! Cóżżeś uczynił dla uzyskania tylu przywilejów? Zadałeś sobie ten trud, aby się urodzić! Podczas gdy ja, do kata! jedynie aby istnieć, musiałem rozwinąć więcej umiejętności i rachuby, niż ich zużyto od stu lat, aby rządzić Hiszpanią wraz ze wszystkimi koloniami...1

Jednym tchem przelał na papier całą długą orację. W czasie kiedy pisał, spoglądały na niego popiersia Arystofanesa, Moliere, Woltera i jego własne, patrzyła na niego suka Caprice, patrzyła pusta plama, przeznaczona na portret pana Duverny, patrzył jego własny portret w stroju hiszpańskim.

Przeczytał, co napisał. Tak, to było mocno osadzone, celne. Machinalnie pogłaskał sukę Caprice, uśmiechnął się. Był szczęśliwy, porwany tym, czego przed chwilą dokonał. Czuł palącą potrzebę pokazania tego komuś, i to jak najprędzej.

Wziął arkusz, na którym nie zdążył jeszcze wyschnąć atrament, wbiegł do pokoju ojca. Stary leżał w łóżku,

straszliwie wychudzony i wymizerowany, ale na zapadniętej twarzy lśniły pod szlafmycą jasne oczy. Kiedy na widok syna uśmiechnął się przyjaźnie, ukazał rząd białych, zdrowych zębów.

- Napisałem coś, ojcze - powiedział Pierre - co ci się spodoba. Piszę mianowicie drugą część Cyrulika, która będzie jeszcze lepsza od pierwszej. A teraz uważaj i powiedz później sam, czy to nie wspaniałe?

Zaczął czytać. Stary słuchał chciwie. Coraz mocniej porywały go zuchwałe, szydercze i jakże prawdziwe słowa. Myślał o własnej przeszłości, o swoich mieszczańskich, hugonockich czasach; wyprostował się, wychudzoną ręką odsunął w tył szlafmycę, by lepiej słyszeć. „Ja, który pochodzę z bezimiennego tłumu, muszę, do stu par diabłów, walczyć o nagą egzystencję, muszę zużywać więcej przebiegłości i wiedzy, niż użyto ich w ciągu lat stu, by rządzić Hiszpanią wraz ze wszystkimi jej koloniami”./1

1/ Fragmenty z Wesela Figara (Beaumarchais, Wesele Figara, akt V. Przeł. T. Boy-Żeleński).

Stary chłonał słowa syna, zachłystywał się nimi, rozkoszował się tym, że Pierre wyraził w nich to, co on sam odczuwał. Ogarnęła go szalona, gniewna radość; ogromna, brutalna, szydercza wesołość powędrowała z brzucha do serca, wypełniła jego stare, wychudzone ciało, dotarła do ust; wybuchnął głośnym, grzmiącym śmiechem, który wstrząsnął nim całym; nie mógł się uspokoić. Pierre patrzył na starego rozpromieniony, potem wtórując mu, również zaczął śmiać się na całe gardło. Śmiech obu wypełnił cały pokój, trwał bez końca.

Urwał się jednak nagle. Naprzód przeszedł u starego w jakieś bulgotanie i jęki. Potem ustał zupełnie, stary opadł na poduszki, nie ruszał się.

Kartka, na której Pierre napisał słowa swego Figara, wypadła mu z ręki. Spojrzał na ojca. Jedna z cienkich, owłosionych nóg sterczała sztywno spod kołdry, szlafmyca zsunęła się jeszcze bardziej, ukazując nagie czoło.

Pierre stał i patrzył. W końcu podszedł chwiejnym krokiem, pochylił się. Stary nie ruszał się. Nie oddychał.

Pierre miał głupią minę, nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Ale musiał wreszcie uwierzyć. Ojciec Caron umarł ze śmiechu nad Figarem.

W tym samym tygodniu Teresa urodziła Caronowi dziecko, wprawdzie nie Aleksandra, ale za to Eugenię.

Teresa czuła się dobrze, na drugi dzień Beaumarchais zaczął jej z zapalem tłumaczyć, że teraz nie mogą już mieszkać oddzielnie, że muszą się pobrać i stworzyć wspólny dom.

Przyglądała mu się swymi jasnymi, szarymi oczyma. W godzinach jej wielkiego cierpienia opiekował się nią i z czułością, jakiej by się nikt po tym tak gwałtownym człowieku nie spodziewał. Teraz przyglądał się z coraz to nowym, dumnym wzruszeniem istotce, którą wydała na świat. Wiedziała, że Pierre ją kocha, że jest do niej przywiązany, chciał zupełnie na serio mieszkać z nią i z małą Eugenią, nie były to tylko puste słowa. Ale myślała o tym, jak dotąd małżeństwo odwlekał, czuła za to do niego odrobinę żalu, za nic na świecie nie chciała, by sobie kiedyś wyrzucił, że się pospieszył.

Odpowiedziała, że zgodnie z jego propozycją, woli poczekać, aż zostanie zrehabilitowany. I tak w towarzystwie małej Eugenie będzie się czuła tu, w Meudon, lepiej i mniej samotnie niż dotychczas. Trochę zmieszany nalegał jeszcze przez chwilę; upierała się jednak, więc ustąpił.

Pierre nie był przesądny. Mimo to fakt, że niesamowita śmierć ojca zbiegła się z przyjściem na świat jego dziecka, wstrząsnął

nim. Zazwyczaj taki rozmowny i towarzyski, czuł lęk przed opowiedzeniem przyjaciołom, w jakich okolicznościach nastąpiła śmierć ojca Caron. Tak zawsze dumny z siebie, nie pokazał również nikomu monologu Figara. Śmierć ojca napełniła go szczerym smutkiem, narodziny dziecka szczerą radością. Był niemal kontent, że nawet spraw związanych z pogrzebem ojca i troską o Teresę nie pozwolił mu na metafizyczne rozmyślenia.

Interesy firmy Hortalez pozostawił własnemu biegowi. Nawet z Pawłem mówił o sprawach związanych z interesami ogólnikowo, oświadczając, że nie jest w nastroju do zajmowania się drobiazgami.

Pawłowi było to na rękę. Nie powiedział przyjacielowi ani słowa o wizycie u Franklina i o swojej decyzji wyjazdu do Ameryki. Ciągle jeszcze myślał o tym, co się wydarzyło w Passy. To dziwne, że człowiek o tak szerokim horyzoncie, tak mądry i doświadczony jak Franklin, nie chciał za żadną cenę wybaczyć de Beaumarchais jego słabostek, a jednak fakt pozostawał faktem: we Franklinie wszystko burzyło się przeciw Caronowi. Trzeba się z tym pogodzić. Każda próba jakiegoś pośredniczenia byłaby nonsensem. Paweł patrzył teraz na swego przyjaciela bardziej krytycznie, ale ta krytyka rozpływała się w podziwie. Oceniał świetność Carona, podziwiał jego werwę, ruchliwość i stosunek do wszystkiego, co wielkie; lubił również jego mocne słowa, jego upodobanie do przepychu i kobiet. Przyjmował hałaśliwą serdeczność Carona z takim samym uznaniem, jak przyjacielską, żartobliwą powściągliwość Franklina.

Tymczasem nowy transport dla Ameryki był już gotów, czekano tylko na najbliższą wiadomość z Filadelfii, by go wyprawić. Jeśli Paweł, jak to dumnie oświadczył Franklinowi, chce jechać z tym transportem, musi porobić przygotowania.

A przede wszystkim musi pomówić z panem de Beaumarchais.

Poszedł do lekarza Lafargue, którego pacjentem był od lat. Kiedy Paweł wrócił z północnych portów, doktor Lafargue robił mu gorzkie wyrzuty, że jest lekkomyślny: teraz chciał go posłać na całe lato gdzieś w Alpy. Paweł odpowiedział, że interesy jego wymagają, by wyjechał za ocean. Doktor Lafargue oświadczył stanowczo, że przy stanie zdrowia Pawła nie może być mowy o takiej podróży. Paweł uśmiechnął się tylko. Z zakłopotaną, głupkowaną miną prosił lekarza, by nic nie mówił przyjaciołom, a zwłaszcza Caronowi o jego budzącym obawy stanie zdrowia.

Szedł przez hałaśliwe ulice Paryża, gapił się rozgorączkowanymi oczyma na jasne wiosenne suknie kobiet, do uszu jego dochodziły głośne, gwałtowne okrzyki różnych sprzedawców, przekleństwa furmanów. Patrzył na zavalone żywnością, kipiące barwami hale targowe, podziwiał lśnienie, gwar i pełnię tego najpromienniejszego, największego miasta na świecie, swego ojczystego Paryża. Były chwile, kiedy w żaden sposób nie mieściło mu się w głowie, jak mógł oświadczyć, że jedzie do Ameryki. Miałby opuścić swój Paryż, on, taki młody, który tak mało miał z życia, a tak wiele od niego pragnął, który tak umiał życiem się delectować? Jak mogło mu to przyjść do głowy? Jeżeli pojedzie do Ameryki, nie powróci już; doktor Lafargue dał to delikatnie, ale wyraźnie do zrozumienia.

Poszedł do Teresy. Przyjrzał się malutkiej Eugenii. Rozmawiali na temat Beaumarchais'go. Paweł patrzył na niego teraz bardziej krytycznie niż dawniej, zobaczył, że i Teresa nie jest już tak jak niegdyś zaślepiona. Ale świadomość słabych stron przyjaciela nie ostudziła gorących uczuć dla niego. Bolało go, że Teresa, tak dobrze rozumiejąca Carona,

nie miała pojęcia o tym, co Paweł czuje, o tym, co chce, a raczej musi uczynić.

Tymczasem drogą okrężną, przez Holandię, nadeszła z Ameryki zdumiewająca wiadomość. Dom bankowy Grand w Amsterdamie zawiadomił lakonicznym pismem, że otrzymał od Kongresu w Filadelfii zlecenie wypłaty firmie Hortalez czterech tysięcy sześciuset trzydziestu liwrów i siedmiu sous za chustki do nosa, guziki i nici, które wymieniona firma dostarczyła Kongresowi. Były to istne kpiny. Firma dostarczyła armat, moździerzy, amunicji, namiotów i mundurów, należało jej się od Kongresu przeszło dwa miliony; zapłacono jej cztery tysiące, w dodatku za pośrednictwem firmy konkurencyjnej.

Teraz, po tym obelżywym liście, doszło od razu do wymiany zdań, którą i Caron, i Paweł tak długo odkładali. Wbrew swoim zwyczajom Pierre nie zaczął od długich biadań i przekleństw, lecz zapytał przyjaciela i pierwszego pomocnika gniewnym, rzeczowym tonem:

- Cóż zrobimy? Co pan proponuje?

List z domu bankowego Grand oraz pytanie Carona były dla Pawła ostatecznym bodźcem. Jeżeli teraz nie podzieli się swoim zamiarem wyjazdu do Ameryki dla przypilnowania wszystkiego, nie zrobi tego nigdy, nie pojedzie nigdy za ocean, pozostanie na zawsze w oczach Franklina chełpliwym pyskaczem.

- Powiem panu coś, Pierre - zaczął. - Jest jedyny sposób, by wydobyć pieniądze od Amerykanów. Ktoś musi pojechać do Filadelfii i pomówić z tymi panami. Ktoś musi zdemaskować na miejscu kłamstwa Artura Lee za pomocą przekonywujących argumentów. Ktoś musi osobiście przyjąć transporty i trzymać je pod kluczem dopóty, dopóki nie zostaną przekazane pieniądze lub towary wymienne.

- Któż by to mógł zrobić?

- Ja - odpowiedział Paweł.

Pierre od pierwszych słów Pawła zorientował się, dokąd ten zmierza. I on chwilami pieścił się myślą, czyby nie pojechać. Perspektywa, że sam bronić będzie przed Kongresem własnej sprawy, była pociągająca. Jednak, choć tak płomiennie opowiadał się za światopoglądem i wielkim, zamierzeniem ludzi Zachodu, teraz, po doświadczeniach z Franklinem, odczuwał przed nimi rodzaj lęku. Wobec premiera, króla Anglii, wobec Marii Teresy czuł się całkowicie pewny siebie; ludzie Nowego Świata onieśmielali go. Obawiał się, że gdyby pojechał, zaszkodziłby raczej sprawie, niż pomógł.

Myśl wysłania godnego reprezentanta była słuszną. Nadawałby się do tego jedynie Paweł. Ale wysłanie za morze i na pewną śmierć chorego przyjaciela było pomysłem, który odrzucił, zanim go zdążył rozważyć do końca. Teraz Paweł sam przyszedł z tą propozycją: Pierre był wzruszony, że przyjaciel gotów jest ponieść taką ofiarę. Z wielkim rozmachem i gestem oświadczył, że nigdy nie pozwoli na to, by Paweł wyjechał do Ameryki; jest mu bardzo potrzebny tutaj, we Francji. Paweł odpowiedział z uporem, że nie zmieni swej decyzji - pojedzie z najbliższym transportem na statku „Ametie”. Zapowiedział to już różnym ludziom.

- Mówił pan już z kimś o tym? - zapytał Pierre zdumiony.

- Tak - odrzekł Paweł. - Chciałem zamknąć sobie drogę odwrotu. Chciałem i siebie, i pana postawić w sytuacji przymusowej.

- Z kimże to pan rozmawiał? - zapytał Pierre przypuszczając, że tamten odpowie: „Z Maigronem, z Gudinem”.

- Z doktorem Franklinem - odparł Paweł.

Pierre podskoczył na krześle. A więc Amerykanin przyjmuje tego młodzieńca, omawia z nim najbardziej poufne sprawy.

- Musi pan zrozumieć, Pierre - dodał Paweł - że nie pozostaje mi nic innego, jak wyjechać do Ameryki. Nie chciałbym ośmieszyć się w oczach Franklina.

Te proste słowa jeszcze bardziej rozgoryczyły Beaumarchais'go. On, Pierre, był śmieszny w oczach Franklina z niezrozumiałych dla siebie powodów, a ten młodzieniec woli narazić się na śmierć niż ośmieszyć się wobec Franklina.

- Nigdy nie puszczę pana do Ameryki - zawołał gwałtownie. - Nigdy!

- A ja mimo to pojedę - oświadczył nie mniej gwałtownie Paweł. - Jakże pan zapłaci za „L'Orfraye”, jak pan utrzyma firmę, jeśli nikt nie pojedzie i nie zainkasuje pieniędzy?

- To już moja sprawa - odparł szorstko Pierre.

Użył tak ostrego tonu, bo byłoby to znakomicie mieć w Filadelfii tak wspaniałego człowieka jak Paweł, a to jest niemożliwe. Nigdy, choćby firma Hortalez miała się zawalić, nie pozwoli, by Paweł szedł na pewną śmierć.

Użył wielu mocnych słów, by go przekonać, jak bardzo jest tu potrzebny. Paweł słuchał ze skamieniałą twarzą.

„Ametie” wypłynęła, transport odszedł bez Pawła.

Pierre otrzymał wiadomość z Aix-en-Provence, że został wyznaczony termin owego postępowania apelacyjnego, o które przez długie lata walczył z tak zaciekłą energią. Mimo wszystko Vergennes dotrzymał słowa. Pierre szalał z radości.

Na czas trwania procesu konieczna była jego obecność w Aix. Tymczasem zawikłane interesy firmy Hortalez wymagały niemal co dzień nowych decyzji z Paryża; ponadto remont „L'Orfraye” - statek został w międzyczasie nabyty - wymagał licznych podróży do Bordeaux, gdyż firma Testard i Gachet, dokonywająca tego remontu, robiła trudności, żądała wysokich zaliczek. Jeżeli ten piękny statek miał być w

niedługim czasie zdalny do użytku, musiał jakiś dobrze zorientowany, pewny i energiczny reprezentant firmy Hortalez mieć stały kontakt ze stoczną. Zostało ustalone, że podczas nieobecności Beaumarchais'go interesami paryskimi kierować będzie Maigron, a Paweł uda się do Bordeaux.

- Widzi pan - powiedział Pierre do Pawła - jak to dobrze, że został pan we Francji.

Pierre udał się później do Aix; zabrał ze sobą poczciwego Filipa Gudin, idealnego towarzysza podróży. Pozostawił w Paryżu mętne, zawikłane sprawy; ujechawszy milę zapomniał o nich, rozpogodził się.

W istocie sprawa Carona wyglądała z prawnego punktu prosto, ale postarano się ją celowo zawikłać. Podstawą były dwa różne procesy. W pierwszym chodziło o spadek po Duverny'm, przyjacielu i protektorze Carona. Pierre przedłożył dokument, coś w rodzaju ostatniego rozliczenia między nim i Duverny'm. Ważność tego dokumentu została zakwestionowana przez bratanka i spadkobiercę zmarłego, hrabiego de la Blache. Sąd przyznał rację hrabiemu. Nie uznano wprawdzie, że dokument jest sfałszowany, ale jest nieważny. W ten sposób Pierre nie tylko został obrabowany z większej części spadku, ale też pośrednio napiętnowany jako fałszerz.

Podczas przygotowywania owego procesu Pierre, jak to było w zwyczaju, nie szczędził łapówek. Żonie sędziego, któremu powierzono jego sprawę, posłał kilka podarunków z prośbą, by umożliwiła mu rozmowę z mężem; musiał to robić z więzienia, dokąd go zaprowadziła owa idiotyczna bójka z zazdrosnym o Desiree księciem de Chaulnes. Wszystkie jednak wysiłki, łapówki, wizyty pomogły mu równie mało jak to, że z prawnego punktu widzenia miał rację.

Kiedy wyrok zapadł i nic już nie było do stracenia, Pierre odwołał się do opinii publicznej. W błyskotliwych ulotkach

mówił o tym, ile trudu i pracy kosztuje obywatela francuskiego walka o jego słuszne prawo i jak się później to słuszne prawo omija. Pierre nikogo nie oskarżał w tych ulotkach, opowiadał po prostu dzieje swego procesu, ale tak wymownie, mądrze, z tak zabójczą ironią i dowcipem, że sprzedajność francuskich organów sprawiedliwości musiała każdego uderzyć. Ulotki poruszyły kraj, całą Europę i doprowadziły w rezultacie do reformy francuskiego prawodawstwa. Autorowi jednak przyniosły nowe nieszczęście: Sąd Najwyższy w Paryżu wytoczył Caronowi proces o zniesławienie urzędów sprawiedliwości, wydał na niego wyrok, napiętnował go, odebrał mu prawa obywatelskie. Nie ulegało wątpliwości, że to „napiętnowanie” było bezprawiem, złośliwym aktem zemsty sędziów, którzy poczuli się dotknięci ulotkami. Ale sędziowie ci mogli powołać się na to, że skazany autor pamfletów został już przedtem napiętnowany prawomocnym wyrokiem jako fałszerz, był zatem człowiekiem o wątpliwej wiarygodności. Pierre walczył więc przede wszystkim o to, by obalić ów pierwszy wyrok. W procesie, który miał się teraz odbyć w Aix, zamierzał udowodnić na podstawie nowych materiałów i wniosków, że dokument, który swego czasu przedłożył, ów testament pana Duverny, ów ostatni rozrachunek, był autentyczny. Jeżeli dokument uznany zostanie za autentyczny, to niewątpliwie Pierre doprowadzi do anulowania „wyroku” i napiętnowania. Zaraz po przybyciu do Aix złożył kurtuazyjne wizyty prezesowi i innym członkom Sądu Apelacyjnego. Nie, tym razem arystokratyczni przyjaciele nie wystrychnęli go na dudka. Sędziowie w Aix otrzymali niewątpliwie instrukcje z Wersalu i byli zdecydowani dopomóc mu do zwycięstwa. Pewny swoich sędziów, zaprosił Pierre do Aix najbliższych mu ludzi, Teresę, Julię i Pawła, by byli świadkami jego triumfu. Ale Teresa odmówiła: nie chciała pojechać bez małej

Eugenii, a bała się narażać dziecko na niewygodę związane z długą podróżą i panującymi upałami. Również Paweł zawiadomił listownie, że nie może oderwać się od spraw w Bordeaux. Tylko Julia zapowiedziała swój przyjazd.

Przykry fakt nieobecności najbliższych przyjaciół osładzało wielkie zainteresowanie kraju jego walką o swoje prawa. Ze wszystkich zakątków Francji pojeżdżali się prawnicy, by z bliska śledzić przebieg procesu, wszystkie gazety przynosiły obszernie sprawozdania.

Pierre liczył się z tym, że proces potrwa dwa, trzy tygodnie. Ale właśnie dlatego, że wynik był tak niewątpliwy, sędziowie uważali za konieczne, dla wykazania swej bezstronności, jeszcze raz obwąchać sprawę ze wszystkich stron. Rozprawa toczyła się przez długie miesiące, podczas których obaj przeciwnicy zwalczali się wzajemnie w sądzie pismami i aktami, zaś na forum publicznym ulotkami.

De la Blache zabrał ze sobą cały orszak adwokatów i rzeczoznawców finansowych. Pierre miał tylko swego Gudina i jednego tylko rzecznika.

„Przeciwnik mój - pisał w jednej z ulotek - napada na mnie zza węgła z całą armią płatnych żołdaków, ja zaś na podobieństwo owego dzikiego Scyta stoję w otwartym polu sam, ufając tylko własnym siłom. Kiedy później strzała moja, wypuszczona z mocno napiętego łuku, przecina powietrze i trafia w przeciwnika, wiadomo, kto ją wypuścił. Na podobieństwo bowiem Scytów wypisuję na grocie nazwisko strzelca. Brzmi ono: Caron de Beaumarchais". A dalej pisał: „Jestem człowiekiem miłującym pokój, występuję do walki tylko wtedy, kiedy mnie napadają. Jestem jak werbel, który odzywa się tylko wtedy, kiedy się w niego uderzy, ale wówczas grzmi potężnie".

Wymieniano między sobą nowe pisma, odbywały się nowe posiedzenia, przedstawiano nowych świadków: rozprawa

przewlekła się. Pierre czekał sześć lat; w porównaniu z tymi sześcioma laty czas, który musiał teraz odczekać, był krótki. Ale jemu wydawał się nieskończenie długi. Wszystko w Aix, tym centrum prawniczej Francji, przyprószone było pyłem prawa. Cała prastara osada z ruinami rzymskich pałaców i kąpielisk wyglądała ponuro. Zamek hrabiego de Provence był jedną wielką ruiną, stary klasztor, w którym odbywały się posiedzenia trybunału, groził zawaleniem. Ponure, melancholijne otoczenie sprawiało, że Pierre jeszcze ciężiej znosił udręki oczekiwania. Ilekroć miał wolny dzień lub dwa, wyjeżdżał z Gudinem za miasto. Droga prowadziła przez góry i pagórki barwnej Prowansji, przez oliwne gaje i dębowe lasy, przez ciągnące się w nieskończoność winnice. Podziwiali olbrzymie akwedukty, wzniesione niedaleko Nimes przez Rzymian, oraz gigantyczny, zbudowany na kształt twierdzy pałac papieży w Avignon.

Tymczasem przybyła Julia. Paweł napisał raz jeszcze, że niestety nawet myśleć nie może o opuszczeniu Bordeaux. Trzeba się ujadać z biurokratycznymi przedstawicielami firmy Gachet, którzy posunęli się teraz tak daleko, że kwestionują jego pełnomocnictwo. Paweł prosi więc pana Beaumarchais o podpisanie generalnego pełnomocnictwa, które by go kryło we wszystkich wypadkach.

Firmie Gachet było wiadomo, że Paweł jest zarejestrowany jako pierwszy prokurent firmy Hortalez; Pierre kręcił głową słysząc, że nagle potrzebne są tego rodzaju biurokratyczne formalności. Przelotnie pomyślał o tym, że na najbliższe dni planowane było wypłynięcie z Bordeaux jego statków „Le Flamand” i „L'Heureux”. Może firma Gachet, chcąc wymusić pieniądze, założyła przeciw temu protest. Zadawał sobie pytanie, czy nie byłoby lepiej, zamiast posyłać pełnomocnictwo, raz jeszcze prosić Pawła usilnie o przybycie. Można by wtedy wszystko omówić, a poza tym byłby rad,

gdyby podczas ogłoszenia wyroku znajdował się przy nim jego przyjaciel. Ale Paweł jest tak rozpaczliwie obowiązkowy, nie opuści Bordeaux. Więc Pierre podpisał i posłał mu pełnomocnictwo.

Potem zapomniał o całej tej historii, proces bowiem znalazł się nareszcie w fazie końcowej; po pięćdziesięciu dziewięciu posiedzeniach sędziowie wyznaczyli rozprawę, na której obaj przeciwnicy mieli wygłosić ostatnie słowo.

Hrabia de la Blache mówił pięć bitych godzin, Pierre o godzinę dłużej. Potem sędziowie udali się na ostatnią naradę, by wydać wyrok. Narada ta pochłonęła resztę dnia i zajęła cały dzień następny.

Przyszło dużo ludzi chcąc być świadkami ogłoszenia wyroku. Zrujnowany klasztor, w którym sąd obradował, był przepełniony ciekawymi. Całe miasto czekało z napięciem na wyrok.

Hrabia de la Blache zachował minę pewną siebie. Na czas swego pobytu w Aix wynajął jeden ze starych pałaców. Tego wieczora, kiedy sąd naradzał się nad wyrokiem, wieczerzał ze swoimi adwokatami i doradcami; wszystkie okna wielkiego budynku były oświetlone. Natomiast Beaumarchais spędził ten wieczór skromnie, w towarzystwie Gudina i Julii, w mieszkaniu swego adwokata przy jednej z odległych bocznych ulic.

Wyrok ogłoszono późną nocą.

Od sali sądowej poprzez wszystkie kręte ulice Aix rozbrzmiewał okrzyk: „Beaumarchais zwyciężył!” Światła w pałacu hrabiego de la Blache pogasły. Za to wąska boczna ulica, przy której mieszkał Pierre, oświetlona była pochodniami. „Beaumarchais zwyciężył!” - wołali radośnie manifestanci.

Pierre odniósł w życiu niejedno zwycięstwo, ale żadne nie nappełniło go takim szczęściem. Teraz dopiero, w jednej

chwili, uświadomił sobie całe bezprawie, którego padł ofiarą. Był niewinny, każdy wiedział o tym, ulotki jego przekonały wszystkich. Mimo to pozwolono jego przeciwnikowi, arystokracie wysokiego rodu, prześladować go przy pomocy wszelkiego rodzaju podstępnych chwytów, obwiniać go o święstwa i nikczemności, o oszustwo, fałszerstwo, trucicielstwo i nikt nie kiwnął palcem w jego obronie. Wysoko urodzeni przyjaciele, chociaż mogli mu pomóc, poprzestawali na zapewnieniach, że pisma, w których się broni, są olśniewające, i na protekcyjnym poklepywaniu go po ramieniu. Ale godzili się z tym, że był okryty hańbą, prawdziwą hańbą; urodził się przecież mieszczaninem, więc zapewne nie bardzo to odczuje. Tymczasem Pierre odczuwał tę hańbę głęboko, przez wszystkie te lata ciążyła mu na ramionach, paliła skórę. Teraz strząsnął z siebie odium, przepędził na wszystkie wiatry „zmazę”.

Walczył o sprawiedliwość nie tylko dla samego siebie, ale dla wszystkich ludzi niskiej kondycji, pozbawionych przywilejów. Była to dobra walka i dobre zwycięstwo, lepszego nie mógł osiągnąć.

Wszystko to przewalało się w nim od chwili, kiedy do uszu jego dotarł okrzyk: „Beaumarchais zwyciężył!” Niczego innego nie oczekiwał. Przez wszystkie te lata był przekonany, że sobie to tak właśnie wywalczy. Kiedy jednak stanął w obliczu rzeczywistości, nie umiał znieść tego dłużej. Nadmiar szczęścia rozsadzał mu pierś, padł zemdlony.

Natarto go jakimiś esencjami, przywrócono do życia, wypił kieliszek wina. Coraz więcej muzykantów przybywało pod jego dom - brzmiały flety, skrzypce, tamburyna. Szły coraz to nowe orszaki z pochodniami. Delegacja rzemieślników złożyła mu życzenia w improwizowanych prowansalskich rymach. Gudin siedział na krześle i patrzył na przyjaciela z podziwem. Julia po prostu szalała.

- Była to piękna wyprawa - powiedział Pierre, gdy powóz zatrzymał się pod jego domem przy ulicy de Conde.

Jeszcze więcej blasku padło na Beaumarchais'go, kiedy w związku z procesem w Aix odbyła się przed Sądem Najwyższym rozprawa mająca ustalić, czy poprzedni wyrok zostanie uchylony.

Przyjaciele Carona w Wersalu dali mu do zrozumienia, że rząd życzyłby sobie, aby tym razem milczał. Wobec tego poprzestał na oświadczeniu w ulotce, że „będzie trzymał język za zębami, pozwoli mówić wyłącznie faktom”. Dotrzymał słowa. Skromnie ubrany, tylko z brylantem cesarzowej Marii Teresy na palcu, zjawił się w przepelnionej sali; usiadł potulnie na krześle i nie odezwał się ani słowem.

Wszystko trwało krótko, dla Beaumarchais'go o wiele za krótko. Prokurator generalny zażądał w trzech zdaniach anulowania starego wyroku. Senat ogłosił po pięciominutowej naradzie swą decyzję: Pierre'owi Caron de Beaumarchais przywraca się stan, który posiadał przed wyrokiem, „naganę” uznaje się za niebyłą, jest wolny od jakiegokolwiek „zmazy”, zostają mu przywrócone wszystkie urzędy i tytuły. Kiedy Pierre skłonił przed sędziami głowę, na sali zapanował nieopisany zgiełk. Entuzjaści zanieśli go na rękach do powozu. „Męczennik Beaumarchais” święcił triumf, jakiego dotąd nie przeżył nawet w teatrze.

Nazajutrz rano zjawili się na ceremonię lever wszyscy, którzy swego czasu znikli: baron de Trois-Tours, pan Regnier z Najwyższego Sądu, kawaler Clonard z Kompanii Indyjskiej.

Po tygodniu dostarczono mu wyrok sądu w Aix. Okazał się w szczególności jeszcze pomyślniejszy, niż Pierre się spodziewał. Była w nim wprawdzie mowa, że ulotka jego o Scycie ze strzałą i grzmiącym werblu winna ulec zniszczeniu, ponieważ zawiera bezpodstawną obrazę przeciwnika, ale za to wyrok przyznawał mu wszystkie sumy, których się domagał, wraz z

bardzo wysokimi procentami. Ponadto wyrok przyznawał mu odszkodowanie w wysokości trzydziestu tysięcy liwrów za krzywdę, jakiej doznał na skutek niedbałego administrowania masą spadkową po zmarłym Duverny'm. W rezultacie do pustych jego kas wpłynęły nieoczekiwane znaczne sumy.

Potem przyniesiono portret pana Duverny pędzla malarza Duplessis, który mu również został przyznany. Powbijano w ścianę haki, puste miejsce znikło. Oto wisi obraz, widomy znak tego, co potrafił osiągnąć wytrwały, energiczny optymizm; Pierre siedział przed portretem Duverny'ego z twarzą ogłupiałą ze szczęścia.

W całym tym wirze, blasku i odurzeniu ostatnich dni Pierre ledwie zauważył, że od dłuższego czasu nie nadeszła żadna wiadomość od Pawła. Ubolewał, że Paweł nie był obecny na rozprawie paryskiej, dziwił się, że ostatnie raporty z Bordeaux nie nosiły podpisu Pawła, lecz sygnował je pan Peyroux, stały agent firmy Hortalez. Teraz przyszło od pana Peyroux pilne zapytanie, na które bez trudu mógł odpowiedzieć na miejscu Paweł. Pierre zaniepokojony zażądał jak najprędzej wiadomości, co się z Pawłem dzieje. Zdziwiony pan Peyroux odpowiedział odwrotną pocztą, że przecież pan Theveneau wyjechał z ostatnim transportem do Ameryki.

Od czasu kiedy przestały przychodzić wiadomości od Pawła, Pierre miał przecucie, którego nie chciał sobie jednak uświadomić. Teraz był poruszony, prawował się sam z sobą, usprawiedliwiał. Jak podstępnie umotywowował Paweł swe żądanie generalnego pełnomocnictwa! Mimo to Pierre nie powinien był dać się wziąć na ten podstęp. Nie doszłoby do tego, gdyby nie był tak całkowicie pochłonięty i procesem, z czym się Paweł niewątpliwie liczył. Czyż to była wina Beaumarchais'go, że Paweł użył tak podstępnych środków? Czy nie zrobił wszystkiego, co tylko było możliwe, aby zatrzymać przyjaciela? Czy w ostrych słowach nie zabronił

mu wyjazdu? Czy Paweł się nie podporządkował? Nie, naprawdę nie chciał, by Paweł pojechał za ocean. Teraz wściekał się na siebie, na Pawła, na złą wolę Amerykanów.

Bezpośrednio po triumfie odniesionym w sali sądowej poszedł do Teresy i rozpromieniony oświadczył jej, że wobec rehabilitacji nic już teraz nie stoi na przeszkodzie ich małżeństwu; powiedział to w taki sposób, jak gdyby to ona odsuwała termin ślubu. Ustalili, że zaczekają z tym na powrót Pawła z Bordeaux; nie chcieli, by go brakowało na tej uroczystości. Teraz niezadowolony, wzburzony, ale nie bez pewnej dumy musiał opowiedzieć Teresie o równie szlachetnym jak niezrozumiałym postępku przyjaciela.

Pobladła, po chwili oblała się rumieńcem, wielkie, jasne, szare oczy posmutniały, podniosła jeszcze wyżej śmiało zarysowane brwi.

- Nie wolno ci było dopuścić do tego - powiedziała. I po chwili dodała: - To gałgaństwo. - Mówiła spokojniej, niż oczekiwał, ale ostrzejszym tonem.

W ciągu całego bujnego życia zalewały Beaumarchais'go coraz to nowe fale obelg; niezależnie od tego, czy były zasłużone, czy nie, spływały po nim, zawsze umiał wydobyć się z ich toni. To, co mu teraz zarzucała ta kobieta, z którą czuł się związany bliżej niż z kimkolwiek, było, łagodnie mówiąc, bezgraniczną przesadą. Może w wirze swych spraw związanych z procesem w Aix nie poświęcił dziwnemu listowi Pawła należytej uwagi - oto wszystko. A Teresa zachowuje się tak, jak gdyby posłał chłopca na śmierć. Chciał gwałtownie zareplikować. Ale spojrzawszy na jej twarz, na której malowało się gniewne lekceważenie, nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa. Zanim zdążył się opanować, opuściła pokój.

Pierre siedział przy stole, na którym stały jeszcze resztki jedzenia, nagle niesłychanie osamotniony, pobity na głowę. Klęska wydawała mu się o wiele większa od zwycięstwa w

Aix i Paryżu, Przyszła niespodziewanie, i to ze strony Teresy. Z natury obrotny, tkwił na krześle z bezradną miną. Wypił jednym haustem kielich wina. Potem wstał i poszedł za nią. Znalazł ją w sypialni. Usiadł obok niej, nie wspomniał ani słowem o tej nieszczęsnej sprawie, wiedząc, że bronienie się byłoby bezcelowe. Zamiast tego mówił ostrożnie o ślubie, o drobnych, praktycznych szczegółach. Potrząsnęła głową. Wziął wolnym ruchem jej rękę, wyrwała mu ją. Milczał przez chwilę. Potem, choć wiedział, że postępuje fałszywie, zaczął mówić o tym, jak surowo zabronił Pawłowi tej wyprawy. Odwróciła się i półgłosem, ale tak, że sprzeciw był niemożliwy, powiedziała: - Proszę cię, odejź. Odszedł pobity dotkliwiej niż kiedykolwiek w życiu.

Artur Lee, który powrócił z Madrytu nic tam nie załatwiwszy, krytykował w gorzkich, ironicznych słowach leniwe, rozwiązłe życie, jakie doktor honoris causa prowadził w Passy.

Istotnie Franklin przez całą wiosnę i wczesne lato pędził wesoły, towarzyski tryb życia, mało się troszcząc o bieg spraw, przekonany, że wszelka próba przyspieszenia rokowań z Wersalem na temat uznania traktatu handlowego i sojuszu przyniosłaby jedynie szkodę. Można było tylko czekać.

Z Filadelfii nadchodziły skąpe wieści; liczba statków, które wpadły w ręce Anglików, była wyraźnie większa od liczby tych, które docierały nietknięte do portów europejskich. Na jakiś czas ewakuowano nawet Filadelfię i Kongres obradował w Baltimore. Wprawdzie Kongres powrócił wkrótce do Filadelfii, ofensywa nieprzyjacielska została zatrzymana, ale wszystko przemawiało za tym, że sytuacja jest w dalszym ciągu groźna. Jeżeli jednak Artur Lee uważa, że należy teraz szturmować ze zdwojoną gwałtownością do Wersalu, to nonsens. Właśnie dlatego, że nie można było powołać się na

zwycięstwa w rodzaju odniesionych pod Trenton i Princeton, należało zaczekać, aż się sytuacja militarna polepszy.

Franklin nie był wojakiem. Jako człowiek rozsądny, humanitarny, czuł głęboką odrazę do czegoś tak bezgranicznie bezmyślnego, zbędnego, atawistycznego jak wojna. W ciągu całego długiego konfliktu z Londynem czynił nieustanne wysiłki, by uniknąć otwartej wojny; jeżeli poszły na marne, z pewnością nie była to jego wina. Wśród wielu głupich igraszek ludzkich zabawa w wojnę wydawała mu się najgłupsza i najbardziej kosztowna, uważał za wstyd i hańbę, że warunki zmuszają go, by pragnął czegoś w rodzaju Trenton i Princeton; przecież zwycięstwa takie okupowane są zawsze masową śmiercią i niezliczonymi cierpieniami.

Panowie z Kongresu nie uświadamiają sobie widocznie, że w obecnej sytuacji nie sposób było doprowadzić do sojuszu.

Pisali tak, jak zwykł mówić Artur Lee. Listy ich kończyły się zawsze energicznym żądaniem, by emisariusze za wszelką cenę przyspieszyli zawarcie traktatu handlowego i sojuszu; czekają na to, jak się w czasie posuchy czeka na deszcz.

Maurepas miał rację, kiedy we właściwy sobie, cyniczny sposób naśmiewał się z pośpiechu, z jakim w Filadelfii zapomina się o różnych sprawach. Pewni członkowie Kongresu, którzy teraz bardzo gwałtownie nalegają na podpisanie traktatu z Francją, jeszcze niedawno wygłaszali piorunujące przemówienia na temat odwiecznej, zakorzenionej nienawiści do Francuzów, tych kacerzy, czcicieli bożków, niewolników tyranii. O tym wszystkim zapomniano teraz w Filadelfii, ale nie w Wersalu.

Sam Franklin nie zapomniał o owej wojnie, którą Amerykanie nazywali francusko-indiańską, Europejczycy zaś siedmioletnią. Ten dobry znawca ludzi pojmował, że w owym czasie przypisywano zwycięstwo i pokój przede wszystkim anglo-amerykańskim sukcesom wojennym. Rozumiał jednak

również stanowisko Paryża, który uważał, że tylko wyjątkowo nieszczęśliwy przypadek wyrwał z rąk Francji pewne zwycięstwo. Gdyby wtedy, mówiono w Paryżu, kiedy Fryderyk pruski stracił właśnie wszystko, nie umarła cesarzowa rosyjska i nie wstąpił na tron jej syn, głupawy romantyk, Prusy byłyby pokonane, Francja podyktowałaby na kontynencie pokój i oba katolickie mocarstwa nigdy nie utraciłyby swych posiadłości w Ameryce.

Franklin rozmyślał często, jak dziwne były ostateczne skutki owego zwycięstwa angielskiego z roku 1763 i jak się teraz to zwycięstwo obróciło przeciw Anglii. Gdyby nie zostało odniesione, katolickie kolonie Francji i Hiszpanii ścisnęłyby po dziś dzień dławiącym pasem angielską Amerykę. Wówczas Ameryka, chcąc stawić czoło Francji i Hiszpanii, w dalszym ciągu byłaby zdana na militarną ochronę kraju macierzystego i kolonie nigdy nie mogłyby pomyśleć o ogłoszeniu niepodległości.

Doktor patrzył w przyszłość z uśmiechem i ze smutkiem. Jeżeli człowiek obserwuje przebieg wydarzeń z wielkiej wysokości, czego się nauczył wkraczając w ósmy krzyżyk, to widzi, że mimo wszystko ludzie dorastają, stają się mądrzejsi, a w każdym razie mniej głupi. Historia chodzi bardzo dziwnymi, okólnymi drogami, nie zawsze można dojrzeć, dokąd zmierza. Ale wydaje się, że istnieje pewien cel, i to rozsądny. Trzeba tylko umieć czekać.

Snując takie myśli Franklin siedział przed swym biurkiem; mądre godzenie się z powolnością każdego postępu historycznego nie zmniejszało niezadowolenia z nieznośnej poczty, której znowu karygodnie pozwolił się nagromadzić - leżały jej całe stosy. Z westchnieniem spojrzął na pliki papierów. Potem zdecydowanym ruchem odsunął wszystko na bok. Czy ma znowu dać Arturowi Lee powód do dąsów, znowu z opóźnieniem odpowiedzieć na całą tę uciążliwą

pocztę? No, dobrze, ale z początku zrobi coś dla przyjemności: napisze list do madame Brillon.

Madame Brillon była w podróży, na Południu. Doktor chętnie ją wspominał. Szykując się teraz do pisania widział dokładnie, jak siedzi na jego kolanach, tuli się do niego, niemal dotykając śliczną twarzą jego policzka.

Miała wygląd kobiety z Południa, ciemną skórę i czarne włosy; rzewne, duże, czarne oczy dziwnie kontrastowały z lekkim meszkiem nad górną wargą. Franklin nie byłby w stanie powiedzieć, którą woli, panią Helvetius czy panią Brillon. Obie z równą serdecznością nazywały go chwilami starym szelmą, z jedną i z drugą rozmawiał z tą samą żartobliwą powagą, żadnej z nich nie chciałby utracić.

„Przechodzę często obok domu Pani, bardzo sercu memu miła Madame Brillon - pisał - i wydaje mi się opuszczony. Dawniej, kiedy znalazłem się w pobliżu domu Pani, grzeszyłem często przeciw przykazaniu: «Nie pożądaj żony bliźniego twego». Obecnie tego nie czynię. Muszę jednak wyznać, że zawsze uważałem to przykazanie za uciążliwe; jest przeciwne naturze ludzkiej i żałuję, że zostało wydane. Gdyby Pani miała podczas swej podróży okazję spotkać przypadkiem Ojca Świętego, czy nie mogłaby go Pani poprosić, żeby je zniósł?»

W podobnym sensie i stylu pisał dalej z całą pasją; przepadał za listami tego rodzaju.

Teraz już nie miał przed sobą samym wymówki i musiał zabrać się do korespondencji urzędowej. Nagle znowu poczuł ból w nodze, który się dotychczas nie odzywał. Zdjął bucik i pończochę; lekko pojękując zaczął masować miejsce nękane podagrą.

Szkoda, że William tak mu jest mało pomocny. Nie mógłby mu powierzyć żadnego ważnego listu. Chłopak orientowałby się wprawdzie szybko, ale nic nie brał na serio, zbyt wiele

miął spraw na głowie. Był uroczy, jego pogodna, wesoła młodzieńczość podobała się wszystkim i w tym właśnie tkwiły pokusa i niebezpieczeństwo. Był rozrzutny, grał, miewał miłosne przygody. Kiedy przychodził do Franklina po pieniądze, robił to z takim wdziękiem, że stary nie miał serca mu odmówić. Nie można go nawet było poważnie upomnieć; przypowiadki Franklina i przytaczane przez niego dykteryjki z kalendarza działały na innych, ale nie docierały do wytwornego młodzieńca, zadowolonego z siebie i ze świata. Szkoda, że dla załatwienia swoich interesów nie ma kogoś w rodzaju pana Theveneau. Poświęcił się dla swego trzpiotowatego szefa, pojechał dla niego do Ameryki; Franklin nie ma nikogo, kto byłby mu naprawdę pomocny. Oczywiście ludzie jego nie byli tacy znowu niepewni, jak twierdził Artur Lee. Po powrocie z Hiszpanii Lee dostał nowego bzika: wszędzie węszył szpiegów. Każdemu, kto się zjawiał w Passy, przyglądał się podejrzliwie, czy był to Bancroft, którym Franklin od czasu do czasu posługiwał się w ważniejszych sprawach, czy młody duchowny John Vardill. Również Silas Deane uskarżał się, że Artur Lee uważa obu jego sekretarzy, Józefa Hynsona i Jakuba von Zandt, za szpicli; Silas Deane był przy tym zdania, że sekretarz Artura Lee, niejaki mister Thornton, któremu Lee powierza poufne sprawy, nie jest człowiekiem pewnym. W rezultacie doszło między tymi panami do burzliwej kłótni i Franklin z uciechą przypomniał sobie, jak musiał pośredniczyć między kolegami. Nie wiedział, że obaj mieli rację. Wszyscy pomocnicy i sekretarze, których określali jako szpiegów, istotnie pracowali dla angielskiego albo francuskiego tajnego wywiadu. Pod wpływem myśli o zręczym się między sobą kolegach Franklin wyciągnął ze stosu listów pismo wręczone mu poprzedniego dnia w tajemniczy sposób przez jakiegoś nieznajomego. Jakiś mityczny baron Weissenstein obiecywał

w nim przywódcom Amerykanów złote góry, na wypadek gdyby opowiedzieli się za kompromisowym pokojem z Anglią. Przyrzekał wysokie kwoty pieniężne, urzędy i tytuły przede wszystkim Franklinowi i generałowi Waszyngtonowi. Franklin przypuszczał, że są to oferty na serio, zrobione z wiedzą króla Jerzego, wydawało mu się nawet, że poznaje pedantyczny styl króla. Liczył się z tym, że i odpowiedź dotrze do króla, więc starał się, by wypadła jak najostrzej i jak najzjadliwiej. Niech się jego królewska mość wścieka i pieni ze złości.

Uczyniwszy to przeczytał jeszcze raz tajną instrukcję, określającą, w jaki sposób odpowiedź ma być dostarczona tajemniczemu baronowi. Następnego poniedziałku, brzmiała owa instrukcja, zjawi się w obrębie chóru kościoła Notre-Dame, otoczonego żelazną kratą, pewien człowiek z różą w butonierce. Nie wie on, o co chodzi, powiedziano mu, że to sprawa miłosna. Można mu z całym zaufaniem powierzyć list. Franklin wręczenie odpowiedzi polecił chłopcu, którego podejrzewał, że jest w służbie policji francuskiej. Wcale nie szkodzi, jeżeli pan de Vergennes dowie się, że komisarze amerykańscy nie odrzucają z góry propozycji tajemniczych angielskich pośredników. Może panowie z Wersalu trochę się rozruszają.

A więc umówionego dnia o umówionej godzinie stawił się na chórze Notre-Dame wysłannik Franklina, zjawili się również tajni agenci francuscy i angielscy. Każdy miał coś do załatwienia, do zaraportowania, każdemu się wydawało, że góruje nad resztą.

Paryżanie w dalszym ciągu odnosili się do Franklina z entuzjazmem; mędrzec na skalę światową i mąż stanu, czekając z filozoficznym spokojem na rozwój wypadków w swym miejskim ogrodzie na peryferiach miasta, pozostawał

dla nich wielkim symbolem. Ale niekorzystna sytuacja militarna Amerykanów budziła we Franklinie obawę, że uniesienie to nie potrwa długo. Entuzjazm dla sprawy pachnącej przegraną prędko się ulatnia. Już miał wrażenie, że mniej korzystnie wygląda na swoich podobiznach, które w dalszym ciągu sporządzano. Często z podobizn tych spoglądał nań teraz chytry, twardy, wyrachowany wieśniak, pozbawiony wielkości i dobroci.

W tych warunkach był rad, kiedy gospodarz jego, pan de Chaumont, zapytał go, czy może zamówić u malarza Duplessis jego portret; pan Duplessis, najbardziej ceniony i najwyżej opłacany portrecista francuski, oddawał na płótnie swe modele w sposób wyrazisty i dostojny.

Pan Duplessis miał lat pięćdziesiąt pięć. Niezdarnie, w prowansalskiej gwarze, której zrozumienie kosztowało Franklina wiele trudu, tłumaczył mu nieśmiało, że pracuje powoli i z wysiłkiem, Franklin będzie więc musiał wielokrotnie pozować. Doktor słuchał tego niechętnie, nie lubił bowiem siedzieć długo na jednym miejscu. Ale portret takiego pędzla wart był zachodu. Ciekawy Franklin chciał już podczas pierwszego seansu zobaczyć, jak postępuje praca, Duplessis jednak nie lubił, żeby oglądano jego obrazy, zanim je skończy.

Franklin zrobił na nim wrażenie, ale Duplessis, któremu rozmowa przychodziła niełatwo, był milczący. Dopiero kiedy Franklin dał markizowi do zrozumienia, że mu się podoba, rozkrochmalił się jakoś. Opowiadał o swoich próbach ulepszenia pewnych farb, przede wszystkim marzanki i ultramaryny. Ponadto wynalazł nową metodę wyrabiania z gumy potrzebnych w pracowni lalek-modeli. Ponieważ Franklin okazał dla tych wynalazków wyraźne zainteresowanie i stawiał inteligentne pytania, malarz podzielił się z nim innymi swoimi troskami.

Malowanie moźnych tego świata nie było rzeczą prostą. Długo ociągali się z przyjściem na seans, zmieniali terminy po pięć, dziesięć razy, a i wtedy nawet bez uprzedzenia częstokroć się nie zjawiali. Ileż było korowodów, kiedy to dla pani matki, cesarzowej austriackiej, malował królową, wówczas jeszcze żonę delfina. Wreszcie Toinette użyczyła mu dwa i pół seansu. Mimo to portret był zdaniem znawców udany. Jednak majestat wiedeński krzywił się mówiąc, że obraz nie jest dostatecznie podobny, że ma tło mało korzystne; zdaniem cesarzowej, żywa Toinette była piękniejsza od namalowanej.

Duplessis westchnął, uśmiechnął się. Potem z pewnym rozbawieniem, ale nie bez gniewu, opowiedział o swych doświadczeniach z królem. Malował go trzykrotnie. Monsieur D'Angivillers żądał, by portrety robiły jak najbardziej królewskie wrażenie, ponieważ były przeznaczone dla obcych potentatów. Jego królewska mość nie był jeszcze wówczas takim tłuściochem, więc nadanie portretowi cech królewskich nie nastęrczało zbyt wielkich trudności. Korona, berło, płaszcz gronostajowy, gwiazda orderu dopełniały reszty. Ale było rzeczą prawie niemożliwą skłonić króla, by zgodził się pozować. Duplessis musiał pojechać z nim na koronację i jeszcze na sześć dni przed otwarciem Salonu Ludwik nie zjawił się na obiecany drugi seans. Tym razem Duplessis miał namalować portret Ludwika, który by sprawiał osobliwe „imponujące” wrażenie. Miał to być podarunek Kompanii Indyjskiej dla radży Karnataku. Król miał być przedstawiony nie w płaszczu koronacyjnym, lecz z wszystkimi innymi insygniami władzy; obraz miał być namalowany w bardzo szybkim tempie, zanim statek odpłynie do Indii. Tymczasem urzędy przechowujące insygnia, zawsze powolne, robiły trudności natury biurokratycznej. W końcu, opowiadał spokojny zwykle malarz, jeszcze teraz kipiąc z gniewu, pan D'Angivillers polecił mi dać nieboszczykowi Ludwikowi XV,

którego malował Van Loo, głowę Ludwika XVI; należy mieć nadzieję, że radza nie zorientuje się w tej zamianie.

Rewanżując się malarzowi Franklin opowiedział mu kilka własnych dykteryjek. Odbyli sporo seansów, gdyż jednemu i drugiemu zależało na tym, by portret się udał. Stopniowo stawali się oszczędniejsi w słowach i przyszedł czas, kiedy nic już istotnego nie mieli sobie do powiedzenia. Franklin zabierał teraz do malarza różnych swoich przyjaciół, by z nimi gadać lub słuchać ich głośnego czytania. Duplessis patrzył chętnym okiem na wszystko, co łagodziło niecierpliwość Amerykanina. Pewnego razu zjawił się nie zapowiedziany Maurepas. Oświadczył, że doszło do jego uszu, iż doktor Franklin poddaje się ceremonii portretowania. Uważał więc za swój obowiązek rozerwać nieco starego przyjaciela.

Franklin siedział na podium w wygodnej, lecz dostojnej pozie. Kamizela była mocno pofałdowana, włosy opadały na futrzany kołnierz kurtki. Zdawał sobie sprawę, że w tej pozie wygląda bardzo korzystnie. Wytworny Maurepas siedział naprzeciw niego, trochę niżej. Starannie i modnie ubrany, pachnący perfumami, siedemdziesięciosześcioletni starzec odbijał jaskrawo od skromnego, dostojnego Franklina, liczącego lat siedemdziesiąt jeden.

Doktor oświadczył z błogim uśmiechem, że w ostatnich czasach słyszał często, jakoby miał być chytry i szczywany. Wydaje mu się, że ma inne cechy, które, miejmy nadzieję, znajdą wyraz w obrazie naszego pana Duplessis - na przykład cierpliwość. Maurepas uśmiechnął się.

- Pan, drogi mój doktorze, chytry i szczywany? - powiedział po angielsku, żeby go Duplessis nie zrozumiał. - Nie - ciągnął dalej - pomimo całego szacunku dla pańskiej mądrości, nie można pana uważać ani za przebiegłego, ani za szczywanego. Ot, na przykład pański manewr z tym baronem Weissenstein; nie, na coś takiego nie damy się tu w Paryżu złapać.

Franklin był w głębi ducha rad. A więc Maurepas dlatego tu przyszedł. Doktor od dawna oczekiwał z napięciem, co też Wersal powie na jego korespondencję z tym wątpliwym baronem.

- Żeby się pan nawet bardzo wysiłał - ciągnął dalej minister - nie uwierzmy po prostu, że jest pan lisem i Machiavellim. Stawiałem sobie nawet pytanie, czy mam pański list do tego Weissensteina przeczytać. Wiedziałem przecież z góry, że zawrze pan pokój tylko w tym wypadku, jeżeli będzie oparty na uznaniu waszej niepodległości.

Franklin był rad. Minister mówił dokładnie tak, jak tego doktor chciał i oczekiwał.

- Niechże więc pan dalej pertraktuje ze swoimi Anglikami - ciągnął dalej Maurepas. - A jeżeli na przyszłość będzie pan chciał propagować swoje orędzia bez zwracania uwagi, to proszę zapytać naszą policję o mniej dyletanckie środki i drogi. Mógłby na przykład zaufany tego pańskiego Weissensteina usiąść jako żebrak na Pont-Neuf, pan zaś mógłby wrzucić mu do kapelusza swoje orędzie wraz z kilkoma groszami.

- Czy przeszkadza to panu, kiedy się śmieję, panie Duplessis?
- zapytał Franklin.

- Skądże znowu - odpowiedział malarz i Franklin uśmiechnął się szeroko.

- Musi pan przyznać - powiedział po chwili do hrabiego Maurepas - że polityka pańska zmusza nas po prostu do pertraktowania z Londynem. Zbyt długo pozwala nam pan wisieć w powietrzu.

- Człowiek pokroju Franklina nie wisi w powietrzu - powiedział Maurepas uprzejmie. - Czekanie źle na pana nie wpływa. Podobno umie pan spędzać czas i miło, i godnie. Z pewnością zrozumie pan, że wasza sytuacja militarna nie

ułatwia waszym przyjaciółom w Wersalu przyspieszenia zawarcia traktatu.

Stosownie do prośby pana Duplessis Franklin pochylił głowę nieco w prawo, ale nie mógł nic poradzić na to, że miał teraz minę poważniejszą i bardziej ponurą, niż sobie tego malarz życzył.

- Nie przybyłem jednak - ciągnął dalej Maurepas, zanim Franklin zdążył odpowiedzieć - po to, by zatruć panu seans; zapewniam pana, że niepomyślne wiadomości z Ameryki mają minimalny wpływ na pańską sytuację. Nie zawrzemy traktatu z wami na łeb, na szyję, ale równocześnie nie możemy sobie pozwolić na to, by was oddać na pastwę losu. Jedna rzecz jest pewna - zakończył uprzejmie - najsilniejszym atutem Ameryki pozostaje niezależnie od zmiennych losów wojny pańska popularność, doktorze.

- Byłoby godne ubolewania - odpowiedział Franklin ze swego podium cichym, lecz dźwięcznym głosem - gdyby sprawa tak wielka jak stworzenie Republiki Amerykańskiej była zależna od poszczególnego człowieka.

- Czcigodny doktorze, jesteśmy obaj dość starzy - odparł Maurepas - by wiedzieć o tym, jak olbrzymią rolę odgrywa w historii świata sprzyjająca okoliczność, polegająca na tym, że czyjaś twarz podoba się ludowi. A może sądzi pan, że historią kieruje jakieś prawo głębsze od takich przypadków? Bo ja tak nie sądzę. Im dłużej żyję - niech pan spokojnie słucha, mój drogi Duplessis - mówił teraz po francusku - może pan tylko z moich doświadczeń skorzystać - otóż im dłużej żyję, tym wyraźniej uświadamiam sobie: historia świata nie ma sensu. Toczy się to i faluje we wszystkich kierunkach, a my się w tym pluskamy i prąd nas unosi.

Zdawało się, że pod wpływem tych słów miła, pogodna pracownia stała się nagle jakaś pusta i zimna. Zabrzmiały one tym bardziej przygnębiająco, że zostały wypowiedziane tonem

uprzejmym, kolokwialnym i jak coś, co nie ulega wątpliwości. Nawet pan Duplessis opuścił pędzel i patrzył z niemiłym zakłopotaniem na uśmiechającego się uprzejmie hrabiego Maurepas.

Franklin nie poruszył się na swym podium.

- Sądzę - powiedział - że próbujemy nadać sens historii świata. Nie brzmiało to jak wyrzut, ale równocześnie była w tych słowach taka ufność i siła przekonania, że ponure oświadczenie premiera rozwiało się jak dym.

Maurepas odrzekł uprzejmie:

- Tak, doktorze, pan to próbuje.

Wstał, przeciągnął się i bardzo zwinnie, jak na swoje lata, zanim Duplessis zdążył mu przeszkodzić, stanął przed portretem. Cofnął się, znowu się zbliżył, znowu odstąpił w tył, patrzył. Ożywił się. Porównywał długo człowieka na podium z człowiekiem na płótnie.

- Ależ to wspaniałe, mój drogi Duplessis! - zawołał wreszcie. - Przecież to jeszcze lepsze od pańskiego portretu Glucka. Teraz dopiero widać - zwrócił się do Franklina - jaki z pana człowiek. Przynajmniej ja widzę to dopiero teraz. Co za szerokie, potężne czoło - entuzjasmował się, jak gdyby Franklina wcale w pracowni nie było - widać po prostu, jak pod nim pracują myśli. A te zmarszczki! Głębokie i mocne, ale żadna z nich nie świadczy o ciężkim, wyciskającym pot wysiłku. A jaki spokój w oczach. Będziemy jeszcze mieli z panem dużo kłopotu, drogi doktorze. Zorientowałem się w tym dopiero teraz.

Na nowo pograżył się w oglądanie portretu.

„Jaka szkoda - powiedział do siebie - że nie zabrałem ze sobą mego Salle i że pierwsza moja wypowiedź zostanie stracona dla potomności”.

Chcąc to sobie wynagrodzić skierował orację przynajmniej do malarza.

- Człowiek - zaczął - którego pan umieścił na płótnie, nie wie, co to są trudności. Wszystko przychodzi mu łatwo. Choć u schyłku życia, tworzenie republiki to dla niego nie praca, lecz zabawa. Wszystko jest dla niego zabawą: wiedza, ludzie, interesy. Par mon ame, s'il en fut en moi - zacytował swój ulubiony zwrot - na mą duszę, jeżeli ją posiadam. Nie wie pan wcale, drogi panie Duplessis, jakie pan stworzył arcydzieło.

- Proszę wybaczyć, doktorze, jeżeli przesadziłem - zwrócił się do Franklina - ale my, Francuzi, kiedy się entuzjasmujemy, mówimy wszystko, co nam leży na sercu, szybko, prosto z mostu. Wie pan, doktorze - zachwycał się w dalszym ciągu - kiedy pan tak siedzi i patrzy z portretu, myślę sobie: oto człowiek. Voila un homme. Behold the man - spróbował przetłumaczyć na angielski. W końcu oświadczył: - Nie, to można wyrazić tylko po łacinie: Ecce vir.

Franklin podniósł się i przeciągnął.

- Mogę teraz trochę pochodzić? - zapytał malarza, który obsypany pochwałami ministra stał w niezgrabnej pozie z rumieńcami na twarzy.

Franklin zszedł z podium, przemierzył kilka razy pracownię, podrapał się.

- Pan hrabia uchodzi w tym kraju za największego znawcę - powiedział do malarza. - Musiał pan naprawdę stworzyć arcydzieło. Wolno obejrzeć?

Z portretu spoglądał nań Benjamin Franklin, znany mu, a równocześnie jakiś obcy. Były tu i worki pod oczami, i podwójny podbródek, i zmarszczki. Czoło rysowało się potężnie, szczęka wyglądała mocno i energicznie, oczy miały wyraz surowy, badawczy, bardzo sprawiedliwy, usta były szerokie, zamknięte, nie stworzone ani do skarg, ani do rezygnacji. Mimo wieku był to człowiek jeszcze niestary, na pozór życzliwy, a jednak mało komu znany.

Duplessis patrzył na Franklina z pewnym lękiem. Ten odruchowo przejął z portretu surowy, badawczy wyraz.

- Dobrze pan to zrobił, monsieur Duplessis - powiedział wreszcie.

Malarz był dumniejszy z tych kilku słów niż z całego długiego hymnu pochwalnego ministra.

- Musi pan namalować i dla mnie portret naszego Franklina - powiedział Maurepas.

- Nie będę już więcej pozował - oświadczył z miejsca Franklin.

- To niepotrzebne - uspokoił go Duplessis. - Jeżeli odtworzę portret z małymi zmianami, druga lub trzecia wersja będzie lepsza.

- A więc zrobione - powiedział Maurepas.

- Tylko proszę mnie nie wieszać obok swoich tajemniczych nagich dam - wypraszał sobie Franklin.

Minister zastanowił się.

- Zagadnienie to nie lada - powiedział - gdzie pana zawiesić. Mam wrażenie, że na razie lepiej osobą pana nie kłuć oczu arcychrześcijańskiego monarchy. Sądzę, że chwilowo trzeba będzie zawiesić pana w pałacu Phelypeau w Paryżu, nie w Wersalu. Gdy nadejdzie pora, przeniosę pana w najszlachetniejszych złotych ramach do Wersalu. Młody mój monarcha ma niewielkie zrozumienie dla kobiecego piękna, ale posiada w wysokim stopniu zrozumienie dla godności i przyzwoitości. Un homme - powtórzył - ecce vir- i rozkoszował się tym określeniem, które znalazł dla starego człowieka na płótnie.

Pierre nie umiał wykreślić z pamięci słów Teresy: „To było gałgaństwo”, ani gniewnego, pogardliwego wyrazu jej twarzy.

Pojechał do niej do Meudon. Pokojowa dygnęła i powiedziała:

- Madame nie przyjmuje.

Napisał do niej, nie otrzymał odpowiedzi. Dziwiąc się postępowaniu Teresy, rozumiał ją jednak doskonale i kochał za to, że była taka, jaka była. Jeszcze raz przemyślał całą sprawę i doszedł do wniosku, że nie ma w nim cienia winy. Nie winił również swego przyjaciela Pawła. Winę ponosił jeden jedyny człowiek: Franklin. Jego wrogie starcze humory przyprawiły Carona nie tylko o utratę zysku, na który zasłużył rzetelnym wysiłkiem, ale również o utratę kochanki i przyjaciela.

Przez długi czas był przekonany, że oczerniono go przed doktorem, że jakieś nieporozumienie jest przyczyną dziwaczego zachowania Franklina. Teraz nie oddawał się już złudzeniom. Teraz przyznawał sam przed sobą: nie podobał się staremu w przeciwieństwie do Pawła, nie znajdował w jego oczach łaski. Było to niepojęte, nigdy mu się nic podobnego nie zdarzyło, nie umiał się z tym pogodzić. Ale pomimo całej swej gadatliwości nie potrafił mówić o tym z innymi - byłoby to zbyt upokarzające.

W takim stanie ducha zastała go nowa przykra wiadomość z Ameryki. Powrócił trzeci transport firmy Hortalez, tym razem zupełnie bez towarów i pieniędzy. Kongres znalazł nowy pretekst, by wykręcić się od zapłaty. Nie zgodził się na wstawienie do rachunku jakichkolwiek sum ubezpieczeniowych na podstawie motywacji dostarczonej przez Artura Lee, że Pierre nie dokonał tego ubezpieczenia u osoby trzeciej, lecz wziął ryzyko na siebie. Oświadczone w Kongresie, że dopóki sprawa ta nie zostanie uzgodniona, dopóty nie może być mowy o żadnej zapłacie.

Pierre szalał. Wedle zwyczajów panujących w francuskim handlu zamorskim wielkie firmy same ubezpieczały swoje transporty, to znaczy liczyły na wysokie premie związane z ryzykiem. Z drugiej strony nie liczone na zapłatę za transporty, które nie dotarły, i Pierre nie wystawiał

Kongresowi rachunków na dostawy, które wpadły w ręce Anglików. Wszystko to było Franklinowi wiadome i winien był sprostować nikczemne kłamstwa Artura Lee. Tymczasem uporczywe milczenie chimerycznego starucha umacniało tylko członków Kongresu w ich postawie przeciw firmie Hortalez.

Cała furia Beaumarchais'go skierowała się przeciw staruchowi z Passy. Nie umiał już teraz tłumić gniewu, który rozsadzał mu piersi. Pierwszą osobą, przed którą się wywnętrzył, była Julia. Siedzi sobie, szalał, ten wielki, rozleniwiony pajak w swoim ogrodzie, wysysa cały świat, wsysa w siebie całą sławę. A kto jest ofiarą? Kto płaci?! On, Pierre, dobroduszny, zawsze nabijany w butelkę idealista. Tego rodzaju gniewne tyrady zwykł był Pierre kończyć jakimś dowcipem i jakimś lekceważącym: „Ech, co tam?!” Tym razem ku zdumieniu Julii trwał w gniewie. Doktor Franklin musiał mu dobrze zalać sadła za skórę. Julia wtórowała bratu w złorzeczeniach, wyrażała mu w wielu słowach podziw, była święcie przekonana, że Pierre i tym razem przewycięży nowe trudności i pokaże złemu staruchowi, gdzie raki zimują.

Z Gudinem był Pierre ostrożniejszy. Widział, że wierny przyjaciel przechowywał w pamięci jego wynurzenia, że je zapewne notował: Gudin pracował w tajemnicy nie tylko nad Historią Francji, ale i nad Historią Beaumarchais'go. Pierre nie okazywał więc przed nim złości, lecz wspaniałomyślnie ironiczną rezygnację. Dla niego miał tylko zaprawione goryczą wzruszenie ramion nad bojownikami o wolność, którzy, zapatrzeni w wielką sprawę, nie płacą długów, doprowadzając wskutek tego do ruiny tych, którzy im najwydatniej pomagają. Gudin był wstrząśnięty. Zorientował się, że za rzekomą rezygnacją przyjaciela kryje się dzika niechęć: *saeva indignatio*. Cytował słowa, które mówi Herakles Eurypidesa: „Nienawidzę każdego, w kim zgasła wdzięczność”, przytaczał innych rzymskich i greckich

autorów, porównywał Franklina z owym Marcellinusem Plutarcha, który musi wysłuchać tego, co mu powiedział Pompejusz: „Czy nie wstyd ci tak na mnie napadać? Byłeś niemy i dałem ci mowę; głodowałeś i dałem ci tyle żarcia, że teraz możesz plwać”.

Przyjaciela zaś, cierpiącego za sprawę wolności, porównywał z melancholią i gniewem do tych ofiar, które przy wznoszeniu świątyń zamurowano żywcem w fundamentach.

Ale uczoność Gudina była dla Beaumarchais'go równie małą pociechą jak przekleństwa rzucone przez Julię pod adresem Amerykanów. Ach, jak mu było brak przyjaciółki Teresy, jak mu było brak przyjaciela Pawła!

Jednego z następnych dni Maigron, o wiecznie bladej twarzy, poinformował go przy ceremonii lever, że płynna gotówka, którą rozporządza firma Hortalez, wyraża się sumą trzystu siedemnastu franków i dwóch sous. Na ogłupiałej twarzy Carona pojawił się na ułamek sekundy wyraz furii, bezsilności i zdumienia. Ale zachował dar przyjmowania przykrych rzeczy z uśmiechem. Tak upływało jego życie - wspaniale i groteskowo. Utrzymywał biura i składy we wszystkich hiszpańskich i francuskich miastach portowych, wprawiał w ruch tysiące rąk, pokrywał i wysyłał dziewięćdziesiąt procent zapotrzebowania armii amerykańskiej, czternaście jego statków było na morzu, dziewięć innych czekało na rozkaz opuszczenia portów, a równocześnie zalegał z pensją swemu kamerdynerowi. Przyjmował to nie złorzecząc na los.

Ale miał dosyć tych wstrętnych interesów, przynajmniej na jakiś czas. Odsunie je na bok i po prostu przestanie się troszczyć o wszystko. Najważniejsza robota dla Ameryki i wolności została wykonana. Niech sobie Ameryka radzi jakiś czas bez niego. Posadził ją w siodle, niechże teraz sama pędzi naprzód.

Z lekkomyślnością, którą w takich wypadkach umiał wygrywać, powiedział do Maigrona:

- Ma pan więc wspaniałą okazję zasłużenia się. Ja sam nie będę mógł w najbliższej przyszłości zajmować się interesami. Mam pilną robotę literacką.

Istotnie nie przekroczył już progu Hotel de Hollande i nie kazał sobie składać raportów, co się tam dzieje. Natomiast wrócił do szkicu swej komedii. Wyciągnął ów monolog z Figara, który wówczas, pełen entuzjazmu, odczytał ojcu; od tego czasu, powodowany jakimś lękiem, nie pokazał go już nikomu. Na nowo poczuł tę samą radość, co wtedy, gdy pisał. Dokoła monologu zbudował komedię, dalszy ciąg Cyrulika, historię człowieka, który z uśmiechem, zgrabnie wyplątuje się ze wszystkich przeciwności, wielkiego spryciarza, który staje okoniem przeciw każdemu głupstwu i przesądowi świata i jakoś się z nimi potrafi uporać, historię Figara.

Zgromadził w niej cały swój żal do świata, w którym uprzywilejowanym głupcom żyje się tak lekko, a obdarzonym talentami, nie uprzywilejowanym, tak ciężko. Wyczuł niezawodnym instynktem, że wielkie słowa byłyby tu nie na miejscu, wypowiedział współczesnym swe zdanie o nich w swoisty sposób. Gniew, który miał we krwi, wcielił w kuplety, w zjadliwe, lekkie piosenki ludowe. Praca szła mu zawsze bez trudu, od ręki, ale nigdy tak łatwo jak teraz. Zdania płynęły same, repliki powstawały bez długiego szukania. Zupełnie jak w najlepszym dla niego okresie, okresie, który przeżył w Hiszpanii. Lekko, z wdziękiem przelewał Pierre na papier swą radość ze świata i swój gniew na ten świat, śpiewał i czuł, że żyje.

Odczytał sztukę swej siostrze Julii. Komedie nie była jeszcze skończona, ale zasadniczy trzon był gotów. Nie ulegało już teraz wątpliwości, że sztuka, zuchwała, prawdziwa i pełna

wdzięku, udała mu się. Julia uniesiona zachwytem wyraziła swój podziw w niepohamowanych słowach".

Z tym samym podziwem, ale z większym zrozumieniem, wysłuchał sztuki Filip Gudin. Delektował się dowcipem i świetnością utworu, jako doświadczony krytyk porównywał przyjaciela z Arystofanesem, Menandrem/1, Plautem i Terencjuszem/2, dowodził uczenie, że Pierre postawił komedię francuską o wiele wyżej aniżeli Molier.

1/ Menandros (342-292 p.n.e.) - poeta i komediopisarz grecki, przedstawiciel tzw. komedii nowoattyckiej.

2/Terentius (194-159 p.n.e.) - poeta rzymski, autor licznych komedii.

Tęsknota za Teresą mąciła Caronowi radość z solidnej pochwały Gudina. Z całej duszy pragnął zobaczyć, jak jego słowa odzwierciedlą się na jej twarzy. Ale Teresa nie chciała ani słyszeć o nim, ani go widzieć.

Po radosnej pracy siedział samotny i nie odczuwał spodziewanej satysfakcji.

Nagle dotarła do niego nieoczekiwana wiadomość. Z Passy, z Hotel Valentinois nadszedł pięknie drukowany bilet, zapraszający pana de Beaumarchais do wzięcia udziału w skromnej uroczystości, jaką w dniu 4 lipca z okazji rocznicy niepodległości trzynastu zjednoczonych stanów ma zamiar urządzić Benjamin Franklin dla niewielkiego grona przyjaciół. Zalała go ogromna fala szczęścia. Jakże się znowu wszystko obraca ku dobremu! Naprzód udało mu się to Wesele Figara, udał mu się ten „szalony dzień”, a teraz starzec z Passy zrozumiał wreszcie, że nie można sobie wyobrazić Ameryki bez pomocy Beaumarchais'go. Odczytał kilkakrotnie zaproszenie, gniew na Franklina ulotnił się całkowicie.

Ale stopniowo zaczęły go ogarniać wątpliwości. Czy tego rodzaju zaproszenie naprawdę coś znaczy? Czy jest czymś więcej aniżeli czystą formalnością? Czy w zamian za statki,

broń, towary, za miliony, które dostarczył Ameryce, ma się zadowolić tym kawałkiem papieru? A może zaproszenie jest chytrą próbą starucha pocieszenia go i ugłaskania? Niezdecydowany, pełen wahań, trzymał w ręku bilet z zaproszeniem.

Potrzeba mu było teraz rady. Ale tylko dwie osoby wchodziły w rachubę. Jedna z nich była w Ameryce. Musi zobaczyć Teresę. Nie może odmówić mu pomocy w tak ważnej dla niego sprawie.

Zwierzył się Gudinowi. Opowiedział mu, że doszło między nim i Teresą do drobnego zatargu. Niechaj Gudin pojedzie do Meudon i da Teresie do zrozumienia, że Caronowi zależy na usłyszeniu jej zdania w pewnej ważnej sprawie. Gudin uśmiechnął się. Ten spryciarz zna się na tym, w jaki sposób brać kobiety.

- Niech jej pan powie - mówił dalej Pierre - że chodzi o moje stosunki z Franklinem, albo niech pan powie, co panu przyjdzie do głowy. Nawiasem mówiąc, doktor zaprosił mnie do siebie, do swego „ogrodu” w Passy. Wygląda na to, że jednak nie będą mogli sobie poradzić bez starego Beaumarchais.

- I pan oczywiście pójdzie - oburzył się Gudin - w swojej niemądrej wspaniałomyślności przebaczy pan wszystko i zapomni, prawda?

Pierre uśmiechnął się.

- Mój drogi, niech pan jedzie do Meudon - powtórzył swą prośbę - i proszę nie wracać bez osiągnięcia czegoś. Liczę na pańską zręczność.

Zaszczycony i uszczęśliwiony poleceniem, Gudin udał się w drogę.

To, co Teresa określała jako zdradę Beaumarchais'go wobec Pawła, nie było dla niej po spokojnym namyśle niespodzianką. Znała Carona na wylot, nie były jej obce jego złe i dobre

strony. Nie ubolewała ani trochę nad szorstkością, z jaką się od niego odwróciła, nie żałowała również, że go nie chciała widzieć i nie przyjmowała jego listów. Ale uświadamiała sobie, że ten stan rzeczy nie może trwać wiecznie. Pierre był razem ze wszystkimi swoimi wadami godny najwyższej miłości, nie chciała go tracić, stanowił sens jej życia.

W takim nastroju zastał ją Gudin. Byli prawdziwymi przyjaciółmi, lubiła tego uczciwego, rozmownego, dobrodusznego erudyte, wiedziała, jak jest Caronowi oddany. Gudin myślał, że postępuje niezwykle chytrze, kiedy zaczął jej opowiadać, że Pierre robił aluzje do jakiegoś nieporozumienia między nim i Teresą; jako szczerzy przyjaciel obojga, nie porozumiewszy się z Caronem, za jego plecami, przyjechał do Meudon, gdyż nie wolno dopuścić, by spór taki trwał zbyt długo. Widząc, jak Gudin gorączkuje się i poci, Teresa poznała od razu, że kłamie. Rozwodził się szeroko nad tym, że Pierre znajduje się w przykrew sytuacji i potrzebuje rady swojej najlepszej przyjaciółki. Zapytała z nieufną miną, jakie Pierre ma kłopoty. Gudin odpowiedział, że dotyczy to jego stosunków z Franklinem. Nie są one najlepsze. A przecież Pierre i Franklin reprezentują na tym kontynencie postęp i wielka to szkoda, że nie panuje między nimi atmosfera prawdziwego, przyjacielskiego zaufania.

Teresa miała już przedtem wrażenie, że Pierre cierpi nad obojętnością Franklina. Kiedy teraz potwierdził to Gudin, przyszło jej na myśl, że chłód Franklina jest rodzajem kary za to paskudne zachowanie się Pierre'a wobec Pawła. Od razu powiedziała sobie, że to bzdura; Paweł pojechał do Ameryki właśnie dlatego, że Franklin zostawił Carona na lodzie, trudno zaś przypuścić, by Najwyższa Istota karała za czyn nie popełniony. Mimo tego rozumowania nie mogła się opędzić myśli, że istnieje pewien związek między zdradą Beaumarchais'go a niechętnym zachowaniem Franklina.

Fakt, że Pierre użył pośrednictwa Gudina, wydał jej się pomyślną okazją dla zmiany frontu. Oświadczyła gotowość przyjęcia Beaumarchais'go. Gudin opowiadał przyjacielowi z zachwytem o sukcesie swej chytrze przeprowadzonej misji.

Pierre, stanąwszy przed Teresą, zachowywał się z największą prostotą, na jaką umiał się zdobyć. Ani słówkiem nie wspomniał o starciu z powodu Pawła. Mówił rzeczowo o różnych próbach doprowadzenia do owocnej współpracy z Franklinem, o zimnym, obrażającym sposobie, w jaki ten go traktował, o zawziętym uporze starego, który nie chciał poprzeć w Kongresie jego żądań. Z kolei opowiedział o zaproszeniu do Passy i swoich wątpliwościach, co ono znaczy, czy jest ofertą pokojową, czy też manewrem, który ma go pocieszyć i powstrzymać od energiczniejszych kroków. Teresa odpowiedziała, że uważa je za akt kurtuazji i nic więcej. Nie wyobraża sobie, by się za nim krył jakiś podstęp. Nie wierzy również, aby Franklin żywił do Beaumarchais'go nienawiść.

- Prawdopodobnie - zakończyła - nie zajmuje się tobą tak bardzo, jak przypuszczasz. Zapewne nie zrobiłeś na nim tak mocnego wrażenia jak na innych.

Pierre nie dyskutował dalej na ten temat. Zapytał tylko, czy ma przyjąć zaproszenie, czy nie. Odpowiedziała, że na jego miejscu poszłaby, niezależnie od wszystkiego. Nieprzybycie byłoby niegrzecznością, dziecinnym wyzwaniem do otwartej walki. Pierre nie należy do ludzi, którzy by mogli wyjść zwycięsko z walki z Franklinem.

Przełknął i to. Przyznawał, że rada jej była rozsądna. Wizyta u Amerykanina, perspektywa zabłyśnięcia pociągały go. Odparł sucho, że Teresa ma rację - pójdzie za jej radą.

Powiedziawszy to stracił panowanie nad sobą, wybuchnął dzikimi oskarżeniami pod adresem Franklina. Nikt chyba nie powie, że się wdał w to wielkie przedsięwzięcie dla zysku i dowodów wdzięczności; kierował się przecież dobrem

sprawy. To wstyd i hańba, że doktor tak go lekceważy, zostawia na lodzie wyłącznie przez zawiść. Teresa skierowała nań spojrzenie swych wielkich oczu, poczuł się nieswojo, zamilkł.

Po chwili zaczął mówić o czym innym. Opowiadał o swej pracy, o Figarze, o tym, że mu się ta rzecz udała. Zapytał, czy może ją odczytać zaraz, na gorąco.

Teresa postanowiła poprzestać na razie na dzisiejszym spotkaniu z de Beaumarchais, uważając, że nie należy temu lekkoduchowi bez sumienia zbyt ułatwiać sprawy. Ale przecież porwało ją kiedyś literackie dzieło Carona, zanim z nim zamieniła słowo, porwały ją owe ulotki, w których toczył wspaniały, płomienny bój o sprawiedliwość. Była uszczęśliwiona, że odnalazł właściwy klimat, wrócił do literatury. Ilekroć odczytywał jej swoje utwory, czuła się wzruszona i porwana. Wszystko, co było w nim małe, ułatwiało się wówczas, pozostawał tylko ogień, tylko duch. Podczas czytania tworzył swe dzieło na nowo, obecni widzieli to i wraz z nim przeżywali. Teresę paliła chęć posłuchania komedii, nad którą pracował. Kosztowało ją wiele wysiłku, żeby powiedzieć ze spokojem i rezerwą:

- Dobrze, przyjdź pod koniec tygodnia.

Kiedy pod koniec tygodnia zjawił się z rękopisem, było to dla niej jakby świętem, ale starała się tego nie okazywać. Na czas czytania pozostawiła przy sobie małą Eugenię, która wyprawiała różne brewerie i krzyczała. Pierre nic sobie z tego nie robił. Czytał i z wielkim zapałem odgrywał to, co napisał. Po krótkiej chwili zorientował się z wyrazu jej pięknej twarzy, odzwierciedlającej każde drgnienie duszy, że osiągnął wszystko, czego chciał: słowa jego działały na nią. Śmiała się serdecznie, rozpromieniona, dzieciak piszcząc, Pierre śmiał się również z własnych dowcipów i sentencji, delectowali się nimi oboje. Zawierały w sobie mądrość ludu, dowcip Paryża,

nie były to błazeństwa, które lśnią tylko i za którymi nic nie ma, lecz ostre prawdy, żarty trafiające w samo sedno.

Kiedy skończył, Teresa wyciągnęła do niego rękę i powiedziała bez żadnych zastrzeżeń:

- To ci się naprawdę udało, Pierre.

Myślał z dumą: „Niech spróbuje zrobić coś podobnego stary Franklin, autor naiwnych przypowieści z kalendarza”.

Nie wypowiedział tego jednak i, śmiało wykorzystując odpowiedni moment, rzekł głośno:

- No, teraz już dosyć kłótni, teraz musimy się pobrać!

Teresa wyraziła zgodę na małżeństwo. Pierre był dumny, że to właśnie jego komedia, jego utwór literacki złamał opór nieprzystępnej, trudnej kobiety. Ale Teresa stanowczo sprzeciwiła się temu, by zamieszkać pod jednym dachem z Julią,

Pierre znalazł wyjście. Kiedy udawał się ze swego domu na niezbyt odległe przedmieście Saint-Antoine, mijał bezpański kawałek gruntu, który za każdym razem przyciągał jego uwagę. Grunt leżał na krańcu właściwego Paryża, tam gdzie ulica Saint-Antoine zakręcała w stronę placu Bastylli. Był to wielki, zaniedbany ogród, pośrodku, ledwie widoczny z ulicy, krył się za drzewami i wysokimi murami stary, samotny, na pół zrujnowany dom. Pierre kazał sobie dwukrotnie pokazać tę parcelę. Dom i ogród różniły się od wszystkich paryskich siedzib. Kiedy się patrzyło z górnego piętra budynku, człowiek czuł się pośród gwarne go miasta jak na wyspie. Z jednej strony ciągnęły się wśród ogrodów ciche stare domy, z których jeden należał kiedyś do Ninon de Lenclos/1, drugi do słynnego magika Cagliostro/2; po drugiej stronie rozciągał się szeroki plac, a nieco dalej widniała ponura, potężna Bastylia.

Pierre poinformował się przez pośrednika o cenę domu. Właściciel, wiedząc, że dom posiada specjalną wartość dla amatora, zażądał potwornej sumy, przewyższającej godziwą

cenę o jakieś trzydzieści, czterdzieści tysięcy liwrów, co odstraszyło nawet człowieka tak lekkomyślnego jak Pierre. Teraz, zdecydowawszy się na małżeństwo, postanowił nabyć ten dom i przerobić go stosownie do swoich potrzeb. Nie chciał odmówić sobie rozkoszy prowadzenia dwóch domów, jak to bywało w zwyczaju u wielkich panów. W jednym będzie gospodarował razem z Julią, w drugim z Teresą i jej córką. Kupił więc posesję przy ulicy Saint-Antoine, dał polecenie architektowi Le Moyne, by sporządził plan domu, który powinien być jeszcze bardziej okazały i godny widzenia aniżeli dom przy ulicy de Conde.

Rozpromieniony opowiadał Teresie o dokonanej transakcji.

- Oczywiście - dodał - nie będziemy czekali ze ślubem, aż dom będzie gotów. Może to potrwać i rok. Jeżeli ci to odpowiada, pobierzemy się w przyszłym tygodniu.

Tak się też stało.

1/Ninon de Lenclos (1620-1705) - kobieta słynąca z piękności i rozumu.

2/Cagliostro (1743-1795) - słynny szarlatan i awanturnik. Prawdziwe nazwisko Józef Balsamo.

Rozdział drugi

Spotkanie

Towarzystwo, które zebrało się w otoczonym ogrodem domu Franklina wieczorem 4 lipca, składało się w połowie z Amerykanów, w połowie z Francuzów. Silas Deane prosił, by wolno mu było przyprowadzić ze sobą dwóch wilków morskich, kapitanów statków korsarskich, panów Johnsona i Smythe'a, zasłużonych mężów, którzy rozweselą gości opowiadaniem o swoich przygodach. Artur Lee przybył w towarzystwie mister Reeda, ponurego pana z Londynu, który chciał swym zjawieniem się zademonstrować szacunek dla praw człowieka i pogardę dla tyranii dworu St.-James/1.

1/ S a i n t -J a m e s - pałac zbudowany w Londynie przez Henryka VII, powiększony przez Karola I. Od 1697 r. do panowania Jerzego IV(1720-1760) siedziba królów Anglii, stad popularny zwrot: „dwór St.-James", równoznaczny z dworem angielskim.

Ta jaskrawie przez cichego pana podkreślana buntowniczość sprawiała, że Franklin uważał pana Reeda za szpiega, ale nie protestował przeciw jego obecności. Franklin miał koło siebie oprócz młodego Williama również i małego Beniamina Bache, którego odebrał z internatu. Doktor obawiał się, że będzie zanadto rozpieszczał wnuczka, i postanowił wysłać go do Genewy, do instytutu, który miał opinię bardzo postępowego. Przedtem jednak chciał go mieć możliwie jak najczęściej przy sobie. Tak tedy siedmioletni chłopaczek kręcił się z rozpromienioną miną wśród dorosłych, rozmawiając z każdym z wielką swobodą. Stary doktor cieszył się, że chłopak ma już lepszy akcent francuski od niego, przyglądał się z lubością, jak Benjamin łąsuje, a nawet popija wino. Starzec czuł się dobrze wśród wesołej, głośniejszej,

stłoczonej gromady swych gości, którzy rozmawiali po francusku i po angielsku i nie mogąc się ze sobą dogadać podnosili głos sądząc, że w ten sposób słowa ich staną się bardziej zrozumiałe.

Mimo bezceremonialnego nastroju były w tym towarzystwie same głośne nazwiska. Bowiem oprócz panów de Chaumont i Dubourg, oprócz wydawcy Rouault i akademika Leroy obecni byli również baron Turgot, młody książę de la Rochefoucauld i wysoko przez Franklina ceniony jako filozof młody markiz de Condorcet, nie mówiąc już o panu de Beaumarchais.

Pani Helvetius wzięła na siebie pełnienie honorów domu. Postawiła jednak za warunek, że będzie jedyną kobietą, oświadczając: „Nie znoszę kobiet”. Franklin przypuszczał, że warunek ten był skierowany wyłącznie przeciw pani Brillon, doszło bowiem do jej uszu, że madame Brillon nazywała ją „wieczną burzą”. Doktor uważał, że spełnienie jej żądań będzie rzeczą rozsądną, tronowała więc sama, biała i różowa, głośna, zadowolona i niedbale uszminkowana.

- Jakubie Robercie, proszę nie stać z taką kwaśną twarzą - powiedziała do swego starego przyjaciela Turgot. - Kiedyż pan zrezygnuje z karawaniarskiej miny, jeżeli nie dziś?

Pan Turgot wszakże zachowywał nadal milczenie. Był pewien, że bieg historii przyniesie zwycięstwo tego, co dobre i pożyteczne, wierzył więc w ostateczny triumf amerykańskiej sprawy, ale poznał boleśnie na własnej skórze, jak długie są okrzęzne drogi historii, ile goryczy i rozczarowań niesie ze sobą walka o postęp. Czy mąż stanu wybrał odpowiedni moment, o tym rozstrzyga nie tylko jego rozum, ale i szczęście. Jeżeli w jego ręku leży sprawa odroczenia lub przyspieszenia gwałtownego konfliktu, którego uniknąć nie można, to zależny jest od Fortuny w nie mniejszym stopniu niż od Minerwy. Może naprawdę był zbyt porywczy, może lepiej przysłużyłby się dobrej sprawie, gdyby nie próbował

przeprowadzić swych reform w tak szybkim tempie. Zazdrościł Franklinowi jego umiaru, jego podziwu godnej umiejętności czekania.

Kapitan Johnson, zachęcony przez doktora Dubourga do picia i gawędy, opowiadał, jak to na pewnym angielskim statku kupieckim zdobył wielką ilość krosien tkackich. Trudno było je załadować na jego statek i nie było nawet mowy, żeby nabywcy francuscy, jak to mieli zamiar, mogli je przejąć na pełnym morzu. Wreszcie udało mu się w ryzykowny sposób skierować swój statek wraz ze zrabowanym statkiem kupieckim do jednego z portów francuskich.

- Nie powiem, jaki to był port, nazwa jego zaczyna się na H. - ciągnął dalej. - W każdym razie krosna zostały wyładowane i sprzedane na oczach francuskich urzędników i angielskich szpiegów. Czy nie jest to krzepiące i podnoszące ducha - zakończył - że Amerykanie dzięki walce o wolność dostarczyli ludności francuskiej kosztem Anglii tanich krosien i dali im możliwość taniego ubrania się? - Jego czerwono-brunatna twarz zmarszczyła się w szyderym uśmiechu.

Mister Smythe, drugi kapitan, zrabował dwa konie wyścigowe. Wysładzenie ich na ląd nie sprawiało trudności, ale nabywcy wahali się, bo łatwo było rozpoznać, co to za konie. Na razie były przemalowane i oczywiście nazwano je inaczej - jednego „Wolność”, drugiego „Niezależność”. Będą brały udział w najbliższych wyścigach, urządzanych przez księcia Karola.

Silas Deane śmiał się z tej historii na całe gardło, brzuch trząsał mu się pod atłasową kamizelką w kwiaty. Doktor Dubourg, który wszystko, co miało związek z korsarstwem, traktował jak własną sprawę, cieszył się również i Silas Deane wydał mu się mniej odrażający niż zwykle. Tymczasem młody William słuchał pana de Beaumarchais, który opowiadał szczegółowo,

jak ciężka i niebezpieczna jest jego działalność. Starał się skupić, ale po jakimś czasie zaczęły przykuwać jego uwagę wytworne gesty eleganckiego pana bardziej niż jego słowa. Myślał o tym, jak szczerze dziadek ubolewał, że nie okazał panu Beaumarchais należnego mu szacunku, i starał się to teraz naprawić.

Przyłączyło się do nich kilka osób, znalazł się również w pobliżu Benjamin Bache. Malec pożerał błyszczącymi oczyma lśniący strój Carona, jego brylanty, jego płynną mowę. Pierre, zwróciwszy się do Beniamina, zapytał go, jak się czuje w szkole; miał talent szybkiego zaprzyjaźniania się z dziećmi, czterdziestopięciolatek i siedmiolatek rozumieli się, ku radości otoczenia, doskonale.

Później, podniecony zainteresowaniem, które wzbudził, Pierre zwrócił się ku innym. Zauważył, że większość mówiących tylko po angielsku rozumie po francusku, przechodził więc raz po raz na francuszczyznę i wreszcie zachowywał się tak, jak gdyby był we francuskim salonie. Opowiadał zjadliwe plotki, sypał aforyzmami na temat kobiet, literatury. Słuchający go nie zawsze mogli za nim nadążyć, z tego, do czego czynił aluzje, niejedno było im nie znane, ale Pierre, nie zrażony tym, nie przestawał błyszczeć i olśniewać. Jeżeli rozsypie się przed nimi sto pereł, myślał sobie, poznają się na pięciu lub sześciu; nic mu nie przeszkadzało, że obydwie wilki morskie, podpiwszy sobie niezgorzej, ryczały ze śmiechu i nie można było zorientować się, czy się śmieją z jego dowcipów, czy z jego osoby.

Pierre wyjechał z domu w niedobrym nastroju, nie wiedział, jakie wrażenie zrobi na tych Amerykanach. Ponieważ wyraźnie im się spodobał, odzyskał zwykłą swobodę, poczuł, że dorósł do zadania, które sobie postawił: pokaże Franklinowi, jaką mu robiono krzywdę. Przystąpił więc od razu do rzeczy.

Franklin postanowił sobie wyciągnąć morał z historyjki o bronie i ukryć to, że mu się pan Caron nie podoba. Przywitał go ze spokojem i serdecznie, bez tej lekceważącej uprzejmości, na którą Pierre tak gwałtownie się obruszał. Caronowi jakby ciężar spadł z piersi, kiedy zauważył, że Franklin nie chowa się przed nim jak ślimak w skorupę; słuchał z demonstracyjną uwagą naiwnych pogaduszek starego, śmiał się głośno, patrzył na niego rozpromieniony. Potem, robiąc dyskretną aluzję do Franklina, wdał się w debatę na temat różnicy między humorem i dowcipem. Cytował jako przykłady Sokratesa i Arystofanesa - wiedzę o nich zawdzięczał uczonemu Gudinowi - był szczęśliwy, kiedy Franklin, który z początku nie wszystko rozumiał, kazał sobie jego słowa powtarzać i wyjaśniać i aprobował je z uśmiechem. Po jakimś czasie doktor zapytał Beaumarchais'go poważnym tonem o jego młodego pomocnika, pana Theveneau, który, o ile mu wiadomo, popłynął do Ameryki. Pierre odpowiedział, że nie ma jeszcze, a raczej mieć jeszcze nie może wiadomości o transporcie, z którym Paweł wyruszył. Obydwaj zamilkli na krótką chwilę, spoglądając przed siebie.

Księżę de la Rochefoucauld przetłumaczył starannie Deklarację Niepodległości; wydawca Rouault w dniu 4 lipca wypuścił przekład na rynek wraz z pięknym, szczegółowym słowem wstępnym i wręczył jeden egzemplarz Franklinowi. Podczas gdy Franklin przerzucał kartki pięknie wydanego tomiku, księżę tłumacz spoglądał nań wyczekująco, a zarazem z głęboką czcią. Franklin pochwalił przekład bez zastrzeżeń, choć w skrytości ducha uważał, że szlachetne zdania brzmiały w przekładzie francuskim nieco płasko. Potem, zwracając się do Beaumarchais'go, oświadczył, że słyszał, jak głębokie wrażenie wywarło swego czasu odczytanie przez niego w parku zamkowym w Etioles Deklaracji Niepodległości. Pierre zarumienił się ze szczęścia, co mu się rzadko zdarzało; był

skłonny przebaczyć Franklinowi wszystko, czego od niego doznał. Uważa za łaskę losu, odpowiedział, że wtedy do niego pierwszego na tym kontynencie dotarła wieść o największym w historii nowożytnej wydarzeniu i że było mu dane zaznajomić najlepszych synów swego kraju z tekstem szlachetnego dokumentu.

Doktor Dubourg przypomniał sobie z niechęcią owo popołudnie w Etioles. Dręczyło go, że Franklin tak wyróżnia tego spekulanta; nie mógł również darować panu Beaumarchais, że podstępem i machinacjami zawładnął okrętem wojennym „L'Orfraye”, podczas gdy on, Dubourg, musi prowadzić walkę o dobrą sprawę przy pomocy niedostatecznie wyposażonych statków korsarskich. Ale potem przypomniał sobie, jak serdecznie Franklin śmiał się z bajki o musze i dylizansie, i przestał brać swemu mądrymu przyjacielowi za złe, że znajdował zabawę w karmieniu muchy cukrem.

Markiz de Condorcet powiedział:

- Z jakim uczuciem musi człowiek tak wielki jak pan odczytywać ten dokument, który odmienił świat.

Franklin odpowiedział cierpliwie:

- Żałuję, że tu w kraju rozpowszechniło się mniemanie, jakobym był autorem tej deklaracji. Zapewniałem już kilkakrotnie, że tak nie jest. Niech mi panowie wierzą i zechcą przyjąć do wiadomości, że z wnioskiem ogłoszenia Deklaracji Niepodległości wystąpił w Kongresie mister Ryszard Henryk Lee, brat naszego Artura Lee, a tekst deklaracji zaprojektował mój młody kolega, mister Tomasz Jefferson/1. Wprowadziłem do tego tekstu jedynie parę poprawek bez znaczenia.

Chuda twarz Artura Lee zasepiła się. Gniewała go pełna buty jego zdaniem skromność Franklina. A Pierre odparł z entuzjazmem:

- Zmiany, które pan wprowadza, doktorze, nie są nigdy bez znaczenia. Niezależnie od tego, kto wystąpił z wnioskiem, wyzwolenie Ameryki pozostaje pańskim dziełem. Nie uwłaczając w niczym mister Jeffersonowi, trzeba powiedzieć, że skoro pan współpracował przy tej deklaracji, jest ona pańskim dziełem. Stylu Franklina nie można podrobić, przejawia się on nawet w przekładzie francuskim.

Franklin przestał protestować. Nigdy nie potrafi przekonać tych paryżan, że autorem deklaracji był naprawdę Tomasz Jefferson, tak samo jak nie potrafi ich nauczyć, że nazwisko młodego członka Kongresu brzmi „Jefferson”, a nie „Jeffersone”.

1/Thomas Jefferson (1743-1826) - trzeci prezydent Stanów Zjednoczonych, autor Deklaracji Niepodległości.

Myślał o tym, że deklaracja brzmiałaby inaczej, gdyby był jej autorem. I jego poglądy polityczne opierały się ideały Johna Locke'a, Monteskiusza, Vattela/1, był w tym całkowicie zgodny z wykształconym, pełnym zapału dla każdej dobrej sprawy Jeffersonem. Ale Franklin ująłby zarówno uwagi ogólne, jak i poszczególne punkty oskarżenia przeciw królowi w sposób spokojniejszy i bardziej logiczny. Z drugiej strony dokumenty przeznaczone dla całego świata nie powinny chyba grzeszyć zbyt rzetelnością. Trzeba tu rozmachu i retoryki. Nie, deklaracja była dobra, lepsza niż wszystko, co by sam napisał; to szczęście dla amerykańskiej sprawy, że w odpowiedniej chwili znalazł się odpowiedni człowiek.

Uśmiechając się do siebie pomyślał o debatach, jakie toczyły się w Kongresie nad treścią deklaracji. Lato zeszłoroczne było w Filadelfii potwornie gorące, w sali obrad było owego popołudnia nieznośnie duszno, poza tym muchy z pobliskich stajen gryzły członków Kongresu w nogi. Dziś jeszcze uśmiechał się, kiedy sobie przypominał, jak wytworni, zbyt

ciepło ubrani, ufryzowani panowie Hancock/2 i wysoki chudy Samuel Adams cierpieli wskutek upału.

Franklin siedział wówczas obok Jeffersona. Był to kiepski mówca, źle operował głosem, powinien był przemówienie w obronie tekstu deklaracji pozostawić małemu Johnowi Adamsowi, bratu tego, któremu tak bardzo dokucza upał. Jefferson, zapalona głowa, bronił zaciekle swej sprawy; gruby, przysadzisty, zrywał się raz po raz i jękając się miotał obelgi na wszystkie strony.

1/ Emmerich Vattel (1114-1767) - filozof, mąż stanu, autor słynnego dzieła *Droit des Gens ou Pnncipes de la loi naturelle*.

2/John Hancock (1737-1793) - amerykański mąż stanu, przewodniczący Kongresu w latach 1775-1777.

3/John Adams (1735-1826) - amerykański polityk, drugi (po Waszyngtonie) prezydent Stanów Zjednoczonych.

Liczni członkowie Kongresu poczytywali sobie za obowiązek wtrącić swoje trzy grosze, nie zawsze fortunnie. Gdyby nie upał, debata potrwałaby chyba jeszcze o dwa, trzy dni dłużej i z pierwotnego tekstu nie zostałoby nic.

Młody Jefferson cierpiał z powodu nie zawsze rozsądnych zastrzeżeń wysuwanych przeciw jego sformułowaniom. Franklin nigdy nie zapomni udręczonego wyrazu twarzy tego rudzielca, kiedy członkowie Kongresu, słabo rozumiejąc istotę rzeczy, tak okrutnie znęcali się nad jego tekstem. Orientował się doskonale, co czuł ten człowiek, kiedy mu wyciągano z korony perłę po perle. Biedny autor ukrywał swą wściekłość, starał się zachować spokój, ale skręcał się, zaciskał pięści i pocił się jak tragarz.

Franklin, zgodnie ze swoim zwyczajem, próbował pocieszyć biedaka dykteryjką. Była to powiastka dobra i pouczająca, nie

mógł się powstrzymać od przytoczenia jej swojej francuskiej kompanii.

- Podczas obrad - opowiadał - liczni członkowie Kongresu zaproponowali zmiany i autor, przed chwilą wymieniony przeze mnie mister Jefferson, nie był zbyt zachwycony. Siedziałem obok niego i próbowałem go ułagodzić. „Przyjąłem jako zasadę - pocieszałem go - że nie ułożę nigdy oświadczenia, które dopiero musi być roztrąsane przez zebranie. Nauczyłem się tego od pewnego kapelusznika. Chciał on mieć nad swym sklepem szyld z przekonywającym napisem. Wykombinował go sobie tak: «John Thomas, kapelusznik, robi i sprzedaje kapelusze za gotówkę», a nad szyldem miał być namalowany kapelusz. Pokazał projekt swoim przyjaciołom. Pierwszy uznał za zbyt długie słowo «kapelusznik», ponieważ na szyldzie znalazły się już słowa «robi kapelusze». Mister Thomas skreślił «kapelusznika». Drugi przyjaciel wyraził zdanie, że również słowa «robi kapelusze» mogą być skreślone. Klientom jest obojętne, kto robi kapelusze; jeżeli będą dobre, odbiorcy się znajdą. Trzeci przyjaciel uznał, że niepotrzebne są słowa «za gotówkę», bo przecież w kraju nikt inaczej nie sprzedaje. Mister Thomas powykreślał wszystko i zostały tylko słowa: «John Thomas sprzedaje kapelusze». «Sprzedaje? - zapytał następny. - Nikt nie oczekuje, że będzie je pan dawał w prezencie». Skreślone więc zostało słowo «sprzedaje», a wreszcie i słowo «kapelusze», bo przecież na szyldzie namalowany jest kapelusz. Nie pozostało więc w końcu nic poza imieniem i nazwiskiem John Thomas i namalowanym nad tym kapeluszem".

- Byłoby szkoda - powiedział markiz de Condorcet, kiedy otoczenie naśmiało się do syta - każdego słowa skreślonego z deklaracji. Jako całość jest wzniosłym manifestem, prostym, a

zarazem wspaniałym obwieszczeniem owych praw człowieka, które są tak święte i w takim pozostają zapomnieniu.

- Zaszczyt to dla mnie - powiedział Franklin - mieć w tym gronie okazję do podkreślenia, jak bardzo jesteśmy zobowiązani filozofom waszego kraju, którzy się przyczynili do ukształtowania naszego poglądu na świat. Deklaracja ta nie została nigdy napisana bez dzieł Monteskiusza, Rousseau i Woltera.

Artur Lee mruknął coś cicho pod nosem. A więc bezwstydnym starzec korzysta i z tej okazji, by schlebiać Francuzom, którzy dla wielkiej sprawy nie mieli nic prócz pustych słów.

Znowu zabrał głos markiz Condorcet.

- To prawda - powiedział - że prawa człowieka wypisane już były przedtem na kartach ksiąg filozofów, a zapewne również i w sercach prawych ludzi. Ale co to pomogło? Dopiero teraz widnieją w tej deklaracji słowa napisane językiem dla każdego zrozumiałym, które doprowadziły do czynów, jakich filozofia wywołać nie umiała.

Mówił spokojnie i prosto, a mimo to z zapalem, i patrzył na Franklina. Wszyscy nań spoglądali, Arturem Lee miotał gniew, że doktor honoris causa zbiera laury nie tylko za książki Locke'a, Hobbesa i Dawida Hume'a, ale również i za czyny Ryszarda Henryka Lee i Jerzego Waszyngtona.

Franklin podniósł nieco rękę i powiedział:

- Nie skończyłem jeszcze, monsieur de Condorcet. Nie wymieniłem jeszcze jednego wielkiego syna waszego kraju, bez którego rewolucja nasza byłaby nie do pomyślenia: Klaudiusza Adriana Helvetiusa. Nie może pan twierdzić, panie markizie, że filozofia nie wywarła wpływu. Książka De l'Esprit znalazła swe echo w deklaracji mego kolegi Jeffersona. Wcielamy w Ameryce w życie myśli mego zmarłego przyjaciela Helvetiusa.

Otoczono madame Helvetius; bez cienia zakłopotania, uszczęśliwiona, odpowiedziała:

- Dobrze pan powiedział, doktorze Franklin, tak było - i podała mu rękę do pocałowania.

Na to Franklin:

- Kto jak kto, ale nieboszczyk Helvetius nie tylko stworzył swą filozofię i napisał ją, ale przeżywał ją również. Wygadał się z naszą wspólną tajemnicą, a mianowicie z tym, że wszyscy dążymy tylko do szczęścia, i w myśl tej maksymy urządził sobie życie. Spomiędzy wszystkich ludzi, jakich znałem, był najszczęśliwszy, zdobył najpiękniejszą i najmądrzejszą kobietę, przyczynił się do rozwoju rozsądku i rozkwitu radości wśród bliźnich.

- Tak - odpowiedziała pani Helvetius - wielkie to nieszczęście, że nie dożył dnia dzisiejszego. Chciałabym mieć tu obok siebie i jego, i pana.

Turgot uważał to wszystko za przesadne i trochę niesmaczne. Nigdy nie robił sobie zbyt wiele z dzieł Helvetiusa. Ubolewał, że przez spalenie jego książek zrobiono męczennika z tego przeciętnego człowieka, podzielał zdanie Woltera, że książki te są pełne banałów, a to, co w nich było oryginalne, jest fałszywe lub wątpliwe. Nieco ostrym i mentorskim tonem dał wyraz nadziei, że przykład Ameryki skłoni cały świat cywilizowany do namysłu i naśladownictwa.

- Świat ten - wtrącił z zapalem - byłby godny zagłady, gdyby go to nie poruszyło.

Monsieur Finck, mistrz ceremonii, zameldował, że podano do stołu. Pani Helvetius przygotowała wytworną ucztę; nie było to tanie, musiała targować się z Finckiem o każdego centyma. Finek poskarżył się później Franklinowi, oświadczając z naciskiem, że jest uczciwym człowiekiem. Franklin opowiedział o wszystkim pani Helvetius, dodając:

- Monsieur Finck zawsze tak mówi, ale obawiam się, że nie ma racji.

Tak czy inaczej, jadłospis został niewątpliwie zestawiony z wielkim zamiłowaniem i smakiem. Goście umieli to ocenić, jedli, pili, prowadząc ożywione rozmowy.

Mówiono dużo o markizie Lafayette, był jeszcze ciągle tematem paryskich rozmów. Nie było dotąd od niego wiadomości, spodziewano się, że i on również obchodzi uroczyste dzień ten w Filadelfii, i pito jego zdrowie.

Pan de la Rochefoucauld, bliski przyjaciel markiza Lafayette, opowiadał o jego wielkoduszności i lekkomyślności w sprawach pieniężnych. Pierre poinformował, że to on pośredniczył przy kupnie statku, na którym markiz przepłynął się do Ameryki. Postarał się, by nie żądano sumy zbyt wysokiej. De la Rochefoucauld dał wyraz nadziei, że i za oceanem znajdą się ludzie, którzy będą bronić jego rozrutnego przyjaciela przed lichwiarzami. Jest taki lekkomyślny, a Żydów spotyka się wszędzie.

Franklin odpowiedział, że w Filadelfii są różni Żydzi: tacy, którzy stoją po stronie króla, i tacy, którzy opowiadają się za Kongresem. Spoważniał. Pomyślał o rodzinie żydowskiej Franków, w której obok dwóch synów, walczących po stronie patriotów, trzeci walczył po stronie lojalistów, oraz o swoim własnym synu, zdrajcy.

Po chwili zaczął opowiadać:

- Ja sam mam, a raczej miałem swego „przybocznego” Żyda, nazwiskiem Hayes. Pewnego razu, kiedy chciałem zawinąć do portu nowojorskiego, łódź wywróciła się i wpadłem do wody. Statek pocztowy wyłowił mnie. Nie groziło mi najmniejsze niebezpieczeństwo, wypadek zdarzył się tuż przy brzegu, jestem poza tym dobrym pływakiem. Ale zjawił się ów Hayes oświadczając, że to on gwałtownym wymachiwaniem rąk skłonił statek pocztowy do wyłowienia mnie. Od tego czasu

uważał mnie za główne źródło swoich dochodów. Ilekroć spotykaliśmy się, domagał się pieniędzy za to, że miał szczęście uratować moje cenne życie. Wyłudzał w ten sposób niemałe sumy bądź w talarach niemieckich, bądź w hiszpańskich dukatach - miał wysoką takse. Teraz umarł i przekazał mnie swojej żonie. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, on zaś ciągnął dalej:

- Proszę nie ujmować tej historii fałszywie. Nie lubię uogólnień i wcale nie uważam mego Hayesa za typowego Żyda. Miałem z Żydami złe doświadczenia, ale również i bardzo dobre. Raz poznałem niejakiego Pereza, który w towarzystwie ludzi czytających i kształcących się sam pochylał się nad książką. Wiedziałem, że mój Perez nie umie pisać ani czytać i z pewnością nie ma najmniejszego pojęcia, nad czym otaczający go debatują. Ponieważ jestem z natury ciekawy, zacząłem go rozpytywać. Odpowiedział: „Zajmowanie się książkami to zasługa przed Bogiem, nawet jeżeli się nie umie czytać”. Życzyłbym moim rodakom takiej pokory wobec wiedzy.

Kiedy kolacja zbliżała się ku końcowi, wzniesiono toasty na cześć Ameryki i wolności. Mister Reed, Anglik, przyjaciel Artura Lee, zawołał fanatycznie, z ponurą miną:

„Niechaj wolność i niezależność Ameryki trwa dopóty, dopóki słońce nie zacznie marznąć ze starości, a ziemia nie wróci do stanu chaosu”. Franklin, zdziwiony tym brakiem umiaru, spojrział na niego podejrzliwie.

- Decyzja, którą rok temu powzięli mężowie w Filadelfii - oświadczył Condorcet - jest wspaniałą ilustracją słów greckiego poety: „Nie ma na świecie istoty potężniejszej od człowieka”. Ile odwagi wymagało zdecydowanie się na niepodległość! Dowiadujemy się, że wśród tych ludzi jest wielu zamożnych, że pokojowe stosunki z krajem macierzystym bardziej odpowiadałyby ich interesom. Ale w

obronie wolności postawili na kartę mienie, dobytek, nawet życie. I pomyśleć, że rezolucja powzięta została jednomyślnie, że nikt się nie uchylił!

Franklin słuchał z uprzejmą, skupioną twarzą. To, co mówił jego młody przyjaciel, było zgodne z faktami, tytuł dokumentu: „Jednomyślna deklaracja trzynastu stanów”, był zgodny z prawdą. Ileż jednak trudów i wybiegów kosztowała ta jednomyślność. Posła Cezara Rodneya trzeba było wśród burzy i zawiei sprowadzić przez umyślnego wysłannika z odległości prawie stu mil, by zapewnić głos stanowi Delaware, posłowie Nowego Jorku wstrzymali się od głosu, jego konserwatywni koledzy Dickinson i Morris zostali skromnie w domu. W ciągu trzech dni, podczas których wymądrzano się nad projektem Jeffersona, dużą rolę grały nie tylko wielkość i wzniosłość ludzkiego ducha, ale również upał, pocenie się, muchy, szukanie dziury w całym. Fakt jednak, że wreszcie znalazło się tylu mężów, którzy ten wielki, niebezpieczny dokument podpisali, godzien był uświęcenia go i napełniał otuchą.

- Kiedyśmy podpisali - opowiadał Franklin - oświadczyłem moim kolegom: „No tak, moi panowie, kłamka zapadła. Teraz albo będziemy wisieć razem, albo każdego powieszają oddzielnie”.

Jeszcze raz, głośno, w podniosłym, pełnym otuchy nastroju, wzniesiono kielichy za szczęśliwą przyszłość Ameryki.

Madame Helvetius objęła Franklina.

- W osobie pańskiej - zawołała - obejmuję czternaście stanów!

- To mówiąc pocałowała go w oba policzki.

- Trzyście - poprawił nieśmiało - trzyście, moja droga.

Zanim podniosły nastrój zdążył się rozwiać, goście francuscy wyszli. Pozostali tylko, jakby się umówili, wszyscy Amerykanie.

Młody Condorcet wyraził uprzednio pogląd, że Lafayette z pewnością uroczystie świętuje dzień dzisiejszy w Filadelfii. Słyszając te słowa wszyscy Amerykanie znaleźli się duchem w Filadelfii, choć nie byli pewni, czy Kongres obraduje dziś w tym mieście. Gdyby jednak nawet nie ewakuowano miasta po raz drugi, gdyby rocznicę deklaracji czczono biciem w dzwony, paradami i ogniami sztucznymi, mieszkańcy z pewnością uświadomiliby sobie w ciągu tego roku, że wolność wcale nie jest jeszcze zapewniona, że osiągnięcie jej wymagać będzie jeszcze dużo potu i krwi.

Na podstawie milczącego porozumienia Amerykanie ukrywali swe troski przed Francuzami i może dlatego odczuli potrzebę pozostania jeszcze razem, bez obcych, bez dźwięków obcej mowy.

Siedzieli zmęczeni uroczystością, jedzeniem i piciem, dziwnie onieśmieleni, jak gdyby wstydząc się swego wzruszenia. Nawet oba wilki morskie umilkły i może własne wyczyny zbladły nieco w ich oczach.

Choć nie padło na ten temat ani jedno słowo, wszyscy uświadomili sobie, że bojownicy o wolność przeżywają ciężkie chwile, że czekają ich jeszcze cięższe. Byli radzi, że nie spędzają tego wieczoru samotnie, czuli się mocno z sobą związani i dobrze im było tak siedzieć razem. Palili, pili, gawędzili o błahostkach. Nawet Artur Lee nie odczuwał wrogości w stosunku do innych.

Odetchnęli z ulgą, kiedy Franklin napomknął o tym, co ich poruszało. Zrobił to krótko, okrężną drogą, w dwóch słowach. Powiedział po francusku: „Ca ira”.

Tylko niewielki krąg bezpośrednio zainteresowanych wiedział i powinien był wiedzieć o decyzji Ludwika poddania się, stosownie do rady Józefa, operacji. Mimo to cały Paryż orientował się, co ma nastąpić; w Wiedniu, Madrycie i

Londynie czekano z napięciem na dzień, w którym będzie po wszystkim.

Książę Ksawery, chcąc przekonać samego siebie, że nie grozi mu niebezpieczeństwo utraty następstwa tronu, twierdził, że Ludwik nigdy nie zdobędzie się na odwagę, nie podda się operacji. Ta pewność siebie zaprowadziła go nawet bardzo daleko: założył się o dwadzieścia tysięcy liwrów, że przed upływem roku zabieg nie zostanie wykonany. Drugim zakładającym się był książę Karol; jeżeli Ludwik naprawdę prześpi się z Toinette, oświadczył, to dostanę chociaż na pociechę dwadzieścia tysięcy liwrów.

Toinette czekała nie zmieniając trybu życia. Tańczyła, grała, przyjmowała, chodziła na przyjęcia, jeszcze namiętniej rzuciła się w wir zabaw, krążąc między Wersalem i Paryżem. Kiedy najbliżsi, Gabriela, Vaudreuil, odważyli się zrobić najmniejszą aluzję do zamiarów Ludwika, przerywała im gniewnie.

A potem, pewnej środy, przyszła noc, gorąca sierpniowa noc, przeznaczona na to, by ją w kronice Wersalu wypisano wielkimi głoskami. Nocy tej, około jedenastej, Ludwik, król Francji, opuścił swą sypialnię i udał się do sypialni Marii Antoniny, arcyksiężniczki austriackiej.

Ubrany w szlafrok, włókł się przez korytarze olbrzymiego zamku, który kazał zbudować jego pradziad, największego gmachu na świecie. Pod szlafrokiem miał na sobie kosztowną koszulę nocną, grube nogi tkwiły w wygodnych pantoflach. Kroczył przed nim sędziwy lokaj przybrany w czerwono-biało-niebieską liberię; posuwał się sztywno, obojętnie, uroczyście, jak się tego nauczył w ciągu czterdziestu lat służby, niósł przed królem kandelabr o sześciu świecach.

Tak żeglował Ludwik poprzez korytarze Wersalu, podniecony, spocony, mimo wysiłków niezwracania na siebie uwagi rzucający się wszystkim w oczy. Korytarze były pełne lokai, szwajcarskich gwardzistów, wracających lub

wychodzących dostojników. Ludwik, zakłopotany ich widokiem, postanowił, że każe zbudować przejście, które by bezpośrednio i niewidocznie dla oczu innych łączyło jego sypialnię z sypialnią Toinette. By odwlec myśli od tego, co miało nastąpić, zaczął zastanawiać się nad technicznymi szczegółami takiego przejścia; sprawy tego rodzaju zawsze go interesowały. Przejście musi być podziemne, najlepiej przeprowadzić je pod salą de l'Oeil de Boeuf. Myśląc o tym wszystkim włókł swe niezgrabne ciało do komnat Toinette poprzez szeregi prezentującej broń gwardii, dworaków i lokai, którzy prostowali się na jego widok.

Damy w przedpokoju ujrzawszy go zgięły kolana w głębokim ukłonie. Ludwik, zakłopotany, a równocześnie dumny z siebie, z rumieńcami na twarzy, powiedział: - Dobry wieczór, moje panie. - Pogrzebał w kieszeniach szlafroka, dał najstarszemu z lokai ludora ze słowami: - Masz, mój synu.

Zapukanie do drzwi Toinette byłoby nietaktem, wziął więc grzebień, podrapał nim w drzwi, zniknął w sypialni.

W pięć minut później rozeszło się po pałacu: „Grubas śpi z nią”. Wieść popłynęła dalej, poprzez korytarze, komnaty, wydostała się poza bramy. W dziesięć minut później wiedział o tym ambasador austriacki hrabia Mercy, w piętnaście - Hiszpan Aranda, w dziesięć minut po nim lord Stormont, minister pełnomocny króla brytyjskiego. Zbudzono sekretarzy z najgłębszego snu, wszyscy posłowie podyktowali swoje raporty. Osiodłano kurierskie konie, raz jeszcze odczytano w pośpiechu listy, opatrzone je pieczęciami. Potem gońcy pośpieszyli z nimi najkrótszą drogą na wschód i zachód, zmieniając konie na każdym postoju.

Następnego dnia najbardziej zainteresowani wymienili ze sobą listy. Ludwik, pełen wdzięczności dla szwagra, napisał do Józefa po niemiecku. „Panu, Sire - brzmiały słowa listu - zawdzięczam moje szczęście”. Toinette do matki: „Dzień ten,

najdroższa Mamo, jest najszczęśliwszym dniem mego życia. Teraz małżeństwo moje zostało dokonane, próba wypadła szczęśliwie. Nie jestem jeszcze w ciąży, ale mam nadzieję, że nastąpi to lada chwila". Po tych słowach zrobiła na liście kleksa.

Na ogół Toinette nie lubiła pozostawać sama na sam ze swymi myślami. Tym razem, po napisaniu do matki uciążliwego listu, pozostała sama i nikogo do siebie nie puszczala. Siedziała w leniwej pozie, przez głowę jej przepływały niewyraźne myśli i uczucia, myślała o tym, co zaszło. Odbyło się to w głębokich ciemnościach, za ciężkimi kotarami okalającymi jej wielkie łóżce, z zewnątrz docierał tylko słaby blask lampki nocnej, zresztą Toinette miała prawie przez cały czas zamknięte oczy. Mocne doznanie wyparło refleksje; jeżeli o czymś myślała, to o tym, jak dobrze byłoby, gdyby zamiast Ludwika leżał tu ktoś inny. Miała za sobą wiele doświadczeń z wyjątkiem ostatecznego. Teraz uważała, że to właściwie mniej, niż oczekiwała, i była rozczarowana. Mimo to godziła się z tym, co się stało, doznała zadośćuczynienia. Teraz spełniło się jej przeznaczenie, teraz była naprawdę królową, panią siebie, od nikogo niezależną. Skończą się głupie dowcipy na temat „dziewiczej” królowej; baby sprzedające ryby w halach nie będą już sobie gęb strzępiły. A co powiedzą jej najbliżsi, Gabriela, Francois? Trochę się tego bała, ale czekała na ich reakcję nie bez zadowolenia.

Wszędzie w zamku wersalskim padały złośliwe pytania, czy gdyby Toinette zaszła w ciążę, sprawcą będzie Ludwik czy też jeden z licznych kochanków z „bocznych alkierzy”. Najzłośliwsze kawały opowiadano w komnatach księcia Ksawerego. Książę Ksawery był jednak świadom tego, że zdarzenie, którego się obawiał, miało przebieg zupełnie normalny, i wypłacił księciu Karolowi z racji wygranego zakładu dwadzieścia tysięcy liwrow.

Młody król chodził z głupawo uszczęśliwioną miną, okazując każdemu, jaki jest z siebie zadowolony, w jakiej zgodzie pozostaje ze światem. Robił jeszcze dobroduszniejsze, bardziej rubaszne dowcipy niż przedtem. Jeszcze częściej częstował swoich panów kuksańcami w brzuch albo walił ich mocno po plecach. Pewnego razu widząc, że jeden z lokai schylił się nisko, by coś podnieść, nie mógł się powstrzymać, by mu przy akompaniamencie wybuchów śmiechu nie dać w tyłek, po czym wręczył mu luidora.

Swojej Toinette okazywał służalczą wdzięczność. Kazał sobie za jej plecami zrobić bilans jej kasy, przeraził się, ale mimo to bez słowa zapłacił długi. Po pewnej walce wewnętrznej podwyższył nawet raz jeszcze budżet Trianon. Toinette przyjmowała te niezdarne dowody miłości i podziwu, traktowała go przyjaźnie jak dużego, niezgrabnego psa. Ukrywała, jak ją raziły jego chwiejność, nieksiążęce maniery i brak poczucia godności.

Ludwik zachowywał dotychczas wobec przyjaciół Toinette jeżeli nie zdecydowanie wrogą, to obojętną postawę. Teraz stał się pobłażliwy, łatwy w obejściu. Zjawiał się w apartamentach księżny Rohan, śmiał się ze skrzeczącej papugi Monsieur, karmił ją, pozwalał, by go chwyciła dziobem za palce, informował się uprzejmie o kochanych zmarłych księżny. Był straszliwą zawadą; kiedy odchodził, wszyscy się cieszyli.

Pewnego dnia przekomarzał się dobrodusznie z Dianą Polignac. Ordynarnym, grubym głosem, grożąc jej żartobliwie palcem, oświadczył, że doszło do jego uszu, iż Diana ma stosunek ze starym rebeliantem z Passy. Odpowiedziała chłodno. Ale Ludwik polecił swej fabryce porcelany w Sevres sporządzić kosztowny nocnik z podobizną Franklina i posłał go Dianie Polignac jako podarunek urodzinowy.

Również markiz de Vaudreuil nie mógł się uchronić przed natarczywą uprzejmością króla. Chwyciwszy markiza za poły surduta, gapiąc się nań z bliska swymi oczyma krótkowidza, król rozwodził się protekcyjnie nad projektem Toinette mianowania markiza intendentem jej zabaw i rozrywek. Chociaż, ciągnął dalej z błogim uśmiechem, stan kasy państwowej nie należy na razie do najlepszych, zgodził się na zatwierdzenie tego urzędu, gdyż w ostatnich tygodniach jest z określonego powodu w dobrym humorze.

Vaudreuil odpowiedział z lodowatą kurtuazją, że zgoda Ludwika na decyzję jej królewskiej mości uszczęśliwia go. Nie wie tylko, czy jest właściwym człowiekiem na tak zaszczytne stanowisko, więc prosił królową o krótki czas do namysłu.

Ludwik złapał go za guzik od surduta.

- Drogi markizie - powiedział - niech pan nie robi ceregieli. Niech pan się zgodzi. Jakoś to będzie. Trzeba ufać we własne siły.

Klanik Liliowego Bzu przeżywał niemiłe tygodnie. Jedyne hrabia Juliusz Polignac nic sobie z tego wszystkiego nie robił, na jego nieco brutalnej twarzy malowało się niezmiennie zadowolenie z siebie. Reszta, na pozór ironicznie obojętna, była głęboko zatroskana. Czy nie mieli powodu do obaw? Skoro Ludwik sypia z Toinette, może między nimi dojść do zbliżenia nie tylko fizycznego. Czy wtedy będzie można utrzymać swoje wpływy?

Najmądrzejsi spośród członków Klaniku, Diana Polignac i Vaudreuil, podzielili się z innymi swoimi obawami. Niecierpliwy Vaudreuil musi doprowadzić do natychmiastowej próby sił i namówić Toinette do jakiejś akcji politycznej, która by się nie spodobała Ludwikowi. Gdyby Toinette stawiała opór, członkowie Klaniku winni zerwać z nią przyjaźń. Diana była przeciwna gwałtownej taktyce.

Uważała, że przy pomocy różnych uwag należy dać Toinette ostrożnie do zrozumienia, że właśnie teraz musi się okazać nie tylko małżonką króla, lecz królową. Vaudreuil przyznał z niechęcią, że jest to droga rozsądniejsza.

Panowie i panie należący do Klaniku Liliowego Bzu traktowali więc Toinette z większą niż dotychczas rezerwą. Dawano jej do zrozumienia, że uczyniła coś, co wzniosło mur między nią i jej przyjaciółmi.

Despotycznemu, rozkapryszonemu markizowi de Vaudreuil niełatwo było udawać wobec Toinette jedynie pewien nieznaczny chłód, wolałby okazać jej lekceważące oburzenie. Ale panował nad sobą i nie wypadał z roli. Cały swój gniew wyładowywał na Gabrieli. Był w jej towarzystwie tak ponury i wyniosły, że Gabriela, choć zawsze bardzo zrównoważona, wybuchła wreszcie płaczem. Rozumiała przy tym dobrze swego Francois i wiedziała, że jego zły humor skierowany jest nie przeciwko niej, lecz przeciw Toinette. Kochał Toinette na swój sposób. Bolało go, że głupkowaty Ludwik brał to, co się jemu słusznie należało. Poza tym bardziej od innych dręczyła go troska, że klan może stracić swój wpływ. Pycha markiza potrzebowała stałej pożywki, dla niekoronowanego króla klanu byłoby ciosem w samo serce, gdyby Klanik stracił władzę nad Toinette, a przez to i nad Francją.

Plan Diany Polignac okazał się słuszny. Toinette czując zmianę w zachowaniu swych najbliższych straciła pewność siebie. Nie chciała pozbywać się przyjaciół ani ukochanego Klaniku Liliowego Bzu. Szukała rozmowy z Gabriellą i z markizem, ci wszakże starali się jej umknąć. Tęsknota Toinette za tym, by wrócił dawny poufaty ton, stawała się coraz silniejsza.

Ze sposobu, w jaki Toinette tuliła się do niej, obejmowała ją, Gabriela wyczuła, że przyjaźń Toinette pozostała nie zmieniona. Gabrieli mniej zależało na owocach tej przyjaźni

niż innym, była oddana Toinette całym sercem. W pewnej chwili zrzuciła więc maskę i zaczęła traktować Toinette jak dawniej.

Inaczej było z markizem de Vaudreuil. Choć był tak niecierpliwy, trzymał się w rezerwie, a kiedy wreszcie doszło do wymiany zdań, starał się, jak tylko mógł, utrudnić Toinette rozmowę.

Odbyła się ona w jednym z „bocznych alkierzyków”.

Pokój ten, który bywał nieraz widownią i zgody na pewne rzeczy, i odmowy w sprawie zasadniczej, wydał się Toinette miejscem najbardziej odpowiednim.

A więc, zaczął Vaudreuil, Toinette osiągnęła od dawna upragniony cel, widać to po jej twarzy. Cała jej istota promienieje bezwstydnym, drobnomieszczańskim szczęściem. Toinette nie poczuła się dotknięta; gniew markiza był dowodem, jak bardzo mu na niej zależało.

- Teraz nareszcie - odpowiedziała - pozbyłam się owej głupiej przeszkody, która nie pozwalała mi być naprawdę królową. Rozumiem pański smutek, Francois, ale jako mój szczerzy przyjaciel powinien pan mimo to cieszyć się razem ze mną.

- Ocenia pani swoją sytuację z wszelką rozwagą, madame - odparł sarkastycznie Vaudreuil. - Czy nie zechciałaby pani ocenić z równym spokojem mojej sytuacji? Dojdzie pani wtedy do tego samego przekonania co i ja, że nie ma tu już dla mnie miejsca. Teraz, powiedziała to pani sama przed chwilą, jest pani całkowicie królową i stanęła pani na wyżynie nieosiągalnej dla markiza Vaudreuil. Spogląda on na niebiański obłok ze czcią i oddała się. Mam zaszczyt, madame, prosić, by mi pani na to pozwoliła. Wyjeżdżam do mego majątku Gennevilliers.

Toinette przypuszczała, że będzie z niej szydził, że może z gwałtowności swej chwyci ją znowu za przegub ręki jak wtedy; w głębi duszy pragnęła tego. Kiedy mówił teraz z tak

lodowatą i ponurą ironią, ogarnęła ją panika. Nie była to pusta gadanina, chciał naprawdę odejść, pozostawić ją na pastwę losu. Myślała o jego burzliwych, chwilami dotykalnych zalotach w tym właśnie pokoju, o jego wyniosłej pewności siebie, z jaką nawet jej wielkiego brata Józefa sprowadził do roli żalostnej figury. Nie może odejść, Toinette kocha go, nie chce go za żadną cenę utracić.

- Przecież to nie ma sensu, Francois - powiedziała zmieszana - pan sam w to nie wierzy, że może nas pan opuścić, nie pozwolimy na to. Pan, ja i Klanik Liliowego Bzu należymy do siebie.

- Myli się pani, madame - odrzekł grzecznie Vaudreuil. - Tęsknię za ciszą, za samotnością. To, co tu ostatnio przeżyłem, jest nie do zniesienia. Proszę nie robić sobie fałszywych iluzji. Moje zjawienie się w tym pokoju to nie sprytne pociągnięcie w grze, to wizyta pożegnalna. Królowa pozwoli, żebym raz jeszcze ucałował jej rękę?

- Niechże pan nareszcie da spokój tym swoim zjadliwym żartom - zwróciła się do niego błagalnie Toinette, wyprowadzona całkowicie z równowagi. - Pierwszy raz od niepamiętnych czasów mówimy z sobą bez świadków, a pan mnie tak dręczy.

- Pani dręczyła mnie w zupełnie inny sposób, madame - odpowiedział Vaudreuil. - Zresztą Gennevilliers nie jest tak daleko. Będę się tam zajmował literaturą, teatrem. Może, jeżeli kiedyś każe zagrać specjalnie umoralniającą sztukę, dostąpię zaszczytu i będę mógł powitać madame i króla jako swoich gości.

Toinette miała łzy w oczach.

- Niechże pan będzie rozsądny - prosiła w dalszym ciągu - niech się pan nie daje ponosić swym dzikim, złośliwym humorom. To, co się stało, stało się i w pańskim interesie.

Mówiłam panu tyle razy, że od chwili kiedy urodzę delfina, będę wolna. Dotrzymam słowa.

Vaudreuil zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

- Madame - powiedział - uczucia mężczyzny to nie zabawka. Żaden mężczyzna nie jest w stanie przepowiedzieć, czy namiętność jego będzie trwała dopóty, dopóki nie spełnią się pewne warunki. Nie można namiętności stawiać warunków.

Choć mówił cicho, głęboki jego głos brzmiał gwałtownie; miało się wrażenie, że ściany pokoju pękną pod jego naporem.

W twarzy markiza była dzikość tak dobrze znana Toinette.

Cofnęła się przelękniona - ale ów lęk był przepojony słodyczą. Takim chciała go mieć, taki był jej bliższy.

Usiadła i zaczęła płakać.

- Teraz jeszcze beczy - powiedział pogardliwie.

- Myślałam - odparła pociągając nosem - że postąpiłam dobrze i dla pana, i dla mnie. Czułam się taka wyzwolona i szczęśliwa, a pan wszystko zepsuł.

Nie zwracając na nią uwagi, kilkakrotnie przemierzył pokój wielkimi krokami. Potem zatrzymał się w pewnej od niej odległości i obserwował ją.

- Kiedy się to stało - zapytał - myślała pani o mnie? Naprawdę?

Nie odpowiedziała ani słowa, spojrzała nań nieśmiało, uśmiechając się leciutko.

Wybuchnął.

- I to jeszcze? - oburzył się. - Wypraszam to sobie, słyszy pani, tak daleko nie sięga mój obowiązek poddanego. Nie jestem po to, by rozniecać pani uczucia, kiedy chce pani mieć delfina.

Nie mógł jej już teraz napędzić strachu. Od chwili kiedy zobaczyła dziki wyraz jego twarzy, przestała wierzyć, że odejdzie.

- Niechże pan ciągle nie myśli tylko o sobie - prosiła. - Proszę myśleć o mnie albo lepiej o nas obojgu. Czekaliśmy tak długo. Czekałam tak długo. Teraz większa część tego czekania minęła. Niech pan będzie jeszcze trochę cierpliwy. - Wstała, zbliżyła się do niego - Francois - zaklinała - niech pan zostanie. Właśnie teraz powinien pan jeszcze więcej być ze mną. Proszę przyjąć intendenturę. Musi ją pan przyjąć, Francois.

Myślała ze słodką goryczą, ile wysiłku kosztowało ją wydobyć dla niego od Ludwika tych sześćdziesięciu tysięcy liwrów. A teraz Francois każe się jeszcze prosić!

- Dużo pani wymaga, Toinette - powiedział.

Odetchnęła z ulgą, usłyszawszy, że znowu nazwał ją po imieniu.

- Wiem o tym - powiedziała łagodnie. - Ale pan powiedział, że mnie kocha. Niechże więc pan przyjmie to stanowisko.

- Nie mówię nie - odpowiedział - ale nie mówię również tak. - Potem objął ją i pocałował gniewnie i łaskawie.

Pierre siedział przy biurku. Wisiał nad nim portret Duverny'ego, zdobyty w tak twardej walce, stała miniatura statku „L'Orfraye”, którego nabycie wymagało tyle sprytu i odwagi i kosztowało tyle upokorzeń. Teraz, od czasu uroczystego przyjęcia w dniu 4 lipca, był pewien, że zdobył sobie i Franklina. Jakże mógł wątpić w to, że ludzie tacy jak on i doktor odnajdą się wreszcie? Podrapał sukę Caprice mówiąc: - Twój pan, Caprice, był osłem. Nawet najmądrzejszy z nas bywa czasem osłem.

Kamerdyner Emil, który mu pomagał przy rozbieraniu, powiedział:

- Przez jakiś czas monsieur nie wyglądał zbyt dobrze.

Pierre nie zaprzeczył:

- Może. Byłem przepracowany. Ale teraz wszystko w porządku, prawda? - zapytał dumnie, a Emil podając swemu nagiemu panu koszulę odpowiedział z zadowoleniem:

- Tak, teraz monsieur wygląda znowu na trzydzieści lat.

Plany jego, dotyczące domu przy ulicy Saint-Antoine, coraz bardziej wykraczały poza wytyczone ramy; kiedy architekt zwracał uwagę, jakie sumy pochłonie zrealizowanie tego rodzaju projektów, Pierre zbywał jego zastrzeżenia machnięciem ręki.

Tymczasem sytuacja firmy Hortalez nie uległa poprawie. Od Pawła ciągle jeszcze nie było wiadomości. Dwa statki przywiozły po uciążliwej podróży śmiesznie małą ilość amerykańskich towarów. Ale Pierre nie bardzo się tym przejmował. Był pewien, że w niezbyt długim czasie otrzyma zapłatę, niewiele sobie z tego robił, że znowu zaczęły krążyć złośliwe plotki na temat jego finansów. Wzruszył tylko ramionami, kiedy mu przyniesiono nikczemny artykuł dziennikarza Metry o sytuacji finansowej domu Hortalez.

Później jednak przyszło mu do głowy, że pewne szczegóły, o których artykuł napomykał, mogły się opierać jedynie na informacjach najbliższych przyjaciół i wspólników. Zaczął się zastanawiać, kto też tkwi za tym artykułem, potem już się domyślił, po jakimś czasie wiedział.

Charlot był wściekły, że Pierre potrafił rzucić mu pod nogi te parszywe ćwierć miliona jeszcze przed upływem terminu płatności. Był wściekły, że stosunki pomiędzy panem Beaumarchais a Franklinem ułożyły się jak najlepiej, gniewało go, że Desiree...

Pierre złapał się za głowę. Od tygodni całych nie widział Desiree, znowu w wirze interesów zapomniał o swej najlepszej, najmądrzejszej przyjaciółce. Nie rozumiał teraz, jak się to stało, że już dawno nie przeczytał jej swego Figara. Znikły wszystkie myśli o panu Lenormant, zapragnął

gwałtownie zobaczyć Desiree, pomówić z nią o sztuce. Będzie tam dla niej rola pokojówki Zuzanny, dobra, doskonała. Nie ma jeszcze tej Zuzanny, ale narodzi się, był przekonany, że Zuzanna mu się uda.

Pojechał do Desiree.

Przywitała go, jakby się z nią rozstał wczoraj. Stała przed nim jasnoruda, bardzo szczupła, niewielkiego wzrostu; jej ładna, rozsądna twarz z lekko zadartym noskiem promieniała radością, że się zjawił.

Opowiedział jej o uroczystym wieczorze u doktora Franklina, o swoim przeświadczeniu, że teraz interesy firmy Hortalez będą miały nie tylko znaczenie polityczne, ale staną się bardzo intratne. Słuchała uważnie, z pionową zmarszczką między brwiami, nie bardzo przekonana.

Wierzyła mu za to na słowo, kiedy jej opowiadał o swojej sztuce. Nie spotkał nikogo, kto by się tak znał na teatrze jak ona. Opowiadał rzeczowo, tłumaczył swój plan zasadniczy, mówił o rolach, o szczegółach technicznych, rozważał plusy i minusy pojedynczych fragmentów akcji oraz rysy poszczególnych postaci.

Potem przystąpił do czytania. Przed nią nie potrzebował markować. Przerywała mu często, stawiała pytania, zwracała uwagę na sprzeczności i słabe miejsca. Teraz dopiero, w rozmowie z nią, uświadomił sobie, jaka ma być ta pokojówka Zuzanna: mądra, zuchwała, dowcipna, zupełne przeciwieństwo Figara. Orientowała się od razu, dokąd zmierza, uzupełniała jego słowa, pomagała; sypali pomysłami, zdaniem, replikami.

Długo tak pracowali. Porozumiewali się ułamkami słów, spoglądali na siebie śmiejącymi się oczyma, zachwyceni nawzajem swoimi pomysłami.

Kiedy wreszcie powiedziała:

- No, teraz wystarczy - nie dziękował jej długo, lecz po prostu sięgnął po nią. Rzuciła mu się w objęcia; śmieli się, byli szczęśliwi.

Później, znacznie później, przyszło mu do głowy, że w hrabim Almavivie przedstawił nie tylko ministra Vergennes i niejednego ze swych wersalskich przyjaciół, ale przede wszystkim swego kochanego przyjaciela, Karola Lenormant d'Etioles.

Powiedział niespodzianie:

- Zwróciłem Charlotowi pieniądze przed terminem.

Desiree po krótkim milczeniu odrzekła:

- Nie było to zbyt mądre. - Słowa Beaumarchais'go zmałyły na chwilę jej dobry humor.

Przyjaźń jej z Charlotem zacieśniła się jeszcze bardziej. Nie tylko dlatego, że stosunek ten pomagał Desiree w karierze, ale i dlatego, że na swój sposób była do Charlota przywiązana; cierpiała przez tego trudnego człowieka, o ile w ogóle cierpieć umiała. Gdyby był głupi, brutalny, pusty, jak niektórzy jej przyjaciele z arystokracji, spałaby z nim, ale poza tym mało by się o niego troszczyła. Tymczasem ten sybaryta melancholik pociągał ją i równocześnie odpychał swoją znajomością ludzi i mizantropią. Kochał ją niewątpliwie, ale zamiast cieszyć się z tego, robił na ten temat cyniczne i niewesołe uwagi, a kiedy ją obejmował, wzdychał, że znowu ulega cielesnym pokusom. Czasami musiała bardzo nad sobą panować, by w nieprzystojnych słowach nie rzucić mu w twarz całej swej pogardy dla jego skomplikowanych, przerafinowanych arystokratycznych manier. Ale wiedziała, że władza jej nad nim jest ograniczona i że człowiek, który nie przyjął z powrotem skruszonej pani Pompadour, i jej również nigdy nie przebaczy przekroczenia pewnych granic.

Była strapiona, że nieobliczalny Pierre zadrasnął pychę Charlota. Ale rozumiała Carona. Czyż sama nie grała Anżeliki?

Nie mówili już więcej o panu Lenormant, wrócili do sztuki Beaumarchais'go, do tego wspaniałego, barwnego splotu miłości, pieniędzy i intryg. Kiedy w paru fachowych słowach pochwaliła jego zręczność w budowie fabuły, przypomniał sobie ojca. Trzeba było, powiedział z uśmiechem, być kiedyś zegarmistrzem, by wszystkie kółka tak się nawzajem ząbały.

Desiree, obdarzona zmysłem praktycznym, zaczęła się zastanawiać, gdzie i jak utwór mógłby się ukazać na scenie. Doszła szybko do konkluzji.

- Winszuję panu, Pierre - powiedziała. - Napisał pan najzuchwalszą sztukę, jaką świat widział. Jaka to straszna szkoda, że nigdzie nie będzie wystawiona!

Pierre mówił sobie już sam, że trudno będzie przeprowadzić wystawienie sztuki. Ale teraz, kiedy Desiree wypowiedziała to bez ogródek, nie chciał jej przyznać racji.

- Tysiąc razy - odrzekł - krzyczano mi: nigdy! I tyle to znaczy co ten wiatr, co wieje!

Desiree z łobuzerską miną siedziała na stole, drobna, zuchwała, bardzo ładna; Pierre orientował się dokładnie, co się w jej głowie działo. Uważała go za bufona, bo śmiał myśleć o tym, by wystawić swą sztukę na złość Wersalowi.

W tej właśnie chwili, patrząc na sceptyczną minę Desiree, Pierre postanowił: „Figaro powie ze sceny swój monolog. Przeprowadzę wystawienie Figara. Będę o to walczył jak o rehabilitację, jak o projekt amerykański, jak o «L'Orfraye», jak o starego z Passy. Figaro będzie grany”.

Decyzja jego była tak niezłomna, że nawet nie ujął jej w słowa.

- Kto dożyje, ten zobaczy - to wszystko, co powiedział. Zaraz jednak potem zaczął snuć plany, jak by tu złamać opór arystokratów. Istniała tylko jedna droga: trzeba ich zmusić, by się stali żarliwymi przyjaciółmi tej sztuki.

- Doczekasz tego - powiedział triumfalnie - że właśnie nasi arystokraci dopomogą mi do grania Figara. Czyż nie ma wśród nich ludzi tak nadętych i afektowanych, by nie znaleźli estetycznego smaczku w każdym szyderstwie? Zdaje im się, że stoją tak wysoko, iż śmiech płynący z dołów rozpryskuje się u ich stóp jak piana.

- To piękny aforyzm - odpowiedziała Desiree. - Czyż można jednak oprzeć na nim solidną kampanię?

- Można - odrzekł Pierre z taką pewnością siebie, że prawie mu uwierzyła.

Po chwili namysłu zapytała:

- Kogo pan miał na myśli?

Zastanawiał się, szukał, milczał.

- Markiza? - rzuciła. Było w jej tonie coś, co go uderzyło. Czyżby nawiązała romans z markizem? W każdym razie miała rację, że Vaudreuil był dla jego planów odpowiednim człowiekiem. Posiadał dosyć cynizmu i dosyć zmysłu artystycznego, by się zainteresować sztuką właśnie dlatego, że go atakowała, jeżeli sztuka ta miała dowcip i polot.

- Dziękuję pani, Desiree - powiedział Pierre - za wszystko.

- Podoba mi się pan, Pierre - odrzekła. - Pan i pańska sztuka macie przyjemne, jasne ideały: pieniądze, komedia, intryga, wolność.

- Proszę nie zapominać o miłości, Desiree - zakończył.

Po rozmowie z Toinette Vaudreuil był przez całe dni, ba, przez całe tygodnie w nastroju na przemian gniewnym i radosnym. Osiągnął, czego chciał; stosunki jego z Toinette

zacieśniły się, wpływ Klaniku Liliowego Bzu był mocniejszy niż kiedykolwiek.

Uważał za wskazane rzadko pokazywać się w Wersalu, większą część czasu spędzał w Paryżu, w towarzystwie pisarzy i filozofów, których protegował. Kochał literaturę, sam pisywał. Ale to, co napisał, miał zwyczaj niszczyć od razu. Samo pisanie przynosiło mu rozkosz; szukanie rozgłosu wydawało mu się wulgarne. Chciał być jedynym, który lubuje się płodami swego ducha. Może był w tym również pewien lęk, że inni nie ocenią jego twórczości wedle jej zasług.

Kiedy przebywał w Paryżu, przy rannej ceremonii jego lever panował wielki tłok. Przyszedł kiedyś przy tej okazji i Pierre do Beaumarchais.

Vaudreuil ucieszył się, że go widzi. Uważał, że Pierre ma dowcip podobny do jego dowcipu. Aby jednak syn zegarmistrza nie rozzuchwalił się zbyt, należało utrzymywać dystans. Dziś Vaudreuil miał kaprys pokazania Caronowi, że przyjaźń jego jest łaską, darem, który może być w każdej chwili cofnięty. Zadowolił się leniwym skinieniem ręki, nie skierował do niego ani słowa, rozmawiał z innymi o sprawach obojętnych, o koniu wyścigowym, zakupionym od brata króla Anglii. Wreszcie Pierre przepchał się naprzód. Oświadczył, że chciałby zaproponować panu de Vaudreuil udział w interesie, którego zyski pozwoliłyby nabyć całą stajnię angielskiego księcia. Vaudreuil nie patrząc na niego powiedział wyniośle:

- Nie jestem człowiekiem interesu - po czym rozmawiał dalej o koniach.

Pierre przełknął to. Wiedział, że Desiree miała rację. Spośród wszystkich możliwych Vaudreuil miał jeszcze najwięcej zrozumienia dla jego twórczości, jego prozy, jego replik, dla lotności jego umysłu. Plan wprzęgnięcia tego najwybitniejszego przedstawiciela wersalskiej arystokracji

rodowej do rydwanu jego buntowniczej sztuki może się udać tylko w tym wypadku, jeżeli Pierre się teraz upokorzy. Przełknął więc impertynencję z dobrą miną i nie dając się zniechęcić zjawił się następnego ranka.

Markiz wpadł w nocy na pewien pomysł, który uważał za bardzo dobry; na razie postanowił zachować go dla siebie. Był w łaskawym, pogodnym nastroju. Kiedy Pierre oświadczył mu, że skończył już większą część sztuki i uważałby za największy dla siebie zaszczyt, gdyby wolno mu było markizowi pierwszemu przeczytać swój nowy utwór i prosić go o radę, przyjął chętnie tę propozycję. Przypomniawszy sobie, jaki był zachwycony, kiedy ten jego błazen nadworny odczytywał mu swoje wcześniejsze utwory, lubił słuchać ich pierwszy, a teraz, jako intendent Toinette, był podwójnie zainteresowany w tym, by na gorąco poznać nową sztukę popularnego autora. Skłonił więc Carona, by zaraz posłał po rękopis, zatrzymał go na obiad, a po obiedzie, leniwie wyciągnięty w szlafroku na kanapie, rozkazał:

- A więc pięknie, mój panie, proszę zaczynać.

Świadomość, że może dumnemu, zarozumiałemu arystokracji rzucić w twarz najzuchwalsze prawdy, prawdy, jakich ów nigdy dotąd nie słyszał, dodała Caronowi ognia. Był świetnym recytatorem, a dziś czuł się u szczytu sił; miał wrażenie, że podczas czytania tworzy. Głos jego, zdolny do oddania każdego odcienia, gwałcił się i wyteżał, odmalowywał gniew, szyderstwo, gorycz i miłość. Beaumarchais nie czytał, lecz wcielał się w swoje postacie. Komedia stała się jaśniejsza, barwniejsza, niż to było możliwe na scenie.

Vaudreuil nieraz pokpiwał sobie z swojej klasy. Ale czy miał na to pozwolić temu nicponiowi, temu synowi zegarmistrza? Czy nie powinien wyrwać mu z rąk rękopisu i zatkać nim tej jego beczelnej gęby? Zanim się jednak obejrzał, porwał go radosny potok słów. Nigdy dotąd nie wyobrażał sobie, że

słowo i myśl mogą tak pienieć się i tak lśnić. Czy chciał, czy nie chciał, musiał patrzeć, słuchać i czuć, nie mógł się oprzeć, było to zbyt zuchwałe i zbyt zabawne.

Pierre zdawał sobie sprawę, że teraz, w ciągu tego czytania, rozstrzyga się los jego dzieła. Wszystko zależało od tego, jak ów człowiek w szlafroku zareaguje na komedię. Jeżeli Vaudreuil się uprze, Paryż zobaczy Figara. Jeżeli nie, Pierre może zamknąć swój utwór do szuflady i czekać, co powie potomność.

Z mądrej, bardziej jeszcze wyniosłej niż mądrej twarzy człowieka leżącego na kanapie, sybaryty, ustąpił wyraz pychy. Vaudreuil miał zrozumienie i wyczucie dobrego teatru. Kazał zamilknąć wątpliwościom, postanowił rozkoszować się słuchaniem. Zerwał się, zaczął biegać po pokoju, śmiał się, grał razem z Pierre'em.

- Jeszcze, jeszcze! - wołał i klaskał w dłonie jak w teatrze. Coraz częściej kazał sobie powtarzać poszczególne zdania, prosił Beaumarchais'go, by się trochę cofnął, replikował. Odgrywali teraz wspaniałą komedię karnawałową, śmieli się jak szaleni, nie wiedzieli, kto jest czyim błaznem.

- Wspaniale to zrobiłeś, Pierrot - powiedział Vaudreuil nie mogąc jeszcze tchu złapać ze śmiechu. - To człowieka przewraca, to przewróci cały dwór i Paryż. To najlepsza sztuka, jaką Francuz napisał od czasów Moliera.

- Sądzi pan, że będą ją grali? - zapytał Pierre.

- Grubas mnie nie cierpi - zastanawiał się Vaudreuil - nie zna się zupełnie na teatrze, nie ma poczucia humoru. Będzie to twardy orzech do zgryzienia. Ale właśnie dlatego zajmę się tym. Zdaj się na mnie.

Filip Gudin odczuwał głęboki szacunek dla wielkich ludzi, chętnie czytywał Plutarcha, cierpiał bardzo nad tym, że ludzie tego kalibru co Franklin i Pierre, walczący o tę samą sprawę,

nie pozostają z sobą w przyjaznych stosunkach. Kiedy Pierre opowiedział mu o uroczystości w Passy i o pogodzeniu się z Franklinem, spadł mu kamień z serca.

W knajpie „Pod Katarzynką” spotkał przy stole, przy którym siadywali pisarze i filozofowie, doktora Dubourga. Dubourg należał do tych nielicznych, co nie cieszyli się sympatią dobrodusznego Filipa. Nie tylko nie przyszedł na wieczór, kiedy Gudin czytał fragmenty swej Historii Francji, ale rościł sobie również pretensje do zasług, które przypadają nie jemu, lecz Caronowi. Jeżeli Franklin przez tyle czasu traktował Beaumarchais'go tak chłodno, była to niewątpliwie wina podszeptów doktora Dubourga.

Gudin rad był, że nadarzyła się sposobność utarcia koledze Dubourgowi nosa i powiedzenia mu, że jego złośliwa gadanina nie odniosła skutku. W wielkich słowach opowiadał o tym, z jakim entuzjazmem Pierre mówił o uroczystości w Passy. Zbliżenie tych dwóch żołnierzy wolności, Franklina i Beaumarchais'go, ciągnął dalej, podniosło zapewne doktora Dubourga na duchu.

Dubourg przypomniał sobie z niechęcią, że istotnie owego wieczora Franklin wyróżnił pana Caron niezasłużoną serdecznością. Dubourg przewidział od razu, że ten pan i jego przyjaciele będą fałszywie tłumaczyć pojednawczy gest Franklina. Tak się też stało. W przyszłości ta nieznośna mucha jeszcze natrętniej dokuczać będzie swym brzęczeniem.

Miał w zapasie kilka mocnych powiedzonek, którymi można by poczęstować tego uczonego półgłówka Gudina. Ale postanowił nie dać się porwać nieprzemyślanym słowom - nie byłoby to po myśli Franklina.

- Tak - odpowiedział więc sucho - przypominam sobie, że na owej małej uroczystości zauważyłem pana Beaumarchais. Obecność jego podkreśliła jeszcze bardziej wielkość Franklina i jego sprawy.

Gudin powiedział sobie, że kwaśne uwagi tej nudnej purchawki dowodzą tylko, jak bardzo Dubourg zazdrości Caronowi okazywanej mu przez Franklina przyjaźni. Zadowolony siedział przy masywnym stole w przepełnionej, hałaśliwej knajpie, poodpinał pod kamizelka guziki od spodni, łyknął trochę sławnego wina Anjou, które było specjalnością „Katarzynki”, i wyraził pogląd, że obydwaj ci ludzie, spokojny, uczony Franklin i pomysłowy, ruchliwy Beaumarchais, dopełniają się nawzajem. Franklin pomaga amerykańskiej sprawie przez obserwacje natury filozoficznej, Beaumarchais przez śmiałe czyny. Franklin jest Solonem albo raczej Archimedesem naszego stulecia, pana Beaumarchais potomność nazwie chyba Brutusem naszej epoki. Pan Beaumarchais ma jeszcze poza demokratycznym ogniem Brutusa dosadny, zabójczy dowcip Arystofanesa.

Gudin formułował swoje poglądy w zawiłych zdaniach i ze statecznością godną uczonego, lecz bardzo zaczepnie. Doktor Dubourg miał już dosyć tej gadaniny, stracił cierpliwość. Nieco zmęczone oczy w zniszczonej, obwisłej twarzy nabrały blasku. Sapnął, wytarł nos, upił trochę, wina i powiedział:

- Zdarza się, że historyk, który potrafi słusznie ocenić zjawiska przeszłości, zdumiewająco zawodzi w ocenie zjawisk związanych z terażniejszością. Wydaje mi się, że tak wygląda rzecz z panem, panie Gudine. Jestem daleki od tego, by pomniejszać zasługi pana de Beaumarchais. Nie tylko pisze on dobre farsy o słusznych tendencjach, lecz zajmuje się ryzykownym handlem morskim; działalności jego na obu tych polach przynosi trzynastu zjednoczonymi stanom pewien pożytek. Choć jest to dla pana Beaumarchais zaszczytne, nie wydaje mi się jednak słuszne, by przy ocenie wypadków amerykańskich wymieniać go jednym tchem z mężem stanu i filozofem Franklinem. W obliczu tej bezgranicznej przesady staje się zrozumiałe, dlaczego pewnym ludziom na dźwięk

nazwiska Beaumarchais przypomina się bajka La Fontaine'a o musze i dyliżansie.

Gudin miał wrażenie, że wskutek panującego w knajpie gwaru źle zrozumiał wypowiedziane przed chwilą słowa. Ale z małych oczu doktora Dubourg padały złe spojrzenia, w poczuciu triumfu mlaskał wargami. Gudin poczuł, że mu krew uderza do głowy. Oddychał teraz ciężko, rozpiął jeszcze bardziej kamizelkę i spodnie, po czym zapytał:

- Czy są tacy ludzie, mój panie? Czy są ludzie, którzy mają odwagę porównywać poetę i męża stanu Beaumarchais'go z ową muchą?

- Na proste pytanie - odpowiedział Dubourg - prosta odpowiedź: Tak, mój panie, są tacy.

Dwaj otyli panowie siedzieli naprzeciw siebie, sapiąc, każdy bronił swego przyjaciela. Zwróciło to uwagę siedzących przy stole, ale w zgiełku nie rozumieli, o co chodzi.

- Chce pan może powiedzieć, doktorze Dubourg - ciągnął z goryczą, lecz szeptem Gudin - że i w Passy budzi się wspomnienie owej bajki, kiedy mowa o panu Beaumarchais?

Dubourg wahał się przez chwilę, potem pomyślał o statku „L'Orfraye”, który mu się wymknął, o owym liście, w którym niejaki pan Caron pokpiwał sobie z niego, i odpowiedział:

- Tak, mój panie. Na pewno.

Plecy Gudina zaokrągliły się. Nie chciał wierzyć w to, co Dubourg powiedział, ale spojrzawszy na niego zrozumiał, że tak jest w istocie. Gudin pochlebiał sobie, że zna ludzkie serca, czytał u Seneki, Cycerona, Marka Aureliusza i Teofrasta niejedno mocne zdanie o niewdzięczności, zawiści, zazdrości i pomniejszaniu istotnych zasług. Kiedy Pierre opowiadał mu po raz pierwszy o dziwnym zachowaniu Franklina, Gudin sam przypomniał mu, jak powszechna jest ta odrażająca przywara - niewdzięczność. Ale kiedy teraz ujrzał przed sobą wrogą, triumfującą twarz Dubourga, kiedy usłyszał

na własne uszy, że Franklin naprawdę wyrządził jego przyjacielowi tak olbrzymią krzywdę, poczuł się do głębi wstrząśnięty. A więc doktor Franklin, czczony po tej i tamtej stronie oceanu jako zwierciadło rzetelności i szczerości, filozof cnoty i rozsądku, był zdolny do tego, by przy ludziach smarować swego wielkiego rywala miodem, a potem, za jego plecami, spotwarzał go przez jadowite porównania!

Gudin siedział pośród radosnego gwaru knajpy przygarbiony, z zasepioną twarzą, pił; lekkie, cierpkie wino już mu nie smakowało.

- Jeżeli filozof z ogrodu w Passy - powiedział - jeżeli Sokrates z Zachodu naprawdę tolerował takie oczernianie pisarza i bojownika o wolność, Beaumarchais'go, to muszę powiedzieć pomimo całego szacunku dla jego osoby, że się zachował nie po sokratesowsku.

Dubourg żałował już, że tak dotknął Gudina.

- Przykro mi - oświadczył - jeżeli wydaje się panu, że pański przyjaciel nie jest należycie szanowany. Ponieważ jednak postawił pan pytanie i nalegał pan, musiałem odpowiedzieć. Cóż robić, kłamstwa nie uprawiam. Amicus Plato, magis amica veritas. (Przyjacielem Plato, lecz większą przyjaciółką prawda).

Był to pełny triumf doktora Dubourga. Ale jakoś się nim nie cieszył. W ciągu następnych paru dni trapiło go wspomnienie złamanego Gudina. Dubourg był naukowcem, starał się zachowywać bezstronność i nie mógł zaprzeczyć przed samym sobą, że w tym, co ten ograniczony, ale uczciwy historyk Gudin mówił o Franklinie i panu Beaumarchais, tkwiło ziarnko prawdy. Jego wielki przyjaciel położył podwaliny pod niepodległość Ameryki, ale siedząc w Passy wpadł w jakiś niepojęty letarg i nie interesował się nawet okrętami korsarskimi. Nic dziwnego, że sobie tę beczynność fałszywie tłumaczono. Prawdopodobnie inni jeszcze poza

Gudinem podkreślali niekorzystną antytezę pomiędzy ustawiczną ruchliwością Beaumarchais'go a filozoficzną gnuśnością doktora Franklina.

Kiedy doktor Dubourg zajmował się już jakimś zagadnieniem, to zwykł był doprowadzać swe myśli do końca. Siedział więc teraz nad butelką Corton i tomem Montaigne'a i medytował nad sporem, którego widownią była knajpa „Pod Katarzynką”. Miało to i swoją dobrą stronę, że ten Gudin, ze swoim pinguis minerva(chłopskim rozumem), ze swoim mózgiem obrośniętym tłuszczem, odważył się pomniejszyć Franklina. W ten sposób stawał w jasnym świetle fakt, który doktor Dubourg wprawdzie zauważył, ale którego nie chciał przyjąć do wiadomości: że Franklin zaczynał starzeć się, tracić swą aktywność.

Trzeba coś przedsięwziąć. Dubourg, choć nie młodszy od Franklina, był na szczęście jeszcze w pełni sił. Musi pobudzić swego wielkiego przyjaciela do działania - to jego misja historyczna w skali światowej. Franklin cieszył się niesłychanym rozgłosem, był popularny. Dubourg, ukryty w cieniu, powinien skłonić przyjaciela, by popularność tę wykorzystał dla jakiejś akcji o wielkim znaczeniu.

Głowił się nad taką akcją, szukał wielkiego planu, który by mógł Franklinowi przedłożyć. Przychodziło mu na myśl to i owo, ale były to projekty kulawe, niezyciowe. A jemu chodziło o coś, co byłoby „gwóździem”. Pił, czytał, rozmyślał, pił, czytał dalej. Położył się spać i nic nie wymyślił.

Kiedy się obudził następnego ranka, gwóźdź znalazł się. Podczas snu Najwyższa Istota objawiła mu wielki plan. Jakież to szczęście! A więc zanim legnie w grobie, będzie mógł oddać Franklinowi i sprawie wolności usługę, która nigdy nie będzie mu zapomniana.

Kazał zaprząć i pojechał do Passy.

Franklin siedział w gabinecie nad listem do swego przyjaciela, doktora Ingerhousza z Wiednia. Opisywał mu szczegółowo spotkanie z chemikiem Lavoisierem. Broszura Lavoisiera na temat oksydacji otworzyła nowe horyzonty, a to, o czym go dodatkowo poinformował młody uczonek, zasługiwało na najbaczniejszą uwagę. Franklin wyżywał się w dokładnych, pisemnych sformułowaniach problemów naukowych, był zdyscyplinowany, umiał się skupić. Ale dziś myśli wymykały mu się, opuścił pióro, zagłębił się w rozmyślaniach bardzo dalekich od związku pewnych składników powietrza z pewnymi pierwiastkami metalicznymi.

Dawno już Franklin nie czuł się tak dobrze fizycznie. Pogoda była wspaniała, pływał w Sekwanie, wchodził na tarasy i schodził z nich. Wieczory z paniami Helvetius i Brillon były również przyjemne. Mimo to brak mu było zwykłego spokoju.

Nadeszła poczta z Ameryki, mógł sobie wreszcie wyrobić jasny obraz sytuacji. Był to obraz bardzo niepokojący. Oficjalne pisma Kongresu rozbrzmiewały troską, ale poufne listy przyjaciół były jeszcze bardziej ponure. Armia Waszyngtona odczuwała brak ludzi. Wbrew swoim zobowiązaniom poszczególne stany nie dostarczyły ani żołnierzy, ani materiałów, ani pieniędzy. Za to tysiące obywateli uprawiało na własną rękę korsarstwo lub służyło na korsarskich statkach. Piętrzyły się trudności administracyjne i ekonomiczne. Pieniądze wypuszczone przez Kongres nie miały pełnego pokrycia, a nawet zdarzało się, że ich w ogóle nie przyjmowano. Spory między poszczególnymi stanami nie ustawały, wiara w końcowe zwycięstwo nikła, wszystko się rozpadało. Jeżeli Franklin, pisali приятели, nie doprowadzi do szybkiego zawarcia sojuszu, pomoc przyjdzie za późno.

Wśród poczty był list jego córki Sally. Kiedy Kongres uciekł do Baltimore, Sally także wraz ze swym mężem Ryszardem Bache opuściła miasto zabierając bibliotekę Franklina.

Wróciła również z Kongresem i przywiozła z powrotem książki, obrazy i różne przedmioty, do których ojciec przywiązywał wagę. Teraz, pisała, krążą znowu pogłoski, że miasto jest w niebezpieczeństwie. Torysi na nowo podnoszą głowy, liczni republikanie spieniężają swe nieruchomości za pół darmo, wielu przygotowuje się do nowej ucieczki lub już uciekło. Tym razem jednak Sally nie ulegnie panice. Tym razem zostanie w domu, pozostawi również rzeczy ojca; jest przekonana, że wszystko pójdzie dobrze.

Franklin widział teraz przed sobą córkę Sally, tęgą, rosłą blondynkę, wymachującą dużymi, silnymi, energicznymi rękami. Miała swój zdrowy rozsądek; ani Sally, ani Ryszard Bache nie wiedzieli, co to strach, posiadali odwagę ludzi pozbawionych fantazji. Właśnie dlatego decyzja ich pozostania w mieście była mało przekonywającym dowodem mocnej sytuacji Filadelfii.

Wielu z jego przyjaciół, pisała Sally, porzuciło swe domostwa i uciekło. Smutek nappełniał jego serce. Widział teraz przed sobą swoje ukochane miasto. Należało do największych w Ameryce, ale Paryż był dwadzieścia razy większy. Wyglądała ta jego Filadelfia jak wieś, miała niewiele brukowanych ulic i więcej ogrodów i zieleni niż terenów zabudowanych. Ale było to miasto piękne, barwne i niezwykle zdrowe; większość mieszkańców lubiła je i okazywała to. Tu w Paryżu o wiele więcej ludzi chodziło w ubiorach z jedwabiu i brokatu, ale nie należało przypatrywać się im bliżej, były to przeważnie ubiory już wybrakowane i otrzymane w darze od uprzywilejowanych. W Filadelfii nie ujrzałbyś takiej pozłacanej nędzy. Również mniej było karoc; kto należał do leniwych jak on, ten posługiwał się lektyką. Za to było w Filadelfii mniej brudu i niedostatku, a także ani śladu ciasnoty, zaduchu i nędzy, którą widział w niektórych dzielnicach Paryża. Nawet biedota żyła tam pośród ogrodów, jak on w swoim Passy. Przyjaciołom

jego ciężko było zapewne opuszczać to piękne miasto. Ciężko było i jemu, siedząc tu w Passy, wyobrazić sobie, że oficerowie angielscy paradują po Market Street, że może w kawiarni Jamesa, w tawernie City i w knajpie hotelu „Pod Indyjską Królową” rozpierają się przybrani w czerwone mundury żołnierze angielscy i głupkowaci hescy żołdacy. Ogarnął go smutek; myśl o workach napełnionych mąką tatarczaną i kukurydzianą, które mu przysłała Sally do przyrządzania jego ulubionych potraw, tylko w nieznacznym stopniu łagodziła jego zły humor.

Artur Lee i Silas Deane również otrzymali z pewnością prywatne raporty. Nie ulega wątpliwości, że wpadną tu dziś jeszcze, niespokojni, zatroskani, przekonani o swojej ważności. Będą robili bezsensowne propozycje, będą nalegali, by coś przedsięwziąć. Trudno się dziwić, tracą cierpliwość, jemu samemu ciężko siedzieć beczynnym z założonymi rękami. Ale nie można inaczej postępować. Znaleźli się w przeklętym kręgu. Sytuacja wojenna wyglądała tak źle, że alians z Francją stał się palącą koniecznością. Wersalu zaś nie można będzie pozyskać dla sojuszu, dopóki sytuacja wojenna będzie tak kiepska.

Franklin wmówił w siebie, że wiek uczynił go roztropnym i że nauczył go cierpliwie znosić powolność każdego historycznego postępu. Ale cierpliwość jego nie docierała do głębi; długie czekanie było długą męką. Życie mijało, a sprawa, której poświęcił resztę swoich dni, nie posuwała się naprzód. Zdawało mu się chwilami, że jest jak ten święty Jerzy na obrazie, pędzi i pędzi nie posuwając się naprzód. Był niewątpliwie pewny ostatecznego zwycięstwa. Historia gwarantowała niepodległość Ameryki, a jemu wolno było przyczynić się do tego. Widział ziemię obiecaną. Obawiał się jednak, że umrze, zanim noga jego na niej stanie.

Takiego Franklina, pełnego wątpliwości i zniechęcenia, zastał Dubourg, kiedy się zjawił, by go wtajemniczyć w swój pomysł.

- Zupełnie nie wyzyskaliśmy - zaczął – największego i najlepszego kapitału, jakim rozporządzamy.

- Jakież to kapitał? - zapytał Franklin.

- Popularność - odrzekł triumfująco Dubourg i wskazał laską na Franklina.

Nie zwracając uwagi na jego sceptyczny uśmiech wywodził, że jak każdemu wiadomo, sojusz ze Stanami Zjednoczonymi nie doszedł jeszcze do skutku wyłącznie z powodu oporu króla. Dotychczas starano się tylko o względy ministrów. Ale oni przy najlepszej woli nie potrafią złamać tego oporu. Może to zrobić jedynie Austriaczka, Maria Antonina. Franklin musi spróbować zdobyć ją dla sprawy Ameryki lub co najmniej się z nią spotkać.

Franklin spojrzał badawczo w twarz Dubourga i odpowiedział przyjaźnie:

- Drogi mój staruszk, niech pan lepiej zostanie przy swoich korsarskich okrętach.

Dubourg, nie zbity z tropu, motywował swój plan. Pomimo całego szacunku dla przyjaciela ma nad nim jedną przewagę: spędził w Paryżu całe życie, zna mentalność Wersalu lepiej od Franklina. Wie, jak dwór, a zwłaszcza otaczający Austriaczkę Klanik Liliowego Bzu, bałwochwalczo czci to, co modne.

- A pan, doktorze Franklin, jest modny – oświadczył z naciskiem. - Niech pan spróbuje spotkać się z królową. Zobaczy pan, że to się opłaci - dorzucił zwycięsko.

- No, nareszcie mam znowu przed sobą mego romantycznego Dubourga - powiedział ciepło Franklin. – Może pan sobie przypomni, że nie udało się nawet doprowadzić do spotkania z liberalnym cesarzem Józefem.

- Toinette jest kobietą - ciągnął z zapalem Dubourg - nie wierzy w politykę, wierzy w modę.

- Zobaczyc królową to łatwo powiedziec - odrzekł Franklin kręcąc głową. - Może to i prawda, że delegacja amerykańska cieszy się sympatią Paryża, ale u dworu zatykają sobie przed nami nosy. Kiedy chcę widziec pana de Vergennes czy chociażby pana de Gerard, muszę wchodzić kuchennymi schodami.

Na poranej zmarszczkami twarzy Dubourga pojawił się chytry, łobuzerski uśmiech.

- A co by było, gdyby pan wszedł kuchennymi schodami do królowej? O ile mi wiadomo, Ludwik dopiero od niedawna spełnia małżeńskie obowiązki, a Maria Antonina niedawno stała się kobietą. W tej fazie - oświadczył tonem człowieka znającego się na rzeczy - kobiety powodują się uczuciem i są skore do różnych figłów. Na dworze wersalskim możliwe są różne rzeczy. Niech pan ten jeden, jedyny raz usłucha mojej rady, czcigodny przyjacielu - zaklinał. - Proszę mi wierzyć, że najmądrzej jest chwycić byka za rogi.

Stary, światły Franklin był nieskończenie daleki od drobnych, zawitych intryg, jakie mu proponował Dubourg. Wierzył w wielki, trwały sens historii, chęć sprowokowania zjawisk historycznych przez takie głupie manewry, jak to sobie w swym starczym mózgu wykombinował zdziecinniały Dubourg, wydawała mu się śmieszna. Z drugiej strony wiedział ze studiów przyrodniczych, że czasami drobne, przypadkowe przeżycie daje asumpt do wielkich rewolucyjnych odkryć. Według wszelkiego prawdopodobieństwa „projekt” Dubourga był pomysłem bezpłodnym i niewykonalnym. Gdyby się nawet udało go zrealizować, korzyść byłaby chyba niewielka.

Ale Franklin zwykł naprzód próbować, później odrzucać. Co by to właściwie szkodziło, gdyby podjął próbę spotkania się z

Habsburżanką? Oczywiście w żadnym wypadku nie mógłby, jak sobie wyobrażał jego naiwny przyjaciel, zdobyć jej dla sprawy Ameryki. Ale liczne wpływowe osobistości sympatyzujące z Ameryką tylko dlatego nie ujawniły tej swojej sympatii, że para królewska zachowała wobec niej wrogą neutralność. Gdyby się zetknął z królową, pomówił z nią, może by sam ten fakt dodał ludziom trochę więcej odwagi. Czy już stary Maurepas nie dawał do zrozumienia, że Franklin nie docenia praktycznej wagi swej popularności? Dlaczegoż naprawdę nie miałyby się z tą swoją popularnością zabawić w rodzaj lichwy? Lee i Silas Deane napierają, by coś przedsięwzięli. Jeżeli spróbuje spotkać się z Austriaczką, okaże im swoją dobrą wolę i będą musieli na jakiś czas dać mu spokój. Również sytuacja Stanów Zjednoczonych jest niestety tak ciężka, że trudno lekkomyślnie odrzucić nawet najbardziej awanturniczy projekt. Trzeba chwycić się każdego środka, choćby był nim nawet ogon diabła.

- Ponieważ tyle pan sobie po tym obiecuje, stary przyjacielu - powiedział - zastanowię się nad pańską propozycją. W każdym razie dziękuję panu.

Twarz Dubourga, która ku ubolewaniu Franklina przybierała wygląd coraz bardziej hipokratesowy, rozpromieniła się.

Franklin opowiedział panom Lee i Silasowi Deane w obecności Dubourga o jego pomyśle.

Artur Lee nie zastanawiając się odrzucił projekt. Emisariuszowi wolnego narodu, oświadczył surowo, nie wolno poniżać się tak dalece, by schlebiać despotce. Ale Silas Deane wpadł w entuzjazm. Uważał za rzecz niepojętą, że już od dawna nie usiłowano zdobyć tą drogą wpływu w Wersalu, i choć zazwyczaj nie zostawiał na doktorze Dubourg, wrogu i potwarcy Beaumarchais'go, suchej nitki, tym razem nazwał jego pomysł jajkiem Kolumba.

Artur Lee odpowiedział pogardliwie, że na szczęści niegodny projekt upada sam przez się. Po doświadczeniach z wiedeńskim faraonem nie widać drogi, na której można by doprowadzić do spotkania z paryską despotką.

Na to wtrącił Dubourg, że królowa, która incognito miesza się z tłumem ludzi różnego autoramentu, powinna być chyba przystępna dla Franklina.

Silas Deane odpowiedział chytrze:

- Jeżeli ktoś może doprowadzić do tego spotkania, to tylko człowiek, który nam często pomagał w opresji: nasz przyjaciel Beaumarchais.

Dubourg parsknął z niezadowoleniem. Nie tak to sobie wyobrażał. Pokazał drogę, jak wydobyć pojazd z błota, i oto znowu zjawia się ta mucha.

- Zawsze ten pański Beaumarchais - powiedział z niechęcią.

- Nie ma nikogo innego - odrzekł Silas Deane wzruszając ramionami.

Artur Lee znów zabrał głos:

- Widzicie, panowie, do czego się dochodzi, jeśli się choćby tylko rozważy możliwość niegodnego czynu. By schlebić despotce, potrzeba wam pomocy spekulanta.

Franklin powiedział ze spokojem:

- Kto chce wytoczyć z rogu ładny guzik, temu nie wolno lękać się odrobiny smrodu.

Wziął Silasa Deane na bok i polecił mu pomówić z panem de Beaumarchais.

- Niech mu pan jednak nie da do zrozumienia - prosił - że propozycja wyszła ode mnie. Byłoby nieprzyjemnie, gdyby po nieudanym spotkaniu z Józefem i z tego wyszły nici, a pan Beaumarchais dyskrecją nie grzeszy. Musiałaby to być przysługa okazana panu osobiście. Niech pan przedstawi projekt jako swój własny.

- Nie chciałbym stroić się w piórka doktora Dubourga - odparł z wahaniem Silas Deane.

- Doktor Dubourg posiada skromność uczonego - uspokoił go Franklin - biorę wszystko na siebie.

- Pięknie - podporządkował się Silas Deane. - Cieszę się - nie mógł sobie tej satysfakcji odmówić - że i pan nauczył się teraz cenić naszego spryciarza.

Kiedy następnego rana Silas Deane zaczął rozmowę z Caronem, ten odgadł od razu, kto go przysłał.

- Niech mi pan powie, szanowny panie - zapytał poufale i z prostotą - czy przybywa pan z polecenia naszego wielkiego przyjaciela z Passy?

Silas Deane splonął rumieńcem, otarł pot z czoła i zapewnił:

- Ależ nie, to mój pomysł.

- Trzeba przyznać, że śmiały - powiedział Pierre z uznaniem.

- Dziękuję - odparł Silas Deane, któremu pochlebity słowa Beaumarchais'go.

Pierre doznał zadośćuczynienia. Potwierdziło się teraz w całym blasku to, co mu zapowiedziała uroczystość 4 lipca. Franklin zrozumiał, że sprawa uznania niepodległości Ameryki nie da się załatwić bez pomocy Beaumarchais'go.

Zadanie było kuszące. Należało skłonić królową Francji, by wbrew swej woli spotkała się z przywódcą rebeliantów. Wymagało to intrygi podobnej tym, które przeprowadzał w swych sztukach. Już widział drogę. I znowu, jak często w tego rodzaju wypadkach, pobiegł z na pół upieczonym projektem do swej przyjaciółki Desiree.

Siedzieli obok siebie, podobni do pary przebiegłych, krzepkich dzieci paryskiej ulicy, i zastanawiali się, jakiego by tu splatać figla swym zarozumiałym protektorom z Wersalu. Było jasne, że najbliższa droga prowadzi przez markiza. Desiree lubiła swego przyjaciela Francois, był wspaniałomyślny i nie ulegało wątpliwości, że w każdym

zatargu w Theatre Francais stanąłby po jej stronie. Ale od czasu do czasu okazywał jej w sposób bezwzględny swoją pychę i byłoby zabawne użyć go jako bezwolne narzędzie w wielkiej intrydze, skierowanej przeciw jego klasie.

Oboje byli przekonani, że Vaudreuil, jako zdecydowany faworyt królowej, mógłby, gdyby tylko chciał, wymóc na niej spotkanie z Franklinem. Desiree uważała, że pora jest wyjątkowo odpowiednia, by markiz zasmakował w ich planie. Nie ulegało już wątpliwości, że chce przyjąć zaproponowaną mu intendenturę i szuka tylko sensacyjnego efektu, aby dowieść dworowi i miastu, że mimo to pozostanie dawnym markizem de Vaudreuil, niezależnym, nie mającym zamiaru liczyć się ze skłonnościami i polityką Ludwika.

Pierre, zachęcony przez Desiree, poszedł więc do markiza i opowiedział mu, że od czasu pracy nad Figarem opętał go znowu szal teatru. Nic go już więcej nie interesuje, wszystko, co mu wpadnie do ręki, traktuje jako materiał na scenę. Próbował nawet zbudować sztukę dokoła starego Franklina. Człowiek w brązowym futrze, z okularami w metalowej oprawie to postać stworzona do komedii, poczciwy bohater, światły, wzruszający, odrobinę śmieszny. Ale diablo trudna to sprawa zbudować dokoła niego mechanizm sztuki. Pierre, choć ma w tych rzeczach duże doświadczenie, nie widzi możliwości takiego ustawienia bohatera i jego antagonisty, by jeden mógł replikować drugiemu dowcipnie i bojowo. Po jednej stronie stoi starzec z Filadelfii, po drugiej Wersal, dwór; choć dzieli ich zaledwie kilka mil, są od siebie rozdzieleni jakby oceanem, nie można ich wprząc w sceniczne ramy. Wielka to szkoda, że stary Franklin musiałby się ograniczyć do wypowiedzenia monologu, zamiast stać się ośrodkiem akcji scenicznej.

Siedzieli przy stole, Vaudreuil jadł bez specjalnego apetytu i słuchał bez specjalnego zainteresowania. Ale Pierre, dobry

obserwator reakcyj ludzkich, wyczuł, że niedbałość ta była sztuczna. Nie martwił się, że markiz nie podjął podsunętego tematu. Widział, że zaprowadził go tam, gdzie chciał.

Był tak pewny swego, że w drodze do domu puścił wodze fantazji. Widział w duchu, jak Franklin zjawia się w domu przy ulicy Conde, w jego pięknym gabinecie, jak mu dostojnie, z pewnym leciutkim akcentem ironii dziękuje - inaczej stary nie potrafił. A potem odejdzie z Passy pismo do Kongresu z pochwałami dla zasług firmy Hortalez, z domaganiem się najszybszego spełnienia uzasadnionych żądań tej firmy i uregulowania zaległych należności. Autorem pisma będzie Pierre, ale podpisze je Beniamin Franklin. A potem wróci z Ameryki flota firmy Hortalez i każdy ze statków przywiezie weksle oraz olbrzymie ilości towarów jako zasłużoną nagrodę i za jego idealizm, i za jego chytrą.

Bardzo zadowolony był również Vaudreuil. Ten syn zegarmistrza, jego błazen nadworny, nie wiedząc nawet o tym, naprowadził go na pomysł, na który tak długo czekał. Doprowadzić do zetknięcia Amerykanina z Wersalem to byłaby rzecz piękna, sensacja, której szukał. Oczywiście było to dla jakiegoś pana Caron niewykonalne. Jest otoczony murem nie do przebycia. Ale Vaudreuil ma skrzydła, które pozwalają mu przelecieć nad tym murem. Doprowadzić do spotkania między przywódcą rebeliantów a wpływową osobistością ze sfer dworskich? Nic łatwiejszego. Trzeba mieć tylko śmiałość i fantazję arystokraty z urodzenia. Wtedy uda się doprowadzić do spotkania nie tylko z jakąś osobistością wpływową, lecz z kimś, kto ma głos decydujący.

Czelnie, wesoło, z fantazją budował sobie Vaudreuil swój plan. Będzie to żart na miarę Arystofanesa, godny markiza, żart, który rozzłości grubasa i dostarczy dworowi na całe tygodnie tematu do rozmów.

Spotkanie, rzecz jasna, musi odbyć się w ramach zabawy w jego posiadłości Gennevilliers; będzie to rodzaj balu maskowego, co umożliwi Toinette zjawienie się incognito i porozmawianie z Franklinem. Vaudreuil musi jeszcze znaleźć pretekst, żeby zaprosić starca. Trzeba pomyśleć o widowisku, o sztuce mającej jakiś związek z rebelią kwaków.

Przebiegł myślą literaturę teatralną. Szukał, znajdował, odrzucał, znajdował.

Był więc sobie starszy, poważny dramaturg, Antoine Maria Lemierre. Pisał szlachetne sztuki wierszem, trochę nudne, ale naszpikowane buntowniczymi tyradami przeciw nietolerancyjnym duchownym i despotycznym regentom. Rozgrywały się zwykle w zamierzchłych czasach i odległych okolicach, w starej Persji, starych Indiach; cenzura przepuszczała je po pewnym wahaniu. Obecnie Lemierre napisał Wilhelma Tella i cenzura oświadczyła, że nie ścierpi na scenie akcji buntowniczych nie rozgrywających się przynajmniej tysiąc lat temu i w odległości co najmniej dwóch tysięcy mil. Zakaz wywołał poruszenie, autor zaapelował do króla, Ludwik zatwierdził decyzję swego cenzora. Zagranie tej sztuki na jego zamku, przed małym, wybranym gronem, nie przez aktorów zawodowych, lecz przez amatorów, i to arystokratów, wydawało się markizowi odważne i pikantne, ironiczne i rewolucyjne; poza tym byłby to dobry pretekst do zaproszenia zarówno Amerykanina, jak i Toinette.

Wtajemniczył w swój plan przyjaciół, księcia Karola, rodzinę Polignac, księżnę Rohan. Opowiedział im, jak sobie to wszystko wyobraża, a mianowicie nie jako demonstrację polityczną, lecz jako sprawę o charakterze estetyczno-towarzyskim. Rozumie się samo przez się, że nie można brać poważnie ani poczciwego Lemierre'a i jego dzielnych Szwajcarów, ani zacnego patriarchy z krainy kwaków. Poklepie się rebeliantów po ramieniu, będzie się z nich

pobłażliwie pokpiwało. W takim ujęciu lekką, świadomą ręką cała rzecz zmieni się w facecję godną klanu.

Pozostali zapalili się do projektu i wkrótce udzielił im się entuzjazm markiza. Postanowiono potraktować całą imprezę jako zabawę maskaradową, na której i zagranie Wilhelma Tella, i balet lub fajerwerki będą tylko częścią bogatego programu. Przygotowania były trzymane w tajemnicy, żeby niespodzianka nabrała jeszcze większej pikanterii. Księżę Karol chciał z początku grać i strzelającego Tella, i habsburskiego gubernatora, który zostaje zastrzelony. Wreszcie powierzono mu rolę Tella, rolę zaś ponurego Austriaka objął piękny, brutalny hrabia Juliusz - bardzo mu odpowiadała. Gabriela Polignac cieszyła się, że będzie dobrze wyglądać jako szlachetna, walcząca o wolność, zbliżona do natury Szwajcarka, i zaczęła od narady z panią Bertin. Jediną ciekawą rolę w sztuce, synka Tella, któremu zestrzelują jabłko z głowy, powierzył Vaudreuil aktorce zawodowej Desiree Mesnard.

Diana Polignac podjęła się tak rozciekawić Toinette, by tym pewniej przyjęła zaproszenie. Opowiedziała jej w zaufaniu, że Vaudreuil zamierza wystawić w Gennevilliers Wilhelma Tella pana Lemierre'a, o którym tyle mówiono, i bije się z myślami, czy ma zaprosić Toinette. Toinette zrozumiała, że Francois chce zamanifestować w ten sposób, jak oryginalnym zamierza być intendentem, korciła ją chętką splełtania pocziwemu Ludwikowi tego niewinnego figła, była dotknięta, kiedy się dowiedziała, że powstały wątpliwości, czy starczy jej na to odwagi.

Kiedy przy najbliższej okazji spotkała się z markizem, zapytała go na pół żartobliwie, z wymówką:

- Jak to właściwie wygląda, Francois, czy jestem zaproszona na zabawę maskaradową?

- Obecność pani, madame - odpowiedział uprzejmie Vaudreuil
- byłaby zaszczytem, o wyświadczenie którego nie śmiem prosić. Nie chciałbym namawiać pani na ryzykowny krok.

- Nie przypominam sobie - odrzekła Toinette - bym dała panu powód do powątpiewania o mojej odwadze.

- Wystawię sztukę, która doprowadziła do furii grubasa - powiedział brutalnie Vaudreuil - Wilhelma Tella. Nie wiem, jakie są obecnie pani stosunki z królem i czy obecność pani byłaby wskazana.

- Jestem panu bardzo wdzięczna - odparła Toinette - że pan nagle z taką delikatnością troszczy się o moje stosunki z królem. Nie widzę powodu, żebym nie miała przyjść na pańskiego Wilhelma Tella. Szwajcaria mnie interesuje. Chyba pan wie, że w mojej wiosce w Trianon zarządzam szwajcarską mleczarnię. Los szwajcarskiego bohatera narodowego żywo mnie obchodzi.

- Autor Wilhelma Tella będzie obecny na przedstawieniu - powiedział Vaudreuil.

- No i? - zapytała Toinette.

- Będą jeszcze inni ciekawi goście - ciągnął Vaudreuil - na przykład doktor Franklin.

Wysokie brwi Toinette uniosły się jeszcze wyżej, na jej bladej twarzy pojawiły się lekkie rumieńce.

- Widzi pani - uśmiechnął się Vaudreuil - jest pani nieodrodną siostrą cesarza Józefa.

Toinette poczuła się boleśnie bezradna. Sprawa wydała się jej bardziej niebezpieczna, niż przypuszczała. Ona, Maria Antonina habsburska, królowa Francji i Nawarry, i stary drukarz i buntownik? Nie, chociaż zwykła z taką odwagą przechodzić do porządku nad ceremoniałem - jest to niemożliwe. Powstałyby z tego nie tylko niemiłe komplikacje dla Ludwika, ale i Józef zasypałby ją za pośrednictwem ambasadora Mercy i księdza zasłużonymi wyrzutami; bo jeżeli

nawet odegrał wobec Francois rolę żalowaną, miał jednak rację we wszystkim, co myślał i mówił o buntowniku.

Ale czy z drugiej strony Józef sam nie nosił się z myślą spotkania z Franklinem? I czy jej, kobiecie, nie jest to bardziej dozwolone aniżeli jemu? Przecież spotkanie odbyłoby się podczas zabawy maskaradowej. Gdyby z maską na twarzy pomówiła z Amerykaninem, to cóż byłoby w tym gorszego niż to, że toleruje, by ją na balach w Operze zaczepiali obcy mężczyźni?

Vaudreuil stał za nią. Oparł się o poręcz krzesła i przyglądał się jej z góry. Wymowniej, niż mogły to uczynić słowa, przemawiały jego ciemne oczy spod gęstych, ciemniejszych jeszcze brwi, jego męska, szydercza twarz; Toinette jest mocna w słowach, ale zawodzi, gdy grożą jej nieprzyjemności ze strony męża lub brata.

Nie, nie chciała okazać braku odwagi. Nagle odezwała się w niej cała niechęć do Józefa, który ją nieraz strofował i karmił jak małą dziewczynkę, do wiecznego mentora, który chciał regulować jej życie i rządzić w myśl swego vademecum.

Vaudreuil nie zmieniając pozy otworzył soczyste, zuchwałe usta i powiedział bardzo przyjaźnie i cicho swym głębokim głosem:

- Czy rozumie pani, Toinette, że chciałem oszczędzić pani tej próby? Kiedy mnie teraz na mojej zabawie ktoś o panią zapyta, będę mógł odpowiedzieć zgodnie z prawdą: Madame nie jest zaproszona.

Toinette poczuła się głęboko dotknięta.

- Jest pan bardzo zuchwały, Francois - powiedziała. - Zbyt mało ma pan do mnie zaufania. Obraża mnie pan.

Vaudreuil czekał na to.

- Wedle rozkazu, madame - odrzekł. Stał przed nią, skłonił się głęboko i uniżenie, po czym z błyskami szyderstwa w

oczach powiedział: - Proszę o łaskę, madame, by zechciała pani przybyć na moją zabawę w Gennevilliers.

Toinette zagryzła wargi, odetchnęła. Vaudreuil cofnął się, oparł o kominek i patrzył na nią uprzejmie, zuchwale, przymilnie, wyniośle.

Zdawała sobie jasno sprawę, że powinna powiedzieć nie. Nie wolno jej było, tylko dlatego, by nie pozbawić teraz Francois jego małego triumfu, narazić siebie i Ludwika na przykrości, a może nawet przynieść szkodę Francji i Habsburgom. Dla Francois to rzecz łatwa, był poddanym. Ona była królową, ponosiła odpowiedzialność. Musi odmówić. Powie: nie.

Vaudreuil nie spuszczał z niej wzroku, jego pełna, ironiczna twarz szydziła: „Siostra cesarza Józefa”.

- Przyjdę - powiedziała Toinette.

- Mój drogi Pierre - oświadczył Vaudreuil w dwa dni później swemu przyjacielowi i nadwornemu błaznowi - wkrótce będę mógł pokazać panu sztukę nie ustępującą pańskiemu Figaro. Będzie się nazywała Szalony dzień albo Wilhelm Tell i królowa.

Fala zadowolenia ogarnęła Beaumarchais'go, ale spojrzawszy na pana de Vaudreuil zdumionym wzrokiem i powiedział:

- Nie rozumiem pana, mój mecenasie.

Vaudreuil opowiedział mu niby mimochodem, jak znalazł rozwiązanie, którego Pierre szukał. Pierre zobaczy, w jaki sposób Vaudreuil wtłoczy w te same ramy sędziwego bohatera komedii i jego potężną, powabną antagonistkę.

- Niech pan udzieli - prosił Carona - swemu współnikowi z Passy ostrożnych instrukcyj, by się mógł godnie włączyć do gry. Proszę zwrócić staremu uwagę, że nie powinien poznać dostojnej damy, którą spotka na zabawie. Niech pan poinformuje tego pana z Zachodu, że chodzi o towarzyską imprezę rozrywkową, pozbawioną charakteru politycznego.

Pan, mój drogi - zakończył łaskawie - jest, nawiasem mówiąc, zaproszony do wzięcia udziału w zabawie.

Pierre wyraził w gorących słowach swój podziw i wdzięczność, stawiając do dyspozycji swe usługi. Odczuwał wielką, gniewną radość. Jeżeli markiz chce tańczyć, to, Pierre był tego pewien, wspólnik z Zachodu gotów mu przygrywać dyskretnie, ale tak, że słychać go będzie daleko.

Choć Pierre wiedział, że sprawa planowanego wieczoru powinna pozostać w tajemnicy, opowiedział poufnie swoim najbliższym, Teresie, Julii i Gudinowi, o mającym nastąpić ewenemencie i o wielkiej przysłudze, jaką miał okazję oddać Franklinowi.

Julia nie posiadała się z radości, Teresa pozostała obojętna, Filip nie okazując tego pękał z wściekłości. To nikczemne, jak ci Amerykanie eksploatują jego szlachetnego, prostodusznego przyjaciela tylko po to, by szydzić z niego poza jego plecami. Pierre dostarczał im broni, która służyła zarówno na polu walki, jak i w gabinetach ministrów, on był tym, który utrzymywał w ruchu ich pojazd, i za to przezwali go „muchą z dyliżansu”. Ale gdyby się Gudin z tym odezwał, zaszkodziłby i panu de Beaumarchais, i światu. Zmusił się więc do milczenia.

Za to przy swoim biurku tym szczegółowiej rozwodził się na temat wypadków. Jak kiedyś ów Prokop z Cezarei, który w swojej Historia Arcana okazywał światu wstrętne, prawdziwe oblicze wysławianego pod niebiosa Justyniana, tak teraz Filip Gudin opisywał prawdziwe dzieje trzynastu stanów i doktora Beniamina Franklina. Mocnymi, jaskrawymi kolorami odmalowywał swego przyjaciela Beaumarchais'go i jego wielkie czyny; tym czarniej rysowała się na tym tle niewdzięczność Ameryki i samolubnego patriarchy z Passy. Gudin pozbierał cytaty ze wszystkich klasyków, by dać wyraz swemu oburzeniu z powodu takiej niewdzięczności. Cytował

Sofoklesa: „Jak prędko rozwiewa się wdzięczność ludzka i zmienia w niewdzięczność”, przytaczał Cycerona i Senekę. I chociaż Pierre nie wiedział o złośliwych plotkach na temat jego osoby, podziwiał go za to, że wzorował się na Plutarchu i Aleksandrze Wielkim, pisząc: „Gest to królewski, jeżeli pozwala się mówić o sobie źle temu, komu się wyświadczyło dobro”.

Takimi powiedzeniami i refleksjami przetykał historyk Filip Gudin swój obraz czynów Beaumarchais'go oraz występków Franklina i sprawiało mu to ulgę.

Franklin siedział w kąpieli. W pewnej chwili wszedł do pokoju William, wyraźnie czymś przejęty i bardzo zadowolony.

- Popatrz, dziadku, co tu mam - powiedział. Usiadł na brzegu drewnianej wanny i pokazał Franklinowi pięknie wydrukowany bilet. Podczas gdy Franklin ocierał starannie ręce, by czegoś na bilecie nie zamazać, chłopiec mówił dalej: - Przyniósł to lokaj w migdałowo-zielonej liberii. Czy myślisz, dziadku, że i ja będę mógł tam pójść?

Było to zaproszenie markiza de Vaudreuil na zabawę maskaradową w jego posiadłości Gennevilliers. Będą ognie sztuczne, balet, przedstawienie teatralne. Zabawa odbędzie się pod dewizą: „Wieczór w szwajcarskich górach”.

Franklin był pewien, że zaproszenie pozostaje w związku z awanturniczym projektem poczciwego Dubourga. Tego samego ranka zjawiał się też Silas Deane i uśmiechając się szeroko opowiadał o dostojnej osobie, którą jego czcigodny kolega spotka na zabawie u markiza, a której proszą, by raczył nie poznawać, bardzo go o to proszą. Mówił o bohaterskim zrywie szwajcarskiego ludu, dokonanym dzięki temu, który był ich Waszyngtonem, a zwał się Wilhelm Tell; opowiadał rozpromieniony o swoim przyjacielu, panu de Beaumarchais,

wielkim spryciarzu. Franklin kiwał potężną głową, drapał się, wreszcie powiedział po dłuższym namyśle:

- No tak, znowu wielbłąd przeszedł przez ucho igielne.

Odwiedził doktora Dubourga, który musiał się oszczędzać i rzadko wychodził z domu; opowiadał mu o ewenemencie. Dubourg nie posiadał się z radości i podniecenia, że danym mu jeszcze było wyświadczyć Franklinowi i Ameryce tak wielką przysługę. Pobiegł do piwnicy i przyniósł omszałą butelkę Corton z roku 1761; miał z tego szlachetnego rocznika tylko dwie butelki i choć nie powinien był tego czynić, opróżnił z Franklinem najpierw jedną, a potem drugą i ostatnią.

Doktor uśmiechając się patrzył nie bez odrobiny wzruszenia na podnieconego przyjaciela. Perspektywa spotkania podniecała również i jego. Obcował stale z wielkimi tej ziemi, przyjął go król angielski, brał udział w oficjalnym obiedzie u Ludwika XV w Wersalu. Nieraz pokpiwał sobie z dworskiego ceremoniału. Mimo to dziś, kiedy usłyszał o możliwości spotkania z Habsburżanką, ogarnęło go pewne zakłopotanie. Miał tylko jedną metodę w obcowaniu z kobietami i nie był pewien, czy ceremonialna, lekko ironiczna galanteria będzie w stosunku do królowej wskazana.

Mniejsza zresztą o to. Przeżył wiele różnych sytuacji, poznał bardzo wielu ludzi, nauczył się sztuki przystosowywania się i wydobywania z ludzi i wydarzeń tego, co w nich najlepsze. Miewał do czynienia z producentami stearyny i dyplomatami, drukarzami, uczonymi i handlarzami niewolników, z pisarzami, generałami, chłopami i Indianami i ze wszystkimi dawał sobie radę. Nie należał do ludzi, których można by zwieść cechami zewnętrznymi czy strojem, chyba mówiąc z królową znajdzie również właściwy ton.

Często bawił się przenoszeniem w wyobraźni wydarzeń i strojów ludzkich z jednej epoki do drugiej. Zrobił tak i teraz. Wyciągnął swoją Biblię, otworzył księgę Joba i przeczytał:

1. I stało się to, gdy niektórego dnia przyszli synowie Boży i stali przed Panem, przyszedł też szatan między nie i stał przed oczyma jego.

2. Że Pan rzekł do szatana: Skąd idziesz? Który odpowiadając rzekł: Skrażyłem ziemię i schodziłem ją.

3. I rzekł Pan do szatana: A przypatrzyłżeś się słudze memu Jobowi, że mu nie masz podobnego na ziemi, mąż szczerzy i prosty, a bojący się Boga i odstępujący od złego, a jeszcze zachowujący niewinność? A tyś mnie pobudził przeciw jemu, żebym go trapił bez przyczyny.

4. Któremu szatan odpowiadając rzekł: Skórę za skórę i wszystko, co ma, człowiek da za duszę swoją.

5. Ale ściągnij rękę twoją, a dotknij kości jego i ciała, tedy ujrzysz, żeć w oczy błogosławić będzie.

Franklin przetłumaczył te zdania na swój sposób:

1. Ponieważ w niebie odbywała się uroczystość lever, przybyła cała szlachta, zebrana na dworze, by się zaprezentować. Wśród dworaków zjawił się również pełniący służbę szatan.

2. I rzekł Bóg do szatana: „Od pewnego czasu nie widuję pana. Gdzie pan był?” A szatan odrzekł: „Byłem w mojej posiadłości i w kilku jeszcze innych, by i odwiedzić przyjaciół”.

3. Na to Bóg: „Proszę mi powiedzieć, co pan myśli o hrabim Jobie? Uważam go za swego najlepszego przyjaciela, za niezwykle przyzwoitego człowieka; jest dla mnie pełen czci, unika wszystkiego, co mogłoby wywołać mój gniew”.

4. A szatan odpowiedział: „Czy najjaśniejszy pan przypuszcza, że ten sposób zachowania się płynie wyłącznie z osobistego przywiązania i miłości?”

5. Czy nie obsypywał go pan łaskami, czy nie okazywał mu różnych względów, aż zebrał olbrzymią fortunę?

6. Niech go pan wystawi na próbę. Wystarczy pozbawić go pańskiej protekcji, zabrać mu urzędy i wysokie intraty. Wtedy doczeka się pan wkrótce, że przejdzie do opozycji".

Franklin porównał swoją wersję z dotychczasową, starą. Był teraz spokojny. Potrafi znaleźć wobec tej królowej właściwy ton.

Nadszedł ciepły letni dzień, w którym miała odbyć się zabawa. Franklin pojechał do Gennevilliers w towarzystwie swego wnuka Williama, przybranego w kostium pasterza a la mode(stylowo), chłopak wyglądał dobrze, promieniał. Franklin miał na sobie swój brunatny surdut, był filozofem z Zachodu i kwakrem, którego Francja chciała w nim widzieć.

Vaudreuil odnowił i urządził wytwornie swój pałac w Paryżu i mały domek w Wersalu, natomiast reprezentacyjną siedzibę pozostawił w takim stanie, w jakim ją przejął. Park w Gennevilliers był nadal utrzymany w tym samym sztywnym, pełnym przepychu, konwencjonalnym stylu, jaki mu swego czasu nadał za panowania Ludwika XIV pradziad markiza Vaudreuil. Goście spacerowali po słonecznych, zapyłonych ścieżkach parku, wśród przerażająco do siebie podobnych krzewów i precyzyjnie przyciętych drzew.

Kiedy pan domu zobaczył Franklina, pośpieszył naprzeciw niego i podziękował mu z uprzejmą serdecznością za przybycie. Pojawienie się doktora wywołało tę samą sensację co wszędzie. Ale Franklin znał tu mniej ludzi niż w Paryżu i czuł się mniej swojsko. Majestatycznie, z wyrazem pewnej obcości na twarzy snuł się wśród Szwajcarów i Szwajczerek, pasterzy i pasterek, panów w dominach i pań w maskach; miał wrażenie, że jest tu zbędny.

Trochę zmęczony siadł na stojącej w cieniu ławce i miał wielką ochotę podrapać się. Pan Lenormant, w dominie, usiadł obok niego i informował go o poszczególnych gościach. Na ogół był pan Lenormant tego dnia niezbyt wymowny i chyba nie bardzo zadowolony. Od razu mu się nie podobało, że Desiree przyjęła rolę w rewolucyjnym dramacie pana Lemierre. Kiedy w dodatku pojawił się w Gennevilliers Amerykanin, zrodziło się w nim podejrzenie, czy nie chodzi tu o jakąś ciemną intrygę Beaumarchais'ego.

Siedzieli więc na ławce w promieniach słońca, milczący, zamyśleni. Minęła ich jakaś dama, której piękna, nieco zbyt chuda, zmęczona twarz kontrastowała z kostiumem pasterki alpejskiej, w jaki była ubrana. Towarzyszyło jej dwóch kawalerów i jeszcze jedna dama; dokoła całej grupki kręciły się dwa warczące pieski. Pan Lenormant wstał i ukłonił się z powagą i respektem; Franklin złożył również ukłon, gdyż dama wydała mu się znajoma. Odpowiedziała na jego ukłon ceremonialnie, demonstracyjnie.

- Księżna Rohan - poinformował Franklina Lenormant, kiedy grupka ich minęła.

Dama zrobiła jeszcze kilka kroków. Potem nagle zatrzymała się, odwróciła, twarz jej przybrała wyraz nabożny, a zarazem jakby zastygła z przerażenia. Wśród głuchoj ciszy wyszeptwała:

- Widzicie go, widzicie?

- Któż to jest tym razem? - padły pytania.

- Hrabia Frontenac - odpowiedziała. - Nic nie mówi, ale jest smutny i patrzy na nas wzrokiem pełnym wyrzutu. Musieliśmy popełnić jakąś niewłaściwość.

Zbliżył się Vaudreuil, uspokoił księżnę, poprowadził ją dalej.

Franklin był już kilkakrotnie świadkiem napadów tego rodzaju. Obserwował je z ciekawością naukowca, ale czuł do nich wstręt, jak do wszystkiego, co było ciemne, mgliste, nieuporządkowane. Przypomniawszy sobie teraz, że księżna - czy

nie zdarzyło się to w salonie pani de Genlis? - mówiła z entuzjazmem o sprawie Ameryki. Jeżeli wierzy teraz, że hrabia Frontenac, człowiek, który przyczynił się do wielkiego rozwoju Kanady i Nowej Francji, gniewa się na nią i na towarzystwo, czy nie jest to dowodem, że entuzjazm księżny i otaczających ją dworaków był tylko udany i że w głębi ducha wszyscy oni czują się wobec angielskiej Ameryki nieswojo? Nie, francuska nienawiść w stosunku do Ameryki nie umarła, Franklin będzie miał ciężkie zadanie.

Majordomus markiza oraz służba poprosili gości do sali teatralnej. Widowisko się rozpoczęło.

Dramat pana Lemierre wydał się Franklinowi pompatyczny i daleki od rzeczywistości. Chłopi szwajcarscy na scenie, ubrani zadziwiająco bogato, sławili wolność w ponurych, ognistych strofach i nie szczędzili gwałtownych oskarżeń pod adresem tyranii. Oskarżeniom tym brakowało, zdaniem Franklina, dostatecznego uzasadnienia, na tak ogólnikowe argumenty nie ruszyłby się w Ameryce nawet pies z kulawą nogą, a cóż dopiero chłop od pługą lub rzemieślnik od warsztatu. Podczas gdy wieśniacy na scenie dalej sobie filozofowali i rzucali gromy potępienia, doktor postanowił ustalić na podstawie dokumentów, jakie to podatki i daniny prawdziwi Szwajcarzy musieli w owych czasach płacić cesarzowi i jego gubernatorowi. „Tu bowiem tkwi sedno sprawy, panie producencie sztuk” - myślał sobie. Miłą odmianę wniosła w tę nieco monotonną burzę rymów panna Desiree Mesnard, którą Franklin oglądał już z przyjemnością na scenie Theatre Francais. Jako synek Tella była nie tylko rozkoszna dla oka, lecz recytowała swe wiersze wesoło i naiwnie, podkreślając jednocześnie, że ten chłopiec jest kobietą. Była w swej pustej, papierowej roli przyjemnie żywa, a kiedy pod koniec obwieściła w kunsztownych aleksandrynach z wyraźną aluzją do Franklina, że przykład obywateli szwajcarskich z

pewnością i gdzie indziej wywoła gromy przeciw tyranom, spotkała się z mocnym aplauzem, który o mały włos nie porwał doktora.

Po skończonym przedstawieniu wykonawcy w kostiumach mieszała się z gośćmi. Dokoła Franklina utworzyła się większa grupa, postawiono mu, do czego już przywykł, kilka rozsądnych i dużo niemądrych pytań, musiał podpisywać się na wachlarzach i karnetach balowych, budził entuzjazm i nikt go nie rozumiał.

Po chwili w grupce otaczającej Franklina znalazł się również synek Tella. Franklin prawił Desiree swą niezgrabną francuszczyzną komplementy pełne galanterii i powagi. Lenormant oświadczył ponuro, że przyglądał się nie bez troski, jak gwałtownie i z jakim wysiłkiem księżę Karol manipulował strzałami i łukiem; dał wyraz swej radości, że wszystko dobrze się skończyło. Desiree odrzekła, że czuje się szczęśliwa, iż doktor nie zawiódł się na niej; ma nadzieję, dodała z lekkim łobuzerskim uśmiechem, że nie zawiedzie się i w dalszym ciągu wieczoru. Franklin był zaskoczony, że i ona należy do spisku, a Lenormant znalazł w jej aluzji potwierdzenie swoich podejrzeń, że Pierre uknuł jakąś intrygę. Nastroiło go to jeszcze bardziej ponuro.

Teraz i Pierre przyłączył się do grupy. W zgrabnych słowach pochwalił oglądany przed chwilą dramat, ale tylko po to, by oświadczyć przy końcu z patosem: tam, gdzie jest Franklin, błędnie nawet utwór tak dobry jak sztuka jego kolegi Lemierre'a. Bo jakież dzieło teatralne może współzawodniczyć z potężnym widowiskiem, które daje światu Ameryka?

Franklin odpowiedział sucho, z przymieszką goryczy:

- Niestety, widzowie nie płacą za nie.

Rozstawiono stoły do gry. Przy jednym z nich Franklin zauważył wśród graczy damę w niebieskim kostiumie

pasterki, w niebieskiej masce. Wiedział od razu: to królowa. Choć górną część twarzy okrywała maska, śmiało zarysowany nos oraz pełna, nieduża, nieco obwisła dolna warga zdradzały ją aż nazbyt wyraźnie. Przy stole tej damy grano hałaśliwie, grający zachowywali się swobodnie, oba kręcące się pod nogami pieski warczały bez przerwy.

Franklin zauważył, że towarzystwo to nie poświęca damie w niebieskiej masce specjalnej uwagi, stara się zachowywać tak, jak gdyby jej nie poznawało.

Podniósł się i prowadzony przez Williama podszedł do tego stołu. Podano mu krzesło, ale wołał stać. Gdy się zbliżył, dama w niebieskiej masce rzuciła nań przelotne spojrzenie, nie przerywając gry i rozmowy. Stwierdził z zadowoleniem, jak delikatną i białą ma skórę, jak przepiękne ramiona i ręce.

Wytłumaczono mu zasady gry.

- Jazda, panie starszy! - zawołał w tonie jarmarcznym młody, czelny książę Karol, siedzący przy stole jeszcze w kostiumie Tella; łuk, z którego strzelał na scenie, stał obok jego krzesła.

- Proszę spróbować szczęścia! - zawołał. - Proszę zagrać!

Franklin zauważył, że zamaskowana dama spojrzała w jego stronę. Zażądał od Williama pieniędzy i postawił dużą srebrną monetę, ecu.

- Pozwoli pan, doktorze - powiedziała Diana Polignac - że podwyższę stawkę; jeżeli pan wygra, proszę obrócić wygraną na swoją wielką sprawę - i dodała do jego ecu pięć złotych luidorów.

Przegrali całą sumę. Franklin powiedział do Williama:

- Mojego ecu wstawimy Kongresowi do rachunku.

Odszedł od stołu gry i wrócił do swego wygodnego fotela. Rozmawiano o zestrzeleniu jabłka, robiono żartobliwe uwagi na temat roli, jaką jabłka odegrały w historii; jabłko Ewy, jabłko cesarzy rzymskich, jabłko Newtona, zatrute jabłko Borgiów.

Przypomniało to Franklinowi przypowieść, którą zaraz opowiedział. Oto jeden z jego przyjaciół, misjonarz szwedzki, przybył do Indian szczepu Susquehanna, wygłosił kazanie, opowiedział im parę przypowieści z Biblii, między innymi przypowieść, jak Adam zjadł jabłko, przez co przodkowie nasi stracili dostęp do raju. Indianie zastanawiali się długo, potem wódz ich podniósł się i powiedział do misjonarza: „Jesteśmy ci bardzo zobowiązani, mój bracie, że nie lękałeś się przepłynąć przez wielką wodę, by nam obwieścić sprawy, o których dowiedziałeś się od swoich przodków. To naprawdę niedobrze jadać jabłka. O wiele lepiej robić z nich jabłecznik”. Kiedy tak z lubością opowiadał, rozglądał się równocześnie za damą w niebieskiej masce. Vaudreuil stał teraz naprzeciw niej, a obok w kostiumie chłopki szwajcarskiej siedziała Gabriela Polignac. Dama w niebieskiej masce paplała i grała, ale Franklin miał wrażenie, że myśli swych nie koncentruje ani na grze, ani na konwersacji.

Miał rację, Toinette była zdenerwowana. To prawda, że zdobyła się na odwagę, którą Francois w tak wyzywający sposób kwestionował. Przyszła, obejrzała zabronioną sztukę, oddychała tym samym powietrzem co rebeliant z Zachodu. Ale naprzeciw stał Francois, grał nieuważnie i bez przerwy patrzył na nią zuchwale, nieupokorzony, nie mający zamiaru uznać jej odwagi. Choć nie odezwał się ani słowem, zorientowała się, że to, co zrobiła, nie wystarczy. Było rzeczą jasną, że Francois oczekuje czegoś więcej, czeka na to, by się do buntownika odezwała. Jeżeli tego nie uczyni, Francois będzie szydził z niej jutro równie okrutnie jak przedtem i wizyta w Gennevilliers, którą sobie z takim trudem wywojowała, okaże się daremna.

Dotknęła lekko ramienia Gabrieli.

- Gra nie bawi mnie dzisiaj - powiedziała - nic nie wygrywam i nic nie przegrywam. Chodźmy do twojego doktora,

chciałabym mu się przyjrzeć. - Udał jej się ten lekki ton, była z siebie zadowolona. Gabriela skinęła głową z rozleniwioną miną. Obie panie wstały i bez pośpiechu podeszły do Franklina.

Podano im krzesła, grupa dokoła Franklina powiększyła się. Pierre był znowu duszą rozmowy. Wyraził zdanie, że księżę Karol mimo talentu nie był zbyt przekonujący w roli wiejskiego rewolucjonisty, w przeciwieństwie do hrabiego Polignac, bardzo sugestywnego w roli surowego tyrana.

- Jeżeli nasz Wilhelm Tell nie był całkowicie prawdopodobny — oświadczył pan Lenormant - to wina poety, który mu nie dał przekonujących argumentów. Słyszemy ciągle o tyranii i ucisku. Tymczasem temu Tellowi i jego kolegom powodzi się wcale dobrze; w każdym razie mają czas na zebrania polityczne i przygotowywanie morderstw i buntu.

Zamiast odpowiedzieć Pierre zwrócił się do Franklina:

- Proszę nie sądzić, że mój przyjaciel jest zrzedą szukającym dziury w całym, za jakiego chce uchodzić. Miewa czasami ostry język, ale serce jego bije dla każdej wielkiej sprawy.

Stojący dokoła usiłowali wywołać wrażenie, że słuchają tylko Franklina i Beaumarchais'go, a dama w niebieskim kostiumie nic ich nie obchodzi. Ale Toinette wiedziała, że wszyscy czekają, czy zacznie rozmowę z Franklinem i co mu powie. Tylko raz w życiu była zmieszana tak jak dziś: wówczas, kiedy musiała przemówić do pani Dubarry. Wtedy nie najgorzej wybrnęła z sytuacji. „Dużo dziś ludzi w Wersalu, prawda, madame?”, powiedziała do tej dziewczki, a Dubarry odpowiedziała: „Tak, madame”. I dziś, kiedy ma mówić z buntownikiem, najlepiej chyba będzie powiedzieć coś obojętnego, konwencjonalnego. Franklin ułatwił jej zadanie, gdyż nie patrzył na nią.

Korzystając z krótkiej przerwy w ogólnej rozmowie, powiedziała żartobliwie:

- Doktorze Franklin, czy żal panu było tego ecu, którego pan przegrał przed chwilą?

Rozległ się śmiech. Franklin zwrócił ku niej swą dużą twarz i popatrzył na nią przyjaźnie.

- Stary człowiek - powiedział - powinien zadowalać się starymi grzechami i nie dodawać do nich nowych. Ale przyglądając się grze pięknej pani zaraziłem się jej zapałem. Miło było obserwować, co się w pani podczas gry dzieje.

Skrepowanie Toinette ustąpiło. Czują na sobie badawczy, aprobujący, lekko pożądlivy wzrok Franklina. Przypomniały jej się bale maskowe, kiedy czuła bliskość ciał obcych mężczyzn. Pomyślała sobie: „Ten buntownik, który tak na mnie spogląda, nie jest niebezpieczny. Mogę z nim robić, co mi się podoba”.

- Cóż się we mnie działo? - zapytała.

Poprzez wycięcie w masce Franklin poczuł na sobie jej kokietyjne spojrzenie. A więc obrał właściwą taktykę.

Ta królowa była kobietą, jakich we Francji spotykał setki. Była trochę niemądra, mówiła głupstwa, ale robiła to z wdziękiem. W każdym razie będzie i wobec tej królowej odgrywać dalej starszego pana, nadskakującego pięknej kobiecie na pół po ojcowsku, na pół swawolnie, z respektem i lekką ironią.

- Nie jest to zły znak - oświadczył - jeśli kobieta da się czasem unieść i pogra sobie trochę. Kto jest tolerancyjny wobec samego siebie, ten będzie nim także w stosunku do innych.

- Uważa mnie pan za tolerancyjną? - zapytała.

Franklin spojrział na nią badawczo.

- Ludzie są równie trudni do przejrzania od zewnątrz jak melony - powiedział - zwłaszcza kiedy się widzi tylko połowę twarzy. Kobiety, może dlatego, że są bliższe natury, bywają bardziej tolerancyjne od mężczyzn. Mają pod tym względem wspólne cechy z dzikimi. Muszę państwu opowiedzieć jeszcze

jedną historyjkę o moim szwedzkim misjonarzu - zwrócił się jowialnie do całego towarzystwa.

- Prawił więc Indianom długie i zasadnicze kazania, jak to zwykli czynić misjonarze, mówił o swoich chrześcijańskich prawdach, przytaczał ustępy z Biblii. Indianie słuchali uważnie, uprzejmie i cierpliwie. Później jako ludzie dobrze wychowani opowiedzieli mu w zamian kilka swoich legend. Opowiadania te nie były tak rozwlekłe jak jego, ale nie były również krótkie. Wreszcie zabrakło memu przyjacielowi cierpliwości. „Dajcie spokój! - zawołał. - Ja głoszę wam święte prawdy, a wy opowiadacie same bajki i kłamstwa!” Indianie poczuli się dotknięci. „Drogi bracie - odrzekli - zdaje się, że twoja czcigodna matka zbyt mało trudziła się nad twoim wychowaniem i nie nauczyła cię reguł uprzejmości i tolerancji. Widziałeś, że wierzymy w twoje opowiastki, dlaczego nie wierzysz w nasze?”

- Wspaniałe - powiedział książę Karol. A ponieważ nie miał dotychczas sposobności zabłysnąć dowcipem, dodał:

- I któż, doktorze, był bliższy prawdy, przyjaciel pański, misjonarz, czy Indianie?

- Obie strony głosiły równie dobre półprawdy - odpowiedział Franklin.

Toinette czuła, że słowa te są skierowane do niej. Pochlebiał jej sposób, w jaki buntownik ją traktował, ale nie była całkowicie zadowolona. Tak, dawał do zrozumienia, że uważa ją za piękną, godną pożądania kobietę, ale równocześnie odrobinę sobie z niej pokpiwał. Tego znieść nie mogła. Nie pozwoli, by ją traktował jak małą dziewczynkę. Pokaże mu, że do niego dorosła.

- Ale pan sam, doktorze - zapytała figlarnie i nieco z wysoka - uważa swoją prawdę za doskonałą?

Stary patrzył na nią łagodnie, po ojcowsku; wystarczyło mu to, co osiągnął. Ale może potrafiłby więcej jeszcze wydobyć z

tęgo spotkania. Może udałoby się tę kobietę, która tak bardzo starała się okazać mądrzejszą, niż była naprawdę, skłonić do wypowiedzi korzystnych dla dobrej sprawy. Była przy tym tak ładna, że żał mu było wprowadzić ją w zakłopotanie.

- Były czasy - odpowiedział - w których zdanie moje uważałem za jedynie słuszne. Im jednak staję się starszy, tym bardziej się tego wyrzekam i jestem coraz dalszy od stanowiska owej damy, która skarżyła mi się kiedyś: „Nie wiem, jak się to dzieje, ale nie spotkałam jeszcze nikogo, kto by zawsze miał rację - z wyjątkiem mnie samej”.

Dokoła słuchano z napięciem. Vaudreuil i Diana Polignac, Pierre i Desiree, każde z nich uważało, że jest tym, kto wywołał tę interesującą i podniecającą grę. Vaudreuil, jak prawdziwy smakosz, rozkoszował się każdym zwrotem w kokieteryjnej dyskusji między starym, dobrodusznym rebeliantem, a młodą, przekorną królową. Gabriela Polignac miała niemiłe wrażenie, że Toinette nie dorosła do tego ociężałego starca; przypomniała sobie powiedzenie: „Łagodny jak gołąb, mądry jak wąż”. Natomiast nieładna Diana Polignac przypatrywała się z radością, jak piękna i zadufana w sobie królowa, której wszyscy wszystko tak ułatwiali, sama sobie gotuje trudności. Książę Karol miał również uciechę; rad był, że Toinette nawarzy Ludwikowi piwa.

Pierre obserwował okiem znawcy, z jaką pewnością siebie Franklin popycha Toinette w zamierzonym przez siebie kierunku. Bawi się z nią jak duży pies bernardyn z dzieckiem; zabawa nie jest wcale tak niewinna, ale Toinette nic nie przeczuwa, pewna, że to ona igra z Franklinem.

Pierre odczuwał głęboką satysfakcję. To on ściągnął tutaj tych wszystkich ludzi, którzy nie wiedząc o tym, tak tańczą, jak on im zagra.

Z jeszcze większą radością śledziła Desiree przebieg gry, którą jej miły Pierre z nią razem wymyślił. Franklin i królowa

byli dla niej nie tylko uczestnikami gry; Toinette była w jej oczach reprezentantką całej wyniosłej, arystokratycznej, uprzywilejowanej kasty, Franklin zaś reprezentował ludzi niskiego pochodzenia, ludzi z gminu pozbawionych przywilejów. Aby prowadzić przyjemne życie, wcisnęła się wraz z Caronem w te arystokratyczne koła. Chcąc utrzymać swą pozycję musieli oboje robić coraz to nowe wysiłki, znosić coraz to nowe upokorzenia. Odczuwała przy tym pogardę dla wielkich panów, o których łaski zabiegali. Panowie ci byli w swej pysze głupi i ślepi. Zeszli się teraz tutaj, ściągnięci przez Carona i przez nią, uśmiechali się i żądni coraz nowych sensacyj, wpychali broń do ręki wrogowi, który ich zniszczy. Siedziała na skraju wielkiego półkola, które utworzyło się dokoła Franklina, młoda, zuchwała, piękna, ożywiona, rozkoszowała się pikanterią i wdziękiem słów starego doktora, cieszyła się, że dumna, bezradna wobec życia królowa gra tak niemądrą rolę.

Toinette sama miała wrażenie, że na razie przewaga jest po stronie Franklina. Szukała jakichś śmiałych, zaskakujących słów, którymi mogłaby go pokonać.

- Skoro uważa pan swoje prawdy za półprawdy, doktorze Franklin - powiedziała z prowokującym uśmiechem - to chyba uważa pan siebie tylko w połowie za buntownika?

Franklin, zdziwiony, dobrodusznie spojrzał jej prosto w oczy i odpowiedział jowialnie i wesoło:

- Buntownik? Ja? Czyż wyglądam na buntownika? Kto pani to powiedział? - Zmienił z miejsca temat. - Cudownie pani w tej fryzurze. Podkreśla jasność pani czoła. Proszę łaskawie pouczyć nieświadomego cudzoziemca, jak się ta fryzura nazywa?

Wszyscy odetchnęli, że stary zgasił ogień, zanim pożar się rozszerzył, i podziwiali jego takt.

Nim Toinette zdążyła się odezwać, odpowiedziała za nią Gabriela:

- Fryzurę tę nazywają coiffure Ques-a-co, doktorze Franklin. Toinette nosiła fryzurę, z której czynili jej zarzuty pamfleciści. Wmieszała się Desiree:

- Ques-a-co znaczy: „co to jest, co to ma być?”. Tymi słowami pan de Beaumarchais pokpiwał sobie w jednej ze swych ulotek z prowansalskiej gwary swego niezgrabnego przeciwnika.

- Dziękuję, mademoiselle - odparł Franklin i zwracając się do Beaumarchais'go dodał: - Jak widzę, Francja umie czcić literaturę.

„Nie wykręci mi się tak tanim kosztem” - pomyślała Toinette i z szelmowską pogroźką powiedziała słodkim głosem: - Ale jednak trochę się pan przecież przeciw swemu królowi buntował? Czyżbym była fałszywie poinformowana?

Franklin odpowiedział lekko i bardzo uprzejmie:

- Myślę, że nie poinformowano pani najlepiej, madame Ques-a-co. Bardzo wielu ludzi uważa, że to król Anglii zbuntował się przeciw nam, a nie my przeciw niemu.

Teraz sytuacja stała się naprawdę drażliwa. Zanim Vaudreuil zdążył się wmieszać, uprzedziła go Gabriela, oświadczając:

- Tak pan miło mówił o fryzurze Ques-a-co, którą nosi madame. Proszę, niech pan i nam powie, co pan myśli o naszych kostiumach i kapeluszach.

Nic to jednak nic pomogło, zaślepiona Toinette przestała nad sobą panować. Nie myślała już o tym, że jest królową, a stary - to buntownik. Była tylko i wyłącznie ładną kobietą, która zauważyła, że tamten podziwia jej postać, twarz i ręce, ale nie ma wystarczającego podziwu dla jej rozumu.

- Jest pan uczonym człowiekiem, doktorze - powiedziała bardzo cicho - i z pewnością potrafi pan bronić każdej tezy, słusznej czy niesłusznej, lepiej niż nieuczona kobieta. Czy nie

przyznaje pan jednak w głębi serca, że król Anglii ma bądź co bądź boskie prawo wydawania swym kolonom rozkazów?

Było dla każdego widoczne, że słowa te płyną z głębokiego przekonania.

Franklin nie pragnął takiego obrotu sprawy. Nie miał zamiaru skłonić damy w niebieskiej masce do oświadczeń, które by ją mogły skompromitować. Byłoby to niewdzięcznością, a może nawet głupotą, i mogłoby wywołać gniew damy i jej męża, który zaszkodziłby sprawie Ameryki.

Więc jeszcze raz odpowiedział wymijająco:

- Czy pani rzeczywiście uważa za rebelianta człowieka, który tak wygląda jak ja, madame?

- Cicha woda brzegi rwie - odparła Toinette. - Dlaczego wykręca się pan od odpowiedzi?

I doktor, i dama prowadzili konwersację w tonie lekkim i beztróskim. Mimo to zapadła głęboka cisza.

Młody książę Karol powiedział z nieco głupawym uśmiechem:

- No, teraz jestem ciekaw... - i pochylił się naprzód tak gwałtownie, że oparty o krzesło łuk upadł z hałasem na posadzkę.

- Madame - powiedział po chwili Franklin - nie chciałbym w tak piękny wieczór wobec pięknej kobiety uderzyć w ton mentorski, zajmować się polityką. Skoro jednak nalega pani na odpowiedź, powiem, co myślę: my, Amerykanie, nie jesteśmy zasadniczo przeciwnikami władzy królewskiej. Ale bywają w zasadach monarchii wynaturzenia, których nie możemy przyjąć. Oto na przykład pewien profesor niemiecki pisał do swego księcia: „Gdyby Bóg nie był Bogiem, musiałyby nim być jego książęca mość”. Widzi pani, takie rzeczy uważamy po tamtej stronie oceanu za grubą przesadę. Przyjmujemy, że między królem i narodem istnieje coś w rodzaju umowy. Nauczyli nas tego wasi filozofowie, madame.

Uważamy, że król angielski złamał tę umowę. Możemy dać dowody, że plądrował nasze morze, niszczył nasze wybrzeże, palił nasze miasta i wielu z nas pozabijał. Jesteśmy zdania, że jest to sprzeczne z umową.

Kiedy to mówił, na jego starej, pełnej majestatu twarzy pojawił się wyraz przekonywającej siły; słowa „deklaracji” płynęły z jego ust lekko i bez goryczy i właśnie dlatego urosły do całej swej potęgi.

Hrabia Juliusz Polignac, siedzący z nadętą miną w stroju zamordowanego wójta Gesslerera, powiedział głośno:

- Jeżeli to ma być filozofia, to w takim razie jest ona czystym rokoszem.

- Trudno oczekiwać innego zdania po nieżywym wójcie - wmieszał się Beaumarchais.

Kiedy Franklin mówił, Toinette widziała ciągle tylko jego twarz, wielkie oczy z wysoko podniesionymi brwiami i potężne czoło. Słuchała raczej dźwięku jego głosu niż treści słów, interesował ją bardziej pełen powagi, a przy tym i wdzięku sposób, w jaki przemawiał. Miała zrozumienie dla wszystkiego, co piękne, a więc i dla dziwnej, swoistej, nie pozbawionej uroku siły doktora.

- Nie jest to takie proste, mój drogi Juliuszu - rzekła. Zapewne to, co nam tu powiedział doktor Franklin, kryje w sobie pewne niebezpieczeństwo i właściwie nie powinniśmy go wcale słuchać. Ale kiedy się na niego patrzy, kiedy się pomyśli, ile jest w jego słowach muzyki, trudno sobie mimo wszystko wyobrazić, żeby ten człowiek był buntownikiem także i w sercu.

Księżę Karol i stary Lenormant spojrzeli na nią ze zdumieniem. Takie słowa w ustach królowej Francji, córki Marii Teresy, były czymś zaskakującym.

Franklin nie ukrywał zadowolenia. Ileż trudu zadała sobie królowa, jak była przejęta i pełna zapału, a teraz, kiedy

zastanawiała się nad słowami, które się jej wyrwały przed chwilą, jakaż była piękna i urocza!

- Zaszczyt to dla mnie, madame, że nie przypisuje mi pani żadnych złych intencji i że ma pani czułe ucho dla muzyki amerykańskich zdań.

Kiedy jechał nocą do domu, rozmyślał o tym, co osiągnął. Królowa oświadczyła, że w Deklaracji Niepodległości jest muzyka i że ma szacunek dla amerykańskich przywódców. To było niewątpliwe. To doda odwagi wielu takim, którzy obawiali się ujawnić sympatie dla sprawy Ameryki. Jedno było pewne: święty Jerzy wystąpił z ram obrazu, koń i jeździec zaczęli się poruszać.

Franklin spojrzał na swego wnuka Williama, który siedział przy nim, pogrążony we śnie. Chłopak spędził również miły wieczór. Franklin pomyślał o cichym Passy, o tym, że jutro będzie mógł się z nikim nie widzieć, a pojutrze zje kolację z panią Brillon. Cofnął się nieco w głąb powozu, zamknął oczy i zaczął drzemać.

Rozdział trzeci

Wygrana bitwa

Ludwik przeglądał szkice modeli, które miała wyprodukować fabryka porcelany w Sevres na sezon zimowy. Siedział w bibliotece, naprzeciw niego usadowił się kierownik artystyczny fabryki, pan Pourrat, oraz intendent kierujący sprawami finansowymi, pan de Laborde. Ludwik interesował się żywo swoją fabryką, cieszyło go, że przedsiębiorstwo daje zyski. Wyroby z Sevres, z roku na rok coraz liczniejsze i bardziej artystyczne, kupowano chętnie przede wszystkim na podarki noworoczne. W okresie Bożego Narodzenia Ludwik zwykł był urządzać w swych pływających apartamentach wielką wystawę porcelany i kończyć ją aukcją. W ubiegłym roku wystaw przyniosła dwieście sześćdziesiąt tysięcy liwrów. - Dwieście sześćdziesiąt tysięcy pięćset trzydzieści cztery liwry - stwierdził Ludwik z zadowoleniem, dumny zarówno z osiągniętej kwoty, jak i ze swej dobrej pamięci Cyfrę tę wymienił już dziś kilka razy. - W tym roku - ciągnął - suma będzie z pewnością jeszcze wyższa. Pieniądze są nam potrzebne, moi panowie - zakończył z szerokim uśmiechem. Patrzył z zadowoleniem na piękne grupy, naszkicowane przez pana Pourrat. Były tu sceny myśliwskie, była pasterka z pasterzem, był literat, który koledze po fachu odczytuje swój utwór. Ludwik proponował wprowadzenie nowych tematów. Gdyby się na przykład pokazało człowieka zatopionego w wielkiej księdze albo kowala kującego podkowę, krótko mówiąc, jakieś sceny rodzajowe, to niewątpliwie miałyby one powodzenie, chyba żeby sam diabeł się w to wmieszał. Ożywioną rozmowę przerwało pojawienie się pana de Campan. Bibliotekarz poinformował króla półgłosem, że hrabia Maurepas jest w przedpokoju i prosi o natychmiastową

audiencję. Ludwik zasepił się. Ilekroć miał jakąś przyjemną chwilę, przeszkadzano mu. Głęboko wzdychając pożegnał się ze swoimi panami.

Maurepas był, jak zawsze, w pełnej gali. Wczesnym rankiem dowiedział się o niewiarygodnie głupim figlu Toinette. Najpierw miał zamiar poczekać, aż pan Lenoir, generalny prefekt policji, poinformuje króla. Potem jednak postanowił nic nie pozostawiać przypadkowi, lecz korzystając ze sposobności z miejsca zaatakować Austriaczkę. Mimo że był zmęczony i podagra wyjątkowo silnie mu dokuczała, stanął teraz przed królem z poważnym, lecz niezbyt smutnym wyrazem twarzy.

- Czy naprawdę ma mi pan do zakomunikowania coś tak ważnego? - zapytał niechętnie Ludwik.

- Niestety tak, sire - odpowiedział Maurepas. Po czym użyczył Ludwikowi jeszcze chwili wytchnienia, mówiąc o sprawach obojętnych. Ludwik nie pytał dalej, opowiadał szczegółowo o Sevres, o projektowanej na grudzień wystawie, zapowiadającej się wyjątkowo barwnie i bogato. Pokazał swemu mentorowi projekty pana Pourrat. Maurepas udał zainteresowanie.

Po chwili, wyrażając żal, że musi skrócić czas wypoczynku obciążonego troskami monarchy, przeszedł do powodu swojej wizyty i zdał sprawę ze spotkania królowej z buntownikiem. Nie przemilczał okoliczności łagodzących, ale użył ich tylko po to, by z całym szacunkiem ukazać bezprzykładną głupotę królowej w najbardziej jaskrawym świetle. Zapewne, to nie królowa rozmawiała z doktorem Franklinem, lecz dama w niebieskiej masce. Niestety, dama ta wysłuchiwała przedtem zabronionej sztuki, co pozwala przypuszczać wszystkim wrogim elementom, że cała sprawa była z góry ukartowana. To prawda, że słowa wypowiedziane przez damę były

niewinne, ale można im nadać interpretację polityczną, co też niewątpliwie nastąpi.

Ludwik nie starał się ukryć irytacji. Podczas raportu ministra wielokrotnie parsknął hałaśliwie przez grube nozdrza zakrzywionego nosa, tłusta twarz drżała, miało się wrażenie, że się rozplącze.

Kiedy Maurepas skończył, król siedział przez chwilę w milczeniu i bez ruchu. Potem zaskrzeczał nagle wysokim dyszkantem:

- Od razu powiedziałem i panu, i hrabiemu Vergennes, że nie trzeba było wpuszczać tego starego lisa. Teraz mamy bal, teraz mamy w kraju najgorszego z naszych wrogów. Otaczają mnie źli doradcy. Wszyscy udzielają mi złych rad. Niechże pan coś powie - ofuknął starego, który siedział przed nim z dostojną miną.

- Przyczyny, sire - odpowiedział z demonstracyjnym spokojem Maurepas - które swego czasu przemawiały za wpuszczeniem doktora Franklina i które wraz z hrabią Vergennes miałem zaszczyt zakomunikować waszej królewskiej mości, pozostały dziś takie same jak wtedy. Odmówienie prawa wjazdu wielkiemu uczonemu, członkowi naszej Akademii, oznaczałoby zajęcie stanowiska w konflikcie między Ameryką i Anglią, byłoby uważane w Filadelfii za akt wrogi, a poza tym byłoby źle widziane w Paryżu i na całym świecie. Nawiasem mówiąc, doktor Franklin trzyma się ściśle naszych wskazań, żyje sobie w Passy spokojnie i patriarchalnie i unika wszystkiego, co by nas mogło narazić na nieprzyjemności. To nie on ponosi winę za niemiły incydent, który się zdarzył ubiegłego wieczoru.

Ludwik rozmyślał z wściekłą miną.

- Może jest uczony - odezwał się wreszcie - może, jeśli już pan tak chce, jest mądry, ale pozostaje buntownikiem i popełniłem błąd nawiązując z nim jakikolwiek kontakt.

Był pełen niejasnych, smutnych przeczuć. A teraz ten buntownik uwodzi mu w dodatku żonę. Toinette dopuściła się ciężkiego grzechu rozmawiając z wypędkiem; z pewnością nie dostąpi za to łaski i nie będzie jej dane zająć w ciążę.

Maurepas powiedział:

- Muszę przyznać, że ten z pozoru czcigodny starzec to jednak łotr. - Sformułowanie spodobało mu się, więc je powtórzył: - Tak, to czcigodny łotr. Proszę mieć jednak do mnie zaufanie, sire. Jestem mniej czcigodny, ale dorosłem do niego.

Ludwik tkwił bez ruchu na krześle, bardziej przybity, niż tego Maurepas oczekiwał. Minister zaczął go więc pocieszać. Wyjaśnił, w jaki sposób zamierza sparaliżować próby politycznego wykorzystania incydentu. Zacytował wypowiedzi Toinette - lekkomyślne jej słowa brzmiały w jego starczych ustach dziwnie sucho - i zaczął je analizować. Madame oświadczyła wprawdzie, że Franklin nie jest buntownikiem, ale w sposób mądry i szczęśliwy ograniczyła to stwierdzenie mówiąc, że w głębi serca nie jest buntownikiem. Madame nie wypowiedziała więc swego zdania na temat czynów Franklina. Wypowiedź o jego sercu jest opinią rzecz jasna świadomie miarodajną, bo nikt przecież nie może zajrzeć w serce człowieka - żaden polityk, żaden dziennikarz, nikt prócz Boga. Ponadto madame odnalazła w zdaniach Amerykanina muzykę. Brzmi to w pierwszej chwili zastanawiające, kiedy się jednak zanalizuje te słowa dokładnie, są one w gruncie rzeczy niewinne. Nie ulega wątpliwości, że odnoszą się tylko do formy, w jakiej wyrażone zostały amerykańskie zasady, wskutek czego wynurzenia madame są opinią estetyczną, a nie polityczną.

Ludwik jednym uchem słuchał wywodów swego mentora. Żeby ten Maurepas, chcąc go pocieszyć, nie wiedzieć jak przekręcał i interpretował słowa Toinette, Ludwik nie wątpił ani na chwilę, że są to słowa niedobre. W głębi ducha

ubolewał nad swym losem. Czyż nie było tak, jakby on jeden w Wersalu miał oczy na to, by widzieć? Czy wszyscy inni nie byli zaślepionymi nikczemnikami, czy nie rozumieli, dokąd musi ich zaprowadzić zuchwała gadanina i czelne zachowanie? Żyli z monarchii - monarchia była glebą, która ich żywiła, i powietrzem, którym oddychali - a robili wszystko, by ją zniszczyć.

Był wstrząśnięty, jego krótki podbródek drżał. Nagle zaskrzeczał:

- Wody rewolucji wzbierają i spluczą oleje z namaszczonej głowy.

Maurepas był zaskoczony.

- Ależ, sire - powiedział - gdzież to sire myślą zabłądził? Nic podobnego się nie stanie. Przecież to wszystko jest takie proste. Sire pomówi z madame, będzie łaskaw powiedzieć jej, żeby na przyszłość dowiadywała się, kto bierze udział w zebraniach, które zaszczyca swoją obecnością. Oto wszystko.

- Mówił niezwykle jasno i zdecydowanie.

Ludwik, zmęczony, odpowiedział szyderczo:

- To wszystko? Nie, to nie jest takie proste, jak pan sobie wyobraża.

Wiedział, że rozmowa, której stary domagał się od niego, jest potrzebna. Z chwilą kiedy zrozumiał raport premiera, był pewien, że minister zażąda takiej rozmowy. Myśląc o niej miał wrażenie, że stoi przed jakąś skałą nie do przebycia.

Maurepas ciągnął dalej:

- Upomnienia waszej królewskiej mości nie będą jedyne, sire. Z pewnością i Wiedeń kategorycznie zwróci uwagę madame, że to, co uczyniła, jest sprzeczne z paktem rodzinnym. Słowa, które madame usłyszy z Wiednia, będą brzmiały znacznie ostrzej niż wszystko, co sire może jej powiedzieć. Tak, Wiedeń podniesie okropny krzyk. - Wizja ta rozbawiła go, a ponieważ był dziś zmęczony i chory i nie panował nad sobą

tak jak zwykle, wyrwało mu się: - Na moją duszę, jeżeli ją posiadam!

Przeraził się, ale wydało mu się, że Ludwik tych słów nie usłyszał. Ludwik wziął do ręki szkice pana Pourrat, przerzucił je machinalnie, potem odłożył z powrotem, nie zwracając uwagi na bezbożne słowa swego mentora.

Maurepas uspokoił się, miał wrażenie, że w dostatecznie jasnym świetle przedstawił występłą lekkomyślność Austriaczki. Poprosił, by król pozwolił mu się oddalić. Odszedł, by zająć się swoją podagrą.

Tymczasem Ludwik doskonale słyszał końcowe słowa swego zirytowanego mentora. Wiedział od dawna, że jego doradca nie jest w zgodzie z religią. Powinien go przepędzić, ale nie ma na jego miejsce lepszego. Gapił się ponuro przed siebie. Po jakimś czasie znowu ogarnęła go wściekłość na Toinette. Pomówi z nią zaraz, dopóki wściekłość trwa.

Zanim jednak dotarł do drzwi, zobaczył w wyobraźni stojącą przed nim Toinette; będzie go słuchała z gniewnym obliczem, nie rozumiejąc, czego właściwie od niej chce. Jedno było pewne: nie ustąpi. Miała mocną wolę, miała ów habsburski zaciekły upór, którego nie cierpiał, a który jednocześnie podziwiał.

Nie miałoby sensu, gdyby poszedł do niej nie przygotowany. Musi przede wszystkim zastanowić się dokładnie, jakie argumenty na nią podziałają i w jakiej kolejności winien je wysunąć. Mądrzej będzie odłożyć rozmowę do jutra. Dziś, jak to sobie postanowił, pojedzie na polowanie, a później trochę poczyta i pomyśli.

Hrabia Mercy i ksiądz Vermond zażądali od Toinette natychmiastowej audiencji w sposób równie gwałtowny, jak uczynił to Maurepas w stosunku do króla. Rzadko się zdarzało, by obydwaj przedstawiciele Habsburgów zjawiali się u Toinette równocześnie. Wiedziała oczywiście, dlaczego

przychodzą, oczekiwała ich, była przygotowana na tę rozmowę.

W pierwszej chwili po zetknięciu się z Franklinem odczuwała lekkie niezadowolenie. Ale ten niedobry nastrój rozwiął się prędko wśród pochwał Klaniku Liliowego Bzu, który burzliwie manifestował uznanie dla jej odwagi. Teraz była przekonana nie tylko, że miała rację, ale że dokonała wielkiego czynu.

Obydwaj panowie zjawili się z ponurymi minami. Księdzu Vermond nietrudno było zdobyć się na zasepiony wyraz twarzy, walnie pomagały mu w tym ogromne pożółkłe kły. Większe kłopoty miał pod tym względem pogodny na ogół Mercy; Toinette obserwowała z cichą satysfakcją, ile go to kosztuje trudu.

Mimo poważnej miny Mercy zaczął rozmowę od rzeczy przyjemnych. Toinette zajmowała się w owym czasie bardzo gorliwie przebudową Trianon; powiedziała mu kiedyś, że chciałyby zawiesić w swej sypialni parę obrazów, które przypomina sobie z Schönbrunnu, a przedstawiających sceny z jej dzieciństwa. Mercy zrozumiał, o co chodzi, i napisał do Wiednia. Teraz wręczył królowej list Marii Teresy z wiadomością, że w najbliższym czasie wysłane zostaną dwa malowidła. Toinette szczerze ucieszona podziękowała serdecznie.

Po chwili ambasador Mercy zaczął mówić o zabawie w Gennevilliers. Zdarzył się tam, rozpoczął, niemiły incydent, o którym krążą liczne, prawdopodobnie przesadne plotki. Toinette przybrała pełen pychy, wrogi wyraz twarzy.

Zanim jednak zdążyła mu odpowiedzieć, ksiądz Vermond otworzył olbrzymie, dziwnie brzydkie usta i oświadczył:

- Naprawdę nie wiemy, madame, jak o tym niewiarogodnym wydarzeniu zraportować ich cesarskim gościom w Wiedniu.

Toinette, oburzona tak bezwzględną naganą, podniosła brwi jeszcze wyżej. Ale od razu wmieszał się Mercy.

- Czy madame wyświadczyłaby nam tę łaskę i zechciała opisać cały incydent?

Toinette - przyswoiła to sobie w ostatnich czasach - zaczęła lekko kiwać pantofelkiem, wychylającym się spod szerokiej spódnicy.

- Incydent? - zapytała. - Jaki incydent? Pytam poważnie, moi panowie, o czym wy właściwie mówicie? Czy macie na myśli małą zabawę u mego intendenta markiza Vaudreuil? - Ponieważ żaden z nich nie odpowiedział, a tylko twarz księdza stała się jeszcze surowsza i bardziej ponura, Toinette ze słodyczą, ale i z odrobiną drwiny w głosie mówiła dalej: - Panowie mają na myśli, że nie zdradzając incognita, w niebieskiej masce, trochę pogawędziłam z doktorem Franklinem? Wątpię, czy wie dzisiaj, z kim rozmawiał. Wczoraj nie wiedział na pewno. - Ponieważ w dalszym ciągu spoglądali w milczeniu na siebie, ciągnęła dalej: - O ile mi wiadomo, nawet brat mój, cesarz rzymski, zamierzał spotkać się z doktorem. Bez maski, moi panowie. Ustalił to spotkanie, na które się niestety nie stawił, bo nawet i on nie zawsze może być punktualny. Więc chyba mnie wolno porozmawiać ze starym, miłym panem, którego spotkałam na zabawie maskowej. Nawiasem mówiąc, bez trudu dałam z nim sobie radę. Gdybym nie wiedziała, kim jest; nigdy nie dopatryłabym się buntownika w tym jowialnym, sypiącym anegdotkami gawędziarzu. I panu nie wpadłoby to do głowy - powiedziała do ambasadora Mercy - księdzu także nie - dodała ostrzejszym tonem zwracając się do Vermonda.

Mercy uważał, że Toinette wygląda dziś wyjątkowo ładnie i wdzięcznie i że właściwie istnieje tylko jeden środek, by tę równie piękną jak niemądrą kobietę sprowadzić na dobrą drogę: mianowicie należałoby postarać się dla niej o

rozsądnego kochanka, który by ze swej strony pozwolił sobą kierować. Ksiądz natomiast myślał z gniewem i ze smutkiem o tym, że jego długoletnie wysiłki i panowanie nad sobą poszły na marne. Nic nie osiągnął. Jemu przypiszą winę, że ta kobieta wskutek pychy i lekkomyślności, zamiast korzyści, przysparza Habsburgom samych kłopotów. Rozmyślał również nad tym, że jej bezwstyd i lekkomyślność upoważniają go do powiedzenia paru mocnych słów. Nie zważając więc na jej niedorzeczną paplaninę, przypomniał surowo:

- Przyrzekła mi pani, madame, być rozsądną, jeżeli nie będę się wtrącał do jej rozrywek. Przyzna pani, że przyjemnościom tym przyglądałem się wprawdzie ze smutkiem, ale bez słowa nagany. A było tych przyjemności niemało - rzucił przez straszliwie żółte zęby.

Obydwaj panowie ustalili między sobą, że gdyby ksiądz uderzył w ton zbyt gwałtowny, wówczas wmiesza się Mercy. Uczynił to też co prędzej.

- Ksiądz nie ma zamiaru, madame - powiedział szybko i pojednawczo - czynić pani zarzutów. Tak samo jak i ja, ma jedynie na względzie troskę i smutek, jaki wiadomość o incydencie wywołać musi w Schönbrunnie. - Ponieważ Toinette siedziała w dalszym ciągu z wyniosłą miną, kiwając lekko pantofelkiem, dodał pouczająco: - Właśnie dlatego, że cesarz zaznaczył, iż chce umknąć spotkania z buntownikiem, życzliwe słowa pani na temat zasad głoszonych przez Franklina będą tłumaczone jako zmiana w polityce habsbursko-burbońskiej.

- Życzliwe słowa na temat jego zasad? Czyje słowa? Moje? - oburzyła się Toinette. - Kto ośmiela się twierdzić coś podobnego?

- Każdy - rzucił brutalnie ksiądz.

- I ksiądz temu wierzy - mówiła z gniewem Toinette. - Ksiądz naprawdę wierzy, że zdradziłam Habsburgów dla buntownika?
- Niechaj madame raczy łaskawie nie odbiegać od tematu - upominał ją ksiądz. - Wypowiedziała pani słowa, które buntownicy mogą interpretować w sensie dla siebie korzystnym. Oto, co zasmuca i hrabiego, i mnie.

Mercy zaś dodał:

- Wiemy, że jej cesarska wysokość, matka pani, ma ciężkie troski. Boli nas, że będziemy zmuszeni jeszcze bardziej ją zasmucić, a nastąpi to nawet wtedy, jeżeli pošlemy do Wiednia raport jak najbardziej złagodzony. Prosimy madame pokornie o wzięcie tego pod rozwagę.

Na twarzy Toinette pojawił się wyraz zamyślenia; zdawało się przez chwilę, że się rozpłacze.

- Wiem, moi panowie - powiedziała - że jesteście szczerze oddani domowi Habsburgów. - Po tych słowach wróciła do dawnego tonu, ciągnąc dalej: - Nie mogę sobie jednak wyobrazić, by słowa moje mogły mieć aż tak zgubne następstwa. Dopóki mi panowie tych następstw nie udowodnią, musicie pozwolić, bym uważała, że mam całkowitą rację.

Ambasador i ksiądz nie mieli już nic do powiedzenia i oddalili się. Mercy nie spodziewał się niczego innego, ale ksiądz był zawiedziony. Toinette zostawszy sama przez chwilę patrzyła martwo przed siebie. Myślała o brutalnych, szyderczych pouczeniach, których jej nie oszczędzi Józef, i złościła się.

Potem wzięła do ręki list matki i otworzyła go.

„Mercy - pisała Maria Teresa - poinformował mnie o Twoim życzeniu otrzymania obrazów z dzieciństwa, które by Ci przypominały pobyt w Schönbrunnie. Poinformował mnie również, jakie mają być ich rozmiary, gdzie mają wisieć i w jakim oświetleniu. Cieszę się serdecznie, Najdroższa, że będę mogła sprawić Ci tę przyjemność, postaram się, byś nie

czekała siedem lat, jak ja z tęsknotą czekam na Twój portret. Nie jestem zawzięta i skoro tylko ujrzę na płótnie Twoje drogie rysy, zapomnę o tych siedmiu latach czekania".

Na myśl o starej matce ogarnął Toinette smutek. Duplessis otrzymał w swoim czasie polecenie sportretowania jej dla Marii Teresy i wszyscy uważali, że namalował ją dobrze i wiernie. Obraz nie spodobał się jednak matce, a Toinette nie miała już czasu ani ochoty pozować po raz drugi i mimo iż Mercy przypominał, zaniedbała całą sprawę. Skoro mamie na tym zależy, da się jeszcze raz malować. W każdym razie było wzruszające, że mama bez zwłoki przysłała jej te obrazy, pamięta, że stawała często przed tymi malowidłami, na których jako dziesięcioletni brzdąc tańczyła i bawiła się z rodzeństwem; kiedy dorosła, często porównywała się z Marią Antoniną w płótnie. Była ciekawa, które obrazy mama wybrała i czy teraz będą na nią działać równie silnie jak dawniej. Tak ją to pochłonęło, że niemiłe myśli ulotniły się.

Opowiedziała swoim najbliższym o upomnieniach Austriaków. Vaudreuil i Polignacowie wybuchnęli śmiechem. Przedstawiciele Józefa są oczywiście wściekli, że Toinette zdobyła się na rozmowę z Franklinem, do której Józefowi zabrakło odwagi.

Toinette uśmiechnęła się. Wyobraziła sobie, jak to będzie, kiedy się zjawi Ludwik, brzmiały jej już w uszach trafne, starannie wyszlifowane odpowiedzi, którymi się zasłoni.

Mimo to zastanawiała się, czy jednak nie będzie lepiej zmienić nieco program na 23 sierpnia. Obok innych uroczystości przewidziane było na ten dzień oficjalne otwarcie nowo zbudowanego teatru w Trianon; na pierwszy ogień miał pójść Cyrulik sewilski pana de Beaumarchais. Fakt, że Ludwik, który nie lubił ani sztuki, ani jej autora, będzie się trochę złościł, był ową szczyptą pieprzu dodającą zabawie pikanterii. Teraz, po spotkaniu z Franklinem, opadły Toinette

wątpliwości. Pytała sama siebie, czy należy w oznaczonym dniu zagrać Cyrulika.

Rzuciła to pytanie od niechcienia, pół żartem, nie stawiając go jako problemu. Mimo to twarz markiza zasepiła się straszliwie. Nie bez powodu zaproponował wystawienie Cyrulika. Nie tylko nie chciał rozpocząć funkcji intendenta, którą obejmował oficjalnie 23 sierpnia, czymś banalnym, ale wierzył, że skoro przy takiej okazji zagra przed królem Cyrulika, o wiele łatwiej mu będzie przeforsować wystawienie Figara. Odparł więc ostro, że aktorzy wiedzą już o projekcie wystawienia Cyrulika. Zarówno Toinette, jak i on ośmieszyliby się, gdyby teraz stchórzyli. Toinette ustąpiła bez oporu.

Natomiast Vaudreuil nie ustąpił tak łatwo.

- Właśnie teraz - mówił - chodzi o to, by Toinette nie cofnęła się nawet o cal. Przeciwnie, powinna atakować. Jeżeli tego nie zrobi, cała jej odważna postawa wobec Franklina pozostanie grą i pustym gestem. Jeżeli natomiast do pierwszego śmiałego postępu dorzuci w krótkim czasie drugi, wtedy spotkanie z Franklinem będzie wyglądało jak świadomy wstęp do samodzielnej polityki.

To się spodobało Toinette. Zasmakowała w polityce. Józef miał rację: taka zabawa jest bardziej podniecająca od gry w faraona. Z zapałem przyznała rację Francois i zapewniła go, że odtąd będzie uprawiać celową i świadomą politykę.

- Kto ma prowadzić świadomą politykę? My? – szydził w swój prostacki sposób Polignac. - To tamci robią politykę, te lisy, ci nasi przeciwnicy: Maurepas, Vergennes, Necker. Ci się ruszają. Ci wytrącają nam broń z ręki. Ale my? - Ponieważ reszta klanu z uśmiechem słuchała tego nieoczekiwanego wybuchu, ciągnął dalej: - Ileśmy się napiorunowali przeciw temu Saint-Germainowi. Gadaliśmy, a on działał. Teraz tamci, ta hołota, te żaby, dostają mundury. Mianuje się ich

pułkownikami i generałami, a my siedzimy goli jak tureccy święci i bez poborów.

Wszyscy byli zdziwieni. Juliusz Polignac nigdy jeszcze nie wypowiedział tak długiej tyrady.

- Dobre to były czasy - przypomniała sobie marzycielsko Gabriela - kiedyśmy przepędzili Turgota.

Toinette siedziała zamyślona, nazwisko Saint-Germain padło we właściwej chwili. Przypomniała sobie, ile ten człowiek zrobił złego jej przyjaciołom. Przypomniała sobie również mocne postanowienie, jakie powzięła podczas obiadu rodzinnego z udziałem Józefa, by unieszkodliwić hardego, wstrętnego starucha.

Na małych jej ustach o wydatnej dolnej wardze pojawił się uśmiech - ładny, zły, świadczący, że powzięła decyzję. Znalazła odpowiednie pole działania. Niech teraz przyjdzie Ludwik, niech zacznie biadać, że skierowała do miłego doktora Franklina parę przyjaznych słów. Udowodni mu, że był to tylko pierwszy krok na dalekiej drodze.

Następnego ranka Toinette oglądała w „małej sali przyjęć” ostateczny model nowego Trianon. Musiano wynieść część urządzenia, by zrobić miejsce dla modelu. Toinette otaczali panowie odpowiedzialni za przebudowę zamku i nowe ogrody. Byli tu architekci Mique i Antoine Richard. Był malarz Hubert Robert, który przez drobne, kunsztowne zmiany, dokonane w budynkach na terenie Trianon, stworzył pozory, że są pełne prostoty i od dawna zamieszkane. Byli mistrzowie sztuki ogrodniczej Bonnefoy du Plan i Morel. Był przede wszystkim markiz de Caramand, dyletant, który w swej posiadłości przy ulicy Saint-Dominique założył najpiękniejszy ogród Paryża; wedle tego wzoru Toinette urządziła park w Trianon.

Toinette stała przed modelem. Był to osiemnasty z kolei, ale już ostatni. Wykonanie cechowała ogromna staranność i zręczność. Jezioro i źródło zrobione były z tafli lustrzanej, łąki i krzewy z mchu, budynki z gipsu i drzewa. Można było wyobrazić sobie każdy szczegół.

Toinette porównywała gorliwie szkice, rysunki i kolorowe plansze. Teraz osiągnęła swój cel. Wszystko było tak, jak sobie wymarzyła: szczyt prostoty i szczyt artyzmu. Piękna, blada jej twarz promieniała dziecinną radością. Często ludzie zajęci przy budowie Trianon przeklinali swoją pracę; kiedy Toinette wciąż jeszcze niezadowolona żądała coraz to nowych zmian, nieraz brała ich chętką rzucić wysoko płatne stanowiska. Teraz w obliczu skończonego modelu zobaczyli, że trud ich i gniew nie poszły na marne. Toinette miała od początku wyraźny, dokładny obraz tego, czego chciała. Dzieło było udane.

- Wspaniale to panowie zrobili - powiedziała - nasze Trianon będzie chlubą Francji. Dziękuję panom. I winszuję sobie i wam. - Spojrzała na wszystkich promiennym, uszczęśliwionym wzrokiem. - A więc mogę liczyć - dorzuciła od niechcienia - że wszystko będzie gotowe na dwudziestego trzeciego.

Panowie spojrzeli na siebie, na Toinette, wreszcie na głównego architekta, Mique.

- Dwudziestego trzeciego, madame - oświadczył wreszcie architekt - będzie można zamieszkać w domu i spacerować po parku. Ale Trianon nie będzie jeszcze takie, jakie pragnęlibyśmy pokazać gościom madame.

Toinette uniosła brwi.

- Pan mi przecież obiecał - powiedziała z oburzeniem.

- Madame - odparł architekt - jest pani dla nas nie tylko królową Francji, ale również i bardzo ukochaną i podziwianą koleżanką. Wszystko, co w ludzkiej mocy, zostało zrobione i

będzie robione nadal. Sprawa ukończenia Trianon nie jest jednak tylko kwestią naszego wysiłku i naszej sztuki, lecz niestety i kwestią pieniędzy.

Morel, architekt, który projektował ogrody, dodał:

- Liczyliśmy bardzo dokładnie, madame, ale ciężko było skłonić pana d'Angivillers do przekazania potrzebnych kwot. Jest rzeczą pewną, że dalszych kredytów już nie przyzna.

Ludwik, choć Toinette o to nie prosiła, zapłacił nowe poważne długi zaciągnięte przez nią, wydawało się jej jednak wątpliwe, czy po incydencie z Franklinem będzie nadal do tego skłonny. Ale była dumna ze swego Trianon, cieszyła się, że pokaże przyjaciołom, jak to zrobiła; lepszej okazji aniżeli ten 23 sierpnia nie znajdzie.

- Postanowiłam - powiedziała bagatelizująco i bardzo wyniośle - uczcić dzień urodzin królewskich w moim Trianon. Nie mam zamiaru psuć uroczystości królowi i sobie po to, żeby intendent gmachów królewskich zaoszczędził parę liwrów. Pomówię z panem d'Angivillers. Ale dosyć o tych drobiazgach, wróćmy do roboty. - Po tych słowach zaczęła ze znanstwem i wielką uprzejmością omawiać z każdym z panów po kolei szczegóły dotyczące zakresu jego pracy.

Nagle otworzyły się gwałtownie drzwi. Staął w nich Ludwik. Jego tłusta twarz była zła, zacietrzewiona.

Udało mu się przez noc utrzymać w stanie wrzenia. Idąc podziemnym przejściem wiodącym do apartamentów Toinette, raz jeszcze przebiegł myślą wszystkie powody, które uprawniały go do furii. Czyż nie miał prawa przypuszczać, że Toinette, odkąd została prawdziwą kobietą, będzie mniej dziecinna, bardziej świadoma swych obowiązków? Przebaczył jej tyle wybryków, czyż nie powinna więc była unikać lekkomyślnych postępów w rodzaju ostatniego, graniczącego ze zbrodnią. Pełen takich gniewnych myśli dał znak damie

dworu, która go chciała zameldować, że to niepotrzebne, i z zamiarem zaskoczenia winnej wpadł na konferencję Toinette. Istotnie, zaskoczył ją. Nie oczekiwała go, cała pochłonięta myślami o Trianon i uroczystościach urodzinowych. „Tym lepiej” - pomyślała. To, że wlaź tak niezgrabnie właśnie podczas omawiania uroczystości ku jego czci, zwiększa tylko jej przewagę.

Ze zdziwionym nieco uśmiechem oświadczyła, że jest zawsze rada, kiedy go widzi. Może zechciałby jednak powiedzieć, czy to, co jej ma do zakomunikowania, jest takie pilne. Pochłaniają ją bowiem całkowicie pewne sprawy, które będą dlań chyba miłą niespodzianką.

Panowie powitali Ludwika głębokimi ukłonami; teraz podpierali z respektem ściany uśmiechając się w skrytości ducha.

Ludwik, sztywny, ponury, odrzekł:

- Tak, madame, to, co mam pani powiedzieć, uważam za rzecz ważną.

Toinette spojrzała dokoła, na Ludwika, na model i znowu na Ludwika. Wreszcie powiedziała:

- Sire, sprawa niespodzianki, którą panowie ci wraz ze mną dla pana przygotowują, wymaga całego naszego czasu i niczym nie zmaćonej uwagi. Jeżeli więc wiadomość nie jest bardzo ważna... - zaakcentowała słowo „bardzo” i nie kończąc zdania spojrzała mu w oczy z uprzejmą miną.

Ludwik powtórzył gniewnie, z uporem:

- Bardzo ważna, madame.

Toinette wzruszyła ramionami, panowie zaczęli gotować się do wyjścia.

- Tylko, panowie - powiedziała Toinette zatrzymując ich ruchem ręki - proszę jeszcze nie odchodzić i zaczekać.

Mam nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo. Panowie skłonili się raz jeszcze i wyszli. Ludwik skierował na nią szeroko

rozstawione ciemne oczy i z trudem, chwytając oddech, powiedział:

- A więc, a więc to już przecież...

- Jakie „a więc”? Co znaczy „to już przecież”? - zapytała Toinette, lekko kiwając nogą.

- Co pani zrobiła? - wybuchnął wreszcie.

- Co zrobiłam? - powtórzyła pytanie małpując go. Wdałam się w rozmowę z wielkim uczonym, zamieniłam z nim parę zdań na tematy obojętne, jak z tysiącem innych ludzi.

Ten zaciekły upór wywołał u Ludwika przyptyw nowej pasji. - Niech pani mówi prawdę! - zaskrzeczał. - Niech pani sobie nie wyobraża, że można mnie oszukać. Mam dokładny raport. Pani rozmawiała z nim o jego polityce, pani ją pochwalała.

- Proszę się nie unosić, sire - powiedziała Toinette wyniośle. - Nagadano panu głupstw. Rozmawiałam z doktorem Franklinem o muzyce. Powiedziałam mu, że w jego słowach jest muzyka. Tak było.

Ludwik poczuł się bezsilny wobec takiego braku logiki. Wściekłość jego zaczęła się rozwiewać. Usiadł. Masa tłustego cielska kontrastowała z filigranowym, pozłacanym krzesłem.

- Czy nigdy nie zrozumiesz, madame - powiedział smutno - że nie jesteś już dzieckiem? Nie wolno pani pozwalać sobie na każdy kaprys, jest pani...

- Wiem - powiedziała drwiąco - jestem królową. Czuła niemal litość dla tego biedaka, który tkwił tu przed nią z ponurą miną, przekonany, że zrobiła mu krzywdę. Podeszła do niego, dotknęła jego ramienia i powiedziała z prośbą w głosie:

- Bądźże rozsądny, Ludwiku. Proszę, obejrzyj ze mną moje Trianon. - To mówiąc zaprowadziła go przed model.

Miał zrozumienie dla sprawności technicznej, nie mógł nie zainteresować się kunsztem i starannością, z jaką misterna i miniaturowa zabawka została sporządzona.

- Czy nie cudowne? - zapytała Toinette.

- Z pewnością, madame - odparł - to wyjątkowo piękne.

To powiedziawszy zaczął grubymi palcami dotykać ostrożnie niektórych szczegółów. Nie chciał jednak odejść od tematu. - Proszę mi choć przyrzec - wrócił do rzeczy - że na przyszłość będzie pani unikała podobnych głupstw.

Wzruszyła ramionami, odsunęła się od niego, siadła na kanapie, zaczęła kiwać nogą.

- Niechże pani zrozumie, madame - nalegał dalej Ludwik - że ludzie ci są zaprzysiężonymi wrogami monarchii. Twierdzi pani, że to człowiek nieszkodliwy, uczony, że jest w nim muzyka; tym gorzej. - Wpadł na nowo w furję. - Człowiek ten - skrzeczał falsetem - pasożytuje tu u nas. Zagnieździł się, nie ma gorszego szkodnika. Jest naszym najzacieklejszym wrogiem, pani i moim. Nie król angielski, o nie, lecz on, on! Z kuzynem naszym w Saint-James możemy się porozumieć, z tym buntownikiem nigdy!

Toinette patrzyła, jak Ludwik miota się w bezsilnym gniewie. Litość jej pierzchła, odczuwała tylko pogardę.

List napisany wówczas do matki, że jest teraz naprawdę królową i urodzi mu dziedzica, który na wieki złączy Burbonów z Habsburgami, okazał się przedwczesną przechwałką; nawet po operacji Ludwik nie był zdolny splodzić delfina, jak miała prawo oczekiwać. Najwyższy czas wmieszać się do polityki.

- Uważam stanowisko pana w sprawie amerykańskiej za zasadniczo fałszywe - pouczała go. Zaczęła przytaczać wszystko, co jej pozostało w pamięci z rozmów z członkami Klaniku Liliowego Bzu. - Oczywiście będziemy na razie neutralni - ciągnęła mentorskim tonem - nie możemy inaczej. Oczywiście nie będziemy ujawniać naszych sympatii dla rebeliantów, ale ostatecznie osłabianie Anglii leży w naszym najistotniejszym interesie. Nie posiadamy się z oburzenia, że Anglicy jeszcze siedzą w Dunkierce. Czy nie ma pan krwi w

żyłach, sire? Ilekroć o tym myślę, nie mogę zasnąć, naprawdę powinien mnie pan więcej słuchać.

Ludwik był zaskoczony. Trudno odpowiadać na taki stek nielogiczności.

- Czy pani w ogóle wie, gdzie ta Dunkierka leży? - zapytał. I zanim zdążyła odpowiedzieć, ciągnął dalej: - Nie było dotychczas w zwyczaju, by królowa Francji wtrącała się do spraw państwowych. - Czuł się obrażony, bronił się z przekonaniem. - Proszę mi wierzyć – mówił - że wiem, co robię. Rozważam to wszechstronnie z moimi ministrami i z sobą samym, zagłębiając się w książkach, rozmawiam o tym z Bogiem.

Toinette nie dała się wziąć na to.

- Skoro już nasza polityka oficjalna musi pozostać neutralna - pouczała go w dalszym ciągu - to winniśmy przynajmniej okazywać Amerykanom przychyłność czysto ludzką, tak jak ja to uczyniłam.

Ludwik próbował dalej wytłumaczyć jej swoją politykę. Ani on, ani król Jerzy nie chcą wojny, ale narody są rozdrażnione, podburzane przez ludzi bez czci i wiary. W grę wchodzi sprawy prestiżowe. O ile się nie zachowa ostrożności, może w ciągu jednej nocy wybuchnąć konflikt, z którego nie będzie wyjścia.

- Anglia - wywodził - nie chce wojny, bo ma pełne ręce roboty ze zbuntowanymi koloniami. Ale i my jej nie chcemy. Nie pozwalają na nią nasze finanse, nie pozwala nasze niedostateczne uzbrojenie.

Wyłowiała z jego cierpliwych logicznych wywodów słowo, które było po jej myśli.

- Czyjaż to wina - zawołała - że nie jesteśmy uzbrojeni? Wyłącznie pańskiego ministra wojny. Tyle mi pan naopowiadał o reformach tego upartego starego osła. Reformy te sprawiły moim przyjaciółom moc nieprzyjemności, ja sama

wściekałam się z powodu nich, a teraz przychodzi pan, sire, i oświadcza: nie jesteśmy uzbrojeni. A więc pomimo wszystkich reform, dla których ten człowiek żądał od kraju i od nas tylu ofiar, nie doprowadził nawet do tego, żebyśmy mogli myśleć ze spokojem o ewentualnej wojnie. Czy nic uważa pan, sire, że wniosek może być tylko jeden: usunąć, przepędzić tego człowieka!

Ludwik wyprostował się na krzeselku. Tłusta jego twarz miała wyraz srogi i ponury. Toinotte zrozumiała, że posunęła się za daleko.

- Takie jest moje zdanie - powiedziała szybko - ale może nie dość dokładnie znam tę sprawę.

Ludwik, ciągle jeszcze gniewny, mówił dalej:

- Zbroić armię do wojny z Anglią to nie dziecinna zabawka, madame. To co innego niż zbudować zamek Bagatelle lub choćby Trianon. - Stwierdził z radością, że dobrze wymierzył uderzenie. - Z armią amerykańską nie ma wielkich kłopotów - ciągnął dalej. - Jest to właściwie niezdyscyplinowana milicja, a w dodatku kiepsko wyekwipowana. Na wypadek wojny z Anglią musielibyśmy ją prowadzić sami. Byłaby to wojna, która tylko częściowo rozgrywałaby się w Europie, trzeba byłoby prowadzić ją również w dalekich krajach. Anglicy mają w Ameryce wojsko i składy, rozporządzają flotą zdolną do przewożenia wielkich wojskowych jednostek. A my, niechaj pani to sobie uświadomi, madame, musielibyśmy wszystko, naszych żołnierzy i całe zaopatrzenie, transportować przez niebezpieczne morze, opanowane przez potężnego wroga. Czy mam dać się lekkomyślnie wpędzić w tę wojnę? Nie, tego nie uczynię, madame. Nigdy. Nie pozwolę nikomu, nawet pani, popychać mnie na tę drogę.

Toinette, która sprawę usunięcia Saint-Germaina musiała odłożyć do bardziej sprzyjającej chwili, postanowiła wymóc na Ludwiku inne ustępstwa.

- Traktuje mnie pan, sire, jak małe dziecko, któremu wszystko można wytłumaczyć - powiedziała nadąsana — ale ja mam lepsze informacje, niż się panu wydaje. Armia amerykańska nie jest tak mało warta, jak by się zdawało. Buntownicy są odważni i osiągnęli zwycięstwo, nie pamiętam nazw bitew, ale wiem, że je odnieśli.

- Tak, do pewnego stopnia - potwierdził Ludwik rzeczowo - pod Trenton i Princeton. Nie były to jednak bitwy, lecz potyczki, utarczki. Zresztą to należy już do przeszłości. Mamy wiarygodne raporty, że od tego czasu sytuacja wojsk generała Waszyngtona pogorszyła się. Gdybyśmy nie udzielali Amerykanom tajemnej pomocy, załamałoby się w ciągu kilku godzin.

Toinette doprowadziła do tego, co chciała. Wyrwie mu teraz koncesję, i to niemałą, będzie mogła przechwalać się przed swoimi przyjaciółmi zwycięstwem o wiele większym niż usunięcie Saint-Germaina. Sterując ostrożnie do celu, zapytała:

- A więc dlatego, że sytuacja militarna buntowników jest taka kiepska, waha się pan, czy wykorzystać słabość Anglii?

- Tak - odparł Ludwik ociągając się - to jedna z głównych przyczyn.

Toinette postanowiła zadać teraz decydujący cios.

- Powiem ci coś, Ludwiku - zaproponowała. - Przrzekam, że w przyszłości będę okazywała zbuntowanym koloniom tę samą neutralność, co ty i Józef razem wzięci. W zamian musisz przrzec jedno: gdyby sytuacja się zmieniła, gdyby Amerykanie odnieśli sukcesy militarne, zawrzesz z nimi sojusz i pójdziesz przeciw Anglii.

Ludwik siedział spocony, nieswój.

- Muszę się nad tym zastanowić - powiedział. - Ta propozycja mnie zaskakuje.

Ale Toinette, zwycięska, gniewna, nie ustępowała.

- Powiedziałaś przed chwilą - napierała - że jedynie zła sytuacja militarna Amerykanów stoi na przeszkodzie okazaniu im otwarcie pomocy, a teraz znowu się cofasz, sire.
- Ależ nie - odrzekł nieszczęsny Ludwik. - To tylko ty nie chcesz zrozumieć, Toinette...
- Rozumiem tyle, że nie chcesz dotrzymać słowa.
- Gdyby Amerykanie - wykrztusił Ludwik - odnieśli istotne sukcesy militarne, oczywiście zmieniliby to niejedno.
- Czy to znaczy, że wtedy zawarłbyś z nimi sojusz?
- No tak - wykrztusił Ludwik - wtedy tak.
- A więc postanowione, sire - powiedziała mu na zakończenie Toinette. - Teraz, kiedy załatwiliśmy sprawy polityczne, możemy ze spokojem przyjrzeć się memu modelowi.

23 sierpnia był dniem upalnym. Nieliczni goście, którzy obchodzili w Trianon urodziny Ludwika, ciężko w duchu westchnęli, kiedy Toinette zaproponowała obejrzenie parku. Wkrótce jednak, urzeczeni pięknem ogrodu, zapomnieli o trudach wędrówki i doskwierającym słońcu. Nie było tu nic z geometrycznej sztywności ogrodów wersalskich, z ich przepychu, który coraz bardziej wychodził z mody. Z artystycznym smakiem stworzono ową naturę, którą ci dworacy nauczyli się kochać poprzez swego Rousseau. Byli teraz porwani i pełni entuzjazmu.

Toinette w skromnej białej płóciennej sukience oprowadzała gości. Swym czarującym lekkim krokiem biegała, fruwała po alejach, spod kapelusza z florenckiej słomki wymykały się precudne popielatoblond włosy, z delikatnych koronek wyłaniały się w swej olśniewającej bieli szyja, kark i ramiona. Otoczona orszakiem architektów i artystów, z entuzjazmem demonstrowała swe dzieło. Z nie udawaną dziecinną radością wskazywała gościom, co jej się wydawało najpiękniejsze, domagała się od fachowców, by tłumaczyli każdy szczegół. W

parku było osiemset gatunków drzew i krzewów, sprowadzonych ze wszystkich zakątków świata. Były tu czerwone buki z Niemiec, cyprysy z Krety, szlachetne jodły z Armenii, drzewa laurowe z Pirenejów i drzewa wiśniowe z Chin, taxodium z Luizjany, robinie z Wirginii, których nigdy dotychczas nie hodowano we Francji. Dwieście trzydzieści dziewięć różnych drzew i krzewów, objaśniał botanik Morel, przysłała Ameryka Północna. Toinette głaskała długimi, delikatnymi rękami cedry z Libanu, z dumą zwracała księciu Karolowi uwagę, o ile piękniejsze są jej tuberozy od tych, które książe hoduje u siebie w Bagatelle.

Ironicznie, żadnemu drwin towarzystwu udzieliła się promienna, naiwna radość Toinette. Książe Karol zapomniał jakoś o swej bucie. Opasły, zgorzkniały książe Ksawery wyzbył się na ten dzień zwykłej złośliwości, Vaudreuil nieposkromionej pychy. Najbardziej zadowolony był Ludwik. Tak, to Trianon wspaniale się udało. Czymże są inne ogrody, parki Horacego Walpole, księcia de Ligne, księcia Orleanu wobec tego arcydzieła, które stworzyła jego piękna małżonka? Cieszył się, że inni są niezawodnie tego samego zdania. Uważał, że jest w tym również odrobina jego zasługi - bo któż za to płacił?

Toinette była szczególnie dumna ze swej oranżerii. Obliczała triumfująco, ile jej przyniesie dochodu. Sama sprzedaż kwiatu pomarańczowego przynosić będzie trzysta do czterystu liwrów, w dobrych latach do tysiąca.

Ludwik zaczął się zastanawiać.

- Naprawdę, najdroższa? - zapytał z powątpiewaniem.

- Ależ oczywiście - odparła Toinette. - Wynika to z obliczeń. Czy nie tak, mój panie? - zwróciła się do d'Angivillersa.

Odpowiedział czołobitnie:

- Niezupełnie, madame. - A po chwili, porozumiewszy się półgłosem z jednym z urzędników, dodał: - Liczymy się z

dochodem piętnastu liwrów, który, w dobrych latach może wzrosnąć do czterdziestu.

- To w każdym razie lepiej niż nic – odpowiedział Ludwik dobrodusznie i postanowił sobie z wystawy i aukcji swej sewrskiej porcelany wyciągnąć co najmniej trzysta pięćdziesiąt tysięcy.

Podziwiano, jak naturalnie i uroczo płynie strumyk, do którego wodę trzeba było sprowadzać z daleka przy pomocy długich rur. Szemrzący radośnie strumyk wpływał do sztucznego jeziora, pośrodku którego wznosiła się sztuczna wyspa; łabędzie wyciągały i zanurzały w wodzie szyje. Na przeciwległym brzegu widać było zarys gór, sztuczne skały i sztuczny mech.

- Wszystko wygląda tak — powiedział z uznaniem książę Karol - jakby tu stało od czasów Faraona IV.

Ludwik przytaknął:

- Istotnie czuję się tu związany z naturą tak jak na polowaniu.

Na małej przestrzeni zmieszczono zdumiewająco wiele. Mosty i małe świątynie, pawilony i grotty, nie mówiąc już o skłaniających do marzeń romantycznych ruinach, które z wielkim smakiem zaprojektował malarz Hubert Robert.

- W przyszłości będzie się pana nazywało malarzem ruin - odezwał się z uznaniem Vaudreuil.

Artysta, któremu to pochlebiło, skłonił się głęboko.

Towarzystwo podeszło do pawilonu chińskiego. I tu wszystko zostało gruntownie odnowione. Kręciła się poruszana niewidocznym mechanizmem karuzela. Rzeźbiarz Bocciardi zaprojektował drewniane smoki i pawie. Toinette wskoczyła na jedną z figur - wyglądała na swym smoku uroczo i wdzięcznie. Reszta poszła za jej przykładem. Przy dźwiękach delikatnej, jakby srebrzystej muzyki karuzela zaczęła się kręcić. Ludwik, zadowolony, spocony, dosiadł jakiegoś pawia,

a gdy paw załamał się pod nim, wybuchnął grzmiącym śmiechem.

Vaudreuil stał w śmiałej, karkołomnej pozie obok Toinette trzymając się nogą i ręką sznura. Był mistrzem we wszystkich dziedzinach sportu; zwłaszcza w jeu de paume (Jeu de paume - ulubiony sport szlachty francuskiej, polegający na odrzuceniu piłki rakieta lub drażkiem w zamkniętym pomieszczeniu. Jest to prototyp późniejszego tenisa) nikt mu w Paryżu nie dorównywał. Z narażeniem życia wirując wraz ze smokiem, na którym siedziała Toinette, szeptał jej:

- Dzień dzisiejszy jest jakby wybrany. Wszystko się tak udało. Wygląda pani pięknie i kusząco jak nigdy. A on jest w takim dobrym humorze. Dziś musi go pani do tego skłonić.

- Do czego? - zapytała Toinette z płochym, błogim uśmiechem na ustach.

- Do tego, żeby nareszcie wyrzucił starego Saint-Germaina - odpowiedział Vaudreuil półgłosem, ale gwałtownie.

Było jeszcze wiele do zobaczenia. Za wiele. Toteż gości zaczęło ogarniać znużenie. Ale Toinette musiała pokazać im jeszcze jedno: swoją cudowną, uroczą, zbliżoną do natury, całkowicie realistyczną „wioskę”. Zakładała ją myśląc o sielskiej okolicy, dokąd ucieka bohaterka *Aliny* kawalera de Boufflers, królowa Golcondy. Kiedy odczytany książkę Ksawery zorientował się w tym i wykrzyknął:

- Mój Boże, przecież to krajobraz *Aliny*!

Toinette zaczerwieniła się z radości.

Każdy z tych ośmiu domków miał po dwa ogródki - jeden warzywny, drugi owocowy. Poza tym mieściły się tu i stodoły, drewniane ławki, klepiska, kurniki, młyn, stał i domek przeznaczony dla wiejskiego strażnika. Był również mały rynek, były obory i owczarnie.

Wyprowadzono krowy, niebywale czyste i wypielegnowane. Obora lśniła czystością, posadzka była wyłożona płytami

białego marmuru, ale w ścianach widniały pęknięcia wykonane według szkiców malarza Robert. Toinette krzątała się, zamierzała wydoić swoją ukochaną krowę Brunette; wiadro było z najszlachetniejszej sewrskiej porcelany według projektu mistrza Pourrat. Wszyscy przyglądali się, jak zgrabnie i szybko Toinette manipuluje przy wymionach krowy.

- Jakie to miłe, urocze - powiedział książę Karol, a erudyta książę Ksawery zacytował fragment z Eklog Wergiliusza.

Ludwik wystąpił z pomysłem wystawienia mleka na licytację. Zaczęto podbijać cenę, wreszcie nabywcą został za dwadzieścia pięć luidorów sam Ludwik.

- Niech żyje królowa! - zawołał śmiejąc się na całe gardło, po czym skłonił się niezgrabnie przed Toinette i napił się mleka.

Tymczasem pan d'Angivillers opowiadał grupce ciekawych, ile kosztowała „wioska”. Budynki pochłonęły mniejsze sumy niż ci, którzy w nich zamieszkali. Powodując się modnymi względami humanitarnymi madame kazała tam osiedlić biednych chłopów. Ale trudno było znaleźć odpowiednich kandydatów. Kiedy się znalazł taki, którego głowa odpowiadała malarzowi Robert, ręce jego wydawały się za mało stylowe architektowi Mique; wobec tego trzeba było zapłacić chłopu odszkodowanie i odesłać go do domu. U przybywających coraz to nowych chłopów wykrywano coraz to nowe braki, a kiedy artyści byli wreszcie zadowoleni, zgłaszała zastrzeżenia królowa.

Toinette zaprezentowała swoich chłopów. Szczególnie dumna była z chłopca Paly, z trzeciego domku, który pełnił funkcję sołtysa. A czy strażnik wiejski Vercy nie wygląda „jak z obrazka”? Najwyższe uznanie zdobył sobie również nauczyciel Lepain; przeniesiono go do „wioski”, ponieważ był uderzająco podobny do Nauczyciela wiejskiego pędzla Greuze'a, obrazu, który wzbudził sensację w Salonie.

Zainteresował również wszystkich Pierre Machard, pupil Toinette. Zmieniono mu pełen przepychu strój dworski na ubiór chłopski; było widoczne, jak trudno mu przyzwycząić się do długiego, ciężkiego kaftana i niezgrabnych sabotów. Toinette opowiadała, że zleciła nauczycielowi otoczyć swego kochanego malca specjalną opieką. Będzie wychowany według ostatniej mody, w zbliżeniu do natury, zgodnie z zasadami wyłożonymi przez Rousseau w Emilu. Ludwik podniósł w górę chłopca, któremu przy tej okazji spadł z nogi sabot. Widząc nieszczęsną minę malca, Ludwik dał mu trochę łakoci.

- Ale gdzie jest nasz poczciwy Ulryk Schatzli? - zapytała Toinette. Historia tego Ulryka Schatzli obudziła zainteresowanie w całym królestwie. Ulryk, pochodzący z miejscowości Uznach, należał do gwardii szwajcarskiej, był dzielny, zdyscyplinowanym żołnierzem. Szwajcarzy byli bardziej przywiązani do swej ojczyzny niż przedstawiciele innych narodowości do swoich krajów ojczystych, encyklopedia określała „patriotyzm” jako szwajcarską chorobę narodową; otóż pewnego dnia wieczorem po służbie nasz gwardzista Ulryk Schatzli, który spił się jak bela w knajpie „Pod Katarzynką”, stanął na placu Ludwika Wielkiego i ku uciesze przechodniów odśpiewał kilka szwajcarskich pieśni. Na zakończenie zaśpiewał przepojoną melancholią pieśń Na szanćcach Strasburga. Tymczasem istniało zarządzenie zabraniające najsurowiej gwardzistom arcychrześcijańskiego monarchy śpiewania swoich pieśni narodowych, a zwłaszcza tej ostatniej, którą nazywano w Paryżu, „Ranz des vaches”/1. Zakaz ten podyktowany został obawą, ażeby przez publiczne śpiewanie tych pieśni nie wzrosła nostalgia Szwajcarów i nie skłoniła przypadkiem któregoś z nich do dezercji. Za śpiewanie i „Ranz des vaches”/1 stare, obowiązujące jeszcze rozporządzenie przewidywało nawet karę śmierci.

1/(Nieprzetłumaczalna gra słów polegająca na zbliżonym brzmieniu Schanz - szaniec i ranz - brzuch, kałdun).

Oczywiście Ludwik ani myślał skazywać na śmierć Ulryka Schatzli. Ale nie wiedział, co z nim począć, przede wszystkim dlatego, że jego minister wojny żądał, by wykroczenia przeciw dyscyplinie były surowo karane. Ucieszył się więc, kiedy Toinette poprosiła, by tego człowieka oddał do jej wioski. Tak więc Ulryk Schatzli został ze wstydem i hańbą wyrzucony z gwardii przybocznej i z wielkimi honorami przyjęty do Trianon jako „Szwajcar”. Wstydził się dziś właśnie, w dniu urodzin swego króla, pokazać mu się na oczy. Żadne namowy sołtysa nie pomogły, trzeba go było bezlitośnie sprowadzić siłą. Zjawił się zżerany wstydem, że się dopuścił tak strasznego występku przeciw dyscyplinie. Miał na sobie swój szwajcarski strój: długi szary sukieny surdut i bardzo krótkie spodnie. Kostium zaprojektował malarz Hubert Robert wedle opisu słynnego autora powieści alpejskich Clarisa de Florian. Wysoki, w postawie na baczność, stał Ulryk Schatzli przed przyglądającymi mu się paniami i panami. Księżę Karol obszedł go dokoła. Ludwik spojrzał nań oczyma krótkowidza, popatrzył w jego drewnianą, otępiałą twarz i powiedział: - Tak. A więc... Ten problem został rozwiązany. - Słowo „ten” zaakcentował specjalnie.

Długo jeszcze po oddaleniu się towarzystwa Szwajcar Ulryk Schatzli trwał w postawie na baczność.

Goście Toinette weszli obejrzyć wewnątrz domu. Czołowi malarze i rzeźbiarze francuscy ozdobili westybul, schody, przedpokoje, pokój jadalny, wielki i mały salon, miniaturową bibliotekę, przestronną ubieralnię, buduar i sypialnię.

Zainteresowanie obudziła przede wszystkim sypialnia. Wzrok przyciągały nie tylko wytwornie dobrane meble, kryte niebieskim jedwabiem, nie tylko kominek ze wspaniałym

zegarem, nie tylko dzieła Patera i Watteau. Główną atrakcją były owe trzy płótna, które Toinette dostała z Schönbrunnu. Oprócz obrazów, które obiecała córce Maria Teresa, Józef również ofiarował siostrze malowidło; nie mógł sobie tego odmówić.

Oba obrazy ofiarowane przez Marię Teresę były w rzeczywistości jeszcze piękniejsze niż we wspomnieniach Toinette. Wyszły spod pędzla malarza Wertmullera, przedstawiały Toinette w bardzo wczesnej młodości. Miała wówczas lat dziesięć. Małe arcyksiężniczki brały udział w widowisku baletowo-operowym z okazji ślubu brata Józefa. Na jednym z obrazów Toinette tańczyła ze swymi braćmi Ferdynandem i Maksymilianem; wyglądała bardzo dziecinnie w czerwonym staniczku i białej atłasowej spódniczce w kwiaty. O wiele oryginalniej i bardziej pociągająco przedstawiał ją drugi obraz, na którym tańczyła poważnie i lekko z jednym z braci i z jedną z sióstr mitologiczny balet na tle pół klasycznego, pół angielskiego pejzażu. Bardzo się sobie podobała na tym surowym, a równocześnie wytwornym płótnie; gościom obraz przypadł również do smaku.

Najbardziej jednak osobliwy był obraz trzeci. Przedstawiał stryjów Karola i Maksymiliana oraz starego arcyksięcia Józefa Marię, jak w mnisich habitach kopią sobie groby. Toinette nie mogła sobie przypomnieć, czy widziała kiedyś w Wiedniu to malowidło. Brat Józef przesłał je chyba w przystępie złego humoru. Tamte dwa obrazy wręczył jej Mercy, dar Józefa zaprezentował oczom królowej ksiądz Vermond. Z początku makabryczny żart rozgniewał Toinette, ale później śmiała się z niego; markiza również niezgorzej ubawiło dziwne malowidło. Zdecydowała się wreszcie, że i ten obraz zawiesi w swej sypialni, wbrew radzie nadwornych malarzy, którzy uważali, że dzieło nie jest dość artystyczne. Wisiał więc obok

innych, a jej weseli, wytworni goście stali przed nim, czując się trochę nieswojo, a przecież zaciekawieni i rozbawieni.

Wczesna kolacja była bardzo ożywiona. Stół, mieszczący się w zapadni, wyłonił się stamtąd zastawiony mnóstwem potraw. Lokai nie było. Goście usługiwali sobie sami. Toinette oświadczyła, że ze względów oszczędnościowych zastosowała się tym razem do obyczaju wprowadzonego w życie przez świętej pamięci dziadka, Ludwika XV. Ze względów oszczędnościowych zrobiła również użytek z wielkiej liczby starych mebli. Nawet jej łóżko - szepnęła Gabrieli na ucho - było łóżem „kurtyzany” Dubarry. Pan d'Angivillers, dowiedziawszy się o tym, nie mógł powstrzymać się od uwagi, również wypowiedzianej półgłosem, że to łóżko, zatrzymane ze względów oszczędnościowych, było chyba najkosztowniejszym sprzętem w całym królestwie.

Same słupki podtrzymujące baldachim, które madame kazała zrobić na miejsce starych, kosztowały dwa tysiące liwrów. Poza tym nie jest to łóżko „kurtyzany”, lecz łóżko świętej pamięci dziadka Ludwika, co oczywiście nie wyklucza, by madame Dubarry od czasu do czasu w nim nie sypiała.

Ludwik jadł z szalonym apetytem i ciągle zapraszał gości do jedzenia.

- Nie jesteśmy tu, panie i panowie, szlachtą - powtarzał - lecz po prostu ludźmi, chłopami, więc jedzmy, ile się da.

Markizowi de Vaudreuil przyszedł do głowy pewien pomysł. Korzystając z dobrego humoru Ludwika zaproponował odesłanie orkiestry operowej, która przygrywała do stołu, i sprowadzenie Szwajcara, Ulryka Schatzli.

- Jako intendent królowej - oświadczył - jestem odpowiedzialny za to, żeby uroczystość urodzin króla miała charakter jedyny w swoim rodzaju.

Ludwik, choć w pierwszej chwili zaskoczony był tym zuchwalstwem, zdecydował:

- No, dobrze.

Sprowadzono Szwajcara.

- Nie jesteście już teraz w szeregach gwardii, mój pocziwcze
- powiedział Vaudreuil. - Może byście zaśpiewali nam waszą
słynną piosenkę, co?

Ulryk Schatzli stał sztywno w postawie na baczność i nie rozumiał, o co chodzi.

- Co pan ma na myśli? - zapytał. - Co pan rozkaże?

- Pan rozkazuje - odrzekł Vaudreuil - byście zaśpiewali waszą
„Ranz des vaches”, waszą wspaniałą pieśń pasterską.

- To zabronione - odparł Ulryk Schatzli.

- Głupstwo, mój drogi - rzekł Vaudreuil wyciągając monetę. -
Spójrz na tę głowę - powiedział - a potem na tę - wskazał na
Ludwika. - Tu stoi ten, który zabrania i pozwala, zapytaj go!

Oblany potem Szwajcar stał sztywny, jakby kij połknął.

- Czy nie jest zabronione, sire, panie generale? - zapytał
Ludwika.

- Było zabronione, ale już nie jest - ze spokojem odpowiedział
Ludwik. Sam miał teraz ochotę usłyszeć tę pieśń, chciał
również wypróbować, czy zrozumie niemiecki tekst. - A więc
śpiewaj, mój synu - powiedział.

Ulryk Schatzli stał w swej szarej bluzie obszytej czerwoną
taśmą i bardzo krótkich spodniach. W wyciągniętej
nieruchomo ręce trzymał kapelusz. Było widoczne, że jest
czymś poruszony, oddychał głęboko, zastanawiał się nad
czymś. Nagle powiedział bardzo głośno:

- Wedle rozkazu, sire, panie generale.

Zaczął śpiewać potężnym głosem, z chłopska, gardłowo:

Hej, ten sztrasburski wał

Nieszczęściem mi się stał.

Tum rogu ton usłyszał czysty,

Co mię przyzywał w kraj ojczysty.

Cóżem uczynić miał!

Hej, bracia, nadszedł czas,
Że oto żegnam was.
Ach, to pastuszka jeno wina,
Że na mnie przyszła ta godzina,
Więc, bracia, proszę was:

Zadajcie rychłą śmierć,
Strzelajcie prosto w pierś,
Nie oszczędzajcie mi żywota,
Niech krew czerwona zachlupota,
Celujcie - proszę - w pierś.

Królu niebieskich leż,
Ty duszy mojej strzeż.
Niechaj bezpieczna w Twoim niebie
Przebywa wiecznie obok Ciebie,
A z nią ja grzeszny też.

Ulrykowi Schatzli udało się zachować przez cały czas pieśni wojskową postawę, ale nie umiał powstrzymać łez spływających mu po policzkach. Ludwik również był bardzo wzruszony. Nie wszystko wprawdzie zrozumiał, ale i jednak dość dużo; prosił teraz Szwajcara, by mu to i owo powtórzył, pytał go o znaczenie poszczególnych słów. Potem opowiedział treść reszcie towarzystwa.

- Zawsze mówiłam - oświadczyła Toinette z zadowoleniem i naciskiem - że ci republikanie nie są tacy źli; są to ludzie sentymentalni, mający zrozumienie dla muzyki.

Po tych słowach zwróciła się do Ulryka Schatzli:

- Dobrze się wam teraz powodzi, mój drogi? Czujecie się w mojej wiosce jak w domu, prawda? Czy nie jest tu całkiem jak w Szwajcarii?

Ulryk Schatzli nie rozumiał ani słowa i rozglądał się dokoła otepiałym wzrokiem.

- Wedle rozkazu, madame - wyjąkał wreszcie, a Ludwik podał mu z dobrodusznym uśmiechem szklanę wina.

- Pij, mój synu - powiedział - pokrzep się. Nieźle to zrobiłeś. - Po czym dał mu luidora.

Dla aktorów Theatre Francais, którzy mieli grać Cyrulika, urządzono o tej samej porze obiad, przygotowany z wielką pieczołowitością. Pan d'Angivillers zakomunikował im z polecenia Toinette, że królowa sama zestawiała menu wypisane na pięknych kartonach; ponieważ w zamku było mało miejsca, a nie uchodziło, żeby aktorzy jedli z gośćmi króla, posadzono ich razem z lokajami.

Nie widziano w tym nic obraźliwego, nie wywoływało to oburzenia, przecież zaproszeni byli tylko arystokraci najczystszej krwi, z których żaden, sięgając aż do czternastego stulecia, nie miał przodków pochodzących ze stanu mieszczańskiego. Trzymano ich, jak to było w zwyczaju, w ścisłej izolacji od gminu. A jednak, jakkolwiek panie i panowie z Theatre Francais nie wspominali o tym ani słowem, posadzenie ich z lokajami odczuli jako bolesne ukłucie.

Lokaje ci byli zresztą rozsądni, śmiali i dowcipni. Kiedy ich panowie nie umieli sobie z czymś poradzić, zwracali się do nich. Lokaje byli ich powiernikami, załatwiali dla nich mnóstwo poufnych, politycznych, finansowych i miłosnych spraw. Orientowali się dokładnie w wielkiej i małej polityce, spekulowali na własną rękę, pożyczali swoim panom pieniądze, mieli znaczne dochody. Między sobą nazywali się nawzajem nazwiskami swoich panów. Niełatwo ich było nabrać, odznaczałi się paryskim sprytem i celnym dowcipem. Siedzenie przy stole z nimi było bezsprzecznie zabawniejsze

niż z gośćmi Toinette. Mimo to aktorom zdawało się, że w najwspanialszych potrawach tkwi ziarnko gorzycy.

Przy stole aktorów i lokai siedział również Pierre Beaumarchais. Był markizowi wdzięczny, że postanowił wystawić dziś Cyrulika. Przedstawienie to stanowiło pierwszy krok do zagrania Figara. Ale i on uważał ucztę w towarzystwie lokai za coś upokarzającego i czuł za to do pana de Vaudreuil urazę.

Ponieważ nie groziło już niebezpieczeństwo zetknięcia się z kimś spośród wysoko urodzonych, d'Angivillers zaproponował aktorom i aktorkom, by przed występem obejrżeli sobie zamek i ogrody. Przechadzali się więc teraz po parku, słuchali, jak szemrze strumyk, wiosłowali po jeziorze, jeździli na bajecznych bestiach chińskiej karuzeli. Oni również kochali „naturę”. Zwłaszcza Desiree zrozumiała w lot, czego chciała Toinette i co osiągnęła. Nie przeszkadzało to aktorom w robieniu złośliwych dowcipów, a Pierre powiedział coś, co, jak był pewien, rozejdzie się po całym królestwie. Nazwał Trianon małym Schönbrunem.

Ale i on, i aktorzy musieli przyznać, że nigdy nie grali w teatrze piękniejszym niż ten. Niewielki budynek, wzniesiony na wzór świątyni o jońskich kolumnach, utrzymany był w barwach bieli i złota. Łoże i krzesła pokrywał niebieski aksamit, balkon podpierały filary i lwie głowy. Wszystko urządzone było z zamiłowaniem i ze smakiem. Również scena wyposażona została w urządzenia i maszynię, szczyt marzeń każdego aktora.

Podczas przedstawienia aktorzy z przykrością odczuwali brak rześzystych oklasków, którymi od czasu do czasu przerywano ich grę w Theatre Francais. Wprawdzie grzmiący śmiech Ludwika zastępował ryk całej sali, ale Ludwik, nie obdarzony zbyt bystrym umysłem, śmiał się chwilami za późno albo nie śmiał się wcale. Zresztą nie uważał, by sztuka była tak

kiepska, jak mu się to wydało przy czytaniu. Powiedział to do Beaumarchais.

- Brawo, mój panie - oświadczył - bawiłem się i śmiałem, pan to z pewnością słyszał. Tylko tak dalej, mój panie.

- Uczynię to, sire - odpowiedział Pierre składając głęboki ukłon. Po tych słowach musiał w myśl ceremoniału oddalić się razem z aktorami.

Toinette wraz z gośćmi rozpoczęła tańce na rynku wioski. Kazano stawić się chłopom, starannie dobrani muzycy królewscy, których odesłano podczas obiadu, by Szwajcar mógł odśpiewać swą piosenkę, mieli teraz okazję przygrywać do chłopskiego tańca. Toinette tańczyła z sołtysem Pally, Gabriela ze strażnikiem Vercy, Ludwik, spocony, roześmiany, wywijał z córką strażnika, krępa dziewczką chichoczącą z zakłopotania.

Było w projekcie, że Toinette spędzi tę pierwszą noc w Trianon sama. Ludwik z resztą gości miał się udać do Wersalu. Podnieciła go jednak piosenka Szwajcara i taniec z wiejską dziewczyną, więc gdy goście opuścili pałac, pozostał jeszcze. Zmieszany, bąkał coś, co trudno było zrozumieć, ale Toinette zorientowała się w lot, o co mu chodzi. Chętnie spędziłaby tę pierwszą noc w Trianon sama, ale nie chciała stracić pomyślanej okazji obalenia Saint-Germaina.

Kazała więc Ludwikowi czekać i poszła do swej sypialni.

Dreptał dokoła po wytwornych pokojach, parszając, spocony, niezgrabny. Kiedy upłynęło już sporo czasu, zaczął drapać do drzwi sypialni.

- Proszę wejść - zawołała stłumionym głosem.

Utrzymana w niebieskim tonie sypialnia wyglądała w świetle świec jeszcze piękniej i powabniej niż za dnia. Pośrodku stało szerokie, drogocenne łóżce, w którym sypiał Ludwik XV, a od czasu do czasu i pani Dubarry. Na ścianach wisiały obrazy:

mała Toni tańczyła sztywno i bardzo wdzięcznie ze swym rodzeństwem na tle klasycznego pejzażu.

- Czy nie zgasilibyśmy świec? - zaproponowała Toinette.

- Zgasić? - ociągał się Ludwik. - No, dobrze, niech będzie - powiedział po chwili i zdmuchnął parę świec, po czym oczyścił knoty palcami.

Ponieważ trwało to zbyt długo, Toinette powiedziała:

- Proszę, daj już spokój.

Parę świec paliło się dalej, rzucając migocący blask na jaśnie oświetlonych starych krewnych, którzy w przebraniu zabawiali się kopaniem dla siebie grobów. Ludwik rozbierał się długo, wreszcie znalazł się w łożu. Toinette zasunęła firankę.

Później nieco opowiedziała mu, że teraz, kiedy zamek Trianon jest już gotów, będzie mogła znacznie ograniczyć swój budżet. Nie zapomniała, że niejednokrotnie bez słowa wyrzutu płacił jej długi, umie to ocenić, jest mu wdzięczna. Ale na przyszłość nie będzie to już potrzebne. Z ukończeniem Trianon życzenia jej zostały spełnione. Nie będzie już więcej grała ani w faraona, ani w lancknehta, w ogóle będzie unikała zbędnych wydatków. Położyła głowę na jego piersi, przytuliła się do niego. Mruczał z zadowolenia i patrzył z lubością poprzez firanki, jak tańczą słabe cienie płonących świec.

Toinette milczała przez chwilę. Potem rzekła:

- Ponieważ idę ci w tej dziedzinie na rękę, sire, sądzę, że i ty zechcesz coś dla mnie zrobić.

Zaczął sapać, mruknął coś pod nosem. Zażądała teraz bez ogródek:

- Wyrzuć nareszcie tego szkodnika, tego starego matoła Saint-Germaina. Kto ponosi winę za nasze ostatnie nieporozumienia? Tylko i wyłącznie on. Zawsze jest przyczyną naszych sporów.

Ludwik, niezadowolony, wiercił się na łożu. Stale tak bywało, za każdym razem później żądała czegoś. Przeszła mu przez

głowę mglista myśl, że Dubarry spała w tym łożu, że ani to, co robi Toinette, ani sposoby, których używa, nie są królewskie. Wyrzucał z siebie słowa całkowicie niezrozumiałe. Myślał o reformach w wojsku, o ministrze finansów Turgot, o tym, że jutro przeczyta sobie, co pisze Plutarch o Antoniuszu i Kleopatrze.

- Dlaczego nie odpowiadasz, sire? - zapytała Toinette.

- Czy to takie przestępstwo, że raz wysuwam jakieś żądanie?

Zatopiony w myślach, milczał dalej. Ciężył mu ponury mrok panujący w alkowie, odsunął firanki, sypialnia wyglądała teraz pogodnie i uroczo.

- Matka twoja - powiedział - dała ci dowód wyjątkowej przychylności przysyłając te obrazy. Jak rozkosznie tańczysz na jednym z nich! Jestem rad, że możemy tutaj oglądać te pamiątki.

- Sam przyznałeś - nie dawała za wygraną Toinette - że Saint-Germain nie dorósł do swego zadania. Nie potrafił przeprowadzić reform, w imię których obraził mnie i całą szlachtę.

- Czy nie uważasz - zapytał Ludwik - że i ja powinienem podziękować twojej matce?

Toinette usiadła w łożu. Błądzący po sypialni wzrok Ludwika znowu spoczął na jej pięknej, bladej twarzy.

- Nie wykręcaj się, sire - powiedziała. - Proszę o jasną odpowiedź. Dasz mu dymisję?

- No, dobrze, niech będzie - odpowiedział.

- Proszę o wyraźne tak, sire - nalegała Toinette.

- Więc tak - burknął Ludwik.

Wstał, ubrał się niedbale, zatopiony w myślach, zapomniał kilku akcesoriów swego skomplikowanego stroju. Potem opuścił pałac.

W ogrodach panowała głęboka cisza, świecił blady księżyc, słychać było szemranie źródła i strumyka. Idąc wolnym

krokiem do Wersalu, Ludwik wchłaniał z lubością czyste nocne powietrze. Był rad, że jest sam. Idąc nucił słowa piosenki:

Hej, ten sztrasburski wał
Nieszczęściem mi się stał.

Myślał o Saint-Germainie, o tym, jak się ten drobny starszy pan zawsze dziarsko trzymał, o jego ziemistej, pooranej zmarszczkami starczej twarzy, o tym, ilu jest na dworze ludzi uczciwych, i o tym, że Saint-Germain należy do nielicznych wyjątków.

Doszedł do Wersalu. Zastukał ciężką kołatką; pełniący służbę Szwajcar spojrzawszy przez okienko i zobaczywszy nieporządnie ubranego dworaka powiedział szorstko: - Wynosić się, jazda! - Ludwik przypomniawszy sobie, że sam wydał rozkaz, by po nastaniu mroku nikogo nie wpuszczano, ryknął potężnym śmiechem. Wtedy żołnierz poznał króla i przeraził się. - Dobry z ciebie wojak, mój synu - powiedział Ludwik.

Znalazłszy się w swej sypialni stwierdził z zadowoleniem, że ma jeszcze sporo czasu do uroczystego lever. Nie położył się więc do paradnego łoża, lecz wyciągnął się na swym prostym łóżku bez ozdób, które bardzo lubił. Przewróciwszy się z lewego boku na prawy, zasnął.

Śniło mu się: ma nowe narzędzia, dobre i poręczne, ale ciężko mu było sobie z nimi poradzić. Bierze więc stare obcęgi, ale i z nimi nie może sobie dać rady. Zamek nie funkcjonuje, a przecież był gotów. Ludwik sprawdził go z panami Laudry i Gamain - i nie funkcjonuje. Kiedy chciał go otworzyć, klucz nie wchodził, cały mechanizm nie działał. Miał przed sobą rachunek o wiele za wysoki, cyfry plątały mu się przed oczyma. Był dobrym, skrupulatnym rachmistrzem, ale ten rachunek nie chciał mu się jakoś zgodzić. Wezwał panów

d'Angivillers i de Laborde, wychodziła coraz to inna suma, pocił się, nic się nie zgadzało, zamek nie funkcjonował.

Kiedy obudził go stary kamerdyner i powiedział z respektem: - Sire, czas już zająć miejsce w łóżu - Ludwik by rad, że może opuścić swe proste, ulubione łóżko i położyć się do znieawidzonego królewskiego łóża.

Po lever, podczas którego przejawiał wyjątkowo zły humor, Ludwik udał się do komnat swego mentora. Ponieważ wziął już na siebie sprawę Saint-Germaina, najlepiej będzie załatwić ją bez zwłoki.

Ujrzawszy Ludwika, Maurepas przeczuł od razu, o co chodzi. Ponieważ Toinette nie zaprosiła go do Trianon na uroczystość urodzin, niepokoił się, że przy tej okazji wydrze Ludwikowi jakieś obietnice. Klan nigdy nie ukrywał swego zamiaru obalenia Saint-Germaina. Kiedy więc Ludwik przywłókł się z nieszczęsną miną, było dla hrabiego Maurepas rzeczą jasną, że Toinette tym razem cel swój osiągnęła.

Maurepas był przeciwny usunięciu swego starego przyjaciela Saint-Germain. Gdyby cała arystokracja dworska nie rzucała wciąż temu bardzo zdolnemu człowiekowi kłód pod nogi, Francja miałaby armię, jakiej potrzebowała, i mogłaby zupełnie inaczej wystąpić przeciw Anglii. Ale Maurepas zorientował się już przed kilku miesiącami, że nie będzie w stanie utrzymać Saint-Germaina. Nie tylko Austriaczka i jej klan chcieli się go pozbyć, lecz przede wszystkim domagała się tego własna żona premiera. Hrabina przyrzekła bowiem swojej drogiej przyjaciółce i kuzynce, pani Montbarey, że postara się dla jej męża o tekę ministra wojny. Maurepas uważał, że książę nie nadaje się na to stanowisko, przyrzekł jednak żonie, że po ustąpieniu Saint-Germaina powierzy ten urząd jej protegowanemu. Toinette była zdecydowanym wrogiem księcia Montbarey i Maurepas cieszył się, że na

miejsce Saint-Germaina będzie jej mógł przynajmniej na złość wetknąć księcia.

Maurepas czuł się owego ranka niezbyt rzeško, dobrze, że Ludwik nie poprosił go do siebie, lecz przyszedł sam. Nie trzeba więc robić uciążliwej toalety, można pozostać spokojnie w szlafroku i pantoflach.

Powiadomienie o powziętej decyzji i jej wykonanie okazało się jeszcze trudniejsze, niż sobie to Ludwik wyobrażał. Dręczyło go wspomnienie dymisji Turgota oraz niemiłych wypadków, które nastąpiły po przepędzeniu tego bezczelnego wprawdzie, ale z gruntu przyzwoitego, śmiałego i niezwykle zdolnego człowieka. Saint-Germain był również z gruntu uczciwy i bardzo na swoim miejscu; Ludwik i jemu niejedno święcie obiecywał.

Nie wiedział, jak zacząć. Zapytał swego mentora o zdrowie, wyraził w naiwny sposób ubolewanie, że go nie było w Trianon, opowiedział o piosence Szwajcara i o swoim tańcu z wiejską dziewczyną. Wreszcie, z wyraźnym ociąganiem, oświadczył, że miał niedobłą, bezsenną noc, podczas której przechodziły mu przez głowę liczne skargi, które wpłynęły przeciw Saint-Germainowi. Wie doskonale, że większość zarzutów pozbawiona jest podstaw, ale człowiek mający osobliwą zdolność robienia sobie na każdym kroku wrogów może nie jest właściwą osobą na takim stanowisku. Wykorzystując swą dobrą pamięć wyliczył, czego się to ministrowi wojny nie zarzuca. A więc zarządzenie otwierające osobom mieszczańskiego pochodzenia dostęp do wyższych stopni oficerskich; „teutońskie” metody starego; wprowadzenie kary chłosty; sprawę z inwalidami i aferę z jezuitami. Była to długa lista.

Starego cynika bawił sposób, w jaki Ludwik starał się usprawiedliwić przed nim i przed sobą. Bo przecież wszystkie te zarządzenia, z których czynił teraz zarzut ministrowi wojny,

król sam wyraźnie akceptował, przyrzekając mu wielokrotnie, że obroni go przed każdym atakiem. Najbardziej jednak cieszyło skłonnego do drwiny hrabiego Maurepas, że Ludwik wymienił historię z inwalidami i aferę z jezuitami.

Sprawa z inwalidami wyglądała następująco: Hotel des Invalides przeznaczony był na schronisko dla weteranów, zwłaszcza takich, którzy odnieśli rany w wojnach toczonych przez Francję. Stopniowo złagodzone to zarządzenie i przyjmowano również lokai i kucharzy. Każdy wielki pan będący oficerem uważał, że ma prawo trzymać swą służbę w Hotel des Invalides. W pięknym gmachu obijały się więc zdrowe czterdziestoletnie draby, pasły sobie brzuchy, grały w karty i kręgle, udając przy tym bohaterów. Rzetelny Saint-Germain położył kres tym nadużyciom. Przetrzebił „inwalidów” i pozbawił około tysiąca próżniaków przyjemnych synekur. Naraził sobie przez to wielkich panów, opiekunów owych „inwalidów”, którzy z ich wyrugowania zrobili tragiczne widowisko dla ludu. Na placu Zwycięstwa zatrzymała się wielka ilość wozów, na których siedzieli „inwalidzi”; ze łzami w oczach padli oni na kolana przed posągiem Ludwika Wielkiego, błagając swego nieżyjącego „ojca”, by ich chronił przed barbarzyńskimi metodami Saint-Germaina.

Ludwik orientował się dokładnie w całej tej sprawie i nie szczędził w swoim czasie soczystych epitetów, piętnujących bezwstydną wysoko urodzonych mąciwodów.

Równie dobrze był zorientowany w sprawie jezuitów. Prawdziwie pobożny Saint-Germain chciał zastąpić wiejskich proboszczów, z których przeważnie rekrutowali się kapelani wojskowi, przez duchownych bardziej wykształconych i w tym celu założył wyższą szkołę dla przyszłych kapelanów. Tym razem wystąpili przeciw ministrowi wolnomyśliciele, filozofowie i encyklopedyści.

Podnieśli straszny gwałt, że Saint-Germain chce wydać armię w ręce jezuitów.

Maurepas był jakby stworzony na to, by się delectować pikanterią sytuacji, że pobożny Ludwik skarży się przed nim, wolnomyślicielem, na nie mniej pobożnego Saint-Germaina.

Słuchał ze współczującą miną. Potem zaczął bronić swego przyjaciela. Ponieważ przyjaciel był już stracony, bronił go dość perfidnie. Teraz, wywodził, kiedy wskutek konfliktu amerykańskiego Francja może być w każdej chwili wplątana w wojnę, pozbycie się tak doskonałego organizatora i tak doskonałego żołnierza jak Saint-Germain musi budzić wątpliwości. Z drugiej jednak strony jego sztywny, bezkompromisowy sposób bycia obruszył przeciw niemu cały świat. Poczciwiec dokazał nie lada sztuki, by zjednoczyć wszystkie zwalczające się nawzajem grupy: książąt krwi, dwór, drobną szlachtę, zwykłych żołnierzy, panie paryskich salonów oraz filozofów. W końcu doprowadził jednak do tego - wszyscy stanęli przeciw niemu murem. Maurepas musi przyznać, że dla ministrów współpraca z Saint-Germainem jest trudna, rozumie również, że Ludwik ma w końcu dosyć tego ciągłego stawania w obronie człowieka, wobec którego królowa wysuwa tyle zastrzeżeń. Z drugiej strony zrezygnowanie z usług tak dzielnego człowieka w obliczu bardzo realnego niebezpieczeństwa wojny to decyzja niełatwa. Ludwik przez chwilę pomrukiwał tylko. Wreszcie powiedział:

- Wierny to człowiek i zasłużony.

- Niewątpliwie - odparł Maurepas. - Z drugiej strony jednak, sire, nie trzeba rozglądać się długo za następcą. Sekretarz stanu Montbarey jest dobrze obznajmiony z resortem.

Ludwik spojrział na swego mentora, wiedział, że za projektem premiera stoi madame Maurepas, cieszyło go trochę, że nawet ten spryciarz musi ustępować żonie.

- W żadnym wypadku - ciągnął Maurepas - nie wolno w tych niebezpiecznych czasach pozwolić, by to odpowiedzialne stanowisko bodaj przez dzień było nie obsadzone. Należy tekę powierzyć natychmiast komu innemu, najlepiej księciu Montbarey.

Choć Ludwik nie cierpiał księcia, uważał takie rozwiązanie za nie najgorsze. Jeżeli będzie działał szybko, uniemożliwi Toinette i Klanikowi Liliowego Bzu wysunięcie własnego kandydata. Bąknął więc: - Hm, hm, tak.

Maurepas chwycił go za słowo.

- A więc sire zawiadomi Saint-Germaina, że otrzymał dymisję, i dziś jeszcze znajdzie jego następcę?

- Czy pan, mój stary przyjacielu, nie może mu tego zakomunikować? - zapytał Ludwik.

- Myślę - odparł Maurepas - że niepodobna ukrywać, iż o dymisji Saint-Germaina zdecydowała Korona.

- A więc sądzi pan naprawdę, że muszę sam?... - zapytał Ludwik z nieszczęśliwą miną.

- Jeżeli sire rozkaże - pomógł mu Maurepas - będę przy tym obecny.

- Dziękuję panu, mój mentorze - powiedział Ludwik.

- A więc wezwę Saint-Germaina - oświadczył Maurepas. - Czy godzina trzecia byłaby odpowiednia?

- Powiedzmy czwarta - zdecydował Ludwik.

- Rozkazy waszej królewskiej mości zostaną spełnione - odpowiedział Maurepas. - Nominację dla księcia Montbarey przedłożę do podpisu przed zjawieniem się Saint-Germaina.

Kiedy Ludwik się oddalił, Maurepas zabrał się do poprawiania epigramatu, który go pochłaniał w ciągu tej rozmowy. Stary pan przepadał za wygładzaniem swych złośliwych wierszyków, za wyostrzaniem ich pointy. Swego czasu musiał pójść na dwudziestopięcioletnią banicję za epigramat przeciw pani Pompadour. Był to dobry wiersz, Maurepas zapewniał

siebie i swych przyjaciół, że wart był banicji, która trwała ćwierć wieku. Teraz Maurepas stał się ostrożniejszy. Zdecydowany umrzeć na stanowisku premiera, wystrzegał się, by nie narazić się po raz drugi przez epigramaty, choćby nawet jak najbardziej udatne.

Epigramat, nad którym teraz pracował, udał się. Tematem była owa część ciała Ludwika, dla której sprawnego funkcjonowania Józef pospieszył wówczas z Wiednia.

Był to wiersz złośliwy i celny, doskonały odpowiednik owych strof o pani Pompadour, był wszakże tak zabójczo zjadliwy, że Maurepas nie będzie miał odwagi powierzyć go ani swemu sekretarzowi, ani swojej żonie, ani nawet swym pamiętnikom. Rozpacz! Ale miał przynajmniej zabawę przy pracy nad nim. Pisał drżącą ręką, to, co napisał, trzymał w dużej odległości przed swymi oczyma dalekowidza, czytał, śmiał się, pobekiwał, uśmiechał, poprawiał, przekreślał, poprawiał na nowo. Wygładzał, pobekiwał, wyostrzał tak długo, że omal nie zapomniał zlecić przygotowania nominacji dla księcia Montbarey.

Około czwartej Ludwik siedział w bibliotece. Kazał sobie podać Plutarcha i czytał życiorys Marka Antoniusza, ale myśli jego odbiegały daleko od lektury.

Dręczyła go wizja, jak to wkrótce stanie przed nim Saint-Germain i będzie na niego patrzeć oczyma wiernego psa. Stary wzbraniał się swego czasu przed objęciem urzędu, przewidując, na jaki opór natrafiają jego reformy. Ale Ludwik, zdecydowany na przeprowadzenie tych reform, dawał kilkakrotnie wiążące przyrzeczenia, że utrzyma swego ministra wbrew wszelkim oporom. „Jestem po pańskiej stronie - zapewniał go raz po raz - niech się pan niczego nie obawia, potrafię obronić pana przed każdym”.

Dlaczego właśnie jemu, Ludwikowi, tak zawsze utrudniają spełnianie obowiązku? Chcąc utrzymać przy sobie Toinette i zrobić jej delfina, musi za to płacić coraz to nowymi ustępstwami. Teraz na przykład zmuszony jest przepędzić poczciwego, starego, dzielnego Saint-Germaina. Dziwne to wprawdzie skojarzenie, ale nie było na to żadnej rady.

Próbował zająć się Plutarchem, historią Antoniusza i Kleopatry, ale mu się to nie udawało. Plutarcha przesłaniał ów list, który wtedy przed swoją dymisją napisał minister Turgot. List był zamknięty na cztery spusty, Ludwik nie czytał go od dawna. Mimo to widział dokładnie przed oczyma każdą literę, każdy zakrętas. „Sire uważany jest za człowieka słabego”. Bzdura! Oczywiście, niemiłe to, że musi przepędzić Saint-Germaina i złamać daną obietnicę, ale czy król nie stoi ponad prawami obowiązującymi zwykłych śmiertelników? Konflikty jego są inne, trudniejsze. Ważniejsze jest ostatecznie, by Francja otrzymała dziedzica, od tego, czy pan Saint-Germain będzie się czuł dobrze. Po głowie Ludwika krążyły mgliste myśli, że Toinette nie zajdzie w ciążę, jeżeli będzie miała do niego żal i niechęć.

Zrezygnował definitywnie z lektury, zostawił otwartą książkę. Podniósł się. Ociężałym krokiem chodził tam i z powrotem, parskął, siadał w wykuszu, mrużąc oczy wypatrywał, czy na podwórzach i alejach wjazdowych nie dostrzeże Saint-Germaina.

Ale przed Saint-Germainem zjawił się Maurepas. W pełnej gali, wychudzony, wyprostowany, elegancki. Wyciągnął z teki dokument; był to papier stwierdzający, że Aleksander Maria Eleonora de Saint Maurice, hrabia Montbarey, książę świętego Cesarstwa Rzymskiego, generał, komendant gwardii szwajcarskiej króla, podsekretarz stanu w Ministerstwie Wojny, mianowany zostaje urzędującym ministrem wojny oraz członkiem rady koronnej arcychrześcijańskiego

monarchy. Ludwik mrużąc oczy przeczytał edykt, odsunął go na bok, powiedział:

- Tak, tak.

Maurepas upomniał go łagodnie.

- Korona ułatwiłaby sobie zadanie, gdyby teraz podpisała.

Korona westchnęła, wahała się, Maurepas podał pióro, Korona, ujawszy je, patrzyła na premiera. Maurepas kiwnął zachęcająco, Korona westchnęła raz jeszcze, pokiwała głową i podpisała.

Zjawił się Saint-Germain. Niewielki ten człowieczek był dziś w lepszej formie niż kiedykolwiek i wiele się po tej audiencji spodziewał. Miał nadzieję, że Ludwik omówi z nim oba memoriały, które mu w ubiegłym tygodniu przedłożył.

Ludwik nie poruszył tego tematu. Więc Saint-Germain rozpoczął na razie od mniej ważnych spraw. Skromnie, potulnie prosił jego królewską mość o radę w sprawie pułkownika Esterhazego. Pułkownik nie jest złym żołnierzem, ale nie uznaje subordynacji. Dwukrotnie minister musiał zastosować wobec niego sankcje karne i dwukrotnie jej królewska mość wstawiała się za nim, osiągając darowanie kary. Tym razem jednak pułkownik popełnił przewinienie, którego nie można puścić płazem. Oświadczył wobec licznych świadków, że Saint-Germain chce wydać armię na pastwę jezuitów. Jakże minister może utrzymać dyscyplinę, jeżeli podlegli mu oficerowie takimi kłamstwami podważają jego autorytet? Saint-Germain prosi więc króla o łaskawe zapewnienie, że poprze swego ministra, gdyby znowu, czego należy się obawiać, jej królewska mość chciała interweniować na rzecz pułkownika.

Ludwik nie patrzył na starego. Oczy jego błędziły po stronach Plutarcha, który ciągle jeszcze leżał przed nim otwarty. „Antoniusz wrócił więc - czytał - do miasta i podniósł wielki krzyk, że Kleopatra zdradziła go dla tych, z którymi w jej

obronie wojował". Czytał machinalnie, słowa Plutarcha nie docierały do niego, myślał o tym, jakby obudzić w sobie gniew na tego człowieka, który stał przed nim.

- I z tym pan do mnie przychodzi, panie hrabio? - zapytał wolno, dziwnie ospałym głosem. - Takimi głupstwami zabiera mi pan czas? - Powoli ogarniał go gniew. - Co mam począć z ministrem wojny, który nie potrafi sobie poradzić nawet z własnymi oficerami? Muszę się z tym liczyć, że Anglia znowu na nas napadnie. Jakże pan chce uporać się z armią angielską, jeżeli nawet ze swoim pułkownikiem Esterhazy nie umie sobie pan dać rady?

Teraz osiągnął to, co chciał. Skierował krótkowzroczne oczy na starego, podbródek mu się trząsł, mówił głośno, falsetem. Ziemista, poorana zmarszczkami twarz Saint-Germaina straciła wyraz pewności siebie.

- Nie rozumiem, sire - powiedział drżącymi wargami. - Dał mi sire tyle dowodów zaufania. Mówił mi sire... - Nie powtórzył, co mu Ludwik mówił. - Jeżeli sire jest ze mnie niezadowolony... - I tego zdania nie dokończył.

Ludwik chwycił jedną z figurek porcelanowych, stojących na stole, tak mocno, jakby ją chciał skruszyć; potem niespodziewanie delikatnie postawił ją na miejscu.

- Oczywiście jestem niezadowolony - powiedział bardzo cicho, nie patrząc na starego. - Zewsząd nadchodzą skargi. Może są bezpodstawne, ale muszę od moich panów wymagać, by jakoś dochodzili między sobą do ładu. Nie potrafi pan, monsieur, dogadać się ani ze szlachtą, ani z wojskowymi, jest pan w wojnie ze wszystkimi. Królową to oburza. Co mam począć z człowiekiem, który narobił sobie samych wrogów? - Wzruszył ramionami i powtórzył:

- Oczywiście, jestem niezadowolony.

Saint-Germain odpowiedział cichym, zachrypniętym głosem:

- To znaczy, że mnie sire oddała?

Ludwik w dalszym ciągu uparcie nie patrzył na niego. Oczekiwał, że Saint-Germain będzie mówił dalej, spodziewał się, że minister powie coś, co mu pozwoli wyjść ze sprawy z honorem. Ale Saint-Germain nie powiedział nic więcej i to milczenie zmusiło Ludwika, by zwrócił swój gruby łeb w jego kierunku. Ludwik zobaczył to, czego się obawiał: drgającą twarz ministra o oczach wiernego psa. Wiedział, co się dzieje w duszy tego człowieka.

Stary myślał o tym, jak przez całe życie marzył o wprowadzeniu w życie pewnych reform, jak swój dekalog, te „dziesięcioro przykazań dyscypliny wojskowej”, opublikował, jak Ludwik zachęcał go do realizacji jego teoryj. Jak - choć go to uszczęśliwiało - wzdrygał się przed przyjęciem zadania, gdyż będąc żołnierzem, nie dworakiem, bał się, że nie poradzi sobie z intrygami Wersalu. Jak młody król, pełen płomiennego zapału, przyrzekał mu wszelką pomoc. Jak on sam, zostawszy ministrem - starał się spełniać bezwzględne, głupie żądania tej przeklętej Austriaczki. Jak Ludwik raz po raz ponawiał obietnice. I oto ten sam Ludwik, ten żółtodziób, ten król Francuzów, siedzi teraz przed nim i nawet nie umie zdobyć się na odwagę, by powiedzieć to „tak”, na które już się zdecydował, to: „tak, monsieur, jest pan zwolniony”.

Ludwik doskonale wiedział, co się ze starym dzieje. Odczuwał dla niego litość niemal nie do zniesienia, w stosunku do siebie zaś niezadowolenie, nie mniej trudne do zniesienia. Nie umiał wykrztusić ani „tak”, ani „nie”. Był zły na premiera, że mu nie przychodzi z pomocą.

Nie miał racji. Można było zdać się na hrabiego Maurepas, pospieszył z pomocą. W pewnej chwili zwrócił się do swego kolegi Saint-Germaina i powiedział lekkim, uprzejmym tonem:

- Obawiam się, mój stary, że zrozumiał pan właściwie słowa jego królewskiej mości. Czy nie tak, sire?

Na to Ludwik wrzasnął prawie:

- No, dobrze, niech będzie, skoro wszyscy tego chcą, co tu można zrobić?

Saint-Germain skłonił się głęboko i powiedział:

- W takim razie mogę chyba prosić, by wolno mi było się oddalić, sire.

Po tych słowach zaczął tyłem, jak tego wymagała etykieta, cofać się ku drzwiom. Ludwik nie podniósł wzroku. Kiedy wreszcie spojrzął wokół siebie, Saint-Germaina już nie było.

Maurepas powiedział z kolei:

- Czy wolno mi się oddalić, sire?

Ludwik odparł szybko, bojaźliwie:

- Nie, niech mnie pan nie zostawia samego. - Potem zamilkł na długą chwilę, zatopiony w myślach.

Gdyby go nie zmuszono do tej rozmowy z Saint-Germainem, byłby teraz w lesie w Fontainebleau, na polowaniu. Lubił chodzić na polowania. Nagonka spędzała mu zwierzynę, strzelał, później wieczorem odnotowywał w dzienniczku, czego to nie zastrzelił. Cyfry przedstawiały się najczęściej okazale. Choć tyle już upolował, ciągnęło go zawsze, by patrzeć, jak trafiony zwierz rzuca się w górę, a potem pada na ziemię. Odczuwał przy tym litość dla tych swoich ofiar. Jakiś dziwny związek istniał między nim a szcztym zwierzem; był równocześnie myśliwym i szcztą zwierzyną. Kiedy się ocknął z zamyślenia, stał przed nim Maurepas, chudy, wyprostowany, pełen respektu, z uśmiechem na suchych wargach.

- Ciągłe pan jeszcze tutaj? - zapytał Ludwik ze zdumieniem. Kiedy jednak dotknięty tym pytaniem Maurepas zamierzał odejść, zatrzymał go. - Nie, proszę mi wybaczyć - rzekł chwytając go za surdut. Zbliżył twarz do twarzy swego premiera. - Czy to nie było okropne - zapytał - kiedy stary odchodził? Wydaje mi się, że miał łzy w oczach. Taki świetny

minister, taki dzielny wojak! Zrobiliśmy mu krzywdę, mój mentorze. Nie powinien pan być powiedzieć mu tak twardych słów.

Pomimo całego swego cynizmu Maurepas był oburzony, że jego młody uczeń i monarcha jemu teraz przypisuje winę. Ale stał z twarzą miłą, uprzejmą, zdecydowany umrzeć na stanowisku premiera.

Tymczasem Ludwik ciągnął z ożywieniem dalej.

- Musimy to naprawić. Oczywiście będzie mógł zatrzymać swoje mieszkanie... w arsenale. Dostanie pełną emeryturę. Damy mu również jakieś odszkodowanie.

- Podziwiam wspaniałomyślność jego królewskiej mości, sire - odpowiedział Maurepas. - Omówię wszystko z panem Neckerem.

Ludwik był już na pół pocieszony.

- Niech pan to zrobi, mój drogi - powiedział. - Nie chcę, by czegokolwiek skąpiono memu staremu Saint-Germainowi. Niech pan to powie Neckerowi, temu szwajcarskiemu sknerze. Napiszę sam do Saint-Germaina - zdecydował - i podziękuję mu za wielkie usługi, które oddał mnie i Francji.

Większą część poczty, która wczoraj nadeszła z Ameryki, Franklin chętnie załatwiłby przed przybyciem Artura Lee i Silasa Deane. Ale ten lekkoduch William znowu nie stawił się na umówioną porę.

Kiedy przyszedł, umiał jednak przekonywająco uzasadnić swe opóźnienie. Przywiózł z Paryża wiadomość o ważnym wydarzeniu, o którym chciał dowiedzieć się jak najwięcej szczegółów. Wrócili mianowicie do Paryża porucznik Dubois i major de Mauroy, dwaj spośród oficerów, którzy, zaopatrzeni w dyplomy wystawione przez Silasa Deane, pojechali wraz z Lafayette'em do Ameryki. Owi panowie zostali bardzo źle przyjęci przez Kongres i po jakimś czasie

wśród haniebnych złorzeczeń odesłano ich z powrotem. Sam markiz Lafayette doznał podobno w Filadelfii bardzo chłodnego przyjęcia. Teraz obydwaj oficerowie włóczyli się po Paryżu i w straszliwy sposób wymyślali na niewdzięczność Amerykanów, na ich całkowity brak manier, chciwość i pychę. William dowiedział się o całej sprawie najpierw przez młodego księcia de la Rochefoucauld, później przez Condorceta. Całe miasto mówiło o tym.

Franklin słuchał z nieruchomą twarzą. Ale był niezadowolony, raczej zasmucony nawet. Kongres utrudniał pracę dla Ameryki. Franklin przeczuwał, że oficerowie nie będą w Filadelfii pożądanymi gośćmi, ale nie oczekiwał, że zostaną aż tak źle przyjęci. Mieli przecież urzędowe dokumenty wystawione przez reprezentanta Kongresu.

Jeżeli chodzi o Franklina, to w ostatnich czasach pracował pomyślnie i szczęśliwie, osiągał sukcesy. Wygląda na to, że spotkanie z królową przyniesie korzyści; mówią nawet, że Toinette uzyskała od króla pewne przyrzeczenia. I właśnie w takiej chwili tym za oceanem przypomniawszy się dawna wrogość wobec Francji i bezmyślnie, pod wpływem złego humoru, w tak niezręczny sposób urazili dwór i miasto.

William przyniósł jeszcze inne nowiny. Słyszał, że Maurepas i Vergennes mają przybyć na otwarcie Salonu. Wszyscy mówią o portrecie Franklina pędzla Duplessis, który ma tam zostać wystawiony i dzięki temu, kogo przedstawia, przyćmi inne, bardzo wybitne dzieła.

Franklin cieszył się, że będzie mógł stanąć naprzeciw portretu i być świadkiem, jak paryżanie porównują oryginał i podobiznę. Była to może próżność, ale czyż próżność nie jest jedną z najmilszych cech, jakimi obdarzyła człowieka Najwyższa Istota? Poza tym powodzenie jego portretu może sprawie Ameryki tylko przynieść korzyść.

Spojrzał przyjaźnie na Williama. Chłopiec był trochę lekkomyślny, to prawda, ale był również sprytny i rozumiał, co w trawie piszczy. Potrafił na przykład określić dokładnie znaczenie tego, co Kongres znowu narobił.

Czekając na tamtych dwóch, Franklin postanowił przeprowadzić swój zamiar zaangażowania Williama na stałe. Urząd i pensja dadzą chłopakowi większe poczucie odpowiedzialności. Franklin jeszcze dziś omówi sprawę z obydwojema swoimi kolegami. Niech sobie Artur Lee oponuje i pyskuje na temat nepotyzmu. Franklin uważa, że dosyć zrobił dla swego kraju, by mieć prawo troszczyć się także o swoją rodzinę. Wziął na siebie trudy związane z paryskim poselstwem, był stary, prawdopodobieństwo, że umrze tutaj w obcym kraju, było większe niż prawdopodobieństwo, że wróci do ojczyzny. Chciał mieć koło siebie kogoś, kto by mu zamknął oczy; nie chciał, by ten ktoś tkwił przy nim bez pracy i sensu.

Zjawił się Silas Deane. Zażywny pan nie wyglądał już tak zdrowo jak dawniej, policzki były mniej pulchne, nos rysował się ostrzej. Jadowity Artur Lee musiał mu dobrze dokuczyć. Artur Lee był niedawno w dyplomatycznej misji w Berlinie; skończyła się takim samym niepowodzeniem jak madrycka. Rozgoryczyło go to jeszcze bardziej, zwiększyło manię wielkości do chorobliwych rozmiarów. We wszystkim, co się działo albo co się nie działo, wietrzył coś złego, a specjalny parol zagiął na Silasa Deane.

Natychmiast po przybyciu Artura Lee Silas Deane zaczął mówić o tym, jak Kongres przyjął panów z Francji. Porucznik Dubois i major Mauroy odwiedzili go, by mu się poskarżyć. Sprawozdanie ich było niestety rzeczowe i dokładne. Po niebezpiecznej podróży i różnego rodzaju kłopotach w Filadelfii Lafayette wraz z grupą piętnastu wojskowych stanął przed Kongresem. Po wszystkich tych trudnościach liczyli na

serdeczne przyjęcie. Przyjął ich niejaki mister Moose. - Chodzi zapewne o Roberta Morrisa/1 - zauważył Silas Deane. Mister Moose zabrał ich papiery do sprawdzenia, polecając im, by czekali nań następnego dnia przed gmachem Kongresu. Następnego dnia oddał ich w ręce innego członka Kongresu, jegomościa, który mówił po francusku, niejakiego pana L. - Był to zapewne James Lowell/2 - wtrącił Silas Deane. On również rozmawiał z nimi przed drzwiami, na ulicy. To prawda, oświadczył, że mister Deane otrzymał polecenie przysłania pewnej ilości oficerów francuskich, doświadczonych saperów. Przysłał też kilku, którzy podali, że są saperami, a w istocie nimi nie byli; to samo zdarzyło się z kilkoma rzekomymi oficerami artylerii, którzy niewątpliwie nigdy jeszcze nie pełnili żadnej służby. Oświadczywszy, iż wszystkie pozory przemawiają za tym, że oficerowie francuscy chętnie przybywają do Ameryki bez zaproszenia, pan L. odszedł zostawiając przybyszów na ulicy. Oficerowie stojący w słonecznym skwarze przed gmachem Kongresu spoglądali po sobie zakłopotani.

1/ Robert Morris (1734-1806)-amerykański finansista i mąż stanu, członek Kongresu.

2/ James Lowell (1737-1814) - patriota amerykański, członek Kongresu.

Kiedy Lafayette wylądował na amerykańskim brzegu, ucałował ziemię i złożył przysięgę, że albo wraz ze sprawą Ameryki zwycięży, albo zginie. Teraz na ulicy przed wejściem do Kongresu zaklął siarczyście: „Do stu piorunów!” Oto co Silas Deane opowiedział swym kolegom. Był wzburzony. Przecież to on wystawił oficerom dyplomy. To, co zaszło, traktował jako zniewagę osobistą.

Franklin siedział z nieruchomą twarzą i drapał się; na wąskich wargach Artura Lee pojawił się uśmieszek. Ponieważ obydwaj milczeli, Silas Deane nie mógł powstrzymać się od gorzkiej uwagi:

- Nie można powiedzieć, by Francuzi nas tutaj zapraszali. Ale, o ile mi wiadomo, nikt jeszcze nie oświadczył naszemu doktorowi, że przybył nieproszony. Przeciwnie, cały Paryż mówi o honorach, jakie mają go spotkać z okazji otwarcia Salonu.

- Tak - powiedział Artur Lee - tu karmią nas pięknymi słówkami i płótnem.

Franklin próbował wytłumaczyć stanowisko Kongresu. Przecież inni Francuzi zostali w Filadelfii. Teraz z pewnością nadeszło już za ocean jego pismo polecające młodego markiza i niezawodnie generał Waszyngton naprawił niezręczność panów Morrisa i Lowella.

- Kongres zdezwuował nas wszystkich - szalał Silas Deane. - Nie uznał dyplomów, któreśmy w jego imieniu wystawili.

- Które pan wystawił - sprostował Artur Lee.

- Ja również otrzymałem polecenie - powiedział Franklin - wysłania za ocean oficerów artylerii.

Artur Lee stał przy kominku ze skrzyżowanymi rękami, wyprostowany, z nieco opuszczoną głową.

- Z zachowania Kongresu - powiedział ponuro i prowokująco - należałoby wyciągnąć naukę, że wysłanie paru karabinów czy kilku fircykowatych Francuzów o pięknie brzmiących nazwiskach nic nie daje. Należałoby z o wiele większą energią dążyć do właściwego celu, którym jest sojusz. Należałoby o wiele ostrzej nacierać na ministrów, grozić im. Dotychczasowymi metodami nie zajdzie się daleko.

Silas Deane odpowiedział:

- O ile mi wiadomo, czcigodny mister Lee, w Madrycie i w Berlinie stosował pan swoje metody. Nie widzę, by pan

odniósł wielkie sukcesy. Tymczasem tutaj, właśnie w ostatnich czasach, niejedno udało się osiągnąć. Proszę pomyśleć o spotkaniu doktora z królową, o jego portrecie w Salonie.

- Nie rozpraszajmy się, panowie - wmieszał się Franklin. - Zapytajmy lepiej siebie samych, co możemy uczynić, by zapobiec tego rodzaju fałszywym posunięciom Filadelfii. Proponuję, byśmy wystosowali wspólne pismo do Komitetu Zagranicznego Kongresu. Wytlumaczymy tym panom, że tu we Francji wymagają, by słowo „nie” było przynajmniej obficie posypane cukrem.

- Jestem Amerykaninem - powiedział Artur Lee – ani mi w głowie zapierać się tego.

Franklin westchnął, porzucił ten temat i poddał pod dyskusję, co począć z tym Prusakiem, panem von Steuben.

Sprawa z baronem von Steuben wyglądała tak: był on adiutantem króla pruskiego Fryderyka i odznaczył się w wojnie siedmioletniej. Teraz w Europie panował pokój. Von Steuben, tęskniąc za jakąś działalnością, zaproponował usługi Amerykanom. Godni zaufania przyjaciele Franklina bardzo chwalili jego talent organizatorski, na Franklinie zrobił dodatnie wrażenie. Zachowywał się bezpretensjonalnie, miał skromne wymagania finansowe. Człowiek tego pokroju powinien być pożądanym nabytkiem dla generała Waszyngtona; może wpoić armii poczucie dyscypliny, którego jej brak.

Franklin miał ochotę zaangażować pana von Steuben, ale opryskliwe przyjęcie oficerów francuskich wzbudziło w nim wątpliwości. Silas Deane popierał w dalszym ciągu projekt zaangażowania pana von Steuben. Ale Artur Lee oświadczył zjadliwie, że na podstawie dotychczasowych doświadczeń, należałoby wreszcie zrezygnować z drażnienia zasłużonych

oficerów amerykańskich werbunkiem cudzoziemskich zwierzchników.

- Dawniej - zareplikował zirytowany Silas Deane - występował pan tylko przeciw angażowaniu Francuzów. Odkąd pan był w Berlinie, piorunuje pan również przeciw braniu Niemców. Jeśli będzie pan dłużej podróżował po świecie, zacznie pan przeciwstawiać się werbowaniu każdego, kto nie wyrósł w otoczeniu rodziny Lee.

- Przyznam panu otwarcie, drogi panie - odpowiedział wojowniczo Artur Lee - że istotnie widzę tu chętniej członków rodziny Lee niż niektórych innych ludzi.

- Wolałbym nie czytać - odrzekł Silas Deane - co pan pisze o mnie w raportach wysyłanych do Filadelfii.

- Wyobrażam sobie - odciął się Lee - że się pan takich raportów obawia.

- Niechże już pan łaskawie przestanie - wmieszał się Franklin.

- Jest pan podrażniony, należałby się panu spokój i wypoczynek. Jeżeli pan chce usłuchać starego człowieka, dobrze byłoby udać się po poradę do lekarza.

- Nie widzę w tym nic chorobliwego - warknął Artur Lee - że zasadniczo sprzeciwiam się angażowaniu cudzoziemskich oficerów.

Franklin wrócił do sprawy Steubena. Po tym, co zaszło, nie można przyrzec generałowi żadnych, nawet najskromniejszych poborów. Można co najwyżej nadać mu jakieś dwa tysiące akrów, ale z objęciem ich będzie musiał czekać aż do chwili zwycięstwa.

- Obawiam się - wtrącił Silas Deane - że nie będzie to dla generała zbyt pociągające

- Jeżeli ten pan kieruje się jedynie żądzą zarobków - szydził Artur Lee - możemy z niego spokojnie zrezygnować.

Silas Deane poinformował, że jeżeli umowa nie zostanie w jak najkrótszym czasie zawarta, generał zamierza wrócić do Niemiec.

- Byłoby mi żal, gdybyśmy go utracili - powiedział Franklin.

Silas Deane zaproponował, by się zwrócić do pana Beaumarchais, może on znajdzie jakąś radę, Franklin stłumił westchnienie; skoro się nie chce zrezygnować z pana von Steuben, chyba nic innego nie pozostaje.

Na tym sprawę zakończono i Franklin przeszedł do swego projektu mianowania Williama Temple sekretarzem. Wskazując stos papierów na biurku, oświadczył, że brzemień spraw jest coraz większe.

Jeżeli już ma się kogoś zaangażować, protestował Artur Lee, to chyba doświadczonego, wykształconego urzędnika, a nie siedemnastoletniego młodzieńca. Franklin miał na to dobrą odpowiedź. Ilekroć przyjmowało się dotychczas fachowych sekretarzy, powiedział, kolega Lee wyrażał wątpliwość, czy są pewni pod względem politycznym. O Williamie nawet mister Lee nie zechce chyba twierdzić, że jest szpiegiem. Artur Lee przełknął ślinę, po chwili oświadczył wrogim tonem, że sytuacja finansowa nie pozwala na nowe etaty.

- Myślałem o poborach wysokości stu dwudziestu liwrów - wyjaśnił Franklin. - Osiemdziesiąt liwrów wstawiłbym do rachunku Kongresowi, a czterdzieści pokrywałbym z własnej kieszeni.

- Uważam zaangażowanie młodego mister Williama za świetny pomysł - powiedział Silas Deane - ale oczywiście nie może być mowy, by doktor dopłacał coś z własnej kasy.

- A więc zrobione - zakończył debatę Franklin.

- Proszę zanotować w aktach - oświadczył Artur Lee - że to zaangażowanie nastąpiło wbrew moim protestom.

Franklin zaczął znów rozwódzić się nad sposobem, w jaki Filadelfia przyjęła Lafayette'a i jego oficerów.

- Jest pan człowiekiem rozsądnym - powiedział przyjaźnie do Artura Lee - umie pan przewidzieć skutki politycznych wydarzeń. Pan wie, że postępowanie panów Morrisa i Lowella szkodzi tutaj naszej sprawie. Czy nie zechciałby pan więc poprzeć naszych nalegań pod adresem Kongresu i przez zadokumentowanie swego udziału i złożenie podpisu nadać im charakter jeszcze bardziej naglący?

- Nasi panowie w Filadelfii - oburzył się Silas Deane - zachowali się jak ludzie niepoczytalni. Że też ci oficerowie musieli wrócić właśnie teraz, kiedy czynione są przygotowania do uczczenia naszego doktora w związku z otwarciem Salonu. Teraz każdy Francuz poprzez portret Franklina będzie widział młodego Lafayette'a i jego oficerów stojących na ulicy w słonecznym żarze przed zamkniętymi drzwiami Kongresu.

Artur Lee słuchał z zawziętym wyrazem twarzy. „Zawsze i wszędzie słyszy się: Franklin, Franklin, nigdy: Ameryka”. Doktor honoris causa posługiwał się swym urzędem wyłącznie dla powiększenia własnej sławy. Jutro albo pojutrze pójdzie do Luwru, do Salonu, stanie przed swoim wyidealizowanym portretem i będzie zbierał laury, należne Henrykowi Lee, generałowi Waszyngtonowi oraz tysiącom tych, którzy zginęli za wolność.

Mądry Franklin przeczuwał, co się w tym zgorzkniałym człowieku dzieje. Uśmiechał się przyjaźnie. Artur Lee mówił sobie, że stary będzie się tak uśmiechał przed swoją podobizną.

Ale Franklin oświadczył:

- Po upokorzeniach, jakich doznali nasi młodzi francuscy przyjaciele w Filadelfii, nie wydaje mi się rzeczą wskazaną, byśmy mieli podsycać jeszcze gniew paryżan. Będzie chyba rozsądniej, jeżeli się nie pokażę na otwarciu Salonu.

Małe oczka Silasa Deane rozszerzyły się, patrzył ogłupiałym wzrokiem.

- Naprawdę chce pan zrezygnować z manifestacji na pańską cześć? - zapytał.

- Zalecono nam w Wersalu powściągliwość - odrzekł Franklin. Artur Lee oddychał gwałtownie.

- Jeżeli będzie pan pisał do Kongresu - powiedział ponuro - jestem gotów złożyć swój podpis.

- Wiedziałem, że człowiek pokroju Artura Lee potrafi się przezwyciężyć, kiedy chodzi o sprawę - powiedział Franklin.

Artur Lee wsunął swą drewnianą rękę w wyciągniętą dłoń doktora.

Po dymisji Saint-Germaina stawili się również u Toinette hrabia Mercy i ksiądz Vermond. Oczywiście wiedzieli, że to ona wpłynęła na zmianę ministra. Udawali jednak, że nie jest im to wiadome, poprzestali na ubolewaniu, że nie umiała przeszkodzić usunięciu tak utalentowanego i wysoko przez Wiedeń cenionego Saint-Germaina oraz mianowaniu takiego ignoranta i osławionego chciwca, jakim jest Montbarey. Toinette zareagowała na te skargi jedynie wyniosłym wzruszeniem ramion. Jednakże pierwsza jej radość z powodu usunięcia Saint-Germaina trwała bardzo krótko. Niemiłą była jej myśl, że w przyszłości, kiedy zechce starać się o stanowiska oficerskie dla swych przyjaciół, będzie musiała współzawodniczyć z mademoiselle de Violaine z Opery, za pośrednictwem której Montbarey uprawiał swój handel posadami. Uświadomiła sobie, że wówczas w swej alkowie w Trianon odniosła zwycięstwo bardzo wątpliwej natury.

Hrabia Mercy i ksiądz Vermond przeszli teraz do innej kłopotliwej sprawy. Z całym szacunkiem pozwolili sobie zwrócić Toinette uwagę, że niestety mieli rację prorokując, jakie skutki będzie miała dla jej królewskiej mości w opinii paryżan konwersacja z buntownikiem. Niektórzy przyjaciele

madame przypuszczali zapewne, że po względach okazanych Amerykaninowi popularność królowej wzrośnie. Niestety nie odczuwa się tego ani śladu. Przeciwnie. Rozrzutność Toinette - jak twierdzą w knajpach i kawiarniach paryskich - tak nadwreżyła skarb państwa, że nie ma teraz mowy o okazywaniu pomocy Ameryce w jej walce z odwiecznym wrogiem Francji. Nadmierne wydatki Toinette zmusiły Francję do wzięcia fałszywego kursu politycznego nacechowanego słabością.

Wobec tego, że Toinette patrzyła z coraz większym niedowierzaniem i niezadowoleniem, hrabia Mercy wyciągnął jeden z licznych pamfletów, które pojawiły się w ostatnich tygodniach. Trzymając broszurę w czubkach palców, odczytywał jej fragmenty. Wymieniano tam fantastyczne sumy, które kosztuje skarb państwa rozrzutna gospodarka w Trianon, tym „małym Schönbrunnie”, wpływ Austriaczki na los „słodkiej Francji”¹ odmalowany był w ciemnych barwach.

1/Douce France - tak nazywali Francuzi swoją ojczyznę.

Toinette i te napomnienia przyjęła szyderczo, choć wiedziała, że nie są bezpodstawne. Odwaga, jakiej dała dowód przez spotkanie z buntownikiem, poszła w zapomnienie albo nie spotkała się z odpowiednim uznaniem. Jadąc przez ulice Paryża nie mogła nie zauważyć, że tłum, który dawniej witał ją z entuzjazmem, teraz przyjmuje ją wrogim milczeniem.

Niemile te refleksje rozplynęły się wszakże w zainteresowaniu nowym projektem. Wyobraziła sobie, że zagrana w jej cudownym teatrze w Trianon komedia pana de Beaumarchais wypadnie bez porównania weselej i subtelniej niż na scenie Theatre Francais. Podczas przedstawienia brała ją kilkakrotnie chętka zagrania zamiast panny Mesnard czy Dumesnils, miała

wrażenie, że to lub owo zdanie wypowiedziałyby dowcipniej albo z większym wdziękiem niż te głośne aktorki. W środowisku wielkich pań i panów przedstawienia amatorskie były modne. Czyż nie szkoda, aby nie wystąpiła na swojej scenie, najpiękniejszej w całym królestwie? Plan jej bardzo zainteresował markiza. Był sam utalentowanym aktorem i zamiłowanym reżyserem. Teatr amatorski dawał mu doskonałą sposobność okazania innym swej wyższości pod względem smaku i wykształcenia, dawał pole do rozwinięcia wrodzonego despotyzmu.

Oświadczył Toinette, że jako jej intendent, właśnie dlatego, że jest utalentowana, pozwoli jej wystąpić dopiero wtedy, kiedy będzie mogła zaćmić wszystkie inne artystki. Francuszczyzna jej ma wciąż jeszcze cień cudzoziemskiego akcentu, zwłaszcza wymawianie litery „r” nie jest nienaganne. Bardzo to wdzięczne w konwersacji, ale nie na scenie. Musi się uczyć, wytrwale uczyć.

Toinette zgodziła się skwapliwie. Postanowiono, że będzie brała lekcje gry scenicznej u panów Michu i Caillot z Theatre Francais. Toinette trwała mimo to w zamiarze urodzenia krajowi prawowitego dziedzica i kazała markizowi czekać. Wraz z niecierpliwością rosła jego żądza władzy i raz po raz próbował poróżnić Toinette z Ludwikiem.

Pewnego dnia zapytał ją tonem oskarżycielskim, dlaczego właściwie w tym roku nie odwiedza Salonu.

- Przyrzekłam Ludwikowi - wyznała szczerze - jak największą rezerwę w stosunku do buntowników.

- Znam kogoś - odrzekł Vaudreuil - kto gorzko się skarżył, że królowa Francji ma mniej wolności niż sprzedawczyni ryb w halach. Nie widzę powodu, dla którego nie byłoby pani wolno odwiedzić Salonu.

- Uważano by to za nową prowokację - upierała się Toinette. Vaudreuil uśmiechnął się zuchwale i nic nie odpowiedział.

W kilka dni później Toinette odwiedziła Salon. Artyści, których dzieła znajdowały się w Salonie, stawili się niemal w komplecie; każdy liczył na słowo uznania z ust królowej.

Toinette stała bez wielkiego zainteresowania przed szlachetnymi popiersiami Woltera, Moliera i Rousseau dłuta Houdona. Obejrzała piękne krajobrazy swego nadwornego malarza Huberta Robert oraz jego ruiny. Zainteresował ją barwny ruch na obrazie Leprince'a Rynek wschodni oraz wielki zgiełkliwy obraz malarza Vincent, przedstawiający prezydenta Mole w otoczeniu powstańców. Potem stała długo przed olbrzymim malowidłem, wykonanym przez malarza Robin na zamówienie miasta Paryża. Na obrazie przedstawiony był młody Ludwik, który odbywa uroczysty wjazd do Paryża, by potwierdzić przywileje tego miasta. Ludwik bardzo wyidealizowany - nie poznałaby go, gdyby jej nie powiedziano, że to on - otoczony kilkoma postaciami przedstawiającymi Sprawiedliwość, Dobroczynność, Zgodę i Prawdę; wszystkie, w strojach całkowicie osłaniających ich wdzięki.

Wreszcie Toinette znalazła się w sali, w której wisały portrety malarza Duplessis. Od razu wpadł jej w oko portret Amerykanina, ale opanowała się, nie patrzyła w tę stronę, dała się poprowadzić przed inne portrety. Duplessis był obecny, wyglądał śmiesznie w gali, w którą się przybrał, dobrotliwa chłopska twarz miała zaleźniony wyraz, jakby go onieśmiał wspaniały strój. Królowa odpowiedziała łaskawie na jego ukłon.

Obejrzała naprzód portret doktora Lassone, jej lekarza, człowieka, który dokonał operacji Ludwika. Doktor Lassone zwykł był wypowiadać swe zalecenia stanowczym tonem. Nie znosił sprzeciwu i chociaż Toinette oraz Klanik Liliowego Bzu podrwili sobie chętnie z jego pychy, afer miłosnych i chciwości, królowa odczuwała jakiś przesądny lęk przed

zimnymi, badawczymi oczyma wielkiego lekarza oraz przed jego wprawnymi, zręcznymi rękami. Duplessis pozostawił doktorowi lekko obwisłe policzki, ale usta były twarde, oczy ostre i władcze, a prawa ręka, oparta na księgach, zdawała się grozić.

Doktor Lassone, którego tu oglądała na płótnie, wzbudzał w niej chyba jeszcze więcej niepokoju niż prawdziwy Lassone, którego konsultacji pragnęła i równocześnie bała się.

Podeszła do następnego obrazu, do portretu księżny de Penthièvre. Czy to naprawdę ona? Toinette widywała ją przecież dosyć często, księżna nigdy nie wydawała jej się piękna. Tymczasem tutaj była pełna uroku, chociaż Duplessis nie bardzo jej pochlebił. Widocznie dobrze jest dać się malować siedząc w trawie, z gołymi nogami, w sandałach. Musi sobie to zapamiętać.

- Ładne, bardzo ładne, czarujące - powiedziała malarzowi.

Wreszcie znalazła się przed portretem doktora Franklina. Sala była nabita, ciekawi tłoczyli się aż na dziedzińcu, kiedy jednak królowa stanęła przed obrazem, zapanowała całkowita cisza.

Ten, który patrzył na nią z ram, był to człowiek znany Toinette, a jednak bardzo inny. Szerokie, władcze usta były zamknięte i nie miało się wrażenia, by mogły wypowiadać słowa pełne galanterii. Spod potężnego czoła patrzyły oczy surowe, badawcze, bardzo prawe. Czy patrzyły na kogoś? Czy ponad ludzi? Czy drażyły ich swoim spojrzeniem? Toinette dziwiła się, że rozpoczęła z tym człowiekiem walkę. Odczuwała pewien lęk, ale pociągał ją i była dumna, że szukała z nim spotkania.

Malarz Duplessis stał tuż obok niej, starając się odgadnąć, jakie wrażenie sprawi jego dzieło na królowej.

Nagle zobaczył po raz pierwszy jej twarz taką, jaką była naprawdę; ładną, niemądrą, ale w żadnym razie nie bezmyślną, bardzo żywą, bardzo wyniosłą, bardzo królewską.

Gdyby miał raz jeszcze okazję malowania jej, portret byłby dobry. Ale wielkich tego świata nigdy nie można skłonić do paru seansów, które są konieczne. Z Amerykaninem dobrze się pracowało i portret się udał. Ten tu na płótnie jest naprawdę wielkim człowiekiem i Duplessis wcale mu nie pochlebił nadając mu tyle godności. Dużo czasu pochłonęło malowanie oczu. Duplessis by zadowolony. Tak patrzył żywy Franklin, spoglądając na ludzi i równocześnie ich nie widząc. Toinette stała ciągle przed obrazem bez słowa. Wydało jej się, że trwa to wieczność, a trwało w istocie dwie minuty. Było cicho, niesamowicie cicho, wiedziała, że znowu musi coś powiedzieć, coś, co przy najgorszej woli nie może być źle zrozumiane.

- Świetnie - oświadczyła wśród głuchoj ciszy i zwróciła się bardzo pięknym ruchem do malarza Duplessis. - Naprawdę znakomity portret, godny naszego Duplessis. Była rada, że nie powiedziała: „Godny naszego Fraklina”.

Odeszła od obrazu.

- Co jeszcze jest godnego widzenia? - zwróciła się do oprowadzających ją artystów. Obejrzano bardzo dobry portret starego, głośnego badacza roślin Linne, namalowany przez Rosłia w ubiegłym roku podczas podróży jego po Szwecji.

- Panowie wiedzą - oświadczyła Toinette - że wszystko, co dotyczy botaniki, bardzo mnie interesuje.

Wieczorem udała się do Opery, gdzie grano Ifigenię Glucka. Przeszła pieszo niewielką odległość, witano ją owacyjnie przez całą drogę. Kiedy ostatnio pokazywała się w teatrze, publiczność podnosiła się na jej widok w milczeniu ze swoich miejsc, tego wieczora urządzono jej długą owację. Podczas arii drugiego aktu, „Śpiewajcie ku czci i chwale naszej królowej”, Achilles wyszedł przed rampę i odśpiewał arię zwrócony w stronę łoży Toinette. Publiczność podniosła się i zażądała powtórzenia arii po raz drugi i trzeci.

W ciągu swego krótkiego życia Toinette często dziękowała przyjmującemu ją owacyjnie tłumowi. Ale nigdy nie była tak uszczęśliwiona jak owego wieczoru. Lekki rumieniec zaróżowił jej długą, owalną twarz, kiedy zgodnie z ceremoniałem trzykrotnie skłoniła na prawo i na lewo głowę ze wspaniałą wieżą popielatych jasnych włosów. Czuła się szczęśliwa jak dziecko. „Niech mi ksiądz Vermond raz jeszcze powie, że paryżanie mnie nie cierpią” - pomyślała. Coś w niej śpiewało szlachetną, prostą melodię Glucka, Toinette ubolewała, że w swej fryzurze nie nosi wizerunku Beniamina Franklina.

Kiedy Ludwik dowiedział się, że Toinette obejrzała portret Franklina, ogarnęła go głucha furia. Czy mu nie przyrzekła, że się wstrzyma od wszelkich wyrazów sympatii dla Ameryki? A jeżeli potem paryżanie zrobili jej owację, było to tylko potwierdzeniem, że wizyta w Salonie uznana została przez ogół za dowód łaski dla buntownika, za opowiedzenie się po stronie rebelii. To duch rebelii składał hołdy Toinette w Operze i Ludwik był rozgoryczony, że musi na to patrzeć beczynn timer.

Od początku był świadom tego, że może tylko milczeć i martwić się. Gdyby do niej poszedł i zaczął jej robić wyrzuty, że faworyzuje buntownika, spotkałby się z ironią i brakiem zrozumienia. Cóż takiego uczyniła? Obejrzała sobie obrazy malarza nadwornego Duplessis. Czy nie powinna była tego zrobić? Widział w duchu jej spojrzenie pełne szyderstwa, ale i niewinności. Czy Ludwik nie chciał, by się dała malować mistrzowi, czy sam nie dał się przez niego malować?

Nadszedł książę Ksawery, rozpoczął rozmowę o Salonie. - Jest tam również i twój portret - powiedział - ten bohomasz Robina. Mówiono mi, że malarz bardzo cię wyidealizował, mój drogi Ludwiku; no cóż, jesteś królem i tak widocznie być

musi. To by była zabawa, gdybyśmy byli poszli obaj i razem obejrzeni ten bohomas. Ale to nie uchodzi, bo wisi tam także ten buntownik. Oczywiście są ludzie, którzy takich skrupułów nie uznają. To rzecz smaku.

Ludwik szalał w duszy, ale nie odpowiedział ani słowem.

W kilka dni później przedłożono mu sztych według portretu Franklina. Z wrogą miną przyglądał się Ludwik rysom tego człowieka. Oczywiście Duplessis zatuszował całą nikczemność tkwiącą w tym buntowniku. I tego Duplessis on, Ludwik, mianował „malarzem króla”. Dobry to malarz, czego dowodem był portret Ludwika. Szkoda, że sztuka i cnota tak rzadko idą z sobą w parze.

Ludwik odczytał podpis na sztychu. Brzmiał następująco: „Oto sława i moc nowego świata. Fale oceanu milkną przed jego głosem. Kieruje piorunem i każe mu milczeć wedle swojej woli. Ten, kto rozbroił bogów, może nie bać się królów”. Ludwik odczytał tekst po raz drugi. A więc do tego doszło. Odważono się ogłosić coś podobnego w jego stolicy. To więcej niż obraza majestatu, bo bluźnierstwo. „Kieruje piorunem i każe mu milczeć wedle swej woli”. Gniewny, wstrętny charkot wydobył się z gardła Ludwika. Król zadzwonił, kazał, by natychmiast, bezzwłocznie, stawiał się generalny prefekt policji.

Kiedy zjawił się pan Lenoir, Ludwik podsunął mu sztych.

- Widział pan to? - zapytał.

- To Franklin pana Duplessis - odrzekł generalny prefekt policji. - Krytyki są dobre, doskonałe, publiczność rozchwytuje sztych jak świeże ostrygi.

- Czytał pan te wiersze? - pytał dalej Ludwik i zawołał nagle: - Niech pan czyta.

- Bardzo kiepskie wiersze - powiedział pan Lenoir.

- I pan pozwala sprzedawać coś podobnego! - wrzeszczał Ludwik. - Jak świeże ostrygi, na rogach wszystkich ulic

Paryża. Gdzie pan ma oczy, mój panie. Kiepskie wiersze. Przecież to obraza majestatu, bluźnierstwo przeciw Bogu. „Każe milczeć piorunowi”. Czyście wy wszyscy poszaleli?

Pan Lenoir pobladł. Opanował się jednak i powiedział ze spokojem:

- Jak widzę, wydawcą sztychu jest pan Rouault. Każę jak najprędzej usunąć ten tekst.

- Zniszczyć, wdeptać w ziemię to bluźnierstwo! - wrzeszczał Ludwik. - Zamknąć tego człowieka.

- Niechaj wasza królewska mość zechce rozważyć w spokoju... - wtrącił prefekt policji.

- Już rozważyłem - przerwał Ludwik - to wyście powinni byli rozważyć i to zawczasu. „Każe milczeć piorunowi”. Proszę już odejść! - ryknął. - Proszę wykonać moje polecenie.

Monsieur Lenoir odszedł, ale udał się najpierw do premiera Maurepas i hrabiego Vergennes. Potem polecił zawiadomić wydawcę Rouault, że ma polecenie aresztowania go, i dopiero kiedy pan Rouault znalazł się w bezpiecznym miejscu, posłał do niego swoich agentów.

Tymczasem Maurepas perswadował Ludwikowi, że teraz, kiedy portret Franklina stał się taką olbrzymią sensacją, aresztowanie wydawcy byłoby uważane za wrogą demonstrację nie tylko przeciw Ameryce, ale również przeciw ludności Paryża. Po pewnych wahaniach Ludwik pomrukując cofnął nakaz aresztowania.

- Ale bezbożne wiersze muszą zniknąć z powierzchni ziemi - zarządził z wściekłością i stanowczo.

Sprzedawano więc w dalszym ciągu sztych według portretu Franklina bez tekstu, ale z dużą ilością wolnego miejsca, i paryżanie dopisywali tekst własnoręcznie.

Ludwik nie zamienił z Toinette ani słowa na temat jej wizyty w Salonie oraz wypadków, które pociągnęła za sobą ta wizyta.

Toinette cieszyła się zarówno z tych wypadków, jak i z milczenia Ludwika.

Radość ta jednak nie potrafiła zagłuszyć uczucia zawodu, które jak robak toczyło jej duszę. Była niespokojna, trapiły ją gorzkie, upokarzające myśli. Mijały tygodnie i miesiące i nic się nie zmieniało. Ludwik nie był w stanie spółdzić delfina. We wszystkich listach matki, we wszystkich jej wymówkach na temat spotkania z Franklinem i rozrzutnej gospodarki w Trianon Toinette wyczuwała smutek starej kobiety z powodu nieziszczonych nadziei.

Chcąc zagłuszyć dręczące ją stale, upokarzające rozgoryczenie, oddała się z zapałem studiom aktorskim, pracowała niezmiernie nad poprawiejszym wymawianiem litery „r”, nie zważając na niebezpieczeństwo zniekształcenia swych słynnych lekkich ruchów, uczyła się kroczyć jak damy z Theatre Francais. Panowie Michu i Caillot stwierdzali z podziwem, że pracuje, jak gdyby chciała zostać zawodową aktorką; strofowali ją z szacunkiem i z satysfakcją, a Toinette prosiła:

- Tylko tak dalej, moi panowie.

Ale i to niewiele jej pomogło. Coraz częściej kłóciła się z markizem. Pytał szyderczo, jak długo jeszcze będzie czegoś oczekiwała od grubasa. W gniewie kazała mu iść precz i po kilka dni nie dopuszczała go do siebie. Ale w głębi ducha przyznawała, że zachowanie jej w stosunku do Francois jest głupie i śmieszne.

Vaudreuil zapewne po to, by wzbudzić zazdrość Toinette, zbliżył się jeszcze bardziej do Gabrieli. Toinette przejrzała jego grę, ale świadomość, jak stoją sprawy, nie pomagała, zdenerwowanie jej rosło. Ponieważ gorzkie słowa i skargi nie robiły na markizie wrażenia, zaczęła dręczyć łagodną, rozleniwioną Gabriellę.

Tymczasem Juliusz Polignac przyrzekł pomóc swej ciotce, baronowej d'Andlau, która straciła majątek. Zwykłym sobie despotycznym tonem żądał od Gabrieli, by się postarała u Toinette o rentę dla baronowej.

- Jakiś napiwek - powiedział - dajmy na to sześć tysięcy liwrów.

Gabriela zgodziła się bez trudu i kiedy następnym razem spotkała się z Toinette, wspomniała jej o tym mimochodem, pewna, że rzecz będzie załatwiona.

Toinette źle spała owej nocy, kiedy Gabriela zjawiała się ze swą prośbą, królowa myślała właśnie o tym, że w Paryżu dopatrywano się związku pomiędzy jej wydatkami a grą na zwłokę, uprawianą przez Wersal w sprawie amerykańskiej. Zobaczyła również w myśli swego brata Józefa: gorzkim, złośliwym tonem wymienił jej listę dobrodziejstw, którymi obsypała rodzinę Polignac.

- Nie pamiętam waszej ciotki, pani Andlau - powiedziała. — O jaką sumę tu chodzi?

- O pięćset liwrów miesięcznie - odrzekła Gabriela, w której ustach suma ta zabrzmiała jak jakaś śmieszna bagatelka.

- Myślę - powiedziała Toinette - że nie będę jej mogła dać tej renty.

- Chodzi przecież tylko o pięćset liwrów - odparła ze zdumieniem Gabriela i dodała nieco bezradnie: - Jeśli się nie mylę, Juliusz już jej te pieniądze obiecał. - Wobec milczenia Toinette wzruszyła leniwie ramionami i dorzuciła : - Trudno, w takim razie ciotka będzie musiała poczekać, aż Juliusz albo ja coś wygramy.

Toinette była niezadowolona, że jej odmowa tak słabo poruszyła Gabrielę.

- Mam zresztą zamiar - oświadczyła - zarządzić, by podczas gry na wieczorach u mnie najwyższa stawka nie przekraczała dziesięciu luidorów. Obiecałam to królowi.

- W takim razie - odpowiedziała z radosną beztroską Gabriela
- jeżeli będziesz miała ochotę grać wyżej, przyjdiesz do mnie.

- Nie wiem - odrzekła Toinette powoli i ze złością. - Odkąd zamieszkałam w Trianon, nie bawi mnie ani twój markiz de Dreneux, ani twój mister Smith z Manchesteru.

Gabriela pokręciła głową.

- Kiedy prosiłam tych panów, żeby trzymali bank - powiedziała, ciągle jeszcze raczej zdziwiona niż dotknięta - była pani przecież bardzo zadowolona, madame. Nasi nie mieli już ani centyma.

Toinette, którą nagle ogarnęła zimna pasja, odparła:

- Nie powie pani chyba królowej Francji, że panią skłaniała do zapraszania tej hołoty.

- Co pani jest, na miłość boską, Toinette? - zapytała ze zdumieniem Gabriela. - Co się takiego stało?

- Wszyscy mi dokuczają - wybuchnęła Toinette. - Wszyscy mnie obrażają. Dlatego, że jestem dla wszystkich dobra, każdy myśli, że może po mnie deptać.

- Ale któż po pani depce, Toinette? - próbowała ją uspokoić Gabriela.

Słowa te sprawiły, że wyładował się nagle cały bezsilny gniew Toinette.

- Wszyscy chcecie mnie tylko wyzyskać! - gorączkowała się. - Czy przed chwilą nie żądałaś dla twojej ciotki sześciu tysięcy liwrów?

Gabriela zrozumiała, że Toinette napada na nią, ponieważ Vaudreuil nie reaguje na jej sarkastyczne uwagi i wybuchy gniewu. Gabriela była dobroduszną, niejedno potrafiła znieść i bardzo lubiła Toinette. Ponieważ jednak mało się troszczyła o korzyści materialne, które ciągnęła z przyjaźni z królową, poczuła się dotknięta jej niesprawiedliwością.

- Pojmuję twoje zdenerwowanie - rzekła. - Ale nie pozwolę nikomu, by mi dyktował, kto ma bywać w moim domu, nawet tobie.

Toinette nic nie odpowiedziała, na twarzy jej pojawił się wyraz lodowatej pychy. Rozstały się nie pogodzone.

Przez dwie godziny Toinette była rada, że choć raz powiedziała Gabrieli słowa prawdy. Ale później zaczęła tego żałować. Już rano odczuwała brak Gabrieli, a kiedy ta nie pojawiła się następnego dnia, lecz pod pierwszym lepszym pozorem zwolniła się od pełnienia służby przy dworze, Toinette byłaby najchętniej do niej poszła i poprosiła ją o przebaczenie. Ale nie potrafiła zwalczyć w sobie dumy.

Od Diany, którą zaczęła wypytywać, dowiedziała się, że Gabriela weźmie udział w przyjęciu u księżny Rohan. Byłoby upokorzeniem, gdyby po wszystkim, co powiedziała Gabrieli, poszła na ten wieczór. A jednak poszła.

Jak zawsze w przepelnionych salonach księżny Rohan nie było czym oddychać. Psy, papuga, przytłumione okrzyki grających, brzęk rzucanych monet składały się na całość obrazu. Gabriela była pochłonięta grą. Kiedy ujrzała Toinette, uśmiechnęła się radośnie, bez pychy, gotowa do przeprosin. Toinette usiadła obok niej. Gawędziły o sukniach, plotkowały, jak gdyby owej sprzeczki nie było.

Toinette zaczęła grać nie bardzo wysoko.

- Jeżeli wygram - rzuciła od niechcena - postaram się o tę rentę dla ciotki Andlau. Jeżeli przegram, zrobię to zresztą także.

- Dziękuję, Toinette - odrzekła Gabriela.

Grano dalej. Toinette podnosiła wciąż stawkę i wciąż przegrywała.

Nagle otworzyły się szeroko drzwi.

- Król - oznajmił stojący przy nich lokaj. Sapiąc jak miech wszedł Ludwik.

W ostatnim tygodniu nie widywał prawie Toinette poza uroczystościami oficjalnymi. Sztych według portretu Franklina, tekst pod tym sztychem, zakaz i wypadki, które po tym zakazie nastąpiły, wzmogły jego gniew. Ale świadomy swej bezsilności, milczał. Milczał również, kiedy się dowiedział, że wbrew przyrzeczeniom Toinette znowu wróciła do swej gorączkowej, kosztownej pogoni za rozrywkami. Jedno tylko zrobił. Swego czasu, po owej nocy w Trianon, w porozumieniu z Toinette wznowił stare zarządzenie, zabraniające w obrębie zamku wersalskiego stawek wyższych od ludora. Teraz, kiedy Toinette okazała się znowu lekkomyślna i nieposłuszna, polecił prefektowi policji, by go zawiadomił przez swoich tajnych agentów, kiedy tylko rozpocznie się w zamku gra, wykraczająca przeciwko temu zarządzeniu.

O tym, że owego wieczoru odbywa się taka gra, w dodatku w obecności królowej, dowiedział się ślęcząc nad tomem Historii ciekawych podróży, napisanej przez księdza Prevost/1.

1/ Abbe Prevost (1697-1763) - powieściopisarz francuski, autor słynnej powieści Manon Lescaut.

Pan de Laharpe z Akademii zarządził z jego polecenia nowe wydanie tego bardzo obszernego dzieła zbiorowego;

Ludwik śledził bieg owej pracy z wielkim zainteresowaniem. Był więc zatopiony w osiemnastym tomie Historii ciekawych podróży, poświęconym Kamczatce i Grenlandii, kiedy doszła do niego wiadomość o tym, co się dzieje przy stołach gry u księżny Rohan. Na srebrnym półmisku leżał przed nim kawał zająca na zimno obok kosztownej sosjerki z borówkami. Ludwik czytał swymi oczyma krótkowidza i jednocześnie maczał machinalnie kawałki mięsa w kompocie z borówek, żuł je, połykał, znów czytał dalej. Trzymając w ręku kawał

mięsa wysłuchał agenta policji, który w postawie na baczność zdawał mu raport.

- Dobrze - powiedział. Potem, jeszcze w obecności cofającego się ku drzwiom agenta, rzucił mięso na półmisek i gwałtownym ruchem zamknął księgę.

Ogarnęło go uczucie jakiejś dzikiej satysfakcji. Wstał i nic nikomu nie mówiąc, bez eskorty, przeszedł do apartamentów księżny Rohan. Po drodze kilkakrotnie otarł ręce o poły surduta i choć droga była długa, trwał niezłomnie w gniewie.

I teraz jeszcze, stojąc przy stole gry Toinette, pełen był gniewu, jak tego pragnął. Panowie zerwali się i złożyli głębokie ukłony. Ludwik nie widział ich, widział tylko to, co leżało na stole: karty do gry, stosy monet, kartki zapisanego papieru, szklanki i kubki z napojami, talerzyki ze słodyczami.

- Dobry wieczór, sire - powiedziała Toinette.

- Dobry wieczór, madame - odpowiedział wysokim, podnieconym głosem. - Chciałem spędzić spokojną godzinę z panią i jej damami. - Oddychał ciężko, trudno mu było skończyć zdanie.

- Doskonały pomysł, sire - powiedziała uprzejmie księżna Rohan.

Na to Ludwik wrzasnął ochryłym głosem: - I oto, co tu widzę!

- Co pan widzi, sire? - zapytała Toinette.

Ludwik podszedł do stołu, zgarnął kupkę złotych monet w grubą łapę i podsunął je przed oczy księżny Rohan.

- Co to jest, madame? - zapytał. Ponieważ księżna milczała, krzyknął: - Czy to są liwry, madame, czy też sous? Nie, to luidory. Nie jeden luidor, lecz dziesięć, jedenaście, trzynaście.

- Rzucił z powrotem złoto na stół. - To, co tu leży, mogłoby pokryć budżet całej prowincji.

- To przesada, sire - odpowiedziała czołobitnie, ale stanowczo Diana Polignac. - Tak niski budżet nie wystarczyłby nawet najbiedniejszej prowincji.

- Proszę milczeć, madame! - wrzasnął Ludwik dyszkantem. - Nie jest to chwila, by błyszczeć dowcipem. To, co tu leży na stole, należy się biednym Paryża. - Patrząc przed siebie, rozkazał: - Sporządzić mi listę obecnych oraz drugą listę, ile znaleziono pieniędzy. Chcę mieć dokładne cyfry, uporządkowane wedle monet, lista ma leżeć na moim biurku jutro o godzinie ósmej rano. Dobrej nocy, madame. Dobrej nocy, moi panowie i moje panie. Zadowolony, sapiąc, odszedł ciężkim krokiem. Następnego ranka odwiedziła go w gabinecie Toinette. Sądził, że przyszła się usprawiedliwić, był gotów okazać jej wielkoduszność.

- Uprzejmie to z pańskiej strony, sire - powiedziała - że pofatygował się pan odwiedzić mnie w kręgu przyjaciół. Zmartwiła mnie tylko gwałtowność, z jaką przypomniał pan mnie i moim paniom o obowiązku dobroczynności. Mam wrażenie, że pod tym względem nic mi nie można było dotychczas zarzucić. Przypominam biednych wieśniaków, którym w mojej wiosce w Trianon zapewniam dach nad głową i chleb. Nazywając rzeczy po imieniu, brutalne upomnienie ze strony pana, sire, było zbyteczne.

Ludwik nie odrywał oczu od książki, którą wertował, był to ciągle jeszcze osiemnasty tom Historii ciekawych podróży. Na otwartej osiemdziesiątej dziewiątej stronie, w rozdziale „Narzecze kurylskie” widniały w dwóch rzędach słowa kurylskie i francuskie. Spojrzał na nie, ten naiwny ton Toinette wyprowadził go z równowagi. A może była to czelność?

- Nie wiem - wyjąkał - niech tak będzie...

- Powinien pan był to przewidzieć, sire - przerwała Toinette. - Musiałam przez cały wieczór pocieszać moje panie.

- Nie daje pani dobrego przykładu dworowi i miastu - powiedział Ludwik - przegrywając jednego wieczoru sumy, które by wystarczyły...

- ...Na pokrycie budżetu jednej prowincji - rzuciła szyderczo Toinette. - Powiedział to pan już wczoraj. Proszę być sprawiedliwym, Ludwiku - prosiła. - Musi pan przyznać, że w ostatnich czasach oszczędzałam. Prowadzę w moim Trianon skromne, wiejskie życie, noszę tylko sukienki z alzackiego płótna. Doszło do moich uszu, że fabrykanci jedwabiu w Lyonie skarżą się, iż wskutek przykładu, który daję, zmniejszył się obrót ich towarów. Zrobiłam wszystko, by panu dogodzić. Byłam nawet w Salonie, choć obrazy nie bardzo mnie interesują, ale ze względu na pana, Ludwiku, nie chciałam urazić artystów. Odczułam również, że paryżanie pochwalają mój postępek. Czy opowiadano panu, jak serdecznie i żywiołowo witano mnie w Operze?

Ludwik patrzył bez słowa na swój słowniczek narzecza kurylskiego. Zrezygnował ze słuchania jej paplaniny.

- Skoro mowa o artystach i obrazach - ciągnęła dalej - muszę nareszcie kazać wymalować plafon mego teatru. Lagrenes zrobił już projekt: Apollo i kilka gracji, coś zupełnie prostego. Ale artyści biorą teraz słone ceny. Nie dałam jeszcze zlecenia, pamiętam o tym, że przyrzekłam panu oszczędzać. Jeżeli więc życzy pan sobie tego, sufit nie będzie przyozdobiony malowidłami.

Gdy odeszła, Ludwik przeznaczył dalsze sto tysięcy liwrów na Trianon.

Odesłani z Ameryki oficerowie, major de Mauroy i porucznik Dubois, udali się od razu do Beaumarchais'go, by mu opowiedzieć o swych przykrych doświadczeniach. Dotknęło to Carona. Irytowało go nie tylko to, że panowie, za których wysłanie czuł się współodpowiedzialny, zostali tak źle w

Filadelfii przyjęci, ale i to, że firma Hortalez będzie musiała przewyciężyć jeszcze wiele trudności, zanim otrzyma należną zapłatę.

W dwie godziny później nadeszła poczta z Ameryki. Zawarte w niej były dokładne, rzeczowe informacje o przyjęciu Lafayette'a i jego oficerów, kurier przywiózł bowiem wreszcie gorąco oczekiwany list Pawła.

Zamknawszy się w swoim gabinecie, sam na sam z suką Caprice, odczytywał Pierre obszernie pismo.

„Jakkolwiek głębsza rozważa powinna mi była nasunąć wątpliwości - pisał Paweł - przedstawiałem sobie w Paryżu Kongres Stanów Zjednoczonych tak, jak antyczni pisarze opisują senat rzymski w jego najlepszych czasach, a więc jako zebranie królów. Rzeczywistość w Filadelfii nie odpowiada temu pod żadnym względem. Mówiąc szczerze, mój wielce czcigodny przyjacielu, Kongres Stanów Zjednoczonych nie przypomina pod względem godności zewnętrznej i wewnętrznej nawet prowincjonalnych zgromadzeń we Francji. Odbywają się tam wieczne, marne kłótnie o drobne obowiązki i prawa. Trzynaście stanów handryczy się ze sobą, reprezentanci ich mają na oku tylko interes poszczególnego stanu, a poza tym są rozbici na konserwatystów i postępowców. Toczą się tam wieczne zwady o małe prawa i małe obowiązki i tak samo kwitnie przekupstwo jak za czasów despotyzmu, tylko w brutalniejszej formie. Zwolennicy króla angielskiego są licznie i pod względem wpływów o wiele silniejsi, aniżeli się w Paryżu przypuszcza, a głęboko zakorzenione przesady czynią nawet z postępowych Amerykanów fanatycznych wrogów Francji”.

Paweł opisywał w dalszym ciągu haniebne przyjęcie Lafayette'a i jego oficerów, dodawał jednak, że, jak mówią, generał Waszyngton otrzymał tymczasem list Franklina,

polecający Lafayette'a, i stara się naprawić niegodne zachowanie Kongresu.

W dalszym ciągu zajmował się Paweł widokami firmy Hortalez na otrzymanie pieniędzy od Kongresu. Mister Artur Lee oświadczał wielokrotnie i stanowczo, że „pożyczka Korony Francuskiej” dla Beaumarchais'go jest oczywiście darem króla nie dla niego, lecz dla Kongresu. Jako dowód przytaczał mister Lee słowa pana de Gerard, wypowiedziane do delegatów amerykańskich, że przecież otrzymali teraz cztery miliony. Ponieważ de facto dostali tylko trzy miliony, czwarty jest ten, który dostał Pierre. Paweł stara się wszelkimi środkami sprostować nieścistości i krętactwa mister Lee. Ale panowie z Kongresu nie chcą słuchać, umyślnie źle rozumieją. Paweł stara się przeforsować uznanie przynajmniej tych żądań, które są bezsporne. Ale i tutaj panowie z Kongresu dokonują coraz nowych manewrów, które trudno nazwać inaczej jak wykrętami. Wśród tych nikczemnych wykrętów najobrzydliwszy jest ten, że poczucie odpowiedzialności zabrania tym panom zapłacić cokolwiek, zanim nie zostanie sprawdzona każda poszczególna pozycja. Wykręty takie nie są godne wielkiego narodu, który walczy o wolność, ale można je wytłumaczyć niebotycznymi trudnościami finansowymi Kongresu. Aby nie narazić na szwank całej sprawy, Kongres wykręca się, jak może, od poszczególnych zobowiązań.

Pierre odczytał ten ustęp dwukrotnie. Czuł ponury szacunek dla obiektywizmu swego młodego przyjaciela. „Można je wytłumaczyć - myślał z goryczą - trudnościami finansowymi Kongresu. Bardzo słusznie, ale tym, który znajdzie się pod wozem, jestem ja”.

Ażeby być sprawiedliwym, kończy Paweł, i dać obiektywny obraz sytuacji, trzeba podkreślić, że w Kongresie obok ciasnych kramarzy siedzą również mężowie o szerokich horyzontach i wielkiej prawości. Toteż Paweł osiągnął to, że

równocześnie z jego listem odchodzi ładunek tytoniu i indyga, wartości dwudziestu siedmiu tysięcy dwustu pięćdziesięciu liwrów, jako rodzaj symbolicznej zapłaty. Paweł jest przekonany, że z czasem wszystkie żądania firmy Hortalez zostaną uwzględnione. Nowe przeżycia, wymagające wielkiej cierpliwości i silnych nerwów, nie zmąciły ani trochę jego wiary w powodzenie bohaterskiego przedsięwzięcia.

Pierre oparł głowę na dłoniach, odwaga opuściła go na chwilę. - Aleśmy się ładnie wpakowali - powiedział do suki Caprice - tak, bardzo ładnie. - Potem owładnął nim gniew. A więc to ma być rezultat: tytoń i indygo wartości dwudziestu siedmiu tysięcy dwustu pięćdziesięciu liwrów. Po to Paweł pojechał za ocean, po to naraził życie! Łajdaki, parszywi wiarołomcy! Oto jak wyglądają bohaterowie wolności, kiedy się im człowiek przyjrzy z bliska. I dla takich ludzi Pierre poświęca pieniądze, nerwy i życie? Dla takich ludzi młody, marzycielski Lafayette przeprowił się przez ocean. Dla zwyczajnych krętaczy. Jeżeli jedna pozycja się nie zgadza, nie płacą nic. A taka pozycja znajdzie się zawsze. Do stu diabłów!

Na rumianej mięsistej twarzy Beaumarchais'go, o jasnym, lekko cofniętym czole i pełnych, pięknie zarysowanych ustach, ukazał się grymas obrzydzenia. Wstydził się swej łatwowierności, wstyd mu było za ludzi, dla których pracował. Potem raz jeszcze i bardzo dokładnie przeczytał list Pawła. Ale już ulotniło się niezadowolenie, już starał się wydobyć na światło dzienne to, co było w liście krzepiące. Myślał również, że tymczasem wszystko się tutaj zmieniło i że on i Franklin są teraz przyjaciółmi. Zastanawiał się, co ma Pawłowi odpowiedzieć. Doniesie mu, co tutaj osiągnął, jak doprowadził do spotkania Franklina z dostojną osobistością, poleci mu, by wracał jak najprędzej. Pierre przepada za pisaniem listów, myśl o liście, który ma wysłać, dodawała mu skrzydeł.

Nie, nie da sobie obrzydzić wielkiej sprawy przez małostkowość poszczególnych członków Kongresu.

Wkrótce nadarzyła się sposobność udowodnienia tego. Silas Deane opowiedział o aferze generała Steubena. Zgodnie ze swym postanowieniem generał wrócił do Niemiec i Ameryka raz na zawsze straciła okazję zapewnienia sobie pomocy wytrawnego żołnierza i organizatora.

Raz na zawsze? Nie, czyż nie istniał na świecie Pierre de Beaumarchais?! Usiadł przy biurku i napisał do Steubena list pełen ognia, wzywający go do powrotu do Paryża. Środki, którymi rozporządza, są do dyspozycji generała, statek czeka na niego w Marsylii. Czyż naprawdę Ameryka i wielka sprawa wolności miałyby zrezygnować z współpracy tak wybitnego człowieka tylko dlatego, że wskutek głupiego przypadku nie zetknął się w Paryżu z Caronem? Nie, Pierre de Beaumarchais nie ugnie się przed takim przypadkiem.

List był tak przekonywający, że Steuben wrócił do Paryża.

W przeciągu czterech godzin Pierre osiągnął to, że generał wyraził gotowość służenia w armii Waszyngtona nawet bez kontraktu. Pierre postarał się o jego wyekwipowanie i przejazd. Wyprawił go do Marsylii we własnej, wygodnej karocy podróżnej i oprócz pokaźnej sumy pieniędzy dał mu dwa listy, jeden do Pawła, drugi do Kongresu. Pierre zrobił wszystko, by właśnie po nieudanym przyjęciu Lafayette'a zapewnić panu von Steuben honorowe przyjęcie w Filadelfii. „Proszę uczynić, co tylko jest możliwe - pisał do Pawła - dla tego zasłużonego generała, którego z dumą mogę nazwać swym przyjacielem. Jeśliby potrzebował pieniędzy, niech mu Pan ich da jak najwięcej. To dobrze zainwestowany kapitał. A nawet gdybym miał na tym stracić, poniosę chętnie ofiarę, byle tylko ten wielki człowiek zajął właściwe miejsce w walce o wolność Ameryki. Nie wyobrażam sobie piękniejszych

odsetek od mego kapitału niż czyny generała. Niech mu Pan pomoże, drogi Pawle".

W liście do Kongresu Pierre dawał takie pouczenie:

„Sztuka prowadzenia zwycięskiej wojny jest połączeniem odwagi, rozsądku, wiedzy teoretycznej i praktycznego doświadczenia. Wszystkie te zalety posiada wielki żołnierz, którego mam zaszczyt Panom posłać. Był towarzyszem broni Fryderyka pruskiego, zajmował przez dwadzieścia dwa lata odpowiedzialne stanowisko przy jego boku. Człowiek taki będzie mógł z powodzeniem pomagać Panu Waszyngtonowi".

Zaopatrzone więc w oba listy wsiadł pan von Steuben na okręt do Ameryki. Zapewnienie usług tego oficera dla sprawy Ameryki kosztowało Beaumarchais'go około dwunastu tysięcy liwrów, a więc prawie połowę sumy, którą mu Paweł zdołał dotychczas wysłać z Ameryki.

To, że Pierre stracił wskutek listu Pawła ostatnią nadzieję otrzymania w niedługim czasie zapłaty od Kongresu, nie przeszkadzało mu wydawać coraz więcej pieniędzy na dom, który budował. Architekt Le Moyne zwracał mu kilkakrotnie uwagę, że wobec coraz dalej idących jego wymagań, nie będzie mógł utrzymać się w granicach kosztorysu. Pierre odpowiadał po pańsku: „W takim razie przekroczymy ten pański kosztorys". Cieszył się, kiedy pan Le Moyne oświadczył z dumą i troską, że od lat człowiek prywatny nie podjął w Paryżu tak wspaniałej budowy.

Teresa, dla której Pierre dom ten przeznaczał, okazywała dla całego przedsięwzięcia obraźliwy brak zainteresowania. Miała tylko jedno pragnienie: żeby pokoje, w których mieszkać będzie z małą Eugenią, były możliwie najskromniejsze, podobnie jak w Meudon. Pierre przewyciężywszy w sobie pewne opory zgodził się na to.

Za to Julia brała żywy udział zarówno w budowie, jak i w urządzaniu domu. Choć obrażona, że Pierre zdobył się na to,

by w przyszłości część swego życia spędzać bez niej, wtrącała się gorliwie do wszystkiego, co architekt robił i czego nie robił. Kiedy Pierre dał jej delikatnie do zrozumienia, że chciałby z domu przy ulicy de Conde zabrać trochę ulubionych mebli i obrazów, wpadła w dziką furję. Pragnął przede wszystkim wziąć ze swego gabinetu biurko, parę skromnych mebli z małego gabinetu, skrzynie i otomanę - miejsce wspomnień niejednej uciechy - wreszcie portrety Duverny'ego i Desiree. W wielkim starym domu przez zebranie tych przedmiotów nie powstałyby żadne luki, ale Julia biła na alarm i awanturowała się przy każdym meblu; opierała się nawet przed wydaniem portretu Deseree, który ją zawsze kłuł w oczy. Zarzucała bratu, że nie ma zmysłu rodzinnego - gdyby ojciec widział, jak Pierre krzywdzi ją na stare lata, przewróciłby się w grobie. Ostatecznie wspaniałe biurko, dzieło mistrza Pluvinet, zostało przy rue Conde. Do nowej siedziby Pierre zamówił u mistrza Lalonde jeszcze kosztowniejsze. Pozostawił Julii nawet miniaturę „Orła Morskiego”, ale prócz biurka zabrał po długich targach wszystko, co chciał.

Jeszcze gwałtowniejsza walka rozgorzała na temat tego, kto z personelu zostanie w starym domu, a kto będzie przeniesiony do nowego. Julia wcale nie uważała za takie proste, by kamerdyner Emil, zgodnie z życzeniem Beaumarchais'go, zamieszkał w nowym domu. „Serce mi się kraje, gdy patrzę na ten podział!” - wykrzykiwała.

Nie mniej gwałtownie walczyła o bratanka Felicjana. Felicjan Lepine nie nadawał się już wiekiem do College Montaigu; choć nie najstarszy spośród uczniów, szesnastoletni chłopiec robił wrażenie najbardziej dorosłego, nie można go więc było zostawiać dłużej w College, gdzie zresztą nie czuł się szczęśliwy. Choć Pierre niezbyt dobrze rozumiał się z Felicjanem, było dlań rzeczą naturalną, że zabierze chłopca

pod swój dach. Ale pod jaki? Czy ten przy ulicy de Conde, czy ten przy ulicy Saint-Antoine? Tu wmieszała się Teresa. Chciała mieć chłopca w swoim domu i Pierre załatwił sprawę po jej myśli. Za to kupił Julii bransoletę, która nawet księżnej Rohan wydała się za droga.

W Paryżu mówiono wiele o kosztownym pałacu, który wznosił lekkomyślny pan Beaumarchais. Opowiadano, że firma Hortalez chwieje się jak okręt pośród burzy, zdaniem wielu to, co robiono za olbrzymim płotem z desek przy ulicy Saint-Antoine, przypomina raczej kulisy teatralne niż prawdziwy murowany dom. Dziennikarz Metra podawał w swych „Wiadomościach poufnych”, że opowiadają przedziwne rzeczy o przepychu nowego pałacu, który buduje „Cyrulik sewilski”; między innymi na szczycie domu ma być urządzone złote gniazdo dla zbankrutowanego bociana. Pierre nic sobie z tego wszystkiego nie robił. Kiedy gmach będzie gotów, wtedy dopiero zobaczą ci zacni panowie!

Wśród pierwszych, którzy zobaczyli, znaleźli się przyjaciele kamerdynera Emila. Oddany sługa, który musiał znosić od kolegów mnóstwo docinków, zapytał swego pana, czy może niektórym z nich pokazać nowy dom. Pierre wiedząc, jak wielki wpływ na dworze i w mieście mają właśnie opinie kamerdynerów, zgodził się z miejsca. Z trzema swymi przyjaciółmi więc, lokajami księcia de Richelieu, markiza de Vaudreuil i księcia Montbarey, pojechał Emil powozem swego pana na ulicę Saint-Antoine.

Otworzyła się przed nimi brama w drewnianym płocie i szeroką krętą aleją wjazdową ruszyli przez park. Pierre, chcąc nadać całości szerszą perspektywę, dokupił sąsiedni kawał gruntu i kazał urządzić tarasy, wzgórze i doliny.

Wysiedli. Emil oprowadzał swych przyjaciół z pełną skromności dumą.

- To nasze kaskady - wyjaśniał. - A to nasz most chiński. Z początku chcieliśmy przerzucić nad strumieniem kładkę szwajcarską, jak to jest u pańskiego Richelieu, ale potem wydało nam się, że to już trochę wyszło z mody. Architekt uważa, że tak jak piętnaście lat temu, jedyną wartość ma znowu wszystko, co chińskie.

Wszędzie lśniły białą figurą i popiersia, częściowo przedstawiające bóstwa antyczne, częściowo krewnych i przyjaciół pana Beaumarchais.

Wiosłowali po jezioru, siadali w uroczych altanach, jakby stworzonych dla miłosnych par. Altany były również przyozdobione popiersiami ojca i sióstr pana Beaumarchais. Lokaj księcia Montbarey rozwodził się na ten temat, jak to w obliczu rodziny swego pana Emil zabawiać się będzie w tych altanach.

Najbardziej monumentalną ozdobą parku była wzniesiona na małym pagórku niewielka świątynia. Lokaje weszli po prowadzących do niej stopniach.

- Oto nasza świątynia Woltera - oświadczył Emil. Wewnątrz widniało marmurowe, mądre i niebywale brzydkie popiersie filozofa. Na kopule świątyni lśniła, cała złota, kula ziemską, której biegun przebijało olbrzymie złote pióro.

- Bardzo pięknie, Beaumarchais - powiedział z uznaniem lokaj markiza Vaudreuil. - I bardzo symbolicznie. Mielście naprawdę dobry pomysł. - Emil wyjaśnił, że na tym nie kończą się symbole.

- Dziś z powodu zupełnego braku wiatru nie można tego niestety zobaczyć, ale pióro, godło Woltera i Beaumarchais'go, obraca się na wietrze i wprawia w ruch kulę ziemską.

- A to ci dopiero! - powiedział sługa pana Richelieu.

Odczytali napis: „Zerwał opaskę zaślepienia z oczu świata”.

- Czy to twój pan wymyślił? - spytał lokaj markiza.

- Nie - odparł Emil - to tamten.

Ze świątyni widać było po przeciwległej stronie placu potężną i ponurą Bastylię.

- To mi się mniej podoba - powiedział kamerdyner księcia Montbarey.

- Nie rozumie pan tego - pouczył go Emil. - Właśnie to ma największe znaczenie, właśnie dlatego osiedliliśmy się tutaj, uważamy, że dom ten i ten widok to symbol.

- Aha - odpowiedział tamten.

Potem weszli przez pozłocaną bramę na dziedziniec, który roztaczał się szerokim półkolem przed zaokrągloną fasadą domu. Fasada była ozdobiona kolumnami i arkadami, w środku dziedzińca stał na potężnym cokole gladiator w bojowej postawie, o mocnych, charakterystycznych rysach twarzy.

- Jest podobny do pańskiego de Beaumarchais - powiedział lokaj księcia Montbarey.

Emil uśmiechnął się znacząco.

Pokazał przyjaciołom dom, kuchnie w podziemiach, olbrzymie piwnice, tajemnicze laboratorium gastronomiczne, przeznaczone na to, by z przyjaciółmi, znającymi się na rzeczy, gotować w nim i warzyć.

Emil zaprowadził potem przyjaciół przez wysoką sień, po śmiało i wytwornie wznoszących się schodach na górę i pokazał im piętnaście komnat, jadalnię, salę bilardową, a przede wszystkim obszerną, okrągłą salę przyjęć, ukoronowaną olbrzymią kopułą. Zdobiły ją malowidła Huberta Robert i Verneta, kominek podtrzymywały kariatydy z kararyjskiego marmuru.

- Za dekorację tej sali zapłaciliśmy czterdzieści tysięcy liwów - obwieścił Emil.

„Nigdy się niczym nie zachwycać” - oto dewiza, której się trzymali zarówno kamerdynerzy, jak ich panowie, ale

bogactwo i przepych domu zrobiły wrażenie, więc rozgłaszali dokoła jego chwałę.

Gdy pierwszego ranka Pierre obudził się w nowej siedzibie, przy jego lever znaleźli się wszyscy, których chciał widzieć: baron de Trois-Tours, kawaler de Clonard, pan Regnier z Najwyższego Sądu. Wspólnicy Beaumarchais'go, zaangażowani finansowo w jego przedsięwzięciu, nie zamykali oczu na to, że dom został urządzony za ich pieniądze i na kredyt. Mimo to budowa zaimponowała im. Kiedy ją zobaczyli, kapiącą od złota i bogactwa, byli gotowi zainwestować dalsze sumy. Padały ostre, zjadliwe dowcipy na temat nadmiernego, barbarzyńskiego przepychu, zazdroszczono temu człowiekowi, który, będąc w gruncie rzeczy bankrutem od urodzenia, umiał budować takie domy.

Z nieruchomą twarzą i niezmaconym spokojem kroczył przez wspaniałe apartamenty sekretarz Maigron. Ostrożnie, statecznie, jak to było jego zwyczajem, nie nadużywając słów, przestrzegał Carona przed braniem na siebie nowego, potężnego ciężaru i patrzył wrogo na całą tę zbyteczną zabawkę. Wiedział co do centyma, ile każdy drobiazg kosztuje, ze złością myślał o tym, że na przykład za pieniądze, które wydano na posąg Ariadny, można było wyrównać należność firmy Roche za dostawy cukru. Jednak z gruntu solidny pan Maigron czuł się tym bardziej związany z firmą Hortalez i jej szefem, im bardziej ta firma chwiała się w posadach. Przeklinał wybryki Beaumarchais'go, których koszty zawsze przewracały do góry nogami żmudne kalkulacje Maigrona, ale nie mógłby żyć bez tych wiecznych irytacji. Pewna grupa handlowców dała mu do zrozumienia, że bardzo wysoko ceniona i w pełni wypłacalna firma zaangażowałaby chętnie człowieka z jego kwalifikacjami; pan Maigron miał podstawy do przypuszczenia, że za tą ofertą stoi pan Lenormant. Byłoby przyjemnie zajmować niepośledni

urząd w potężnych przedsiębiorstwach pana Lenormant, dopóki jednak pełniło się funkcję zaufanego doradcy pana de Beaumarchais, nie wchodziło to w ogóle w rachubę.

Monsieur Lenormant jeden z pierwszych odwiedził Carona w jego nowym domu. Małe, głęboko osadzone oczy otyłego pana spoglądały melancholijnie na ten cały przepych i przeładowanie. To zdumiewające, jak ten Pierrot umie rozkoszować się pożyczonym bogactwem, gwizdząc na dobry smak. Obnosiłby chyba najchętniej cały swój dom na palcu, obok pierścienia z brylantami o przesadnych rozmiarach. Oczywiście wśród skarbów, które Pierre nagromadził, były rzeczy godne pożądania i pan Lenormant pożądał ich. Taki na przykład kominek z kariatydami wyglądałby doskonale w sali muzycznej jego paryskiego pałacu, a portret Desiree pędzla Quentin de Latoura znalazłby godne miejsce w jego ubieralni w Etioles. Cichym, lepkiem głosem wieszował panu Beaumarchais, że jego przedsiębiorstwo zdaje się prosperować lepiej, niż można było przypuszczać. Tylko przez ułamek sekundy, kiedy spojrzał na Bastylię, dokoła kącików jego warg pojawił się złowieszczy uśmiezek.

Ta, dla której cały ten przepych został stworzony, Teresa, nie zdawała się dzielić powszechnych zachwyty. Pokoje jej, w myśl wyrażonego przez nią życzenia, urządzone bardzo skromnie, były jak wyspa wśród błyskotliwych fal; kiedy siedziała przy stole z Caronem i jego gośćmi, robiła wrażenie obcej. Ale Pierre przyglądał się z radością, jak wszyscy podziwiają tę jej skromność i jej piękny spokój.

Julia, obchodząc z bratem cały, nareszcie skończony dom, wyżywała się z początku w dowcipach przepojonych goryczą. Później, porwana przepychem i dostatkiem, rzuciła się nagle bratu na szyję i śmiejąc się, i płacząc na przemian, zawołała:

- Jesteś jednak największy, najlepszy, mój ty Pierrot, dobrze, że zbudowałeś sobie ten wspaniały dom! Zasługujesz na to. I oczywiście Teresa lepiej wygląda w tym domu niż ja.

Ogarnęła ją niepohamowana wielkoduszność, chciała za wszelką cenę ofiarować Teresie podarowaną jej przez brata bransoletę, powtarzała kilkakrotnie ze smutkiem w głosie:

- Ach, czemu ojciec tego nie dożył, nie zobaczył nowego domu!

Pierre chodził dokoła rozpromieniony, czuł gwałtowną potrzebę podzielenia się ze wszystkimi swą radością. Poprosił swoją przystojną, wesołą siostrę Tonton, by sobie zamówiła nową suknię u mademoiselle Bertin. Wiernemu Filipowi Gudin darował nie tylko kosztowne biurko z oryginalnego egzotycznego drzewa, z szerokim wycięciem, w którym mieścił się jego brzuch, lecz również cudowny chiński szlafrok. Poza tym posłał mu ogromny stos obszernych dzieł naukowych, wśród nich wielotomową Historię ciekawych podróży Prevost-Laharpe'a. Wzruszony tyłoma objawami przyjaźni, owinięty szlafrokiem, Gudin pracował przy nowym biurku ze zdwojonym zapałem nad swoją Historią Pierre'a Beaumarchais. Wraz z objętością dzieła zwiększały się również rozmiary tytułu. Brzmiał on teraz:

Wierne opisy życia i poglądów pisarza i polityka Pierre'a Augustyna Caron de Beaumarchais.

W skrytości ducha Pierre spodziewał się, że odwiedzą go również Maurepas i Vergennes, by obejrzeć dom przy ulicy Saint-Antoine. Nie zjawili się jednak. Przybyła tylko księżna Maurepas w towarzystwie pana i pani Montbarey oraz Weronika. Prosiła, co się rzadko zdarzało, o zabranie jej. Madame Maurepas przyglądała się wszystkim cudom z pewną życzliwością i z wielką dozą ironii; czuła się dotknięta, że Toutou nie ustawił w swym parku i jej popiersia. Minister wojny Montbarey w obliczu tego przepychu zastanawiał się,

czy nie powinien wpłynąć na swą przyjaciółkę, pannę de Violaine, by na przyszłość liczyła Caronowi wyższą prowizję. Z okazji wizyty księżny Maurepas przybył również wbrew swym zwyczajom Felicjan. Pokonał wrodzoną nieśmiałość i poprosił o zaszczyt pokazania Weronice parku. Młoda para usiadła na stopniach świątyni Woltera. Mówili o tym, że Wolter jest wprawdzie najmądrzejszy ze wszystkich ludzi, ale jednak Rousseau jest chyba większy od niego, gdyż z ogromnym rozumem łączy najgłębsze uczucie. Zapytywali, kiedy opaska zaślepienia zostanie całkowicie zdarta z oczu świata. Oddawali się marzeniom o wieku wolności i rozsądku, który się rozpoczął wraz z oswobodzeniem Ameryki. Felicjan jest szczęśliwy, że na pewno jeszcze dożyje rozkwitu tego wieku i to razem z Weroniką. Siedzieli, marzyli w milczeniu, trzymając się za ręce. Aż wreszcie lokaj zameldował, że księżna zbiera się do wyjścia.

Z przyjaciół Beaumarchais'go podziwiających nowe domostwo Desiree przybyła prawie ostatnia. Chciała je obejrzeć razem ze swoimi kolegami. Pierre zrezygnował z pierwotnego zamiaru uczczenia przeprowadzki przyjęciem, na które zaprosiłby cały Paryż. Za namową Gudina wymyślił coś godniejszego. Postanowił na poświęcenie domu odczytać aktorom Theatre Francais swego Figara.

Ci najdumniejsi artyści świata stawili się więc gremialnie, by wysłuchać nowej sztuki swego ukochanego pisarza. Naprzód obejrzel dom. Zdania były podzielone. Niektórym podobał się ten przepych, ale większość, mająca własny sąd i smak, nie ukrywała zastrzeżeń.

Groziło, że wieczór będzie zimny, i Pierre chciał już zrezygnować z czytania. Ale później powiedział sobie:

„Właśnie że będę czytać”. Z początku szło mu nie najlepiej, ale po jakimś czasie nabrał rozmachu. Wrażliwy ludek aktorski, który z początku uśmiechał się wyniośle, dał się teraz

porwać jego kunsztowi. Panowie i panie z Theatre Francais nie mogli spokojnie usiedzieć na miejscu, zaglądali mu przez ramię, wołali: - Jeszcze raz, Pierre, powtórz jeszcze raz to zdanie! - Ogarnęło ich podniecenie; był to naprawdę wielki wieczór.

Wszyscy jednak twierdzili zgodnie, że nie da się zagrać tej komedii.

- Będzie grana - oświadczył Pierre ze spokojną pewnością siebie.

- Nie będzie grana - powiedział aktor Preville - prędzej arcybiskup odczyta z ambony Notre-Dame pamiętniki Casanovy.

- Wesele Figara będzie grane, mój panie - oświadczył Pierre - i pan będzie grał Figara. Jest to tak pewne, jak to, że Wersal uzna niepodległość Ameryki. Ja panu to mówię, ja, Pierre de Beaumarchais.

- Brawo! - zawołał wierny Gudin, któremu słowa Beaumarchais'go trafiły do przekonania.

- Może się założymy, mój panie - zaproponował Preville z właściwą mu, nie mającą sobie równej lekkością.

- Jak najchętniej - odrzekł Pierre. - O co się założymy?

Aktor zastanawiał się.

- Powiedzmy o popiersie dłuta Houdona - odpowiedział. Rzeźbiarz Houdon znany był z tego, że nie przyjmował zamówień poniżej dwudziestu pięciu tysięcy liwrów. Aktor ciągnął dalej: - Wyobrażam to sobie tak: Jeżeli Figaro będzie grany, zamówię u Houdona pańskie popiersie.

- Zgoda - powiedział Pierre. Potem obwieścił: - Panie i panowie, słyszeliście, nasz Preville zobowiązał się, że każe zrobić moje popiersie. Daruję to popiersie do westybulu Theatre Francais.

- Brawo! - zawołał rozentuzjasmowany Filip Gudin.

Następnie całe towarzystwo zasiadło do stołu. Pierre stracił dwa tygodnie na obmyślenie i przygotowanie uczy. Trwała do późnej nocy. Wiele podano gatunków win i niemało padło podczas niej słów prawdy.

Nad ranem, kiedy już wszyscy byli mocno zmęczeni, Pierre odsunął kotary zasłaniające olbrzymie okno. W blasku dnia rysowały się kontury Bastylji. Goście, z początku zaskoczeni tym widokiem, rzucili kilka mdłych dowcipów. Ale po jakimś czasie zamilkli. Siedzieli i stali w oparach resztek wina, w migocącym blasku dogasających świec, patrzyli na szary, ponury gmach, którego kontury stawały się z nastającym dniem coraz wyraźniejsze.

- To mi pomaga przy pisaniu - powiedział Pierre.

Doktor Franklin pojechał do Paryża, do Hotel d'Hambourg, by stamtąd wraz ze swymi kolegami Silasem Deane i Arturem Lee udać się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, mieszczącego się w pałacu Lautrec przy bulwarze Theatin, i złożyć tam wizytę panu Vergennes. Kongres polecił delegaturze paryskiej prosić rząd francuski o nową, możliwie wysoką pożyczkę; chwila zdawała się sprzyjająca, ostatnie wiadomości z Ameryki brzmiały raczej pomyślnie. Generał Waszyngton dzielnie przemaszerował ze swoimi wojskami przez Filadelfię, żołnierze byli przystrojeni zielenią, ludność wznosiła entuzjastyczne okrzyki. Również oficerowie francuscy z Lafayette'm na czele brali udział w pochodzie, wydawało się więc, że zatarg z Francuzami został złagodzony i widoki na przyszłość rysują się korzystnie.

Niestety w ciągu ostatnich dwóch dni przed terminem spotkania z ministrem Vergennes sprawy przybrały inny obrót. Jadąc przez miasto wygodnym powozem Franklin myślał z troską o meldunkach, które przedwczoraj nadeszły z

Amsterdamu, a wczoraj z Londynu. Waszyngton poniósł, jak donoszono, klęskę w pobliżu Filadelfii. Według pogłosek Filadelfia padła. Poza tym generał angielski Burgoyne z Kanady wdarł się głęboko na terytorium Stanów Zjednoczonych, zagrażając Nowej Anglii odcięciem od pozostałych kolonii.

Przyjechawszy do Hotel d'Hambourg Franklin zorientował się po minach tamtych dwóch, że niepomyślne pogłoski otrzymały nową pożywkę. Pan de Gerard zawiadomił przed chwilą panów delegatów, że hrabia Vergenne uważa za wskazane odłożyć umówione spotkanie. Nadeszły właśnie nowe depesze z Ameryki i minister chciałby się naprzód zapoznać z obszerną pocztą. Gdyby wiadomości były pomyślne, Vergennes z pewnością nie żądałby odłożenia rozmowy.

Siedzieli w ponurym nastroju. Było wątpliwe, czy w tych okolicznościach audiencja u hrabiego Vergennes ma jeszcze w ogóle jakiś sens. Franklin uważał, że należy odłożyć rozmowę na czas nieograniczony. Natomiast Artur Lee był zdania, że właśnie teraz powinno się żądać pożyczki. Silas Deane zaproponował, by się spotkać z ministrem, ale zamiast pięciu milionów żądać tylko trzech. Artur Lee przeciwstawił się temu gwałtownie. Powściągliwość w żądaniach może wzbudzić podejrzenia, że się uważa sprawę Ameryki za straconą.

Właśnie teraz należy występować z większą niż dotąd godnością i nie żądać ani trzech, ani pięciu milionów, lecz czternastu, które Kongres chciałby otrzymać od króla francuskiego jako dar lub pożyczkę. Oburzony tym Silas Deane odpowiedział, że zwrócenie się do takiego realisty jak Vergennes z tego rodzaju utopiami może tylko całą rzecz ośmieszyć. Artur Lee odparł nie mniej gwałtownie, że gdyby się od panów w Wersalu żądało takiej bagatelki, jak trzy lub pięć milionów, patrzyliby na człowieka jak na żebraka i

staliby się bezczelni. To nie Franklin, Deane i Lee pertraktują z hrabią Vergennes, lecz wielkie mocarstwo Ameryka rozmawia z wielkim mocarstwem Francją.

- To są puste słowa - gorączkował się Silas Deane. - Jeżeli zażądamy trzech milionów, może otrzymamy milion. Jeżeli zażądamy pańskich czterestu, dostaniemy figę i tylko nas wyśmieją.

- Powiniennem był to z góry przewidzieć - odrzekł z goryczą Artur Lee. - Wystarczy, bym wysunął jakiś projekt, a mogę być pewien, że zostanie odrzucony. - Zacietrzewił się. - Sposób, w jaki mnie tu traktują, przyprawia mnie o chorobę. Do Kongresu idą raporty, których mi się nie pokazuje. Żąda się ode mnie, bym potwierdzał rozrachunki, nie dając mi możliwości ich sprawdzenia. Kiedy w Wersalu traktują mnie w sposób niegodny, nikt się za mną nie ujmuje, ale tym razem nie dam się odsunąć na bok. Obstawiam przy tym, byśmy żądali czterestu milionów.

- Uważam, że nie ma na to żadnych widoków - powiedział bardzo spokojnie Franklin. - Skoro jednak pan nalega, pójdę z panem do hrabiego Vergennes.

Audiencja miała ten nieprzyjemny przebieg, którego się Franklin obawiał. Miły, uprzejmy na ogół minister wcale nie był dziś miły, przeciwnie, zirytowany i agresywny.

- Moi panowie - oświadczył - możecie nie wyłuszczać przede mną swojej sprawy. Znam wszystkie szczegóły. I to od posła angielskiego. - Wobec zdumionych min delegatów ciągnął dalej tonem, jakiego nigdy wobec nich nie używał. - Muszę szczerze powiedzieć, moi panowie, że jestem zdumiony waszym niedbalstwem. Cały czas ostrzegaliśmy panów, byście pierwszemu lepszemu nie dawali wglądu w swoje interesy. Mimo tych ostrzeżeń sprawy wymagające we wspólnym naszym interesie całkowitej dyskrecji prowadzone są tak nieostrożnie, że każdy, kto tylko ma ochotę, może się

dokładnie we wszystkim zorientować. Jego królewska mość jest w najwyższym stopniu oburzony. Muszę przyznać otwarcie, moi panowie, że nie rozumiem, jak możecie nas i siebie stawiać w tego rodzaju kłopotliwej sytuacji. Przecież panowie jak gdyby chwalili się przed Anglikami tym wszystkim, co winno pozostać tajemnicą. O planie panów dotyczącym „Roberta Morrisa”, który stoi w Rotterdamie, słyszałem już także ze strony angielskiej.

Franklin spojrział ze zdumieniem na ministra i kolegów.

- Cóż to za plan? - zapytał.

- Otóż to właśnie! - oburzył się Vergennes zwracając się do Deane'a i Lee. - Anglicy dowiadują się o waszych zamiarach prędzej od waszego Franklina. Panowie ci - oświadczył doktorowi z pełną współczucia pogardą - mają zamiar darować królowi Francji „Roberta Morrisa”, by statek ten pod inną nazwą mógł wypłynąć bez przeszkód z Rotterdamu.

- Niezły pomysł - powiedział Franklin z uznaniem.

- Ale nie należy go rozgłaszać - obruszył się Vergennes.

- Przyznajemy się do niedbalstwa, panie ministrze - powiedział ponuro Artur Lee - przyznajemy się do winy. Proszę się jednak zastanowić nad następującą sprawą: jesteśmy przyzwoitymi ludźmi, nie przyzwyczajonymi do zachowywania się jak spiskowcy czy złodzieje, czego się po nas tutaj spodziewają.

Franklin odpowiedział bez chwili namysłu:

- Zapewniam ekscelencję, że na przyszłość będziemy się starali zachować ostrożność.

- Bylibyśmy panom bardzo zobowiązani - odrzekł szorstko minister.

Franklin przeszedł teraz do celu spotkania.

- Ponieważ ekscelencji wiadomo, po cośmy się zjawili - powiedział z uśmiechem - nie musimy naszej prośby obszernie motywować.

Mimo to Artur Lee przystąpił do motywacji:

- Kongres - oświadczył - bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje teraz pomocy Francji. Nie jest tak źle, byśmy się nie mogli bez obcej pomocy utrzymać, ale w naszej wojnie z Anglią pomoc ta jest właśnie teraz wyjątkowo pożądana. Jeżeli ją otrzymamy, uratowane zostaną dziesiątki tysięcy ludzkich istnień, można będzie ochronić nasze osiedla od pożogi i zniszczenia, oszczędzić naszemu krajowi milionów funtów strat.

Stosownie do obietnicy Franklin poparł Artura Lee oświadczając rzeczowym tonem:

- Jedna armata, którą nam Francja teraz pošle, jest więcej warta niż pięć za rok.

Vergennes bawił się obsadką.

- Mimo naszej trudnej sytuacji finansowej chętnie udzieliłbym panom wydatniejszej pomocy - odpowiedział - ale przez swą lekkomyślność bardzo zniechęciliście do siebie króla. Nie mogę teraz nawet myśleć o tym, by go prosić o pieniądze dla panów. Pomóżcie mi, panowie, bądźcie powściągliwi i ostrożni, wówczas zmieni się może ten nieprzychylny nastrój króla. Może po jakimś czasie będziemy mogli przekazać panom wprawdzie nie czternaście milionów, ale milion. Oczywiście pod warunkiem jak największej dyskrecji.

Wracając Artur Lee nie szczędził wściekłych inwektyw pod adresem tych Francuzów, zjadaczy żab.

- Trudna sytuacja finansowa - oburzał się. - Jakaż jest przyczyna tej trudnej sytuacji finansowej? Despotka, pańska despotka, doktorze Franklin, po której tyle pan sobie obiecywał, trwoni nasze pieniądze na stroje, zamki i rozwiązałe rozrywki. Nic dziwnego, że wobec takiego stanu rzeczy nic już nie pozostaje dla Ameryki i dla sprawy wolności.

- Mówiłem panu, mister Lee - powiedział Silas Deane - że to obłąd domagać się tak wysokiej kwoty w tej sytuacji.

- Nie mogłem przewidzieć - zareplikował jadowicie Artur Lee
- że pańscy szpiedzy plan mój od razu sprzedadzą Anglii.

- Moi szpiedzy? - gorączkował się Silas Deane. - A kto omawiał poszczególne pozycje owych czternastu milionów z bankierem Grandem? Pan czy ja? Pan ponosi winę, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przez swoją nieustanną ruchliwość znowu zaszkodził pan Ameryce najokropniej.

- Pan Grand zasługuje na zaufanie - odrzekł ponuro Artur Lee.

- Natomiast nie zasługuje na nie pański monsieur Caron, gaduła i pyskacz.

- Dajcie spokój, panowie - wmieszał się Franklin. - Po złych wiadomościach z Londynu Vergennes nie dałby nam pieniędzy, nawet gdyby żaden, najdrobniejszy bodaj szczegół, związany z naszą sprawą, nie przeniknął na zewnątrz. Przecież to tylko był pretekst.

Resztę krótkiej drogi przebyli w milczeniu, nadąsani. Następnego dnia poczta amerykańska przyniosła Franklinowi oficjalną wiadomość o wypadkach. Wojska Kongresu zostały pobite nad rzeką Brandywine, Filadelfia padła, Kongres uciekł do Yorktown. Choć Franklin był na to przygotowany, wiadomość głęboko go dotknęła.

A więc wróg zdobył Filadelfię. W jego pięknym domu przy Market Street siedzą teraz Anglicy. Jaka szkoda, że Sally znowu tam zawlokła jego obrazy i książki, które już były w bezpiecznym miejscu. Teraz jakiś łobuz w czerwonym mundurze angielskiego oficera panoszy się w jego mieszkaniu, pośród jego książek i mebli, teraz ci ludzie niszczą zapewne liczne przemysłne wynalazki, dzięki którym postawił dom na szerszej stopie. Pomyślał o swoim portrecie pędzla malarza Beniamina Wilsona. Nie było to arcydzieło, ale lubił tę swoją podobiznę. Przykro było wyobrazić sobie, że teraz siedzi przed tym portretem jakiś oficer angielski i uśmiecha się szyderczo.

Franklin czuł się zmęczony i bardzo samotny. Gdyby miał tu choć Dubourga. Ale dni wiernego, poczciwego przyjaciela były policzone i nie mógł już opuszczać mieszkania.

Franklin gwałtownie zapragnął go zobaczyć. Kazał zaprząć, pojechał do Paryża.

Dubourg leżał w łóżku w szlafmicy na głowie, wsparty o całą górę poduszek. Małe, łagodne oczy w zapadniętej, pomarszczonej twarzy ożywiły się na widok wchodzącego Franklina.

- W przyszłym tygodniu będę się czuł o tyle lepiej, że przyjadę do Passy.

Franklin opowiadał, jak bardzo odczuwa jego brak, nie tylko jako człowieka, ale również jako fachowca.

- No tak, tak - odpowiedział Dubourg - nie jestem próżniakiem, nawet jeżeli przez jakiś czas nie mogę wstawać z łóżka. Wziąłem do serca przestrozę pańskiego poczciwego Ryszarda: „Gdy nie jesteś pewny minuty, nie marnuj godziny”. Jak się panu podoba mój pomysł darowania królowi „Roberta Morrisa”?

- To pański pomysł? - zapytał Franklin. - Że się też nie domyśliłem.

- Tak - odparł Dubourg radośnie - ale panu, drogi doktorze, nic o tym nie powiedziałem. Jest pan wielkim człowiekiem, ale brak panu zrozumienia dla pewnych finezji. Niełatwo było znaleźć kogoś, kto by się tym projektem zainteresował. Musiałem iść okrężnymi drogami, bo z panami Lee i Deanem nie jestem w najlepszych stosunkach.

Teraz Franklin wiedział, dlaczego plan został tak prędko zdradzony Anglikom.

Mówił o własnych troskach, o ciężkiej sytuacji kraju, o utracie swego domu, o tym, jak całym sercem przywiązany był do swoich książek i różnych drobiazgów osobistych. Dubourg

współczuł mu tak bardzo, że w końcu Franklin musiał go pocieszać.

- Ale klęska - powiedział - nie może poważnie zaciążyć na naszej pozycji w Wersalu. Dzięki realizacji pańskiego szczęśliwego pomysłu królowa jest przecież naszą przyjaciółką.

- Tak - odparł Dubourg. - To, że mi ten pomysł wpadł w porę do głowy, jest mi wielką pociechą na łożu boleści.

Franklin opowiedział mu również o rozciągniętych dookoła mackach szpiegowskich.

- Wie pan, kto jest temu winien? - powiedział z oburzeniem Dubourg podnosząc oskarżycielsko swą wielką, bladą, zwiędłą rękę. - Zawsze ten sam, zawsze nasz Beaumarchais.

- Bardzo możliwe - zgodził się Franklin.

Dubourg litował się nad swym wielkim, dobrodusznym przyjacielem Franklinem, Franklin zaś nad swoim pocziwym, dzielnym, pełnym temperamentu Dubourgiem.

Podczas gdy po tej stronie oceanu wszyscy, którym sprawa amerykańska leżała na sercu, byli pełni troski z powodu upadku Filadelfii i klęsk pod Germantown i nad Brandywine¹, amerykańscy żołnierze odnieśli już zwycięstwo, które przekreślając tę klęskę stanowczo przechyliło szalę na rzecz Stanów Zjednoczonych. Zwycięstwo to zawdzięczali częściowo generałowi amerykańskiemu Gatesowi, a zwłaszcza generałowi amerykańskiemu Benedyktowi Arnoldowi, przede wszystkim jednak nieudolności pięciu angielskich przywódców: króla Jerzego, ministra wojny lorda Germaina oraz generałów Howe'a, Clintona i Burgoyne'a.

¹Germantown i Brandywine. Bitwy przegrane w dn. 11. 9. i 4.10.1777 r. przez wojska Kongresu, w wyniku których Amerykanie musieli oddać Filadelfię.

W dniu 13 grudnia 1776 roku po południu o godzinie piątej minut trzy król Jerzy wystąpił z planem, który ustalił wytyczne dla kampanii angielskiej w Ameryce na 1 rok 1777. Generał Burgoyne miał sobie wywalczyć drogę z Kanady na południe, generał Howe miał ruszyć mu naprzeciw z Nowego Jorku. Obie armie miały się złączyć i w ten sposób odciąć Nową Anglię od pozostałych kolonii. Złożyło się jednak tak, że ministrowi wojny, lordowi Germain, przyszła chętka na polowanie. Odłożył więc na bok instrukcje dla generała Howe, a potem zapomniał je przesłać. Wskutek tego generał Howe nie wyruszył naprzeciw generała Burgoyne. Kiedy ten po niezwykle uciążliwych marszach i sukcesach zapuścił się daleko na południe, natknął się na przeważające siły amerykańskie.

John Burgoyne, namiętny żołnierz, namiętny dramaturg, namiętny amator gier hazardowych i nie mniej namiętny amator pięknych kobiet, odniósł wielkie sukcesy wojskowe w Portugalii. Uprowadził córkę lorda Derby, ożenił się z nią, napisał wystawioną z wielkim powodzeniem komedię *Dziewczyna z Oldworth Oaks*, wygrywał i przegrywał na przemian fortuny przy stole gry. Teraz wyruszył z Kanady na czele najlepszych wojsk brytyjskich i niemieckich, z doskonale wyćwiczoną armią, uzupełnioną ponadto przez liczny oddział kanadyjskich marynarzy, z silnym kontyngentem saperów i wcale znacznymi indiańskimi oddziałami posiłkowymi. Zdobył Ticonderogę i Fort Edwarda, przebił się przez bardzo ciężki teren daleko na południe spodziewając się spotkać tam z drugą armią angielską.

Zamiast niej stanął wobec druzgoczącej przewagi sił amerykańskich i znalazł się w niebezpiecznej sytuacji. Stracił łączność z Kanadą, wołania o pomoc pod adresem generałów Howe i Clintona pozostały bez echa, żywności miał najwyżej na dwa tygodnie.

Próbował wyrwać się z pierścienia, ale został przez generała Arnolda z wielkimi stratami odrzucony. Okopał się więc na wzgórzach Saratogi i zwołał radę wojenną. W pięknych zwrotach przedstawił swemu sztabowi beznadziejność sytuacji i zapytał, czy historia świata zna wypadki, w których w podobnym położeniu armia nie zdecydowałaby się na kapitulację¹. Nagle nad stołem obrad przeleciał pocisk armatni i generał Burgoyne podzielił teraz swe pytanie na dwa dodatkowe. Primo: czy pozostaje coś innego poza kapitulacją. Nie, odpowiedzieli zapytani. Secundo: czy taka kapitulacja pozostaje w zgodzie z kanonami honoru wojskowego. Odpowiedź brzmiała: Tak.

1/Kapitulacja wojsk angielskich pod Saratogą (16.10.1777).

Wobec tego Burgoyne skierował do generała amerykańskiego Gatesa pismo następujące:

„Generał Burgoyne rozegrał z Panem dwie bitwy, po czym zajął swą obecną pozycję, zdecydowany nie unikać trzeciego starcia. Jest świadom tego, że przewaga znajduje się po Pańskiej stronie, że wojska Pana są w stanie przeszkodzić zaprowiantowaniu jego armii i zamienić jego odwrót w krwawą rzeź obustronną. W tej sytuacji czuje się uprawniony ze względów humanitarnych do wysunięcia propozycji uratowania życia dzielnych żołnierzy, jeśli oczywiście warunki będą honorowe; sądzi, że propozycję tę usprawiedliwiają zarówno święte zasady moralności, jak i przykład historii. Gdyby generał-major Gates okazał zrozumienie dla propozycji generała-porucznika Burgoyne, ten prosi go o podanie warunków”.

Parlamentariusz angielski major Kingston spotkał się z kapitanem amerykańskim Wilkinsonem w ustalonym miejscu. Obydwaj panowie ruszyli konno do kwatery generała Gatesa,

położonej nad Hudsonem. Jesienny dzień był piękny, okolica urocza.

Odczytawszy pismo przeciwnika Gates sformułował swe warunki w siedmiu paragrafach, z których dwa rycerski Burgoyne uznał za nierycerskie. Pierwszy nierycerski paragraf brzmiał: „Armia generała Burgoyne stopniała na skutek wielokrotnych klęsk, dezercji i epidemii, amunicja jej jest na wyczerpaniu, prowiant i tabory zostały zabrane lub zniszczone, odwrót został odcięty. W tych warunkach żołnierze generała Burgoyne mogą być traktowani jedynie jako jeńcy wojenni”. Generał Burgoyne odpowiedział na to: „Armia generała Burgoyne, choćby stopniała do ostatka, nie przyzna nigdy, dopóki ma broń w rękę, że odcięto jej odwrót”. Drugi nierycerski paragraf brzmiał: „Wojska Jego Ekscelencji generała Burgoyne mają przed opuszczeniem swych pozycji złożyć broń”. Generał Burgoyne odpowiedział na to w te słowa: „Artykuł ten jest całkowicie nie do przyjęcia. Wojska generała Burgoyne nie zgodzą się na kapitulację połączoną ze złożeniem broni i gotowe są raczej rzucić się na wroga nie dając pardonu ani o pardon nie prosząc”.

Kapitulacja - Burgoyne nalegał, by nazwać ją „konwencją” - ograniczyła się w końcu do trzynastu artykułów, z których każdy był ściśle zgodny z honorem. Podpisano ją. Siedemnastego października o dziesiątej rano wojska angielskie opuściły swe fortyfikacje, zgodnie z umową z bronią w rękę oraz przy dźwięku trąb i bębnow. Burgoyne, w bogatym mundurze i kapeluszu z piórami, i Gates w zwyczajnym granatowym surducie spotkali się u wejścia na pozycje amerykańskie. Adiutant Gatesa przedstawił panów. Burgoyne uchylił pięknego kapelusza i powiedział:
- Losy wojny, generale Gates, uczyniły mnie pańskim jeńcem.
Gates odparł:

- W każdej chwili gotów jestem zaświadczyć, że wina nie leży po pańskiej stronie.

Tego samego dnia Gates pisał do swej żony: „Echo sławy doniosło Ci już zapewne, zanim otrzymałaś te słowa, jaki byłem szczęśliwy. Generał-major Phillips, ten sam, który w roku ubiegłym napisał do mnie ów zuchwały list, jest teraz moim jeńcem, tak samo jak lord Petersham i major Acland wraz z małżonką, córką lorda Ilchester. Jeżeli stara Anglia nie spuści po tej nauczce z tonu, to ta zdziecinniała dziewczka brytyjska skazana jest na zagładę”. W dopisku dał wyraz nadziei, że pani Gates znalazła nareszcie falbanki do swego fartuszka.

Generał Gates traktował swego jeńca Burgoyne bardzo wielkodusznie. Mimo prymitywnych warunków zwycięski wódz wydał przyjęcie dla pokonanego i jego sztabu. Była szynka, gęś, pieczeń wołowa i barania, do tego rum i jabłecznik. Szklanki znalazły się tylko dwie - jedna dla zwycięzcy, druga dla zwyciężonego. Gates wypił za zdrowie brytyjskiego króla, rycerski Burgoyne za zdrowie generała Waszyngtona. Potem, jak to było w zwyczaju, wygłoszony został nieprzyzwoity toast, który spotkał się z serdeczną aprobatą wszystkich.

Również i w innych sprawach Gates traktował wzięte do niewoli wojska angielskie z wielkimi względami, żadnemu żołnierzowi amerykańskiemu nie pozwolono być obecnym w chwili, gdy Anglicy składali broń.

Później zakwaterowano generała Burgoyne i jego sztab w pięknym domu Schuylera w Albany. Pani Schuyler przeznaczyła na sypialnię dla nich najlepszy pokój, ugościła ich wspianą kolacją, podczas której z wielkim wdziękiem robiła honory domu. Niestety generał Burgoyne musiał swego czasu puścić z dymem posiadłość wiejską generała Schuylera.

Teraz, wobec takiej dobroci serca, zakręciły mu się łzy w oczach. Głęboko wzdychając powiedział:

- Zaiste, madame, zbyt wiele zadaje sobie pani trudu w stosunku do człowieka, który spustoszył pani kraj i spalił pani dom.

Następnego dnia siedmioletni synek generała zaczął biegać po pokojach, w których ulokowani byli niezwykli goście. Zajrzał do obszernej komnaty, gdzie spał ze swoim sztabem generał Burgoyne, i zawołał z dziecinną dumą, zanosząc się od śmiechu: - Wszyscy jesteście moimi jeńcami. - Pod wpływem tych słów generał Burgoyne rozplakał się jeszcze rzewniej niż wczoraj.

Wszyscy sympatycy Anglii byli pogrążeni w smutku. Najlepsza armia angielska przestała istnieć, olbrzymie łupy wpadły w ręce Amerykanów. Ludność trzynastu stanów miała prawo uwierzyć, że teraz nic już nie przeszkodzi ostatecznemu zwycięstwu wielkiej sprawy.

Jednakże przez siedem tygodni nic o tym wszystkim nie wiadano za oceanem. Według ostatnich wieści, które tam dotarły, generał Waszyngton poniósł pod Germantown i nad Brandywine sromotną klęskę, a Filadelfia padła. A więc oba największe miasta Ameryki, Nowy Jork i Filadelfia, są w ręku Anglików, kraj czeka beznadziejna zima. Amerykanie w Paryżu i ich przyjaciele byli przybici i zatroskani.

Również Pierre otrzymał od Pawła szczegółowy raport o klęsce nad Brandywine i opuszczeniu Filadelfii. Paweł donosił, że opinia przypisuje lwią część winy sporom kompetencyjnym między generałem amerykańskim Sullivanem i generałem francuskim de Borre. W najgroźniejszej chwili każdy zażądał dla siebie dowództwa nad prawym skrzydłem i w czasie tego sporu dali się zaskoczyć nieprzyjacielowi. W przeciwieństwie do żalosalnej roli, jaką odegrał stary de Borre, inni Francuzi w bitwie nad

Brandywine odznaczyli się chwalebnie. Sławiono wyjątkową odwagę barona Saint-Ouary; został on ciężko ranny i nadzieja utrzymania go przy życiu jest bardzo niewielka. Również kapitan Ludwik de Fleury, krewny Beaumarchais'go, wykazał taką odwagę, że Kongres, jak wiadomo, niezbyt szczodry, postanowił kupić mu konia, by zastąpić tego, który padł pod nim w bitwie. Największą chwałą jednak okrył się markiz de Lafayette. Wraz z adiutantem swym Gimat, nie bacząc na niebezpieczeństwo, uczynił wszystko, by powstrzymać uciekające w popłochu oddziały generała Sullivana. Ranny Lafayette nie chciał za żadną cenę zejść z pola bitwy i uczynił to dopiero na rozkaz generała Waszyngtona, który polecił mu udać się na punkt opatrunkowy. „Traktujcie go jak mego syna” - powiedział generał do lekarzy.

W ogóle, donosił Paweł w dalszym ciągu swego listu, widać wszędzie wysiłki, by jakoś naprawić krzywdę wyrządzoną oficerom francuskim. Paweł był na najlepszej drodze uzyskania dla firmy Hortalez większych wypłat. Niestety nowa klęska daje Kongresowi pretekst do wykrecania się od płacenia. Teraz gra idzie na całego, powiedziano mu w Kongresie, i trzeba odsunąć na bok taką bagatelę jak pretensje firmy Hortalez. Niezależnie od tego Paweł w dalszym ciągu wierzył święcie w ostateczne zwycięstwo Amerykanów i w to, że żądania firmy Hortalez zostaną zaspokojone. Sądząc z relacyj Pawła klęska nie była tak straszna, jak ją przedstawiały informacje londyńskie. Mimo to raport obudził w Caronie poważne refleksje. Będzie musiał wraz z Maigrone użyć wielu forteli, by w ciągu najbliższych miesięcy utrzymać firmę Hortalez na powierzchni.

Skoro nie mogło być na razie mowy o zapłacie, Pierre chciał mieć przynajmniej jakąś kompensatę moralną, pragnął okazać współczucie i w zamian otrzymać również jego dowody. Raport Pawła był dobrym pretekstem do odwiedzenia

Franklina już choćby po to, by własne informacje porównać z tymi, które przywieźli emisariusze. Pojechał więc do Passy.

Kłęska Amerykanów ochłodziła entuzjazm Paryża, a przede wszystkim Wersalu. W ciągu nocy bohaterowie wolności nagle stali się znowu rebeliantami. Kto wczoraj jeszcze w kwiecistych słowach demonstrował swe sympatie, ten dziś wycofywał się pełen lęku. W takich okolicznościach wizyta Beaumarchais'go była dla doktora miła i pożądana.

Obydwaj, jakby się umówili, cytowali ze swoich raportów tylko momenty pozytywne, dodające otuchy. Pierre opowiadał, jak się Francuzi odznaczali nad Brandywine. Franklin mówił z ironicznym nieco spokojem i zadowoleniem o tym, że w Filadelfii znaleziono jeszcze czas na to, aby pewnych zwolenników Anglii pozamykać i zabrać ze sobą do Yorktown, dzięki czemu Kongres ma w swym ręku zakładników, których będzie mógł wymienić na ludzi znajdujących się w rękach angielskich.

Pierre oczekiwał, że zastanie Franklina przybitego, żadnego pociechy. Było wiadomo, że Franklin miał w Filadelfii dom oraz inne nieruchomości, i zajęcie miasta przez nieprzyjaciela musiało go przyprawić o straty osobiste, oczywiście nie tak ciężkie jak straty Beaumarchais'go, ale Pierre będąc na jego miejscu przynajmniej by o nich wspomniał. Spokój doktora imponował mu.

- Na ogół - powiedział - ludzie stają wobec wydarzeń historycznych jak dzieci, które po raz pierwszy zobaczyły zegarek. Zafascynowani patrzą na ruchy sekundnika, ale nie widzą poruszeń wskazówki ukazującej minuty i godziny. My, doktorze, zarówno pan, jak i ja, jesteśmy inni. To, że jakieś wydarzenie dotyka nas osobiście, nie znaczy, byśmy je rozpatrywali w oderwaniu. Cofamy się, zdobywamy właściwy dystans, patrzymy na obraz jako na całość. Wiemy, że

poszczególne niepowodzenia, jak na przykład porażka nad rzeką Brandywine, nie są dla wojny decydujące.

Franklin uważał porównanie z sekundnikiem za nie najgorsze, bawiło go również, jak Beaumarchais wymawiał nazwę rzeki, nad którą toczyła się bitwa.

Cieszy się, odpowiedział, że Pierre podziela jego wiarę. Jeżeli Francja, która włożyła w Amerykę nie tylko dużo pieniędzy, ale również wiele myśli i serca, w przyszłości wkładać będzie jeszcze więcej, to postąpi wielkodusznie i rozsądnie, gdyż nie straci swego kapitału, lecz otrzyma go z powrotem, i to z niemałymi procentami.

Pierre tłumaczył sobie te słowa w ten sposób, że w przyszłości Franklin będzie popierał jego żądania. Tak, odpowiedział z zapałem, Francja i Ameryka uzupełniają się wzajemnie i jeżeli Francja jest duszą wolności, to Ameryka stanowi jej pięść.

Porównanie to mniej się Franklinowi spodobało. Ale nie chciał robić przykrości człowiekowi, na którym można było w tej kiepskiej sytuacji polegać. Kiedy więc Pierre zaczął się żegnać, poprosił go, by przyszedł w niedzielę na obiad.

Niedziela dnia 4 grudnia była mglista i bardzo chłodna. Jednakże w pokojach Franklina było ciepło i przyjemnie.

Zaprosił tylko szczerych przyjaciół Ameryki. Francuzów było wśród gości niewielu, ale za to każdy z nich miał nazwisko, które coś mówiło. A więc Turgot, członek Akademii Leroy, panowie de Chaumont, Condorcet, de la Rochefoucauld, ksiądz Morellet. Pierre był dumny, że Franklin zaprosił go razem z tym towarzystwem. Nawet obecność Artura Lee tylko w niewielkiej mierze mąciła jego radość.

Artur Lee, łatwo wpadający w rozdrażnienie, zgryziony, nie mógł wytrzymać w Hotel d'Hambourg wśród Francuzów, którzy cieszyli się z klęski, jaką poniósł jego kraj i sprawa wolności. Wiedział, że zastanie w Passy ludzi, którzy są

wprawdzie lekkomyślni i dostępni dla każdej pokusy, ale biorą ostatnią klęskę do serca.

Nie zawiódł się w swych oczekiwaniach. Czując, że wszyscy spodziewają się od niego jakiegoś wyjaśnienia, Franklin wyłożył swój pogląd na sytuację. Kto przeżył początek rewolucji, wywodził, ten nie może pojąć, w jaki sposób udało się opanować olbrzymie trudności. Trzeba było z niczego stworzyć wszystko: ustawy, rządy dla poszczególnych stanów, armię, flotę, arsenały. Poza tym w głębi kraju stały potężne angielskie siły wojskowe, a ponadto miało się do czynienia z licznymi otwartymi lub skrytymi przeciwnikami, ludźmi, którzy przez tchórzostwo zachowywali neutralność, z przyjaciółmi o niewyraźnych sympatiach. Istny to cud, że rewolucja nie utonąła wtedy w chaosie i anarchii. Jeżeli jednak stworzona na poczekaniu armia amerykańska mogła w takich okolicznościach przetrwać pierwszą ostrą zimę i utrzymać swe pozycje, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w chwili obecnej Stany Zjednoczone, zorganizowane i silne, potrafią bez narażania się na poważniejsze niebezpieczeństwo znieść tę porażkę.

Franklin nie wygłosił przemówienia, opowiadał tylko, co przeżył. Był w tym gronie jedynym, który brał udział w początkowym stadium rewolucji. Mówił prosto i skromnie, potrafił przenieść na innych swoje najgłębsze przeświadczenie, że to, co jeszcze jest do zrobienia, było drobiazgiem w porównaniu z tym, co się osiągnęło. Nawet Artur Lee był poruszony.

Nie mówiono więcej o Ameryce. Goście jedli i pili, rozmawiali o jedzeniu i picciu, o literaturze francuskiej i francuskim teatrze. Pierre opowiadał różne wesołe i zjadliwe anegdoty, Franklin sypał opowiastkami z kalendarza. Ten wesoły, beztroski nastrój nie trwał jednak długo. Stare troski wypełzły na nowo. Nie wspomniano o nich, ale rozmowa

rwala się raz po raz, słowa nie wypowiedziane zagłuszały to, co wyrażano głośno. Wkrótce wieczór, zamiast przynieść ulgę, stał się ciężarem, goście zaczęli myśleć o rozejściu się wcześniej niż zazwyczaj.

Nadjechał jeszcze wynajętym powozem spóźniony gość. Kamerdyner, monsieur Finck, wdał się z nim w dysputę, ale po chwili przybysz stanął na progu. Kamerdyner ledwie miał czas zaanonsować: „Pan Austin”. Po tych słowach wszedł do pokoju nieznamy młody człowiek w podróżnym ubraniu.

Rozejrzawszy się dokoła, zwrócił się do Franklina:

- Nazywam się John Loring Austin, przybywam z Nantes, a właściwie z Bostonu, przyjechałem na brygu „Perche”, przywożę wiadomości od Kongresu.

Franklin zapytał innym niż zwykle, podniesionym tonem:

- Czy Filadelfia naprawdę padła?

- Tak - odparł mister Austin - ale przybywam z czymś ważniejszym - dodał prędko i obwieścił: - Generał Burgoyne skapitulował. - Jąkając się, nie kończąc zdań mówił:

- Saratoga. Generałowie Gates i Arnold. Po stronie angielskiej padli generał Fraser i podpułkownik niemiecki Breymann. Prócz generała Burgoyne dostali się do niewoli generałowie Hamilton i Phillips oraz generał brunszwicki Riedesel. W niewoli znalazło się również obok lorda Petershama i księcia Balcarras sześciu członków Parlamentu. Poza tym pojmano pięć tysięcy ośmiuset oficerów i żołnierzy oraz dwa tysiące czterysta żołnierzy armii heskiej. Zdobyto czterdzieści dwa działa, pięć tysięcy muszkietów oraz mnóstwo materiału wojennego i amunicji.

Amerykanie, którzy go rozumieli, nie spuszczały oczu z jego ust. To samo robili nie rozumiejący go Francuzi. Artur Lee podszedł do niego, ujął go za ramię i powiedział ochryłym głosem:

- Co pan mówi? Kto pan jest? Powiada pan, że wzięto do niewoli pięć tysięcy ośmiuset ludzi? Powiada pan, że znalazł się wśród nich generał Burgoyne?

Na to zabrał głos Franklin:

- Proszę o spokój, niech pan opowie jeszcze raz i powoli, mister Austin. Nie ma pan niczego na piśmie?

Austin, który przez cały czas zwracał się tylko do Franklina, odpowiedział:

- Oto moje listy uwierzytelniające, doktorze Franklin, a tu pismo Kongresu. Jest bardzo krótkie, gdyż ze względu na piękną pogodę nie chciano odkładać terminu odpłynięcia brygu. Ale mogę dużo opowiedzieć, rozmawiałem z kapitanem Wilkinsonem, który przywiózł Kongresowi meldunek generała Gatesa.

Franklin odczytał pismo Kongresu. Teraz rozumieli wszyscy Francuzi - pierwszy Pierre. Triumfował. Powtarzał każdemu:

- Zwyciężyliśmy. Saratoga, jaka piękna nazwa! Moja broń, nasza broń zwyciężyła. Jakie to szczęście, że żadne, najbardziej niekorzystne okoliczności nie powstrzymały mnie od wysłania statków i broni. Teraz broń ta, nasza broń, broń naszej wolności zwyciężyła. Saratoga! - Rozkoszował się obcym brzmieniem nazwy miasta, kładąc akcent na ostatniej sylabie.

Silas Deane i młody William, uszczęśliwieni i podnieceni, wypytywali Austina o szczegóły. Znał je dobrze, wszystkie bez wyjątku były pocieszające.

Doktor Franklin nie usiadł, stał wyprostowany, spokojny. Jedną ręką oparł się o poręcz krzesła, w drugiej trzymał pismo Kongresu, które raz jeszcze przeczytał przez okulary w metalowej oprawie. Potem wypuścił je z ręki, zachwiał się lekko, ale nie usiadł. Tymczasem reszta obecnych otoczyła mister Austina i zasypywała go pytaniami. Młody William pełnił funkcję tłumacza na język francuski; zapanował zgiełk,

wszyscy byli radośnie podnieceni. Ale mister Austin, nie zważając na pytania i gwar, w dalszym ciągu mówił tylko do Franklina.

Ten słuchał jednym uchem. Myślał o tym, że i teraz znowu zginęły tysiące Amerykanów, Anglików, Niemców bez potrzeby, tylko przez upór króla Jerzego i jego lordów. Obraz rannych i umierających zacierał się jednak pod wpływem okrzyków: „Zwycięstwo, zwycięstwo!” Kiedy przed chwilą dowodził, że Ameryka musi zwyciężyć, mówił z wielką ufnością, ale za tą ufnością rozumu kryły się troski i wątpliwości serca. Teraz wszystkie te wątpliwości rozwiały się i starzec, który z całej duszy nienawidził wojny i bitew, myślał tylko o jednym: „Zwycięstwo, triumf, zwycięstwo”. Byłby rad, gdyby nawet zginęło jeszcze więcej Niemców i Anglików. Myślał o tym, że z pewną damą w niebieskiej masce prowadził pełną galanterii, chytrą rozmowę i że dama, jak mu opowiadał pan Gerard, po tej rozmowie uzyskała pewne przyrzeczenie od swego męża. Kiedy pan de Gerard poufnie mu o tym opowiadał, była to obietnica z wielkim jeżeli, anemiczna, nic nie mówiąca, właśnie ze względu na to jeżeli. Teraz nagle słowo jeżeli stało się rzeczywistością i wskutek tego zwycięska bitwa pod Saratogą znaczyła więcej niż zwycięstwo w polu. Teraz wskutek tego zwycięstwa sojusz i ostateczny triumf są zapewnione. Ameryka i wolność zmieniły się z abstrakcji w rzeczywistość. Było to coś wielkiego, olbrzymiego; na starczej, rozpromienionej twarzy Franklina pojawił się wyraz dumnej radości.

Artur Lee stał nieco na uboczu, przy kominku. Skrzyżował ramiona, głowę opuścił nisko. Nic nie mówił, o nic nie pytał. Musiał trzymać się tak sztywno, by w młodzieńczy, niegodny sposób nie podskakiwać i nie wymachiwać rękami. Raport mister Austina zdejmował z niego olbrzymi ciężar. Czuł się młody, lekki i szczęśliwy, jak chyba nigdy w życiu. Patrzył w

stronę Franklina. Gdzieś głęboko, na dnie duszy, było w nim ciche niezadowolenie, że doktor honoris causa tak zupełnie nie zwraca na niego uwagi; poza tym brał mister Austinowi za złe, że ten, choć z pewnością wysłany do wszystkich trzech komisarzy, zwracał się jedynie do Franklina. Ale zastrzeżenia te rozplywały się w wielkiej radości. Patrzył na jego rozpromienioną twarz i nie odczuwał ani cienia zawiści. „Ten Franklin -myślał - dopiął teraz swego. Dla siebie i dla nas”.

Franklin usiadł znowu na wygodnym, dużym krześle, które zajmował podczas obiadu. Na stole stały jeszcze desery i kawa.

- Dobry to dzień, moi przyjaciele - powiedział po angielsku, a potem powtórzył po francusku: - Dobry to dzień, moi przyjaciele, prawda?

Wszyscy ściskali sobie ręce, obejmowali się i mówili dużo radosnych słów. Wydawało się teraz niewątpliwe, że dobra sprawa zwycięży wbrew wszystkiemu. Chcąc dać temu wyraz, barczysty Jakub Robert Turgot zbliżył się do Franklina i ze łzami w oczach objął go nieśmiało. Franklin zwrócił się do kuriera ze słowami:

- Niechże pan usiądzie, mister Austin, proszę coś wypić i odsapnąć. Z Bostonu prosto do Passy to długa podróż i w zimie niezbyt przyjemna.

To powiedziawszy posłał pana Fincka do piwnicy po najlepszego szampana. Napełniono kielichy, Franklin trącił się ze wszystkimi.

Jednego tylko już nie było - pana de Beaumarchais. Ruszył pędem do Paryża.

- Z pewnością już pracuje ten nasz spryciarz - powiedział Silas Deane.

Artur Lee zaś pomyślał: „Chce wykorzystać nowinę dla swych spekulacji”.

Goście francuscy sądzili, że trzej komisarze zamierzają natychmiast przystąpić do wykorzystania wiadomości, zaczęli się więc żegnać. Ale Franklin zatrzymał młodego markiza de Condorcet, którego specjalnie lubił.

- Proszę jeszcze chwilę poczekać, mój przyjacielu - powiedział. - Chciałbym wręczyć panu list do Paryża.

Zanim przystąpił do pracy razem z kolegami, usiadł i napisał własnoręcznie do swego przyjaciela Dubourga, dzieląc się z nim pomyslną wiadomością. Potem list zapieczętował i poprosił Condorceta, by go jak najprędzej doręczył.

Rozdział czwarty

Podpisane i przypieczętowane

Następnego ranka po owej niedzieli, piątego grudnia, Ludwik siedział w swej bibliotece w radosnym nastroju. O świcie pojechał na polowanie, po powrocie nawet się nie przebrał i pracował teraz nad przekładem rozdziału z dzieła Hume'a Historia Anglii. Sumiennie tłumaczył słowo za słowem, zdanie za zdaniem, medytował, poprawiał, odczytywał po kilka razy. Były to dobre godziny. Po polowaniu zjadł obfite śniadanie; podczas pisania burczało mu przyjemnie w brzuchu.

Dawno już nie był w tak dobrym humorze. Polowanie sprawiło mu przyjemność, radowała go myśl o wielkiej wystawie pięknych dzieł jego fabryki porcelany, która za kilka dni otwarta zostanie w zamku, z radością tłumaczył Hume'a. Szkoda tylko, że długo nie będzie się tym mógł zajmować; oczekiwał hrabiego Vergennes z raportem.

Vergennes przybył z hrabią Maurepas. Choć jeden i drugi nałożyli maski pogody, dobry nastrój Ludwika rozwiął się na ich widok. Wiedział, że zjawienie się ich we dwójkę nie zapowiada nic dobrego.

- Co panowie przynoszą? - zapytał.

- Zwycięstwo, sire, zwycięstwo - zameldował z szerokim gestem Maurepas.

- Zwycięstwo, victoire - powtórzył Vergennes.

Zarówno w starczych, suchych ustach premiera, jak i w okrągłych, pełnych ustach światowca hrabiego Vergennes słowo to brzmiało wspaniale, a zarazem nieprawdopodobnie. Złożyli raport o Saratodze, o tysiącach jeńców, o wielkich panach angielskich, którzy oddali się w niewolę. Przerywali sobie nawzajem.

- Broń francuska - oświadczyli — wywalczyła to zwycięstwo. Dostarczał jej ów Beaumarchais, któregośmy waszej królewskiej mości polecali; oprocentowały się pieniądze, któreśmy w tego franta włożyli. Oto sprawozdania naszego agenta w Ameryce, kawalera d'Annemours, oto szczegółowy raport posła waszej królewskiej mości w Londynie, markiza de Noailles. Jak widać, sire, wiadomość podziałała niczym grom z jasnego nieba. Panowie w Londynie nie pojmują, jak ich najlepsza armia, dowodzona przez rycerskiego generała Burgoyne, mogła tak żałośnie skapitulować. Przykra to sprawa dla dworu Saint-James.

Była to również przykra niespodzianka dla Ludwika. Zwycięstwo wstrząsnęło nim głęboko; trawienie, przed chwilą jeszcze tak błogie, zaczęło mu dolegać. Zapewne, odwieczny wróg poniósł dotkliwą porażkę, dobrze i pięknie, że się tak stało. Ale Ludwik myślał od pierwszej chwili o bolesnych skutkach, które to zwycięstwo musi za sobą pociągnąć, a mianowicie o tym, że teraz trudno mu będzie wykręcić się od znenawidzonego sojuszu. Toteż od razu postanowił podstępnie i złośliwie, że zrobi wszystko, by do zawarcia sojuszu z buntownikiem nie dopuścić lub przynajmniej termin jego zawarcia odwlec jak najbardziej.

- Wiadomości - rzekł - mogą być, jak się to często zdarza, przesadzone. Rebelianci potrafią robić propagandę. - Ludwik nie może sobie wyobrazić, by bandy buntowników mogły odnieść prawdziwe zwycięstwo nad wyćwiczoną armią angielską. - To nie do wiary, panowie - powiedział - nie do pomyślenia.

Zadzwoił na bibliotekarzy. Kazał panom Campan i de Sept-Chenes przynieść sobie książki z dziedziny geografii, mapy kolonii angielskich w Ameryce, sam pomagał dźwigać to wszystko. Podczas gdy ministrowie w dalszym ciągu odczytywali mu raporty, szukał na mapie nazw Saratoga,

Bemis Height. Dziwne nazwy, nie ma ich na mapach! Chodzi zapewne o małe potyczki, z których buntownicy chcą na gwałt zrobić wydarzenia historycznej wagi, by zatrzeć wrażenie klęski pod Germantown i upadku Filadelfii.

- Telegramy, sire - odpowiedział Vergennes - dowodzą ponad wszelką wątpliwość, że nie chodzi tu o pogłoski, lecz że kapitulacja dowódcy angielskiego wraz z całą jego armią jest faktem dokonany.

Przeszedł z kolei do konieczności jak najszybszego zawarcia traktatu z Amerykanami. Raz jeszcze wyliczył powody przemawiające za sojuszem; było ich wiele i to takiej wagi, że każdy z nich sam by wystarczył. Nadeszła teraz chwila realizacji marzenia, które ożywiało Ludwika od chwili objęcia władzy, marzenia o rozpoczęciu pod francuskim protektoratem nowej ery sprawiedliwości, wolności i poszanowania godności ludzkiej. Nadarza się sposobność przywrócenia szacunku imieniu Francji, które wskutek pokoju, zawartego w roku 1763, tak bardzo ucierpiało.

Wmieszał się Maurepas, oświadczając, że sojusz może również pomóc francuskim finansom. Niewątpliwie będzie można zdobyć nowe rynki; kto wie, czy przy jakim takim szczęściu nie udałoby się odzyskać na nowo Kanady.

Znowu zabrał głos Vergennes. Jeżeli jednak, oświadczył, okazja nie zostanie wykorzystana i sojusz nie będzie w najkrótszym czasie zawarty, grozi niebezpieczeństwo, że zmęczone wojną kolonie zawrą pokój z krajem macierzystym i wtedy Francja może nawet utracić Indie Zachodnie.

Vergennes i Maurepas szermowali argumentami, podsuwając je sobie nawzajem. Ludwik wiedział, że tak będzie. Były to argumenty słuszne, nie do odparcia, ale intuicja jego, głos wewnętrzny, głos Boga, który był w nim, mówił:

„Nie słuchaj ich, Ludwiku, nie słuchaj ich, królu Francji”.

Siedział ponury, zadąsany. Nagle wybuchnął:

- Nie dotrzymaliście słowa, moi panowie, wyprowadziliście mnie w pole. Przynieśliście mi tak wspierać Amerykanów, by się trzymali, ale nie mogli osiągnąć zwycięstwa.

No i mamy teraz! Rebelianci biorą do niewoli angielskiego generała z całą jego armią. Do czego to doprowadzi? Co sobie mój naród o tym pomyśli?

- Naród, sire - odpowiedział niespodziewanie śmiało Vergennes - cieszy się, że Anglia doznała tak niebywałej porażki. - Stary Maurepas kiwnął głową na znak zgody, Vergennes ciągnął dalej: - Naród waszej królewskiej mości, sire, nie mógłby zrozumieć, gdybyśmy się jeszcze dalej ociągali z zawarciem paktu.

W głębi ducha musiał Ludwik się z tym zgodzić. Wszyscy będą myśleli tak jak ci panowie, jak Toinette.

Toinette. Przyjdzie niedługo, zapewne jeszcze dziś rano, skłonić go, by dotrzymał obietnicy. Przynieść jej przecież: jeżeli buntownicy odniosą zwycięstwo militarne... Zwycięstwo militarne to pojęcie bardzo szerokie. Potyczka pod Saratogą nie była zwycięstwem, nie mogła nim być; w każdym razie trzeba wprawdzie poczekać na dokładniejsze wiadomości.

Pochylił się znowu nad mapą. „Wszyscy się cieszą - pomyślał - nawet mój mentor. Te błazny, ślepe jak krety, nie pojmują, o co chodzi”. Stwierdził z ponurą niechęcią i definitywnie, że nie można znaleźć na mapie Saratogi.

- To panowie jesteście winni temu nieszczęściu - wymyślał. - Rewolucja jest zaraźliwą chorobą moralną. Nie należało tu wpuszczać tego buntownika Franklina. Miałem wątpliwości, wahałem się, ale wreszcie namowy panów zrobiły swoje. A przecież jako starsi powinniście byli jeszcze głębiej ode mnie uświadamiać sobie niebezpieczeństwo.

Królewski gniew nie zastraszył ministrów. Ludwik sankcjonował ich amerykańską politykę, świadczyły o tym protokoły.

- Musimy działać, sire - nalegał Vergennes.

- Nie dam się zakrzyczeć - bronił się Ludwik. - Postępujcie panowie tak, jak gdyby sytuacja Francji i świata zmieniła się w ciągu nocy.

- Zmieniła się rzeczywiście - odrzekł Maurepas.

Ludwik gorączkował się w dalszym ciągu:

- Czyżby już nie istniały przyczyny, które dotychczas przemawiały przeciw sojuszowi? Czy wojska moje są dziś uzbrojone lepiej niż wczoraj? Czy kasy moje są mniej puste?

- Armia waszej królewskiej mości, sire — odpowiedział Maurepas - nie jest dziś lepsza niż wczoraj, natomiast armia angielska jest gorsza, tak samo jak pogorszył się kredyt Anglii.

- Nie chcę się wdawać w awanturę - obstawał Ludwik przy swoim - nie chcę w takich okolicznościach dać się wciągnąć w wojnę.

- Żaden odpowiedzialny mąż stanu - uspokajał go Maurepas - nie będzie głosował za przedsięwzięciem kroków, które mogłyby doprowadzić do wszczęcia natychmiastowych działań wojennych.

- Proponujemy, sire, co następuje - powiedział Vergennes. - Prześlemy Franklinowi gratulacje z powodu zwycięstwa i damy mu do zrozumienia, że skłonni jesteśmy wznowić dyskusję nad proponowanym przez niego swego czasu paktem przyjaźni. Tygodnie upłyną, zanim zostanie zawarty pakt i rozpoczną się działania wojenne, i będziemy mieli czas, w miarę sił, polepszyć stan naszego uzbrojenia.

Z całego tego projektu swego ministra Ludwik wychwycił jeden tylko zwrot.

- Dać do zrozumienia? - zapytał z furją. - Ja mam coś dać rebeliantowi do zrozumienia? - Zbliżył się do hrabiego Vergennes, patrzył mu gniewnie w twarz, mrużąc oczy. - Czy na serio chciałby pan skłonić swego króla - skrzeczał falsetem - by biegał za pańskim doktorem Franklinem? Ani mi to w głowie.

Vergennes. zaczerwienił się i zamilkł. Milczał i Maurepas. Ludwik pożałował od razu, że sprawił przykrość swym wiernym doradcom.

- Niech sobie będą te gratulacje - zaczął pojednawczo. - Ale nic więcej. Każdy dalszy krok ubliżałby naszej godności.

Obaj panowie spojrzeli na siebie, porozumieli się w milczeniu. Uważali za wskazane zadowolić się tym, co osiągnęli. Można przecież dać doktorowi Franklinowi poufnie do zrozumienia, że nadeszła właściwa chwila wznowienia dawnych projektów dotyczących paktu. Doktor jest człowiekiem, z którym można rozmawiać. Obaj panowie oddalili się.

Ludwik nie stłumił jeszcze w sobie niezadowolenia wywołanego debatą z ministrami, kiedy nadeszła Toinette.

Promieniała. Zwycięstwo to było potwierdzeniem z niebios. Dowodziło, jak mądrze postąpiła starając się przez uprzejmą rozmowę zjednać dla Francji przywódcę buntowników. Teraz stary okazał się cennym sprzymierzeńcem, z którego pomocą będzie można ostatecznie pobić na głowę odwiecznego wroga. Intuicja, wewnętrzny głos Habsburgów podszeptały jej słuszną radę.

- Winszuję, sire! - zawołała. - Czy nie jest to największe, najszcześniejsze wydarzenie od czasu naszego wstąpienia na tron?

- Oczywiście, dobrze się stało - powiedział Ludwik bez entuzjazmu - że Anglicy zostali upokorzeni. Nie wolno jednak zapominać, że zwycięstwo to jeszcze bardziej rozzuchwali buntownicze dusze w moim państwie. Niezadowoleni

podniosą głowy w całej Europie. Jeżeli to w ogóle zwycięstwo - ciągnął dalej zaczepnym tonem - bo nie jest to jeszcze wcale dowiedzione, madame.

Toinette zorientowała się z miejsca, do czego te słowa zmierzają. Ludwik nie chciał przyznać, że spełniły się warunki, od których uzależnił swą zgodę.

- W każdym razie - powiedziała - wydaje mi się, że czas przypomnieć panu pewną obietnicę, sire.

- Nie zamierzam bynajmniej - odrzekł Ludwik - wykręcać się od dotrzymania danego słowa. Obowiązkiem moim jest jednak zbadanie, czy te warunki zostały spełnione.

Mówił bardziej stanowczo, niż oczekiwała, musiała więc na razie poprzestać na tym.

Ledwie odeszła, załamał się. Wiedział, że może rzecz odwlekać, ale że wyjścia już nie ma. Principiis obsta/1

*/Początkom przeciwdziałaj! (łać.)

Tak, trzeba było przeciwstawić się od początku. Ale dał się wpędzić w tę ciasną uliczkę, krok za krokiem, no i teraz był pełen winy, a łaska go opuściła. W Reims, po otrzymaniu namaszczenia, położył rękę na głowach trzystu chorych i więcej niż połowa ozdrowiała. Nie ma w nim teraz na pewno tej błogosławionej siły. Cień Franklina padł na jego kraj i na niego samego i pograżył wszystko w ciemnościach.

Nie miał nikogo, przed kim mógłby całkowicie otworzyć serce. Tylko swego mentora. Był to niezaprzeczenie człowiek mądry, o dobrych zamiarach. Niestety jednak nie miał duszy.

„Na moją duszę, jeżeli ją mam”. Na myśl o tych słowach wstrząsał Ludwikiem dreszcz. Bo chcąc być uczciwym musiał przyznać, że wina leży po jego stronie. To on wbrew wewnętrznemu głosowi dawał się raz po raz skłaniać ku złemu.

A potem dał Toinette to bezmyślne, haniebne przyrzeczenie. Nie mógł jej nawet brać za złe, że go żądała. Była ślepa, nie

orientowała się. Wszyscy są ślepi, on tylko ma oczy otwarte; szarpali go, było ich tylu, byli silniejsi od niego, aż wreszcie teraz spychają go ku przepaści.

Od dawna gromadził powiedzenia i myśli wielkich pisarzy, sławiące porządek i autorytet. Wrócił teraz do nich. Na samym początku wypisał pięknie brzmiącą strofę Homera: „Niedobre jest wielowładztwo, niechaj jeden będzie panem i królem”. Wynotował również wypowiedzi Platona. Na przykład słowa Sokratesa do Glaukosa na temat nieuchronnego wynaturzenia wszelkiej demokracji: „Nikt nie umie się już podporządkować drugiemu, w końcu nie trzymają się praw, ani pisanych, ani nie pisanych, nie chcą, by ktokolwiek był ich panem”. Wypisał sobie nawet niebezpieczne słowa z Ducha praw Monteskiusza: „Naród jest zawsze za szybki albo za powolny. Chwilami obala wszystko setkami tysięcy ramion, chwilami, mając setki tysięcy nóg, pełza jak liszka”.

Wertował swą książczynę z cytatami; im dłużej czytał, tym bardziej rosły w nim gniew i niezadowolenie. A więc z takimi ludźmi ma się sprzymierzyć, z takim narodem, z „republiką”, z „demokracją”, z państwem w istocie swej skazanym na zagładę.

Nie potrzeba było mu nawet mądrości minionych pokoleń, by zdawać sobie sprawę, jak sprzeczny z naturą jest ten sojusz, do którego chcą go zmusić. Amerykanie sami wypowiedzieli otwarcie swe zasady z całą diabelską siłą i czelnością. W swej Deklaracji Niepodległości nie tylko zwrócili się przeciw królowi, przeciw jego angielskiemu kuzynowi; chodziło im o coś innego, chcieli zmieść z powierzchni ziemi wszelki autorytet boski. Jeden wypowiedział to, reszta przyklasnęła mu i studiowała jego zatrutą książkę z większym nabożeństwem niż Słowo Boże. Ludwik zadzwonił na pana Sept-Chenes i polecił mu wyszukać dzieło Tomasza Paine'a,

zatytułowane Common Sense/1 (Zdrowy rozsądek), które przechowywane było w szafie z trucicielską lekturą.

Z ponurą miną wertował podstawowy podręcznik narodu, z którym miał się sprzymierzyć. „Władza królewska - czytał - była najzręczniejszym wynalazkiem diabła, mającym na celu popieranie bałwochwalstwa. Powiększyliśmy jeszcze zło tkwiące w monarchii przez uczynienie jej dziedziczną; jeżeli sami się degradujemy przez monarchię jako taką, to grzeszymy wobec potomstwa wprowadzeniem do niej zasady dziedziczności. Bo jakże często natura daje ludzkości osła zamiast lwa. Cóż innego ma król do roboty niż wojować i rozdzielać urzędy? Otrzymuje za to osiemset tysięcy funtów szterlingów rocznie i w dodatku równe boskiemu uwielbienie. Czyż uczciwy człowiek nie jest więcej wart dla społeczeństwa niż wszystkie te koronowane łajdaki razem wzięte?”

Nie, nie można wymagać od monarchy arcychrześcijańskiego, by zawierał sojusz na śmierć i życie z narodem, który opowiedział się za tego rodzaju zasadami. Podkreślił to zdanie. Zadzwoił na pana Sept-Chenes. - Proszę postawić książkę na miejscu - powiedział ponuro - i dobrze ją zamknąć. Ta książka jest kwintesencją wszelkiego zła.

Zbadał, czy szafa dobrze się zamyka. Zamek okazał się mocny - Ludwik sam go kiedyś sporządził. Stał teraz przed szafą pełen troski. Pisma Paine'a można zamknąć, ale nie wiadomo, czy jego powracający z Ameryki żołnierze nie przywiozą ze sobą tej nikczemnej książki i nie będą szerzyć zawartych w niej zatrutych myśli?

Przeszło mu przez głowę, że zdradziecka, diabelska głowa nauczyła go wiele, że pod jej wpływem dojrzały w nim pewne sprawy. Nie połączy się z buntownikami, lecz sprzymierzy się ze swym angielskim kuzynem przeciw buntownikom. Pobią ich wspólnymi siłami, Anglia zwróci mu za to Kanadę.

Stworzy święte przymierze. Z dwoma innymi władcami nie zarażonymi jeszcze przez modne ideały, z Jerzym i Marią Teresą, zawrze sojusz, któremu nie potrafi się przeciwstawić żadna rewolucja. Zmuszą amerykańskie kolonie Anglii do powrotu na właściwą drogę. Wspólnymi siłami uda się to osiągnąć bez trudu i będzie pouczającym przykładem dla przyszłych buntowników.

Wyprostował się. Oczyma wyobraźni zobaczył się takim, jakim go namalował Duplessis. Plan jego był wielki, godny króla Francji i jego przodków.

Czy jednak Ludwik jest na to właściwym człowiekiem? Czy istotnie jest taki, jakim go namalował Duplessis? Obawiał się, że malarz wyidealizował go i że w istocie wygląda zupełnie inaczej. Może przodkowie jego byli zupełnie inni niż na obrazach, może ich także idealizowali malarze.

Bzdura! Ludwik XIV miał odwagę być takim, na jakiego wyglądał na portretach. Miał odwagę odwołać edykt wydany w Nantes i wypędzić kacerzy. Tymczasem dzisiejszy Ludwik już w przysiędze koronacyjnej za namową Turgota opuścił uroczyste przyrzeczenie, że ogniem i mieczem przepędzi kacerzy.

Był słaby od samego początku. Nie miał dość silnej pięści, by stworzyć trójprzymierze przeciw buntownikom. Wyobrażał sobie teraz, jak by to było, gdyby opowiedział swemu mentorowi Maurepas o tym potężnym projekcie. Widział oczyma wyobraźni, jak stary uśmiecha się i mówi uprzejmie: „To szlachetne sny, sire, sny Aleksandrowe”.

Tego samego poniedziałku zebrali się również delegaci amerykańscy na naradę, co można zrobić, by wykorzystać w Wersalu zwycięstwo pod Saratogą.

Artur Lee zaproponował, by dać ministrowi Vergennes wyraźnie do zrozumienia, że uzyskanie od Anglii wszystkich

warunków jest teraz rzeczą możliwą i że jeżeli Wersal nie zawrze natychmiast aliansu, będzie tego żałował. Franklin odradzał, wychodząc z założenia, że groźby takie można wysuwać tylko w ostatecznym wypadku. Byłoby mądrzej, oświadczyć, zbliżyć do siebie ministrów francuskich zamiast ich ciągle czymś obarczać. Im mniej okaże się natarczywości, tym lepsze warunki będzie można osiągnąć.

Lee zaprotestował. Wiele już zepsuto przez zbytnią opieszałość, nie wolno wypuścić z ręki wielkiej okazji.

Franklin nic nie odpowiedział, spojrzął tylko na Silasa Deane. Ten milczał; wysoki, tęgi, barczysty Deane był dziś szary i smętny. Statek, na którym przybył do Paryża z radosnym poselstwem młody Austin, przywiózł dla niego niepomyślne wieści. Otrzymał odwołanie, odwołanie do Ameryki. Wiedząc o intrygach Artura Lee, oczekiwał wprawdzie tego ciosu, ale mimo to wiadomość poruszyła go do głębi. Był pierwszym Amerykaninem, który reprezentował na tym kontynencie interesy swego kraju, reprezentował je dobrze, nawiązał pomyślny kontakt z panem de Beaumarchais i dzięki temu mógł kierować do Ameryki stały strumień broni i materiału wojennego. Zamiast podzięki przyszło owo niedobre pismo odwołujące, którego styl i język nie starały się nawet ukryć nieufności i niezadowolenia Kongresu.

Na milczącą więc zachętę Franklina zabrał głos, by odpowiedzieć na pytanie, co lepsze: czy domagać się od ministrów, by działali, czy też czekać. Choć zawsze miał najwyższy respekt dla poglądów Franklina i rzadko kiedy mu się przeciwstawił, tym razem opowiedział się po stronie Artura Lee. I on był zdania, że należy wpływać na gabinet wersalski, ukazując mu, że Kongres weźmie poważnie pod uwagę bardzo korzystne warunki pokojowe wysunięte przez Anglię. Silasowi Deane było pilno, nie chciał wracać do Ameryki, zanim położy swój podpis i swoją pieczęć pod tak

gorąco upragnionym sojuszem. Nie mógł się opanować i czekać, nie miał czasu.

Franklin wiedział już także o odwołaniu Silasa Deane. Było mu go żal, rozumiał jego pośpiech i niecierpliwość, ale nie miał wątpliwości, że ukryte groźby są na razie nie na miejscu. Delegaci zakomunikowali już urzędowo premierowi i hrabiemu Vergennes wiadomość o zwycięstwie. Franklin prosił kolegów, by poczekali przynajmniej na odpowiedź ministrów. Lec i Doane, częściowo tylko przekonani, ulegli wreszcie.

Spokój Franklina płynął z głębokiego przekonania. Trudno mu było teraz zrozumieć, że przed nadejściem wiadomości o zwycięstwie dał się zarazić niepokojem innych. Po odejściu Artura Lee i Silasa Deane siedział z na pół zamkniętymi oczyma w swym wygodnym fotelu, zmęczony i zadowolony, nieco wyczerpany, gotów czekać tygodnie, a nawet miesiące.

William zapytał, czy będą pracować; nadeszła liczna korespondencja, którą trzeba załatwić. Ale doktor potrząsnął przecząco dużą głową.

- Dzisiaj nie, mój chłopcze - powiedział. I William oddalił się. Franklin pozostawszy sam rozkoszował się bezczynnością. Grzebał w wielkiej masie listów, odsuwał na bok oficjalną korespondencję, szukał tylko takich sprawozdań, które go bawiły, myśląc przy tym: „Vive la bagatele!”

Przysłano mu na przykład liczne proklamacje, które od początku swej wojennej wyprawy wydawał wzięty obecnie do niewoli generał Burgoyne. Franklin studiował z lubością długi manifest do ludności Ameryki. Tym wszystkim, którzy chcieliby powrócić do swego króla, generał gwarantował łaskę i pomoc; za to tym, którzy trwali w obłądnym, beznadziejnym uporze, groził zagładą. Pisał, że wyśle przeciw nim swoich Indian, których są tysiące, że będzie się czuł uprawniony przed Bogiem i ludźmi, by na tych upartych łotrów, którzy

sami postawili się poza ludzkością, runęła zemsta całego państwa. Franklin znalazł również w swej pocztce proklamację Burgoyne'a do Indian. Generał oświadczał w niej: „Zgodnie z waszymi obyczajami, które tego rodzaju trofeom wojennym nadają charakter honorowy, będzie wam wolno skalpować wrogów, którzy padną”.

Odpowiedź przywódców Indian brzmiała następująco:

„Kochamy naszego ojca po tamtej stronie Wielkiej Wody, miłość i wierność wyostrzyła nasze wojenne topory”.

Otoczony miłą ciszą Passy Franklin odczytywał z uwagą literackie płody generała Burgoyne oraz Indian. Potem usiadł i zaczął pisać uśmiechając się gniewnie. Było to sprawozdanie do gazet.

Niejaki kapitan Gerrish z milicji amerykańskiej, brzmiało sprawozdanie, zagarnął podczas napadu na oddział angielski znaczną ilość łupów, wśród których znalazło się osiem wielkich skrzyń, zawierających skalpy Amerykanów. Skalpy te znajdowały się w drodze do gubernatora angielskiej Kanady, który miał je przesłać do Londynu. Doktor Franklin podawał dokładne brzmienie listu oficera angielskiego, który towarzyszył transportowi. Pisał on:

„Na żądanie przywódcy Indian szczepu Senneka posyłam Waszej Ekscelencji 8 skrzyń ze skalpami należycie uwędzonymi, wysuszonymi, nawleczonymi na obręcze, z wymalowanymi znakami triumfalnymi. Załączam listy i wyjaśnienia. Lista nr 1 zawiera 43 skalpy żołnierzy Kongresu, którzy zginęli w różnych potyczkach. Skalpy są nawlezione na czarne obręcze, pomalowane na czerwono z czarną plamą na znak, że żołnierze zostali pozabijani kulami. Równocześnie załączam 62 skalpy chłopów zamordowanych w ich domostwach. Obręcze są czerwone, strona wewnętrzna pomalowana na brązowo z siekierą w czarnym kole, dla zaznaczenia, że zostali zaskoczeni w nocy. Skrzynia nr 4

zawiera 102 skalpy chłopskie; 18 z nich nosi na sobie mały żółty płomień, na znak, że jako jeńcy zostali żywcem spaleni. Wśród tych skalpów tylko 67 to skalpy całkowicie siwe; większość chłopów, sądząc po kolorze włosów, należała do młodszej generacji, co czyni owe wyczyny wojskowe jeszcze cenniejszymi. Skrzynia nr 5 zawiera 88 skalpów kobiecych - długie włosy, niebieskie obręcze, żółtawa skóra, znak czarnego noża lub topora, dla zaznaczenia, że zostały zabite tym narzędziem. Skrzynia nr 7 zawiera 211 skalpów dziewczęcych; małe, żółte obręcze, białe tło, topór, siekiera i nóż do ściągania skalpów.

Wraz z tymi skrzyniami, my, przywódcy, przesyłamy Waszej Ekscelencji następujące słowa: Ojczy, posyłamy Ci liczne skalpy, byś widział, że nie jesteśmy opieszałymi przyjaciółmi, i prosimy Cię, byś posłał te skalpy przez Wielką Wodę do wielkiego Króla, by je obejrzał, ucieszył się nimi i przekonał, że dary Jego nie trafiły do rąk niewdzięczników".

Franklin przeczytał, co przed chwilą napisał, uznał tekst za dobry i wydrukował go własnoręcznie jako artykuł z „Boston Independent Chronicle” . Potem posłał artykuł do czasopisma „Affaires de l'Angleterre et de l'Amerique”², do „Courrier de l'Europe”³, do „Gazette Francaise d'Amsterdam”⁴ i do „Courrier du Bas-Rhin”⁵.

Okazało się zresztą, że przypuszczenie jego, iż Wersal odezwie się pierwszy, było słuszne. W dwa dni po otrzymaniu wiadomości o zwycięstwie zjawił się w Passy monsieur Gerard i w imieniu hrabiów Maurepas i Vergennes złożył uroczyste gratulacje z powodu wielkiego zwycięstwa. Uczyniwszy to oświadczył, że jego urzędowa rola jest skończona, dodając, że osobiście nie widziałby w tym nic złego, gdyby panowie delegacji ponowili teraz swe propozycje zawarcia sojuszu. Propozycje takie znajdują w obecnej chwili niezawodnie przychylnie oczy, uszy i serca.

Franklin podziękował panu Gerard za radę i z miejsca wystosował żądane pismo. Przypominał w nim, że Stany Zjednoczone już raz wystąpiły z propozycją paktu przyjaźni z królem Francji. Delegaci, upoważnieni przez Kongres, ucieszą się, jeżeli dwór wersalski podejmie z nimi rozmowy na temat takiego paktu.

1/ „Niezależna Kronika Bostońska”.

2/ „Sprawy Anglii i Ameryki”.

3/ „Kurier Europejski”.

4/ „Gazeta Francuska Amsterdamu”.

5/ „Kurier Dolnej Nadrenii”.

Kiedy po południu przybyli do Passy pozostali delegaci, Franklin zakomunikował im z uśmiechem, że jednak Wersal przyszedł do Passy, a nie Passy do Wersalu. Potem pokazał im szkic listu. Artur Lee kręcił nosem, uważał tekst za zbyt służalczy. Franklin obiecał napisać inny, zgodnie z życzeniami Artura Lee. Artur Lee nalegał, by mógł ten list zobaczyć, i żądał, by nie odszedł bez podpisu Silasa Deane i jego. Odwlekło to wysłanie o dwa dni.

Wówczas dopiero William Temple wręczył list w Wersalu.

Otrzymałszy wiadomość o amerykańskim zwycięstwie Pierre od razu pospieszył z Passy do Paryża. Popędzał w drodze stangreta. Pierwszy zwiastował swego czasu Francuzom proklamację niepodległości Ameryki, chciał również pierwszy roztrąbić wiadomości o zwycięstwie pod Saratogą. Poza tym był świadom, że wydarzenie to wywrze wpływ na giełdy Paryża, Londynu i Amsterdamu; im prędzej wykorzysta swą wiadomość o zwycięstwie jako kupiec, tym większy będzie jego zysk. Coraz gwałtowniej popędzał stangreta.

Zima w tym roku przyszła bardzo wcześnie. Droga była miejscami pokryta lodem, zapadł mrok, stangret tłumaczył się, że musi jechać ostrożnie.

- Do diabła z twoją ostrożnością! - wołał Pierre. - Muszę tworzyć historię i nie mogę sobie pozwolić na ostrożność.

Przerażony stangret zagryzł wargi, zdzielił konie batem. Po chwili, jak się tego obawiał, powóz przewrócił się i Pierre wyleciał niby z procy. Upadł niefortunnie, nie mógł poruszać ramieniem, twarz miał zalaną krwią. Przejeżdżający powóz zabrał go i zawiózł do domu.

Położono go do łóżka, Teresa posłała po lekarzy. Okazało się, że złamał rękę i doznał obrażeń niegroźnych, lecz bolesnych. Nałożono mu opatrunki. Jeszcze w obecności lekarzy, zajętych bandażowaniem go, domagał się gwałtownie Maigrona i Gudina. W gorączce, nie zważając na krepujące opatrunki, dawał polecenia, dyktował listy. Od czasu do czasu pojawiał się na jego twarzy błogi uśmiech; ale obrażenia i okaleczenia, których doznał, były tak bolesne, że nie mógł powstrzymać się od jęków.

Do hrabiego Vergennes pisał: komunikuje mu z łoża boleści, że szlachetne zlecenie, dane mu przez rząd króla, spełnił w ten sposób, iż Amerykanie osiągnęli zwycięstwo, którego pamięć przetrwa wieki obok wielkich zwycięstw w historii świata. „Dzieci nasze i nasze wnuki - brzmiały końcowe słowa listu - zachowają w pamięci nazwę: Saratoga”.

Julia przybiegła z ulicy Conde odwiedzić brata; wielce była zalterowana; zaczęła biadać, że chory się przemęcza.

- Cicho bądź, moja droga - powiedział Pierre. - Przecież to historyczny dzień; wstałbym nawet z grobu, by maszerować wraz z innymi. - Powiedziawszy to dyktował dalej.

Teresa zajmowała się chorym spokojnie i dzielnie. Była rada, że jej Pierre przyczynił się do osiągnięcia zwycięstwa. Ale Julii ta opieka nad chorym nie wydawała się dostatecznie gorliwa; przeniosła się do domu przy ulicy Saint-Antoine, by dzień i noc czuwać nad bratem, na co się Teresa zgodziła.

Pierre był niecierpliwym pacjentem. Wyklócał się z lekarzami, którzy nie pozwolili mu pójść na rue Vieille du Temple, by tam pilnować interesów, nie słuchał ich zakazu przyjmowania wizyt.

Jeden z pierwszych odwiedził go pan Lenormant. Pierre był wspaniałomyślny i zauważył tylko półgłosem, że obawy Charlota, iż Amerykanie się nie utrzymają, okazały się bezpodstawne. Przez ułamek sekundy pojawił się na wargach Charlota złowieszczy uśmiech. Zdarzało się już, oświadczył, że właśnie zwycięzcy okazywali się w poczuciu swej siły kiepskimi płatnikami.

Pierre roześmiał się tylko. Mimo to błogi nastrój zmaćcia tajemna troska. Starał się wedle sił doprowadzić do sojuszu; kiedy jednak sojusz ten dojdzie do skutku, monsieur de Vergennes nie będzie już potrzebował tajnego agenta, arsenały królewskie będą mogły dostarczać broni na oczach wszystkich, a setki petentów zaczną oblegać urzędy, dobijając się o dostawy wojenne i możliwość konkurowania z firmą Hortalez.

Na razie jednak czekały go radosne dni, więc skryta obawa, wywołana przez złośliwą uwagę Charlota, rozplynęła się szybko w kadzidłach ogólnego uznania.

Stawili się bowiem wszyscy, by mu wyrazić współczucie z powodu wypadku i złożyć równocześnie gratulacje; miało się wrażenie, jak gdyby kapitulacja generała Burgoyne była jego osobistą zasługą. Rzecz to zaszczytna, oświadczyła madame de Maurepas, że jej Toutou, choć odległy o trzy tysiące mil, został ranny w tej zwycięskiej bitwie.

Zjawił się również w pokoju wuja nieśmiały Felicjan i spoglądał z podziwem na człowieka, któremu dane było oddać sprawie wolności taką przysługę. To młodzieńcze uwielbienie dobrze wpłynęło na Beaumarchais'go.

Wśród odwiedzających nie zabrakło nawet markiza Vaudreuil, którego Pierre najmniej oczekiwał. Tak, dumny pan raczył zniżyć się do odwiedzenia syna zegarmistrza. Używając wytwornych zwrotów, wyraził mu swe ubolewanie z powodu wypadku i choć o zwycięstwie Amerykanów mówił z lekką ironią, Pierre miał wrażenie, że w jego słowach wyczuwa szczerze uznanie dla tego, co dokonał. Nie ulegało wątpliwości, że wizyta markiza jest czymś więcej niż aktem kurtuazji. Zasiedział się czas dłuższy, wdał się w obszerną rozmowę na tematy polityczne, Pierre był rad, że wielki pan słucha z uwagą jego wywodów.

Zwycięstwo pod Saratogą dodało markizowi Vaudreuil nowego bodźca. Nie tylko odczuwał sukces Amerykanów jako własny triumf - bo czyż swego czasu nie stanął po stronie Franklina i nie doprowadził do spotkania z Toinette - lecz i z innych powodów zależało mu na tym zwycięstwie. Gra z Toinette przeciągała się zbyt długo, zaczynał tracić cierpliwość, złota jednostajność Wersalu nudziła go coraz bardziej, tęsknił za nowymi wrażeniami. Zwycięstwo pod Saratogą przypomniało mu, że markizowie Vaudreuil byli od dawna rodem wojowników; odznaczali się w bitwach morskich toczonych przez królestwo, dziadek markiza zdobył rozgłos jako gubernator Kanady, inny Vaudreuil, jego stryj, był czczony jako jeden z bohaterów armii francuskiej. Teraz Francois Vaudreuil czuł się dzięki zwycięstwu pod Saratogą powołany do podtrzymania tej tradycji i wzięcia udziału w wojnie przeciw Anglii na jakimś wysokim stanowisku.

Przede wszystkim należało dalej zachęcać grubasa, by wojna wreszcie stała się rzeczywistością. Ludwik trwał w zaciekłym, stanowczym uporze niepodejmowania niczego; ale Vaudreuil powziął jeszcze mocniejsze postanowienie, że za pośrednictwem Toinette zmusi go do działania.

Vaudreuil słuchał z zadowoleniem ognistych, pięknie szlifowanych argumentów, które przytaczał Beaumarchais, by udowodnić mu, że natychmiastowe zawarcie sojuszu jest palącą koniecznością polityczną. Dobrze sobie te argumenty zapamiętał i powtórzył je Toinette. Nie odstępował w owych dniach od jej boku, nalegał uporczywie, by wreszcie zmusiła Ludwika do spełnienia obietnicy.

Toinette, podjudzana przez niego, coraz głębiej wgryzała się w sprawę amerykańską. Poszła tak daleko, że sprzymierzyła się z ministrami Maurepas i Vergennes. Kiedy ministrowie po otrzymaniu pisma, w którym delegaci amerykańscy ponawiali propozycję zawarcia sojuszu, poprosili wahającego się Ludwika o konferencję, nalegała, by mogła w niej wziąć udział.

Ministrowie oświadczyli królowi, że zastrzeżenia jego, iż nie chciałby pierwszy wystąpić z propozycją, upadły, z chwilą gdy Franklin poprosił o wszczęcie rokowań; jeżeli zaś każe się Amerykanom czekać na odpowiedź, grozi niebezpieczeństwo, iż dogadają się z Anglikami. Wskazując na gruby plik akt Vergennes oświadczył, że ma wiarygodne informacje, iż Anglia zasypuje Franklina propozycjami pokojowymi. Ludwik spojrział z niechęcią na akta i nie dotknął ich nawet.

- Dłuższe wahanie, sire - tłumaczyła energicznie Toinette - byłoby równoznaczne z popychaniem Amerykanów w ramiona Anglików.

Ale Ludwik znalazł nowy pretekst.

- Zarówno madame, jak i wy, moi panowie, zapominacie - odpowiedział z godnością - że mamy związane ręce.

Zanim przedsięwziemy coś, co mogłoby wywołać niebezpieczeństwo wojny, musimy uzyskać zgodę naszych aliantów. Czy mam złamać traktat z Hiszpanią? - zapytał gniewnie. - Nie wdam się w żadną ryzykowną awanturę. Nie zawrę paktu z rebeliantami, zanim nie otrzymam czarno na

białym wyraźnej zgody mego kuzyna. Nie złamię danego słowa. Nie wymusicie tego na mnie, panowie. Madame również się to nie uda.

Toinette kiwała nogą, otworzyła usta, by odpowiedzieć, rozmyśliła się, Maurepas oświadczył, że nikt nie myślał o tym, by podpisać tak ważną umowę bez zapewnienia sobie zgody Hiszpanii. Prosił teraz króla, by pozwolił wysłać do Madrytu kuriera.

- Niech będzie - mruknął Ludwik. Ale Toinette upierała się:

- Nie możemy kazać czekać doktorowi Franklinowi na decyzję z Madrytu.

- Jestem związany słowem z Hiszpanią - odrzekł ponuro Ludwik. - Doktor Franklin będzie się musiał zdobyć na cierpliwość.

- Czy mogę wysunąć pewną propozycję, sire? - wmieszał się giętki Vergennes. - Czy nie możemy pomówić z Amerykanami o otwarcie? Czy nie możemy oświadczyć im, zgodnie zresztą z prawdą, że rząd zdecydował się podpisać sojusz, o ile Hiszpania nie wysunie zastrzeżeń?

Ponieważ Ludwik tkwił ponuro w swym fotelu, Toinette powiedziała z naciskiem:

- To byłoby najśluszniesze. Właśnie to. Maurepas był tego samego zdania:

- Nie widzę innej drogi, by przeszkodzić Ameryce w pogodzeniu się z Anglią.

Ludwik milczał z odpychającym wyrazem twarzy.

- Dziękuję wam, panowie - odezwał się nagle. - Znam teraz wasz pogląd na sprawę.

Ministrom nie pozostawało nic innego, jak się oddalić. Spojrzeli na Toinette, jakby szukając u niej pomocy.

- Wasza królewska mość nie powinna pozwolić - powiedziała Toinette z naciskiem - byśmy się na tym rozeszli.

- Proszę zlecić tym panom, by dali Amerykanom odpowiedź, którą jesteśmy im winni. Proszę, niechaj się sire wypowie - dodała uprzejmie, lecz stanowczo.

- No więc dobrze, więc pięknie - powiedział Ludwik. Ledwie mu się to wyrwało, już dodał spieszenie, z gniewem:

- Proszę jednak pouczyć energicznie tych buntowników, że nasza deklaracja musi być utrzymana w ścisłej tajemnicy przed Anglikami. Gdyby z winy buntowników coś przesiąkło na zewnątrz, wówczas zerwę pertraktacje i każę oświadczyć w Londynie, że wszystko jest wyssane z palca. Niechaj panowie przyjmą to do wiadomości i niech o tym zawiadomią rebeliantów. Wtedy zerwę pertraktacje i nie będę się czuł niczym związany. - Świadomie doprowadził się do dzikiej pasji. - No tak - skrzeczał dyszkantem - od tej chwili nie będę się tą sprawą zajmował pod żadnym pozorem, dopóki nie nadejdzie odpowiedź z Hiszpanii. Wypraszam sobie, by ktokolwiek - nie patrzył przy tym na Toinette - w mojej obecności wspomniał choćby słówkiem o Amerykanach. Chcę mieć teraz spokój. Chcę w spokoju zająć się przygotowaniem do mojej wystawy porcelany.

Ministrowie, zadowoleni, oddalili się spieszenie. Toinette została.

- Żałuję bardzo, Ludwiku - powiedziała nie bez ironii - żeś musiał tak sobie nadwerężyć głos.

- Nie wiecie, co robicie - powiedział ze znużeniem. - Ci panowie nie wiedzą, a cóż dopiero ty. - Ponieważ wzruszyła tylko pogardliwie ramionami, mówił dalej: - Czy zdajesz sobie sprawę, madame, jakie będą pierwsze skutki zawarcia paktu? - Nie wiedziała, do czego zmierza. - Pierwszym skutkiem będzie to - ciągnął mściwie - że oboje, i pani, i ja, będziemy musieli ograniczyć się w wydatkach. Pakt oznacza wojnę, a wojna to wyższe podatki. Jeżeli zaś żądamy od ludu wyższych podatków, musimy sami świecić królewskim przykładem. Z

wielkim ubolewaniem musiałbym wtedy prosić madame o skreślenia w jej etacie.

Toinette była zaskoczona. Wyobrażała sobie, że skoro tak energicznie opowiada się za Ameryką, wszyscy będą zachwyceni jej entuzjazmem dla sprawy ludu i raczej będzie mogła pozwolić sobie na zwiększenie wydatków.

Przekonawszy się teraz, że rozumowanie to było błędne, odpowiedziała czyniąc piękny gest, że oczywiście gotowa jest ponieść z radością każdą ofiarę w interesie Francji i w celu osłabienia odwiecznego wroga.

Ludwik odparł, że nic nie jest jeszcze postanowione. Minie parę tygodni, zanim nadejdzie odpowiedź z Hiszpanii. Dając jej owo przyrzeczenie, ciągnął dalej, nie pomyślał, na jakie się wskutek tego dostał rozdroża. Teraz bowiem dał słowo i jej, i królowi Hiszpanii. Rozważył sprawę szczegółowo ze swym spowiednikiem. Obietnica dana całemu królestwu ma większe znaczenie niż obietnica dana jednostce. Jeżeli Hiszpania nie odpowie bezwarunkowym, niedwuznacznym tak, Ludwik znajdzie się w ciężkim konflikcie z obowiązkami i będzie musiał załatwić ze sobą i z Bogiem pytanie, jaką ma kroczyć drogą.

Toinette poznała, wyraźniej jeszcze niż dotychczas, jak podniecającą grą jest wielka polityka, jak słowo tak wcale nie musi oznaczać tak. Decyzja jej, by zmusić tego ponurego, zgryźliwego człowieka do uznania Stanów Zjednoczonych i do wojny z Anglią, ugruntowała się jeszcze mocniej.

Tego samego dnia Vergennes wezwał doktora Franklina na konferencję. Nie chcąc za żadną cenę dostarczyć ociągającemu się Ludwikowi pretekstu do cofnięcia wyrażonej przez niego zgody, prowadził pertraktacje w najgłębszej tajemnicy. Nie zaprosił emisariuszy do swoich apartamentów urzędowych w Wersalu czy w Paryżu,

zapropował im, by się stawili w Wersalu w umówionym miejscu, o umówionej godzinie. Zabrał ich stamtąd wynajętym powozem jeden z pełnomocników pana Gerard i zawiózł do domu odległego od Wersalu o jakąś milę. Czekali tam Vergennes i Gerard.

Minister poruszył na wstępie szereg drobnych spraw. Podkreślił, że Francja nie myśli o wojnie zaborczej; młody jego władca ani sobie nie życzy, by Amerykanie zdobyli dla siebie lub dla Francji Kanadę, ani nie chce powiększać terytorialnie swych posiadłości. Jeżeli uzna Stany Zjednoczone i przyłączy się do wojny, uczyni to z pobudek czysto ideowych.

Franklin próbował wykrztusić odpowiedź na tę napuszoną gadaninę. Gdyby Kongres, oświadczył, nie był przekonany o humanitaryzmie króla, nie wysłałby swych emisariuszy do Paryża.

Vergennes skłonił się. Potem uroczyście oświadczył delegatom, że Rada Koronna zdecydowała się uznać Stany Zjednoczone Ameryki i wejść z nimi w pertraktacje. Ze względu jednak na układy z Hiszpanią król musi odłożyć podpisanie traktatów, dopóki nie nadejdzie z Madrytu oświadczenie, że Hiszpania nie ma zastrzeżeń przeciw takiemu paktowi.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Franklin powiedział z wielkim spokojem:

- Dziękujemy panu, panie hrabio, za tę wielce radosną nowinę. Wszyscy skłonili się.

- Muszę jednak raz jeszcze zwrócić panom uwagę - powiedział Vergennes - że Francja przed porozumieniem z Hiszpanią nie może zrobić decydującego kroku. Proszę więc usilnie o traktowanie sojuszu tak, jak gdyby znajdował się jeszcze w łonie matki, oraz o zachowanie najściślejszej tajemnicy.

- Przymykamy to - powiedział Franklin.

Kiedy zostali sami, Artur Lee dał wyraz niezadowoleniu, że Francuzi w tak niegodny sposób dodali do swej zasadniczej zgody na sojusz warunek, by sprawa była utrzymana w tajemnicy.

- Traktuje się nas tutaj ciągle jak złoczyńców i spiskowców - mruzczał. Ale tamci dwaj nie pozwolili sobie zakłócić radości jego cierpkimi uwagami.

Hrabia Vergennes złożył Amerykanom swe oświadczenie w sobotę 17 grudnia, w niespełna dwa tygodnie od chwili, w której nadeszła wiadomość o zwycięstwie.

Franklinowi zależało na tym, by związać rząd wersalski możliwie jak najmocniej. Napisał do hrabiego Maurepas, że z radością przyjmuje do wiadomości, iż jego królewska mość zdecydował się uznać niepodległość Stanów Zjednoczonych i zawrzeć z nimi pakt sojuszniczy zaczepno-odporny; prosił prezesa Rady Ministrów, by w imieniu delegatów podziękował królowi za jego przyjazny stosunek do sprawy.

Przeczytawszy list Franklina Maurepas pokręcił głową. Niezawodnie list spełnia swój cel, wiąże w pewnym stopniu króla i rząd. Ale jak zimno, sucho i trzeźwo był zredagowany. Ci ludzie z Zachodu pozbawieni są manier, nie wiedzą, co to elegancja i wdzięk. A przecież ten list przywódcy buntowników do monarchy arcychrześcijańskiego mógł się stać historycznym dokumentem, wzorem i przykładem,

Zaczął się zastanawiać, jak by go sam napisał, gdyby się znalazł na miejscu Amerykanina. Wreszcie usiadł i naszkicował następujący list: „Niezwykła mądrość, z jaką Wasza Królewska Mość umie kojarzyć interesy swego kraju z nakazami najwyższego humanitaryzmu, zapewnia portretowi Waszej Królewskiej Mości miejsce nie tylko nad kominkiem każdego Amerykanina, lecz również w sercach mieszkańców zachodniej półkuli. Niezależnie od wielkich sukcesów

materialnych, których Opatrzność z pewnością nie poskapi temu sojuszowi dwóch postępowych narodów, już sama wieczna miłość wszystkich przyjaciół wolności jest taką zapłatą, że żaden monarcha nie może życzyć sobie szlachetniejszej. Choć, wielki Królu, dzieli Cię od mieszkańców naszego kontynentu odległość tysięcy mil, nikt nie jest tym mieszkańcom bliższy od Ciebie. Król Salomon myli się: nie wszystko jest marnością. Przede wszystkim nie jest nią miłość i wdzięczność Ameryki dla Waszej Królewskiej Mości".

Tak powinien był napisać stary z Passy. A jak napisał? „Proszę Prezesa Rady Ministrów, by w imieniu delegatów podziękował Królowi za jego przyjazny do sprawy stosunek". Barbarzyńca!

Zdumienie premiera, wywołane szorstkim prostactwem Franklina, nie ustępowało. Vergennes, w ciągłym strachu, że długie ociąganie się króla mogłoby jednak skłonić Franklina do wysłuchania propozycji Anglii, prosił swego kolegę, by się spotkał z Franklinem i pocieszył go uprzejmymi obietnicami. Maurepas przystał na to z radością.

Spotkanie zostało zaaranżowane z takim samym drobiazgowym ceremoniałem i tajemniczością jak spotkanie Amerykanów z hrabią Vergennes.

Ministrowi towarzyszył jego sekretarz Salle. Maurepas naprzód pogratulował Franklinowi sukcesu; jeżeli bowiem sojusz dojdzie do skutku, a tak się z pewnością stanie, będzie to wyłączną zasługą doktora Franklina.

- To popularność pańska - mówił - pozwoliła nam przekonać króla o potrzebie sojuszu. Bez pańskiego mistrzowskiego posunięcia, jakim było wkradnięcie się do serca naszej czarującej królowej, nigdy nie zdołalibyśmy doprowadzić do paktu.

- Dziękuję - odrzekł Franklin.

- Przede wszystkim podziwiam - ciągnął niezmordowany Maurepas - że potrafił pan tak wysublimować swoją próżność. Co napisaliśmy o tym w moich pamiętnikach, mój drogi Salle? - zwrócił się do swego sekretarza.

- „Doktor Franklin - zacytował tenże bezbarwnym głosem - nie jest próżny w zwykłym znaczeniu tego słowa. My na przykład na jego miejscu nie odmówilibyśmy sobie przyjemności obejrzenia podziwianego portretu w Salonie. Próżność Franklina jest wyższej natury. Ma, powiedzmy to szczerze, ambicję sportową, dążącą do pokonania najcięższych przeszkód. No i postanowił sobie dokonać ostatniego i najtrudniejszego eksperymentu: stworzyć w naszym stuleciu zdolną do życia republikę”.

Franklin odpowiedział cierpliwie:

- Nazywa pan to sportową ambicją, inni nazwaliby to może przekonaniem.

- Mniejsza o nazwę - odrzekł Maurepas pojednawczo - w każdym razie jest to wyczyn brawurowy, indywidualny i kapryśny. Przecież nie miał pan do czynienia z małą Szwajcarią czy niewielką Holandią. Zamienić w republikę cały kontynent - oto sztuka nie lada i trudno nie mieć dla niej respektu - powiedział i złożył zwiotczące ręce do oklasku. - Oczywiście ta wasza republika się nie ostanie - ciągnął autorytatywnie. - Państwo bez króla to jak spodnie bez paska - nie utrzyma się. Z nas dwóch żaden już tego nie dożyje, ale jestem przekonany, że za jakiś czas Ameryka zatęskni za „latami tłustymi” i będzie błagać albo ich, albo naszego faraona, by wziął ją pod opiekuńcze skrzydła swoich herbowych zwierząt.

- Lepiej o tym nie mówić, panie hrabio - powiedział Franklin takim samym żartobliwym tonem jak Maurepas. - Nasz faraon marzy dziś tylko, by doprowadzić do pokoju z nami.

- Wiem - odrzekł z uśmiechem Maurepas - że teraz gotów jest do kompromisów. Może nie byłoby źle, gdybyście doszli do porozumienia z nim zamiast z nami. Może i my postąpilibyśmy nie najgorzej, gdybyśmy się z królem Jerzym porozumieli. Przegrywa, i w takiej sytuacji łatwo od niego wydobyć koncesje. Nie jest wykluczone - zakończył marzycielsko - że odda nam nawet Kanadę.

- Jeżeli zależy panu tak bardzo na Kanadzie, panie premierze - odpowiedział uprzejmie Franklin - to dlaczego nie zawarł pan sojuszu z nami rok temu, kiedy wasza pomoc była nam o wiele potrzebniejsza? Kto wie, czy wtedy nie można było pomówić z nami nawet o Kanadzie.

- Pomówić może - uśmiechnął się Maurepas. - Ale nigdy nie bylibyście nam oddali Kanady. Nigdy nie ścierpielibyście naszej obecności nad swoją granicą. Cóż to takiego opowiadał publicznie o nas, Francuzach, niejaki doktor Franklin? - zwrócił się do sekretarza Salle.

Sekretarz zacytował:

- „Myślę, że temu skłonnemu do zwady narodowi nie byłoby niemiłe mieszanie się do naszych spraw i rozniecanie ognia między Wielką Brytanią i jej koloniami”.

- Patrzcie państwo - powiedział Franklin w zamyśleniu - a więc tak się wyraziłem. Czy to było dawno?

- Nie bardzo - odparł Maurepas, a sekretarz ustalił:

- Pan doktor Franklin wypowiedział te słowa 14 sierpnia 1767, a więc przed dziesięcioma laty i trzema miesiącami.

- Tymczasem - oświadczył Franklin z wielkim spokojem - poznałem lepiej moją Francję. Mówię „moją Francję”, gdyż nazwisko moje wskazuje, że jestem francuskiego pochodzenia. Nauczyłem się być z tego dumny. Poza tym przywiązuję niewielką wagę, by swoje wypowiedzi utrzymywać zawsze w tym samym tonie. Za młodu między innymi handlowałem niewolnikami, a później, pierwszy na

moim kontynencie, wydałem kilka książek przeciw niewolnictwu.

- Skoro człowiek nie umiera zbyt młodo - przytaknął uprzejmie Maurepas - musi od czasu do czasu sam sobie przeczyć.

- Powiedział pan: Kanada - powrócił Franklin do poprzedniego tematu. - Hrabia Vergennes zapewniał mnie, że jego królewska mość odrzuca myśl o wszelkich podbojach.

- Król jest bardzo cnotliwy - stwierdził Maurepas. - Gdyby jednak niebo sprawiło, że nasza Kanada znowu przypadłaby nam w udziale, to sądzę, że przy pomocy hrabiego Vergennes udałoby mi się przekonać monarchę, by ją przyjął.

Franklin uśmiechnął się lekko i spytał z zaciekawieniem:

- Czy ekscelencja ma jeszcze nadzieję na zawładnięcie Kanadą?

- Drogi doktorze - odrzekł Maurepas - człowiek ma nadzieję, dopóki oddycha i nawet jeszcze dłużej. Jest pan, tak samo jak ja, wolnomyślicielem. Mimo to chyba ani pan, ani ja nie będziemy mieli nic przeciwko temu, by na naszych grobach stanęły krzyże jako symbol nadziei w zmartwychwstanie naszej powłoki cielesnej. Dlaczegoż nie miałbym sobie robić nadziei w stosunku do Kanady?

Doktor Franklin rozkoszował się nieraz cynicznymi wypowiedziami. Ale wierzył w Opatrzność, wierzył, że ludzkość kroczy drogą, która ma jakiś sens i cel, toteż ten francuski minister, taki stary i bezmyślny, tak pozbawiony przekonania, ten pobielany grób, budził w nim odrazę. Odpowiedział cichym głosem:

- Jestem przekonany, panie premierze, że sojusz z nami leży w interesie Francji nawet i bez Kanady. Ameryka to na dalszą metę solidniejszy partner niż Anglia; jest bardziej pracowita, prostsza, oszczędniejsza, dzielniejsza.

Maurepas uważał, że te banalne zdania nie są godną odpowiedzią na jego słowa. Mimo to uwaga Franklina poruszyła go. Bo Franklin, który je wypowiedział, był Franklinem z portretu; miał surowy, badawczy wzrok, szerokie, stanowcze usta, potężny podbródek, to był „człowiek”.

Ale jeszcze w trakcie rozmowy Franklin powiedział sobie, że powaga jego jest wobec hrabiego Maurepas nie na miejscu, i zakończył swą orację w sposób żartobliwy.

- Chciałbym leżeć sto lat w beczce napełnionej maderą - powiedział - a potem zmartwychwstać i zobaczyć, co się stało z naszymi krajami.

- A ja wcale nie chciałbym tego - powiedział Maurepas z przekonaniem. - Nie chciałbym wiedzieć, co się po mojej śmierci będzie działo. „Po nas potop” - powiedziała pewna dama, której poświęciłem dobry i bardzo kunsztowny epigramat. Piękne te słowa nie ona oczywiście wymyśliła, czytałem je już u Cyncerona i Seneki, którzy je zapożyczyli od pewnego greckiego autora. Ale są słuszne, niezależnie od tego, czy zostały wypowiedziane po łacinie, po grecku czy po francusku. Kiedy umrę, niechaj ziemia zginie w ogniu - zacytował po łacinie.

- Dobrze jest pertraktować z takim realistą jak pan - odparł Franklin - i cieszę się, że mamy do czynienia z panem. Skoro jednak tak zupełnie nie wierzy pan w pożytek działalności mężów stanu, to dlaczego nie wycofa się pan spokojnie i po cichu? Dlaczego nie zadowala się pan komentowaniem tego, co się dzieje?

- Cóż pan chce, mój przyjacielu? - odpowiedział Maurepas. - My, starzy, musimy umierać w jarzmie. Gdybyśmy złożyli nasz urząd i nie mieli nic do roboty, prędko rozstalibyśmy się z życiem.

Po odejściu hrabiego Franklin wpadł w ponury nastrój. Myśl o tym, że obydwaj, nie nazywając rzeczy po imieniu, mówili o rozszerzeniu zasięgu tej strasznej wojny, o co się obaj starali, drażniła go i dręczyła. Z całego serca nienawidził nonsensu wojny. Niedawno napisał bajkę, w której pewien młody anioł zostaje po raz pierwszy wysłany na ziemię; towarzyszy mu jako przewodnik stary, rutynowany duch kuriera. Trafili w sam wir walki pod Quebec¹, pole bitwy pełne było jęków, krwi i rozpacz. Dystyngowany anioł mówi do swego przewodnika: „Coś ty, durniu, zrobił? Miałeś mnie zaprowadzić na ziemię, do ludzi, a zaprowadziłeś mnie do piekła”. - „Ależ nie, mój panie - odpowiada przewodnik. - Przecież to ziemia i ludzie. Diabły nie są dla siebie tak okrutne”.

Wiedząc o tym wszystkim i czując to, siedział razem z tamtym; dwaj starzy ludzie, obaj bliscy śmierci, we dwóch pracowali nad rozszerzeniem zasięgu wojny. Franklin nie czynił tego tak nieodpowiedzialnie jak tamten, polityka nie była dla niego grą. Ale słowa tamtego: „Gdybyśmy nie mieli nic do roboty, rozstalibyśmy się z naszym życiem” - wżarły mu się w duszę i nie dawały spokoju.

1/ Bitwa pod Ouebeck (1759), przegrana przez wojska francuskie, zadecydowała o losach wojny kolonialnej 1756-63.

Owego roku zima była bardzo ostra. Szosy pokryte lodem utrudniały dowóz żywności. W Paryżu podróżowało mięso, chleb i mleko, trudno również było o drzewo. W dzielnicach zamieszkałych przez biedotę było chłodno i głodno. Król oraz liczni wielcy panowie dali pozwolenie na zbieranie chrustu w swoich lasach; wynoszono drzewo i bez pozwolenia, śliskie drogi były zawałone ludźmi, którzy ładowali drzewo na taczki i do koszy.

Dla dworu i wytwornego towarzystwa zima stwarzała okazje do licznych rozrywek. Ślizgano się po jeziorach i małych stawach, urządzano wesołe szlichtady.

Toinette, nie mogąc usiedzieć na miejscu, rozkoszowała się sanna. Cichy, harmonijny pęd w mroźnym, rześkim powietrzu dobrze jej robił. Towarzyszył jej cały Klanik Liliowego Bzu. Jeden chciał prześcignąć drugiego piękną sań i zaprzęg. Toinette kazała coraz ozdobniej przybierać swe sanki. Lśniły od złota, wewnątrz dekorował je malarz Boucher, siedzenie obciągnięte było czerwoną, mocną skórą. Kiedy mknęła w nich w szalonym pędzie, bogato haftowane czapraki kołysały się z obu stron końskich grzbietów, chwiały się strusie pióra zdobiące końskie łby.

Głodni, zmarznięci paryżanie, pod nieufnym okiem straży leśnej zajęci zbieraniem chrustu, spoglądali złym okiem na lśniąca kawalkadę. Tak to Austriaczka trwoniła dobytek Francji. Skończyła się popularność, którą przyniosły jej demonstracje na cześć Franklina. Znowu zaczęły się ukazywać pamflety. Mówiły o tym, że kuligi to występne zabawy zdegenerowanego rodu Habsburgów, że dla swego Trianon, dla swego „małego Schönbrunnu”, Austriaczka pozwala zejść wielkiej Ameryce na psy.

Rosła nędza, rosnęło rozgoryczenie, zarówno uzasadnione, jak i bezpodstawne. Głodujący zbierali się, wołali o chleb, plądrowali piekarnie. Mobilizowano policję i wojsko, by przemocą wypędzać demonstrantów.

Pewien młody porucznik, kawaler d'Avelan, otrzymał rozkaz rozproszenia demonstrującego tłumu, w razie potrzeby, przy użyciu broni. Ustawił swoich ludzi, galopem wysunął się na czoło szeregu, w jednym ręku trzymając kapelusz, w drugim otrzymany rozkaz.

- Panowie i panie - zawołał - mam rozkaz strzelania do „hołoty”. Proszę, niech przyzwoici ludzie się cofną. -

Rozległy się śmiechy i wołania sprzedawczyń ryb w halach, zapewniające porucznika o swej gorącej miłości; tłum rozproszył się.

Handlarki ryb nie składały Toinette miłosnych deklaracji. Kiedy się pokazała w Paryżu, zatrzymały jej powóz i skorzystały ze starego przywileju, który pozwalał im wypowiadać władczyniom Francji swoje zdanie. W szorstkich słowach wzywały Toinette, by wreszcie spełniła swój obowiązek i urodziła dziecko, jak przystoi kobiecie, a zwłaszcza królowej.

Toinette, nadrabiając miną, odpowiedziała paru wymuszonymi, żartobliwymi słowami. W głębi duszy była pełna lodowatego gniewu. To, że oczekują od niej delfina, było zrozumiałe. Nie mogła jednak pojąć przyczyny nienawiści tych kobiet, która biła zarówno ze złych oczu tłumy, jak i z pamfletów. Czego właściwie chcą od niej? Czy rozmawiając z Amerykaninem nie uczyniła tego dla ludu? Czy dla ludu nie poszła do Salonu? Czy w licznych sklepach Paryża nie kupowała lalek, by je posyłać dzieciom biedoty?

Lud był jej obcy; w gruncie rzeczy, nie przyznając się do tego, gardziła tymi dwudziestoma pięcioma milionami, których była władczynią. Ale potrzebne jej były ich hołdy i miłość. Kiedy po raz pierwszy, będąc jeszcze dzieckiem, wjechała uroczyście do Paryża, jako żona delfina, wśród salw armatnich, kwiatów, chorągwi i łuków triumfalnych, stutysięczny tłum zalegający ulice witał ją z entuzjazmem. Nigdy nie zapomni, jak stała wtedy na balkonie Tuileries, wzruszona entuzjazmem tłumy. „Jakie to szczęście dla naszego stanu - pisała wówczas do swej matki - że można tak łatwo zdobyć przyjaźń i miłość. A przy tym jest to takie cenne. Odczułam to, zrozumiałam i nigdy tego nie zapomnę”. Zdawało się, że teraz znowu straciła miłość swych poddanych. Pragnęła gorąco przeżyć na nowo owo przedziwne uniesienie,

którego doznała spoglądając na portret Franklina i kiedy w Operze przyjmowała owacje tłumów. Te baby z hal są głupie, wszyscy paryżanie to głupcy, ale człowiekowi robi się zimno, kiedy nie wznoszą na jego cześć entuzjastycznych okrzyków. Toinette zmusi grubasa, by spełnił obietnicę. Przeworsuje sojusz i wojnę, a wtedy ci głupi paryżanie nabiorą znowu entuzjazmu.

Ciągle musi czekać. Sprzedawczynie ryb mają rację: to jest po prostu śmieszne. Grubas ośmiesza ją. Również i przed markizem Vaudreuil. Tak długo i często pocieszała Francois; nic dziwnego, że się gniewa. Postawiła sobie termin. Jeżeli w ciągu dwóch miesięcy nie zajdzie w ciążę, skończy się dla Francois okres haniebnego wyczekiwania.

Ludwik wydał rozkaz, by mu codziennie składano raport o sytuacji aprowizacyjnej i opałowej. Rozmyślał. Epoka Ludwika XVI nie będzie w annałach Francji nazwana okresem pomyślnym. Tacytowie nadchodzącego stulecia określą go jako władcę, który nie odniósł żadnych sukcesów, na którego nie spływała łaska. Jedno nieszczęście następowało po drugim. Zaczęło się to w czasie uroczystości ślubnej, kiedy na placu Ludwika XV wybuchła panika i zginęło tyle ludzi, roztratowanych lub uduszonych. Zaraz po objęciu przez niego władzy rozpoczęły się zamieszki z powodu braku chleba, a teraz panował znowu głód w żyznej Francji. Ciężkie okresy trwały tygodnie, a nawet miesiące, okresy spokoju i błogości, kiedy było mu dane siedzieć nad książkami, polować lub bawić się w kowala - zaledwie parę godzin.

Usiłował pomagać nędzarzom. Posyłał pieniądze, drzewo. Kiedy zobaczył, jak handlarze drzewem męczą się nie mając dostatecznej liczby koszów, jak się potykają nie mogąc unieść nadmiernych ciężarów, postawił do ich dyspozycji swoje sianie. Dziwaczne wrażenie robił widok nędzarzy w

łachmanach, wożących drzewo do swych nędznych domostw w saniach królewskich powożonych przez stangretów w liberii. Paryżanie, śmiejąc się z tego widoku, czynili to jednak dobrodusznie i mówili: „Nasz poczciwy grubas”. Obiektem nienawiści pozostawała w dalszym ciągu Austriaczka.

Ludwik czytał pamflety wymierzone przeciwko Toinette, wiedział, jak jest znienawidzona, i to go przygnębiało. Czuł się winien: kazał jej czekać na delfina. Zawsze, pomimo najlepszej woli, wina była po jego stronie; nie dał krajowi delfina, złączył sprawę monarchii ze sprawą rebeliantów.

Ale pośród tych jego trosk i zmartwień znalazła się jedna pociecha: otwarcie wystawy porcelany.

Matka Ludwika, księżniczka saska, sprowadziła na dwór wersalski wielkie ilości wyrobów fabryki porcelany w Miśni; Ludwik już jako dziecko lubował się tymi wytwornymi przedmiotami i ambicją jego było, aby Sevres prześcignęło Miśnię. Od chwili wstąpienia na tron urządzał w swych apartamentach stale, przy końcu roku, wystawę porcelany sewrskiej, którą sprzedawał na cele dobroczynne.

Przez dwa tygodnie w apartamentach królewskich wszystko wywrócone było do góry nogami. Prywatne komnaty zamieniano na sale wystawowe. Obrzędy związane z ceremoniałem - zarówno przyjmowanie posiłków w intymnym gronie, jak i wielkie przyjęcia, coucheri lever - odbywały się przez ten czas w innych salach. Przenosiny wywołujące niemałe zamieszanie nie obejmowały jedynie biblioteki i kuźni.

Ludwik wiele wkładał wysiłków w urządzenie tej wystawy i oczekiwał, że członkowie rodziny królewskiej i dworu również przyczynią się do jej uświetnienia.

Przyglądał się z uszczęśliwioną miną rozpakowywaniu starannie pozawijanych cudów. Zdumiewająco delikatnie i tkliwie dotykał porcelany swymi grubymi łapami, gładził ją.

Rozkoszował się formami, ozdobami, pięknymi barwami, ciemnym błękitem, promienną żółtością i głębokim różem. Wyszukiwał odpowiednie miejsce dla każdej figurki, by wyglądała jak najefektowniej, przy każdym poszczególnym obiekcie zastanawiał się, jakiej by za niego można zażądać ceny.

Potem, ukryty za firankami, przyglądał się kupującym, nasłuchiwał, o czym mówią. Był nieszczęśliwy, kiedy ten lub ów przedmiot się nie podobał. Ale czasami cieszył się, że coś nie zostało sprzedane, gdyż dzięki temu pozostawał towar na wielką licytację, która miała zamknąć wystawę.

Wśród tych, którzy przyszli i kupowali, był i pan de Beaumarchais. Miał na sobie piękny strój, dostosowany do okoliczności; Ludwik musiał przyznać, że ten zuchwały, hardy pan de Beaumarchais, którego nie znosił, porusza się wśród porcelanowych figurek z takim wdziękiem, jakby sam był jedną z nich.

Kupił sporo, nazwisko Beaumarchais wyprzedzało na liście nazwiska innych kupujących. Ludwik złościł się trochę, a równocześnie był rad, że od pana Beaumarchais wpłynęło 4250 liwrow.

Innego znów dnia przechadzał się wśród figurek z melancholijną miną znawcy pan Lenormant d'Etioles. Lubił porcelanę. Jego Joanna, madame Pompadour, szalała za nią, urządziła sobie w Bellevue oranżerię, w której kwiaty były z porcelany; wydała na to milion. Niezawodnie cieszyłyby ją teraz postępy, jakie technika uczyniła w ciągu tych lat. Jego Joanna nie zestarzała się. Kiedy umarła, spadł mu z barków wielki ciężar, mnóstwo konfliktów znikło z jego życia, a jednak bolał nad jej śmiercią z pewnością bardziej niż ów Ludwik, który mu zabrał Joannę. Ta stara, lubieżna świnią w koronie nie wzięła nawet udziału w pogrzebie; Ludwik przyglądał się tylko konduktowi z okna, zapewne bardzo rad,

że się jej pozbył, bo choć tak bardzo była mu potrzebna, przygniatała go swą silną indywidualnością.

Nagle Charlot uświadomił sobie, że sala, po której teraz spacerował wśród figurek z porcelany, była sypialnią nieżyjącego monarchy, tego łajdaka Ludwika XV. Tak, tutaj zdechł na ospę, którą się zaraził od jednej ze swych młodziutkich kochanek. Potwornie spuchnięty, obsypany krostami, zapowietrzając cały olbrzymi zamek, zgnił za życia ten łotr, ten monarcha arcychrześcijański. Ostatnia jego kochanka, Dubarry, wytrzymała przy nim mimo smrodu, trzeba ją było odrywać siłą. Gdyby Charlot umierał w podobny sposób, chyba żadna z kobiet, z którą wymieniał wytworne słowa oraz przeżywał cielesne rozkosze, nie wytrzymałaby przy nim; w każdym razie nie Desiree. Takie myśli snuły mu się po głowie podczas oglądania figurek z porcelany; szukał, co by też ofiarować Desiree. Wreszcie wybrał zegar trzymany przez chińskiego bożka. Był to zapewne bożek szczęścia i bogactwa: potwornie otyły, nagi, smutny, wyglądał jak symbol dosytu.

Nadszedł wreszcie dzień licytacji. Na imprezę tę otrzymali zaproszenia tylko członkowie rodziny królewskiej oraz ich najbliżsi przyjaciele.

Przede wszystkim odbyła się wielka uczta. Kuchnia wersalska słynęła na cały świat, jej szefowie wystąpili tego wieczora na żądanie Ludwika z ogromną okazałością. Świetność potraw zaimponowała nawet pani Józefinie, żonie księcia Ksawerego. Była bardzo brzydka, z wyglądu podobna do mieszczyki, rzadko pokazywała się u dworu. Ponieważ jednak świetnie gotowała i pewne włoskie potrawy podawano tylko w jej domu, obaj zaś bracia, Ludwik i Ksawery, należeli do wielkich łakomczuchów, jadali czasem u niej ze względu na te potrawy. Ludwik, w doskonałym humorze, zapewniał szwagierkę, że uczta jego nie osiągnęła jeszcze szczytu

doskonałości, ponieważ szefowie kuchni nie umieją piec takich pasztecików jak ona. Pani Józefina, której słowa króla pochlebiły, roześmiała się rubasznie i powiedziała:

- Nie dostanie pan przepisu, sire. Nie dam go Francji.

Księżę Ksawery zmarszczył czoło i sapnął. Wszyscy wiedzieli, że marzył o tronie, na którym wyglądałby zupełnie inaczej niż Ludwik; stałby się prawdziwą jego ozdobą. Ponieważ operacja Ludwika nie dała owoców, nadzieje jego wydawały się całkowicie uzasadnione. Właśnie dlatego słowa tej jego głupiej żony były podwójnie nie na miejscu. Los przeznaczył mu Francję nawet bez jej idiotycznego przepisu.

- Darujemy pani tajemnicę kulinarną - mruknął niełaskawie. - Kuchnia Ludwika jest bez zarzutu. Pod tym względem dorównuje nam, temu nikt nie może zaprzeczyć - mówiąc to podkreślił słowa: „pod tym względem”.

Ta uszczypliwość nie zepsuła Ludwikowi humoru.

- Milcz, jedz i raduj się życiem - powiedział dobroduszenie.

Zaraz po uczcie rozpoczęła się licytacja. Prowadził ją najpierw d'Angivillers. Dostojny dworak starał się przypodobać Ludwikowi syjąc dowcipami przy wywoływaniu ceny. Nie bardzo mu się to udawało, ale reszta rozbawionego towarzystwa pomagała mu gorliwie. Ludwik sam nie szczędził grubych dowcipów, wdzięczny był za każdą pocieszoną uwagę. Spodobało mu się zwłaszcza kilka zdań wypowiedzianych przez markiza Vaudreuil, więc poprosił go, by poprowadził dalej licytację.

Francois Vaudreuil marzył coraz niecierpliwiej o mającej wybuchnąć wojnie. W marzeniach tych widział siebie na czele eskadry lub armii lądowej, wdzierającej się do Anglii, do Harwich lub Portsmouth; wydawało mu się pełnym gorczy absurdem, że termin i wykonanie jego planów zależą od decyzji tego opasłego, niezgrabnego dziecinnego, flegmatycznego, wulgarnego Ludwika. Ale Vaudreuil był

mądry i świadomy celu, a ponieważ grubas był monarchą, starał mu się przypodobać. Miał niewątpliwy talent aktorski, więc udało mu się zachwalając porcelanę uderzyć w ton jarmarcznego krzykacza; pozostawał przy tym prawdziwie wielkim panem. Umiały to ocenić przede wszystkim damy: Gabriela, Diana, Toinette.

Bawiono się przy tej licytacji doskonale, nastrój panował młodzieńczy, dziecinny. Nic dziwnego: Ludwik miał lat dwadzieścia cztery, Ksawery dwadzieścia trzy, księżę Karol dwadzieścia, żony ich były jeszcze młodsze. Prześcigano się w mniej lub bardziej bezmyślnych dowcipach. Ludwik kazał sporządzić z porcelany grupy komiczne; ich brutalny, erotyczny lub fekalny humor kontrastował jaskrawo z delikatnym materiałem, z którego były wykonane. Grupy te Ludwik poustawiał za kotarą; panie znikwały za nią raz po raz i wracały podniecone, chichocące. Śmiano się ze wszystkiego i z niczego.

Powstał tylko jeden dysonans. Zdarzyło się to podczas licytowania grupy, którą księżę Ksawery zachował jako niespodziankę dla Ludwika. Była to oryginalna grupa: na dziwacznym zwierzęciu, przypominającym jednoroźca, siedział konno Pantalón¹. Ludwik przyglądał się grupie z niemiłym uczuciem; co brat zamierzał przez to powiedzieć? Pantalón, zdradzony małżonek i jednorożec, czy była w tym jakaś obraźliwa, sprośna aluzja?

1/ Pantalón - postać z włoskiego teatru dell'arte.

- Ksawery, czy istnieje naprawdę takie zwierzę, którego model kazałeś wykonać? - zapytał.

Ksawery wpadł od razu w gniew. Wygląda na to, że głupi Ludwik wcale nie zauważył, że sam jest Pantalómem, zdradzonym mężem. I taki człowiek ma decydować o uznaniu Stanów Zjednoczonych, o wojnie z Anglią. Ksawery pokazał

mu zwierzę, które choć było tworem z bajki, mimo to miało być prawdopodobne; oczywiście nie należało traktować go ze zbytnią pedanterią. Skoro jednak Ludwik zakwestionował istnienie jego jednoroźca, odpowiedział zuchwale, że mówił o tym zwierzęciu z wielkim badaczem przyrody Buffonem, który wraz z innymi autorytetami stwierdził, że istnienie takiego zwierzęcia jest możliwe, a nawet prawdopodobne. Ludwik uśmiechnął się szeroko.

- To po prostu twój wymysł - powiedział – wymyśliłeś to teraz, na poczekaniu.

Ponieważ tak było naprawdę, księżę Ksawery wpadł w jeszcze większą pasję i zaczął gwałtownie przeczyć. Bracia stali naprzeciw sobie z gniewnymi minami; wyglądali jak olbrzymie niemowlęta, tłuste ich twarze - mieszanina burbońskiej siły i dziecięco nierozwiniętych rysów - były bardzo do siebie podobne.

Księcia Karola bawiła ta kłótnia i dolewał oliwy do ognia. Ksawery i Ludwik wrzeszczeli dyszkantem. Wreszcie Ksawery, z grubą gębą wykrzywioną furją, chwycił swego jednoroźca z siedzącym na nim Pantalonom i cisnął całą grupę o podłogę, tłukąc ją na drobne kawałki.

- Jeżeli panu nie odpowiadają moje podarunki, sire - powiedział uprzejmie, ale prowokująco - muszę się z tym pogodzić.

Nastąpiło kłopotliwe milczenie.

- Biedny Pantalon - powiedział Vaudreuil i zręcznie przechodząc do porządku nad niemiłym incydem, przystąpił do licytacji grupy noszącej nazwę Buen Retiro(ustronne miejsce), a przedstawiającej wiejskiego parobka, który leżał pogrążony we śnie, oparłszy głowę o grube biodro pasterki.

Licytacja trwała długo i zapowiadała wspaniałe wyniki. Kiedy dobiegła końca, Ludwik polecił panu d'Angivillers obliczyć rezultat.

- Musiało się świetnie udać - powiedział rozpromieniony, a ponieważ obliczenie nie było jeszcze skończone, próbował określić sumę z pamięci. - Licytacja powinna była przynieść 140 tysięcy liwrów - ustalił.

Przyniosła 138 226 liwrów.

- A nie mówiłem? - powiedział z radością.

- Liczyć to ty umiesz - powiedział z uznaniem książę Ksawery.

- Razem z licytacją wystawa przyniosła 382 749 liwrów - stwierdził Ludwik - o 121215 liwrów więcej niż w roku ubiegłym.

- 382 700 liwrów - powiedział książę Ksawery. - Wobec tego możemy ze spokojem przystąpić do wojny.

Pierre miał rację: zwycięstwo pod Saratogą bardzo podniosło jego znaczenie osobiste. Nie dotyczyło to jednak firmy Hortalez. Wprawdzie bezpośrednie zyski, płynące z jego spekulacyj, teraz po zwycięstwie, wystarczały na najbardziej palące długi, ale ludzie interesu podzielali wyraźnie jego zdanie, że z chwilą przystąpienia Francji do wojny najważniejsza funkcja firmy Hortalez się skończy, gdyż dla dostaw do Ameryki niepotrzebny już będzie tajny agent. Tak tedy triumf broni, której firma Hortalez dostarczała, miał ten bezpośredni skutek, że wierzyciele tej firmy domagali się jak najszybszego zaspokojenia swoich żądań. Pewnego razu zjawił się u Beaumarchais'go Maigron i znów oświadczył lakonicznie, że nie widzi sposobu wykupienia weksli, których termin upływa w przyszłym tygodniu.

Pierre roześmiał się rozbawiony i równocześnie rozgniewany. Przed Desiree - nikt nie rozumiał tego lepiej od niej - zalił się

na swoją sytuację, śmieszna, a równocześnie pełną goryczy. Dostarczył Amerykanom broni, która umożliwiła wyrwanie się Stanów spod tyranii kraju macierzystego. I jak mu za to zapłacono? Pretensje jego do Kongresu wyrażały się na dzień dzisiejszy, to jest 20 grudnia, sumą przeszło sześciu milionów liwrów, a tymczasem w ciągu z górą półtora roku otrzymał towary wartości zaledwie stu pięćdziesięciu tysięcy liwrów. Dziś, kiedy dzięki jego interwencji sprawa Ameryki zwyciężyła, bardziej niż kiedykolwiek przygniatały go idiotyczne troski o gotówkę.

- Stara piosenka - powiedziała Desiree. Pogłaskała ze zrozumieniem jego rękę, zdawało się ją to mało wzruszać. Tymczasem była nie tylko wzruszona, ale i oburzona. Oburzona przede wszystkim na jednego człowieka, na przyjaciela Beaumarchais'go, Charlota.

Leżała na kozetce w swoim buduarze, podkuliwszy nogi, kołysała się z lekka, na jej czole widniała prostopadła zmarszczka, oczy zezowały nieco w kierunku nosa. Łobuzerska twarz pod kędzierzawą czupryną miała wyraz niezwykle poważny. Na konsoli naprzeciwko tykał zegar, który jej przysłał Lenormant; podtrzymujący go opasy, nagi bożek patrzył na nią melancholijnie i jak się jej wydawało, szyderczo.

Mademoiselle Desiree Mesnard należała do wielkich artystek Theatre Francais; dochodziło się do tego poprzez liczne doświadczenia, które uczyły mądrości życiowej. Desiree była kobietą realną, wesołą i rozsądną. Nie dziwiło jej, że Ameryka płaci za zasługi Carona niewdzięcznością, dziwniejsze byłoby, gdyby mu za nie dziękowała. Ale była bezgranicznie zła na tego bożka bogactwa, na tego chińskiego Mamona, na swego przyjaciela Charlota.

Pojechała do Etioles. Po drodze zastanawiała się. Dla człowieka takiego jak Charlot, który umiał liczyć na długi

dystans, otworzenie Caronowi kredytu na kilka lat nie było związane z żadnym ryzykiem. Jeżeli tego nie uczynił, była to po prostu nikczemność, prawdopodobnie spowodowana zazdrością. Miała dosyć tego zacieklego mizantropa. Da mu do zrozumienia, że oczekuje od niego pomocy dla Carona. Jeżeli po tej rozmowie Charlot pozwoli, by Pierre nadal porał się z trudnościami, zerwie z nim.

Mimochodem wspomniała Charlotowi, że Pierre jest w kłopotach i potrzebuje przyjacielskiej pomocy.

- A kiedyż on jej nie potrzebuje? - odpowiedział Lenormant.

Desiree opisała w kilku słowach, jak Pierre, niczym drugi Tantal, pośród dostatku umiera z pragnienia.

- Czy naprawdę umiera? - zapytał Charlot.

- Tak - odpowiedziała Desiree - i to pośród dostatku. - Ponieważ była rutynowaną aktorką, wypowiedziała ostatnie słowa nie akcentując ich, a jednak tak, by Lenormant nie miał wątpliwości, że to ultimatum.

Przewidujący Lenormant wiedział, że firma Hortalez znajdzie się w kłopotach właśnie na skutek amerykańskiego zwycięstwa. Zrobił ze swej strony wszystko, by owe kłopoty zwiększyć, i jeżeli Caronowi wszędzie odmawiano kredytu, zawdzięczał to panu Lenormant.

Kiedy Desiree wtajemniczyła go, że doszło już do tego, iż Pierre znowu stoi w obliczu bankructwa, dojrzał w nim projekt, w jaki sposób spełni życzenie Desiree, okaże się wielkoduszny, zrobi olbrzymi interes, a Pierrota raz na zawsze przyciśnie do muru.

Poszedł do Beaumarchais'go, który wciąż jeszcze nie opuszczał sypialni, i wyłożył mu, co myśli o sytuacji firmy Hortalez. Firma ma znaczne krótkoterminowe zobowiązania. Należności amerykańskie, o ile w ogóle można o nich mówić, nie będą wyrównane przed końcem spodziewanej wojny. Teraz, kiedy ludzie robiąc inwestycje obiecują sobie wysokie i

szybkie zyski, firma Hortalez nie ma widoków na kredyty. Bankructwo jest więc tylko kwestią czasu.

Pierre zapytał, co Charlot zrobiłby na jego miejscu.

Lenormant odpowiedział cicho i z namysłem, że znalazł wyjście z pewnością korzystne dla Beaumarchais'go; przy odrobinie szczęścia i on nie straci na tym zbyt wiele. Należności firmy mają wartość tylko dla ludzi, którzy mogą długo czekać, posiadają wpływy i są gotowi pójść na pewne ryzyko. Takich ludzi nie ma zapewne w całej Francji więcej niż pół tuzina i wobec kuszących możliwości zysku, związanych z przyszłą wojną, trudno będzie znaleźć wśród tego pół tuzina kogoś, kto by chciał zainwestować kapitał właśnie w firmie Hortalez.

- Przyszedłem więc tu - ciągnął Charlot jeszcze ciszej swym lepkiem głosem - i w uznaniu zdolności i ideałów mego przyjaciela Pierrota, robię mu następującą propozycję: przejmę firmę Hortalez ze wszystkimi jej aktywami i pasywami, za co płacę panu, panie Caron de Beaumarchais, milion liwrów gotówką.

Pierre milczał, niemal ogłuszony tą propozycją. Po krótkiej chwili Lenormant mówił dalej:

- Człowiekowi, obdarzonemu takim dowcipem jak ty, nie potrzeba chyba mówić, jakie interesy wobec oczekiwanego wybuchu wojny można robić mając milion liwrów gotówki. Milion liwrów w grudniu 1777 ma wartość trzech milionów w porównaniu z milionem w kwietniu 1778. Ale przyjaźń pańska jest dla mnie więcej warta niż ten milion, czy też trzy miliony. Jako gwarancję, na dowód pańskiej przyjaźni, chciałbym otrzymać parę przedmiotów będących pańską własnością prywatną, na przykład gladiatora stojącego na dziedzińcu, obramowanie kominka, a jeżeli chce pan być wspaniałomyślny, proszę o dołączenie również portretu naszej przyjaciółki Desiree.

Pierre pobladł wobec takiej czelności i pychy. To, co Charlot powiedział o sytuacji handlowej firmy, było wyrażone ostro, ale odpowiadało rzeczywistości. Perspektywa pozbycia się długów i rozporządzenia okrągłym milionem gotówki w owych czasach, kiedy liwr, jeżeli się go miało, zmieniał się w mgnieniu oka w pięć liwrów, była bardzo pociągająca.

Lenormant podniósł się nagłym ruchem, zerwała się również suka Caprice i warknęła, co jej się prawie nigdy nie zdarzało.

- Couche, Caprice-powiedział Pierre.

- Zastanów się nad moją propozycją - oświadczył przyjaźnie Lenormant i spojrzał nań ze spokojem swymi zamglonymi oczyma. - Wiesz dobrze, że takiej ceny nikt ci nie ofiaruje. Na jedno chcę zwrócić twoją uwagę. Jeżeli nie skorzystasz teraz z okazji i przyjdiesz do mnie za dwa lub za cztery tygodnie, proponując mi firmę Hortalez za sto tysięcy liwrów czy za pięćdziesiąt, a nawet za oliwkę, to proszę mi wybaczyć, ale nie dam nawet oliwki. Przyjacielskie impulsy o takim zasięgu nie zdarzają się człowiekowi co dzień.

Pierre myślał: „Chce zabrać gladiatora i portret Desiree”, zobaczył w duchu swój kominek nagi, pozbawiony obramowania z kararyjskiego marmuru i ogarnęła go bezgraniczna pasja. Porwała go chęć nawymyślać Charlotowi i wyrzucić go za drzwi. Ale równocześnie nurtowała go myśl: „Pozbyć się wszystkich długów to warte więcej niż milion, a w dodatku jeszcze milion gotówką”. Nie, szło o zbyt wysoką stawkę, Beaumarchais nie może sobie pozwolić ani na wybuch furii, ani na najbardziej błyskotliwą odpowiedź.

Odrzekł z wesołą miną, ale nieco bezbarwnie:

- Propozycja twoja, Charlot, przychodzi niespodzianie, musisz mi pozwolić na coś, czego się nauczyłem od ciebie: niech noc nad tym przejdzie.

- Zgoda, mój stary - powiedział Lenormant i oddalił się.

Pozostawszy sam Pierre powiedział do suki Caprice: - Dylemat. - Jeżeli się zgodzi, będzie to dla Charlota zwycięstwo. Wybrał już sobie nawet trofea - gladiatora, portret Desiree. Z drugiej strony Pierre osiągnął swój cel ideowy: uznanie Stanów Zjednoczonych, zapewnienie ich niezawisłości. Spełnił swoją misję, jego historyczna zasługa jest niewątpliwa, ma prawo zrezygnować z firmy Hortalez. Świat płaci mu tylko niewdzięcznością, z miliona liwrów gotówką można w krótkim czasie zrobić pięć. - Dylemat, moja Caprice - powtórzył. - Wielka pokusa - i nagle ogarnęło go straszliwe zmęczenie. Jakby to było pięknie poprzestać na solidnym handlu drzewem, na polityce, na paru intratnych dostawach wojennych, na literaturze. Mógłby również trochę podróżować ze swoim pocziwym Filipem. Jak mu było dobrze, kiedy miał jeszcze wolny czas, by zajmować się naturą, na przykład z okazji związanych z interesami podróży do Turenii. Jak radośnie i dostojnie czuł się w swoich lasach w Chinon, dokąd jeździł, by rzucić okiem na wyrąb drzewa. Tak, miał prawo pozostawić Amerykę jej losom i żyć własnym życiem.

Tymczasem Desiree, kiedy jej zakomunikował propozycję Lenormanta, zobaczyła w niej tylko nienawistne szyderstwo. Nie tak wyobrażała sobie pomoc Charlota. W obliczu jej wyraźnego gniewu Pierre zapomniał, że poważnie rozważał propozycję Charlota, i odczuwał tylko wściekłość.

Desiree pojechała sankami do Etioles. Była wielką aktorką, sława zmuszała do rozrzutności, sanki jej mogły współzawodniczyć z sankami Toinette. Jechała do Etioles przy akompaniamencie złocistego dźwięku dzwoneczków, pełna oburzenia.

To naturalne, że wszyscy są cyniczni. Ale nienawiść do ludzi i szyderstwo Lenormanta przekraczały granice; nie mogła tego dłużej znosić. Najnikczemniejsze było to, że swą zemstę i

zazdrość łączył z kombinacjami, z których próbował jeszcze czerpać zyski. Nie, Pierre nie powinien tak haniebnie sprzedawać Charlotowi tego, co stworzył - lepiej w takiej sytuacji pójść z pięknym gestem na dno. Pierrot uczynił na tym kontynencie więcej niż ktokolwiek inny, by dopomóc sprawie Stanów Zjednoczonych do zwycięstwa, bez niego nie można sobie było wyobrazić Saratogi. Tego, że Charlot chciał go teraz wyzuć nie tylko z materialnego, ale i z ideowego plonu jego odwagi i wysiłków, było za wiele. Gdyby bowiem firma Hortalez przypadła w udziale Charlotowi, potrafiłby tak się z nią zespolić, że w końcu jemu przypisywano by i dostawę broni, i Saratogę, i całą historyczną zasługę.

Sanki sunęły, dzwoneczki brzęczały, pióra na końskich łbach kołysały się. Desiree siedziała otulona futrem, drobna, delikatna, zdecydowana i zła. Spała z Charlotem, godziła się z jego dziwaczными, niemiłymi humorami. Był utalentowany, niebezpieczny, interesujący, często podobał się jej. Zerwanie z nim byłoby głupstwem. Ale Desiree to uczyni. Nie daruje, że przez kapryśną nienawiść i zazdrość chciał okraść i zniszczyć Beaumarchais'go.

Minąwszy portal z napisem: „Vanitas, vanitatum vanitas”, stanęła przed Charlotem. Wyłuskał ją z futra.

- Zachował się pan wobec przyjaciela jak szubrawiec, mój panie - powiedziała.

Lenormant pobladł, ale uśmiechnął się.

- Nie wiem, o co pani chodzi, droga przyjaciółko - odpowiedział. - Zaproponowałem naszemu Pierrotowi, że go uratuję od bankructwa i daruję mu milion.

- Pan wie dokładnie, co mam na myśli - powiedziała wyszkolonym, stanowczym głosem Desiree.

Okrągłe, smutne, głęboko osadzone oczy Lenormanta stały się jeszcze bardziej mgliste.

- Wiem, że jestem źle zrozumiany - powiedział i dodał szeptem: - Zdarzało się to nieraz w sytuacjach decydujących. Słowa te, ich ton wzruszyły Desiree. Ale właśnie dlatego, iż czuła, że mówił uczciwie i że wspomnienie o Jeanne, którego nie mógł się pozbyć, było przyczyną jego wewnętrznej rozterki, powiedziała:

- Jeżeli zależy panu na mnie, a myślę, że mnie pan lubi, to ma pan podstawę do porównania tej sytuacji z inną, analogiczną. Widzi mnie pan mianowicie po raz ostatni.

Pan Lenormant nie miał wątpliwości, że Desiree mówi serio. Stała przed nim zuchwała, młoda. Miała go w ręku, wiedziała o tym. Trawiły go gniew i żądza zemsty. Pragnąłby zdeptać tę małą, ładną, bezwstydną zmijkę. Równocześnie toczył go, jak robak, dawny ból, wspomnienie owej gorzkiej, druzgocącej chwili, kiedy dowiedział się, że Jeanne opuściła go i przeniosła się do Wersalu. Desiree jeszcze go nie porzuciła, jeszcze stoi tuż przy nim, ale zagroziła mu, że go opuści, i robi to z pewnością. Jeanne poszła przynajmniej do Wersalu, do króla, do tego łajdaka w koronie, który jednak wspaniale się prezentował i był gotów dać jej wszystko, czego pragnęło jej serce: władzę, blask, bogactwo. A Desiree idzie do Pierrota, do pyszałkowatego, śmiesznego Pierrota, który miał odwagę dotknąć spraw przerastających jego siły, do tego przechery i pyskacza. Potrafił się opanować i dzielić ją z nim, teraz nie chciała mu pozostawić nawet tej części, teraz odchodziła do tamtego całkowicie i na zawsze. Ale to się stać nie powinno. Kiedy Jeanne chciała do niego wrócić, odepchnął ją, powodowany urażoną godnością. Nie chciał popełnić po raz drugi tego kardynalnego błędu, nie chciał poświęcać dla godności tego, co stanowiło treść jego życia. Czym jest godność? Cieniem, niczym. Desiree to wprawdzie nie Jeanne, ale jest w niej coś wspaniale żywego, promiennego. Przypomniawszy sobie strofę łacińskiego wiersza:

„Ver vide. Ut tota floret, ut olet, ut nitida nitet". Ona jest wiosną. Jak cała rozkwitła, jaką woń rozstacza, jakim lśni blaskiem.

- Niech pani zostanie ze mną, Desiree - prosił ochryłym głosem.

Desiree zapytała rzeczowo:

- Chce mu pan pomóc?

Nie namyślał się ani chwili.

- Nie - palnął - nigdy. - A potem, po upływie kilku sekund, powiedział: - Ale chcę się z panią ożenić.

Prędzej spodziewała się, że się na nią rzuci, że ją uderzy jakimś twardym przedmiotem. „Chcę się z panią ożenić" - zaproponował w najkrótszych słowach.

Wjazd na zamek Etioles jako madame Lenormant d'Etioles byłby triumfem; otoczyłaby się dworem, pozwoliłaby kolegom grać na swej scenie dla zabawy własnej i swoich gości, stałaby się równa markizowi Vaudreuil. W dodatku Charlot nie jest młody; nie żyłaby z nim długo, a gdyby się z nią ożenił, zżarłyby go zmysły, wściekłość i smutek. Perspektywa była wspaniała.

„Namyślę się" - chciała powiedzieć. Ale przypomniała sobie, że zaledwie trzy godziny temu uważała za rzecz zrozumiałą, iż przyjaciel jej rezygnuje z bogactwa i beztroski, bo to bogactwo i beztroskę trzeba by było opłacić wielkim upokorzeniem. Panowanie swe na zamku Etioles musiałaby opłacić małą zdradą w stosunku do Beaumarchais'go.

Ale Etioles to świetność, blask i czymże jest wobec tego drobna zdrada? „Zastanowię się" - chciała powiedzieć i znowu stanęła przed nią świeża, chytra, naiwna, mądra twarz przyjaciela Beaumarchais. Powiedziała więc:

- Nie, Charlot, dziękuję - i odjechała.

Kiedy Pierre skarżył się przed Silasem Deane na swe rozczarowanie i na ciężkie tarapaty, w jakich się znalazł wskutek obojętności Kongresu, Silas Deane oświadczył po raz pierwszy szczerze i ze smutkiem, że nie może mu pomóc; jest bezsilny wobec intryg Artura Lee. Narzekał na niewdzięczność, której również doznał od Kongresu. Wypowiedział przed Caronem wszystko, co miał na sercu. Pragnie gorąco, mówił, położyć swój podpis pod umową, której realizacja kosztowała go tyle trudu i serca. Ale teraz co dzień myśli z obawą o tym, że zjawi się nowy komisarz, by go zluzować; gdy to nastąpi, ominie go nawet i ten zaszczyt.

Zawiedziony Deane narzekał tak żałośnie, że wreszcie Pierre zaczął go pocieszać. Oświadczył mu, że najgorsze już za nimi, ręczy za to. Wielki dzień zawarcia sojuszu jest już bliski. Nie ulega wątpliwości, że podpis Silasa Deane będzie figurował pod historycznym dokumentem. Wtedy łatwo mu przyjdzie zdemaskować przed Kongresem oskarżenia jego nędznych przeciwników i dowieść, że są to zaprawione jadem oszczerstwa. Szkoda tylko, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa traktat podpisze również Artur Lee, psując tym podpisem szlachetny dokument.

Pierre przerwał nagle swe wywody. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Jeżeli, oświadczył, nie może otrzymać pieniędzy od Kongresu, to ma chyba przynajmniej prawo być obecnym przy podpisywaniu uroczystego aktu, jako ten, który się cokolwiek do jego realizacji przyczynił.

- Obywatel Beaumarchais - zakończył z rozmachem - chce być świadkiem podpisywania przez obywatela Franklina umowy między Francją i Ameryką.

Silas Deane, któremu słowa Carona przyniosły ulgę, odpowiedział, że żądanie jego jest zupełnie słuszne i uzasadnione. Przyrzekł w odpowiedniej chwili pomówić o tym z Franklinem.

Wyglądało zresztą na to, że sprawy Beaumarchais'go przyjmą lepszy obrót. Już nazajutrz po rozmowie z Silasem Deane otrzymał niespodziewanie pomyślną wiadomość z Ameryki. Paweł donosił, że po zwycięstwie pod Saratogą widoki na otrzymanie zapłaty dla firmy Hortalez znacznie się poprawiły. Już najbliższym statkiem będzie mógł przysłać towary wartości 180 do 200 tysięcy liwrów. Przede wszystkim jednak dopiął tego, że Kongres uznał w całej pełni zasługi pana de Beaumarchais, a przez to w zasadzie również i jego należności; Pierre przekona się o tym z oficjalnego pisma, które prawdopodobnie przywiezie ten sam statek.

Istotnie następnego dnia nadszedł list podpisany przez Johna Jaya, przewodniczącego Kongresu. Brzmienie jego było następujące:

„Wielce szanowny Panie. Kongres Stanów Zjednoczonych Ameryki uznając wyjątkowe wysiłki, których Pan dla niego dokonał, dziękuje za nie i zapewnia Pana o swym najwyższym szacunku. Kongres ubolewa, że wskutek popierania Stanów Zjednoczonych spotkały Pana zawody i nieprzyjemności. Niepomyślnie okoliczności nie pozwoliły nam dotychczas na wykonanie zobowiązań, ale wkrótce zostaną przedsięwzięte kroki w celu wyrównania długów, które się nagromadziły. Szlachetne uczucia i wielkoduszne poglądy Pańskie przynoszą Panu największy zaszczyt. Dzięki swym wyjątkowym zdolnościom zdobył Pan sobie szacunek powstającej republiki i całkowite uznanie Nowego Świata”.

Mocno biło serce panu Beaumarchais, promieniał triumfem, że nie dał się wyzyskać Charlotowi.

Potem, ponieważ w kasach nie było ani centyma, postanowił wykorzystać list prezydenta Johna Jaya dla ratowania swoich finansów. Poszedł do hrabiego Vergennes, by - powołując się na pismo Kongresu - wydobyć z niego ostatni milionik.

Vergennes przyjął go uprzejmie. W rozmowach, w których starał się skłonić Ludwika do zawarcia sojuszu, używał argumentów zaczerpniętych z memoriałów Carona na temat Ameryki i był wdzięczny pomysłowemu, świetnie władającemu piórem panu Beaumarchais. Kiedy więc Pierre poprosił o nową pożyczkę, minister odpowiedział, że nie pozostawi starego przyjaciela na koszu. Pierre wręczył ministrowi pismo Johna Jaya, by dać dowód, że już w bardzo niedługim czasie nie będzie zmuszony żądać pieniędzy z kas królewskich.

Vergennes czytał, Pierre zaś z dumą i napięciem przyglądał się jego miłej, nieco ironicznej twarzy. Ze zdumieniem i przerażeniem zobaczył jednak w pewnej chwili, jak się ta twarz w miarę czytania zmieniała. Miejsce uprzejmej ironii zajęła lodowata oschłość.

Zrozpaczony Pierre zorientował się, jaki niewybaczalny błąd popełnił. Vergennes spodziewał się oczywiście, że to on, jako odpowiedzialny minister, otrzyma taki list od Kongresu, a nie jego agent, jego pomocnik i narzędzie. Jak mógł Pierre, taki znawca ludzi, popełnić tak niebywałe głupstwo, godne patentowanego osła, jak mógł człowiekowi, od którego był zależny, pokazać, że Nowy Świat uważa za swego najbardziej zasłużonego obrońcę w Europie jego, Carona, a nie ministra spraw zagranicznych arcychrześcijańskiego monarchy.

Vergennes oddał mu list.

- No tak - powiedział - gratuluję, mój panie. W takim razie niepotrzebne są już nasze wysiłki, by panu pomóc. - Słowa jego były pełne tej wyniosłej uprzejmości, której Pierre tak nienawidził i którą tak podziwiał u arystokratów.

Łamał sobie głowę, jak by to swoje fałszywe posunięcie naprawić. Wreszcie oświadczył, że ma wielką prośbę, którą już dawno chciał ministrowi przedłożyć: czy wolno mu będzie

jeden ze swoich statków, który w najbliższym czasie opuści stocznię, nazwać „Hrabia Vergennes”.

- Wydaje mi się - odpowiedział minister - że ludzie, z którymi pan ma do czynienia, będą bardziej zadowoleni, jeżeli pan ten statek ochrzci albo swoim nazwiskiem, albo nazwiskiem któregoś ze swych przyjaciół i wspólników.

Nie pozostawało Caronowi nic innego, jak odejść. Powrócił jednak jeszcze do celu swej wizyty. Jeżeli dobrze hrabiego zrozumiał, rzekł, może na czas przejściowy, zanim nadejdą obiecane przez Kongres sumy, liczyć na dalszą pomoc ze strony rządu jego królewskiej mości.

- Jak pan sobie tę sumę wyobraża? - zapytał chłodno Vergennes. Pierre zamierzał zażądać miliona albo dwóch.

- Czteryście tysięcy liwrów - powiedział.

- Pan żartuje - odparł Vergennes. - Każę panu wypłacić sto tysięcy liwrów. Ale liczę się zupełnie serio z tym, że na przyszłość nie będzie pan już korzystał z tajnego funduszu jego królewskiej mości.

Pierre wracał z pięknym, zaszczytnym listem Johna Jaya w kieszeni i z sercem płonącym gniewem przeciw wielkiemu panu.

W połowie drogi kazał zawrócić i pojechał do Passy.

Franklin, przeczytawszy list, skinął z uznaniem wielką głową.

- Patrzcie państwo - powiedział - musiało to panu sprawić niemałą radość. - W skrytości ducha myślał sobie, że skoro Kongres kwituje tego człowieka pięknymi słowami, będzie to uważał za rodzaj zaliczki; widoki, żeby pan Caron w ciągu najbliższych miesięcy zobaczył gotówkę, wydawały mu się wątpliwe.

Pierre zaczął mówić o swych troskach. Aby dostarczyć broń do Saratogi, zrujnował się i potrzebuje kredytu, zanim nadejdą zapowiedziane w liście pieniądze. Czy Franklin nie mógłby dać jakiejś zaliczki na obiecane przez Kongres towary i

weksle? Mówił o swoich kłopotach na pół żartem. Przypuszczał, że ta metoda podziała chyba na starego gadułę i kpiarza, zakończył dobrze udanym żebraczym gestem, któremu towarzyszyły słowa: - Date obolum Belisario.

Franklin był zdania, że pan Caron niezupełnie bez racji zacytował słowa: „Dajcie Belizarowi jałmużnę”, bo przecież tak samo, jak to było z owym wielkim Belizarem, i on stał się przez zasługi dla państwa żebrakiem. Ale ta scena, odegrana przez dobrze, nawet przesadnie elegancko ubranego pana, który w tak niegodny sposób zebrał o pieniądze, wzbudziła w doktorze wstręt. Oczywiście Kongres nie wzięłby mu za złe, gdyby dał Caronowi w jego imieniu jakąś niezbyt wysoką zaliczkę, ale czyż Franklin sam nie był stale w kłopotach? Poza tym nie jego to rzecz wspomagać tego pana.

- Czcigodny przyjacielu, rozumiem pańskie położenie - powiedział. - Ale widzi pan, my, komisarze Stanów Zjednoczonych, nie jesteśmy bankierami. Wykroczylibyśmy przeciw naszym instrukcjom, gdybyśmy się zajmowali takimi funkcjami. A po tym pocieszającym liście Kongresu ma pan i tak uzasadnioną nadzieję, że wkrótce otrzyma pan zapłatę za wszystkie swoje trudy.

Franklin mówił ciepło, ze współczuciem, ale słowa jego miały w sobie coś nieodwołalnego, więc Pierre pożegnał się.

Znalazłszy się w swym ogromnym domu, we wspaniałym gabinecie, wszedł i wyciągnął z kieszeni zaszczytny list. „Słowa, słowa, Caprice” - powiedział do suki i zamknął list w skrzyni, w której przechowywał rękopisy, pokwitowania, dokumenty i listy miłosne.

Decyzja dworu madryckiego nadeszła prędzej, niżby sobie tego Ludwik życzył. Karol oświadczył zwięźle, że wprawdzie Hiszpania nie przystąpi na razie do sojuszu z brytyjskimi

koloniami Ameryki, ale pakt Francji z Amerykanami nie jest jej niemiły, lecz wręcz pożądanym.

Ludwik został pozbawiony najważniejszego pretekstu i Toinette przypuściła szturm, by nareszcie spełnił obietnicę. Znowu musiał zwołać konferencję i pozwolić, by królowa wzięła w niej udział.

- Istnieje wielkie niebezpieczeństwo - zaczął Maurepas - że Amerykanie, jeżeli się będzie sprawę odwlekać, przyjmą w końcu propozycje angielskie.

- Powinniśmy - oświadczył Vergennes - natychmiast zażądać od doktora Franklina wiążącej obietnicy, że odrzuci wszystkie propozycje angielskie, które przewidują powrót kolonij do kraju macierzystego i wcielenie ich do niego.

- Dlaczego pan Franquelin miałby nam dawać taką obietnicę?
- zapytała wyniośle Toinette wzruszając ramionami.

- Byłaby to najpewniejsza droga - oświadczył Maurepas, a Vergennes uzupełnił jego słowa:

- Gdyby wolno nam było zakomunikować Amerykanom, że król zobowiązuje się do zawarcia sojuszu, doktor Franklin będzie niewątpliwie skłonny do związania się ze swej strony. Słowa te były skierowane do Toinette. Spojrzała na Ludwika. Wszyscy milczeli.

- Czy można ufać słowom buntownika? - zapytał niechętnie Ludwik.

- Nie jest to wprawdzie słowo królewskie - powiedział Maurepas - ale doktor Franklin uchodzi na całym świecie za człowieka godnego zaufania.

- Istotnie nie ma innej drogi - powtórzył Vergennes.

- Słyszysz pan, sire? - odezwała się Toinette. - Proszę, niechaj się sire wypowie.

Ludwik wiercił się na swym fotelu, parsknął. Wreszcie zamruczał:

- No, pięknie, no, już dobrze. - Pozostali odetchnęli z ulgą.

Widząc to, dodał spiesznie:

- Ale, moi panowie, nie chcę wiązać się żadnym terminem. Jest to przyrzeczenie o charakterze ogólnym, bezterminowe. Niechajże panowie będą ostrożni w pertraktacjach z buntownikiem. Nie można tu postępować zbyt pochopnie. Pamiętajcie o tym, panowie. Każda klauzula winna być szczegółowo i dokładnie przemyślana.

- Wasza królewska mość może się zdać na nas — uspokoił go Maurepas. - Ministrowie waszej królewskiej mości nie należą do ludzi, którzy robią coś lekkomyślnie.

Mimo tego oświadczenia Maurepas i Vergennes jeszcze tego samego dnia zabrali się do dzieła.

Pan Gerard znowu spotkał się z trzema komisarzami przy drzwiach zamkniętych, jak gdyby to było spotkanie spiskowców. Pamiętając, jak natarczywie Ludwik domagał się od nich tajności rozmów, ministrowie i tym razem robili wszystko, by rzecz pozostała w najściślejszej dyskrecji. Gerard posunął się tak daleko, że zażądał od panów delegatów słowa honoru, iż to, co im zakomunikuje, zachowają w najgłębszej tajemnicy. Artur Lee odpowiedział, że w Ameryce nie ma zwyczaju dawania słowa honoru, samo słowo wystarczy. Natomiast doktor Franklin rzekł:

- Jeżeli panu na tym zależy, ma pan moje słowo honoru.

Następnie pan Gerard powiedział, że chce zadać panom delegatom trzy pytania. Primo: co powinien uczynić dwór wersalski, by przekonać panów komisarzy o swym szczerym oddaniu dla sprawy Ameryki i powstrzymać ich od dania posłuchu propozycjom Wielkiej Brytanii? Secundo: co należy uczynić, by przekonać o tym oddaniu Kongres i lud Stanów Zjednoczonych i powstrzymać ten Kongres i lud od przyjęcia propozycji Wielkiej Brytanii? Tertio: jakiej pomocy praktycznej oczekują Stany Zjednoczone od rządu francuskiego?

Franklin uśmiechał się przyjaźnie, przygotowując w myśli odpowiedź. Tymczasem wyrwał się Artur Lee i oświadczył surowym tonem, że odpowiedź na tak ważne pytania wymaga gruntownego namysłu. Pan de Gerard zauważył, że właściwie panowie mieli cały rok na przemyślenie tych kwestii.

- Musimy mieć jeszcze godzinę do namysłu - oświadczył nieubłagane Artur Lee - żądamy jej bezwarunkowo.

Pan Gerard odparł, że za godzinę pozwoli sobie zgłosić się po odpowiedź, i oddalił się.

Doktor Franklin usiadł i zaczął przelewać na papier odpowiedź na postawione pytania. Tymczasem Silas Deane i Artur Lee uwikłali się w gwałtowną wymianę słów. Franklin poprosił:

- Trochę ciszej, moi panowie - i pisał dalej.

Wrócił pan Gerard i Franklin odczytał mu odpowiedź:

Primo: delegaci od dawna już proponowali Francji pakt przyjaźni oraz traktat handlowy. Jak najszybsze zawarcie takiego paktu usunęłoby ich niepewność, pozwoliłoby im ufać przyjaźni francuskiej i umożliwiłoby odrzucenie wszystkich angielskich propozycji pokojowych, których podstawą nie byłaby całkowita wolność i niezależność Ameryki. Secundo: pokaźna pożyczka byłaby dla Kongresu i narodu wystarczająco mocnym dowodem przyjaznych uczuć dworu wersalskiego. Tertio: natychmiastowe wysłanie ośmiu okrętów wojennych umożliwiłoby Stanom Zjednoczonym ochronę ich wysp i ich handlu oraz przeciwdziałałoby tendencji dawania posłuchu angielskim propozycjom pokojowym.

Mister Lee chciał jeszcze niejedno dorzucić. Franklin dał mu jednak znak ręką; zrobił to z uprzejmą miną, ale tak, że Lee zamilkł.

Pan Gerard powiedział, że go te odpowiedzi zadowolily. Po czym ciągnął dalej:

- Mam zaszczyt zawiadomić panów, że rząd mój chce zawrzeć z wami wymienione umowy. - Podniósł się, ale i następne zdanie wypowiedział z taką lekkością, jak gdyby mówił o pogodzie. - Jestem upoważniony, moi panowie - oświadczył - dać w imieniu jego królewskiej mości słowo, że zawrzemy te umowy, a więc traktat przyjaźni i traktat handlowy, oraz przymierze zaczepno-odporne, gwarantujące panom niepodległość, pod warunkiem, że ze swojej strony zobowiązacie się nie zawierać oddzielnego pokoju z Anglią i nie rezygnować ze swej niepodległości.

Franklinowi udało się zapanować nad sobą. Pozostali dwaj jednak zerwali się na równe nogi. Znowu chciał zabrać głos Artur Lee i znowu wystarczył ruch głowy Franklina, by go zmusić do milczenia.

Potem bez pośpiechu Franklin podniósł się i oświadczył ze spokojem:

- Dajemy panu to zapewnienie.

- Dziękuję, doktorze Franklin - odparł pan Gerard. - Pozostaje mi tylko złożyć panu i pańskim kolegom gratulacje, że sprawa została wreszcie pomyślnie zakończona. Mam nadzieję, że związek między naszymi krajami będzie trwały i błogosławiony w skutki dla obu stron.

Skłonił się nisko przed Franklinem, mniej nisko przed innymi i odszedł.

Dopiero teraz uszczęśliwiony Franklin odetchnął głęboko. Wbrew swym zwyczajom uścisnął mocno rękę Silasa Deane oraz po pewnym wahaniu Artura Lee. Lee chciał coś powiedzieć, ale Franklin nie dopuścił go do słowa, oświadczając po ojcowsku, jak małemu dziecku: „Proszę milczeć”. Działo się to 8 stycznia w trzydzieści pięć dni po nadejściu wiadomości o zwycięstwie pod Saratogą.

Wobec takiego stanu rzeczy Silas Deane przypomniał sobie pana Beaumarchais i jego życzenie asystowania przy

podpisywaniu paktu. Miał dotychczas wątpliwości, czy powiadomić o tym Franklina. Ale dzień podpisania paktu był teraz tak bliski, że Silas Deane musiał wspomnieć o żądaniu pana de Beauniarchais.

Franklin zasepił się, istotnym warunkiem paktu, oświadczył, jest utrzymywanie go w tajemnicy. Jeżeli dopuścić do niej pana Caron, można równie dobrze zawarcie sojuszu obwieścić przez heroldów. Zastraszony Silas Deane nie zdobył się na to, by powrócić raz jeszcze do prośby Beaumarchais'go.

Ale zuchwałe żądanie Carona naprowadziło Franklina na pewien pomysł. Jeżeli spośród jego francuskich przyjaciół ktoś naprawdę zasłużył się sprawie dojścia do skutku traktatu, to był nim jego przyjaciel Dubourg. On to był inicjatorem jego spotkania z królową. Jeżeli jakiś Francuz ma być obecny przy akcie podpisania paktu, to tylko Dubourg.

Franklin uzyskał zgodę wahającego się z początku pana Gerard i pojechał do Dubourga. Nie widział przyjaciela przez cały tydzień. Zastał go w pozycji na pół siedzącej, opartego o stos poduszek, gwałtownie sapiącego, spoconego, w szlafmocy na głowie, pod opieką starego służącego i pielęgniarza.

Przybycie Franklina było dla niego wielką pociechą, oczekiwał go od dawna. Niecierpliwym gestem zwiędłej ręki dał znak swym ludziom, by się oddalili i zostawili ich samych. Widząc obłożnie chorego przyjaciela, Franklin uświadomił sobie od razu, że się nie mylił, kiedy mu się wtedy wydało, iż dostrzega na jego twarzy hipokratesowe rysy. Teraz było widoczne dla każdego, że czas, który pozostawał Dubourgowi do życia, jest bardzo krótki.

- Wszystko idzie doskonale, mój stary - rozpoczął. - Pański świetny pomysł zakończył się sukcesem. Nie na próżno spotkałem się z królową. Teraz jest całkowicie pewne, że pakt zostanie podpisany.

Dubourg ucieszony, zasapał jeszcze mocniej, potem zacytował wiersz Horacego: „Hoc erat in votis, takie było moje życzenie”. Franklin wpadł na pomysł zrobienia Dubourgowi pewnej grzeczności. Miarodajnym tekstem paktu francusko-amerykańskiego miał być, jak we wszystkich umowach państwowych, tekst francuski. Komisarze zbadali dokładnie każde słowo, każdy odcień swojej francuszczyzny. Doktor Franklin wypytywał swoich zaufanych, w osobach pani Brillon i księdza Morellet o dokładne znaczenie każdego zwrotu. Wiedział jednak, jak namiętnym tłumaczem był jego przyjaciel Dubourg, wyciągnął projekt paktu i oświadczył, że musi poprosić Dubourga o wyświadczenie mu przysługi, a mianowicie o fachową radę w związku z ujęciem różnych artykułów zawartych w projekcie paktu.

Dubourg zareagował tak, jak tego chciał Franklin: ożył. Franklin zaczął odczytywać. Dubourg usiłował, niestety na próżno, usadowić się jeszcze wyżej, charczał słabiej, słuchał z napięciem. W pewnej chwili, wymachując gwałtownie ręką, wydobył ze siebie z trudem: „De quelque nature qu'il puissent etre, et quelque nom qu'ils puissent avoir - jakiegokolwiek byłyby natury i jakiegokolwiek by się nazywały”. Franklin zanotował ten dodatek, który uważał za zbyteczny, z uprzejmą miną i wielką gorliwością. „Les Etats du roi, stany królewskie” - przerwał z kolei Dubourg z jeszcze większą niecierpliwością i Franklin zorientował się, że Dubourgowi chodzi o zmienienie słów „les dits Etats, wymienione stany”, które mu się widać wydawały za mało jasne. Zaproponował jeszcze kilka zmian, Franklin przyjął je wszystkie do wiadomości, dziękował za wszystkie, choć uważał, że są nieistotne, i żadnej nie miał zamiaru uwzględnić.

Potem zaczął robić sobie głośne wyrzuty, że mimo choroby swego przyjaciela tak go wymęczył. Ponieważ jednak Dubourg sam ma wrażenie, że stan jego zdrowia szybko się

polepsza, Franklin spodziewa się, że wysiłek nie bardzo mu zaszkodził. W każdym razie powinien się Dubourg dobrze trzymać w ryzach; dzień podpisania umowy jest bliski; oczywiście musi być obecny w momencie, kiedy sojusz, który doszedł do skutku dzięki jego pomocy, stanie się rzeczywistością.

Franklin oczekiwał, że informacja o pakcie albo wywoła nagłą, radosną śmierć Dubourga, albo znaczne polepszenie stanu zdrowia. Nastąpiła druga ewentualność. Dubourg przestał rzeźić, zdołał podnieść się wyżej, drżącą ręką odsunął nieco z czoła szlafmycę.

- Pan to mówi serio? - zapytał. - Ja, stary botanik, mam być obecny, kiedy pan i król Francji...

- Ten zapewne nie zjawi się osobiście - powiedział Franklin - ale obecność jego nie wydaje mi się tak ważna jak pańska.

Dubourg poszukał ręki Franklina; ścisnął ją, jak mógł najmocniej; mimo to uścisk był słaby.

Kiedy w kilka dni później Franklin zjawił się na śniadanie, zastał odświętnie przybrany stół. Był to dzień jego urodzin, skończył siedemdziesiąt dwa lata. William okazał się jednak dobrym chłopcem, pamiętał o dziadku. Poukładał na stole drobne podarunki: papier listowy, pióra, ołówki. Drobiazgi te dobrane wedle gustu Franklina niełatwo było znaleźć we Francji.

William i tego roku byłby zapomniał o urodzinach, gdyby nie Silas Deane. Uwielbienie Silasa Deane'a dla największego ze swoich rodaków wzrosło jeszcze od czasu, kiedy Franklin otrzymał od dworu wersalskiego wiążące zapewnienie, że traktat zostanie zawarty. Ponadto zależało mu na tym, by w przykrew aferze z Kongresem, w którą go wplątały intrygi Artura Lee, zyskać poparcie Franklina. Był zadowolony, że przed powrotem do Ameryki miał jeszcze jedną sposobność

okazania doktorowi, jak mu jest oddany. Toteż z wielkim zapamięłaniem przypominał wszystkim o dniu urodzin wielkiego człowieka.

Wkrótce po śniadaniu, składającym się między innymi z pączków gryczanych, którymi Franklin zajadał się bez umiaru, Silas Deane zjawił się przed solenizantem z miną dostojną, a zarazem filuterną, oświadczając, że w tym roku, wobec osiągnięcia przez wielkiego kolegę wyjątkowego sukcesu politycznego, komisarze nie mogli sobie odmówić wręczenia mu urodzinowego podarunku. Kilku barczystych ludzi wniosło dwie potężne skrzynie; po wypakowaniu okazało się, że mieszczą okazałe, oprawne w ciemnobrązową skórę tomy Encyclopedie, Dictionnaire Raisonne des Sciences, des Arts et des Metiers/1 (Encyklopedia, czyli Słownik Rozumowany Nauk, Sztuk i Rzemiosł).

Było tych tomów dwadzieścia osiem, ponadto skrzynie zawierały trzy tomy z objaśnieniami oraz trzy z miedziorytami.

Szeroka twarz Franklina rozpromieniła się.

- To naprawdę niespodzianka i wielka radość - powiedział ściskając dłoń Silasa Deane. - Dawno już marzyłem o Encyclopedie, ale nawet we śnie nie miałbym odwagi myśleć o nabyciu jej. - Encyklopedia była dziełem bardzo kosztownym; tolerowano ją wprawdzie, ale była oficjalnie zabroniona i płacono za nią w handlu potajemnym od tysiąca dwustu do dwóch tysięcy liwrów.

Kiedy goście odeszli, Franklin długo patrzył z lubością na ciężkie, grube tomiska. Z zamyśleniem i tkliwością gładził ich grzbiety. Wielu z jego przyjaciół posiadało to dzieło, wertował je często, czuł się w nim jak u siebie. Do współpracowników Encyklopedii należeli bliscy mu ludzie: Helvetius, Turgot, Marmontel, Raynal, Necker, oraz inni, znani mu tylko z głośnych nazwisk - Voltaire, Rousseau, Montesquieu, Buffon.

Duch Francji, Europy, wszystko, co od czasu powstania historii świata zostało pomyślane i zbadane, zamknięte było w tych czarnobrunatnych księgach. Wydawcy dzieła, d'Alembert i Diderot, mieli olbrzymie trudności do przewyciężenia. Było powszechnie wiadome, jak to swego czasu generalny adwokat parlamentu paryskiego napiętnował tych wszystkich, którzy uczestniczyli w dziele bądź w charakterze autorów, bądź wydawców - jako ateistów, buntowników, trucicieli młodzieży, jak im groził najcięższymi karami; jak po tym wszystkim d'Alembert przezornie się wycofał, jak Diderot wytrwale pracował dalej i wreszcie dopiął tego, że dzieło, które rząd milcząco tolerował, ukazało się w druku i było rozpowszechniane.

Franklin pomyślał z uśmiechem o spotkaniu, które miał przed laty z Diderotem. Złożył mu wizytę. Wielki pisarz miał hałaśliwą, wulgarną żonę, utrzymującą dom w potwornym nieładzie. Przywitał go serdecznie i przez długie godziny opowiadał mu o swej pracy, żona zaglądała od czasu do czasu, wołając, by nareszcie skończył i przyszedł do stołu, ale naprzód odprawił łaskawie swego gościa. Nie bacząc na krzyki starej jędzy, Diderot odczytał Franklinowi studium o filozofie Senece, nad którym właśnie pracował. Opowiadanie i czytanie zajęło cztery godziny. Franklin prawie się nie odzywał, a kiedy wściekła baba raz jeszcze groźnym głosem zawołała męża, Diderot pożegnał go słowami: „Poznanie pańskich poglądów, doktorze Franklin, było dla mnie prawdziwą przyjemnością”.

Wtedy już Franklin zorientował się, że Diderot jest opętany swą pracą. Ale też trudno było sobie wyobrazić robotę pożyteczniejszą i bardziej podniecającą. Podczas całej swej działalności dla Encyklopedii Diderot jedną nogą był w Bastylji, postawił na kartę bezpieczeństwo i życie. Wywalczył swe dzieło wbrew Kościołowi, urzędom, Sorbonie, wbrew

skoncentrowanemu atakowi ciemnych potęg; teraz leżała przed Franklinem ta Encyklopedia, zakończona, uchwytna, księga główna epoki, jej biblia, suma jej wiedzy, zbiór wszystkich bojowych, potężnych ideałów, olbrzymi arsenał, z którego rozsądek mógł czerpać coraz to nową broń przeciw przesądom i uprzedzeniom. Tomy te były armatami, z których rozum ostrzeliwał wielką twierdzę uprzywilejowanej głupoty, martwe myśli i przeżyte instytucje przeszłości. Rację miał ów prokurator generalny, kiedy uczestników dzieła zadenuncjował przed parlamentem paryskim jako osobników, którzy się sprzysięgli, by zbudować materializm, zniszczyć religię, skorumpować obyczaje, wyzwolić i rozniecać ducha niezależności na całym świecie. Niepodległość Ameryki nie zostałaby wywalczona bez tego arsenału ideałów, zebranych i uporządkowanych w Encyklopedii.

Wzrok Franklina błędził machinalnie po pięknie wydrukowanych stronicach. Nie myślał o tym, co czytał, pochłaniała go myśl o wszechpotędze rozumu. Pisarz Benjamin Franklin był dumny z olbrzymiego pisarskiego trudu, który leżał przed nim i który coraz skuteczniej i głębiej wpływał na bieg historii kuli ziemskiej. Benjamin Franklin był człowiekiem trzeźwym, ale teraz coś w nim śpiewało: rozum, rozum, rozum. To, co przed nim leżało, było trwalszym od spizu pomnikiem rozumu.

Oczy jego kierowały do mózgu francuskie słowa, ale myślał po angielsku. Pomyślał z uśmiechem, że zasady wielkiego dzieła były angielskie. To jego rodacy, Anglicy, Anglik Francis Bacon, powiedzieli pierwsi, że wiedza to potęga. Tezy o użyteczności wiedzy powstały i wyrosły w atmosferze angielskiej.

Ale to, co z idei angielskich zrobili Francuzi, było godne podziwu. Ich ostra, konsekwentna logika, ich wyemancypowanie się spod autorytetów przeszłości,

błyskotliwa bojowość ich postawy duchowej - wszystko to było ich całkowitą własnością. „Drugiego Woltera - pomyślał - nie będziemy mieli tak prędko, musimy więc zadowalać się Franklinem. Ale za to my pierwsi nie tylko stworzyliśmy te ideały, lecz wcieliśmy je w życie. Umiemy czekać na właściwą chwilę i korzystać z niej". Zadźwięczały mu w uszach słowa Biblii:

„Wszystkie rzeczy mają czas, a swym zamierzonym biegiem przemija wszystko pod słońcem.

Czas rodzenia i czas umierania, czas szczepienia i czas wrywania tego, co szczepione. Czas zabijania i czas leczenia. Czas milczenia i czas mówienia. Czas wojny i czas pokoju".¹

' Ecclesiastes, r. III (fragmenty).

Kiedy będąc jeszcze małym chłopcem usłyszał te znaczące słowa po raz pierwszy, poruszyły go, wżarły się w niego, stały się częścią jego istoty.

Bez względu na to, czy twórcy dzieła byli Anglikami, czy Francuzami, teoretykami czy ludźmi czynu, czuł się z nimi spokrewniony, ponad narodami tworzyli oni republikę uczonych, Franklin w swej dumie i skromności zarazem był obywatelem tej rzeczypospolitej.

Rozum, rozum, rozum!

Odczuwał dla tych ludzi wdzięczność, ponieważ ich spokojne, podstępne metody wprawiały go w niebiańską błogość. Dużą bowiem cierpliwość i spryt musiał okazać Diderot i jego najbliższe otoczenie, by uspić czujność cenzorów i doprowadzić do tego, że mimo klątwy prokuratora i wściekłych ataków kleru zamknęli jedno oko i pozwolili na ukazanie się Encyklopedii. Franklin przerzucał artykuły, w których cenzorzy z pewnością najgorliwiej szukali kamienia obrazy. Tytuły ich brzmiały: Chrześcijaństwo, Dusza, Wolna wola. Wszystko było tak ujęte, że nawet najbardziej ortodoksyjny teolog nie mógł się czuć urażony. Za to w

innych miejscach można było znaleźć pod niewinnymi na pozór hasłami dowodzenie zdrażnych prawd przy pomocy przekonywających argumentów. Kto by się na przykład spodziewał, że pod hasłem „Junona” znajdą się zastrzeżenia natury naukowej przeciw dogmatowi niepokalanego poczęcia, że pod hasłem „Kaptur” przytoczone zostaną argumenty przeciw mnichom i klasztorom, a pod słowem „Orzeł” znajdzie się miejsce na argumenty przeciw religiom opartym na objawieniach?

Gdzieś, w którymś z tych licznych tomów, muszą się znajdować instrukcje, jak z tej lektury wyciągnąć największe korzyści. Franklin, obdarzony ogromną pamięcią, usiłował ustalić, gdzie by owe instrukcje mogły być zawarte. Z pewnością ani w przedmowie Diderota, ani w słowie wstępnym d'Alemberta. Przypomniawszy sobie wreszcie: instrukcja taka znajdzie się pod hasłem „Encyklopedia”.

Franklin otworzył odnośny tom. „Oczywiście—przeczytał - należy we wszystkich artykułach zasadniczych traktować z szacunkiem przesady zarówno polityczne, jak i religijne. Za to można odesłać czytelnika do innych artykułów, mniej rzucających się w oczy; znajdują się tam silne argumenty przeciw przesadom. Dzięki temu można oczyścić gmach z błota, pyłu i rupieci. Taka metoda otwierania ludziom oczu na popełniane przez nich błędy nie wywołuje irytacji, działa niezawodnie na rozumiejących i potajemnie, niewidocznie wpływa na pozostałych. Jeżeli się ją stosuje zręcznie i planowo, można mocą Encyklopedii zmienić sposób myślenia epoki.”

Franklinowi bardzo odpowiadała ta strategia. Dzięki niej rozum zacznie powoli wdrażać się w mózgi inteligentniejszych jednostek, skąd stopniowo będzie promieniował. Chęć zlikwidowania z dziś na jutro nabożnych przesądów mas była absurdem i co najwyżej mogła podważyć

fundamenty porządku społecznego. Franklin sam równie negatywnie jak Diderot odniósł się do owego buntownika, który w swej agresywnej książce o rozumie chciał zmieść z powierzchni ziemi wszelkie przesady kościelne. „Choć argumenty Pańskie, pisał do owego, bardzo zresztą utalentowanego pisarza, są celne i mogą wyrzucić wpływ na pewnych czytelników, nie zdołają one zmienić ogólnej czci ludzkości dla Boga i religii. Jeżeli wyda Pan swoją książkę drukiem, ściągnie Pan na siebie najstraszniejszą nienawiść, i wyrządzi Pan sobie najgorszą krzywdę, bez żadnej korzyści dla nikogo. Kto pluje pod wiatr, sam sobie pluje w twarz. Ogromna większość ludzi składa się z jednostek słabych i durniów, masom potrzebna jest religia na to, by się ustrzec od występku i trwać przy cnocie. Niechże Pan nie wyzwala tygrysa, niech Pan nikomu nie pokazuje swego rękopisu, lecz spali go. Jeżeli ludzie są tak źli mając religię, to jak źli byłiby bez niej”.

Franklin uśmiechnął się. Chytrzy byli ci Francuzi, ten Wolter i Diderot. Ale on, Beniamin, jest jeszcze chytrzejszy. Niełatwo było doprowadzić do sojuszu. Młody, ospały król zorientował się od początku, że sojusz z ludźmi, którzy zbudowali swe państwo na zasadach Encyklopedii, to rzecz niebezpieczna. Panowie Maurepas i Vergennes widzą tylko korzyści, które sojusz może im przynieść dziś i za rok; ale pomimo całej swej przebiegłości nie wyczuwają, w jak niebezpieczne wdali się przedsięwzięcie. Istotnie rozpętali tygrysa. I stary doktor odczuwał wewnętrzną radość starego wygi, że cierpliwością i podstępem wymógł jednak na królu zawarcie sojuszu. Teraz treść zawarta w owych niebezpiecznych tomach wychodziła na światło dzienne, teraz stawała się życiem, polityką, historią. Rozum, rozum, rozum.

Sięgnął po tomy z ilustracjami. Okiem znawcy z przyjemnością obejrzał dziewiętnaście miedziorytów, które

przedstawiały narzędzia sztuki drukarskiej i związane z nią czynności. Jego sztuki. Niebezpiecznej sztuki. Były to dobre ilustracje. Przedstawiały wszystko jasno i gruntownie.

Potem ustawił tomy Encyklopedii wśród swoich książek. Długo i dokładnie wybierał miejsce, skąd najłatwiej będzie je dostać. W tym celu przestawiał książki, nosił je, dźwigał, wlaził w górę i schodził w dół, schylał się, porządkował. Dzięki temu Encyklopedia dostarczyła mu tak dla niego pożytecznych ćwiczeń cielesnych.

Siedział w swym wygodnym fotelu, nieco zmęczony, z przymkniętymi oczyma. Od czasu do czasu zerkał w kierunku świeżo ustawionych tomów. Jakież to przyjemne urodziny. Sojusz niewątpliwie zostanie wkrótce zawarty, na półkach stoją piękne, dostojne, pożyteczne tomy Encyklopedii, czeka go uczta urodzinowa u miłej przyjaciółki, Marii Felicji Helvetius.

Ludwik, choć wiedział, że nadzieja taka była nedorzeczna, liczył w skrytości ducha, że w ostatniej chwili nastąpi jakieś wydarzenie, które go uratuje od podpisania znienawidzonego sojuszu. Próbował więc w miarę możliwości odsunąć formalne jego zawarcie, czepiał się drobiazgów. W projektach umowy znajdował coraz to nowe zwroty, którym miał coś do zarzucenia, jego zła wola dopatrywała się poza niewinnymi słowami zdradzieckich zamiarów partnera. W tej grze na zwłokę popierał Ludwika bez - jego wiedzy jeden z delegatów amerykańskich. Jeżeli król był dokuczliwy i nieufny, to Artur Lec prześcigał go w pedanterii i podejrzliwości. Obaj nicowali każde słowo sojuszu.

Sojusz zawierał szereg postanowień regulujących rozmiary pomocy, jakiej rząd francuski miał udzielić Amerykanom w okresie, w którym ci musieliby prowadzić wojnę sami. Ponieważ w najkrótszym czasie, z chwilą kiedy Anglia dowie

się o ratyfikacji traktatów, musiało dojść do zatargu zbrojnego z Francją, klauzule te były w gruncie rzeczy zbyt dobre. Dawały jednak zarówno Ludwikowi, jak Arturowi Lee doskonałą sposobność do popisywania się bystrością umysłu. Artur Lee jeździł codziennie do Passy. Co drugi dzień wyklócał się o to, by Franklin przyjmował go niezwłocznie. Pewnego razu znalazł odpis traktatu w pokoju, w którym jakiś gość, rodowity Francuz, czekał na Franklina. Pełen oburzenia napiętnował karygodną beztroskę młodego sekretarza Williama Temple. Franklin, wyprowadzony w pierwszej chwili z równowagi, stanął w obronie wnuka. Ale później, w cztery oczy, powiedział Williamowi bez osłonek, że jest nicponiem i zasługuje na to, by go w haniebny sposób wyrzucić. William, jak zawsze uprzejmy i pełen wdzięku, próbował się bronić. Ale Franklin powiedział: „Milcz!” - i spojrzał na niego tak surowo, że William pobladł i nie dokończył rozpoczętego zdania.

Nie kończące się złości i zrzęczenie Artura Lee doprowadzały Silasa Deane do rozpaczki. Całym sercem pragnął przynajmniej położyć swój podpis pod aktem sojuszu i coraz mocniej dręczyła go niemal chorobliwa obawa, że następca jego zjawi się, zanim sojusz zostanie podpisany, i że na akcie będzie widniało nazwisko nowego człowieka. Coraz to inne, idiotyczne zastrzeżenia, wysuwane przez chudego, kwaśnego Artura Lee, doprowadzały go do furii.

Franklin także pragnął gorąco, by podpisanie paktu nastąpiło jak najprędzej. Wrażenie zwycięstwa pod Saratogą zaczynało blednąć, szybkie zawarcie sojuszu było koniecznością polityczną. W Ameryce czekano z napięciem, by wreszcie militarne i ekonomiczne środki wielkiego narodu francuskiego zostały postawione do dyspozycji Amerykanów. Franklin przekonywał Artura Lee uprzejmym tonem i prosił go, by nie wprowadzał tylu „punktyliów”. Użył staromodnego słowa

„punktylia”, ponieważ wydawało mu się delikatniejsze, bardziej uprzejme. Ale osiągnął odwrotny skutek: właśnie to słowo wywołało jeszcze większe rozgoryczenie Artura Lee.

- Kto tu robi punktylia? - zapytał gniewnie. - Pakt byłby od dawna gotów, gdyby panowie z zasady nie protestowali przeciw każdemu słowu, które pragnę wprowadzić do tekstu.

Pewnego razu nawet spokojny Franklin stracił cierpliwość. Przeparł klauzulę, w której Francja wyraźnie rezygnowała zarówno z całego kontynentu amerykańskiego, jak i ze wszystkich wysp owego kontynentu, które w przebiegu zbrojnego konfliktu z Wielką Brytanią miały być przez aliantów zdobyte. W klauzuli wymienione były wyspy Nowa Fundlandia, Cape Breton, Saint John, Anticosti i Bermudy; wyłączone zostały Wyspy Zachodnio-Indyjskie.

Następnego dnia Artur Lee uznał sformułowanie zawarte w klauzuli za niedostatecznie jasne i zażądał sporządzenia dokładnej listy wszystkich wysp, które mogłyby wchodzić w grę. Pan Gerard zgodził się bez trudu i na to, zapytał tylko z odrobiną irytacji, czy teraz artykuł XI jest w porządku, co Franklin spiesznie potwierdził. Nazajutrz Artur Lee oświadczył jednak, że ujęcie artykułu XI jest jego zdaniem w dalszym ciągu niezadowolające. Użyte tam zostało słowo „zdobyć”, co nie odpowiada godności i zasadom moralnym Stanów Zjednoczonych. Nie chodzi o zdobycie; wyspy, które mają zostać obsadzone, należy już dziś uważać potencjalnie za część Stanów Zjednoczonych. Zaproponował nową, bardzo skomplikowaną redakcję artykułu XI.

- Tego już za wiele! - szalał Silas Deane.

Tym razem Franklin przyszedł mu z pomocą. Podniósł się, olbrzymi, barczysty, stanął przed wątlym Arturem Lee i powiedział:

- Co pan sobie właściwie wyobraża? Przedwczoraj pan Gerard zrobił nam doniosłe ustępstwo, do którego rząd jego na

podstawie rozmów wstępnych wcale nie był zmuszony. Wczoraj zażądaliśmy rozszerzenia tego ustępstwa, uzyskaliśmy zgodę i wyraziliśmy z tego powodu zadowolenie. A dziś przychodzi pan z nowymi punktyliami. Czy chce nas pan wobec Francji ośmieszyć swoją chwiejnością i pedanterią?

- Wiedziałem z góry - odpowiedział Artur Lee - że znowu obaj staniecie przeciw mnie. Punktylia! A jeżeli przez pańską beztroskę stracimy nasze wyspy?

Tamci milczeli z ponurymi minami.

- No dobrze, poddaję się - powiedział wreszcie Artur Lee. - Ale panowie ponoszą za to całkowitą odpowiedzialność.

- Tak, ponosimy - rzekł Franklin.

Tymczasem Vergennes, przewyciężając zniecierpliwienie, uwzględniał wszystkie zastrzeżenia Ludwika. Kiedy mu przedłożył projekty umów po raz siódmy, spodziewał się, że Ludwik będzie tym razem zadowolony. Ludwik wszakże, któremu złożył tekst ostateczny, oświadczył pogodnie:

- No tak, teraz posiedzę nad tym jakieś trzy dni, by spokojnie zastanowić się nad całością.

Kiedy przerażony minister zjawił się po upływie trzech dni, Ludwik wręczył mu pięknie wykaligrafowane dwadzieścia trzy nowe punkty.

Toinette, podniecana przez premiera Maurepas i hrabiego Vergennes, atakowana przez markiza Vaudreuil, zażądała ostro, by Ludwik nie zwlekał dłużej z podpisaniem paktu i nareszcie spełnił swą obietnicę. Ludwik spojrzał na nią; jego młoda, tusta twarz miała gniewny, chytry, a równocześnie smutny wyraz.

- To pakt z diabłem, madame - powiedział. - Przyrzekłem, że go zawrę, i dotrzymam słowa. Ale takie przymierze nie jest bagatelką, trzeba tu zastanowić się nad każdą kropką nad „i” i

każdą kreską nad „t” z politycznego, prawnego i moralnego punktu widzenia.

- Zastanawia się pan nad tym od długich tygodni, sire - gorączkowała się Toinette. - Ucieka się pan do wybiegów, grymasi pan przy każdej drobnostce. Wysuwa pan coraz to nowe futilites, vetilles, babioles (fraszki, drobiazgi, bagatelki). - Rzuciła mu te francuskie określenia w przeświadczeniu, że będzie to najdosadniejsze napiętnowanie jego małostkowości. Poczul się dotknięty.

- Nie rozumie pani tego, madame - odrzekł możliwie surowym tonem, starając się nadać sobie wygląd, jaki miał na portrecie pędzla Duplessis. - Ten doktor Franklin to kuty na cztery nogi adwokat i oszust. Stara się wszelkimi środkami wpakować mnie w kabałę. Gdyby tylko o mnie chodziło, dawno bym ustąpił, zmęczony jego natręctwem. Ale chodzi o mój naród. Amerykanie zapomnieli wymienić jednej z moich wysp w Zachodnich Indiach, choć figuruje ona na każdej mapie. Za to wśród wysp, które chcą odebrać królowi Anglii, wymienili jedną, której nie mogę znaleźć na żadnej mapie. Czy nazwie to pani futilite? I ja miałbym coś podobnego podpisać? Poza tym w pakcie jest dwukrotnie mowa o całym biegu Missisipi. Bieg tej rzeki ma tworzyć granicę między rebeliantami i Hiszpanią. A przecież w ogóle nie odkryto źródła, z którego Missisipi wypływa. Jeżeli zgodzę się na coś podobnego, wtedy jednym lekkomyślnym pociągnięciem pióra mogę zabrać naszemu kuzynowi w Madrycie kraje obejmujące większą przestrzeń niż Austria. Futilites, babioles! Pani nie wie, co mówi, madame. Nie, czegoś podobnego nie podpiszę. Nie mogę za to odpowiadać przed Bogiem i swoim sumieniem. - Jego krótki podbródek drżał przy tych słowach.

Tymczasem nadeszła wiadomość, która z gruntu zmieniła sytuację polityczną. Zmarł elektor bawarski. Sprawa jego następstwa poruszyła Europę.

U hrabiego Vergennes zjawił się ambasador austriacki Mercy. Cesarz Józef miał pretensje do większej części Bawarii. Lecz pretensje te powstały w wątpliwy sposób, figurowały na papierze i każdemu było wiadome, że Fryderyk pruski nie będzie patrzył spokojnie na zawładnięcie Bawarią przez Habsburga. W prowadzonej swego czasu rozmowie z hrabią Vergennes hrabia Mercy podkreślił, że monarcha jego liczy na pomoc Francji przy realizacji swych pretensji; dotychczas powoływał się jedynie na węzły pokrewieństwa między Schönbrunnem i Wersalem oraz na sojusz. Teraz, kiedy sprawa nabrała poważnego charakteru, realista Józef zaproponował królowi Ludwikowi przez hrabiego Mercy, jako namacalną kompensatę za jego pomoc, austriackie Niderlandy.

Przyłączenie do swego państwa prowincji flandryjskich, użyźnionych francuską krwią, było od dawna marzeniem francuskich królów i Vergennes musiał w skrytości ducha przyznać Habsburgowi, że propozycja jego była zrećzna i zakrojona z szerokim gestem. Ale Józef żądał w zamian olbrzymiej stawki: narażenia się na ryzyko bardzo niepopularnej wojny z Prusami. Toteż Vergennes był od pierwszej chwili zdecydowany na odrzucenie oferty Józefa. Ponieważ nie można było prowadzić wojny na dwa fronty, trzeba by, na wypadek przyjęcia oferty Józefa, drogą wysokich koncesji zapewnić sobie neutralność Anglii i zrezygnować ze wszystkiego, co się z takim wysiłkiem budowało. Trzeba by również zrezygnować z osłabienia Anglii i popierania Ameryki oraz dopuścić do tego, by kolonie amerykańskie znowu złączyły się z macierzą, co wzmocniłoby Wielką Brytanię. Vergennes nie miał zamiaru brać na siebie tego rodzaju ofiar i niebezpieczeństw, nie dał się więc skusić nową propozycją hrabiego Mercy.

Ale jak odnosił się do tego Ludwik? Dotychczas aprobował z całego serca austriacką politykę swoich ministrów. Czy teraz nie zejdzie na manowce? Czy oprze się pokusie otrzymania Flandrii, czy potrafi przeciwstawić się presji Toinette?

Maurepas podzielał wątpliwości swego kolegi. Przede wszystkim jednak obaj ministrowie obawiali się, że Ludwik posłuży się sprawą bawarską jako pretekstem, by odsunąć podpisanie paktu z Ameryką na możliwie najdalszą metę. Będzie próbował wykręcić się od jasnej decyzji w sprawie interwencji na rzecz Habsburgów i oświadczy, że dopóki sam nie jest ze sobą w zgodzie, nie może oczywiście zawrzeć sojuszu z Amerykanami. Panowie ministrowie muszą więc w sprawie austriackiej wymusić szybkie, zdecydowane „nie”; wtedy automatycznie będzie zmuszony zaaprobować pakt z Ameryką.

Maurepas był na ogół dość dobrej myśli. Potrafił się wczuć w psychikę Ludwika. Pakt z buntownikami to grzech, ale grzechem również jest popieranie bezbożnego Józefa w jego zbrodniczej wojnie przeciw Fryderykowi. Fryderyk siedział daleko w swoim Poczdamie i nie był niebezpieczny, podczas gdy Anglia zagrażała w Indiach i na wyspach, a jej czelny komisarz rozpierał się w Dunkierce. Skoro już grzeszyć, to lepiej przez wojnę przeciw Anglii niż przeciw Prusom. Poza tym Maurepas, jak się zwierzył z uśmiechem i tajemniczo przed przyjaciółmi, miał w zanadrzu pewien argument, którego działanie będzie jego zdaniem niezawodne.

Ministrowie zastali Ludwika w ponurym nastroju. Z miejsca zaczął mówić o zobowiązaniach, które nakłada na niego pakt z Habsburgami; było jasne, że nie chce odpowiedzieć Józefowi zdecydowanie odmownie, lecz pragnie odsunąć decyzję.

Vergennes zwrócił uwagę, że pakt w tym wypadku nie obowiązuje, gdyż nie chodzi o wojnę obronną. Gdyby Józef chciał swoje bardzo iluzoryczne pretensje do Bawarii

zrealizować siłą, byłaby to zbrodnicza wojna zaborcza. Maurepas dowodził, że nie tylko z moralnego punktu widzenia, ale i ze względów utylitarnych należy odrzucić myśl o wojnie z Prusami. Flandria czy nie Flandria, ryzyko jest zbyt wielkie, a poza tym taka wojna byłaby w najwyższym stopniu niepopularna.

Ludwik odpowiedział, że na ogół przyznaje rację panom ministrom; jest jak najdalej od tego, by dać się wciągnąć w wojnę z Prusami. Nie chciałby jednak szwagrowi swemu Józefowi, którego serdeczną troską jest zdobycie Bawarii, od razu brutalnie i nie po bratersku odpowiedzieć: „nie”. Poza tym trzeba również rozważyć zobowiązania płynące z zawartego uprzednio paktu: jest przeciwny targowaniu się z Józefem. Trzeba więc wysuwać wobec hrabiego Mercy wątpliwości i przez coraz nowe ich powiększanie odwlekać decyzję.

Obydwaj ministrowie nie uważali tego za wskazane. Oświadczyli, że jeżeli w sposób zdecydowany nie odrzuci się z góry wszelkiej możliwości pomocy dla Józefa, ten bardzo energiczny suzeren zajmie po prostu Bawarię i wtedy wojna gotowa. Wówczas Józef będzie mógł twierdzić nie bez racji, że właśnie połowiczna zgoda Francji skłoniła go do tego kroku.

- Niech wasza królewska mość powie niedwuznacznie: „nie” - prosił Vergennes. - Niech nam będzie wolno uprzejmie i stanowczo odrzucić propozycje hrabiego Mercy.

Ludwik parsknął i wiercił się. Wtedy Maurepas, spojrzawszy znacząco na kolegę, uciekł się do owej lekkiej presji. Polityka ociągania się, oświadczył, którą Ludwik chciał zastosować, jest właśnie tym, co na jego dostojny szwagier liczy. Maurepas ma podstawy do przypuszczenia, że cała polityka Józefa opiera się na przeświadczeniu, jakoby Ludwik był narzędziem w jego ręku.

Kiedy Ludwik spojrzął na niego zdumiony ze zmarszczonym czołem, minister wygrzebał ze swej teki kopię listu i podał mu ją z uśmiechem na poły triumfującym, na poły ubolewającym nad nikczemnością świata.

Była to kopia listu, w którym swego czasu cesarz Józef dzielił się z matką swymi wrażeniami na temat osoby Ludwika; policja paryska przechwyciła ten list. Maurepas dobrze uczynił, że nie od razu zrobił z listu użytek, lecz odłożył go na lepszą okazję. Ludwik otrzymał w odpowiednim momencie do przeczytania to, co o nim myślał jego szwagier Józef.

„Nasz Ludwik - czytał - jest źle wychowany i prezentuje się wyjątkowo niekorzystnie. Nie rozumiem, jaki pożytek może mu przynieść martwa wiedza, którą nagromadził. Cierpi na zastanawiającą niezdolność decyzji, jest słaby wobec tych, którzy go potrafią zastraszyć”.

Ludwik odczytał list kilkakrotnie, uśmiechając się gorzko i boleśnie.

- Może szwagier mój ma rację - powiedział wreszcie rzeczowym tonem - nie jestem zbyt mądry. Ale to wiem na pewno, że nie dam mu się wciągnąć w wojnę napastniczą. A jeżeli jestem niezdolny do decyzji, to przekona się, że tym razem ani on, ani żaden jego wysłannik nie potrafi mnie zastraszyć. Mogą panowie zdać się na mnie.

Vergennes zapytał, czy wolno mu więc odrzucić propozycję hrabiego Mercy. Ludwik wahał się przez chwilę, parsknął, wreszcie odpowiedział:

- No tak, no pięknie.

Austriacy nie zasypiali tymczasem gruszek w popiele. Hrabia Mercy i ksiądz Vermond zjawili się razem u Toinette. Pouczali ją, że w ciągu dziesięcioleci, może nawet stuleci nie zdarzy się równie sprzyjająca okazja umocnienia potęgi państw katolickich. Nadeszła teraz długo upragniona godzina, w której małżeństwo Toinette z Burbonem musi wydać

owoce. Los chce, by Toinette wywarła wpływ na dzieje Europy ku większej chwale Boga, Habsburgów i Burbonów. Opowiedzieli jej o wspaniałomyślnej propozycji Józefa ofiarowania Ludwikowi Flandrii wraz z prowincjami.

Podczas gdy Mercy i Vermond zasypywali ją elokwencją, Toinette przypomniała sobie ową ostatnią słodką, lecz zaprawioną goryczą rozmowę z bratem, który mówił jej o obowiązkach, jakie urodzenie na nią nakłada. Wtedy nie rozumiała dobrze, o co mu chodziło; tymczasem jednak dorosła i zasmakowała w oszałamiającej grze wyższej polityki. Teraz pokaże dumnemu panu bratu, kim jest. Przeworsowała Amerykę, teraz załatwi dla Józefa Bawarię.

Poprosiła obu panów o argumenty, które potrafiłyby przekonać Ludwika, i zabrała się z entuzjazmem do dzieła.

Wyłożyła Ludwikowi, że jeżeli Francja nie stanie po stronie Austrii, Fryderyk pruski skorzysta z przysługujących mu na piśmie praw, zaokrągli obszar swego państwa i zacznie odgrywać rolę dyktatora całych Niemiec. Od lat siedemnastu jest on wskutek swego despotyzmu i gwałtownego charakteru plagą całej Europy. Trzymanie go w cuglach to w równej mierze sprawa Ludwika, jak i Józefa.

Ludwik był już zirytowany, w chwili gdy Toinette otwierała usta. Udało jej się podejść go w sprawie Ameryki, teraz, w tej austriackiej historii, był zbyt dobrze przygotowany, tu sobie z nim tak łatwo nie poradzi. Odpowiedział sucho, że popieranie przez Francję pretensyj Józefa wzmogłoby tylko opór Fryderyka.

- Przeciwnie - gorączkowała się Toinette. - Jeżeli teraz opowiesz się po stronie mego brata, sire, będzie to jedyny środek, by napędzić Fryderykowi strachu i uniknąć wojny. Jeżeli jednak będziesz siedział z założonymi rękami, wymierzą nam cios w plecy.

- Nam? - zapytał z goryczą Ludwik. - Nam, nam? - powtórzył.
- Mówisz o despotyzmie Fryderyka, o jego gwałtownym charakterze. Nam, nam! A jakże wygląda rzecz z wami, wiedeńczykami? Naprzód napadliście na Polskę, a teraz brat twój chce dokonać najazdu na Bawarię. Zawsze o tym wiedziałem, madame, i mówię ci to prosto w oczy: nasz brat Józef ma tyrańskie, zaborcze zamiary. Nigdy jednak nie byłbym przypuścił, że dla swoich planów, opartych na gwałcie i przemocy, znajdzie orędowniczkę w osobie królowej Francji.
- Wpadł w furję. - Ani słowa więcej, madame! - wrzasnął. - Proszę mi się nie sprzeciwiać. Zawsze wyzyskiwałaś moją słabość, ale tym razem ci się to nie uda! Tym razem nie! - zaskrzeczał kilkakrotnie falsetem, ponury, zrozpaczony.
Toinette musiała odejść z niczym.

W ciągu owej pierwszej konferencji w sprawie popierania pretensji austriackich Maurepas i Vergennes przezornie nie wspomnieli ani słówkiem o sojuszu z Ameryką. Kiedy Ludwik odrzucił propozycję Józefa, panowie ministrowie spodziewali się, że właśnie teraz, powołując się na konflikt austriacko-bawarski, skłonią go wreszcie do podpisania paktu. Znowu zjawili się we dwóch. Vergennes wywodził: ciągłe odwlekanie podpisania paktu przez Ludwika musi Franklinowi nasunąć przypuszczenie, że Ludwik poważnie rozważa interwencję na rzecz Habsburgów, a więc pragnie zrezygnować ze zbrojnego starcia z Anglią. Supozycja taka zmusza po prostu Franklina do zawarcia pokoju z Anglikami, póki istnieje możliwość uzyskania korzystnych warunków. Ludwik nie patrzył na swoich ministrów i nic nie odpowiadał. Odruchowo głaskał figurki z porcelany, przedstawiające wielkich pisarzy, które stały na biurku między nim i jego ministrami.

Z kolei zabrał głos Maurepas. Odrzucenie propozycji habsburskich, powiedział z naciskiem swym starczym głosem, jest już przecież postanowione. Niechże Ludwik nie upiera się dłużej, niech zaniecha niebezpiecznego grania na zwłokę i podpisze pakt z Amerykanami.

Ludwik od dawna już przemyślał to, co mu ci panowie przedkładali. Ale teraz, kiedy trzeba było wyrazić ostateczną zgodę na pakt z buntownikami, jakiś paraliż obezwładnił jego serce i język. Wstał, w tej samej chwili podnieśli się z czołobitnymi minami ministrowie.

- Niechże panowie siadają - poprosił. Zaczął spacerować po pokoju. Wreszcie zatrzymał się przy kominku, tłustą, niezgrabną ręką dziwnie miękkim ruchem pogłaskał artystycznie wykonane ozdoby z żelaza. - Panowie chcieli jeszcze coś powiedzieć? - zapytał siedzących za nim ministrów.

Maurepas i Vergennes przytoczyli po raz setny motywy, dla których spieszne podpisanie umowy jest konieczne. Pozwolił im się wypowiedzieć, ale słuchał jednym uchem. Potem wrócił do biurka, usiadł, chrząknął. Chciał teraz mówić, chciał ująć w słowa swoje wątpliwości, obawy i wahania. Jeżeli awantura amerykańska skończy się źle - a nie ulegało wątpliwości, że się właśnie tak skończy - chciał przynajmniej wobec Boga i samego siebie mieć możliwość twierdzenia, że w swoim czasie zwracał na to uwagę i ostrzegał.

Mówił początkowo z trudem, potem coraz płynniej. Najpierw, jako dobry gospodarz, poruszył sprawę olbrzymich kosztów, które pociągnie za sobą wojna z Anglią. Poleciał panu Neckerowi przedłożenie mu wykazu tych kosztów; wedle listy, którą ma przed sobą, byłaby to suma prawie tysiąca milionów. „Tysiąc milionów” - powtórzył, z trudem wydobywając z siebie słowa. Znowu się podniósł,

gwałtownym gestem zachęcając ministrów, by siedzieli dalej. Stał przed globusem. Słowa płynęły wolno z grubych warg.

- Wyobraźcie to sobie, panowie, tysiąc milionów. Jakież to potok złota. - Próbował wyliczyć, na jaką długość ciągnęłaby się linia utworzona z centymów tego tysiąca milionów. - Można by nią dwanaście i pół raza opasać równik. Niechaj sobie to panowie wyobrażą. I wszystkie te pieniądze mam wyciągnąć z mego kraju dla rebeliantów? Proszę sobie wyobrazić, ile to oznacza głodu i nędzy dla moich poddanych, moich synów. Jeżeli na to sarkacie, jeżeli mnie przeklinacie, cóż mogę odpowiedzieć? Tysiąc milionów dla doktora Franklina.

Ministrowie prześliznęli się dyskretnie nad tymi pesymistycznymi słowami.

- Pan Necker to człowiek przesadnie ostrożny, ostrożność zresztą powinna cechować jego urząd. Ale suma jest zapewne przesadzona, czas trwania wojny przeceniony, a zresztą przecież za wszystko zapłaci Anglia. Francja wyjdzie z tej wojny nie tylko nie osłabiona ekonomicznie, lecz zakwitnie dzięki nowym rynkom, które otworzy dla niej to wielkie przedsięwzięcie.

Ludwik nie zgodził się na to. Wrócił do biurka. Siadł niezgrabnie w fotelu i przewyciężając się zaczął mówić o hamulcach wewnętrznych. Rumieniąc się, nie patrząc na ministrów, mówił o swoim stałym, tajemnym lęku, że sojusz z rebeliantami mógłby wywołać rebelię we Francji. Jeżeli oficerowie i żołnierze będą walczyli o sprawę tak zwanej wolności, mogą wrócić z zatrutymi sercami i zaraza buntu może się również rozszerzyć na Francję. Ciężko mu było wypowiadać tak małoduszne myśli. Miał wrażenie, że w biały dzień obnaża się przed tymi panami.

Kiedy skończył, panowie ministrowie siedzieli przez czas jakiś nieco skonfundowani. Wreszcie zabrał głos Vergennes i

posługując się skomplikowanymi argumentami prawnymi, dowodził, że uznanie Stanów Zjednoczonych nie jest bynajmniej równoznaczne z uznaniem zasad zawartych w Deklaracji Niepodległości. Maurepas posunął się tak daleko, że zapewnił, iż wojna z Anglią nie tylko nie roznieci we Francji buntowniczych nastrojów, przeciwnie, taka popularna wojna to najlepszy środek, by naród oderwać od zuchwałych myśli.

Ludwik tkwił w swym fotelu z ponurą miną. W obronie sojuszu wszystko już zostało powiedziane i przeżute, argumenty były słuszne. Wiedział jednak, że coś w nich jest nie w porządku, że sojusz ten to przekleństwo; przed chwilą wykrztusił przed tymi panami, jakie są tego powody. Ale nie chcieli słuchać, szarpali go, rwali go na strzępy i popędzali go - jak cieleń na rzeź - pomyślał; trwało to tak długo, że wreszcie musiał ustąpić. A przy tym wiedział, że nie wolno było ustąpić, że od początku nie wolno było wpuszczać tego Franklina do kraju. A Bóg zsyłał nań znaki i kary za to, że był taki słaby. To z powodu jego grzesznej słabości Toinette nie zachodziła w ciążę i zapewne za ten grzech było mu przeznaczone być ostatnim z Burbonów. Jeżeli jednak zdobędzie się teraz na siłę i powie „nie”, wtedy wystąpi Habsburg i będzie go wciągał do zbrodniczej wojny. Józef pisał, Toinette nalegała - wciągali go z uporem. A ponieważ nie ma wyjścia i jest skazany na to, by samemu przyłożyć ręki do obalenia Burbonów, ci panowie zaś siedzą tu przed nim i niecierpliwie wyczekują na jego „tak”, ustąpi teraz za chwilę i zgodzi się na ten pakt z buntownikiem, choć wie najlepiej, co się pod nim kryje. Na razie wahał się jeszcze, słowo „tak” nie chciało mu przejść przez gardło. Tkwił w swym fotelu. Panowało długie, ciężkie milczenie.

- To już prawie miesiąc, sire - powiedział uniżenie Maurepas - od dnia, w którym wasza królewska mość dała Franklinowi słowo, że podpisze traktat.

- Mam wrażenie - odparł Ludwik - że działamy zbyt pospiesznie. Ponieważ jednak panowie obaj oraz królowa i moje miasto Paryż tak nagle, rezygnuję ze zmiany owych piętnastu punktów, które ciągle jeszcze nie są w porządku.

- A więc mogę oświadczyć delegatom amerykańskim, sire — chwycił go za słowo Vergennes — że umowy będą mogły być podpisane w obecnej redakcji?

- No tak, no pięknie - odpowiedział Ludwik, dodając szybko: - chcę jednak przed podpisaniem przejrzeć oryginał dokumentu. A podpisze go nie pan, hrabio Vergennes, lecz pan de Gerard. Nie chcemy przywiązywać do sprawy zbyt wielkiej wagi. Proszę również powiedzieć amerykańskim panom jak najbardziej stanowczo: nie wolno wspomnieć o sojuszu ani jednym słowem, dopóki umowy nie zostaną przez tak zwany Kongres buntowników ratyfikowane i odesłane.

- Jak wasza królewska mość rozkaże - odrzekł Vergennes.

Jeszcze tego samego dnia pan Gerard, z polecenia jego królewskiej mości, oznajmił emisariuszom, że umowy mogą być podpisane w obecnej formie. Oddał już tekst panu Paillasson, kaligrafowi jego królewskiej mości, by ten sporządził oba dokumenty w dwóch egzemplarzach. Hrabia Vergennes przedłożył je królowi po raz ostatni, a potem, prawdopodobnie pojutrze, będzie mogło nastąpić położenie podpisów.

- Doskonale - powiedział Franklin, a Silas Deane odetchnął głęboko i donośnie.

Natychmiast wmieszał się jednak Artur Lee. Musiało tu zajść jakieś nieporozumienie, oświadczył ponuro. Nie przypomina sobie, żeby delegaci zaaprobowali ostatnią redakcję. On w każdym razie swej zgody nie wyraził. Pan Gerard, niemile

zaskoczony, odpowiedział, że jeżeli dobrze zrozumiał doktora Franklina, panowie wyrazili zgodę na ostatnią redakcję.

- W takim razie doktor Franklin musiał się przesłyszeć - odparł Artur Lee. Silas Deane parsknął z oburzenia.

- To godne ubolewania - powiedział pan Gerard, nie ukrywając złego humoru. Niełatwo było skłonić jego królewską mość do przyjęcia traktatów w obecnej redakcji. Obawia się, że skoro się teraz przyjdzie do króla z propozycjami nowych zmian, może to zagrozić całemu paktowi.

- To nie moja wina - przerwał przykre milczenie Artur Lee.

- Proszę, niech pan wypowie swoje nowe życzenia i zastrzeżenia, panie kolego - powiedział sucho Franklin.

W dłuższym przemówieniu wyłożył Artur Lee słuchającej go z niechęcią trójce, że po dokładnej analizie widać, iż artykuły XII i XIII nie odpowiadają zasadom absolutnej wzajemności, na których wedle uprzedniego porozumienia umowy miały być oparte. Artykuły te nakładały na Stany Zjednoczone zobowiązanie niepodwyższania ceł wywozowych na produkty idące z ich portów do Indyj Zachodnich. Tymczasem Francja zobowiązuje się wyłącznie do niepodnoszenia cła wywozowego na melasę, ów słodki, lepki i płynny produkt, który powstaje przy wyrobie cukru.

- Gdzie tu wzajemność? - zapytał Artur Lee.

- Sami - oświadczył Franklin - zaproponowaliśmy taką redakcję obu artykułów. Nie znam żadnego innego ważnego produktu, który Indie Zachodnie mogłyby dostarczać Ameryce.

- Może tak być dzisiaj - odrzekł Artur Lee - nikt nie potrafi jednak zaręczyć, że ten stan rzeczy pozostanie na zawsze. A wydaje mi się, że traktat ma być trwały.

Spokojny, dyplomatycznie układny Gerard wpadł w gniew.

- Raz jeszcze zwracam panu uwagę, mój panie - powiedział - że propozycje zmian, które wysuwa pan w ostatniej chwili, grożą całemu traktatowi. Nie jest wykluczone, że król będzie miał tego wszystkiego dość, kiedy pan nagle wysunie nowe uzupełnienie do klauzuli o melasie; muszę wyznać szczerze, że hrabiowie Vergennes i Maurepas mają również tego lepkiego handryczenia powyżej dziurek w nosie.

- Nie chodzi o nowe uzupełnienia do klauzuli o melasie - odrzekł Lee, swoim zwyczajem nisko spuściwszy głowę - chodzi o zasadę wzajemności, o suwerenność Stanów Zjednoczonych.

- Niech pan wybaczy - odpowiedział Gerard - ale zdaje mi się, że król Francji zrobił dosyć, wyrażając gotowość obrony suwerenności Stanów Zjednoczonych swoją armią i flotą. Mogę pana zapewnić, że król nie miał zamiaru kwestionowania suwerenności Ameryki przez klauzulę w sprawie wywozu melasy.

Opanowując się z trudem, Franklin oświadczył:

- To moja wina, panie Gerard. Powinienem był dać panu Lee sposobność poprzedniego omówienia z nami jego zastrzeżeń. Może nie wysunąłby ich teraz.

- Myli się pan, doktorze Franklin - upierał się mister Lee. - Mniejsza zresztą o to - ciągnął dalej. - Tak czy inaczej, nigdy nie podpiszę układów w tej redakcji. Klauzula o melasie w jej obecnym brzmieniu jest - oświadczam to w imieniu Kongresu Stanów Zjednoczonych - nie do przyjęcia.

Pan Gerard patrzył na Franklina z ubolewaniem i respektem. Za żadną cenę nie chciał dopuścić do tego, by pakt, który kosztował tyle wysiłków, cierpliwości i przebiegłości, rozbił się o głupotę tego historyka, którego Kongres, składający się, jak widać, z niezbyt doświadczonych mężów stanu, sprzągnął z czcigodnym doktorem Franklinem.

- Przyszło mi do głowy pewne wyjście - oświadczył. - Obawia się pan - zwrócił się do Artura Lee - że Kongres mógłby zakwestionować klauzulę o melasie?

- Tak jest, mój panie - odparł kłótniwie minister Lee.

- Czy wystarczyłoby to panu - zapytał pan Gerard - gdybym w liście, stanowiącym dopełnienie traktatu, oświadczył w imieniu hrabiego Vergennes, że na wypadek nieratyfikowania przez Kongres klauzuli o melasie wszystkie inne klauzule umów pozostałyby jednak w mocy?

- Czy panowie bylibyście wtedy gotowi - zapytał Artur Lee - zawrzeć w sprawie melasy oddzielną umowę?

- Owszem - odpowiedział Gerard.

- Przyjmuje pan za to odpowiedzialność? - nalegał Artur Lee.

- Przyjmuję - brzmiała odpowiedź pana Gerard.

- I oświadczy pan w swoim liście, że list ma być uważany za integralną część składową umów?

- Oświadczę.

- Czy dobrze pana rozumiem? - reasumował Artur Lee. - Gdyby nawet Kongres, czego się obawiam, opierał się temu, by w zamian za rezygnację z panów strony z cła wywozowego na melasę, zrezygnować z naszej strony z ceł wywozowych na wszystkie nasze produkty, reszta klauzul traktatu handlowego pozostaje nietknięta, nie mówiąc o przymierzu zaczepno-odpornym, które ma pozostać bez zmiany, mimo skreślenia artykułów XII i XIII, a mianowicie klauzuli dotyczącej melasy? Czy tak? Czy to pan miał na myśli?

- Właśnie to - odpowiedział Gerard dodając z pewną niecierpliwością - załatwione, uzgodnione, przyjęte.

- To mi wystarczy - powiedział Artur Lee rozkładając ręce.

- W ten sposób byłby załatwiony i ten punktylio - oświadczył Franklin.

Pan Gerard przyrzekł raz jeszcze, że zawiadomi panów delegatów, kiedy dokumenty będą gotowe do podpisu, i

poprosił ich, by byli pojutrze w pogotowiu. Po tych słowach pożegnał się.

Kiedy zostali sami, zabrał głos Artur Lee oświadczając:

- Widzicie, panowie, przy odrobinie cierpliwości i wytrwałości można pokonać największe szkopyły.

W dwa dni później, 5 lutego, Franklin wyciągnął swoje ciężkie, granatowe ubranie z manchesterskiego aksamitu. Był to strój, który miał na sobie przed czterema laty, na Radzie Koronnej, kiedy to adwokat koronny Wedderburn obrzucił go takim gradem obelg i nikt spośród trzydziestu pięciu członków rady nie wystąpił w jego obronie.

Tak ubrany udał się w towarzystwie Williama do Paryża, naprzód do Dubourga. Wysłał wczoraj Williama, by się dowiedział, czy chory będzie miał siły wstać i pojechać do ministerstwa. Lekarz miał poważne wątpliwości, ale Dubourg obstawał kategorycznie przy swym zamiarze. Siedział więc teraz w otoczeniu lekarza, pielęgniarza i lokaja, w żalonym stanie, ale w galowym stroju na osłabłym ciele.

Widok Franklina w granatowym, uroczystym stroju poruszył go. Na jego zapytania Franklin odpowiedział w swój jowialny sposób:

- Trzeba starać się o to, by zawsze wybierać właściwy strój stosownie do okoliczności i otoczenia. Nauczył mnie tego Karol Wielki. Kiedy pojechał do Rzymu na koronację, zmienił się z prostego Frankończyka w rzymskiego patrycjusza. - Po tym wstępie opowiedział historię swego granatowego ubrania i gładząc czule aksamit, zakończył: - Widzi pan, mój przyjacielu, należało się temu strojowi zadośćuczynienie z mojej strony.

Dubourg uśmiechnął się, skinął energicznie głową i dostał ataku kaszlu, który go bardzo osłabił.

Lekarz ostrzegł go jeszcze raz, by w ten ostry zimowy dzień nie opuszczał mieszkania. Ale Dubourg zrobił gniewny ruch ręką i zaczął się przygotowywać do wyjścia.

Nagle zjawił się zadyszany wysłannik pana Gerard. Pojechał on do Passy, a potem pospieszył tutaj. Monsieur Gerard kazał zakomunikować Franklinowi, że podpisanie sojuszu musi zostać przesunięte na dzień następny z przyczyn, które doktor znajdzie w załączonym piśmie. Rozebrano zawiedzionego Dubourga, położono go do łóżka. Franklin obiecał przyjechać po niego nazajutrz. Ale wszyscy wiedzieli, że Dubourg po dzisiejszym wysiłku nie będzie mógł w ogóle wstać następnego dnia.

Przyczyna przesunięcia terminu podpisania była następująca: pan Paillason wygotował oba dokumenty w dwóch egzemplarzach. Użył do tego celu szlachetnego pergaminu, na jakim sporządzano umowy państwowe, wykaligrafował pisma z starannością, za którą był ceniony. Ale Ludwik stwierdził przy uważnym czytaniu dokumentów, że w traktacie handlowym na stronie 3, w wierszu siedemnastym jedna z kropek wypadła tak, że można by ją było uznać za przecinek. Zażądał przepisania strony i przedłożenia mu dokumentów po tym przepisaniu. W ten sposób zyskał dzień i mógł jeszcze łudzić się nadzieją, że w ciągu tego dnia wydarzy się coś, co mu jednak przeszkodzi w definitywnym położeniu podpisu.

Nie wydarzyło się nic. Pan Paillason cierpliwie przepisał stronę, tak że teraz nawet najbardziej krytyczne oko musiało w wierszu siedemnastym kropkę uznać za kropkę i za nic innego. Nie tracąc cierpliwości zjawił się również u Ludwika raz jeszcze z obydwoma dokumentami i pełnomocnictwami do podpisu pan de Vergennes. Ludwik westchnął, powiedział: „No tak, no pięknie” - i podpisał. Vergennes spiesznie przekazał wszystkie pisma panu Gerard; było wśród nich pełnomocnictwo na podpisanie i opatrzenie pieczęcią w jego

imieniu, a przez to samo w imieniu króla, traktatów państwowych 1778/32 i 1778/33.

Szóstego lutego punktualnie o piątej trzej komisarze, którym towarzyszył William Temple, znaleźli się w Hotel Lautrec, w gabinecie pana Gerard. Doktor Franklin i dziś miał na sobie granatowe ubranie. Doktor Dubourg nie mógł mu już towarzyszyć.

Gotowe do podpisu umowy leżały na stole obok królewskiej pieczęci. Przy drugim stole, mniejszym, czekał sekretarz pana Gerard.

- Tak, doktorze Franklin - powiedział pan Gerard, który zdawał się być w doskonałym humorze - dopłynęliśmy wreszcie do portu. Jeżeli to panu odpowiada, przystąpimy zaraz do podpisania.

Ale Artur Lee powstrzymał go mocnym ruchem ręki. Spojrzał na Franklina, a ponieważ tamten milczał, rzekł więc:

- Wydaje mi się, że naprzód musimy wymienić między sobą nasze pełnomocnictwa, nasze listy uwierzytelniające.

- Czy mamy listy uwierzytelniające? - zapytał półgłosem Franklin i William Temple zaczął szukać.

Pan Gerard bardzo chłodno zwrócił się do sekretarza:

- Pecheur, proszę pokazać panom moje pełnomocnictwa.

Artur Lee przejrzał je starannie, potem wręczył mu swoje.

- Dziękuję - powiedział Gerard nie patrząc na papiery. Ale Artur Lee oświadczył dość surowym tonem:

- Pozwalam sobie zwrócić uwagę, panie sekretarzu stanu, że posiadam dwa pełnomocnictwa. Jestem tu zarówno w charakterze posła pełnomocnego Kongresu przy dworze wersalskim, jak i w charakterze posła pełnomocnego przy dworze madryckim. Czy uważa pan za słusniejsze, bym podpisał swój podpis po podcyfrowaniu umów jako całości położył obok tajnej klauzuli o ewentualnym przystąpieniu Hiszpanii do przymierza, czy też mam zadowolić się podpisaniem

umów, podpisując zaś umowę o sojuszu zaznaczyć, iż występuję w podwójnym charakterze?

- Niech pan zaznaczy ten podwójny charakter - dodał uprzejmie Franklin.

- Niech pan to zrobi - powiedział Gerard.

- A więc ta sprawa byłaby załatwiona - oświadczył Artur Lee.

- Pozostaje jednak pytanie, jak najlepiej przetłumaczyć na język francuski mój tytuł: radca prawny pierwszej klasy. Mam wrażenie, że skromne „conseiller des droits” byłoby najbliższe tekstowi angielskiemu.

- Proszę przyjąć moje zapewnienie, monsieur, że monarcha arcychrześcijański nie zakwestionuje umów, bez względu na to, jak je pan podpisze.

- Dziękuję - odparł Artur Lee. - Pozostałoby do załatwienia jeszcze ostatnie preliminarium. Proszę o okazanie owego pisma, które w myśl naszego porozumienia uzupełnia umowy jako część integralna; mam na myśli wzajemność w regulowaniu ceł na wywóz melasy i tak dalej.

- Proszę, niech pan okaże pismo, Pecheur - powiedział pan Gerard.

Podczas gdy Artur Lee odczytywał załącznik, pan Gerard zwrócił się do pozostałych dwóch panów z następującymi słowami:

- Z polecenia hrabiego Vergennes muszę raz jeszcze prosić usilnie o zachowanie zawarcia paktu w całkowitej tajemnicy, dopóki nie ratyfikuje go Kongres. Odwleczemy przez to wojnę o kilka tygodni, które są nieodzowne dla zakończenia naszych zbrojeń. Pozwolę sobie powtórzyć raz jeszcze, że zapewnienie bezwzględnej dyskrecji było i pozostaje podstawą traktatu. Hrabia Vergennes nie żąda niczego na piśmie. Wystarczy mu pańskie słowo, doktorze Franklin.

Franklin uczynił nieznaczny ruch głową. Artur Lee nie powiedział nic, podszedł do kominka, skrzyżował ramiona.

- Jeżeli więc to panom odpowiada - powiedział monsieur Gerard - przystąpmy do podpisania.

Dokumenty leżały na niewielkim stole. Pan Gerard usiadł na małym fotelu, doktor Franklin stanął naprzeciw oparłszy obie ręce o stół, Artur Lee zajął miejsce przy kominku, Silas Deane obok niego, William Temple trzymał się skromnie na uboczu koło sekretarza Pecheur. Sekretarz rozgrzał lak, kilka kropel padło na pierwszy dokument. Pan Gerard odcisnął swą pieczęć i podpisał pierwszą kopię.

Franklin spojrzął na zegar stojący na konsoli pod ścianą, wskazywał godzinę 5 minut 22.

Stał więc przy węższej stronie stołu, oparłszy na nim lekko swe wielkie, czerwone ręce, rzadkie włosy opadały na kosztowną granatową marynarkę; patrzył na białą, wypielegnowaną rękę pana Gerard, który cztery razy przyłożył pieczęć i złożył cztery podpisy. Wielka radość nappełniła serca Franklina. Długo czekał na tę chwilę. 6 luty, godzina 5 minut 22. Na dworze padał deszcz zmieszany ze śniegiem, tu w pokoju płonął na kominku suty ogień, paliły się łagodnie świece, sekretarz Pecheur podgrzewał lak, pan Gerard pieczętował i podpisywał. Dla tej chwili Franklin odbył uciążliwą podróż przez ocean, dla tej chwili odgrywał przez czternaście miesięcy komiczną rolę przybranego w futro i brunatny surdut wiejskiego filozofa z Dzikiego Zachodu, odpowiadał cierpliwie na tysiące bezmyślnych pytań, prowadził w Gennevilliers z piękną, niemądrą kobietą w niebieskiej masce filuterną i niemądrą rozmowę. A więc teraz złożył swój podpis tamten człowiek, a potem podpisze on, Franklin, po czym wiele okrętów francuskich wypłynie na morze z wieloma armatami i liczną załogą i wielu Francuzów zginie po to, by Anglia uznała niepodległość Ameryki. Król, na którego zlecenie ten elegancki Francuz podpisuje umowy, nie jest zbyt mądry, ale zrozumiał, że niebezpieczna to sprawa

podpisywać pakt z młodą republiką, wrogą wszelkim despotycznym autorytetom. Tłusty, młody Ludwik bronił się rękami i nogami przed podpisaniem traktatu, nie chciał uznać niepodległości trzynastu stanów, uważał ich mieszkańców za buntowników, mówił ciągle: nie, nie! Był monarchą absolutnym, królem Francji, niezależnym od żadnego parlamentu, mógł robić, co chciał. Ale widocznie nie tak bardzo mógł robić, co chciał, wprost przeciwnie, musiał robić to, czego nie chciał. To, co się ogólnie nazywa historią świata, było silniejsze od niego i kazało mu być posłusznym. A więc w historii świata tkwił jakiś sens i skłaniał ludzi do poruszania się w pewnym kierunku, niezależnie od tego, czy chcieli, czy nie chcieli.

Stary doktor przyglądał się, jak biała ręka pana Gerard raz po raz podpisuje i pieczętuje i był bardzo szczęśliwy. Lecz pomimo to wiedział, że jeżeli człowiek wyobraża sobie, że tworzy historię, myli się, bo każdy ma dla siebie przeznaczoną funkcję. I że w rezultacie wielki człowiek musi uczynić to samo, co człowiek mały, tylko może jeden prędzej, drugi później, bez względu na to, czy tego chce, czy nie.

Pan Gerard skończył swą robotę. Powiedział uprzejmie:

- Proszę, doktorze Franklin - i wskazał ręką na wielki fotel po szerokiej stronie stołu. Ale Franklin zajął miejsce w małym fotelu, na którym przed chwilą siedział pan Gerard. Pan Pecheur rozgrzał lak i przygotowywał się do tego, by kilka jego kropli upuścić na dokument. Lecz podsunął się skwapliwie młody William Temple, chciał być pomocny przy podpisywaniu, po cóż by go inaczej zabierano? Franklin pieczętował i podpisywał. Pisał kaligraficznie: „B. Franklin”, z B przechodził artystycznym pociągnięciem do F; podpisywał się z licznymi zakrętami, pieczętował dokumenty swoim pierścieniem. Była to wymyślna pieczęć przedstawiająca kłosa, dwa lwy oraz dwa ptaki nad jakimś zwierzęciem z

bajki. Naprzeciw stał pan Gerard i przypatrywał się temu, przyglądali się także panowie Deane i Lee stojący przed kominkiem.

Następnie podpisał Silas Deane. Podszedł do stołu z pogodną miną i spiesznie zajął miejsce w fotelu. Młody Temple był mu pomocny, rozgrzewał lak, podał pióro. Silas Deane powiedział ciepło: „Dziękuję”, powtórzył to słowo kilkakrotnie. Podpisywał mocno i wyraźnie swe nazwisko obok pieczęci, z rozmarzoną, błogą miną oglądał dokument i swój podpis. W ostatnich czasach musiał przełknąć wiele goryczy, ale słodycz tej chwili okupiła mu to z nawiązką. Zły człowiek, który stoi naprzeciw niego i tak ponuro patrzy teraz na palce, dręczył go jak dziesięć diabłów i oczerniał przy pomocy zatrutego atramentu, ale jednak nie potrafił przeszkodzić temu, że Silas Deane siedzi tu teraz jako partner monarchy arcychrześcijańskiego, kładzie swą pieczęć i podpis pod najważniejszą umową swego kraju i swego stulecia. Podpisywał i pieczętował; każdy, kto chciał, mógł przeczytać: Silas Deane.

Teraz odmierzoną krokiem ruszył w kierunku stołu Artur Lee. Dotarłszy tam, usiadł z ponurą, zamkniętą twarzą, wyprostowany jak świeca. Willam Temple chciał mu być pomocny, ale Lee odpowiedział surowo:

- Dziękuję, panie Franklin, zrobię to sam.

Położenie na czterech egzemplarzach pieczęci, podpisu, tytułu, z uwzględnieniem jego podwójnego charakteru, trwało dłuższą chwilę. Spełnił tę funkcję z wielką dokładnością. Francuzi byli wykrętnymi sojusznikami, nie miał do nich za grosz zaufania, był jedynym, który pomyślał o tym, by zamknąć im drogę do uchylenia się od traktatu. Dwaj jego towarzysze zamiast przyglądać się kładzeniu podpisów, co było ich obowiązkiem, gawędzili z Francuzami; jedynie ten nadęty bęcwał William zdawał się interesować jego funkcją.

Tamci nie tylko nie patrzyli, jak podpisuje, ale przeszkadzali mu swoją próżniaczą szeptaniną.

Wbrew woli słyszał, o czym mówili.

- Doktorze Franklin, ma pan za sobą długą drogę - powiedział pan Gerard - była to niełatwa sprawa i dla pana, i dla pańskich Amerykanów; cieszę się, że osiągnął pan swój cel i że dokument ten został podpisany i przypieczętowany.

Odpowiedź Franklina brzmiała:

- To nie ja doprowadziłem do podpisania dokumentu, spowodowało je zwycięstwo pod Saratogą.

Podpisując: „Conseiller des droits”, Artur Lee, pełen pogardy dla takiego ogromu fałszywej skromności, gniewnie zagryzł wargi.

Tymczasem pan Gerard oświadczył:

- Nie, nie, doktorze Franklin, bez pańskiej mądrej powściągliwości i wyjątkowo zręcznej taktyki, z jaką przeprowadził pan rozmowę z królową, nie udałoby się nam skłonić naszego monarchy do zgody.

Artur Lee postawił kreskę na literze „t” ostrzej i mocniej niż zazwyczaj. Ci Francuzi zawsze utożsamiają Amerykę z Franklinem. Jak gdyby ten stary rozpustnik naprawdę reprezentował młodą, pełną cnót republikę. Jeżeli ktoś miałby być reprezentantem całego kraju, to tylko Ryszard Lee, jego brat, Ryszard Henryk Lee, który złożył wniosek o przyjęcie deklaracji w sprawie niepodległości. Tak czy inaczej i ta chwila, w której Artur Lee podpisywał pomyślny traktat, była zatruta przez zarozumiałstwo doktora honoris causa i fałszywą ocenę Francuzów.

Ceremonia była skończona, wszyscy patrzyli teraz, jak pan Pecheur z wielką pieczołowitością i sumiennością zaopatruje dokumenty w ogromną pieczęć królewską.

Gerard wręczył Franklinowi obie kopie przeznaczone dla Kongresu. Franklin oddał je machinalnie Williamowi Temple.

Artur Lee wolałby sam wziąć na przechowanie papiery tak wielkiej wagi, ale musiał je pozostawić temu lekkomyślnemu fircykowi.

- Pismo - przypominał zachrypniętym głosem, a ponieważ pozostali spojrzeli nań ze zdumieniem, dodał: - Pismo dotyczące artykułów XII i XIII. - Istotnie, bez tego upomnienia byłiby o tym ważnym dokumencie zapomnieli. Pożegnali się wreszcie z panem Gerard. Na korytarzach Hotel Lautrec zebrało się dużo ludzi. Nie troszcząc się o to, jakie to zrobi wrażenie, Silas Deane ujął zaraz po odejściu pana Gerard dłoń Franklina i długo nią potrzywał.

- Wielki dzień, historyczny - powiedział. - Dziękuję panu, doktorze Franklin, cała Ameryka jest panu nieskończenie wdzięczna.

Był wyraźnie wzruszony, miał łzy w oczach, Artur Lee, pełen wstrętu dla taniego sentymentalizmu tego człowieka, nie miał już siły pozostawać dłużej w tym towarzystwie. Odrzucił zaproszenie Franklina, by zajął miejsce w jego powozie; wolał pójść pieszo.

Franklin naprzód odwiózł do domu Silasa Deane. Potem nie pojechał do Passy, lecz do doktora Dubourg. Wziął od Williama podpisane umowy i polecił mu, by czekał na niego.

Stan doktora Dubourg uległ od wczoraj wstrząsającej zmianie. Wysięk i podniecenie wyczerpały go ostatecznie. Ledwie mówił, odwrócenie głowy i spojrzenie na przyjaciela zmęczonymi oczyma wymagało wielkiego wysiłku.

Franklin podszedł powoli do łóżka.

- Osiągnęliśmy nasz cel, mój stary - powiedział i podał mu dokumenty.

Dubourg wyciągnął woskową, owłosioną rękę, ale nie mógł utrzymać papierów, opadły na kołdrę. Franklin podsunął mu pod oczy umowę o sojuszu. Dubourg sięgnął po dokument, ale

nie mógł go odczytać, dotykał tylko wielkiej królewskiej pieczęci.

Franklin musiał prowadzić monolog. Wychwalał przyjaciela; błogosławiony sojusz jest w wielkiej mierze jego dziełem. Mówił półgłosem, bardzo wyraźnie, tuż nad uchem Dubourga; po francusku, by doktor lepiej go rozumiał. Ale w pewnej chwili Dubourg, choć z trudem, tonem rozkazującym wyjąkał:

- Proszę mówić po angielsku.

Widząc, że wizyta pozbawia Dubourga resztek sił, Franklin zabrał dokument, by odejść i pozwolić przyjacielowi zasnąć. Ale Dubourg powstrzymał go niecierpliwym ruchem. Raz jeszcze obmacał papiery i powiedział z budzącą lęk przenikliwością:

- Quod felix faustumque sit, oby to przyniosło szczęście i błogosławieństwo.

Nie pozwalał Franklinowi odejść. Było widoczne, że ma jeszcze coś do powiedzenia.

- Eulogium Linnaei/1 - wyjąkał. Franklin zrozumiał. Dubourg, którego ulubionym zajęciem była od dawna botanika, mówił o tym, że pracuje nad publikacją o zmarłym niedawno Linneuszu, największym botaniku epoki.

- Czy mam wziąć tę publikację, przetłumaczyć ją? - zapytał Franklin. Dubourg poruszył się, jakby chciał skinąć głową. - Uczynię to chętnie - powiedział Franklin. Przyjaciel przetłumaczył biegle wiele jego prac, był rad, że może mu się teraz odwdzięczyć. - Da mi pan tę pracę, kiedy poczuje się pan lepiej, omówimy wtedy słowo po słowie i przetłumaczymy ją. - Był pewien, że do tego nie dojdzie, ale postanowił sobie, że bez względu na okoliczności opublikuje pracę w języku angielskim.

Ale doktor Dubourg wiedział w głębi duszy, że widzi Franklina po raz ostatni, i chciał otrzymać jakieś wiążące zapewnienie. Znowu gestem zatrzymał Franklina zmuszając

go, by razem z lokajem i pielęgniarzem poszukał manuskryptu. Uspokoił się dopiero wtedy, kiedy Eulogium znalazło się w rękach Franklina.

Franklin przerzucił kilka kartek.

- Pismo bardzo wyraźne - powiedział - wydrukuję to Eulogium sam, po angielsku i po francusku.

Na poźółkłej, zapadniętej twarzy Dubourga pojawiły się błyski radości; Franklin uświadomił sobie, że nie zobaczy już więcej tych rysów.

Z obiema umowami i hymnem pochwalnym na chwałę Linneusza w kieszeni granatowej marynarki wrócił Franklin do swego Passy.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Eulogium Linnaei - Apologia Linneusza. Eulogium - znaczy dosł. błogosławieństwo. Karol Linneusz (1741-1783) - znakomity przyrodnik szwedzki, znany przede wszystkim dzięki pracom z dziedziny botaniki.

Spis treści

Od autora 5

CZĘŚĆ PIERWSZA:

BRONŃ DLA AMERYKI

«

Rozdział pierwszy: Beaumarchais 17 Rozdział drugi: Franklin 99
Rozdział trzeci: Ludwik i Toinette 162 Rozdział czwarty: Józef 205

CZĘŚĆ DRUGA:

SOJUSZ

Rozdział pierwszy: Długie oczekiwanie 251 Rozdział drugi: Spotkanie 330

Rozdział trzeci: Wygrana bitwa 394 Rozdział czwarty:
Podpisane i przypieczętowane 492

Część trzecia

Cena

Rozdział pierwszy

Voltaire

Tego samego dnia, kiedy traktat został podpisany, pewien bardzo stary, niski, potwornie brzydki pan wyruszył w daleką podróż z miejscowości Ferney położonej na granicy szwajcarskiej. Dokoła obszernej staromodnej karocy stojącej przed okazałym jak zamek domem zgromadziła się służba. Z trudem, podpierany z obu stron, wsiadł starzec do karety. Ludzie byli głęboko poruszeni. Stary, wychyliwszy się przez okienko karocy, upominał ich, by się tak nie przejmowali. Przecież nie jest to jego ostatnia podróż w życiu, jego nieobecność nie potrwa długo, w żadnym wypadku nie dłużej niż sześć tygodni; zostawił na stole całą swoją pisaninę, bo bardzo prędko znowu nad nią zasiądzie. Po tych słowach powóz ruszył. Ale zatrzymano go już na rynku. Zbiegła się prawie cała ludność, by pożegnać odjeżdżającego.

Miejscowość Ferney była, kiedy starzec osiadł tam i odbudował zamek, małą, ubogą dziurą. Potem na wezwanie starca zaczęło do niej ściągać z pobliskiej Genewy coraz więcej ludzi, którym obrzydły purytańska surowość i prześladowania ze strony kalwińskich pastorów. Stary dał im dach nad głową i pracę, stworzył szeroko rozbudowany przemysł; fabrykowano zegarki, koronki, tekstylia, Ferney stało się wielką, kwitnącą osadą, jedną z najzamożniejszych we Francji.

Starzec - nazywał się Francois Arouet, świat znał go jako Woltera - jechał do Paryża. Theatre Francais przygotowywał

się do wystawienia jego ostatniej sztuki, tragedii pod tytułem Irena; chciał osobiście kierować próbami.

Dawno, od lat dwudziestu siedmiu, nie widział rodzinnego miasta. Wstęp do Paryża nie był mu wyraźnie wzbroniony, ale poprzedni król, Ludwik XV, oświadczył, że nie życzy sobie widzieć go w stolicy. Teraz panuje od lat nowy król, Ludwik XVI, a Toinette i jej Klanik Liliowego Bzu podziwiają starca. Mimo to wahał się długo, czy się udać w drogę. Wierny przyjaciel i sekretarz, Wagniere, który mu teraz towarzyszył, szczerze to odradzał. Starzec, liczący lat osiemdziesiąt trzy, żył i pracował doskonale w swoim Ferney, czegoż więc miał szukać w Paryżu? Wszystko, czego od stolicy oczekiwał, i tak docierało do Ferney. Ci, których chciał widzieć, zjawiali się u niego. Ze swego Ferney miał lepszy pogląd na intrygi francuskie i światowe niż ministrowie króla w ich Wersalu. Dlaczegoż więc chciał starzec zamienić uregulowane życie w swej posiadłości wiejskiej na wyczerpujący, niespokojny pobyt w Paryżu?

Volter przyznawał przyjacielowi rację. Lekarze mieli również zastrzeżenia. Ale pani Denis, jego siostrzenica i powiernica, wmówiła Wolterowi, że jednak tęskni on za Paryżem, że od dawna chciałby jedną ze swych sztuk wystawić na wielkiej scenie, więc nie powinien wypuścić z rąk tej wspaniałej okazji. Inny z domowników, mąż zaadoptowanej przez Woltera córki, markiz de Villette, kładł mu w uszy podobne argumenty. Wolter słuchał tego chętnie. Nie był jednak również głuchy na motywy, które przytaczał Wagniere. Wahał się. W ciszy nocnej postanawiał nie robić głupstw i nie opuszczać pięknego Ferney, ale rano mówił sobie, że nie może tej tragedii Irena, tak bliskiej jego sercu, pozostawić aktorom, którym przecież chodzi o siebie, a nie o jego sztukę.

Stary oświadczył swemu wiernemu Wagniere, że wyjeżdża do Paryża przede wszystkim po to, by doprowadzić do

pogodzenia się z Wersalem, co pozwoli na rozpowszechnianie jego dzieł. Mówił również przekonująco o palącej tęsknocie za Paryżem. Spędził w samotności przeszło ćwierć wieku. To prawda, że była to samotność ożywiona, ale jednak samotność; przed śmiercią chciał raz jeszcze nacieszyć się barwnością i gwarem swego rodzinnego miasta. Znał Paryż, miał pamięć i fantazję, wiedział, że Paryż jego wyobraźni był piękniejszy, barwniejszy, żywszy od prawdziwego, a mimo to coś pchało go do tego, by ten prawdziwy Paryż widzieć, słyszeć, wąchać, czuć go dookoła siebie.

Wagniere znał jednak swego pana, jego wielkość i jego słabości, wiedział, że przyczyną tej nierozsądnej podróży była nie tęsknota Woltera, lecz jego próżność.

Stary pogardzał próżnością. Był przesycony sławą. Ferney było duchowym centrum świata, z wiejskiej swojej siedziby Wolter rządził republiką ducha bardziej nieograniczenie niż jakikolwiek absolutny monarcha swymi poddanymi. Każdy, kto w Europie miał pretensje do intelektualnej rangi, szukał go, pisał do niego, prosił o radę i zdanie. Uczyniła to nawet para wielkich monarchów: Fryderyk pruski i Katarzyna, cesarzowa rosyjska; oboje traktowali Woltera jak równorzędne mocarstwo. Stary pokpiwał sobie z tej swojej sławy, z tego bicia w dzwony. Wiedział i świat mu to ciągle mówił, że zbudował sobie pomnik trwalszy od spiżu, że ocena jego dokonań od dawna już nie zależy od zgody czy też od odrzucenia ich przez współczesnych, że podlega sądowi przyszłych pokoleń, historii. Mimo to coś pchało sędziwego starca do inkasowania sławy dnia dzisiejszego. Chciał czuć ją koło siebie namacalnie, chłonać ją, chciał, by go otaczał gwar sukcesu. Gorąco pożył hołdów tego miasta, które go wyгнаło. Chciał, by raz jeszcze miasto, w którym się urodził, głośno, hałaśliwie zaaprobowało jego działalność.

Oto dlaczego ten wielki starzec opuścił teraz swój dom wbrew radom najwierniejszego przyjaciela, lekarza, wbrew własnemu rozumowi, i poprzez zaśnieżoną Francję jechał do hałaśliwego, wyczerpującego Paryża.

Miał wiele tytułów, piastował wiele godności, nazywał się hrabią de Tournay, seigneur de Ferney, był szambelanem królewskim, a przede wszystkim nosił nazwisko Wolter. Ale w czasie tej podróży nie posługiwał się żadnym z owych nazwisk, chciał w drodze i podczas pierwszych dni pobytu w Paryżu zachować incognito.

Nie liczył się z tym, że twarz jego była znana jak głowa króla na monetach. Gdziekolwiek się zjawił, składano mu hołdy. Tak zwykle wyniośli poczmistrze starali się, by nie czekał na postojach i miał dobre konie. Jeżeli się gdzieś zatrzymał, wieść o tym roznosiła się jak wichur, ludzie zbiegali się, by na niego popatrzeć. Nigdzie nie mógł zasiąść do posiłku, by od razu gospoda nie zapełniła się ciekawymi. W Dijon, w hotelu „Croix d'Or”, gdzie spędził popołudnie i noc, uderzyło go, że jest niezdarnie obsługiwany; okazało się, że młodzi, majątni synowie mieszczan, chcąc bodaj otrzeć się o niego, pełnili funkcje kelnerów.

W Moret, niedaleko Paryża, dopędził go markiz de Villette. Młodzieniec ten, który przez lata uchodził za jednego z najbardziej rozpustnych hulaków Paryża, przybył swego czasu do Ferney, by, jak tego wymagała moda, złożyć hołd największemu pisarzowi epoki. Przedtem nieraz wspominał przyjacielom, że Wolter pozostawał z jego matką w bardzo zażyłych stosunkach; jeżeli czuje tak silny pociąg do starca, dzieje się to może z bardzo naturalnych przyczyn. Wolter przyjął go przychylnie, młody markiz pozostał w Ferney. Miał zresztą powód, by się przez czas jakiś nie pokazywać w Paryżu: pewna tancerka spoliczkowała go tam publicznie.

Wśród ówczesnych mieszkańców zamku w Ferney znajdowała się pewna panna, Reine de Varicourt, ładne, niezwykle łagodne, naturalne stworzenie. Wolter uchronił ją przed wstąpieniem do klasztoru, nazywał ją: „piękna i dobra”, i traktował jak córkę. Wolter sądził, że mu się ostatecznie udało nawrócić młodego hulakę na drogę ducha, markiz podobał się wyraźnie młodej dziewczynie. Wolter, który lubił występować w roli swata, złączył ich na ślubnym kobiercu. W ten sposób człowiek, który był może ojcem markiza, stał się oficjalnie kimś w rodzaju jego teścia.

Młody człowiek dopiął swego: skłonił Woltera, by pojechał do Paryża; pobyt w Ferney na stałe był dla markiza zbyt monotony. Pojechał do Paryża wcześniej ze swoją żoną i siostrzenicą Woltera, panią Denis, wspaniale przygotował dom na przyjęcie starca, teraz zjawił się tutaj chcąc zademonstrować przyjacielom, jakie stosunki łączą go z najślawniejszym człowiekiem epoki.

Na granicy miasta zapytano Woltera, czy nie wiezie ze sobą czegoś, co jest zabronione. Uśmiechnął się i odpowiedział: „Najwyżej siebie samego”.

Urzędnik, spojrzawszy nań, zawołał: „Na Boga, przecież to pan Wolter!” Od razu zbiegli się ludzie. Markiz de Villette poczuł się ważny i to go cieszyło.

Dom markiza był położony w wytwornej dzielnicy, na rogu bulwaru des Theatins i ulicy de Beaune. Ponad miarę otyła pani Denis powitała Woltera kwiecistą oracją. „Piękna i dobra” zaprowadziła go do jego pokojów. Wydały mu się ponure i nie tak przytulne jak jego apartamenty w Ferney - dom był staromodny.

Wolter przebrał się przy pomocy kamerdynera, włożył swój wysłużony szlafrok, wsunął nogi w pantofle, okrył głowę ulubioną szlafmycą. Przynurzył „pięknej i dobrej”, że

odpocznie nieco. Nie udawało się to jednak. Zrodziły się nowe pomysły dotyczące Ireny. Zaczął dyktować Wagniere'owi.

Dyktowanie nie trwało długo. Choć postanowiono w ciągu pierwszych dwóch dni pozostawić Woltera w spokoju, Villette opowiedział poufnie licznym przyjaciółom, kto owego piątku, dnia 10 lutego, przybędzie do jego domu. Od razu więc zjawili się odwiedzający. Jednym z pierwszych był hrabia Richelieu, stary światowiec, który sześćdziesiąt osiem lat temu wprowadzał Woltera w świat paryskich rozkoszy. Dawno się nie widzieli. Uznali, że się nie zmienili, że przed trzydziestu laty wyglądali tak samo jak teraz.

Przybywało coraz więcej gości, istny potok starych znajomych. Odpowiadało to życzeniom Woltera, chciał mieć dokoła siebie jak najwięcej ludzi. Przyjmował ich w szlafroku, szlafmicy i pantoflach. Miał wspaniałą pamięć, przypominał sobie każdego z odwiedzających, nawet jeżeli go nie widział przez dziesiątki lat, znajdował dla każdego piękne, rozumne, jemu tylko właściwe słówko. Wśród odwiedzających był również pan de Beaumarchais.

Wiadomość o przybyciu Woltera pocieszyła go. Na ogół pozbawiony uczucia respektu, żywił dla tego starca cześć i podziw. Żył przez lat osiemdziesiąt trzy tak, jak by pragnął Beaumarchais przeżyć całe życie. Dni jego były wypełnione namiętnością, wielką literaturą, małymi intrygami, sławą, powodzeniem, teatrem, pieniędzmi, uwieńczonymi zwycięstwem walkami o wolność i rozsądek. Teraz żył jak pan zamku, otoczony poddanymi, pewna cesarzowa i pewien król traktowali go jak równego sobie; imię jego rozbrzmiewało poprzez kontynenty i morza. Sukcesy jego w walce przeciw bezprawiu i uprzywilejowanej głupocie stały się historyczne. Starzec ten miał prawo powiedzieć: jeżeli świat, który gotował się opuścić, jest teraz nieco mądrzejszy i

sprawiedliwszy niż wtedy, kiedy na nim stanął, to w wielkim stopniu jego zasługa.

Carona podnosiło na duchu, że człowiek ten od lat szanował go i považał jak równego sobie. Wolter kazał grać w swym teatrze prywatnym w Ferney Cyrulika, pisał do Beaumarchais'go niezwykle pochlebnie o jego pamiętnikach.

I teraz stary uczcił go wobec wszystkich. Poprzez tłum gości, którzy się z szacunkiem usuwali na bok, podszedł do niego i powitawszy go słowami: „Najdroższy mój przyjacielu i kolego” - objął go. Pierre odprowadził go ostrożnie i z uszanowaniem na miejsce.

- Czy wie pan, mój drogi, że bez pana nie napisałbym chyba mojej Ireny. To powodzenie pańskiego Cyrulika dodało mi bodźca do wypróbowania raz jeszcze mojej starej ręki. Prawda, że znakomity utwór pana sprawił mi niemało kłopotu. Znajdzie pan w mojej sztuce księdza, którego nazwałem Leonce. Człowiek ten nazywał się pierwotnie Basilio. Ale odkąd na deskach ukazał się pański Basilio, imię to wywołuje skojarzenia, które nie harmonizują z ponurą postacią mego starego księdza. Imię Basilio. mój przyjacielu, należy do pana na najbliższe stulecia.

Pierre, zwykle tak wymowny, nie umiał znaleźć odpowiedzi. Widok Woltera poruszył go. Siedzi oto przed nim ten nieprawdopodobnie chudy starzec, otulony o wiele za szerokim szlafrokiem, szlafmyca wygląda groteskowo przy jego brzydkiej twarzy, ale w twarzy tej lśnią dobrotliwe, niesłychanie żywe oczy, i ta kupka kości i skóry, przypominającej pergamin, jest siedzibą najmocniejszego ducha, jaki dziś na tej planecie tworzy, pisze wiersze i myśli.

Stawiła się delegacja Akademii, by powitać Woltera. Przybyli również członkowie zespołu Theatre Francais. Nawet aktorzy, choć tak odporni, wzruszyli się widząc przed sobą swego poetę, który stał się dla nich niemal legendą. Człowiek ten

rozpoczął sztukę, którą mieli teraz grać, mając lat osiemdziesiąt dwa. Kiedy praca nad nią znużyła go, zaczął nową pod tytułem Agatokles. Potem wrócił do tragedii Irena, skończył ją i nasycił tą samą potężną nienawiścią do przesądów co swoje poprzednie sztuki. Aktorzy, wgłębiając się w tę tragedię, mogli się przekonać, że siła starca nie osłabła. Pomarszczony, bezzębny, był dziś tak samo, jak przed dziesiątkami lat, ogniskiem energii, jednym potężnym, gniewnym płomieniem przeciwko złu.

Dyskutował z nimi zaciekle, słuchał ich opinii o tragedii, zgadzał się z częścią ich dezyderatów, część odrzucał. Postanowiono, że próby będą się odbywały u niego, nie miał bowiem dosyć sił, by chodzić do teatru. Nazajutrz chciał im przede wszystkim przeczytać całą sztukę. Już teraz recytował poszczególne fragmenty; choć był w szlafroku i szlafmocy, strofy wychodzące z jego bezzębnych ust robiły wielkie wrażenie.

Napływali coraz to nowi goście. Mówili, że cała ulica de Beaune i bulwar des Theatins są pełne ciekawych. Ci, którzy się tam zgromadzili, nie należą ani do znawców literatury, ani do miłośników teatru; szeregi ich składają się przeważnie z ludzi z warsztatów, sklepów, kawiarni i knajp. To po prostu lud Paryża. Ludzie ci nie mówią: chcemy widzieć człowieka, który napisał Henriadę, Kandydę, Meropę i Zairę, lecz powiadają: chcemy widzieć człowieka, który walczył w obronie niewinnej rodziny Calas, Sirvensów, pani de Bombelles i biednego Martina, w obronie niewinnie skazanego Montbailli, jego żony i nie urodzonego dziecka, człowieka, który piorunował przeciw zhańbieniu zwłok aktorki Adrianny Lecouvreur, który w dobrach swych i w swej wsi zniósł nikczemne podatki i sprawił, że ci, co żyli i pracowali w jego Ferney, stali się mądrzejsi, zamożniejsi, szczęśliwsi, niż byli przedtem.

Pierre nie mógł się oderwać od tego widowiska: Woltera przyjmującego hołdy swego dworu. Wbrew swym obyczajom zachowywał się skromnie; nie wtrącał się do narady Woltera z aktorami, choć niejedno mógłby tu dorzucić, ani do rozmów z odwiedzającymi. Stał w milczeniu na peryferii kręgu, który otaczał Woltera, patrzył i słuchał. To, co wyrażał napis w małej świątyni w jego ogrodzie, było prawdą: pióro dało temu starcowi pełnię sławy i potęgi, jakiej chyba nigdy nie użyczyła żadnemu monarsze korona. Pierre był szczęśliwy, że jest z nim złączony losem i pokrewieństwem ducha.

Następnego dnia Wolter przyjął trzysta osób, trzeciego - czterysta. Zjawili się Necker i pani Dubarry, Condorcet i Turgot, kawaler von Gluck, wielki muzyk; ów bardzo wyniosły pan odłożył swój wyjazd do Wiednia, by mieć zaszczyt i szczęście oglądać Woltera. W kilka godzin później przybył wielki przeciwnik i rywal Glucka, Piccini. Przybyli markiz de Vaudreuil, Gabriela i Diana Polignac. Zjawili się poeci i pisarze; cały Parnas od dołów aż do szczytu, jak się wyraził jeden z nich. Przyszedł rzeźbiarz Pigalle. Pan d'Angivillers dał mu zalecenie wyrzeźbienia w kosztownym porfirze największego żołnierza stulecia, marszałka Saskiego, oraz największego myśliciela i poety, pana Woltera.

Przybył również, powodowany ciekawością i podziwem, doktor Franklin. Od kilku dziesiątków lat korespondowali ze sobą w przyjaznym tonie. Wolter wielbił zawsze Franklina i jego sprawę i w swym Słowniku Filozoficznym słał go za to, że opanował piorun, zbadał jego prawa i tą drogą przyczynił się walenie do obalenia przesądów związanych z piorunami i burzami. Przede wszystkim jednak Wolter więcej niż ktokolwiek przyczynił się do rozpowszechnienia ideałów, na których zbudowana była wolna Ameryka. Nic dziwnego, że Franklin, któremu towarzyszył William Temple, przybył do swego wielkiego kolegi w nastroju niemal uroczystym.

W pokoju Woltera zebrało się około dwudziestu osób. Wolter spoczywał na szezlongu, miał lekką gorączkę, oczy w głębokich oczodołach lśniły na wychudzonej twarzy o wielkim, ostrym nosie jeszcze żywiej niż zazwyczaj. Chciał się podnieść, lecz Franklin nie pozwolił na to, podszedł do niego i miękkim ruchem zmusił go do zajęcia pozycji leżącej. Wolter dał wyraz radości, że może osobiście pogratulować Franklinowi z powodu zwycięstw odniesionych przez wojska amerykańskie. Mówił po angielsku. Franklin odpowiedział, że każdy, kto się w Ameryce zajmuje literaturą, widzi w Wolterze ojca republiki amerykańskiej.

- Gdybym był tak młody jak pan, czcigodny panie - powiedział Wolter - pojechałbym za morze, by przyjrzeć się pańskiemu szczęśliwemu krajowi. - I zacytował z pamięci strofy z Ody do wolności Thompsona, które czterdzieści lat temu były bardzo modne; Franklin przypominał je sobie jak przez mgłę.

Bratanica Woltera zaczęła się skarżyć w imieniu pozostałych, że konwersacja jest prowadzona po angielsku i nikt jej nie rozumie.

- Proszę mi wybaczyć - odparł Wolter - że uległem pokusie posługiwania się tym samym językiem co doktor Franklin.

William Temple z pochwały godną skromnością stanął na boku wraz z innymi gośćmi. Franklin zawołał go i przedstawił Wolterowi. William skłonił się głęboko. Wolter patrzył nań długo swym mocnym, przenikliwym wzrokiem.

- Jest pan szczęśliwy, mój drogi chłopcze - zwrócił się do niego po francusku. - Będzie panu dane żyć w wielkim kraju w szczęśliwej dla niego epoce. Niechaj się pan skłoni głębiej - poprosił i położywszy mu zgrzybiałą dłoń na głowie, powiedział po angielsku: - Bóg i wolność. - Po chwili powtórzył te słowa po francusku. Wszyscy byli wzruszeni.

W godzinę później Wolter przyjął ambasadora angielskiego, lorda Stormonta.

Napływało coraz więcej ludzi, Wolter gawędził, brał udział w próbach swej sztuki, poprawiał ją namiętnie, czytał listy, dyktował obszernie odpowiedzi, snuł plany.

Wierny Wagniere czuł się z każdym dniem gorzej w tym gorączkowym wirze. Nie tylko dręczyła go obawa o zdrowie swego mistrza, którego stan wyraźnie się pogarszał. Bardziej jeszcze przygniatała go inna troska. Wagniere był niezwykle surowym, nieubłaganym zwolennikiem i szermierzem rozsądku. A Wolter miał mało zrozumienia dla godności ludzkiej. Wyznawał między innymi zasadę, że nie chodzi o to, by robić z siebie męczennika; należy rozpowszechniać prawdę również i przy pomocy niezbyt szlachetnych środków. Nie wahał się bezwstydnie wypierać swych dzieł, nawet atakować je bez skrpułów, ilekroć przyznanie się, że jest ich autorem, mogłoby mu przynieść szkodę. Wagniere obawiał się, że tu, w Paryżu, pan jego może się posunąć nie tylko do odżegnienia się od pojedynczych dzieł i prawd zasadniczych, ale nawet od całokształtu ich podstawowych założeń.

Bo choć Wolter był z pozoru lekkomyślny i wolny od przesądów, dręczyła go myśl o tym, że zwłoki jego, jako zwłoki kacerza, zostaną, tak jak to było kiedyś ze zwłokami aktorki Adrianny Lecouvreur, rzucone na śmietnik. W Ferney istniałyby sposoby zapobieżenia temu. Gdyby jednak miał ze swą opinią ateusza zgasnąć tu w Paryżu, Kościół odmówiłby przyzwoitego pogrzebu; Wagniere nie wątpił, że Wolter byłby gotów do wielkich ofiar, nawet do wyrzeczenia się wszystkich swoich zasad, gdyby tylko mógł przez to ochronić swoje zwłoki przed zniesławieniem.

Obawy jego wzmagaly się w miarę tego, jak coraz więcej postaci w czarnych sutannach, powodowanych ambicją nawrócenia wielkiego kacerza, poczęło go oblegać. Przybył

kiedyś postawny i dostojny kanonik katedry Saint-Sulpice, monsieur de Tersac. Cicho, ale wytrwale przekonywał Woltera jego bratanek, ksiądz Mignot. Przyszedł, powołując się na różne polecenia, niejaki ksiądz Gaultier. Wolter rozmawiał z nim długo i z coraz większym zadowoleniem. „To dobry człowiek - powiedział później do pana Wagniere - miły i prostoduszny. W razie potrzeby ułatwi mi i spowiedź, i odwołanie tego, co głosiłem. Musimy go sobie zapamiętać”.

„Ecrasez l'infame- zabijajcie nikczemność” było w ostatnich dziesiątkach lat hasłem Woltera. Przez „infame, nikczemność” rozumiał fanatyzm przesądu, brak tolerancji, Kościół. W walce przeciw przesądowi, którą pan jego prowadził z taką siłą, tak namiętnie i ofiarnie, Wagniere widział jego największą zasługę. Toteż cierpiał z powodu przemówień, które teraz stary apostoł rozumu wygłaszał, bo choć pobrzmiwał w nich ton żartobliwy, obawiał się, że Wolter bierze je serio i nie jest daleki od tego, by w swych ostatnich chwilach odżegnać się od przewodniej zasady swego żywota.

Zaklinał Woltera, by napisał deklarację, w której przemyślnymi zwrotami uspi czujność Kościoła, nie zdradzając równocześnie zasad filozofii. Jeżeli tego na czas nie uczyni, to w ostatniej godzinie, kiedy może nie będzie w pełni władał wspaniałym umysłem, Kościół nadużyje jego słabości i skłoni go do wyznań przekraczających granice tego, co Wolter chciałby powiedzieć. Wolter uśmiechnął się.

- Dostanie pan zaraz tę deklarację, mój drogi - odrzekł. Po czym usiadł i napisał, jak to zwykł był czynić zawsze, jasno, wyraźnie: „Umieram w czci dla Boga, w miłości dla przyjaciół, bez nienawiści do moich wrogów, ze wstrętem do przesądów”. Wagniere skwapliwie schował to pismo.

W kilka dni potem, w dwa tygodnie po przyjeździe do Paryża, Wolter podczas dyktowania dostał silnego krwotoku.

- Nadeszła pora dla naszego poczciwego księdza Gaultier - jęknął. Dyszał, szczyrzył zęby w szyderym uśmiechu, krew bluzgała ustami i nosem.

Wkrótce stawił się ksiądz Gaultier. Wagniere musiał mu pokazać wyznanie, Wolter zapytał, czy to wystarczy, by sobie zapewnić uczciwy pogrzeb. Patrzył z lękiem na twarz księdza, nie mając pewności, czy jest dostatecznie głupi.

- Niestety nie — odpowiedział ksiądz. - Musimy naszą drobną sprawę załatwić nieco gruntowniej.

Na żądanie księdza Gaultier Wolter wypowiadał się. Potem w obecności siostrzeńca, księdza Mignot, drugiego duchownego świeckiego i sekretarza Wagniere sporządził pismo stwierdzające, że się wypowiadał przed księdzem Gaultier i umiera jako katolik, którym się urodził.

Abbe Gaultier odczytał pismo.

- Mam wrażenie, że to wystarczy - powiedział Wolter chytrze i z niepokojem.

Abbe Gaultier potrząsnął jednak głową i oświadczył:

- Niestety nie, mój wielce szanowny panie.

- Cóż mam jeszcze napisać? - zapytał Wolter.

- Proszę napisać - rozkazał łagodnie, lecz stanowczo abbe, proszę napisać: „Jeżeli zrobiłem krzywdę Kościołowi, proszę Boga i Kościół o przebaczenie”.

Wagniere zazgrzytał zębami.

- Czy muszę to napisać? - zapytał Wolter.

- Niech pan pisze spokojnie, drogi mistrzu - namawiał go ksiądz uprzejmie. - Taki dokumencik nikomu nie zaszkodzi.

Wolter napisał. Wagniere patrzył na wychudłą rękę, której pisanie sprawiało widoczną trudność.

- A teraz, moi panowie - zwrócił się ksiądz do pozostałych - proszę poświadczyć swymi podpisami, że nasz pan Wolter sporządził tę deklarację własnoręcznie, dobrowolnie, przy całkowicie zdrowych zmysłach.

Obaj świeccy duchowni położyli swe podpisy, Wagniere odmówił z ponurą miną.

Kiedy Wolter pozostał ze swym wiernym sekretarzem sam na sam, próbował się usprawiedliwić.

- Musi pan przecież zrozumieć - tłumaczył mu - że myśl o znalezieniu się po śmierci na śmietniku nie należy do przyjemności. Oczywiście wiem, że to przesąd, ale taki już jestem i klechy trzymają mnie poniekąd w łapach. Ale ja będę się śmiał ostatni albo raczej moje zwłoki. Robię bowiem z Kościołem dobry interes. Napisałem pięćdziesiąt tysięcy stron, za każdą z nich mogłoby mnie duchowieństwo wyrzucić na śmietnik - i oto zmuszam je trzema linijkami do wyprawienia mi przyzwoitego pogrzebu.

Widząc, że rachunek ten nie robi na panu Wagniere wrażenia, ciągnął dalej: - Jak pan będzie w moim wieku, mój drogi, zrozumie pan, że Henryk Wielki miał rację i że Paryż wart jest mszy.

I to nie przekonało i nie rozpogodziło pana Wagniere.

Tymczasem abbe Gaultier pospieszył z cennym dokumentem do swego zwierzchnika, kanonika Saint-Sulpice. Ten, rozgoryczony, że nawrócenie kacerza udało się księżulkowi, a nie jemu, chociaż był kanonikiem, uznał, że deklaracja jest zbyt mdła i wodnista, by można ją uważać za odżegnanie się od tak jawnego kacerstwa, które tyle krwi napsuło. Pismo to nie wystarczy, by zapewnić Wolterowi przyjęcie na łono Kościoła. Ksiądz wściekły, ale nieustępliwy pobiegł do mieszkania chorego, by wydusić od niego mocniejszą deklarację.

Ale Wolter czuł się teraz lepiej i nie przyjął go. Niemordowany ksiądz nazajutrz ponowił wizytę, jednak Wolter czuł się jeszcze lepiej i ksiądz znowu musiał odejść z niczym. Trzeciego dnia chory czuł się tak dobrze, że kazał oświadczyć błagającemu o przyjęcie go duchownemu, iż w

ciągu najbliższych miesięcy będzie zajęty i nie ma dla niego czasu.

Wolter wracał do zdrowia zdumiewająco szybko. Po niedługim czasie zaczął przyjmować coraz więcej ludzi, pisał, dyktował, uczestniczył w próbach, pracował jak koń.

Po upływie jakiegoś czasu podniósł się ze swego łoża boleści i wyszedł, by osobiście oddać kilka wizyt.

Ubrany staromodnie i z przepychem, opatulony w chustki i futra, pozwalał obnosić się po Paryżu w lektyce. Dzień był słoneczny, bardzo zimny. Mimo to Wolter kazał odsunąć firanki lektyki, chcąc widzieć ulice, ludzi, Paryż. Wszędzie go poznawano, przechodnie zatrzymywali się, zdejmowali kapelusze i czapki, witali go radosnymi okrzykami. Kiedy znikł w jakimś domu, zbierały się tłumy ciekawych i czekały na jego pojawienie się. Wieść, że można zobaczyć Woltera, rozeszła się po Paryżu lotem błyskawicy, ludzie wylegli na ulice, jak to zwykli byli czynić z okazji dworskich ceremonii.

Kiedy wracał, oba mosty na Sekwanie oraz bulwar des Theatins i ulica de Beaune były tak zatłoczone, że przedostanie się było prawie niemożliwe. Policjanci prośbą i groźbą musieli lektyce torować drogę. Woltera niesiono do domu wśród szpaleru składanych mu hołdów; zimno i radość zaróżowiły jego blade policzki.

Toinette, która od spotkania z Franklinem wierzyła, że jest powołana do patronowania wszystkiemu, co postępowe, miała wielką ochotę zainscenizować sensacyjne spotkanie z Wolterem. Cały Klanik Liliowego Bzu podzielał modny entuzjazm dla wielkiego pisarza, który starał się od lat o przyjazne stosunki z królową. Napisał dla niej małe widowisko okolicznościowe, w dziełach swych uczynił pod jej adresem wręcz pochlebne aluzje.

Toinette nie była nieczuła na te atencje, nie miała jednak wątpliwości, że gdyby Wolter został oficjalnie przyjęty w Wersalu, cała Europa uznałaby to za demonstrację polityczną. Mądra Diana Polignac znalazła wyjście. Czy nie można by, zapytała, oddać do dyspozycji Woltera w Theatre Francais lożę pełniących służbę szambelanów dworu? Mieściła się ona obok loży Toinette, a więc bez trudu dałoby się zaaranżować beztroską, nieobowiązującą rozmowę. Ludwik, zawiadomiony o tym projekcie przez Toinette, wpadł w furję.

- Zabraniam pani, madame - wrzeszczał - słyszy pani, zabraniam jakiegokolwiek kontaktu z tym arcykacerzem. Rozmowa z nim byłaby hańbą.

- Pan de Voltaire - odpowiedziała Toinette - jest największym pisarzem pańskiego kraju, sire, i prawdopodobnie największym pisarzem świata.

- I on zapewne ma w sobie jakąś muzykę - szydził Ludwik. - Ale zabraniam pani słuchać tej muzyki. Uspokoiwszy się nieco, uzasadnił swój gniew.

- Brat nasz Józef jest - niezawodnie wolnomyślicielem. Ale nawet on unikał kontaktu z tym błyskotliwym przybłądą. - I z mściwą satysfakcją opowiedział, co Toinette było od dawna wiadome: - Stary myślał, że cesarz przejeżdżając przez Ferney odwiedzi go. Udekorował świątecznie swą wieś i zamek, kazał wznieść bramy triumfalne. Ale sparzył się. Nasz Józef poszedł za radą swej dostojnej pani matki i z dumną miną przejechał przed nosem kacerza i jego bzdurnego kramu. A teraz chce pani w teatrze, na oczach całego świata, rozmawiać z tym bezbożnikiem? Nigdy! Zabraniam! Nigdy!

Tego samego dnia zapytał go Maurepas:

- Czy wiadomo waszej królewskiej mości, sire, że pan Voltaire przebywa w stolicy waszej królewskiej mości?

- Myślałem - powiedział chłodno Ludwik - że temu panu zabroniony jest pobyt w mieście.

- Nie było właściwego zakazu - wyjaśnił Maurepas. - Było to życzenie świętej pamięci króla, które wygasło chyba wraz z jego śmiercią.

- Życzenie to żyje we mnie nadal - odparł sucho Ludwik.

- Ale i wasza królewska mość - oświadczył Maurepas - nie uzna chyba za wskazane usuwać tego starca siłą z jego rodzinnego miasta.

- Byłoby to niestety niewykonalne - przyznał Ludwik melancholijnie.

- Zadaję sobie nawet pytanie - ciągnął dalej Maurepas - czy nie należałoby złożyć człowiekowi, który jest bądź co bądź najbardziej poważanym pisarzem w Europie i osiągnął sędziwy wiek, jakiegoś małego hołdu również i w jego rodzinnym mieście.

- Nie - odpowiedział szorstko Ludwik. - Powołaniem moim jest ochrona wiary i moralności. Właściwie powinienem przepędzić haniebnie z mojej stolicy tego starego bluźniercę. Wydaje mi się, że jeżeli nie zauważę jego obecności, będzie to wystarczająca łaska i hołd dla literatury.

Gniew Ludwika był większy, niż to zdradzały jego słowa. Po odejściu hrabiego przypatrywał się z ponurą miną książkom i broszurom Woltera, które stały w jego „zatrutej szafie”. Było ich wiele. Drukowane w Amsterdamie, Lejdzie, Hamburgu i Londynie, wdzierały się do Francji, granice równie słabo chroniły przed nimi jak przed powiewem wiatru. Fakt, że autor tych pism przybył do Paryża bezpośrednio po zawarciu traktatu z buntownikiem, był ze strony Boga ostrzeżeniem i skarceniem. Ludwik miał więc teraz na karku obu złych staruchów - Franklina i Woltera. Tkwili w jego mieście czelnie i bezwstydnie na podobieństwo Baala i Belzebuba, a jego własna żona okazywała im hołd tak samo jak jego ministrowie. Obecność Woltera utrudniała jeszcze postawę Ludwika w kwestii amerykańskiej. Franklin radził francuskim

dostojnikom: „Postępujcie ze swymi wrogami tak, jak oni postępowali z nami w roku 1725. Atakujcie ich okręty bez długich dyplomatycznych ceregieli. Poślijcie na morze flotę, odetnijcie eskadrę admirała Howe, która odważyła się zapuścić aż do ujścia Delaware. Wtedy zawsze jeszcze będzie dosyć czasu na wypowiedzenie wojny”. Również wielu ministrów i generałów francuskich uważało, że wobec podpisania traktatu należy uprzedzić przeciwnika i uderzyć. Niecierpliwy Vaudreuil wraz ze wszystkimi członkami Klaniku Liliowego Bzu nalegał, by przystąpić do działania. Kiedy jednak Vergennes wspomniał królowi o projekcie Franklina, Ludwik oparł mu się z oburzeniem:

- Niechaj mnie Bóg broni przed taką perfidią. - Ciągle jeszcze miał nadzieję, że da się uniknąć wojny. Trzymał się uporczywie fikcji, że pakt nie istnieje, dopóki nie ma wiadomości o ratyfikowaniu go przez Kongres, nalegał na zachowanie przyjaznych stosunków z Anglią.

Coraz bardziej przygniatała go dwuznaczność jego postawy. Będąc człowiekiem uczciwym uważał za nieprzyzwoite, że po podpisaniu traktatów, skierowanych przeciw Anglii, od czasu do czasu rozmawia przyjaźnie z ambasadorem angielskim. Postanowił oficjalnie zawiadomić króla angielskiego o uznaniu przez Francję Stanów Zjednoczonych, polecił hrabiemu Vergennes umotywować ten krok w oficjalnej nocie. Vergennes przypomniał sobie teraz, że w końcu października Beaumarchais przedłożył mu memoriał z załączonym do niego szkicem deklaracji, którą by Beaumarchais opublikował, gdyby był królem Francji. Vergennes kazał odszukać pismo i uznał, że deklaracja pana Beaumarchais doskonale nadaje się dla jego celów. Była pełna rozmachu, a równocześnie brzmiała rzeczowo. Minister nie wahał się zaczerpnąć z niej znacznej części zdań do deklaracji, którą przedłożył królowi. Ludwik przeczytał, westchnął, podpisał. Pismo odeszło do

Londynu, hrabia Noailles, ambasador francuski przy dworze Saint-James, wręczył premierowi brytyjskiemu notę pana de Beaumarchais.

W związku z tą notą Londyn odwołał swego ambasadora. Wersal poszedł w jego ślady. - Stało się to w dniu 13 marca.

Tego samego dnia Vergennes zakomunikował doktorowi Franklinowi, że od tej chwili dwór w Wersalu uznaje wysłanników Kongresu za przedstawicieli trzynastu stanów Ameryki i prosi o zaszczyt przedstawienia panów w tym charakterze arcychrześcijańskiemu monarsze.

Zaproszenie to wywołało wśród delegatów radość, ale też i niemałe zamieszanie. Strój, w którym należało zjawić się u dworu, był skomplikowany i okazały, na wykonanie go mieli zaledwie tydzień czasu. Franklin chciał pójść w swoim brązowym surducie, był zdania, że wszyscy spodziewają się ujrzeć go w tym stroju nawet w takich okolicznościach. Zamówił sobie tylko perukę. Ale wszystkie peruki, które mu przyniesiono, okazały się za małe.

„Nie peruka jest za mała, mój panie - zawołał zrozpaczony fryzjer - lecz głowa za duża". Cały Paryż śmiał się dobrodusznie: „Ma za dużą głowę". Franklin nic sobie nie robiąc z instrukcyj ochmistrzów dworu i mistrzów ceremonii postanowił ubrać się skromnie, godnie, bez dworskiego szychu. Może było to zuchwalstwo, ale kto wie, czy właśnie taka prostota nie zrobi wrażenia.

A więc w dniu 20 marca Benjamin Franklin, mydlarz, drukarz, rysownik banknotów, księgarz, nauczyciel pływania, handlarz starzyzną, wydawca, handlarz niewolnikami, fizyk, kupiec, doktor honoris causa, wynalazca, pisarz, filozof, przedstawiciel Stanów Zjednoczonych Ameryki, udał się do Ludwika z dynastii Burbonów, króla Francji.

Drogi dojazdowe i szeroki dziedziniec pełne były ciekawych. Czekali z napięciem, czy Franklin odważy się ukazać w

swoim zwykłym stroju, byliby rozczarowani, gdyby tego nie uczynił. Kiedy się jednak zjawił naprawdę bez peruki i bez szpady, w brązowym surducie i brązowych spodniach, z okularami w matowej oprawie, uczesany starannie a la quaker, z opadającymi na kołnierz włosami, zdumiała ich taka doza odwagi i godności osobistej. Chyba po raz pierwszy w historii ktoś udawał się na dwór w skromnym mieszczańskim stroju. Po raz pierwszy też monarcha arcychrześcijański przyjmował przedstawiciela rebeliantów.

Vergennes objął dowództwo. Wstąpił z delegatami na wielkie schody. Zabrzmiały werble, warty prezentowały broń, otworzyły się podwoje apartamentów królewskich, pułkownik dowodzący setką szwajcarskich gwardzistów zameldował: „Panowie delegaci trzynastu Stanów Ameryki”. Świta dworska, biskupi, dyplomaci, wybitni prawnicy wypełnili przedpokój. Zostawili przejście dla Franklina i towarzyszących mu osób i skłonili się. Kiedy Franklin przechodził, damy podniosły się i dygnęły głęboko.

Delegatów wprowadzono do królewskiej sypialni. Ludwik, któremu przyjęcie to było wstrętne, siedział przy toalecie w szlafroku narzuconym na rozchełstaną koszulę, umyślnie niechlujny. Fryzjer krzątał się dokoła niego. Sześciu panów pełniących służbę stało w pobliżu, jeden ceremonialnym ruchem podawał Ludwikowi spodnie, drugi pończochy.

Vergennes przedstawił królowi delegatów, Ludwik spojrział na nich przelotnie. A więc ten wysoki, zażywny to przywódca rebeliantów. Osławiony Franklin nie ma w sobie nic z diabła, którego nosi w sercu, ale jak zuchwale i buntowniczo się ubrał, jak sobie beztrosko stoi. Zupełnie, jak gdyby asystowanie przy toalecie monarchy arcychrześcijańskiego było rzeczą naturalną i należącą mu się z prawa.

Ludwik sapnął i, nie patrząc na delegatów, powiedział:

- No tak, no pięknie. A więc to byłoby załatwione. Niechaj panowie zapewnią Kongres o mojej przychylności. Nie jestem niezadowolony ze sposobu, w jaki się panowie dotychczas zachowywali w moim kraju. - Mówił niewyraźnie, nie podnosił głosu; mimo to wszyscy rozumieli jego słowa, gdyż w sali panowała cisza, nikt się nie ruszał. Jeden z dworzan trzymał sztywno królewskie spodnie, drugi równie nieruchomo pończochy.

Franklin przyglądał się spokojnie tkwiącemu na krześle w nieładnej pozycji tęgiemu młodzikowi, który był królem Francji. Franklin należał do dobrych obserwatorów. Zauważył, jak dziwnie na twarzy króla kontrastują ze sobą poszczególne rysy. Młodzieniec ze śmiało zarysowanym nosem wyglądał jak prawdziwy przedstawiciel Burbonów, których prezentowano na monetach, a równocześnie był nierozwinięty jak niemowlę. Otyłość jego była nienaturalna, chorobliwa, świadczyła o zaburzeniach obiegu krwi lub innych funkcjach wewnętrznych. Ten Ludwik XVI robił wrażenie ponurego, niezdarnego, ale nie pozbawionego inteligencji. Nie był z pewnością wielkim mówcą, słowa jego nie brzmiały zbyt uprzejmie, ale w sumie wyraził to, co w takiej okazji należało powiedzieć. Franklin postanowił na tym poprzestać. Skłonił się i odpowiedział:

- Dziękuję, sire, w imieniu mego kraju. Proszę liczyć na wdzięczność Kongresu i na to, że będzie wiernie dotrzymywać zobowiązań, które wziął na siebie.

- Pięknie, moi panowie - odpowiedział Ludwik. Na tym przyjęcie się zakończyło.

Vergennes wydał na cześć delegatów wielki oficjalny bankiet. Wzięli w nim udział wszyscy przedstawiciele wysokich rodów. Od chwili kiedy Franklin został przyjęty przez króla, wszyscy tłoczyli się, by zawrzeć z nim znajomość. Jego sąsiadką przy stole była stara, wielce szanowna markiza de

Crequy. Patrzyła z niechęcią na jego ubiór, wszystko było na nim brązowe - surdut, kamizelka, spodnie, nawet ręce, nosił płócienny halsztuk. Ale najdziwniejszy był jego sposób jedzenia; jadł szparagi palcami, a melon nożem. Poza tym potłukł jajka, wlał je do kubka, dodał do nich masła, soli, pieprzu i musztardy i wyjadał to teraz łyżeczką. Ponieważ był głośnym filozofem, zapytała, czy wierzy w jedyne Boga i w nieśmiertelność duszy. Popijając swój dziwny napój, odpowiedział z naciskiem twierdząco. Markiza opowiadała później, że kwakier ma manieri dzikusa z lasu, ale przyzwoity światopogląd. Ludwik spędził ów wieczór u Toinette. Dotrzymał rzetelnie danej obietnicy, upokorzył się nawet tak dalece, że wobec całego dworu osobiście przemówił do buntowników. Chciał więc chociaż otrzymać podziękowanie od sprawczyni tej całej ohydy; zasłużył sobie na przyjemną noc.

- Dowiedziałam się z ubolewaniem, sire - powiedziała Toinette - że przyjąłeś doktora Franklina wyjątkowo niegrzecznie.

- Nawet peruki ten twój stary gbur nie nałożył - odpowiedział Ludwik. - Brutalnie zademonstrował mi swoją bezczelną, nagą czaszkę. Czy miałem za to uśmiechać się do niego?

- Możesz być pewny, sire, że za to ja będę jutro tym bardziej uprzejmą - oświadczyła Toinette.

- Nie mogę ci w tym przeszkodzić - odrzekł ponuro Ludwik. - Czuję wstręt do całego Wersalu od chwili, kiedy ten rebeliant kręci się tu jak po własnym domu.

- Tak - powiedziała Toinette triumfująco - wniosłam tu teraz trochę świeżego powietrza.

Ale Ludwik nie po to przyszedł, by się z Toinette sprzeczać. Jadł i pił z zapałem, podobała mu się piękna żona, został; jak to sobie postanowił, przez noc w Trianon, oddając się

rozkoszy w obliczu austriackich krewniaków, którzy, przebrani w mniszne stroje, kopali sobie groby.

Tymczasem wśród delegatów powstały nowe różnice zdań. Artur Lee uważał od początku za wielki błąd, że Franklin, lekceważąc ceremoniał dworski, stanął przed królem z łysą, pokrytą strupami czaszką. Umocniło go w tym poglądzie zachowanie Ludwika, które było tylko odpowiedzią na lekceważenie okazane przez Franklina.

Mimo to Artur Lee odczuł brutalne potraktowanie delegacji jako obrazę i oparł się temu, by następnego dnia, zgodnie z panującym obyczajem, udać się raz jeszcze do Wersalu dla złożenia wizyty królowej.

Franklin zabrał zamiast Artura Lee swego wnuka Williama oraz Silasa Deane'a. Cała trójka pojechała do Wersalu.

Toinette przyjęła Franklina uprzejmie, nieco kokieteryjnie, po królewsku, była równocześnie damą w niebieskiej masce z porozumiewawczymi błyskami w oczach. Bawił go ten wspaniały, ceremonialny ruch, związany z lever królowej, śmieszyło go, że oto w charakterze oficjalnym jest świadkiem toalety owej damy, z którą prowadził tak owocną konwersację.

Kontynuowali teraz tę rozmowę. Z dobrze udaną naiwnością zapytała go, jakie wrażenie zrobił na nim jej mąż, król.

- To dobrotliwy, wielce obiecujący monarcha - odpowiedział z przekonaniem Franklin. Toinette ze swej strony zapewniła go:
- Bardzo pana wychwalał, monsieur, wyjątkowo pana ceni i lubi.

Mówiąc to patrzyła mu szczerze w oczy, z kolei postawiła mu kilka przygotowanych pytań, dotyczących jego eksperymentów z dziedziny elektryczności, i słuchała go z pozorną uwagą, w istocie bardzo myślą daleka.

Wieczorem, po obiedzie, musiał jej towarzyszyć przy grze, prosiła go, by stał za jej krzesłem. Wygrywała.

- Przynosi mi pan szczęście, mój elektryczny pośle - powiedziała. - Niechże pan usiądzie.

Uczył to i wygrał siedemnaście luidorów. Po jakimś czasie Toinette zaczęła grać wysoko, zapomniała o nim. Korzystając z okazji oddalił się, zadowolony, z Silasem Deane'em, Williamem i wygranymi siedemnastoma luidorami w kieszeni. Dla Silasa Deane'a godziny spędzone w Wersalu były ostatnim dobrym okresem w życiu. Następca jego przybył już do Francji. Był to John Adams, znany polityk, bardzo czynny członek Kongresu. Silasowi Deane nie pozostawało nic innego, jak wrócić do Ameryki. Odjeżdżał z ciężkim sercem. Zżerało go nie tylko to, że został potraktowany tak haniebnie i z taką niewdzięcznością. Zostawiał tu swoich najbliższych przyjaciół, ludzi, którzy wiedzieli dokładnie, jak się dla swego kraju zasłużył; po tamtej stronie oceanu znajdzie tylko ludzi rozdrażnionych, pełnych przesądów i niechęci.

Franklinowi było żal, że Silas Deane odjeżdżał. Miał z nim niemało kłopotu, ale człowiek w kwiecistej atłasowej kamizeli był pełnym dobrych intencji, szczerym patriotą i w końcu zawsze ustępował przed rozsądnymi argumentami. Franklin obiecał poprzeć go z całych sił w jego zatargu z Kongresem i oświadczył, że będzie go często wspominać, już choćby patrząc na miłą sercu Encyklopedię. Silas Deane, zatroskany, uśmiechnął się, powiedział dwukrotnie: „Żegnam”, i nie mógł się z nim rozstać.

Nie miał zamiaru żegnać się z Arturem Lee, ale ku jego zdumieniu tamten przyszedł do niego. Mister Lee nie posiadał się ze złości. Dwór wersalski wyznaczył na swego posła przy Kongresie pana Gerard. Zapytano Franklina i Silasa Deane, czy wybór ten nie natrafia na przeszkody, jego zaś, Artura Lee, pominięto. Węszył za tym obraźliwym posunięciem intrygi obu kolegów.

Podejrzenia tego nie potrafił przekonywająco uzasadnić, ale miał za to solidne podstawy do innej pretensji; w aktach, które mu Deane przekazał, brak było dokumentów wielkiej wagi. Zapytał ponuro i oskarżycielsko, co to ma znaczyć. Silas Deane odpowiedział, że chodzi o pisma, które na swoje wytłumaczenie chce przedłożyć Kongresowi, gdyż ma podstawy przypuszczać, że pewni ludzie oczernili go w Filadelfii.

- Poza tym w aktach - ciągnął Artur Lee nie odpowiadając na słowa Silasa Deane'a - które pan był łaskaw pozostawić, znalazły się już po przelotnym zapoznaniu się z nimi niejasne pozycje. W wydatkach delegatów figuruje na przykład suma 1470 liwrów za nabycie Encyclopedie des Arts et des Metiers, wręczonej doktorowi Franklinowi. Proszę o wyjaśnienie.

- Chętnie - odpowiedział uprzejmie Silas Deane. – Obaj z panem ofiarowaliśmy to wielkie dzieło doktorowi Franklinowi na jego urodziny.

- I pan miał odwagę - powiedział Artur roztrzęsionym głosem - nie pytając mnie, zrobić w moim imieniu tak kosztowny podarunek? Wówczas kiedy w Ameryce trzeba za miedzianego penny płacić prawie dolara, wypuszczonego przez Kongres, pan na koszt kraju darowuje doktorowi Franklinowi książki za 1470 liwrów?

- Nie pytałem pana o zdanie - odpowiedział Silas Deane z pozornym spokojem - bo pan by z pewnością powiedział: nie. Czuję się kryty wobec Kongresu, gdyż Encyklopedia została nabyta decyzją większości.

- Jak to? - zapytał zbity z tropu Artur Lee.

- Wprawdzie nie pytałem również i doktora Franklina - ciągnął dalej Silas Deane - ale z taką samą pewnością, jak wiem, że pan by odmówił, ośmielam się twierdzić, że on byłby się zgodził.

- Takimi francuskimi sofizmatami - oświadczył gwałtownie Artur Lee - hańbił pan przez całe lata dobre imię Ameryki.

- Takimi francuskimi sofizmatami - odpowiedział Silas Deane - doktor Franklin uratował Amerykę od zagłady.

Artur Lee skrzyżował ramiona i pochylił głowę.

- Po tamtej stronie oceanu dowie się pan - zagroził - co sobie Ameryka o panu myśli.

Kiedy Silas Deane żegnał się z panem de Beaumarchais, ten rzekł wyzywająco:

- Niech pan powie Kongresowi w swoim i moim imieniu prawdę bez ogródek. Niech pan powie tym panom prosto w oczy, jacy są małostkowi i niewdzięczni. Proszę się nie lękać, mój wielce szanowny panie. Francja nie pozostawia na lodzie nikogo, komu przyrzekła pomoc. Proszę mieć zaufanie do króla i do domu handlowego Hortalez i Spółka.

Artur Lee, niezbyt uspokojony rozmową z Silasem Deane, napisał długi, pełen goryczy list do Franklina. Wymienił wszystkie okropieństwa, o których się rzekomo dowiedział. Już nieraz, pisał, wytaczał oskarżenia, ale Franklin ma zwyczaj nieodpowiadania na jego listy. „Gdybym był - ciągnął dalej - największym wrogiem Ameryki, nie mógłby mnie Pan chyba potraktować inaczej. Mam prawo znać powody Pańskiego zachowania. Jeżeli ma mi Pan coś do zarzucenia, proszę mi to powiedzieć otwarcie, bym mógł się usprawiedliwić. Jeżeli zaś nie, to dlaczego lekceważy Pan obowiązki, jakie Pan ma i wobec swego kraju, i wobec mnie? Czy nazywa Pan to porządkiem, przyzwoitością, współpracą, czy uznaje Pan to za sprawiedliwe?” Franklin zasiadł przy biurku i odpisał:

„To prawda, że nie odpowiedziałem na kilka Pańskich listów. Niechętnie odpowiadam na listy pisane w gniewie. Jestem starym człowiekiem, niedługo pożyję, mam dużo roboty i mało czasu na kłótnie. Jeżeli na Pańskie pouczenia i wieczne

mentorowanie reagowałem milczeniem, to dlatego że nie chciałem narażać na szwank naszej godności i powodzenia naszej misji. Kocham spokój, mam szacunek dla Pańskich zalet i współczucie dla Pańskiego chorego ducha trawionego przez zazdrość, zawiść i przeświadczenie, jakoby wszyscy źle Panu życzyli i pogardzali nim. Jeżeli w krótkim czasie nie będzie Pan starał się przeciwdziałać tej chorobie, skończy Pan niewątpliwie obłędem. Objawy, które obserwuję u Pana, spotykałem w innych podobnych przypadkach. Niechaj Bóg uchroni Pana przed tak straszliwym losem; proszę w imię tego Boga, by mnie Pan zostawił w spokoju".

Franklin przeczytał, co napisał, podrapał się; egzema znowu ostatnio mu dokuczała. Uznał, że list ten jest właściwą odpowiedzią, i nie wysłał go.

Tymczasem skargom i zażaleniom Artura Lee nie było końca. Utwierdzali go w nich dwaj inni delegaci Kongresu, którzy tymczasem przybyli do Paryża: brat jego William oraz mister Ralph Izard.

Ralph Izard miał lat trzydzieści pięć, był bogaty i rozpieszczony. Studiował w Anglii, zaprzyjaźnił się z czołowymi angielskimi mężami stanu i pisarzami. Młodzieniec z kolonij miał być w czasie swych studiów przedstawiony angielskiemu królowi. Ponieważ jednak ceremonia wymagała zgięcia kolana, a zasady Ralpa Izarda zabraniały mu klękać przed istotą śmiertelną, zrezygnował z wprowadzenia go na dwór. Kiedy później konflikt przeszedł w otwartą wojnę, Ralph Izard wrócił do Ameryki i przyłączył się z zapałem do sprawy powstańców. Teraz Kongres mianował go posłem przy dworze tokańskim. Ponieważ dwór ten nie uznał jeszcze Stanów Zjednoczonych, Kongres zlecił swemu posłowi pozostać na razie w Paryżu i iść ręką w rękę z Franklinem i Arturem Lee.

Nowy wysłannik, brat Artura, William, był typowym potomkiem zdolnego, nieufnego, kłótliwego rodu Lee. Kongres mianował go swym reprezentantem w Berlinie. Ale dwór ten, podobnie jak dwór tokański, również nie uznawał Kongresu, więc i William Lee otrzymał instrukcje wspierania Franklina radą i czynem.

Nowi przybysze od razu utworzyli wspólny front z Arturem Lee. Byli wszyscy trzej młodzi i pełni temperamentu, łagodny sposób bycia Franklina wydawał im się dowodem gnuśności, słabości, uwiązania starczego. Uważali, że teraz, po zawarciu traktatu, należy żądać od rządu francuskiego coraz więcej pieniędzy, wojska, okrętów. Powściągliwość Franklina pod tym względem uważali za dowód karygodnej opieszałości.

W okresie pierwszych niemiłych starć z Franklinem zjawił się człowiek, którego Kongres wybrał na następcę Silasa Deane - niejaki John Adams.

Franklin i John Adams mieli za sobą lata wspólnej pracy, uczestniczyli obaj w pierwszym redagowaniu Deklaracji Niepodległości. Uznawali nawzajem swoje zalety, ale nie lubili się. Czterdziestopięcioletni John Adams był z zawodu adwokatem, miał zwyczaj wypowiadać głośno to, co myśli, posługując się porównaniami z Biblii i historii starożytnej. Dorastał w latach wojny przeciw Francuzom i Indianom, był gorącym patriotą. Oświadczył kiedyś w owym czasie, że gdyby się Amerykanom udało przepędzić z kontynentu tych awanturniczych Gallów, to w ciągu jednego stulecia prześcignęliby liczebnie wszystkie inne narody i stara część świata znalazłaby się w cieniu. Europa wydawała się Johnowi Adamsowi dekadentka, od młodości marzył o potężnym imperium amerykańskim, opartym na cnocie.

Jako mąż stanu John Adams mógł się poszczycić wielkimi sukcesami. Jeśli Deklaracja Niepodległości weszła w życie, stało się to przy jego wybitnym udziale. Kongres cenił wysoko

tęgo niezmordowanie czynnego człowieka; kiedy upragniony sojusz z Francją tak długo dawał na siebie czekać, mianowano go delegatem na miejsce Silasa Deane'a, by wreszcie doprowadził do zawarcia paktu.

Tymczasem John Adams zjawił się już po podpisaniu paktu i nie miał właściwie w Europie nic do roboty. Ale żądza czynu nie dawała mu spokoju. Zajął się aktami delegacji.

Mister John Adams był to niewysoki, tęgi jegomość, pełen temperamentu, o łysej, szerokiej czaszce, której szerokość podkreślały jeszcze dwa potężne pasma włosów po bokach. Czytając akta, niemal bez przerwy potrząsał głową. Zabrał się z całą energią, by do tego beznadziejnego nieładu wprowadzić jakiś porządek. Widząc łagodny, nieco drwiący uśmiech Franklina, oświadczył:

- Niech pan sobie nazywa moje metody biurokracją, Rzymianie określali je jako dyscyplinę. Jedno jest pewne: bez takiej „biurokracji” nie da się osiągnąć nic wielkiego. Jak mamy zbudować wielkie państwo, przerastające inne państwa, jeżeli nie potrafimy utrzymać w porządku naszego małego domu w Passy?

Mister Adams mieszkał w Passy, w domu Franklina, uważanym za siedzibę delegacji amerykańskiej. Mógł więc z bliska obserwować tryb życia Franklina. Obaj panowie odnosili się do siebie z wielką uprzejmością, ale w głębi duszy John Adams z dnia na dzień bardziej potępiał zachowanie doktora. Mimo swoich lat siedemdziesięciu dwóch i podagry, człowiek ten dużo jadł i również pił niemało. Choć wszystko przemawiało za oszczędzaniem, trzymał luksusowy powóz, zatrudniał liczną służbę, mieszkał w bogato urządzonej domu. Bez względu na wiek kręcił się koło kobiet jak typowy paryżanin. Jednym słowem był epikurejczykiem.

Po kilku dniach pobytu mister Adamsa w Passy zjawiła się tam nagle, bez uprzedniego zawiadomienia, pani Helvetius.

Weszła do pokoju, jakby była u siebie w domu. Była to ruina nigdy pięknej kobiety, nieporządnie ubrana i uczesana, mały słomkowy kapelusz podwiązała chustką nie pierwszej czystości, na ramionach miała czarny szal, który ciągle się z nich zsuwał. W obecności mister Adamsa pocałowała Franklina w oba policzki i w czoło. Podczas obiadu siedziała między nimi, opierała się o poręcze ich krzeseł, raz po raz obejmowała doktora. Mister Adams opisał to wszystko szczegółowo swojej ubóstwianej mistress Abigail Adams, z którą łączyły go węzły najgłębszej duchowej wspólnoty.

Mister Adams unikał atakowania doktora w słowach pełnych goryczy, jak to czynili młodszy panowie. Pośredniczył i łagodził. Kiedy jednak chodziło o sprawy poważniejsze, popierał swym milczeniem opozycję obu braci Lee i Izarda. Znalazło to najjaskrawszy wyraz w sporze na temat Williama Temple.

Przy metodycznym porządkowaniu akt pokazało się mianowicie, że ów list w sprawie melasy, który na żądanie Artura Lee pan Gerard musiał napisać i który miał stanowić integralną część składową traktatu handlowego oraz umowy o wzajemnej przyjaźni, gdzieś się zagubił. Nikt nie miał wątpliwości, że Kongres albo będzie ratyfikował pakt w jego obecnym brzmieniu, albo go już ratyfikował, więc zagubiony dokument miał wartość czysto akademicką, historyczną. Mimo to - oświadczyli teraz z naciskiem doktorowi Franklinowi panowie Artur i William Lee oraz pan Ralph Izard - człowiek, który dopuścił do tego, by taki dokument zaginął, nie nadaje się na sekretarza poselstwa.

Od samego początku wiadomo było, że siedemnastoletni chłopak nie jest właściwym człowiekiem na to stanowisko. Czy nie okazał się już przedtem leniwy i niedbały? Czy nie z jego winy projekt umowy sojuszniczej poniewierał się tak, że

mogło się z nim zapoznać niejedno niedyskretne francuskie oko?

- Czy w ogóle należało - ukoronować zarzuty tamtych Ralph Izard - mianować sekretarzem poselstwa właśnie mister Williama Temple Franklina? - Podkreślił imię William i wszyscy wiedzieli, co chciał przez to powiedzieć. W ostatnich czasach gazety angielskie bardzo wychwalały gubernatora Williama Franklina, ojca młodzieńca, który mimo wszystkich prześladowań ze strony rebeliantów pozostał wierny królowi; pisma natrzęsały się z wielkiego buntownika Franklina, który nawet własnego syna nie potrafił przekonać o słuszności swojej sprawy.

Doktor Franklin wysłuchiwał dotychczas zarzutów swoich młodych kolegów ze spokojem. Kiedy jednak wysunęli ten ostatni argument, wpadł w gniew.

- Czy miałem zostawić chłopca w otoczeniu, w którym przebywał ojciec? - zapytał. Nie odpięrało to zarzutów, ale było w jego słowach tyle bólu i gniewu, że tamci zamilkli.

Po długiej pauzie zabrał głos John Adams.

- Poszedł pan za daleko, mister Izard - zganił kolegę.

Ralph Izard przeprosił z miejsca: - Żałuję bardzo, jeżeli dotknąłem doktora Franklina.

Incydent skończył się w ten sposób, że odtąd Franklin opłacał pensję Williama z własnej kieszeni, na jego miejsce zaś zaangażowano Francuza, zaproponowanego przez tamtych panów, niejakiego pana de la Motte. Robił wrażenie człowieka sumiennego i oddanego sprawie Ameryki, ale Franklin czuł, że go stale obserwuje.

Od czasu zawarcia sojuszu słyszało się wszędzie w Paryżu: „Franklin, Franklin”, a zasługi pana de Beaumarchais poszły w zapomnienie. Trapiło to wiernego Filipa Gudin. Otulony szlafrokiem, który mu darował Pierre, wciśnięty w zagłębienie

kosztownego biurka, zabrał się do pisania. Powstał z tego memoriał Prowizoryczny zarys żywota wielkiego rodaka. Nie wymieniając nazwisk przedstawił polityczne, kupieckie i literackie zasługi swego przyjaciela dla sprawy Ameryki i wolności w ten sposób, że każdy jako tako obeznany musiał się zorientować, o kogo i o co tu chodzi. Zasługi „starego w ogrodzie” były należycie ocenione, jednakże autor zwracał w mglistych słowach uwagę na niebezpieczne właściwości jego charakteru. W dalszym ciągu działalność „starego w ogrodzie” była porównywana z działalnością wielkiego rodaka, o którym mówił memoriał, i portret „rodaka” był korzystniejszy od portretu „starego”. Przyjdzie dzień, kończył autor niewielkiego memoriału, w którym historia świata sprawiedliwiej rozdzieli światła i cienie.

Filip Gudin przeczytał swój utwór z zadowoleniem. Wprawdzie musiał z konieczności zachować zagadkowość, jak Heraklit lub Lukrecjusz, a nie była mu dana ich ponura siła, sądził jednak, że jego dziełko może konkurować z pracami takiego na przykład Rollina.

Zastanawiał się nad tym, że może Pierre nie pochwaląby opublikowania Prowizorycznego zarysu; jako człowiek wspaniałomyślny chciałby zapewne oszczędzić „staremu w ogrodzie” tego zerwania z niego maski. Biorąc to pod uwagę Gudin kazał wydrukować swą broszurę poza plecami przyjaciela, na własny koszt i własną odpowiedzialność, i porzysłał ją tym, których mogłaby zainteresować, między innymi posłał ją również „człowiekowi w ogrodzie”.

Potem, dumny z siebie i uszczęśliwiony, wręczył książeczkę temu, na którego cześć została napisana.

Pierre przerzucał kartki i czytał. Był wzruszony, że ktoś wreszcie wyliczył i wielbił jego zasługi; wprawdzie pod wieloma obłonkami, ze zbyt wielką ilością łaciny i greki, z niewielkim polotem, ale dla wtajemniczonych dostatecznie

jasno. Radowały go również aluzje na temat przeceniania „starego w ogrodzie”.

- Nigdy nie wyobrażałem sobie - rzekł grożąc palcem - że za moimi plecami uprawia się tak niebezpieczny proceder.

Gudin odparł z uśmiechem:

- Ktoś musiał to wreszcie powiedzieć. A ponieważ żaden z naszych Plutarchów nie spełnił swego obowiązku, musiał zabrać się do dzieła mały człowiek.

Pierre był wzruszony, zdawał sobie jednak sprawę, że dyskretna aluzja do działalności domu Hortalez może mieć dla niego niemiłe skutki. Zaproponował więc, by na razie trzymać pismo w szufladzie.

- Poczyłem kroki - odparł Gudin - by pańska skromność znowu nie splątała mu figła. Ci, których to obchodzi, mają już memoriał w ręku. - Dobroduszna jego twarz lśniła przy tym dumą i zadowoleniem, że jest taki chytry i tak się zna na ludziach. Pierre poklepał go po plecach, wzruszył ramionami, udał, że jest zadowolony.

Wkrótce potem do portu Lorient zawinął jeden ze statków Beaumarchais'go, „Gloire de France”. Przywiózł z Ameryki ładunek ryżu i indygo. List przewozowy wystawiony był na panów Franklina, Silasa Deane'a i Artura Lee. Tymczasem był to niewątpliwie transport przeznaczony dla firmy Hortalez, od dawna zapowiedziany przez Pawła. Jeżeli wysłany został pod adresem delegatów amerykańskich, to z pewnością wyłącznie dlatego, by na wypadek porwania statku przez Anglików, firma Hortalez nie została na nowo skompromitowana; „Gloire de France” odpłynęła przed dotarciem za ocean wiadomości o sojuszu francusko-amerykańskim.

Ale Artur Lee, węsząc jakieś intrygi, żądał, by do wyjaśnienia sprawy transport pozostał w dyspozycji adresata, to znaczy delegatów. Sprawa wikłała się. Kapitan statku odmówił wydania ładunku komisarzom. Naradzali się. Artur Lee

wzywał swych kolegów w gwałtownych słowach, by się nie dali dłużej wodzić za nos osławionemu panu de Beaumarchais. Prawdopodobnie już poprzednie transporty, przesłane przez Kongres na statkach Carona, znalazły się dzięki machinacjom mister Silasa Deane'a w posiadaniu firmy Hortalez. Tym razem listy przewozowe dostały się na szczęście we właściwe ręce. Postawił wniosek, by kapitana, który niezawodnie był sprzysiężony z panem Beaumarchais, zmusić drogą sądową do wydania ładunku.

Gdyby sprawa wynikła tydzień temu, Franklin byłby się zapewne przeciwstawił takiemu posunięciu. Ale przysłano mu przed kilkoma dniami broszurę Prowizoryczny zarys żywota wielkiego rodaka. Jakiś uczony osioł, powołujący się na liczne cytaty, wypowiadał w niej kostyczne uwagi na temat „starego w ogrodzie” i w napuszonych zwrotach twierdził, że główna zasługa zwycięstwa pod Saratogą i zawarcie sojuszu przypada niejakiemu panu Caron. Na ogół Franklin nie brał zbyt serio paszkwilów. Ale autor tego memoriału był zdumiewająco dobrze poinformowany o wielu szczegółach, znał daty, które mógł otrzymać jedynie od pana Caron lub jego najbliższych. Ogłoszenie broszury było więc aktem nieprzyjaźni ze strony pana Caron i Franklin nie uważał wobec tej wojowniczej zaczepki, by miał obowiązek brać pana Caron w obronę. Razem z braćmi Lee wystosował do sądu morskiego w Lorient wniosek, by sąd polecił kapitanowi „Gloire de France” wydać ładunek właściwym adresatom, panom Franklinowi i Lee.

Pierre, zaskoczony, pobladł z wściekłości. Dopiął tego, że starzec został uznany za posła Stanów Zjednoczonych, a teraz pierwszą czynnością urzędową tego człowieka było zrabowanie jego mienia. Nigdy nikczemność nie stanęła przed nim w takiej nagości. Przed tym poczciwym Ryszardem zbladł nawet Świętoszek.

Dlaczego stary to zrobił? Po co? Zgoda, Amerykanie nie mają pieniędzy. Ale nie są przecież w takim położeniu, żeby mieli ukraść ten ładunek, chudobę biedaka. Franklin musiał się powodować nienawiścią osobistą.

To broszura była temu winna, nieszczęsny, nudny twór Filipa. Wszyscy zmówili się, by mu szkodzić - przyjaciele i wrogowie. Wyładował swój gniew i zawód na głowie Filipa Gudin.

Działo się to we wspaniałym gabinecie Beaumarchais'go. Pierre, rzucając pod adresem Gudina gwałtowne oskarżenia, miotał się po pokoju.

Filip słuchał jakiś czas cierpliwie. Potem przestał panować nad sobą, zerwał się również, zaczął ciężkim krokiem biegać po pokoju, dysząc gwałtownie.

- Niech pan przynajmniej siedzi spokojnie, kiedy do pana mówię! - wykrzyknął Pierre. Gudin zatrzymał się.

- Jestem gotów - odpowiedział - siedzieć spokojnie, nadstawić głowę, odsłonić pierś na uderzenia lanc, jak ów Szwajcar. Ale jest pan wobec mnie niesprawiedliwy. Nie trzeba było mego memoriału, by Franquelin stał się pańskim zaciekłym wrogiem. Był nim od dawna. W moim Prowizorycznym zarysie zacytowałem strofę z Antygeny, ową strofę opiewającą „człowieka o złośliwych ustach”, jak Sofokles nazywał tyrana Kreona. Ale „starzec w ogrodzie” jest nikczemniejszy od Kreona, to Tersytes. Pośród oszczerców i pomniejszych postaci to najnikczemniejsza. To on... Ale nie, nie chcę podsycać pańskiego gniewu. Niech pan sobie wierzy dalej, że to moje słabe słowa rozpały żądę zemsty kłótniowego starca.

- Cóż pan takiego wie? - ofuknął go Pierre. Gudin milczał uparcie z obrażoną miną. - Cóż tak obraźliwego dla mnie zrobił albo powiedział ten Franklin? - gorączkował się Pierre.

- Niech się pan uspokoi - prosił Gudin. - Niech pan nie żąda ode mnie, bym mu powtarzał te oszczerstwa.

- Cóż to takiego? - nalegał Pierre i w pewnej chwili głos mu się załamał.

- Porównywał pana - szeptem odkrył tajemnicę Gudin - do owej muchy z bajki Lafontaine'a, do owego małego, nieznośnego, nadętego owada.

- Do muchy? - zapytał Pierre. - Do muchy nad dyliżansem?

- Trafił pan w sedno - odpowiedział Gudin.

Pierre usiadł - poczuł, że słabnie. Zakręciło mu się w głowie. Oddał Ameryce wiele lat swego życia i cały swój majątek, dostarczył broni, która się przyczyniła do zwycięstwa pod Saratogą, doprowadził do spotkania tego starucha z królową i do zawarcia paktu. A ten nie miał dla niego nic prócz taniego, łobuzerskiego szyderstwa. Mucha i dyliżans! Do głębi wstrząśnięty, powoli kręcił głową.

Gudin nigdy jeszcze nie widział przyjaciela w takim stanie; serce pękało mu z bólu. Stał w milczeniu, z żalospną miną, nie spuszczał oczu z Carona.

- Nie pojmuję tego - powiedział Beaumarchais po dłuższej chwili cichym głosem. - Ciągle jeszcze nie mogę tego pojąć. Cóż mu takiego zrobiłem? Przecież naprawdę wysłałem do Ameryki broń za dziesięć milionów i nic za to nie dostałem. - Nie przestawał kręcić głową.

Kiedy opowiedział Teresie o tym, co zaszło, zasepiła się. Miała żywe poczucie sprawiedliwości, martwiło ją, że zasługi Beaumarchais'go dla Ameryki i sprawy wolności są tak haniebnie zapoznane i że właśnie wielki czcigodny Franklin tak traktował zarówno jego, jak i jego działalność.

Nie uprzedziwszy męża ani słowem, pojechała do Passy. Franklin już nazajutrz żałował swego postępku. Nie ulega wątpliwości, że sąd rozstrzygnie sprawę na korzyść Francuza, na niekorzyść poselstwa. Zachował się niby jakiś Artur Lee,

dał się porwać tanim odruchom zamiast powodować się rozsądkiem. Było mu więc na rękę, że może się przed panią Beaumarchais usprawiedliwić.

- Nigdy - powiedziała po krótkim wstępie Teresa - nie mieszałam się do spraw mego męża, ale w tym wypadku chodzi o coś więcej niż o interes. Ubolewam, że wysłańcy kraju, któremu pan de Beaumarchais dawał tak niezbite dowody przyjaźni, tak wrogo wobec niego postąpili. Wielu Francuzów będzie się dziwiło i żałowało, że przed zwróceniem się do sądu nie spróbowano porozumieć się po przyjacielsku.

Franklin patrzył na nią głęboko osadzonymi starczymi oczyma. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie tę panią Caron, w żadnym razie nie tak miło i sympatycznie, wolałby, żeby bardziej odpowiadała pojęciu, jakie sobie o niej wytworzył. W głębi duszy przyznawał jej rację. Często gniewał go głupi, oparty na uprzedzeniach sposób, w jaki jego rodacy traktowali cudzoziemców, w tym wypadku zachował się tak jak oni, a nie jak dyktował rozum.

Odpowiedział, że dałoby się uniknąć tego niemiłego incydentu, gdyby pan Deane, który prowadził pertraktacje z panem de Beaumarchais, nie był zmuszony wracać do Ameryki. Sprawa jest zawikłana, następca pana Deane'a nie mógł jeszcze przejrzeć dokładnie akt, a w Ameryce istnieje zwyczaj odwoływania się w niejasnych wypadkach do sądu. Ani delegaci, ani tym bardziej on sam nie mieli najmniejszego zamiaru zadokumentowania przez to swej wrogości wobec pana Beaumarchais lub potraktowania go nieuprzejmie. Docenia całkowicie usługi oddane Stanom Zjednoczonym przez pana Beaumarchais; o ile mu wiadomo, Kongres również dał wyraz temu uznaniu pochlebnym listem. Ale interes jest interesem, a cyfry i litery nie mają serca, nie wiedzą, co to uprzejmość. Zresztą Franklin ma wrażenie, że

panu Beaumarchais przyznana zostanie w tej sprawie racja; nikt bardziej niż Franklin nie ucieszyłby się z tego.

Przez cały czas spoglądał na Teresę ze spokojnym zainteresowaniem, mówił uprzejmie i z respektem. Zdawał sobie jednak sprawę, że wbrew jego woli to usprawiedliwienie brzmiało lodowato.

Teresa wracała do domu uspokojona. Była teraz pewna, że towar zostanie mężowi zwrócony prawdopodobnie jeszcze przed orzeczeniem sądu. Ale była również pewna, że niechęci Franklina do Beaumarchais'go nie da się przewyciężyć.

Franklin siedział jeszcze chwilę i zastanawiał się. Jakie to dziwne, że ten wietrznik, pan Caron, od którego go coś odtrącało, miał zdolność przyciągania ludzi tak oddanych jak ta kobieta albo ów młody człowiek, który dla niego pojechał do Ameryki.

Nacierał i masował nogę dotkniętą podagrą. Rozmowa z panią Beaumarchais popsukała mu dzień. Mimo wielu przyjaciół, z którymi prowadził mądre i żartobliwe rozmowy, mimo pani Helvetius i innych kobiet, które się koło niego skupiały i okazywały mu wiele serca, mimo lekkomyślnego Williama, o miłym wyglądzie, którego kochał, czuł się czasami bardzo samotny i Francja była dla niego obcym krajem.

Dotkliwie odczuwał brak Dubourga. Wziął do ręki Eulogium Linnaei, dziedzictwo po przyjacielu. Była to dobra praca; Dubourg to uczony w całym znaczeniu tego słowa, kochał wiedzę dla niej samej. Franklin dołożył wszelkich starań, by dzieło dobrze przetłumaczyć. Poszedł do swojej drukarni i zabrał się do składania tekstu rękopisu.

Triumfalna wędrówka po Paryżu zaszkodziła Wolterowi, w zdrowiu jego nastąpiło znowu pogorszenie. Był przykuty do łóżka. Prowadził jednak nadal próby Ireny. Przyniosły mu rozczarowanie. Przez czas nieobecności w Paryżu

wyidealizował sobie paryską scenę; teraz uważał, że większość aktorów to figury z drewna, i nie udawało mu się wydobyć z nich tego, co mu rysowała wyobraźnia. Pracował ze zdwojonym zapałem, podniecał ich na przemian pochlebstwem i szyderstwem. Podnosząc się na poduszkach, bezzębny, w najwyższej furii, recytował im nieznużenie swoje strofy, mimo to, kiedy je po nim powtarzali, wiersz brzmiał wprawdzie szlachetnie, ale martwo.

Słabe zdrowie Woltera nie mogło na dłuższy dystans tych prób wytrzymać. Musiał więc pozostawić aktorów samym sobie. Było nie do pomyślenia, by mógł być obecny na premierze Ireny.

Ale i bez niego premiera ta stała się wydarzeniem. Z wyjątkiem króla obecny był cały dwór. Publiczność przyszła pełna najlepszych chęci, skłonna do entuzjazmu. Takie było również nastawienie Toinette i Klaniku Liliowego Bzu.

Wiersze Woltera trafiły do serca Toinette. Kiedy Zoe opłakiwała twarde los swej cesarzowej, czyż biadania te nie zdawały się mówić o niej? „Zrodzona jesteś do niewolnictwa. Czymże jest twój blask, czym twoja wspaniałość, jeżeli nie wiecznym cierpieniem, wiecznym przymusem? Jesteś władczynią tylko z imienia, niebezpieczne brzemie twojego dostojęstwa trzyma cię w nikczemnej niewoli. Opinia, zwyczaj, tradycja ludu skuwają cię mocniej, niż mógłby to uczynić tyran”.

Toinette, słysząc te słowa, oddychała mocniej, czuła mocniej obecność stojącego za nią Vaudreuila. Tak, ten Wolter był wielkim poetą, wypowiadał ze sceny jej najbardziej skryte uczucia.

Sądzono go niesprawiedliwie. Czy ten człowiek, obciążony wieloma grzechami, nie miał zrozumienia dla godności i wielkości Kościoła i duchowieństwa? Toinette musi zachować w pamięci słowa, które wypowiada teraz mnich Leonce:

„Religia nakłada nawet na władców święte wędzidła i rzuca ich na kolana. Habit mój, którym władca pogardza, zwycięża jego purpurę”.

- Proszę to sobie zapamiętać, moje panie - rozkazała. - Najlepiej zanotować te słowa. Muszę je powtórzyć królowi. Zaraz potem przyszły jednak strofy, które musiały oburzyć pobożnych. Wódz Alexis, nowy cesarz, któremu mnich groził, nie pozostawał mu dłużny. Ogarnięty szałem krzychał: „Zburzę twoją świątynię, gdzie śmiano mnie obrazić. Rozniosę ołtarz, który wciąż współzawodniczy z tronem. Czymże bowiem jest ten twój ołtarz, jeżeli nie wytworem dzikiej, niszczącej namiętności, ukutym ze złota wydartego ludom, nasyonym ich krwią, wzniesionym z rabunku i grabieży?” Po tych słowach wybuchł na sali huragan oklasków.

Wśród publiczności był także Pierre. Siedział skromnie w krzesłach, przyszedł nie po to, by go widziano, lecz po to, by widzieć. Wrażliwy na każde wielkie widowisko, dał się porwać atmosferze widowni. Widok Toinette i dworu, hołdy, składane przez nich Wolterowi, złały się dla niego w jedną całość z tragicznym konfliktem Ireny. Zapomniał o wszystkich krytycznych zastrzeżeniach w stosunku do utworu, jego postaci i wykonawców. Brzmiały w nim jedynie strofy wypowiedane przez Irenę i szalone brawa, które je raz po raz przerywały. Huragan przesądów, smagających Irenę, walka Alexisa przeciw tyranii i władcemu despotyzmowi księży, głośny entuzjazm widowni, uczucie błogości, że literatura może tak działać, cały ten gwar i blask przyprawiały go o zawrót głowy.

W tym nastroju dojrzał w nim projekt, którego mgliste kontury rysowały mu się w ostatnich dniach. Największy wydawca francuski, pan Panckoucke, od dawna nosił się z myślą zbiorowego wydania dzieł Woltera. Było to

przedsięwzięcie kosztowne i ryzykowne i właśnie w czasie pobytu Woltera w Paryżu stało się jasne, że wobec uporczywej wrogości króla rozpowszechnianie takiego wydania będzie we Francji w ciągu wielu lat niemożliwe. Dlatego też pan Panckoucke definitywnie zrezygnował ze swego zamiaru. Jeżeli jednak, powiedział sobie Pierre, żaden wydawca nie ma odwagi opublikowania wszystkich dzieł największego spośród francuskich pisarzy, to na odwagę tę winien zdobyć się ktoś inny. Teraz, olśniony blaskiem Ireny, uświadomił sobie, że to on jest do tego powołany, że to on ma obowiązek wznieść pomnik narodowy z nieskończonego szeregu wspaniałych tomów Woltera.

Wolter leżał tymczasem w łóżku, pocąc się i kaszląc. Próbował udawać obojętność, ale był podniecony jak młody autor podczas pierwszego wystawienia swej pierwszej sztuki. Z teatru przybiegli wysłannicy, meldując, jak publiczność przyjmuje poszczególne sceny. Nie mógł utrzymać się w roli obojętnego widza, chciał wiedzieć coraz więcej, wypytywał, jak przyjęto to, jak tamto. Kiedy mu powiedziano, że słowa przeciw szaleństwu klechów: „Zburzę twą świątynię”, trzeba było powtórzyć trzykrotnie, zachichotał uszczęśliwiony, wołając: - Wiedziałem to, znam moich paryżan. Ecrasez l'infame.

Po zakończeniu przedstawienia najbliżsi przyjaciele, wśród nich Pierre, pośpieszyli do chorego, by mu powinszować. Nie dali się zatrzymać, wdarli się do sypialni.

Widać było, że z Wolterem jest niedobrze. Mimo to, uśmiechając się i kiwając głową w szlafmocy, chłonał chciwie pełne entuzjazmu hymny pochwalne. Zawołał Beaumarchais'go i powiedział:

- Pan, mój drogi, jest w tym kraju najlepszym znawcą, więc musi mi pan opowiedzieć, jak tam było. - To mówiąc pogłaskał rękę Carona. Pierre zaczął zdawać sprawę,

wplatając drobne zastrzeżenia, co jeszcze zwiększało pochwałę. Stary promieniał. - Skoro pan tak mówi, musi to być prawda.

Pierre nie mógł się dłużej opanować. Rozentuzjasmowany prosił o pozwolenie wydania wszystkich dzieł Woltera.

- Niech pan będzie przekonany - zapewniał - że nie będę szczędził ani trudu, ani pieniędzy. Zaangażuję do współpracy redakcyjnej najwybitniejsze umysły francuskie, każę sporządzić czcionki, jakich ten kraj jeszcze nie zna.

Żywe oczy Woltera zaśniły jeszcze mocniej. Objął Beaumarchais'go wychudzonymi ramionami.

- Mój ty pocziwcze - powiedział i dodał: - Teraz mogę spokojnie umrzeć, teraz wiem, że dzieło moje znajduje się w najdelikatniejszych i najmocniejszych rękach.

Serce Beaumarchais'go waliło jak młotem. Daleko w cieniu pozostały zniewagi doznane od „człowieka w ogrodzie”, troski, zgotowane mu przez złośliwych, opieszłych dłużników zza oceanu. Największy geniusz stulecia nazwał go swym bratem i dziedzicem, cały Paryż był przy tym obecny i słyszał to.

Wobec dalszego pogorszenia stanu zdrowia Woltera stary jego lekarz Tronchin oświadczył, że nie chce przypatrywać się dłużej temu systematycznemu morderstwu. Nalegał na to, by Wolter powrócił natychmiast do Ferney.

Teodor Tronchin był w przyjaźni z Wolterem od kilkudziesięciu lat. Pochodził ze starej poważnej rodziny szwajcarskiej, miał teraz lat siedemdziesiąt. Rosły ten mężczyzna spoglądał na pokracznego pisarza, na to wieczne dziecko, z miłością, czułością, podziwem i pogardą. Pewne cechy tego tak niesłychanie rozpieszczanego przez świat i los człowieka uważał doktor za małpie, niemal szaleńcze; często między doktorem, który był surowym wyznawcą Kalwina, i

jego frywolnym pacjentem dochodziło do gwałtownych awantur. Jednak przyjaźń ostała się i kiedy wielki lekarz przyjął proponowane mu stanowisko w Paryżu, Wolter ubolewał nad tym z głębi serca. Już nazajutrz po przyjeździe Woltera do Paryża Tronchin zwymyślał go brutalnymi wyrazami. Oświadczył mu, że to nieprawdopodobna głupota, granicząca z obłędem, by schorowany starzec narażał się na umęczenie związane z pobytem w stolicy.

Teraz atakował go znowu.

- Zamiast żyć z procentu - oświadczył gniewnie - zjada pan kapitał. Czy sądzi pan, że go wiele pozostało? Trzeba mieć żelazny organizm, aby wytrzymać tryb życia, który pan prowadzi. Niech pan wraca do Ferney, póki czas - zakończył władczo. Napisał do Ferney, by zaraz przysłano po Woltera podróżną karocę i służbę.

Wierny sekretarz Wagniere był uszczęśliwiony; cieszył się z całego serca, że Wolter wróci do Ferney, do właściwej pracy i względnie rozsądnego trybu życia. Ale markiz de Villette starał się wszelkimi sposobami przeszkodzić powrotowi Woltera. Promieniał z zadowolenia, że dom jego stał się teraz centrum Paryża. Radość tę widać było na miłę, tak że stary Maurepas znalazł temat do epigramatu. Brzmiał on następująco: „Tak, mały Villette, jesteś teraz bardzo sławny; jest to sława karła wystawiającego na pokaz olbrzymia”.

Powrotowi do Ferney sprzeciwiała się przede wszystkim otyła siostrzenica, madame Denis. Nienawidziła życia na wsi, lubiła gwar swego rodzinnego miasta Paryża. Przyznawała, że przebywanie w domu markiza Villette nie zapewnia czcigodnemu stryjowi należnego mu spokoju. Ale można to łatwo zmienić - nietrudno znaleźć bardziej odpowiednie locum. Wszczęła pertraktacje o kupno domu przy ulicy Richelieu.

Wolter był w rozterce. Tęsknił do swego Ferney, wiedział, że Tronchin ma rację - Paryż skraca resztki jego życia. Ale istniały prace, których można było dokonać tylko tutaj. Właśnie teraz Akademia obrała go swym prezesem; dawało to świetną okazję do zrealizowania planu, który mu od dawna leżał na sercu, do wprowadzenia zmian w Słowniku Języka Francuskiego. A czyż nie jest rzeczą konieczną omówić ze swoim wspaniałym przyjacielem i współpracownikiem ogromnej ilości szczegółów dotyczących publikacji *Opera omnia*, jego dzieł zbiorowych? Czy spośród tysięcy odwiedzających nie trzeba było przyjąć co najmniej stu, by im coś ważnego powiedzieć i coś równie ważnego od nich usłyszeć?

- Niech pan wraca, inaczej umrze pan tutaj - nalegał Tronchin.
- Niech pan zostanie - nalegali markiz Villette i pani Denis.
- Jest pan w swym mieście po raz ostatni. Paryż nie może zrezygnować z pana - nalegali filozofowie, poeci, politycy, aktorzy.

Przyjechała karoca Woltera, zjawili się zaufani starzy lokaje, przywieźli ze sobą jego sukę Idamee. Całując jego rękę lokaje mieli łzy w oczach, suka szalała z radości.

- Wygląda na to, że tęsknicie za mną w Ferney - powiedział Wolter. I zdecydował się wrócić.

Ale nadeszła wiadomość, że przywódca klerykałów, ksiądz Beauregard, przypuścił na niego nowy atak. Po gromach rzuconych na Woltera w katedrze Notre Dame wielki kaznodzieja zażądał teraz w kaplicy zamkowej w Wersalu wyprawy krzyżowej przeciw niemu.

- Wszystkie dzieła tak zwanych filozofów - obwieszczał przed królem i dworem - zmierzają do obalenia tronu i Kościoła. Niestety utwory te są dozwolone - co za karygodna bezmyślność - i zamiast kary przynoszą autorom hołdy. Sowa pogańskiej Minerwy zawitała do Paryża, tronuje tu

bezwstydnie, przyjmuje bezbożne kadzidła swych wielbicieli. Bożyszczę kacerstwa otwarcie, w lektyce, obnoszone jest po ulicach stolicy monarchy arcychrześcijańskiego. Otwarcie ze sceny - gromił kaznodzieja robiąc wyraźną aluzję do strof Ireny - filozofowie zapowiadają, że chcą zburzyć świątynię Pana. W swych zbrodniczych rękach trzymają w pogotowiu młot i topór i tylko czekają na pomyślną chwilę, by zniszczyć tron i ołtarze. Czy ci, których to dotyczy, zapomnieli, że pobłażliwość musi mieć również swoje granice? Że dobroć staje się słabością, jeżeli nie karze grzechów?

Kiedy Wolter dowiedział się o tym kazaniu, odwołał swą decyzję. Księża chcą go przepędzić z Paryża? Nie, nie ustąpi przed ich szyderstwem. Napełnił go wielki gniew. Ecrasez l'infame. Właśnie że zostanie, na przekór zakłębom doktora Tronchin i gorącym prośbom Wagniere'a. Zawarł kontrakt na kupno domu przy ulicy Richelieu.

- Teraz stary podpisał wyrok śmierci na siebie - powiedział doktor Tronchin.

Ponieważ w Ferney nagromadziło się dużo spraw, Wolter posłał tam swego wiernego sekretarza. Rozstanie to nie przyszło mu łatwo.

Po wyjeździe Wagniere'a nie pozostał już nikt, kto potrafiłby hamować starego. Bez przerwy przyjmował odwiedzających, którzy mu okazywali szacunek, wyjeżdżał na miasto.

Spełnił teraz prośbę przyjaciela swego Carona, odwiedził go. Pierre marzył o tym, by umowa na wydanie dzieł zbiorowych Woltera podpisana została w jego domu przy ulicy Saint-Antoine.

Wizyta Woltera poruszyła go głęboko. Przyjął gościa na granicy swej posiadłości. Podtrzymał lektykę, w której siedział starzec, towarzyszył mu z miną pełną szacunku, pokazywał mu dziedziniec i ogród. Wolter przyjął z uśmiechem i wzruszeniem wiadomość o świątyni noszącej

jego imię. Było wietrzno, kula ziemską, sterowana przez pióro, poruszała się. Pierre był pełen pokory i dumy.

Potem przedstawił gościowi Teresę i swego siostrzeńca Felicjana.

Felicjan milczał nie spuszczać ze starca badawczego wzroku. Wolter nie czuł potrzeby pobłogosławienia go, jak to uczynił niedawno z wnukiem Franklina; pomimo okazywanego starcowi podziwu, w postawie młodzieńca było coś wyzywającego, przepojonego krytycyzmem.

Teresa także mówiła niewiele, ale twarz jej i zachowanie świadczyły o czci, jaką budził w niej człowiek, który przez całe życie walczył o sprawiedliwość namiętniej, goręcej niż ktokolwiek inny, nawet niż jej Pierre. Nazwiska tych, których wyzwolił lub których pamięć oczyścił, widniały jak tablice honorowe wzdłuż całej drogi jego żywota. Teresa skłaniała w podziwie głowę.

Potem Beaumarchais poprosił Woltera o podpisanie umowy dotyczącej praw i obowiązków wydawcy *Opera omnia* Woltera. Tekst umowy był krótki, ale kładł na barki Beaumarchais'go wielki ciężar. Wolter wziął lorgnon i przeczytał go.

- Dobrze, jasno, rzeczowo - powiedział.

Pierre pomyślał przelotnie o Maigronie, który wyliczył, że trzeba będzie włożyć w to przedsięwzięcie z górą milion liwrów, ale pomyślał również, że mianowany został „bratem i dziedzicem Woltera”. Zresztą, jeżeli mógł ponieść tak olbrzymie ofiary dla niewdzięcznej Ameryki i jej Franklina, to czy może cofnąć się przed wydaniem parszywego miliona na największe osiągnięcie duchowe stulecia? Wziął pióro i podpisał. Potem podpisał starzec. Dwa te nazwiska, Beaumarchais i Wolter, widniały teraz obok siebie.

Przez okno widać było ogromny, szary gmach Bastylia, w której Wolter siedział dwukrotnie, a która groziła wydawcy jego utworów,

Ani nieobecność Wagniere'a, ani bardzo ożywione życie towarzyskie nie powstrzymały Woltera od pracy literackiej. Kiedy tylko mógł się znowu poruszać, kazał sobie dać rękopis, na podstawie którego grano Irenę, i wpadł w dziką furję z powodu zmian, dokonanych w ciągu ostatnich prób. Napisał teraz ostatnią wersję tragedii, zmieniał tekst, poprawiał go. Jednocześnie rozpoczął na nowo próby z aktorami. I nie spoczął, dopóki nie wydobył z nich wszystkiego, co dać mogli, dopóki nie zespolili się z jego dziełem.

Przyszedł na przedstawienie Ireny w tej ostatniej i ostatecznej wersji.

Drobny, suchy, staromodnie i pompatycznie ubrany, opatulony w futro z soboli, które mu przysłała cesarzowa Katarzyna, pojechał do Theatre Francais swoim błękitnym, usianym gwiazdami powozem, wszędzie witany z czcią i entuzjazmem. Westybul i korytarze teatru były tak nabite, że nie można było oddychać. Z trudem torowano mu drogę do jego łoży. Całowano go po rękach, wyrywano na pamiątkę włos z jego futra. Kiedy wreszcie wszedł do łoży, cała publiczność zerwała się z miejsc. Ludzie wrzeszczeli, tupali, na widowni unosiła się gruba chmura pyłu. Wreszcie rozpoczęło się przedstawienie, dla którego przyjechał do Paryża. Było czymś więcej, niż oczekiwał, gdyż od czasu wojowniczego kazania księdza Beauregard druzgoczące strofy wodza Alexisa, wymierzone w tron i ołtarz, nabrały nowych, donioślejszych akcentów. Były odpowiedzią rozumu na oskarżenia i obelgi miotane przeciw niemu przez Kościół i zabobony. Tak też przyjmowali je słuchacze. Burzą oklasków witali dźwięczne słowa, po zakończeniu sztuki cała publiczność została w zakurzonym, źle przewietrzonym

gmachu, by złożyć hołd przedstawicielowi rozumu. Kurtyna podnosiła się wiele razy. Na scenie, w sali cesarza Bizancjum, stało na cokole popiersie Woltera. Otaczali je aktorzy, jeszcze w kostiumach. Fale entuzjazmu rosły, opadały, znowu się podnosiły. Wolter tak to sobie wymarzył, nie, to było więcej, niż mógł marzyć. Śmiał się i płakał z radości. A równocześnie odczuwał pustkę i rozczarowanie. Czy to wszystko? Czy po to tu przyjechał, czy po to skrócił sobie życie? Tęsknił teraz do Ferney, do swego Wagniere'a, boleśnie odczuwał niemożność podyktowania mu kilku dumnych, ironicznych wierszy.

Jeszcze dotkliwiej pomieszał się w nim triumf z ironicznym, pełnym rezygnacji poczuciem znikomości sukcesu w kilka dni później, kiedy pojechał do Luwru, by objąć godność prezesa Akademii.

I tym razem zebrało się kilka tysięcy osób, by wydawać na jego cześć radosne okrzyki, które słyhać było daleko, aż za Sekwaną. Członkowie Akademii wyszli mu naprzeciw w uroczystym pochodzie, uczczono go na wielkim dziedzińcu; takich hołdów nie składano dotąd nawet książętom. Potem orszak towarzyszył mu do sali.

Obecny był również doktor Franklin. Przyprowadził swego kolegę Johna Adamsa, który siedział wśród publiczności. D'Alembert sławił Woltera w pięknym przemówieniu. Wolter podziękował i skłonił się w stronę klaszczącego w dłonie Franklina.

Rozległy się wołania, by obaj wielcy mężowie stanęli na podium. Uczynili to. „Musicie sobie paść w objęcia - rozległy się głosy. - Musicie się objąć i ucałować, jak tego wymaga francuski obyczaj”.

Obydwaj starzy ociągali się. Wiedzieli, że dźwięczne słowa i efektowne gesty to akcesoria każdej sławy, ale Franklin był wysoki i otyły, Wolter niski i niezmiernie chudy, obydwaj bali się śmieszności. Ale zdawali sobie również sprawę, że żądanie

jest usprawiedliwione. Obydwaj niemało przyczynili się do tego, by utorować drogę prowadzącą ku rewolucji amerykańskiej. Więc się podporządkowali. Objęli się i ucałowali w wyschnięte wargi.

„Jakimiż jesteśmy aktorami - myślał Wolter. - Ale to dobra scena, pełna znaczenia". Podobnie myślał Franklin.

Wolter obalił przesady przeszkadzające powstaniu Stanów Zjednoczonych. Dawno już wypowiedział zasady, z których zrodziła się rewolucja amerykańska, a formułował je tak przekonywująco, że objęły cały świat. Doktorowi przeszło przez głowę zuchwałe porównanie pana Caron, że jeżeli Francja jest duszą wolności, to pięść wolności stanowi Ameryka.

Stali tedy na podium, a wszyscy ich oklaskiwali; rozległy się wołania: „Złączeni ze sobą jak Solon z Sofoklesem!"

John Adams patrzył, słuchał i myślał: „Popularność tego doktora honoris causa to najmocniejsza pozycja kredytowa Ameryki w Europie". Myślał ponadto: „Świat chce być oszukiwany. Mimo że jestem tu na sali, nie we mnie, lecz w tym starym epikurejczyku widzą ci Francuzi reprezentanta arkadyjskiej cnoty".

- Nie powinien pan, drogi mister Adams – tłumaczył Franklin w drodze powrotnej - brać za złe paryżanom ich przesadnych, ekstrawaganckich hołdów. Jest to naród wychowany w ideałach monarchistycznych i dlatego wielkość musi się dlań ucieleśnić w jednej osobie. Ci ludzie chcieliby przypisywać zawsze wszystko jednostce; nie rozumieją, ilu dzielnych mężów musi współdziałać ze sobą, by doprowadzić do czegoś, co byłoby podobne do naszej Ameryki.

Mister Adams, zaskoczony tą skromnością, zadawał sobie pytanie, czy na miejscu Franklina wypowiedziałyby takie refleksje. Wieczorem, w obszernym liście opowiadał swojej Abigail o popularności Franklina. „Sława jego - pisał - jest

większa od sławy Leibniza, Newtona, Fryderyka czy Woltera. Nie ma rzemieślnika, woźnicy, praczki, nie ma człowieka w mieście czy na wsi, który by go nie znał. Jest uważany za przyjaciela całej ludzkości, ludzie spodziewają się, że powróci im złoty wiek. Twarz jego i jego imię znane są jak księżyc". Potem Adams opisywał scenę, która rozegrała się przed południem w Akademii. „Naprawdę - donosił - ci ludzie obejmowali się, ściskali, całowali: dwaj starzy komedianci na wielkiej scenie filozofii i cynizmu".

Przed starym domem Carona przy ulicy de Conde zatrzymał się powóz. Jakiś młody człowiek w podróżnym stroju zapytał lokaja:

- Czy pan de Beaumarchais jest w domu? Lokaj odpowiedział wyniośle, że monsieur de Beaumarchais mieszka teraz przy ulicy Saint-Antoine.

- Ach tak - odpowiedział nieznajomy - powinienem był się tego domyślić.

Tymczasem weszła Julia.

- To pan, panie Pawle! - zawołała. Na twarzy jej pojawił się lekki przestach, ale opamiętała się błyskawicznie. - Oczywiście zamieszka pan tutaj - zdecydowała - poślę zaraz po brata. - Wprowadziła Pawła do domu, wyznaczyła mu pokój, zajęła się jego bagażami.

Widok Pawła wzbudzał politowanie. Wielkie, ciemne oczy lśniły wprawdzie dawnym blaskiem, ale ciało robiło wrażenie ruiny. Paweł był przy tym niezwykle ożywiony, mówił, opowiadał bez przerwy. Oczywiście zawiadomił pana Beaumarchais o swoim przyjeździe, ale Anglicy musieli przechwycić pocztę.

Pierre również przeraził się na widok zmienionego przyjaciela i tylko z trudem się opanował. Paweł opowiadał, że teraz, po zawarciu sojuszu, niewiele miał do roboty za oceanem, sądził

więc, że będzie firmie Hortalez przydatniejszy w Paryżu. Wszyscy wiedzieli, że to nieprawda. Paweł wrócił, bo chciał umrzeć w Paryżu, a nie wśród ludzi Zachodu.

Chcąc może odwrócić myśli od tego tematu mówił i opowiadał. Informował, jak wielu zwolenników mają bracia Lee w Kongresie i w całym kraju. Paweł obawia się, że Silas Deane nie ostoi się przed intrygami tych ludzi. Również firma będzie jeszcze miała do zwalczenia niejedną trudność. W każdym razie liczni członkowie Kongresu są teraz zorientowani, czego Pierre dokonał, i pretensje firmy będą z całą pewnością kiedyś zaspokojone; oczywiście potrwa to jakiś czas. Potem opowiadał szczegółowo o stosunkach politycznych i ekonomicznych w Stanach Zjednoczonych.

Pierre słuchał. Miał wrażenie, że Paweł o wiele bardziej interesuje się polityką Ameryki niż sprawami firmy Hortalez. Pierre ubolewał również, że Paweł wcale nie pytał, co tymczasem zaszło w Paryżu. Carona rozsadzała po prostu chęć opowiedzenia Pawłowi o wszystkich swoich wielkich i mądrych osiągnięciach, o zaaranżowaniu spotkania Franklina z Toinette, o ukończeniu swego domu, o trudnościach i niebezpieczeństwach, w jakie go wpakowała małostkowość Kongresu, a przede wszystkim o nikczemności i niewdzięczności tego zazdrośnika Franklina. Wydawało się jednak, że Paweł jest pochłonięty własnymi myślami. Ku niezadowoleniu Julii Pierre zarządził, by Paweł jeszcze dzisiaj przeniósł się do domu przy ulicy Saint-Antoine.

Po południu Paweł udał się do swego starego lekarza, doktora Lafargue. Ten oświadczył, że stan jego zdrowia pogorszył się wskutek podróży, co zresztą doktor przewidywał. Teraz jest na szczęście pod dobrą opieką i prędko odzyska siły. Choć lekarz mówił z wielkim przekonaniem, Paweł nie wierzył ani jednemu jego słowu.

Potem - było to właściwym celem jego powrotu - rozpoczął samotny spacer po Paryżu. Spotykał znajomych, ale nie chciał z nikim mówić i krył się w tłumie; okazało się to zresztą zbyteczne, gdyż trudno go było poznać. Stał przez dłuższy czas na Pont-Neuf i na placu Ludwika XV, gdzie panował największy ruch, dawał się popychać, pozwalał, by mu wymyślano, był uszczęśliwiony. Usiadł w zadymionej kawiarni, potem poszedł do tawerny ojca Ramponneau. Ludzie pili, śmiali się, śpiewali stare i nowe pieśni, sentymentalne i swawolne. Słuchał z uśmiechem, jak pogwizdywali i podśpiewywali piosenkę z Cyrulika. Dokazywali, palili, kilku awanturników trzeba było wyrzucić. Pozostali utworzyli koło i kołyszac się, śpiewali chórem:

„Frere Jacques. frerc Jacques. ding, ding. dong” („Panie Janie, panie Janie, rano wstań”).

Potem znalazł się znowu na ulicy, wsłuchiwał się w głosy przekupniów. Kobiety sprzedające sałatę zachwalały ją jako coś najzdrowszego. Sprzedawcy serów krzyczeli:

„Dobry, dojrzały, śmierdzący livaro, camembert, dobry, dojrzały!” A wyplatacze krzesel wołali: „Proszę dać swoje krzesło do wyplatania, paniusiu, dlaczego ma pani siedzieć na ziemi”. Dziewczęta zaś sprzedające kwiaty tak zachwalały swój towar: „Jak nasze fiołki pachną, jak pachną! Będzie pani także pachniała, piękna damo”.

Paweł widział wiecznie śpieszących się paryżan, widział kobiety, które zawsze miały dość czasu, by, zagadnięte, odpowiedzieć, słyszał, widział, czuł całe to życie. I zrodziła się w nim mała, niemądra nadzieja, że jednak może doktor Lafargue nie skłamał. Przecież to nie do pomyślenia, by wszystko to miało pozostać, a jego już nie będzie.

Bezpośrednio potem poczuł się nieskończenie słaby, wziął pierwszy lepszy przejeżdżający powóz i pojechał do Beaumarchais'go na ulicę Saint-Antoine.

Tymczasem Pierre opowiedział Teresie o powrocie Pawła. Nie ukrywał przed nią, że przyjaciel wygląda przerażająco i że chyba niewiele ma życia przed sobą.

- Ta Ameryka niedobrze mu zrobiła - powiedział i w słowach jego było wszystko: poczucie winy, skrucha, chęć obrony. Miał nadzieję, że Teresa nie będzie znowu o tym wszystkim mówiła. I tak się też stało.

Zaraz po przywitaniu Paweł musiał się położyć. Później, przed obiadem, Pierre oprowadził go trochę po domu. Ale Paweł czuł się wyczerpany, nie mógł obejrzeć wszystkiego szczegółowo, nie okazywał zresztą istotnego zainteresowania. Nawet wielki projekt wydania dzieł Woltera zdawał się nie budzić w nim entuzjazmu. Za to okazywał gorące, przyjazne zainteresowanie wszystkim, co dotyczyło stosunku Carona do wielkiej sytuacji historycznej. I był bardzo poruszony słuchając, jak Pierre opowiadał mu o niepojętej wrogości Franklina. Później jednak, kiedy Pierre informował go o szczegółach swej zawikłanej sytuacji materialnej, pogrążył się znowu w zadumie. Raz tylko wtrącił niespodziewanie, że nie martwi się o przyjaciela i jest pewien, że wszystko dobrze się skończy. Zdanie to brzmiało jak podsumowanie tego, co powiedział Pierre; od tej chwili Pawłowi trudno było utrzymać na twarzy wyraz zainteresowania. I nagle Pierre zrozumiał, że ten młody człowiek skończył z bardzo wieloma sprawami, że są martwe dla niego, a on dla nich; tak też jest na przykład z interesami firmy Hortalez. Pierre czuł, co to znaczy, i zdjął go strach.

Nazajutrz, nie mówiąc nic Caronowi, Paweł pojechał do Passy. W drodze czuł się bardzo osłabiony, gnębiła go myśl, że zjawienie się u Franklina bez zameldowania to natręctwo. Omal nie zawrócił. Wreszcie dotarł jednak do „ogrodu”. Przyjął go monsieur Finck, spojrzął badawczo na przybysza i powiedział:

- Pan doktor filozofuje.

Paweł stał z niezdecydowaną miną.

- Więc chyba najlepiej będzie, jeżeli wrócę do domu - powiedział. Pan Finck spojrzał na niego jeszcze raz, a potem, widocznie poruszony tonem jego słów, powiedział:

- Spróbuję pana zameldować.

Franklin przyjął go w ogrodzie, pod bukiem.

- Przeszkadzam? - zapytał Paweł.

- Proszę usiąść przy mnie - odpowiedział Franklin spokojnie i pogodnie właśnie dlatego, że był poruszony widokiem tej umęczonej twarzy. - Proszę przynieść trochę madery - polecił Finckowi.

Siedzieli więc razem, a u ich nóg piękny park kłonił się ku Sekwanie. Patrzyli na rzekę i na Paryż rysujący się szarosrebrzyście na przeciwległym brzegu. Przez młodą zieleń wielkiego buka sączyło się łagodne słońce. Franklin zdjął okulary i bawił się laską. Siedzieli obok siebie, od czasu do czasu zamieniając spojrzenia, czuli nawzajem swoją obecność z wielką siłą.

Franklin prosił, by mu Paweł opowiedział o swych wrażeniach z Ameryki. Paweł mówił szczerze o niejednym rozczarowaniu, które mu zgotowała brutalność i surowość tego młodego kraju. Torysi są nie tylko liczniejsi, niż Paweł przypuszczał, ale wielu z nich miało okazję przyswoić sobie wykształcenie i dobre maniery. Republikanie musieli więc zwalczać nie tylko Anglików, ale również i silny miejscowy sojusz warstw wykształconych i posiadających.

Paweł mówił po angielsku powoli, lecz poprawnie.

- Mais ca ira - powiedział z lekkim uśmiechem. - Mieszkaniec tego kontynentu - ciągnął dalej - nie może sobie po prostu wyobrazić, nie zobaczywszy tego na własne oczy, co to znaczy żyć w części świata nie obciążonej tradycjami wielu stuleci. Ta Ameryka nie tylko nie ma starych zamków, ale już

przed rewolucją miała mniej od nas kultu dla przywilejów i kastowych przesądów. Oczywiście wiedzieliśmy o tym, ale kiedy spotykałem się z tym za oceanem, za każdym razem byłem na nowo wstrząśnięty. Ton, którego obywatele używają w obcowaniu z władzami, którym posługują się oficerowie w stosunku do żołnierzy, był dla mnie czymś cudownym, czymś, co działa na mnie jeszcze i dzisiaj. I jeszcze jedno: kiedy się przybywa stąd, czuje się dopiero, jak rozległa i pusta jest ta Ameryka ze swoimi trzema milionami mieszkańców. Nasza Europa jest tak przesycona ludźmi, książętami, narodami, przywilejami. Potrafiliśmy wysunąć i uzasadnić postulat zbudowania państwa na zasadach rozsądku, ale stworzyć takie państwo można było tylko w Ameryce. Tam dopiero poczułem, co znaczą słowa Leibniza: „Kraj ten jest nie zapisaną kartą, na której można wypisać wszystko”.

Paweł mówił powoli, nie zawsze znajdował właściwe słowo. Franklin słuchał uważnie, pociągał od czasu do czasu łyk madery, rysował laską na piasku. Chwilami, nie przestając słuchać, spoglądał na Pawła z boku, stwierdzał oznaki rozkładu, potem patrzył na swoje ręce, opalone i popękane od wiatru, myślał o rozkładzie własnego ciała, o tym, że każde życie ludzkie to od samego początku powolne umieranie, i o tym, ile się mówi o istocie starzenia się, a jak mało się o niej wie. Musi kiedyś porozumieć się z doktorem Ingerhouszem; swego czasu człowiek ten powiedział mu dużo mądrych rzeczy o zahamowaniach w obiegu krwi na starość.

Tymczasem Paweł skończył opowiadać.

- Dobre pan poczynił obserwacje, mój przyjacielu - odpowiedział Franklin. - Nasi torysi są liczebnie silni i rekrutują się przeważnie z kół wykształconych. Ale jeszcze niebezpieczniejsi są owi letni obywatele, nie będący ani przyjaciółmi, ani wrogami. Dla nas Amerykanów, których zadaniem jest nie tylko obserwacja, lecz przede wszystkim

walka, istnieje tylko jedna droga: nie dać się zbić z tropu wielorakiemu aspektowi spraw. Tu w Paryżu wolno okazywać zrozumienie dla bardziej subtelnych rozgałęzień każdego problemu, kto jednak chce się utrzymać w takiej walce jak nasza, musi dążyć do prostoty myślenia. Nie zawsze jestem - uśmiechnął się przy tych słowach - wiejskim filozofem, jakiego we mnie widzą w tym kraju. Ale jeżeli chcę mieć jasny pogląd na całokształt sytuacji Ameryki, usiłuję patrzeć prosto i myśleć wielkimi kategoriami.

Zwrócił w stronę Pawła potężną głowę, szerokie, głęboko osadzone oczy patrzyły spokojnie, niemal surowo.

Była to dla Pawła niemała satysfakcja, że Franklin mówił z nim jak z człowiekiem zaufanym. W pewnej chwili wypowiedział głośno swoją myśl:

- Dlaczego obłożył pan aresztem towary pana Beaumarchais, doktorze Franklin?

Paweł był przerażony własną śmiałością. W Franklinie zawrzał gniew na tego młodzika, który miał odwagę kazać mu się tłumaczyć. Zanim jednak gniew ten dotarł do rysów jego szerokiej twarzy, już zdążył się rozwiać. Przecież upoważnił tamtego przez własną szczerą, jeżeli kto, to właśnie ten moriturus, który dla Ameryki i dla owego pana Caron skrócił swe życie, miał prawo postawić mu to pytanie. Młodzik nie rozumiał, jak człowiek uchodzący za mądrego mógł tak niemądrze postępować. Nie rozumiał tego i sam Franklin.

- To, co uczyniłem - powiedział - było zrobione w pośpiechu, wypłynęło z gorącej krwi.

Sposób, w jaki Franklin wypowiedział te słowa, rozculił Pawła. Fakt, że wielki człowiek działał pod wpływem kaprysu, nie oglądając się na rozsądek, ściągał go z nieosiągalnej wyżyny, czynił z niego istotę podobną do innych. Z posagu, który budził podziw, stał się człowiekiem z krwi i kości. Równocześnie jednak Paweł uświadomił sobie z

bólem, że między Caronem a Franklinem nie ma drogi porozumienia. Niechęć jego „płynęła z gorącej krwi”, tu nie pomoże głos rozsądku. Ale te uczucia i obserwacje Pawła przesłoniła wielka wdzięczność. Był temu staremu człowiekowi głęboko wdzięczny, że pozwolił mu zajrzeć w ciemne tajniki swej duszy, czuł mu się bliski.

Franklin pozostał sam, była w nim mieszanina uczuć. Dobrze jest siedzieć w łagodnym słońcu i patrzeć na piękny Paryż. Kiedy jednak pomyślał, że ten młody pan Theveneau prawdopodobnie za rok nie będzie już istniał, natomiast on razem ze swoją podagrą i swoją egzemą zapewne jeszcze żyć będzie, ogarnęło go uczucie przykrości, pomieszanej jednak z zadowoleniem.

Odpędził makabryczne myśli i zaczął zastanawiać się nad swą dziwną antypatią do pana Caron. Wiedział dokładnie, co ten pan Caron uczynił dla Stanów Zjednoczonych, uświadamiał sobie, że zatrzymywanie przez Kongres dobrze zasłużonych pieniędzy było niesłuszne, że właśnie on, Franklin, ma specjalny powód do wdzięczności dla tego pana! Ale refleksje te nic nie pomogły; ten tak bardzo francuski pan Caron ze swoim ożywieniem i swoją przesadną gadaniną pozostał mu niemiły.

Próbował kpić z tej swojej antypatii, przypomniała mu się anegdota, którą niedawno ułożył. Oto marchese Gorgonzola spotyka wicehrabiego de Roquefort.

- Może ten Gorgonzola ma swoje zasługi - opowiadał później pan de Roquefort - ale bije od niego jakiś dziwny zapach.

Wkrótce potem Teresa zwróciła się do Pawła z prośbą, by jej wreszcie obszernie i zupełnie szczerze opowiedział o Ameryce. Było to w obecności Felicjana. Obydwaj młodzieńcy, Paweł i Felicjan, nabrali życia - Paweł dlatego, bo mógł mówić, Felicjan, bo miał okazję słuchać.

Powrót Pawła i jego obecność pod tym samym dachem poruszyły Felicjana. Ani Pierre, ani Teresa nie mówili mu o istotnej przyczynie podróży Pawła do Ameryki. Ale własne rozmyślenia naprowadziły go na to, że Paweł świadomie poświęcił część swego ziemskiego żywota, by przeżyć to nowe, tę Amerykę. Jeżeli ktoś był gotów zapłacić za to życiem, wrażenia takie musiały być bardzo cenne.

Teraz, kiedy miał okazję widzieć i słyszeć Pawła, Felicjan chodził lekko odurzony.

Paweł opowiadał, on zaś nie spuszczał oczu z jego warg; miało się wrażenie, że ten gorący współudział podnieca Pawła. Mówił prostymi, ale mocnymi słowami, nie ukrywał nieprzyjemności, jakie go spotkały. Mówił o olbrzymich trudnościach, jakie ma do pokonania ludność po tamtej stronie oceanu. Opowiadał, jak nawet spokojni ludzie pod wpływem ciągłych niepowodzeń wpadają w rozdrażnienie i stają się nieznośni. Poza tym ludzie po tamtej stronie oceanu nie nauczyli się ukrywać przystępów złego humoru pod maską dobrych manier. Egoizm nie zadaje sobie trudu maskowania się, ukazuje się w formie bezwstydnie nagiej i odrażającej. Powtarzał to kilkakrotnie, popierając swe opowiadanie licznymi drobnymi przeżyciami.

- Ale - ciągnął dalej - z tych wielu częstokroć żałosnych szczegółów powstaje jednak w końcu szlachetna, fascynująca całość. Ludzie są mali, czy jednak chcą tego, czy nie chcą, ich wielka sprawa, wola rozsądku, która jest najlepszą cechą tego stulecia, dążenie do rozumnego ustroju państwowego popycha ich, dodaje im bodźca; I choć poszczególne jednostki zachowują się jak najgorzej, naród jako taki, na przekór wszystkim ciężkim ciosom, uparcie okazuje otuchę, podziwu godny spokój.

- Ogarniało mnie wciąż zdumienie - mówił - zarówno podczas pertraktacji z kłótliwymi, podejrzliwymi członkami Kongresu,

jak i podczas rozmów z wymyślającymi żołnierzami generała Waszyngtona, że tacy mali ludzie postanowili wprowadzić w czyn tak wielką sprawę jak ta republika wolności i rozumu - i potrafią ją utrzymać. Kiedy jednak wziąłem udział w jednym ich zebraniu, zrozumiałem to. Gdy się jest wśród ludzi w Anglii czy we Francji, człowiekowi jest może ciepło i przyjemnie, ale nic więcej. Tymczasem w Ameryce, w tak olbrzymiej masie, zawsze nadchodzi chwila, kiedy się zapala coś wielkiego. Wyrosnąć razem z masą ponad to, czym się jest, dać się porwać, stać się jej częścią i nie wstydzić się tego - wszystko to możliwe jest dzisiaj tylko w Ameryce. My, Francuzi - zakończył - mamy naszych Monteskiuszów, Helvetiusów, Turgotów, Wolterów, Jean Jacques'ów, no i mego przyjaciela Beaumarchais. Ale wszyscy nasi bohaterowie, poeci i filozofowie nie umieli wyciągnąć Francji z jej politowania godnej sytuacji, podczas gdy ci prości obywatele i chłopci potrafili zrzucić ze swych karków angielskich wyzyskiwaczy.

Ostatni krwotok schwycił Pawła w ogrodzie, niedaleko od świątyni Woltera. Doktor Lafargue oświadczył, że nie przeżyje dnia. Choć Pierre i jego najbliżsi powinni byli właśnie przewidzieć taki koniec, to, co się stało, spadło na nich jak grom z jasnego nieba.

W ciągu swoich ostatnich godzin Paweł był całkowicie przytomny. Otaczali go Pierre, Teresa i Felicjan. Pierre musiał bardzo panować nad sobą, by nie wybuchnąć głośnym płaczem. Paweł powiedział:

- Teraz przynajmniej są ludzie w Ameryce, którzy wiedzą, że bez pańskiej pomocy Stany Zjednoczone nie mogłyby zwyciężyć. - Po jakimś czasie dodał: - Dobrze, że pojechałem do Ameryki, nikt nie powinien nad tym ubolewać. -

Powiedział jeszcze: - Doktor Franklin wyraził żal, że kazał skonfiskować pana towary.

Pierre spojrział nań osłupiałym wzrokiem.

- Był pan u Franklina? - zapytał. Paweł skinął głową, na twarzy jego pojawił się cień przebiegłego uśmiechu.

Wielki, imponujący Pierre zalewał się łzami nad trupem; sztuka panowania nad sobą była mu obca. Miał uczucie, że wraz z tym młodzieńcem utracił najlepszą część samego siebie. Zapomniał o Teresie. Nigdy już nie znajdzie takiego przyjaciela. Nie ma na świecie nikogo, kto znając wszystkie jego słabości, z takim przekonaniem opowiedziałby się po jego stronie. Rozpaczał głośno i nieopanowanie, oskarżał się w patetycznych słowach, że nie przeszkodził wyjazdowi Pawła do Ameryki.

Felicjan patrzył na umarłego tak, jakby chciał na zawsze zapamiętać jego rysy. Kiedy tak stał i patrzył, wyglądał nad wiek staro, robił wrażenie dorosłego.

Po chwili załzawione oczy Beaumarchais'go zobaczyły chłopca; Pierre uświadomił sobie różnicę między własną postawą a tą, którą zajął Felicjan. Przestał biadać. Spojrział teraz na Felicjana niemal z lękiem. Po czym wyszedł nagle z pokoju.

Umył się, usiadł przy biurku. Suka Caprice przyglądała mu się uważnie, nie rozumiejąc, co mu jest. Rozmyślał. Zastanawiało go to, że ostatnie słowa Pawła dotyczyły Franklina. Choć Paweł wypowiedział je przez wzgląd na niego, Pierre poczuł się dotknięty. Miał w sobie i dokoła siebie pustkę, chłód, ubóstwo - zdarzyło mu się to po raz pierwszy w życiu.

Chciał urządzać Pawłowi wspaniały pogrzeb. Teresa jednak mu to odradziła. Mówiła łagodnie, ale z tak stanowczą miną, że Pierre zrezygnował ze swego planu. Zakomunikował tylko szczupłemu gronu osób, kiedy odbędzie się pogrzeb.

Ale wieść rozeszła się szybko. Konduktowi towarzyszyły liczne pojazdy, między innymi pojazd doktora Franklina.

Już od dawna, jeszcze w czasie kiedy cierpiał udręki w kolegium Montaigu, Felicjan powziął plan wyjazdu do Ameryki. Ludzie Zachodu walczyli w obronie tych, którzy byli pozbawieni praw, przeciw uprzywilejowanym, mścili się więc i za jego poniżenia doznane w kolegium. Zwycięstwo pod Saratogą stało się nową pożywką dla jego projektu. Na życzenie Beaumarchais'go rozpoczął studia prawnicze, ale nie odpowiadały mu, były za suche. Chciał jechać do Ameryki, coś go ciągnęło, czuł, że to jego przeznaczenie. Tu w Europie życie było jak stojąca woda, w Nowym Świecie można było żyć w myśl zasad Woltera, Rousseau, zgodnie z zasadami rozsądku i natury.

Po śmierci Pawła plan Felicjana zmienił się w decyzję. Uważał za obowiązek pracować dalej tam, gdzie Paweł musiał przerwać swą działalność. Idee europejskie przeskoczyły poza ocean i zapłonęły tam; misją wszystkich ludzi dobrej woli było podsycanie ognia i przerzucenie go na stały kontynent.

Dopóki plan był tylko mglistym pomysłem. Felicjan z nikim o nim nie mówił. Nawet wtedy, kiedy powziął decyzję, niełatwo mu było otworzyć usta. Zastanawiał się, komu się zwierzyć, Teresie czy Weronice. Zdecydował się wreszcie na Weronikę. W obecności Weroniki odczuł całą wielkość swej ofiary, ale to nie zachwiało jego postanowienia. Mówił z początku jękając się, później z coraz większym entuzjazmem. Nie mówił: „ja chcę”, mówił: „ja będę”.

Weronikę ogarnęła panika, której jednak nie można było wyczytać na wychudłej twarzy o wielkich oczach. Wiedziała, że przyjaciel jej, Felicjan, kocha ją, że jeżeli teraz pojedzie do Ameryki, może go utracić na zawsze, i myśl o tym rozdzierała jej serce. Ale rozumiała, że obowiązkiem Felicjana było

pojechać. Bo jakież może być cnota, za którą nie trzeba płacić wysokiej ceny?

W przedstawieniu urządzonym przez wychowawice klasztoru grała niedawno Berenikę Racine'a. Tytus miał tam przed sobą te same moralne problemy, jakie stanęły teraz przed Felicjanem. Tak samo jak Tytus, musiał Felicjan ponieść tę ofiarę dla dobra państwa, ludzkości. Udziałem ukochanej i kochającej kobiety było cierpienie. Nie wątpiła, że gdyby tego chciała, potrafiłaby zachwiać decyzją Felicjana i skłonić go do pozostania. Ale wielki poeta wskazał jej, co ma robić. Przewyciężyła pokusę. Powiedziała sobie, że bardziej niż ktokolwiek powinna się uważać za szczęśliwą, iż najwyższa Istota żądała od niej tak bolesnej ofiary, bardziej bowiem niż inne kobiety była zobowiązana ponieść ofiarę w imię najwyższych ideałów. Z wolna pojęła, że sposób, w jaki ojciec pełni swój urząd, nie jest ani szlachetny, ani sprawiedliwy i niewielką przynosi korzyść zarówno krajowi, jak i ludzkości. Weronika musi to teraz naprawić.

Przyglądała się bacznie ostrej, kanciastej twarzy Felicjana, jego wielkim, poważnym oczom. Wydawał jej się bardzo męski - kochała go. Siedzieli w ogrodzie pałacu Montbarey, trzymali się za ręce. Weronika powiedziała:

- Tak, Felicjanie, to, co pan chce uczynić, jest sprawą ciężką i wielką. - Przewyciężając się, dodała: - Ciężką i dla mnie. - Po chwili powiedziała twardo, władczo, niemal brutalnie: - Niech pan to zrobi.

Kiedy Felicjan opowiedział o swoim zamiarze Caronowi, Pierre zamyślił się głęboko. Pojęcie rodziny w jak najszerszym znaczeniu tego słowa było czymś danym przez naturę, czuł się głową rodziny, uważał tę swoją pozycję za coś zrozumiałego samo przez się. Był absolutnym władcą swoich sióstr, bratanków, siostrzeńców, szwagrów, zięciów, ciotek, czuł się za nich odpowiedzialny, rozciągał to również i na

Felicjana. Nie łączyły go z nim bliskie stosunki; czuł się wobec tego chłopca jakiś skrepowany, ale był to przecież syn jego nieżyjącej siostry, kochał go na swój sposób, a w każdym razie ponosił za niego odpowiedzialność.

Fakt, że gwałtowny, poważny Felicjan okazał nagle taką skłonność do wielkich przygód, był dla Beaumarchais'go niespodzianką. Widocznie idea wolności w jakiś nieprzemyślany sposób pociągała członków jego rodziny. Wzruszało go to, ale i napełniało goryczą. Sam stracił majątek i najlepsze swoje lata na walkę o wolność Ameryki, bratanek jego, Ludwik de Fleury, został ranny w bitwie pod Brandywine, najbliższy przyjaciel, Paweł, umarł dla Ameryki, a teraz znów Felicjan chce jechać do tego niewdzięcznego kraju, dla którego złożyło się tyle ofiar.

Nie, Pierre nie da na to zgody. Dostyc już zrobił dla sprawy wolności. Nie odda jeszcze i tego chłopca.

Oświadczył Felicjanowi, że decyzja ta jest szlachetna. Nikt nie rozumie jej lepiej od niego, który powziął i przeprowadził niejedno śmiałe postanowienie. Ale plan jest przedwczesny i z uwagi na młody wiek Felicjana nierozsądny, Felicjan powinien go odłożyć. Niech studiuje dalej, za rok, dwa, jeżeli jeszcze będzie obstawać przy swoim zamiarze, Pierre pośle go do Ameryki.

- Wtedy Amerykanom nie będą już potrzebni ochotnicy - odpowiedział Felicjan.

- Miejmy nadzieję - odrzekł wesoło Pierre.

Felicjan zamilkł, spojrzął na wuja, ukłonił się niezgrabnie i powiedziawszy: - Dziękuję za rozmowę - oddalił się.

Ani myślał ze swego zamiaru zrezygnować. Lubił porządek i systematyczność, ale teraz ze względów moralnych czuł, że musi rzucić się w wir przygód; to, że mu ktoś utrudnia realizację przedsięwzięcia, wzmagało jeszcze jego upór. Rozwazał z Weroniką argumenty i kontrargumenty. Doszli do

przekonania, że to, co Felicjan odczuwa, jest słuszne, gdyż tkwi korzeniami w rozsądku; ma obowiązek opuścić rodzinę i wyjechać potajemnie.

Weronika pierwsza poruszyła pewien ważny punkt.

- Potrzebuje pan pieniędzy, Felicjanie - powiedziała.

Felicjan myślał już o tym. Znalazł nawet na to sposób, ale zrodziły się w nim wątpliwości, czy plan jego da się pogodzić z postulatami cnoty.

W rozrzutnej gospodarce domowej Beaumarchais'go pewna suma pozostawała zawsze do dyspozycji krewnych. Liwry, ecu, czasami nawet luidory leżały zwykle za wiadomym, grubym tomem Encyklopedii. W tym miesiącu pieniądze były ukryte za tomem: „Natura - Pompeja”. Stryj Pierre nieraz zachęcał Felicjana, by czerpał z tego źródła w razie pilnej potrzeby; czy była do pomyślenia pilniejsza potrzeba? Z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, że skoro stryj zabronił mu tej podróży, to nie uważałby, że potrzeba jest pilna. Czy więc sięgnięcie po te pieniądze nie będzie kradzieżą? Weronika zaprotestowała. Jeżeli pan de Beaumarchais nie życzy sobie, by Felicjan wyjechał do Ameryki, to tylko dlatego, by go uchronić od niebezpieczeństw, a nie ze względów oszczędnościowych. Skoro pan de Beaumarchais, jak wiadomo całemu światu, poświęcił dla Ameryki miliony, nie może mieć nic przeciw temu, by bratanek jego na ten sam cel poświęcił z wspólnej kasy o kilka ecu więcej. Po zwalczeniu wielu jeszcze skrupułów Felicjan powziął decyzję. Ale za tomem „Natura - Pompeja” leżał jeden parszywy liwr. Nie ruszył go nawet.

Weronice nie powiedział o tym niepowodzeniu ani słowa. Kiedy jednak przed wyjazdem spotkał się z nią po raz ostatni, zapytała, jak wygląda sprawa pieniędzy na podróż. Nie chciał jej skłamać na pożegnanie i powiedział, że ma cztery liwry, siedem sous. Ale, dodał, to nic nie szkodzi; pójdzie pieszo, aż

dotrze do któregoś z północnych portów. Teraz, po zawarciu sojuszu, wypływają stamtąd na Zachód liczne statki. Znajdzie z pewnością środki i drogi, by się przeprawić za ocean. Ale Weronika, która do całego przedsięwzięcia odnosiła się z wielką przezornością, miała przy sobie wcale niebagatelną sumkę - trzy luidory - i prosiła go, by wziął te pieniądze. Bronił się. Nie nalegała.

Mówił znowu o wielkich sprawach, które go czekają za oceanem. Nastąpiło tam idealne połączenie i urzeczywistnienie snów Rousseau z logicznymi postulatami Woltera; tłumaczył jej, jak to rozumie. Słuchała tylko jednym uchem. Z chwilą kiedy Felicjan wypowiedział nazwisko Jana Jakuba, przypomniały jej się owe stare, popularne strofy, którym Rousseau nadał taką formę: „Radosne rzesze ptaków, miejcie litość nade mną, nie śpiewajcie, nie śpiewajcie! Ukochany, który miał mnie uszczęśliwić, odjechał do dalekich krajów. Dla skarbów Nowego Świata porzuca miłość, wzywa śmierć. Czemuż szuka za oceanem szczęścia, które ma tutaj?” Potem pożegnali się. Chciał ucałować jej dłoń, ale ona z wielką nieśmiałością zarzuciła mu rękę na szyję. Przytulił się do niej niezgrabnie, poczuł dotyk jej ciała, całowali się długo, dygocąc, trzymając się mocno w objęciach.

Już w drodze stwierdził, że w czasie gdy jej opowiadał o Rousseau i Wolterze, wsunęła mu pieniądze do kieszeni.

Vaudreuil grał z księciem Karolem w jeu de paume; kazał rozbudować i wyposażyć nowocześnie salę Jeu de Paume w swej posiadłości wiejskiej Genneyilliers. W ostatnich czasach poświęcał dużo czasu tej grze. W ogóle uprawiał w tym okresie liczne sporty. Kiedy jeździł konno, polował, uganiał za piłką, najłatwiej pozbywał się podniecenia, które go zżerało. Wojna, która przyjść musiała, była jego wojną. On się przyczynił do niej, chciał, by się już zaczęła, chciał wyruszyć

na nią, brać w niej udział. Tymczasem Ludwik czynił wszystko, by odwlec jej wybuch.

Czekanie wpływało fatalnie na nerwy markiza Vaudreuil. Wersalu i dworu miał powyżej uszu. Myśl o tym, że będzie spał z Toinette, straciła swój urok, Trianon i Klanik Liliowego Bzu wydawały mu się stojącą wodą. Cały ten zbyt kowny, sztuczny tryb życia odpychał go. Nie usiłował już nawet ukrywać niezadowolenia i zniecierpliwienia pod płaszczkiem dawnej wyniosłej uprzejmości.

Książę Karol, który we wszystkim małpował markiza Vaudreuil, podzielał jego pasję do sportu i trenował z nim zaciekle. Vaudreuil był mocny, zwinny i w grze znacznie nad nim górował. Jak długo książę był mu potrzebny, dawał mu wygrywać. Ostatnio jednak pokazał mu ze złośliwą bezwzględnością, jak partacka jest jego gra. Desiree przyglądała się im z galerii. Może obecność jej sprawiała, że Vaudreuil traktował dziś księcia wyjątkowo wyniosle.

W ostatnich czasach czuł się coraz mocniej związany z Desiree. Potrzeba mu było wielu kobiet najrozmaitszego rodzaju, taką już miał naturę i początkowo traktował Desiree jako jedną z wielu. Im bardziej jednak miał dosyć Toinette i Wersalu, tym silniej pociągała go Desiree. Z nią się nie nudził. We wszystkim, co robiła i mówiła, tkwiło zdrowe, pospolite ziarno natury. Poza tym rozeszła się pogłoska, że odrzuciła propozycję małżeńską Lenormanta. Markiz był dość rad, że uważają go za oficjalnego kochanka Desiree.

Książę był zdumiony, że nie udaje mu się dziś odbić ani jednej piłki. Udawał, że nie słyszy żartów markiza; młody, przystojny, rozpieszczony panicz nie mógł sobie wyobrazić, by ktoś naprawdę ośmielił się kpić z niego. Ale kiedy w pewnej chwili wymknęła mu się znowu piłka, zdawałoby się, pewna, zobaczył, jak Vaudreuil uśmiecha się kącikami ust, i mimo woli przypominał sobie pewien szczegół z pierwszego

okresu ich znajomości. Kiedy w owym czasie mijał stojące wśród drzew popiersie Ludwika XV, miał zwyczaj kiwać ręką w jego stronę i wołać: „Dzień dobry, dziadku!” Za piątym czy szóstym razem popiersie odpowiedziało: „Stul pysk, łobuzie!”, i książę miał wrażenie, że nieżyjący dziadek powiedział to głosem markiza. Przypomniawszy to sobie teraz. Odrzucił rakiety i powiedział:

- Przestańmy grać, obydwaj jesteście dziś w złej formie.

Przy stole książę skierował rozmowę na przygotowanie do przedstawienia amatorskiego w Trianon i zły humor markiza rozwiął się. Sprawa posunęła się tak daleko, że Toinette miała zamiar wystąpić w swym teatrze już w najbliższym czasie, ze wszystkiego zaś, co się działo w Wersalu, jedyną sprawą, którą poważnie interesował się Vaudreuil, były przedstawienia w Trianon. Ambicją jego było postawić je na najwyższym poziomie.

Odbywano próby sześciu niewielkich utworów, chcąc wystawić po dwa na jeden wieczór. Vaudreuil nie zdecydował się jeszcze, jakimi sztukami otworzy swój „teatr wielkich panów”. Wybór sztuk, tak samo jak ich obsada, miał mieć ukryte, pikantne znaczenie. Napotykał trudności; obydwaj, zarówno książę Karol, jak Vaudreuil, nie krępowali się omawiać ich z Desiree.

Ot, na przykład Toinette przyszło do głowy, że musi grać także Józefina, żona księcia Ksawerego; jest tak przerażająco niezgrabna i pozbawiona wszelkiego talentu, że wszyscy bawiliby się patrząc, jak się męczy na scenie. Ale Józefina poczuła pismo nosem, wzdragając się. Popierał ją w tym książę Ksawery, który sam uważał się za dobrego aktora i chętnie występował.

Jeżeli chodzi o Toinette, to obaj panowie byli zgodni, że traktuje próby poważnie i wykazuje wielką gorliwość. Książę Karol uważał, że to niestety nie wystarczy. Brak jej techniki, a

obaj starzy aktorzy, którzy jej udzielają lekcji, nie są właściwymi ludźmi. - To pani, Desiree, powinna się trochę zająć moją szwagierką - powiedział kiedyś żartem książę Karol.

Desiree poprzestała na uśmiechu. Ale żartobliwa zachęta księcia zapadła jej w serce. Od markiza i innych przyjaciół z Klaniku Liliowego Bzu słyszała o pasji Toinette do swego amatorskiego teatru, nieraz myślała o tym, by poprzez „teatr wielkich panów” wtargnąć do kręgu Toinette. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie dałoby się to przeprowadzić bez zawiłych intryg i że przede wszystkim inicjatywa nie może wyjść od niej. Z chwilą kiedy książę Karol poruszył tę sprawę, owa perspektywa zaczęła ją nęcić z nową siłą.

Desiree musiała pokonać niejedną trudność, by zostać członkiem Theatre Francais. Wzrost miała niewielki, jej gra rozsadzała klasyczny styl zespołu, wielu uważało, że jest zbyt „współczesna”. W ostatnich czasach walka o nią zaostrzyła się. Aktor Lekain, który zawsze stawał po jej stronie, umarł, książę de Fronsac, intendent, któremu Theatre Francais podlegał i na którego poparcie mogła dotychczas liczyć, nagle zajął wobec niej nieprzychylną postawę. Zgadywała, kto się do tej zmiany frontu przyczynił. Była sama sobie winna. Pan Lenormant należał do przyjaciół księcia de Fronsac; to on podszczuwał go przeciw niej.

Gdyby się jej udało zdobyć przyjaźń królowej, mogłaby śmiać się z tych ataków. Charlot ze swoim księciem de Fronsac nic nie poradzi przeciw Toinette. Słowa księcia Karola były żartem, ale tylko w połowie. Desiree postanowiła dawać królowej lekcje gry scenicznej. Przeworsuje to jeszcze dzisiejszego wieczora.

Desiree lubiła markiza Vaudreuil. Był mądrzejszy od innych arystokratów, których znała, jego nienawiść i jego miłość były mniej powierzchowne, jego dzikie kaprysy miały wdzięk,

umiał z gestem trwonić pieniądze. Ale zarówno jego, jak i pozostałych arystokratów otaczała gęsta chmura pychy i przesądów. Na przykład z pewnością nie przejrzał figla, jaki mu spletała razem z Caronem, doprowadzając wówczas do spotkania Franklina z królową. Nie mógł sobie wyobrazić, by można było zakpić z niego, markiza de Vaudreuil, wielkiego sokolnika, intendenta królowej. Właśnie dlatego pociągało ją to, by poczuć swą mieszczańską wyższość nad jego arystokratyczną pychą i użyć go jako swoje bezwolne narzędzie.

Jedno było pewne: gdyby poprosiła, żeby jej pomógł u Toinette, odmówiłby bez wahania. Musi doprowadzić do tego, by sam wystąpił z tym projektem. Trzeba było użyć na to skomplikowanych dróg okrężnych.

Na szczęście, kiedy po odejściu Karola zostali sami, Vaudreuil zaczął mówić na nowo o „teatrze wielkich panów”. Opowiadał jej, że pierwszego wieczoru, na który z pewnością przyjdzie Ludwik, chciałby zagrać utwory kryjące w sobie wytworne, ale złośliwe aluzje do osoby króla, o jasnej, ale niemożliwej do udowodnienia tendencji. W tym celu sprzągnął sztukę Sedaine'a *Niebywały zakład z Królem i chłopem*. Desiree rzuciła od niechcienia:

- Wielka to szkoda, że wybór sztuk dla Trianon jest tak ograniczony; tak czy inaczej pańskie przedstawienia będą więc miały zawsze na sobie pokost wytwornej nudy.

Vaudreuil, nieco urażony, odpowiedział, że wcale nie uważa tego za nudne, przeciwnie, za bardzo pikantne, jeżeli Ludwik będzie musiał wysłuchać publicznie aluzji do swego ślusarstwa oraz oświecenielskich prawd wolnomularskich.

- Zapewne - odrzekła Desiree - są to żarciki polityczne wywołujące uśmiech. Ale czy to nie za mało? Czy nie będą smakowały jak lemoniada w porównaniu z szampanem, którego podają gdzie indziej?

- Gdzie? - zapytał Vaudreuil.

- Na przykład u mego dawnego przyjaciela Lenormanta, który w swoim teatrzyku częstuje napojami o wiele mocniejszymi niż pan w swoim.

Nazwisko Lenormant miało ten skutek, że grube, ciemne brwi markiza ściągnęły się groźnie. Żadna z wielkich dam, które były z nim w przyjaźni, nie odważyłaby się porównać jego imprezy z imprezą swego byłego kochanka. Pomyślał o tym, by kazać kamerdynerowi Baptyście wyprowadzić tę panią za drzwi. Ale w tejże chwili powiedział sobie, że Desiree nie jest kobietą, która by kiedyś później tymi samymi drzwiami wróciła - dała tego dowód właśnie z Lenormantem.

Poza tym w słowach jej była szczypta soli attyckiej. Jego wykonawcy, rekrutujący się z wielkich panów i wielkich pań, mieli skłonność do popadania w konwencjonalizm, on sam, jako reżyser, nie był całkowicie pewny swej techniki, krótko mówiąc, wszystko się na to składało, by mimo politycznych aluzyj nadać scenie w Trianon lekki, mdławy aromat lawendy. Rozpędzić ten aromat potrafiłaby tylko Desiree. Opanował się więc, wzruszył ramionami i opanowując głęboki, giętki głos, poprosił:

- Nie spierajmy się, Desiree. - A potem dodał poufałym tonem: - Sprzęgam *Niebywały zakład z Królem i chłopem* dlatego, że i ja chciałbym mieć swoją przyjemność. Skala moja nie jest mała, uważam, że będzie to zabawne, że w pierwszej sztuce powiem grubasowi moje zdanie o nim jako wielki pan, a w drugiej jako prosty, nieokrzesany chłop. - Przybrał postawę chłopca Ryszarda, który nie poznaje króla. - Wie pan, monsieur - powiedział rozwlekłe, tonem aktora, który gra chłopca - mówiliśmy o pewnym królu. Ale ja widziałem coś, czego królowi nigdy nie pokazują. - Cóż to takiego? - zapytał królewskim tonem i odpowiedział na to

pytanie rozwlekle, chytrze, po chłopsku: - Ludzi. Zdaje się, że nieźle to robię.

Desiree namyślała się przez krótką chwilę i powiedziała:

- Jak na dyletanta nieźle. Michu robił to swego czasu u nas niewiele lepiej.

Vaudreuil przełknął ślinę. Pracował z Michu nad rolą, aktor chwalił go ogromnie. Ale sam Vaudreuil, choć był pewien, że słowa jego silnie działają, miał wrażenie, że coś w jego interpretacji niezupełnie jest w porządku.

- Cóż pani w tej kwestii widzi dyletanckiego? - zapytał. Próbowała mu wytłumaczyć:

- Wypowiada pan tę kwestię jak swego czasu nasz poczciwy stary Michu, szeroko, dobitnie, tak że musi ją zrozumieć każdy szczur na widowni. Gdyby o mnie chodziło, nie akcentowałabym tych słów, wypowiedziałabym nieco drażliwe słowo „ludzi” rzeczowo, bez podkreślania. - Potem wyrecytowała całą kwestię

Vaudreuil stwierdził, że miała rację.

- Jest pani wspaniała jako chłop Ryszard, Desiree - powiedział z niekłamanym uznaniem. - Proszę mnie posłuchać - ciągnął dalej. - Pomysł, który naszemu przyjacielowi Karolowi przyszedł do głowy, nie jest może wcale taki zły, a gdyby tak pani trochę popracowała z Toinette?

„Teraz osiągnęłam swój cel - śpiewało coś w duszy Desiree. - - Ca y est”. A głośno odpowiedziała z namysłem:

- Z panem może potrafiłabym pracować. Jest pan utalentowany i gdyby pan nie był markizem Vaudreuil, byłby pan zapewne dzisiaj członkiem Theatre Francais. Ale z Austriaczką? - Zmarszczyła czoło, na twarzy jej pojawił się słynny grymas. - Czy nie jest niebywale kapryśna? I niebywale wyniosła? I jeżeli się coś nie uda, czy nie weźmie mi tego za złe, mnie osobiście?

Vaudreuil odpowiedział niecierpliwym tonem:

- Niechże pani da spokój tym refleksjom.

Ale Desiree, uśmiechając się w głębi duszy, certowała się w dalszym ciągu:

- Madame będzie niewątpliwie grała markizę. To rola nie dla mnie, więc nie mogę jej w niczym pomóc. Jest po prostu nudna, żadna aktorka nie potrafi z niej nic zrobić, a cóż dopiero dyletantka. Rola pokojówki jest pięć razy mniejsza, ale nigdy nie zazdrościłam Mole jej markizy.

- Któż pani powiedział - gorączkował się Vaudreuil - że Toinette będzie grała markizę? Zastanawiam się od dawna, czy jej nie dać roli pokojówki. Byłoby to o wiele pikantniejsze.

Tego się Desiree nie spodziewała. Pan markiz szydził sam z siebie, nie wiedząc o tym, a ona, Desiree, rozdzielała role w „teatrze wielkich panów”. Nie okazała jednak nawet cienia triumfu.

Vaudreuil stał się bardziej natarczywy.

- Musi to pani zrobić, Desiree - zaklinał. - Musi pani pracować z Toinette, powinna to pani zrobić dla mnie. Dam jej rolę pokojówki.

Desiree skierowała wzrok na koniec swego nosa. Udawała, że się waha.

- Ale musi pan uprzedzić swoją Toinette - zażądała - że trzeba będzie pracować poważnie. I musi pan jej i mnie zostawić dość czasu. Jeżeli mi pan to przyrzeknie, spróbuję to zrobić ze względu na pana.

Toinette odnosiła się teraz do markiza Vaudreuil z mniejszą goryczą. Wprawdzie dochodziło często do kłótni, ale mieli wspólny cel: oboje chcieli, by przedstawienia w Trianon przeszły do historii sceny francuskiej.

Toinette miała pewne zdolności i traktowała swoje próby poważnie. Debatowała z ożywieniem i nie bez zrozumienia z

markizem i innymi członkami „teatru wielkich panów”. Pracowała codziennie po kilka godzin z aktorami Michu i Caillot. Powoli nauczyła się panować nad swym opornym „r”, ale nie mogła nie przyznać, że panie z Theatre Francais i Comedie des Italiens w niejednym nad nią górują.

Kiedy Vaudreuil zaproponował, by pracowała z Desiree, blade jej policzki spłonęły przelotnym rumieńcem, na twarzy jej pojawił się wyraz zakłopotania, pożądliwości i pychy. Wiedziała oczywiście, że Desiree Mesnard była przyjaciółką markiza, i oburzyła ją ta propozycja. Już ciągnęła bliskość Gabrieli i świadomość, że przyjaciółka w łóżku dyskutuje z Francois o jej sprawach, nie była rzeczą miłą. Próba narzucenia jej tej aktorki Mesnard to po prostu bezczelność. Z drugiej strony, Toinette zdawała sobie sprawę, że cały Klanik Liliowego Bzu drwiłby sobie z tego rodzaju drobnomieszczkańskich uprzedzeń. Przede wszystkim jednak ceniła talent aktorki Mesnard, jej gra odpowiadała Toinette o wiele bardziej niż przestarzały styl panów Michu i Caillot, perspektywa współpracy z nią była kusząca.

- Czy sądzi pan naprawdę, że ja mogłabym pracować z panną Mesnard? - zapytała markiza Vaudreuil mimo woli akcentując słówko „ja”.

Vaudreuil zrozumiał treść jej słów: „Ja, córka Marii Teresy, królowa Francji, miałabym oddychać tym samym powietrzem co twoja dziewczka?” Zasepił się.

- Jako pani intendent, madame - oświadczył - mam jej coś do zakomunikowania. Muszę się wreszcie zdecydować, kto ma grać markizę, a kto pokojówkę. Pokojówka to rola wdzięczna, ale trudniejsza, i madame de Polignac mniej się do niej nadaje niż pani. Ale madame de Polignac, pod kierunkiem mademoiselle Mesnard, będzie mimo to obsadą lepszą aniżeli królowa pracująca z panem Michu. Decyzja zależy od pani. -

Nagle wybuchnął: - Nie pozwolę sobie przez śmieszne grymasy zepsuć widowiska wymagającego takich wysiłków. Toinette spuściła głowę. Następnego dnia intendent widowisk i rozrywek królowej zawiadomił pannę Mesnard, że we wtorek rano o dziesiątej trzydzieści ma przybyć do oranżerii wersalskiej.

Pismo było prawie niegrzeczne, brzmiało raczej jak rozkaz niż jak prośba. Vaudreuil nie chciał okazać, jak mu zależy na jej współpracy, ani też dać poznać po sobie, ile trudu kosztowało go uzyskanie zgody królowej na jego propozycję. Nie brała mu tego za złe. To, co osiągnęła, było triumfem. Wezwanie królowej wzmacniało jej pozycję w Theatre Francais i chroniło ją przed atakami Lenormanta. Musi być tylko mądra, a nie arogancka jak Pierre. I niezależnie od tego, czy Toinette zachowywać się będzie wyniośle, czy uprzejmie, nie wolno jej dać się kierować uczuciem, musi pozostać zimna i wyrachowana.

We wtorek rano, w oranżerii, kazano Desiree długo czekać. Wreszcie nadeszła Toinette, wytłumaczyła swoje spóźnienie z wyniosłą miną i była uprzejmie protekcyjna.

Toinette przestudiowała dokładnie komedię Sedaine'a *Niebywały zakład*, obejrzała tę sztukę w wykonaniu Theatre Francais i Comedie des Italiens; słuchała uważnie, miała wrażenie, że zna każde słowo, każde zdanie, ale teraz dopiero zorientowała się, ile jeszcze szczegółów uszło jej uwagi. Desiree tłumaczyła jej, dlaczego to zdanie działało silniej, jeżeli się go nie akcentowało, a tamto, jeżeli się je wybijało. Toinette pojmowała szybko, była pełna entuzjazmu i dziecinnego podziwu dla talentu i techniki Desiree. Desiree dziękowała uprzejmie, nie ukrywając, że jest do takich hołdów przyzwyczajona.

Pokazała królowej, jak sobie poradziła z tą czy ową trudnością. Nadzwyczaj cierpliwie powtarzała zdania po

dziesięć, dwadzieścia razy, kazała Toinette powtarzać je po dwadzieścia, pięćdziesiąt razy. Kiedy się jakieś zdanie nie udawało, Toinette, uśmiechając się kwaśno, mówiła:

- Ostatecznie jesteśmy dyletantkami.

- Czy wasza królewska mość każe, bym ją traktowały jako dyletantkę? - zapytała uprzejmie Desiree.

- Muszę to opanować i opanuję – upierała - się Toinette kiwając niecierpliwie nogą.

Również podczas następnych lekcji Desiree pozostawała gorliwą nauczycielką, unikającą wszystkiego, co osobiste. Często Toinette kazała jej długo czekać, a potem zatrzymywała ją poza ustaloną godzinę. Pewnego razu Desiree - oświadczyła, że jeżeli teraz nie odejdzie, to dziś wieczorem grać będzie zamiast niej pani Mole.

- Dostanie pani odszkodowanie, moja droga - odparła Toinette.

- To się nie da zrobić, madame - odpowiedziała Desiree uprzejmie i sucho.

Pomimo wszystko Toinette starała się w sposób pełen wdzięku i naiwności okazać Desiree, jak bardzo podziwia jej sztukę. Ale Desiree ani nie kochała Toinette za uprzejmość, ani jej nienawidziła za pychę.

Czasami bawiło ją pokazywanie królowej, co to znaczy praca. Kazała jej powtarzać zdanie po dziesięć razy, by wreszcie stwierdzić, że jego dosłowne brzmienie jest inne. Toinette szukała na próżno w pamięci i zrezygnowana spytała:

- Czy to takie ważne, czy w tekście jest „a więc”, a nie „a zatem”?

- Tak - odpowiedziała bez wahania Desiree. - Tekst autora jest święty.

- Nawet autora Sedaine? - zapytała Toinette.

- Oczywiście także i autora Sedaine - brzmiała odpowiedź Desiree.

- Jak pani potrafiła - zapytała Toinette - tak wyszkolić swą pamięć?

- Kiedy byłam uczennicą - odpowiedziała Desiree - musiałam co dzień nauczyć się na pamięć pięćdziesięciu wierszy Corneille'a, Racine'a lub Moliera.

- Czas pani, moja droga - westchnęła Toinette - nie był tak wypełniony ceremoniałem.

- Nie, madame - odrzekła Desiree - byłam dziewczynką na posyłki w magazynie koronek pani Meunier. Monsieur Robecque dawał mi lekcje bezpłatnie, przez dobroć. Oboje nie mieliśmy wiele czasu, bywałam często zmęczona, a on rozdrażniony. Potrafił być bardzo niemiły, jeżeli się tych pięćdziesięciu wierszy nie nauczyłam.

- Karał panią? - zapytała Toinette.

- Musiałam - odrzekła Desiree - następnego dnia wyuczyć się stu wierszy zamiast pięćdziesięciu, a zdarzało się, że mi dawał porządnego klapsa.

Desiree nie mówiła o tym, że okres przygotowań na scenę związany był z innymi nieprzyjemnościami: musiała spać ze swymi nauczycielami, co wydawało się jej zrozumiałe samo przez się; najgorsze było to, że zazdrosna pani Robecque podrapała ją kiedyś i wytargała za włosy. Również matka jej, osoba surowych zasad, biła ją, kiedy pan Robecque pozwalał sobie na nieprzystojne zachowanie.

- Za to pamięć pani rozwinęła się w sposób niezwykły - powiedziała z uznaniem Toinette. - Będę musiała zacząć ćwiczyć i swoją. Co dzień nauczę się dwudziestu wierszy Racine'a lub Corneille'a.

Zdrowy rozsądek mówił zawsze Desiree, że kobieta pozostaje kobietą nawet i wtedy, kiedy ma koronę na głowie. „Są miejsca - mówiono po francuskich knajpach - w których królowa nie różni się niczym od pokojówki". Od czasu kiedy Desiree asystowała przy spotkaniu Franklina z damą w

niebieskiej masce, zdobyła całkowitą pewność, że królowa jest pomimo całej naturalnej uprzejmości kobietą dosyć niemądrą, opętaną przez pychę, która wydawała się Desiree wręcz głupia. Mimo to nie umiała wyzwolić się całkowicie od uczucia lęku i czci, które pod wpływem wysiłków Kościoła, urzędów i szkół łączyło się z pojęciami „król”, „dwór”, „Wersal”. Ale teraz, kiedy mogła z bliska i długo przyglądać się obyczajom i zachowaniu Klaniku Liliowego Bzu, poznawała coraz dokładniej, że życie dworskie jest o wiele bardziej pospolite, o wiele bardziej dziecinne, niż przypuszczała.

Oto na przykład wybuchł spór między Toinette i Józefiną, żoną księcia Ksawerego. Toinette ciągle jeszcze nie zrezygnowała ze swego kaprysu narażania tej niezgrabnej, pozbawionej talentu kobiety na pośmiewisko rodziny przez pokazanie jej na scenie. Sprytem i podstępem udało się królowej skłonić szwagierkę, by przynajmniej obejrzała sobie teatrzyk w Trianon, teraz już ostatecznie wykończony.

Kiedy przybyła tam Józefina, Toinette miała właśnie próbę na scenie; Desiree przysłuchiwała się z głębi zaciemnionej łoży. Toinette zajęta się z miejsca szwagierką i nie uprzedziwszy jej o obecności artystki zaczęła jej pokazywać pomysłowe urządzenia sceniczne. Potem raz jeszcze poprosiła Józefinę, by nie psuła zabawy i objęła którąś z ról. Ale Józefina była nieubłagana. Nieudolną francuszczyzną, z silnym włoskim akcentem, oświadczyła gotowość wzięcia udziału w czytaniu sztuki wraz z innymi, w Wersalu, przy stole. Ale wyjść na deski sceniczne, przed widzów - o nie!

- Byłoby to dla mnie coś niegodnego - oświadczyła ze złym, zaciekłym wyrazem twarzy.

- Skoro jednak robię to ja, królowa - odpowiedziała Toinette porywczo - chyba i pani może nie mieć skrupułów.

- Jeżeli nie jestem królową, to jednak jestem z tego samego drzewa, z którego się robi królowe.

- Z pewnością - słodko odparła Toinette. - Ale i pani przyzna, że cesarski dom austriacki jest chyba równy królewskiemu domowi sabaudzkiemu. Może nie, moja droga?

Desiree bawiło, że dzięki niej królowa Francji grała pokojówkę, Toinette sprawiało jeszcze większą przyjemność, że może być pokojówką na scenie. Było istotnie tak, że w tej małej rólce mogła bez trudu zdystansować swą przyjaciółkę Gabrielę w wielkiej roli markizy. A czyż to nie zabawne pokazać poprzez rolę pokojówki, że nie tylko przyjmuje hołdy Francuzów, ale zna również życie ludu i do niego należy?

Starła się o zgodną z prawdą naturalność. Miała na scenie podawać do stołu, prasować spodnie kamerdynera Lafleura. Pokojówka musiała dziesięć razy pokazywać jej, jak się prasuje, podaje do stołu. Poczucie, że potomkini Rudolfa von Habsburg, królowa Francji, dobrze prasuje, podaje do stołu, jest pokojówką, sprawiało jej niezwykłą przyjemność. Z dumą prezentowała swoją sprawność Desiree i była zawiedziona, kiedy, ta wcale nie okazała zadowolenia. Desiree tłumaczyła jej cierpliwie, że na scenie nie chodzi o to, by dobrze prasować, lecz o to czy się prasuje wiarygodnie, czy widownia ma wrażenie, że się prasuje. Toinette zrozumiała.

Vaudreuil przyglądał się .chciwie, jak Desiree pracuje z Toinette. Ze zdwojoną ambicją dążył teraz nie tylko do tego, by działać na widownię, ale również do tego, by to co robi, wyglądało wiarygodnie. Chciał być w pierwszej sztuce prawdziwym wielkim panem, w drugiej prawdziwym chłopem. Desiree chwaliła go w mądry i oszczędny sposób.

Gniewna przyjemność, którą jej sprawiał „teatr wielkich panów”, rosła z każdą próbą. Jak oni się poca, wysilają, jakimi są dyletantami. Ot, choćby Francois Vaudreuil. Zapomniał o swym płomiennym pragnieniu zostania kochankiem królowej,

o swym marzeniu, że poprowadzi francuskie wojska na Anglię, wolał być zamiast tego miernym aktorem, z wysiłkiem walczącym o sukces. A przecież nawet w najlepszych momentach nie osiągał tego, do czego w najślabszych momentach dochodził najgorszy aktor Theatre Francais.

Jak ślepa jest ta królowa. jak ślepi sa ci wielcy panowie, jak ślepe są te wielkie panie.

Vaudreuil przeczuwał, co się dzieje w duszy Desiree. Widział jej ukrywany uśmiech, miał nieodpartą chęć przełamania oporu tej kobiety, zdobycia jej naprawdę, wydarcia jej tajemnicy.

To, że Desiree nie wychodziła, poza rolę aktorki i nie wypowiadała ani słowa, które by nie pozostawało w związku z jej funkcją, działało na Toinette tak, jak tego Desiree pragnęła: zaciekawiało ją. Mademoiselle Mesnard była dziwnie nieprzystępna. Można z nią było mówić tylko i wyłącznie o lekcjach; Toinette inaczej sobie wyobrażała przyjaciółkę markiza Vaudreuil. Kiedy mówiła o tym z Gabriellą, ta odpowiedziała, że powodem powściągliwości Desiree jest niezawodnie lęk przed królową. Toinette postanowiła przełamać tę skorupę. Wypytywała Desiree o szczegóły z życia kolegów; i o plotki teatralne. Ale i tutaj Desiree zachowywała rezerwę. Pociągało to Toinette, która coraz usilniej zabiegała o jej przyjaźń.

Hrabia Mercy zawiadomił Schonbrunn o nowej namiętności Toinette. Stara cesarzowa nie bardzo się tym zmartwiła. Odpisała, że Toni nie wyrządzi chyba przez swoją działalność zbyt wielkiej szkody. Zabawa w teatr jest z pewnością tańsza od gry w faraona, a dawanie rodzinie Polignac ról zamiast stanowisk ministerialnych również mniej kosztuje.

Jeśli chodzi o Ludwika, to sprawy teatralne interesowały go i nie przeszkadzał nowej pasji; Toinette. Zjawiał się nawet na próbach.

Ale przed próbami niektórych scen Vaudreuil prosił go, by się oddalił, gdyż chodzi o sprawienie mu niespodzianki. Dotyczyło to między innymi sceny, w której, bohater sztuki, markiz, w swym zapale do ślusarstwa zapomniał o zazdrości; chciano ją pokazać Ludwikowi dopiero wieczorem w ciągu przedstawienia. Z podobnych względów Vaudreuil nie chciał go zaznajomić z tekstem piosenek. Ludwik rozumiał, że chodzi o zarezerwowanie sobie paru rodziników na wieczór, i oświadczył dobrodusznie:

- Dobrze, wracam do swojej pracy. Ale pod jednym warunkiem, drogi, mój markizie. Jeżeli już śpiewa pan, musi pan również uwzględnić moją ulubioną piosenkę.

Cały dwór wiedział, że była nią Pieśń o kozie.

Wyczerpująca praca trwała w dalszym ciągu. Toinette walczyła ze swoimi „r”, Vaudreuil naradzał się z de Beaumarchais nad drobnymi zmianami tekstu. Pierwsi muzycy w kraju opracowywali nuty dla orkiestry kameralnej, która miała akompaniować pieśniom. W związku z zamkiem od drzwi, odgrywającym ważną rolę w Niebywałym zakładzie, zasięgano fachowej porady ślusarza Gamain, by Ludwik nic nie miał do zarzucenia.

Pojawiła się ostatnia trudność." Juliusz Polignac grał markiza - kozła ofiarnego w sztuce; miał zapewniać ze sceny, że Vaudreuil nie przyprawił mu rogów, co nie było pozbawione pewnej pikanterii. Juliusz grał swoją rolę chętnie, żądał jednak, by mógł nosić Krzyż Ludwika Wielkiego. Tymczasem istniał zakaz ukazywania się na scenie z orderami francuskimi. Ale Juliusz nie chciał zrezygnować, już choćby dlatego, żeby go nie brano za aktora. Na próżno Vaudreuil tłumaczył mu, że pod tym względem może nie mieć żadnych obaw. Polignac obstawał przy swoim. Toinette musiała skorzystać ze sprzyjającej chwili, by wymóc na Ludwiku edykt, uchylający zakaz w tym szczególnym wypadku.

Nareszcie wszystko było wypróbowane i gotowe. Desiree po raz ostatni pracowała z Toinette nad jej rolą.

- Nauczyłam się od pani nieskończenie wiele - powiedziała rozpromieniona Toinette i w szybkim, szczerym odruchu objęła ramieniem Desiree. W taki sposób obejmowała dotychczas tylko przyjaciółkę swą, Gabrielę. Mimo to zapomniała o jedynym życzeniu Desiree: o jej prośbie, by zaproszono autora.

Sedaine, autor obu utworów, nie miał łatwego życia. Sławiono go teraz wprawdzie jako wielkiego pisarza, ale musiał pokonywać gwałtowne opory. Był czeladnikiem murarskim, wykradał sobie czas na pisanie, z ogromnym trudem dotarł do ludzi, którzy potrafili przeforsować, by sztuki jego zostały wystawione. Właśnie dlatego Desiree chciała mu umożliwić zobaczenie obu komedii w wykonaniu „teatru wielkich panów”. Znając pychę Toinette wiedziała, że zaproszenie Sedaine'a na premierę jest całkowicie wykluczone. Niechże przynajmniej będzie obecny na próbie generalnej. Po pewnym wahaniu Toinette przyrzekła jej to. Ale zapomniała i Desiree nie nalegała już, uznając, że gra nie jest warta świeczki. Sedaine nie został zaproszony.

Wieczorem zebrało się w wytwornym teatrze zaledwie dwadzieścia trzy osoby. Hrabia Mercy byłby chętnie przyszedł, by móc złożyć raport dostojnej pani mamie, ale Toinette chciała grać tylko przed księżącą widownią, dopuściła jedynie członków królewskiej rodziny i uważała, że nie może robić wyjątków.

Niewielki budynek po wymalowaniu sufitu przez malarza Lagrenee i poprawieniu oświetlenia wyglądał jeszcze piękniej niż podczas uroczystej inauguracji Cyrulika. Biało-złota sala lśniła bogato, a zarazem dyskretnie w blasku niezliczonych świec, łoże i fotele zapraszały mile, choć ceremonialnie do

zajęcia miejsc, Iwiew głowy na kolumnach, wspierających balkon, świadczyły o tym, że się jest u królowej.

Goście rozsiedli się więc i podnieceni, nieco sceptycznie czekali przed kurtyną z kosztownego, wyszywanego złotem niebieskiego aksamitu. Mała orkiestra złożona z najlepszych muzyków królewskich była w komplecie; widzowie zmieniali raz po raz miejsca, przechodzili z łoży do łoży, rozmawiali półgłosem, czekali.

Za kulisami panował gorączkowy nastrój, wszyscy mieli tremę. Księżę Karol mocno popijał, nawet Toinette, która na ogół nie używała alkoholu, wychyliła kieliszek szampana.

- Czuje pan, jakie mam zimne ręce - powiedziała kilka razy do markiza. Nagle oświadczyła, że pusty teatr działa jej na nerwy; poza tym przy nie wypełnionej sali akustyka pozostawia wiele do życzenia.

- Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć, madame - odrzekł Vaudreuil, który w granatowo-czerwonym mundurze pułkownika wyglądał jeszcze bardziej pociągająco i groźnie niż zazwyczaj.

- Życzę sobie, by teatr był zapełniony - oświadczyła pokojówka Nanine tonem dalekim od tonu służącej. - Proszę wydać polecenie, by gwardia szwajcarska i służba zajęły puste miejsca.

- Oświadczyła pani, madame - powiedział gniewnie Vaudreuil - że oprócz rodziny nie chce mieć żadnych widzów.

- Gwardia szwajcarska i personel służbowy to nie widzowie, lecz lud - odparła Toinette.

- Toinette ma rację - odpowiedziała miękko, przebrana za markizę Clainville, Gabriela Polignac.

A Juliusz Polignac dodał z oburzeniem:

- Te draby to nie widzowie!

Vaudreuil, który sam miał obawy co do akustyki, usłuchał i wydał odpowiednie polecenie.

Tymczasem kazał rozpocząć uwerturę. Znowu nastąpiła po niej długa pauza i zaproszeni goście zaczęli się niecierpliwić. Ludwik, w dobrym humorze - najchętniej zagrałby sam jakąś rolę - odgrywał teraz przynajmniej rolę niecierpliwego widza. Klaskał w dłonie, tupał, wołał hałaśliwie: „Zaczynać, zaczynać!” Pozostali poszli za jego przykładem i również wszczęli hałas.

Gabriela wyszła przed kurtynę i poprosiła o kilka minut cierpliwości, gdyż trzeba jeszcze uczynić coś, by poprawić akustykę.

W tej chwili wmaszerowali na widownię gwardziści szwajcarscy pod dowództwem oficera. Na widok króla stanęli na baczność. Ale oficer zakomenderował:

- Naprzód, zajmować miejsca, marsz!

Żołnierze, zakłopotani, starając się robić jak najmniej hałasu, usadowili swe potężne tyłki na kruchych fotelach. Obok nich zasiadły pokojówki i dziewczyny z kuchni.

Rozległo się uderzenie laski, kurtyna rozsunęła się, na scenie stała w zgrabnym wymyślnym stroju pokojówki, ukazującym kostki i łydki do połowy, Maria Antonina, królowa Francji, z przewieszonymi przez ramię spodniami, które miała wyprasować.

Powiedziała do księcia Karola, który był teraz kamerdynerem Lafleurem:

- My, służba, skarżymy się zawsze - nie mogła dokończyć, na co się skarży, bo przerwał jej grzmiący śmiech Ludwika.

- Wspaniale, madame - zawołał klaszcząc w dłonie. - Wygląda pani i mówi jak prawdziwa pokojówka. Wspaniale, brawo! - Zwrócił się do pozostałych: - Czy nie jesteście tego samego zdania, moi panowie i moje panie? Wspaniale! Jeszcze raz!

Czyjaś oburzona ręka zasunęła kurtynę. Vaudreuil wyszedł przed nią i powiedział uprzejmie, opanowując gniew:

- Panowie i panie, zaczynamy od początku. Muszę jednak bardzo prosić o nieprzerywanie gry.

Siedzący w łoży Ludwik, w doskonałym humorze, odpowiedział:

- Już dobrze, Vaudreuil, nie mówmy o tym więcej. Ale madame tak bardzo mi się podobała. Teraz już na pewno nie będę przeszkadzał, przyrzekam to panu.

Kurtyna rozsunęła się ponownie. Tym razem przedstawienie toczyło się bez przerwy, wszystko szło, jak iść miało. Po upływie krótkiego czasu księżę audytorium nie widziało już Juliusza i Gabrieli Polignac, księcia Karola i pana de Vaudreuil oraz Toinette, lecz markiza i markizę Clainville, kamerdynera Lafleur, pułkownika d'Etieulette i pokojówkę Nanine. Wszyscy byli pochłonięci drobną przygodą małżonków Clainville. Tymczasem Ludwik, choć postanowił panować nad sobą, zakłócił spokój po raz drugi. Gdy Juliusz Polignac zaczął badać zamek i oglądać go fachowo, nie wytrzymał i zawołał:

- Będziemy to musieli później dokładnie obejrzeć, Juliuszu. - I oto nagle markiz de Clainville stał się znowu Juliuszem Polignac.

Żołnierze, lokaje i służące, całe to towarzystwo, przyglądające się widowisku, było tak zaskoczone nieoczekiwanymi zaprosinami, że w pierwszej chwili nikt dobrze nie widział i nie słyszał, co się rozgrywa na scenie. Byli zmieszani, musieli się przyzwyczaić do sytuacji; to, co z nimi zrobiono i co działo się na scenie, tak ich zaskoczyło. Bardzo to dziwne, że królowa tyle sobie zadaje trudu, żeby być pokojówką, a głęboko gorszące, żeby królowa i brat króla zachowywali się jak komedianci, po błazeńsku. Stopniowo jednak nieśmiałość topniała i zaczęło bawić ich to całe widowisko. Niełatwo im było śledzić wytworny dialog sztuki, rozumieli jednak, że autor, bardziej życzliwy dla ludu niż dla wysoko urodzonych,

śmieje się z głupich żartów, jakimi uprzywilejowani przepędzają nudę. Zuchwalstwa pokojówki Nanine i kamerdynera Lafleur odpowiadały im, były im bardzo bliskie; to, że padały z ust przebranej królowej i przebranego księcia, dodawało żartowi pikanterii. Ale ciągle jeszcze nie mieli odwagi, by okazać zadowolenie, śmiech ich brzmiał nieszczerze i tłumili go od razu. Kto wie, czy wielcy państwo nagle nie stracą humoru i nie staną się niełaskawi?

Przed rampę wyszedł Vaudreuil i zaczął śpiewać. Tak, odważył się odśpiewać tę ryzykowną piosenkę. Śpiewał głębokim, pięknie brzmiącym głosem piosenkę marynarską, wszystkim im znaną. Teraz, kiedy wojna z Anglią mogła wybuchnąć lada dzień, piosenka miała wyraźny posmak polityczny. Śpiewał o angielskiej fregacie, znajdującej się w drodze do Wrocławia. Trzydziestego pierwszego sierpnia dojrzał ją pewien francuski statek. Francuski kapitan zapytuje swego porucznika: „Poruczniku, czy czujesz się na siłach zahaczyć ten okręt?” Dumny i dzielny porucznik odpowiada: „Owszem, kapitanie”. Zawracają, podpływają pod statek, zarzucają haki, rozprawiają się z Anglikami przy pomocy pik i muszkietów.

„A teraz - śpiewał czelny i śmiały markiz de Vaudreuil, sokolnik króla, intendent królowej - wypijmy za zdrowie kapitana, za zdrowie porucznika, za zdrowie wszystkich zakochanych, za zdrowie króla Francji. Mamy gdzieś króla Anglii, który nam wypowiedział wojnę”.

Siedzący w łóżach zaproszeni goście stropili się. Francja nie znajdowała się z Anglią w stanie wojny, wszystkich zdumiało, że pan de Vaudreuil odśpiewał tę starą, rubaszną piosenkę w teatrze królowej. Ale żołnierze, lud - te draby - cała ta kompania teraz już nie wytrzymała; klaskała, wołała: „Brawo, jeszcze raz!”

Vaudreuil spojrział na łożę, w której siedział król. Był zadowolony, że się na tę piosenkę zdecydował, nie wiedział do ostatniej chwili, czy to uczyni, spoglądał zuchwale i z zadowoleniem; spłatał temu wiecznie niezdecydowanemu Ludwikowi śmiałego, mądrego, wspaniałego figła. Wpuszczenie na salę ludu okazało się dobrym pomysłem, dzięki temu wieść o jego figlu jeszcze dziś w nocy rozejdzie się po całym Paryżu i w końcu Francois Vaudreuil stanie się w opinii ogółu tym, który wypowiedział wojnę Anglii.

Dobry humor Ludwika prysł, z chwilą gdy Vaudreuil zaczął śpiewać piosenkę marynarską. Piosenka była już głupia wtedy, kiedy powstała, w czasie ostatniej wojny. Bo przede wszystkim zabraliśmy niestety bardzo niewiele statków angielskich, nie było więc powodu do radości i pijatyk, a poza tym okoliczność, że autor piosenki każe płynąć statkowi angielskiemu do Wrocławia, jest dowodem wyjątkowej ignorancji. Dziś piosenka jest nie tylko głupia, ale i w najwyższym stopniu gorsząca. To grubo nie w porządku, że ten Vaudreuil odśpiewał ją ze sceny.

Ludwik, niezadowolony, wiercił się na swym niebieskim fotelu. A kiedy ludzie z gminu zaczęli się entuzjasmować i żądać powtórzenia piosenki, posmutniał. Ci biedni durnie chcą wojny. Widział już w wyobraźni, jak ich pakują do czeluści statków, jak toną albo zdychają w lasach tego buntowniczego kraju, w miejscowościach, których nawet nie ma na mapie. Na domiar złego ten Vaudreuil uśmiecha się szyderczo i patrzy mu prosto w twarz swoimi bezczelnymi oczami. Ludwik czuł przez chwilę neodpartą chęć zawołania: „Dość tego, kurtyna! Nie pozwalam grać dalej”. Ale od razu wyperswadował sobie, że jeżeli to uczyni, dziecinna błahostka nabierze rozmiarów skandalu i postanowił: „Właśnie, że nie. Nie uznam tej piosenki za demonstrację polityczną. Jesteśmy między sobą w rodzinie, słucham tylko muzyki, nie chcę, by ktokolwiek

doszukiwał się w niej innego znaczenia. Skoro statek nie może płynąć do Wrocławia, nie można go również porwać i wszystko jest po prostu wesołą bzdurą". Siedział więc i uśmiechał się głupawo. Vaudreuil skłonił się przed oklaskującymi i zaśpiewał piosenkę po raz drugi.

Niebywały zakład trwał dalej, incydent poszedł w niepamięć. Ludwik również postanowił o nim zapomnieć, no i zapomniał. Kiedy pierwsza sztuka zakończyła się przy akompaniamencie potężnych i szczerych oklasków, udał się na scenę, wyraził wieloma słowami i gestami swe zadowolenie; przeszkadzał wszystkim, gdyż panie i panowie musieli się przebrać. Klepnął po brzuchu pana de Vaudreuil, który z markiza przedzierzgnął się w chłopca Ryszarda, i powiedział:

- A nie mówiłem, mój panie. Jest pan urodzonym intendentem. A tak dał się pan prosić, zanim pan zrozumiał, co jest pańskim istotnym przeznaczeniem.

Vaudreuil podziękował chłodno. Był niezadowolony, że grubas przyjął piosenkę z dobrą miną. Ale w następnej sztuce rzucił mu za to w tę jego tłustą, leniwą twarz, co o nim myśli.

Ale Ludwik i tym razem nie dał sobie zepsuć przyjemności. Wszystko mu się podobało w tej komedii *Król i chłop*: kostiumy myśliwskie, dźwięk rogów, jego Toinette, która tak uroczo i z temperamentem grała wiejską dziewczuchę, brat Karol, który w roli dozorca-przygłupka zaaresztował całą myśliwską kompanię, króla i cały jego orszak. Vaudreuil był jako chłop po prostu wspaniały. Kiedy wypowiedział głośne zdanie: „Widziałem jednak coś, czego król nigdy nie ogląda: ludzi”, Ludwik ryknął: „Bardzo dobrze, doskonale”, i Vaudreuil był znowu zawiedziony. Ale ludek cieszył się; nie miał jednak odwagi klaskać, patrzył tylko przyjaźnie na swego dobrego króla Ludwika.

W końcu otrzymał Ludwik główny rodzynek. Rozległy się tony Pieśni o kozie, której sobie życzył. Śpiewał ją dozorca-przygłupek, książę Karol, bardzo dziarsko.

..Mieliśmy kozę - zaczął - kozę, która miała lat czternaście. Zabrała się do kapusty Jana Bertrand. Ma rozum nasza koza, ma. Jan Bertrand nakrył ją, złapał i kazał ją aresztować przez osiemdziesięciu żandarmów. Ma rozum nasza koza, ma. Stała przed sądem, podniosła grzecznie ogon, siadła na swej ławie. Podniosła ogon i puściła smugę woni prosto w nos wysokiego sądu. Ma rozum nasza koza, ma. Dla panów i ławników narobiła rodzyneków, cały kosz rodzyneków. I wpakowała rogi w tyłek pana sędziego. Ma rozum nasza koza, ma".

Taką to piosenkę zaśpiewał książę-dozorca. Kiedy tak śpiewał, służbę ogarnęło znowu to zakłopotanie, które odczuwała na samym początku. Piosenka o starej, mądrej kozie była dobrą piosenką, wypowiadała dobre prawdy, ale nie nadawała się do teatru królowej i bardzo to było nieprzystojnie, że ją odśpiewał książę, potomek najwyższego rodu. A już zupełnie nie do pomyślenia było to, że śpiewał przed nimi. A jednak tak się stało. Ludzie siedzieli i słuchali, ale nie wierzyli własnym uszom. Z osłupieniem patrzyli i słuchali, jak się Ludwik cieszy, jak z początku nuci refren, a potem głośno go śpiewa.

Vaudreuil był bardzo zadowolony, więcej: wniebowzięty. Uważał, że był w obu rolach arcyprawdziwy, że wykonanie obu sztuk bardzo się udało. Ale udawał, że gruboskórność Ludwika pozbawiła go nagrody. Grał rolę zagniewanego i powiedział ponuro do Toinette:

- Nie należało go wpuszczać. Zachowywał się skandalicznie. Dwa razy zakłócił przedstawienie, ciągle śmiał się w nieodpowiednich chwilach, wstyd mi było przed moim kamerdynerem Baptystą.

Toinette nie rozumiała, czego chce Vaudreuil. Była szczęśliwa, podniecona, uważała, że wszystko udało się wspaniale; była bardzo zadowolona z siebie, audytorium reagowało nadzwyczajnie. Vaudreuil przeszedł sam siebie, musiał chyba zauważyć, że każde słowo, które wypowiadał, znajdowało żywy oddźwięk. Wobec jej wyraźnie szczerych pochwał Vaudreuil przestał udawać, że jest niezadowolony. Późną nocą uwagę jego zwróciła dostojna, namaszczona mina kamerdynera Baptysty, który mu asystował przy rozbieraniu.

- Co ci jest, Baptysto, stało ci się coś?

Baptysta podał mu ogrzaną koszulę, po czym odpowiedział z entuzjazmem i czołobitnie:

- Proszę wybaczyć, monsieur, ale muszę to powiedzieć: monsieur był wspaniały.

- Dobrze, już dobrze - odpowiedział Vaudreuil machając łaskawie ręką. Ale w ciemnościach za zaciągniętymi nad łóżkiem firankami uśmiechnął się z zadowoleniem.

Toinette leżała na łóżku. Doktor Lassone badał ją. Choć doktor mimo swego wieku uchodził za człowieka lubiącego kobiety i psutego przez nie, Toinette starała się traktować go wyłącznie jako lekarza. Ale nie mogła się pozbyć niemiłego uczucia. Jego chłodne badawcze oczy i wprawne ręce wywoływały jakieś łaskocące podrażnienie. Wyczuwała mgliście, że porównuje jej nagie ciało z ciałem innych kobiet, a równocześnie z napięciem niemal nie do zniesienia czekała na to, co powie. Już kilka dni temu odczuła pierwszą niewyraźną nadzieję, ale wówczas nie ważyła się zwierzyć nawet lekarzowi.

Doktor Lassone naciągnął na nią miękkim ruchem koszulę i zrobił kilka kroków w tył. Nie patrzyła na niego, nie pytała o nic. Skłonił się głęboko i powiedział:

- Moje najuniżeńsze gratulacje, madame.

Toinette zwróciła ku niemu głowę gwałtownym ruchem, patrzyła na niego, nie mogła wydobyć ze siebie słowa.

- Nie ma wątpliwości, doktorze? - zapytała.

- Żadnych, madame - potwierdził i powtórzył: - Moje najuniżeńsze gratulacje.

Toinette nie miała jeszcze odwagi uwierzyć.

- Czy mogę o tym napisać do Wiednia? - zapytała. - I powiedzieć Ludwikowi? - Po raz pierwszy nazwała króla w obecności doktora „Ludwikiem”.

- Nie ma wątpliwości, madame - powtórzył doktor Lassone nieco dobitniej.

Kiedy odszedł, Toinette długo leżała sama z zamkniętymi oczyma, olśniona szczęściem. Spadł z niej olbrzymi ciężar, wszystko, co małe, dokuczliwe, zostało splukane, czuła się lekka, pełna, całkowicie zadowolona. Uosabiała w sobie Habsburgów i Francję, reprezentowała przeszłość i przyszłość tych krajów.

Na ogół lubiła się dzielić swymi przeżyciami, ale teraz długo pozostała sama. Nie mogła powiedzieć tego nikomu, było to zbyt wielkie, zbyt wspaniałe. Wreszcie zadzwoniła i zanim jeszcze kazała się ubierać, posłała po ambasadora Mercy.

Czekając na niego napisała do matki, przy czym przeplatała słowa francuskie niemieckimi.

„Jakże jestem wdzięczna Tobie, droga Matko - pisała - żeś mnie wydała na świat. Nie uważałam nigdy za możliwe, by taka szczęśliwość mogła istnieć na ziemi. Chciałam do Ciebie napisać już kilka dni temu i żałuję teraz, że tego nie zrobiłam. Ale bałam się. Smutek Twój byłby zbyt wielki, gdyby nadzieje moje się nie spełniły”.

Przyszedł Mercy. Przeraził się otrzymawszy wezwanie Toinette. Chyba nigdy nie zdarzyło się, by Toinette tak gwałtownie chciała go widzieć, przeciwnie, zazwyczaj schodziła mu z drogi. Musiała dopuścić się czegoś okropnego.

Od pierwszej chwili jednak wydała mu się zmieniona, łagodniejsza niż zwykle, wzruszona do łez. Twarz jej wyrażała szczęście i ulgę. A kiedy ją na powitanie całował w rękę, rzekła:

- Muszę powiedzieć to panu pierwszemu. Pan jest mi najbliższy, pan - to Wiedeń. - Po chwili dodała po niemiecku:

- Będę miała dziecko, Mercy, jestem w ciąży. - A potem znowu po francusku: - Będę miała delfina. - Objęła starego Mercy, on zaś, szczywany lis, ledwie mógł powstrzymać cisnące się łzy. Równocześnie zastanawiał się już, kogo można by posłać do Wiednia jako najszybszą sztafetę.

- Musi pan teraz bardzo na mnie uważać - prosiła uszczęśliwiona. - Teraz los Francji zależy od tego, bym nie zrobiła żadnego fałszywego ruchu. Jak pan myśli, lepiej będzie zaprzestać konnej jazdy?

Ale Mercy myślał, że będzie musiał przedsięwziąć środki ostrożności innego rodzaju. Trzeba je będzie skierować przeciw podstępnemu księciu Ksaweremu, którego nadzieje rozwiały się w związku z ciążą Toinette.

Potem, kiedy kurier z listem Toinette i jego depeszą był już gotów, by popędzić do Wiednia, ona sama z listem Mercy'ego udała się do apartamentów Ludwika. Nie było go tam. Znajdował się w swojej kuźni, dał polecenie, by mu nie przeszkadzano.

Sam na sam z Gamainem stał rozkraczywszy nogi i pracował ze wszystkich sił, po prostaku. Był w ponurym nastroju; komplikacje bawarskie i możliwość, że działania wojenne przeciw Anglii mimo wszystko rozpoczną się w dniach najbliższych, martwiły i napełniały goryczą tego dobrodusznego człowieka. Wyżywał się w pracy fizycznej. Stał w koszuli, z opadającymi nieco spodniami, czarny od sadzy; grube, potężne ramię wymachiwało młotem, waląc w żelazo. Ach, gdybyż zamiast żelaza to był Franklin, gdybyż to

był Józef! Wznosił młot, kuł z całych sił, tłusta twarz była ponura, a równocześnie radosna, że może wyładować swą złość.

Toinette słyszała z oddali ten huk. Była tu na górze jeden, jedyny raz, przed laty, kiedy Ludwik pokazał jej kuźnię po raz pierwszy. Odtąd nie przekroczyła progu tego paskudnego miejsca. W Klaniku Liliowego Bzu robiono dowcipy i komponowano wiersze na temat Wulkana i Wenery, ona sama mówiła nieraz w ten sposób. Ale dziś w głowie jej nie powstał nawet cień takiej myśli. Otworzyła ciężkie, niskie drzwi. Znalazła się w małym, przegrzanym, pachnącym pracą i potem warsztacie kowalskim, tak różnym od miejsc, w których oddawała się swym sielskim zajęciom. Ludwik stał brudny, z umorusaną twarzą i rękami, w koszuli pokrytej sadzą. Spocony, ponury, wyglądał na robotnika. Mimo woli nasuwało się pytanie, czy włada mową.

Podniósł oczy. W mrocznej kuźni zobaczył Toinette nieco oświetloną odblaskiem płomieni. Gdyby przyszła o innej porze, cieszyłby się chyba, choć kiedy go odwiedzała nie wołana, prawie zawsze zwykła żądać czegoś od niego. Ale dziś był ciałem i duszą przy swej robocie i swoim żelazie: myślał powoli, na razie były w nim tylko złość i niezadowolenie, że mu przeszkadzano, choć dał rozkaz, by go zostawić w spokoju.

- Dzień dobry, Ludwiku - powiedziała Toinette.

- O co chodzi, madame? - mruknął. Nie mógł się powstrzymać, by nie dodać nieuprzejmie: - Przecież pani widzi, pracuję.

- Proszę kazać wyjść temu człowiekowi – zażądała Toinette.

- Czy nie mogę naprzód skończyć swojej roboty? - zapytał. - To potrwa jeszcze dziesięć minut.

- Nie, sire - oświadczyła Toinette - nie dam panu ani jednej minuty. - Gamain musiał się oddalić.

- O cóż więc chodzi, madame? - zapytał Ludwik gniewnie.

Toinette spojrzała na niego rozpromieniona.

- Nie przychodzę sama, Ludwiku - powiedziała.

Ludwik spojrzał na nią nieufnie.

- Kogóż to pani jeszcze przyprowadziła? - zapytał.

Toinette wybuchnęła:

- Jak mnie tu widzisz, jest nas dwoje. - A że na jego opasłej twarzy pojawił się wyraz ogłupienia, ciągnęła dalej: - Ciągle jeszcze nie zgadujesz?

Zastanawiał się przez chwilę; potem, ociągając się, zapytał:

- Jesteś w ciąży, madame?

- Tak, tak, tak! - zawołała z triumfem.

- Naprawdę jesteś w ciąży? - zapytał z tą samą głupia miną.

- Lassone oświadczył, że nie ma wątpliwości - powiedziała.

Teraz nareszcie uwierzył. Twarz jego rozpromieniła się; szeroko rozstawione, ciemne oczy zabłyśły, tłuste policzki zaczęły drżeć, podbródek trząśł się. Odrzucił z hałasem młot, zaczął klepać się po udach.

- Będziemy mieli dziecko! - wrzasnął. Głos mu się załamał, uderzył się jeszcze raz po udach, spoconą, zamorusaną ręką klepnął Toinette w plecy. - Dziecko – zawołał - będziemy mieli delfina!

Wybuchnął swym potężnym śmiechem, tupał nogami, tańczył.

Potem objął ją, ucałował i powiedział z niemiecka:

- Toni, Toni! - Chodził dokoła niej, patrzył z niedowierzaniem na jej szeroką spódnicę, wskazał na nią grubym palcem i uśmiechając się szeroko, powiedział: - Ludwik XVII.

Siedzieli długo razem, uszczęśliwieni. Toinette nic sobie nie robiła z tego, że skórę i suknie pokryły sadze.

- Teraz musisz uważać na siebie - upomniał ją z ważną miną. - Codziennie kąpiel, nie za gorąca, nie za zimna. Nie kłaść się za późno spać. Żadnych wzruszeń. Ani słowa o wojnie czy o twoim budzecie. Ciągle tylko myśleć o dziecku, o delfinie.

- Jakże mogłoby być inaczej - zapewniła go. - Tego nie potrzeba mi długo perswadować.

Potem zaczęła opowiadać mu, że się zastanawiała, kiedy nastąpiło poczęcie; musiało to być tego dnia, kiedy tak źle potraktował doktora Franklina i potem skruszony przyszedł do niej do Trianon.

- Czy to nie znak? - zapytała. - Czy to nie jakieś cudowne potwierdzenie, że to, co robiłam, było słuszne i Bogu na chwałę? Bo jakże w przeciwnym razie obsypałby mnie taką pełnią łask?

Ludwik nie odpowiedział ani słowa, głaskał dalej jej gołe plecy, smoląc je coraz bardziej. A ona mówiła dalej:

- I pomyśleć, że wtedy, kiedy byłeś u mnie, moi starzy stryjowie patrzyli na nas ze swego portretu. Wszystko to jest takie dziwne i pocieszające, i ma z pewnością swoje znaczenie.

Ludwik nie podtrzymał tego tematu, oświadczył, że chciałby zaraz napisać do Wiednia.

- Własnoręcznie - dodał z dumą - i po niemiecku. Ofiaruję również dziesięć tysięcy liwrów na biednych.

Potem Toinette zawiadomiła o wydarzeniu najbliższych. Gabriela dzieliła szczęście przyjaciółki, ale była milcząca; potrzebowała czasu, aby się uporać z różnymi nadziejami i obawami, które się łączyły z tym wydarzeniem.

Potem doszło do rozmowy między Toinette i markizem. Toinette oznajmiła mu z całą prostotą, promieniejąca szczęściem, że teraz urodzi delfina, na którego czeka Francja i cały świat. Była tak przejęta znaczeniem swoich słów, że zupełnie zapomniała o tym, co łączy ją z markizem, i o swoim przyrzeczeniu. Uważała za rzecz zrozumiałą, że każdy, że dosłownie cały kraj, bierze udział w jej radości.

Vaudreuil opanował się i powiedział z całym spokojem swym głębokim głosem:

- Moje najserdeczniejsze życzenia, madame. - Ale był wściekły i w tym momencie zamarła w nim resztką pożądania. A więc głupkowaty Ludwik potrafił się na to zdobyć. A ta Toinette cieszy się, że brzuch jej zacznie rosnać, jak mieszcza, która może sobie pozwolić na wzięcie mamki do dziecka. Czas już naprawdę rozpętać wojnę i opuścić ten dwór. Musi to zrobić, zanim Toinette stanie się gruba i budząca odrazę, żeby się nie wstydzić za siebie i za nią.

Opowiedział Desiree o swojej decyzji i o tym, jak bardzo Wersal go nudzi; krzątanka, która teraz powstanie w związku z brzemiennością Toinette, zatruje mu tam życie do reszty.

Na zamyślonej twarzy Desiree pojawił się grymas.

- W takim razie madame przestanie chyba - rzekła: szydęrczo i z ubolewaniem - uczyć się co dzień na pamięć dwudziestu wierszy Racine'a.

Ton, którym to powiedziała, sprawił, że Vaudreuil zaczął intensywnie myśleć o tym, że z sześciu sztuk dla teatru w Trianon, których próby odbywały się właśnie, cztery jeszcze nie były grane i że w każdej z tych czterech komedii czekała na niego bardzo pociągająca rola.

- To nie nastąpi jeszcze tak prędko - odparł. - Myślę, Desiree, że będzie pani jeszcze miała czas na dalsze próby z Toinette.

Odpowiedź Marii Teresy na błogosławioną wiadomość przyszła niewiarygodnie wcześnie. Kurier z Wiednia przywiózł trzy jej listy, jeden tchnący wzruszeniem i radosny do Toinette, drugi pełen dostojnego uszczęśliwienia do Ludwika i trzeci przepojony troską do ambasadora Mercy.

„Muszę powiedzieć - pisała do swego starego zaufanego przyjaciela - że jestem bardzo zaniepokojona o matkę i dziecko. W kraju, w którym wolnomyślicielstwo tak kwitnie jak we Francji, ludzie nie cofną się przed najczarniejszą zbrodnią. Boję się intryg księcia Ksawerego i jego żony Włoszki. Gdybym nie wiedziała, drogi Mercy, że Pan czuwa

nad moją córką, byłabym w jeszcze większym strachu. Staram się więc zapomnieć o potwornych zbrodniach, które notuje historia Francji, i ufam w dobrotliwą Opatrzność boską. Szczerze Panu życzliwa - Maria Teresa".

Już w dwa dni później cesarzowa napisała do Toinette następny list; dawała w nim rady z dziedziny higieny nie tylko na czas ciąży, ale również i na pierwsze tygodnie po urodzeniu dziecka.

„Słuchaj lekarza we wszystkim - pisała. - Nie należy niemowląt zawijać zbyt mocno, nie powinny być również trzymane zbyt ciepło. Przede wszystkim jednak rozejrzyj się już teraz za dobrą, zdrową mamką. Nie znajdziesz takiej mamki w tym zepsutym, niemoralnym Paryżu, musisz szukać na wsi, co także nie będzie łatwe".

Cały Wersal przypuszczał, że teraz wskutek ciąży wpływ polityczny Toinette wzrośnie. Traktowano więc przedstawicieli Habsburgów, ambasadora Mercy i księdza Vermond, z podwójną atencją. Ksiądz Vermond widywał teraz przy swym lever jeszcze, więcej dostojników niż dawniej. Gdy go odwiedził markiz d'Aubespine, by prosić o pośredniczenie w pewnych pertraktacjach, które prowadził z Toskanią, ksiądz pozwolił sobie na przyjęcie go w kąpieli i markiz zdawał się nawet temu nie dziwić; Ksiądz Vermond myślał o swym ojcu; małym kupczyku z Sens, i żałował, że stary nie dożył tej chwili.

Po kilku dniach spotkała go jeszcze większa satysfakcja. Dobrotliwy Ludwik, którego przepęłniało uczucie szczęścia, porzucił swą sztywną postawę wobec księdza. Po raz pierwszy od długich lat nie patrzył w przestrzeń, kiedy ten złożył przechodzącemu władcy głęboki ukłon. Przewyciężył się i przemówił do niego.

-Jak się ksiądz miewa? - zapytał.

Rozpromieniony Vermond odpowiedział:

Jestem szczęśliwy ze szczęścia ich królewskich mości.

Dziękuję, monsieur l'abbe - powiedział Ludwik.

Łaskawy nastrój Ludwika przejawiał się i w tym, że kazał przyśpieszyć wydanie wyroku w procesie rewizyjnym Lally'ego.

Sprawa wyglądała tak: hrabia Tomasz Artur Lally, potomek starego irlandzkiego rodu, odznaczył się zaszczytnie jako generał armii francuskiej. Kiedy wybuchła wojna siedmioletnia, powierzono mu dowództwo naczelne w Indiach francuskich. Ale gubernator i admirał floty operującej na Dalekim Wschodzie oraz wyżsi urzędnicy Kompanii Wschodnio-Indyjskiej nie umieli znaleźć wspólnego języka z bardzo apodyktycznym i brutalnym oficerem; poza tym stosunki między rządem i Kompanią Wschodnio-Indyjską były od dawna wrogie. Teraz, w okresie wojny, panowie z Kompanii byli podporządkowani generałowi Lally, ale okazywali mu pomoc tylko połowicznie; niechętnie. Nie ukrywał swego zdania na ten temat i w listach do króla, ministrów oraz paryskich dyrektorów Kampanii nazywał tych panów sprzedajnymi tchórzami. W biurach dyrekcji Towarzystwa Indyjskiego pomimo całego smutku przyjęto z satysfakcją wiadomość, że generał Lally nie potrafił poradzić sobie z generalnym przeciwnikiem angielskim Clive'em, i przyśpieszono nieuchronną katastrofę. Skarbnik Kompanii zatrzymał żołd należny oddziałom rekrutującym się z niezbyt pewnych tubylców, admirał francuski pozwolił prześliznąć się statkom angielskim, przeszkadzano generałowi Lally w każdym jego posunięciu. Aż wreszcie stracił Pondichery i sam dostał się do angielskiej niewoli.

Utrata Indii wywołała w Paryżu gwałtowne oburzenie. Główną część winy przypisywał Lally nie bez racji swoim podwładnym. Ci ze swej strony twierdzili, że Lally dał się przekupić Anglikom i wydał im zdradziecko Indie francuskie.

Lally wrócił dobrowolnie do Francji z angielskiej niewoli i żądał sądu i wyroku. Trybunał Najwyższy, wśród którego członków znajdowali się osobiści wrogowie generała, nie był bezstronny. Panowie z Kompanii Wschodnio-Indyjskiej starali się zwać całą winę na generała, bo gdyby on nie był winien, odpowiedzialność musiałaby spaść na nich. Opinia publiczna była usposobiona wrogo wobec rządu, despotyczny Lally uchodził za kreaturę rządową i nie cieszył się popularnością. Mimo wszystko niełatwo było skonstruować przeciw generałowi oskarżenie o zbrodnię zasługującą na karę śmierci. Zanim się jakoś udało zgromadzić sto dwadzieścia dziewięć punktów oskarżenia, uzasadniających wszczęcie procesu, trzeba było prawie dwa lata trzymać generała w Bastylii. Proces stał się widowiskiem haniebnym. Nie dopuszczono, by generał miał obrońcę, nie pozwolono na ujawnienie jego papierów, postępowanie sądowe toczyło się w pośpiechu, rozprawy trwały co dzień tak długo, że oskarżony nie miał siły się bronić. Mimo to jeszcze w przeddzień wydania wyroku z pięciu sędziów tylko dwóch było za karę śmierci, tych dwóch musiałoby godzinami przekonywać pozostałych trzech, aż wreszcie jeden z nich uległ presji i oświadczył:

- No dobrze, dobrze, zrobmy już raz z tym koniec.

Egzekucji dokonano w wyjątkowo poniżający sposób. Sześćdziesięcioczworoletniego generała, który w służbie dla Francji był sześć razy ranny, nie zawieziono wbrew zwyczajowi na miejsce kaźni własnym powozem w otoczeniu przyjaciół, lecz zawleczono go tam na haniebnej taczce, z rękami związanymi z tyłu, z zakneblowanymi ustami. Dyrektorzy Kompanii Wschodnio-Indyjskiej asystowali przy straceniu.

Egzekucja ta odbyła się 6 maja 1766 r. Wolter znał generała Lally i śledził przebieg jego procesu z napięciem i

wzrastającym gniewem. Uważał wyrok za legalne morderstwo. Wielu podzielało jego zdanie.

„Najgorsze w ludziach przyzwoitych jest to - rozmyślał Wolter - że są takimi tchórzami. Wymyślają na bezprawie, ale po chwili zamykają pyski, zjadają kolację, idą spać i zapominają". On nie zapominał. „Stulecie nasze, uważane za śmieszne - pisał do jednego z przyjaciół - jest w istocie swej okrutne". W liście do innego przyjaciela pisał, że Lally i poprzednie ofiary sprawiedliwości francuskiej ukazują mu się we śnie. Wiedział jednak, że opinia publiczna jest jeszcze zanadto podszczuta przeciw generałowi, żeby ją można zdobyć bezpośrednim atakiem. Poprzestał więc na włączeniu do swej Historii Ludwika XV gniewnego a rzeczowego opisu zasług generała Lally.

Po jakimś czasie młody syn generała Lally przesłał mu pisma generała, których sąd nie pozwolił ujawnić, oraz obszerny materiał dowodzący niewinności straconego. Wolter miał w owym czasie lat osiemdziesiąt i był bardzo chory. Ale wziął się od razu do dzieła. Proces odbył się wprawdzie dosyć dawno, ale Wolter wiedział, że i teraz będzie trzeba posługiwać się określonymi drogami i że napisanie książki rehabilitującej zmarłego generała nie jest rzeczą łatwą; musi to być książka zajmująca, by przykuć uwagę małą, które stanowią połowę ludności tego kraju, patetyczna i wzruszająca, by poruszyć serca tygrysów, z których się składa druga połowa. Ale podjął ten trud, pracował dniami i nocami i w ten sposób powstała książka o niesłychanym napięciu, pełna dowcipnych i głębokich uwag na temat historii Indii, poglądów, obyczajów i zwyczajów poszczególnych szczepów zamieszkujących ów kraj; w te charakterystyki i refleksje wplótł gniewny, zimny opis wstrząsających losów generała Lally oraz owej haniebnej rozprawy sądowej, która losy te

zakończyła! Dziełu swemu dał tytuł: Fragmenty z historii Indii i generała Lally.

Kiedy książka się ukazała, generał był właściwie człowiekiem zapomnianym. Ale nagle odżył w pamięci tysięcy i dziesiątków tysięcy, które zaczęły przejmować się tym, co się stało, i oburzać na haniebny sposób prowadzenia procesu. Ta sama opinia publiczna, która swego czasu przyczyniła się tak bardzo do skazania generała, domagała się teraz jego rehabilitacji.

Sam Ludwik, broniący zazwyczaj sprawiedliwości, odsuwał zbadanie niemiłych, bardzo obszernych aktów sprawy generała Lally. Nie przeczytał również książki Woltera. Przeciwnie, okoliczność, że nazwisko Lally zostało teraz złączone z nazwiskiem znieawidzonego arcykacerza, usposabiała go przeciw generałowi. Nie chciał, by go pouczano, że wyrok mógł być niezgodny ze sprawiedliwością. Ale teraz, kiedy Wolter przybył do Paryża, zajmowano się jego pismami jeszcze żywiej niż przedtem. Aferą generała Lally interesowało się coraz więcej ludzi. Gabinet ministra sprawiedliwości i biurko Ludwika były zasypane coraz większą liczbą gwałtownych żądań, domagających się rehabilitacji straconego.

Teraz w błogim nastroju, w jaki wprawiała go perspektywa potomka, Ludwik czytał te żądania i prośby z całą dobrą wolą. Dał wreszcie polecenie zbadania na nowo sprawy generała. Najwyższy sąd królestwa, Trybunał Siedemdziesięciu Dwóch przystąpił do jej rozpatrywania.

Może po to, by zagłuszyć żal, że nie wrócił do Ferney, Wolter pracował ze zdwojonym zapalem. Odczuwał wprawdzie brak zaufanego Wagniere'a, który mu był tak pomocny, ale zaciskał wargi, pił jeszcze więcej kawy niż zwykle, pisał i dyktował.

Pracował nie tylko nad tragedią Agatokles, na którą czekał Theatre Francais i w której ciągle jeszcze brakowało kilku scen; pochłaniał go również pewien nowy, bardzo ambitny plan.

Voltaire i mowa francuska tworzyli jedność. Była narzędziem jego pracy, ziemią, która go żywiła, jedyną kochanką, której nigdy nie miał dosyć. Akademia wystąpiła teraz z projektem gruntownej rewizji przestarzałego słownika języka francuskiego. Członkowie jej zgodzili się bez entuzjazmu. To, czego od nich wymagano, było robotą ciężką, niewdzięczną. Podobny nastrój wykluczał powodzenie przedsięwzięcia.

By pobudzić ich entuzjazm, Voltaire zabrał się do napisania manifestu, który miał dowieść, jak ważną rolę w życiu narodu odegrałby taki nowoczesny słownik. Wskazał również metodę, którą należałoby zastosować przy modernizacji wielkiego dzieła. Aby dać przykłady, jak mają wyglądać poszczególne hasła, zaczął opracowywać obszerną i trudną literę „A”. Pisał z pasją. Manifest i hasła muszą być takie, by porwały innych, by nawet z leniuchów i tępaków wykrzesaly entuzjazm dla siły i precyzji francuskiego słowa.

Pośród całej tej pracy znajdował jeszcze zawsze czas na przyjmowanie wizyt i wychodzenie z domu. Uczestniczył w posiedzeniach Akademii, obejrzał w Theatre Francais swoją sztukę Alzire, nie uchylił się od uciążliwych owacyj publiczności.

Przyrzekł Akademii, że na posiedzeniu, wyznaczonym na 11 maja, odczyta jej swój manifest, który ma być włączony do słownika. Ale tego dnia był zbyt osłabiony, by wyjść, musiał położyć się do łóżka, odczytanie zostało odłożone na tydzień.

Następnego dnia, 12 maja, stan jego zdrowia pogorszył się jeszcze. Morand, lokaj i pielęgniarz, chciał wezwać doktora Tronchin. Ale chory nie pozwolił, lękał się widoku lekarza, który, jak się okazało, miał rację. Tymczasem zjawił się

przyjaciel Woltera, sędziwy hrabia de Richelieu. Kiedy zobaczył Woltera wijącego się w bólach, polecił pewien środek, który mu w podobnych wypadkach pomagał. Łapczywy z natury Wolter wziął bardzo wielką dozę i bóle zwiększyły się. Wpadł w rodzaj delirium, zaczął wzywać Wagniere'a.

- Wagniere'a nie ma w Paryżu - powiedziała delikatnie pani Denis. - Posłał go pan do Ferney. Ale Wolter wołał dalej:

- Wagniere, Wagniere, gdzie pan jest?

Trzeba więc było jednak wezwać doktora Tronchin. Dał choremu jakieś antidotum na lekarstwo hrabiego Richelieu. Wolter, odzyskawszy przytomność, powiedział melancholijnie:

- Miał pan rację, mój przyjacielu, trzeba było wrócić do Ferney.

Wyszedłszy od Woltera Tronchin oświadczył jego bliskim, że nie można go już uratować; pożyje najwyżej kilka tygodni.

Siedemnastego maja Akademia zapytała, czy może liczyć na zapowiedzianą prelekcję na temat słownika.

- Proszę przesunąć mój referat o tydzień, na dwudziestego piątego - brzmiała odpowiedź Woltera.

Dwudziestego piątego maja Tronchin oświadczył, że jest wykluczone, by Wolter przeżył następny tydzień.

Dwudziestego szóstego maja nadeszła wiadomość, że Najwyższy Sąd wszystkimi siedemdziesięciu dwoma głosami uznał wyrok wydany na generała Lally za nieważny. Wolter ożywił się. Podyktował list następującej treści do młodego Lally: „Umierający, otrzymawszy wielką nowinę, budzi się do życia. Obejmuje czule Pana de Lally. Widzi, że mimo wszystko jest jeszcze sprawiedliwość na świecie, i umiera w spokoju". Drżącą ręką napisał na wielkim arkuszu papieru: „26 maja zbrodniczo krzywdzący wyrok, wydany na generała Lally, został przez Trybunał Siedemdziesięciu Dwóch

siedemdziesięcioma dwoma głosami uznany za nieważny". Arkusz ten kazał umieścić nad swym łóżem w taki sposób, by zarówno on sam, jak wszyscy, którzy go odwiedzali, mieli go stale przed oczyma.

Najbliższe otoczenie Woltera starało się zapewnić mu ów godny pogrzeb, dla którego zniósł niegdyś tyle upokorzeń. Ukrywano, jak źle jest z jego zdrowiem, by naczelne władze Kościoła nie zdążyły się sprzeciwić należytemu pochowaniu zwłok.

Tymczasem bratanek Woltera, cieszący się powszechnym szacunkiem ksiądz Mignot, tytularny opat Scellieres, pertraktował poufnie z monsieur de Tersac, kanonikiem kościoła Saint-Sulpice. Prosił go, by udzielił ostatniej pociechy umierającemu, który przecież złożył chrześcijańskie wyznanie wiary. Kanonik odpowiedział sucho, że jak już oświadczył, złożone mu tak zwane wyznanie wiary nie jest dla niego wystarczające. Na tej podstawie nie można dać konającemu ostatniego namaszczenia ani też godzić się na chrześcijański pogrzeb. Ksiądz Mignot odpowiedział, że monsieur de Tersac zajmuje bardzo nieprzejednane, a przy tym dowodzące ciasnoty umysłu stanowisko oraz ma na sprawę nie mniej ciasny pogląd, którego będzie musiał bronić przed arcybiskupem i Trybunałem Najwyższym.

- Ksiądz kanonik może być przekonany - powiedział - że będę apelować do tych instancji.

- Proszę postępować wedle swego uznania - odpowiedział kanonik.

Ksiądz Mignot udał się więc do uprzejmego, prostodusznego księdza Gaultier. Może on wymusi na umierającym oświadczenie obszerniejsze, bardziej precyzyjne, zgodne z żądaniami Kościoła. Ksiądz, któremu to pochlebiło, przyrzekł zrobić wszystko, co w jego mocy.

Tymczasem kanonik przypomniał sobie zaraz po rozmowie, jak wielkie i bolesne wrażenie wywołało swego czasu, gdy Kościół odmówił pochowania aktorki Lecouvreur. Obawiał się, że na wypadek, gdyby powiał niepomyślny, wolnomyślicielski wiatr, arcybiskup mógłby umyć ręce od wszystkiego, i żałował swojej odwagi. Po namyśle raz jeszcze wezwał do siebie księdza Mignot, który oznajmił mu, że Gaultier chce podjąć próbę skłonienia Woltera do bardziej szczegółowego oświadczenia. Kanonik milczał przez chwilę. Potem odpowiedział uprzejmie, że choć przepisy zmuszają go do odmówienia panu Wolterowi chrześcijańskiego pogrzebu w swojej parafii, nie skorzysta jednak z przysługującego mu prawa zatrzymania zwłok.

- Czy znaczy to - zapytał Mignot - że mogę godnie pochować zwłoki na innym miejscu?

- Decyzja w tym względzie nie należy do mnie - odrzekł kanonik.

- Ale monsieur daje mi pozwolenie na przeniesienie zwłok z Paryża? - zapytał Mignot.

- Tak, monsieur - odpowiedział kanonik.

- Czy monsieur byłby łaskaw - asekurował się Mignot - wystawić mi to pozwolenie na piśmie?

- Jeżeli monsieur sobie tego życzy - odrzekł kanonik bez zachwyty. I napisał.

Myślał, że ksiądz Gaultier osiągnął jednak u Woltera pewien sukces, i korciło go, że temu prostodusznemu, a równocześnie sprytnemu człowiekowi uda się jednak wydobyć od umierającego wielkie, sensacyjne wyznanie - umierający mówią niejedno, a szczęście często sprzyja głupim.

Nie bacząc więc na własną godność postanowił kanonik, wbrew swemu poprzedniemu oświadczeniu, spróbować po raz ostatni pogodzić wielkiego kacacza z Kościołem. Napisał ogromnymi literami: „Ja, Wolter, wierzę w boskość

Chrystusa". Postanowił papier ten przedłożyć umierającemu i zadowolić się tym, że wielki kacierz podsygnuje go w obecności świadków literą „V”. Wezwał więc w pośpiechu Mignota i Gaultiera i wszyscy trzej duchowni pojechali do domu, w którym Wolter pochłonięty był funkcją umierania.

- Najzwyklejsze „V” skreślone ręką tego pana - tłumaczył kanonik po drodze tamtym dwom - kreska w dół, kreska w górę - i nikt nie będzie mógł pomawiać Kościoła o brak tolerancji.

Wolter był od dawna poza tymi troskami. Potworny ból we wnętrznościach kłuł, palił, piłował. Od czasu do czasu popadał w omdlenie, ale nie trwało to długo. Doktor Tronchin zadawał sobie pytanie, czy nie zastosować jakiegoś narkotyku. Nie życzył przyjacielowi potwornie bolesnej śmierci. Z drugiej strony sądził, że człowiek, który za życia przyjmował spokojnie wszystko, i dobre, i złe, nie będzie chciał tracić swych ostatnich godzin bez względu na to, jakie by one być miały. Miał również doktor Tronchin nadzieję, że ten bezbożnik i szyderca pod wpływem bólów może jednak pożałuje, że żył tak głupio.

Spotkał go zawód: kiedy bóle słabły, stara, wyschnięta twarz Woltera nie wyrażała skruchy ani wewnętrznej męki, przeciwnie, gasnący patrzył z pewną radością na napis nad łóżkiem, który głosił, że wywalczył dla nieżyjącego generała spóźnioną sprawiedliwość.

Z niemiłym zdziwieniem wysłuchiwał lekarz strzępów słów jękającego się Woltera, który zamiast wspominać swe grzechy w ostatnich chwilach z bolesnym cynizmem zwracał się do zmarłych przyjaciół, złośliwie drwił ze zmarłych wrogów albo też opracowywał zwrot „ad patres” dla słownika; zwrotu tego używano, by określić człowieka, który odszedł do swych ojców, a więc był już umarły.

Kiedy kanonik wszedł w towarzystwie obu księży, dokoła konającego zebrani byli doktor Tronchin, lokaj i pielęgniarz Morand, markiz i markiza Villette oraz pani Denis. Kanonik podszedł do łóżka i powiedział:

- Monsieur de Voltaire, nadszedł kres. Czy pan żałuje? Czy wierzy pan w boskość Chrystusa?

Umierający patrzył nań jasnym wzrokiem, ale milczał. Wtedy kanonik pochylił się nad nim niżej i Wolter uniósł w górę nieskończenie słabe i wychudłe ramię. Na twarzy kanonika pojawił się błogi uśmiech. Kanonik był przekonany, że kacierz podniósł ramię na dowód skruchy. Wyszkolonym głosem, cicho, ale bardzo wyraźnie powtórzył pytanie:

- Monsieur de Voltaire, czy wierzy pan w Chrystusa?

Umierający uczynił ruch ręką, który nie budził wątpliwości, że się przeciw pytaniu broni. Wolter opadł na poduszki z gniewnym szeptem:

- Proszę mi dać umrzeć w spokoju.

Na odchodnym kanonik powiedział ze złością do markiza de Villette:

- Po co ten ksiądz Mignot się w to mieszał? Dlaczego wzywał pan tego prostaka Gaultiera? Trzeba to było pozostawić tylko mnie, zaaranżowałbym całą rzecz wspaniale.

Domownicy stali jeszcze przez dwie godziny nad łóżem konającego. Wzywał kilkakrotnie swego Wagniere'a. O godzinie jedenastej minut cztery powiedział do lokaja:

- Bądź zdrow, mój drogi Morand, umieram.

Umarł o jedenastej minut trzynastie.

Razem z nim zapadły się w nicość nie narodzone dramaty, eposy i wspaniałe eseje. Razem z nim zapadł się w nicość rozum olśniewający ciętością, przestały żyć bezgraniczna żądza i sztuka szyderstwa oraz dziecięco naiwny, niepohamowany pęd do odgrywania wielkiej roli. Razem z nim zapadł się w nicość umysł w wielu drobnych sprawach

ponad wszelką miarę egoistyczny i zakłamany, we wszystkich sprawach wielkich wojowniczy i bezgranicznie szczery. Razem z nim zapadła się w nicość istota, będąca mieszaniną najobrzydliwszego skąpstwa i ślepej rozrzutności, bezwstydnie chciwa i wspaniałomyślnie dobroczynna. Razem z nim zapadła się w nicość olbrzymia wiedza i zdumiewająca zdolność przerzucania mostów od jednej dziedziny ducha do drugiej. Razem z nim zapadła się w nicość płomienna żądza rozpowszechniania wiedzy po całym świecie, paląca nienawiść nietolerancji, przesądów, ciemnoty i niesprawiedliwości. Razem z nim zapadł się w nicość duch, którego przeznaczeniem było oddziaływać na jak najszerszej przestrzeni i po wsze czasy. Tego dnia, 30 maja o godzinie jedenastej trzynastej, zostały po tym wszystkim tylko nędzne zwłoki.

Póki to małe, pokurczone coś mogło jeszcze myśleć i pisać, napisało, co następuje: „Znałem człowieka, który był święcie przekonany, że brzęczenie pszczoły ustaje po jej śmierci. Porównywał człowieka z instrumentem muzycznym, który, złamany, nie wydaje żadnego dźwięku. Twierdził, że na pozór człowiek stworzony jest jak wszystkie inne zwierzęta i wszystkie rośliny, by być, a potem nie być. Człowiek ten osiągnąwszy wiek Demokryta zwykł był zachowywać się jak Demokryt i śmiać się z wszystkiego”.

Teraz człowiek ten nie myślał już, nie śmiał się i nie troszczył się o to, co się z nim dzieje.

Troszczyli się za to inni. Kanonik kościoła Saint-Sulpice uważał za swój obowiązek natychmiast złożyć raport arcybiskupowi. Ten przypuszczał, że rodzina przewiezie zwłoki Woltera do Ferney, i biskup tamtejszy otrzymał instrukcję zakazującą chrześcijańskiego pogrzebu w Ferney.

Ale przeczuł to ksiądz Mignot i umyślił plan zapewniający zmarłemu wujowi pogrzeb, jakiego sobie życzył, oraz

wyprowadzający w pole arcybiskupa. W dalszym ciągu więc trzymano śmierć Woltera w tajemnicy. Zaufany lekarz i dwaj jego pomocnicy zabalsamowali trupa, uszminkowali go, nadając mu pozór żywej istoty. W nocy wsadzono nieboszczyka do dyliżansu podróżnego. Tak, niby śpiący, cicho i potajemnie wyjechał wielki Wolter z Paryża, do którego wjechał z takim hukiem i paradą. Towarzyszyli mu: lokaj, który go utrzymywał w należytej pozycji, i ksiądz Mignot. Jechali w pośpiechu przez ciemności nocy w południowo-wschodnim kierunku, przebyli kilkaset mil, dotarli wreszcie do Romilly nad Sekwaną, gdzie leżało tytularne opactwo księdza Scellieres.

Ksiądz Mignot wyjaśnił w Scellieres przeorowi klasztoru, że zgodnie z życzeniem wuja chciał jego zwłoki przewieźć do Ferney, by je tam pochować; zdaje się jednak, że trup nie przetrwa tak długiej podróży. Dlatego ksiądz Mignot prosi o pozwolenie pochowania zmarłego w tutejszym kościele. Przeor, któremu to pochlebiało, zapoznawszy się z przedłożonym mu przez księdza Mignot wyznaniem wiary, zgodził się bez wahania i przystąpiono do koniecznych przygotowań. Po południu wystawiono zwłoki w kościele i odprawiono za nieboszczyka nabożeństwo żałobne. Trumna stała przez noc w kościele; oświetlały ją pochodnie, grupka czcicieli Woltera pełniła straż. Następnego ranka, 2 czerwca, Wolter został w obecności wielu duchownych i świeckich dostojników pochowany wedle wszelkich wymagań kościelnego rytuału, w poświęconej ziemi, tak jak sobie tego w naiwności ducha życzył.

W trzy godziny później przeor klasztoru w Scellieres otrzymał pismo swego przełożonego biskupa z Troyes, zabraniające pogrzebienia zwłok Woltera.

Mimo wysiłków rodziny Woltera Ludwik dowiedział się oczywiście już nazajutrz o jego śmierci. Pochwalał w zupełności opór Kościoła przeciw pochowaniu kacerza. Pisma wolnomyślicieli, a zwłaszcza pisma tego Woltera, pełne były dwuznacznych sentencji na temat tolerancji. Ale w Ludwiku ta ckliwa gadanina, która zbrodnię obojętności ubierała w piękne słowa, budziła tylko gniew i obrzydzenie. Był zdecydowany zachować żelazną nietolerancję; tron nie chciał pozostać w tyle za ołtarzem.

Oświadczył ostro generalnemu prefektowi policji Lenoir, że nie życzy sobie jakichkolwiek objawów czci dla zmarłego kacerza. Dzienniki otrzymały zakaz drukowania wspomnień pośmiertnych, nie pozwolono im nawet na wzmiankę o śmierci Woltera. Akademii broniono manifestacji żałobnej, teatrom grania sztuk Woltera, szkołom czytania jego dzieł.

Zakazy te nie na wiele się jednak przydały. Paryż nie dał sobie zabronić uczczenia największego geniusza, jakiego wydała Francja tego stulecia, i próba pohańbienia jego pamięci oburzyła wszystkich. Rozpowszechniono setki ulotek, powódź goryczy i szyderstwa spłynęła na władze, które chciały pominąć nieśmiertelnego śmiertelnym milczeniem. Nigdy przedtem nie czytywano dzieł Woltera z takim zapałem jak teraz. Właśnie dlatego, że były zabronione, tysiące młodzieńców nauczyły się na pamięć w tym okresie nietolerancji owej modlitwy, która jest epilogiem Wolterowskiego Traktatu o tolerancji: „kieruję tę moją prośbę do Ciebie, Boże wszystkich istot, wszystkich światów i czasów. Dałeś nam serca nie po to, byśmy się nawzajem nienawidzili, i ręce nie po to, byśmy się nimi wzajemnie dusili. Spraw, aby drobne różnice w ubiorach okrywających nasze ułomne ciało, w naszych niedoskonałych słowach, w naszych śmiesznych zwyczajach, w naszych niedoskonałych prawach, w naszych bezmyślnych przekonaniach, by

wszystkie te drobne różnice, które wydają nam się tak nieskończenie wielkie, a są wobec Ciebie tak mizerne, by te różnice nie stały się sygnałami rozpętującymi nienawiść i prześladowania. Spraw, by ludzie nienawidzili tyranii nad duszami i zwalczali ją tak samo, jak zwalczają rabunek i gwałt. A jeżeli wojny są nieuchronne, spraw, by przynajmniej w czasie pokoju ustała nienawiść i rozdarcie, byśmy używali swojej egzystencji na to, by tysiącem języków, ale jednym sercem od Syjamu do Kalifornii wielbić Twoją dobroć, która darowała nam krótką chwilę, nazywaną przez nas życiem".

Księża ze swej strony nie szczędzili najstraszliwszych ataków pod adresem zmarłego. „W swoim potwornym obłędzie - pisał jeden z nich - nazwał się ten bezwstydnym bluźniercą osobistym wrogiem Zbawiciela. Tkwił w błocie, pławił się w nim, błoto sprawiało mu radość. Piekło rozpałało jego fantazję i piekło pomogło mu osiągnąć ostateczną granicę zła".

W przeciwieństwie do paryżan, którym zabroniono czcić publicznie pamięć zmarłego, tym bardziej czciła go reszta świata. Marzydzielsko dała wyraz swej żałobie cesarzowa Katarzyna: „Nie żyje - biadała - świat bez jego ducha i dowcipu stał się pusty. Jemu zawdzięczam wszystkie moje myśli". Król Fryderyk pruski, prezes Akademii swojego imienia, urządził uroczystość i sam wygłosił mowę pogrzebową. Była pełna pogardy dla ciasnoty mózgów i serc paryskich klechów i obiegała cały świat. Fryderyk zarządził również, by we wszystkich katolickich kościołach jego kraju odprawiono msze za zmarłego.

Prędzej, niż można było oczekiwać, musiał Wersal odwołać zakazy przeciw uczczeniu zmarłego Woltera. Theatre Francais wystawił z jego spuścizny pośmiertnej tragedię Agatokles. Publiczność zjawiała się w żałobnych strojach, nie klaskała i w milczeniu opuściła teatr. Podobnie zachowało się audytorium podczas uroczystości poświęconej jego pamięci w Akademii.

Tysiące ludzi w strojach żałobnych zebrały się na dziedzińcu Luwru, wypełniły ulice dokoła gmachu, stały z obnażonymi głowami, pod ulewnym deszczem, słuchając w milczeniu mowy żałobnej, wygłoszonej przez d'Alemberta.

Rozdział drugi

Zakaz

Kiedy wiadomość o śmierci Woltera rozeszła się po Paryżu, Pierre konferował właśnie z Maigrone; chodziło o ważną transakcję handlową, o pożyczkę, której Societe Industrielle de Chinon miała udzielić firmie Hortalez.

Firma Hortalez składała się w istocie z pana de Beaumarchais, Societe Industrielle zaś wyłącznie z pana de Beaumarchais. Societe Industrielle rozporządzała bogatymi terenami leśnymi i dochodowymi tartakami, nie miała żadnych długów, była najsolidniejszym aktywem Carona. Transakcja kryła w sobie ryzyko, ponieważ umożliwiała wierzycielom firmy Hortalez zgłaszanie pretensyj do obiektów pozostających dotychczas poza ich zasięgiem. Ale Pierre miał dosyć tego wiecznego użerania się; chciał zyskać spokój przynajmniej na krótki czas. Maigron zwracał uwagę na niebezpieczeństwo tego kroku i gwałtownie go odradzał. Pierre nie chciał go słuchać, ale Maigron upierał się przy swoim.

W trakcie tej dyskusji Pierre otrzymał wiadomość o śmierci Woltera. Przez pięć dni na próżno starał się dostać do pałacu Vilette, nie dopuszczono go do wielkiego przyjaciela i kolegi, co mu dało do myślenia. Mimo to wiadomość była dla niego ciężkim ciosem. Zostawił Maigrona bez żadnych dyrektyw i pośpieszył do domu.

Tam dowiedział się od Gudina, że trzeba było potajemnie wywieźć zwłoki; by zapobiec zbezczeszczeniu ich przez władze. Carona ogarnął niepohamowany gniew. Chciał udać się z miejsca do premiera. Musi dać klechom dobrą i nauczkę, żeby popamiętali! Zwłoki Woltera muszą być z powrotem przetransportowane do Paryża i pochowane w centrum miasta, na Pont-Neuf, u stóp żelaznego pomnika Henryka Wielkiego.

Wolter napisał epopeję o tym królu. Największy pisarz Francji i największy jej władca należą do siebie. Pierre wezwał już swego lokaja Emila, by go ubrał na wizytę do hrabiego; tylko z trudem udało się Gudinowi odwieść go od tego zamiaru.

Po tym pierwszym gwałtownym wybuchu Pierre popadł w nastrój melancholijnie patetyczny. Przypomniawszy sobie swoje ostatnie spotkanie z wątłym, a jednak tak potężnym starcem, nie mógł wytrzymać dłużej w domu, wybiegł do ogrodu. Gudin z trudem nadażał za nim. Padało przed chwilą, powietrze było świeże, ziemia pachniała mocno i rozkosznie. Nie zważając na wilgoć Pierre usiadł na stopniach świątyni Woltera. Zatopiony w myślach, spoglądał na Bastylie, wznosząc swe potężne mury po tamtej stronie placu.

Gudin przez dłuższą chwilę nie miał odwagi przerwać milczenia przyjaciela. Potem rzekł cichym głosem:

- Rozumiem, że śmierć ta porusza pana bardziej niż nas wszystkich; był pan przecież ze zmarłym głębiej związany.

Pierre spojrzał na niego. Przypomniawszy sobie wzniosłą chwilę, w której wraz z Wolterem patrząc na Bastylie podpisał umowę w sprawie wydania Opera omnia. Filip miał rację: tak samo jak w umowie leżącej teraz w jego skrzyni oba nazwiska były ze sobą ściśle związane, tak Beaumarchais i Wolter muszą po wsze czasy stać złączeni na jednym cokole. To właśnie, że władze odmówiły zmarłemu przyzwoitego pogrzebu, było dla niego bodźcem, by, z całą siłą dążyć do wydania Opera omnia.

- Może się pan zdać na mnie - oświadczył ponuro i stanowczo.

- Wzniosę Wolterowi pomnik, którego mu odmówiły dwór i Kościół.

Ale Gudin odpowiedział:

- Nie miałem tego na myśli, Pierre. - Po chwili dodał głosem ochryplym z podniecenia: - Autor Merope umarł, autor Figara żyje. Teraz pan jest geniuszem Francji.

Znaczące te słowa wywołały w panu de Beaumarchais błogie uczucie.

— Tak - oświadczył niezwykle wolno i w zamyśleniu. — Mam teraz nowe, cięższe zobowiązanie; jeżeli o to chodzi, to ma pan rację, mój Filipie. Po śmierci i zbezczeszczeniu Woltera ci, którzy mają dość sił i tchu w piersiach, muszą jeszcze odważniej bronić wolności. Teraz muszę doprowadzić do tego, by Figaro był grany. Gdyby nawet kula ziemską miała się rozpaść na kawałki - dodał po łacinie.

Pierre przystąpił od razu z gorączkową energią do pracy nad opublikowaniem Opera omnia. Stworzył Societe Litteraire, Typographique et Philosophique, której znowu on był jedynym członkiem. Kazał zakupić w Anglii urządzenie słynnej drukarni Johna Baskerville, sprowadził z Holandii biegłych w swym kunszcie odlewaczy czcionek, założył w Nadrenii nowe fabryki papieru. Nie można było nawet myśleć o tym, by dzieła Woltera drukować na francuskiej ziemi. Societe Typographique wydzierżawiło więc od margrafa badeńskiego stare opuszczone miasteczko Kehl, leżące bezpośrednio nad granicą francuską, i tam się zainstalowało. Beaumarchais uważał to za dobry żart, że dzieło arcykacerza drukowane jest w miejscowości położonej naprzeciw twierdzy francuskiej Strasburg.

Od razu i ze wszystkich stron nastąpiły ataki. Książę biskup Strasburga, kardynał Rohan, jeden z najbardziej znanych sybarytów i utracjuszy Francji, zaklinał swego „kuzyna” margrafa, by nie tolerował u siebie działalności osobnika o tak dwuznacznej reputacji jak osławiony Beaumarchais; jako książę Kościoła obawiałby się o zbawienie duszy swoich owieczek, gdyby zatrute owoce ducha zmarłego kacerza były drukowane w tak bliskim sąsiedztwie Strasburga. Równocześnie jeden z członków Najwyższego Sądu w Paryżu opublikował pamflet pod tytułem: Krzyczcie i płaczcie. W

pamflecie tym denuncjował zmarłego Woltera jako triumfującego antychrysta, Carona zaś jako jego pierwszego apostoła, któremu chodzi jedynie o to, by temu antychrystowi wznieść tron.

Publikacja Opera omnia była przedsięwzięciem ryzykownym, kosztownym i skomplikowanym, a niezależnie od niej wikłały się pozostałe interesy Carona, sytuacja jego stawała się coraz niebezpieczniejsza. Posiadanie lasów i tartaków, które odziedziczył w spadku po zmarłej żonie, skłoniło go do założenia stoczni. Dla finansowania tych stoczni stworzył bank dyskontowy, który finansował również pewną firmę, trudniącą się wyrobem sikawek pożarnych, oraz inne podobne firmy. Stocznie kontrolowane przez firmę Hortalez objęły teraz, po zawarciu sojuszu, wielkie dostawy i transporty dla rządu, przede wszystkim dla Indii Zachodnich. Interesy Beaumarchais'go rozgałęziały się coraz szerzej. Pan Maignon był jedynym człowiekiem, który się w tym jeszcze jako tako orientował. Ponuro i sucho wyliczył swemu szefowi, że jego przedsiębiorstwa osiągnęły w ostatnich trzech latach obrót wysokości 54 044 191 liwrów.

Pierre uważał, że człowiek, przez którego ręce przechodziły takie sumy, nie powinien być drobiazgowy, i pomagał wszędzie pieniędzmi, radą, angażował się całą swą osobą. Udzielał pożyczek zadłużonym arystokratom, wynalazcom umożliwiając wykorzystanie ich patentów. Pomagał ludziom, w jego przekonaniu niewinnie prześladowanym, uzyskał dla kupców kalwińskich z Bordeaux i La Rochelle zgodę na przyjęcie ich do izb handlowych. W Theatre Francais i u „Włochów” był orędownikiem utalentowanych artystek. Popierał u władz duchownych podanie księcia de Nassau, który chciał zalegalizować swój związek z pewną rozwiedzioną Polką.

Największe przedsięwzięcie Beaumarchais'go, Ameryka, przynosiło mu w dalszym ciągu zamiast zysków rosnące długi. Za to dawało zaszczyt. Niejaki mister William Carmicheal, jak się zdaje, wybitny amerykański mąż stanu, zapytywał w obszernym liście o los Pawła Theveneau. Mister Theveneau, pisał, przekonał go, że pretensje firmy Hortalez są całkowicie uzasadnione; zrobi wszystko, co będzie mógł, by przeforsować owe żądania. Również niejaki mister Jefferson - Pierre miał wrażenie, że słyszał kiedyś to nazwisko w związku z Deklaracją Niepodległości - pisał mu, że ubolewa, iż firma Hortalez ponosi straty wskutek opieszałości Kongresu i dewaluacji amerykańskiego pieniądza. Pan Beaumarchais położył bowiem w sprawie amerykańskiej wyjątkowe zasługi. Przez swoje starania o prawa człowieka, przez swój geniusz i swą twórczość literacką zapewnił sobie najgłębszy szacunek Ameryki.

Carona cieszyły te listy. Wzruszało go, że działalność Pawła promieniowała jeszcze po jego śmierci.. Ale był dotknięty, że siostrzeniec jego Felicjan nie daje znać o sobie. Napisał natomiast do Teresy, że ubolewa, iż musiał rozstać się z nią bez pożegnania: żyje. powodzi mu się nieźle. Do Beaumarchais'go Felicjan się nie odezwał. A przecież kiedy Felicjan znalazł się już po tamtej stronie oceanu, Pierre dał swym amerykańskim agentom zlecenie wspierania go pieniędzmi, radą i rekomendacjami. Felicjan nie wziął jednak pieniędzy, wstąpił jako ochotnik i zwykły szeregowiec do armii Waszyngtona.

Pan Lenormant bywał u Beaumarchais'go w dalszym ciągu częstym gościem. Na następczynię Desiree wybrał sobie inną aktorkę Theatre Francais, młodą, ładną Zofię Olivier. Pierre utrzymywał przez kilka tygodni z mademoiselle Olivier dosyć burzliwy stosunek przyjacielski; również doktor Lassone ubiegał się o jej względy żarliwie, lecz bez powodzenia.

Nieudane konkury lekarza oraz udane zaloty Beaumarchais'go wbijały w dumę Charlota, który był teraz jej oficjalnym przyjacielem. Zdarzało się, że panna Olivier walczyła o role, które już przypadły Desiree; Charlot popierał ją w tych wypadkach z naiwnym zuchwalstwem.

W sprawach handlowych utrzymał się między przyjaciółmi dawny żartobliwy, nieco niebezpieczny, ni to przyjacielski, ni to wrogi ton. Lenormant dowiadywał się często z życzliwą ironią, kiedy Pierre oczekuje większych wpływów z Ameryki. Pierre odpowiadał stale z niezmienną wiarą:

- Najdalej w ciągu pół roku.

- Miesiące pańskie mają bardzo wiele dni - mówił mu na to Lenormant i na jego twarzy pojawiał się cień owego złowieszczy uśmiechu. Ale Pierre odpowiadał:

- Pan sam przyznał, że nikt nie przewidział rozwoju wypadków amerykańskich z taką jasnością i precyzją jak ja. Czy przypuszcza pan naprawdę, że człowiek, który w sprawach politycznych potrafi mieć sąd tak trafny, jest całkowicie ślepy we własnych interesach?

- To się zdarza - odpowiedział Charlot i uśmiechał się w zamyśleniu. Słowa Carona utwierdzały go w przekonaniu, że jednak firma Hortalez wpadnie mu jeszcze w ręce.

Kiedy Pierre opowiadał swej przyjaciółce Desiree o takich rozmowach z Lenormantem, słuchała go spokojnie. Trzeźwym rozumem pojmowała, że Pierre ma rację, chcąc mimo jej zerwania z Charlotem zachować jego przyjaźń. Jeżeli kto postąpił niemądrze, to ona, odrzucając z powodu Beaumarchais'go propozycję Lenormanta. W owych decydujących chwilach uświadamiała sobie wyraźnie, że po raz drugi nie zdarzy jej się taka gratka i że przez swą odmowę uczyniła sobie z wpływowego przyjaciela nieprzejednanego wroga. Mimo to kobieta tak mądra, doświadczona i szczwana

jak ona, Desiree Mesnard, zrobiła to gigantyczne głupstwo i dziś postąpiłaby dokładnie tak samo.

Pokiwała głową nad sobą. Przyzwyczaiła się oddzielać scenę od życia ostrą linią demarkacyjną i właśnie dlatego, że wielbiono ją za to, iż nikt na scenie nie potrafił tak przekonywająco jak ona wymawiać słowa „kocham”, wydawało jej się niemądre odczuwać coś podobnego w życiu. Przez cały czas starała się traktować swój związek z Caronem jak dobry stosunek koleżeński, któremu od czasu do czasu towarzyszą momenty zmysłowe. A teraz musiała z zakłopotaniem i lekkim rozbawieniem przyznać się sama przed sobą, że było to coś więcej.

Poza tym ten jej Pierrot ze swoją mieszczańską miłością dla Teresy i bezgraniczną próżnością stał się śmieszną figurą. Dokonał wielkich, historycznych czynów, był autorem sztuk, które mogły wytrzymać porównanie z utworami Woltera. Ale zamiast zadowolić się tym, że inni wielbią jego czyny, sam najmocniej rozdmuchiwał swoje sukcesy, a świat uważał to za śmieszne, i miał rację. Śmieszny był jego przepych, wśród którego siedziała poczciwa, mieszczańska Teresa. Ale najśmieszniejsze stało się to, że i firma jego, i cała jego działalność nie były niczym więcej jak wiecznie pozłacanym bankructwem.

Desiree nie pomagało to jednak ani trochę, że patrzyła na rzeczy tak trzeźwo. Już w chwili kiedy Pierre się z nią żegnał, tęskniła za następnym spotkaniem, choć będzie się przed nią znów puszył, nie mówiąc już o wszystkich innych jego słabostkach.

Doktor Franklin składał w swojej drukarni w Passy jedną ze swych Bagatelek. Akademia w Brukseli rozpisała skomplikowaną ankietę z dziedziny geometrii, podkreślając, że rozwiązanie problemu rozszerzy granice naszej wiedzy i

tym samym przyniesie pewien pożytek. Uwaga ta podnieciła właściwą Franklinowi skłonność do drwin. Uznając korzyść za najpośledniejszą z zasad życiowych, uważał, że nie należy ograniczać badania do ram płaskiej użyteczności. Pracował więc teraz nad soczystą, żartobliwą odpowiedzią pod adresem Akademii brukselskiej.

„Jak powszechnie wiadomo - pisał w tym opusculum - przy trawieniu pokarmów powstaje w wnętrznościach wielka ilość wiatru i wydzielanie tego powietrza jest niemiłe zarówno dla wydzielającego, jak i dla znajdujących się w pobliżu z powodu powstającego przy tej okazji nieprzyjemnego zapachu. Ażeby tej nieprzyjemności uniknąć, dobrze wychowani ludzie powstrzymują siłą naturalny pęd do uwalniania się od wymienionych wiatrów. Takie powstrzymywanie się jest nie tylko bolesne, ale staje się czasami przyczyną chorób. Gdyby nie przykry zapach, to ludzie o dobrych manierach prawdopodobnie nie wstydziłiby się wypuszczania wiatrów tak samo, jak się nie wstydzą pluć lub wycierać nos. Moja ankieta ma zachęcić do wynalezienia środka, który by, dodany do naszego pożywienia, sprawiał, aby naturalne wypuszczanie wiatrów nie tylko nie było wstrętne, lecz miłe jak perfuma. O ile ważniejsze byłoby rozwiązanie takiego zagadnienia od większości systemów filozoficznych, które ich twórcom przysporzyły wiecznej chwały. Czy znajdzie się dziś w Europie choćby dwudziestu ludzi, którzy stali się szczęśliwsi wskutek poznania zaczerpniętego od Arystotelesa? A czy «vortices», «wiry» Kartezjusza przyniosą ulgę człowiekowi, który poczuje wirowanie w wnętrznościach? A cóż by to była za rozkosz, gdyby można było siedem razy na dzień wypuszczać wiatr z wnętrzności i być pewnym, że się przez to sprawia przyjemność swemu otoczeniu. Czyż możliwość bezwonnego uwolnienia się od «wirów» nie jest stokroć ważniejsza dla

ludzkości niż owa wolność słowa, o którą naród angielski gotów był od wiek wieków walczyć na śmierć i życie?"

„Vive la bagatelle” - myślał Franklin i, pozostawiając stosy korespondencji na biurku, poszedł do drukarni, by złożyć i wydrukować swoją śmieszna, nieprzystojną bzdurkę. Ale myśl o korespondencji nie dawała mu spokoju. Przerwał więc pracę w drukarni i wrócił do biblioteki.

Siedział tam sekretarz de la Motte, zajęty przeglądaniem poczty. Od dawna piętrzył się stos nie załatwionych listów francuskich, a wczoraj nadeszła poczta z Ameryki, Zarówno sprawy prywatne, jak polityczne, zarówno poczta francuska, jak i amerykańska były najczęściej przykre.

Leżała więc na biurku moc listów w sprawach drobnych. Niektóre były smutne, niektóre komiczne, wszystkie uciążliwe. Liczne epistoły w rymowanej i nierymowanej formie wielbiły wolność Ameryki. Autorzy ich, w zależności od nakładu pracy i talentu, oczekiwali renumeracji w wysokości od dwóch do dziesięciu liwrów. Książę Burgundzki skarżył się w uprzejmym, ale dosyć energicznym liście na wynikające z ciągłego stanu wojennego trudności sprowadzenia z Anglii pewnej rasy psów, bez których polowanie traci wszelki urok; książę ma nadzieję, że doktor Franklin przy swoich niezawodnie dobrych stosunkach z wpływowymi osobistościami angielskimi będzie mógł mu w tym dopomóc. Pewien fizyk, niejaki Jean Paul Marat, przysłał zawiłe, ale interesujące rozważania na temat istoty ognia i elektryczności, prosząc o wzięcie ich pod uwagę oraz polecanie go. Marynarze amerykańscy, zatrzymani przez policję marsylską z powodu różnych ekscesów, żądali, by Franklin złożył za nich kaucję; z chwilą gdy odzyskają wolność, opuszczą kraj. Pewien filozof holenderski przesłał projekty zagwarantowania wiecznego pokoju, pewien sędzia szwajcarski ofiarował się, że na podstawie konstytucji

trzynastu kantonów związkowych zaprojektuje z prawnego punktu widzenia nienaganną konstytucję dla trzynastu stanów zjednoczonych. Pan de la Garde, pułkownik w stanie spoczynku, przesyłał projekt podający, w jaki sposób tysiąc huzarów przebranych za turystów może zawładnąć wrogim miastem. Rozważnym Francuzom tak śmiałe pomysły nasuwają pewne wątpliwości, ale tak młody naród, jak Amerykanie, mógłby z pewnością zastosować jego projekt z wielkim powodzeniem. Markiz de Mortagne, z miasta o tej samej nazwie, położonego w departamencie Perche, przesyłał ze swojej tłoczni beczkę jabłecznika, zwracając przy tym uwagę, że na dłuższy dystans Ameryka nie będzie w stanie obejść się bez monarchy. Należałoby stworzyć autorytatywną instancję, która by powzięła ostatecznie decyzję, gdyby Kongres nie mógł dojść do zgody. Markiz jest gotów objąć urząd monarchy. Pochodzi w prostej linii od Wilhelma Zdobywcy i jest skłonny zadowolić się tytułem królewskim oraz apanażami w wysokości piętnastu tysięcy liwrów.

Potem pan de la Motte położył przed Franklinem książeczkę, którą przysłał z Filadelfii bliżej nie znany mister Ritchie. Była to biografia pastora Williama Smitha napisana przez jego syna. Ów pastor Smith należał do przywódców wrogiego Franklinowi stronnictwa wielkich właścicieli ziemskich. Zawsze i wszędzie dochodziło między tymi dwoma ludźmi do ostrej różnicy zdań, przy czym nieboszczyk doktor Smith pozwalał sobie na wycieczki o charakterze osobistym. Stawiał na przykład na niczym nie oparte zarzuty, że Franklin wykradł koncepcję w dziedzinie elektryczności niejakiemu Kinnersleyowi. Franklin zachował w tych sporach umiarkowanie i obiektywizm.

Ale zmarły ogłosił kiedyś broszurę ociekającą humanitaryzmem na temat błogosławieństw, jakie przynoszą ze sobą dobroczynność i dobroć, Franklin zaś nie potrafił się

powstrzymać, by nie odpowiedzieć na tę broszurę następującymi strofami poety Whiteheada/1:

1/ William Whitehead (1715-1785) - poeta i dramaturg angielski.

Niejedna zła, zdradziecka i uparta dusza
Straszy swymi czynami. I chociaż ją świat
Uważa za wcielenie dobroci niebiańskiej,
Wali często bliźniego bezlitośnie w twarz.

Franklin przerzucał więc teraz kartki biografii, którą Smith junior napisał o pastorze Williamie Smith, i stwierdził, że Smith junior porządnie mu odpłacił. „Doktor Benjamin Franklin - czytał w książeczce - opowiedział światu wierszem, czym był wedle jego zdania mój ojciec. Chcę prozą opowiedzieć, czym ojciec mój nie był: nie był więc tanim autorem kalendarzowych dykteryjek, nie był szarlatanem, mydlarzem ani ateistą. I wszystkie jego dzieci były słubnie spółdzone. Może doktorowi Franklinowi wystawią kiedyś pomnik, mego ojca zaś nigdy to nie spotka. Ale dzieci mego ojca nie będą za to co dzień wysłuchiwały, że był dziwkarzem, fałszywym lisem i bezbożnikiem”.

Franklin przerzucał biografię pastora Smitha, a de la Motte odczytywał mu załączone do niej pismo nieznanego mister Ritchie, który również okazał się duchownym. Pastor Ritchie zwracał Franklinowi w złośliwy i zatroskany sposób uwagę, że twierdzenia mister Smitha juniora nie są niestety przesadne, przeciwnie, w Ameryce wszędzie mówi się o tym, jak zbytkownie żyje w Paryżu przedstawiciel Stanów Zjednoczonych, podczas gdy jego rodacy w Valley Forge głodują i marzną. Doktor Franklin, pisał autor listu, mieszka w luksusowym pałacu, zasiada do arcyobficie zastawionego stołu, w domu jego roi się od służby, jeździ po mieście czwórką koni. Poza tym w dzień i w nocy otaczają go damy, których obyczaje są dalekie od poglądów amerykańskich na

cnotę. Pisząc ten list jest osobiście przekonany o kłamliwości tych plotek. Ale w interesie Stanów Zjednoczonych, cnoty i wolności byłoby pożądane, żeby doktor Franklin przy pomocy faktów zdementował owe złośliwe pogłoski.

Słowa pastora, odczytywane przez sekretarza de la Motte szybko, obojętnie, z lekko francuskim akcentem, brzmiały w tej interpretacji podwójnie fałszywie i absurdalnie. Franklin słuchał tylko jednym uchem. Nie był to pierwszy list tego rodzaju. Prawdziwi przyjaciele Franklina, informując go o panujących w kraju nastrojach, często wspominali, że wzrasta tam nienawiść i brak zaufania do jego osoby. Zwiększała się w Ameryce liczba tych, którzy mu nie mogli przebaczyć, że był ojcem Williama zdrajcy, że za granicą cieszył się sławą, że się dostosował do tamtejszych obyczajów i nie trzymał się zbyt ściśle święcenia niedzieli.

Sekretarz skończył.

- Co odpowiemy pastorowi Ritchie? - zapytał.

- Sądzę, mój przyjacielu - rzekł Franklin - że pozostawię to panu. Podziękujmy mu grzecznie i nieobowiązująco za jego uprzejmą radę.

Zjawił się młody William. Był w Paryżu u rzeźbiarza Houdona. Houdon prosił Franklina, by mu pozował, chciał ofiarować jego popiersie Amerykanom z okazji drugiej rocznicy Deklaracji Niepodległości. Franklin mało znał się na sztuce, ale propozycja wielkiego rzeźbiarza miała jednak pewną wagę. Popiersie Houdona będzie niezawodnie dobrym popiersiem i zrobi wrażenie nawet w Ameryce.

Młody William opowiedział, że Houdon przyjął go z wyjątkową uprzejmością. Ustalił godziny seansów, wyrażając przypuszczenie, że nie będzie ich zbyt wiele.

William przyniósł ponadto z księgarni kilka książek, które nadeszły dla Franklina, a oprócz tego sztych sprzedawany tam od wczoraj. Sztych wyobrażał grób Woltera. Po jednej stronie

grobu rwała się naprzód Niewiedza, wcielona w silną postać kobiecą z opaską na oczach; miała u ramion olbrzymie skrzydła nietoperza, w prawej ręce trzymała płonąca żagiew. Po prawej stronie grobu stała w pozycji bojowej Inteligencja czterech części świata - Amerykę reprezentował Franklin. Był prawie nagi, ale miał futrzaną czapkę na głowie i trochę futra na sobie. W rękę trzymał coś, co mogło być prętem albo palmową gałęzią, groził tym czymś obfitej w kształtach Niewiedzy. Franklin przyglądał się z uśmiechem potężnym ramionom i udom, którymi go artysta wyposażył. Wzdychając pocierał nogę dotkniętą podagrą.

- Musimy ten sztych włożyć do teki - powiedział William do pana de la Motte.

- Do jakiej teki? - zapytał Franklin. - Cóżecie znowu wymyślili?

De la Motte spojrzał z pytającym uśmiechem na Williama.

- Tak - odpowiedział William - teka jest dostatecznie wypełniona, możemy ją pokazać dziadkowi.

Franklin obawiał się z początku, że młodzi ludzie nie będą się nawzajem znosili, ale znosili się doskonale. On sam polubił sekretarza - Francuza. Zrazu nie dowierzał temu człowiekowi, którego mu narzucili koledzy. Pan de la Motte, przyzwyczajony do metod pracy Johna Adamsa i Artura Lee, nie starał się wcale ukrywać swego niezadowolenia z powodu niedbalstwa i opieszałości Franklina. W pierwszych tygodniach był jakby nieustannym, niemym wyrzutem; zdawał się mówić: „Jazda, stary, nie leń się, do roboty”. Stopniowo jednak przekonał się, ile mądrości i rozsądku tkwiło w spokojnym, nieco niedbałym sposobie bycia Franklina, ile było w nim cichej, żartobliwej życzliwości do ludzi. Przestał protestować i przy każdej sposobności okazywał doktorowi, jak głęboko jest mu oddany.

Dwaj młodzieńcy, dumni, z ważnymi minami, uśmiechając się, przynieśli tedy wielką tekę. Zawierała niezliczone podobizny Franklina, dobre i kiepskie, godne go i niegodne. Na jednej wyglądał jak poczciwy, dostatni mieszczuch, na drugiej jak bohater, na innych jak przebiegły kupiec, jeszcze na innych jak sybaryta, były także takie, na których był podobny do filozofa. Wszystkie miały na celu oddanie mu hołdu.

Był tu także portret pędzla Duplessis. Była podobizna malowana przez madame Filleul, był portret malowany przez Cochina, ukazujący Franklina w futrzanej czapce, i jeszcze jeden przez Greuze'a, był ciężki, zimny majestatyczny portret pędzla de l'Hospitála i lśniący, niezwykła, pełna wdzięku podobizna pędzla Fragonarda, pod którą widniały słowa „Amerykański Sokrates”. Większość portretów zaopatrzona była w wiersze, przeważnie bardzo przesadne. Był tu również sztych Martineta, do którego powstania przyczynił się swego czasu dzielny Dubourg. I dziś Franklin kręcił głową czytając przesadne pochwały:

Niebu wykradł pioruny. W puszczy pełnej dzikusów
Sztuk wyczarował kwiat. W ziemi amerykańskiej
Pierwszy z mędrców szeregu.

Gdyby się zjawił w Helladzie, niechybnie znalazłby miejsce
Bardzo poczesne wśród bogów.

Tak, tak, trzeba przyznać, że poczciwy Dubourg ma lekkiego
bzika.

Młodzieńcy wyciągali z teki jeden sztych za drugim. Po portretach przyszła kolej na wizerunki o charakterze symbolicznym i alegorycznym. Znajdował się wśród nich drzeworyt; przedstawiał globus, na którym była wyraźnie narysowana Ameryka. Globus dźwigał popiersie Franklina, a nad nim unosiła się skrzydlata Wolność. Na innym sztychu

widać było Diogenesa. W lewej ręce trzymał latarnię, prawą wskazywał oprawiony w piękne ramy portret „człowieka”, którego przez całe życie szukał i wreszcie znalazł. A „człowiekiem tym” był Benjamin Franklin.

Pokazując to wszystko Franklinowi, William i de la Motte uśmiechali się, ale sława jego napełniała ich entuzjazmem. Założyli tę dziecinną i wzruszającą kolekcję, ponieważ oburzała ich bezmyślna niewdzięczność, z jaką ojczyzna traktowała Franklina. Jeżeli dziś właśnie pokazali mu tę kolekcję, to dlatego że ostatnie wiadomości z Ameryki dowiodły, z jaką uporczywą głupotą liczni rodacy Franklina brali mu za złe, iż pozwalał sobie być wielkim człowiekiem. Doktorowi, kiedy oglądał podobizny, tajało serce na myśl, że lgnie do niego młodzież zarówno amerykańska, jak francuska. - No, teraz dosyć tego - oświadczył William – dziadek musi trochę wypocząć. - W godzinach popołudniowych zapowiedzieli się pozostali delegaci, by omówić pocztę amerykańską.'

Ale Franklin nie czuł zmęczenia. Kiedy dwaj młodzieńcy opuścili go, nie położył się, lecz odszukał list swego przyjaciela Ingenhousza z Wiednia, na który już od tygodnia zamierzał odpowiedzieć. Doktor Ingenhousz zdawał mu sprawę z nowych wynalazków i doświadczeń. Pisał, jaki kontrast zachodzi pomiędzy naukowym znaczeniem tych eksperymentów a głupotą i opieszałością mas. Pisał również o wojnie z Prusami, którą uważał za nieuniknioną, nad czym bardzo bolał.

Kiedy Franklin odczytywał ten list, wrócił myślami do pastora Ritchie, do zmarłego doktora Smitha, do żyjącego Artura Lee i do swego syna Williama zdrajcy. Usiadł i napisał do doktora Ingenhousza:

„Szybkie postępy nauki sprawiają, iż ubolewam częstokroć, że się tak wcześnie urodziłem. Nie można sobie wcale

wyobrazić, jaki stopień władzy osiągnie jeszcze człowiek nad materią. Może doprowadzimy do tego, by ciężkiej materii odebrać jej ciężar i uczynić ją lekką dla celów transportowych. Może rolnictwo będzie mogło zmniejszyć znakomicie wysiłek i pracę związane z gospodarką rolną i zwiększyć znacznie swą produkcję, może będziemy w stanie zapobiegać naszym chorobom, nie wyłączając starości, za pomocą niezawodnych środków, leczyć te choroby i przedłużać nasze życie. Obyśmy byli w stanie w takim samym stopniu podnieść moralność i wrażliwość sumienia, by ludzie przestali być sobie wilkami i by wreszcie osiągnęli tę zaletę, którą dziś całkiem niesłusznie nazywają «ludzkością»".

Posiedzenie popołudniowe z udziałem Johna Adamsa, braci Lee i Ralpa Izarda odbyło się w „brązowej bibliotece”. Franklin niezbyt lubił ten pokój. Były tu przechowywane akta delegacji oraz te książki, na których mu nie zależało. Od kilku tygodni wisiał tu obraz pędzla malarza Prunier, dar dla delegacji; przedstawiał Waszyngtona.

Generał stał na pobojowisku wśród trupów i dział, oświetlony bardzo krwawym słońcem. Choć obraz nie podobał się doktorowi, kazał go zawiesić, gdyż w przeciwnym razie inni delegaci napisaliby do Filadelfii, że doktor Franklin z zazdrości o generała Waszyngtona pozwala darom malarzy francuskich niszczyć w lamusach i w ten sposób obraża zarówno uczucia patriotyczne Ameryki, jak i sztukę galijską.

Delegaci mieli zatroskane miny. Zima nie była tak pomyślna, jak można by oczekiwać po wielkim zwycięstwie. Oficjalny komunikat Kongresu mimo ostrożnych zwrotów brzmiał poważnie, a meldunki otrzymywane przez panów delegatów w listach prywatnych wskazywały jeszcze wyraźniej, jak źle stoją sprawy.

W wielu częściach kraju nie chciano w ogóle przyjmować papierowych pieniędzy, wypuszczonych przez Kongres i poszczególne stany. Mistress Abigail Adams pisała do męża, że kupcy po prostu nie przyjmują kongresowych pieniędzy, a Ralph Izard otrzymał wiadomość, iż ojciec jego za parę pantofli musiał zapłacić srebrnego szylinga i trzy papierowe dolary.

Najgorsze było to, co się wskutek drożyzny działo w wojsku. Franklin otrzymał sprawozdanie od swego dobrego znajomego, lekarza wojskowego, doktora Waldo. Dostawy dla wojska nadchodziły z opóźnieniem, żołdu nie zapłacono. Kwatery zimowe w Valley Forge były nędzne, żołnierze głodowali i marzli straszliwie. Nie mieli gdzie spać, bo nie było łóżek ani dostatecznej ilości koców. Nie było również mydła, ale nie mieli też co prać, chodzili w łachmanach. Tylko nieliczni mieli buty na nogach. Panowały epidemie, brakowało lekarstw. W Valley Forge srożył się głód, szalały choroby, śmierć, bunty i dezercje. A Kongres nie udzielał żadnej pomocy, zawodził na całej linii.

Artur Lee bronił Kongresu.

- Cała wina - gorączkował się - jest po stronie Francji. Można by nam pomóc kilkoma milionami. Ale naród ten jest równie skąpy, jak bogaty.

Doszli wreszcie do właściwego tematu dzisiejszych obrad; treść wszystkich listów z Ameryki sprowadzała się do jednego: potrzebujemy pieniędzy, gdybyśmy mieli mocną francuską walutę, jakichś dwadzieścia pięć milionów, wydostalibyśmy się ze wszystkich tarapatów. Była to suma olbrzymia i Kongres pozostawiał do decyzji delegatów, ile i kiedy mają żądać. Ale pieniądze były konieczne. Trzeźwi członkowie Kongresu stawali się poetyczni, kiedy opisywali, jak pilną jest sprawa pożyczki. Kongres potrzebuje pożyczki,

„jak wyschnięta ziemia deszczu”, woła o nią, „jak jeleń woła o wodę”.

Sprawozdania z Ameryki dowodziły, że nie rozumiano tam należycie sensu ani istoty paktu z Francją albo też nie chciano go rozumieć. Prawda, że po nadejściu wiadomości o zawarciu sojuszu Ameryka odetchnęła głęboko, urządziła z powodu zawarcia traktatu uroczystości, na których wygłaszano wielkie przemówienia. Ale - jak wynikało wyraźnie z raportów - wielu członków Kongresu uważało za upokarzające, że trzeba szukać pomocy u Francji. Panowie ci równocześnie przeceniali pakt i nie doceniali go. Obsypywali partnera pochwałami i wymyślali mu oczekując od niego rzeczy niemożliwych.

Franklin uważał, że żądanie pożyczki właśnie teraz byłoby nieroztropne. Liczne, drobne wydarzenia wpłynęły na wyraźne ochłodzenie entuzjazmu paryżan dla Ameryki. Kawaler du Buysson, który pełen entuzjazmu wyprawił się do Ameryki, by tam wstąpić do wojska, wrócił bardzo rozczarowany i opowiadał dużo śmiesznych oraz irytujących rzeczy o Kongresie, armii i obywatelach. Wielu bogatych Francuzów stawiało uniwersytetowi w Yale do dyspozycji środki na utworzenie katedry języka francuskiego i francuskiej biblioteki. Ale rektor uniwersytetu, doktor Stiles, pod naciskiem wpływowych duchownych purytańskich, wahał się przyjąć propozycję papistów, co gniewało francuskich projektodawców. Przede wszystkim jednak Franklin miał całkowicie pewne wiadomości, że sam król bardzo się martwił niespodziewanie wysokimi wydatkami na zbrojenia i nie będzie chyba skłonny udzielić „rebeliantom” większej pożyczki. Franklin zdawał sobie jednocześnie jasno sprawę, że koledzy jego nie będą słuchali tych argumentów chętnym uchem. Raporty amerykańskie poruszyły ich widocznie i

Franklin obawiał się, że pod wrażeniem tych raportów niezdolni są do logicznej myśli.

Bracia Lee zaczęli skarżyć się na Wersal. Uważali, że Francuzi są obrażająco głusi, kiedy się im dyskretnie napomyka, jaką pomocą byłaby pożyczka właśnie teraz. Na szczęście można oświadczyć bez ogródek, iż Kongres dał wyraźne instrukcje żądania pieniędzy.

- W ten sposób - powiedział triumfująco Ralph Izard - zmusimy naszego dwulicowego partnera, by się wreszcie wypowiedział bez wykrętów.

Artur Lee oświadczył ponuro:

- Francja ma obowiązek udzielić nam pożyczki. Nie zdziwi mnie jednak, jeśli Wersal będzie się wykręcał. Ostatecznie Francja przez uznanie nas i zawarcie z nami traktatu złamała swe traktaty z Anglią. Kraj ten bez wielkich skrupułów oszuka również nas, jeśli będzie w tym widział dla siebie korzyści.

Franklin z trudem zachowywał spokój wobec tak wypaczonej logiki. By sobie nieco ulżyć, spoglądał na wiszący naprzeciw obraz i starał się, jak to zwykł czynić od czasów młodości, uświadomić sobie jasno jego treść. Przed jakim to słońcem stoi Waszyngton? Przed wschodzącym czy przed zachodzącym? Nie było to jasne. Trzeba będzie kiedyś zapytać malarza, pana Prunier. Próbował delikatnie jakoś ukrócić bezsensowną gadaninę kolegów.

- Zastanówcie się, moi panowie - prosił - jacy to partnerzy zawarli między sobą umowę. Z jednej strony państwa o dwudziestu pięciu milionach ludności, posiadające potężną flotę, najlepszą armię w Europie i słynną ze swej zręczności dyplomację, z drugiej kraj, którego ludność nic liczy nawet trzech milionów, w połowie zajęty przez wroga, bez handlu i przemysłu, ze słabym rządem. Nie można powiedzieć, by Vergennes wykorzystał naszą niepomyślną sytuację. Musicie przyznać, moi panowie, że podpisalibyśmy umowę nawet na

gorszych warunkach. Uważam, że Francja potraktowała nas wspaniałomyślnie i wielkodusznie.

Artur Lee nie chciał w żaden sposób tego przyznać i uparcie twierdził, że Francja zawarła traktat z przyczyn czysto egoistycznych. Po chwili rozgorzała dyskusja na temat charakteru Francuzów oraz ich polityki. Ralph Izard i bracia Lee wietrzyli za wszystkim, co robiła Francja, chciwość, pustą gadaninę, nieszczerłość i kłamstwo. Franklin odpowiedział, że w jego przekonaniu entuzjazm paryżan dla sprawy Ameryki jest szczery.

- Entuzjazm ten - powiedział - przyczynił się w znacznej mierze do pokonania oporów i umożliwił zawarcie traktatu.

Artur Lee zaprzeczył energicznie:

- Bez zwycięstwa naszego pod Saratogą nie doszłoby nigdy do zawarcia traktatu.

- Nie zapominajmy - upominał Franklin - że nie byłoby zwycięstwa pod Saratogą, gdyby Francja nie dostarczyła broni.

John Adams milczał dotychczas, ale Franklin poznał po jego minie, że przygotowuje dłuższą orację. Wygłosił ją teraz. To prawda, że można usłyszeć w Paryżu wiele pięknych zdań na temat Ameryki i wolności. Ale paplanina francuska to coś bardzo różnego od wielkiego, płomiennego entuzjazmu, od *saeva indignatio*/1 (srogie oburzenie) Amerykanów. To, co się słyszy w Paryżu, nie jest w gruncie niczym innym niż bezwzględną krytyką i złośliwą niechęcią. Jakże mogłoby być inaczej? Naród francuski jest zepsuty do szpiku kości. - Miałem na przykład okazję - ciągnął dalej - zapoznać się ze statystyką dotyczącą przyrostu ludności. Cyfry są zastraszające, moi panowie. W ubiegłym roku 1777 przyszło w Paryżu na świat 19 855 dzieci. Czy wiecie, panowie, ile z nich podrzucono? 6918. To więcej niż jedna trzecia. Proszę sobie wyobrazić: 6918, powtarzam, 6918 podrzutków w

jednym jedynym mieście. Nigdy nie potrafi mnie pan przekonać, doktorze Franklin, żeby kraj, którego stolica notuje taką ilość podrzutków, płonął szczerym uczuciem dla sprawy wolności i cnoty. To prawda, że Francuzi przygotowali grunt, na którym budowaliśmy, to prawda, że obalili pewne przesady, które stały nam na drodze; ale równocześnie zniszczyli wiele dobrego. To, czego dokonali, nie było niczym innym, jak burzeniem, rujnowaniem. Cóż robił przez całe życie pański monsieur Voltaire, doktorze Franklin? Burzył. My budowaliśmy, on tylko negował. Powiedzmy sobie z dumą, moi panowie: na świecie istnieje dziś jedna wielka afirmacja. Na imię jej Ameryka.

Młodszy panowie, przysłuchując się temu z entuzjazmem, siedzieli w milczeniu, do głębi przejęci.

Franklin rozważał, jak człowiek o takich poglądach musi potępiać głęboko jego osobę, moralność i tryb życia. Podczas gdy z okrągłych ust mister Adamsa padały okrągłe zdania, Franklin przyglądał się dokładnie jego szerokiej głowie o potężnie zarysowanych skroniach i zastanawiał się, czy przyjdzie kiedyś czas, kiedy z kształtu czaszki będzie można wysnuwać konkretne wnioski o jej zawartości.

Gdy mister Adams skończył, Franklin czekał przez dłuższą chwilę. Przyglądał się w zamyśleniu portretowi generała Waszyngtona, z którym czuł się zespolony, oraz zażywnym doradcom i kolegom, z którymi tak trudno było się porozumieć, wreszcie powiedział:

- Pozwólcie, panowie, że opowiem małą anegdotkę. Siedział sobie niedawno na Pont-Neuf pewien człowiek i ofiarowywał na sprzedaż złote monety i luidory, stare i nowe, po dwa liwry za sztukę, dziesiątą część wartości. Wielu przechodniów przystawało, badało luidory. Sądząc po dźwięku były prawdziwe, ale człowiek na Pont-Neuf nie mógł sprzedać ani

jednego ze swych luidorów, nikt nie chciał zaryzykować swoich pewnych dwóch liwrów za luidora.

- No i? - zapytał z niechęcią Ralph Izard. - Co to ma do rzeczy?

- Luidory były prawdziwe - odpowiedział Franklin. - Chodziło o zakład. Wygrał człowiek, który poszedł o zakład, że nieufność nie pozwoli ludziom na kupno szczerego złota oferowanego po taniej cenie.

- Wciąż jeszcze nie rozumiem - powiedział Ralph Izard.

Wtrącił się Artur Lee:

- Więc pan, doktorze Franklin, uważa, że francuski entuzjizm dla sprawy wolności jest szczerzłoty?

Franklin zwrócił ku niemu swą szeroką, spokojną twarz.

- Tak, mister Lee - odpowiedział - takie jest moje zdanie.

- Czy uważa pan również - odezwał się William Lee prowokującym tonem - że naród mający taką ilość podrzutków jest zdrowy, nie chyli się do upadku?

- Naród francuski - odrzekł Franklin - jest równie zdrowy i równie bliski upadku jak każdy inny.

Napotkawszy na głuchy, pełen oburzenia sprzeciw kolegów, mówił dalej:

- Nie jest wykluczone, przeciwnie, bardzo to prawdopodobne, że w latach najbliższych liczba podrzutków wzrośnie. Jestem przekonany, że liczba dzieci podrzucanych jest wprost proporcjonalna do wysokości podatków. Skoro szermuje pan cyframi, powołam się również na cyfry. Pan Necker oświadczył mi, że jeżeli wojna, prowadzona przez Francuzów także i w naszym interesie, nie skończy się w ciągu dwóch lat, koszty jej wyniosą około tysiąca milionów. Tysiąc milionów. Wtedy liczba podrzutków wzrośnie.

Artur Lee, nie patrząc na Franklina, powiedział:

- Łatwa to rzecz snuć w Paryżu rozważania natury ekonomicznej i filozoficznej, kiedy w Valley Forge giną z głodu nasi ludzie.

Franklin zareplikował powoli, ze spokojem:

- Panowie uważają Francuzów za egoistów, a oświadczenia ich za puste słowa. Niemało Francuzów jest zdania, że zbijamy tu baki i eksploatujemy Francję. Żądamy pieniędzy, broni, okrętów, bardzo dużych pieniędzy, bardzo wielu okrętów. A co dajemy w zamian?

Na pytanie to odpowiedział John Adams:

- Dajemy największe widowisko umoralniające, jakie kula ziemska mogła kiedykolwiek oglądać.

Niezbyt głośno, wybijając rytm dwuwiersza dodał:

Ginie świat wschodu, a nowy się rodzi

Tam, gdzie się słońce chyli i zachodzi.

Franklin miał ochotę odpowiedzieć, że na razie powstającemu na Zachodzie mocarstwu potrzebna jest pożyczka od konającego Wschodu, ale wstrzymał się z tą uwagą, zorientował się bowiem, że nie będzie już w stanie dłużej odkładać oficjalnego wystąpienia o pożyczkę.

- Przejdźmy do rzeczy, moi panowie - powiedział.

- Kongres zleca nam - oświadczył sucho Artur Lee - byśmy żądali pożyczki w wysokości dwudziestu pięciu milionów.

- Do wysokości dwudziestu pięciu milionów - poprawił Franklin.

William Lee dodał:

- Ponieważ wojna i tak kosztuje tysiąc milionów, suma dwudziestu pięciu milionów winna być dla pana Neckera bagatelką.

- Gdyby panowie zechcieli pójść za moją radą - oświadczył Franklin - proponowałbym przesunięcie terminu, w którym mamy wystąpić o pożyczkę. Proszę sobie łaskawie

przypomnieć ową niesławną odprawę, jaką nam dano, kiedy zażądaliśmy czternastu milionów. I tym razem opinia publiczna nie jest przychylnie usposobiona do naszej prośby. Wersal wydaje olbrzymie sumy na zbrojenia. Zaledwie przed trzema tygodniami wyznaczone zostały nowe podatki. I tym razem nic nie osiągniemy, a przez żądanie pożyczki, o której każdy wie, że jest darowizną, zrazimy do siebie gabinet.

- Ponieważ Francja - odpowiedział Artur Lee - wstrzymuje swoich ludzi i swoje okręty, pozostawiając prowadzenie wojny nam, powinna dać przynajmniej tych parę worków złota, co zresztą nie jest w stanie okupić strumieni krwi, które jeszcze przelejemy. Sądzę, że należałoby to panom Francuzom wyjaśnić. Głosuję za tym, by pożyczki żądać teraz niezwłocznie.

- I ja - powiedział Ralph Izard.

- I ja - przyłączył się William Lee.

- A pan, mister Adams? - zapytał Franklin.

- Jeżeli doktor Franklin przywiązuje do tego wagę - brzmiała odpowiedź - nie mam zastrzeżeń, żeby przesunąć termin wystąpienia o dwa tygodnie.

- Termin dwutygodniowy niewiele pomoże - odpowiedział Franklin.

- Będzie chyba najśluszniej - zaproponował Artur Lee rzeczowym tonem - jeżeli sprawy związane ze staraniami o pożyczkę powierzymy Adamsowi.

Pozostali trzej spojrzeli po sobie, na wargach Franklina pojawił się uśmiezek.

- Panowie się zgadzają? - zapytał Artur Lee. Panowie zgodzili się.

Po tej naradzie obydwaj bracia Lee, John Adams i Ralph Izard wystosowali długie listy do swych przyjaciół w Ameryce. Każdy z nich dawał wyraz przeświadczeniu, że dalsza owocna współpraca z doktorem honoris causa będzie prawie

niemożliwa. Nie tyle debata nad pożyczką, co dyskusja nad moralną sytuacją Francji obudziła w kolegach doktora przeświadczenie, że nie można współpracować z człowiekiem o tak odrażająco odmiennych poglądach. Proponowali więc, każdy na swój sposób, by na miejsce trzech komisarzy mianowany został jeden tylko pełnomocny przedstawiciel Stanów Zjednoczonych przy dworze wersalskim. John Adams uważał za rzecz zrozumiałą, że wybór padnie na niego; Artur Lee był pewien, że Ameryka będzie teraz wiedziała, iż tylko on nadaje się na to stanowisko.

Franklin powiedział sobie, że w Filadelfii zaczną się teraz gryźć o jego urząd jak psy o kość. Ale nie interweniował. Czekał w spokoju, gotów przyjąć wszystko to, co nastąpi.

Ludwik miał przyjemny początek lata. Wskutek ciąży Toinette zapomniała o polityce, dzielił z nią troskę zarówno o jej zdrowie, jak i o zdrowie przyszłego delfina. Przejmował się najrozmaitszymi objawami, które nie były niczym niezwykłym, wypytywał doktora Lassone o ich znaczenie. Korespondował również ze starą cesarzową w Wiedniu. Radził się nie tylko doktorów wersalskiego dworu; lekarz przyboczny Marii Teresy, doktor Ingenhousz, bywał również raz po raz zapytywany o zdanie.

Ludwik czuł się szczęśliwy. Odsuwał myśli o polityce, grzebał się w historycznych i geograficznych książkach, dokonywał przekładów, odwiedzał swoją fabrykę porcelany, jeździł na polowania, otaczał opieką swą ukochaną żonę.

Wczesne lato przyniosło mu dalszą radosną niespodziankę: umarł Jan Jakub Rousseau, filozof, buntownik. Ludwik śleczył chętnie w swej bibliotece nad dziełami wielkich zmarłych poetów, La Fontaine'a, Boileau, Racine'a, La Bruyere'a, których figurki kazał sporządzić w Sevres. Byli to pisarze bliscy jego sercu; działali i działają w dalszym ciągu,

ożywieni wiarą w Boga i ustanowiony przez niego porządek. Wielka to rozpacz, że nie ma już pisarzy tej miary. Ale przynajmniej spośród trzech niebezpiecznych, którzy mu zatruli życie, z trójki: Wolter, Rousseau i Beaumarchais, dwóch gnije już w grobie.

Za radościami, wypełniającymi wczesne lato Ludwika, czaiły się oczywiście stare troski. Wojna, z którą poduszczony przez swych ministrów tak niebezpiecznie igrał, mogła rozpętać się każdej chwili. Wprawdzie wszyscy mówili mu i sam sobie to powtarzał, że zerwanie stosunków dyplomatycznych jest czymś w rodzaju wypowiedzenia wojny, ale chwycił się najróżniejszych wykrętów i wybiegów, by jednak zapobiec jeszcze faktycznemu jej wybuchowi. Zapewniał Londyn okólną drogą poprzez Hiszpanię, że uznanie Stanów Zjednoczonych nie było pomyślane jako krok o charakterze politycznym, lecz jedynie jako posunięcie natury ekonomicznej. Choć dwór w Saint-James pogardliwie milczał, Ludwik polecił zaproponować mu zawiły i skomplikowany pakt o nieagresji.

Był teraz rad, że mianował księcia Montbarey ministrem wojny; Montbarey podtrzymywał go w jego uporczywym biernym oporze. Mógł się również powoływać na osobę Montbareya, sprzeciwiając się energicznie mianowaniu dowódcą tego niezrównoważonego markiza. W tych poważnych czasach powierzał odpowiedzialne stanowiska kierownicze jedynie ludziom znanym z rozwagi.

Lewicą zabierał ustawicznie to, co dawał prawicą. Ustupując naleganiom doradców wysłał silną flotę do Ameryki, kazał obstawić wojskiem brzegi Francji. Ale równocześnie polecił nie dać się sprowokować i pod żadnym pozorem nie oddać pierwszego strzału. Opracowywano plany inwazji na Anglię. Oficerowie stacjonowani w Normandii i Bretanii marzyli, by zdobyć Jersey i Guernsey, jutro chcieli zawładnąć wyspą

Wight i portem Portsmouth, pojutrze lądować w Harwich. Ale z Wersalu nie nadchodził żaden rozkaz. Pułk przyboczny Ludwika miał otrzymać polecenie pogotowia marszowego; do komendanta, markiza de Biron, zwrócono się z zapytaniem, czy w ciągu dwóch tygodni ludzie jego mogliby być całkowicie gotowi do wymarszu. Wyciągnął zegarek i oświadczył: „Jest teraz godzina pierwsza, o czwartej będą maszerować”. Ale nie wymaszerowali i Ludwik tak pokierował sprawą, że nie doszło do tego również i po dwóch tygodniach. Nieszczęście jednak się zważyło.

Kiedy Ludwik otrzymał pierwszy mglisty raport, że między okrętami francuskimi i angielskimi doszło do starcia, długo siedział w tępym odurzeniu. „Wojna - myślał. - A więc wszystko na nic się nie zdało. Mamy wojnę. Prowadzę wojnę”. Nadeszły jednak dokładniejsze raporty i Ludwik rozpogodził się. Był niewinny, ludzie jego byli niewinni. Anglicy oddali pierwszy strzał, napadli zuchwale na jego okręt „Belle Poule”, kapitan okrętu zachował się wspaniale, okazując pokojowość, a równocześnie odwagę. „Belle Poule” potrafiła się oprzeć ogromnej przewadze przeciwnika i dotrzeć z honorem do portu Brest. W tym pierwszym starciu Bóg pobłogosławił jego armaty. Natchniony duchem Bourbonów, myślał: „Jestem w stanie wojny z Anglią, odniosłem zwycięstwo”.

Następne tygodnie były również pomyślne. Potęga jego okrętów i wojsk lądowych wzbudzała w Anglii postrach, mieszkańcy Devonshire i Kornwalii uciekali z wybrzeża w głąb kraju. Kuzyn Jerzy musiał się jeszcze bardziej zadłużyć niż on, angielska renta państwowa spadała prędzej niż jego własna.

Bóg był z monarchą arcychrześcijańskim. Bóg, który patrzy w serce, wiedział, że Ludwik robi wszystko, by powstrzymać przyływ buntowniczych, bezbożnych zasad.

Ale świat o tym nie wiedział. Ludwik, pełen głuchej furii, musiał przyjmować hołdy, składane mu jako opiekunowi buntowników. Na biurku jego znalazł się pewnego razu drzeworyt zatytułowany: „Król Francji uznaje wolność Stanów Zjednoczonych”. Prymitywny ten bohomas przedstawiał go jako młodzieńca o bohaterskim wyglądem, w zbroi, depcącego zerwane łańcuchy. Kilka niezgrabnych postaci w chłopskich strojach wyciągało do niego ręce; podawał im zwinięty w rulon papier, na którym widniał napis: „Wolność”. Postawna niewiasta w czapce frygijskiej na głowie szła ku niemu, chcąc go uwięzić wawrzynem. Poza tym widać jeszcze było kilka pięknie przystrojonych statków, palmę oraz paru żołnierzy uciekających w przerażeniu; było widoczne, że są to Anglicy.

Ludwik zmarszczył czoło, grube jego wargi zaczęły drżeć. Nie chciał się dać wieńczyć przez tę niewiastę we frygijskiej czapce, nie chciał uchodzić za protektora tej hołoty, nie chciał, by świat obwiniał go o rozpętanie tej głupiej, samobójczej wojny. Polecił hrabiemu Vergennes, by dał wyraźnie do zrozumienia, że Francja w swej polityce wobec Ameryki ma na celu wyłącznie ochronę wolności mórz.

Przy pomocy swych urzędników Vergennes opracował manifest. Kiedy przedłożył swoje expose królowi, Ludwik był zawiedziony. Wszystko to brzmiało fałszywie, nieprzekonywająco. Usiadł i pokrył szeroki margines długiego arkusza zawiłymi, złośliwymi uwagami. Napisał: „Oświadczenie, że Francja nie bierze udziału w sianiu zamętu w koloniach angielskich, jest pozbawione sensu. Byłoby lepiej nie poruszać tego drażliwego punktu. Ponosimy winę za niepodległość Stanów Zjednoczonych, bez naszego uznania Ameryka nie mogłaby istnieć jako państwo niezależne”. Napisał dalej: „Pan de Vergennes lubi takie słowa, jak nikczemność, perfidia, obłuda. Używanie takiego słownika

jest sprzeczne z francuską uprzejmością". Poza tym porobił następujące uwagi: „Wspomnienie morderstwa dokonanego na Karolu I i Marii Stuart może co najwyżej dodać bodźca naszym własnym malkontentom - naszym protestantom, naszym separatystom w Bretanii. Proszę również o skreślenie słowa: Cromwell. Anglicy mają rację, kiedy zarzucają nam jeszcze dzisiaj, że uznaliśmy rząd tego występnego człowieka".

Przeczytał swoje uwagi, stwierdził, że tylko powykreślał to i owo, ale nic nie dodał. Zastanowiwszy się nad tym, jak najlepiej wytłumaczyć światu, że wszystkiemu winna jest Anglia, napisał: „Skoro widzę, że poddani moi w Indiach, a nawet w Europie, są przez Anglików bici, biczowani i poddawani gwałtom, obowiązkiem moim jest ukarać za to Anglię. Z takimi argumentami musi pan wystąpić, drogi Vergennes, takie argumenty robią wrażenie. Kiedy pewnego razu Hiszpanie obcięli uszy jakiemuś angielskiemu rybakowi, cała Europa wpadła w furję".

Mimo złagodzeń, których domagał się Ludwik, manifest zrobił wrażenie. Dano się chętnie przekonać. Wtedy Anglia podjęła przeciwuderzenie. Wielki historyk Edward Gibbon stał się rzecznikiem swego króla.

Ludwik żywił dla Gibbona szacunek, przetłumaczył na język francuski fragmenty z jego obszernego dzieła historycznego. Powoli, gruntownie przeczytał tę „odповідź", to „pismo usprawiedliwiające". W miarę jak czytał, ogarniało go coraz większe przygnębienie. Wszystko, co mu ten człowiek zarzucał, było słuszne, uzasadnione i nieodparte, wszystko dowodziło, jak kruche i nikłe były jego argumenty. W jasnych, obszernych zdaniach, których autorem mógłby być pisarz starożytności, historyk Edward Gibbon dowodził, że dwór wersalski przeszedł do porządku nad wszystkimi uroczystymi zapewnieniami i zobowiązaniami, że uprawiał

politykę fałszu i zdrady, lękającą się światła dziennego, że naruszył prawo międzynarodowe i złamał pokój. Gibbon przytaczał dowody, wyliczał tajne dostawy broni, dokonane przez Wersal albo przynajmniej przez dwór wersalski tolerowane. Kronikarz prezentował długi rejestr. Używał wielkich oskarżycielskich słów, na które nie było odpowiedzi, mówił jak prorok Samuel do Saula lub prorok Natan do Dawida. Jakże szczęśliwy jest angielski kuzyn Ludwika. Nie tylko sprawa jego jest lepsza, ale broni jej również wielki człowiek, a któż jest rzecznikiem jego, króla Francji? Stary, chytry, doświadczony w wykrętach i kwiecistych frazesach urzędnik.

Manifest Edwarda Gibbona, napisany przepiękną francuszczyzną, nie był w Paryżu zakazany. Wszyscy go czytali. Czytał go również i Beaumarchais. Był w manifeście wymieniony z nazwiska wraz ze swoją firmą Hortalez, ze swoją flotą i ogromnymi składami. Pierre uśmiechał się z dumą. Teraz cały świat o tym czytał, teraz największy historyk epoki stwierdzał w klasycznych zwrotach, że pan de Beaumarchais dostarczał buntownikom broni i że tylko ta broń umożliwiła im stawianie oporu królowi. Teraz zasługi jego dla sprawy Ameryki były po wsze czasy wypisane na tablicach muzy Clio.

Pierre odsunął na bok wszystkie interesy. Memoriał pana Gibbona narzucał mu miły obowiązek bronięcia Ameryki nie tylko sprzętem wojennym, ale i piórem. Winien był to Wolterowi i sobie samemu, literaturze francuskiej, Nowemu Światu i wolności.

Pisał, a właściwie pisało jego serce. Anglicy mają odwagę mówić o perfidii. Historyk ośmiela się twierdzić, że Francja nakłaniała kolonie do oderwania się. A przecież to wyłącznie i jedynie bezczelna głupota ministrów angielskich skłoniła Amerykanów do oderwania się od Korony angielskiej. Pierre,

zawsze dotychczas pełen podziwu dla wielkiego pisarza Gibbona, ukazywał wyniosłą obłudę, którą był przepojony jego manifest. Z werwą urodzonego dramaturga, z krasomówstwem urodzonego adwokata, z ogniem urodzonego warchoła napisał taką historię stosunków anglo-amerykańskich, jakiej, jeżeli chodzi o przenikliwość, jasność i dowcip, nikt dotychczas nie stworzył. Małe swe dziełko zatytułował, jak następuje: Uwagi z powodu usprawiedliwiania się dworu londyńskiego. Napisał Pierre Augustin de Beaumarchais, armator i obywatel francuski.

Pismo polemiczne spotkało się z burzliwym sukcesem. Na Beaumarchais'go spłynęła powódź entuzjastycznych listów z całego kraju i z zagranicy. Gudin, który dotychczas porównywał go z Plautem i Arystofanesem, stawiał go teraz na równi z Tacytem.

Ludwik czytał uważnie. Raz po raz kiwał z zadowoleniem grubą głową. Chłop umie pisać, trzeba mu to przyznać. Ludwik nie mógł opanować śmiechu wobec czelności i pańskiego gestu, z jakim pan Caron brał na siebie całkowitą odpowiedzialność za dostawy broni. Z łobuzerską naiwnością oświadczał, że jako obywatel francuski i uczciwy kupiec poczytywał sobie za honor popierać sprawę wolności i pomścić handel francuski na brytyjskich piratach.

Potem Ludwik doszedł jednak do przekonania, że to twierdzenie pana Caron było zwykłym, świadomym kłamstwem. Czyż on sam nie był zmuszony wynagrodzić honorowej działalności miłującego wolność obywatela subwencją wysokości dwóch milionów liwrów? Powoli wielkie, jakby kute w marmurze zwroty Edwarda Gibbona wypierały pełne polotu adwokackie wywody pana de Beaumarchais.

W Ludwiku wezbrała głucha furia przeciw temu łajdakowi Beaumarchais, który go wpędził w całą tę awanturę. Bo

przecież powstanie amerykańskie byłoby się załamało na samym początku, gdyby ten aferzysta nie wmieszał się i nie udzielił buntownikom poparcia.

Ludwik był zadowolony, że inni również atakowali Beaumarchais'go, zarzucając mu kłamstwo. Pierre pisał swe dzieło w pośpiechu i dlatego popełnił kilka nieścisłości. Przytaczając haniebne warunki ostatniego pokoju, napisał, że Anglia zastrzegła sobie prawo ograniczenia liczby francuskich okrętów wojennych. Nie odpowiadało to prawdzie, pan de Choiseul, który w roku 1763 był prezesem Rady Ministrów, a więc ponosił odpowiedzialność za ów pokój, pienił się ze złości. Protestował przeciw temu oszczerstwu, żądał konfiskaty Uwag Beaumarchais'go. Vergennes próbował uratować dobrze ujęte, pożyteczne pismo polemiczne. Ale Ludwik ofuknął go gniewnie. Jak starannie odważone jest każde zdanie manifestu Gibbona, jak niezgrabnie i lekkomyślnie kłamie ten Caron. Choiseul ma rację. Caron to urodzony oszust. Nie potrafi napisać słowa prawdy. Pod jego piórem wszystko zmienia się w kłamstwo, najślusniejsza sprawa staje się niesłuszna.

Uwagi armatora i obywatela Beaumarchais zostały zabronione.

Pierre nawykł do znoszenia krzywd, zazwyczaj reagował na nie z humorem. Ale w tym wypadku dokonał czynu, którego patriotyzm sławił cały kraj, wyraził najgłębsze przekonanie narodu francuskiego tak jasno i mocno jak nigdy, a tu nagle po prostu zakneblowano mu usta. Kraj był w ogniu walki z Anglią, żołnierze francuscy ginęli pod angielskimi kulami, ale słów skierowanych przeciw Anglii, płynących z serca, nie wolno drukować, ponieważ jakaś wiekowa mumia ministerialna przyczepiła się do kilku zwrotów. Ten, który

miął za złe, był oczywiście arystokratą, ten zaś, który arystokratę uraził, zwyczajnym obywatelem.

Pierre wziął na kiel. A więc pamflet został zakazany, przeznaczone mu było żyć tydzień, najwyżej miesiąc, ale Figaro nie postarzeje się ani jutro, ani za rok. Figara nie pozwoli sobie wyrwać z ręki. Właśnie teraz wymusi jego wystawienie.

Skłonił zespół Theatre Francais do przedłożenia rękopisu prefektowi policji z prośbą o zgodę na wystawienie sztuki. Po kilku dniach nadeszła odpowiedź odmowna.

Pierre liczył się z odmową. Desiree również. Cieszyła się niemal. Walka o zniesienie zakazu należała teraz do niej, droga prowadziła tylko przez Toinette.

Cierpliwością i sprytem Desiree doprowadziła do coraz większego zacieśnienia stosunków z Toinette. Pozwoliła Toinette zabiegać o siebie, powoli stała się dla niej nieodzowną. Toinette wyczuwała w Desiree coś, co było obce, szydercze, niebezpieczne. I to właśnie ją pociągało. Desiree była częstką owego „ludu”, za którego owacjami Toinette tęskniła, choć wydawały jej się takie śmieszne.

Mimo ciąży, chcąc możliwie najczęściej mieć Desiree koło siebie, Toinette nie zaniechała swych aktorskich studiów. Kuła na pamięć, jak kiedyś Desiree, po dwadzieścia wierszy Corneille'a czy Racine'a. Desiree zaproponowała jej teraz, by zamiast utworów klasycznych zajęła się współczesną prozą; to trudniejsze, ale bardziej pożyteczne. Toinette zgodziła się z miejsca i idąc za radą Desiree nauczyła się roli Rozyny z Cyrulika. Dzięki temu Desiree stworzyła sobie sposobność mówienia o Weselu Figara. Opowiadała, że w sztuce są trzy kobiece role - jedna lepsza od drugiej. Autor przeznaczył dla niej pokojówkę Zuzannę, ale Desiree nie wie, czy nie dać pierwszeństwa paziowi Cherubinowi. Toinette, której

schlebiało niezwykle zaufanie aktorki, żywo przejęła się tą sprawą.

- Moja droga, musi mi pani dać tę sztukę do przeczytania - prosiła. - Musi pani pozwolić, bym jej udzieliła rady.

- Nie byłoby dla mnie nic miłszego - odpowiedziała Desiree - niż rada z ust znawczyni, o której wiem, że mi jest przychylna. Toinette przeczytała sztukę entuzjazmując się obu rolami. Kazała panie Bertin zaprojektować kostiumy. Toinette nie mogła się zdecydować, w którym z nich byłoby Desiree bardziej do twarzy, która rola bardziej by jej odpowiadała.

Desiree wtrąciła, że niestety ma dużo czasu na przemyślenie tej sprawy, gdyż wystawienie sztuki natrafia na trudności.

- Na trudności? - zapytała Toinette i podniosła brwi.

- Tak - odpowiedziała Desiree od niechcienia. - Doszły mnie słuchy, że pewni biurokraci mają zastrzeżenia. Wyłoniły się trudności z cenzurą czy coś w tym rodzaju, nie wiem dokładnie.

Toinette uśmiechnęła się; z radością przypomniała sobie, że jest w ciąży.

- Droga przyjaciółko – powiedziała – będzie pani mogła zagrać tę Zuzannę lub tego Cherubina, kiedy tylko przyjdzie pani ochota. Sądzę, że biurokraci zamilkną, gdy się dowiedzą, że chcę tę sztukę zobaczyć.

- Jeżeli najjaśniejsza pani - odrzekła Desiree - pomoże, by komedia ujrzała światło rampy, wyświadczy tym teatrowi francuskiemu przysługę po wieczne czasy.

- Cieszy mnie, Desiree - Toinette nazwała ją po raz pierwszy po imieniu - że będę mogła wyświadczyć pani przysługę.

Opowiedziała Ludwikowi, że pan de Beaumarchais napisał nową sztukę.

- Jest podobno wyjątkowo dobra - dodała. - Theatre Francais, sire, uważa ten utwór za najlepszą komedię epoki.

Ludwik odparł sucho:

- Moi panowie powiadają, że komedia pana Beaumarchais jest niestosowna. Pan Lenoir wydał zakaz grania jej.

Toinette udała zdziwienie, milczała przez chwilę.

- Może byłoby najlepiej, gdyby nam tę komedię odczytano, sire - powiedziała. - Sztuka ma być świetna, a pan Lenoir czasami przesadza w swych skrupułach.

- Mam niewiele czasu, Toinette - odparł Ludwik z niechęcią. - Wojna...

- Chciałabym, by mi tę sztukę odczytano - upierała się Toinette - ale nie chciałabym jej słuchać sama. Niechże mi sire zrobi tę przyjemność ze względu na stan, w jakim się znajduję. Pan de Beaumarchais będzie z pewnością szczęśliwy mogąc nam swój utwór odczytać.

- Nie chcę, by mi ten człowiek cokolwiek czytał - odpowiedział szybko Ludwik ze złą miną.

- Jeżeli sire sądzi, że byłby to dla niego zbytek łaski - zaproponowała Toinette - to może inni mogliby nam sztukę odczytać, na przykład Vaudreuil i panna Mesnard.

Ludwik wił się jak piskorz, ale wzgląd na to, by nie drażnić matki swego dziecka, w końcu przeważył.

- No tak, no pięknie - powiedział głucho.

Desiree rozpromieniła się ze szczęścia, kiedy Toinette poinformowała ją z triumfem, że król życzy sobie, by Vaudreuil i ona odczytali mu komedię pana de Beaumarchais. Myśl, że przed najpotężniejszym człowiekiem w kraju podniesie głos w obronie przyjaciela i jego najlepszego dzieła, wprawiła ją w zachwyt. Również Vaudreuil uważał odczytanie Figara przed grubasem za miłą przerwę w przymusowym próżniactwie, które mu już mocno dokuczyło. Desiree i Vaudreuil rozpoczęli próby. Chodziło o to, by przy odczytywaniu przemykać się szybko przez niebezpieczne buntownicze fragmenty komedii, natomiast uwypuklać i

podkreślać chytrą zawilóść intrygi. Żeby się to udało, żeby prowokacyjne zuchwalstwo sztuki nie występowało w całej nagości, należało je lepiej osłonić.

Zdaniem Desiree, nic to nie zaszkodzi, że Pierre będzie zmuszony raz jeszcze wyszlifować Figara. Desiree, biorąc udział w próbach, była już nie tą samą kobietą, która niegdyś, przy pierwszym czytaniu utworu, tak delectowała się wytwornym, zuchwałym dowcipem Carona. Zdumiona odkryciem, że Pierre posiada serce, żądała teraz więcej. Sztuka musi być skończonym arcydziełem. Nie wystarcza rozum, czelność i dowcip. Beaumarchais musi jeszcze dodać trochę uczucia, muzyki i poezji.

Udało jej się przekonać Carona. Zrozumiał, że w komedii jest za wiele oskarżeń, za mało poezji. Zabrali się do roboty.

Umieścił ludzi i zdarzenia swej komedii w Hiszpanii, ale scharakteryzował je zbyt powierzchownie. Teraz przypomniał sobie dobrze hiszpańskie czasy i ze wspomnień tych wydobył barwę, muzykę, blask. Z zamku, który mógł stać wszędzie na świecie, zrobił siedzibę wiejską Aguas Frescas pod Sewillą. Z figur, które na całym świecie mogły czuć się jak w domu, zrobił Hiszpanów. A wielki monolog Figara z wkładki, którą mógł recytować pierwszy lepszy aktor na pierwszej lepszej scenie, przekształcił w integralną część akcji. Teraz hiszpański Figaro, pełen oczekiwania, nadziei i lęku, snuł się po gaju, w którym rosły olbrzymie kasztany. Pierre znał ten gaj doskonale, był on niedaleko Sewilli, Pierre przeżył w nim niegdyś godzinę nadziei i lęku.

Również Vaudreuil, biorący udział w pracy tych dwojga, wyszedł teraz na swoje. Z początku gniewało go, że nie wolno mu wyposażyć Figara w werwę i czelność krnąbrnego kamerdynera, uważał bowiem, że starczy mu aktorskiego talentu, by upostaciować zbuntowane pospólstwo. Teraz jednak zaczynał utożsamiać się z hrabią Almaviva. Jeżeli

bowiem początkowo Pierre chciał w wielkim panu Almavivie ukazać całą nadętą pychę arystokratów, jeżeli tworząc tę postać pragnął tylko splukać z siebie gniew na Vergennes'ów, Lenormantów i Vaudreuil'ów, to teraz w obliczu skorego do pomocy markiza złagodził postać Almavivy, uczynił ją ludzką. Do jego pychy i lubieżności dodał sporo zdobywczej, miłej galanterii, wyposażył go w godność i takt nawet w momencie rozczarowania z powodu poniesionej klęski. Vaudreuil widział, jak się hrabia Almaviva zmienia, portret pochlebiał mu, z całego serca aprobował nowego hrabiego. Wesele Figara stało się w oczach markiza komedią, którą sam stworzył i pod którą tylko pozwolił wspaniałomyślnie podpisać się swemu protegowanemu panu de Beaumarchais.

Jeżeli Desiree zwierzyła się Toinette, że się waha, czy zagrać pokojówkę Zuzannę, czy pазia Cherubina, nie było to z jej strony tylko cczą gadaniną, dyktowaną względami taktycznymi. To prawda, że początkowo widziała siebie jedynie jako znającą świat pokojówkę Zuzannę, do której narodzin sama się przyczyniła; teraz jednak coraz silniej pociągala ją rola chłopięcia Cherubina. Rysowały się przed nią zaledwie mgliste jej kontury, ale już widziała przed sobą pазia w tej postaci, jaką mu chciała nadać - budzącego się do życia młodego chłopca, pełnego uczuć, których sam nie rozumie, wrażliwego na wdzięki każdej kobiety, naiwnie przerzucającego się od jednej do drugiej.

Pierre był zdumiony, kiedy wystąpiła przed nim ze swym projektem. Patrzył na nią, szczupłą, drobną, powabną, łobuzerską, z lekka zadartym nosem, i widział w niej jedynie pokojówkę Zuzannę. Ale później odegrała przed nim, co miała na myśli, i oczy mu się otworzyły. Jako człowiek teatru rozumiał wszystkie możliwości, które kryła w sobie rola Cherubina; stało się dlań rzeczą zrozumiałą, że mogła go grać tylko kobieta, tylko Desiree. Jako poeta rozumiał całe

zawikłane życie, którego marzenia Desiree zakłęła w tego chłopca. W dalszym ciągu jednak nie widział jej duszy, tylko aktorkę, która powinna grać jego pazia Cherubina.

„Jakże głupi są czasem mądrzy ludzie” - przypomniała sobie Desiree pewne zdanie Figara.

Pełna gorzkiej, przepojonej humorem ironii, zabrała się do dzieła, by razem ze swoim poetą na nowo stworzyć pazia Cherubina. I Cherubin stał się takim, jakim go widziała: łączył w sobie naiwną pogodę, niepokój młodzieńczego uczucia, delikatną powabną frywolność. A potem wpadła panu Beaumarchais do głowy piosenka ludowa, której ustawicznie szukał i która miała sens tylko wtedy, kiedy wychodziła z ust Cherubina. Miała to być piosenka bardzo prosta i taka też była. Romanca musiała być zrozumiała dla każdego, wyrosła z ludu, wskazywała, że Pierre pomimo swych światowych manier pochodził z tegoż ludu. Wziąwszy gitarę Desiree brzdąkała i śpiewała:

Hej, z wiatrem w przegony
(Jakże serce, jak serce ukoić!),

Byle rzucić te strony –
Nieś mnie, koniu, daleko!
Nieś mnie, koniu, daleko!

Przy gaiku nad rzeką,
Tam mnie żal mój dogonił...
(Jakże serce, jak serce ukoić!)

Bym rzewliwe łzy ronił
Myśląc o mej jedynej.'

Przełożył E. Leszczyński.

Pierre wpadł na pomysł dalszej strofy, Desiree znalazła odpowiednie słowa, zrodziła się nowa strofa.

Lecz słowa Beaumarchais'go miały być śpiewane na melodię piosenki Malbrough s'en va-t-en guerre; strofy jego zrodziły

się z tej melodii. Teraz przypominano sobie tę dawną pieśń wojenną, śpiewali ją bowiem żołnierze walczący w Ameryce. Pierre rozważał z uśmiechem, że Ameryka w ten przynajmniej sposób odpłaca mu za to, co dla niej zrobił.

Czytanie sztuki odbywało się w żółtym salonie Toinette. Desiree i Vaudreuil zdawali sobie sprawę, że jest to przedsięwzięcie ryzykowne. Bardzo możliwe, że właśnie odczytanie zrazi nieufnego Ludwika do komedii, mimo to byli dobrej myśli. Ludwik czuł się samotny wobec trójki entuzjastycznych zwolenników sztuki, a przy tym musiał liczyć się ze stanem Toinette.

Był w dobrym humorze, podniecony i zaciekawiony. Postanowił, że robi przyjemność ukochanej małżonce. O ile sztuka nie okaże się zbyt bluźnierczą, pozwoli ją grać choćby dlatego, by przez irytację Toinette nie zaszkodzić delfinowi, którego miała urodzić. Aby zachować dobry humor w czasie czytania, podjadł sobie obficie, kazał jeszcze podać porcję pasztetu z zająca i łakocie.

Choć letni wieczór był jasny, pozaciągano firanki i zapalono świece. Ludwik pomógł Toinette zasiąść wygodnie i rozparłszy się błogo w swym szerokim fotelu, powiedział:

- No, jazda, moi państwo.

Vaudreuil i Desiree zaczęli czytać. Zgodnie z planem prześlizgiwali się przez wszystko, co mogłoby razić, i długi akt pierwszy minął zupełnie dobrze. Kiedy w akcie drugim przyszała pora na romancę, Ludwik wyraźnie się ożywił. Nucił piosenkę pod nosem, a gdy Desiree skończywszy śpiewać powiedziała wchodząc znów w rolę hrabiny:

- To naiwne i pełne uczucia.

- Zawołał z niezwykłym ożywieniem: - Słusznie, bardzo słusznie, to przemile, to mi się podoba.

Powtórzył powracający raz po raz refren: „Que mon coeur, mon coeur a de peine(jakże cierpi moje serce), zwrócił się do Toinette i powiedział:

- Powinnaś to zaśpiewać Toinette.

Podczas drugiego aktu Vaudreuil trzymał się wciąż w cuglach, stosownie do umowy „wybijał” tylko słowa hrabiego, powściągał rozmach Figara. Przeświadczenie Desiree, że wszystko dobrze się skończy, rosło z każdą chwilą.

Jednak w akcie trzecim trudniej przychodziło markizowi trzymać się poleceń Desiree. Na dłuższą metę żal mu było blado i bezdusznie odbębniać piękne, pełne polotu zdania Figara: ostatecznie, występuje tu jako aktor i ma prawo oddziaływać na widzów. Przypomniawszy sobie, z jak wielką radością słuchał, kiedy Pierre po raz pierwszy odczytywał mu swą sztukę, uważał za niesmaczne odbierać komedii jej pikanterię, polegającą na zuchwałej interpretacji Figara. Nie chciał zapierać się swego dziecka, a przy tym coraz bardziej rozsmakowywał się w uroku sytuacji. Przyjemność rzucenia flegmatycznemu grubasowi pewnych prawd prosto w oczy nie powtórzy się już nigdy. Vaudreuil zakarbował sobie głęboko w pamięci ton, który wtedy przy pierwszym czytaniu Pierre nadawał poszczególnym zdaniom. Ten ton coraz bardziej wypierał wymyślną interpretację narzuconą mu przez Desiree. Zaczął akcentować zdania, tak jak to czynił Pierre, przez co nabrały swej pierwotnej barwy.

Ludwika ogarnął niepokój. Od czasu do czasu sięgał po kawałek pasztetu z zająca, żuł go i połykał, by przełknąć gniew. Postanowił zachować cierpliwość. Są w sztuce piękne fragmenty, ta Mesnard to dobra aktorka - to nie ulegało wątpliwości. Poza tym sposób, w jaki Vaudreuil odczytywał tekst hrabiego Almavivy, był sugestywny. Interpretacja roli jest oczywiście nieco przesadna, może z markiza naprawdę taki nieokiełznany zuchwalec jak jego Almaviva, ale na

szczęście większość dworzan Ludwika była inna. Zresztą prawo pierwszej nocy zostało przecież zniesione.

Stopniowo, mimo woli, Ludwik zaczął żywiej interesować się postacią i losami kamerdynera Figara niż hrabiego. Pewnie, że to niemiłe, kiedy pierwszej nocy ktoś inny chce wleźć do łóżka kobiety, zanim się człowiek z nią jeszcze przespał. Ale jeżeli hrabia był w swej żądzy i gwałtowności niesympatyczny, to jeszcze większą antypatię budził czelny, buntowniczy, przebiegły kamerdyner. To, co czynił i mówił, pozbawiało komedię wdzięku, było po prostu impertynenckie. Ten gagatek drwił z każdego autorytetu. W nim, za nim tkwił oczywiście pan Caron.

Desiree próbowała okiełznać markiza przy pomocy spojrzeń i dyskretnych gestów. Ale Vaudreuil rozpałił się i widząc podniecenie Ludwika zapominał, w jakim celu odczytuje sztukę, powodowany chęcią doprowadzenia grubasa do jeszcze większej furii.

Toinette przyglądała się temu z niepokojem. Równocześnie po raz pierwszy od dawna znowu odczuwała tego wieczoru wdzięk markiza. Ileż wyrazu i blasku w jego twarzy, jak groźnie marszczą się krzaczaste brwi, jak śmiało patrzą oczy, jak mądre jest wszystko, co mówi, i jak potrafi to wypowiedzieć! Cóż to za aktor i mężczyzna! Jest równocześnie hrabią i Figarem. Kiedy Toinette urodzi delfina, nie zapomni o danej mu obietnicy.

Desiree była oburzona na nieopanowanie arystokraty, które pozbawiało sensu całą imprezę. Ale w zdaniach pana de Vaudreuil dźwięczał przez cały czas ton Beaumarchais'go i mimo gniewu myślała z rozbawieniem, że oto jej Pierre przez usta pierwszego dworzanina rzuca grubasowi prosto w twarz słowa prawdy własne i miasta Paryża.

Ludwik stawał się coraz chmurniejszy. By się uspokoić, wziął cukierek, odłożył go na talerz nie kosztując, po chwili wsunął

go jednak do ust. Wstał. Żując zaczął chodzić. Potrząsał mięsistą głową, mruzczał półgłosem:

- To zupełnie kiepskie, to straszna przesada, niesmaczna karykatura!

Desiree przerwała czytanie. Ludwik usiadł znowu, tym razem na małym poślaczonym krzeselku, na którym jego gruby tyłek ledwie się mógł pomieścić.

Zapytał Toinette;

- Dobrze się czujesz, moja droga?

Kiedy odpowiedziała skinieniem głowy, że tak, zwrócił się uprzejmie do Desiree:

- Proszę czytać dalej, madame.

Rozpoczęło się dalsze czytanie. Słuchając głębokiego głosu markiza i dźwięcznego sopranu Desiree Ludwik myślał o pewnym sobie panu Caron i ogarniał go głuchy gniew. Byłoby obłędem, gdyby pozwolił paryżanom oglądać tę sztukę. Wystarczy aż nadto, że nieszczęśliwy splot okoliczności zmusił go do prowadzenia wojny u boku zachodniego buntownika; nic go nie zmusza natomiast i nigdy się na to nie zgodzi, by z jego stołecznej sceny głoszone buntownicze poglądy. Ten Caron dążył wyraźnie do tego, by stać się tu, w Paryżu, Grakchusem i Katyliną, co się w Filadelfii udało osiągnąć doktorowi Franklinowi. Ci dwaj uprawiają tę samą działalność, chcą obalić i Anglię, i Francję. Myślał z gniewem, ile mu już ten człowiek uczynił złego. Publikował buntownicze pamflety przeciw jego organom sprawiedliwości. Dostarczał rebeliantom broni, która pozwoliła im odnieść to przekłętą zwycięstwo pod Saratogą. To ten Caron, ten impertynencki, buntowniczy kamerdyner, ten Figaro, uwikłał go wbrew jego woli w amerykańską awanturę. A teraz człowiek ten ośmiela się szydzić z niego w obecności królowej.

Skończyło się odczytywanie aktu czwartego. Ludwik ledwie mógł usiedzieć na krzeselku. Sapał mocno. Starał się panować nad sobą.

- Nie uważam, by można było grać tę sztukę - powiedział z groźnym spokojem. Nikt się nie odezwał. Słychać było tylko sapanie Ludwika.

- Niechże sire wysłucha do końca - poprosiła po chwili Toinette.

Przypomniawszy sobie o jej ciąży, powiedział:

- Jak rozkażesz.

Desiree zaczęła czytać ostatni akt. Za chwilę nastąpi wielki monolog, który wygłosi Vaudreuil. W monologu tym oboje dokonali skreśleń sprowadzając go do kilku zdań. Ale Vaudreuil rozpoczynając monolog pomyślał, że skoro i tak wszystko stracone, warto się przynajmniej ubawić. Czelnie odłożył na bok rękopis i wypowiedział monolog z pamięci tak, jak go Pierre napisał, wybijając poszczególne pointy. Płynęły błyskotliwe, ostre, oszlifowane zdania:

„Książka moja została zakazana, zamknięto drzwi mego wydawcy, otworzono przede mną bramę Bastylii. Karmiono mnie tam za darmo przez sześć miesięcy, oszczędność ta była jedynym zyskiem materialnym, jaki mi literatura przyniosła”. A dalej: „Tylko małe umysły lękają się małych książek”. Dalej jeszcze: „Będąc wielkim panem, panie hrabio, wyobraża pan sobie, że jest pan geniuszem; szlacheństwo, bogactwo, tytuł, urzędy - wszystko to napawa pana dumą. Cóż jednak uczynił pan tytułem rekompensaty za te przyjemności? Zadał pan sobie trud przyjscia na świat”.

Ludwik snuł się po pokoju ociężały, gniewny. Sapał tak mocno, że Vaudreuil musiał podnosić głos, by to sapanie zagłuszyć. Desiree zrozumiała, że nie tylko nic nie udało się osiągnąć, ale wszystko raz na zawsze zostało zepsute. Mimo to siedziała z pogodną twarzą, widząc zamiast markiza swego

kochanka Pierre'a, słysząc zamiast głosu pana de Vaudreuil zuchwały, roześmiany, zwycięski głos Beaumarchais'go, który rzucał królowi w twarz, co myśli o nim i o jego dworze.

„Ja natomiast - mówił teraz Pierre-Vaudreuil - pochodzę z bezimiennego tłumu, ja, do stu diabłów, po to, by istnieć, musiałem zużyć więcej sprytu i wiedzy, niż zużył od stuleci rząd Hiszpanii, by kraj...”

Nie dokończył zdania. Ludwik uderzył mocno pierścionkiem o kominek.

- Dziękuję - powiedział. - Wystarczy. Wiem, o co chodzi.

Toinette siedziała w leniwej pozie, kiedy jednak Vaudreuil z taką pasją zaczął recytować monolog, wyprostowała się.

- Nie podoba ci się sztuka, sire? - zapytała słodko.

- Jest obrzydliwa - oświadczył Ludwik - nieprzystojna od pierwszego do ostatniego słowa.

To powiedziawszy, gniewnie skierował wylupiaste oczy najpierw na markiza, później na Toinette, później znowu na markiza.

- Ale jest bardzo dowcipna - oświadczyła Toinette.

- Tak - odpowiedział jadowicie Ludwik - ma w sobie muzykę. Ale nie życzę sobie, by się tą muzyką zajmowano. Nie chcę, by ktoś się dał na tę muzykę złapać. Mam mały umysł, nie lubię małych książek. Oświadczam pani, madame, że nie pozwolę, by sztuka była grana. Dostyc mam tych koncesji - wykrzyknął nagle falsetem - i kompromisów! Bastylia! Ten panicz ośmiela się drwić z mojej Bastylii. Prędzej pozwolę ją zburzyć, niż dam zgodę na wystawienie tej sztuki.

Zapadło milczenie. Vaudreuil z zuchwałą miną złożył hałaśliwie rękopis, a Ludwik powiedział z obcą mu na ogół ironią:

- Dziękuję, markizie, bardzo dobrze pan czytał. A pani, madame Mesnard, jest wielką aktorką.

Pierre mniej wziął do serca niepowodzenie niż tamci, tak się już składało, że nic nie przychodziło mu łatwo; los przeznaczył go na człowieka walki.

Szło teraz przede wszystkim o to, by obudzić w świecie zaniepokojenie dla komedii. Poprzez Klanik Liliowego Bzu rozszerzyła się budząca zdumienie i oburzenie pogłoska, że sam król przez zwykłą pruderię, w chwili złego humoru, zabronił grania zachwycającej sztuki pana de Beaumarchais.

Na przyjęciach wydawanych przez markiza de Vaudreuil, księżąt Polignac oraz innych członków i przyjaciół Klaniku Liliowego Bzu proszono pana de Beaumarchais, by coś o swojej głośnej sztuce opowiedział, coś z niej odczytał. Pierre nie dawał się długo prosić. Dziwnym trafem miał właśnie rękopis w powozie. Po chwili ukazywał się ów rękopis, wytwornie oprawny w kosztowną niebieską skórę, związany srebrnymi wstążkami. Pierre siadał, prosząc usilnie, by towarzystwo przy stołach gry lub zajęte rozmową nie przeszkadzało sobie. Potem wśród gwaru, cichego dźwięku monet, stłumionych śmiechów i szeptów odczytywał jedną, czasami dwie sceny. Umiał wczuwać się w nastrój słuchaczy, porywać ich w coraz to inny sposób. Toteż po krótkiej chwili gracze opuszczali stoły gry, parki miłosne przerywały gruchanie i wszyscy gromadzili się dokoła czytającego. Kiedy wesołe napięcie dochodziło do szczytu, Pierre mówił z uśmiechem: „Chyba będzie dosyć”, zamykał rękopis, zawiązywał wypielegnowanymi, zręcznymi palcami jedwabne niebieskie wstążki swej teczki i żadne prośby nie były już w stanie skłonić go, by jeszcze coś przeczytał. „Moi państwo - mawiał przy tej okazji - miejscem dla komedii jest scena, prawda? Napisałem tę sztukę nie po to, żeby była czytana, lecz po to, by ją grano”. I wszyscy oburzali się na króla, który, powodowany tępym, ponurym uporem, nie pozwalał dworowi i stolicy rozkoszować się piękną, dowcipną komedią.

Pierre odczytał kilka fragmentów z Figara w salonie pani de Genlis, kilka innych w salonach księżny Lamballe i księżny Rohan i zawsze przerywał, kiedy słuchacze rozsmakowawszy się w utworze domagali się coraz więcej i więcej.

Jedną scenę czytał jednak wszędzie, a mianowicie scenę czwartą drugiego aktu. Nazwał ją wedle pięknego obrazu Van Loo „Konwersacją w języku hiszpańskim”. Była to scena, w której Cherubin śpiewa romancę. Pierre nucił tę romancę, ożywiał ją mimiką i gestem - porywał słuchaczy.

Z salonów wielkich panów i pań romanca poszła na miasto, a wraz z nią nazwa i rozgłos sztuki.

- Co to takiego? - padały pytania.

- To z nowej sztuki pana de Beaumarchais, z Figara - mówili kamerdynerzy.

Domokrażcy zaś oświadczyli:

- To z Figara pana de Beaumarchais, zabronione przez króla.

A w knajpach i kawiarniach mówiono:

- To z Figara, którego król nie pozwala nam oglądać. „Quo mon coeur a de peine!”- nucili paryżanie. Padały słowa: „Figaro”, „Beaumarchais”, „Znowu go nam zabroniono”.

Pewnego razu na wieczorze u księżny de Richelieu, trzeciej żony sędziwego księcia, młodej kobiety, z którą książe ożenił się na złość swemu synowi, Pierre ujrzał wśród licznego towarzystwa sporo wysokich dostojników Kościoła. Księżna w pochlebnych słowach poprosiła Beaumarchais'go, by odczytał parę scen ze swej głośnej komedii. - Proszę o „Konwersację w języku hiszpańskim” oraz o scenę, w której paż się ukrywa. Książe de Guines mówił mi, że dziś jeszcze śmieje się na myśl o niej.

Beaumarchais opierał się wskazując arcybiskupa i prałatów, których może by tą lekturą wypłoszył. Ale monsignore de Virieu zapytał z uprzejmym zdumieniem, czy pan Beaumarchais wyobraża sobie, że duchowni jego stulecia to

jacyś biczujący się pokutnicy? Czy Machiavelli nie odczytywał przed kardynałem Bibbiena swej Mandragory? Czy wśród małego grona, któremu Molier odczytywał Świątoszka, nie było legata papieskiego Chigi? Pierre zaczął więc czytać, a prałaci słuchali z nie mniejszą przyjemnością niż reszta audytorium, śmiali się i klaskali jak inni, nucili „Que mon coeur a de peine!”. Monsignore pogroził Caronowi palcem i powiedział:

- Filut z pana, mój drogi.

Wszyscy byli zdumieni, że Ludwik nie chciał dopuścić na scenę tej uroczej sztuki. Monsignore de Govone oświadczył, że Ludwik jest zbyt surowy: nie ma zrozumienia dla ułomności ludzkiego ciała.

W owym czasie przebywał w Paryżu rosyjski następca tronu, wielki książę Paweł. Wraz ze swą małżonką księżniczką wirtemberską podróżował incognito jako hrabia du Nord. Czyniono im w Wersalu wielkie honory. Vaudreuil i jego bliscy bez trudu potrafili zainteresować gości rosyjskich osobą Carona. Widzieli Cyrulika w Petersburgu, wielka księżna czytała kiedyś z przyjemnością memoriały pana de Beaumarchais.

Spotkanie zaaranżowano w salonie Gabrieli Polignac. Rosjanie byli oczarowani panem Beaumarchais. Zarówno wielka księżna, jak jej dama dworu i przyjaciółka, także Niemka, nie posiadały się z zachwytu. Pisarze, których im dotychczas prezentowano, byli przeważnie niezgrabni, zakłopotani, bez polotu w konwersacji. Ten człowiek zaś, uchodzący za największego wśród żyjących autorów, był zabawny, dobrze się prezentował, zachowywał się bardziej dwornie niż najlepszy dworak, znajdował na wszystko piękną, wytworną odpowiedź. Nic nie zdradzało, jakoby był w zмовie z przywódcą buntowników amerykańskich. Rosjanie prosili i nalegali, by coś przeczytał. Nie miał przy sobie

rękopisu, ale może zostawił go w powozie. Posłano służbę, która rękopis znalazła. Damy były oczarowane, zanim jeszcze Pierre przystąpił do czytania. Słuchały zachwycone, śmiały się głośniejsz od otoczenia, płakały z radości.

Pierwsza dama dworu wielkiej księżnej, baronowa Oberkirch, opowiadała Caronowi, że widziała w Niemczech sztukę, której bohaterem jest nie kto inny jak właśnie on, pan de Beaumarchais. Choć grający go aktor był w porównaniu z oryginałem sztywny i drewniany, sztuka jako całość zrobiła na niej wielkie wrażenie. Tematem jej jest przygoda, którą pan de Beaumarchais miał z Hiszpanem Clavijo i którą tak barwnie przedstawił w swych Osobliwościach. Sztukę napisał pewien młody autor, który teraz budzi w Niemczech sensację - niejaki Goethe. Pierre pomyślał przez chwilę, potem przypomniał sobie uprzejmie, że słyszał o tym; przemilczał, że znał to sztuczdyło i pogardzał nim.

Wielkiemu księciu przyszedł do głowy pewien pomysł. A może wobec trudności, które sztuka Beaumarchais'go napotyka w Paryżu, wystawić ją w Petersburgu? Wielki książę opowie o nowej komedii swemu intendentowi, panu Bibikowowi, i zleci mu, by się w sprawie jej wystawienia porozumiał z panem de Beaumarchais.

Pierre był w siódmym niebie. To dobre, że wielki książę wystąpił ze swą propozycją w obecności kolegów Chamforta, Marmontela i Sedaine'a. Teraz okazało się, że jego dzielny Gudin miał rację: Pierre roznosi sławę Francji po całej kuli ziemskiej, aż do Bieguna Północnego; jest naprawdę dziedzicem Woltera.

Nadeszła wiadomość o bitwie morskiej u wybrzeży bretońskich, niedaleko wyspy, którą Francuzi nazywali Ouessant, Anglicy zaś Ushant. Z początku opowiadano o wielkim zwycięstwie, później, że bitwa pozostała nie

rozstrzygnięta, aż wreszcie okazało się, że była to raczej klęska niż zwycięstwo.

W Wersalu istniały dwie teorie na temat prowadzenia wojny. Jedna opowiadała się za inwazją na Anglię, druga za wysłaniem korpusu ekspedycyjnego do Ameryki. Ludwik był przeciwny obu projektom, ale z dwojga złego łatwiej mu było pogodzić się z myślą o planowanej ekspedycji do dalekiego kraju niż z planem inwazji. Zmarnowane zwycięstwo pod Ouessant do reszty obrzydziło mu eksperyment inwazji.

Vaudreuil był bezwarunkowym zwolennikiem zasady inwazji i uważał, że jest powołany do kierowania tego rodzaju przedsięwzięciem. Błędy i głupstwa, popełnione przez bohaterów spod Ouessant, wzmogły jego oburzenie, że skazany był na bezczynność, że tkwi bezmyślnie na miejscu. Przede wszystkim piorunował na ministra Montbarey. Główną przyczyną klęski była nieumiejętność powzięcia śmiałej decyzji. Montbarey nigdy nie powierzy dowództwa człowiekowi tak oddanemu sprawie jak Vaudreuil. Dlatego musi odejść.

Do obalenia go prowadziła tylko jedna droga - przez Toinette. Dopóki Vaudreuil pożądał Toinette, nie było mu trudno domagać się od niej poparcia. Teraz jednak, kiedy stała mu się obojętna, każda prośba wymagała przewyciężenia się. Dowództwo w wielkiej wyprawie było tego warte.

Od czasu gdy zaszła w ciążę, troska o dobro swoje i delfina tak całkowicie pochłaniała Toinette, że nie mogła sobie wyobrazić, by ktoś mógł niepokoić ją w jej stanie sprawami politycznymi. I teraz, kiedy Vaudreuil półgłosem i gwałtownie prosił ją o poufną rozmowę w jednym z bocznych alkierzyków, była przekonana, że chodzi o sprawy miłosne. Ociągała się, dawała się prosić, podniecało ją to. Wreszcie, nie chcąc narażać cierpliwości markiza na zbyt ciężką próbę, ustąpiła.

Oczekiwała go w tym samym alkierzyku, w którym Vaudreuil niejednokrotnie, nie unikając pomocy rąk, starał się uczynić ją sobie powolną. Stała przed lustrem. Przyjaciele zapewniali ją, że nie zmieniła się z powodu ciąży, twierdzili, że wygląda mniej surowo niż dawniej, robi wrażenie szczęśliwszej. Badała, czy to prawda, studiowała swe rysy jak trudne do odcyfrowania pismo.

Nagle zobaczyła w lustrze odbicie markiza. Jego energiczna twarz, nad której wyrazem z trudem usiłował zapanować, budziła w niej pożądanie i tkliwość graniczącą z litością oraz lęk. Uśmiechnęła się do niego w lustrze, zobaczyła, jak się skłonił. Po chwili ucałował ostrożnie jej upudrowane plecy.

Wreszcie odwróciła się ku niemu.

- Co nowego, Francois? - zapytała niepewnym głosem. Niemal pożądliwie czekała na to, by ją zarzucił niecierpliwymi, pełnymi rozpaczy wymówkami, była gotowa odpowiedzieć mu słowami przyjacielskiej pociechy, zapewnić go, że najdłuższy okres jego oczekiwania już minął.

- Niełatwo mi, madame - zaczął - wyrwać panią z jej szczęśliwej niewiedzy i wprowadzić ją we wzruszenie, które może nie będzie najkorzystniejsze dla jej zdrowia.

Była niemile zaskoczona - nie brzmiało to jak wstęp do miłosnych wyznań.

- Niestety - ciągnął Vaudreuil - muszę to uczynić. Chodzi o najważniejsze dla pani sprawy, madame.

- Nie rozumiem ani słowa - odpowiedziała.

- Podrwiwała sobie pani z mężów spod Ouessant, madame - oświadczył Vaudreuil - i słusznie. Ale klęska nie jest tylko śmieszna, proszę się nie łudzić. Szyderstwo i oburzenie paryżan są skierowane nie tylko przeciw tym, którzy dowodzą flotą, lecz przede wszystkim przeciw pani.

Toinette jednak ani myślała dać się sprowokować; kręciła tylko głową ze zdziwieniem, kiwała nogą.

- Co drugi dzień - ciągnął coraz gwałtowniej - pojawiają się wymierzone przeciw pani nowe, złośliwe paszkwile. Autorzy ich twierdzą, że to pani jest winna naszej niezdecydowanej polityce wojennej, zarzucają, że chce pani powstrzymać wojsko, by w interesie Habsburgów wykorzystać je gdzie indziej.

Toinette wzruszyła ramionami.

- Nie chcę słuchać tych bzdur, Francois - powiedziała ze spokojem - nie jestem w nastroju. - Po czym uśmiechnęła się, szczęśliwa, zatopiona w myślach.

- Musi mnie pani wysłuchać - odpowiedział Vaudreuil dawnym groźnym głosem, którego się tak bała i który był jej tak drogi. - Żądam, by pani porzuciła swą wygodną obojętność.

Toinette obruszyła się wreszcie.

- Co pan sobie myśli? - powiedziała z gniewem. - Moja polityka to ani Austria, ani Ameryka, moja polityka to delfin i nic więcej. Proszę mi dać spokój.

- Ani myślę - odpowiedział. - Prowadzimy wojnę. To nasza wojna, a więc i wojna pani delfina. Niech pani nie będzie takim tchórzem. Niech się pani tak małodusznie nie chowa przed rzeczywistością. - Ujął ją brutalnie za rękę.

Toinette przestraszyła się jego oczu, jego rąk. Rozpłakała się.

- Myślałam - biadała - że przynajmniej teraz przestaniecie mnie męczyć. Myślałam, że przynajmniej pozwolicie mi donosić w spokoju moje dziecko.

Nie było jej do twarzy ze łzami. Vaudreuil przyglądał się Toinette krytycznie, bez współczucia. Rysy jej stały się gąbczaste, nie podobała mu się, nie rozumiał, że tak długo i gwałtownie pragnął z nią spać. Powierzenie mu dowództwa to chyba najmniejsza rekompensata za jego długie, idiotyczne czekanie.

- Wdzięczność - powiedział z goryczą - nie była nigdy cnotą pani rodu. Dla pani, madame, zrezygnowałem z mych marzeń o wyruszeniu na wojnę do Ameryki, choćby w randze skromnego pułkownika, dla sławy pani Trianon poświęciłem me żołnierskie skłonności. A pani nie chce spełnić mojej najdrobniejszej prośby. Czy nie pojmuje pani, że chodzi o nią samą, o całą Francję? Widzi pani przecież, do czego to prowadzi, kiedy na czele armii i floty stawia się idiotów. Bitwa pod Ouessant! Nie mogę na to patrzeć dłużej ani jako człowiek, ani jako Francuz. Żądam powierzenia mi dowództwa nad siłami zbrojnymi w Bretanii. Jeżeli już każe mi pani usychać z miłości - zakończył ponuro - niechże mi pani da chociaż sposobność odznaczenia się na wojnie.

- Przecież pan sam jest wszystkiemu winien, Francois. Usunął pan Saint-Germaina i wsadził na jego miejsce tego Montbareya. A teraz właśnie Montbarey nie chce panu dać Bretanii.

- Montbarey - odpowiedział Vaudreuil z pogardą. - Kiedy takie ziele zaczyna kłuć. wyrywa się je, i koniec. - A że Toinette milczała, dodał jeszcze: - Nie mam nic przeciwko temu, jeśli w okresie pokoju wysokie stanowiska zajmują półgłówki. Ale podczas wojny ministrem wojny powinien być człowiek, który potrafi odróżnić mapę od wzoru zdobiącego dywan.

Toinette podniosła się, widać było, że powzięła decyzję. - Niech pan słucha, Francois - powiedziała - chętnie panu pomogę. Ale w moim błogosławionym stanie muszę być ostrożna. Niech pan zapyta doktora Lassone, czy wolno mi się wzruszać. Pomówię z Ludwikiem, ale tylko w dniu, w którym będę czuła, że mi to nie zaszkodzi.

Vaudreuil musiał się tym zadowolić.

Choć konflikt między Austrią i Prusami w sprawie sukcesji bawarskiej zaostrzał się stale, Wiedeń nie korzystał z pomocy

Toinette. Józef byłby chętnie przypomniał siostrze w jednym ze swych złośliwych, ironicznych listów o jej obowiązkach, ale stara cesarzowa zabroniła mu tego. Życzyła sobie, by się liczone ze stanem Toinette.

Kiedy jednak król Fryderyk wtargnął do Czech, Maria Teresa sama wystosować do Toinette list przepojony boleścią. Pisała w nim, że rozumie, iż jej ukochany zięć wskutek innych powikłań zaniedbał sprawy austriackie. Ale oto bez własnej winy znalazła się w nowej wojnie ze swym śmiertelnym wrogiem, znowu poddani jej znoszą niewypowiedziane cierpienia, a ona sama nic innego nie może zrobić i tylko spędza noce modląc się i tonąc w łzach. Ukochana córka zrozumie więc matkę, która zwraca się do niej w tym nieszczęściu.

Cesarzowa zleciła równocześnie swym przedstawicielom w Paryżu, by skłonili Toinette do poważnej rozmowy z Ludwikiem i jak najspiesznieszego wytłumaczenia mu, by nie pogarszał jeszcze zła przez swą ślamazarność. Niechaj ją dobrze pouczą, co ma powiedzieć, a co przemilczeć. W dopisku stara cesarzowa prosiła jednak: „Mój drogi Mercy, proszę nie mówić z moim dzieckiem zbyt surowo. Proszę pamiętać o stanie mojej córki, proszę być łagodnym i ostrożnym przy udzielaniu jej napomnień”.

Wtargnięcie Fryderyka do Czech poruszyło Toinette. Od dziecka nasłuchiwała się skarg i przekleństw na pruskiego tyrana, który przyniósł tyle nieszczęść światu, a zwłaszcza krajom habsburskim. Mógł się chyba zadowolić zrabowaniem jej poczciwej matce Śląska. Ale w swej nieposkromionej chciwości znowu napadł na starą kobietę. Toinette ubolewała i czuła się dotknięta w swej dumie, że nie mogła temu przeszkodzić.

Mercy i ksiądz Vermond zastali ją we łzach. Wszystko, co miała na sercu przeciw Józefowi, stopniało teraz. Ze smutkiem i współczuciem myślała o bracie, o swoim „Sepplu”.

- Czy to nie okropne, moi panowie - zapytywała raz po raz pełnomocników swej matki - jak ten stary zły człowiek nas krzywdzi?

Ksiądz Vermond otworzył olbrzymie usta.

- Interwencja zależy od pani, madame - powiedział. - Sytuacja jest jasna, przewiduje ją klauzula czwarta paktu przymierza: Austria została napadnięta. Musi pani wytłumaczyć swemu dostojnemu małżonkowi, że jako aliant i sygnatariusz paktu rodzinnego ma obowiązek przyjść cesarzowej z pomocą. Monarcha arcychrześcijański nie może patrzeć bezczynnie, jak tyran pruski napada na matkę i brata jego małżonki. Wojna została im narzucona. Monarcha arcychrześcijański nie ma prawa pozostawiać pani i jej rodziny na pastwę losu.

Mercy upomniał księdza Vermond, by nie rozdrażniał Toinette.

- Widzi pan przecież, mój drogi ojciec - powiedział - że nasze egzorty są niepotrzebne. - Zwracając się po ojcowsku do Toinette radził jej: - Proszę się nie wdawać w długie dyskusje ze swym dostojnym małżonkiem. Niechaj na króla działa sam widok pani, jej stan. Proszę płakać i ufać w miękkie serce króla i w Opatrzność.

Toinette przyrzekła, że zrobi wszystko, co będzie w jej mocy. Ale z rozmów z przyjaciółmi zorientowała się, że Francja całkowicie pochłonięta wojną z Anglią na razie nawet myśleć nie może o interwencji w konflikcie prusko-austriackim. Była zdecydowana dołożyć wszelkich starań, ale obawiała się, że będzie to daremne, i w głębi duszy się z tym pogodziła. Wszystko to było niezmiernie smutne, ale każde nieszczęście ma również i swoją dobrą stronę. Jeżeli Ludwik nie może pomóc matce swego dziecka w tej tak ważnej sprawie, to

będzie musiał spełnić inne jej prośby. Teraz nadarzała się sposobność spełnienia zachcianki Francois: usunięcia Montbareya.

Medytując tak poszła do Ludwika.

Wiadomość o wtargnięciu Fryderyka do Czech była dla Ludwika pewnym zadośćuczynieniem. A więc szwagier Józef zbiera teraz burzę, którą zasiał. Równocześnie Ludwikowi żal było Józefa; pomógłby szwagrowi już choćby przez wdzięczność, że mu doradził poddanie się owej błogosławionej operacji. Był niemal rad, że jego własna wojna stoi na przeszkodzie wysłaniu wojsk na pomoc Austrii.

Oczekiwał, że Toinette będzie biadać, nalegać, że zasypie go wymówkami, postanowił, że przyjmie to ze spokojem. Dotrzymał danego sobie słowa. Na wszystkie jej argumenty miał tylko jedną odpowiedź:

- Co mam robić? Co ja mogę zrobić?

- Wszystko - powtarzała. - Wystarczy twój podpis, sire, by wojska twoje pomaszerowały.

Ponieważ nie ruszał się z miejsca i milczał z nieszczęśliwą miną, idąc za radą Mercy'ego, wybuchnęła płaczem. Na widok matki swego dziecka zalanej łzami Ludwik tak się rozczulił, że omal sam się nie rozplakał. Ale pozostał wierny swemu postanowieniu i powtarzał bezradnie:

- Wiem, cała wina jest po mojej stronie, nie mogę nic na to odpowiedzieć, ale co mam robić? - Po chwili, szczerze zatroskany, błagał: - Proszę, nie myśl o tej głupiej wojnie, pamiętaj o swoim stanie, skup na nim całą uwagę. Musisz się uspokoić. Poślę po doktora Lassone.

Uczyniła niecierpliwy gest i biadała dalej:

- Nie masz względów nawet dla dziecka i odmawiasz każdego podpisu, sire. Nie robisz nic dla mnie ani dla mego dziecka. Tymczasem pomaszerowanie razem z Józefem leży w twoim

własnym interesie. Matka moja nie domagałaby się od ciebie, sire, niczego, co mogłoby ci przynieść szkodę.

Sapał z nieszczęśliwą miną.

- Ależ nie mogę, Toinette - perswadował łagodnie. - Zrozum. Jestem w wojnie z Anglią. Tego jej tylko było potrzeba.

- Twoja wojna z Anglią! - szydziła. - Cóż to za wojna? Same połowiczne zwycięstwa, same klęski. Jakże może być inaczej przy tym twoim księciu Montbarey, tym tchórze, tym sprzedajnym półgłówku.

- I ja wolałbym - przypomniał jej nieśmiało - żebyśmy mieli Saint-Germaina. Ale przecież serce mu pękło z żalu.

Toinette, udając, że słów tych nie słyszy, wykrzyknęła:

- Mniejsza o to, kto, każdy będzie lepszy od twego Montbareya!

Od chwili rozpoczęcia działań wojennych wywierano na Ludwika presję, by usunąć Montbareya. Vargennes nie dawał mu spokoju, generałowie skarżyli się, że ten minister jest dla nich zawadą, pan Necker nie posiadał się z oburzenia na rozrzutność i system protekcyjny w gospodarce Montbareya. Ludwik opierał się, bo Montbarey nadawał się doskonale na to, by odwlekać wszczęcie działań wojennych, ale teraz, kiedy wojna stała się faktem dokonany, nie miał już argumentów na obronę swego ministra.

- Nie twierdzą - oświadczył ostrożnie - że będę Montbareya trzymał wiecznie. Uspokój się - dodał widząc, że podniosła brwi i spogląda nań wojowniczo, po czym pogłaskał ją niezgrabnym ruchem.

- A więc przepędzisz go, sire? - zapytała.

- Omówię to z moimi doradcami - odpowiedział wymijająco.

- Proszę to zrobić zaraz - nalegała Toinette. - Pośród twoich ministrów jeden tylko interesuje się losem Montbareya. Poślij po hrabiego Maurepas i poleć mu, by zaraz tu przyszedł.

Posłuchamy, co będzie miał do powiedzenia w obronie swego pupila.

Gdy zjawił się Maurepas, Toinette z miejsca zasypała go gradem słów.

- Jak słyszę - oświadczyła - król zdecydował się dać dymisję pańskiemu księciu Montbarey, o ile nie znajdzie pan w jego obronie przekonywających argumentów.

Maurepas z trudem ukrywał zmieszanie. Pogodził się już z tym, że da swą zgodę na obalenie Montbareya, ale nie był przygotowany na ten niespodziewany atak brzemiennej Austriaczki. Pani de Montbarey była kuzynką i najbliższą przyjaciółką hrabiny. Maurepas wyobraził sobie, jak niemiłe będzie spożywanie posiłków z ukochaną małżonką, jeżeli nastąpi dymisja Montbareya.

- Sire chce naprawdę usunąć księcia? - zapytał.

Ludwik odpowiedział niechętnie:

- Przecież pan słyszał, składam decyzję w pańskie ręce.

Widząc, że Ludwik jeszcze się waha, Maurepas zdecydował się walczyć o pupila swej żony.

- W swym umiłowaniu pokoju - zaczął - sire zlecił swemu ministrowi wojny, by w miarę możliwości odsuwał termin wszczęcia nieprzyjacielskich kroków. Nie znam drugiego żołnierza, sire, który by unikał starcia z tak wzorową gorliwością, jak to czynił książę Montbarey.

- Tak - wmieszała się Toinette - cała Europa śmieje się z nas przez to, że pański protegowany tak niedołąźnie prowadzi wojnę. Mnie się o to obwinia. To oburzające.

- Proszę się nie unosić, Toinette - prosił Ludwik - gra niewarta świeczki.

Nagle ogarnął go gniew na nie kończące się trudności, gniew na Józefa, Franklina, pana Beaumarchais, księcia Montbarey, a przede wszystkim na premiera Maurepas, który nie ochronił go przed tą całą lawiną, jak to było jego obowiązkiem.

- Co pan na to odpowie królowej? - zapytał ostro, a potem zaskrzeczał dyszkantem: - Mianowałem Montbareya za pańską radą, może nie?

Maurepas zbladł pod szminką. Mówił sobie: „Mam lat siedemdziesiąt siedem. Długo już nie pociągnę. Trzeba wytrwać aż do grobu. Kiedy mój szesnasty Ludwik wpada w furję, wygląda na dobrotliwego dzikusa, który nałożył wojowniczą maskę, żeby przerazić wroga". Porównanie z dzikusem i wojowniczą maską spodobało mu się, postanowił zamieścić je w swych pamiętnikach. I to mu pozwoliło zachować łagodny, sceptyczny spokój. Z chwilą gdy się zorientował, że nie da się dłużej utrzymać jego pupila, zdecydował się zdradzić go w wytworny sposób.

- Księżę Montbarey - oświadczył - to idealny minister wojny w czasach pokojowych. Kiedy wysunąłem jego kandydaturę, sire, mieliśmy pokój. Teraz mamy niestety wojnę. - To powiedziawszy wrzucił znacząco ramionami.

Ludwik od razu pożałował swej porywczosci. Podszedł do hrabiego. - Niech mnie pan nie opuszcza, mój mentorze - szepnął mu do ucha.

Toinette nie ukrywała pogardy.

- A więc ekscelencja nie ma nic do powiedzenia w obronie pana Montbareya? - zapytała kiwając nogą. Ponieważ milczał, dodała bardzo uprzejmie i bardzo wyniośle: - W takim razie proszę zakomunikować księciu Montbarey życzenie króla.

Maurepas spojrział pytająco na Ludwika.

- No tak, no pięknie - powiedział Ludwik.

Maurepas skłonił się.

- Jak pani rozkaże, madame - powiedział i oddalił się pełen szacunku, nieswój, zmartwiony, by za chwilę opisać swemu sekretarzowi Salle ze złośliwą dokładnością, żałosne trio, jakie odśpiewali przed chwilą on, Ludwik i Austriaczka.

Hrabina Maurepas miała różne metody okazywania mężowi niezadowolenia. Tym razem, ożywiona na ogół dama, nabrała po usunięciu Montbareya wody w usta. Było to najgorsze, co mogła zrobić towarzyskiemu małżonkowi. Zwłaszcza po śniadaniu, które uważał za najmiłszą godzinę dnia, odczuwał boleśnie brak jej ostrych uwag i refleksyj.

Karała go w ten sposób przez trzy dni. Czwartego dnia otworzyła usta. Niespodziewanie, kiedy z melancholijną miną zanurzał chrupiący rogalik w filiżance czekolady, powiedziała:

- A gdybym tak, Janie Fryderyku, poprosiła naszego Toutou, żeby odczytał u mnie swego Figara?

Maurepas był tak zdumiony, że zostawił rogalik w czekoladzie dłużej, niż zamierzał, i kiedy wreszcie wyjął go, rozmiękła papka wpadła do filiżanki. Otarł starannie rozprysnięte krople czekolady. Potem zaczął wyławiać łyżeczką papkę z filiżanki, chcąc w ten sposób zyskać nieco na czasie.

Jego kochana hrabina oczekiwała zadośćuczynienia za przykrość, którą jej wyrządził. Z góry wiedział, że jej nie odmówi. Ale to, czego zażądała, to jednak za wiele. Gdyby żona premiera pozwoliła, by sam autor przeczytał wobec niej i jej przyjaciółek sztukę znienawidzoną i zabronioną przez króla, równałoby się to szydzeniu z królewskiego wyroku. Przychylnie usposobieni mogliby uznać to za niewinny dowcip, niechętni natomiast dopatryliby się w tym prowokacji graniczącej z rebelią.

Przełknął kawałek ociekającego czekoladą rogalika. Potem zakaszłał.

- A więc, najdroższa, chciałabyś, by nasz pan Beaumarchais odczytał ci swoją piękną sztuczkę? - zapytał. - Czy to nie będzie zbyt ryzykowne?

- Mój drogi Janie Fryderyku - odpowiedziała patrząc nań ciemnymi, bystrymi oczami - uważam za wskazane dosypać

nieco soli attyckiej do naszych asambłów. W ostatnich czasach były takie mdłe.

Nad ich głowami, przed oczyma premiera, wisiał portret Franklina pędzla Duplessis; po zawarciu sojuszu Maurepas powiesił go tu, w Wersalu. Kochana jego małżonka okazała w sprawie tego zamorskiego buntownika dobrą intuicję, prawdopodobnie będzie miała rację i w sprawie swego Toutou. Zakaz Ludwika jest istotnie sztywny i papierowy i nie da się utrzymać na dłuższą metę. W naszych oświeconych czasach nie należy traktować zbyt serio niewinnej komedii, pokpiwającej z arystokraty, którego dowcipnie wykwitowano z prawa pierwszej nocy. Maurepas nie powinien się solidaryzować z swoim pupilem, pamiętając, co kiedyś powie o tym potomność. Ludwik nie odważy się wziąć mu tego za złe; po zniewadze, jakiej się dopuścił w obecności Austriaczki, czuje się niezawodnie winny wobec niego.

Wziął nowy rogalik, podsunął kawałek kotce Gris-Gris; powąchawszy go odwróciła się.

- A więc chce pani znowu zaprosić swego Toutou do pałacu Phelypeau - rzekł głośno.

- Stary, zakurzony pałac - odpowiedziała z ożywieniem - nie byłby dobrą ramą dla sztuki tak pełnej werwy i pomysłowości. Niech Toutou odczyta swą komedię tutaj, właśnie z tego miejsca, gdzie teraz siedzisz, drogi mój Janie Fryderyku.

„Na mą duszę, jeżeli ją posiadam” - pomyślał Maurepas i mimo woli odsunął się nieco. Znał swoją hrabinę, wiedział od początku, że zechce, by komedia została odczytana właśnie tutaj, w bezpośrednim sąsiedztwie purytańskiego młodego monarchy.

- Masz zawsze takie oryginalne pomysły - westchnął.

- Wiedziałam, że mój pomysł ci się spodoba - odpowiedziała.

- Jestem pewna, że spędzimy miły wieczór.

Stary przeraził się. - Co takiego, madame? - zapytał. - Liczysz na moją obecność? Czy monarcha arcychrześcijański nie uznałby tego za zuchwalstwo?

- Świat wraz ze mną ceni cię za odwagę - odpowiedziała uprzejmie.

Ucałował jej rękę.

- Jeżeli praca mi pozwoli, madame, zrobię sobie tę przyjemność i zjawię się na chwilę.

Otrzymawszy zaproszenie odczytania swojej sztuki w Wersalu, niemal pod nosem króla, który zabronił jej wystawienia, Pierre nie posiadał się z radości. Również Vaudreuil i Desiree uważali, że to wielki krok naprzód. Pierre był pewien, że przeczyta ją tym razem lepiej niż kiedykolwiek. Chciał, by jego kronikarz Gudin był świadkiem tego majstersztyku; choć zwykle unikał szmuglowania do wielkich domów swoich krewnych lub przyjaciół, tym razem poprosił hrabinę, by wolno mu było przyprowadzić Filipa Gudin.

Czytał z rozmachem i tak wyraziście, że słuchacze widzieli Figara jak gdyby na scenie. Malował sytuacje za pomocą tonu i gestu, każda z postaci żyła własnym życiem. Słuchacze byli porwani. Klaskali w dłonie, wydawali okrzyki. Na każdy dowcip znajdował Beaumarchais dowcipną, trafną odpowiedź. Gudin pijany entuzjazmem chłonał każdy szczegół. Układał wiekopomne zdania do swojej Historii poety i męża stanu Beaumarchais. Co za poeta! Co za umysł! Co za aktor! Tak być musiało, kiedy rapsod Homer odczytywał swe pieśni mieszkańcom greckiej wyspy, kiedy Horacy recytował przyjaciółom swe ody, które przetrwały wieki.

Maurepas ukazał się dobrze po rozpoczęciu czytania. Był wyświeżony, ale w szlafroku, i udawał zdumienie.

- Chciałem ci tylko powiedzieć dobranoc, najdroższa - oświadczył - nie wiedziałem, że masz gości. - Potem dał się

uprosić i pozostał. Słuchał, mlaskał lekko językiem, klaskał w zeszywniałe dłonie, zawołał: - Prześlicznie, naprawdę prześlicznie to pan wymyślił, mój drogi Pierre.

Był namiętym amatorem teatru, umiał ocenić wspaniale oszlifowaną pracę Beaumarchais'go. Czuł się jakby przeniesiony w czasy swojej młodości, w epokę regencji, kiedy umiano łączyć dowcip i frywolność z komedią, o czym surowy, pełen przesądów dzień dzisiejszy nie ma pojęcia. Ale Pierre to potrafi. Zasłużył na to, by żyć w owych dobrych, dawnych czasach. Tylko że nie zaliczałby się już chyba teraz do grona żyjących, gdyż z owej epoki pozostali przy życiu tylko on i stary Richelieu.

Im dłużej Pierre czytał, tym bardziej minister potępiał zachowanie się swego pupila. Ten szesnasty Ludwik był dobroduszny i potulny, ale czasem stawał się trudny i uparty. Zaciął się w swym moralizatorskim gniewie na tę piękną sztukę, ośmiesza hrabiego Maurepas wobec przyszłych pokoleń, zamiast cieszyć się, że za jego rządów powstała taka komedia. Nie, ten zakaz nie może pozostać w mocy. Niech sobie w imię boże Ludwik nie puszcza przez czas jakiś sztuki na scenę, kiedy wbił to sobie do swego upartego łba. Ale nie za długo, gdyż Maurepas postanowił, że będzie w Theatre Francais na przedstawieniu tej przemiłej komedii.

Hrabina zauważyła z przyjemnością, jak bardzo recytacja Beaumarchais'go poruszyła jej męża. Podeszła do niego wraz z Caronem i zapytała:

- Czy i ty, Janie Fryderyku, uważasz, że ta znakomita komedia powinna znaleźć się na scenie?

Maurepas czuł się rześko i młodo jak wówczas, kiedy przekroczywszy dopiero siedemdziesiątkę objął stanowisko premiera. Człowiek, który miał odwagę przeciwstawić się pani Pompadour, potrafi chyba poradzić sobie z tym szesnastym Ludwikiem.

- Masz rację, madame - powiedział szarmancko. Pomyślał przez chwilę, potem zwrócił się do Beaumarchais'go i z chytrą, dyplomatyczną miną dodał: - Gdyby na przykład kilku pańskich jaśnie oświeconych przyjaciół zakrzętnęło się dookoła zagrania pańskiej uroczej sztuki przed wybranym audytorium, to sądzę, że Korona, choć zzymając się gniewnie, lecz tylko zzymając się, zamknęłaby na to oczy, tak samo, jak nie raczyła zauważyć w swoim rodzinnym mieście stołecznym obecności kacerza Woltera.

- A więc pan mi radzi? - zapytał Pierre.

- Nic nie radzę - osadził go Maurepas. - Dałem wyraz przelotnym myślom człowieka prywatnego, który potrafi zrozumieć urok zuchwalstwa. Dziś tylko my, starcy, mamy to zrozumienie. Pamięta pan może, mój drogi, że za epigramat naraziłem się kiedyś na banicję, która trwała ćwierć wieku. To były czasy! Uważaliśmy wtedy, że odrobina odwagi to naturalna ingrediencja każdego utworu literackiego. Pański Figaro, panie kolego, przypomniał mi owe czasy.

Vaudreuil z radością zgodził się pomóc panu Beaumarchais. Był w promiennym humorze. Nowy minister wojny, hrabia Segur, obiecał powierzyć mu w najbliższym czasie dowództwo nad wojskami w Bretanii, zdąży więc jeszcze spełnić daną obietnicę, wystawi Figara i przed opuszczeniem Paryża wywoła sensację.

Cały Klanik Liliowego Bzu zabrał się z zapałem do roboty. Wystawienie Figara miało się odbyć z okazji urodzin księcia Karola, jako uroczystość o charakterze prywatnym. Gabriela osiągnęła to, że intendent Opery oddał jej do dyspozycji pałac des Menus Plaisirs, jeden z najpiękniejszych budynków w kraju; to, że pałacyk był własnością króla, dodawało sprawie pikanterii.

Pierre nie tylko kierował próbami, ale zajmował się wszystkim, co było związane z przedstawieniem.

Dowiedziawszy się z pewnego powiedzenia markiza, że Gabriela Polignac, organizatorka całej imprezy, nie ma pieniędzy, co jej się często zdarzało, pokrył w sekrecie koszty prób z własnej kieszeni. Nie były one niskie; aktorzy Theatre Francais kazali sobie płacić za udział w dworskich imprezach honoraria wysokości tysiąca pięciuset liwrów od roli.

Pierre interesował się nawet zaproszeniami. Kazał je wydrukować na czerpanym papierze, którego w tym celu dostarczyć musiały jego fabryki. Na pierwszej stronie zaproszeń widniała podobizna Figara. Bardzo hiszpański, bardzo wytworny, nieco błaznowaty i wesoło przystrojony, stał zgięty w ukłonie; z jego ramienia na wstędze zwisała gitara, na głowie miał siatkę, na szyję zarzucił niedbale czerwony jedwabny szal. Podpis pod jego sylwetką, wzięty z Cyrulika, zapowiadał wesoło i szyderczo: „Eh, parbleu, j'y suis! - Tam do licha, oto jestem!”

Zaproszenia doręczano ze znaczącymi uśmiechami i tajemniczymi minami, aktorzy byli również proszeni o dyskrecję. Wszystkie owe starania o zachowanie dyskrecji odniosły pożądany skutek, wkrótce całe miasto wiedziało o imprezie.

Generalny prefekt policji stanął wobec trudnego problemu. Spektakl, wyrażając się ostrożnie, nie odpowiadał życzeniom króla, a nie postarano się o wymagane pozwolenie. Z drugiej strony intendent królowej zwrócił się do członków Theatre Francais i próby odbyły się z wiedzą, a zapewne również na życzenie królowej. Kto wtrącał się do rozrywek Klaniku Liliowego Bzu, mógł sobie łatwo poparzyć palce. Pan Lenoir zasepił się. Było rzeczą prawdopodobną, że bez względu na to, czy pozwoli, czy też zabroni, spór między parą królewską zakończy się jego dymisją.

Spróbował poradzić się premiera. Niewielką znalazł pomoc.

- Czy naprawdę nikt nie zwracał się do pana z prośbą o pozwolenie? - zapytał stary z udanym zdziwieniem. I dodał: - Tak, ci panowie ułatwiają sobie sprawę. - To powiedziawszy potrząsnął głową.

- A więc mam zabronić? - zapytał pan Lenoir, pełen nadziei.

- Ładnie by pan wyglądał wobec królowej - odrzekł Maurepas.

- Drażliwa sytuacja - rozważał zmartwiony Lenoir.

- Ma pan rację, mój drogi - powiedział Maurepas współczującym tonem. - Nie chciałbym być w pana skórze.

Tymczasem w pałacu Menus Plaisirs odbywały się próby. Panie i panowie ze sfer dworskich, utrzymujący bliskie stosunki z Klanikiem Liliowego Bzu, ubiegali się o to, by móc uczestniczyć w próbach. Odbywały się one często. Z czasem niektóre sceny nabierały takiego wyrazu, że słuchacze oklaskiwali je z zapalem.

Jedną z prób obejrzał sobie z ukrycia pan Lenormant. Odczuwał całą swą istotą czar tchnący ze sztuki i jej wykonania, jak również to wszystko, co było w niej nieprzystojne, zakazane, co podniecało zmysły i rozum. Widział Desiree w jej białym wyszywanym srebrem stroju pazia, w kapeluszu z piórami na ładnej, zuchwałej, chłopięcej głowie, w lekkim niebieskim płaszczu przerzuconym przez ramię, widział, jak się zmieniała w dziewczynę, słyszał, jak leniwym, burzącym krew w żyłach głosem śpiewała romancę. Czuł się jak głupiec ze swoją nową przyjaciółką panną Olivier. W porównaniu z tą uroczą, zwinną, przedziwnie żywą Desiree wydawała się jakaś drewniana. I śmieszna, kiedy biadała, że nienasycona Mosnard zabrała jej rolę Cherubina, tak jak śmieszny był on sam, kiedy tego słuchał. Przepęłniało go wściekłe pożądanie Desiree, odczuwał nieposkromioną chęć wyskoczenia na scenę i pobicia jej.

Następnego dnia poszedł do hrabiego.

Mówił o polityce, o wojnie, o interesach. Opowiadał o próbach Figara.

- To dziwne - mówił - jak ta komedia działa ze sceny. Podobnych uczuć, jakie wzbudza ten Figaro, musieli doznawać owi buntownicy w Bostonie, kiedy rabowali okręty z herbatą i narzucali nam wojnę z Anglią.

- Wiem - odpowiedział Maurepas, śmiejąc się swym beczącym śmiechem - jak silnie teatr potrafi oddziaływać na ludzi obdarzonych fantazją. Ale żeby ta urocza komedia miała dla Klaniku Liliowego Bzu stać się bodźcem do plądrowania sklepów z herbatą, nie, mój drogi, nigdy w to nie uwierzę. Chcąc oddziaływać na ludzi nasz Pierre stosuje wszystkie środki, a więc i trochę politycznej pikanterii. Dlaczegoż by nie? A jeżeli nasi liliowi chcą odczuwać lekki dreszcz trwogi, niech go sobie odczuwają.

- Gdybyśmy żyli w okresie pokoju - odpowiedział Lenormant - zgodziłbym się z panem. Ale teraz, po zawarciu sojuszu, kiedy jesteśmy w ogniu wojny o Amerykę, sceny te działają jak wezwanie do rewolucji. Proszę mi wierzyć, ekscelencjo.

- Nie, mój drogi - odpowiedział Maurepas - nie wierzę panu. Doktor Franklin i Figaro-cyrulik - to połączenie wydaje mi się zbyt groteskowe.

- Ależ oni należą do siebie - upierał się Lenormant. - Historia sprzęgła ich z sobą. Stanowią całość, jak ręka stanowi całość z rękawiczką.

Ponieważ Maurepas nie przestawał uśmiechać się niedowierzająco i uprzejmie, Lenormant zaczął mu tłumaczyć:

- Król obawia się, że sojusz mógłby się przyczynić do przeszczepienia na nasz grunt buntowniczych idei Zachodu. Jeżeli teraz komedia Figaro zdobędzie powodzenie, król będzie w tym widział dowód słuszności swych obaw. Jestem pewien, ekscelencjo, że i panu podczas prób nasuwają się podobne refleksje.

Maurepas spojrział mu z uśmiechem w oczy.

- Umieszczę pana w pamiętnikach jako człowieka niezwykle ostrożnego - powiedział.

Ale z chwilą gdy Charlot odszedł, Maurepas przestał się uśmiechać. Gadanina Lenormanta poruszyła go, choć nie chciał z niej wyciągać wniosków. Mimo chustek i szalów dygotał z zimna. Głośne opowiadanie się za czymś to wulgarność. Wszystko ma swoje właściwe miejsce. W jego samotnej rezydencji wiejskiej Pontchartrain właściwa była odwaga, tu, w Wersalu, wskazana jest ostrożność. Powodowany tą ostrożnością poświęcił swego przyjaciela Turgota i drugiego bliskiego mu człowieka, Saint-Germaina.

W porównaniu z tymi ofiarami cóż znaczy, jeżeli chwilowo zrezygnuje z miłego mu obowiązku i nie będzie na razie forsował wystawienia komedii.

Z drugiej jednak strony nie był reakcjonistą i nie chciał za takiego uchodzić. Nieprzyzwoitością byłoby przeszkadzanie w urządzaniu widowiska, które sam zainicjował. Niezależnie nawet od przykrości, jaką sprawiłby przez to hrabinie.

Stary dyplomata szukał wyjścia i znalazł je. Podczas składania Ludwikowi codziennego raportu o sprawach bieżących z teki jego wypadło zaproszenie na widowisko urządzone w pałacu Menus Plaisirs. Ludwik, który był krótkowidzem, wziął je w roztargnieniu do ręki, bawił się nim machinalnie, spojrzął przelotnie na zdobiący je obrazek. Po chwili zaciekawiał się, obejrzał zaproszenie dokładnie. „Tam do licha, oto jestem!” - oznajmił Figaro.

Ludwik zasepił się.

- Co to takiego? - zapytał hrabiego Maurepas.

- O ile widzę - odparł minister z niewinną miną - zaproszenie na uroczystość urodzin księcia Karola.'

Ludwik chciał rzucić jakieś gwałtowne słowo, ale przełknął ślinę i zapytał tylko:

- Czy mogę sobie to zaproszenie pożyczyć?

- Jest pięknie wykonane - odrzekł Maurepas. Był z siebie zadowolony. Spełnił obowiązek zarówno wobec postępu, jak wobec swego młodego monarchy.

Zostawszy sam Ludwik długo oglądał zaproszenie. „Artyści Theatre Francais... hrabina Polignac... z okazji urodzin Jego Królewskiej Wysokości... w pałacu Menus Plaisirs... tam do licha, oto jestem!” Król Francji i Nawarry obejrzał sobie dokładnie kamerdynera Figara, jego barwny, błazeński, wytworny strój, gitarę, siatkę hiszpańską, czerwony jedwabny szalik, zuchwałą wesołą twarz.

„W dodatku w Menus Plaisirs - myślał sobie - w moim własnym domu. Ta banda! Ten łobuz! W moim własnym domu”.

Wezwał generalnego prefekta policji. Gniewnie podsunął mu pod oczy zaproszenie. „Tam do licha, oto jestem!” - przeczytał pan Lenoir.

Oświadczył, że wie o projekcie uroczystości ku czci księcia Karola. Pod wpływem pierwszego impulsu chciał zabronić, ale planowana uroczystość urodzinowa ma się odbyć w ścisłym kółku wybranych i niezawodnie za zgodą królowej, której stan trzeba brać bezwzględnie pod uwagę. Lenoir stanął więc wobec zagadnienia, którego nie jest zdolny rozwiązać. Gdyby go Ludwik nie wezwał, sam pozwoliłby sobie zasięgnąć rady.

Ludwik milczał. Aluzja do ciąży Toinette była mu niemiła.

- Wolno mi więc zabronić, sire? - zapytał po chwili pan Lenoir.

Ludwik wahał się przez kilka sekund. Potem powiedział niegrzecznie:

- Głupie pytanie. Oświadczyłem już raz: nigdy. To powinno być memu generalnemu prefektowi wiadome. Nigdy - znaczy nigdy.

Lenoir skłonił się głęboko, kierując się ku drzwiom.

Ale Ludwik zakomenderował:

- Stać, mój panie, i czekać! - „W moim własnym domu” - pomyślał. - Niech pan teraz jeszcze nie zabrania - rozkazał z mściwą miną. - Niech pan zabroni dopiero w ostatniej chwili.

- Z przyjemnością, sire - odpowiedział Lenoir.

Gdy się oddalił, Ludwik, gniewny, z despotycznym wyrazem twarzy, kilkakrotnie przemierzył pokój. Stopniowo rysy jego wiotczały. Usiadł przy biurku, spojrzawszy błędnym wzrokiem na porcelanowe figurki autorów i obwieścił im: - A jednak ten Caron to przeprowadzi.

Ciekawi, którzy w dniu wystawienia sztuki zebrali się przed pałacem Menus Plaisirs, wyszli na swoje.

Przy wejściu stali w podwójnym szeregu lokaje w liberii książąt Polignac, przed bramą wjazdową witał gości ochmistrz Gabrieli, powozy były odświętnie przybrane, ci którzy z nich wysiadali, nosili wielkie, stare nazwiska.

Desiree obserwowała publiczność przez szparkę w kurtynie. Z wyjątkiem królewskiej pary zjawili się wszyscy, nadający dworowi świetność. Desiree ogarnęło zadowolenie, że doprowadziła do zagrania Figara: musiała używać wielu określonych dróg, wreszcie szczęście uśmiechnęło się do niej. Granie przed tymi paniami i panami sztuki skierowanej przeciw nim było nie byle jaką zabawą.

Desiree była dumna, że się zdecydowała grać Cherubina, a nie Zuzannę. Wiedziała, że dziś we Francji ona jedna potrafi tak przedstawić melancholijne, mgliste, gorące zakochanie chłopca. Zdawała sobie sprawę, jak pociągająco i wdzięcznie wygląda w kostiumie pafia, że potrafiła dodać postaci tę szczyptę pikanterii, która chroni ją przed popadnięciem w sentymentalizm.

W jednej z łóż zauważyła Lenormanta. W swej naiwności i zuchwalstwie przyprowadził tę małą Olivier, tę ładną, głupią gąskę, chcąc pokazać, że przeboleł stratę Desiree. Biedny, zgorzkniały, bezsilny Charlot! Była teraz szczęśliwa, że nie popełniła wówczas największego głupstwa w swoim życiu i nie wjechała do zamku Etioles przez bramę, nad którą wykuty był napis „Vanitas, vanitatum vanitas”.

Dziesięć minut upłynęło od chwili, kiedy przedstawienie miało się rozpocząć; publiczność zaczęła się niepokoić. Czekano widocznie na tego, na czyją cześć sztuka miała być grana, na księcia Karola. Zjawił się wreszcie, młodzieńczy, uśmiechnięty, zuchwały, z łobuzerską miną. Powitano go owacyjnie.

Teraz żart mógł się zacząć. Ale przeszły trzy minuty, minęło jeszcze pięć minut. Niektórzy tupali już nogami, a książe zawołał swym wysokim, zuchwałym głosem:

- Cóż się stało, moi drodzy?

Wreszcie stanął przed kurtyną jeden z aktorów, Preville-Figaro, w kostiumie znanym z zaproszeń. Czy nastąpi prolog? Rozległy się oklaski, potem zapadła cisza. Ale prologu nie było. Natomiast Preville-Figaro oświadczył głosem pozornie spokojnym, nie ukrywając jednak głębokiego oburzenia:

- Panie i panowie, prosimy o uwagę. Przed chwilą wręczono nam pisemny rozkaz jego królewskiej mości. W rozkazie tym zabrania się nam pod karą niełaski jego królewskiej mości wzięcia jakiegokolwiek udziału w wystawieniu komedii Szalony dzień, czyli Wesele Figara, bez względu na to, kto to widowisko urządza. Przedstawienie nasze nie może się więc odbyć. Prosimy o pobłażliwość, panie i panowie.

Przez chwilę panowało głębokie milczenie. Potem rozległo się ostre gwizdnięcie, to gwizdał sam książe Karol, a po chwili Juliusz Polignac wykrzyknął zuchwale:

- To niesłychane, co za tyrania!

Teraz cała publiczność, składająca się z wspaniale przybranych pań i panów, zaczęła wrzeszczeć i gwizdać; raz po raz rozlegały się okrzyki: „Gwałt, tyrania!” Pierre przekrzyczał cały ten tumult, wołając:

- Uspokójcie się, moje panie i moi panowie. Nad tym Szalonym dniem kurtyna jeszcze nie zapadła.

Wiele wysiłku kosztowało księcia de Richelieu wybranie się na przedstawienie, gdyż był bardzo stary. To, co zaszło, ożywiło go. Prowadząc żonę w kierunku wyjścia, powiedział do swego sześćdziesięcioletniego syna, księcia de Fronsac:

- Widzisz, mój chłopcze, za Ludwika XIV trzymaliśmy gębę na kłódkę, za XV szemraliśmy pod nosem, za XVI podnosimy wrzask.

Stojący pod teatrem tłum ciekawych podchwycił okrzyki zawiedzionych gości. Raz po raz słyhać było słowa:

„Gwałt, tyrania!” Wieczorem grzmiało we wszystkich tawernach i kawiarniach: „Zabraniają nam naszego Beaumarchais. Despotyzm, gwałt, tyrania!”

Rozdział trzeci

Figaro

Tej wiosny doktor Franklin osiągnął to, czego sobie życzył, kiedy po raz pierwszy ujrzał Hotel Valentinois i „ogród”; objął również w posiadanie główny budynek i obecność obcych nie mogła już zakłócać błogiego spokoju jego domostwa.

Pan de Chaumont nie tylko nie brał od Franklina komornego za pawilon, który doktor zamieszkiwał, lecz okazał się również niezwykle uczynnym gospodarzem, a to zmuszało Franklina do liczenia się z nim. Teraz, siedząc na swej ulubionej ławce pod bukiem i patrząc z lubością na rzekę i srebrnoszary Paryż, doktor Franklin nie obawiał się już, że usłużny gospodarz wciągnie go w długą, uprzejmą, nic nie mówiącą rozmowę. Poza tym miał dosyć miejsca, by wedle woli porozmieszczać książki i różne służące do jego wygody przedmioty. Mógł zjawiać się odtąd w bibliotece jedynie z okazji spotkań z kolegami, mógł sobie oszczędzić irytacji, nie patrzeć tak często na kiepskie malowidło, przedstawiające jego czcigodnego przyjaciela Waszyngtona na krwawym polu bitwy.

Pan de Chaumont za cały dom również nie zażądał wysokiego czynszu. Łatwo było z nim dojść do porozumienia. Ale mister Adams wystąpił z zastrzeżeniami. Uważał, że nie wypada, by reprezentanci nowej, cnotliwej republiki mieszkali tak dostatnio i bogato. Jednak ustąpił, gdyż choć w wielu sprawach nie zgadzał się z Franklinem, żywił dla niego szacunek. W skrytości ducha mister Adams dziwił się, że stary doktor tyle wkłada wysiłku w powiększenie i przerobienie swej siedziby w Passy. Czy ten człowiek nie przeczuwa, że pobyt jego we Francji nie potrwa już długo? Stary będzie musiał to przeboleć. Póki jeszcze byli razem, mister Adams

starał się być miłym współlokatorem; nie narzucał się, szukał towarzystwa Franklina tylko wtedy, kiedy to było konieczne. Franklin mógł więc rozkoszować się w spokoju swym domkiem w ogrodzie i piękną wiosną. Siedział pod bukiem i medytował. Czytał. Spacerował po ogrodzie z paniami Helvetius i Brillon. Otrzymywał długie, interesujące listy od Erazma Darwina, doktora Ingenhousza, Johna Pringle oraz od innych przyjaciół i odpowiadał na nie szczegółowo. Uważał, że dobrze jest żyć na świecie mimo kolegów, Kongresu, mimo bezwzględności i niewdzięczności rodaków i bezgranicznej na ogół głupoty mieszkańców tej planety.

Miła cisza domu i jego rozległość zwiększały tęsknotę Franklina za młodszym wnukiem, małym Beniaminem Bache. Rektor internatu w Genewie donosił, że chłopiec wspaniale się rozwija i robi wielkie postępy w nauce. Listy, które pisał regularnie dziecinną, ale biegłą francuszczyzną, sprawiały Franklinowi prawdziwą radość. Teraz, zagospodarowawszy się w obszernym domu, uważał, że pobyt Beniamina w Genewie trwał już dość długo i że chłopiec może z korzyścią dla siebie uczyć się dalej tutaj. Uśmiechając się nad naiwnym wybiegiem, jakim starał się upozorować swoją tęsknotę, poprosił rektora w Genewie, by mu odesłał wnuczka w towarzystwie któregoś z zaufanych dorosłych uczniów.

Tego lata Franklin bardzo dbał o swoje zdrowie. Zmuszał się do wchodzenia na tarasy ogrodu i schodzenia po nich, pływał w Sekwanie. Trzy razy w tygodniu spędzał po dwie godziny w gorącej kąpieli.

Często zjawiał się wówczas młody William, siadał koło niego i gawędzili. Niekiedy wchodził z jakimś zapytaniem pan de la Motte; i jemu doktor nieraz proponował, by został przy nim. Siadali więc obydwaj młodzieńcy na drewnianej pokrywie wanny, rozmawiali na temat ogrodu i świata, stary rozkoszował się gorącą wodą i rozmową.

Pewnego wieczora, kiedy William, siedząc na drewnianej pokrywie, ciepło i szczerze rozmawiał z dziadkiem, Franklin wyznał, że chłopcu leży coś na sercu. Zaczął nalegać i chłopak wyznał w końcu, że utrzymuje stosunki z pewną bardzo piękną Francuzką.

- No tak - powiedział doktor - żądza cielesna jest ze wszystkich żądz najsilniejsza. Należy się poskramiać, ale niemożność opanowania tego popędu jest do wybaczenia.

Na ładnej twarzy chłopca odmalowało się zakłopotanie. Po chwili wahania wyznał, że przygniata go nie tylko świadomość grzechu; niestety nie pozostał on bez skutków. Blanchette jest w ciąży.

Człowiek w kąpieli zastanawiał się przez chwilę.

- Blanchette? - zapytał wreszcie. - Cóż to za Blanchette? Znam ją?

- Myślę, że tak - odparł William. - To Blanchette Caillot.

Słowa te wywołały we Franklinie różnorodne uczucia. Pan Caillot, ojciec Blanchette, był urzędnikiem dzierżawcy podatków, Fromentina, który trudnił się dostawami dla Ameryki. Rodzina Caillotów cieszyła się poważaniem, należało oczekiwać, że będą kłopoty. Jak temu młodemu Williamowi pilno. Franklin miał lat dwadzieścia trzy, kiedy spłodził Williama. William dwadzieścia osiem, kiedy stał się ojcem tego młodzieńca. A ten nie ma jeszcze lat dziewiętnastu, a już rozgląda się za tym, by go zrobić pradziadkiem. Trzeba oczywiście wziąć pod uwagę, że się jest we Francji.

Franklin nie byłby rad, gdyby wnuk jego w tak młodym wieku poślubił Francuzkę z niezamożnej rodziny, ale w skrytości ducha zdecydował się ustąpić, jeśliby chłopiec na to nalegał.

- Zawikłana sprawa - powiedział po chwili. - Czy to trzeba koniecznie robić dzieci?

Po chwili milczenia William odpowiedział:

- Jest taka ładna, dziadku.

Franklin zmartwił się - zdaje się, że chłopiec chce się z nią ożenić.

- Jakże sobie wyobrażasz, co będzie dalej? - zapytał.

- Myślisz, że powinienem ją poślubić? - zapytał William żałośnie. - Nie mam jeszcze dziewiętnastu lat.

Franklin odetchnął z ulgą, pochwalając życiowy rozum wnuka. Ale uniknięcie skandalu będzie kosztowało niemało pieniędzy, a sporo ich poszło na rozszerzenie domu.

- Jakże więc wyobrażasz sobie ciąg dalszy? - powtórzył.

- Myśleliśmy - zaczął William - że Blanchette pomówi ze swoją matką. Nie przyjdzie jej to łatwo, ale nie ma innego sposobu. A potem myśleliśmy, że pani Caillot przyjdzie do ciebie i omówisz z nią, co począć.

- Czy nie upraszczacie zanadto całej sprawy, mój chłopcze? - odpowiedział Franklin. - Cała przyjemność dla was, a o dalsze sprawy niech się troszczą pani Caillot i ja, co?

Chłopiec miał minę zakłopotaną, ale nie nieszczęśliwą, uśmiechał się nawet.

- Cóż mogę zrobić bez twojej pomocy? - zapytał. - I co może zrobić Blanchette? - Po czym dodał znowu z uniesieniem: - Jest taka czarująca, nauczyła się trochę mówić po angielsku.

- Przyślij mi więc panią Caillot - powiedział Franklin z westchnieniem. - Ale uprzedź ją, że jestem bardzo zmartwiony i rozgniewany - zakończył z uśmiechem.

Zostawszy sam zatonął w myślach. Zastanawiał się, jak bardzo podobne były do siebie losy Franklinów, dziadka, ojca i syna. Zawsze synowie płodzili nieprawe dzieci, zawsze sprawiali przez to swoim ojcom kłopoty i ból.

Ból, cios w samo serce zadał również swemu ojcu syn zdrajcy Williama. Franklin odczuwał złośliwe zadowolenie, że syn jego William doznał od własnego dziecka tego samego, co nigdy wyrządził jemu. Kiedy wówczas zabrał z sobą do

Francji młodego Williama, swego wnuka, niełatwo było chłopcu rozstać się z ojcem i przy pożegnaniu w Perth-Amboy popłynęło dużo łez. Ale później, bezpośrednio przed opuszczeniem Ameryki, młody William napisał bez niczyjej namowy list do ojca, potępiający go w stanowczych słowach; wymierzył mu zasłużony cios w serce i wyrzekł się ojca bez wahania, jak swego czasu zdrajca William wyrzekł się jego. Przodkowie Franklina mieli po swoich synach wnuków płci męskiej, ale nawet kiedy ich adoptowali, nie szczęściło im się z nimi.

Bogowie są sprawiedliwi;
Z naszych wesołych grzechów
Kręcą bicz naszej kary.

Franklin nie zawsze wiedział, co począć z Szekspirem, ale te wiersze były dobre, pełne mądrej prawdy.

Nazajutrz pani Caillot, której towarzyszyła panna Blanchette, złożyła doktorowi umówioną wizytę. Blanchette była istotnie ładną dziewczyną. Również pani Caillot wyglądała jeszcze apetycznie pomimo nadmiernej tuszy. Franklin lubił okazałe kształty, pani Caillot spodobała mu się. Ale widział podobieństwo między matką i córką i był pewien, że smukła Blanchette jeszcze przed dośnięciem do trzydziestki bardzo się roztyje. Pytał sam siebie, czy entuzjazm Williama dla jej osoby ostałby się, gdyby chłopak posiadał tyle doświadczenia co on i z podobieństwa między matką i córką wyciągał właściwe wnioski.

Pani Caillot opowiadała, że po ciężkiej, bezsennej nocy pogodziła się z sytuacją. Cóż zresztą człowiekowi pozostaje? Ale nie miała jeszcze odwagi zawiadomić o okropnej prawdzie pana Caillot. Myśl o ciosie, jakim to będzie dla niego, jest zbyt straszna. Jego nadzieje zostaną zdruzgotane, będzie szaleć i rozpaczać. Policzki pani Caillot drżały, dygotał

na nich tłuszczy, ronila obficie łzy. Potem przypomniawszy sobie, że pan Caillot był urzędnikiem dzierżawcy podatków Fromentina, który dostarczał dużo towarów dla Ameryki, pośpieszyła zapewnić, że oczywiście mimo tego, co się stało, zapal pana Caillot dla sprawy nie ostygnie; tylko ona wraz z córką przeżyje ciężkie chwile.

Zapewniała również, nie szczędząc słów, jak głęboko porusza ją myśl, że zaszczyt tej długiej rozmowy z doktorem Franquelinem zawdzięcza tak smutnej przyczynie. A przecież te smutne wydarzenia mogłyby się zmienić w radość. Szybkie zawarcie małżeństwa wydaje się najlepszym rozwiązaniem. Byłaby nieskończenie rada, gdyby wolno jej było powitać młodego pana Franquelin, młodzieńca tak uroczego i obiecującego, jako zięcia, i przebaczyłaby mu, że się trochę zanadto pośpieszył.

Franklin odpowiedział uprzejmie, ale stanowczo, że chłopiec prawdopodobnie wróci wkrótce do Ameryki, a sam Franklin nie chciałby pod żadnym pozorem namawiać uroczej panny Caillot, by się na całe życie rozstała z rodzicami.

Pani Caillot dała do zrozumienia, że może jakoś by to przeboleła, ale doktor łagodnie obstawał przy swoim, więc po pewnym wzdraganiu się zrezygnowała z projektu. Franklin miał wrażenie, że pani Caillot jest kobietą rozsądną i że ból jej zrównoważy sensacyjny fakt, iż sprawcą nieszczęścia jest wnuk doktora Franklina.

Blanchette mówiła niewiele, przyglądała się tylko sławnemu dziadkowi swego ukochanego z podziwem i miłością. Nie żałowała tego, co się stało. Uśmiechała się z zadowoleniem i trochę po łobuzersku, jak gdyby udał się jej śmiały figiel.

Po dłuższej rozmowie uzgodniono, że za jakieś dwa, trzy miesiące Blanchette uda się na wieś. Niedaleko Hawru mieszkała siostra pani Caillot; Blanchette będzie pod dobrą opieką. Myśl o tym, ile ją będzie kosztowało podzielenie się z

siostrą tą nowiną, wywołała nowe skargi i szlochy pani Caillot. Również milcząca dotychczas Blanchette ożywiła się i zaczęła prosić doktora, by jak najczęściej pozwalał Williamowi odwiedzać ją w jej pustelni.

Madame Caillot zaczęła mówić o trudnościach natury materialnej, które wynikały z sytuacji. Mówiła z wielką swadą, kwieciście. Franklin niewiele rozumiał z tej francuszczyzny, orientował się jednak, że chodzi o pieniądze, i oświadczył, że sprawy finansowe załatwi. Przypuszcza, że koszty pobytu obu pań w Normandii wraz z kosztami pobytu tam dziecka przez pierwsze trzy lata pokryje suma jakichś ośmiuset liwrów; ostatecznie byłby gotów dojść do wysokości tysiąca liwrów. Madame Caillot biadała, że musi mówić z wybawcą Ameryki o sprawach materialnych.

Potem Franklin opowiedział się za tym, by dziecko zostało prawnie uznane. Nie miał nic przeciwko temu, by jego wnuk kiedyś je adoptował; w razie jednak gdyby mademoiselle Blanchette wcześniej wyszła za mąż, może wówczas jej mąż mógłby się o uznanie jego zatroszczyć. Decyzję pozostawia madame Caillot - cieszy go, że poznał tak rozsądną damę.

Wizyta pań trwała przeszło godzinę. Przy pożegnaniu pani Caillot jeszcze raz rozplakała się rzewnie. Panna Caillot ucałowała czule rękę dziadka swego ukochanego, zrobiła głęboki dyg i głosem pełnym szacunku, uśmiechając się, powiedziała po angielsku:

- Dziękuję.

Następny statek przywiózł Franklinowi wiadomość, że umarła Eliza Franklin, z domu Downs, żona jego syna Williama, gubernatora-zdrajcy. Nie widziała męża w ciągu długich lat, które przebył w więzieniu. William odczuł z pewnością boleśnie, że umarła taka opuszczona i samotna. Wiadomość poruszyła doktora. Lubił swoją synową Elizę. Małżeństwo z

jego synem nie okazało się dla niej dobrym interesem. Pochodziła z szanowanej rodziny zamieszkałej w Indiach Zachodnich, wniosła do małżeństwa przyjemną powierzchowność, rozsądek, doskonałe maniere i dużo pieniędzy. William, który przez swe głupie, bezczelne zachowanie zmusił Kongres do osadzenia go w więzieniu, pozostawił ją w biedzie. Stary posłał jej wtedy trochę pieniędzy; przypomniał sobie dokładnie sumę: sześćdziesiąt dolarów, więcej byłoby za dużo i mogłoby wywołać złośliwe plotki. Pamiętał również jej listowną odpowiedź; był to list skromny, pełen czci i wdzięczności z wzruszającą, nieśmiałą prośbą o względy dla jej męża. A więc teraz nie żyje, a pozostający w więzieniu William nie ma już nikogo bliskiego. William mógł zapobiec temu, by żona jego nie zmarła w samotności. Kongres potraktował go łagodnie ze względu na osobę doktora Franklina. Ale William przez swe zuchwalstwo i przekorę zmusił po prostu do zastosowania ostrzejszych środków. Wypuszczony na słowo honoru, spił się w towarzystwie kolegów o takich samych jak on przekonaniach, obrzucił idiotycznymi, bezczelnymi zniewagami trzynastcie stanów, dozorców, którzy w grzeczny sposób wzywali go do zachowania spokoju, groził stryczkiem. Jeżeli w ciągu tych dwóch lat nie został zwolniony drogą wymiany, zawdzięczał to wyłącznie swemu sztywnemu karkowi i zuchwalstwu. Więzienie w Litchfield nie należało do przyjemnych; na wiadomość o śmierci żony Williama niewątpliwie opadły czarne myśli. Jeżeli w związku z tą śmiercią robił bilans, to musiał sobie powiedzieć, że przegrał i zmarnował życie. A miał przecież najlepsze szansę, jakie można sobie wyobrazić; o wiele lepsze niż doktor, w bardzo młodym wieku posiadał tytuły i godności. Jeżeli teraz tkwi w grzędawisku, to może skarżyć się jedynie i wyłącznie na siebie samego.

Franklin siedział ponury, zatopiony w rozmyślaniach. Małżeństwo Williama pozostało bezdzietne. Umiliłby synowi niejedną godzinę, gdyby mu doniósł, że młody William zostanie ojcem. Ale nie sprawi mu tej radości, nie ulży doli zdrajcy.

Beniamin Franklin był sprawiedliwy i starał się uwzględniać pobudki innych nawet wówczas, kiedy ich postępowanie go gniewało. Ale kiedy chodziło o Amerykanów, którzy trzymali stronę tego głupiego króla i jego głupich ministrów, nie umiał zdobyć się na sprawiedliwość. Jeżeli syn jego należał do tej grupy, Franklin tym bardziej nie chciał być sprawiedliwy. Nie był już wcale taki młody ten jego syn, miał teraz pod pięćdziesiątkę, mógłby być rozsądniejszy. Mógłby być rozsądniejszy od samego początku. Wszyscy jesteśmy ludźmi, wszyscy popełniamy błędy, przeważnie nasze opinie zależą od okoliczności zewnętrznych. Franklin sam wpłynął na to, by chłopca mianowano gubernatorem króla; nic dziwnego, że William chciał w dalszym ciągu wierzyć w sprawę człowieka, którego chleb jadł. Ale mógł pozostać neutralny, nie powinien podnosić broni przeciw własnemu ojcu.

Konflikty między ojcami i dziećmi nie należały w owych czasach do rzadkości. Córka jego przyjaciela Otisa uciekła z pewnym angielskim majorem. Stary Otis ciężko to przeżył.

Franklinowi żal było syna, ale troskę i współczucie spłukiwał gniew. Kochał syna i równocześnie nienawidził go bardziej niż kogokolwiek bądź na świecie. Franklin nie miał zwyczaju narzucania rad ludziom, którzy się od niego odwrócili. W stosunku do syna jednak postąpił inaczej, nie szczędził słów, przemawiał po dobremu, ostrzegał go gniewnie. Ale chłopiec nie słuchał, był na wskroś pyszałkowatym, nadętym dworakiem, podobnym do lalusiów z Wersalu. Można było pęknąć ze śmiechu i wrzeszczeć wniebogłosy: William, jego William, syn służącej Barbary, dworakiem. Zasłużył na to ten

pyszałek, ten błazen, ten lalusz, że siedzi teraz w Litchfield, wówczas gdy w Perth-Amboy zmarła jego żona. Należało się to Williamowi, Franklin cieszył się, że jego syn się o tym dowie.

Nagle stanął przed nim obraz przyjaciela Dubourga. Franklin zobaczył go, jak nagle, cytując coś po łacinie, przerwał i z naiwną miną zasłonił sobie usta. Zdanie, które cytował, brzmiało: *Acerrima proximorum odia*. - Nie ma nic bardziej gorzkiego niż nienawiść wśród bliskich.

Czy chłopiec go nienawidził? Tak. Gdyby było inaczej, nie robiłby tyle hałasu przechodząc do przeciwników. Musiał wiedzieć, że listy jego będą przechwytywane. Mimo to przemycał z więzienia zbyteczną, niemądrą, zuchwałą korespondencję, w której zapewniał Londyn o swej niezłomnej wierności królowi. Chciał pokazać wszystkim, że jest inny niż ojciec, że nie chce mieć z nim nic wspólnego.

Czy Franklin na to zasłużył? Wziął go jako małe dziecko do domu, adoptował go, podróżował z nim, dał mu w Anglii możliwie najlepszą edukację, lepszą, niż można było dać w Ameryce. Dał mu sposobność zdobycia tytułów naukowych w Oksfordzie, otworzył mu drogę do urzędów i zaszczytów, od samego początku rozmawiał z nim jak przyjaciel z przyjacielem, a nie jak ojciec z synem.

Wielu ludzi mówiło mu, że chłopiec jest do niego podobny. Słowa te płynęły z chęci schlebiana mu, gdyż William był niezwykle przystojny, o wiele przystojniejszy niż Franklin w swoich najlepszych czasach. Williama cechowała pewna wrodzona elegancja, której brak było staremu. Poza tym natura i stałe obcowanie z ojcem nadały Williamowi wiele cech ojca. William opowiadał te same anegdoty tym samym tonem; historyjki te, chwilami nieprzystojne i ryzykowne, nabierały w ustach wytwornego gubernatora szczególnego znaczenia. Miał z nim wiele wspólnego w ruchach i sposobie

bycia, w licznych drobnych gestach i brzmieniu głosu; w wielu drugorzędnych sprawach postępował tak samo, jak by postąpił on, Benjamin, ale w sprawie decydującej zachował się obrzydliwie, zdradziecko, głupio, po tchórzowsku, nikczemnie, egoistycznie. To, że tak był do niego podobny, a równocześnie taki od niego różny, doprowadzało doktora do furii. Nie lubił wielkich słów, ale myślał sobie nieraz: „Podeptał mi serce, dobrze więc, jeżeli teraz jego także serce boli”.

Tego wieczora Franklin pił więcej niż zwykle, więcej, niż było wskazane; pił, by móc zasnąć. Ale spał ciężko i źle, a następnego ranka trapiła go podagra. „I temu winien jest William” - pomyślał sobie, ale pomyślawszy uśmiechnął się. Szybkim krokiem wszedł William Temple, z uroczystą miną, rozpromieniony.

- Już przynieśli, zaraz będą - oznajmił i Franklin wiedział od razu, że chodzi o jego popiersie dłuta Houdona.

Umieszczono je wraz z postumentem w zielonej bibliotece, ulubionym pokoju Franklina. Stali teraz przed popiersiem we trójkę - Franklin, młody William, de la Motte. Żaden nie powiedział słowa, nie miałyby sensu mówić coś w obliczu tego popiersia. Po krótkiej chwili młodzi, jakby na umówiony znak, oddalili się cicho i zostawili Franklina samego z jego popiersiem i jego sławą.

Popiersie było niewielkie, a mimo to panowało nad pokojem. Artysta ujął je realistycznie: czaszka pełna guzów, mocne fałdy dokoła czoła i nosa, masywna broda, workowaty podbródek, krzaczaste brwi, głębokie zmarszczki pod oczyma. Rzeźbiarz nie uszlachetnił głowy, ale też nie nadał jej nic małostkowego, werystycznego. Był to Benjamin Franklin taki, jakim go Paryż kochał i podziwiał. Nie było w tym popiersiu ani odrobiny sztuczności, która z Wersalu rozprzestrzeniała

się na świat, każdy cal tej twarzy miał w sobie wielkość i szlachetną prostotę.

Franklin siedział w wygodnym fotelu, w niedbałej pozie, czuł we wszystkich kościach, że nie spał ostatniej nocy. Biała, kamienna czaszka o zamyślonych, a jednak czujnych oczach spoglądała na żywą, opaloną na brązowo czaszkę o mętym spojrzeniu. Który z nich był prawdziwym Franklinem? Ten z marmuru, jasny i czysty, czy ten stary, trapiiony podagrą, którego ciało, pokryte egzemą, zaczynało już niszczyć, zmęczony, rozdarty wewnątrz.

Marmur nie mówił całej prawdy, marmur kłamał. Stary Benjamin nie był wcale człowiekiem dostojnym i godnym. Przepęłniały go żądze i namiętności.

Oto wydawało mu się, że raz na zawsze otrząsnął z siebie myśli o synu. A tymczasem trapiły go one przez całą noc i nawet teraz, w obliczu popiersia, nie dają mu spokoju.

William zmądrzeje zapewne pod wpływem lat więzienia i śmierci żony. Na jakiś czas opanuje się, przy następnej wymianie więźniów zwolnią go i odstawią na angielskie terytorium. Wtedy ze wzmożonym zapałem będzie walczył przeciw „buntownikom”, przeciw niemu, starcowi. I pisma angielskie będą mogły rozpisywać się znowu, jak gorsząco i gwałtownie broni gubernator Franklin angielskiego majestatu, jakie to tragikomiczne, że stary buntownik Franklin nawet rodzzonego syna nie potrafi zdobyć dla swojej sprawy. I William będzie się na pewno radował, że dokuczył staremu.

Ale mu nie dokuczy. Bo Benjamin Franklin wykarczuje syna z myśli i serca.

Już go wykarczował. Stara się teraz ze wszystkich sił przepędzić myśli o Williamie. Prostuje się, zaostrza wzrok, zaciska wargi; bezwiednie przybiera ten sam wyraz, który nosi rzeźba.

Ale nie trwa to długo. Noga go boli. Zdejmuje bucik i pończochę, naciska nogę w różnych miejscach, cicho postępując. To nie ma sensu, że całą winę za to, co się stało, chce przerzucić na Williama. Teraz, kiedy kamienne oczy popiersia są na niego skierowane, wie, że złoszcząc się na Williama, złości się sam na siebie. Obchodził się z chłopcem bardzo dobrze, po ojcowsku, po przyjacielsku. Miał tylko jego dobro na myśli, kiedy nie chciał, by chłopiec poznał kiedykolwiek swą matkę. Ale to było złe, to był ciężki błąd.

Wspomnienie o służącej Barbarze, matce Williama, nie należało do przyjemnych. Barbara otrzymywała za swą pracę dziesięć funtów rocznie, dodał jej dwa funty i nakazał, by pod żadnym pozorem nie dała po sobie poznać, że jest matką dziecka. Kiedy teraz widział przed sobą obraz Barbary, tej niezgrabnej, brzydkiej, głupiej baby, nie mógł pojąć, jak doszło do tego, że z nią spał.

Miotany żądzami młodości sypiał z wieloma podobnymi kobietami; były to przelotne, starannie ukrywane przygody, te kobiety niskiego stanu i dziewczki uliczne nie podobały mu się nigdy. Wielokroć postanawiał rankiem, że się opanuje, a wieczorem jednak biegł do nich. Wstydził się Barbary, bo wstyd mu było samego siebie. Miał poza tym również i zewnętrzny powód do ukrywania stosunku, jaki go z nią łączył; gdyby zastosowano ustawę, obowiązującą w owym czasie, dostałby pod pręgierzem w Filadelfii dwadzieścia jeden batów. Ale i bez takiej obawy trzymałby Barbarę w ciemnym kącie, gdyż w owych czasach chodził po świecie dumny i nadęty jak paw.

Barbara zaszła w ciążę w marcu 1730 roku, zbliżył się do niej w owym marcu czterokrotnie i myśl o grudniu owego roku, o tygodniach przed i po rozwiązaniu była mu niemiła. Barbara nie buntowała się, było to niemożliwe, zależała całkowicie od niego. Przyjęła owe dwa funty podwyżki i w myśl jego

życzenia milczała jak zaklęta. Oczywiście coś tam przesiąkło na zewnątrz, atakowano go wielokrotnie, czyniąc aluzje do jego trybu życia. W rezultacie Franklin przyjął z ulgą śmierć Barbary. Choć na ogół tak chętnie ozdabiał sentencjami nagrobki, w tym wypadku nie napisał nic ani wierszem, ani prozą, nie kazał na mogile postawić kamienia. Leżała w ziemi w całkowitym zapomnieniu, żaden napis nie zdobił jej mogiły. Chciał przeszkodzić temu, by syn się dowiedział, kim była jego matka. Ale nie mógł przeszkodzić, by żona jego, Debora, w gniewie nie obrzucała chłopca najordynarniejszymi obelgami, by go nie nazywała bękartem, by nie wykrzykiwała, że od syna takiej osoby, takiego kopciucha, takiej dziewczki, trudno się czegoś innego spodziewać. Wreszcie wszystko się jakoś załagodziło. W gruncie rzeczy Debora była poczciwą kobietą o dobrym sercu i kiedy zabrał syna z domu, stosunki ich ułożyły się zupełnie dobrze. Benjamin Franklin hojnie wynagrodził chłopca za to, co wycierpiał, i za to, że Debora nazywała go bękartem; chcąc zatrzeć wspomnienie dawnych obelg, wpływami swymi osiągnął to, że król i uniwersytet wyposażył Williama w tytuły i godności. Ale „bękart” nie zapomniał, nie zwrócił tytułów i godności, kiedy zażądano ich z powrotem, trzymał się ich kurczowo.

Kamienny Franklin spoglądał cierpliwie, patriarchalnie i mądrze na żywego. Człowiekowi dane zostały żądze, by się nimi radował, jeżeli zaspokajanie ich nie przynosi innym szkody. Bez popędu erotycznego nie można sobie wyobrazić żadnego wielkiego człowieka, żadnego męża stanu, żadnego badacza. Ale jeżeli udało się Franklinowi opanować wszystko w życiu i sprowadzić do właściwej miary, to popędu, który go trapił od młodych lat, tego popędu błogosławionego, a zarazem przekłętego, nie potrafił jak należy pohamować i odmierzyć. I dziś, mając lat siedemdziesiąt dwa, nie nauczył się jeszcze trzymać go na wodzy. Jego wielka czaszka

wygląda może czasami jak ta marmurowa przed nim, ale to, co się dzieje w żywej czaszce nie zawsze nadaje się do ukazywania światu.

Z okazji śmierci Elizy William przypomniał sobie na pewno śmierć swej macochy, żony Beniamina Franklina. I ona zmarła w samotności, Franklin był wówczas za oceanem. Kiedy zawiadomił Williama o śmierci Debory, ten napisał: „Szkoda, że nie wróciłeś jesienią, mam wrażenie, że ten zawód złamał ją ostatecznie”.

Poślubił Deborę z rozsądku; nie chciał, by natrętne, niemożliwe do przewyciężenia porywy krwi wpędzały go w coraz to nowe brudne przygody, chciał mieć kogoś, kto by pilnował domu i kasy. Byli dobrym małżeństwem, patrzyli pobłażliwie na swoje wady. Nazywała go Pappy, po pewnym czasie mówiła tak o nim cała Filadelfia. Nigdy nie zdradził się choćby słówkiem, jak bardzo mu to było niemiłe. Znosił i to, i inne jej wady. Ale sam również sprawił jej nieraz ból. Było jej smutno, kiedy od czasu do czasu wyjeżdżał w dłuższą podróż, choć zawsze proponował jej, by mu towarzyszyła. Nie jego to wina, że się tak bała morskiej choroby. W głębi duszy był oczywiście rad, że Debora zostaje w domu; nie była reprezentacyjna, obecność jej nie wpływałaby korzystnie na bieg jego spraw w Londynie czy w Paryżu, ale nigdy nie zdradził się przed nią z tymi myślami, starał się zawsze okazywać, jak jej jest oddany.

Czy nie napisał dla niej nawet piosenki? Uśmiechając się przywoływał ze swej fenomenalnej pamięci zapomniane strofy. Brzmiały mniej więcej tak:

Ach, któż z nas nie ma błędów!

I Debsy ma ich bez liku,

Błędów - to lekka przesada –

Powiedzmy raczej - błędzików.

Powoli do nich przywykłem

I znoszę je raczej przyjemnie,
W końcu nie widzę ich wcale,
Jak błędów, które są we mnie.

Lecz gdyby przyszła księżniczka
W złoto bogata bez granic
I rzekła: „weź mnie za żonę”,
Debsy nie oddałbym za nic!

Kiedy tak cementował w pamięci stare wiersze ku czci Debsy,
brzmiał mu w uszach inny wiersz, który zadedykował swemu
zmarłemu przyjacielowi doktorowi Smith:

Będąc dla ludzkości
Wzorem dobroci,
Bliźniego swego
Uderza prosto w twarz.

Głupstwa! Nigdy nie dał swej poczciwej Debsy powodu do wątplenia w szczerłość jego uczuć, które wyraził w domorosłym wierszu. Właśnie kiedy był w podróży, robił wszystko, by zapobiec takim wątpliwościom, zarzucał ją listami, podarunkami, najróżniejszego rodzaju dowodami pamięci. Nie, to wykluczone, by mogła kiedyś przypuszczać, że się jej wstydzi.

Dziwne to, jak los jego syna Williama podobny jest do jego własnego losu. Eliza, żona Williama, zmarła równie samotnie jak jego Debora. Stary wydał głuchy pomruk niechęci, jakby się przed czymś broniąc.

A więc znajdowali się obaj w zielonej bibliotece - kamienny Franklin na cokole i żywy w fotelu; spoglądali na siebie, żywy Franklin pocierał i naciskał swą gołą, obolałą nogę.

Napis pod popiersiem głosił tylko: „Beniamin Franklin”. Rzeźbiarz Houdon zrezygnował ze wszystkich używanych zazwyczaj szumnych określeń. Beniamin. Imię to oznaczało

według Biblii: „Syn z prawej ręki, syn szczęścia”. Cały świat uważał, że Franklin przynosi zaszczyt swemu imieniu. To prawda, że większość posunięć dokonał prawą ręką, ale w duszy jego rzadko panował tak błogosławiony spokój, jaki rzeźbiarz nadał jego rysom.

Beniamin Franklin był stary, trapiły go drobne niedomagania, osiągnął bardzo wiele triumfów, był mądrzejszy od innych ludzi i w sensie światowym chyba cnotliwszy. A równocześnie był bardziej występny, przystrajając bowiem przed sobą swe występki w piękne szaty, wiedział, że to czyni. Czy ten kamienny posąg jest prawdziwym Franklinem?

Sokrates z pewnością nie był zawsze tym Sokratesem, którego nam przedstawiają Platon i Ksenofont. Jeżeli Sokrates bywał taki od czasu do czasu, to już jest wiele. W takim razie prawdziwym Sokratesem jest Sokrates Platona i Ksenofonta i nie ma znaczenia, jaki był poza tym.

Beniamin Franklin pozostał w gruncie rzeczy takim, jakim był kiedyś. Żyje jeszcze dalej w swym rozpadającym się ciele, w swych kruchych kościach, w swej pomarszczonej skórze. Rozpustnik, który po kątach, trapiiony wyrzutami sumienia, spał ze służącą Barbarą, chciwiec handlujący niewolnikami, obżartuch pochłaniający podwójne porcje kremu, mimo świadomości, że mu to szkodzi — wszyscy oni żyli w dalszym ciągu w światowcu, otaczanym czcią, w mędrca, w chytrym, uprzejmym starszym panu, który prowadził wytworną rozmowę z damą w niebieskiej masce, w skromnym i dostojnym pośle, który zawarł wielki traktat z Francją. Ale cień nie zaciemnia światła, za to światło płonie w ciemnościach. I żywy Franklin może nie opuszczać wzroku przed marmurowym wizerunkiem.

Usiadł naprzeciw popiersia i ułożył dla siebie epitafium

Tu leży

Ciało

Beniamina Franklina,
drukarza.

Na podobieństwo oprawy starej księgi.

Karty księgi są wydarte,

Oprawa pozbawiona napisu i pozłoty.

Leży tutaj jako pokarm dla robaków,

Ale dzieło nie zginie,

Gdyż, jak mu się wydaje, pojawi się raz jeszcze

W nowym, piękniejszym wydaniu,

Zrewidowanym i poprawionym przez

Autora.

Sojusz francusko-amerykański był jeszcze bardzo świeży, a już wystawiony został na twardą próbę.

Flota, którą Francja wysłała za ocean, przybyła za późno, nie udało jej się przychwycić okrętów admirała Howesa.

Amerykanie mówili brutalnie i gorzko o zawodzie, jaki ich spotkał, dochodziło ustawicznie do tarć, admirał d'Estaing raportował gniewnie swemu rządowi, że z Amerykanami nie można współpracować.

Na domiar złego mister Adams nie dawał francuskim ministrom spokoju ze sprawą pożyczki. Franklin patrzył zatroskany na ponurą minę kolegi i czekał tylko, że mister Adams zaraportuje mu coś niemiłego.

Wkrótce też mister Adams poprosił doktora o posłuchanie.

- Miałem rację - rozpoczął. - Ci Francuzi to skąpi kramarze.

Powiedziałem to hrabiemu Vergennes w oczy.

Franklin przeraził się, ale zapanował nad sobą.

- Czy w odpowiedzi otrzymał pan pożyczkę?

- Nic podobnego - odparł mister Adams gniewnie i z pewnym zakłopotaniem. - Sprawy tak teraz stoją, że mnie, ministra

pełnomocnego stanów Zjednoczonych, nie wpuszczają już na Quai des Theatins. Nawet na listy nie otrzymuję odpowiedzi. Rozmowa odbywała się w ponurej brązowej bibliotece. Franklin spojrzął przelotnie na swego przyjaciela Waszyngtona, który musiał już użerać się z Kongresem i z pewnością miał zrozumienie dla jego trosk.

- To tragedia - gorączkował się mister Adams - że Stany Zjednoczone były zmuszone zawrzeć przymierze z tym narodem i z tym dworem.

Franklin zapytał tylko:

- Jak pan sobie wyobraża, co będzie dalej?

- Najprostsze byłoby - odrzekł mister Adams - żeby pan prowadził dalsze pertraktacje, doktorze Franklin. Umie pan lepiej obchodzić się z tą hołotą.

- Obawiam się - oświadczył Franklin - że wobec takiego stanu rzeczy pertraktowanie o pożyczkę nie ma sensu.

- Ależ - odparł gwałtownie mister Adams - ci zjadacze żab powinni przynajmniej przestrzegać najbardziej elementarnych zasad uprzejmości wobec nas, delegatów. Byłbym panu koledze zobowiązany, gdyby pan chciał działać w tym kierunku.

- Zrobię, co tylko będę mógł - oświadczył Franklin.

Hrabia Vergennes przyjął go po przyjacielsku. Poseł jego w Filadelfii, pan de Gerard, złożył dokładny raport o przyjęciu, jakie mu zgotował Kongres. Uśmiechając się z lekka, opowiadał teraz o tym Franklinowi. Prawie dwa tygodnie naradzano się nad ceremoniałem. Członkowie Kongresu, pochodzący z Południa, chcieli jak najuroczyściej podkreślić fakt, że największa republika planety przyjmuje przedstawiciela najpotężniejszego monarchy Europy; delegaci Północy, w obawie zarzutu służalczości, opowiadali się za republikańską prostotą. Spierano się o liczbę koni do powozu pana de Gerard, o liczbę stopni prowadzących do jego

honorowego miejsca, o krój żabotów, jakie mają mieć na sobie przyjmujący go członkowie Kongresu.

Franklin uśmiechał się uprzejmie i do otrzymanych raportów dorzucił zabawny szczegół. Delikatesy i wina, podawane z okazji przybycia francuskiego posła, były darem Anglii; przywiozła je w podarunku owa komisja angielska, która bezpośrednio po meldunku francuskim o sojuszu złożyła ostatnie propozycje pokojowe parlamentu angielskiego, mające na celu przeszkodzenie sojuszowi.

- W każdym razie - oświadczył Franklin - widzi pan hrabia, sądząc z przyjęcia, jakiego doznał poseł francuski, Kongres potrafi uczcić znaczenie sojuszu.

Oczy hrabiego Vergennes zaszły mgłą, przybrał minę wielkiego pana.

- Obawiam się - odpowiedział - że wniosek taki nie byłby właściwy. Niestety pan de Gerard zawiadomił nas nie tylko o rzeczach zabawnych. Donosi nam, że w Filadelfii istnieje niezgodność co do wszystkich prawie problemów polityki amerykańsko-francuskiej. Liczni pańscy rodacy nie są skłonni do uznania wspaniałomyślności mego monarchy, przepelnia ich zawiść i nieufność. Jeżeli prośba, której oczekiwaliśmy, o wysłanie francuskiego korpusu pomocniczego, nie została wyrażona, przyczyna leży w tej nieufności. Wasi panowie - zakończył minister pogardliwie i z goryczą - chcą od nas tylko i wyłącznie pieniędzy.

- Pan de Gerard - odpowiedział ostrożnie Franklin - doniósł panu również z pewnością, że tylko część Kongresu tak myśli. Proszę łaskawie uwzględnić nasze kłopoty finansowe. Czy to nie rozumiałe, że zaćmiewają one naszym panom jasność sądu?

Vergennes milczał przez chwilę, potem powiedział niełaskawie:

- Król uważa, że dla pańskiego kraju zrobił bardzo wiele. Nachodzenie go z coraz nowymi żadaniami, teraz właśnie, kiedy dla Ameryki wziął na siebie nowe, olbrzymie ciężary, uważa, łagodnie mówiąc, za brak umiaru. Tymczasem pański mister Adams zażądał od niego nowej, olbrzymiej sumy na nieograniczony termin. I dał mu do zrozumienia bez ogródek, że uczucia, żywione dla nas przez pańskich rodaków, bardzo są dalekie od oczekiwanej przez nas wdzięczności. Nie koniec na tym. Tonem, w którym kryła się po prostu groźba, pouczał mnie, że moim obowiązkiem jest dać jego krajowi te miliony. Uprzejmość francuska nie pozwala mi na właściwe określenie tego postępowania. Powiedzmy, że nie było na miejscu - mał a propos.

Franklin milczał. Vergennes ciągnął dalej tonem nieco bardziej pojednawczym:

- Wie pan, doktorze Franklin, że jestem z całego serca przyjacielem pańskiego kraju i dlatego tylko pobieżnie poinformowałem króla o mojej mało pocieszającej rozmowie z mister Adamsem. Ale nie chciałbym się na przyszłość narażać na tego rodzaju rozmowy - szkodzą memu zdrowiu. Zdecydowałem się, że nigdy więcej nie będę dla tego pana w domu.

Franklin odpowiedział, że serdecznie dziękuje hrabiemu za jego szczerłość i ubolewa nad niezręcznością kolegi. Ale pożyczka to dla Stanów Zjednoczonych sprawa najwyższej wagi i Franklin ma nadzieję, że ostatnie słowo nie zostało tu jeszcze powiedziane.

Vergennes, zamyślony, bawił się piórem. Król jest zdania, powiedział po chwili, odważając każde słowo, król jest zdania, że dawał w sposób jak najbardziej wspaniałomyślny, i ma już tego dosyć. Tylko jakieś nadzwyczajne motywy mogłyby skłonić jego królewską mość do ofiarowania jeszcze więcej. Vergennes sam nie może nic w tej sprawie zrobić, potrzebne

mu jest mocne poparcie ze strony hrabiego Maurepas. Ale nieprzemyślane słowa pana Adamsa są dla pana Maurepas dogodnym pretekstem do odmowy:

- Tak jak dziś sprawy wyglądają, jestem w gabinecie jedynym, który chciałby dalej pertraktować z Ameryką w sprawie pożyczki. Na mnie, szanowny doktorze, może pan liczyć niezależnie od tego, że jest pan obciążony panami Adamsem i Lee.

Odesłany do pana Maurepas, Franklin zdawał sobie jasno sprawę, że nie zdoła nic u niego osiągnąć, jeżeli przyjdzie w charakterze urzędowym. Musi spróbować spotkać się z nim z okazji jakiegoś niewinnego zebrania towarzyskiego.

W tych dniach otwarto nowomodną restaurację z programem rozrywkowym, „Redoute Chinoise”, o której mówił cały Paryż. Franklin dowiedział się z kół zbliżonych do pana Richelieu, że Maurepas poszedłby tam chętnie, ale się obawia, że wzięto by za złe, iż pan w tak podeszłym wieku chce obejrzeć nowe miejsce spotkań żadnej zabaw socjety. Franklin powiedział sobie, że sam uchodzi za dostojnego starca, więc chyba w jego towarzystwie stary premier nie będzie się czuł tak skrepowany. Zaprosił go na kolację do „Redoute Chinoise”. Maurepas przyjął zaproszenie.

- Mam nadzieję - powiedział de la Motte, kiedy Franklin wsiadł do powozu, by pojechać po swego gościa - mam nadzieję, doktorze Franklin, że uda się panu dziś naprawić to, co zepsuł ten, o którym powiedziano, że jest mały a propos.

- Niech pan nie będzie zbyt przemądrzały, młodzieńcze - odrzekł Franklin z uśmiechem.

„Redoute Chinoise” stała na małym wzniesieniu placu Saint-Laurent. Na wzgórzu zbudowano sztuczną grotę. Wzniesienie było otoczone galeriami, na niedużym skrawku ziemi stworzono rozległy pejzaż wschodnioazjatycki. Był tu karawanseraj (dom zajezdny na Wschodzie), był bazar, była

kawiarnia, stały grupy drzew, wzniesiono także mały teatrzyk. Latarnie chińskie rozsiewały delikatne, przytłumione światło. Portierami, kelnerami, dozorcami byli Chińczycy, częściowo rodowici, częściowo przebrani — wszyscy mieli warkocze. Kiedy Maurepas, nestor Francji, i doktor Franklin, patriarcha Nowego Świata, zjawili się w owych Chinach, gospodarz i kelnerzy robili wszystko, by nie poznać dystyngowanych gości, publiczność zaś przyglądała się im dyskretnie, lecz z zaciekawieniem. Skosztowali potraw chińskich, później zabrali się z wielkim apetytem do kuchni francuskiej.

Odłożywszy na bok pałeczki, posługiwali się zwykłymi widelcami i nożami. Wypili odrobinę wina ryżowego i chińskiej herbaty, zakrapiając obficie burgundem.

Prowadzili miłą rozmowę. Franklin dał mimochodem wyraz nadziei, że Maurepas w swych pamiętnikach nie zanadto ostro rozprawił się z panami Adamsem i Lee. Maurepas, wyraźnie ucieszony, że Franklin wspomniał o pamiętnikach, rozparł się wygodnie w krześle i wierny swym skłonnościom uderzył w ton mentorski.

- Wy, panowie z Zachodu — zaczął - występujecie z hasłem i zawsze całymimi hordami. My, którzy mamy dwadzieścia pięć milionów ludności, posłaliśmy wam jednego posła; wy ze swoimi trzema milionami wsadzacie nam na kark trzech ministrów pełnomocnych i oprócz tego dwóch wysoko utytułowanych doradców. Czy to trochę nie za wiele?

Franklin usiłował złowić pałeczką kawałeczek mięsa.

- Po prostu chcemy od was więcej niż wy od nas - odpowiedział z łagodną szczerością.

Maurepas pouczał go dalej:

- Istnieje wiele metod wydobycia czegoś od Wersalu: przebiegłość, oszukaństwo, lekka groźba, wymuszenie, często powtarzana pokorna prośba, bezczelna skromność. Ale jedna

metoda nie podziela z pewnością: purytańskie pobekiwanie i pogróżki.

- Mój zmarły przyjaciel Dubourg - przytaknął uprzejmie Franklin - zwykł był cytować Arystotelesa: „Zbyt wiele cnoty szkodzi rządowi zupełnie tak samo jak zbyt wiele występku”.

- Serio, doktorze Franklin - ciągnął dalej Maurepas - pańscy panowie zaczynają być nieznośni. Wydaje im się, że hałaśliwy sposób bycia to istotny atrybut wolności. Zwyczaj tych panów kładzenia nóg na stole wywołuje tu w kraju niechętnie zdumienie.

Franklin spojrzał na niego wielkimi, głęboko osadzonymi, mądrymi oczyma i pod wpływem tego spojrzenia Maurepas wpadł w ton poufały.

- Tak, gdybyśmy mieli do czynienia tylko z panem, doktorze Franklin - powiedział - porozumienie w jednej sprawie byłoby łatwe. Wiem to dobrze, gdyż codziennie, kiedy spożywam śniadanie z moją ukochaną hrabiną, mam przed oczyma pański portret, który mi stale obwieszcza:

„Ecce vir - oto mąż”. A z mężem możemy się porozumieć. Tego samego zdania jest mój kolega Vergennes.

Mimoходом, wytwornie Maurepas zdradził teraz Franklinowi rzecz następującą:

- Jeżeli się nie mylę, Vergennes dał naszemu panu Gerard zlecenie w tej materii. I nasz poseł zrobi z pewnością wszystko, by o tym naszym poglądzie poinformować panów z Filadelfii.

Mrok panujący w „Redoute Chinoise” pomógł Franklinowi ukryć, jak go poruszyła ta wiadomość. Może teraz Filadelfia zrozumie, że pewni wysłannicy byłiby gdzie indziej bardziej na miejscu niż w Paryżu. W takim razie pertraktacje pożyczkowe Adamsa odniosłyby niespodziewany, ale jednak zadowalający rezultat.

- Stwierdzam z wdzięcznością, panie hrabio - odpowiedział - że jest pan bardzo dobrze usposobiony dla mojego kraju.

Zarządzający zapytał uniesionym głosem, czy nie chcieliby wypić kawy w grocie. Starannie ubrany Maurepas i Franklin w swym brązowym surducie, eskortowani przez chmurę Chińczyków, udali się do groty. Mimo instrukcyj zarządzającego orkiestra nie mogła się powstrzymać od uczczenia ich wejścia odegraniem melodii wojskowych; wszyscy goście kawiarniani podnieśli się z miejsc i zaczęli bić brawo. Obydwaj panowie ukłonili się, ale manifestacja była im niemiła. Poza tym w grocie panował chłód. W nie najlepszych humorach zaczęli pić gorącą kawę, przez chwilę siedzieli zmęczeni, prawie nic nie mówili, trawili i czekali na działanie napoju.

W pewnej chwili podszedł do nich ktoś, promieniejący, w przepysznym humorze. Był to Pierre. Miał wprawdzie powody do dąsania się na ministra, który doprowadził niemal do przedstawienia w Menuis Plaisirs, a potem zostawił go na lodzie, ale był wspaniałomyślny i uważał, że będzie mądrzej mu tego nie pamiętać.

Kalkulacja okazała się słuszna. Właśnie po kawale, który mu splotał Maurepas, premierowi było na rękę zademonstrować, jaki jest liberalny i postępowy.

- Niechże się pan z nami napije kawy - zaproponował i uradowany Pierre usadowił się od razu.

- Powiedzcie, panowie, sami - perorował Maurepas popijając małymi łykami drugą filiżankę kawy - czy nasza Francja nie jest najbardziej tolerancyjnym krajem na świecie? Jest monarchią absolutną, tyranią, jak się raczą wyrażać filozofowie współcześni, a oto siedzimy sobie, jeden rewolucjonista z prawa, drugi z lewa, a pośrodku naczelną służbę tyranowi, mile gawędząc popijamy kawę, obsługiwani pieczołowicie przez synów Dalekiego Wschodu. I to podczas morderczej wojny.

Franklin wplótnąłby tu chętnie kilka odpowiednich anegdot, ale zauważył, że mówienie sprawia ministrowi przyjemność, pohamował się więc i pozwolił mu ciągnąć dalej.

Wkrótce jednak przzerwano panu Maurepas. Muzykanci, przebrani w chińskie kostiumy, zagrali „Malbrough s'en va-t-en guerre”, potem zaśpiewali romancę Beaumarchais'go, „Que mon coeur, mon coeur a de peine!”. Cała publiczność wtórowała, a kiedy piosenka się skończyła, rozległy się oklaski pod adresem autora.

Maurepas miał teraz okazję do opowiedzenia się za Caronem. Klaskał wraz z innymi i oświadczył z brawurą:

- Jaka szkoda, mój drogi, że nie mogliśmy słyszeć ze sceny tej przemiłej romancy. Ale to tylko i wyłącznie wina pana, względnie jego zwolenników.

Pierre, zdumiony tak zuchwałym przekręcaniem faktów, rozdziawił usta.

- Tak, tak jest i pan wie o tym także doskonale - powiedział Maurepas grożąc mu żartobliwie palcem. - W dodatku na moje stare lata zrobił pan ze mnie fałszywego proroka.

- Ekselencjo - powiedział Pierre, ciągle jeszcze szczerze zdumiony - nie rozumiem ani słowa.

Tymczasem Maurepas przygotował sobie swoją wersję zakazu i teraz ją wyraził.

- Dałem panu de Beaumarchais do zrozumienia - zwrócił się do Franklina - że w razie gdyby komedia jego została wystawiona prywatnie, z zachowaniem dyskrecji, najwyższe sfery zamkną na nią oczy i uszy. Miałem poważne podstawy do takiego twierdzenia. Tymczasem, co robi nasz młodzieńczy przyjaciel, drogi doktorze Franklin? Każdą swoją próbę zapowiada przy pomocy armatnich strzałów. Czy nawet monarcha, choćby zatkał sobie uszy, nie musi w końcu usłyszeć? - Ożywił się i znowu zwrócił się do Carona. - Tylko co - ciągnął dalej - miałem przed naszym czcigodnym

doktorem Franklinem mały wykład o dobrych stronach dyskrecji. Rewolucje duchowe i polityczne muszą się odbywać i nie są wcale takie złe, pod warunkiem, że postępują zrazu cicho i dyskretnie. Cicho i dyskretnie dochodzi się również do celu, a im lepszy biegacz, tym ciszej stawia stopy. Po co ten gwałt, moi panowie? Wierzcie staremu człowiekowi: dziś przy kawie, w spokojnej, solidnej rozmowie między mężczyznami osiągnęło się zarówno dla Stanów Zjednoczonych, jak i dla Figara więcej, niż można osiągnąć wielkimi przemówieniami na Quai des Thóatins lub w Menus Plaisirs.

Pierre był szczęśliwy, że Maurepas wymienił jednym tchem Amerykę i Figara. Trzeba przyznać staremu, że umiał oddawać honory tym, którym się one należały. Podkreślił wyraźnie, że zalicza Beaumarchais'go tak samo do założycieli Ameryki jak doktora Franklina.

- Z rozmowy waszej, moi panowie - powiedział - nauczyłem się więcej niż z niejednego grubego podręcznika filozofii. - Po tych słowach podniósł się, skłonił głęboko i szarmancko i pozostawił ministra Maurepas i Franklina samych.

Wkrótce podnieśli się i oni. Było im trochę chłodno, obaj w skrytości ducha obawiali się przeziębienia.

Następnego ranka Maurepas przyglądał się sobie dokładnie, chrząkał, pokaszliwał, dotykał zreumatyzmowanych miejsc swego ciała. Diagnoza nie mogła być lepsza. Miał wrażenie, że wieczór w „Redoute Chinoise” upłynął zadowolająco.

Spostrzegł, jakie wrażenie wywarła na Franklinie jego uwaga, że Gerard z polecenia rządu francuskiego dąży w Filadelfii do mianowania go jedynym pełnomocnikiem.

Może nie było to całkowicie po myśli hrabiego Vergennes, że Maurepas zakomunikował to doktorowi. Ale bez jego zgody Gerard nie byłby nigdy otrzymał tego polecenia, a więc Maurepas miał chyba prawo, zaznaczywszy się w historii jako

polityk postępowy, stwierdzić to również przed doktorem Franklinem i sobą samym. Dłuższe rozważania na ten temat podyktował swemu wiernemu Salle jako materiał do pamiętników. Poza tym powiedział sobie, że może teraz ze spokojnym sumieniem czekać, czy wysiłki jego posła w Ameryce zostaną uwieńczone sukcesem, zanim zacznie znowu dręczyć swego niechętnego pupila o udzielenie Ameryce pożyczki.

Franklin również czuł się dobrze nazajutrz. I on był zadowolony z rezultatu minionego wieczoru. Im dłużej myślał o słowach ministra na temat interwencji pana Gerard, tym głębsze czuł zadowolenie. Vergennes dał dowód taktu, oszczędzając mu zakłopotania, w jakie musiałaby go wprowadzić ta wiadomość, gdyby mu ją zakomunikowano drogą w pewnym stopniu urzędową. Ale jeszcze większą przysługę wyświadczył Maurepas okazując mu spontaniczne zaufanie. Franklin wiedział teraz z ust męża stanu kierującego całokształtem polityki, że sama obecność panów Lee i Adamsa w Paryżu naraża na szwank stosunki między Stanami Zjednoczonymi i Koroną francuską. To, czego się dotychczas lękał, stało się teraz jego obowiązkiem; musi działać w tym kierunku, by opieszali Kongres odwołał nareszcie tych dwóch panów. Albo jego.

Napisał do mister Jamesa Lowella, który stał na czole Komitetu do Spraw Zagranicznych przy Kongresie.

Omówiwszy w swym liście różne sprawy delegatów, ciągnął dalej: „Ponieważ mówię o delegatach w liczbie mnogiej, zapytuję sam siebie, czy Kongres istotnie ma pozostawić przy tym dworze trzech delegatów. Jest nas właściwie pięciu, licząc tego pana, którego mianowano do Toskanii, a który na razie jeszcze przebywa tutaj, złościąc się, że przy rokowaniach o sojusz nie pytano go o radę, oraz posła do Wiednia, który tkwi tutaj, bo go nie puszczają nad Dunaj. Koszty związane z jako

tako przyzwoitym utrzymaniem nas są, proszę mi wierzyć, wcale niemałe, miejmy nadzieję, że będzie z tego jakaś korzyść. Okoliczność, że w pracy delegacji bierze udział pięć głów, nie ułatwia jej zadań. Przeciwnie, na dworze, gdzie każde słowo jest podsłuchiwane i rozważane, waga wypowiedzi i opinii delegatów zmniejsza się, jeżeli każdy z nich nie wyraża ściśle w tych samych słowach tego samego zdania. A jeżeli każdego trzeba pytać o każdy punkcik i każdy jest obrażony, kiedy się zrobi najdrobniejsze choćby posunięcie bez jego wyraźnej zgody, powstają swary i zwłoka. Dałoby się temu zapobiec, gdyby wszyscy delegaci mieszkali w jednym domu. Ale znalezienie pięciu mężów, którzy by mieli dosyć równowagi ducha i potrafili współżyć z sobą w harmonii, jest prawie niemożliwe. W związku z tymi okolicznościami pragnąłbym, by nas Kongres rozdzielił".

Franklin przeczytał, co napisał, uznał, że są to słowa umiarkowane i wyraźne. Kongres z pewnością zdecyduje się teraz na odwołanie dwóch delegatów. Ale jest bardzo prawdopodobne, że mister Adams albo mister Lee pozostaną w Paryżu jako jedyni pełnomocni przedstawiciele. Każdy z nich ma za sobą poparcie mocnej partii i wszystkich elementów reprezentujących zadowoloną z siebie głupotę. Za nim, za Franklinem, przemawiają tylko czyny i rozum, a więc siły, które przeważnie bywają w mniejszości. Teraz przynajmniej interwencja posła francuskiego zwróci uwagę panów w Filadelfii na odwrotną stronę medalu. Złożył list i opieczetował. Cokolwiek Filadelfia zdecyduje, Franklin zrobił swoje i może spokojnie czekać.

Toteż w dniu 4 lipca roku 1778, w drugą rocznicę Deklaracji Niepodległości, Franklin z całym spokojem przyjmował swych gości.

Sytuacja Stanów Zjednoczonych była teraz inna niż w roku ubiegłym, a w porównaniu z ówczesnymi obecne troski

Franklina - znikome. Miał jeszcze przed sobą daleką drogę, ale jedno było pewne: niepodległość Ameryki została wywalczona. Nie można już sobie wyobrazić Ameryki zależnej od Londynu. Syn jego William nigdy już nie zostanie gubernatorem New Jersey, będzie do końca życia „byłym gubernatorem”.

Delegaci uznali za wskazane uczcić szeroko i uroczyście święto narodowe kraju, który nareszcie został uznany. Doktor Franklin korzystając z tego, że ma większy dom, zaprosił większą ilość gości. Wszystko było odświętnie przybrane, wszędzie widniały amerykańskie flagi i frygijskie czapki, dla każdego gościa przygotowano niespodzianki w postaci pięknych podarunków. Barwny, wesoły, poważny i beztroski, rozgadany tłum przelewał się przez dom i ogród. Nie było żadnego ceremoniału, gdyż uroczystością i w tym roku zajęła się pani Helvetius, a gdziekolwiek dzierżyła berło pani domu, tam zebrania towarzyskie podobne były do jej własnych przyjęć. Cały dom nosił piętno wesołego, pogodnego zaniedbania, wszędzie obok głosu pani Helvetius słychać było donośne, radosne głosy jej córek, jej abbes i jej psów. Tym razem musiała się pogodzić z obecnością innych kobiet, wśród których znalazło się wiele bardzo urodziwych. Nie brakowało pani Brillon, zjawiała się młoda, piękna księżniczka d'Enville, obecnie hrabina d'Houdetot.

Hrabia Vergennes nie mógł narażać się na spotkanie z ludźmi o takim braku manier jak panowie Adams i Lee; zastępował go więc pan de Rayneval, który objął urząd po panu de Gerard. Spośród arystokratów Franklin zaprosił tych, którzy od początku opowiedzieli się za sprawą Ameryki, a więc panów Turgot, Condorcet, de la Rochefoucauld, Noailles, marszałkową de Mouchy. Za to tym razem poprosił mieszczaństwo francuskie, by obchodziło z nim razem wielkie

święto Ameryki. Przyjechał wysłannik Nantes, zjawił się delegat Marsylii, niejaki pan Marius Leroucas, hałaśliwy, ożywiony, ruchliwy jegomość; opowiadał, że w Marsylii utworzony został klub, którego członkowie zbierają się raz na miesiąc dla uczczenia zwycięstw i cnót amerykańskich. Pan Leroucas przywiózł wielką ilość rękopisów i druków, w których marsylczycy sławili obyczaje i przyszłe losy Nowego Świata. Artur Lee i tym razem zjawił się w towarzystwie swego ponurego mister Reeda, reprezentowana więc była również postępowo myśląca Anglia. Najliczniej jednak był reprezentowany świat filozofów, uczonych i artystów. Zjawił się Houdon, przyszli Leroy, Duplessis, obecni byli wszyscy wybitni intelektualiści francuscy. „Można by odbyć posiedzenie Akademii” - zażartował Turgot.

Do zaproszonych dotarły z Ameryki niepomyślne wieści, ale byli pełni wiary i otuchy. Potrwa to jeszcze czas jakiś, zanim sojusz Ameryki z najpotężniejszym mocarstwem świata zacznie przynosić owoce, ale sojusz ten przesądził o zwycięstwie. Goście Franklina dzielali jego spokój i równowagę. „Ca ira”.

Turgot odczuwał brak swego przyjaciela Dubourga, z którym można by było posprzeczać się nieco. Teraz nikt nie stawiał mu już zarzutów, że jako urzędujący minister sprzeciwiał się kredytom dla Ameryki, nie musiał się usprawiedliwiać, że nie chciał pozwolić, by czystość sprawy amerykańskiej skaziły pieniądze spróchniałej monarchii. Wygłosił przemówienie do grupki młodych Francuzów. Oświadczył im, że rad jest z sojuszu, lecz ubolewa, iż zaszkodzi to moralnemu prestiżowi Stanów Zjednoczonych. Nie jest zwolennikiem kompromisów, wolałby, żeby Ameryka wyzwoliła się własnymi siłami. Ale sojusz został zawarty i nałoży ufać, że Stany Zjednoczone przez to nie ucierpią.

- Naród amerykański jest dziś nadzieją przyszłych pokoleń - gorączkował się. - Powinien być wzorem dla całej ludzkości. Ameryka musi potwierdzić czynem, że ludzie mogą być nie tylko wolni, lecz mocni, spokojni, opanowani. Tyrani i szarlatani wszelkiego autoramentu oświadczają, że dobro ludzkości polega na niewoli, na zależności i na podporządkowaniu się królom i prałatom. Ameryka musi dać dowód, że można wyzwolić się z łańcuchów i właśnie dzięki temu rozkwitać. Ameryka winna jest to samej sobie i światu, by stać się azyłem wszelkiej wolności. Musi udzielać schronienia uciśnionym wszystkich narodowości i stać się przez to pocieszycielką całej planety. Wtedy wolność zapanuje wszędzie na ziemi; możliwość znalezienia takiego azylu i ujścia szponom złego rządu otworzy oczy wszystkim rządcom i zmusi je do sprawiedliwości.

Franklin słuchał tych słów niechętnie. Obawiał się, że takie wynurzenia nie wpłyną na poprawę stosunków pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i rządem francuskim. Jeszcze niechętniej słuchał wystąpienia gestykującego żywo wysłannika Marsylii, pana Leroucas; na szczęście reprezentant rządu, pan de Rayneval, starał się nie słyszeć jego hałaśliwych wynurzeń. Teraz marsylczyk recytował przed kilkoma młodymi paniami o twarzach fanatyków, którzy skupili się dokoła mister Reeda, swój rymowany List do ludzi z Bostonu. Doktor Franklin był zmuszony go wysłuchać.

- Ja sam - deklarował pan Leroucas - patrzę z zazdrością, jak wbrew wszelkim wrzaskom stawiacie pod pręgierz ów cezaryzm, który nas cofa o dwa tysiące lat. Wy, ludzie nielojalni, buntownicy bez papieża, królów i królowych, tańczycie przy brzęku łańcuchów, które ciążą ludzkości. Z całym spokojem burzycie tradycje innych, macie czoło śmiać się w twarz całemu światu i być wolnymi.

Pełen ponurego entuzjazmu mister Reed złożył ręce do oklasków, otoczenie jego poszło za jego przykładem. Aplaudował i Pierre nie bez złośliwej satysfakcji, że tekst jest wprawdzie pełen dobrych intencji, ale nie zawsze szczęśliwy. Tak, Pierre i Teresa byli również obecni. Kiedy Pierre otrzymał zaproszenie Franklina, ogarnęła go wielka, niepojęta radość. Na pięknie wydrukowanym zaproszeniu doktor Franklin dopisał odręcznie kilka słów, w których prosił pana de Beaumarchais, by przybył wraz ze swą miłą małżonką. Pierre zapomniał o urazie, jaką żywił do Franklina już owego wieczoru w „Redoute Chinoise”. Teraz przepęłniała go wdzięczność. Wiedział od początku: człowiek pokroju Franklina nie może trwać w nienawiści do człowieka pokroju Beaumarchais'go.

Starął się wszelkimi siłami okazać doktorowi swą głęboką, pełną szacunku sympatię. Zapytał ciepło, gdzie jest ten miły, rozsądny młodzieniec, z którym ubiegłego roku tak przyjemnie się gawędziło. Był to wnuczek Franklina, czy nie nazywał się także Beniamin? Choć stary mówił sobie, że paplanina pana Caron to nic więcej jak zwykła francuska uprzejmość, musiał jednak przyznać, że ten Caron był pierwszym, który go zapytał o wnuczka Beniamina; ucieszony, udzielił panu Beaumarchais szczegółowych informacji.

Franklin zachowywał się wobec pani Beaumarchais z taką galanterią, że madame Helvetius zwróciła na to głośno uwagę wobec wszystkich obecnych. Teresa uśmiechała się spokojnie i uprzejmie; wysiłki Franklina niezbyt ją wzruszały, wiedziała bowiem, jak niewiele znaczą w istocie. Za to Pierre był z tego dumny i nie chcąc, by Franklin czuł się skrepowany, pozostawiał Teresę sam na sam z doktorem.

Uwijał się po obszernym domu. Dużo słyszał o pałacu Valentinois, który filozof i historyk Dawid Hume nazwał

jednym z dwunastu najpiękniejszych gmachów Paryża. Beaumarchais doszedł do wniosku, że dom przedstawia się nie najgorzej, ale jest przestarzały i zaniedbany i w żadnym razie nie może się mierzyć z jego siedzibą.

Dotarł do zielonej biblioteki. Zobaczył popiersie Houdona. Na ten widok opuściły go wszelkie małostkowe myśli. Uczucia jego uległy zmianie, zachwyciła go ta głowa z kamienia; podziwiał ją bezgranicznie. Uświadomił sobie teraz, że w całym swym życiu spotkał tylko jednego człowieka, który był większy od tego; ten większy nie żył już. Więc największym spośród żyjących jest teraz Benjamin Franklin. Cokolwiek zrobił mu złego, nie była to niesprawiedliwość, bo ten człowiek był niezdolny do niesprawiedliwości.

Przypomniał mu się nagle zakład z aktorem Preville. W najbliższych dniach rzeźbiarz Houdon chce przystąpić do seansów. Czy będzie zuchwalstwem, jeżeli Pierre pozwoli, by rzeźbił go twórca tego popiersia?

Odegnął wątpliwości ruchem wypielegnowanej ręki. Niechaj sobie będą ludzie więksi od niego, ale autor Figara ma obowiązek pozostawić potomności swą podobiznę dłuta najlepszego mistrza.

Wrócił do głównej sali. Zatrzymał się w grupie otaczającej Franklina. Franklin tłumaczył konstrukcję pieca, który kazał postawić w salonie. Rozmowa przeszła na inne wynalazki, Pierre opowiadał, jak za bardzo młodych lat wymyślił ulepszenie „oporu” w mechanizmie zegarowym, ogólnie teraz stosowaną, techniczną innowację. Jak zawsze uwikłał się wtedy od razu w awanturę. Niejaki pan Lepaute próbował przywłaszczyć sobie jego wynalazek. Doszło do procesów, polemik prasowych, orzeczeń Akademii, aż wreszcie przyznano rację Caronowi. Franklin wypytywał go o szczegóły wynalazku. Kiedy Pierre go dokonał i kiedy rozgorzał dokoła niego pierwszy, zgiełkliwy spór, pozwolono

mu, by zademonstrował wynalazek przed królem i dworem. Było to przed ćwierć wiekiem, miał lat dwadzieścia jeden, był pełen ambicji i wściekłej żądzy życia, wyłaził ze skóry, by zrobić wrażenie na królu. Ale teraz, stojąc przed Franklinem, starał się o to jeszcze bardziej. Tłumaczył wyraźnie i zajmująco. Jak rzeczoznawca rzeczoznawcy wyjaśniał doktorowi dokładnie, o co mu chodziło, jak „opór” wyglądał przedtem i co on w nim poprawił, demonstrował i to na zegarku Franklina i swoim. Franklin był szczerze zainteresowany, stawiał pytania, poczuł szacunek i sympatię dla tego zegarmistrza Carona, który tak dobrze znał się na swym rzemiośle.

- Jest pan wszechstronny, mój panie - chwalił go.

- To samo mówią o panu - odrzekł Pierre.

- Może to i racja - powiedział doktor. - Brałem się do niejednego zawodu, byłem człowiekiem interesu, politykiem, pisarzem i drukarzem.

- I ja także - oświadczył Pierre - a w dodatku adwokatem, budowałem statki, no i byłem zegarmistrzem i muzykantem.

- Ale czy był pan także mydlarzem? - zapytał Franklin. - I nauczycielem pływania? I rysownikiem banknotów? Widzi pan, mogę z panem konkurować. Ale pan jest jeszcze młody. Doktor podszedł do innej grupy. Kłótlivy Turgot ścierał się z drugim kłótnikiem, mister Adamsem.

- Nie - mówił Turgot - nie podobają mi się te konstrukcje zmajstrowane dla waszych poszczególnych stanów. W Pensylwanii trzeba złożyć przysięgę, jeżeli się chce wejść do Izby Reprezentantów. Czy nazwie pan to wolnością sumienia, mój panie? Gdzie indziej, zdaje mi się, że w Jersey, kandydat musi jeszcze przysiąc, że wierzy w boskość Chrystusa. Nie, mój panie, nie tak wyobrażam sobie wolność myśli. Wy też wcale w naród nie wierzycie. Nie macie po prostu odwagi uwierzyć w naturalny, prosty rozum ludu. Gdyby było inaczej,

nie małpowalibyście tak bezmyślnie instytucji angielskich. Dlaczego nie złożycie całej władzy w ręce reprezentacji ludu? Powiem coś panu. Ponieważ Anglia ma króla, Izbę Wyższą i Niższą, każdy z waszych trzynastu stanów, małpując niewolniczo angielskie wzory, musi mieć swego gubernatora, swój Senat i swoją Izbę Reprezentantów. Piękna to wiara w naród, nie ma co mówić.

Mister Adams chciał odpowiedzieć, ale Turgot nie dopuścił go do słowa. Franklin oddalił się w milczeniu do innej grupy.

Tutaj mówiono o panu de Sartines, zmarłym niedawno ministrze marynarki. Pan de Chaumont wyraził zdanie, że bez jego talentu organizacyjnego nie powstałaby nigdy flota, która teraz w wojnie odgrywa tak wybitną rolę. Natomiast Condorcet i de la Rochefoucauld ostro krytykowali nieboszczyka. To jego brak skrupułów sprawił, że skarb państwa jest pusty; powołując się na konieczność budowy okrętów przy pomocy wszelkich środków, pomógł żądnym zysku aferzystom, którzy opróżnili kasy królewskie. Pan de Chaumont bronił nieboszczyka:

- Ale to przecież najważniejsze, że statki są. I on to osiągnął. Inni zaś, uczciwi, nie osiągnęli.

- Cokolwiek by czynił pan de Sartines - przyszedł mu z pomocą pan de Rayneval - czyż nie robił tego z wdziękiem i najlepszymi manierami? Był dżentelmenem, nawet wtedy, kiedy kradł i rabował.

- Przypomina mi to pewien nagrobek - powiedział doktor Franklin - który mi kiedyś pokazał w Anglii, na cmentarzu w Litchfield, mój przyjaciel Erazm Darwin. W kamieniu było wykute: „Tu spoczywa Roger Jackson, dżentelmen i polityk”. Zapytałem doktora Darwina: „Czy macie na tym cmentarzu tak mało miejsca, że musicie mieścić po trzech zmarłych w jednej trumnie?”

- Nie wydaje mi się, doktorze Franklin – powiedział z uśmiechem pan de Rayneval - by pan zbyt wysoko cenił zawód, który obydwaj uprawiamy.

- Jeśli jestem politykiem - bronił się Franklin - stosuję metody najzupełniej apolityczne. I uśmiechając się zwierzył mu się tajemniczo: — Proszę się z tym nie zdradzić, monsieur de Rayneval. Mówię zawsze tylko to, co jest prawdą. I wtedy nikt mi nie wierzy.

Opuścił i tę grupę. Czuł się wyczerpany, widząc więc, że brązowa biblioteka jest pusta, wszedł tam i usiadł w jednym z foteli. Patrzył na niego ze swego krwawego pola walki generał Waszyngton o wielkiej, dziwnej, nieruchomej twarzy z długim nosem, w jaką go wyposażył pan Prunier. Franklin zaczął się złościć, że w tym domu, w którym stało popiersie Houdona, musiał tolerować to pozbawione cienia talentu malowidło. „Umieszczę obraz na strychu - postanowił. - Kiedy zostanę sam, będzie to moim pierwszym posunięciem”. Zamknął oczy. „Jestem porządnie zmęczony - pomyślał. - Właściwie powinienem zajmować się swoimi gośćmi. A nie robię tego. Mam prawo odczuwać zmęczenie. Był to rok pełen pracy i dziś, w dniu 4 lipca, nie trzeba już pocieszać słabych na duchu. Ca ira”.

Weszli jacyś ludzie. Byli to bracia Lec i Ralph Izard. Ciągnęło ich zapewne do tej biblioteki, w której tyle się nakłócili.

Franklin uważał, że jako pan domu ma obowiązek zamienić z nimi słów parę. Zapytał ich, czy cieszy ich przyjęcie, na które przybyli tak liczni goście zebrani dla uczczenia Ameryki.

- Gości jest istotnie niemało - odpowiedział Ralph Izard - ale jeżeli się nazwiska waży, a nie liczy, to można stwierdzić z ubolewaniem, jak wielu panów z wielkich starych rodzin wolało się nie zjawić. - To potwierdza jego zdanie, że arystokracja francuska w dalszym ciągu zajmuje wobec sprawy Ameryki stanowisko złośliwe i sceptyczne.

- W takim razie fałszywie pan tłumaczy absencję tych panów - odrzekł uprzejmie Franklin. - Nie ma ich po prostu dlatego, że ich nie zaprosiłem. Skoro sojusz został zawarty, wydaje mi się ważniejsze, by świat dowiadywał się jak najczęściej, że po naszej stronie są Turgot, Condorcet, Morellet, Houdon, Duplessis - tu uśmiechnął się i zakończył: - No i autor Figara. Artur Lee skrzyżował ręce na piersi, pochylił czoło i zabierał się do wygłoszenia jednej ze swoich ostrych tyrad politycznych. Ale Franklin go powstrzymał. Wskazał na portret Waszyngtona i powiedział z uprzejmą, lecz poważną miną:

- Co pan sądzi, mister Lee? Jak pan myśli? Czy słońce wschodzi, czy zachodzi za generałem Waszyngtonem?

Mister Lee ukrył z trudem swą niechęć do doktora honoris causa.

- Proszę wybaczyć - odpowiedział sucho - ale mam wrażenie, że komisarze Kongresu Stanów Zjednoczonych mają inne zagadnienia do rozwiązania.

Sekretarzowi Maigron obrzydło już to zbywanie go niczym z dnia na dzień. Choć pan Beaumarchais prowadził właśnie ożywioną rozmowę z Gudinem, nalegał, by go wysłuchano. Pierre podporządkował się z westchnieniem.

- Pan zostanie, Filipie - powiedział rozkazującym tonem. - Maigron będzie wtedy zmuszony się streszczać. Suka Caprice warknęła - nie znosiła Maigrona.

- Cicho, Caprice - rzucił Pierre i bębniąc palcami po stole zapytał: - O cóż więc znowu chodzi?

Sekretarz wyjaśnił sucho, że firma Hortalez nie może zdobyć stu dwunastu tysięcy liwrów płatnych w piątek. Wpływy są na dłuższy czas naprzód obłożone aresztem; pożyczanie pieniędzy na poczet należności amerykańskich jest wykluczone.

- To wszystko? - rzucił Pierre.
- Tak - odpowiedział Maigrón.
- Co pan proponuje? - zapytał Pierre.
- Ogłosiłbym wreszcie bankructwo firmy - odpowiedział Maigrón.

Pierre namyślał się przez krótką chwilę.

- Compagnie Industrielle de Chinon skredytuje panu tych sto dwadzieścia tysięcy liwrów - zdecydował z wielkim gestem.
- Nie jest to wskazane - odrzekł Maigrón. - To, że trzymamy Compagnie Industrielle z dala od pańskich innych przedsiębiorstw, jest jedyną zdrową zasadą, jaką konsekwentnie przeprowadziliśmy. Nie jest wskazane, byśmy ją teraz w to wmieszali. - Wypowiedział te słowa tonem jednostajnym i bezbarwnym.

Gudin poczuł się w obowiązku skomentowania sytuacji i w sposób pogładowy.

- Kiedy filozof Tales z Miletu był bardzo ubogi - zaczął - kupić na spłaty, jak nas o tym informuje Arystoteles, wszystkie prasy do oliwek, jakie były w Milecie, i kazał płacić sobie za ich używanie ceny monopolowe. Tą drogą wzbogacił się. Uczynił to, by udowodnić, że filozofowie, jeżeli chcą, potrafią doskonale robić pieniądze, a jeżeli pozostają w ubóstwie, czynią to dobrowolnie i tylko dlatego, że mają coś innego do roboty niż uganianie się za zyskiem.

- Pański filozof - odpowiedział rzeczowo Maigrón - był w lepszej sytuacji niż pan de Beaumarchais. Nie widzę, skąd weźmie pieniądze na zapłacenie pras do oliwek.

Pierre usiadł i coś napisał.

- Oto - powiedział - ma pan swoje sto dwanaście tysięcy liwrów. Trata/1 na Compagnie Industrielle. A teraz proszę mnie zostawić w spokoju.

1/Trata - weksel ciągniony, przekazywany na osoby trzecie.

- Oświadczyłem już panu - odparł Maigron - że rozwiązanie takie nie byłoby wskazane. - I powoli, z nieruchomą twarzą podał tratę na strzępy. Suka Caprice warknęła.

- Uważam, Pierre - wmieszał się Gudin - że dał pan wystarczający dowód, iż potrafi pan robić pieniądze. Mógłby pan spokojnie ogłosić bankructwo i przez jakiś czas zająć się wyłącznie pisaniem i polityką.

- W takim razie - powiedział Pierre z uprzejmą ironią do Maigrona - może pozwoli pan, że dla utrzymania przy życiu firmy Hortalez sprzedam mój stary dom przy ulicy Conde.

- Nigdy sobie nie pozwalałem - odpowiedział Maigron - mieszać się w pańskie sprawy osobiste. Ale chciałem zwrócić uwagę, że przez tę transakcję nie tylko poniesie pan straty, lecz narazi się pan na nieprzyjemności.

Caronowi brzmiały już w uszach krzykliwe biadania siostry Julii, gdyby miała opuścić stary dom i dzielić rządy z Teresą w nowym. Ale firma Hortalez była bliska jego sercu, więc dom przy ulicy Conde został sprzedany.

Jak oczekiwał, Julia zaczęła krzyczeć i lamentować.

- Dobrze, że nasz ojciec tego nie dożył - żaliła się. - Wyrzucasz mnie z domu, gdzie opiekowałam się nim aż do jego śmierci.

Przekonywał ją, że w nowym będzie jej o wiele lepiej. A jak to będzie pięknie, kiedy wszyscy zamieszkają zgodnie pod jednym dachem, i to pod jakim! Obszernym, wysokim, wzniesionym z najszlachetniejszego materiału.

Julia doszła do przekonania, że będzie miała dosyć energii, by sobie poradzić z Teresą. Pierre wymagał ogromnej opieki i troskliwości, był lekkomyślny i pragnął, by go traktowano czule. Czy Teresa zechce, czy nie, Julia będzie się bratem zajmować. Już widziała, jak chodzi po domu przy ulicy Saint-Antoine, jak się w nim rządzi. Pierre ma rację, to prześliczny dom i bardzo przestronny. Nie będzie trudno ograniczyć cichą

Teresę do jednej z jego części. W głębi ducha Julia pogodziła się więc z sytuacją. Ale długo jeszcze chodziła gniewna i wymyślała.

- Najgorsze jest to - oburzała się - że znowu będę teraz mieć przed oczyma portret tej Mesnard, która tylko przynosi nieszczęście.

Spośród licznych adoratorów Desiree wypłynął w ostatnich tygodniach jeden, który ją z początku bawił; po jakimś czasie zaczęła przyjmować jego uwielbienie z coraz większą przychylnością.

Kiedy Toinette mimo ciąży uparła się, że będzie brała nadal udział w próbach, Ludwik zarządził, że ma być przy tym obecny doktor Lassone, który miał pilnować, żeby Toinette się nie przemęczała. Przy tej okazji Lassone poznał Desiree i znajomość ta sprawiła, że całkowicie zapomniał o panie Olivier, którą mu zdmuchnął sprzed nosa Charlot. Nie opuścił żadnej próby, szukał pretekstu, by się znaleźć w pobliżu Desiree; w pedantycznych, nieco staromodnych zwrotach dawał jej do zrozumienia, jak bardzo jest nią zajęty.

Starzejący się lekarz interesował Desiree bardziej od niejednego z jej młodych, błyskotliwych przyjaciół. Po Paryżu krążyły liczne historyjki na temat jego pychy, przygód miłosnych, chciwości. Ale Desiree miała dosyć sprytu, by się zorientować, że nad tymi właściwościami, których nie starał się ukrywać, górował wielki rozum. Bawiło ją przyglądanie się, jak ten wielki racjonalista na próżno broni się przed czarem jej osoby. Nie raziły jej władcze oczy starca, jego twarde usta, jego wielkie, kościste, groźne ręce. Pragnęła podbić tego człowieka, z całą jego wiedzą i doświadczeniem, i doprowadzić do tego, by warcząc robił to, czego od niego zażąda.

Zimno i bezwstydnie wypytywała go o jego życie i stosunki, aż wreszcie, choć niechętnie, zwierzył się jej ze wszystkiego. Osiągnął sukcesy na polu naukowym, które umieli ocenić tylko uczeni, zdobył tytuły i godności, przed którymi schylała czoła szeroka publiczność, był majątny. Lubił przepych i rozrzutność, a równocześnie był skąpy.

Desiree widziała, że czeka tylko na zachętę z jej strony, by jej zaproponować małżeństwo. Bez takiej zachęty nie otworzyłby chyba ust; zbyt dumny, by się narazić na odmowę. Kiedy teraz Pierre musiał sprzedać dom, przyszły jej do głowy różne myśli. Gdyby była panią Lassone, mogłaby nabyć dom Beaumarchais'go i pozostawić mu go do dyspozycji. Gdyby wyszła za Lassone'a byłaby stroną ofiarowującą i czułaby się mniej zobowiązana, niż gdyby przyjęła zaloty jakiegoś młodego wielbiciela z arystokracji. Poza tym wierzyła, że z doktorem Lassone zawsze da sobie radę. A zresztą doktor był stary.

Tymczasem na Morzu Karaibskim, pod La Grenade, flota francuska pod dowództwem admirała d'Estaing odniosła decydujące zwycięstwo; Pierre wziął w nim wybitny udział wcale o tym nie wiedząc.

W początku lipca mianowicie flota firmy Hortalez, składająca się z dwunastu naładowanych po brzegi statków, dotarła pod eskortą okrętu wojennego „L'Orfraye” do Morza Karaibskiego. Gdy admirał d'Estaing dojrzał piękny ten okręt, przyłączył go natychmiast do swojej eskadry liniowej, pozostawiając nieszczęsne statki handlowe ich losowi. „L'Orfraye” zachował się po bohatersku, przebiło go osiemdziesiąt kul, zestrzelono mu wszystkie maszty, zabito jego kapitana nazwiskiem Montaud. Admirał d'Estaing poinformował Beaumarchais'go o wydarzeniu w liście pełnym pochlebstw, życzył mu szczęścia, wieszował, że swoim wkładem tak walnie przyczynił się do zwycięstwa floty

królewskiej, zapewniał, że będzie pilnował, by interesy jego nie ucierpiały.

Pierre triumfował. Z czułością przyglądał się modelowi galionu „Orzeł Morski”. Raz jeszcze okazało się, że miał intuicję; postąpił słusznie, zaryzykował wszystko, by zdobyć okręt. Odwaga i rozum musiały w końcu przynieść mu szczęście.

W przepelnionym gorącą dumą liście do króla dawał wyraz radości, że okręt jego i majątek mogły się przyczynić do ukarania dumnej Anglii. W liście do ministra marynarki pisał, że odczuwa dziecinną wprost radość, iż te same gazety angielskie, które obrzucały go tyłoma obelgami, muszą teraz informować, że to jeden z jego okrętów przyczynił się tak walnie do klęski Brytyjczyków.

Maurepas złożył mu gratulacje i zapytał, jakiej nagrody oczekuje. Pierre odpowiedział, że prosi o uroczystość żałobną ku czci pierwszego kapitana, który padł w boju, oraz o Krzyż Orderu Świętego Ludwika dla zastępcy kapitana; równocześnie wyraził nadzieję, że ci spośród jego marynarzy, którzy się specjalnie odznaczyli, zostaną przyjęci do marynarki wojennej.

- Jest pan tańszy, niż przypuszczałem - powiedział Maurepas.

- A od pana Neckera oczekuję oczywiście - ciągnął dalej Pierre - by przy regulowaniu sprawy należnego mi odszkodowania okazał się równie wspaniałomyślny jak ja w podobnych wypadkach.

Zwycięstwo w Indiach Zachodnich paryżanie obchodzili radośnie i uroczyście. Były ognie sztuczne i inne publiczne zabawy, a że nie było pod ręką admirała d'Estaing, wiwatowano na cześć Beaumarchais'go. Nie tylko napisał najlepszą od czasów Moliera komedię francuską, nie tylko oswobodził Amerykę, ale teraz pobił jeszcze na głowę Anglików i zdobył dla Korony francuskiej bogate posiadłości

angielskie. Jeszcze częściej niż dotychczas gwizdano, nucono i śpiewano tkliwą piosenkę Cherubina.

Świeża, polna twarz Beaumarchais'go o jasnym czole, wesołych, mądrych oczach, orlim nosie i wypukłych ustach pulsowała życiem. Jaki to cudowny zbieg okoliczności, że rzeźbiarz Houdon właśnie teraz pracuje nad jego popiersiem. Popiersie było wspaniałe, Pierre uważał, że tak być powinno. Płynął na nowej, wysokiej fali szczęścia. Odszkodowanie za „L'Orfraye” pozwoli firmie Hortalez utrzymać się na powierzchni, zanim nadejdą kwoty, przekazane przez Amerykanów, a kiedyś przecież nadejść muszą. Nigdy jeszcze dwór i miasto nie psuły Beaumarchais'go tak jak teraz.

Jednego tylko brakowało mu do szczęścia. W dalszym ciągu nie wolno było grać Figara. Dręczyło to Carona. Ten zakaz nie może się ostać. Jeżeli teraz, mając za sobą cały Paryż, zażąda, by pozwolono na zagranie tej komedii, Ludwik nie będzie się mógł dłużej przeciwstawić. Pierre obali zakaz króla Francji, tak jak obalił tyranię Anglii. Sławę męża stanu i wojownika Beaumarchais ukoronuje sławą poety.

Otrzymaawszy wiadomość o zwycięstwie pod La Grenade Vaudreuil doznał sprzecznych uczuć. Był dość wielkim patriotą, aby się radować zwycięstwem, ale od dawna czekał z wściekłą niecierpliwością, by wreszcie znaleźć się w Bretanii, na czele armii, którą tam skonsygnowano w celu inwazji na Anglię. Teraz zwycięstwo odniesione w Indiach Zachodnich wzmacniało stanowisko przeciwników inwazji, głosujących za wysłaniem korpusu ekspedycyjnego do Ameryki. Nie ulegało wątpliwości, że będzie musiał jeszcze długo pozostać w Wersalu i męczyć się, by wymóc na Ludwiku zgodę na inwazję.

W takim więc nastroju znajdował się Vaudreuil, kiedy Pierre i Desiree poruszyli z nim sprawę Figara. Desiree

zaproprowowała, żeby zaprosił jej pupila na przyjęcie; skorzystał chętnie z tej okazji, by przez rozmowę z zabawnym autorem zabić kilka godzin nieznośnego oczekiwania. Kiedy Desiree na pół żartobliwie, na pół melancholijnie napomknęła, że markiz jednak opuści Wersal nie doprowadziwszy do wystawienia Figara, nie odczuł, że jest to zuchwałe przypomnienie danej przez niego obietnicy. Przeciwnie, było mu to na rękę. Nie był drobnomieszczaninem, więc nie zawsze dotrzymywał słowa. Ale mówił niejednemu, że każe grać Figara właśnie dlatego, że Ludwik zabronił; wystawienie komedii stało się stopniowo jego własną sprawą, a ponieważ i tak zmuszony był pozostać w Wersalu jeszcze długie dni i tygodnie, nie miał więc nic lepszego do roboty, jak przeforsować wystawienie Figara, który stał się jego Figarem. W ten sposób, zanim rozpocznie olśniewającą karierę w Bretanii, urządzi sobie w Wersalu nie mniej olśniewające pożegnanie.

- Proszę się nie martwić, Desiree - powiedział - i pan niech się również nie smuci, Pierre. Inwazja na Anglię nie przysłoniła mi Figara.

Poszedł do Toinette. Ostygł z namiętności do niej całkowicie. Oznaki ciąży, ocięzwały chód, martwa, opuchnięta twarz - wszystko to budziło w nim po prostu odrazę. Był rad, że się od niej oddali. Nie chciał mieć więcej do czynienia z tą kobietą, która cieszyła się swoim dzieckiem, dzieckiem jej i grubasa, jak żona pierwszego lepszego kramarza. Nie rozumiał, że przez jakiś czas mógł się do niej palić.

Oczywiście ukrywał starannie swoją niechęć. Zaczął od tego, że będzie mu ciężko ją opuścić, potem zmieniając delikatnie temat dał wyraz ubolewaniu, że jako jej intendent nie doprowadził swego zamiaru do końca. Chciał, by przeszła do historii jako protektorka sceny francuskiej. Ale tylko część drogi została przebyta. Pragnął widzieć Figara wystawionego

pod jej auspicjami. Nie osiągnął tego. Skompromitował się tylko, oświadczając, z uwagi na jej osobę, z taką dumą i pewnością, że komedia będzie grana.

Odpowiedziała z wahaniem, że chyba mu wiadome, jakie głupie przeszkody stoją temu na drodze. Nadał swej twarzy maskę zaciekawienia. Byłoby jednak pięknie, odpowiedział, gdyby lata ich bliskiego obcowania z sobą zostały ukoronowane takim wspólnym czynem. Nie ma skłonności do sentymentalizmu, ale przecież nie jest pewne, czy wróci.

- Niechże pan nie mówi podobnych głupstw - gorączkowała się i wargi jej zaczęły drżeć.

Roześmiał się i powiedział lekkomyślnie:

- Nie ma szczęścia bez Figara. Zdaje mi się, że sprawa warta jest ostatniej próby. Trudno o lepszy pretekst do nowej ofensywy aniżeli zwycięstwo „L'Orfraye”. Cały Paryż burzliwie domaga się zniesienia niemądrego zakazu. Niech się pani stanie rzeczniczką Paryża, a grubasowi ciężko będzie utrzymać się przy swoim „nie”.

Toinette słuchała uważnie. Nic nie odpowiedziała, ale nie ulegało wątpliwości, że słowa jego dotarły do niej. Nie mówił już dłużej o Figarze, stał się znowu smętny i czuły.

Jeszcze tego samego dnia Toinette poszła do Ludwika.

Ludwik przeczytał sprawozdanie o zwycięstwie pod La Grenade z burbońską dumą. Cieszyło go przede wszystkim, że zwycięstwo osłabia argumenty tych, którzy głosowali za inwazją; teraz jego ministrowie i generałowie zechcą przyśpieszyć ekspedycję amerykańską, a ponieważ można zaryzykować tylko jedno z wielkich posunięć, trzeba będzie na czas nieokreślony odłożyć inwazję. Myśl, że Francuzi mają walczyć w Ameryce, była mu niemiła, ale myśl o inwazji budziła w nim niechęć dziesięciokrotnie większą. Prawdziwe wojny mogą się toczyć jedynie w Europie i dopóki potrafi nie dopuścić do poważnych starć militarnych na starym

kontynencie, nie jest to jeszcze prawdziwa wojna. Przyjął więc wiadomość o La Grenade z dumą i zadowoleniem.

Ale do tej radości dołączyło się nieco goryczki. Był nierad, że okręt, który osławiony pan Caron wyłudził od niego, wziął w bitwie tak wybitny udział. Dowiadywał się z przykrością z raportu policyjnego, że romanca z Figara stała się czymś w rodzaju hymnu narodowego; podobno wojska idąc do boju śpiewają tekst pana Beaumarchais, krążą pogłoski, że marynarze „L'Orfraye” umierali z tą piosenką na ustach.

Ale te drobiazgi zmniejszyły jego radość tylko w niewielkim stopniu i kiedy Toinette zjawiała się u niego, znalazła go w pogodnym i dobrym nastroju.

Uśmiechając się szeroko, stwierdzał z zadowoleniem, że znać już po niej ciężę, i głaskał ją niezgrabnie. Oświadczyła, że czuje się jak najlepiej. Martwi ją nieco, że w najbliższym czasie opuści ją jeden z najmilszych przyjaciół, intendent Vaudreuil.

Ludwik odpowiedział sucho, że o ile sobie przypomina sama żądała natarczywie powierzenia markizowi Vaudreuil dowództwa.

Oświadczyła, że skoro wchodzi w grę interesy Francji, nie oszczędza nawet najlepszych swoich przyjaciół. Zresztą obiecała markizowi, że spełni ostatnie jego życzenie, i ma nadzieję, że Ludwik nie będzie jej w tym przeszkadzał. Markiz chciałby zakończyć swą działalność intendenta wystawieniem Figara.

Ludwik, zasepiony, milczał. „Znowu wszyscy zaczynają męczyć mnie i szarpać - medytowałem. - Zupełnie jak przed sojuszem. Jak wówczas na próżno opierałem się temu Franklinowi, tak teraz na próżno bronię się przed tym panem Caron, to nie ma sensu. Powiedziałem: «nigdy», to «nigdy» cieszyło mnie i byłem z tego dumny sam przed sobą. Ale w głębi ducha wiedziałem dobrze, że jednak postawią na swoim.

Oni wszyscy są po prostu ślepi, kopią swój własny grób, nie mogę im w tym przeszkodzić".

- Vaudreuil - wywodziła tymczasem Toinette - nie jest w swym pragnieniu osamotniony. Flota pana de Beaumarchais osiągnęła zwycięstwo, opromienione taką glorią, że cały Paryż chciałby teraz widzieć jego sztukę. Ludwik parsknął gniewnie.

- Otóż to właśnie - powiedział. - Gdyby chodziło o wystawienie sztuki w Wersalu, nie załamywałbym rąk, bo moich pań i panów nie można już bardziej zepsuć. Ale paryżanie nie powinni widzieć tej sztuki. Wiedziałem dobrze, dlaczego wtedy powiedziałem: „nigdy”. - Starał się mówić autorytatywnie.

Toinette nadała się.

- Może słyszałeś kiedyś, sire - odparła - że kobiety w ciąży miewają swoje kaprysy. Jeżeli się tym kaprysom nie ulega, może im to zaszkodzić. Doktor Lassone z pewnością potwierdzi moje słowa. To niedobrze, Ludwiku, że chcesz narazić na szwank delfina. Wbiłam sobie do głowy, że sprawię mojemu intendentowi tę ostatnią przyjemność.

Ludwik powiedział po pewnym czasie słabym, gniewnym głosem:

- Gdzież ten twój intendent chce to grać? Znowu w moim Menus Plaisirs? A może w Trianon? - Spojrzał na nią wyzywająco.

- Nie, nie - odpowiedziała spieszenie. - Całkiem prywatnie, tylko dla intymnego koła. Myślę, że w Gennevilliers.

Ludwik siedział ze zmarszczonym czołem.

- Posłuchaj, Toinette - powiedział po chwili. - Byłoby nieprzystojnie i niestosownie, gdyby królowa Francji oglądała tę komedię, skoro oświadczyłem wielokrotnie: „nigdy”.

- Jeżeli sobie nie życzysz, nie pójdę - powiedziała Toinette i zapytała: - A więc Vaudreuil może grać?

- No tak, no już dobrze - odpowiedział Ludwik. Ale zaraz dodał: - Pod warunkiem, że wykreśli się z komedii wszystkie miejsca niestosowne oraz że będzie grana tylko raz, i to w Gennevilliers przed najbliższymi przyjaciółmi markiza de Vaudreuil. A także pod warunkiem, że ty, madame, nie pójdziesz na to przedstawienie i że nigdy już więcej nie będzie mowy o tym Figarze.

- Zgoda - powiedziała Toinette. I rozpromieniona dodała słodko: - Wiedziałam, że spełnisz życzenie matki swego syna, mój drogi Ludwiku.

W dzień przedstawienia panował straszny upał. W małym teatrzyku w Gennevilliers, tym samym, w którym Desiree grała swego czasu przed Franklinem i Toinette synka Tella, było nieznośnie duszno. Sala była natłoczona ludźmi, którzy zapelniali również wszystkie przejścia i korytarze.

Pierre godził się dotychczas z tym, że pewni arystokraci zapraszali go bez jego rodziny, tym jednak razem zażądał, by zaproszono Teresę i jego przyjaciela Gudina.

Siedzieli w niewielkiej loży, na bardzo widocznym miejscu, Teresa, z ożywioną twarzą o pięknie wykrojonych ustach i wysokich, śmiało zarysowanych brwiach, w matowym blasku niebieskiej, skromnej sukni, z której wyłaniała się jej śniada pierś i ramiona, budziła wielkie zainteresowanie. W tym gronie każdy znał każdego, ale tylko niewielu znało Teresę. „To madame de Beaumarchais” - szeptano i wiele osób dowiadywało się ze zdziwieniem, że „Figaro” ma żonę.

Przez szparkę w kurtynie Desiree w swym kostiumie pazia obserwowała przybyłych. A więc teraz dopięła swego, wbrew Charlotowi, wbrew Ludwikowi, i nikt już nie pozbawi jej roli Cherubina i owoców wszystkich jej zabiegów i upokorzeń.

Spojrzała na lożę Teresy. Stał w niej Pierre, pochylony nad żoną. Było znamienne i trochę śmieszne, że jej Pierrot, taki

cyniczny przy całym swym idealizmie, w głębi duszy kochał jedynie Teresę. Należał do niej jak wielkie, wierne psisko. Desiree wyzwoliła jego talent, który pozwolił zakląć w słowo uczucie Cherubina, uczucie to jednak nie należało do niej, lecz do kobiety siedzącej w łoży.

Stuknięcie laski. Kurtyna rozsunała się. Preville-Figaro z łokciem w rękę, mierząc scenę, powiedział: „Szerokość stóp dziewiętnaście, długość dwadzieścia sześć”.

Pierre siedział, patrzył i słuchał. Był jak we śnie, a równocześnie trzeźwy i podniecony. Grano Figara. Stało się więc: grają Szalony dzień, czyli Wesele Figara. Już raz arystokracja francuska zgromadziła się, by zobaczyć jego śmiałą sztukę. Wówczas król, rozwścieczony, postawił weto. Ale teraz zwyciężył on, Pierre, wściekłość Ludwika de Bourbon okazała się bezsilna, wszyscy ci książęta, hrabiowie i markizowie przybyli po raz drugi. Teraz Zuzanna wypowiada swą pierwszą wesołą replikę, śmieją się, śmieją się szczerze i długo. Stało się: grają Figara.

Rzucal im w twarz swoje zdania dokładnie tak, jak to sobie wymarzył; słuchali ich, tolerowali je. Prośli o nie, domagali się ich, gdyż musieli przyznać, że nikt inny nie zrobiłby tego tak lekko i po światowemu, że nikt dziś we Francji nie przemawia ze sceny z takim dowcipem. Siedział w łoży ze swą piękną, ukochaną żoną, na scenie mówiła i działała jego powszechnie podziwiana, olśniewająco mądra przyjaciółka, a wielcy francuscy panowie i panie słuchali go.

Jeżeli arystokraci przyszli tylko po to, by z uśmiechem robić frondę przeciw królowi, który chciał wzbronić im tej zabawy, to szybko zapomnieli o swym zamiarze i bez zastrzeżeń poddali się zachwytowi nad wdziękiem i pełnią sztuki. Mieli smak, intelekt, zrozumienie teatru. Cieszyła ich mądra impertynencja Figara-Preville'a, szlachetna, nieco zgorzkniała elegancja Almavivy-Molego, byli zdziwieni i wzruszeni grą

Desiree Mesnard. Nie spodziewali się po niej, że jako godny miłości, zakochany młodzieniec będzie tak szczerą, pełną wdzięku i ruchliwą. Nawet romanca, którą każdy setki razy słyszał, miała coś świeżego, oryginalnego, kiedy śpiewała ją ta Mesnard.

Na parterze, gdzie były tylko miejsca stojące, stał w ścisku doktor Lassone. Choć czuł się na ogół młodo, dla człowieka w jego wieku nie było z pewnością dobrze narażać się na taki fizyczny i duchowy wysiłek. Widział Desiree, widział i czuł, jak jej na tej sali pożądają wszyscy mężczyźni, jak większość kobiet pożąda chłopięcego Cherubina, i dyszał ciężko. Mówił sobie: „To głupota, ale się z nią ożenię. Kocha tylko tego wietrznika Carona, woli ode mnie tego zarozumiałego koguta de Vaudreuil. Będzie mnie zdradzała na wszystkie strony, we wszystkich kierunkach róży wiatrów, będzie mnie poniżała, stracę na nią całą fortunę. Jeżeli się z nią ożenię, popełnię niebotyczne głupstwo, ale jest to ostatnie z głupstw, jakie mogę zrobić, i głupstwo warte zachodu”.

Również i Vaudreuil ulegał czarowi Desiree. Należała do niego. Wszystko należało do niego. Był to dla markiza pomyślny wieczór, stanowił pomost między olśniewającą przeszłością i jeszcze wspanialszą przyszłością. W przededniu opuszczenia Wersalu patrzył na dwór przyjaźniejszym wzrokiem. Wszystko, co było tu piękne i żywe, sprowadzało się w oczach markiza do tego wieczoru. Stworzył to dzieło dzięki swemu pupilowi Beaumarchais. Wymusił na grubasie to przedstawienie, darował tę komedię ludowi francuskiemu, tak jak kiedyś Ludwik XIV darował Francuzom komedię Moliera. Człowiek, który wymyślił i sformułował te błyskotliwe zdania, należał do niego, należała do niego kobieta, która porwała całą widownię, należała do niego królowa, która panowała nad wszystkim. Pikanteria polegała

na tym, że nie zależało mu już na niczym, że wszystko to zostawiał i odchodził.

W jednej z łóż siedział Maurepas. Uważał się za postępowca, bo przyczynił się do wystawienia komedii swego nadwornego błazna albo przynajmniej do tego, że na nią zezwolono, rozkoszował się zuchwałym dowcipem sztuki. Raz tylko, a mianowicie słysząc słowa: „Co jest sztuką dworaka? Przyjmować, brać, żądać” - przemknęła mu nagle przez głowę myśl, że wszyscy ci zebrani w teatrze znowu podpiłowują gałąź, na której siedzą, i przez chwilę doznał niemiłego ściskania w żołądku. Ale potem powiedział sobie, że do końca jego życia gałąź przecież wytrzyma, i przez resztę wieczoru beztrudnie bawił się przemiłą sztuką.

Pozostali, cała zebrana tu arystokracja francuska, nie mieli, zdaje się, cienia tych refleksji, które musnęły ministra Maurepas. Śmieli się i zachwycali widząc swe prawdziwe oblicze, swą sztuczność, swoje doskonałe maniery i zuchwałą pustkę swych mózgów i serc. Najmocniej działały te nie wypowiedziane słowa, które Pierre, ku zabawie, kazał zastąpić przez gest i wymowne pauzy, gdyż wielu z obecnych znało skreślony tekst. Klaskali w dłonie i wołali: „Jeszcze, jeszcze!”, i dziesiątki, setki, setki głosów powtarzały skreślone zdania. Entuzjazm wzmógł się jeszcze, wielkich panów i wielkie panie ogarnęło szaleństwo, nie milknącym aplauzem dziękowali za to, że Figaro powiedział im w oczy, czym są.

Kilku wybranym pisarzom i filozofom pozwolono być świadkami przedstawienia: w antrakcie formułowali opinie, które następnego dnia powtarzać będzie Paryż. „Prawdziwie encyklopedyczna komedia” - zadekretował Chamfort. Ze szczególnym entuzjazmem mówił o sztuce baron Grimm; krytyk ten, którego bano się jak ognia, skwitował pierwsze sztuki Beaumarchais'go złośliwym szyderstwem. Ale teraz zobaczył, jak szczerzy entuzjazm ogarnął tę wpływową

publiczność, i postanowił przyznać się do omyłki, czemu dał wyraz w pięknie oszlifowanych słowach.

Sztuka, oświadczył, jest śmiałym i mądrym obrazem malowanym przez człowieka, który jak nikt inny umie mieszać farby i prowadzić pędzel. Treścią tej sztuki jest tylko walka o noc miłosną, a mimo to daje ona obraz całej epoki, z czego wynika, że jest utworem genialnym.

Obawiano się, że może druga część bardzo długiej komedii znuży kapryśną publiczność. Ale mimo upału słuchacze reagowali z równą świeżością jak na początku. Z napięciem śledzili perypetie fabuły, rozumieli i zachwycali się każdą pointą.

Przyszedł wreszcie akt ostatni z wielkim monologiem. Monolog ten wywołał na próbach liczne wątpliwości i debaty. Nigdy jeszcze nie słyszano ze sceny francuskiej tak długiego monologu. Czy można było widownię zmęczoną trzygodzinnym ruchem i akcją poczęstować jeszcze taką tyradą? Zaraz się okaże, zaraz się rozstrzygnie, czy publiczność będzie słuchać z zapałem długich refleksji, czy śmiały eksperyment przy samym końcu nie przewróci całej komedii.

Figaro przechadzał się pod kasztanem. Po chwili usiadł na przedzie sceny na ławce, powiedział coś do widowni, wstał znowu i zaczął biegać gestykulując z temperamentem, znowu usiadł na przedzie i zagłębił się w medytacjach. Mówił, mówił i mówił. Ale, o dziwo, widzowie słuchali z napięciem, nie chrząkali i nie kaszlali, śledzili z uwagą skoki i zakręty najdłuższego monologu, jaki kiedykolwiek wypowiedziano z francuskiej sceny.

Desiree stała za kulisami. Miała na sobie kostium oficerski, wiedziała, że wygląda wyzywająco i powabnie, ale zapomniała o tym. Czekwała na cudowne zdania, które za chwilę zakończą monolog i w których Figaro-Pierre opowie o

swym życiu trafniej, niż mogliby to uczynić ci, którzy mu zazdroszczą, i ci, którzy go podziwiają. Zdania te zaczęły się teraz.

- „Biegnę wzdłuż mojej ulicy - mówił Figaro-Preville; miał odwagę mówić cicho i mimo to po czterech godzinach siedzenia w dusznym teatrze i wyteżonej uwagi widownia słuchała z zapartym tchem. - Biegnę wzdłuż mojej ulicy: wszedłem na nią i nie wiedziałem, jak ją opuszczę, i nie chciałem tego. I wciąż, kiedy nią idę, obsypuję ją tyłoma kwiatami, na ile mi pozwala mój humor. Mówię: mój humor, a przecież nie wiem, czy to mój humor, tak samo jak nie wiem, czym jest właściwie to ja, nad którym się zastanawiam.

Żałosny dureń, małe, lekkomyślne zwierzę, chłopiec, który żarliwie ugania się za przyjemnościami. Dziś pan, jutro sługa - jak się zdarzy. Ambitny przez pychę, pracowity z konieczności, mówca, kiedy tego wymaga niebezpieczna sytuacja, poeta dla wytchnienia, muzyk z przypadku, kochanek o burzliwych zmysłach. Nie ma takiej rzeczy, której bym nie zakosztował, nic, czego bym nie zrobił, nie wykorzystał i nie użył".(przekład T.Boya).

Na tym kończyła się sztuka. W zuchwałę strofy finału, w balet zamykający wodewil uderzyły fale aplauzu z taką siłą, że zatoneły w nich muzyka i wiersze. Aktorzy kłaniali się. Oklaskiwano zarówno ich, jak i autora siedzącego w łoży na górze. I on kłaniał się wielokrotnie, ale w przeciwieństwie do innych autorów bez udanego zblazowania. Przeciwnie, okazywał promienną radość.

Desiree była dumna z siebie. Chytrą i świetną grą wywalczyła dla Beaumarchais'go to zwycięstwo. Ale uśmiechając się ironicznie i z pewną goryczą, widziała, że Pierre oklaskiwał wprawdzie i ją, i pozostałych aktorów, ale wśród ogólnego entuzjazmu raz po raz z wielką czułością pochylał się ku swojej Teresie.

Po przedstawieniu Vaudreuil powiedział do Carona w garderobie Desiree:

- Postawiliśmy na swoim, mój drogi. A jutro jadę do Bretanii i pobiję Anglię.

Około czterystu Amerykanów, trzymany w Londynie w nędznej niewoli, zasypywało doktora Franklina skargami i biadaniami. Delegaci postanowili wysłać im pieniądze i okazać pomoc. Do tej misji, nie pozbawionej niebezpieczeństw, trzeba było znaleźć człowieka pewnego i bardzo zręcznego. Franklin zaproponował dwóch kandydatów. Nie znał ich osobiście, ale przemawiały za nimi, obok poręczeń mężów godnych zaufania, ich własne uczciwe twarze. Natomiast Artur Lee polecał jegomościa, którego znał od lat, niejakiego mister Diggesa, kupca z Maryland; ze zwykłą sobie ponurą, nieprzyjemną miną Lee oświadczył, że ręczy za uczciwość i zręczność tego pana. Doktor nie uważał, by to był człowiek sympatyczny. Mówił dużo i potoczyście, nie patrzył w oczy.

Kiedy w czasie jednej z konferencji trzech delegatów Artur Lee domagał się przyjęcia mister Diggesa, Franklin skrzywił się z nic ukrywaną niechęcią.

- Jakie ma pan zastrzeżenia w stosunku do mister Diggesa? - zapytał mister Adams.

- Nie podoba mi się - odpowiedział Franklin z prostotą.

- Ręczę za tego człowieka - powtórzył Artur Lee.

Mister Adams należał do ludzi sprawiedliwych. Ponieważ Artur Lee ręczył za mister Diggesa, a doktorowi Franklinowi nie podobała się tylko jego fizjonomia, opowiedział się również za mister Diggesem, i ten został wysłany do Londynu. Franklin wiedział od dawna, że mister Adams nie może go strawić, wiedział jednak również, że delegat stara się być obiektywny i sprawiedliwy. Tym przykrzejszą niespodzianką

było dla doktora, kiedy stwierdził, że zatruta atmosfera wyczekiwania potrafiła nawet takiego Johna Adamsa skłonić do nikczemności.

Dowiedział się bowiem drogą okrężną przez sekretarza swego de la Motte, że mister Adams wyraził się o nim bardzo nieprzyjaźnie, i to do pana Marbois, który był jednym z sekretarzy hrabiego Vergennes. Mister Adams pokpiwał sobie z goryczą z tego, że Paryż czci doktora Franklina jako wielkiego ustawodawcę Ameryki. Cała Europa wierzy, że Franklin swoją elektrycznością zrobił rewolucję w Ameryce. Jest to nonsens. Nie potrafił nawet stworzyć konstytucji, nawiasem mówiąc żalostnej, dla swego rodzinnego stanu Pensylwania. Była również mowa o nieprawych dzieciach doktora; mister Adams oświadczył, że niezależnie od wyjątkowych zdolności literackich i naukowych Franklina, nie wolno zapominać o jego wielkich błędach.

Choć Franklin znał dobrze ludzkie słabostki, nie liczył się z takim uderzeniem ze strony Johna Adamsa. Gniewało go i trapiło, że delegat Kongresu, człowiek poważny, w ten sposób oczernia kolegę przed wysokim urzędnikiem francuskim.

Wzdychał do tego, by się tamtych pozbyć. Ostrzegał sam siebie przed złudnymi nadziejami, ale czy poseł francuski za oceanem nie przemawiał za nim? W głębi duszy liczył na to, że zostanie mianowany jedynym pełnomocnikiem.

Wówczas to na te piękne perspektywy padł cień jego syna.

W ciągu ostatnich miesięcy William zachowywał się spokojnie. W drodze wymiany dostał się na terytorium angielskie. Teraz siedział w Nowym Jorku, był przewodniczącym Stowarzyszenia Lojalnych Amerykanów, udzielał rad angielskim urzędnikom i oficerom, wygłaszał pompatyczne przemówienia, że znakomita większość kolonij jest niezepsuta i zachowuje niezłomną wierność angielskiemu królowi. Wszystko to było równie nieszkodliwe, jak

zbyteczne. Niestety, zgodnie z oczekiwaniem Franklina gazety angielskie gloryfikowały gadaninę Williama w pompatycznych artykułach i wygrywały wierność syna przeciw zdradzie buntowniczego ojca. Te angielskie artykuły były niewątpliwie wodą na młyn jego wrogów w Filadelfii i z pewnością wielu nie będzie już w nim widziało człowieka, który przyczynił się do sojuszu z Francją, tylko ojca zdrajcy. Znalazły się przeciw niemu nowe argumenty i Kongres ma nowy pretekst, by odsunąć decyzję.

Młody William i de la Motte wymyślali gwałtownie na politykę zwlekania, na karygodną powolność Kongresu. Franklin natomiast reagował tylko łagodną ironią i głęboko w sercu zamykał niezadowolenie i zniecierpliwienie.

Leżał teraz w swej wannie, młodzi panowie siedzieli na drewnianej pokrywie, pełni goryczy, że poczta, która nadeszła wczorajszym statkiem, nie przywiozła żadnej wiadomości od Kongresu. A stary kazał sobie dolewać gorącej wody i opowiadał im historyjkę o króliku i żółwiu.

- Złamał kiedyś królik nogę. - Zrób mi tę łaskę - powiedział do swego przyjaciela żółwia - pobiegnij do doktora i przynieś mi trochę ziół leczniczych. - Żółw skinął głową. Królik cierpiał, leżał i czekał. Czekał długo. Wreszcie następnego dnia wieczorem zjawił się żółw. - Czy nie mogłeś pójść wcześniej do doktora? - biadał królik. - Jeżeli tak do mnie mówisz - odpowiedział żółw - nie pójde wcale.

Wśród tego wyczekiwania i nieprzyjemności spotkała Franklina wielka radość. Wrócił mały Beniamin; rektor internatu genewskiego na kłamał, chłopiec rozwinął się wspaniale. Doktor słuchał z przyjemnością, jak mały pięknie i biegle parluje po francusku, jak ma oczy otwarte na wszystko, jakie rozsądne, wcale nie dziecinne wydaje sądy. Okazywał również żywe zainteresowanie sztuką drukarską Franklina i szybko przyswajał sobie to, co mu dziadek tłumaczył.

Madame Helvetius z miejsca przywiązała się do chłopca i w swój hałaśliwy sposób podkreślała ciągle, jak dziadek i wnuczek są do siebie podobni.

Mały Benjamin przypomniawszy Franklinowi ukochanego synka Francisa, który umarł mając lat cztery. Było to czterdzieści dwa lata temu. Doktor żartował sobie często z zaślepienia rodziców na punkcie swoich dzieci, ale mały Franky był chłopcem wyjątkowo ładnym i mądrym; przyjemność sprawiało patrzenie na jego jasne loki i wielkie oczy. Było to rzeczywiście wyjątkowe dziecko.

Franklinowi nieczęsto się coś śniło, właściwie tylko dwa sny ciągle się powtarzały. W jednym postanawiał nie pocić się, by inni nie widzieli, że się boi; ale w swoim granatowym, ciężkim welwetowym ubraniu siedział blisko ognia; nie mógł się odsunąć. Ze wszystkich sił starał się nie oblewać potem, ale na próżno, pocił się coraz mocniej. W drugim śnie podnosił swego małego syna Franky wysoko ponad głowę, mały wrzeszczał i pisał z radości. Był niezwykle lekki, Franklin cieszył się, że chłopiec jest taki lekki. Franky stawał się coraz lżejszy, nagle niknął, a Franklin stał i patrzył przed siebie z głupią miną, stropiony.

W tym okresie, zapewne dlatego, że wciąż spoglądał na Beniamina, często powracał ów drugi sen; trudno byłoby mu powiedzieć, czy się tym cieszył, czy martwił. W ciągu dnia również często myślał o swoim synu Franky. Często wspominał również jego matkę Deborę, swą zmarłą żonę.

Miała ją wyraźnie przed oczami. Stała i patrzyła na niego z dumnym, zakłopotanym uśmiechem na pulchnej, okrągłej, białoróżowej twarzy. Zawołała go na śniadanie i oto nagle zjawiała się porcelanowa filiżanka na mleko, a obok niej srebrna łyżka. Dotychczas używał łyżki cynowej, pił z glinianego kubka za dwa pensy. Kupiła kosztowne nakrycie poza jego plecami. Kosztowało to dwadzieścia trzy szylingi;

kiedy zaczął nieco zrzedzić, oświadczyła, że nie może zrozumieć, dlaczego mąż jej nie ma mieć takiej samej srebrnej łyżki i porcelanowej filiżanki jak jego sąsiedzi. Stała przed nim krzepka, nieco rubaszna, to prawda, ale był z niej kawał dorodnej, rezolutnej baby i któż w gruncie rzeczy lepiej od niej rozumiał liczne jego drobne zachcianki? Jak dumna była wtedy, kiedy wprowadzono ustawę o cłach ochronnych, kiedy chodził ubrany od stóp do głów w wełnę i płótno sporządzone jej własnymi rękami. A jak umiała targować się i użerać przy kupowaniu szmat dla jego fabryki papieru. Wygłaszał kazania na temat oszczędności, ale w istocie był od niej daleki i gdyby żona nie trzymała pieniędzy mocno w garści, wyrzucałby je na głupstwa.

Dobrze byłoby mieć kogoś takiego jak Debora. Finck jest doskonałym kamerdynerem, ale dom mógłby wyglądać przyjemniej. Życie bez kobiet nic nie jest warte. Czuł to dziś, mając lat siedemdziesiąt dwa, równie dokładnie jak wtedy, kiedy miał lat siedemnaście. Najwyższa Istota obdarzyła człowieka popędem erotycznym; jeżeli uważało się czasami ów popęd za coś poniżającego, było to fałszywe. Z uśmiechem wspominał dobre, rubaszne dowcipy, w których chwilami dawał upust swej sile i żądzy, ów list na przykład z zuchwale przekreśloną łaciną Tomasza a Kempis. „In angulo cum puella” względnie: „In angulo puellae”. Również jego rozprawa, dlaczego kochanka starsza przewyższa młodszą, miała swą logikę i swe zalety. Nie wierzył w miłość romantyczną ani tym bardziej w platonicką.

Człowiek sam jest istotą nie dokończoną, na podobieństwo połowy nożyc. Franklin czuł się zmęczony i samotny. A jeśli go odwołają do kraju, w którym ma opinię dziwkarza, obłudnika i bezbożnika, czy nie będzie tam jeszcze bardziej samotny?

Tu, we Francji, kochają go i poważają. Chłopcy założyli trzecią z kolei teczkę, w której umieścili hołdy wyrażone mu wierszem i prozą oraz rysunki panegiryczne. Chce pozostać tutaj, dobrze zrobi, jeżeli zawczasu przygotuje sobie argumenty na wypadek, gdyby Kongres miał zakwestionować dotychczasowe.

Wieczór spędził w Auteuil, u pani Helvetius. Przy jej suto i niedbale zastawionym stole czuł się lepiej niż u siebie w domu. Tu troszczono się tkliwie o jego potrzeby, słabostki i życzenia. Gdy innych gości częstowano pieczeni cielęcą, jemu podawano smakowitą potrawę z mielonej kury, stosowną dla jego przerzedzonych, wrażliwych zębów. A do owoców i ciastek dostawał bitą śmietaną, taką, jaką lubił, gęstą, słodką i mocno ubitą.

Po obiedzie panny Helvetius śpiewały jego ulubione pieśni szkockie, księża robili dowcipy, opowiadali liczne anegdoty, każdy cieszył się otoczeniem i sobą samym. W dalszym ciągu wieczoru doktor gawędził sam na sam przy kominku z panią Helvetius, jak do tego przywykli. Pani Helvetius, dama dobrze powyżej pięćdziesiątki, siedziała w fotelu, wypełniając go po brzegi, otyła, biała i różowa, niestarannie uszmkowana, z jasną, niedbale ufarbowaną stertą włosów. Ale dla doktora lśniła swym dawnym, przez wielu podziwianym blaskiem. Trajkotała, zadowolona i pewna siebie, donośny jej, radosny głos, impulsywny sposób bycia, cała jej istota i całe zachowanie dobrze wpływało na doktora. Była przedziwnym połączeniem tego, co ceniał w swej spokojnej, swojskiej Deborze i po parysku wyrafinowanej pani Brillon.

Nie bacząc na swą obolałą nogę podniósł się, stanął za nią, pochylił się nad jej fotelem. Przelotnie, na pół pogodnie, na pół z zakłopotaniem pomyślał, że pani Helvetius, trzymająca na kolanach swego pieska, i on, pochylony nad nią, mogliby

tworzyć jedną z grup, podobną do wielu porozwieszanych tutaj swawolnych sztychów.

- Co by było, Mario Felicjo - powiedział nagle - gdybyśmy się tak troszkę pobrali?

Podniosła głowę nie ukrywając wielkiego zdziwienia.

- Czy pan mówi serio? – zapytała.

Franklin, dobierając z trudem francuskie słowa, odpowiedział:

- Jeżeli pani tego nie chce, nie mówię na serio, jeżeli pani chce, mam zupełnie poważne zamiary.

Milczała. Na jej szerokiej, uszmińkowanej twarzy pojawił się wyraz rozmarzenia, machinalnie głąskała trzymanego na kolanach pieska. Patrzył na jej piękne, pełne ramię, na małą, wciąż jeszcze dziecinną rękę. Cichym głosem, rzeczowo, wbrew swym zwyczajom, niemal zawstydzony, tłumaczył jej swoją sytuację.

- Jeżeli, co jest bardzo możliwe, w niedalekiej przyszłości zostanę odwołany z mego stanowiska, stanę przed trudnym zagadnieniem. Czy mam wracać do Filadelfii? Czy mam porzucić kraj, w którym znalazłem tyle zrozumienia, tyle przyjemności zewnętrznych i wewnętrznych, które rozgrzewają mi serce? Kraj, w którym mieszka pani, Mario Felicjo. Przez jedno małe pani „tak” zagadnienie byłoby rozwiązane.

Wolnym ruchem zdjęła z kolan pieska i wstała. Z zakłopotaniem, które czyniło ją znacznie młodszą, uśmiechnięta i wyraźnie do głębi poruszona, wskazała na jeden z wielu portretów swego Klaudiusza Adriana Helvetiusa.

Franklin odpowiedział z większym ożywieniem niż zazwyczaj:

- Mąż pani, mój przyjaciel Helvetius, był wielkim człowiekiem. Jeżeli kto, to właśnie on zrozumiałby, dlaczego tęsknię za tym, by żyć razem z panią. Był wielkim filozofem i

z pewnością pochwaliby to. Czyż pani sama, Mario Felicjo, nie powiedziała mi, że przed śmiercią zaklinał, by pani używała życia?

Pani Helvetius, ciągle uśmiechnięta, nie patrząc na niego odpowiedziała:

- Niech pan mówi dalej, drogi, czcigodny wielki człowieku. Słucham pana bardzo chętnie.

Przedstawiał jej w lekkich, wytwornych, rozsądnych słowach, że przecież lubią oboje te same rzeczy, tych samych ludzi, ten sam tryb życia. W pewnym momencie przerwał, zaczął się użalać:

- Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, ubolewam nad moją mizerną francuszczyzną. Chciałbym powiedzieć pani to wszystko o wiele piękniejszymi słowami, mniej niezgrabnie.

- Pańska francuszczyzna nie jest zła - odpowiedziała. - Pani Brillon nauczyła pana dobrze mówić po francusku. - I ociągając się, z uśmiechem, delektując się każdą sylabą, po raz pierwszy wymówiła jego imię: - Benjamin.

Nikt nigdy jeszcze nie nazwał go tak po francusku, więc z trudem zrozumiał swe imię. Twarz jej i postawa mówiły jednak więcej niż słowa i był przekonany, że ją zdobył. Serdecznie, nieco uroczyście ujął jej rękę i podniósł do ust.

Serce biło jej mocniej na myśl, że potrafiła tak głęboko oczarować tego człowieka, którego jej przyjaciele cenili najwyżej spośród żyjących.

- Wszystkiego tego słucha się tak cudownie, mój przyjacielu - powiedziała - i przyznaję, że podoba mi się to niezmiernie. Ale, przebiegły staruszek, wiem dobrze, powtarzał mi pan to często, że nie kłamiąc, potrafił pan tak manewrować słowami, by obudzić w słuchającym wiarę w ich prawdziwość. Dlatego muszę wszystko dobrze rozważyć i musi mi pan zostawić czas do namysłu.

Pojechała do swego przyjaciela Turgot i opowiedziała mu o propozycji Franklina.

- To jeden z jego konceptów - orzekł Turgot z miejsca w sposób zdecydowany i negatywny.

- Ależ nie, Jakubie Robercie - odpowiedziała żywo - mówił zupełnie, ale to zupełnie serio.

Turgot pamiętał, jak go odrzuciła po raz pierwszy, kiedy był młody i biedny, po raz drugi, kiedy zdobył już bogactwo i zaszczyty. Ten gwałtowny i wrażliwy człowiek cierpiał nad tym dziś jeszcze.

- I cóż pani odpowiedziała? - zapytał, przy czym jego piękna, poorana zmarszczkami twarz zasepiła się jeszcze bardziej.

- Poprosiłam o czas do namysłu - odrzekła.

- Co? - zawołał gniewnie. - Pani nie dała mu od razu po głowie? Czas do namysłu? Pani oszalała?

- Jest pan zawsze równie brutalny, Jakubie Robercie - poskarżyła się dziecinnie. - Przecież to, że doktor Franklin chce mnie poślubić, jest zaszczytne i pociągające.

- Zaszczytne? Pociągające? - wybuchnął. - To niesmaczne, to obłęd, zupełny nonsens. Gdyby ktoś inny, kto tak wygląda jak on, jakiś zwykły sobie mister Brown czy mister Smith przyszedł z podobną propozycją, wyśmiałyby go pani po prostu.

- Ale to nie jest żaden mister Brown - odpowiedziała - lecz właśnie doktor Franklin.

Turgot chodził gniewnie po pokoju.

- Kiedy słyszę panią mówiącą w ten sposób - powiedział - nie rozumiem, jak to się dzieje, że od czasu do czasu próbuję rozmawiać z panią serio. Czy nie widzi pani sama, że na taką propozycję szkoda nawet jednego słowa? Ale - zakończył z goryczą - panią olśniewają pieniądze i sława.

- Tego panu mówić nie wolno, Jakubie Robercie - odrzekła. - Pomimo wszystkich swoich zastrzeżeń nie może pan

zaprzeczać, że mój Klaudiusz Adrian był nie tylko bogaty i sławny, ale że był przede wszystkim najbardziej uroczym człowiekiem we Francji.

Milczał przez chwilę.

- A jednak tak jest - powiedział. - Dlatego że poślubiła pani kiedyś człowieka, który był w pani oczach najślawniejszym filozofem świata, chce pani wyjść teraz za najślawniejszego na świecie męża stanu. Niechże pani otworzy oczy, Mario Felicjo. Brak samodzielnego sądu, dziecinna radość, jaką sprawiają pani zgiełk i blask zepsują pani wieczór życia.

Siedziała przed nim jak trusia, zażywna i wcale jeszcze młodo wyglądająca.

- Obawiam się - przyznała - że coś przemawia przeciw temu małżeństwu. Ale tak chciałabym żyć z nim razem. Niechże mi pan wytłumaczy, Jakubie Robercie, dlaczego miałyby to być takim nonsensem.

- Szanuję Franklina, kocham go, jestem jego przyjacielem - powiedział po namyśle. - Tak się składa nieszczęśliwie, że w sprawach bliskich jego sercu muszę, nie po raz pierwszy zresztą, powiedzieć „nie”. Nie tylko on dziś jeszcze ma mi za złe, że swego czasu nie dałem pieniędzy Amerykanom. Ale przecież nie wolno mi było dać - gorączkował się. - Ameryka musiała...

- Już nieraz mi pan to tłumaczył - próbowała skierować go na właściwy temat,

Zamilkł. Potem powiedział z wymuszoną cierpliwością, jak do dziecka:

- Jeżeli wyjdzie pani za niego, będzie pani musiała zmienić całe swoje życie. Pomyślała pani o tym?

- Ależ dlaczego? - zapytała zaskoczona. - Lubi tych samych ludzi co ja, prowadzi taki sam tryb życia.

- Poseł amerykański - tłumaczył jej - nawet zwracający tak małą uwagę na pozory jak Franklin, nie mógłby zapraszać do

swego domu bardzo wielu ludzi, na których pani zależy, musiałaby natomiast przyjmować u siebie bardzo wiele osób, których pani nie chciałaby widywać. Musiałaby pani zrezygnować z wielu ludzi i wielu spraw. Na każdym kroku musiałaby pani pytać siebie i jego, czy to stosowne, czy nie. Damie tak samowolnej jak pani niełatwo będzie pogodzić się z tym, że salon jej zamieni się w europejską agenturę Stanów Zjednoczonych.

Zastanawiała się.

- A może doktor zostanie odwołany - powiedziała po chwili, pełna nadziei. - A jeżeli jego stanowisko byłoby istotnie przeszkodą dla naszych wzajemnych skłonności, może przecież ustąpić z własnej woli.

- Cóż też pani sobie imaginuje - ofuknął ją. - Czy sądzi pani, że Franklin wahałby się choć chwilę, gdyby musiał wybierać pomiędzy panią i Ameryką? Kiedy się ma ponad siedemdziesiątkę, człowiek przestaje być romantykiem. A Benjamin Franklin w najwcześniejszej swojej młodości nie był nigdy tak młody, by sens swego istnienia poświęcać dla kobiety.

Zamilkła nadąsana, wyraźnie pod wrażeniem usłyszanych słów. Przekonywał ją w dalszym ciągu.

- Pan Helvetius również - powiedział - jak najsurowiej potępiłby to małżeństwo ze względów czysto rozumowych. I Franklin sam żałuje zapewne już dzisiaj tego, co pani powiedział wczoraj wieczorem. Jeżeli w ogóle źle go pani nie zrozumiała i wszystko to nie było jednym z jego dziwacznych dowcipów.

Wróciwszy do Auteuil pani Helvetius przechadzała się między portretami nieboszczyka swego męża, który, musiał to przyznać nawet Jakub Robert, był równie rozsądny, jak pełen radości życia. Doktor Franklin, Benjamin, miał z nim wiele cech wspólnych. Byłoby pięknie żyć z nim razem. Ale ona i

Klaudiusz Adrian byli młodzi i nietrudno im przyszło dostosować się do siebie. Doktor Franklin uchodził za człowieka, który pomimo całej swej łagodności musiał jednak w końcu postawić na swoim. Myślała o tym, że „poseł amerykański” poprosi ją czasami o to i owo, co jej się nie będzie podobało. Stała przed lustrem. Czuła się młoda. Ale czy była młoda, dostatecznie giętka, by się dostosować do kogo innego? Przez długie lata robiła tylko i wyłącznie to, co jej odpowiadało. Jeżeli dała kosza porywczemu Jakubowi Robertowi, było to podyktowane lękiem przed utratą samodzielności. Franklin był mniej porywczy, ale chyba nie mniej samowolny i uparty. Westchnęła.

Usiadła przy biurku. Napisała do Beniamina list na pół pogodny, na pół poważny. Jeżeli ktoś, pisała, mógłby zachwiać jej decyzją dochowania wierności ukochanemu, nieżyjącemu mężowi i pozostania wdową, to tylko Beniamin Franklin. Ale decyzja jej jest niezłomna i potrafi oprzeć się nawet tej pokusie. Popłakała trochę, złożyła list, zapieczętowała i wysłała.

Również i Franklin zastanawiał się, jakie byłyby dobre i mniej dobre strony jego małżeństwa z Marią Felicją. Widział ją przed sobą, tęgą, radosną, bardziej pełną wdzięku od mniej wprawdzie ubranych, ale mimo to surowych postaci kobiecych, które na rytych ku jego czci sztychach otaczały go, wieńcząc mu głowę. Potem myślał znowu, że Maria Felicja jest uparta i hałaśliwa, a także, że miałby o wiele mniej czasu na lekturę i rozmyślanie. Po chwili jednak przypomniał sobie, jak stała przed nim dziecinna, zarumieniona, jak go nazwała po imieniu. Jak uroczo wymówiła po francusku „Benjamin”, w jakiej miłej pozie i jakim głosem. Ale zaraz potem zaczął rozważać, że pełna temperamentu Maria Felicja o wiele burzliwiej mieszałaby się do jego spraw, aniżeli to kiedykolwiek czyniła jego Debsy. Argumenty za

małżeństwem równoważyły się z argumentami przeciw; jakkolwiek wypadnie decyzja pani Helvetius, przyjmie ją z filozoficznym spokojem i z najlepszej strony.

W takim był nastroju w chwili, gdy nadszedł jej list. Był zadowolony, że dążył do tego małżeństwa, i nie mniej zadowolony, że zostało mu ono oszczędzone.

List Marii Felicji bardzo mu się podobał. Zauważył liczne błędy stylistyczne i gramatyczne i pomyślał, że to jeszcze jeden rys wspólny, charakteryzujący i panią Helvetius, i jego Deborę. Pochlebiało mu również, że zrezygnowała z jego propozycji nie bez ciężkiej walki. Znowu wszystko ułożyło się wspaniale i cieszył się na myśl o przyszłym spotkaniu. Widzieć ją dwa, trzy razy w tygodniu było rzeczą miłą niż mieć ją co dzień przy sobie; przez pozostałe dni będzie się musiał zadowolić czcigodnymi, alegorycznymi damami ze sztychów.

Napisał jej w odpowiedzi:

„Decyzja Pani, najdroższa moja, spędzenia reszty życia w samotności przez szacunek dla pamięci drogiego męża Pani dotknęła mnie głęboko; nie mogłem prawie całą noc zmrużyć oka. Gdy wreszcie zasnąłem, nawiedził mnie sen. Śniło mi się, że umarłem i jestem w raju. Pytano mnie, czy chciałbym widzieć jakieś określone osoby. Zażądałem ludzi ze świata filozofów. - Dwóch mieszka nie opodal; żyją jak dobrzy sąsiedzi, są serdecznymi przyjaciółmi. - Któż to taki? - Sokrates i Helvetius. - Szanuję obu. Ale chciałbym naprzód zobaczyć Helvetiusa. Umiem trochę po francusku, językiem greckim zaś nie władam.

Helvetius przyjął mnie bardzo przyjaźnie. Wypytywał o tysiąc spraw, jaki jest przebieg wojny, jak się teraz przedstawia we Francji sprawa religii, wolności i rządu. - A o swoją ukochaną przyjaciółkę, o panią Helvetius - powiedziałem - nie pyta mnie pan? Kocha pana bezgranicznie. Właśnie u niej byłem. - Ach -

powiedział. - Przypomina mi pan dawne szczęście. Przez długie lata myślałem tylko o niej, ale w końcu pocieszyłem się i wziąłem inną kobietę, najpodobniejszą do niej, jaką mogłem znaleźć. Oczywiście nie jest tak piękna, ale ma również głowę na karku i humor, a poza tym jedynym jej pragnieniem jest umilenie mi życia. Przybędzie tu za chwilę, by mi na dziś wieczór przygotować nektar i ambrozę. Proszę zostać na kolacji, a przekona się pan. - Dawna pańska towarzyszka - odpowiedziałem - jest wierniejsza od pana. Otrzymała wiele pociągających propozycji małżeńskich, ale odrzuciła wszystkie. Ja sam, wyznaję to panu szczerze, byłem w niej zakochany do "szaleństwa. - Naprawdę żał mi pana - powiedział - dobra z niej kobieta, zasługuje na miłość.

Kiedyśmy tak gawędzili, zjawiła się nowa pani Helvetius z nektarem i ambrozą; proszę sobie wyobrazić moje zaskoczenie: była to moja dawna amerykańska towarzyszka życia, mistress Franklin. Nie zwlekając zgłosiłem pretensje, ale odpowiedziała chłodno: - Byłam panu dobrą przyjaciółką przez czterdzieści dziewięć lat i cztery miesiące. Prawie przez pół wieku. To musi panu wystarczyć. Teraz zawarłam tu nowy związek na wieczność.

Bardzo mnie rozgniewała ta rekuza mojej Eurydyki, więc opuściłem natychmiast niewdzięczną marę i wróciłem do tego poczciwego świata, by znowu zobaczyć słońce i Panią. Jestem tu, Madame, niechże Pani pozwoli, byśmy się zemścili".

Franklin odczytał swój list, roześmiał się: „Vive la bagatelle!" Dobrze, że wystąpił ze swoją propozycją, bardzo dobrze, że pani Helvetius ją odrzuciła.

Wieczór spędził u pani Brillon. Humor mu dopisywał, myśl, że jako mąż pani Helvetius z pewnością nie mógłby bywać tak często u swej przemiłej nauczycielki francuskiego, dodawała mu jeszcze animuszu.

Madame Brillon kazała przygotować kąpiel na dziesiątą, ale że byli w trakcie rozmowy, więc go nie puściła. Siedział jeszcze prawie dwie godziny na drewnianej pokrywie jej wanny i gawędził z nią wesoło.

Bezpośrednio po przedstawieniu Figara Vaudreuil wyjechał na wybrzeże, by objąć dowództwo armii inwazyjnej. Zastał wojsko w bardzo złym stanie, wyczerpane długim czekaniem. „Śmierć byłaby nie najgorsza - żalili mu się na różne sposoby oficerowie - bić się byłoby wspaniale, ale nuda to coś okropnego”.

Vaudreuil chciał wymusić rozkaz ataku. Nieraz w ciągu jednego dnia wysyłał do Wersalu po dwóch kurierów. Ale mimo gwałtowności i energii nie wiodło mu się lepiej niż jego poprzednikowi, staremu, spokojnemu markizowi de Castries. Wersal wynajdywał setki pretekstów, by odsunąć termin ataku, powoływał się na konieczność wypłynięcia korpusu ekspedycyjnego na morze, na nowy projekt wysłania wojsk do Senegalu. Vaudreuil wymyślał, groził, błagał. Nic nie pomagało. Układni panowie w Paryżu i Wersalu pozwalali mu miotać się jak w sieci. Siedzi w Bretanii, niech sobie pisze, aż mu spuchną palce.

Chcąc zabić śmiertelną, dławiącą nudę, oficerowie uprawiali coraz bardziej szaleńczą rozpustę. Grali w karty o wyższe stawki niż w Wersalu, dochodziło do dzikich orgii różnego typu, sądy miały pełne ręce roboty. Vaudreuil rzadko brał udział w tych rozrywkach. Zamieszkał na wsi, w pobliżu Brestu. Tu przy współudziale swoich najlepszych oficerów, opracowywał plany inwazji, wprowadzał coraz nowe zmiany do regulaminu ćwiczeń, by czymś zająć podległe mu oddziały. Pewnego południa, późnym latem, dotarła do jego wiejskiej siedziby wieść, że angielska flota zaatakowała okręty francuskie płynące do Brestu i że doszło do wielkiej bitwy.

Ale mimo przewagi nieprzyjaciela okrętom francuskim udało się ująć cało i wkrótce zawiną do Brestu. Szczególnie wyróżniła się fregata „Surveillante”, która zatopiła okręt wojenny „Quebec”.

Przy pomocy kamerdynera Baptysty i swego ordynansa Vaudreuil włożył galowy mundur i dosiadł konia, by pospieszyć do Brestu na powitanie bohaterów. Jadąc ostrym kłusem przybył do miasta w pół godziny, po czym musiał przedzierać się w zwolnionym tempie przez strome, kręte uliczki Brestu. Panowało tu poruszenie, opowiadano cuda o czynach dokonanych przez francuskie okręty, wojsko wraz z ludnością tłoczyło się w kierunku portu.

Vaudreuil dotarł do nadbrzeżnego bulwaru. Zatrzymał się i, nie zsiadając z konia, poprzez głowy tłumu wypatrywał okrętów. Było duszno, pot oblewał konia i jeźdźca. Wedle pogłosek „Surveillante” wysadziła „Quebec” w powietrze, ale na jej pokładzie wybuchł pożar, i kapitan, kawaler de Couedic, został ciężko ranny.

Na horyzoncie można było teraz dojrzeć „Surveillante”.

Płynęła wolno, otoczona kłębami dymu. Holowniki zaczęły robić przygotowania, by jej przyjść z pomocą. Jak wolno odbywa się wszystko tutaj! Vaudreuil nie miał zamiaru czekać dłużej, chciał podążyć naprzeciw zwycięskiej eskadrze, która dawała nową pożywkę jego nadziejom. Jeden z holowników miał za chwilę odbić od brzegu. Vaudreuil podjechał ku niemu, zaczął się rozglądać, komu powierzyć konia, z którym niechętnie się rozstawał. Myślał o pięknym posągu konnym swego stryja, marszałka de Vaudreuil. Przypomniało mu się, jak niedawno Gabriela, kiedy ruszał z grubasem na polowanie, szepnęła mu do ucha: „Wygląda pan na koniu jak wcielenie Marsa”.

Uznał, że przyjęcie zwycięzców inaczej niż na koniu nie byłoby godne żołnierza, wjechał więc konno na statek. Rozległy się okrzyki: „Niech żyje Vaudreuil!”

Pogoda była ciężka, duszna, bezwietrzna. Holownik sunął wolno ku „Surveillante”, która, przesłonięta chmurą dymu, zdawała się ledwie poruszać. Vaudreuil, ciągle na koniu wpatrywał się w okręt. Z daleka rozległa się ciężka detonacja, koń, od początku niespokojny, stanął dęba. Vaudreuil zmusił go do spokoju. Trwał tak w miejscu, męski, wspaniały, niezłomny. Odwrócił głowę i spojrzał na północ w kierunku wyspy brytyjskiej. Teraz, po zwycięstwie, grubas nie będzie mógł nadal przeszkadzać jego wielkiemu przedsięwzięciu. Vaudreuil wtargnie do Anglii na czele swej armii.

Rozległ się huk nowej eksplozji, tym razem z o wiele bliższej odległości. Koń jednym susem skoczył w morze.

Dużo potem wysuwano przypuszczeń, w jaki sposób tak dobry pływak jak Vaudreuil mógł utonąć. Przeszkadzały mu wysokie buty do konnej jazdy, przeszkadzał mundur z ciężkiego materiału; może koń, walczący z falami, uderzył go kopytem; tak czy inaczej marynarze, którzy z miejsca puścili się za nim w pław, nie mogli go uratować. Przez chwilę na powierzchni wody unosiły się jego kapelusz i rękawiczka, podczas gdy płonąca „Surveillante” zbliżała się powoli.

Wiadomość, w jak dziwny sposób zginął markiz de Vaudreuil, wywołała przygnębienie w Paryżu i w Wersalu.

Niedawno inny wybitny oficer francuski, generał major du Coudray, zginął w podobnym wypadku. Silas Deane zwerbował go do Ameryki; Coudray przedstawił się Kongresowi w Filadelfii, który zatwierdził jego nominację. W drodze do kwatery głównej, przeprawiając się przez rzekę Shuylkill, nie zsiadł z konia; koń skoczył z promu do rzeki i jeździec utonął.

Kiedy Vaudreuil objął dowództwo po starym generale Castries, spodziewano się ogólnie, że Francja zabierze się teraz serio do dzieła i zaatakuje swego odwiecznego wroga. Groteskowa śmierć dumnego męża rozwiązała te nadzieje.

Pierre był zasmucony. Spośród wielu pyszałków, których znał, Vaudreuil był największym, ale Pierre lubił go pomimo to. Z satysfakcją pokpiwał sobie z hrabiego Almavivy, ale równocześnie ze szczerym przekonaniem otoczył go na scenie wielkim blaskiem. Pierre ubolewał szczerze nad stratą umiłowanego i znieawidzonego, podziwianego i pogardzanego przyjaciela markiza Vaudreuil.

Był zdumiony, jak chłodno przyjęła Desiree wiadomość o wypadku.

Kiedy jej to zakomunikował, była przez mgnienie oka poruszona. Potem rzeczowym tonem powiedziała:

- I tak nic by nie było z jego inwazji. - Po chwili dodała:

- Jak na arystokratę był miłym człowiekiem; mniej głupi od innych, ale jeszcze bardziej zarozumiały. Jako kochanek nie należał do przyjemnych, zachowywał się, jak gdyby robił łaskę. Zmarł w odpowiedniej chwili. Spełnił swe zadanie: doprowadził do wystawienia Figara, i teraz żyje dalej jako Almaviva.

Klanik Liliowego Bzu czuł się osierocony. Książę Karol, który rzadko brał sobie coś do serca, był przybity. Stracił przyjaciela i nie znajdzie już w życiu podobnego. Francois Vaudreuil był dla niego zwierciadłem mody, uosobieniem galanterii i prawdziwie arystokratycznego trybu życia, należał do ludzi, za których radą można iść ślepo. Od jego śmierci książę Karol, sam bez wzoru i zwierciadła, musi reprezentować arystokrację francuską i wielkopański tryb życia.

Gabriela Polignac czuła się zdruzgotana. Z natury była leniwa i niełatwo było wzburzyć jej krew. Ale Francois potrafił ją

podniecać, zachwycała ją jego piękna, dzika twarz, elegancja jego postaci, jego ruchy, sposób mówienia, dowcip, męskość, zapach, sama jego obecność. Dopóki był na świecie, wiedziała, czym jest miłość. Płakała długo, cicho, bez końca. Mąż jej, Juliusz Polignac, rozumiał ją. - Straciliśmy wiele - powtarzał odczuwając, co się dzieje z Gabriellą.

Powstał niełatwy problem. Jak zakomunikować potworną wiadomość ciężarnej Toinette? Diana Polignac naradzała się z doktorem Lassone. Obawiała się, że gdyby wiadomość przekazała Gabriella, która sama tak była zaprzyjaźniona ze zmarłym, ból jej powiększyłby jeszcze bardziej wzruszenie Toinette. Lassone namyślał się, wreszcie wpadł na pewien pomysł. A gdyby tak powierzyć to zadanie pannie Mesnard? Łączą ją bliskie stosunki z brzemienną królową, zresztą lepiej będzie, jeżeli królowa dowie się o tym od panny Mesnard, a nie od kogoś obcego lub przypadkiem.

W imieniu przyjaciół królowej Lassone poprosił Desiree o wyświadczenie tej przysługi. Propozycja pociągała ją, była niemal rada, że zakomunikuje Toinette o śmierci wspólnego ich przyjaciela. Jakaś dziwna więź łączyła Toinette, Desiree, hrabinę Polignac i zmarłego. Okazało się, że nawet doktor Lassone należy do tego kręgu, gdyż ze śmierci markiza Vaudreuil wyciągał korzyści natury czysto osobistej. Desiree, jak sądzi, była z markizem mocno związana, teraz znikła główna przeszkoda stojąca na drodze jego pragnień. Ledwie zdążył podziękować Desiree za przysługę okazaną Klanikowi Liliowego Bzu, już na pół uroczyście, na pół żartobliwie ofiarowywał jej swą starczą rękę.

Desiree była na to przygotowana, wiedziała, że Lassone uczyni to kiedyś. Rozśmieszyło ją niemal, że groteskowy koniec markiza Vaudreuil dał mu do tego pretekst. Ale opanowała się, udawała zaskoczoną, wzruszoną, poprosiła o czas do namysłu.

- Czas do namysłu? Jak długo? - zapytał Lassone.

- Jeżeli będzie pan nalegał, drogi panie - odpowiedziała - zmusi mnie pan niestety do powiedzenia „nie”.

- Nie nalegam - zapewnił Lassone z pośpiechem. Toinette zbladła, kiedy Desiree zawiadomiła ją o zgonie markiza.

- To straszne - powiedziała. — Potworne.

Ale Desiree, którą życie nauczyło orientować się w uczuciach tych, co ją otaczali, dostrzegła, że zdarzenie nie tak głęboko dotknęło Toinette, jak się tego obawiał Klanik Liliowego Bzu. Miała nawet wrażenie, że Toinette odczuwa jakby ulgę.

Tak też było. Toinette opłakiwała bohaterską śmierć swego Francois, ale w głębi duszy, nie przyznając się do tego sama przed sobą, dziękowała Bogu za jego zrządzenie. Była zdecydowana zgodnie ze swą obietnicą ulec pragnieniom Francois. Wmówiła sobie, że wiarołomstwo w stosunku do słabego i politowania godnego Ludwika będzie mniejszym grzechem niż złamanie obietnicy, które tego wspaniałego żołnierza i arystokratę mogłoby doprowadzić do rozpacz, a może nawet do samobójstwa. Teraz Bóg ocalił ją od gorzkiego konfliktu obowiązków i uratował matkę delfina od wiarołomstwa. Ale nieszczęście pozostawało nieszczęściem. Na myśl o płomiennym dreszczu, który odczuwała, kiedy Vaudreuil ścisnął ją tak błogo i zuchwale, rozplakała się.

- Jakie to straszne - medytowała głośno. I dorzuciła po chwili:

- Jaka bohaterska śmierć! Strata to dla nas wszystkich ogromna. Cóż to był za wódz, jaki rycerz, jaki artysta! Czy i pani jest tego zdania, Desiree?

- Oczywiście, madame — odpowiedziała sucho Desiree.

- Trzeba mu urządzać pogrzeb na koszt państwa - postanowiła Toinette. - Idę do Ludwika.

I Ludwik, dowiedziawszy się o śmierci markiza Vaudreuil, widział w tym palec boży.

Haniebny pokój, podpisany w roku 1763, musi być przekreślony, to prawda, konflikt amerykański stworzył ku temu pomyślny pretekst. Ale Ludwik nie odczuwał nienawiści do swego kuzyna w Saint-James i uważał za rzecz nieprzyzwoitą napadać nań w Anglii. Bardziej rycerskie będzie przeniesienie starcia na dalsze krańce świata. Z drugiej strony nie przystoi królowi francuskiemu powiedzieć po prostu „nie”, kiedy jego generałowie domagają się gwałtownie inwazji. Teraz Vaudreuil, najgwałtowniejszy jej rzecznik, wpadł do morza, a wraz z nim zginęły jego plany. Teraz wyśle się bez wielkiego pośpiechu korpus ekspedycyjny do Ameryki, wojska skonsygnowane na wybrzeżach północnych zostaną wysłane do Afryki, do Senegalu. Obie ekspedycje w godny sposób zmuszą imperium brytyjskie do zachowania właściwej miary.

Ludwik także trapił się, jak Toinette przyjmie wiadomość o śmierci przyjaciela; kiedy więc przyszła do niego nie manifestując zbyt wielkiego żalu, odetchnął z ulgą. Mówiła o tym, jakie to pocieszające, że Vaudreuil zginął śmiercią bohaterską w przededniu wyprawy wojennej na Anglię, która była zawsze jego marzeniem.

„Kto mu kazał wjeżdżać konno na okręt?” - pomyślał Ludwik w skrytości ducha. Ale nie wypowiedział tej myśli na głos, pogłaskał tylko Toinette ze słowami:

- Tak, szkoda naszego markiza.

Toinette dała wyraz przekonaniu, że Ludwik nada zmarłemu błękitną wstęgę i każe go pochować na koszt państwa. Ludwik uważał to za śmieszny przesadę, ale nie chcąc drażnić bolejącej Toinette, odpowiedział:

- Tak, madame. To dobry projekt.

Pogrzeb odbył się z całym przepychem, na jaki Wersal mógł się zdobyć. Oprócz dworu wzięli w nim udział ministrowie i posłowie. Wiele kobiet płakało głośno, Gabriela Polignac

okazywała również więcej bólu, niż pozwalały dobre obyczaje. Książę Karol pomimo wysiłków nie mógł opanować wzruszenia, Juliusz Polignac zalewał się łzami.

Maurepas i Franklin przywitali się z godnością i smutkiem, jak tego wymagały okoliczności. Maurepas napisał epigramat na śmierć markiza Vaudreuil, Franklin ułożył dla niego nagrobek; treść obu dziełek szeptano sobie na ucho; Maurepas uważał, że wiersze jego wypadły lepiej niż proza Franklina. Obydwaj panowie uśmiechali się do siebie, mrużąc oczy. We wzroku ich było radosne, niewidoczne dla innych wzajemne zrozumienie.

Pod osłoną „L'Orfraye”, który swego czasu zarekwirował admirał d'Estaing, płynęło dziesięć statków. Wszystkie te statki straciwszy towarzyszący im okręt wpadły w ręce Anglików. Uważano zgodnie, że w związku z tą stratą firma Hortalez ma prawo do odszkodowania, ale nie było zgody co do wysokości straty. Większość tych statków pozbyła się części swego ładunku w Indiach Zachodnich, poza tym „L'Orfraye” nie mógł towarzyszyć każdemu statkowi podczas całej jego podróży. Oto argumenty, którymi urzędnicy Ministerstwa Finansów odpierali pretensje Beaumarchais'go.

Pierre przeczuwał, że za tymi nowymi wykrętami kryją się instrukcje z góry. Gdy zapytał o to hrabiego Maurepas wprost, premier odpowiedział z uśmiechem, że już podczas miłego spotkania w „Redoute Chinoise” mówił mu, iż przez robienie zbyt wielkiego hałasu Pierre naraził sobie Koronę; niechaj się więc teraz nie dziwi, jeżeli ta Korona nie kwapi się z wyrzucaniem na niego pieniędzy.

Utworzono wreszcie komisję, do której weszło trzech generalnych dzierżawców podatków; mieli ustalić, jakie są straty firmy Hortalez i jak wysokie ma być odszkodowanie. Panom dzierżawcom nie śpieszyło się. Żądali dowodów na

piśmie, które trzeba było sprowadzać z Indii Zachodnich, nawet z Ameryki. Było do przewidzenia, że w takich warunkach upłyną miesiące, a może i lata, zanim komisja poweźmie decyzję. Pierre prosił o jakąś zapłatę ryczałtową. Jednakże Ministerstwo Finansów króla Francji zajęło takie samo stanowisko jak Kongres w Filadelfii: dopóki nie została ustalona wysokość pretensji, nic się nie wypłaca. Po długich perypetiach Vergennes dał wreszcie Caronowi tytułem zaliczki śmieszłą sumę stu pięćdziesięciu tysięcy liwrów.

Nieznani przeciwnicy robili wszystko, by miasto dowiedziało się o trudnościach finansowych Beaumarchais'go.

Wierzyciele zaczęli go coraz mocniej naciskać. Firma z wielkim trudem z dnia na dzień utrzymywała się na powierzchni. Maigron domagał się gwałtownie konferencji z Caronem. Pierre się wykręcał. Wreszcie Maigron zjawił się w domu przy ulicy Saint-Antoine i nie dał się wyrzucić.

Reprezentacyjna firma Hortalez, powtarzał Caronowi po raz dwudziesty, od samego początku trzymała się tylko dzięki temu, że Pierre przekazywał jej wielkie sumy z innych swoich przedsiębiorstw. Wskutek tego te skądinąd solidne i dochodowe przedsiębiorstwa przynoszą teraz także deficyt. Firma Hortalez staje się podobna do wrzodu, wysysającego powoli wszystkie przedsiębiorstwa pana Beaumarchais.

- Zamorskie dostawy - wołał Maigron wielkim głosem - dla ludzi, którzy nawet nie myślą za nie płacić, to obłąkany idealizm. Niechże pan pójdzie po rozum do głowy. Niech pan zrezygnuje z firmy Hortalez. Niech mi pan pozwoli ogłosić jej bankructwo.

Pierre sam wyznaczył sobie termin. Postanowił utrzymać firmę Hortalez do pierwszego września. Jeżeli do tego czasu nie wpłynie większa suma od Korony lub Kongresu amerykańskiego, przestanie się upierać. Pierwszy września minął. Trudno było coś powiedzieć na argumenty godnego

zaufania, szczerze mu oddanego Maigrona. Pchanie w firmę tak ogromnej sumy było posunięciem z gruntu fałszywym, utrzymywanie jej w dalszym ciągu graniczyło z obłądem.

- Niech się pan zgodzi, bym ogłosił bankructwo - nalegał ze spokojem i uporem Maigron.

Pierre, odwróciwszy się od niego, powiedział z ogromnym wysiłkiem:

- Zastanowię się przez noc.

Maigron był wstrząśnięty. Liczył się z tym, że Pierre, jak zawsze, powie „nie” i zwymyśla go. Na przestrzeni długich lat ich wzajemnej pracy był to pierwszy wypadek, kiedy olśniewający, zawsze pełen humoru szef zważył o swym szczęściu. Drewniana twarz Maigrona zadrżała, nerwowo bawił się ołówkiem.

- Wszystko będzie dobrze, monsieur - wykrztusił.

Ale Pierre stracił równowagę.

- Niech pan będzie rozsądny, Maigron - nalegał z ironią i rozpaczą, która tamtemu rozdzierała serce. — Nie ma w Paryżu drugiego człowieka, któremu wielki przedsiębiorca mógłby z takim spokojem powierzyć swoje interesy jak ja panu. Wiem, że pana zasypują ofertami. Niech pan przejdzie do Compagnie des Indes. Albo do Lenormanta. Niech pan opuści mój okręt, który nie ma już ani żagli, ani masztu. Wszędzie będzie panu lepiej. Dziękuję panu, Maigron. Proszę sobie poszukać mądrzejszego szefa.

Maigron obrzucił go złym spojrzeniem.

- Niech pan nie mówi głupstw - powiedział i oddalił się.

Pozostawszy sam, Pierre siedział przez chwilę przed swoim wspaniałym biurkiem, najwspanialszym meblem w królestwie, sporządzonym przez mistrza Lalonde. Suka Caprice tuliła się do niego, ale on nawet tego nie zauważył. Odczuwał pustkę i zmęczenie jak nigdy jeszcze. Czuł, że z chwilą gdy stracił przeświadczenie, iż cały świat do niego należy, jest zgubiony.

Ujrzał swą twarz w lustrze i po raz pierwszy uświadomił sobie, że nie jest już młody.

- Tonę - powiedział - tonę, idę na dno.

Przyszedł Gudin. Przestraszył się na widok przyjaciela.

- Co się stało, na miłość boską? - zapytał.

Pierre ożywił się: nareszcie jest ktoś, przed kim będzie mógł zademonstrować swą rozpacz.

- Nic nadzwyczajnego - odpowiedział z lodowatym szyderstwem. - Ktoś wyświadczył światu olbrzymią przysługę i za to świat wtrąca go w błoto.

- Oczywiście jest to zwykła kolej rzeczy - odrzekł historyk Gudin - i nie starczyłoby godziny, by wymienić nazwiska podobnie skrzywdzonych, poczynając od Demostenesa i Peryklesa, kończąc na Wolterze i panu. Ale cóż panu znowu takiego zrobiono?

- Jestem bankrutem.

Gudin doznał zawodu.

— Przecież był nim pan zawsze - powiedział.

— Ale teraz stałem się nim naprawdę - gorączkował się Pierre. - Nie mam złamanego grosza. Krzesło, na którym siedzę, pierścionek, który mam na palcu, nie należą do mnie. Jestem biedny jak mysz kościelna.

Gudin nie bardzo rozumiał. Kupiec jest dziś na wozie, jutro pod wozem, tak już bywa w tym zawodzie. Jakaś inna przyczyna, natury moralnej, musiała tym razem wstrząsnąć przyjacielem, tak zawsze pełnym otuchy. Z pewnością nikczemni Amerykanie znowu wymierzili mu jakiś cios. Na twarzy Gudina pojawił się wyraz współczucia.

- Zrobiłem to i owo dla Ameryki, czy nie? - zapytał Pierre z goryczą. - Przecież okręty „Ferragus”, „Eugenia”, „Teresa”, „Heureux”, „Mercure” przewiozły do Ameryki broń i materiał, który mnie kosztował sześć milionów liwrów. A może mi się to tylko śniło? Dla stanów Wirginia, New

Hampshire, Północna Karolina dostarczyłem ponadto towarów za trzy miliony. A może i to jest tylko płodem mojej wyobraźni? A „L'Orfraye” brał udział w bitwie pod La Grenade. Czyżby i to miało być złudzeniem? Jakąż za to dostaję zapłatę? Zabierają mi dach nad głową.

Pomimo całego współczucia dla Beaumarchais'go Gudin był zadowolony, że jest świadkiem historycznej sceny, która zajmie wspaniałe miejsce w jego „Opisie życia i sądów Carona de Beaumarchais. Powiedział ciepło:

- Osiągnął pan to, że wolność istnieje jeszcze na świecie. Tego nikt panu nie może odebrać. To historia. W skrzyni pańskiej leży podziękowanie Kongresu, nawet zawistny, jadowity Tacyt-Gibbon uznał wbrew swej woli pańskie zasługi. Uratował pan wolność, Pierre - zakończył mocno.

- I zszedłem przy tym na psy - odpowiedział Pierre. Po chwili twarz jego zmieniła się, wystąpił na niej dawny, żywy, dobroduszenie jowialny wyraz.

- Nie róbmy sobie nic z tego, mój Filipie - powiedział. - Cóż człowiekowi zostaje na świecie? Może tylko albo śmiać się, albo rozpaczać. Śmiejmy się więc.

Kiedy Gudin odszedł, Pierre nie śmiał się jednak. Wyciągnął ze skrzyni owe dokumenty, zaszczytne świadectwa własnych czynów: wyrok sądowy uwalniający go od „napiętnowania”, list dziękczynny Kongresu, rękopisy „ulotek”, Cyrulika, Figara. Ale widok ten nie potrafił go pocieszyć. Miał teraz lat czterdzieści osiem, ogromny szmat jego życia wypełniały troska i praca, częściej w interesie innych niż swoim, i oto stał znowu przed całkowitą katastrofą. Mógł udowodnić niezbitcie, że katastrofę tę spowodowała tylko i wyłącznie wina sojuszników, Stanów Zjednoczonych. Historia uzna to kiedyś, ale żył dziś, a myśl o hołdach potomności nie osładzała hańby, którą teraz wziąć musiał na siebie. Bankructwo bowiem firmy Hortalez będzie związane z upokarzającymi formalnościami,

wrócą dawne doświadczenia z okresu „napiętnowania”. Wielcy panowie będą go poklepywać po ramieniu i bawić się jego niedolą, ceremonia lever będzie smętna, a jeżeli Charlot zaprosi go wspaniałomyślnie na wytworne przyjęcie, zacznie potrząsać nad nim wielką głową i przypomni mu ze swym złowieszczym uśmiechem: „A co? Nie mówiłem?”

Następnego ranka zjawił się Maigron z wypełnionymi formularzami, które należało podpisać ogłaszając bankructwo. Kiedy Pierre sięgał już po pióro, Maigron rzekł:

- Muszę opowiedzieć panu jeszcze o rozmowie, jaką dziś w nocy miałem z panem Brunelet, wie pan, z tym Brunelet, który czasami występuje jako człowiek podstawiony przez markiza d'Aubespine.

Pierre odłożył natychmiast gęsie pióro.

- Możemy od niego wydostać pieniądze? - zapytał rozpromieniony.

- Byłby gotów - poinformował Maigron - dać pożyczkę na hipotekę domu przy ulicy Saint-Antoine.

Pierre doznał zawodu. Były już czynione próby obdłużenia domu, ale wpłynęły tylko niskie i ryzykowne oferty.

- To nam niewiele pomoże - powiedział.

- Pan Brunelet - informował z wahaniem Maigron - byłby skłonny dać sześćset tysięcy liwrów.

- Sześćset tysięcy liwrów? - zawołał radośnie Pierre. - Zrobione!

- Proszę zaczekać - stłumił Maigron jego zapał. - Oferta nieładnie pachnie. Pan Brunelet chce pożyczyć pieniądze tylko na dwa miesiące. Ale jako zastaw ma służyć wszystko, co się w domu znajduje: ruchomości, dzieła sztuki. Rzecz jasna, że pan Brunelet i człowiek przez niego podstawiony liczą na to, że zawładną domem.

- Za dwa miesiące - odpowiedział żywo Pierre - będę miał trzy razy tyle, ile trzeba, i z Ameryki, i z odszkodowań. Dwa

miesiące, sześćdziesiąt dni, sześćdziesiąt jeden dni. I pan się waha?!. Safandula z pana, Maigron. Wierny jak złoto, ale safandula. Przyjąłbym pożyczkę, nawet gdyby chodziło o termin miesięczny.

Pożyczkę przyjęto i zahip tokowano. Z sumy sześciuset tysięcy liwrów Pierre posłał natychmiast dwadzieścia pięć tysięcy jako honorarium dla rzeźbiarza Houdona.

Ludwik zwiedzał wystawę w Salonie. Oprowadzany przez artystów Greuze'a i Duplessis, wśród czołobitnego tłumu, oglądał malowidła i rzeźby. Nie bardzo interesował się sztuką, ale zaciekawiały go tematy wielu dzieł. Najszczerzej zachwycał się scenami rodzajowymi swoich artystów z Sevres. Na jednym z obrazów Pourrata jakaś stara kobieta spadała na szosę z wozu, wyładowanego po brzegi sprzętem domowym. „Biedna stara” - cieszył się Ludwik i śmiał się tak donośnie, że aż płótno obrazu zaczęło drżeć. Interesowały go również pewne widoki; korzystając ze swych rozległych wiadomości z dziedziny geografii pouczał oprowadzających go artystów o stanie zaludnienia miejscowości będących tematem obrazów, o kwitnącym tam handlu i przemyśle.

Doszli do niewielkiego gabinetu, w którym stały tylko trzy popiersia.

- Tutaj - oświadczył pan Greuze - umieszczone zostało to, co nasz Praksyteles, pan Houdon, stworzył w ciągu tego roku. - Pan Houdon trzymał się skromnie na uboczu.

Ludwik spojrział i sposepniał. W niewielkim półkolu stała tu wykuta w białym marmurze ta najbardziej przez niego znieawidzona trójka: Wolter, Franklin, Beaumarchais. Wszyscy ci trzej nie wyglądali wcale jak kacerze i buntownicy, przeciwnie, mieli wygląd dostojny i cnotliwy, można by ich wziąć za bohaterów starożytności. Lśniące oczy Woltera były pełne filuternej dobroci, głowę Franklina

cechowała prostota i mądrość, na twarzy Beaumarchais'go malowały się rozum i dobroduszny humor. Ludwik sapał mocno. By ukryć gniew, podszedł do popiersi i przyglądał się im oczami krótkowidza. Milczenie jego stawało się niemiłe.

- Nasz pan Houdon - słał rzeźbiarza pan Greuze - jest pierwszym artystą na świecie, który potrafił ożywić kamienne oczy.

A niezgrabnie zakłopotany Duplessis dodał:

- Tak, sire, największy artysta mocarstwa, którym wasza królewska mość włada, wyrzeźbił trzech największych pisarzy, jakich kiedykolwiek Paryż gościł w swych murach.

Słowa te jeszcze bardziej rozdrażniły Ludwika. Ale musiał zapanować nad sobą, powiedzieć coś.

- Wiem - zwrócił się do Houdona - że jest pan świetnym artystą. Byłem bardzo zadowolony z mego popiersia. Nie wymagał pan wielu seansów. No tak, no pięknie. - To powiedziawszy odwrócił się i ruszył w dalszy obchód.

W drodze powrotnej pograżył się w niedobrych myślach. Największy artysta epoki, jej Praksyteles, szukając najwybitniejszych głów, znalazł właśnie te trzy. „Najwięksi pisarze, jakich kiedykolwiek gościł Paryż”. A jego malarz nadworny Duplessis oddawał tej trójce hołd w jego obecności w sposób naiwny, bezwstydnym, nie troszcząc się o ich poglądy. Źle stoją sprawy jego rządów, jeżeli ci trzej uważani są za przedstawicieli jego epoki. Znaczyło to, że wszystkie jego rzetelne wysiłki nie wydały owoców.

Tego samego dnia książę de Fronsac, intendent Theatre Francais, złożył mu raport dotyczący jego resortu. Rosyjski następca tronu nie poprzestał na zdawkowych komplementach, które swego czasu wypowiedział pod adresem Beaumarchais'go. Po powrocie do kraju nie zapomniał o pięknej komedii, a może zachwycone damy z jego otoczenia przypomniały mu zabawnego autora. Tak czy

inaczej, wielki książę chciał teraz wystawić w Petersburgu komedię Szalony dzień, czyli Wesele Figara; ambasador rosyjski zwrócił się z polecenia swego rządu do intendenta Theatre Francais prosząc, by w związku z tym udzielił urlopu kilku swoim artystom. Pan Bibikow, intendent nadwornego teatru cesarskiego, czeka na zgodę, by udać się do Paryża.

Ludwik parsknął. Wśród trzech buntowników, których głowy musiał oglądać, nie mogąc ich porozbijać na drobne kawałki, najgorszy był ten Caron. Nie dość, że żył, ale był jeszcze stosunkowo młody. Ludwik miał uczucie, że Caron zadał mu gwałt i oszukał go. Człowiek ten wyłudził od niego drogą okrężną, poprzez brzemenną królową, zgodę na przedstawienie w Gennevilliers. Ludwik zastrzegł wyraźnie, by po Gennevilliers nie było już więcej mowy o tej buntowniczej, wyuzdanej sztuce. A teraz ten bezwstydnym drab wszczął nową intrygę, chowając się za spódnicę Katarzyny rosyjskiej.

- To nieprzyjemne - wykrztusił - to bezczelne żądanie. Co sobie ci Eskimosi wyobrażają? Czy mam zamknąć mój Theatre Francais po to, żeby oni się tą świńską sztuką bawili?

- Co wasza królewska mość każe mi odpowiedzieć wielkiemu księciu? - zapytał książę de Fronsac.

- Niech mnie panowie z Petersburga pocałują w tyłek - odpowiedział Ludwik niełaskawym tonem - proszę to wyrazić w uprzejmy sposób.

- Niełatwa to sprawa, sire — westchnął intendent.

- Wiem - przyznał Ludwik. - Ten Caron wpakował nas w obrzydliwą sytuację.

- Moglibyśmy - zaproponował pan de Fronsac - odrzucić prośbę Rosjan, gdybyśmy sami zagrali tę komedię. Wielki książę zrozumiałby, że potrzebni są nam nasi artyści.

- Nie chciałbym chwycić się środków tak drastycznych tylko po to, by zachować pozory uprzejmości - odpowiedział

gniewnie Ludwik. - Niech sobie książkę zechce łaskawie przypomnieć, że powiedziałem „nigdy”.

Pan de Fronsac skłonił się.

Już następnego dnia pan Caron stanął znowu w poprzek drogi Ludwika. Tym razem swym wydaniem dzieł Woltera. Inne zabronione utwory były milcząco tolerowane, ale to wydanie szczególnie gniewało króla. Societe Litteraire et Typographique Beaumarchais'go natrafiło więc na największe trudności. Nie tylko w Paryżu, ale i na prowincji policja przeszkadzała najsurowszymi środkami rozpowszechnianiu dzieła. Pierre angażował jednak coraz to nowych agentów, przyznając im niezwykle wysokie prowizje. Ludwik dowiedział się z ostatniego raportu policyjnego, że w ciągu jednego dnia w samym Paryżu ujęto trzech wędrownych handlarzy, którzy nachodzili mieszkania zamożnych mieszczan, by im narzucić subskrypcję zabronionego wydania Woltera.

Ludwik wziął sprawę w swoje ręce. Poleciał panu Lenoir, by winnych przestępstwa zamknął nie na trzy dni, jak to było w zwyczaju, lecz na pięć tygodni, i zarządził, by raz na tydzień trzymano ich o chlebie i wodzie.

- Nauczę tego pana Caron i jego bandę - oznajmił pełen oburzenia - że przepisy cenzury Korony to nie żadna farsa. Nie pozwolę tańczyć sobie po głowie. Jestem z pana niezadowolony - zrobił wyrzut generalnemu prefektowi policji. - Jest pan zbyt miękki, mój panie.

Lenoir zwrócił uwagę, że przyznane mu sumy nie wystarczą na pilnowanie, by respektowano należycie przepisy cenzury.

- Przyznaję panu dodatkowo sto tysięcy liwrów - gorączkował się Ludwik. - Chcę, by się to rozprzeżenie skończyło - zaskrzeczał falsetem. - Zrozumiał mnie pan, co?

Nagle ogarnął go inny nastrój.

- Moi urzędnicy nie mają szpiku w kościach - biadał. I oświadczył smętnie zdumionemu generalnemu prefektowi policji: - Dojdzie jeszcze do tego, zobaczy pan, Lenoir, że ten Beaumarchais ze swoim Figarem stanie się silniejszy od pańskiego zakazu.

W dwa dni później Vergennes wymienił w swym raporcie nazwisko znienawidzonego pana Caron. W związku z ciężką sytuacją firmy Hortalez pan ten prosi o zaliczkę w wysokości pół miliona jako odszkodowanie za poniesione straty. Tym razem, raportował minister, sytuacja firmy jest istotnie bardzo kiepska; jeżeli będzie zmuszona do ogłoszenia bankructwa, należy obawiać się, że pan Caron opowie Paryżowi i całemu światu o jej kontaktach z rządem przed zawarciem sojuszu. Oświadczenie takie byłoby bardzo nie na rękę, dowodziłoby bowiem, że Wersal już przed laty złamał neutralność. Poza tym nie można zaprzeczyć, że firma Hortalez poniosła w Indiach Zachodnich wielkie straty. Reasumując minister popierał prośbę Beaumarchais'go.

Ale Ludwik był w złym humorze i odparł sucho:

.- Mam już dosyć tej wiecznej żebraniny pańskiego Carona. Od aferzysty, który spekuluje na tak olbrzymie zyski, można wymagać, by ponosił ryzyko. Oczywiście panu Caron odpowiadałoby bardziej, żeby on zgarniał zarobki, a żebym ja pokrywał straty. Nie jestem matołkiem, który daje się wyzyskiwać każdemu oczajduszy. A jeżeli ten drab zacznie grozić, to Korona ma przecież drogi i środki, by się uporać z krnąbrnym poddanym.

Sława, którą zdobył sobie Figaro, zanim jeszcze wystawiono go publicznie, wzbudziła zawiść i wrogość. Ukazały się ulotki przeciw jego autorowi, sam arcybiskup Paryża znalazł dla komedii słowa świętego oburzenia w swym liście pasterskim. Najzacieklejszym wrogiem był jednak abbe Suard,

utalentowany, wpływowy pisarz, członek Akademii. Najpierw mówił przed Nieśmiertelnymi o taniej erotyce współczesnego teatru, czyniąc liczne i niedwuznaczne aluzje do Figara. Potem zaatakował komedię w swym cieszącym się wielkim mirem „Journal de Paris” w dwóch długich, anonimowych, starannie opracowanych artykułach.

Kiedy pojawił się trzeci artykuł, znowu podpisany: „Abbe”, Pierre nie mógł się już opanować. Odpowiedział anonimowemu publicyście, za którym domyślał się abbe Suarda, listem otwartym, zamieszczonym w piśmie „Mercure”. „Jakież to figury - szydził - podają się dzisiaj za księży? Dawniej tytuł ten zdobił jedynie mężów świątłych i rozsądnych. Dziś trzeba wołać do każdego łobuza i półgłówka: «Cicho, księżu, precz, księżu!» Co właściwie, moi Panowie Anonimowi, chcecie osiągnąć przez publikacje swych głupstw? Chcecie mnie, człowieka, który po to, by doprowadzić do wystawienia swej sztuki, nie uląkł się walki z lwami i tygrysami, zepchnąć do roli posługaczki zabijającej ścierką nikczemne pluskwy?”

Mówiąc o „nikczemnych pluskwach” Pierre miał na myśli niskiego jak karzeł abbe Suarda. Jednakże artykuł, na który ciskał pioruny, ów trzeci artykuł, nie był dziełem małego księżyka, lecz bardzo otyłego, okazałego pana - księcia Ksawerego.

Księżę Ksawery, na ogół całkiem do brata niepodobny, nienawidził autora Figara tak samo jak Ludwik. Nie uważał za wykluczone, że ojcem przyszłego delfina, który miał go pozbawić korony, był Vaudreuil. Vaudreuil nie żył, więc nie można go było chłostać, ale żyły za to liczne jego kreatury. Nienawiść księcia Ksawerego rozciągała się również i na autora wyuzdanej komedii, do której wystawienia w swej głupocie zmarły się przyczynił. Księżę Ksawery poprosił

Lenoira o tekst sztuki, a ponieważ miał ambicje literackie, zaatakował utwór w piśmie abbe Suarda, „Journal”.

Teraz osiągnął to, że nazwano go w „Mercure” nikczemną pluskwą. Postanowił odpłacić za to zuchwalcowi, który go tak obraził.

Ludwik spotykał się z braćmi niemal codziennie; dokuczali sobie nawzajem, szydzili z siebie, godzili się z sobą i znowu zaczynali sobie dokuczać.

Tego wieczora Ludwik z Ksawerym grali w karty, w grę, którą w ostatnich latach zwykło się nazywać „bostonem”. Wspomnienie Bostonu i buntowników było oczywiście Ludwikowi niemiłe i w dalszym ciągu uporczywie nazywał go po dawnemu „l'hombre”. Ludwik i hrabia Gramont grali przeciw Ksaweremu i jego pierwszemu szambelanowi, panu d'Amoult. Ludwik był w bardzo dobrym humorze. Gra l'hombre była jedną z niewielu okazji, przy których nie dawał bratu pieniędzy, lecz mu je zabierał. Jego partner Gramont nie należał do dobrych graczy, ale pan d'Arnoult, partner Ksawerego, grał jeszcze gorzej, a poza tym był okropnym tchórzem i bał się wygrywać od Ludwika.

- Panowie są mi teraz winni luidora i trzy sous - powiedział Ludwik z zadowoleniem.

- Hm - odparł Ksawery. - Szczęście sprzyja ci dziś wieczorem, sire.

- Gram nieźle - powiedział Ludwik.

Ksawery uznał, że nadeszła odpowiednia chwila, by pomówić o bezwstydnym, zoologicznym artykule pana Caron. Przewornie nie wspominał o swoim własnym artykule, nie dotknął również sprawy pluskwy, natomiast dawał wyraz przypuszczeniu, że Caron mówiąc o lwie miał na myśli króla, słowa o tygrysie odnoszą się prawdopodobnie do Ksawerego, możliwe jednak, że tygrysem ma być królowa.

Ludwik myślał ze złością o amerykańskich interesach Carona, o wydaniu dzieł Woltera, o popiersiach Houdona. Ten drab psuje mu nawet tę partię l'hombre, w której znajduje tyle przyjemności. Opanował się jednak, grał spokojnie dalej, tak samo jak dotychczas, notował punkty wygrane i przegrane. Teraz jednak zaczął przegrywać.

- Jesteście mi panowie winni tylko osiem liwrów i cztery sous - powiedział. Grał dalej, przegrywał coraz więcej. Kiedy skończyli, zrobił ogólne obliczenie. - Mielście szczęście, Ksawery i panie d'Arnoult - oświadczył. - Dostajecie dwa ludory, trzy liwry, osiem sous - podał do wiadomości i zapłacił.

Ogarnęła go straszna furia. Przerastał tę parę Ksawery-d'Arnoult i jeżeli w końcu przegrał, to wyłącznie i jedynie dlatego, że myślał przez czas jakiś o tym Caronie.

- Czy słyszałeś, sire, co mówiłem o artykule owego Carona? - zapytał Ksawery.

- Owszem - odparł Ludwik.

- I przedsięweźmiesz coś przeciw temu panu? - zapytał Ksawery.

- Możesz się zdać na mnie - odrzekł Ludwik i z ponurą, zdecydowaną miną popatrzył na niego nieco błędnymi, szeroko rozstawionymi oczyma. Myślał o tym, jak to ten pan Caron nie daje mu spokoju z tą swoją bezwstydną, nikczemną sztuką; nawet Rosjan wpakował mu na kark, co już graniczy ze zdradą stanu.

- Jestem ciekaw twojej decyzji, sire - powiedział Ksawery.

- Nie będziesz na nią długo czekać - oświadczył Ludwik.

Wziął tabelę z rezultatami zakończonej partii l'hombre. Przegrał dwa ludwiki, trzy liwry, osiem sous.

- Otworzysz szeroko oczy, mój panie - oznajmił. I napisał na odwrocie tabeli: „Do generalnego prefekta policji. Natychmiast po otrzymaniu tego pisma proszę dać rozkaz

osadzenia pana de Beaumarchais w Bastylii". Ten drab miał odwagę zahaczyć nawet Bastylię, jego Bastylię. Nie, nie jest godzien przebywania tam. Przekreślił słowa „w Bastylii”, napisał nad nimi „w Saint-Lazare”. Saint-Lazare był to zakład poprawczy dla wykolejonych księży i młodocianych nicponiów z mieszczańskich rodzin; do najczęściej stosowanych środków wychowawczych należała tam różga; za każde złamanie regulaminu przewidziana była kara chłosty.

Ludwik z triumfującą miną pokazał zapisaną kartkę bratu Ksaweremu. Potem zakończył zgodnie z formułą:

„Bo taka jest nasza wola”, podpisał, zalakował starannie, przypieczętował pierścieniem, odesłał pismo.

W dzienniku swoim zanotował: „Zabiłem 13 zajęcy, 18 bażantów, 32 kuropatwy. Tłumaczyłem Gibbona, tom drugi, strony 118-120. Zgodziłem się na wyasygnowanie dla armii 33 317 436 liwrów. Nieposłuszny poddany Caron został ukarany”.

Pan Lenoir przyglądał się rozkazowi królewskiemu z zakłopotaniem. Zamknięcie Beaumarchais'go w Bastylii wywołałoby dosyć hałasu, ale posłanie oswobodziciela Ameryki, najbardziej czczonego w kraju autora, bohatera bitwy pod La Grenade, do zakładu w Saint-Lazare nie jest mądrym krokiem arcychrześcijańskiego monarchy, sprawi wiele kłopotu jego królewskiej mości, a także i jemu. Rozkaz był jednak jasny i niedwuznaczny.

Nazajutrz o dziewiątej wieczorem w domu przy ulicy Saint-Antoine zjawił się więc komisarz policji Chenu. Pierre siedział przy stole z Teresą; obecni byli poza tym stary książę de Richelieu, książę de Nassau, doktor Lassone i Desiree. Komisarz Chenu kazał poprosić Beaumarchais'go do przedsionka i zawiadomił go, że ma pójść za nim. Pierre zastanawiał się, co też znowu mógł przeskrobać. Nic nie

przyszło mu do głowy, wrócił do swoich współbiesiadników i zawiadomił ich, że niestety musi ich pozostawić samych, gdyż Wersal wzywa go w pilnych sprawach. Potem udał się z powrotem do komisarza policji i oświadczył, że jest do jego dyspozycji. Chenu zapytał uprzejmie, czy pan Beaumarchais nie chce pojechać powozem. Pierre odpowiedział z uśmiechem, że przecież dlatego zbudował swój dom na placu Saint-Antoine, żeby nie być za daleko od Bastylia. Oficer policji odpowiedział, że niestety nie wchodzi w grę Bastylia, lecz Saint-Lazare. Pierre pobałdł i powiedział:

- Na to nie byłem przygotowany.

Tymczasem weszło do przedsiionka całe towarzystwo. Widząc zmieszanie Beaumarchais'go zorientowali się, o co chodzi. Stary Richelieu zapytał oficera policji, który stanął przed nim na baczność, co się właściwie stało. Chenu po pewnym wahaniu wyjaśnił sprawę, Richelieu, potrząsając gniewnie głową, powiedział:

- Mam lat osiemdziesiąt dziewięć, ale czegoś podobnego jeszcze nie przeżywałem.

Desiree, blada i drżąca, wykrzyknęła:

- To nikczemność!

Chenu zreflektował ją poważnie, półgłosem:

- Nie słyszałem tego, działałem z rozkazu króla.

Teresa objęła męża. Nie płakała. Potem zawieziono go w jego wspaniałej karocy do zakładu poprawczego. Podczas jazdy nie umiał się opanować, wstrząsało nim nerwowe łkanie.

- Niechże się pan opanuje - pocieszał go komisarz. - Pan Lenoir polecił dobrze pana traktować. Nie ulega wątpliwości, że najgorsze zostanie panu oszczędzone.

Jeszcze tej samej nocy Gudin opisał w płomiennych słowach, w jaki sposób rozpoczęło się nowe prześladowanie jego wielkiego przyjaciela i z jaką godnością wziął on na siebie i to męczeństwo.

Ale następnego dnia Gudin doznał zawodu. Oczekiwał, że cały Paryż będzie oburzony i urządzi demonstrację w obronie swego największego syna. Ale paryżanie uważali za rzecz komiczną, że pięćdziesięcioletni niemal Beaumarchais siedzi w jednym zakładzie z wykolejonymi księżmi i młodymi nicponiami. Nieobliczalni mieszkańcy stolicy świata śmiali się tylko na całe gardło. Pojawiła się ogromna liczba karykatur oraz ironiczných wierszy. Jakiś drzeworyt przedstawiał braciszka klasztornego, który wymierza chłostę łobuzowi Caronowi.

Nadszedł dzień zwrotu hipotecznego długu ciężącego na domu przy ulicy Saint-Antoine. Pieniądzy nie było. Na pożyczkę, pod zastaw pretensji do rządu francuskiego lub należności amerykańskich, mniej było widoków niż kiedykolwiek. W obu wypadkach firma Hortalez zdana była na dobrą wolę króla, a uwięzienie Beaumarchais'go stanowiło jaskrawy dowód królewskiej niełaski.

Nikt z postronnych nie miał wstępu do zakładu Saint-Lazare. Maigrón naradzał się z Teresą i Gudinem, co robić. Wyjaśnił im, że jeżeli suma nie zostanie zapłacona, dom będzie pojutrze opieczętowany, a w trzy tygodnie później sprzedany drogą licytacji. Będzie to dla firmy Hortalez nowy, ciężki cios. Można by tego uniknąć, wyzbywając się Societe Industrielle de Chinon, ale ofiarowują za nią sumę o wiele niższą od wartości tego przedsięwzięcia.

Otyły Gudin nie mógł dłużej wysiedzieć na krześle; podniecony, z wypiekami na twarzy, biegał po pokoju. Może konieczność zlikwidowania interesów ma swoje dobre strony, wybuchnął wreszcie. Sam los wzywa Beaumarchais'go, by się przez czas jakiś poświęcił sztuce rymotwórczej. Sokrates odznaczył się między innymi jako znakomity żołnierz, ale nie zawdzięcza swej nieśmiertelności cnotom wojskowym. Również Pierre Beaumarchais mocniej podmuruje własną

nieśmiertelność, jeżeli na parę lat wycofa się z interesów i spędzi ten czas z muzą w swym pięknym domu, wśród książek i dzieł sztuki. Jako przyjaciel Beaumarchais'go i historyk, Gudin głosuje za tym, by dla ratowania domu przy ulicy Saint-Antoine poświęcić Societe Industrielle.

Teresa siedziała nieruchomo, jej piękna twarz z wysoko podniesionymi, śmiałymi brwiami miała wyraz bardzo ponury. Nowe rażące bezprawie, którego Pierre padł ofiarą, wstrząsnęło nią do głębi. Nie mogła zrozumieć, co było przyczyną, że tak nagle osadzono Beaumarchais'go w tym haniebnym więzieniu, ale była pewna, że zaważył tu na szali jego zapal, z jakim walczył o wolność i dobro ludzkości. Ci, którzy dokonali gwałtu, przeliczą się jednak. Pierre nie jest człowiekiem, który załame się pod nowym ciosem i zrezygnuje ze sprawy Ameryki. Teresa nie dopuści, by utracił swą firmę Hortalez dlatego, że został zamknięty i nie może pilnować swoich interesów.

- Myślę - powiedziała głębokim, spokojnym głosem - że likwidacja Societe Industrielle nie byłaby zgodna z intencjami mego męża.

- A więc wołałaby pani - zapytał chcąc się upewnić rzeczowy Maigrón - by jej zabrano dom?

- Tak - odpowiedziała Teresa.

Po dwóch dniach zjawił się pan Brunelet, właściciel sumy hipotecznej, w towarzystwie komisarza policji i dwóch egzekutorów sądowych. Pan Brunelet był małym, niepokaźnym człowiekiem. Prosił, by wolno mu było złożyć uszanowanie pani de Beaumarchais, wyciągnął długą listę zawierającą inwentarz ruchomości, poprosił uprzejmie Teresę, by mu była pomocna przy jego sprawdzeniu, gdyż jak się ku swemu ubolewaniu dowiedział, panu de Beaumarchais stanęły na przeszkodzie nieprzewidziane okoliczności. Teresa zgodziła się, ale posłała po Maigróna. Przyszedł również

Gudin; chciał na własne oczy widzieć haniebnny akt, by napełnić swe serce goryczą potrzebną dla dokonania opisu.

Przede wszystkim umieszczone zostały na głównym portalu pieczęcie - wielka, królewska, i mała, pana Brunelet. Podczas obchodzenia ogrodu Gudin nie mógł się powstrzymać od sarkastycznych uwag.

- Proszę nie zapomnieć odcisnąć stempla na gladiatorze, moi panowie. - Po chwili dodał: - A może byście jeszcze opieczętowali świątynię Woltera? W przeciwnym razie ktoś spośród milionów wielbicieli pana de Beaumarchais mógłby tę świątynię potajemnie włożyć do kieszeni i wynieść.

Pan Brunelet wzruszał tylko ramionami i zapewniał:

- Bardzo to dla mnie bolesne, madame. Serce mi pęka, ale jestem człowiekiem interesu.

Pan Brunelet udał się w towarzystwie policjantów i pełnomocników pisarza do wnętrza domu. Tam z wrzaskiem i pniąc się ze złości wypadła na nich Julia.

- Czy nie wystarczy wam — krzyczała — żeście wpakowali do waszej szcurzej nory najszlachetniejszego, najlepszego obywatela tego kraju? Chcecie jeszcze zrabować jego dom, jego ostatnią przystań, dokąd wróci chory i umęczony?

- Jest to dla mnie bardzo bolesne - odpowiedział pan Brunelet - ale pan de Beaumarchais, jako człowiek interesu, zrozumiałby mnie z pewnością.

- W dodatku drwi pan jeszcze ze mnie - szalała Julia. - Pierre nigdy nie skrzywdził żadnej wdowy ani sieroty, nigdy nie licytował domostw biedaków. - Gorączkowała się do tego stopnia, że komisarz policji zagroził interwencją. Gudinowi udało się wreszcie zaprowadzić szlochającą do jej pokoju.

W gabinecie Beaumarchais'go urzędnicy chcieli opieczętować skrzynię zawierającą dokumenty oraz szuflady z rękopisami.

- Byłabym panom zobowiązana, gdybyście panowie z tego zrezygnowali - powiedziała Teresa.

Maigron wyraził swym bezbarwnym głosem zastrzeżenie:

- Kwestionuję legalność postępowania panów. Teczki z rękopisami są wprawdzie wymienione w inwentarzu, ale nie dotyczy to samych rękopisów.

- Czy zdaje pan sobie sprawę - atakował Guđin pana Brunelet - że to, co pan tu robi, jest najstraszliwszym przestępstwem, jakie może popełnić śmiertelnik, znieważaniem sztuki?

- Zwracam panu uwagę - protestował dalej Maigron - że wniosę przeciwko panu skargę o odszkodowanie, gdyby pan zajął przedmioty nie objęte inwentarzem. Jestem upoważniony bronić interesów pana de Beaumarchais podczas jego nieobecności. Skoro nie mam dostępu do ważnych dokumentów, zostaje mi to uniemożliwione. Komisarz policji spojrział pytająco na pana Brunelet.

- Proszę zaczekać - powiedział pan Brunelet - chcę omówić tę sprawę z pewnym przyjacielem, biegłym w interesach. - Odjechał i po jakimś czasie wrócił z panem Lenormant.

Charlot przygotował na ten dzień liczne chytne kruczki.

Cieszył się, że wejdzie w posiadanie gladiatora, kominka i portretu Desiree, że będzie mógł oświadczyć Caronowi uprzejmie: „No cóż, czy nie przepowiedziałem ci tego, mój stary?” Może nawet byłby się zadowolił tymi trzema przedmiotami i pozostawił dom Caronowi. Teraz idiotyczne zarządzenie grubasa wywróciło wszystkie jego plany. Lenormant pragnął spotkania z Caronem w jego zbankrutowanej firmie lub w jego zbankrutowanym mieszkaniu prywatnym. Teraz cała przyjemność była zepsuta. Pozostało mu tylko zawładnięcie domem i pytał samego siebie, czy w ogóle pójść i sycić swe serce widokiem nakładania pieczęci. Był zbędny i w gruncie rzeczy mógł tylko szkodzić. Dlatego też nie wziął udziału w akcie zajęcia. Ale pozostawił sobie furtkę, oświadczając podstawionemu przez siebie panu Brunelet:

- Gdyby się wyłoniły trudności, proszę mnie wezwać. Ale tylko wtedy. - Trudności się wyłoniły, był to znak dany przez los, nie mógł się dłużej oprzeć pokusie i przybył.

Zapewnił Teresę ze staroświecką uprzejmością, że w tej bolesnej chwili odczuwa jako drobną satysfakcję, iż dane mu było być jej pomocnym i ochronić dom swego przyjaciela Pierrota od brutalnych zakusów. Na suche, szydercze, rzeczowe uwagi Maigrona i wściekłe ataki Gudina reagował ze spokojną, wyniosłą ironią. Po krótkiej chwili oświadczył, że to, co się znajduje w domu, jest w rękach madame pod najlepszą opieką i że ręczy za to swoją osobą. W ten sposób przeszkodził nakładaniu dalszych pieczęci.

Niestety nie odczuwał cienia choćby owej gniewnej radości, którą sobie obiecywał. Z ram portretu patrzyła nań ironicznie i chłodno Desiree, a na ramach tych lśniła pieczęć pana Brunelet. A więc miał ten portret, to wspaniałe, przepiękne płótno fenomenalnego malarza Quentin de Latour. Ale jakże pusty i żalorny był ów triumf, jak bezmyślnie przypłacił go stratą żywej Desiree.

Po odejściu Lenormanta i smutnego orszaku urzędników Julia przyłączyła się do pozostałych. Zapłakana i gniewna wskazała na portret Desiree.

- Jestem przekonana - powiedziała - że również za tym aresztowaniem i za tym czarnym dniem tkwi to przekłete babsko.

Maigron odpowiedział sucho:

- Myli się pani, mademoiselle. Wszystko to mamy do zawdzięczenia Ameryce.

Doktor Franklin dowiedział się z niemiłym uczuciem, że właścicielowi firmy Hortalez naprawdę noga się powinęła i że wierzyciele obłożyli aresztem jego dom. Po całym Paryżu opowiadano, że opieszałość Kongresu amerykańskiego spowodowała nieszczęście jego największego dostawcy.

Franklin naradzał się z kolegami. Mister Adams oświadczył chłodno, że bezpośrednią przyczyną katastrofy jest przecież aresztowanie Beaumarchais'go i nawet najzacieklejszy wróg Ameryki nie może za to winić Kongresu.

- W każdym razie nie można zaprzeczyć - odpowiedział Franklin - że pan Caron byłby jeszcze w posiadaniu domu, gdyby Kongres przyspieszył swe płaćności. Byłby to z naszej strony gest, mogący odnieść pożądany skutek, gdybyśmy dali temu panu pieniądze dla uratowania jego domu.

Artur Lee był oburzony stanowiskiem doktora honoris causa. Dał wyraz swemu przeświadczeniu, że zarówno aresztowanie, jak i opieczęćowanie domu to tylko nowe manewry oszukańcze tego osławionego oszusta, który i tak swymi sfalszowanymi wykazami sprawia Kongresowi i delegacji dosyć kłopotu. Franklin odpowiedział łagodnie, że trudno mu wyobrazić sobie, by ktoś szedł do Saint-Lazare dla osiągnięcia zysków finansowych. Lee upierał się, że jest bardzo prawdopodobne, iż ów Francuzik, pismak, który tak lubi efekty, obiecuje sobie wielkie sukcesy po swej komedianckiej martyrologii.

- Jedno jest pewne - oświadczył - że rząd francuski zorientował się również, że to oszust, i napiętnował go. Zdaniem moim powinno to nas skłonić do jeszcze dokładniejszego przyjrzenia się jego rachunkom, a nie do obrzucania go pieniędzmi.

Mister Adams oświadczył kwaśno, że wedle jego doświadczeń Francuzi to naród bardzo wrażliwy. Gdyby właśnie teraz, po aresztowaniu, pan de Beaumarchais dostał pieniądze, wiecznie obrażony Vergennes mógłby się w tym dopatrzeć bezprawnej interwencji delegatów amerykańskich w decyzje rządu, a nawet prowokacji w stosunku do króla.

Franklin westchnął, a ponieważ i tak nie było pieniędzy, przestał się sprawą interesować.

W tym samym czasie Desiree otrzymała list od Maignona. Pisał, że zainteresuje ją zapewne, iż suma hipoteczna, której niezapłacenie spowodowało nałożenie aresztu na dom, wynosi sześćset tysięcy liwrów. Jeżeli suma ta nie zostanie wpłacona w ciągu najbliższych dwudziestu dni, dom przepadnie.

Desiree łamała sobie głowę przez cały czas, jakby zwolnić Beaumarchais'go. W tym celu musiała przede wszystkim dojść, o co go właściwie obwiniano. Ale nikt nie wiedział dokładnie, nawet prefekt policji, a panowie Gramont i d'Arnoult, jedyni, którzy by coś o tym mogli powiedzieć, tchórzliwie milczeli. A więc teraz ta świnią Charlot chce jeszcze wykorzystać aresztowanie Carona, żeby mu ukraść dom. Ale poparzy sobie łapy. Do Desiree nadchodziły pieniądze z różnych stron, ale była rozrzutna, więc przepływały jej przez ręce. Nie miała tych sześciuset tysięcy liwrów i zdobycie tak wielkiej sumy w krótkim czasie nie było łatwe. Zwróciła się do swego doktora Lassone.

Wielki lekarz zbladł. Cała jego duma i całe jego sknerstwo obruszyły się przeciwko temu. Jakaż była naiwnie bezwstydną! Dlatego że bawiło ją sypianie od czasu do czasu z tym wietrznikiem, on, Joseph Marie Francois Lassone, miał po prostu rzucić to, co z trudem zarobił w ciągu dziesięciu czy piętnastu lat. Ale jeżeli jej odmówi, jeżeli powie „nie” tej bezczelnej, przeklętej, kochanej dziewczce, wtedy Desiree zrobi uprzejmy dyg i z jego propozycji małżeńskiej pozostaną na zawsze nici. A przecież chciał się z tą suką ożenić. W dodatku było mu diablo trudno upłynnić te pieniądze, gdyż dla stworzenia tamy samemu sobie, tak ulokował większą część majątku, że trzeba by dokonać skomplikowanych operacji, by uruchomić tę sumę. Te sześćset tysięcy liwrów będą go kosztowały sześćset tysięcy dziesięć albo nawet sześćset tysięcy dwadzieścia. I wszystko to dla tej... i dla tego...

- Zapytałam pana o coś, panie doktorze - powiedziała Desiree słodko, z łobuzerską miną.

Lassone przełknął ślinę.

- Na kiedy są pani te pieniądze potrzebne? - zapytał.

Desiree wyciągnęła zza gorsu list Maigrona.

- Ten człowiek pisze, że w ciągu dwudziestu dni - odpowiedziała. - Ale dwa dni już minęły.

- Sześćset tysięcy to dużo - powiedział Lassone - a osiemnaście dni to krótki termin.

Desiree nie odpowiedziała ani słowa, stała z uprzejmą miną, drwiąca, ponętna.

Doktor Lassone zdobył się na wielki gest.

- Suma ta będzie w ciągu osiemnastu dni do pani dyspozycji - oświadczył ochryłym głosem.

Desiree uśmiechnęła się uprzejmie.

- Byłam tego pewna, panie doktorze - odpowiedziała. - Mimo wszystko, co o panu mówią, jest pan wielkoduszny. Pięknie dziękuję.

Lassone ucałował jej dłoń.

Wiedział, że to, co teraz zamierzał uczynić, jest kapitalnym błędem, ale nie mógł się opanować. Uśmiechając się z pewnym zakłopotaniem, powiedział:

- Miałem zaszczyt, madame, prosić panią o jej rękę.

- Przypominam sobie - odpowiedziała Desiree - i nie powiedziałam „nie”. Ciągle jeszcze nie mówię „nie”, ponieważ okazał pan szeroki gest. - Uśmiechając się z pruderią, pochyliła głowę tak, by mógł ucałować jej kark.

- Jeszcze jedno - powiedziała znowu podnosząc głowę. - Niech się pan postara dowiedzieć, dlaczego nasz przyjaciel Beaumarchais został zamknięty. Gdyby go szybko zwolniono, może zaoszczędziłoby to panu sześćset tysięcy liwrow.

Tymczasem Pierre siedział w Saint-Lazare.

Pod panowaniem dobrotliwego Ludwika zajęto się reformą więzień paryskich, która jednak nie objęła jeszcze zakładu poprawczego Saint-Lazare. Pan Lepin, kierownik zakładu, weteran o drewnianej nodze, miał mocne, surowe i sprawiedliwe serce. Niełatwo mu było radzić sobie z młodymi obwiesiami. Trzy razy chcieli go wyprawić na tamten świat; raz uratował się tylko przez to, że swym drewnianym kikutem rozbił jednemu głowę.

Nie był przyzwyczajony do obcowania z filozofami i mężami stanu miary pana de Beaumarchais. Otrzymał od pana Lenoir instrukcję, by nowego więźnia traktował zgodnie z przepisami, lecz dobrze, nie poddawał go chłóście, ale poza tym podporządkował go miejscowemu regulaminowi.

Pierre spał na zbutwiałej słomie razem z piętnastoma podejrzanymi i niemile pachnącymi dryblasami w ciasnej, niskiej celi. Szczurów i robactwa była tu obfitość, wikt natomiast zaledwie wystarczający.

Obdarci młodociani nicponie byli zdumieni, ujrawszy wśród siebie leciwego, wytwornego, uperfumowanego pana. Musiał to być dobry numer, jeżeli się dostał w taką otchłań.

- Cóż takiego zbroił? - pytali młodociani.

Nie odpowiadał. Rozmowny z natury, nie miał teraz ochoty mówić, zawsze pełen humoru, nie znajdował w swej sytuacji nic humorystycznego.

- Ktoś ty taki, jak się nazywasz? - pytali dalej.

Milczał uporczywie. Jeden, o inteligentnej minie, oświadczył wysokim głosem, że podobną twarz widział już na obrazach. - Teraz wiem - powiedział - kogo mi ten nowy przypomina: Beaumarchais'go, który pisze w gazetach. - I zaczął gwizdać romancę Cherubina. Pozostali gwizdali również.

Pierre nie umiał już dłużej zapanować nad sobą, powiedział krótko i sztywno:

- Jestem Pierre Beaumarchais.

Młodzi spojrzeli po sobie, zaczęli się poszturchiwać, chichotać, wreszcie wybuchnęli grzmiącym śmiechem. To, że ten człowiek rozpoczął z nimi znajomość od dobrego kawału, iż był jakoby panem de Beaumarchais, zapowiadało zabawę na przyszłość.

W ciągu całej ciemnej, smrodliwej nocy Pierre był pogrążony w rozpacz. A więc do tego doszło, tego dożył w pięćdziesiątym roku życia. Tkwił tu i ginął wśród tych wszarzy, bezradny jak nigdy jeszcze. Wszystko, co w życiu robił, było fałszywe. Kto mu kazał troszczyć się o ludzkość? Kto mu kazał ratować Amerykę i wolność? Kto mu kazał pisać ulotki i sztuki, przepojone buntem przeciw bezprawiu? Gdyby pisał swawolne erotyczne farsy, robił oszukańcze interesy, pozostawił Amerykę i ludzkość swoim losom, miałby teraz kupę pieniędzy i zaszczytów. Był durniem, gigantycznym osłem.

Łamał sobie głowę, kto mógł go zadenuncjować i za co. Wiedział jedynie, że rozkaz okazany przez komisarza policji pochodził bezpośrednio z ręki królewskiej; był to tak zwany lettre de cachet (Pismo z osobistą pieczęcią króla.) Zapytywał siebie, czym doprowadził Ludwika do takiej furii. Starał się przypomnieć sobie, co robił w ciągu ostatnich tygodni. Ale pamięć go zawiodła. Nie dopuszczano do niego nikogo, kogo mógłby zapytać. Dręczyła go zagadka, kto lub co tkwiło za tym uderzeniem.

Zażądał rozmowy z kierownikiem zakładu. Pan Lepin zjawił się od razu i zapytał uprzejmie:

- Czym mogę służyć, monsieur?

Pierre zapytał, dlaczego się właściwie tutaj znalazł.

- Z powodu ogólnego złego zachowania, monsieur - odpowiedział uprzejmie pan Lepin. - Więcej nic nie jest mi niestety wiadome.

- Czy nie mogę pomówić z którymś z moich przyjaciół? - nalegał Pierre. - Z panem premierem, panem Vergennes, a przynajmniej z moim adwokatem? A może mogę do kogoś napisać?

- Regulamin miejscowy nie pozwala na to przed upływem czterech tygodni - odpowiedział pan Lepin.

Stary weteran, kierownik zakładu, nie przywiązywał wielkiej wagi do czystości. Toteż Pierre staczał się szybko na dno. Wytworne ubranie, w którym siedział przy kolacji z Desiree i księciem Richelieu, zabrudziło się i pomięło, dokoła policzków, ust i brody wyrosła mu ciemna szczecina, przetykana siwizną, śmierdział do tego stopnia, że nie czuł już smrodu otoczenia. Taki pędził żywot z piętnastoma obwiesiami, dusząc się niemal w swej bezsilności.

W tym czasie pewien ksiądz nazwiskiem da Ponte zdobył rękopis komedii Wesele Figara i napisał na jej tle libretto operowe. Muzykę do tego libretta skomponował niejaki Mozart.

Pan Lenoir dowiadywał się u pana Lepin o zdrowie i zachowanie nowego lokatora w Saint-Lazare. Stary żołnierz raportował, że pan Beaumarchais nie daje powodu do specjalnych skarg. Prowadzi się jak inni jego podopieczni, wygląda jak inni, jest nieco niechlujny i zaniedbany.

- Hm - mruknął generalny prefekt policji i zaczął dowiadywać się o szczegóły.

To, czego się dowiedział, zaraportował hrabiemu Maurepas. Ten skrzywił się.

- Nie sądzę, żeby to było po myśli króla - powiedział. - Ciemna i sinawa szczecina dokoła policzków i brody. Jestem przekonany, że jego królewska mość nie chce tego. Niechże pan poleci, by jakoś przyzwoiciej traktowano naszego Pierrota.

Od tego czasu Pierre sypiał sam. Zaczęto go również dobrze i obficie odżywiać. Pan Lepin zapytał, czy nie chce fryzjera. Pierre odmówił.

Potem pozwolono mu naradzić się w sprawie swoich interesów z dwoma panami. Zażądał Gudina i Maigrona.

Przybyli natychmiast. Na jego widok zdjęło ich przerażenie. Gudin nie mógł powstrzymać łez.

- Nie mówmy o tym, przyjaciele - powiedział Pierre z wesołością, która zaniepokoiła Gudina. - Czy Paryż robi na mój temat dużo dowcipów? Opowiedzcie mi kilka.

Maigron powiadomił go o zajęciu domu i o tym, że pan Lenormant okazał się istotnym właścicielem sumy hipotecznej. Gudin opisywał barwnie szczegóły zajęcia. Pierre jęczał. Obsypał Maigrona wyzwiskami, że nie puścił na licytację Societe Industrielle, by mu oszczędzić tej ostatniej hańby. Maigron patrzył spokojnym wzrokiem na gniewnego, brudnego Carona i powiedział:

- Przypuszczam, że dom i bez zrezygnowania z Societe Industrielle zostanie pana własnością, mam po temu pewne podstawy. Znalazła się dama, która jest gotowa złożyć w terminie owe sześćset tysięcy liwrów.

Pierre patrzył ze zdumieniem, Gudin był również głęboko zdumiony.

- Pewna dama? - zapytał Pierre. - Człowieku, niechże pan mówi - obruszył się na Maigrona. - Kto panu zaproponował pieniądze? Baronowa d'Houdetot? Pani de Clonard? - Wymienił jeszcze kilka nazwisk swych przyjaciółek z arystokracji.

- Ta dama nie życzy sobie, by wiadano, że udziela panu pomocy - odpowiedział Maigron.

- W jaki sposób dotarła do pana? Niechże pan mówi - nalegał Pierre.

- To ja zwróciłem się do niej - powiedział po chwili wahania rzetelny Maigron.

- Pan ośmiela się żebrać u kobiet w moim imieniu? - oburzył się Pierre.

- Osiągnięty sukces zdaje się potwierdzać, że miałem rację - odpowiedział sekretarz rzeczowym tonem.

Pierre cieszył się w skrytości ducha, że Maigron wpadł na ten pomysł; zawsze w największej biedzie znajdował pomoc szlachetnych kobiet. Ale nie dał tego po sobie poznać.

- Któż to jest, do diabła?! - piorunował.

- Panna Mesnard - wyznał Maigron.

- Tam, do licha! - powiedział Pierre. Dziwił się sam sobie: nigdy by mu nie wpadła do głowy ta najlepsza przyjaciółka. - Skądże ma pieniądze? - zapytał.

Gudin odpowiedział:

- Hm, nasze aktorki... Sztuka zmiękcza serca.

Pozwolono Caronowi zobaczyć się z rodziną i najbliższymi przyjaciółmi.

- Pani de Beaumarchais chce pana odwiedzić - oświadczył mu pan Lepin.

Ale Pierre nie dopuścił do siebie Teresy. Nie chciał się rozstać ze swą ciemną, siwową szczecina, będącą widowym znakiem jego hańby i męczeństwa, ponieważ jednak kochał Teresę, nie zniósłby, żeby go zobaczyła takim brzydkim i postarzałym.

Za to chciał widzieć Desiree. Przyszła. Młoda, bardzo ładnie ubrana, promieniejąca przekroczyła próg nędznej celi. Przeraziła się na widok Beaumarchais'go. Trwało to tylko przez mgnienie oka, nie zauważył tego, gdyż był zbyt zajęty demonstrowaniem przed nią swej hańby.

Po przywitaniu powiedział serdecznie, ale jakby mimochodem:

- Ale, ale, muszę ci podziękować, Desiree, dowiedziałem się, żeś się znowu wspaniale zachowała. Myślę jednak, że i tak wy dostałbym się z tej opresji, bo jeśli jest kobieta, która zawsze była mi wierna, to - fortuna.

Siedzieli obok siebie na nędznej pryczy. Wiotka, elegancko ubrana Desiree uśmiechała się w głębi ducha, ale nie drwiła z tych słów, czego by z pewnością nie omieszkała w innej sytuacji. Była szczęśliwa, że to ona siedzi obok niego, a nie Teresa, choć domyślała się, dlaczego się tak dzieje.

- Czy mówiłam ci już, że prawdopodobnie poślubię doktora Lassone? - powiedziała.

- Starego doktora Lassone! - oburzył się Pierre. - Po co ci to, Desiree?

- To mi dogadza - tłumaczyła mu. - Jest szaleńczo zakochany i bawi mnie.

Pierre zaczął się zastanawiać. Przysunąwszy się do niej bliżej, zapytał poufale i bez zadowolenia:

- To on chce ci dać pieniądze dla mnie?

Desiree milczała, ale twarz jej mówiła, że tak.

- Na pewno zwrócę ci je bardzo prędko - pocieszał Pierre siebie i ją.

- Sam w to nie wierzysz - odparła Desiree. - Ale tym razem masz może nawet rację, opowiem ci coś niezwykłego i zdaniem moim pocieszającego. Nie byłabym tego nigdy wykryła bez mojego Lassone'a.

Opowiedziała Caronowi, co spowodowało jego zamknięcie. Pan d'Arnoult, partner księcia Ksawerego, przy owej grze l'hombre zachorował. Pacjenci są gadatliwi i d'Arnoult wyśpiewał wszystko doktorowi Lassone.

Było to pocieszające. Okoliczność, że równie błahy pretekst mógł skłonić króla do tak niesłychanej kary, natchnęła ruchliwą fantazję Carona przesadną nadzieją. Desiree również

była zdania, że bezmyślne podejrzenie łatwo da się obalić. Prosiła Toinette o audiencję, spotka się z nią jutro rano.

- Przypuszczam, że w krótkim czasie doprowadzę do twego uwolnienia.

Ale Pierre był już o wiele dalej myślami.

- Uwolnienie? - zapytał szyderczo. - Rehabilitacja, zażądam rehabilitacji i uzyskam ją. - Biegający po celi zaniedbany więzień, w swym brudnym, pomiętym ubraniu, ożywił się, odmłodził. - Nie, teraz już nie potrzeba mi twoich pieniędzy - triumfował - te sześćset tysięcy wypłacę jak nic.

Przez Desiree i jej przyjaciół rozeszła się po całym Paryżu wieść, na podstawie jakich niemądrych oskarżeń król kazał osadzić w Saint-Lazare autora Figara. Kpiny paryżan z Carona obróciły się w gwałtowne oburzenie przeciw Ludwikowi. Jeżeli człowiek o randze i zasługach pana Beaumarchais może być tak haniebnie wtrącony do najgorszego więzienia za to, że jakiejś niewinnej jego wypowiedzi dano głupią i wrogą interpretację, to któż w ogóle może być pewny, że go nie napadną w nocy w jego własnym łóżku. Paryż rozbrzmiewał na nowo okrzykami: „Samowola, tyrania!”

Ludwik dowiedział się o tych nastrojach z raportów policyjnych. Już przedtem zaczął wątpić, czy jego zarządzenie było słuszne. Maurepas przyniósł mu ów artykuł, który skłonił Carona do napisania listu otwartego. Ludwik zobaczył, że pan Caron użył swych zoologicznych porównań nie w tym celu, by obrazić jego lub królową. Kiedy się w dodatku dowiedział, że autorem owego artykułu w „Journal de Paris” nie był abbe Suard, lecz Ksawery, wyjaśniły mu się wszystkie nici intrygi. Złościł się i wstydził. Znowu dał się wpakować w kabałę podstępemu bratu i pospieszył się zbytnio ze swym zarządzeniem. W zasadzie miał rację - pan Caron był istotnie

starzejącym się nicponiem i łobuzem - w tym wypadku zrobił mu jednak krzywdę.

A teraz w dodatku Toinette, oburzona, zasypuje go wyrzutami. Desiree zrobiła wszystko, by ją podjudzić, opis jak to Pierre stacza się na dno, wzruszył królową. Rozgoryczona i poruszona nie przebierała w słowach. A po chwili zaczęła się wyśmiewać z przyczyny tej ostrej kary.

- Kto ma zrozumienie dla sztuki poetyckiej - mówiła - ten nie może się obrażać, gdy go porównują z lwem lub tygrysem. W naszych herbach jest mnóstwo takich zwierząt. To nie po królewsku, sire, posyłać wielkiego poetę do Saint-Lazare z powodu takiego porównania.

Ludwik wiercił się i kręcił w poczuciu winy.

- No tak, no pięknie - pomrukiwał. - Niestety zostałem fałszywie poinformowany. Nie wzruszaj się, Toinette. Wszystko będzie w porządku.

Dał zlecenie natychmiastowego zwolnienia Beaumarchais'go i oświadczenia mu, że odzyskuje prawa, tytuły i urzędy, które utracił przez osadzenie w Saint-Lazare. „Taka jest nasza królewska wola” - napisał, podpisał i zaopatrzył pismo swą pieczęcią.

Lepin, przybrawszy się w mundur galowy z czasów wojny siedmioletniej, zawiesiwszy na piersi różne medale i ordery, udał się, postukując ciężko drewnianym kikutem, do więźnia, by oznajmić mu wolę królewską.

Brodaty Pierre wysłuchał ponuro i nic nie odpowiedział.

- Jest pan zwolniony, mój panie — oświadczył stary żołnierz stropiony, a że Pierre wciąż milczał, dodał: - Czy mam panu przysłać fryzjera? Każe pan sprowadzić swój powóz?

Pierre potrząsnął przecząco głową.

- Nie mam zamiaru dać się tak ni z tego, ni z owego stąd odsyłać. Nie zadano sobie nawet trudu powiedzieć mi, jakie są

przeciwko mnie zarzuty. Myślę, że zasłużyłem na tę satysfakcję.

Pan Lepin nie wiedział, co na to odpowiedzieć, nie obrażając ani króla, ani tego pisarza, którego trudno było zrozumieć.

Rzekł więc:

- Zakomunikowałem panu, co miałem do zakomunikowania. Reszta to pańska sprawa. - Oddalił się i złożył raport prefektowi policji.

Wzburzenie ludności Paryża wzrosło. Przed domem Beaumarchais'go i przed Saint-Lazare doszło do demonstracji. Przedłużający się pobyt Carona w zakładzie poprawczym stał się publicznym skandalem.

Pan Lenoir poprosił do siebie panów Gudina i Maigrona i obligował ich, by skłonili pana de Beaumarchais do natychmiastowego opuszczenia Saint-Lazare. Tego rodzaju opór przeciw królewskiej woli jest sprzeczny z obowiązkiem obywatela. Nawet gdyby panu de Beaumarchais stała się krzywda, postąpiłby mądrzej, gdyby zamiast drażnić króla zaufał jego sprawiedliwości i łasce.

Gudin i Maigron pojechali do Saint-Lazare.

- Przychodzimy do pana, Pierre - powiedział promieniejący Gudina - jak wysłannicy senatu rzymskiego do Koriolana, by go pokornie i uroczyście wprowadzić z powrotem na Kapitel.

- Może zechciałby pan wyrażać się mniej obrazowo - zmitygował go Pierre.

- Powinien pan stąd wyjść - powiedział Maigron. - Powinien się pan udać do domu.

Gudin zaś dodał:

- Król prosi, by pan opuścił to miejsce hańby. Król prosi pana usilnie, by mu pan nie odmawiał swoich wypróbowanych usług.

- To by mu było na rękę - powiedział Pierre. Delektował się hańbą, w której go pogrążono. - Popatrzcie na mnie, moi

przyjaciele - powiedział - do jakiego stanu mnie doprowadzono. Zrobiono ze mnie ostatniego nędzarza, zepchnięto mnie do rzędu najnędzniejszych istot, a tu nagle zjawia się król i oświadcza jak gdyby nigdy nic:

„Tak, teraz może pan sobie iść”. „Nie, sire, nie pójdę, Pierre Beaumarchais nie da się w ten sposób odesłać do domu”.

- Co pan chce uczynić? - zapytał Maigron.

- Napiszę do króla - oznajmił Pierre - powiem mu swoje zdanie, postawię mu moje warunki, zażądam zadośćuczynienia.

Podyktował przyjacielom list do króla Francji i Nawarry. Na początku wyjaśniał, że oskarżenie, jakoby zamierzał obrazić monarchę arcychrześcijańskiego, jest bezpodstawne. Chciał tylko odparować żaloszny atak małego krytyka i nic więcej. Twierdzenie, że w liście otwartym znieważył Majestat, i to w chwili, gdy w związku ze swoimi pretensjami o odszkodowanie bardziej niż kiedykolwiek zdany jest na łaskę królewską, byłoby równoznaczne z uznaniem go za obłąkanego. Wobec tego jednak, że osadzono go nie w szpitalu wariatów, lecz w Saint-Lazare, musi prosić o formalne postępowanie sądowe, by honor został mu przywrócony. „Nie mogę przyjąć zwrotu moich urzędów dworskich z ręki Waszej Królewskiej Mości - pisał - ponieważ na razie wskutek popełnionego wobec mnie bezprawia zostałem skreślony z listy Jego poddanych. Jeżeli w stosunku do mnie sprawiedliwości nie stanie się zadość, pozostanę napiętnowany; honor mój jest splamiony, moja pozycja w społeczeństwie zachwiana. Dopóki nie zniknie chmura, rzucająca cień na moją osobę w oczach narodu, Europy i Ameryki, zachwiany będzie również i mój kredyt. Zmniejsza się przez to i zostaje narażony na szwank nie tylko mój majątek, lecz również majątek pięćdziesięciu związanych ze mną współników”.

- Co za nowe arcydzieło! - entuzjasmował się Gudin. - Ten list ma w literaturze jedyny odpowiednik: ostatnią pieśń Iliady, w której stary Priam błaga Achillesa o wydanie zhańbionych zwłok jego syna Hektora.

Również rzeczowy Maigrón był zadowolony.

- Mam wrażenie - powiedział - że król ustąpi, a pan Necker będzie musiał wydać z kasy państwowej niemało grosza.

Sposób, w jaki Caron dał mu do zrozumienia, że padł ofiarą bezprawia, drażnił i dręczył króla. Naradzał się z panami de Maurepas i de Vergennes. Obaj ci panowie uważali, że byłoby dobrze dać satysfakcję utalentowanemu i tak wiele wiedzącemu panu de Beaumarchais; istotnie potraktowany został nieco za szorstko. Ludwik powiedział z ponurą miną:

- Obawiam się, że macie, panowie, rację - i obiecał załatwić sprawę nazajutrz.

Obydwaj panowie byli zdumieni, kiedy się dowiedzieli, jaką pełnią łask król chciał obsypać więźnia z Saint-Lazare. Znowu zwrócono się do Gudina i Maigróna, by zakomunikowali Caronowi decyzję arcychrześcijańskiego monarchy.

- W górę serca - rozpoczął Gudin. Potem wyliczył dowody łaski: - Na dowód łaski król wyznacza panu ze swej szkatuły prywatnej pensję roczną w wysokości 1200 liwrów. Król dał zlecenie cenzurze, by nie robiła dalszych przeszkód w publikowaniu książki Wesele Figara.

Maigrón, wściekły na filozofa, który tak długo rozwodził się nad drobiazgami, przerwał mu:

- Król gotów jest uznać nasze pretensje o odszkodowanie w wysokości 2 150 000 liwrów. Pierre siedział z otwartymi ustami.

- Co pan powiedział? - zapytał. - Nie przejęzyczył się pan?

- Nie - odparł Maigrón. - Powiedziałem 2 150 000. Pan Necker będzie szalał z wściekłości. - Potem dodał: - Zdaje się, że król zwariował.

Desiree wykorzystwała zwolnienie Carona, by zrobić z tego wielkie widowisko ludowe. Tysiące zebrały się pod więzieniem Saint-Lazare, policja nie miała odwagi interweniować.

Brama otworzyła się, Pierre wyszedł na wolność w towarzystwie Gudina i Maigrona; wyprostowany Lepin zęgnął go wojskowym ukłonem. Pierre, brudny, nie ogolony, patrzył na słońce mrużąc oczy. Tłum oniemiał; Carona otaczał niewidzialny orszak - Figaro, Almaviva, Rozyna, Cherubin i niezliczeni marynarze, którzy na swych statkach wieźli broń dla Ameryki. Cisza trwała przez kilkanaście sekund. Potem tłum wybuchnął dzikimi okrzykami, zaniósł Beaumarchais'go do powozu, towarzyszył mu w drodze do domu.

Powóz zatrzymał się przed kratą parku przy ulicy Saint-Antoine. Już miano otworzyć bramę, gdy Pierre wysiadł, bo chciał dotknąć ziemi swego ogrodu własnymi stopami. Stał przed bramą, ale nie kazał jej jeszcze otwierać, oglądał pieczęć króla i pana Brunelet, umieszczoną na kracie. Wreszcie poszedł w kierunku domu, mijając gladiatora i świątynię Woltera. Czuł, że kolana uginają się pod nim, przydałoby mu się ramię Maigrona lub Gudina.

Z domu wybiegła roześmiana, rozkrzyczana, łkająca Julia i rzuciła mu się na szyję. Ale w drzwiach stała Teresa i Pierre patrzył na nią, a ona na niego. Zaczęli powoli iść naprzeciw siebie, Pierre żałował teraz, że nie dał zgolić zmierzwionej brody. Teresa nie mówiła nic, milczał i on. Znali się oboje do głębi, wiedzieli, że Pierre był równocześnie śmieszny i wspaniały, objęli się niemal zawstydzeni, ale nie czuli wstydu, że czynią to wobec wszystkich, tak pełni byli wzajemnej dla siebie miłości.

Nagle dopadła Carona suka Caprice. Skomlała, szczekała, obejmowała go łapami, lizała, omal go nie przewróciła. Pierre szlochał bez łez.

Wziął kąpiel. Emil zapytał z pewnym onieśmieleniem, czy może mu zgolić brodę. Pierre odpowiedział gniewnie: „Nie!” Zasiedli do stołu. Pierre jadł z apetytem, ale prawie nic nie mówił. Przyjechało wielu odwiedzających, ale nikt nie został przyjęty. Pierre kazał powiedzieć, że czuje się jeszcze brudny, okryty hańbą i poza najbliższymi nie chce widzieć nikogo.

Nazajutrz usiadł i napisał przedmowę do książkowego wydania Figara. Chwilami wstawał, chodził po pokoju, oglądał w lustrze swe zaniedbane, pohańbione oblicze i potem pisał ze zdwojonym zapałem.

W przedmowie swej postawił się dumnie obok Moliera i Racine'a i bronił swego prawa do pokazywania na scenie drabów, łobuzów i wielkich panów. Czy bajka ma być pozbawiona morału dlatego, że lew jest dziki, wilk żądny zdobyczy, a lis podstępny? Czy to jego wina, że wielcy panowie są tacy, jacy są? Czy to on uczynił ich takimi? Czy nie przejawiał łagodności i miękkości, nie wyposażając swego hrabiego w żadne inne błędy poza nadmiarem galanterii, czy nie był to błąd, do którego arystokraci francuscy najchętniej sami się przyznawali, czy im nie pochlebiał? „Kocham hrabiego Almavivę - pisał - ponieważ kocham mego mądrego, zwinnego Figara. Im bardziej lśni i błyszczy Almaviva, im większa jest pełnia jego władzy, tym większe jest zwycięstwo Figara i jego samorodnego dowcipu. Temat mój przypomina tematy licznych bajek, których bohaterami są zwierzęta: zwycięską walkę przebiegłości i dowcipu przeciw brutalnej przemocy. Piszę - kończył nie ogolony człowiek noszący na sobie ślady przebytego niedawno haniebnego więzienia - piszę te słowa dla moich obecnych czytelników. Za osiemdziesiąt lat pisarze porównywać będą swój los z naszym i z opisu

mojego późniejsza generacja zobaczy, jaką cenę musieli płacić za to, że jej przodkowie mile spędzali czas".

Po napisaniu tego, co miał na sercu, zrobiło mu się lżej, ale dąsał się dalej.

Potem nadeszły pieniądze tytułem odszkodowania za straty. Pierre nigdy dotąd nie widział takiej masy złota i bonów skarbowych: dwa miliony sto pięćdziesiąt tysięcy liwrów. Tu już nie mógł wytrzymać w masce męczennika; lustro, które widziało tysiące wizerunków Carona, Carona lekkoducha, komedianta, entuzjastę, pochłoniętego twórczą pracą, poddającego się rozpaczom i gniewom, zobaczyło teraz Carona błazeńskiego. Tak, radość z tego, że najgłębsza niedola zmieniła się w największe szczęście, przewyższała niemal jego triumf. W drodze nagłej zmiany ten tragicznie poniżony człowiek stał się wesołkiem, którym się urodził, któremu przeznaczone było raz po raz zwyciężać świat i diabła tysiącami kawałów. Brodaty, starzejący się Pierre tańczył dokoła stołu, na którym piętrzyły się pieniądze, pokazywał język i wołał do lustra: „Tam, do licha, oto jestem!”

Kazał się teraz ogolić, zaprosił na wieczór najbliższą rodzinę i przyjaciół. Stawili się wszyscy - siostra jego Tonton z mężem, radcą sądowym, sędziwy książę de Richelieu i książę Nassau; Desiree przyprowadziła swego doktora Lassone, który był dumny, że mógł przyjść, i równocześnie czuł się upokorzony, że przyjść musiał. Olbrzymi stół uginał się pod różnymi smakołykami, płonęło tysiące świec, wszyscy jedli, pili i weselili się. Pierre miał dla każdego ciepłe słowo i dowcip, nigdy współbiesiadnicy nie widzieli go takim wesołym jak owego wieczora.

Następnego dnia Maignon chciał spłacić panu Brunelet sumę obciążającą hipotekę. Ale Pierre mu nie pozwolił, chciał to załatwić sam. Z czekiem pana Brunelet w kieszeni pojechał do

Etioles. Charlot był nieosiągalny, Pierre wręczył więc ów czek sekretarzowi pana Lenormant i powiedział:

- Proszę przekazać tę sumę swemu szefowi, będzie chyba wtedy we właściwych rękach. A oto wraz z napiwkami dalsze tysiąc liwrów za wszystko, co u niego zjadłem i wypilem.

Rozdział czwarty

Ca ira

Wielka fregata amerykańska „Alliance” rozwinięła wszystkie żagle i szybko posuwała się naprzód. Na pokładzie stał młody człowiek, bardzo szczupły, rudy, o długim nosie. Było zimno, młody człowiek miał za sobą ciężką chorobę i niejedną karkołomną przygodę. Ale teraz znajdował się w drodze powrotnej do domu, już widniały przed nim kontury rodzinnego kraju. Patrzył ze wzruszeniem, jak kanciasta skała, panująca nad wjazdem do portu Brest, stawała się coraz bardziej widoczna. Poznawał już teraz poszczególne forty.

Przeprawa nie była łatwa. Na samym początku, w Bostonie, wyłoniły się trudności; powstały kłopoty z dobraniem załogi. Młody człowiek - był nim Józef Paweł Gilbert markiz de Lafayette - zajął się werbowaniem załogi spośród przestępców i dezertów, którzy służyli kiedyś w armii angielskiej. Potem przyszła straszliwa burza, zdawało się pewnej czarnej, nie kończącej się nocy, że wszyscy są zgubieni; markiz, słaby jeszcze po niedawno przebytej chorobie, przeklinał los, który z pięknego, bogatego pałacu Noailles w Paryżu rzucił go na dzikie fale oceanu, rybom na pożarcie. Potem, w ostatnim tygodniu przeprawy, na fregacie groził, o czym markiz nie miał pojęcia, bunt hołoty, z której składała się większość załogi. Rząd angielski mianowicie próbował ściągnąć do Anglii okręty rebeliantów, obiecując, że okręty, wprowadzone na wody angielskie przez zbuntowaną załogę, staną się jej własnością. Marynarze „Alliance” przypuszczali, że jeżeli w dodatku dostarczą osławionego Lafayette'a, spotka ich w każdym porcie angielskim podwójnie serdeczne przyjęcie, i opracowali plan obezwładnienia oficerów. W ostatniej chwili szczęśliwy los i szybka decyzja Lafayette'a uratowały okręt.

Teraz rysowały się kontury Francji, a buntownicy leżeli związani pod pokładem.

Młody markiz, nie spuszczać oka z coraz wyraźniejszych zarysów wybrzeża, myślał o przyjęciu, które go czeka. Sytuacja jego nie była całkowicie jasna. Opuścił stanowisko w armii francuskiej i swój kraj, wbrew wyraźnemu rozkazowi króla. Był „dezercerem”. Ale polityka, której dał wyraz przez swą „dezercję”, stała się tymczasem oficjalną polityką jego kraju; Francja wypowiedziała wojnę Anglii, wracał, sławiony za czyny, których w tej wojnie dokonał.

Okręt dotarł do portu, zagrzmiały działa umieszczone w fortach. Witały pasiastą chorągiew z gwiazdami, której, gdy okręt wyjeżdżał, nie wolno było pokazać. Młody człowiek wspominał, jak to wtedy musiał wykradać się potajemnie z hiszpańskiego portu na okręcie kupionym za pieniądze pana de Beaumarchais; teraz wraca z bijącym radośnie sercem, witany salwą swego króla.

Popędził do Paryża, na ulicę Saint-Honore, do Hotel de Noailles. Z drzeniem objął swą żonę, dziewiętnastoletnią Adriannę.

Zjawił się minister wojny, stary Segur, dał mu do pocałowania swój suchy policzek, pogłaskał go i oznajmił, na jaką karę został skazany. Była to kara łagodna: tydzień aresztu w pałacu Noailles.

Z aresztu tego markiz napisał do króla list pełen pokory. „Daleki jestem od śmiałości - pisał - usprawiedliwiania mego nieposłuszeństwa, ubolewam nad nim głęboko. Ale istota mego przestępstwa upoważnia mnie do żywienia nadziei, że dana mi zostanie możliwość zadośćuczynienia.

Może łaska Waszej Królewskiej Mości da mi szczęście wymazania mego przestępstwa przez to, że będę Waszej Królewskiej Mości służył, gdzie tylko i jak Wasza Królewska Mość raczy rozkazać”.

Już następnego dnia markiz został wezwany do Wersalu, by usłyszeć, od króla słowa nagany. Ludwik przyjął go w bibliotece. Mrużąc oczy otyły młody monarcha przyglądał się szczupłemu młodemu oficerowi i powiedział sztywno:

- Właściwie nie powinien pan być tego robić, mój panie.

Kiedy Lafayette w głębokim poczuciu winy milczał przez chwilę, Ludwik zwrócił się z ozywieniem:

- A teraz, drogi markizie, niech mi pan powie dokładnie, gdzie ta Saratoga leży, bo nie ma jej nigdzie na mapie.

Wkrótce obydwaj zatonęli w ożywionej dyspucie na tematy geograficzne.

Kiedy temat się wyczerpał, Lafayette oświadczył:

- Mam honor wręczyć waszej królewskiej mości list Kongresu Stanów Zjednoczonych.

Ludwik wziął pismo i przeczytał je. Początek brzmiał następująco: „Naszemu wielkiemu, wiernemu i drogiemu sprzymierzeńcowi i przyjacielowi Ludwikowi XVI, królowi Francji i Nawarry”. Z kolei następowały hymny pochwalne na cześć szlachetnego młodzieńca, oddawcy tego pisma, który w salach konferencyjnych zachowywał się mądrze, na polu walki mężnie, w trudach wojennych wytrwale. Potem członkowie Kongresu po raz drugi i po raz trzeci nazwali się „dobrymi przyjaciółmi i sprzymierzeńcami króla”. Koniec brzmiał: „Prosimy Boga, by zachował Waszą Królewską Mość w swej świętej opiece”.

Ludwik miał zepsuty dzień. Ci kramarze, chłopci i prowincjonalni adwokaci nazywają jego, monarchę arcychrześcijańskiego, „swoim drogim przyjacielem”, polecając jego sercu oficera francuskiego, potomka najstarszego rodu. Tego właśnie się obawiał, to jest początek przewrotu, rozluźnienie słusznego porządku.

- Widzę, panie markizie - powiedział dość sucho - że zdobył pan sobie miłość tych - zabrakło mu na chwilę określenia -

tych obywateli. Byłem pewien, że oficer francuski wśród tych — znowu się zaciął - obywateli niechybnie się odznaczy. - Na tym audiencja została zakończona.

W Wersalu było rzeczą wiadomą, że istotnie markiz de Lafayette zdobył sobie wielką popularność u bostończyków. „Cała Ameryka - raportował swemu ministrowi chłodny obserwator Gerard - kocha i podziwia markiza. Jego talenty wojskowe cenione są bardzo wysoko. Jego ostrożny, a równocześnie odważny i miły sposób bycia zrobiły go bożyszczem Kongresu, wojska i całej ludności". Vergennes przypomniał sobie, jak to niedawno ten sam Kongres zgotował markizowi złe przyjęcie, i uśmiechnął się. Uważał, że republiki są nie mniej chwiejne i zmienne niż despoti.

Dwór, lud, a przede wszystkim kobiety, okazali młodemu bohaterowi na swój sposób sympatię i uznanie. Józef Gilbert de Lafayette był młodzieńcem nieładnym, niezgrabnym i niezaradnym. Przed swoją wielką przygodą nie miał ze swą rudą czupryną i małymi oczkami szczęścia u kobiet. Toinette zostawiła go kiedyś na środku sali, bo nie umiał tańczyć. Jakże się to teraz zmieniło! Sława i entuzjazm upiększyły powracającego bohatera. Chudość jego uznano za wysmukłość, w zaczerwienionych oczach widziano marzycielskie błyski i inteligencję, nerwowe ruchy kładziono na karb olbrzymiej żądzy czynu. Kobiety kochały go.

Wygrzewał się w triumfach jak w promieniach słońca. Ale ważniejsze wydawały mu się inne sukcesy. Nazajutrz po przyjęciu przez króla i zwolnieniu z aresztu udał się do „człowieka w ogrodzie”.

W dniu wizyty Lafayette'a doktor Franklin miał niemiły ranek. Ów mister Digges, którego na gorące polecenie Artura Lee wysłano do Anglii dla opieki nad amerykańskimi jeńcami, zdefraudował z przekazanej sumy prawie czterysta

funtów, ściśle biorąc trzysta osiemdziesiąt osiem funtów i cztery szylingi. Tego przedpołudnia doszło więc między doktorem Franklinem i Arturem Lee do ostrej wymiany zdań.

Artur Lee zaznaczył, że nie można jeszcze wydawać ostatecznego wyroku. Pozory przemawiają wprawdzie przeciw mister Diggesowi, ale zapewnił, że przyjedzie do Paryża i sprawę wyjaśni.

- Fakt pozostaje faktem - odpowiedział Franklin - że człowiek ten wydał trzysta osiemdziesiąt osiem funtów, z których nie jest w stanie się wyliczyć.

Artur Lee wzruszył ramionami i obstawał przy tym, że trzeba poczekać, aż mister Digges wróci do Paryża.

- Obawiam się - powiedział Franklin - że będzie pan musiał długo na to czekać.

Artur Lee zaczerwienił się.

- Nie jestem człowiekiem bogatym - powiedział - ale jeżeli jeńcy naprawdę z winy mister Diggesa ponieśli straty, wyłożę pięćdziesiąt funtów z własnej kieszeni, by pokryć część straty.

- Ponieważ Franklin milczał, ciągnął gwałtownie dalej: - A teraz proszę przestać mówić o tej sprawie. Przede wszystkim muszę się zastrzec, by pan z tego nie wysnuwał wniosków co do mojej znajomości spraw i ludzi.

- Na jedno pozwoli mi pan chyba - odpowiedział Franklin ze spokojem - na to, bym wysnuł wnioski dotyczące charakteru tego pana Diggesa. Ten, kto obrabowuje bogacza, jest złodziejem, to pan chyba przyzna. Ale jak nazwie pan człowieka, który biednego jeńca pozbawia zapomogi wysokości osiemnastu centów? I to nie raz, ale w ciągu całej mroźnej zimy, tydzień po tygodniu. A jeżeli krzywdzi nie jednego jeńca, lecz sześciuset? Jak nazwie pan takiego człowieka, mister Lee?

- Wszyscy myliliśmy się już nieraz - oświadczył mister Lee wyniośle. - Mógłbym sporządzić niemałą listę ludzi, co do których pan się pomylił, doktorze Franklin.

- A więc nie znajdzie pan słowa potępienia dla łajdaków w rodzaju Diggesa, którego nam pan polecił? - zapytał Franklin z trudem opanowując gniew. - Na próżno by pan szukał, język nasz nie zna słowa na określenie podobnej nikczemności. Jeżeli taki nie pójdzie do piekła, nie warto było tak się trudzić nad wynajdywaniem diabła.

- Jak widzę - odrzekł Artur Lee - sprawa tego mister Diggesa jest panu bardzo na rękę.

- Proszę milczeć - powiedział Franklin niezbyt głośno, lecz tak, że Lee zamilkł.

Rozmowa ta odbyła się w dniu, w którym Lafayette odwiedził doktora. Franklin oczekiwał jego wizyty, ale dziś Lafayette nie był zbyt pożądanym gościem. Franklin nie należał do ludzi dających się zaślepić aureolą sensacji otaczającej markiza; słyszał od wielu osób, że Lafayette jest tylko młodzikiem mającym bardzo wysokie mniemanie o sobie. Przywitał więc swego gościa uprzejmie, nie spodziewając się jednak zbyt wiele po tym spotkaniu.

Tymczasem Lafayette okazał się miłym, inteligentnym młodzieńcem bez fałszywej skromności, ale i niezrozumiałym. Zwracał się do Franklina z najwyższym szacunkiem, ale bez tej nic nie mówiącej, ogólnikowej uprzejmości, która raziała nieraz starego u Francuzów.

Oświadczył, że dowiedział się z ubolewaniem o częstym przechwytywaniu poczty przez Anglików. Tym bardziej cieszy go, że może wręczyć doktorowi nietknięty list Kongresu. Po czym podał mu pismo. Rumieniąc się, z ładnym uśmiechem, ciągnął dalej, że gdyby w liście zawarte były słowa mówiące o nim, prosi doktora, by nie zwracał na nie

uwagi; rozpieszczano go w Ameryce ponad miarę i czczono ponad zasługi.

- Cieszę się - odparł Franklin kładąc list na stole bez czytania - że postarano się zatrzeć złe wrażenie przyjęcia, jakiego doznał pan w Filadelfii, jak się o tym z ubolewaniem dowiedziałem.

Na chudej twarzy Lafayette'a pojawił się promienny uśmiech. Kiedy się uśmiechał, zapominało się, jaki jest brzydki.

- Oczywiście gniewała mnie oschłość mister Lowella - powiedział. - Ale później wszystko zrozumiałem. Kongres spodziewał się od Francji wielkiego wora złota. Zamiast tego przybył zastęp młodych Francuzów, z których każdy chciał zostać generałem.

Lafayette opowiadał później o Waszyngtonie. Sławił jego spokój w najcięższych warunkach, jego równowagę wobec wiecznych intryg knutych przeciw niemu i tolerowanych przez Kongres. Uważa za największe szczęście w życiu, zakończył, że potrafił zdobyć sobie ojcowską przyjaźń tego podziwu godnego człowieka.

Młodzieniec spodobał się doktorowi. To prawda, że dużo mówi i chętnie wygłasza własne sądy. Ale na swoje lat dwadzieścia jeden ma sporo rozumu, umie patrzeć na ludzi i sprawy. Może pchały go do Ameryki chęć wybicia się i żądza przygód, ale mając przed sobą przykład wielkiego, spokojnego flegmatyka Waszyngtona, za oceanem stał się dojrzałym człowiekiem. Obdarzony trzeźwym umysłem Lafayette potrafił ocenić, z jak niewzruszoną cierpliwością generał umiał paraliżować złośliwość, niezdarność i żądę zysku niektórych członków Kongresu, którzy odmawiali jego armii rzeczy najkonieczniejszych.

Nieco na swój wiek przemądrzały i udający doświadczonego polityka, markiz rozwodził się teraz nad tym, że niestety we Francji wiedzą o wewnętrznych rozterkach Ameryki i to wywołuje nieufność Wersalu. Lafayette usiłuje tę nieufność

osłabić i przedstawia sprawę amerykańską w najbardziej korzystnym świetle.

Mówił z zapalem, starając się temu staremu człowiekowi, który obok Waszyngtona był największym obywatelem Ameryki, dać dowód zrozumienia rzeczy i dobrej woli. Franklin słuchał z uśmiechem. Entuzjazm młodzieńca pożądany był dla sprawy amerykańskiej, trzeba go tylko nieco hamować, by nie zaszkodził jej przez zbytnią gorliwość.

Lafayette oświadczył, że za wiele już zabrał czasu Franklinowi, i wstał, by się pożegnać. Już w drzwiach powiedział z na pół udaną nieśmiałością, że przywiózł do Paryża jeszcze jeden list generała Waszyngtona do Franklina, ale nie ma go przy sobie.

- Dlaczegoż to? - zapytał Franklin z pewnym zdziwieniem.

Lafayette odpowiedział z uśmiechem, z którym tak mu było do twarzy:

- Mam podstawy do przypuszczenia, że w liście jest przeważnie mowa o mnie, więc uważałem, że nie jest pilny. Poza tym chciałem mieć pretekst, by przyjść tutaj raz jeszcze.

- Nie potrzeba panu pretekstów, panie markizie - odpowiedział doktor uprzejmie. - Ilekroć pan będzie miał ochotę, proszę przychodzić. Z listem czy bez listu.

Zostawszy sam, Franklin rozmyślał nad osobą Lafayette'a i jego losem. Arystokrata ów był płomiennym wielbicielem Jerzego Waszyngtona i postawił go sobie za wzór. Lafayette zużytkował całą swą siłę i ambicję na obalenie tego, co szkodliwe, bo stare, choć całe jego istnienie oparte było na tym, co stare. Dobro stawało się zaraźliwe.

Myśli doktora krążyły teraz dokoła spraw ogólnych. Szkodliwe były prawa torysów, które nakładały pęta na młody kraj. Pozbawiono je obowiązującej mocy i tak już pozostanie. Ale przyjdzie czas, zapewne nie tak daleki, kiedy młoda republika amerykańska postarzeje się i wiele z tego, co

stworzyła, stanie się wraz z nią starcze i bezsensowne. Jak dziś czwarta część ludności, ponosząc ofiary, walczyć musi o to, co rozsądne i nowe, przeciw większości trzymającej się gnuśnie i samolubnie tego, co bezmyślne i stare, tak samo ruchliwsza, mądrzejsza, bardziej ludzka mniejszość będzie musiała bronić się przeciw biernej masie, przeciw gnuśnym sercom i umysłom. Ci gnuśni mówić będą kiedyś o dobrych, starych tradycjach amerykańskich tak samo, jak dziś mówią o dobrych, starych tradycjach angielskich.

Wziął do ręki list Kongresu wręczony mu przez markiza. Przypuszczał, że w liście znajdą się gorące słowa uznania dla Lafayette'a. Tak też było. Markiz, pisał mister Lowell, przewodniczący Komitetu do Spraw Zagranicznych, oddał Stanom Zjednoczonym bardzo cenne usługi. Niechaj Franklin idzie mu na rękę i w czasie jego pobytu w Paryżu naradza się z nim we wszystkich ważnych sprawach. Niech mu również wręczy szablę honorową.

Z kolei autor listu przeszedł na inny temat. Franklin wyprostował się, oczy mu załśniły. Mister Lowell informował w suchych słowach, że Kongres postanowił mianować go jedynym pełnomocnikiem Stanów Zjednoczonych przy dworze wersalskim. Listy uwierzytelniające zostaną przesłane następnym statkiem. Lowell przekazuje mu tę wiadomość przez markiza, chcąc, aby prędzej doszła do jego rąk, i życzy przy tej okazji szczęścia.

Wolnym ruchem starczej ręki położył Franklin list na stole. Oczekiwał, że tak się stanie. Nie mogło stać się inaczej. A jednak było możliwe, że stanie się inaczej. Liczył się z tym. Był to list bardzo doniosły. Zdejmował z niego wielki ciężar i równocześnie nakładał nań niemały. Zapadła teraz decyzja, że zostanie tutaj i może już nigdy nie zobaczy ojczyzny. Długa to była droga od spotkania z królową do tej nominacji. Sojusz

został zawarty. Ale teraz Franklin musi postarać się o pieniądze, o pożyczkę. Będzie to również droga długa i uciążliwa, a potem trzeba będzie przejść jeszcze długą drogę do pokoju. Ale dokona tego, był zdecydowany żyć dopóty, dopóki tego nie osiągnie. Ca ira.

Najchętniej pojechałby zaraz do premiera Maurepas i przypomniał mu obietnicę, że z chwilą usunięcia panów Lee i Adamsa, będzie można zacząć pertraktacje na temat pożyczki. Ale już myśląc o tym uśmiechnął się nad swą pochopnością. Znał hrabiego Maurepas, wiedział, że premier złoży mu życzenia i powie, że dopóki nie otrzyma wiadomości oficjalnej o nowym pomyslnym zwrocie, może pertraktować jedynie z całą delegacją. Franklin musiał więc czekać.

Tak na ogół spokojny, tym razem nie umiał czekać. Musiał zrobić coś zaraz, w tej chwili. Do pertraktacji pożyczkowych potrzebna mu była rada zaufanego człowieka. Takim był tylko pan Le Grand, wypróbowany bankier Stanów Zjednoczonych, ale przebywał on w Amsterdamie. A zatem nowo mianowany jedyny pełnomocnik zabrał się do swej pierwszej czynności urzędowej. Napisał własnoręcznie do pana Le Grand z prośbą, by ten przybył niezwłocznie do Paryża.

Dopiero po dokonaniu tego, zaczął gruntownie rozważać, czym jest dla niego ta nominacja. Wyobrażał sobie, jak ta wiadomość podziela na jego kolegów, którzy już nimi być przestali. Mister Adams zapewne przełknie gorzką pigułkę z dobrą miną, ale można sobie wyobrazić twarz kochanego Artura Lee. Franklin uśmiechnął się i przez ułamek minuty nie wyglądał jak mędrzec, lecz jak człowiek, który się cieszy z cudzego nieszczęścia.

Po chwili opanował się jednak. Wydawało mu się małostkowe napawać się czymś niepowodzeniem. Nabrał teraz pewności, mógł czekać spokojnie, aż Kongres zakomunikuje tym panom przykrą nowinę. Postąpi godniej, zatrzymując wiadomość przy

sobie. To dopiero będzie zabawa patrzeć, jak tamci w ciągu tygodni, które im jeszcze pozostają, będą mu udzielać rad i polemizować z nim.

W ogóle mądrzej będzie zachować milczenie i nie wtajemniczać w sprawę nikogo, nawet najbliższych i przyjaciół. I tak przed nadejściem listów uwierzytelniających nie da się bez awantur dokonać nic pożytecznego. Poza tym, jeśli będzie milczał, będzie się mógł bawić zachowaniem tamtych.

Zadowolony, siedział spokojnie z zamkniętymi oczyma.

Zgodnie z postanowieniem potrafił zapanować nad sobą. i nikomu nie powiedział ani słowa, nie wyłączając Williama Temple i pani Helvetius.

Pewnego dnia siedział pod swoim bukiem. Zaczynała się już zima, był opatulony futrami. Ale poprzez nagie gałęzie przeświecało radosne słońce, zdjął więc futrzaną czapkę i wystawił skąpo owłosioną czaszkę na miłe ciepło. Zjawił się mały Benjamin, zapytał, czy może mu dotrzymać towarzystwa. Otrzymał przychylną odpowiedź usiadł z dzieciną, ale bardzo rozsądną minką. Tak wyglądałby z pewnością mały Franky, gdyby mu było dane dożyć tego wieku.

Serce Franklina wezbrało.

- Zobaczymy, mój chłopcze - powiedział - czy będziesz w stanie zachować tajemnicę. Jak ci się zdaje, potrafisz?

- Myślę, że tak, dziadku - odrzekł mały żarliwie.

- Dajesz mi słowo - zapytał doktor - że się nie zdradzisz, jeżeli ci powiem w sekrecie coś bardzo ważnego? Przed nikim. Nawet przed Williamem.

- Na pewno nie powiem nikomu - zapewniał mały Ben.

- Słowo? - zapytał Franklin.

- Słowo - odrzekł mały uroczyście.

- A więc słuchaj - zaczął Franklin - dziadek twój został jedynym przedstawicielem pełnomocnym.

Mały Benjamin widocznie doznał rozczarowania. Odpowiedział jednak uprzejmie: - Gratuluję, dziadku. Z pewnością nikomu o tym nie powiem.

Franklin myślał z uśmiechem, jaki ten rozsądny Franklin jest jednak niemądry. Myślał również, że w tym wypadku przyjaciel jego Dubourg opowiedziałby zapewne historię o królu Midasie. Ten król Midas był jednym z sędziów zawodów muzycznych między Apollinem i Panem i jedyny spośród sędziów uznał, że nagrodę powinien dostać Pan. W odpowiedzi na to Apollo sprawił, że Midasowi wyrosły ośle uszy. Midas ukrył je starannie pod czapką frygijską. Jednak dojrzał je jego fryzjer. Wiedząc, że może przyplacić życiem zdradzenie tajemnicy, trzymał ją długo przy sobie. Ale wreszcie nie mógł tego znieść dłużej. Wykopał w ziemi dołek i szepnął weń: „Midas ma ośle uszy, Midas ma ośle uszy!” Z dołka jednak wyrosło sitowie, które szumem swym obwieściło całemu światu: „Midas ma ośle uszy!”

W tym wypadku nie było tak źle. Ale nie postąpił mądrze, wtajemniczając w sprawę małego Bena. Mimo to nie żałował, że tak zrobił, i kiedy chłopak, jak prawdziwy mężczyzna, chytrze i poufnie mrugał na niego okiem, był bardzo rad.

Lafayette chodził po Paryżu upojony chwałą. Czczono bohatera, który zaledwie przekroczył lat dwadzieścia, tak jak pół roku temu czczono osiemdziesięcioletniego filozofa Woltera. Franklin zasiał idee, z których powstała i dojrzała niepodległość Ameryki; Lafayette pierwszy spośród Francuzów wcielił sojusz w życie. Niezupełnie zgadzało się to z prawdą, ale dawano temu chętnie wiarę, gdyż Lafayette był młody, ognisty, wymowny i pełen życzliwości dla ludzi.

Lafayette złożył również wizytę w pałacu Montbarey. Obalony minister i jego żona poczytywali to sobie za honor i

nie wzięli Lafayette'owi za złe, że bohater obu światów, wbrew etykiecie, długo rozmawiał z Weroniką we wnęce okna..

Lafayette opowiadał Weronice o Felicjanie, wręczył jej list od niego. Felicjan był ranny w rękę, Lafayette zajął się nim i sprawił, że mianowano go podporucznikiem. Cenił poważnego młodzieńca, który nie dał się zwieść odpychającej pod pewnymi względami obcości Nowego Świata i zachował trzeźwy sąd zarówno o wielu złych, jak i o mniej licznych, zdecydowanie dobrych stronach. Lafayette dał wyraz radości, że mógł przekazać pozdrowienia swego przyjaciela Felicjana Lepine tak rozsądnej, odważnej i miłej młodej damie, przyglądał się jej bacznie swym bohaterskim, natarczywym spojrzeniem.

Po jego odejściu Weronika poszła z listem do parku, na miejsce, gdzie byli razem po raz ostatni. Przeżywała ciężki okres oczekiwania. Znosiła go cierpliwie. Widziała coś w rodzaju potwierdzenia w fakcie, że ojciec stracił swój urząd, a przez to możliwość szkodzenia krajowi. Pozwoliła pójść przyjacielowi i ukochanemu na walkę o wyzwolenie ludzkości, przeszła pierwszą próbę.

Odczytała jego list. Był pisany w obozie w Valley Forge/1. 1/Valley Forge - miejscowość w stanie Pensylwania, w pobliżu Filadelfii. Po klęsce pod Germantown i Brandywine od grudnia 1777 do czerwca 1778 obozowały pod Valley Forge wojska gen. Waszyngtona.

Bez skargi, ale z przerażającą wyrazistością opisywał Felicjan trudy i braki związane z pobytem w tym obozie. Życie wojenne Nowego Świata wygląda zupełnie inaczej, niż to sobie można wyobrazić ze sprawozdań dziennikarskich i opisów zawartych w książkach o wojnie. Ten listu był ponury, niemal rozpaczliwy, ale Felicjan dodawał:

„Liczyłem się z tym, że w walce o wolność będzie dużo kolców i cierni". W rezultacie poprzez gorycz i smutek jego słów przeświecała wielka ufność.

Weronika długo trzymała list w ręku i starała się wchłonąć w siebie całkowicie ducha, który go ożywiał. Nie mogła się oprzeć rozczarowaniu, że wszystko okazało się tak inne od tego, o czym marzyła, dalekie od blasku i romantyzmu, twarde, brudne, nudne i żalosne. Myślała o ranie Felicjana, wyobrażała sobie jego rękę - niestety markiz nie umiał jej powiedzieć, czy była to ręka prawa, czy lewa - na której pozostanie blizna. Wbrew woli zabrzmiały jej w uszach owe strofy Jana Jakuba: „Ukochany, który mi dał szczęście, odjechał do innego kraju. Ach, dlaczego szuka za oceanem szczęścia, które ma tutaj?" Wkrótce jednak z ponurą zawziętością odpędziła smutek pocieszając się dumną myślą, że należy do grona młodych, którzy przez swą ofiarę zasłużyli się dla wolności świata.

Również i Pierre Beaumarchais został zaszczycony odwiedzinami Lafayette'a. Markiz nie zapomniał, że ma wobec niego wielki dług wdzięczności. Podróż jego nie doszłaby zapewne do skutku bez czynnego poparcia Carona; agent Beaumarchais'go w Ameryce wyciągnął go również wspaniałomyślnie z kłopotów pieniężnych. Markiz zaraz po powrocie kazał zwrócić panu Beaumarchais tę okazałą sumę, którą mu jego agent wypłacił w Filadelfii, i sam zjawił się w domu przy ulicy Saint-Antoine, by wyrazić mu swą wdzięczność.

Pierre patrzył nie bez zazdrości na młodzieńca, którego zasługi tak przesadnie były wielbione. Gdyby Lafayette pochodził ze stanu mieszczańskiego, inny byłby zapewne jego los i po tej, i po tamtej stronie oceanu. To prawda, że i Pierre mógł rozkoszować się wszelką sławą, jaką świat zdolny był obdarzyć. Ale pomimo całej sławy nie mógł osiągnąć tego, by

jego najdojrzalszy owoc, dzieło, z którego był dumny i które nieskończenie kochał, Figaro, ujrzało światło kinkietów. Ludwik bronił się nadal zaciekle i uporczywie przed wystawieniem sztuki.

Mimo wszystko odczuwał Pierre wielką radość z sukcesu markiza, tak jakby chodziło o przyjaciela, i w płomiennych słowach wyraził mu swój podziw. Lafayette odpowiedział równie patetycznymi zapewnieniami czci.

Potem przeszedł do spraw, które powinny były zainteresować Beaumarchais'go. Opowiadał szczegółowo, jak smutna i beznadziejna jest sytuacja Silasa Deane'a wobec Kongresu. Wrogowie atakują go z zaciekłością, ci, których uważał za przyjaciół, słuchają go, z trudem powstrzymując ziewanie. Lafayette opowiadał z kolei szczegółowo o zachowaniu Artura Lee. Zapewniał, że zrobił wszystko, co mógł, by zdemaskować jego kłamstwa; powoli, ale z wszelką pewnością zdobędzie Pierre uznanie dla swych zasług także w Kongresie.

Potem przeszedł Lafayette do sukcesu literackiego, który Pierre, nie wiedząc wcale o tym, odniósł w Ameryce. Młody filozof, pan Quesnay, syn słynnego lekarza pani Pompadour, pojechał za ocean, by tam w bardziej liberalnych warunkach pracować nad francuską filozofią i sztuką. Zamieszkał w Filadelfii, udzielał lekcji francuskiego damom tamtejszego towarzystwa, doprowadził do tego, że w okresie, w którym widowiska teatralne były zabronione jako rzecz frywolna, wystawiono po francusku dramat Beaumarchais'go Eugenia.

- Niech pan tylko nie pyta - dodał markiz z uśmiechem - jaka to była francuszczyzna.

Ale Pierre powiedział sobie, że jakoś tam jego sztukę rozumiano. I cieszył się jak dziecko, że zdobył serca antypodów dla francuskiego słowa i francuskiej sztuki.

Pierwszym posunięciem Franklina jako jedyne go posła pełnomocnego było zamówienie szabli honorowej - daru Kongresu dla Lafayette'a.

Chodziło o to, by młoda republika wystąpiła godnie na dworze górującym przepychem nad wszystkimi innymi dworami Europy. Dar jej nie mógł być gorszy od tego, co ofiarowywały inne kraje; na szczęście tym razem Franklin mógł nie użerać się z kolegami, jaką cenę wolno mu zaakceptować. Zgodził się na wymyślne ornamenty, na symbole i cytaty, mające swą wymowę, a równocześnie pełne kurtuazji, polecił sporządzenie szabli nadwornemu jubilerowi Bassenge. Pan Pourrat z fabryki porcelany w Sevres miał się zająć rzeźbami i ozdobami.

Uważając mylnie, że zlecenie wyszło od delegacji in gremio, pan Bassenge zwrócił się z jakimś zapytaniem do Artura Lee. Ten był oburzony. Doktor honoris causa znowu dokonał czegoś bardzo ważnego bez zapytania go o zgodę, znowu w sposób nieodpowiedzialny szastał pieniędzmi Kongresu.

Lee z gniewną miną pospieszył do Passy i zażądał wyjaśnień.

- Mam podstawę do przypuszczania - odpowiedział Franklin ze spokojem - że tego rodzaju podarunek zgodny jest z życzeniami Kongresu.

- Nie wiedziałem - szydził Lee - że potrafi pan odczytywać myśli poprzez ocean.

Przez chwilę Franklin miał ochotę powiedzieć temu młodzikowi, że rola jego jest skończona, ale oparł się tej pokusie.

- Czy chce pan - zapytał ze spokojem, który jeszcze bardziej wzburzył Artura Lee - byśmy zamówienie szabli honorowej odwołali i w ten sposób obrazili Lafayette'a i całą Francję?

- Niestety nie byłoby to wskazane - odrzekł Artur Lee - jakkolwiek uważam, że grubo przeceniają tego niedojrzałego francuskiego arystokratę. Ale w żadnym wypadku nie mogę

zgodzić się bez protestu, by w czasie kiedy kraj nasz nękany jest najstraszliwymi troskami pieniężnymi, wydawano pięć tysięcy liwrów jedynie na piękny gest.

Franklin zdjął okulary i skierował swój wzrok na wzburzonego Artura Lee. Brwi jego uniosły się jakby jeszcze wyżej, szerokie usta na brały jeszcze bardziej odpychającego wyrazu, wielkie, wypukłe oczy stały się jeszcze bardziej surowe. Na Artura Lee patrzył teraz Franklin z portretu pędzla Duplessis, Lee poczuł się nieswojo. Wreszcie stary odezwał się:

- Ma pan rację, pięć tysięcy liwrów to duża suma, można by za nią kupić dużo chleba i trochę szynki dla głodujących Amerykanów. Ale wręczenie młodzieńcowi, który tyle zrobił dla naszej sprawy i niejednokrotnie narażał dla nas życie, jakiegoś mizernego podarunku wydawało mi się poniżej naszej godności. Myślałem ofiarować coś z własnych pieniędzy, ale potem uznałem za właściwsze złożyć i ze swojej strony pięćdziesiąt funtów na naszych jeńców w Anglii, którzy głodują wskutek oszukańczych manipulacji tego łotra Diggesa.

Artur Lee uważał, że Franklin dyskutuje z nim w sposób niestosowny. To nieładnie, że stary chcąc go upokorzyć wyciąga sprawę nie mającą nic, ale to nic wspólnego z występny marnotrawieniem pieniędzy państwowych.

- Właśnie dlatego, żeśmy w Londynie wskutek nieprzewidzianych okoliczności ponieśli straty - oświadczył - winniśmy wystrzegać się każdego zbędnego wydatku. - Założył ręce na piersi, stanął w wyprostowanej postawie, wysunął naprzód podbródek.

Franklin miał ochotę odpowiedzieć ostro. Ale później pomyślał sobie: „O mój biedny Ryszardzie, gdybyś ty wiedział...” Na widok świętoszkowatego oburzenia na twarzy swego rozmówcy uśmiechnął się szeroko i z zadowoleniem.

Artur Lee nie wiedział, co o tym myśleć; zachowanie starego było nie tylko obrażające, lecz wręcz wariackie. Wzruszył ramionami i odszedł.

Po kilku dniach wyjaśniło się, co znaczył ów uśmiech Franklina. Drogą przez Amsterdam przyniosła następna poczta oficjalną wiadomość o mianowaniu Franklina jedynym posłem pełnomocnym.

Cała krew spłynęła Arturowi Lee do serca, pociemniało mu w oczach, padł zemdłony.

Po chwili przytomność wróciła. Powoli, leżąc jeszcze na ziemi, myślał o tym, co się stało. Opanowała go bezgraniczna furia. Poskromił ją. Tylko nie dać się porwać uczuciom, myśleć, rozważać logicznie oto jego siła, tym góruje nad doktorem honoris causa.

Wstał z trudem, pojękując, usiadł. Raz jeszcze przeczytał uważnie pismo Kongresu. Zawarte w nim było również polecenie wręczenia Lafayette'owi szabli honorowej. U góry, na marginesie, widniała cyfra 4, dowodząca, że jest to czwarta kopia. Trzy kopie zginęły. Zacisnąwszy zęby i usta Artur Lee rozmyślał. Kopie przeznaczone dla Franklina musiały również zagać. Mimo to stary wiedział z pewnością o swej nominacji i o poleceniu dotyczącym szabli honorowej. Gdyby tak nie było, nie traktowałby go z takim zuchwałym, łagodnym szyderstwem, nie uśmiechałby się w sposób tak nikczemny i wyniosły. Artur Lee poczuł się poniżony jak nigdy w życiu. Jak żałośnie musiał wyglądać stojąc przed Franklinem, strofując go, czyniąc mu wyrzuty; a ten stary arogant nie zadał sobie nawet trudu, by mu rzecz wyjaśnić i zdruzgotać go. Jak bezgranicznie złośliwy był ten nestor, ten patriarcha, jak złośliwość jego i pycha wzmogły się z biegiem lat. Jakiż to prostacki kawał, że zataił przed nim tę wiadomość, by rozkoszować się jego niewiedzą. Myślał o uśmiechu doktora, w którym było coś niewypowiedziane impertynenckiego. Tak

śmiać się można z małpy robiącej pocieszne skoki, by zdobyć owoc, od którego dzieli ją żelazna krata.

Doktor honoris causa to istny diabeł. Swoją elektrycznością, swoją sławą członka Akademii od początku starał się zepchnąć go w cień i Artur Lee podporządkował się temu. A przecież każdy musiał przyznać, że był lepszym mężem stanu niż Franklin. Ale starego nie potrafiła rozbroić największa cierpliwość. Chciał się pozbyć Artura Lee, bo ten, wierny swym surowym zasadom republikańskim, robił doktorowi wyrzuty z powodu jego przekupnych metod, jego nepotyzmu, jego kompromitującego Amerykę „liberalnego” trybu życia. Interesy jego i jego przyjaciół nie mogły znieść uczciwego oka. Dlatego ukrył się za bałwochwalców, za sługusów despoty. Ale Kongres musiał wobec ciężkich czasów ustąpić przed odwiecznym wrogiem i odtąd ta dwuznaczna figura będzie się bez jakiejkolwiek kontroli rozpierać w Passy, będzie ze szkodą dla Ameryki i wolności uprawiać swe ciemne machinacje.

Źle się dzieje w Stanach Zjednoczonych, jeżeli Henryk Ryszard Lee, twórca amerykańskiej niepodległości, musi godzić się na to, by jego brat Lee doznał takiej zniewagi i niewdzięczności.

Siedział tak, ścięty z nóg, całą wieczność. Wreszcie podniósł się, założył ręce na piersi, wysunął naprzód podbródek, jakby chciał atakować nim niewidzialnego wroga, doktora honoris causa. Myli się doktor Franklin, jeżeli sądzi, że Artur Lee tak prędko zrezygnuje z walki. Jeszcze ma tytuł prawny do przebywania w Paryżu, jeszcze piastuje urząd, jeszcze jest mianowanym przez Kongres posłem w Madrycie. Instrukcja, którą Kongres dał jego bratu Williamowi i Ralphowi Izard, rozciąga się i na niego.

Dopóki go nie dopuszczą na dwór madrycki, ma obowiązek pozostawać tu, w Paryżu, stać na straży interesów kraju, pilnować starego, powstrzymać go od zgubnych kroków.

Tego samego dnia, w Passy, dowiedział się mister Adams, że nie on, lecz Franklin mianowany został jedynym posłem pełnomocnym. Zasepił się na chwilę uważając, że nawet w błogosławionym kraju, któremu na imię Ameryka, liczba osłów jest przerażająco wysoka. Ale szybko opanował rozczarowanie. Wobec zawarcia sojuszu przed jego przybyciem, pobyt we Francji był chybiony od samego początku; dobrze, że może go przerwać i wrócić do swej Abigail. Biorąc rzeczy bezstronnie, to właściwie lepiej, że jeden człowiek będzie tutaj kierował sprawami, nawet jeżeli nie bardzo się do tego nadaje.

Mister Adams lubił dobre formy i mocne gesty. Udał się więc do doktora Franklina, wziął jego starczą, opaloną rękę w swoją ciepłą i tłustą dłoń i powiedział:

- Gratuluję panu, doktorze Franklin. Powiem szczerze, że było moim życzeniem móc w dalszym ciągu kierować tutejszymi sprawami. Ale wiem, że skoro został pan jedynym przedstawicielem pełnomocnym, interesy naszego kraju będą lepiej strzeżone niż wtedy, kiedy majstrowała przy tym nasza trójka. Poza tym przestaje pan chętnie z Francuzami, podczas gdy ja wolę żyć w ojczyźnie. Kongres znalazł więc chyba najlepsze rozwiązanie.

List do żony, mistress Abigail, brzmiał następująco:

„Otrzymałszy wiadomość o rezolucji, wysmażonej przez nierozsądnych członków Kongresu, ubolewałem z początku nad nową próbą, na którą wystawiony został nasz kraj. Z drugiej strony uważałem za słuszne złożyć doktorowi, który w osobistych ze mną stosunkach zachowywał się nienagannie, gratulacje, nie ukrywając oczywiście, co o tym myślę. Zastałem go, mówiąc nawiasem, przy biurku, z jedną nogą

gołą i z włosami w takim nieładzie, że stan jego umysłu budził poważne obawy".

Tą samą pocztą Franklin otrzymał od zaufanego przyjaciela dokładny raport, jak jego nominacja doszła do skutku. Kiedy zapadła decyzja zredukowania delegacji paryskiej do jednego reprezentanta, wybrany został trzynastoosobowy komitet dla opracowania szczegółów projektu. Z tych trzynastu - pięciu głosowało z początku na Artura Lee, czterech na Adamsa, dwaj nie mieli ustalonego kandydata; tylko dwóch oświadczyło się za Franklinem. Przyjaciele Artura Lee i Adamsa nie mogli w żaden sposób dojść do porozumienia. Wyłonił się więc plan odwołania wszystkich trzech dotychczasowych pełnomocników i wysłania do Paryża kogoś nowego. Tymczasem poseł francuski powtarzał coraz wyraźniej i natarczywiej, że jedynie Franklin cieszy się u jego rządu autorytetem potrzebnym do przeprowadzenia pożyczki. Komitet zaproponował więc Franklina, którego kandydatura przeszła jednym głosem większości. Na posiedzeniu plenarnym zwarcie głosował przeciw niemu stan, z którego pochodził - Pensylwania.

Franklin nie był zbyt zaskoczony tym raportem. W Stanach Zjednoczonych zebrano się przeciw niemu dużo nienawiści, był synem robotnika z przetwórnicy łożu, stał w Pensylwanii na czele partii ludzi pracy przeciw partii obszarników. Zdrada jego syna dawała dogodny materiał propagandowy. Znalazł się więc o włos od negatywnej decyzji. Ale był dzieckiem szczęścia. Chcąc być szczery sam z sobą, nie mógł nie przyznać, że odwołanie byłoby dla niego ciężkim ciosem. Może jedynie owa kolacja w „Redoute Chinoise” sprawiła, że nie Artur Lee pozostaje tutaj, lecz on. Są to zresztą czcze rozważania. Wypadkami rządziła jakaś logika, jakiś sens. Los chciał, by na placu pozostał godniejszy reprezentant sprawy amerykańskiej.

Uśmiechnął się. A więc nawet Kongres zrozumiał wreszcie, że tak się stać musi; oczywiście tylko dzięki pomocy posła francuskiego.

W Passy i w Wersalu panowała wielka radość. Mały Beniamin pomyślał z dumą, że dziadek wtajemniczył go w sprawę naprawdę ważną.

Pani Helvetius wydała na cześć Franklina uroczyste przyjęcie: przewyciężyła się i zaprosiła również panią Brillon. Doktor jadł nadmiernie, przede wszystkim połykał góry bitej śmietany, nie bał się również sięgać raz po raz po maderę, chcąc dowieść starej przyjaciółce-podagrze, że się jej nie boi. Przy tej okazji ksiądz Morellet skomponował dla Franklina piosenkę, pełną nonsensów, głębokiego rozkochanego podziwu, beztroskiej wesołości i kiepskich, wesołych, dźwięcznych rymów.

Niech tam sobie histo-ri-a
Śpiewa gromkie „glo-ri-a”.
Dziś niech uczczony będzie mąż,
Co się z nami śmieje wciąż.
Czin, czyn, czyn.
Niech nam żyje Beniamin!

Przed gromami zamknął drzwi,
Państwo stworzył w cztery dni,
Dziś w kieliszka patrzy dno –
W nim madera i bordeaux.
Z szczęśnych ulepiony glin,
Komu sprzyja Beniamin!

Ów Solona wielki brat
Arcymędrzec, dziadzio-chwat
Spija nektar świętych win –

Żart i mądrość, myśl i czyn,
Ameryki prawy syn,
Niech nam żyje Beniamin!

Było aż siedem tych bzdurnych zwrotek. Franklin bawił się wspaniale: akompaniował córkom pani Helvetius, które śpiewały piosenkę, na instrumencie (harmonijka szklana) jego własnego wynalazku. Potem sam odśpiewał dwie smętne szkockie pieśni ludowe, które specjalnie lubił: romancę o Marii Stuart i melancholijną pieśń: Jacy byliśmy szczęśliwi. Nazajutrz Franklin pojechał do Wersalu, by oficjalnie zakomunikować o swym mianowaniu panom Maurepas i Vergennes. Poseł Gerard już dawno i dokładnie poinformował ich o faktach, które poprzedziły nominację. „Gratuluje Panu, Ekscelencjo, i sobie samemu - pisał do hrabiego Vergennes - że pozbyliśmy się tego okropnego Artura Lee. Człowiek ten otoczył się pajęczyną bezmyślnych kłamstw, zaprawionych goryczą; paraliżowały one każdego, kto się z nim stykał. Cieszę się z głębi duszy, że dane mi było zapobiec temu, by ten niebezpieczny i zły człowiek został mianowany na miejsce Franklina”.

Vergennes nie lękał się ujawnienia przed Franklinem swej opinii o Kongresie.

- Pan, doktorze Franklin - powiedział - nie zrozumie mnie źle, jeżeli będę otwarcie z panem mówić. Jaką dziwną kompanię wybraliście do swego przedstawicielstwa narodowego. Gdybyśmy temu nie zapobiegli, wasz opuszczony przez swego Boga Kongres odwołałby w bardzo trudnej sytuacji swego najlepszego reprezentanta.

Również i Maurepas nie ukrywał radości z nominacji Franklina.

- Poleciałem mistrzowi Duplessis - zwierzył mu się z uśmiechem - by namalował nowy pański portret. Chcę go

ofiarować królowej. Jej królewska mość dawno już miała przyjemność poznać pana. Jeżeli powiesi teraz pański portret w miejscu widocznym dla każdego, będzie to w pewnym stopniu uznanie dziecka, które za wcześnie przyszło na świat. - Potem dodał: - Przy wręczeniu listów uwierzytelniających zobaczy pan znowu monarchę. „Arcychrześcijański” przyzwyczai się powoli do pańskiego widoku.

O pożyczce obaj ministrowie nie mówili ani słowa. I Franklin uważał za słusniejsze nie poruszać teraz tej delikatnej materii.

Paryż cieszył się szczerze, że ambasador wolności i rozumu został na nowo uznany i zatwierdzony na swym urzędzie. Teczki Williama Temple i de la Motte'a zwiększyły szybko swą objętość. Przez cały dzień zajeżdżały przed dom w Passy pojazdy z gośćmi, którzy pragnęli złożyć Franklinowi życzenia.

Był wśród nich i Pierre Beaumarchais. Wiadomość, że podstępny, z gruntu zły Artur Lee, który hańbił imię Ameryki, został odwołany, wywołała w sercu Carona nieposkromioną radość. Raz jeszcze znalazły potwierdzenie zasady, na których opierał swe życie. Z najgłębszych otchłani wydobywał się zawsze na szczyty szczęścia. Nie tylko absurdalny przypadek, który wtrącił go pomiędzy nicponiów w Saint-Lazare, okazał się w skutkach olśniewającym szczęściem; teraz otrzymał nową satysfakcję: szubrawiec Lee, który przeciwstawił się zapłacie za jego dostawy, został odwołany. Poza tym fakt ten sprzęgał go na nowo z wielkim pionierem niepodległości amerykańskiej, patriarchą z Passy.

Gratulował Franklinowi z egzaltacją. Doktor odetchnął z ulgą. Kiedy ten pan Caron, nie bez winy Kongresu, znalazł się niedawno w ciężkich tarapatach, nie ruszył palcem i nie pomógł mu; teraz pan Caron zachowuje się tak, jakby mu tego nie brał za złe.

Beaumarchais powiedział naiwnie z rozpromienioną miną:

- I pan, doktorze Franklin, cieszy się chyba ogromnie, że się pozbył tej kuli u nogi, tego Artura Lee. I pan musiał od niego niemało wycierpieć.

Franklin zmieszał się trochę. Pomyślał o Dubourgu i o „musze z dyliżansu”. Czy to była aluzja? Odpowiedział ostrożnie, nieco sztywno:

- Tak, zrobiono panu wiele krzywdy.

- Panu i mnie, panu i mnie - zapewniał z zapalem Pierre. - Zaszczyt to dla mnie, doktorze Franklin, że los ten dzieję razem z panem. Zaszczyt to dla mnie, że obaj mamy tak wiele wspólnego. Ze wszystkich nieszczęść wydobywamy się jakoś na powierzchnię.

Franklin mówił sobie, że ten człowiek zrobił naprawdę wiele dla sprawy Ameryki, więcej niż ktokolwiek we Francji, niż wielbiony Lafayette; za tę pomoc źle mu zapłacono. Mimo to w dalszym ciągu czuł niechęć do pana Beaumarchais. Nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Powiedział belferskim tonem:

- Nie cieszymy się przedwcześnie, przed nami jeszcze daleka droga. Pierre nie zrozumiał na razie, jaki ta uwaga ma związek z jego słowami. W mgnieniu oka jednak wytłumaczył ją sobie tak, jak chciał, oświadczając:

- Tak, pod tym względem dzieje się z panem jak ze mną. I mnie każdy sukces wydaje się zawsze tylko początkiem, podnóżem góry, której szczyt gubi się w chmurach.

Franklin, zdumiony tą interpretacją, odpowiedział z westchnieniem:

- Drogi panie, nie miałbym czasu na drapanie się na taki szczyt otoczony chmurami. Kiedy dziś idę przez cmentarz Świętego Innocentego, wydaje mi się, że szukam mieszkania.

Pierre pocieszał go energicznie.

- Skądże znowu, czcigodny doktorze - powiedział. - Głowa do góry. Wierzę w pańskie szczęście tak samo jak w swoje. My dwaj dożyjemy jeszcze końca tej wojny. Mówi to panu Pierre Beaumarchais.

Tymczasem przybył z Amsterdamu bankier Le Grand i Franklin opracował z nim memoriał, który zamierzał przedłożyć gabinetowi francuskiemu, by uzasadnić konieczność pożyczki. Rysowało się coraz wyraźniej, że szybkie udzielenie dwudziestu pięciu milionów, których żądał Kongres, było dla Stanów Zjednoczonych kwestią życia.

Mimo to doktor ociągał się. Nie jest to odpowiednia pora, by żądać sumy tak wysokiej. Od czasu zawarcia sojuszu stosunki między Francją i Ameryką zacieśniły się. Paryż był lepiej poinformowany o różnicach zdań w łonie Kongresu i o sytuacji całego kraju. Stały się wiadome liczne szczegóły rzucające mętne światło na nowych aliantów. Oficerowie francuscy wrócili niezadowoleni i wyrażali się niekorzystnie o stosunkach amerykańskich. Zdaniem ich, zaledwie czwarta część Amerykanów wierzyła w niepodległość. Pan Laroche, jeden z niezadowolonych oficerów, puścił w ruch złośliwe powiedzenie, że więcej przyjaciół amerykańskiej republiki znaleźć można w Paryżu niż w Ameryce. Inny oficer, pan de Portail, ranny kapitan floty admirała d'Estaing, rozpowiadał wszędzie, że z Amerykanami nie można się ani porozumieć, ani zżyć. Leniuchują, piją od rana do nocy herbatę z rumem, palą, unikają trudów i kłopotów, nie można na nich liczyć na dłuższą metę. W dodatku czują gwałtowną niechęć do Francuzów i raczej woleliby przejść do Anglików niż walczyć ramię w ramię z Francuzami. Z polecenia pana Neckera objechał Stany Zjednoczone urzędnik Ministerstwa Finansów, pan Pellier. Wrogowie Ameryki kolportują odpis jego raportu. Píše on, że agenci rządu amerykańskiego pobierają od

dostawców rządowych nieprawdopodobnie wysokie prowizje. W całym kraju panuje sobkostwo i wyrachowanie, nikt nie myśli o tym, by takie nastawienie potępić, niebываła żądza zysku jest najbardziej charakterystyczną cechą Amerykanów, zwłaszcza w stanach północnych.

Franklin nie uważał za wskazane, by w czasie kiedy salony i kawiarnie Paryża rozbrzmiewały takimi opowiadaniem, żądać olbrzymiej sumy, której domagał się Kongres. Miał wprowadzić zapewnienie rządu, że gabinet czeka tylko na to, by z Franklinem, jako z jedynym przedstawicielem pełnomocnym, rozpocząć rozmowy o pożyczce, lecz wiedział z doświadczeń, jaką wagę można przywiązywać do obietnic dyplomatów. Zgoda, nawet najbardziej wyraźna, mogła być zawsze tak interpretowana, że w rezultacie wszystko ułatwia się jak dym.

W ciągu tych tygodni miał liczne rozmowy z Lafayette'em. Generał Waszyngton, wynikało to wyraźnie ze słów markiza, był przeświadczony, że bez pomocy armii francuskiej i francuskiej floty nie ma mowy o decydującej bitwie i wygraniu wojny. Toteż wystawiono korpus ekspedycyjny; a choć zostało to zrobione bez wielkiego hałasu, było na co popatrzeć. Markiz otrzymał rozkaz udania się w najbliższych dniach do Hawru, by w charakterze zastępcy generalnego kwatermistrza przeprowadzić tam inspekcję wojsk. Ale wojska te nie mogły wyruszyć, ponieważ Kongres sprzeciwiał się wpuszczeniu do kraju francuskich oddziałów. Między Amerykanami i admirałem d'Estaing doszło do przykrych starć, obawiano się, że gdyby cała armia francuska stanęła na amerykańskiej ziemi, byłoby jeszcze gorzej.

- Kongres - żalił się Lafayette - nie chce wojska ani doświadczonych oficerów, chce tylko pieniędzy. Niech mi pan pomoże, doktorze Franklin. Proszę jakoś wpłynąć na Kongres, by przełknął ten francuski korpus ekspedycyjny. Proszę

wytłumaczyć tym panom, że armia francuska wniesie również francuskie pieniądze, które się rozejdą między ludźmi. Och, jakimi kramarzami są ci panowie z waszego Kongresu! - westchnął. - Zawsze sądziłem, że Francuzi to skąpy naród, ale w porównaniu z wami jesteśmy po prostu rozrzutni.

Autor Poczciwego Ryszarda, który swych czytelników tak energicznie zachęcał do oszczędzania nie stosując we własnym życiu tej zasady, uśmiechnął się.

Jedno było pewne: wysłanie francuskiego korpusu ekspedycyjnego, bez czego nie można było wygrać wojny, zależało również od pożyczki. Rozum Franklina kazał mu czekać, serce domagało się, by coś przedsięwziąć.

W takiej sytuacji dotarło doń pismo Waszyngtona. Był to krótki list. W prostych słowach generał mówił o tym, że sytuacja wojska i kraju przedstawia się ponuro. Albo Ameryka dostanie od Francji pieniądze, albo będzie zmuszona zawrzeć pokój.

Ten list Waszyngtona położył kres wahaniom Franklina pomimo wszystkich zastrzeżeń, jakie mu się nasuwały. Przesłał hrabiemu Vergennes memorandum sporządzone z pomocą pana Le Grand, dołączył do niego list o charakterze ściśle osobistym.

Nie powołując się na przyrzeczenie hrabiego Maurepas, pisał: „Jestem stary, osłabiony chorobą i chyba niedługo będę mógł reprezentować interesy Stanów Zjednoczonych. Dlatego korzystam z okazji, by zapewnić Waszą Ekszelencję, że położenie jest krytyczne. Zachodzi niebezpieczeństwo, że Kongres, nie mogąc zaspokoić elementarnych potrzeb ludności, straci nad nią władzę. W ten sposób cały nowy ustrój amerykański stanąłby pod znakiem zapytania. A jeżeli Anglicy znowu dojdą w Ameryce do głosu, sposobność do utrwalenia separacji, jaka nastąpiła obecnie, zostanie na długie lata stracona. Bezsporne posiadanie żyznego, rozległego kraju

oraz długiego pasa nadbrzeżnego dałoby Anglikom przez szybki rozwój handlu oraz zwiększenie liczby marynarzy i żołnierzy tak szeroką bazę przyszłej wielkości, że staliby się postrachem Europy i mogliby bezkarnie dopuszczać się zuchwałych gwałtów, właściwych temu narodowi; w miarę zaś wzrostu potęgi tego narodu i one wzrosłyby zastraszająco".

Tymczasem szabla honorowa dla Lafayette'a była gotowa. Franklin z lubością przyglądał się arcydziełu. Rękojeść i wszystkie ozdoby sporządzone ze złota. Ozdoby były poumieszczane wszędzie: na rękojeści, na gałce, na pochwie, na jelcu. Wszędzie widniał herb Lafayette'a ze śmiałym zapytaniem: „Cur non? - Dlaczego nie?” Półksiężyc symbolizował rosnącą chwałę Ameryki. Pod nogami Lafayette'a leżał rozciągnięty lew brytyjski. Ameryka wręczała swemu młodocianemu bojownikowi gałązkę wawrzynu. Przedstawione były bitwy pod Gloucester i Monmouth oraz odwroty spod Barren Hill i Rhode Island. Uskrzydłona fama leciała przed fregatą, na której Lafayette wracał do Francji. W jednej ręce trzymała wieniec, w drugiej trąbę, by obwieścić Europie jego wielkie czyny. Było rzeczą zdumiewającą, ile to różności Franklin i mistrz Pourrat potrafili zmieścić na jednej szabli.

Lafayette przebywał w Hawrze, gdzie stosownie do rozkazu dokonywał inspekcji wojsk przeznaczonych dla Ameryki. Franklin nie mógł więc wręczyć mu pięknego daru osobiście. Miało to swoją dobrą stronę: Franklinowi nadarzała się doskonała okazja wysłania młodego Williama do Hawru.

Spośród całego bliższego otoczenia Franklina młody William przejawiał największą radość z powodu nominacji, Uczucie jego dla Blanchette Caillot było głębsze, niż potrafił okazać; byłby to dla niego bolesny cios, gdyby musiał rozstać się z nią

i wrócić do Ameryki. Teraz otworzyły się widoki na pozostanie z nią jeszcze przez całe lata.

Od dawna prosił nieśmiało o pozwolenie wyjazdu do Hawru, by zobaczyć się z przyjaciółką. Ale było dużo pracy i doktor uważał za wskazane utrzymywać chłopca w przekonaniu, że główną dla niego sprawą w życiu winien być jego urząd. Chciał mu pozwolić na wyjazd do Hawru dopiero wtedy, kiedy podróż ta związana będzie z jakąś czynnością urzędową. Trudno było znaleźć zajęcie urzędowe bardziej pociągające niż wręczenie szabli honorowej.

William promieniał, był wniebowzięty. Miał odbyć podróż w wysoce zaszczytnej misji, miał wręczyć podziwianemu generałowi wspaniały dar, a równocześnie miał zobaczyć ukochaną przyjaciółkę, matkę swego dziecka. Franklin patrzył z radością na uszczęśliwionego wnuka.

Przed rozstaniem się z nim napisał list do Lafayette'a.

„Na szabli widnieje kilka czynów wojennych, którymi się Pan odznaczył. Mam wrażenie, że czyny te, jak również figury alegoryczne, udało się ująć niezwykle szczęśliwie. Tak, przy pomocy znakomitych artystów Pańskiego kraju można przedstawić wszystko. Z wyjątkiem wdzięczności, którą mój kraj wraz ze mną dla Pana odczuwa i którą trudno wyrazić również słowami”.

Franklin wygładził francuszczyznę tego listu przy pomocy pani Brillon. Przeczytawszy list w redakcji ostatecznej, zachichotał. Oto iście francuski sposób podziękowania generałowi.

Pan de Maurepas już od trzech dni spożywał śniadanie sam. Hrabina wyjechała do Paryża, by osobiście przypilnować ostatnich robót związanych z odbudową pałacu Phelypeau.

Stary premier był zadowolony, że hrabina umożliwi mu zamieszkanie w nieprzytulnym dotąd pałacu. Teraz i w Paryżu

będzie miał dom wygodny, urządzone wedle własnego smaku, będzie mógł częściej oglądać obrazy drzemiące za jedwabnymi zasłonami. Nie będzie przebywał ciągle pod okiem monarchy. Za czekające go przyjemności trzeba jednak było płacić na razie przykrościami. Ciężko mu było rezygnować z obecności hrabiny, śniadania spożywane w samotności wprawiały go w gniew.

Zanurzył delikatne ciasto w czekoladzie, ale nie przełknął go, nie miał apetytu. „Na mą duszę, jeżeli ją posiadam - myślał - starzeję się”. Przypomniawszy sobie różne rozrywki, którymi zwykł był wypełniać swoje dni. Dziś nic go nie pociągało. Czuł się zmęczony. Marzył, żeby dzień się skończył, by mógł położyć się do łóżka i zasnąć.

Miał w swym życiu wszystko, czego człowiek może pragnąć: bogactwa, kobiety, zaszczyty. Odznaczał się dowcipem, rozumem, smakiem i odwagą. Miał podniecające przeżycia. Mógł zaspokoić swe ambicje i apetyty, mógł zrealizować każde swoje marzenie. Teraz pozostał mu jedyny cel: umrzeć na urzędzie.

Olbrzymi to wysiłek być postępowym ministrem reakcyjnego króla. Czy gra była warta świeczki? Starzec siedział owinięty w szale i chustki, wygląd miał mizerny i żałosny.

Kolega Vergennes zadrećza go znowu tą głupią pożyczką dla Franklina i jego Ameryki. Nie dał mu spokoju, dopóki Maurepas nie przyrzekł, że przy najbliższej okazji skłoni ociągającego się Ludwika do podpisu. Ile to znowu będzie kosztowało walki? Właściwie po co się tak męczyć? Co go ta Ameryka obchodzi? Ze złością i zawiścią patrzył na wiszący przed nim portret. Franklin spoglądał z niego swym chłodnym, badawczym spojrzeniem. Temu dobrze, ten reprezentuje młody kraj i może bez długiej walki i wewnętrznych zmaganiań iść z młodzieżą.

Kotka Gris-Gris przeciągnęła się, ziewnęła, wydała ciche mruknięcie. Maurepas wyciągnął ku niej rękę z kawałeczkiem ciasta, powąchała, odwróciła się.

Kotka Gris-Gris niezbyt go lubiła. Stary przypomniał sobie ostatnią rozmowę, którą prowadził na jej temat z żoną. Hrabina wahała się przez cały czas, czy zostawić kotkę, czy też zabrać ją do Paryża.

- Bardzo mi jej będzie brak - biadała. - Śniadanie nie smakuje mi, kiedy Gris-Gris nie zebrze o odrobinę ciasta.

- Zabierz więc ją, najdroższa - radził.

- Ale to biedactwo nie będzie się dobrze czuło w Paryżu - odpowiedziała hrabina. - Zabierałam ją ze sobą już ze dwa, trzy razy i czuła się bardzo nieszczęśliwa, co by to było, gdyby się znalazła w rozgardiaszu związanym z przebudową pałacu. Przyzwyczała się do Wersalu. Poluje tu na myszy, zna dokładnie każdą mysią dziurę. Tak już jest, że koty lubią dom, a nie mieszkających w nim ludzi.

- W takim razie, moja droga - odpowiedział - możesz się pocieszać myślą, że Gris-Gris dobrze się u nas czuje.

- Czasami jednak zdaje mi się - rozważała głośno - że kochane zwierzątko będzie za mną tęskniło, i nie jestem zupełnie pewna, czy Gaspard zawsze będzie jej dawał mleko odpowiednio ogrzane.

- Gdyby cię to miało trapić, najdroższa - odpowiedział - może jednak byłoby lepiej zabrać ją z sobą.

- Trudno z tobą dojść do ładu, Janie Fryderyku - biadała. - Sam nie wiesz, czego chcesz. Zabrać, zostawić - nigdy nie potrafisz nic jasno. niedwuznacznie doradzić.

Przypominając sobie tę rozmowę stary rozpogodził się nieco. Myśl, jak był zależny od swej małżonki i jak nad nią równocześnie górował, rozgrzewała jego zimne serce. Pogłaskał kotkę, która odsunęła się niełaskawym ruchem, i zapadł w drzemkę.

Obudził go cichy szmer. Drzwi zamknęły się. Zapewne ktoś uchylił je, by zobaczyć, czy można sprzątnąć ze stołu, i poszedł sobie nie chcąc przeszkadzać. Spojrzał na stojący na kominku zegar, arcydzieło rąk Falconeta. Musiał drzemać jakiś kwadrans. Znowu upłynęło piętnaście minut, dziewięćset sekund. Mijają minuty, godziny, aż człowiek umrze na swym urzędzie.

Zadzwoił. Polecił wezwać pana Salle. Wyrażając słowami nastroje owego ranka, dyktował sekretarzowi cyniczne, dowcipne uwagi na temat nicości życia.

- Proszę odczytać, Salle - rozkazał. I Salle czytał.

- To dobre - cieszył się Maurepas. - Nie uważa pan, że to dobre, Salle? - zapytał i zachwycony wytwornością swego stylu zapomniał na chwilę o nicości świata. - Czy nie uważa pan, drogi Salle, że to prawie równie dobre jak przypowieści Salomona - powiedział czekając na potwierdzenie. - Niechże mi pan dla porównania przeczyta parę wierszy z Salomona.

Salle wziął Biblię i zaczął czytać: „1. Pamiętaj tedy na Stworzyciela swego we dni młodości twojej pierwej, niżeli nastaną złe dni i nadejdą lata, o których rzeczesz: Nie podobają mi się. 2. Pierwej, niż się zaćmi słońce i światło, i miesiąc, i gwiazdy, a nawrócą się obłoki po dżdżu. 3. W dzień, którego się poruszą stróże domowi i zachwieją się mężowie duży i ustaną małęcy, przeto iż ich mało będzie, i zaćmią się wyglądający oknami. 4. I zawrą się drzwi z dworu z słabym głosem mełcia; i powstanie na głos ptaszy, i ustaną wszystkie córki śpiewające. 5. Nawet i wysokiego miejsca bać się będą, i będą się lękać na drodze, gdy zakwitnie migdałowe drzewo, także i szarańcza będzie mu ciężka, i żądza go ominie: bo człowiek idzie do domu wiecznego, a płaczący po ulicach chodzić będą. 6. Pierwej, niż się przerwie sznur srebrny i niż się stłucze czasza złota, a rozsypie się wiadro nad źródłem, a skruszy się koło nad studnią. 7. I wróci się proch

do ziemi, jako przedtem był, a duch wróci się do Boga, który go dał.

- Niech już pan przestanie, Salle - przerwał mu zgryźliwie minister. - Ten stary Żyd był jednak dobrym pisarzem. Na mój gust wyraża się nieco mgliście, ale mówi szczerze o ułomnościach starości i czyni to obrazowo i przekonywająco, choć przekład wydaje mi się słaby. No tak, ze starzeniem się było chyba dwa tysiące lat temu zupełnie tak samo jak dzisiaj. Nie ma nic nowego pod słońcem. - Odprawił pana Salle i trapiiony ponurymi myślami znowu zapadł w drzemkę.

Ludwik siedział w swej bibliotece i oglądał jakiś miedzioryt. Hiszpania wypowiedziała wreszcie wojnę, sztych szydlerczo i radośnie przedstawiał sytuację polityczno-ekonomiczną, jaka się wytworzyła wskutek tego nowego uderzenia przeciw Anglii. Widać było dojną krowę, symbolizującą wyraźnie handel Wielkiej Brytanii. Amerykanin odpiłowywał jej rogi, jeden z rogów spadł już na ziemię. Korzystał z tej okazji opasły Holender, który skwapliwie doił tę krowę. Francuz oddalał się z garnkiem pełnym mleka, Hiszpan czekał w kolejce, trzymając w ręku pusty dzban. Na pierwszym planie leżał pogrążony we śnie lew brytyjski, mały, zadzierzysty piesek spacerował po jego karku, z boku płakał Anglik przybrany w strój żałobny.

Radosna ta okoliczność, że Hiszpania wdała się wreszcie w wojnę. Dobrze się stało, że nawet kuzyn Karol w Madrycie, ten wspaniały władca, który w swym kraju tak skutecznie podtrzymywał ustanowiony przez Boga porządek, nie mógł na dłuższą metę odzegnać się od sojuszu z rebeliantami. Teraz nie tylko Ludwik będzie posyłał buntownikom pieniądze, okręty i żołnierzy.

Oczywiście jego doradcom korzystny obrót sprawy posłuży jako pretekst do wyciągnięcia od niego jeszcze znacznie

sum dla rebeliantów. Nalegają, by teraz, kiedy część płatności można przerzucić na Hiszpanię, udzielił Amerykanom olbrzymiej pożyczki. Niezależnie od nowych okoliczności będzie musiał dać o wiele więcej niż jego sojusznik. To wstyd i hańba, że zawsze musi płacić, bez względu na to, jak się sprawy rozwijają, dobrze, czy źle. Całe szczęście, że przynajmniej pan Necker jest, jako protestant i Szwajcar, nieustępliwy, że mu pomaga w przeciwstawianiu się tamtym i opiera się trwonieniu milionów.

Wczoraj, kiedy Maurepas i Vergennes nie dawali spokoju ze swymi argumentami, Necker rzucił podczas debaty przerażającą cyfrę. Twierdził, że wydatki na wojnę już obecnie przewyższyły sumę pięciuset milionów. Ludwik sądził, a nawet miał nadzieję, że to przesada, że Necker zaokrąglił sumę, chcąc się po prostu bronić przed żądaniami tamtych. Ale gdy tamci sobie poszli i Ludwik zapytał prywatnie Neckera, ten odpowiedział zdecydowanie, że wydatki przekroczyły już pięćset milionów, i obiecał przedłożyć dzisiaj dokładny bilans. Ludwik czekał na ten wykaz; dał polecenie, by mu go natychmiast przedłożono, jak tylko nadejdzie.

Odsunął od siebie niemiłe refleksje, myślał o wielkiej radości, która go czeka. Cięża Toinette potrwa już najwyżej tygodnie. Rozwiązanie spodziewane jest w połowie grudnia. Wymyślił sobie coś, czym zadziwi cały świat. Jego delfin będzie się oczywiście nazywać Ludwik-August jak on sam, ale doda temu Ludwikowi XVII nowe imię, jakiego nie nosił jeszcze żaden król francuski. Właśnie dlatego, że zmuszono go do zawarcia sojuszu z buntownikami, podkreśli przez nowe imię nadane delfinowi swą dobrą wolę, swą ufność w Boga i nazwie go Adeodatus. Dieudonne. To się będzie dziwić i złościć jego mentor, ten ukryty kacerz.

„Na mą duszę, jeżeli ją posiadam”. Tak, Ludwik słyszał dobrze te słowa. Ale właśnie dlatego nazwie swego delfina Dieudonne. I stary nie będzie miał odwagi zaprotestować.

Tak, Ludwik dobrze spędzi zimę na złość wszystkim kacerzom i buntownikom. Szkoda, tylko, że z powodu bliskiego rozwiązania Toinette trzeba będzie zrezygnować w tym roku z aukcji porcelany.

Cicho i z respektem wszedł pan de Sept-Chenes, położył na stole jakieś pismo i oddalił się co prędzej. Aha, memoriał Neckera. Zwilżając grube palce, mrużąc oczy, podniecony, przerzucał Ludwik kartki dokumentu, by znaleźć cyfrę końcową. Oto ona. Krew uderzyła mu do głowy, zaczął sapać, poczuł, że go coś rozpiera, popuścił paska. Pięćset trzydzieści dwa miliony.

Maurepas i Vergennes odpowiedzieli śmiechem, kiedy Necker przepowiadał im z ponurą miną, że wojna będzie kosztowała ponad tysiąc milionów. On sam, udając, że ufa Neckerowi, nie dawał temu nigdy wiary. Słuchał chętnie pocieszających zapewnień, że wojna potrwa krótko, że Anglia albo będzie zmuszona zawrzeć prędko pokój, albo się załame. Ale Necker powtarzał ciągle swym ostrym bakalarskim głosem, przypominającym Ludwikowi głos jego starego ochmistrza Vauguyona: „Tysiąc milionów, tysiąc milionów”.

Leży przed nim sztych przedstawiający upadek Anglii.

Odpiłowane rogi. A obok widnieje bilans sporządzony z złośliwą dokładnością przez tego protestanta. Pięćset trzydzieści dwa miliony zadłużenia - to są gołe cyfry, oto rezultat realny. Sztych był fantazją, snem, który Ludwik śnił razem ze wszystkimi swoimi Francuzami, mglistym marzeniem. Pięćset trzydzieści dwa miliony. To Ludwikowi, to jego Francji odpiłowano rogi. Chwycił sztych, podarł go, cisnął strzepy na podłogę, zaczął po nich deptać.

Jeszcze chcą pożyczki. Jeszcze dwadzieścia pięć milionów. Wtedy za jednym pociągnięciem pióra cyfra skoczy na pięćset pięćdziesiąt siedem. Wszystko dla tego nienasyconego molocha, dla Franklina.

Nie mógł wytrzymać dłużej w bibliotece. Zły, nie przebrawszy się nawet, kiwając się i sapiąc, biegł przez korytarze i schody do kuźni na górze. Czuł potrzebę mocnych ruchów, walenia w coś ze wszystkich sił.

Ciężkie, niskie drzwi były zamknięte. Otworzył je kluczem, który zawsze nosił przy sobie. Do uszu jego doszedł nieoczekiwany dźwięk - powolne, żałosne, a równocześnie zadowolone miauczenie. Na górze wśród narzędzi siedziała przykucnięta sprawczyni hałasu - kotka. A więc Laudry albo Gamain do tego stopnia zapomnieli o swych obowiązkach, że do jego ostatniej przystani wkraść się mogło zwierzę; a tyle razy powtarzał im, by sumiennie pilnowali służby. Tu, w kuźni, chciał być sam, tu nie tolerował ani człowieka, ani zwierzęcia.

Zaczął uganiać się za kotką. Siedziała wysoko na stojaku, wdrapał się na górę. Skoczyła ponad jego głową w dół, zaczął się za nią niezdarnie uganiać, skoczyła na warsztat, z którego z wielkim hałasem spadło kilka narzędzi. Ogarnięty coraz większym gniewem, otworzył drzwi, by ją przepędzić, ale kotka skryła się w przeciwległym kącie. Chwycił za obcęgi, rzucił je za nią. Jęknęła żałośnie, kulejąc wylazła ze swego kąta. Zatrzasnął drzwi, był zadowolony, choć minę miał w dalszym ciągu gniewną; teraz jest sam i ma nareszcie spokój.

Rozebrał się do koszuli i spodni, rozniecił tlejące ognisko, zajął się swoim żelastwem, raz po raz podnosząc w górę młot. Machał nim i uderzał, uderzał i machał.

Wszedł Gamain.

- To ty wpuściłeś kota? - krzyknął na niego piskliwym falsetem.

- Jakiego kota, sire? - zapytał stropiony chłopak.

- Wiesz doskonale - szalał Ludwik.

Gamain, który nic nie wiedział, bronił się dzielnie: - Jeżeli dostał się tu kot, musiał się wkraść podczas mojej nieobecności. A może wlaźł niepostrzeżenie przez okno, otworzyłem je trochę, bo było strasznie gorąco.

- Nie chcę tutaj kotów - pieniał się Ludwik. - Zapamiętaj to sobie, ty bękarcie, ty skurwysynu. Nie pozwolę, byście mi wszyscy tańczyli po głowie.

Wymyślał dalej, używając plugawych słów. Potem, ciągle jeszcze w gniewie, miotając obelgi, wrócił do swego żelastwa. Wymyślał, walił, wymachiwał młotem. Wreszcie uspokoił się. Opuszczał kuźnię pogodzony z kosztami wojny.

Kamerdyner Gaspard i dozorczyńni Serafina przynieśli staremu Maurepas nieżywą kotkę Gris-Gris w pudle od kapeluszy. Widok ten wstrząsnął hrabią Maurepas głębiej niż jakiegokolwiek wydarzenie polityczne. Nie był tchórzem, ale z mrozącym krew strachem myślał o rozpaczach i oburzeniu hrabiny.

Należał do ludzi opanowanych, rzadko podnosił głos. Tym razem zaczął jednak krzyczeć przeraźliwie na dwoje ludzi, którzy od kilkudziesięciu lat mu służyli; wściekał się, obrzucał ich bezmyślnymi obelgami. Kiedy nie mogąc złapać tchu padł na fotel, Gaspard, szczerze zaniepokojony, otarł mu pot z twarzy i otulił go chustkami.

Potem ostrożnie opisał zgon kotki na podstawie wiarogodnego opowiadania Gamaina.

Monarcha arychrześcijański zastał kotkę w kuźni. Po jakimś czasie, są na to liczni świadkowie, kotka, wyjąc przeraźliwie, kulejąc, na pół żywa zaczęła wlec się przez korytarze Wersalu, aż poznała ją jakaś litościwa dusza i odniosła do apartamentów, do których kotka należała. Serafina posłała po doktora Lassone, ale Gaspard zorientował się od razu, że nic

nie da się już zrobić. Zanim doktor przyszedł, kotka przestała żyć. Zwłoki jej spoczywają w pudle przeznaczonym na wielki kapelusz florencki hrabiny.

Maurepas siedział długo bez słowa, pogrążony w rozpacz. Potem polecił dziś jeszcze pogrzebać kotkę w parku wersalskim, nie chcąc, by hrabina zobaczyła zwłoki. Wziął sam udział w ceremonii pogrzebowej. Nazajutrz wysłał do Paryża Gasparda i Serafinę z poleceniem, by ostrożnie poinformowali hrabinę o tym, co zaszło.

Hrabina zostawiła wszystko w pałacu Phelypeau i wróciła ze służbą do Wersalu. Znana z tego, że w każdej sytuacji umiała znaleźć szydercze słowo, tym razem straciła kontenans. Jej kotka, jej Gris-Gris! Winien wszystkiemu, jak zawsze, był Jan Fryderyk, ten stary błazen. Jakiś głos wewnętrzny radził jej, żeby zabrać kotkę, ale Jan Fryderyk jej w tym przeszkodził. A potem dopuścił, że wpadła w ręce tego bałwana i barbarzyńcy, tego króla zrodzonego w przystępie boskiego gniewu.

Nie dobierając słów powiedziała mężowi w oczy, co myśli o nim i jego młodocianym pupilu.

- Nie będę w tym dalej brała udziału - oświadczyła patrząc nań chłodno i groźnie bystrymi oczyma. - Jeżeli panu to odpowiada, to niech pan przez próżną ambicję psuje sobie wieczór życia. Ja jeszcze jestem w sile wieku i nie będę w tym dalej brała udziału. Nie pojmuję, jak człowiek z głową na karku może się tak wysilać w służbie u tego barbarzyńcy i matole.

Stary oniemiał.

- Za pozwoleniem, najdroższa - wyjąkał wreszcie - mówi pani o królu Francji i Nawarry.

- Tak, mój panie - odrzekła hrabina - mówię o tym barbarzyńcy i matole, o pańskim uczniu, pańskim Telemaku. Ładne pan wyhodował ziółko, panie mentorze, Arystotelesie -

krwiożerczego półgłówka, który prześladowuje wszystko, co jest godne miłości.

- Miałem nadzieję - powiedział Maurepas nieśmiało - że okoliczność, iż kotka zginęła z rąk jego królewskiej mości, będzie dla ciebie pewną pociechą.

Hrabina nie słuchała go.

- Co złego zrobiła moja Gris-Gris twojemu Ludwikowi? - biadała. - Rzucić płonącymi obcęgami w niewinne koty - oto czego się nauczył twój uczeń, nic więcej. Szlachetny owoc dojrzał pod twoją opieką, nie ma co mówić! Możesz być dumny z bohaterskiego czynu swego pupila. Przeszkadzał we wszystkim memu Franklinowi, zamknął mego Toutou, zabronił grać najlepszą komedię francuską, zabił moją Gris-Gris. Cóż ten twój uczeń ma jeszcze uczynić, by ci się oczy otworzyły? Jeżeli masz odrobinę godności, Janie Fryderyku, powinienesz żądać zwolnienia z urzędu i opuścić ten dwór, na którym morduje się niewinne zwierzęta. Przenieśmy się do Paryża, gdzie nie będziemy zmuszeni mieszkać pod jednym dachem z tyranem. Ale najpierw pojedźmy do Pontchartrain. Potrzeba mi samotności, by się jakoś z tym wszystkim pogodzić.

Maurepas spędził w Pontchartrain długie lata wygnania. Wspomnienie o tym nastroiło go jeszcze smętniej. Źle spał tej nocy.

- Wielka nowina, ekscelencjo, wielka nowina - oznajmił mu następnego ranka rozpromieniony Vergennes.

- Hiszpanie odnieśli zwycięstwo? - zapytał obojętnie Maurepas.

- Coś o wiele ważniejszego, szczęśliwszego - triumfował Vergennes. - Austriacy ustąpili. - Wziął do ręki pismo, zaczął czytać. Ambasador francuski w Wiedniu, pan de Breteuil, informował poufnie, że Maria Teresa prosi arcychrześcijańskiego monarchę w imieniu swoim i syna, by

pośredniczył w zawarciu pokoju z Prusami. Habsburgowie są gotowi zrezygnować ze wszystkich pretensji płynących z umowy bawarskiej i zadowolą się odstąpieniem im mikroskopijnego obszaru w dorzeczu Innu.

Była to istotnie wiadomość nie lada. Pozycja Francji wzmocni się z chwilą, kiedy sojusznik austriacki wycofa się z nieszczęsnej, przegranej wojny, będzie miała wolne ręce. Ludwik, dla którego wojna austriacka była ciężarem, odczuje niebywałą ulgę i będzie gotów do poczynienia ustępstw w innych kwestiach. Teraz będzie można z pewnością zdobyć jego podpis pod pożyczką dla Ameryki.

- Musi pan zaraz pójść ze mną do króla, ekscelencjo - nalegał ucieszony Vergennes.

- Niech pan pójdzie sam, mój przyjacielu - odpowiedział smętnie Maurepas. - Nie mam dziś nastroju do oglądania oblicza jego królewskiej mości.

Vergennes był tak pochłonięty otrzymanymi wiadomościami, że dopiero teraz zauważył melancholijny smutek kolegi.

- Cóż się stało, na miłość boską? - zapytał. Maurepas opowiedział o zdarzeniu z kotką. Vergennes odetchnął z ulgą, ale okazał współczucie i w kwiecistych słowach wyraził je koledze.

Był jednak obrotnym dyplomata i szybko chwycił dobre strony każdego nieszczęścia. Dał w ostrożnych słowach do zrozumienia, że Maurepas właśnie teraz, kiedy doznał krzywdy od Korony, może od niej bardzo wiele uzyskać.

Ludwik wrócił z polowania zarumieniony z zimna i radosny; po chwili Vergennes zakomunikował mu dobrą nowinę. Tłusta, dobroduszna twarz króla rozpromieniła się. To wspaniale, że szwagier, cesarz rzymski, opamiętał się wreszcie. Chce się zadowolić skrawkiem ziemi nad Innem. To umiarkowane i rozsądne. Skrawek nad Innem jest w gruncie

rzeczy zdobyczą symboliczną, której Fryderyk Pruski z pewnością szwagrowi użyczy.

- Na tym skrawku nad Innem - tłumaczył rzeczowo, dumny ze swej pamięci - znajduje się tylko jedna jedyna miejscowość, która wchodzi w rachubę. Jest to dziura licząca kilkuset mieszkańców, z pewnością poniżej tysiąca, miasteczko Braunau. - Pobiegł do swoich map, szalał z radości, kiedy się z nich okazało, że miał rację.

Perspektywa pośredniczenia w zawarciu pokoju niezwykle mu odpowiadała. Ku zdumieniu swego ministra zanucił starą piosenkę, która czterdzieści lat temu, po zawarciu pokoju w roku 1735, była popularna w halach.

Rzecz król do cesarza; „Cesarzu,
Niech cię czart z mojej ziemi wywlecze!
Pokój, pokój - stary gówniarzu,
Dość pustoszeń i ogniem, i mieczem!
Pokój na ziemi, wasza cesarska mość,
W rzyć mnie pocałuj, wasza cesarska mość”
Diridam, diridum, diridumdum.

Myśląc o szwagrze Józefie, którego plan tak żałośnie się zawalił, Ludwik odczuwał odrobinę zadowolenia. Rozpłynęło się ono jednak w mniej małostkowych uczuciach. Właśnie teraz, kiedy już niedługo zostanie ojcem, odczuwał głęboką wdzięczność dla człowieka, który mu doradził poddanie się operacji; żał mu było ambitnego Józefa; jego próby zawojowania świata zakończyły się niepowodzeniem. Równocześnie odczuwał głębokie, rzetelne zadowolenie, że Józef położył kres wojnie będącej przecież przestępstwem. A zresztą powiększy nieco swoje terytorium, dostanie ten skrawek nad rzeką Inn, to Braunau.

Przede wszystkim jednak - i ta myśl rozgrzewała serce Ludwika - cesarzowa matka pozbędzie się tej ciężkiej zmory, jaką była wojna.

Był gotów uczynić wszystko, co w jego mocy, by zlikwidować konflikt między Habsburgami i Prusami. Zdawał sobie jednak sprawę, że Józef stanie się teraz jeszcze drażliwszy i trzeba będzie traktować go z największą ostrożnością. Pokój jest bliski, ale jeden fałszywy krok może doprowadzić do zaważenia się wszystkiego.

- Co radzi mi pan teraz uczynić, ekscelencjo? - zapytał swego ministra.

Vergennes wiedział dokładnie, jak się zabrać do hrabiego Mercy i do ambasadora pruskiego. Nie chciał jednak pod żadnym pozorem zrezygnować z wspaniałej okazji i za jednym zamachem pragnął otrzymać zgodę króla na pożyczkę amerykańską. Był ostrożny, chciał iść na pewniaka. Tym razem trudny do uchwycenia Ludwik nie może mu się wymknąć. Potrzebna jest jednak pomoc obrażonego hrabiego Maurepas. Poprosił więc, by król pozostawił mu nieco czasu do zastanowienia się nad tą delikatną sprawą. Jeżeli jego królewskiej mości to odpowiada, zjawi się jutro albo pojutrze z kolegą Maurepas i złoży raport, co, zdaniem ich, należy przedsięwziąć.

W chwili gdy Vergennes wymienił nazwisko Maurepas, Ludwik zauważył nieobecność swego mentora. Wiadomość takiej wagi zwykł był otrzymywać od obu swoich przybocznych doradców jednocześnie.

- Gdzież jest Maurepas? - zapytał zatroskany. - Dlaczegoż to nie zjawił się mój mentor? Co pan z nim zrobił?

- Hrabia jest bardzo przybity - odparł ostrożnie Vergennes.

Ludwik zamrugał oczyma, patrzył bezradnie.

- Przybity? Dlaczego przybity? - zapytał naiwnie.

Vergennes odpowiedział półgłosem z uroczystą miną:

- Z powodu kota, sire.

Ludwik nie rozumiał.

- Cóż to za kot? - zapytał. - Co koty mają wspólnego z wojną austriacką? Nie rozumiem ani słowa.

- Mam na myśli kotkę Gris-Gris, sire - wyjaśnił Vergennes. - Była jedyną radością hrabiny. Została zraniona jakimś kowalskim narzędziem, o ile wiem, obcęgami.

Ludwik zrozumiał wreszcie.

- A więc to kot hrabiego Maurepas - zapytał ponuro - wdarł się do mojej kuźni? Odniósł poważne rany?

- Jeżeli mnie dobrze poinformowano, sire - odpowiedział Vergennes - kot nie żyje.

- Ładnego piwa nawarzyłem - biadał Ludwik, bardzo zmieszany.

- Szczerze mówiąc - powiedział Vergennes - nigdy jeszcze nie widziałem mego przyjaciela Maurepas w stanie takiego przygnębienia.

- Wyobrażam sobie - biadał dalej Ludwik ze skruszoną miną - hrabina to dama pełna wigoru. - Myślał o własnych uczuciach, kiedy zrobił coś, co się nie podobało Toinette. - A więc biedak przeżywa ciężki okres - ciągnął dalej. - To okropne, że ten kot zdechł. Chciałem go tylko przepędzić, a ten już nie żyje! Wie pan co, Vergennes - zakończył z ożywieniem - muszę to naprawić. Zaraz pójdę do niego i wyrażę memu mentorowi swoje ubolewanie.

Nie tracąc chwili czasu udał się do hrabiego Maurepas.

Ten tymczasem ustalił, jaką pokutę ma zadać swemu pupilowi. Nie należał do ludzi mściwych, ale nie chciał być jedynym, który dźwiga ciężar cierpień hrabiny; był zdecydowany przerzucić część brzemienia na Ludwika. Zresztą jako polityk, obrotny mąż stanu, uprawiający swój fach od lat sześćdziesięciu, nie byłby sobą, gdyby nie skorzystał z okazji i nie pokierował wszystkim tak, by śmierć kotki wyszła na dobre sprawie postępu na świecie.

Jedno nie ulegało wątpliwości; musi dać Ludwikowi poznać całą głębię cierpienia, którego stał się sprawcą, musi później wykorzystać na gorąco skruchę młodego monarchy, by wymóc na nim podpisanie pożyczki dla Ameryki.

Była to jednak kara niewystarczająca. Vergennes miał rację: aby zdobyć dwadzieścia pięć milionów dla doktora Franklina, wystarczyło wykorzystać pomyślny zwrot w wojnie austriacko-pruskiej. Zabicie kotki wymagało kary surowszej.

Wyliczając grzechy niesforne Ludwika, hrabina wymieniła obok złego traktowania Franklina liczne krzywdy, wyrządzone przez monarchę jemu i jej pupilowi, panu Beaumarchais. Trafiła tu w czułe miejsce, gdyż to, że dotychczas nie udało się uzyskać zgody na publiczne wystawienie Figara, gniewało postępowego męża stanu, hrabiego Maurepas. Ludwik będzie musiał zgodzić się również na to. by ta przemiła komedia była teraz grana.

Kiedy więc zakłopotany Ludwik wszedł do gabinetu, stary przemyślał już sobie dokładnie, czego od niego będzie żądał i w jaki sposób. To, że Ludwik zjawił się sam, i to tak szybko, umocniło go w zamiarze nalegania zarówno na podpisanie pożyczki, jak i na zgodę wystawienia Figara.

Owinięty chustkami i szalami podniósł się z fotela.

- Niechże pan siedzi, ekscelencjo - prosił Ludwik.

Ale stary nie usiadł, ukłonił się głęboko i powiedział z posepną miną:

- Dziękuję, że sire zaszczyca mnie swoją wizytą. Jak słyszałem, cesarz rzymski prosi waszą królewską mość o pośrednictwo w sprawie pokoju. Moje najuniżeńsze gratulacje, sire.

- Dziękuję, dziękuję, ekscelencjo - powiedział niezgrabnie Ludwik. - Niechże pan siada - nalegał w dalszym ciągu. - Dowiaduję się ku memu ubolewaniu, że nie czuje się pan dobrze. Tak, zastarzały reumatyzm sprawia bóle.

- To najmniejsze, sire - odpowiedział ponuro Maurepas - więcej dokuczają mi zmartwienia. Moja ukochana hrabina niezmiernie wzięła sobie do serca stratę kotki.

- Naprawdę bardzo mi przykro - odpowiedział Ludwik - ale, rozumie pan, kot znalazł się nagle w mojej kuźni, okropnie hałasował i wszystko przewracał.

- Rozumiem, sire - powiedział Maurepas. - Gris-Gris była kotką dobrze wychowaną, ale mogła w obcym otoczeniu zachować się nieodpowiednio. Nie sądzę jednak, by zasłużyła aż na taką karę.

- Oczywiście nie chciałem jej zrobić nic złego - tłumaczył się nieszczęsny Ludwik. - Zna mnie pan przecież i chyba pan w to wierzy. Chciałem kota przepędzić, oto wszystko. Strasznie mi żal, że się tak źle skończyło.

- Dziękuję, sire, za współczucie - odparł Maurepas. - Będzie to dla hrabiny pociechą.

- Sam wyrażę pani de Maurepas swe współczucie - oświadczył Ludwik - ustnie i na piśmie. Niech pan postawi kotce mały nagrobek na mój koszt.

- Znam wspaniałomyślność waszej królewskiej mości, sire - podziękował Maurepas.

Ludwik uznał, że czas już skończyć z tłumaczeniem się i że ma prawo porzucić niemiły temat.

- Co pan mówi na wielką wiadomość z Wiednia? - zapytał. - Czy to nie cudowne, że Józef zdobył się na tak godne pochwały umiarkowanie? Vergennes obiecał mi, drogi hrabio, porozumieć się z panem w tej sprawie. Powinien się pan zaraz zobaczyć z panem Mercy, napisać do Wiednia i Poczdamu.

- Zrobię, co będę mógł - odpowiedział Maurepas nieco oschle - ale lwią część roboty będę chyba musiał zostawić koledze Vergennes. Czuję się zmęczony i przygnębiony. Deprymuje mnie nie tylko smutek hrabiny, ale również i to, że sprawa pożyczki amerykańskiej tak się przewleka. Właśnie teraz,

kiedy słowo nasze ma mieć w Wiedniu i Poczdamie decydującą wagę, dwory te nie powinny wątpić, że Korona postępuje energicznie i dąży do określonych celów. Tymczasem sposób, w jaki traktujemy sprawę pożyczki dla Ameryki, nie może się przyczynić do wywołania takiego wrażenia. Sojusznicy nasi potrzebują pożyczki, zarówno kolega Vergennes, jak i ja zobowiązaliśmy się wobec nich pod tym względem. Wszyscy o tym wiedzą, a ponieważ obietnice nie zostały spełnione, wywoła to wrażenie, że rząd waha się i nie umie się zdobyć na decyzję. Wrażenie takie paraliżuje skuteczność wszystkich naszych kroków. Również planowana akcja pośredniczenia ucierpi wskutek naszej opieszałości. Fryderyk jest bowiem dobrym znawcą ludzi, a hrabia Mercy to chytra sztuka. Pertraktacje będą więc szły jak po grudzie.

Ludwik milczał, wyraźnie niezadowolony. Po krótkiej pauzie sędziwy minister mówił dalej cicho, lecz z naciskiem:

- Nie jestem już młodzieńcem, sire. Nie mogę prowadzić sprawy austriackiej i pełnić urzędu tak, jak bym tego chciał, póki troski amerykańskie zaprzatają mi głowę.

Ludwik słuchał z bezsilną złością. Za mądrymi słowami ministra wyczuwał pogroźkę. Stary dąsał się, bo mu spletał tego figla z kotem. Jeżeli nie zgodzi się na pożyczkę, Maurepas poda się do dymisji.

Ludwik wiedział, że w końcu będzie musiał ustąpić w sprawie amerykańskiej. Ale wszystko buntowało się w nim przeciw nowej porażce. Tysiąc milionów długów. Już w pierwszych miesiącach przyszłego roku dojdą do tej olbrzymiej, niebywałej dotychczas cyfry. Tu, na ścianie, w pokoju jego premiera, wisi sobie zuchwale portret znienawidzonego rebelianta. Gdziekolwiek się zjawił, wisiała na ścianie podobizna Franklina. Pierwszy jego doradca posunął się w swej bezmyślności tak daleko, że darował ją Toinette, i Ludwik musi tolerować oburzający portret w pokoju królowej.

Oto spogląda nań teraz nienasycony, chłodny, surowy, wyniosły, przeświadczony o swym zwycięstwie, przeszywa go wzrokiem.

Młodego grubasa ogarnęło nagle ogromne zmęczenie, opadła go bezgraniczna tęsknota za tym, by się dłużej nie przeciwstawiać, nie bronić, nie spierać.

- No tak, no dobrze - powiedział. - Pomówię jeszcze raz z Neckerem. Zapewne zgodzę się na pożyczkę, ale dopiero po porodzie królowej - dodał prędko. - I pieniądze nie będą mogły być przekazane Kongresowi, nie chcę mieć nic wspólnego z tymi opryszkami i spekulantami. Wszystkie sumy będą przekazywane osobiście generałowi Waszyngtonowi. Wtedy pieniądze pójdą przynajmniej na potrzeby wojenne, a nie na ciemne spekulacje prywatne.

- Dziękuję, sire - powiedział Maurepas i zaraz dodał: - A ponieważ widzę waszą królewską mość w tak łaskawym nastroju, chciałbym pomówić o innej sprawie, która mi spać nie daje.

Ludwik nie ukrywał niezadowolenia. Czy dwadzieścia pięć milionów to nie wystarczająca zapłata za zdechłego kota? Stary przekracza granice.

Maurepas nie dał się odstraszyć.

- Nastrój Paryża - oświadczył - nie jest dobry. Ludność stolicy uważa, że nasze osiągnięcia wojenne nie są proporcjonalne do wysokich podatków na wojsko. Powinniśmy, sire, zrobić coś dla poprawienia tych nastrojów. Od najbardziej zamierzchłych czasów istnieją dla osiągnięcia tego celu tylko dwa środki: chleb i igrzyska. Ponieważ nie możemy dać więcej chleba, powinniśmy dawać paryżanom więcej komedii.

Ludwik zorientował się od razu, do czego Maurepas zmierza. Oczywiście chodzi znowu o krnąbrnego Carona i jego nieprzystojną sztukę. Naprzód stary dręczył go doktorem Franklinem, teraz upomina się o tego pana Beaumarchais.

Ludwik jest sam sobie winien. Kiedy kazał osadzić ptaszka w zakładzie poprawczym za porównania z dziedziny zoologii, trzeba go było trzymać pod kluczem i nie wypuszczać. A w żadnym wypadku nie wolno było zgodzić się na książkowe wydanie tej ordynarnej komedii.

No, ale nie zgodził się przynajmniej na publiczne wystawienie sztuki. Przy tym będzie się upierał, choćby stary nie wiedzieć jak biadał i groził. „Nigdy” - oświadczył już raz i nigdy nie pozwoli na publiczne granie sztuki.

- Gdyby pan miał na myśli wystawienie osławionego Figara, ekscelencjo - powiedział sztywno, przy czym jego krótki podbródek zaczął drżeć - to muszę panu zwrócić uwagę, że zmarły Vaudreuil wystawił tę sztukę przed publicznością składającą się wyłącznie z pań i panów dworu. Tych nie można już popsuć i tylko dlatego dałem swą zgodę. Ale podkreśliłem od samego początku, że nie zniosę publicznego wystawienia utworu. Nie zniosę, by naród mój zarażono bezczelną krnąbrnością i rozpustą. Bóg zabrał najzacieklejszego rzecznika sztuki, markiza Vaudreuil. Dziwię się, ekscelencjo, że ambicjonuje pan teraz, by zająć jego miejsce.

Ludwik nigdy jeszcze nie wypowiedział słów tak ostrych pod adresem swego mentora. Oczekiwał, że Maurepas niezwłocznie zrejteruje. Ale stary uważał, że jeżeli nie skorzysta teraz z okazji przeforsowania postępowej sztuki, narazi się na krytykę potomnych. Nie ustąpił więc. Nie przeciwstawiał się wprawdzie, ale siedział otulony chustkami i szalami, słaby, złamany troską i nieszczęściem i z niemym wyrzutem patrzył smutno w tłustą, wzburzoną twarz swego monarchy.

Ludwik zaczął słabnąć, załamywać się. Próbując jeszcze postawić na swoim powiedział:

- Niech sobie ekscelencja zechce przypomnieć, że powiedziałem: „nigdy”.

Ale w tym „nigdy” nie było ani godności, ani siły i Maurepas wiedział, że wygrał.

- Wasza królewska mość nie powinien był tego powiedzieć - odrzekł z akcentem łagodnej nagany - ponieważ jednak słowo zostało powiedziane, trzeba je zmienić. Bywają sytuacje mocniejsze nawet niż królewskie słowo.

Ludwik posapywał.

- Zdumiewa mnie, że słyszę to właśnie z ust waszej ekscelencji - powiedział.

Ale Maurepas odparł bardzo po męsku:

- Może cierpienie dodało mi odwagi.

Ludwik, któremu stary raz jeszcze przypomniał, jak bardzo zawinił, tkwił na swym krześle z nieszczęśliwą miną.

- Zakaz grania sztuki - reasumował Maurepas - gniewa stolicę, psuje nastroje wojenne. Niech wasza królewska mość cofnie ten zakaz, sire. Proszę się przewyciężyć. Wojna wymaga ofiar od nas wszystkich.

Ludwik podniósł się, zaczął chwiejnym krokiem przemierzać pokój. Cyniczny starzec. Powiedział mu w oczy, że skoro zgodził się na wojnę, musi również ustąpić w sprawie Figara. Niestety, stary ma rację. Kiedy się zrobiło pierwszy krok, trzeba się dalej staczać coraz szybciej ku przepaści. Musi rzucić w paszczę Franklina miliony, musi usunąć przeszkody z drogi krnąbrnego, nieobyczajnego Carona.

Powiedział kłótliwym tonem:

- Żądam jednak, żeby zaufany cenzor powykreślał wszystkie sprośne miejsca.

- To się rozumie samo przez się, sire – odpowiedział Maurepas. - Czy wasza królewska mość sądzi, że pan Lenoir pozwoliłby na to, żeby ze sceny waszej królewskiej mości padło jakieś dwuznaczne słowo?

Po krótkiej chwili milczenia Ludwik rozpogodził się i powiedział poufnie:

- Doczeka się pan tego, drogi hrabio, że po skreśleniu miejsc nieprzyzwoitych komedia stanie się nudna i padnie.

Na suchych wargach premiera pojawił się uśmieszek.

- Może i padnie ten Figaro, sire - powiedział - ale sto razy pod rząd.

Ludwik spojrział na swego ministra i pokręcił głową.

- To dziwne, jak ten gagatek was wszystkich zaczarował. Poza tym - rzucił prędko - dam pozwolenie dopiero po rozwiązaniu królowej.

- Znakomity pomysł, sire - powiedział z pokornym uznaniem Maurepas. - Nie może wasza królewska mość dać swej stolicy piękniejszego dowodu łaski z racji urodzin delfina niż zgoda na granie tej przemiłej komedii; szlachetnym zaś dowodem tej łaski stanie się pożyczka dla Amerykanów. - Wstał, skłonił się głęboko i powiedział: - Dziękuję, sire, w imieniu Paryża i Stanów Zjednoczonych. A teraz chodźmy, mój drogi, młody monarcho - oświadczył. - Pójdziemy do hrabiny, wasza królewska mość poda jej rękę, własnymi ustami zakomunikuje jej swoją decyzję i wszędzie zapanuje zgoda.

Pierre przygotowywał wystawienie Figara z całą właściwą mu energią i dziką pasją.

Przede wszystkim chodziło o uratowanie z tekstu, co się tylko da uratować.

Generalny prefekt policji nie był całą tą sprawą zachwycony. Ludwik dał instrukcje, by powykreślać wszystkie gorszące miejsca, ostrożny pan Lenoir wyznaczył na cenzora człowieka, co do którego był pewien, że dokładnie zbada każde zdanie zarówno pod względem lojalności, jak moralności. Człowiekiem tym był abbe Suard, najbardziej zawzięty przeciwnik Beaumarchais'go na froncie literackim.

Pierre pobiegł do hrabiego Maurepas i abbe pozbawiono funkcji cenzora.

Po długich korowodach pan Lenoir powierzył delikatne zadanie niejakiemu panu Coquely, znanemu z wyjątkowej pedanterii. Ambicja jego szła w kierunku skreślenia jak największej ilości słów. Z wielką skrupulatnością sumował skreślone słowa, mniej się troszcząc o sens. Pierre i Gudin targowali się z nim o pewne zdania, Pierre proponował w zamian za krótkie, na których mu bardzo zależało, skreślanie dłuższych. Nawiasem mówiąc, Gudin był o wiele bardziej uparty niż Pierre.

- Jeżeli - gorączkował się — wymaga pan od pana de Beaumarchais skreślenia tego zwrotu, to jest to równoznaczne z żądaniem, by swą sztukę pogrzebał własnymi rękami. - Innym razem ofuknął cenzora: - Gdyby pan de Beaumarchais zgodził się na to skreślenie, upodobniłby się do Medei, która zamordowała własne dzieci.

W rezultacie skreślono 2022 słowa - pan Coquely był dumny z tak pokaźnej cyfry. Wśród licznych skreślonych powiedzeń Caronowi żal było niewielu, wszyscy więc wyszli dobrze na tym zabiegu.

Pan Lenoir przeczytał rękopis w ostatniej wersji, zatwierdzonej przez cenzora. To prawda, że dokonano pokaźnych skreśleń, wyrzucono 2022 wyrazy, ale mimo to komedia budziła i teraz zastrzeżenie, wiało od niej rebelią. Pan Lenoir czytał i czytał, i nie miał odwagi ani pozwolić, ani zabronić. Kazał sporządzić dokładną listę miejsc skreślonych, poszedł z ciężkim sercem do Ludwika i pełen respektu prosił, by arcychrześcijański monarcha sam powziął decyzję.

Ludwik ze zmarszczonym czołem spoglądał na rękopis i wykaz. Czuł zmęczenie. Rękopis był pięknie oprawiony, listę sporządzono czysto i starannie. Nie chciał jednak brudzić rąk i oczu przez dotknięcie nienawistnego rękopisu lub odczytanie

go. Nie chciał już słyszeć o tej zuchwałej komedii. I tak nie mógł nic poradzić przeciw narastającej powodzi błota. Miał po uszy pana Carona, jego memoriałów, sztuk, okrętów i interesów.

Ale stał przed nim pan Lenoir i czekał na decyzję.

- Ile miejsc skreślono? - zapytał leniwym, gniewnym głosem.

Prefekt policji sięgnął po wykaz.

- Pięćdziesiąt trzy fragmenty - oświadczył - częściowo krótkie, częściowo dłuższe. W sumie usunięto 2022 wyrazy - oznajmił z triumfem.

- Hm - powiedział łaskawie Ludwik - 2022, pański pan Coquely dobrze się napracował.

Pan Lenoir zgiął się w ukłonie, zadowolony z pochwały. Ale Ludwik uczeplił się nadziei, z którą się już zdradził przed swoim mentorem.

- Jeżeli skreślono 2022 wyrazy - medytował głośno - 2022 nieprzyzwoite, prowokacyjne słowa, to komedia stała się tak nudna, że z pewnością padnie.

- Czy mam to zrozumieć w ten sposób, sire - zapytał pan Lenoir - że wasza królewska mość nie raczy już zarządzić dalszych skreśleń?

- No tak, no dobrze - zdecydował Ludwik. - Ale nie zapomniął pan chyba - dodał ostro - że należy wyraźnie ostrzec zespół Theatre Francais, by nikt nie pisnął nawet jej królewskiej mości przed rozwiązaniem o planowanym wystawieniu komedii.

Pierre nie zmartwił się zbytnio z powodu przesunięcia terminu wystawienia Figara, ale Desiree gniewała ta ostatnia, niemądra próba przeszkodzenia widowisku. Co u licha poród Toinette ma wspólnego z Fjgarem? Po jakimś czasie zrodził się w niej właśnie pod wpływem tej szykany pewien pomysł. Jeżeli wielcy państwo koniecznie chcą te dwie sprawy związać z sobą, można znaleźć oryginalne wyjście.

W myśl tradycyjnego zwyczaju, w dniu kiedy królowa po urodzeniu następcy lub następczyni tronu po raz pierwszy, wyjeżdżała na miasto, teatry Paryża dawały darmowe przedstawienia dla ludu stolicy. Desiree zaproponowała, by wyznaczyć premierę Figara na ten właśnie dzień jako przedstawienie darmowe dla obywateli i obywaterek Paryża.

Pierre, przyzwyczajony do śmiałych projektów, był zaskoczony taką dozą zuchwalstwa. Zorientował się szybko w zaletach i niebezpieczeństwach tego planu. Oczywiście było rzeczą pociągającą zrobić z premiery komedii widowisko ludowe. Ale ostatecznie Figaro był pisany dla słuchaczy przyzwyczajonych do szybkiego orientowania się w skomplikowanych perypetiach wyszlifowanego, szybkiego, nieco pretensjonalnego dialogu i kto wie, czy darmowa widownia zasmakuje w utworze tego rodzaju. A przede wszystkim, czy król nie dopatry się w projekcie nowej prowokacji? Czy nie dostarczy mu się przez to pretekstu do ponownego zakazu sztuki albo przesunięcia terminu jej wystawienia?

Ale właśnie dlatego, że było to takie ryzykowne, plan Desiree porwał Carona, który po dwóch minutach zastanowienia niesłychanie się do niego zapalił.

Niełatwo było przekonać aktorów Theatre Francais; projekt niezbyt im przypadł do smaku. Ale Pierre był nim przejęty, namawiał ich energicznie, znajdował coraz nowe motywy, obalał zastrzeżenia. Kiedy król zaprasza swój lud do teatru, trzeba dać temu ludowi jak najlepszą strawę. A cóż może być lepszego od premiery długo oczekiwanej sztuki w wykonaniu najlepszych aktorów świata? Trudno było polemizować z tego rodzaju argumentami.

Wreszcie aktorzy zapalili się do śmiałego planu i postanowili go przeprowadzić.

Natychmiast po przyjściu na świat „dziecka Francji” należało przedsięwziąć na dworze różne czynności, związane ze skomplikowanym ceremoniałem. Z okazji bliskiego rozwiązania Toinette kursowali więc między Paryżem, Madrytem i Wiedniem liczni kurierzy, zanim wszystko zostało omówione i ustalone.

Rodzicami chrzestnymi mieli być Maria Teresa i król hiszpański Karol. Marię Teresę miała reprezentować Józefina, małżonka księcia Ksawerego, była bowiem po królowej najwyżej w państwie utytułowaną damą. Należało przygotować podarunki dla wszystkich, którzy mieli coś wspólnego z położeniem Toinette. Cesarzowa przesłała więc zawczasu swemu ambasadorowi Mercy różne pierścienie i bransoletki, zegarki i tabakierki dla Józefiny, dla księżnej Rohan, jako ochmistrzyni „dzieci Francji”, dla doktora Lassone i dla wielu innych. Załączyła dokładne zestawienie dotyczące podziału tych darów, ale w podnieceniu, wywołanym rokowaniami pokojowymi z Prusami, wydała dyspozycje, które jej się później nie podobały. Czy Józefina jako wyższa rangą nie będzie się czuła dotknięta, jeżeli księżna Rohan otrzyma taką samą bransoletkę jak ona, z podobizną cesarzowej. Nie, niechaj Mercy nie wręcza pani Józefinie bransolety, niechaj jej ofiaruje tabakierkę z podobizną cesarzowej, zaznaczając, że miniaturę namalował głośny malarz Wertmuller. Takie instrukcje przywiózł ambasadorowi drugi kurier, który przybył bezpośrednio po pierwszym.

Polecenia te nie sprawiały hrabiemu Mercy zbyt wiele kłopotu. Niestety inna instrukcja jego monarchini okazała się niewykonalna. Maria Teresa nie chciała czekać ani jednej zbędnej sekundy i prosiła hrabiego Mercy, by z góry przygotował swój raport o położeniu królowej, a później dopisał tylko datę urodzenia i płeć dziecka. Tu zaprotestował hrabia

Vergennes. To nie ambasador austriacki w Paryżu, lecz poseł francuski w Wiedniu miał przywilej zakomunikowania dworowi wiedeńskiemu radosnej nowiny. Vergennes żądał więc, by kurier hrabiego Mercy odjechał dopiero w czterdzieści osiem godzin po wysłanym przez niego. A pan Lenoir musiał zastrzyć swą kontrolę nad kurierami, którzy wyjeżdżali z Paryża, gdyż Vergennes obawiał się, by chytry i zazdrosny Mercy nie oszukał go i nie uprzedził bezprawnie.

Tymczasem znaleziono poszukiwaną gorączkowo mamkę. Pochodziła ze wsi i wedle licznych świadectw lekarzy i duchownych była całkowicie niezepsuta zarówno fizycznie, jak moralnie. Nazywała się madame Poitrine(piers). Mercy zaraportował cesarzowej, że robi niezwykle korzystne wrażenie, a Toinette napisała do matki, że jest zachwycona kołysankami madame Poitrine.

Autorzy pamfletów pracowali żarliwie, by rzucić podejrzenie na nie urodzone jeszcze dziecko. Ulotki zapytujące, kto też jest ojcem, krążyły po wszystkich dzielnicach Paryża i pan Lenoir miał pełne ręce roboty. Samemu królowi wrzucono przez okno tomik plugawych wierszydeł. Wszczęte dochodzenie zostało przerwane, ślady prowadziły do zamku, do apartamentów księcia Ksawerego.

Kościół, miasto Paryż, cały kraj przejmował się żywo ostatnimi tygodniami ciąży Toinette. Arcybiskup Paryża kazał co drugi dzień odprawiać modły. Z najbardziej odległych prowincji wyruszali ludzie, by wziąć udział w uroczystościach, które odbędą się w Paryżu i w Wersalu z okazji położenia. Setki rodzin, przebywających w swych posiadłościach wiejskich, przeniosło się do Wersalu, by nie przepuścić dnia rozwiązania, w którym spodziewano się dowodów łaski. W miasteczku Wersal nie było już mieszkań, ceny żywności wzrastały. Pan Leboiteux, który miał koncesję

na utrzymywanie komunikacji między Paryżem i Wersalem, zwiększył liczbę pojazdów.

Oczekiwano rozwiązania w dniu szesnastego grudnia. Od czternastego zarówno Lassone, jak i księżna Rohan oraz dwie damy dworu królowej byli w stałym pogotowiu. Teraz alkierze, o których tyle plotkowano, spełniały swoje przeznaczenie: służyły lekarzowi i damom dworu królowej za sypialnie.

Minął szesnasty grudnia, siedemnasty, osiemnastego Toinette położyła się do łóżka bez bólów.

Ale owej nocy, o pół do drugiej, przyszła jej godzina i doktor Lassone oświadczył, że się zaczęło. Księżna Rohan zadzwoniła na służbę. Paziowie i gońcy rozbiegli się we wszystkich kierunkach, do Paryża, do Saint-Cloud, by sprowadzić ksiąząt krwi i członków Rady Koronnej.

Zebrali się w jednym z salonów Toinette razem z pierwszymi dworzanami króla i pierwszymi damami królowej, z kawalerami odznaczonymi błękitną wstęgą i z damami, które miały prawo siedzieć na taboretach. Reszta szlachty wypełniła wszystkie apartamenty królewskiej rodziny.

A wzdłuż wielkiego traktu, wiodącego z Paryża, ciągnęły w mroźną noc coraz nowe rzesze. Stary obyczaj pozwalał obywatelom francuskim asystować przy porodzie królowej. Obywatele mieli prawo przekonać się na własne oczy, że dziecko, którego zostawali poddanymi, istotnie pochodziło z łona królowej, że nie podstawiono żadnego innego.

Administracja zamku wersalskiego poczyniła kroki dla przyjęcia tych gości. Były ich tysiące. Lokaje i gwardziści szwajcarscy mieli ciężką noc. Dojścia zagrodzono łańcuchami i mocnymi sznurami. Lekarz przyboczny królowej ogłosi w odpowiedniej chwili: „La reine va accoucher” - królowa wkrótce urodzi. Nie upłynie nawet minuta, a wieść przebiegnie korytarze i dotrze na dziedzińce. Wtedy opadną

sznury broniące dostępu i tłum będzie mógł wdrzeć się do pokoju Toinette.

W sypialni tej, dokoła alkowy, w której ustawione było łożo, stało siedemnaście krzeseł dla członków królewskiego rodu, dziewięć dla Burbonów, osiem dla przedstawicieli rodu Orleans. Za tymi fotelami stało pięćdziesiąt osiem krzeseł dla innych reprezentantów arystokracji i Rady Koronnej. Pozostałą część, w której mogło się od biedy pomieścić dwieście pięćdziesiąt osób, zajmowała pośledniejsza szlachta i lud. Ludwik obawiał się, by w ścisku nie przerwano kordonu, nie pozrywano firanek alkowy i nie zrobiono krzywdy Toinette albo dziecku, więc własnymi rękami poumacniał słupy i drążki, na których były porozwieszane firanki.

W tej niebiesko-złotej alkowie, w wielkim, niskim reprezentacyjnym łożu, leżała więc, a raczej na pół siedziała Toinette. Plecy jej podparto licznymi poduszkami, nogi podciągnięto wysoko. Czuwali przy niej doktor Lassone, Gabriela Polignac i księżna Rohan.

Doktor Lassone wydawał się opanowany i najzupełniej pewny zarówno swej ręki, jak i swego rzemiosła. Ale za tą lodowatą pewnością siebie kryło się podniecenie. Najbliższe godziny będą dla niego brzemiennie w skutki. Gdyby matce lub dziecku, z jego winy lub bez jego winy, stało się cokolwiek, byłby na zawsze człowiekiem skończonym. Jeżeli natomiast wszystko pójdzie dobrze, czeka go wysoka nagroda. Jeżeli urodzi się dziecko płci żeńskiej, otrzyma jako lekarz przyboczny w myśl panujących zwyczajów dwanaście tysięcy liwrów; urodzenie delfina przynosiło lekarzowi dwa wysokie szlacheckie tytuły wraz ze związanymi z nimi przywilejami oraz gratyfikację w wysokości pięćdziesięciu tysięcy liwrów.

Lassone znał swoją Desiree. Postawienie jej wtedy bez namysłu do dyspozycji sześciuset tysięcy liwrów było posunięciem szczęśliwym, szczęśliwy to również traf, że nie

musiał tej sumy zapłacić. Mimo to nie zdobył Desiree niepodzielnie, ciągle jeszcze nie mógł jej skłonić do tego, by ustaliła termin ślubu. Jeżeli teraz nie poszczęści mu się, termin ten znajdzie się tam, gdzie się przecinają linie równoległe. Jeżeli jednak ta oblewająca się potem kobieta urodzi tu pod jego rękami delfina, wtedy jeszcze tej zimy Lassone osiągnie swój cel.

- Niechaj madame raczy ułożyć się nieco szerzej - polecił - i proszę przeczyć ze wszystkich sił.

Toinette natężyła się. W pokoju było gorąco, pozalepiano gipsem wszystkie szpary w oknach, by nie przedostawało się przez nie powietrze, oblewała się potem w dusznej sali, wypełnionej tłumem ludzi. Na twarzy jej pojawiały się raz po raz rumieńce. Cierpiała wielkie bóle, ale panowała nad sobą i nie krzyczała. „Tylko nie stracić teraz postawy” - rozkazała sama sobie. Matka jej przeżyła takie ciężkie godziny trzynaście razy i wszyscy mówili o tym, jak się dzielnie trzymała. Ach, gdyby matka była teraz tutaj! Gabriela to dobra przyjaciółka, widok jej zatroskanej twarzy przynosi pociechę. Ale ta Rohan przeszkadza, Toinette wołałaby, żeby jej tu nie było. Lassone był konieczny, przynosił na pewno ulgę i pomoc, ale tak patrzył na nią, że się go bała.

Nagle bóle minęły na minutę, dwie. Była bardzo szczęśliwa. Będzie miała delfina, stanie się taka jak dawniej, prosta, zgrabna, będzie mogła jak dawniej występować na scenie. I będzie miała delfina.

Znowu przyszły bóle. Gabriela podłożyła jej rękę pod plecy ruchem pełnym delikatności, przyjaźni i nieskończonego współczucia.

- Jaka jesteś dzielna, najdroższa - powiedziała. Toinette zobaczyła wyblakłe, wielkie, histeryczne oczy księżny Rohan i odwróciła wzrok.

- Proszę przec, madame - powiedział Lassone. - Wszystko idzie dobrze, wkrótce się skończy. - Powiedział to tonem bardzo autorytatywnym, starała się uwierzyć, ale się nie kończyło. Przeciwnie, bóle stały się nie do zniesienia.

„Boże, Boże - modliła się - spraw, bym nie krzyczała”. I nie krzyczała. Zagryzła wargę aż do krwi. pomyślała sobie: „To jest corvee, dla tych bólów nie ma niemieckiego słowa. Ta corvee (pańszczyzna) to mój obowiązek i moja twarda służba i nie będę krzyczała”. Gabriela podtrzymywała ręką jej plecy. Doktor Lassone powiedział półgłosem stanowczo:

- Wkrótce się skończy.

Księżęta Ksawery i Karol siedzieli na samym przedzie. Jeżeli urodzi się chłopiec, księżę Ksawery straci nadzieję na tron, która była taka bliska, oraz tytuł następcy tronu, a księżę Karol nie będzie się już mógł spodziewać niczego.

Bracia siedzieli obok siebie, gapili się, patrzyli, jak w teatrze. Księżę Ksawery odczuwał zadowolenie, że to trwa tak długo i że Toinette cierpi. Od czasu do czasu zwracał się do brata z jakąś złośliwą uwagą.

- Przynajmniej - mówił - ojcu został zaoszczędzony widok jej cierpień. Leży w grobie i ogrzewa się błękitną wstęgą.

Księżę Karol pocieszał się myślą, że le roi de France et l'Avare będzie musiał z okazji radosnego wydarzenia otworzyć szkatułę; Karol już tego przypilnuje. Żał mu było, że Toinette cierpi. O ile była piękniejsza od jego żony. Grubas ma szczęście. Księżę ziewał od czasu do czasu, poza tym pochłonięty był myślami o jadowitych uwagach, które będzie mógł robić z okazji chrzcin.

Przeszywający wzrok Diany Polignac przenosił się to na wijącą się w bólach porodowych Toinette, to na księcia Karola. Miała chudą, ciemną twarz, spiczasty nos, była raczej brzydka, ale należała do zdecydowanych przyjaciółek księcia Karola, zaliczała się w Klaniku Liliowego Bzu do

najmądrzejszych, była księciu potrzebna. Lubił przechwalać się intelektem i był w tym swoim dążeniu od niej zależny. Od śmierci markiza Vaudreuil ambitna Dian stała się dzięki swemu wpływowi na księcia Karola władczynią Klaniku Liliowego Bzu. To, co się w tym pokoju odbywało, mogło być tylko z korzyścią dla niej, gdyż ze wzrostem władzy Toinette nad grubasem wzrastać będzie i jej władza.

Ludwik nie mógł ani minuty usiedzieć spokojnie. Spocony, niechlujnie ubrany, kręcił się i wiercił dokoła. Bez celu raz po raz torował sobie drogę poprzez tłum gości, powtarzając: - Wybacz, mój synu. - Jakiemuś jegomościowi, którego nazwisko było mu równie obce jak rysy, oświadczył: - To trwa strasznie długo, ale czy nie uważa pan, że jest niebywale dzielna? - To powiedziawszy uśmiechnął się głupawo i dodał: - Im powolniej, tym pewniej.

W pewnej chwili pobiegł na górę do swej kuźni. Sporządził dla kasy delfina tajemny zamek, chciał go natychmiast wręczyć Toinette. Ale w drodze powrotnej do jej sypialni zdjął go lęk przed widokiem tyłu twarzy, które przyglądały się jego drogiej żonie z taką ciekawością i z takim współczuciem. Pobiegł do swej biblioteki; było to poza kuźnią jedyne miejsce, gdzie nie tłoczyli się ludzie. Usiadł, spędził w samotności jakiś kwadrans. Poruszając wargami, modlił się: „Spraw, by się to dobrze skończyło, mój Boże, nie karz jej za moje grzechy”. Potem opanował się i wrócił do wielkiej sypialni. Gwardziści i lokaje musieli się dobrze natrudzić, by mu utorować drogę.

W sypialni wszyscy siedzieli jeszcze i gapili się na Toinette. Było strasznie gorąco i duszno, Toinette leżała podciągnawszy wysoko nogi, było widoczne, że ma bóle. Ale nie krzyczała, tylko od czasu do czasu poruszała ustami. Pełen lęku i współczucia zorientował się, że wargi jej formowały słowa niemieckie.

- O Boże! - mówiła po niemiecku - o mój Boże!

Tłumy, wypełniając zimne korytarze, schody, przedsionki i podwórza, stały cierpliwie. Długie czekanie nabrało charakteru ludowego święta. Służba roznosiła bez przerwy gorące potrawy, które jej wyrywano z rąk. Ludzie dobrze się orientujący w rozkładzie pokoi za napiwki udzielali rad, w jaki sposób będzie można najszybciej dostać się do sypialni królowej, kiedy opadną sznury zamykające kordon. Byli i tacy, którzy szeptem oferowali złośliwe pamflety; choć pamflety te nie były tanie, znajdowały nabywców. Zabijano sobie czas ich czytaniem; ludzie byli na ogół nastroszeni pogodnie, nie wymyślali, śmiali się.

Wstawał szary grudniowy ranek. Na dziedzińcach i korytarzach robiło się jaśniej, ale w sypialni Toinette noc panowała poza zasuniętymi firankami. Płonęły świece, w ciągu nocy zmieniono je po raz drugi, powietrze stawało się coraz duszniejsze i gorsze. Nastął ranek. Czekałym w sypialni podano kawę, czekoladę, pieczywo. Późnym rankiem poczęstowano ich zupą. Nadeszło południe.

O godzinie dwunastej czterdzieści Lassone zwrócił twarz do czekających i głosem ochryłym, lecz opanowanym oświadczył: - La reine va accoucher.

Słowa te, powtórzone w przedsionku, obiegiły korytarze i dziedzińce i wywołały beładną bieganinę, zgiełk i tupot nóg. Żołnierze gwardii i lokaje nie mogli nic poradzić. Ludzie pchali się, tłoczyli i zgodnie z przewidywaniami Ludwika sypialnia w jednej chwili wypełniła się po brzegi. Ci, którzy zajmowali honorowe miejsca na przedzie, wstali i patrzyli na kobietę szarpaną potwornymi bólami. Nawet teraz miała wygląd wyniosły, śmiałe linie nosa i habsburskiej wargi nie uległy zmianie. Siedzący dalej powłazili na krzesła; jedno z krzeseł zawaliło się z hałasem wraz z tym, który stał na nim.

Dwaj kominiarze rodem z Sabaudii, którzy się tu dobrze orientowali, wdrapali się na kominek.

- Pst, pst! - wołali z triumfem - mamy najlepsze miejsce, wszystko widzimy.

Nadeszła wreszcie długo oczekiwana chwila. Z łona Toinette zaczęło wydostawać się dziecko. Lassone pomagał mu swymi długimi, zręcznymi rękami. Stwierdził pierwszy, że to dziewczynka, co było równoznaczne ze stratą trzydziestu ośmiu tysięcy liwrów.

Mamka, madame Poitrine, wzięła niemowlę i zaniósła je do sąsiedniego pokoju, by je wykapać i oddać do rąk księżnej Rohan, ochmistrzyni „dzieci Francji”. Ludwik pochłonięty mętnymi myślami, z wyrazem szczęścia, a zarazem bezradności i zakłopotania na tłustej twarzy, szedł za nimi, tłum napierał na niego. Nikt prócz doktora Lassone nie troszczył się o Toinette.

Nagle lekarz zawołał ostrym, dyktatorskim głosem:

- Królowa zemdląca. Powietrza! Otworzyć okna. Królowa jest w niebezpieczeństwie!

Po olbrzymim wysiłku, którego wymagało panowanie nad sobą, zatruta potwornym powietrzem, Toinette leżała w ciężkim omdleniu. Krzyk lekarza wyrwał Ludwika z błogiego, a zarazem pełnego trwogi odrętwienia. Powziął szybko decyzję, przecisnął się brutalnie przez przerażony tłum, uderzył pięścią w szybę zagipsowanego okna, przez które wpłynęła fala świeżego, zimnego powietrza.

Doktor Lassone puścił Toinette krew. Po chwili otworzyła oczy. Ludwik spoglądał z głupawym uśmiechem i zmieszaniem na swą pociętą, krwawiącą rękę.

Tymczasem lokaje przy pomocy gwardzistów przepędzili tłum z sypialni i ściągnęli z kominka stawiających opór kominiarzy. Do Wiednia i Madrytu popędzili kurierzy hrabiego Vergennes. Markiz de Beon, komendant gwardii, ruszył w drogę, by

obwieścić wydarzenie zebranemu od wczesnego ranka magistratowi Paryża.

Ceremoniał wymagał, by ochmistrzyni „dzieci Francji”, księżna Rohan, przyniosła Toinette wiadomość, że urodziła dziewczynkę, i zaprezentowała jej dziecko. Zanim jednak księżna Rohan zdążyła wrócić z sąsiedniego pokoju, Gabriela zakomunikowała królowej, że ma ładną, dużą, zdrową córkę.

Toinette zareagowała na to olbrzymie rozczarowanie z o wiele większym spokojem, niż oczekiwała przyjaciółka. Uczucie błogości, że cierpienia minęły oraz wyczerpanie działały kojąco.

- I tak jest dobrze - powiedziała. „Następnym razem urodzę delfina - pomyślała. - Może będzie to istota dla ogółu niepożądana, ale memu sercu miła”. I dodała na głos:

- Gdyby to był syn, należałby do państwa. Córka moja należy do mnie.

Ludwik siedział przy jej łożu. Owiął krwawiącą rękę jakąś serwetą, twarz miał również zawałaną krwią. Lassone chciał go opatrzyć - nie pozwolił. Trzymał bardzo białą rękę Toinette w swojej skrwawionej, owiązanej i przemawiał do niej:

- Taki jestem szczęśliwy, tak się dzielnie trzymałaś, jesteś moją kochaną, dzielną Toinette, dziękuję ci i tak się cieszę, że to już minęło.

Ale w oczach jego i w jego sercu było rozczarowanie. „Nici z Dieudonne - myślał sobie - nici z Ludwika XVII. To kara. Kara za to, że pozwoliłem się opętać temu Franklinowi. Za to, że się wdałem w stosunki z rebeliantami”.

Mercy patrzył z troską i współczuciem, jak cierpi córka jego cesarskiej przyjaciółki. Kto jak kto, ale on właśnie przywiązywał wagę do surowego przestrzegania ceremoniału. A jednak naradzał się teraz z doktorem Lassone, po czym obydwaj zwróciwszy się do Ludwika oświadczyli, że wcale nie jest konieczne, by wszyscy, którzy na podstawie swego

tytułu mieli do tego prawo, dopuszczeni zostali do pokoju królowej. Mogło to być niebezpieczne.

Ludwik zgodził się z zapałem i postanowiono, że w ciągu najbliższych dni Toinette będzie korzystała z absolutnego spokoju i samotności. Wstęp mieli mieć tylko ci, którym tego w żaden sposób nie można było zabronić; członkowie rodziny królewskiej, damy pełniące służbę, lekarz, ksiądz Vermond, krótko mówiąc tylko dwadzieścia sześć osób miało prawo naruszać spokój i samotność dostojnej położnicy.

Kiedy w Paryżu rozeszła się wiadomość, że oczekiwany delfin się nie narodził, zapanowało powszechne rozczarowanie i złośliwe zadowolenie, że się tak stało. Na zewnątrz jednak zarówno dwór, jak i miasto zachowywały pozory radosnego podniecenia. W Paryżu i w Wersalu odśpiewano Te Deum, na Placu Broni przed zamkiem przygotowano olbrzymią iluminację, wspaniałe ognie sztuczne. Obaj merowie Paryża udali się osobiście do więzień i zwolnili licznych więźniów.

Mała księżniczka została ochrzczona już w dniu swych urodzin i otrzymała imiona: Maria, Teresa, Charlotta; oficjalny jej tytuł brzmiał „Madame Royale”.

Choć raport jego nie mógł odejść, Mercy napisał do swojej cesarzowej bezpośrednio po uroczystym akcie chrztu: „Twarzyczka wnuczki Najjaśniejszej Pani ma urocze i bardzo regularne rysy, wielkie oczy i niezwykle piękne usta. Pozwoliłem sobie dotknąć skóry Jej Królewskiej Wysokości i mam wrażenie, że Jej Królewska Wysokość jest bardzo zdrowym niemowlęciem”.

Jeszcze tego samego dnia, pierwszego w swym życiu, Madame Royale udzieliła pierwszej audiencji. Wszyscy członkowie królewskiego domu i Rady Koronnej oraz akredytowani przy dworze wersalskim posłowie złożyli małej księżniczce uszanowanie. Zjawił się również doktor Franklin i skłonił głowę przed królewskim dzieckiem.

Najświetniejsze uroczystości zostały odłożone na dzień, w którym królowa pojedzie na nabożeństwo dziękczynne do Notre Dame.

Ludwik, który nie chciał przedwcześnie narażać swej Toinette na zmęczenie, wyznaczył ten pierwszy wyjazd na 8 lutego.

Poczyniono wielkie przygotowania. Paryż miał rozbrzmiewać muzyką i tańcem przez dwie noce i dzień. Z polecenia króla lud będzie mógł raczyć się do woli parówkami i ciastem, ze studzien publicznych popłynie wino, nad Sekwaną zapłoną wspaniałe ognie sztuczne.

Wszystkie teatry paryskie zapowiedziały galowe przedstawienie. Wstęp był wolny. Król płacił.

Theatre Francais zapowiadał premierę komedii Szalony dzień, czyli Wesele Figara, pana de Beaumarchais. Wstęp był wolny. Król płacił.

Zapowiedź ta wywołała zdumienie, śmiechy, entuzjazm. Był to istny majstersztyk, że Beaumarchais, oswobodziciel Ameryki, bohater wojenny, pierwszy dramaturg kuli ziemskiej, pokazywał w tym szalonym dniu paryżanom swą sławną, zabronioną przez króla komedię właśnie na koszt króla. Czekano więc na przedstawienie Figara w Theatre Francais z napięciem o wiele większym niż na procesję pary królewskiej przez ulice Paryża.

Administratorzy teatru mieli pełne ręce roboty. Lud Paryża był zaproszony, lud Paryża przyjdzie, a lud w Paryżu jest bardzo liczny. Będzie można wpuścić tylko drobną część tych tysięcy, które napłyną. A miejsc domagali się ponadto: arystokraci, członkowie dworu, rodziny aktorów, pisarze, recenzenci. Postanowiono zarezerwować czwartą część miejsc dla tych uprzywilejowanych, a pozostałych osiemset oddać do dyspozycji ludu Paryża.

Przybyły nie tysiące, lecz dziesiątki tysięcy. Gdy o godzinie piątej otworzono bramy, powstał straszliwy ścisk, doszło do

bijatyk. Wyszukani policjanci paryscy z trudem ochronili kobiety i dzieci przed roztratowaniem.

Nareszcie pośród wrzasków, jęków i śmiechów pozajmowano miejsca. Zjawili się goście honorowi. Wedle starego obyczaju najlepsze miejsca na te darmowe przedstawienia zarezerwowano dla przekupek z hal i węglarzy. Stosownie do obyczaju honorowi ci goście weszli dopiero wtedy, kiedy reszta już była zebrana. Warty utorowały im drogę, publiczność szalała z entuzjazmu, kiedy węglarzy umieszczono w łoży króla, a sprzedawczynie ryb w łoży królowej.

Czy jakakolwiek premiera w Theatre Francais zgromadziła kiedy tak dziwną publiczność? Siedzieli tu obok siebie dzierżawcy podatków i wypłatacze mebli, damy dworu i rękawiczniczki, księżne i kobiety z hal, członkowie Akademii i czeladnicy rzeźniccy. Aktorzy byli gorączkowo podnieceni, wielu z nich już żałowało śmiałego kroku. Komedia Beaumarchais'go nie była napisana dla takiej publiczności. Nie jesteśmy w starożytnych Atenach. Czy publiczność zrozumie uskrzydłone, zuchwałe powiedzenia Figara?

Rozległo się uderzenie laski, kurtyna się rozsunęła. Widzowie wycierali jeszcze przez chwilę nosy, chrząkali, gawędzili ze sobą. Figaro-Preville zaczął po raz drugi i trzeci, aż wreszcie po licznych „pst, pst” i szeptach: „Opowie to pani w domu”, zapanowała cisza. Potem rozległ się pierwszy dość przychylny okłask i ktoś zawołał:

„Co on mówi? Nie zrozumiałem”. Po nim rozległo się chórem: „Jeszcze raz, jeszcze raz!” - ale w wołaniu tym była wyraźna dobra wola.

Stopniowo ludzie zaczęli pojmować, kim są ci panowie i te damy na scenie, czego chcą i o co chodzi, zaczęli orientować się, że ten arystokrata chciałby się przespać z żoną tego sympatycznego chłopaka, tak samo jak oni człowieka z ludu.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego i nic specjalnie podniecającego. Ale arystokrata odznaczał się wyjątkową pychą, a ten Figaro, należący do ich kręgu, był niezwykle sympatyczny i miał łeb na karku; serce się radowało, gdy słyszeli, jakiego łupnia daje arystokratom. Po upływie niedługiego czasu okazało się, że Pierre ze swym niezawodnym instynktem teatralnym napisał sztukę, która mogła się ostać przed każdą publicznością.

Tak, Desiree dała swemu Pierrotowi przepyszną radę. Widzowie tego darmowego widowiska - lud Paryża - zaczęli stopniowo rozsmakowywać się w komedii. Zauważyli, że te lekkie, wytworne zdania wcale nie były takie niewinne, jak się zdawało, lecz przepojone nienawiścią i pogardą, którą sami odczuwali; zorientowali się, że ta walka o miejsce w łóżku pokojówki Zuzanny z pewnością jest nie tylko wesołą zabawą. Ludzie śmiali się i byli niezwykle zadowoleni; było to jednak zadowolenie bardziej nieokiełznane i groźne, niż to się zdarzyło na jakimkolwiek przedstawieniu w Theatre Francais; widowisko, które król ofiarował swemu ludowi, stało się więc dziwnym nieco uczczeniem narodzin królewskiego potomka. Nie wiedzieli jeszcze, ale już przeczuwali. I to wszyscy. Wielcy panowie na widowni śmiali się i radowali wraz z innymi i bardziej jeszcze od innych czuli przedziwną pikanterię sytuacji.

Wówczas, kiedy Figaro był grany w Gennevilliers, Pierre kazał przezornie zastąpić poskreślane miejsca nagłym milczeniem i gestami. Trudno było liczyć na to, by takie sztuczki znalazły zrozumienie u obecnej publiczności. Ale Desiree uważała, że uroczysta okazja pozwala na pewną brawurę, i zaproponowała śmiało wypowiedzenie tego lub innego skreślonego miejsca. Większość aktorów cofnęła się bojaźliwie przed tym niebezpiecznym zuchwalstwem. Ale teraz, wobec niezwykle wdzięcznej widowni, wszystko

wydawało się możliwe i Desiree pierwsza śmiało wypowiedziała kilka skreślonych słów. Za jej przykładem poszła pani Dugazon, wreszcie ośmielił się nawet bojaźliwy Preville. Pełniący służbę komisarz policji zaniepokoił się; coś podobnego nie zdarzyło się na przestrzeni stu dwudziestu pięciu lat historii Francji. Ale było to galowe przedstawienie dla Madame Royale, święto, urządzone przez króla dla paryżan, toteż skandal w formie zawieszenia widowiska mógłby mieć nieobliczalne skutki. Urzędnik nie miał odwagi zainterweniować. Aktorzy stali się śmielsi, wypowiadali coraz więcej skreślonych zwrotów. Rozumiano ich, darzono entuzjastycznymi oklaskami. Musieli powtarzać niebezpieczne miejsca po trzy, cztery razy.

Pierre siedział w loży z Gudinem i z przyjacielem swym i kolegą Sedaine'em. Niejednokrotnie w wyobraźni czuł przedsmak sukcesu swego utworu; teraz delectował się nim na jawie, ale był to sukces zupełnie inny, niż przypuszczał. Ta publiczność, rekrutująca się z ludu Paryża, oceniała artystyczny czar jego komedii, jej pikanterię w o wiele mniejszym stopniu niż panowie i panie w Gennevilliers. Za to lud Paryża znacznie lepiej rozumiał prawdy, które sztuka jego wyrażała. Beaumarchais przeraził się, kiedy pierwsze z zakazanych zdań dotarło do jego uszu, przeraził się głęboko i uradował, kiedy poczuł, z jaką dziką radością publiczność chłoneła te właśnie zdania. Na początku przedstawienia sypał zblazowanymi, nonszalanckimi żarcikami; w miarę rozwoju akcji przycichł i wreszcie słyszał już i widział tylko to, co się rozgrywało na scenie, był jednym spośród masy widzów, a równocześnie wyrastał znacznie ponad tę masę. „Czy to ja napisałem? - pytał sam siebie. - Czy tego chciałem?”

Był oszołomiony. Sedaine mówił coś do niego - Pierre nie słyszał. Patrzył i czuł, że sytuacje, które wymyślił, jego ludzie

i zdania, to, co stworzył i co samo wyrosło, docierało do ludu Paryża, i uczucie to wstrząsnęło nim do głębi.

Rozkoszą było pisać tę sztukę, rozkoszą patrzeć na jej wystawienie, powiedzieć prawdę w oczy arystokracji francuskiej. Ale to, co teraz przeżywał, było inne, głębsze, w tej godzinie okrzepł cały sens jego istnienia. Ta godzina, w której jego Szalony dzień nie tylko bawił jego paryżan jak żadna chyba dotąd sztuka, ale poruszał ich do głębi, pobudzał do myślenia, oburzał, była najlepsza z tych, które przeżył, lepsza od najpiękniejszej godziny miłości, od największego handlowego czy politycznego sukcesu. To, co drzemało w tych ludziach, a czego nie potrafili ani powiedzieć, ani pomyśleć, ujął w słowa i sprawił, że wrosło na zawsze w ich świadomość.

- Minerwa - powiedział nagle Gudin, a ponieważ wydało mu się, że Beaumarchais nie słyszy, powtórzył: - Minerwa. - Przez chwilę Pierre był zły na pedanta, który zakłócał jego najlepszą godzinę głupimi uwagami. Ale potem uśmiechnął się i z wdzięcznością kiwnął głową przyjacielowi. Przypomniawszy sobie teraz: Gudin mówił z nim kiedyś o dwojakich sukcesach. O sukcesach, których używa Merkury, chytry bóg, rozdzielający złoto i zaszczyty, oraz o sukcesach wewnętrznych, których używa Minerwa, wielka, dostojna bogini mądrości, zrodzona z głowy Zeusa. Sukcesów Merkurego doznał do syta. Teraz po raz pierwszy odczuwa błogość sukcesu Minerwy. Wiedział, że jest to szczyt, na którym nie potrafi się utrzymać. Zdawał sobie sprawę, że sukces taki zdarza się tylko raz. I dlatego delectował się nim aż do ostatniej kropli.

Oczywiście i tego wieczora opuszczono w sztuce bardzo wiele gorszących powiedzeń. Ludwik zawiódł się jednak, audytorium mimo to nie uważało, że sztuka jest nudna. Przeciwnie, w miarę rozwoju akcji paryżanie coraz bardziej

zzywali się z Figarem. Wszystko: sytuacje, słowa, gesty - trafiało na podatny grunt. Dzika, buntownicza radość ogarnęła widownię.

Wśród widzów był doktor Lassone. Widział Cherubina, słyszał go, Cherubin i Desiree byli dla niego jedną postacią. Owacje robione Desiree rozpieęły mu serce. Niejednokrotnie dręczyła go myśl, że stojąc na scenie Desiree należy do tylu ludzi. Raz dał jej to w ostrożnych słowach do zrozumienia, ale roześmiała się w odpowiedzi. Zorientował się, że musi zrezygnować z tego rodzaju aluzji. Teraz rozumiał ją. Miała rację: prawdziwym jej życiem było życie na scenie - różnorodna, pełna treści egzystencja aktorki. Sam żył teraz tym, co się działo na scenie.

Doktor Lassone nie był rewolucjonistą, ale i jego porywała ta idąca ze sceny dzika, zabroniona, buntownicza wesołość. Było to podniecenie przedziwne i niezawodnie szkodliwe. Nie miał łatwego życia. Jako lekarz przyboczny króla Francji musiał być zawsze na posterunku, panować nad sobą, stosować się do sztywnego ceremoniału, a równocześnie mieć zawsze w pogotowiu całą swoją wiedzę. Miał poza tym poważne zainteresowania naukowe, które mu wypełniały resztę czasu, nie był już młody, jako lekarz wiedział, że podniecenie, w którym teraz żyje, musi skrócić jego dni. Ale zdecydowany na zapłacenie nawet takiej ceny, delectował się bez zastrzeżeń swym buntowniczym, erotycznym podnieceniem. Wraz z innymi na widowni pragnął, by chytróść Figara zwyciężyła potęgę hrabiego, cieszył się, że hrabia mimo swej zręczności został w sprawie pierwszej nocy wystrychnięty na dudka. Poza tym odczuwał pełną żądzy radość, że po przedstawieniu spotka się z Cherubinem.

Na widowni znajdował się również mister John Adams. Zakończył przygotowania do powrotnej drogi. W najbliższych tygodniach opuści Francję. Chciał jednak wykorzystać swój

pobyt aż do ostatniego dnia, by poznać ten zepsuty, niewolniczy kraj w całym jego żalonym upadku. Przyszedł więc dzisiaj, żeby popatrzeć, jak służalczy Paryż składa hołdy swemu despotcie za to, że został ojcem. Choć wszystko odbyło się zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażał, potępiał w dalszym ciągu tę francuską publiczność. To prawda, że i jego porwał chwilami nastrój widowni i czuł się poruszony jak wtedy, w roku 1761, kiedy słuchał przemówienia Jamesa Otisa. Wtedy wydawał się sobie młodzieńczym Hannibalem, który wymusił na swym ojcu Hamilkarze ponurą, uroczystą przysięgę przeciw Rzymowi. Wtedy, w sali sądowej, gdy urodziło się dziecko imieniem Niepodległość, był gotów, tak samo zresztą jak wszyscy, chwycić za broń przeciw Anglii. Chwilami, kiedy słuchał Figara, groził mu nawrót podobnych uczuć. Ale za każdym razem przywoływał się do porządku i logicznie, z obrzydzeniem uświadamiał sobie różnicę. Nie, nie! To, co kieruje tym motłochem, który tu skrzeczy i skręca się ze śmiechu, trzymając się za boki, nie ma nic wspólnego z umiłowaniem wolności, przepelniającym Nowy Świat, z ową niepodległością, którą mister Adams proklamował wraz z Jeffersonem w wielkiej deklaracji. To, czego tutaj był świadkiem, było po prostu rozpasaniem i krnąbrnością wobec władzy, brakiem subordynacji i dyscypliny. Gdyby przyszło do czegoś poważnego, ta hołota nie zawahałaby się przed zaatakowaniem solidnych obywateli i zniszczeniem ich dobytku. Choć powtarzał to sobie w kółko, nie na wiele mu się to przydawało i obrzydzenie jego tonęło w falach gniewu i śmiechu, które porywały za sobą całą widownię.

Pan Charles Lenormant d'Etioles siedział ukryty w jednej z łóż. Nie wypadało mu być tutaj, toteż długo się wahał, zanim przyszedł. Obawiał się, że uczucia, których doznawał w czasie prób w Menus Plaisirs i na przedstawieniu w Gennevilliers, owa trudna do zniesienia mieszanina podziwu, nienawiści i

zwątpienia, tutaj jeszcze wzrosną. Ale nie umiał oprzeć się pokusie. I stało się to, czego się obawiał.

Z początku zainteresowanie jego krążyło dokoła Desiree. Patrzył na nią, kochał ją szaleńczo, w sercu jego była gorycz i gniewna rezygnacja. Uświadomił sobie, że zmarnował życie przez kapitalną pomyłkę. Zapewne nigdy nie utrzymałby przy sobie Joanny, ale Desiree, jeszcze bardziej podniecającą niż Joanna, jeszcze żywszą, prawdziwe dziecko ludu, można było utrzymać. W decydującej jednak chwili postąpił fałszywie, poświęcił największą rozkosz i radość swego życia dla rozkoszy napawania się bezradnością swego przyjaciela.

Tymczasem ten przyjaciel nie był bezbronny, nie można go było zranić.

Pan Lenormant zachowywał pozory. Klaskał razem z innymi na pół machinalnie, a ponieważ był wrogiem głośnych demonstracji, składał ręce bezdźwięcznie; robił tak zawsze, inną formę uznania uważałby za niewytworną. Ale wewnątrz nastąpiło załamanie. „Vanitatum vanitas”. W zuchwalstwie swym kazał to powiedzenie wyryć nad wejściem do swego domu, ponieważ wierzył, że mimo wszystko wzięł z życia to, co najlepsze. Ale powiedzenie głosiło prawdę.

Sztuka, którą znał tak dokładnie, porwała go na nowo, udzieliło mu się podniecenie widzów, uczucia ich zmieszały się z jego własnymi i z bezgraniczną, mącąca rozum wrogością dla Beaumarchais'go. To był jego wróg, wieczny wyrzut i wieczne zaprzeczenie tego, na czym on, Charles Lenormant, budował. Wolny od wszelkich wątpliwości rzucał się ten Pierrot całą duszą w wir wszystkiego, co napotykał. Gwizdał na godność osobistą, robił i mówił, co mu się podobało. Wszystko, zarówno szlachetne, jak i nikczemne, kończyło się u niego dobrze, ze wszystkiego umiał wyłuskać rozkosz. Lenormanta zżerały zazdrość i żądza. Cóż to musi być za radość rzucać bez żenady swym przeciwnikom słowa

prawdy, jak to czyni ten gagatek. Warto było to zrobić, nawet gdyby miano człowieka potem ukamienować. Ale Carona nie obrzucano kamieniami, przeciwnie, podziwiano go i darzono entuzjazmem.

Charlot nie mógł tego dłużej wytrzymać, postanowił pójść do domu. Nie zdobył się jednak na to. Siedział, słuchał i poił trucizną serce i krew.

Nadszedł moment monologu i choć Charlot przekonał się już w Gennevilliers, że słuchacze rozkoszują się nim, mimo że jest tak długi, ogarnęła go cicha, niedorzeczna nadzieja, że tym razem sztuka jednak zrobi fiasko.

Pierre i Preville wahali się wraz z innymi i długo debatowali, czy na ten wieczór nie skrócić monologu o parę zdań. Wyrafinowana publiczność w Gennevilliers połknęła go, ale czy można węglarzy i kobiety z hal po przeszło czterech godzinach częstować tak długą tyradą?

Okazało się, że tak. Widownia była rozentuzjasmowana. Entuzjazm ten porwał aktora Preville. Mówił z żarliwą pasją, żył w swoim cudownym monologu.

Zdziwiony, oburzony, a równocześnie zachwycony Lenormant słuchał i patrzył, jak ten pan Preville, wcale nie należący do odważnych, stawał się coraz śmielszy, coraz bardziej namiętny. Teraz następowało zdanie o więzieniach, o Bastylii. Czyżby Preville miał się odważyć?

Preville nie myślał nawet wypowiedzieć tego niezwykle niebezpiecznego, najkategoryczniej zabronionego zdania, które, jak wiadomo, wywołało gniew Ludwika. Preville nawet go dokładnie nie pamiętał. Ale dał się porwać, zaczął zdanie, improwizował je. Po pierwszych słowach jednak przerwał, przerażony. Zaskoczyło to na chwilę publiczność, która nie wiedziała, o co chodzi. Ale część zrozumiała, wybuchnęła śmiechem, wytłumaczyła innym; znowu rozległy się salwy

śmiechu i ktoś zawołał: „Dokończ, coś zaczął, Figaro! Dziś mamy wielkie święto”.

Widownia podchwyciła te słowa, cały teatr wołał: „Powiedz, coś zaczął!” I Preville dokończył zdanie dotyczące więzienia, a paryżanie szaleli z radości i pełni zachwytu wołali jak dzieci: „Bastylia! On mówi o Bastylii!”

Lenormant był oszołomiony. Zatruty szaleńczym jadem, czekał gorączkowo i pożądliwie, czy aktor ośmieli się wypowiedzieć również następne skreślone zdanie. Było bowiem najniebezpieczniejsze. W napięciu, pełen furii i pożądania, Lenormant czekał; chciał, by Preville zdanie to wypowiedział, i bał się zarazem.

Preville zbliżył się do rampy, nie chciał mówić tego zdania w kasztanowym gaju, nie chciał, by przepadło; niechaj słuchacze rozumieją każde słowo, niechaj poczują każdą sylabę. Wysunął się na przód sceny, zacisnął pięści i z twarzą zmienioną gniewem i pożądaniem, cicho, lecz bardzo wyraźnie zwrócił się do zamarłej widowni :

- „O, gdybym tak dostał w swoje ręce jednego z tych wielkich panów”.

Jak on to wyjęczał, jak westchnął przy tym! Trudno sobie było wyobrazić bardziej płomienną zachętę do rewolucji. Toteż cała publiczność zerwała się na równe nogi. Sprzedawczynie ryb w łoży królowej piszczwały, węglarze walili brawo swymi olbrzymimi łapskami.

Pan Charles Lenormant siedział spokojnie, w wytwornej pozie. Nie miał odwagi okazać bezgranicznego strachu i furii, zamknął je głęboko w piersi. Wiedział, że jeśli odważy się na najmniejsze słowo sprzeciwu, jeśli zagwiżdże, widzowie rozerwą go na strzępy. Ale za jego nieruchomym czołem szalał paniczny strach. Stan jego był licznie reprezentowany na widowni. Wszyscy ci ludzie śmieli się razem z innymi, klaskali w dłonie, cieszyli się. Te głupie barany ciągle jeszcze

nic nie widziały. Zauważyli, że pokazują im tu jakieś piękne wodotryski. Czy nie spostrzegli, że to wzbiera potop?

Ponura beznadziejność i smutek bez granic opadły pana Lenormant. Czuł, że zbliża się jego koniec i koniec tego wszystkiego, co dla niego i jego otoczenia było sensem życia.

Przyszła kolej na kuplety finałowe, a potem wreszcie, a jednak za wcześnie, zasunęła się kurtyna i ludzie oklaskiwali aktorów. Niektórzy wołali: „Beaumarchais!” Stopniowo okrzyk ten podjęli inni i publiczność zaczęła napierać w kierunku małej bocznej łoży, w której siedział Pierre z przyjaciółmi.

Sedaine, zapominając o zazdrości, oświadczył:

- Taki sukces zdarza się rzadziej niż cud. A Gudin dodał:

- Historia teatru zna tylko jeden wieczór takiego entuzjazmu; był to ów wieczór, kiedy Paryż ukoronował Woltera za Irenę. Ale tamten był końcem, a wieczór dzisiejszy jest początkiem.

Tłum krzyczał: „Pierre Beaumarchais, nasz Pierre! Niech żyje nasz Pierrot, oswobodziciel Ameryki, zwycięzca spod La Grenade!”

Nie było końca okrzykom: „Pierre, Figaro, Cherubin!”

Mieszają się z okrzykami: „Pierre, Ameryka, Pierre!”

Ale Pierre nie słyszał, nie ruszał się. Siedział jak we śnie. Nie wiedział dotąd, że to, co uczynił, było tak ściśle związane z tym, co pisał. Nie wiedział, że to samo uczucie kazało mu dostarczać broń Ameryce i napisać monolog Figara. Zwycięstwo pod Saratogą i to zwycięstwo tutaj, w Paryżu, to owoce jednego drzewa. Nie uświadamiał sobie tego. Teraz pouczył go o tym lud.

Jeżeli nawet o tym nie wiedział, to od początku całą swoją istotą dążył do owej chwili. „Przez śmiech zmieniam świat” - oto motto, którym dwukrotnie poprzedził swe dzieło. Teraz spełniało się jego przeznaczenie. Teraz osiągnął szczyt tego, co człowiek może osiągnąć: zmieniał świat przez swoje słowo.

Był dziedzicem Woltera. Audytorium, lud Paryża, potwierdzało mu to swym entuzjazmem; przez śmiech osiągnął więcej niż przez broń.

Czy kiedykolwiek podobne szczęście przypadło komu w udziale? Myślał o swym ojcu, hugonocie, który musiał zaprzeć się swych przekonań, by syn jego stał się kimś. Teraz syn był kimś. „Przez śmiech zmieniam świat”. Teraz pomścił ojca na jego ciemiężcach.

Tego samego wieczora zespół Theatre Francais postanowił umieścić popiersie Beaumarchais'go obok popiersi swoich poetów: Corneille'a, Racine'a, Moliera i Woltera.

Artur Lee siedział w brązowej bibliotece i czekał na doktora Franklina, aby się pożegnać. Wybierał się do Filadelfii po nowe instrukcje; miał pewność, że zostanie mianowany również posłem w Holandii. Osiągnąwszy to, powróci szybko do Europy, znowu w podwójnym charakterze. A potem, kiedy już ten starzec opętany manią wielkości nie będzie mu przeszkadzał, pokaże Ameryce i światu, do czego zdolny jest Artur Lee.

Siedział już tutaj prawie od pięciu minut. I tym razem, kiedy przychodzi po raz ostatni, każą mu czekać. Miał mnóstwo spraw do załatwienia przed odjazdem; wizyta pożegnalna złożona doktorowi honoris causa była aktem czystej uprzejmości. Ale Franklin znajdował się u szczytu powodzenia, więc był jeszcze bardziej arogancki niż dotychczas.

Tak, Franklin znajdował się u szczytu powodzenia. Wersal zgodził się na udzielenie wielkiej pożyczki; umowy nie były jeszcze podpisane, ale wszystko zostało omówione i król dał swoje słowo. Wprawdzie pożyczka udzielona została armii i jej wodzowi naczelnemu, generałowi Waszyngtonowi, a nie

Kongresowi. Artur Lee nie zgodziłby się na takie upokorzenie, niestety nie miał już prawa protestować.

Trwało to dość długo. Doktor przewlekał zapewne rokowania, by nie doszło do udzielenia pożyczki, dopóki Artur Lee i Adams pełnili funkcje komisarzy. Franklin chciał mieć podstawę do twierdzenia, że pożyczka doszła do skutku wyłącznie dzięki olbrzymiemu szacunkowi, jakim on osobiście się cieszył. Pragnął uchodzić za jedyne Amerykanina, który odniósł sukces w Europie.

Ukazał się doktor. Podziękował uprzejmie Arturowi Lee, że mimo licznych spraw raz jeszcze pofatygował się do niego. Mister Lee skłonił się sztywno.

- Istniały między nami nieraz - zreasumował - różnice zdań. Ale przyzna mi pan chyba, że starałem się usilnie uwzględniać pana poglądy i stanowisko.

- Tak, starał się pan - odrzekł Franklin.

- Byłoby prościej - ciągnął dalej Artur Lee - przytakiwać wszystkiemu, co pan czynił. Ale interes kraju, który obydwaj mamy zaszczyt reprezentować, wymagał, bym swoje zdanie wypowiadał jasno i bez ogródek.

- Wypowiadał je pan jasno i bez ogródek - odpowiedział Franklin.

- Gdyby pan chciał dać mi jakieś depesze do Ameryki - powiedział Artur Lee - chętnie je zawiozę.

Doktor podziękował uprzejmie, postanawiając sobie w duchu, że wyśle wiadomości pewniejszą drogą.

Artur Lee wstał.

- Pozostaje mi tylko - powiedział - życzyć panu i naszemu krajowi, by dalszy pobyt pana w tym mieście dał pożądane rezultaty.

- Dziękuję - powiedział Franklin. - Szczęśliwej podróży i pomyślnych wiatrów.

Artur Lee skłonił się.

- Żegnam pana - oświadczył. To powiedziawszy pełen goryczy młody człowiek znikł z brązowej biblioteki oraz z pola widzenia Franklina: Franklin ufał, że już na zawsze.

Nazajutrz rano doktor przerabiał lekcje ze swym małym wnuczkiem. Nauczyciel chłopca, pan Lefevre, wybrał dla swego ucznia parę cytatów z klasyków, dotyczących przyjaźni i wrogości. Mały Benjamin recytował je wolno po łacinie i po francusku, doktor słuchał uważnie.

Plutarch włożył w usta swego króla Agesilaosa następujące słowa: „Złamać słowo w sposób niehonorowy to przestępstwo, ale wyprowadzić wroga w pole to nie tylko czyn dobry i przynoszący sławę, lecz pocieszny i pożyteczny”. A pokonawszy Kserksesa w bitwie pod Salaminą, Arystydes powiedział do Temistoklesa: „Wydaje mi się, że okrzyk pobitego króla i strachem doprowadzić go do ostateczności to krok fałszywy. Wtedy bowiem nie zasiądzie już pod złotym dachem i nie będzie przyglądał się dobrodusznie przebiegowi bitwy, lecz w rozpaczy swej przedsięwzięcie najskuteczniejsze kroki i zdecyduje się na wszystko. Zamiast więc zrywać istniejące mosty, powinniśmy zbudować jeszcze jeden, by tego człowieka możliwie jak najprędzej przepędzić z Europy”.

- Tak, mój chłopcze - powiedział Franklin - wśród starych Greków byli mądrzy ludzie. Ale teraz chcę ci coś powiedzieć.

- Czy to znowu coś ważnego, dziadku? - zapytał z wielką ciekawością mały Benjamin. - Czy mam to zachować w tajemnicy?

- Nie - odpowiedział Franklin - to nie tajemnica. Chcę ci powiedzieć rzecz następującą: Dobrze mieć nieprzyjaciela, który ostro obserwuje każdy błąd, tak że człowiek musi zawsze mieć się na baczności.

- Mnóstwo chłopców nie cierpi mnie - zapewnił mały Ben - dlatego że jestem cudzoziemcem.

- A widzisz - powiedział doktor - musisz tu mieć się o wiele bardziej na baczności aniżeli w Filadelfii.

- Gdyby mnie jednak któryś z nich oczernił przed doktorem Lefevre - oświadczył mały Ben - zbiłbym go na kwaśne jabłko.

Myśl o Arturze Lee tkwiła w Franklinie głębiej, niż przypuszczał. „W ostatnich czasach - pisał do swego przyjaciela Józefa Reeda - miałem, zdaje się, przyjemność posiadać tylko jednego poważnego wroga, Artura Lee. Wrogość jego zawdzięczam Francuzom, którzy mnie cenią zanadto, jego zaś za mało. Ja to zniosłem - on nie potrafił”.

Potem przyszedł dzień, w którym sekretarz de la Motte zameldował z uśmiechem:

- Pan Adams jest w brązowej bibliotece i chciałby się pożegnać.

Tak, w bibliotece, u stóp generała Waszyngtona, przechadzał się tam i z powrotem mister Adams. Jest rad, że kończy się nareszcie wspólnota mieszkaniowa i urzędowa z doktorem Franklinem. Musiał bardzo panować nad sobą, żeby jakoś zachowywać pozory harmonii, gdyż doktor ma wielkie wady, które nawet najcierpliwszego człowieka mogą rozdrażnić. Nic w tym dziwnego, stary pan wychował się w epoce elastycznej moralności, a nikt przecież nie potrafi przeskoczyć przez swój własny cień. Z drugiej strony nie można mu odmówić pewnych zasług. Ostatecznie załatwił również sprawę dwudziestu pięciu milionów, inna rzecz, że z opóźnieniem i pod upokarzającymi warunkami.

Mister Adams uważał za swój obowiązek i w tej ostatniej rozmowie z doktorem zwrócić mu uwagę na niebezpieczne cechy Francuzów. Opisał w sposób wymowny głębokie i wstrętne skutki, jakie wywołała komedia tego monsieur Carona. Oświadczył, że wypadki, które się rozegrały przy wystawieniu Figara, muszą nasunąć niejedną refleksję

każdemu amerykańskiemu patriocie. Jeżeli chodzi o niego, to od początku uważał sojusz z Francją za zło niestety konieczne. Sposób, w jaki matka Anglia traktowała swą córkę Amerykę, był przeciwny naturze. Ale bolesna to sprawa, że córka musiała się sprzymierzyć z zaprzysiężonym wrogiem rodziny. Cały pobyt we Francji przekonał go raz jeszcze, że niechęć w stosunku do tego kraju, którą dzielił z większością Amerykanów, była całkowicie usprawiedliwiona. Wystawienie Figara jest jednym dowodem więcej.

- Niech mi pan wierzy, czcigodny doktorze Franklin - gorączkował się - że ta cała Francja i dwór, i lud znajduje się w stanie całkowitego rozkładu. Sprzymierzyliśmy się z trupem. Powiadam panu: iam foetet- już śmierdzi.

Franklin odpowiedział uprzejmie:

- Panie kolego, jestem starym człowiekiem i trudno mi nadażyć za biegiem pańskich myśli. Opowiada pan, że wystawienie bardzo postępowej komedii podziałało na paryżan niezwykle podniecająco i wnosi pan z tego, że cały kraj jest skazany na zagładę. Czy nie zechciałby mi pan tego wytłumaczyć?

- Nie mam chyba potrzeby rozwodzić się nad tym, co poprzedziło wystawienie - zaczął pouczającym tonem mister Adams - ani nad królewskim „nigdy”. Wszystko to jest panu przecież wiadome. Sam fakt wystawienia dowodzi więc już, jak kruchy w tym kraju jest autorytet. A działanie tej komedii jest jeszcze mocniejszym tego dowodem. Powinniśmy stąd wysnuć wnioski dla naszej polityki wobec Francji. Z jednej strony winniśmy z tego tonącego kraju wyciągnąć wszystkie korzyści, z drugiej jednak winniśmy wystrzegać się zbyt bliskich związków z państwem, którego absolutny władca tak mało ma do powiedzenia, którego warstwa rządząca jest tak dekadenccka, którego obywatele tak są żądni buntu.

- Proszę wybaczyć - odpowiedział Franklin - ale ciągle jeszcze nie rozumiem dobrze. Jeżeli lud usposobiony jest tutaj równie wolnościowo jak my, to wydaje mi się, że winniśmy być z tego zadowoleni.

- Za pozwoleniem, doktorze - odparł mister Adams - muszę zaprotestować przeciwko temu, by miłość Stanów Zjednoczonych dla sprawy niepodległości i samostanowienia stawiać w jednym rzędzie z żądzą zmian i zniszczenia, jaką odczuwa paryski motłoch, który tęskni za niepokojem i buntem tylko dla samego niepokoju, tylko dlatego, by łowić ryby w mętnej wodzie. To, czego byłem świadkiem przy wystawieniu Figara, nie było oburzeniem ludu, który powstaje przeciw tyranowi w interesie własnym, z powodu złamania umów, jak to miało miejsce u nas. Motłoch, który miałem okazję obserwować, nie zna żadnych hamulców i nie nałożyłby ich sobie nawet w stosunku do ludzi tak liberalnych jak my.

- O ile mi wiadomo - odpowiedział Franklin - i nasi nie bardzo się cackali, i u nas dopuszczano się aktów gwałtu, i u nas nie obyło się bez pewnych niesprawiedliwości. Obawiam się, mister Adams - to mówiąc wyprostował się nieco i wyglądał teraz jak Franklin z portretu malarza Duplessis - obawiam się, że wolność i lepszy ład nigdzie na świecie nie da się wprowadzić bez gwałtu i niesprawiedliwości. Zapewne będzie pan miał rację. Zapewne i naród francuski zrzuci kiedyś pęta i może, jak to pan przewiduje, przewrotowi temu będą towarzyszyć przykre skurcze i wstrętne zjawiska uboczne. Czy jednak dobrodziejstwa nie przeważą szali szkód? Jako stary człowiek pozwalam sobie czasami na marzenie. Marzę o epoce, w której zapanuje na ziemi we wszystkich narodach nie tylko umiłowanie wolności, lecz również głębokie poszanowanie praw człowieka. Marzę o epoce, w której ludzie, jak my, rzućni gdziekolwiek na tej planecie, będą

mogli powiedzieć sobie: „Oto mój dom”. Czy, jeśli założymy, że taka epoka może nastąpić, przelana krew byłaby ceną zbyt wysoką?

Mister Adams słuchał uprzejmie. Ale nie mógł zapanować nad wyrazem niezadowolenia, który pojawił się na jego twarzy. Myślał sobie: „Ten Franklin to człowiek osiemnastego stulecia i nic nie rozumie z tego, co jest w zarodku. Ten Franklin marzy o świecie stworzonym i opartym na ideałach filozofów francuskich. A ja widzę imperium amerykańskie, które coraz bardziej się rozszerza, by uszczęśliwić świat i dać mu taką wolność, jaką my za wolność uważamy”. Nie zdradził się z tymi myślami. Nie miałyby to sensu, a poza tym przyszedł tutaj, by się z Franklinem rozstać w pokoju. Powiedział więc uprzejmie:

- Tej kwestii my dwaj dziś jeszcze nie rozwiążemy, doktorze Franklin.

Wyciągnął album i powiedział:

- Przyrzekłem mistress Adams prosić wielkich ludzi, z którymi się zetknę podczas mojej podróży, o wpisanie się do tego albumu. Czy zechciałby pan okazać tę uprzejmość mistress Adams i mnie?

- Ależ chętnie - odrzekł Franklin i wziął do ręki album. Pomyślawszy przez chwilę, napisał: „Dei providentia et hominum confusione Helvetia regitur”. Mister Adams przeczytał te słowa ze zdumieniem.

- Szwajcaria utrzymuje się i jest rządzona przez Opatrzność boską i błędy ludzkie - przetłumaczył z niedowierzaniem.

- Tak - dodał Franklin - to powiedzenie, które chętnie cytuje nasz pan Necker. Jest ono podobno znane w Szwajcarii równie dobrze jak Wilhelm Tell. Czy nie uważa go pan za trafne?

Przypomnienie osoby pana Neckera nie było mister Adamsowi miłe.

- Tak - odpowiedział wymijająco - Szwajcarzy to naród sceptyków.

- Ale i optymistów - dodał Franklin. - Wierzą w Opatrzność i stworzyli republikę, która trwa od dłuższego czasu.

Kiedy mister Adams był już w drzwiach, Franklin wskazał na obraz przedstawiający Waszyngtona przed krwawym słońcem.

- Wschodzi - powiedział. Zdumiony mister Adams zapytał:

- Kto? jak?

Franklin odpowiedział:

- Słońce. Pytałem malarza, a on chyba wie. - Uśmiechnął się. - Wschodzi - powiedział - mimo zamętu, jaki panuje wśród ludzi.

- A więc wszystkiego dobrego - rzekł mister Adams i wyszedł spieszenie. Po drodze myślał sobie: „Zaczyna się uwiad starczy. To, o czym tu bredził, muszę sobie zapamiętać słowo w słowo i opowiedzieć Abigail. «Wschodzi» - to graniczy z lekkim obłudem". Postanowił działać w Filadelfii w tym kierunku, by reprezentacja Stanów Zjednoczonych we Francji nie spoczywała w rękach tego chimerycznego, nieodpowiedzialnego starca.

Kiedy Adams się oddalił, Franklin polecił wynieść obraz pana Prunier na strych. Potem usiadł i napisał list do generała Waszyngtona, dla którego czuł głęboką wdzięczność. Na początku informował go o pożyczce i składał gratulacje zarówno generałowi, jak sobie. Następnie namawiał Waszyngtona, by po zakończeniu wojny, która przecież nie potrwa już zbyt długo, przybył do Europy. „Byłbym szczęśliwy - pisał - gdybym mógł towarzyszyć Panu w podróży po Europie. Po tej stronie oceanu znalazłby Pan radość z chwały, którą Pan zdobył, radość czystą, pozbawioną owych cieni, którymi niechęć i zazdrość rodaków starają się przesłonić zasługi żyjących. Tu, w Europie, dowiedziałby się Pan za życia, co potomność powie o generale Waszyngtonie.

Bo tysiąc mil to prawie to samo co tysiąc lat. Słaby głos nikczemnej namiętności nie sięga tak daleko. Ani w czasie, ani w przestrzeni. Teraz ja zamiast Pana korzystam z tych dobrodziejstw. Generałowie tego kraju, o wielkim doświadczeniu wojennym, studiują mapy Ameryki i śledzą na nich bacznie wszystkie Pańskie operacje. Jestem często świadkiem, jak wyrażają się ze szczerym uznaniem i najwyższymi pochwałami o Pańskim systemie wojowania i są zgodni co do tego, że jest Pan jednym z największych wodzów epoki".

Ludwik chciał się znowu z całą energią zająć sprawami państwowymi, od których przez czas dłuższy trzymał się daleko z powodu rozwiązania Toinette. Jako wielki amator bilansów, zażądał od swoich panów szczegółowego raportu o położeniu Francji w lutym 1779.

Wysłuchiwał w bibliotece sprawozdania panów Maurepas i Vergennes. Jak wynikało z obszernych dokumentów, Francja była dziś, w piątym roku panowania Ludwika, narodem kwitnącym, szczęśliwym, największym i najpotężniejszym w Europie. Ministrowie piętrzyli fakty i cyfry, by go w tym przeświadczeniu utrzymać.

Ludwik słuchał tylko jednym uchem. Myśl, że to kara boża, iż zamiast delfina, zamiast Dieudonne, urodziła się córka, wżarła mu się głęboko w mózg i dręczyła go nawet teraz. Zrobił wszystko, by panować na chwałę Boga i dla dobra swych poddanych, ale nie było nad nim błogosławieństwa. Zaplątał swój kraj w nieszczęsny sojusz z rebeliantami, dopuścił do tego, że owa czelna, buntownicza sztuka pędzi jego paryżan coraz dalej na drogę swawoli i buntu. Był zdecydowany przeszkodzić złu, ale wszyscy szarpali go i ustępował raz, drugi i setny i dlatego Bóg nie dał mu tak gorąco wymarzonego Dieudonne.

Próbował odpędzić te złe myśli, mówiąc sobie, że to niedorzeczna hipochondria. Ma lat dwadzieścia cztery, Toinette jest o rok młodsza od niego. Przyjście na świat księżniczki dowiodło tylko, że są w stanie płodzić i rodzić zdrowe dzieci. Nadzieja, że łaska boska obdarzy ich delfinem, jest bardziej niż kiedykolwiek usprawiedliwiona.

Zmusił się do słuchania swych doradców, zarówno starego, uprzejmego, cynicznego hrabiego Maurepas, jak i układowego, schlebiającego mu hrabiego Vergennes. Vergennes podsumowywał właśnie dotychczasowe rezultaty wojny. Sytuacja jest doskonała. Flota angielska, będąca dotychczas postrachem, nie osiągnęła ani jednego sukcesu, przeciwnie, doznała samych porażek. Wzięcie Gibraltaru to tylko kwestia czasu. Armia przeznaczona dla Ameryki pod wodzą hrabiego Rochambeau może każdej chwili wyruszyć, a jest to wojsko wzorowe, najlepsza armia świata.

Ludwik mruknął niechętnie:

- Oczywiście bronicie, panowie, sojuszu, któryście sami doprowadzili do skutku. Dobrze panom mówić, ale moja pierwsza reakcja była słuszna. To, czegoście dopięli - sojusz z buntownikami, wasz sojusz, panowie, było i jest fatalnym błędem.

Wstał, wraz z nim podnieśli się ministrowie.

- Niechże panowie siedzą - rozkazał niecierpliwie. - Przemierzył kilka razy bibliotekę, zatrzymał się po chwili przed globusem, który kazał tu przynieść kilka dni temu. Był to olbrzymi globus, sporządzony przez Jerzego Adama starszego, nadwornego kreślarza map przy dworze króla Anglii. Król Jerzy przesłał mu ten globus mimo toczącej się wojny. Nie napisał przy tym ani słowa, było jednak rzeczą jasną, że jest to podarunek z okazji przyjścia na świat Madame Royale. Prezent był wybrany starannie, a nawet z sentymentem; kuzyn w Anglii znał jego namiętność do

dobrych map. Wielki globus był wykonany z podziwu godną dokładnością. Znajdowały się tutaj dane, których Ludwik nie znalazł na żadnej innej mapie; bardzo dokładnie była na przykład zaznaczona owa nieszczęsna Saratoga. Podarunek ten mówił mu bez słów, ale dobitnie, że królowie właśnie w tym trudnym czasie mają obowiązek solidarności wobec Boga i ludzi. Kuzyn Jerzy nie mógł chyba wyraźniej wytknąć mu błędu, jaki popełnił przez zawarcie sojuszu z Ameryką.

Stał tedy Ludwik przed tym globusem, mówiąc do swych ministrów:

- Nie, panowie, nie podzielamy waszych nadziei. Nie mogę uznać, by przebieg wydarzeń potwierdzał, że macie rację. Obawiam się, że wojna ta potrwa dłużej, niż przepowiadacie, i będzie kosztować więcej, niż przewidujecie. Monsieur Necker oświadczył, że nawet jeżeli potrwa krótko, pochłonie tysiąc milionów. Zysk nasz ze złączenia się z buntownikami jest mizerny, straty nasze, zarówno wewnętrzne, jak zewnętrzne, przerażające. W ciągu pięciu lat mego panowania Francja zbiedniała, a długi nasze wciąż rosną. Wkrótce dojdziemy do sumy tysiąca milionów, a jaki kraj może podołać takim ciężarom?

- Gdzież to się sire zabłąkał? - przeciwstawił się Vergennes z szacunkiem, ale żywo. - Pertraktacje pokojowe między Austrią i Prusami są na ukończeniu. Równa się to ogromnemu wzmocnieniu naszego prestiżu. Sytuacja militarna jest taka, że Anglia wolałaby zawrzeć z nami pokój dziś niż jutro. Wolno nam już oświadczyć z całą pewnością: hańba roku sześćdziesiątego trzeciego została zmaszana. Nikt z pańskich poddanych, sire, nikt w Europie nie określiłby takich rezultatów jako mizerne.

Wmieszał się Maurepas.

- Cyfra, którą pan Necker rzucił podczas debaty - powiedział - brzmi groźniej, aniżeli jest w istocie. Tysiąc milionów. -

Wzruszył ramionami i tak wypowiedział te słowa, że cyfra od razu zmaląła. - Ale to, co się przez te pieniądze osiągnęło, warte jest o wiele więcej. - Mówił teraz z zapałem o klęsce Anglii i o rozkwicie Francji, który charakteryzuje pierwsze pięciolecie błogosławionych rządów młodego monarchy. Mówił o wielkości armii, o wzroście obrotu towarów, o zwiększonym obrocie pieniężnym, o postępach w rolnictwie i przemyśle. Zbiory są z roku na rok obfitsze, ceny zboża spadły, płace i pensje są stale podnoszone, liczba ludności rośnie. Posługując się aktami wymienił cyfry: - W ciągu pańskiego panowania, sire, zbudowano dwanaście tysięcy trzysta osiemdziesiąt siedem mil nowych dróg - entuzjasmował się. - Rozbudowaliśmy porty w Nantes, w Marsylii, w Bordeaux i Rouen. Miasto Lyon zawojowało dla naszego krawiectwa i naszych mód trzy czwarte świata. Spożycie w państwie wzmogło się, podatki konsumpcyjne wzrosły o trzy miliony. Lud pański, sire, żyje lepiej aniżeli w ostatnich dziesięcioleciach przed jego wstąpieniem na tron. Cyfry rozpogodziły Ludwika tylko na chwilę; znowu spochmurniał. „Na zewnątrz blask, wewnątrz smród - myślał. - Pieją peany, jak wszystko pod moim panowaniem stało się wspaniałe. A pan Turgot jest pewnie innego zdania". Widział przed chwilą wyraźnie ów list Turgota i słowa: „Sire, uważają pana za człowieka słabego".

Ministrowie mówili teraz o rozkwicie sztuki i nauki pod panowaniem Ludwika XVI. Szafowali nazwiskami: Lavoisier, Monge, Lagrange, Houdon, Clodin, Hubert Robert, Ludwik David, Marmontel, Sedaine, Beaumarchais.

Kiedy Ludwik usłyszał ostatnie, zniechęczone nazwisko, znowu przeniósł się myślą do salonu, do owego gabinetu z popiersiami trzech mężów, bezbożników i buntowników, uważanych za najwyższe umysły jego epoki. Nie przesłyszał się. Jego poufni doradcy istotnie wymienili wśród wielkich

nazwisk jego epoki Beaumarchais'go, a mówili to bez ironii: nie chcieli w ten sposób drwić ze swego króla, pragnęli go wielbić.

Sztuka i nauka kwitną. Ładny rozkwit. Raportowano mu o tym, co się działo podczas darmowego przedstawienia w Theatre Francais. Oczywiście aktorzy, którzy w podniecającej atmosferze uroczystego przedstawienia wypowiedzieli usunięte przez cenzurę zdania, dostali ostry monit i od tego czasu nie wypowiadają skreślonych słów. Ale komedia działa i bez tego i szerzy truciznę; gazety pisały, że od czasów Woltera Theatre Francais nie miał takiego sukcesu.

Ludwikowi przedłożono drzeworyt sprzedawany na ulicach Paryża. Widać było na nim Figara w postaci rycerza, przed którym wije się smok. Smok miał ludzkie oblicze. Figaro postawił mu nogę na karku i zamierzał ściąć łeb. Nad postacią rycerza-Figara widniała podobizna Beaumarchais'go, podpis pod drzeworytem brzmiał: „Figaro-Beaumarchais zabija zło społeczne”. Oto jak wygląda rozkwit sztuki i nauki, oto jak wygląda świat, który powstał pod jego panowaniem.

Cieszył się, że Wolter i Rousseau nie żyją. Ale ci zmarli kacerze i buntownicy łączyli się w uścisku rąk z żywymi. Łańcuch nie pękał, najniebezpieczniejszy spośród zbrodniarzy, ten Caron, ten święty Jerzy buntu, żyje i rozkwita bujniej niż kiedykolwiek. Wody rebelii wzbierają, a kiedy Amerykanie odniosą zwycięstwo z pomocą jego armii, statków i milionów, wtedy żołnierze jego wrócą jako buntownicy, wtedy fale zmiotą go całkowicie.

Ministrowie mówili jeszcze ciągle o pełnym chwały pięcioleciu jego rządów. Handel i przemysł, wojsko i flota, sztuka i nauka - wszystko jest w rozkwicie. Prawdziwa to radość żyć w tych czasach, wielka to chwała być obywatelem Francji i poddanym Ludwika XVI. Młody monarcha zasłużył

sobie na swoje drugie imię Augustus, dzięki niemu państwo staje się coraz większe i silniejsze.

Ludwik nie słuchał już gadaniny panów ministrów, nie oponował, uważając, że to nie ma sensu. Stał we wnęce, nieobecny, i patrzył w dal poprzez schody i dziedzińce.

Z ośpienia wyrwał go ścisk i ruch na wielkich schodach. Zmrużył oczy krótkowidza, starał się zobaczyć, co się dzieje. Tworzono rodzaj szpaleru, co było w zwyczaju, kiedy miał przybyć lub odjechać jakiś dostojny gość. Ludwik zapytał:

- Czy panowie mogą dojrzeć, co się tam dzieje?

Obydwaj ministrowie podeszli do okna. Maurepas dumny, że jeszcze tak dobrze widzi, oświadczył:

- To doktor Franklin.

A Vergennes dodał:

- Przybywa chyba od pana Neckera. Jeżeli się nie mylę, dziś miały być podpisane umowy związane z pożyczką.

- Mogłem sam się tego domyślić - powiedział Ludwik, zirytowany, że nieczyste sumienie pozwoliło mu zapomnieć o złowrogiej dacie.

Chciał odwrócić wzrok i myśl od widowiska na wielkich schodach, ale nie potrafił tego uczynić. Przeciwnie, teraz, kiedy wiedział, co się dzieje, świadomość ta nadawała bystrości jego oczom, widział wyraźnie odgrywającą się tam scenę. Zobaczył, jak doktor Franklin schodzi powoli ze schodów wśród szpaleru składających mu pełne czci ukłony panów i głęboko dygających pań. Ktoś prowadzi go pod rękę. Zapewne jego wnuk. Ludwik wiedział, że ten młody Franklin zrobił pewnej Francuzce dziecko. Ci buntownicy rozpleniąją swe nasienie po całym jego państwie.

Ludwik stał razem ze swoimi obydwojema ministrami w wykuszu biblioteki. Patrzyli na schody. Okazywanie takiej ciekawości było niestosowne, dziecinne i pozbawione godności, zarówno ze strony młodocianego króla, jak i jego

sędziwych ministrów. Wszyscy trzej nie mogli jednak oderwać wzroku od tego widowiska. Ludwik zmrużył oczy jeszcze mocniej niż zwykle.

- Zobaczcie, moi panowie - rzekł - czy ten pan doktor ubrał się choć przyzwoicie na tę ważną uroczystość podpisywania umowy?

- Zdaje się, że ma na sobie futro i futrzaną czapkę - odpowiedział niepewnie Vergennes.

- Nosi strój, który wszyscy lubią - powiedział Maurepas.

Ludwik mruknął.

- Za te darowane dwadzieścia pięć milionów mógł się przynajmniej ubrać przyzwoicie. - W tych słowach brzmiała raczej smętna rezygnacja niż gniew.

Ludwik przyglądał się w dalszym ciągu, jak stary Franklin schodzi ze schodów. Pochyliwszy potężne plecy, szedł wolno stopień za stopniem. Na szerokie, ośnieżone, skapane w słońcu schody Wersalu padał jego olbrzymi cień.

KONIEC

Spis treści

CZEŚĆ TRZECIA:

CENA

Rozdział pierwszy: Wolter 7 Rozdział drugi: Zakaz 105

Rozdział trzeci: Figaro 168 Rozdział czwarty: Ca ira 269